

Tego autora

WŁADCA BARCELONY

MORZE OGNI: WŁADCA BARCELONY II

UCIEKINIERKA Z SAN BENITO

SAGA PRZEKŁĘTYCH

**CHUFO
LLORENS**

MORZE OGNI

WŁADCA BARCELONY II

*Cristinie, kobiecie mojego życia:
przyjaciółce w złej godzinie, busoli wskazującej mi północ,
specjalistce od public relations, a zwłaszcza
sprawczyni tego, że oddają się cudownemu zajęciu
gryzmoenia na kartkach papieru.
Z dozgonną wdzięcznością i uściskami.*

*Przyjaciółom z Cerdañi,
którzy przez trzy letnie sezony, poświęcone przeze mnie
na pisanie tej powieści, stanowili moją jedyną rozrywkę.
Byli wśród nich: Amparo i José Fabra,
Melin i Paco Daurella,
Tere i Enrique Illa - „państwo na Ortigosie”,
Chiqui i Rafa Gomisowie, Teita i Pepín Lavilla,
María Victoria i Joaquín Sagnierowie,
Juana i Jorge Núñezowie, Luci Lafita, Lourdes Coll,
Isabel Sala i Juan Antonio Bertrand.
Miłe i inteligentne pogawędki z nimi wypełniały
moje godziny.*

*Moim sąsiadom, a mimo to przyjaciołom:
Tinie i Eduardowi Correa.*

*Álexowi Majó Valentíemu, ostatniej
odrośli na drzewie mojego życia.*

Dramatis personae

GŁÓWNI BOHATEROWIE

- Marti Barbany — zamożny armator i znakomity obywatel Barcelony
Marta Barbany — córka Martiego Barbany i jego małżonki Ruth
Bernabé Mainar (alias Luciano Santangel) — złowrogi osobnik, właściciel dwóch dużych lupanarów w mieście
Bertran z Cardony — syn hrabiego z Cardony przekazany jako zakładnik na dwór hrabiowski w Barcelonie
Ramón Berenguer 1 Stary — hrabia Barcelony i małżonek Almodis
Almodis z Marchii — trzecia żona Ramóna Berenguera I i matka czworga z jego dzieci
Pedro Ramón — pierworodny syn Ramóna Berenguera 1, owoc jego związku z Elisabet z Barcelony
Ramón Berenguer („Lnianogłowy”) — syn Ramóna Berenguera 1 i Almodis z Marchii, bliźniak Berenguera Ramóna
Berenguer Ramón — syn Ramóna Berenguera I i Almodis z Marchii, bliźniak Ramóna Berenguera
Eudald Llobet — przyjaciel Martiego Barbany, ojciec chrzestny jego córki Marty i spowiednik hrabiny Almodis
Ahmed — syn Ornara i Naimy, wiernych sług Martiego Barbany

POSTACIE DRUGOPLANOWE

- Zahira — niewolnica Marçala de Sant Jaume, wielka miłość Ahmeda
Rashid al-Malik — przyjaciel Martiego pochodzący z Mezopotamii
Basilis Manipoulos — kapitan statku *Stella Maris*, prawa ręka Martiego w interesach morskich
Marçal de Sant Jaume — potężny arystokrata, sprzymierzeniec Pedra Ramóna
Simó „Renegat” — licytator niewolników i sługa Marçala de Sant Jaume
Delfín — karzeł, dworski błazen, doradca i wierny sługa Almodis

Adelais de Cabrera — młoda dama na dworze, zdeklarowana przeciwniczka
Marty Barbany
Gueralda — służąca w domu rodziny Barbany, dawniej w domu rodziny Cabrera
Tomeu „Rudy” — przekupień z Mercadal
Magi de la Vali — kapłan, koadiutor archidiakona Llobeta
Nur — prostytutka w lupanarze na Montjuïc prowadzonym przez Mainara
Amina — siostra Ahmeda, córka Ornara i Naimy, wierna przyjaciółka Marty
Adela de Monsargues — przeorysza klasztoru Sant Pere de les Puelles
Manel — przyjaciel Ahmeda

DWÓR HRABIOWSKI

Inés — najstarsza córka Ramona Berenguera I i Almodis z Marchii, siostra
Sanchy i bliźniąt
Sancha — młodsza córka Ramona Berenguera I i Almodis z Marchii, siostra
Inés i bliźniąt
Guigues z Albonu — naręczony Inés
Guillermo Ramón z Cerdañi — naręczony Sanchy
Olderich de Pellicer — *veguer* (urzędnik wymiaru sprawiedliwości) Barcelony
Gombau de Besora — rycerz w służbie hrabiego Ramona Berenguera I
Gualbert Amat — seneszał
Odó de Montcada — biskup Barcelony
Guillem de Valderribes — naczelny notariusz
Ponç Bonfill — sędzia w Barcelonie
Eusebi Vidiella — sędzia w Barcelonie
Frederic Fortuny — sędzia w Barcelonie
Lionor de la Boçsie — pierwsza dama Almodis
Brigida de Amalfi i Barbara de Ortigosa — damy do towarzystwa
Estefania Desvalls, Araceli de Besora, Eulalia Muntanyola i Anna de Quarsà
— młode damy
Sigeric — młody paź, późniejszy giermek Bertrana z Cardony

OTOCZENIE MARTÍEGO BARBANY

Ruth — małżonka Martiego Barbany i matka jego córki Marty
Omar — sługa Martiego, dawniej niewolnik, teraz wyzwolony
Naima — żona Ornara
Mariona — kucharka
Caterina — ochmistrzyni
Andreu Codina — majordom
Gaufred — dowódca straży
Jofre Ermengol — przyjaciel Martiego z dzieciństwa, obecnie kapitan jednego
z jego statków
Rafael Munt, zwany Feletem — przyjaciel Martiego z dzieciństwa, obecnie
kapitan jednego z jego statków

LUPANARY MAINARA

Maimón — eunuch zarządzający lupanarem na Montjuïc
Rania — klucznica lupanaru w Vilanova deis Arcs
„Negr” — służący w lupanarach
Paciá — parobek w lupanarze w Vilanova deis Arcs

DOM RODZINY CARDONA

Folch z Cardony — wicehrabia Cardony, ojciec Bertrana
Gala — wicehrabina Cardony, matka Bertrana
Lluc — stary wychowawca Bertrana

DWÓR SYCYLIJSKI

Roberto Guiscardo — książę Apulii, Kalabrii i Sycylii
Sichelgaita z Salerno — małżonka Roberta Guiscarda i matka Mafaldy
Mafalda z Apulii — córka Roberta Guiscarda i Sichelgaity z Salerno, naręczona
Ramona Berenguera („Lnianogłowego”)
Tullio Fieramosca — admirał Roberta Guiscarda

PODRÓŻ MARTÍEGO

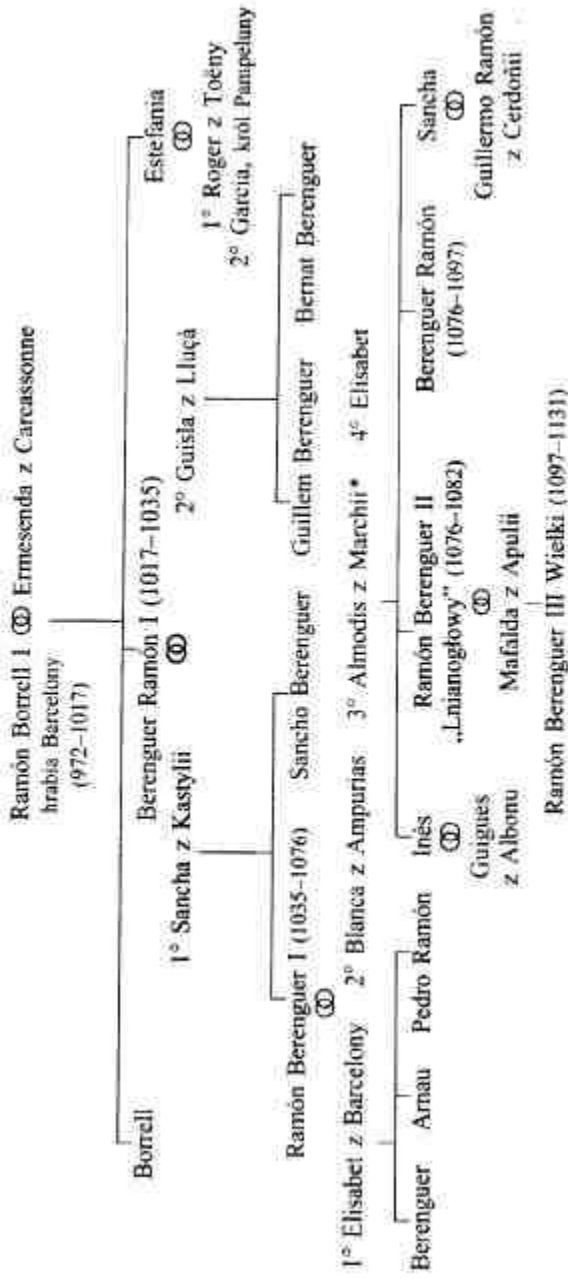
Nagib Tunezyjczyk — niebezpieczny pirat
Selim — syn Nagiba
Maria — młoda kobieta, którą Ahmcd ratuje w tawernie
Kostas Paflagos — okaleczony starzec, teść Marii
Tono Crosetti — żeglarz, dawny jeniec Nagiba
Banal — marynarz na statku *Santa Marta*

INNI

Lluc — majordom Pedra Ramona
Aser Ben Jehuda — lichwiarz z Call
Harusz — medyk
Berenguela de Mas — położna
Florinda — znachorka
Bernadot — woźnica
Pere Fornells — zarządca dworu Marçala de Sant Jaume w Arbucias
Samir — majordom Marçala de Sant Jaume
Baszira — niewolnica w domu Marçala de Sant Jaume

RÓD HRABIÓW BARCELONY

(w nawiasie podano okres panowania)



* Wcześniej żona Hugona Poboznego z Lusignan i Ponce'a z Tuluzy, z którymi miała pięcioro dzieci, między innymi Guilherma IV i Ramona IV, hrabiów Tuluzy.

CZEŚĆ PIERWSZA
Boskie wyroki

— Nie traćmy czasu na próżne roztrząsania — przerwał jej Marti. — Jeżeli coś źle pójdzie, może się spodziewać konsekwencji.

W głębi wielkiego przedpokoju rozległ się poważny głos ma-jordoma.

— Proszę się nie niepokoić, panie. Omar pojechał już po medyka i powinni tu być lada chwila.

— Mam taką nadzieję, Andreu. — Przez chwilę Marti milczał, po czym westchnął i dodał: — Wyślij kogoś, żeby zawiadomił ojca Llobeta... W takich okolicznościach jak te czuję, że jego obecność mnie pokrzepia.

— Jeśli pozwolicie, panie, pošlę Ahmeda. Jest szybki jak zając i bardzo sprawny.

Marti, z nieobecnyym spojrzeniem, skinął głową. W owej chwili mógł myśleć tylko o Ruth i o synu, który tak bardzo pragnął się narodzić.

Majordom wycofał się w pełnym szacunku milczeniu: dobrze znał bezlik fatalnych zrządeń losu, które znaczyły niespokojną egzystencję jego pana, i lękał się, by znowu nie zważyło się na niego nieszczęście, jak już to miało miejsce, kiedy śmierć zabrała mu młodzieńczą miłość i kiedy, po latach, w tak okrutny sposób pozbawiła go matki.

Mohamed, którego wszyscy nazywali Ahmedem, starszy syn Ornara i Naimy, niewolników kupionych przez Martiego dziesięć lat wcześniej, a później uwolnionych, pobiegł jak kozica w stronę Pia Almoina. Starając się uniknąć ciżby ludzkiej, jaka o tej porze usiłowała przekraczać w obu kierunkach bramy miejskie, przebył uliczki prowadzące do zespołu katedralnego. Niósł pilne polecenie sprowadzenia starego księdza Eudalda Llobeta, który w wielkim stopniu ukształtował życie jego pana. Dobroczynny wpływ duchownego wynikał z obietnicy, jaką ten złożył niegdyś swojemu dobremu przyjacielowi Guillemowi Barbany de Gorb, ojcu Martiego. Ahmed słyszał, że ci dwaj byli w młodości towarzyszami broni, że świętej pamięci Guillem kilkakrotnie ratował życie Llobeta i że na łożu śmierci powierzył mu swój testament oraz opiekę nad jedynym synem.

Ahmed dotarł wreszcie do celu. Braciszek przy furcie rozpoznał

chłopca i zorientował się po jego zachowaniu, jak pilną ma sprawę, znając zaś pozycję, jaką archidiakon zajmuje w domu przyjaciela, bez zbędnej straty czasu zaprowadził posłańca do sali przeznaczonej dla gości. Po krótkim oczekiwaniu Ahmed usłyszał na płytach korytarza odgłos sandałów olbrzymiego kapelana; jego kroki zdradzały wielki pośpiech.

W drzwiach pojawiła się ukoronowana tonsura głowa, a następnie postać duchownego zajęła całą ich szerokość.

— Co cię tu sprowadza, Ahmedzie? — zapytał ojciec Eudald Llobet, a na jego twarzy odmalował się niepokój.

— Mój pan domaga się pilnie waszej obecności. Wydaje się, że pani zaczęła rodzić, zanim nadeszła jej pora.

Ksiądz zamierzał wypytać chłopca o dalsze szczegóły, ale zrozumiał, że spowodowałoby to stratę czasu, który w takim momencie był bardzo cenny.

— Poczekaj chwilę, wezmę swoje rzeczy i natychmiast pojedziemy. Powiedz odźwiernemu, żeby stajenny przygotował wóz i zaprzął muła.

— Wybaczcie, ojcze, ale w mieście panuje teraz taki ścisk, że szybciej dojdziemy na piechotę.

— Niech więc tak będzie.

Do uszu Martiego dobiegł odgłos pośpiesznych kroków, a ich intensywność wskazywała, że po szerokich schodach wchodzi więcej niż jedna osoba. I rzeczywiście: pojawili się jednocześnie ojciec Llobet i medyk Harusz. Marti wyszedł im naprzeciw, kiedy przekroczyli próg; jego dłonie splotły się z dłońmi księdza w serdecznym powitaniu.

— Mój panie, nie traćcie czasu — powiedział natychmiast Marti w odpowiedzi na pytające spojrzenie medyka. — Kiedy moja żona siedziała na tarasie, poczuła silne bóle i zaczęła krwawić... Wygląda na to, że poród się zaczął na dwa miesiące przed czasem, a położna mówi, że chyba coś idzie nie tak jak trzeba.

Harusz otarł spoconą łysinę chustką, którą wyciągnął z przepas-cistej kieszeni swojej zielonej sukni.

— Gdzie znajduje się położnica? — zapytał.

— Zaprowadzę was, jeśli łaska.

— Będzie lepiej, jeśli wskażecie mi drogę... Nie chcę was obrazić, ale w takich wypadkach mężowie są zbyt tacy.

— Marti, pozwólcie, żeby medyk czynił, co do niego należy — zauważył ojciec Llobet spokojnym głosem. — Ja pójdę z wami na taras, gdzie czas będzie wam szybciej schodził.

— Potem, Eudaldzie. Chcę w pierw zobaczyć moją żonę i obiecuję, że potem posłucham się medyka i pójdę, gdzie mi każecie.

Cała trójka skierowała się do komnaty położnicy i ciężkie drzwi zamknęły się za nimi.

Wielka sala tonęła w półmroku, oświetlona jedynie dwoma kandelabrami i pojedynczym świecznikiem stojącym przy łóżku. W kominku trzaskały kłody, a nad nimi, oparty na żeliwnym trójnogu umieszczonym na płycie o koncentrycznych kręgach, widać było ogromny kocioł z niemal wrzącą wodą. Przy łożu krzątały się dwie kobiety, usiłując złagodzić bóle położnicy. Prym wiodła znana położna, niejaka Berenguela de Mas, która przyjechała w Barcelonie niezliczone porody. W owej chwili, spocona, z włosami zebranymi pod czepkiem, trzymała rękę między udami kobiety, która leżąc ze zgiętymi i rozłożonymi nogami, głucho jęczała. Jej twarz była żywym obrazem trwogi. Drugą kobietą, która w owych chwilach ograniczała się do zmieniania kompresów na czole położnicy, była Caterina, ochmistrzyni zarządzająca domem.

Pozostawiając na stronie przygnębitego męża i duchownego, Harusz skierował się ku położnej.

— Jak to wygląda, Berenguelo?

Matrona westchnęła z ulgą, usłyszawszy głos medyka, i niemal nie odwracając głowy, odpowiedziała:

— Źle, mój panie. Dzięki Bogu, że przyszlście. Pani straciła dużo krwi i minęły już cztery lata, odkąd była matką: kanał rodny wydaje się zagrodzony, chyba worek z płacenta się oderwał i zamyka wyjście. Poza tym to jeszcze nie czas... Dlatego po was posłałam.

— Pozwólcie, że zobaczę.

Ruth, żona Martiego, leżała w łożu pod baldachimem, z pasmami kasztanowych włosów przylepionymi do skroni; z ust ledwie wydobywał się głuchy jęk, a na wargach, z których wypływała strużka krwi, widoczne były ślady jej własnych zębów. Została zawinięta w długą koszulę, zakrywającą ciało od pasa w dół, tak by można ją było pielęgnować, nie narażając na szwank przyzwoitości.

Stary medyk otworzył torbę i wyjął z niej dziwne urządzenie podobne do wielkich cęgów, otwierających się na jednym końcu, gdy ścisnęło się drugi. Pasami białego płótna owinął cęgi, a potem zanurzył je w płynie, który wlał z bańki do jednej z misek położnej. Teraz mógł już przystąpić do działania.

Martí i duchowny stali w najdalszym rogu pomieszczenia jak dwa marmurowe posągi.

Medyk przysunął urządzenie do narządów płciowych położnicy i ścisnąc uchwyt, rozwarł cęgi. Potem wprowadził prawą dłoń w ciało kobiety. Po chwili, która mężowi wydała się wiecznością, poruszył się niespokojnie. Zamienił kilka słów z położną, po czym skierował się do miejsca, gdzie oczekiwali obaj mężczyźni.

— Panie, przykro mi z powodu złych wiadomości: torba z placentą nie pozwala urodzić się dziecku, które ponadto jest przedwczesne... Musicie wybierać pomiędzy matką a dzieckiem, jako że można uratować tylko jedno z ich dwojga... I to pod warunkiem, że los okaże się łaskawy.

— Nie rozumiem, wytłumaczcie mi to jaśniej — powiedział Martí.

— Czy mam mówić z całkowitą szczerością?

— Niełatwo mnie przestraszyć, możecie mówić otwarcie.

— Jeżeli chcecie, bym ratował waszą małżonkę, muszę zgnieść główkę dziecka i pociągnąć za nią, żeby przycisnęła placentę i opróżniła ją z krwi. Dopiero wówczas będę mógł wyciągnąć i placentę, i dziecko, choć będzie ono, jak się domyślicie, martwe. Jeżeli natomiast spróbuję uratować życie waszemu dziecku, co już samo w sobie jest bardzo skomplikowane, biorąc pod uwagę, że płód ma siedem miesięcy, wtedy będę musiał naciąć brzuch waszej żony, dopóki ona żyje, gdyż jeśliby przestała oddychać, dziecko by się udusiło.

Martí Barbany zmienił się na twarzy, która przybrała odcień trupiej białości. Nie mógł wykrztusić słowa. Archidiakon ścisnął jego ramię i powiedział:

— Kościół twierdzi, że na pierwszym miejscu należy stawiać życie nienarodzonego.

— Guzik mnie obchodzi, co twierdzi Kościół! Będę mógł mieć inne dzieci... Natomiast żonę stracę na zawsze!

— Mówicie głupstwa, Martí. Jednak wybaczam wam, bo w tej chwili nie jesteście przy zdrowych zmysłach — rzekł duchowny.

— Zostawcie mnie w spokoju z waszym bełkotem starej baby. Nie wzywałem was po to, żebyście mnie wciągli w teologiczne labirynty, lecz po to, byście mi służyli oparciem i pociechą.

— Przykro mi, panie — wtrącił się Harusz z zatroskaną twarzą — ale nie zostało wiele czasu. Jeżeli czegoś szybko nie postanowicie, możecie stracić ich oboje.

Głos Ruth zabrzmiał w oddali jak skarga.

— Podejdź, Marti... A wy, medyku, słuchajcie mnie dobrze.

— Nie rozumiem, jak mogła nas usłyszeć — powiedział ojciec Llobet.

— W takich okolicznościach nigdy nie wiadomo, jak bardzo czułe mogą stać się zmysły kobiety.

Trzej mężczyźni podeszli do łoża, podczas gdy położna, ochmistrzyni Caterina i nowa w tym domu służąca o imieniu Gualda, która do tej chwili pilnowała kotła z wodą, odeszły na bok.

Ruth, chwytając męża silnie za nadgarstek i przyciągając do siebie, zmusiła go, żeby się nad nią pochylił; wtedy przemówiła szeptem, ale dość wyraźnie, żeby wszyscy ją usłyszeli.

— Chcę żyć, Marti, żeby widzieć, jak rośnie nasza mała Marta i ten syn, którego oboje tak bardzo pragnęliśmy... ale jeżeli ma to być moje życie albo jego, chcę uratować jego.

Marti, przejęty bólem i rozpaczą, przysunął wargi do twarzy żony.

— Nie, Ruth, nie chcę cię stracić... Będziemy mogli mieć inne dzieci, ale bez ciebie moje życie nie będzie miało znaczenia.

— Kochałam cię aż do ostatecznej ofiary i ty, mój mężu, wiesz o tym, ale pragnę ponad wszystko, żeby żył mój syn. Nie może być inaczej...

I zwracając spoconą twarz ku ochmistrzyni, nakazała:

— Droga Caterino, przynieście mi Biblię, która jest w mojej komodzie.

Kobieta wyszła i po chwili wróciła, niosąc gruby wolumin.

Ruth powiedziała szeptem:

— To jest święta księga, która łączy wszystkie religie. Przysięgnij z ręką na Biblii, że ponad wszystko inne będziecie się starali uratować mojego syna.

— Nie każ mi tego przysięgać, ukochana. Pomyśl o małej Marcie... Ma tylko cztery latka i potrzebuje cię bardziej niż kogokolwiek.

Ruth westchnęła; na dźwięk imienia córeczki maska bólu pokryła jej oblicze. Nieszczęsna odwróciła spojrzenie, jakby w obawie, że widok udręczonej twarzy męża może skłonić ją do zmiany powziętej decyzji. Przemówiła szeptem, niemal obojętnie:

— Oświadczam uroczyście, że taka jest moja wola. Jeśli... jeśli dojdzie do najgorszego, wiem, że zostawiam Martę w najlepszych rękach...

Marti usiłował zapanować nad swoim głosem, który zaczynał przechodzić w szloch.

— Ona potrzebuje ciebie, Ruth!

Żona skierowała na niego spojrzenie i pomimo bólu, który ją przepełniał, można było dostrzec w jej twarzy jakieś tchnienie spokoju.

— Już podjęłam decyzję, Marti. Jednak... jest jeszcze coś, o co chciałabym cię prosić. — Przerwała na chwilę, a jej oblicze przeszył skurcz bólu. Marti z czułością pogłaskał ją po czole. — Chcę umrzeć, jeżeli Jehowa tak postanowi, na łonie religii swoich przodków i być pochowana zgodnie z ich tradycją.

Zapadła cisza. Marti spojrzął na żonę wzrokiem wyrażającym wątpliwość. W końcu, jak zawsze w wyjątkowych wypadkach, rozległ się głęboki, wyważony głos ojca Llobeta.

— Wyjdźmy, Marti. Pozwólmy, by doktor Harusz robił, co musi. Nie powinniśmy mu przeszkadzać naszą obecnością. — I zniżając głos, dodał: — Zapomnijcie o tej ostatniej sprawie... Ruth jest wzburzona, nie możemy jej słuchać. Te słowa nie są podyktowane rozsądkiem.

— Wiem doskonale, co mówię, Eudaldzie — wyszeptała położnica.

Marti położył dłoń na Biblii i pośród grobowej ciszy powiedział:

— Przysięgam, że wypełnię twoją ostatnią wolę.

Usłyszawszy to, duchowny nie mógł powstrzymać gestu niezadowolenia. Potem wziął przygnębionego męża za ramię i usiłował poprowadzić go ku drzwiom, szepcząc mu do ucha:

— W takich warunkach przysięga nie będzie miała wartości.

Marti opierał się przed opuszczeniem sali. Wtedy medyk, by przełamać jego niezdecydowanie, odezwał się w te słowa:

— Jeżeli nie pozwolicie mi działać, wszystko będzie bezużyteczne.

Kiedy już odeszli, dał się znowu słyszeć słaby głos położnicy: — Teraz wypełnijcie swój obowiązek żyda i medyka. Uratujcie mojego syna! Błagam was o to!

Harusz wyjął z torby skalpel, położył go na stoliku, po czym wziął szklaną butelkę i wylał jakiś jasnoniebieski płyn na czyste płótno, którym kazał położnej zakryć nos i usta kobiety. Kiedy zobaczył, że stała się lekko senna, odsłonił jej wielki brzuch i trzymając w prawej dłoni ostre narzędzie, lekko się pochylił.



Czas płynął bardzo powoli. Nad horyzontem wznosił się księżyc i głos strażnika obwieścił porę pierwszej modlitwy kleryków w sąsiednim kościele Sant Miquel. Martí stał z rękami na plecach, patrząc przez okno w nocne niebo, podczas gdy ojciec Llobet pozwalał wypoczywać swojemu wielkiemu ciału na jednym z krzeseł. Obserwując napięcie w postawie młodego przyjaciela i protegowanego, nie mógł uniknąć porównania go z owym młodzieńcem, który jedenaście lat wcześniej pojawił się przed nim z listem od zmarłego ojca. Marti był wtedy tylko pełnym złudzeń chłopcem, wieśniakiem pragnącym zamieszkać w Barcelonie i dorobić się majątku. I Bóg pomógł mu w realizacji tego zamiaru. Marti Barbany w owej chwili był niewątpliwie najzamożniejszym obywatelem miasta. Właścicielem olbrzymiej fortuny, obejmującej młyny w Magórii, hektary upraw w Besós i dwie floty, jedną w Syrakuzach i drugą w Barcelonie, liczące łącznie ponad sześćdziesiąt statków, które z ładowniami wypełnionymi towarami przemierzały drogi morskie i czyniły życie mieszkańców Barcelony pomyślniejszym i bezpieczniejszym. Marti Barbany handlował zarówno z krajami islamskiego Wschodu, jak i z chrześcijańskimi królestwami Półwyspu Iberyjskiego oraz domem Karolingów. Jego statki, żeglujące wzdłuż brzegów albo po pełnym morzu, kotwiczyły w miastach italskiego buta i przez Adriatyk docierały do Najjaśniejszej Republiki Weneckiej, a nawet do zamożnego Bizancjum i posiadłości bagdadzkiego kalifa; słynne były jego stocznie i warsztaty ciesielskie na wybrzeżu, nad którym wznosiła się bryła wzgórze Montjuïc. Jego niezmierne bogactwo pochodziło głównie z owej czarnej oliwy, która — magazynowana w górskich grotach — dostarczała cennego czarnego złota rozświetlającego zmierzch hrabiowskiego miasta i znajdującego coraz to nowe zasto-

sowania. Zewnętrznym przejawem wpływów Marti ego było ogromne domostwo wznoszące się przy placu Sant Miquel w pobliżu pałacu hrabiowskiego, często odwiedzane przez wybitnych mieszkańców Barcelony.

Ale ten sam Bóg, który był wobec niego tak szczodry w sprawach pieniężnych, okazał się bezlitosny w jego życiu uczuciowym. Najpierw Laia, pierwsza miłość, oszalała z bólu z powodu przewrotności niczemnego ojczyma, radcy miejskiego Bernata Montcusí, i rzućszy się z wieży, zginęła, zostawiając Marti ego pogrążonego w rozpacz. A teraz Ruth, najmłodsza córka jego dobrego przyjaciela Barucha Benvenista, młoda Żydówka, która zrezygnowała ze swojej religii i dała mu córkę, walczyła w sąsiednim pokoju ze śmiercią... Rozmyślenia Martiego przerwał dźwięk otwieranych drzwi. Obaj z duchownym odwrócili się w ich stronę. Medyk Harusz, z zakrwawionymi jeszcze rękawami sukni i ze strapioną twarzą, wyszeptał:

— Panie, wszystko na próżno, nie mogłem nic zrobić.

Marti spojrzął nań pustym wzrokiem.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Cisza była wystarczająco wymowna. Potem padły słowa ciężkie niczym nagrobna płyta.

— Przybyłem zbyt późno. Gdy tylko wydobyłem dziecko, wasza żona zmarła.

Wyraz twarzy Martiego sprawił, że medyk poczuł się zmuszony dokończyć.

— To był chłopiec, ale żył tylko przez kilka chwil.

Marti objął Eudalda; wyglądało, jakby miał wybuchnąć płaczem, ale natychmiast go puścił i szybkim krokiem poszedł do pokoju, gdzie leżała Ruth. Jego dłonie zacisnęły się na desce wielkiego łóża. Patrzył na ciało żony przykryte tylko płótnem jak całunem. Kapłan i medyk przyszli za nim, ale pozostali o kilka kroków od łóża. Marti spojrział przenikliwie na umiłowane ciało, teraz bez życia, i przemówił głosem, którego duchowny nie znał i który zdawał się dochodzić z bardzo daleka.

— Eudaldzie, ten w górze znowu mnie okradł. Tym razem odebrał mi Ruth i mojego dziedzica.

— Marti, mój synu, niezbadane są boskie wyroki.

Marti zaprzeczył ruchem głowy.

— Już wystarczy. Uroczyście przysięgam na świętą Biblię, że nigdy już nie wezmę sobie ponownie małżonki, ale też nigdy nie zlegnę z kobietą. Nie dam Bogu następnej okazji.

— Postradaliście zmysły; w takich okolicznościach żadna przysięga nie ma wartości.

— Ostatnia, jaką złożyłem żonie, że pochowam ją jako żydówkę, i ta, którą teraz wypowiedziałem, są ważne na zawsze.

Jego piersią zaczął wstrząsać spazmatyczny oddech. Marti upadł na kolana i jakiś głuchy lament, jakby pochodzący od zranionego zwierzęcia, przerwał nocną ciszę.

Nikt w owej chwili nie zauważył obecności dziewczynki, która zalekniona przyglądała się od drzwi tej scenie. W chwilę później ojciec Llobet dostrzegł małą Martę, wziął ją za rączkę i wyprowadził z pokoju. Oczy dziecka, pełne pytań, wyrażały nieskończony niepokój.

2

Pałac hrabiowski

Od śmierci swojej wiecznej rywalki, Ermesendy z Carcassonne, babki męża, która prowadziła z nią tak energiczną walkę, hrabina Almodis niepodzielnie władała hrabstwami Barcelony, Osony i Ge-rony. Z całą sprawiedliwością należało przyznać, że dzięki działalności dobroczynnej, szczodrym darom dla klasztorów i bezsprzecznemu talentowi rządu zaskarbiła sobie przywiązanie poddanych. Ona jednak nie zapominała o niespokojnych dawnych latach. Chociaż nie była jedną z tych kobiet, co żyją wspomnieniami, czasem, gdy przebywała sama w swoich komnatach, lubiła powracać do owych burzliwych czasów. Uśmiechała się na myśl o własnej odwadze, dzięki której zdecydowała się opuścić ówczesnego małżonka, Ponçe'a z Tuluzy, powodowana niepohamowaną namiętnością, jaką obudził w niej Ramón Berenguer, hrabia Barcelony. Nigdy, nawet w najgorszych chwilach, tego nie żałowała, choć niewątpliwie drogo zapłaciła za swą zuchwałość... Przekłeta Ermesenda! Babka hrabiego wystąpiła nawet o wyklęcie „konkubiny wnuczka”, jak ją nazywała, i żeby je uzyskać, wystarała się o audiencję u samego papieża. Ale czas nadał sprawom właściwy bieg: o ile jej pojawienie się na dworze było poprzedzone skandalem, o tyle teraz, jedenaście lat później, Almodis cieszyła się szacunkiem poddanych. Bóg pobłogosławił ją dwoma synami i dwiema córkami, miłością małżonka i życzliwością ludzi... i zabrał Ermesendę do grobu.

Niech Pan zapewni jej wieczne szczęście w swojej chwale.

Tego ranka, w samotności skromnego salonu, Almodis gawędziła ze swoją pierwszą damą, wierną Lionor de la Boésie, która wraz z nią przybyła z dalekiej Tuluzy, z Barbarą de Ortigosa i Brígida de Amalii, dwiema damami ze szlacheckich rodzin, wybranymi dla niej przez małżonka, i z Delfinem, garbatym karłem, towarzyszem jej pierwszych kroków w Marchii, obdarzonym rzadkim darem nekromancji. Delfín był jej przyjacielem i doradcą jeszcze z lat dzieciństwa i choć zazwyczaj irytował ją swoim zuchwalstwem, jego wierność była niepodważalna.

Komnata, która niegdyś służyła za oratorium, stanowiła ośrodek życia Almodis. Przepych wielkiego salonu nie odpowiadał jej gustom, tak więc sztuka po sztuce zbierała przedmioty i ciekawostki, jakie w tej wyszukanej ostoi mogły zadowolić *jej* wykształcony umysł. Od bujanego fotela po stary kołowrotek, poprzez kolekcję instrumentów muzycznych. Wśród tych ostatnich wyróżniał się flet inkrustowany masą perłową, psalterium z różanego drewna, podarek od opata z Ripoll, a zwłaszcza cytra, na której tak doskonale grała jej pierwsza dama, doña Lionor. Wszystko to umiłało Almodis pobyt w hrabiowskim pałacu.

— Pani, sądzę, że przesadzacie, biorąc na siebie tyle obowiązków. Byłoby dla waszej miłości korzystniej poświęcić czas na bardziej wdzięczne zajęcia i pozwolić na przykład, żeby zupełni dla biednych rozdzielali zakonnicy z Pia Almoína.

Powiedziała to Lionor, jedyna, może prócz Delfina, osoba, która ośmielała się wygłaszać własne zdanie o działalności hrabiny.

— Lionor, mogę was zapewnić, że moją najcięższą karą jest bezczynność. Pomyślcie, że kiedy się kończy jakieś ważne zadanie, czuję smutek, dopóki nie znajdę innego pobudzającego zajęcia. Prace budowlane w katedrze czy doprowadzenie wody do Barcelony były dla mnie nie tyle trudem, ile celem życia.

Zabrała głos Brígida, czubkiem prawej stopy wprawiając jednocześnie w ruch kołowrotek, na którym nawijał się kłębek wełny.

— Pani, cnota mieści się między małym a wielkim. Nie braknie osób niezdolnych dotrzymać wam kroku, które cierpią, gdyż nie mogą was zadowolić.

— Czy może się do nich zaliczacie, moja Brigido? — spytała Almodis z przekąsem.

— Ja nie, pani, ale znany jest wasz zapach i trudno za wami nadążyć — usprawiedliwiła się dama.

Zapadło milczenie, a Brígida zrozumiała lekki wyrzut zawarty w pytaniu.

Lionor pośpieszyła jej z pomocą.

— Doña Brígida miała bez wątpienia na myśli waszego niepo skromionego ducha, pani. Potwierdzają to wasze czyny. Powiedzcie, jaka dama, hrabina albo inna znana wam kobieta o takiej pozycji zdolna jest dorównać waszym poczynaniom.

Pochlebstwo zmiękczyło hrabinę, nieprzychylną do jakiegokolwiek krytyki, choćby nawet zawołowanej.

Rozmowa utknęła w martwym punkcie i gdy Lionor lekko zmarszczyła brwi, odezwała się Barbara, zmieniając temat.

— Powiedz nam, Delfinie, o czym mówią plotkarki na rynku?

Karzeł, przyodziany w suknię o żywych kolorach, był ogromnie zadowolony, kiedy mógł być w centrum zainteresowania niewielkiego dworu, tak więc, by zwrócić uwagę pani, starał się wiedzieć jak najwięcej o ostatnich wydarzeniach.

— No cóż, tym razem mówi się o śmierci żony Martiego Barbany podczas połogu; straciła też dziecko, które nosiła, w dodatku chłopca, a więc dziedzica fortuny. Odwiedziny śmierci zawsze zasługują na komentarze, a co dopiero, kiedy nieboszczka jest ważną osobistością i traci życie w młodym wieku! Tragiczne zgony zawsze pasjonują kumoszki.

Hrabina przerwała swoją robótkę.

— Powiadasz, że zmarła żona Martiego Barbany?

— To właśnie rzekłem, pani.

— A dlaczego nikt mnie o tym nie powiadomił?

— Sądziłem, że ojciec Llobet to uczynił — odparł Delfín.

— Nie widziałam go od trzech dni.

— Może właśnie z tego powodu — wtrąciła Lionor.

— A może nie uznał tego za dość ważne, żeby przerywać wasze nieskończone zajęcia — zasugerowała Brígida, pośrednio mszcząc się w ten sposób za wcześniejszą naganę.

— Nigdy nie zapominam osób, które kiedykolwiek okazały mi swoją życzliwość. Zawsze czułam specjalną predylekcję wobec dobrego obywatela, któremu hrabstwo zawdzięcza tak wiele. Ten człowiek już kiedyś poniósł ogromną stratę... A teraz to. — W tym

momencie hrabina wspomniała złowieszczą postać Bernata Montcusi, który był doradcą jej małżonka, a którego lubieżność i okrucieństwo kosztowały życie niewinną Laię, młodzieńczą miłość Martiego Barbany.

— To bardzo bolesne zostać wdowcem w tym wieku — zauważyła Brigida.

— Gorzej jest nie zaznać mężczyzny — uzupełnił karzeł.

— Jesteś godnym pogardy impertynentem!

Barbara de Ortigosa spróbowała złagodzić napięcie.

— Tak czy owak ma zdaje się cztero- czy pięcioletnią córeczkę, która bez wątpienia stanie się jego pocieszeniem.

Grzechot klocków do wyrobu koronek wypełnił ciszę. Po chwili zabrzmiał głos hrabiny:

— Chcę okazać mu swoje współczucie. Lionor, niech ktoś przy niesie przybory do pisania. Wezwijcie też skrybę.

3

Martí

Pomimo upływu miesięcy Martí Barbany trwał ciągle w żałobie. Służba była tym bardzo przejęta i nie wiedziała, co robić ani do kogo się zwrócić, by przemoc przygnębienie i milczenie pana. W ciągu dnia pozostawał pod kolumnadą tarasu ostatniego piętra, a nocami echo jego kroków w skryptorium było jedynym odgłosem, jaki docierał do pomieszczeń przeznaczonych dla domowej służby. Od czasu do czasu zaglądał do pokoju, gdzie spała jego córka Marta, przyglądał się jej w milczeniu, po czym wracał do swoich apartamentów. Zupełnie o siebie nie dbał. Gęstniejąca broda, przetykana siwizną, pokrywała z każdym dniem coraz większą część jego twarzy. Kiedy Andreu Codina lub Omar, wierny wyzwolenc, zwracali się do niego, patrzył na nich niewidzącym wzrokiem i odpowiadał monosylabami na pytania. Gdy tak krążył bez celu po domu, jego umysł przebiegał w pośpiechu od jednego epizodu do drugiego, bezustannie drążąc bolesne wspomnienia. Ukazywał mu się wyblakły obraz Lai, która zginęła w strasznych okolicznościach. Przypominał sobie walkę, jaką musiał stoczyć, by pochowano ją w poświęconej ziemi, gdyż samobójcom nie wolno było spoczywać na cmentarzu chrześcijan, i pomoc, jaką okazało się świadectwo dobrego przyjaciela i doradcy, ojca Llobeta. Stawała mu też przed oczyma twarz matki, która sprawiała wrażenie, jakby chciała mu coś powiedzieć.

A teraz doszła do tego nieodwołalna strata Ruth, jego pięknej

żydowskiej żony, i synka, tak upragnionego przyszłego dziedzica. Pozwolił sobie tylko na jeden przejaw aktywności. Spomiędzy swoich pracowników wybrał najzdolniejszych; znalazł ich wśród ludzi morza i tych, co pomagali mu wznieść młyny: kamieniarzy, cieśli, wypalaczy wapienia, snycerzy. W głębi ogrodu kazał wznieść kaplicę w guście epoki; nad jej wejściem, pod polichromowaną rozetą, umieścił kamienny krzyż, we wnętrzu zaś, pośrodku, postawił sarkofag z najlepszego marmuru wydobywanego w jego kamieniołomach i złożył w nim trumnę z zabalsamowanym ciałem Ruth. Następnie spośród swoich kowali wybrał zaufanego Żyda, który obrabiał żelazo, jakby to był wosk, i polecił mu wykuć gwiazdę Dawida, siedmioramienny kandelabr i zamek o trzech sprężynach, z jednym tylko kluczem. Dwa pierwsze przedmioty kazał umieścić na płycie pokrywającej grobowiec i na jego frontonie, zamek natomiast — na grubych dębowych drzwiach, żeby ukryć przed wszystkimi wnętrze kaplicy. Gdy ukończono to dzieło, powrócił do samotnych spacerów pod arkadami tarasu i do nieustannego milczenia.

Tego zimowego popołudnia wyrwało go z zadumy ostre, nieustępliwe pukanie do drzwi gabinetu. Głos, którego nie sposób było pomylić z żadnym innym, raczej domagał się audiencji, niż o nią prosił.

— Otwórzcie te przeklęte drzwi. Muszę się z wami zobaczyć!

Powolnym, niepewnym krokiem Marti podszedł do drzwi i je otworzył. Stanęli naprzeciw siebie. Upryśnięty czas odcisnął na duchownym swoje ślady, jednak nadal zachował on energię, która w młodości uczyniła zeń dzielnego wojownika. W olbrzymiej postaci widać było oznaki przygnębienia, w pochylonych plecach często dawały się odczuć silne bóle wywołane dawnymi ranami odniesionymi w boju, ale animusz kapłana nie osłabł.

Llobet kochał Martiego niczym własnego syna i jego smutny wygląd w ostatnich czasach budził w nim nieopisaną boleść. Tego dnia, widząc jego blade oblicze, poczuł litość i złagodził ostry ton, jaki przybrał na początku wizyty.

— Co się z wami dzieje, Marti?

— Witajcie, Eudaldzie. Zawsze mnie krzepi wasz widok, ale wiercie mi, że w tej chwili pragnę być sam.

— Nie opowiadajcie głupstw! — odparł duchowny, znowu tracąc

cierpliwość. — Czy mogą wejść, czy też mam was rugać, stojąc na progu?

Marti gestem zaprosił go do środka.

— Wejdźcie, usiądźmy przy oknie.

Zajęli miejsca. Po krótkim milczeniu kapłan zaczął rozmowę.

— Marti, jesteście jeszcze młodzi. Znam lepiej niż ktokolwiek inny rozmiar waszych nieszczęść, ale musicie być dzielni... Uplynęło już wiele miesięcy, odkąd opuściła nas Ruth, i nie robicie nic, żeby dojść do siebie: takie upajanie się własnym bólem jest niezdrowe. Ruth wstydziłaby się za was — dodał, zniżając głos. — Nie możecie pogrzebać się żywcem: wasza córka Marta potrzebuje was i poświęcenie jej matki okaże się daremne, jeśli nie uchwycicie ponownie steru tego domu. Los zbyt wielu osób od was zależy.

— Eudaldzie, proszę was, pozwólcie, bym pogrążył się w samotności — wyszeptał Marti ochryłym głosem. — Mam ludzi, którzy zajmują się moją córką i moimi sprawami; pieniądze przychodzą do mnie prawie same, a przekonałem się, że w skrajnych przypadkach na nic się nie zdają. Nie chcę, byście posadzali mnie o rozpacz, lecz muszę wyznać, że to życie wydaje mi się gnojowiskiem.

— To samo mówiliście po śmierci Lai, a teraz wiecie, że po ciemnościach pojawiło się słońce.

— Przeciwnie. To właśnie teraz słońce zaszło i otoczyła mnie ciemność. Wierzcie mi, że gdyby nie Marta, a muszę się nią opiekować i ją pocieszać, bo też straciła matkę, może już od dawna nie byłoby mnie wśród żywych... Jest wiele takich nocy, kiedy powraca do mnie wspomnienie Lai i zakłóca mój sen. Boję się wychodzić z gabinetu i zbliżać do blanek baszty... — Głos Martiego stopniowo przechodził w szept.

— Nie mówcie głupstw! — rzucił kapłan rozkazującym tonem. — Biedna Laia zawsze była słaba na umyśle, a ten potwór Montcusi doprowadził do tego, że całkiem straciła rozum. Ale nie jest tak w waszym przypadku, nie obrażajcie Boga. Grzech rozpaczcy znieważa Go bardziej niż jakikolwiek inny i może On was za to pokarać.

— Jeszcze dotkliwiej? — odparł sarkastycznie Marti. — Odebrał mi już obie kobiety, które kochałem, i na dodatek pozbawił mnie spadkobiercy.

— Może dlatego, że były wyjątkowe i kochał je mocniej niż was, więc powołał je do swojej chwały.

Marti zaprzeczył ruchem głowy, jakby odrzucał tę teologiczną pociechę.

— To przekracza moje siły, Eudaldzie... Stawiałem czoło każdemu człowiekowi w każdych okolicznościach, samiście świadkiem, ale nie będę zmagać się z samym Bogiem, bo On ma nade mną przewagę.

— Nie chcę prowadzić dalej tej rozmowy, która ociera się o błuźnierstwo.

— Więc zostawmy to i powiedzcie, co was do mnie sprowadza, oprócz pragnienia, bym wrócił do świata żywych.

Kapłan opanował się i westchnąwszy głęboko, rzekł:

— Muszę przypomnieć wiadomość, jaką przekazała wam hrabina Almodis, kiedy przesłała kondolencje. Teraz prosi mnie, bym wam przypomniiał, że hrabstwo potrzebuje takich ludzi jak wy. Prowadźcie nadal swoje interesy, wybierzcie się w podróż, powiększajcie flotę. Praca i wasza córka staną się balsamem, który da wam nadzieję potrzebną do dalszego życia.

— Musicie zrozumieć, Eudaldzie, że w obecnych okolicznościach planowanie jakiegokolwiek podróży przepelnia mnie obawą.

— Wyłumaczcze mi to...

— Przeraża mnie myśl, że miałbym zostawić córkę samą w domu. Wygląda na to, że ilekroć wracam, zawsze czeka na mnie jakaś tragedia, toteż będę czuł lęk za każdym razem, gdy otrzymam wiadomość z Barcelony. Najpierw było samobójstwo Lai, do którego doszło w dniu mojego powrotu do miasta. Potem dotarłem do matki, kiedy ta już konała. Ruth też ode mnie odeszła nagle i wy sami byliście świadkiem tego wszystkiego. Przechodzą mnie dreszcze, jak tylko pomyślę, że podczas mojej nieobecności może się coś przytrafić Marcie, która jest wszystkim, co mi pozostało.

— A co ma się jej przytrafić?

— Może Bóg się w niej zakocha, jak to już suponowaliście.

Duchowny zmarszczył brwi.

— Jeżeli chcecie mnie rozgniewać, mówcie tak dalej. Dobry chrześcijanin nie poddaje się w obliczu nieszczęścia.

— Wybaczcie, Eudaldzie, jest we mnie tyle goryczy, że nie wiem, komu przypisać swą niedolę.

— Nie składajcie swoich lęków na Boga. Ten Bóg, którego obarczacie odpowiedzialnością za wszystkie swoje nieszczęścia, to ten sam, który uczynił was niezmiernie bogatym, obdarzył tym czarującym dzieckiem i uratował wam życie w niezliczonych okolicznościach. Pozostawmy więc sprawy tam, gdzie ich miejsce.

Wkrótce kapłan pożegnał się i wyszedł, ale słowa tego mężczyzny o pełnej bohaterskich czynów, rycerskiej przeszłości rozbrzmiewały w umyśle Martiego jeszcze długo.

4

Rozmowy dworskie

Nad Barceloną zapadała noc i cienie wygrywały ze światłem dziennym. Po sposobie chodzenia można było odróżnić uczciwego obywatela, wracającego szybkim krokiem do domu po dniu ciężkiej pracy, od łotra, który samotnie, przyczajony w najciemniejszym kącie, usiłował zarobić na życie, zbierając żniwo sakiewek, albo razem z bandą napadał na jakiegoś poczciwca, przebywającego jeszcze o tej porze na ulicy. Światła w oknach zdradzały ogień płonący w każdym domu i po ich liczbie można było wnioskować o zamożności mieszkania.

Nawet wtedy, kiedy światła hrabiowskiego pałacu stopniowo gasły, było jedno, które prawie zawsze pozostawało zapalone. W prywatnym salonie hrabiny rozmawiano do późnych godzin nocnych, a interlokutorzy byli niemal zawsze ci sami. Almodis gromadziła swoich wiernych przyjaciół i zazwyczaj wtedy zwierzała im się ze zmartwień. Lionor i Delfín byli jedynymi osobami, które znały wszystkie jej sekrety.

— Moi drodzy, chcę wyznać wam coś, co mnie niepokoi i od dawna zakłóca mój spokój.

— Co to takiego, pani? — zapytała Lionor. — Na zewnątrz sprawiacie wrażenie najspokojniejszej osoby na tym świecie.

— Nie wszystko złoto, co się świeci. Od najwcześniejszego dzieciństwa uczono mnie ukrywać uczucia i muszę wam powiedzieć, że gdybyście oboje nie towarzyszyli mi od samej Tuluzy, nikt,

absolutnie nikt — podkreśliła z naciskiem hrabina — nie znałby tajników mojej duszy.

— Nawet wasz spowiednik? — To pytanie zadał Delfín, który czasami okazywał zazdrość o wpływ, jaki ojciec Llobet wywierał na „jego” hrabinę.

— Eudaldowi wyznaję swoje grzechy, a i to nie wszystkie, ale niepokoje hrabiny Barcelony zachowuję dla siebie. Moje zaufanie do kleru jest ograniczone.

Delfín skorzystał z okazji i pozwolił sobie na uszczypliwość.

— I słusznie, bo prawie żaden nie zasługuje na zaufanie.

Lionor gotowa była jak lwica bronić spowiednika hrabiny.

— Jego wielebność Eudald Llobet jest najbardziej prawym i uczciwym kapłanem, jakiego znam. Gdyby wszyscy byli tacy jak on, Kościół byłby lepszy.

— Nie przeczę i muszę przyznać, że im prostsza jest postawa duchownego, tym zazwyczaj lepsze są jego uczynki. Z zasady nie dowierzam pompie i blichrowi tego, kto, choć powinien być skromny, okazuje się pyszny i rozmiłowany w świecie doczesnym. Czuję większy szacunek dla prostego księdza niż dla biskupa — skomentował Delfín.

— Ty nie czujesz szacunku dla nikogo i niczego — wtrąciła się Almodis. — Ale zostawcie próżne roztrząsania i posłuchajcie. Chcę wam powierzyć swoje wątpliwości, zanim udam się na spoczynek. Może tej nocy zdołam zasnąć.

— Zakładając, że wasz pan nie odwiedzi was wcześniej w innych, bardziej naglących i przyjemniejszych sprawach — dodał błazen z figlarnym uśmiechem.

— Jeżeli nie zamilknieisz, impertynencki karle, to nie ja będę miała niemiłą noc.

— Nie zwracajcie na niego uwagi, pani — wtrąciła Lionor. — On ma taką naturę: pod gorzką skorupą kryje się dobre wnętrze.

— Doskonale wiem, jaki jest. Już wystarczająco długo go znoszę. Ale zostawmy to. Posłuchajcie mnie, gdyż to, co wam opowiem, nie jest jakąś mało ważną sprawą. Bardzo się nią przejmuję i sędzę, że chodzi tu o decyzję, która być może zaważy w przyszłości na dobrych rządach Barcelony.

Oboje zbliżyli się niczym spiskowcy, jakby ktoś mógł usłyszeć słowa hrabiny. Ta zaczęła opowiadać o swoich troskach.

— Moje początki jako hrabiny Barcelony były, jak dobrze wiecie, burzliwe i dość niezwykłe, ale sprawy stopniowo się wyjaśniały, przynajmniej jeśli chodzi o akceptację ze strony potężnych rodzin hrabstwa. Trudniej było mi dojść do ładu z Kościołem, ale choć nadal mu nie dowierzam, w końcu zdołałam doprowadzić swój statek do bezpiecznego portu. Niebo zesłało mi to szczęście, że dałam hrabiemu dwóch synów i dwie córki, i byłoby to powodem do całkowitej radości, gdyby nie jego pierworodny spółzony z nieboszczką Elisabet, Pedro Ramón, który okazuje względem moich bliźniąt nieukrywaną niechęć i nieustanną wrogość... Do tego stopnia, że zaczęłam się obawiać o ich życie, gdyby coś mi się przytrafiło.

Lionor, która ubóstwiała dzieci hrabiny, rzuciła się jak rozścieczona wilczyca.

— Po pierwsze, nic się wam nie przytrafi, a po drugie, dzieci niczego nie muszą się obawiać, póki my, Delfín i ja, jesteśmy na tym świecie. Czy nie myślisz tak samo, Delfinie?

Karzeł przez chwilę milczał, po czym niezwykle poważnym głosem powiedział:

— Hrabina zna moje zdanie. Niebezpieczeństwo zagraża dzieciom nie stamtąd.

Wymienił krótkie, ale wymowne spojrzenie z Almodis i natychmiast zrozumiał, że ta pochwyliła aluzję. Delfin bowiem, używając swoich wieszczych zdolności, w dniu narodzin bliźniąt przepowiedział coś strasznego i nie wątpił, że hrabina o tym pamięta. Dokładnie w chwili porodu, jeszcze zanim się dowiedziała, że nosi w swym łonie bliźnięta, oznajmił głosem przepojonym lękiem: „Urodzi się wasz syn, a jednocześnie z nim przyjdzie na świat Nemezis, ucieleśnienie jego fatalnego losu”.

Almodis spojrzała nań z posępną twarzą.

— Znam twoje przepowiednie, ale chwilowo się nimi nie przejmuję, martwię się natomiast czymś innym i dlatego was wezwałam, że potrzebna jest mi wasza rada. — Uczyniła pauzę, żeby uporządkować myśli, po czym mówiła dalej: — Wiem, że nasze prawa i zwyczaje przyznają pierworodnemu sukcesję hrabiowskiego tronu. Jednak uważam za słuszne zająć się dziedzictwem swoich potomków, gdyż jako synowie hrabiego Barcelony nabyli oni pewne prawa. Niezależnie od tego, że, jak mi nie mam, wszelka korzyść uzyskana

za moim pośrednictwem przyznaje im rozmaite przywileje. Jednakowoż w mojej głowie kłębią się myśli, z których mogę się zwierzyć tylko swym lojalnym przyjaciółom, bo gdyby dotarło to do czyichś uszu, mogłoby zostać źle zrozumiane, a nawet uznane za samolubne.

— Pani, nie pojmuję was i myślę, że Delfin też nie.

— Trochę cierpliwości, zaraz dojdę do sedna i wtedy poproszę was o radę. A więc nie wiem jeszcze, jakie dary umysłowe będą zdobyły moje bliźnięta, które mają teraz prawie dziesięć lat, ale z całkowitą pewnością zdają sobie sprawę z ciemnej strony charakteru Pedra Ramóna. Powiedzcie mi: czy wierzycie, że podobny człowiek byłby zdolny rządzić hrabstwem Barcelony, a może też hrabstwami Gerony i Osony, i nie doprowadzić do katastrofy? Nie wiem, w jaki sposób to uczynić i czy taki sposób istnieje, ale czy nie byłoby godne zasługi pozbawić go dziedzictwa, aby lepiej zadbać o przyszłość tysięcy poddanych, którzy zostaliby skazani na nędzę, gdyby on doszedł do władzy?

Lionor i Delfin wymienili spojrzenia, po czym głos zabrał karzeł:

— Pani, nie wiem, jakie są środki prowadzące do urzeczywistnienia waszej idei, ale jeśli jest ono możliwe, historia zapomni o metodach i osądzi rezultaty. Jeżeli możecie odsunąć od władzy podobną zmię, nawet pogwałcając linię dziedziczenia, przyszłe pokolenia będą was błogosławić.

— Zwłaszcza gdyby to Ramón wstąpił na tron — stwierdziła Lionor. — Muszę przyznać, że Berenguera nie zdoła tyle cnót. Chociaż są jeszcze mali, wiercie mi, że to ja znam ich najlepiej. Nie zapominajcie, że z powodu waszych licznych obowiązków bardzo często zostawali pod moją opieką.

— Dobrze, proszę was, żebyście zachowali w ścisłym sekrecie to, z czego wam się zwierzyłam — rzekła Almodis, nagle zdenerwowana. — W pałacu ściany mają uszy, a wiatr przynosi i zanosi wiadomości. Nie byłoby wskazane, gdyby moje zmartwienia doszły do niewłaściwych uszu i tak delikatne sprawy stały się przedmiotem jakichś niefrasobliwych komentarzy czy jarmarcznych plotek.

Lionor, rozglądając się dokoła, jakby w obawie, że za którąś zastoną ktoś się ukrywa, dodała:

— Pani, wszyscy troje stąpamy po tej samej ścieżce. Jeżeli poślizgniecie się na urwisku, razem spadniemy w przepaść. Zapew-

niam was o swojej dyskrecji choćby ze względu na własne bezpieczeństwo. A jeśli chodzi o niego — wskazała Delfina — będzie lepiej, jeśli utniecie mu ten jadowity język, albowiem lubuje się on w bezmyślnym gadulstwie i z rozkoszą szuka słuchaczy dla swoich wywodów wśród kuchennych sług, giermków i stajennych.

Karzeł rzucił się jak wąż dźgnięty patykiem.

— Pani, myślę, że zbytnio dolega wam klimakterium. To nie moja wina, że wami zawładnęło, zanim zaznałyście mężczyzny.

I odwróciwszy się do obu dam plecami, bez pożegnania wyszedł z saloniku.

5

Ramón Berenguer I

Ramón Berenguer I, hrabia Barcelony, osiągnął apogeum swojej potęgi. Dzięki inteligentnym działaniom babki Ermesendy, która żelazną ręką sprawowała opiekę nad jego dzieciństwem i wiekiem młodzieńczym, przywrócił swą *auctoritas*, choć nie *potestas*, nad resztą wschodnich hrabstw dawnej marchii Karolingów. Wówczas uznał się za w pełni zadowolonego. Straszliwa potęga Saracenów, których lękano się od czasów Almanzora, została zmiażdżona i teraz królestwa Tortosy i Leridy płaciły daninę do jego szkatuły. Hrabstwa Barcelony, Gerony i Osony cieszyły się prymatem na całym terytorium i poddani go uwielbiali, choć, trzeba przyznać, nie aż tak jak jego małżonkę, Almodis z Marchii. W myślach cofnął się w czasie i przypomniał sobie podróż do Tuluzy. To, co zaczęło się od namiętnego zbliżenia, które pozwoliło mu zaznać szczytów rozkoszy i sprawiło, że upozorował jej porwanie, by wbrew radom babki sprowadzić ją do Barcelony, przerodziło się w głęboką miłość, ta zaś dała mu nie tylko dwie córki i dwóch synów, lecz także, dość nieoczekiwanie, wierną i ambitną towarzyszkę jego znojów, kobietę wypełniającą swoje obowiązki i sprzymierzeńca w rządach, obdarzonego zdolnościami tyleż godnymi uwagi, co zaskakującymi.

Jednak na horyzoncie pojawiła się czarna, gęsta chmura. To, co początkowo uznał za logiczną, podyktowaną zazdrością reakcję swojego pierwotnego Pedra Ramóna, syna zmarłej hrabiny Elisa-bet, z biegiem czasu przerodziło się w otwartą konfrontację z ma-

cocha, czyniąc ich interesy sprzecznością nie do pogodzenia. I to, co zaczęło się jako błahe potyczki, zaowocowało pełnymi napięcia, niemiłymi sytuacjami podkopującymi jego własny autorytet.

Hrabia wielokrotnie rozmawiał o tym z żoną w zaciszu alkowy; radził jej zawsze, by miała cierpliwość, bo Pedro Ramón jest młody i impulsywny, a czas powściągnie jego zapał. Jednak drażniło go, że małżonka jest nieprzejednana i wdaje się z pasierbem w utarczki, zarówno wyolbrzymiając doznane zniewagi i brak szacunku, jak też kategorycznie odmawiając okazania pobłażliwości i zrozumienia. Sprawy zaszły tak daleko, że w pałacu wyraźnie określiły się dwa wrogie sobie stronnictwa.

On sam stał się jęczyzkiem u wagi, na przemian przyznając rację jej lub jemu, zgodnie z własnym lojalnym i sprawiedliwym zdaniem; jednak taka postawa przysparzała mu niemało przykrości. Często zaczynali noc od burzliwej małżeńskiej kłótni, w której wyniku Almodis opuszczała łóżce i rozdrażniona szła spać do sąsiedniego gabinetu; taki stan przedłużał się do następnego dnia albo nawet rozciągał na cały tydzień, choć tymczasem odbywał się ważny bankiet czy miało miejsce jakieś wydarzenie publiczne.

Ramón Berenguer doszedł do takiego wniosku: nie ma lepszego lekarstwa, niż dać żonie tyle pracy i zajęć, ile się nadarzy, im więcej, tym lepiej. Niezawodnym środkiem na jego kłopoty było znaleźć dla niej coś, czemu mogłaby nieprzerwanie poświęcać uwagę. Co do pierworodnego, najlepiej było zostawić go z jego zamiłowaniem do kobiet i do gry, co uchodziło przecież za rzecz właściwą mężczyznom i niegroźną: w ten sposób młodzian odrywał się od spraw pałacowych, które stanowiły najwrażliwszy punkt tarcia między nim a hrabiną.

Dlatego owego wieczoru hrabia z zadowoleniem posłuchał propozycji małżonki, która okazała się bardzo zainteresowana uczestnictwem w redagowaniu *Usatges*. Już od dłuższego czasu komisja złożona z sędziów, notariuszy i innych ważnych osobistości realizowała dzieło spisywania zwyczajów i obyczajów jego ludu, ażeby ująć je w ramy ogólnego kodeksu. Dla niego samego to zadanie było niezwykle uciążliwe; znacznie większą przyjemność sprawiało mu przebywanie w stajniach ze swoim weterynarzem i zajmowanie się setką normandzkich koni wojskowych, kupionych dwa miesiące wcześniej. Ujeżdżanie i układanie tych ogromnych, potężnych

zwierząt, które po tresurze miały tworzyć niepokonaną tarczę będącą awangardą jego armii, było dlań zajęciem nieskończenie wdzięczniejszym aniżeli przewodniczenie wielogodzinnym posiedzeniom i pośredniczenie w subtelnych dyskusjach kauzypardów, które miały zapobiec jakiejś decyzji lub ją usankcjonować. Almodis wiedziała o tym i wielokrotnie słuchała skarg małżonka, niezmiernie znudzonego długimi perorami sędziów, tak więc z najpiękniejszym ze swoich uśmiechów zaofiarowała się zająć jego miejsce podczas tych, jak on je nazywał, niekończących się spotkań, dodając, że jest konieczne, aby jakiś członek hrabiowskiego domu znał treść owych narad... a wy, drogi małżonku, jesteście na nich obecni tylko ciałem, gdyż nie możecie zaprzeczyć, że wasz duch jest bardzo daleko od tego, o czym się tam mówi".

Ramón Berenguer pomyślał, że to cudowna okazja, by dać małżonce angażujące zajęcie, nie dopuścić do nowych polemik zakłócających domowy mir i rozwój jego — jeszcze dużej — małżeńskiej aktywności, a jednocześnie uwolnić go od zadania, jakkolwiek potrzebnego, to jednak w jego odczuciu straszliwie nużącego. Kiedy całował wargi Almodis, które jak zawsze przyjęły go spragnione i rozpalone, powtarzał sobie po raz kolejny, że przeznaczenie nie mogło dać mu lepszej i bardziej odpowiedniej towarzyszki. Żadna inna nie byłaby równie przydatna w realizacji jego planów.

6

Pedro Ramón

Nienawiść pierwotnego syna hrabiego Ramóna Berenguera I do hrabiny Almodis była legendarna. Pedro Ramón miał cały bezlik powodów, żeby nie znosić macochy: jednych uzasadnionych, innych będących raczej owocem jego aroganckiego usposobienia i skrzywionej wyobraźni, która dopatrywała się we wszystkim zniewag, fałszywych krzywd, niesprawiedliwości i chęci pomijania go w jego prawach do sukcesji przez faworyzowanie przyrodnych braci, bliźniąt zrodzonych ze związku jego ojca z tą obłudną nierządnicą, która zdołała zaciągnąć go do ołtarza, ale wcześniej, przez całe lata, była tylko jego konkubiną. Dwie przyrodnie siostry, które urodziły się później, Inés i Sancha, obchodziły go niewiele lub zgoła wcale; miały stać się, w swoim czasie, monetą wymienną służącą do przypieczętowania przymierza z innymi rodzinami i było pewne, że nie zakłócają jego prawowitych aspiracji.

Pokoje Pedra Ramóna znajdowały się na drugim piętrze hrabiowskiego pałacu i z ich okien, wychodzących na wewnętrzny dziedzińiec, widoczne były zarówno pałacowe stajnie, jak i różany ogród jego znenawidzonej nieprzyjaciółki.

Wyrwał go z rozmyślań pokojowiec pukający do drzwi.

— Wejdz, Lluc. — Szorstki i opryskliwy głos dał słudze przyzwolenie. — Powiedz, co sprawia, że przerywasz mi zajęcia.

Starzec, który znał arogancki charakter swojego pana, pozostał na progu i stamtąd przemówił.

— Szlachetny don Marçal de Sant Jaume, który mówi, że był umówiony, prosi o audiencję.

— Wprowadź go natychmiast i zawiadom kogo trzeba, że tego popołudnia nie przyjmę już nikogo więcej. Jeśli ktoś nam przerwie, odpowiedzą za to twoje żebra.

— Lłuc, przyzwyczajony do jego manier, usunął się bez słowa.

Chwilę później zapukał do drzwi mężczyzna, który dawniej był zagorzałym zwolennikiem starego hrabiego i doszedł do ważnych stanowisk na dworze, ale z czasem stał się oddanym stronnikiem jego pierworodnego syna.

— Czy mogę, panie?

— Wejdźcie, mój wierny Marçalu.

Przybysz wszedł do salonu. Miał na sobie wyszukany strój z wyszywaną tuniką i bogatymi arabskimi przybraniami, na nogach zaś ciżmy.

— Zawsze podziwiam wasz gust i ten styl, który sprawia, że ubiorem odstajecie od zwyczajów panujących na naszych ziemiach.

Wykonawszy napszony ukłon dla wypełnienia dworskiej etykiety, szlachcic wyprostował kark i właściwym sobie ochrypłym głosem odpowiedział:

— Mój panie, czy chcemy, czy nie, kształtuje nas otoczenie i nie zapominajcie, że na swoje nieszczęście miałem wiele czasu, prawie dwa lata, żeby przyjąć zwyczaje Maurów.

Pedro Ramón wiedział o tej przygodzie, a raczej nieszczęściu Marçala de Sant Jaume i znał też jego zwyczaj noszenia się zgodnie z arabskimi, bardziej wyrafinowanymi gustami. Kiedy Ramón Beren-guer poczuł się oszukany brakiem pomocy wojsk Al-Mutamida z Sewilli, wymusił na wezryrze sewilskiego króla Abenamara wymianę zakładników, proponując w zamian za syna monarchy, Rashida, wpływowego szlachcica ze swojej świty, który zasłużył sobie na niechęć hrabiny Almodis. Był nim właśnie Marçal de Sant Jaume. W tej sytuacji, nie tak całkiem nieszczęsnej, spędził on dwa lata na dworze w Sewilli: stąd jego zwyczaj hołdowania w ubiorze stylowi Arabów i zamiłowanie do szachów.

— Mój drogi Marçalu, o tym i o wielu innych sprawach chciałem szczegółowo pomówić w czasie naszego dzisiejszego spotkania. Ale usiądźmy lepiej w moim gabinecie, tam będziemy mogli porozmawiać spokojniej.

Obaj skierowali się w tamtą stronę i po wzajemnych grzecznościach zajęli miejsca przy stole służącym jako miejsce pracy dziedzica. Rozmowę zaczął Marçal de Sant Jaume.

— A więc, mój panie, wezwaliście mnie do siebie i jak zawsze natychmiast się stawiłem.

— Zawsze tak czyniliście, pamiętam od dziecka, przywołał was mój ojciec i wasza obecność w tym domu stała się tak zwyczajna jak obecność seneszala, *veguera* czy sędziów.

— To były inne czasy, mój młody panie. Wiecie lepiej niż ktokolwiek, że komuś, kto nie jest lubiany albo nie przypadnie do gustu hrabinie, niełatwo jest odnieść sukces na dworze, a kiedy mówię „odnieść sukces”, mam na myśli „służyć”. Kto okazuje się zbyt wierny waszemu ojcu, jest delikatnie usuwany i zsyłany do zewnętrznego kręgu, gdzie po trochu popada w zapomnienie, mimo że wyświadczył wielkie zasługi rządzącemu domowi.

— Miło mi słyszeć to, co mówicie, gdyż to, co muszę z wami omówić, jest ściśle związane z sytuacją, ma którą się uskarżacie.

— Słucham was z całą uwagą i nie muszę dodawać, że wszystko, o czym się tutaj mówi, pozostanie w tych czterech ścianach — zapewnił szlachcic.

— Widzicie, mój dobry Marçalu, jak słusznie powiadacie, sprawy w pałacu stają się bardzo trudne dla tych wszystkich, którzy nie przypadną hrabinie do gustu albo nie ugną się przed jej wolą.

— Słucham was bardzo uważnie.

— Pierwszym, któremu ta sytuacja szkodzi, jestem ja sam — stwierdził Pedro Ramón — przeczuwam bowiem, jakie są jej plany.

— Wybaczcie, panie, ale jestem bardzo nierozgarnięty i nie potrafię was zrozumieć. Jakie plany macie na myśli?

— Te, które dotyczą osoby dziedzica, którym niechybnie jestem ja.

— To oczywiste! — zawołał Marçal, zdziwiony słowami swojego pana. — Jesteście pierwotnym synem hrabiego, niech Bóg przez długie lata zachowa go wśród nas, i wie o tym nawet ostatni z poddanych jego wysokości.

— Ale tego, co dla was i, jak słusznie mówicie, nawet dla ostatniego poddanego jest oczywiste i bezsporne, chce się mnie pozbawić poprzez uciekanie się do niegodnych pomówień i wykorzystywanie wpływów tej kobiety, która wygrzewa łożo mojego ojca — stwierdził Pedro Ramón z ponurą miną.

— Nie muszę wam mówić, że uważałem hrabinę za zdolną do każdej zdrady, jak choćby ta, której doświadczyłem na własnej skórze, ale trudno mi uwierzyć, żeby ośmielała się ingerować w porządek dynastyczny.

— Otóż mylicie się — przerwał Pedro Ramón. — Musicie wiedzieć, że udało jej się dostać na posiedzenia, gdzie spisywane są *Usatges*. Stara się pozyskać zaufanie prawników i schlebia wszystkim, którzy mogą okazać się dla niej pomocni, bądź wywierając bezpośredni wpływ na hrabiego, bądź też pragnąc zaskarbić sobie jej przychyłność.

— Czy sugerujecie, że usiłuje zdobyć popleczników? — spytał Marçal de Sant Jaume.

— Nie sugeruję, lecz twierdzę, mój drogi przyjacielu. Jestem dobrze poinformowany i odwołuję się do faktów. W tym pałacu nawet hrabina nie może utrzymać w sekrecie swoich planów... chociaż są one długoterminowe.

— Jeżeli nie wytłumaczycie mi tego jaśniej, nie zdołam was zrozumieć.

— To bardzo proste. Kiedy potrzebowała zrobić z was zakładnika Al-Mutamida z Sewilli i wymienić na jego syna Rashida, co wtedy uczyniła? Nie wiecie? Więc wam powiem: wyjednała sobie względy seneszala Gualberta Amata i naczelnego notariusza Guillemu de Valderribes. A co teraz zamierza? Uzyskać zgodę sędziów prawodawców: Ponça Bonfilla, Eusebiego Vidielli i Frederica Fortuny.

— W jakim celu, panie?

— Jestem pewien, że pragnie zmienić prawa sukcesyjne w taki sposób, by korona spoczęła na skroniach jej ulubionego syneczka, którym jest nie kto inny, tylko Ramón — zakończył cierpkim tonem Pedro Ramón.

— Trudno mi uwierzyć, żeby się o to pokusiła, ale jeszcze trudniej mi uwierzyć, by to osiągnęła. Prawo jest prawem i nikt nie może się nim bawić zgodnie ze swoją zachcianką.

— Ja nie byłbym taki pewien. Prawa rodzą się z obyczajów, a kiedy uderzy się we właściwe struny, ludzie szybko przystosowują się do zmian, zwłaszcza jeśli są one odpowiednio wynagrodzone kanoniami czy w naturze, co na dworze oznacza wpływy lub awanse. Nie mówiłem wam, że razem z sędziami Pončem Bonfillem, Eusebim Vidiella i Frederikiem Fortuny i przy aprobacie mojego ojca, biednej

kukły w jej rękach, hrabina rozpoczyna spis wszystkich obecnych praw, które uzupełnione nowymi utworzą kodeks *Usatgesl*. W przyszłości będzie on rządzić życiem obywateli Barcelony.

— A co zamierza zrobić z waszą osobą? Bo przecież nie rozpuścicie się w powietrzu jak widmo.

— Ześle mnie do jakiegoś odległego zakątka w górach, żebym zadowolili się okruchami po utraconym hrabstwie i nikomu nie przeszkadzał. Jak psa, któremu daje się kość.

— Gdyby tak się stało, co powie Berenguer, drugi bliźniak?

— Wyobrażam sobie, że nic miłego, ale to jej nie obchodzi: planuje dalekosiężnie, już znajdzie jakiś sposób, żeby go zadowolić. To przebiegła kobieta i ma przed sobą wiele czasu. Nie zapominajcie, że moi przyrodni bracia są jeszcze bardzo młodzi.

— I co zamierzacie, panie? — spytał Marçal.

— Wziąć z niej przykład i założyć własne stronnictwo. Nie chcę, żeby zgiełk walki spadł na mnie z zaskoczenia, kiedy nie będę na to przygotowany.

— A jaka jest tu moja rola, panie?

— Powiem wam. Przede wszystkim zbliżycie się do sędziów przychylnych mojemu ojcu; są nimi dwaj spośród trzech i jestem przekonany, że poczucie sprawiedliwości będzie kierowało ich czynami. Potem zbierzecie wszystkich tych, którzy musieli znosić zniewagi hrabiny albo doznali od niej jakichś krzywd. Nie będzie to trudne, pełno jest takich na dworze. Wszystkim im obiecacie, że jeśli mnie poprą, stanę się ich rzecznikiem. A kiedy wybuchnie wojna, która, jak się obawiam, będzie nieunikniona, każdy, kto mi pomoże, zostanie nagrodzony.

— Czy upoważniacie mnie do mówienia w waszym imieniu?

— Czyńcie tak bez wahania. Zdziwi was liczba poddanych mojego ojca, których przy takiej czy innej okazji spotkała jakaś krzywda, zostali wyzuci ze swoich praw albo pozbawieni prebend otrzymanych za wyświadczone usługi. Wy sami jesteście tego przykładem.

— Jakiego rodzaju pomocy potrzebujecie?

— Wpływów i pieniędzy, obie te rzeczy są ważne. Interesuje mnie zarówno poparcie jakiejś szlacheckiej rodziny, jak i anonimowe datki pieniężne, które pomogą mi nasmarować wielokrążki katapult. Pierwsze da mi prestiż i utwierdzi moją pozycję, drugie środki do

ureczywistnienia mych zamiarów, i chociaż tymi drugimi nie będę się chwalił, zapewne zjedną mi życzliwość. Wiecie lepiej niż ktokolwiek, że złoto porusza góry.

— Wezmę się natychmiast do dzieła. Wiedziecie, że we mnie będziecie mieli najbardziej uniżonego i wiernego wasala — obiecał szlachcic uroczystym tonem.

— Nigdy w to nie wątpię, Marçalu. A wraz z moją wdzięcznością zyskacie najpobłażliwszego z panów. Wiedziecie, że od tej chwili macie zawsze wolny wstęp do pałacu.

7

Posłaniec

Perpignan, koniec 1063 roku

Posłaniec stał pokryty kurzem aż po brwi, trzymając w rękach otwartą skórzaną sakiewkę, którą nosił w bandolierze, i czekał, aż siedzący przy stole mężczyzna o dziwacznym wyglądzie skończy czytać dostarczony właśnie pergamin. Jechał bez odpoczynku od starodawnej Egary do Perpignan, stolicy Roussillon, galopując dzień i noc, zmieniając rozstawne poczty i zajeżdżając na śmierć co najmniej trzy konie, gdyż wiedział, że powierzona mu misja jest pilna i życie tego, kto go posyła, dobiega ostatnich chwil.

Adresat położył pergamin na stole i welin zwinął się natychmiast, odzyskując wcześniejszą formę.

— Czy jest aż tak poważnie chory? — spytał dziwaczny szlachcic.

W świetle świec ukazała się skórzana przepaska zasłaniająca część jego twarzy. Był to nieprzyjemny widok i posłaniec nie mógł się powstrzymać, by nie odwrócić wzroku, zanim odpowiedział:

— Ja go nie widziałem, panie, ale ponieważ mistrz Brufau zalecił mi najwyższy pośpiech, sądzę, że mojemu panu pozostało niewiele czasu.

— W porządku, teraz dadzą wam jeść, a potem znajdą dobre posłanie, na którym wasze obite kości będą mogły wypocząć. Ja wyjeżdżam natychmiast, a jeżeli nie dotrę na czas, to na pewno nie z braku gorliwości. Jeżeli mam na tym świecie jakiś dług do spłacenia, to wobec Bernata Montcusi.

Szlachcic chwycił dzwonek stojący na stole w gabinecie i po-

trzasnął nim energicznie. Gdy tylko umilkł jego dźwięk, w progu ukazała się łysa głowa służącego.

— Zajmij się tym człowiekiem, daj mu jeść i pić i przygotuj kwatery. Potem zejdź do stajni i każ osiodłać mojego najlepszego konia. Wyjeżdżam, kiedy wszystko będzie gotowe.

Po wydaniu tych rozkazów i odesłaniu posłańca dziwny człowiek przeczytał ponownie pergamin, a kiedy skończył, splótł palce obu dłoni i swoim dawnym zwyczajem wykręcił je, aż zatrzeszczały kostki, co było nieomylną oznaką, że ma zamiar się skoncentrować i pogрузić we wspomnieniach.

Istota ludzka może utrzymać się przy życiu, żywiąc się dwiema namiętnościami — miłością albo nienawiścią. Jego pozbawiono ojca i gdyby nie pragnienie zemsty, życie nie miałoby dlań sensu. Od dzieciństwa widok człowieka, który był jego ojcem, zawsze mu towarzyszył, dopóki ci dwaj nikczemnicy mu go nie wydarli. Gdyby mógł swobodnie dysponować swoim życiem, już dawno zacząłby działać, ale należąc do Zakonu, nic nie mógł zrobić bez jego wiedzy i zezwolenia. Takie było posłannictwo, które rodzic albinos wypalił ogniem w jego sercu. „Wszystko, co będziesz robił w życiu, Lucia-nie — powiedział — musi być z korzyścią Najwyższego Przewodnika i nie uczynisz niczego bez jego wiedzy, pożytku i zezwolenia: korzyść przyjdzie do ciebie z Zakonu; bez niego nie istniejeś”.

Kiedy dowiedział się o tragicznym końcu swojego ojca, wysłał wiadomość do Teb, prosząc o zezwolenie na to, by mógł działać na własną rękę, ale spotkał się z odmową. Odpowiedź, jaką otrzymał, była konkretna: „To, co czynimy przeciw naszym wrogom, musi się zawsze obracać na rzecz wielkości naszego towarzystwa”. Ze swojej działalności Zakon uzyskiwał zawsze materialne korzyści, które były przekazywane Najwyższemu Przewodnikowi. Złoto coraz bardziej oliwiło sprężyny jego aktywności. Dlatego też każde działanie podejmowane było głównie z tego powodu; jemu były podporządkowane osobiste dążenia wiernych akolitów. On należał do tej grupy, ponieważ był synem tego, a nie innego ojca. Wychowano go, wykształcono i przygotowano, by służył wielkości potężnego bractwa, nie zaś by działał na własną rękę.

Teraz pergamin leżący na stole otwierał mu możliwość połączenia interesów Zakonu z własnymi; możliwe, że ten umierający, którego tak dobrze znał, dostarczył jego panom wystarczających zysków,

żeby dali mu upragnione zezwolenie i żeby mógł w ten sposób dopełnić zemsty.

Z szuflady stołu Luciano Santángel wyjął gęsie pióro i zaostrzył nożykiem jego koniec. Następnie rozłożył welin i umoczywszy pióro w kałamarzu, zaczął pisać. Wiadomość, która miała zostać wysłana do Teb, powinna być szczegółowa i przekonująca, z zaznaczeniem, że podejmuje ten interes, gdyż niewątpliwie Zakon wyciągnie z niego wielkie zyski. Po ukończeniu pisma przeczytał je trzykrotnie, potem posypał piaskiem czarny atrament i zwinąwszy pergamin oraz opatrzywszy go własną pieczęcią, włożył do skórzanej tulei i zadzwonił po sekretarza. Kiedy na niego czekał, podjął decyzję: nie może ryzykować, że treść listu zostanie źle zrozumiana... Nie, tę wiadomość musiał dostarczyć osobiście, choć chwilowo miało to opóźnić jego plany. Przypomniał sobie, że zemsta jest daniem, które podaje się na zimno, i uśmiechnął się. Uda się do umierającego, a potem pojedzie do Teb, żeby przedłożyć swoją sprawę, bo tylko w ten sposób się upewni, że owego potężnego armatora zwanego Marti Barbany i jego przyjaciela, wścibskiego kapłana, spotka powolna i bolesna agonia.

8

Przyszłość

Z wysokości baszty Marti Barbany obserwował miasto leżące u jego stóp. Sklepienie niebieskie usiane gwiazdami obejmowało wszystko; a jednak miał świadomość, że to, co widzą jego oczy, przedstawiałoby inny widok, gdyby jego przedsiębiorczy duch i inicjatywa nie dały hrabstwu tego czarnego oleju, który przemieniony w jaśniejące punkciki pstrzył świetlikami ciemne bryły budowli miasta, pozwalając odgadnąć profil murów miejskich i tego wszystkiego, co się znajdowało w ich obrębie: placów, ulic, domostw, a zwłaszcza wyniosłych dzwonnicy licznych barcelońskich świątyń, katedry, kościołów Sant Jaume, Sant Miquel i Sants Just i Pastor. Marti okrążał z wolna basztę; w miarę jak się posuwał, ukazywała się jego oczom panorama, którą tak dobrze znał: w głębi czarno-błękitny odbłask morza, gdzie otwierały się drogi, które pruły jego statki; potem powoli bramy Regomir, Castellvell, Castellnou i Bisbe; pałac hrabiowski i katedra. Na północnym wschodzie leżała Call, a za murem, z tej samej strony, małe światełka poruszające się jak błędne ogniki wskazywały drogę na targ La Boqueria i do Montjuïc; u wybrzeża błyszczała woda rzeczki Cagalell, a z przeciwnej strony przedmieście Vilanova de la Mar; powyżej Sant Cugat del Rec i Via Francisca; od północy Palacio Menor i El Cogoll. Błyskawicznie odtwarzał w myślach swoją historię: przybycie do miasta, gdy zaledwie ukończył dziewiętnaście lat i miał za cały bagaż pierścień i pergamin, które zmieniły jego życie; obecność Eudalda Llobeta,

kapłana, który niegdyś był towarzyszem broni ojca i od pierwszej chwili jego ojcem chrzestnym i opiekunem. Marti wspominał te początki i niespodziewane przejęcie niewielkiego ojcowskiego spadku, który stał się zalążkiem przyszłej fortuny. Nagle stanęła mu przed oczami postać Lai, pierwszej, tragicznej miłości, a potem wspomnienie jej nikczemnego opiekuna Bernata Montcusi. Później, jakby idąc za nicią jego wspomnień, pojawił się teść, Baruch Benvenist, mały i mądry Żyd, który tyle go nauczył o interesach, zanim został niesłusznie stracony z powodu intryg Bernata Montcusi. Teraz Marti sam miał ziemie, młyny, karawany, a zwłaszcza flotę, która pod wimplem ze splecionymi niebieskimi literami „M” i „B” na żółtym tle przemierzała morskie szlaki. Jednakże wszystko, co posiadał, oddałby chętnie w zamian za to, by Ruth żyła choćby o jeden dzień dłużej...

Ze wzrokiem skierowanym na miasto powiedział sobie, że Eudald ma rację. Mała Marta nie mogła płacić za jego powściągnany gniew. Kiedy cierpiała z powodu braku matki, on ją opuścił i nie okazywał jej zainteresowania; tymczasem powinien skoncentrować całą swoją miłość na tej wspaniałej dziewczynce i sprawić, żeby jej dzieciństwo było jednym wielkim świętem. Przecież nie będzie już miał więcej dzieci i jedyną dziedziczką tej olbrzymiej fortuny zostanie ona.

I było coś jeszcze: to miasto, które dało mu tak wiele, też zasługiwało

na to, żeby wzmacniał jego potęgę za sprawą swoich interesów. Barcelona była powołana do tego, by stać się jednym z najważniejszych ośrodków handlowych Morza Śródziemnego, i on pragnął przyczynić się do tej chwały.

Z głową wypełnioną takimi myślami opuścił basztę i po kręconych schodach zszedł do swojego gabinetu, wziął ze stołu kaganek i skierował się do sypialni dziewczynki. Przyglądał jej się bacznie, kiedy tak leżała w ogromnym łożu pod baldachimem: wyglądała jak cherubinek opatulony w pościel i tulący do piersi ulubioną, zrobioną przez Ahmeda lalkę z dwoma guzikami z masy perłowej zamiast oczu, małym korpusem zniszczonym od ciągłego używania i prawie oderwaną ręką. Marti podniósł wzrok na półki i dostrzegł mnóstwo lalek, które on i jego kapitanowie przywozili z podróży do najodleglejszych zakątków znanego świata. Najskromniejsza z nich wszystkich była nieskończenie lepsza od tej, którą tuliła dziewczynka; jednak co noc, niezmiennie, wybierała tę samą. Ten

widok ukazał mu przyszłość, jaka go czeka. Miał poświęcić życie temu dziecku, dać mu wszystko co najlepsze, wiedząc, że zgodnie z odwiecznym prawem nadejdzie taka chwila, kiedy będzie musiał, jak przystało ojcu, usunąć się w cień i ustąpić miejsca u boku córki jakiemuś innemu mężczyźnie. Ujrzał samego siebie sprzed wielu lat, na pochyłości drogi, na białonogim siwku, kiedy na wpół obrócony w siodle machał ręką w niechętnym geście pożegnania, podczas gdy Emma, jego matka, wycierała łzy brzegiem fartucha. Podeszedł do łóżka i nachyliwszy się, pocałował dziewczynkę w czoło. Potem się odwrócił i skierował do drzwi, otworzył je bardzo ostrożnie, uważając, żeby skrzypienie zawiasów jej nie obudziło, i ponownie je zamknął od strony korytarza. Pochodnie na ścianach nadal płonęły. Skierował się znowu do swojego gabinetu. Ta noc miała być bardzo długa.

CZEŚĆ DRUGA

Ludzkie pragnienia

9

Marta

Barcelona, wiosna 1069 roku

— Obiecałeś mi to, a nigdy nie masz czasu.

Tak skarżyła się dziesięcioletnia Marta, domagając się od Ah-meda, żeby dotrzymał słowa i nauczył ją posługiwać się procą, a jej głos brzmiał donośnie w ciszy, jaka zazwyczaj panowała w rodzinnym domu.

Z pewnością nie można było powiedzieć, że dom Martiego Barbany jest wesołym miejscem. Po śmierci Ruth zapanowała tam gęsta, nabrzmiała smutkiem cisza, tak że nawet najprostsze sprawy załatwiano szeptem. Wszystko odbywało się w milczeniu, żeby nie przerywać bolesnych medytacji pana. Jednak po trochu smutek ustępował, głównie dzięki obecności Marty. Ale nawet to dziecko nie zdołało całkowicie zatrzeć bólu, który chwilami zmieniał twarz pana domu. Były dni, kiedy Marti Barbany znów pogrążał się we wspomnieniach, a wtedy wszyscy mieszkańcy wielkiego domostwa także milkli i zaczęli stąpać na palcach. Z biegiem lat Marta stała się nie tylko pociechą ojca, ale i ulubienicą całego domu. Po matce odziedziczyła pogodną urodę, miodowy kolor oczu i zawsze uśmiechnięte usta, lecz przede wszystkim wesołe usposobienie, którym potrafiła zaskarbić sobie każdego, kto ją poznał. Po ojcu zyskała zdecydowany charakter buntujący się przeciw niesprawiedliwości, umiejętność rozkazywania samym spojrzeniem, energiczne gesty i jedyny w swoim rodzaju dołek w podbródku, od pokoleń wyróżniający ród Barbany. Nie trzeba dodawać, że począwszy od kapitanów

ojcowskich statków, a skończywszy na sługach, garderobianych i pokojowcach, wszyscy ją uwielbiali, jej zaś ulubieńcami była ta trójka: rodzeństwo Ahmed i Amina, dzieci wyzwolenców Ornara i Naimy, i Eudald Llobet, przyjaciel ojca, ogromny kapłan, którego uważała za swojego opiekuna i któremu zwierzała się ze zmartwień niepojętych dla prostodusznej Aminy. Natomiast zdeklarowane nieprzyjaciółki miała dwie: starą ochmistrzynię Caterinę, która stała się jej strażniczką, i Marionę, kucharkę, z którą musiała walczyć za każdym razem, kiedy chciała zdobyć z kuchni coś, czego potrzebowały z Aminą do zabawy. Amancie, która wykarmiła ją własną piersią, kochała całym sercem, choć rzadko ją widywała: kobieta miała dość własnych ośmiorga dzieci, albowiem jej mężczyzna, który był bosmanem na jednym ze statków Martiego Barbany, zostawiał ją brzemienną za każdym razem, kiedy schodził na ląd. Ale latarnią morską Marty był Ahmed, brat przyjaciółki; chociaż miała świadomość, że z wysokości swoich dwudziestu dwóch lat widzi je jak parę małych dziewczynek, niekiedy o letnim zmierzchu ulegał ich prośbom i opowiadał o tym, co działo się poza murami domostwa, otwierając im oczy na świat, do którego obie pragnęły należeć. Ahmed brał udział w kilku morskich podróżach i obie mogły słuchać oczarowane jego opowieści, aż głos ochmistrzyni wzywał je, by weszły do domu, co czyniły, ociągając się i dąsając. Choć, prawdę mówiąc, w ostatnich czasach Ahmed się zmienił: wyglądał na otumanionego i kiedy się do niego z czymś zwracały, wysyłał je opryskliwie na przechadzkę albo się wykręcał, tak jak teraz w sprawie procy. Sam już w dzieciństwie nauczył się nią posługiwać od cieśli okrętowego z Majorki — być może potomka jednego z owych dzielnych procarzy, co przebyli Alpy z Hannibalem i zagrozili potężnemu Imperium Rzymskiemu. Dzięki lekcjom owego człowieka, który pracował w stocznich Martiego Barbany, i długim ćwiczeniom Ahmed osiągnął godną zazdrości celność.

— Marta ma rację! — wtrąciła się Amina. — Nie wiem, co się ostatnio z tobą dzieje! Nie dotrzymujesz słowa. Byłam przy tym, jak jej to obiecałeś, w spiżarni, ostatnim razem, kiedy ojciec Llobet przyszedł na wieczerzę.

Ahmed zwrócił się przeciw siostrze.

— Tylko tego brakowało, żebyś i ty, Amino, mnie atakowała! Macie cały dzień na zabawy, a strzelanie z procy jest dla was tylko

jedną z nich, jak ciuciubabka albo berek, za to ja nie mam chwili wypoczynku i kradnę czas, żeby ze wszystkim zdążyć. Poza tym muszę zrobić malutką procę, bo żeby kręcić jedną z moich, Marto, musicie jeszcze trochę podrosnąć. I oczywiście w tych spódniczkach i pantofelkach będzie wam trudno utrzymać właściwą pozycję!

— To są wymówki, Ahmedzie — orzekła Marta z powagą niepasującą do jej wieku. Osłodziła ton głosu uśmiechem. — Powiedz mi kiedy, a będę gotowa.

Ahmed pokręcił głową... Nie był w nastroju na te dziecięce zabawy.

— Przykro mi, ale kiedy skończycie sjęstę, ja będę już z powrotem w stoczni.

Marta prychnęła rozdrażniona.

— Nie martw się: tego dnia, kiedy zechcesz, nie będzie sjęsty. Gdzie się spotkamy?

Ahmed spojrzał na nią z uwagą: rozbawił go upór dziewczynki. Trzeba było brać poważnie wszystko, co Marta mówi, choćby wydawało się to niemożliwe.

— No dobrze — ustąpił w końcu. — Pojutrze, kiedy dzwon zapowie pierwszą popołudniową modlitwę, będę na was czekał w ogrodzie za spiżarnią.

Marta uśmiechnęła się zadowolona.

— Przyjdziemy. Prawda, Amino?

Amina, mimo że była o sześć lat starsza od swojej młodej pani, ślepo wierzyła w jej słowa, więc bez wahania przytaknęła.



Dwa dni później, jak zwykle w porze sjęsty, ochmistrzyni Caterina przemykała okiennice w pokoju Marty.

— Miłego wypoczynku, obudzę was na czas. Dziś macie lekcję literatury i łacinę z waszym opiekunem, a wiecie, że on nie lubi czekać.

Marta odpowiedziała z zamkniętymi oczami:

— Idźcie już, Caterino. Ostatniej nocy bardzo źle spałam i jestem straszliwie senna.

Ochmistrzyni, nieco zdziwiona, jako że Marta nie cierpiała sjęsty, skierowała się ku drzwiom pokoju.

— Więć skorzystajcie z okazji i wypocnijcie teraz — rzekła.

Marta, nasłuchując, czekała, aż kroki się oddalą. Kiedy miała pewność, że Caterina zaczęła schodzić na dół, przystąpiła do urzędywania swojego planu.

Uważając, żeby nie zatrzeszczała podłoga, wstała z łóżka i podeszła do zajmującej prawie całą ścianę wielkiej szafy. Otworzyła ją i zaczęła wyjmować ukryte w głębi przedmioty, które zdobyła w ciągu ostatnich dwóch dni: wąską koszulę i portki jeszcze niedawno należące do parobka, który opiekował się bydłem jej ojca i co rano, na wózku ciągnionym przez osła, przywoził do domu świeże jajka i mleko. Chłopiec ów, szczupły i niski, zgodził się sprzedać jej tę odzież za jednego marawedi i kawałek migdałowej tarty, którą ukradła ze spiżarni. Indagowana później przez Marionę, powiedziała, że dała ją głodnemu żebrakowi. Tak więc w rzeczywistości wcale nie skłamała.

Trzymając w rękach swój skarb, Marta rozpoczęła przygotowania. Zrzuciła z siebie koszulę nocną i zamiast halki włożyła portki, zawiązując na łydkach postronki przymocowane u dołu krótkich nogawek. Następnie naciągnęła na grzbiet koszulę, tak aby jej wyłogi zasłaniały tylną część zniszczonych portek, które przepasała w talii sznurem, i wsunęła stopy w espadryle wiązane w kostkach rzemieńcami. Włosy schowała pod starą czapkę i przeszła do realizacji drugiej części planu.

Ostrożnie otworzyła drzwi sypialni i wysuwając przez nie głowę, spojrzała w jedną i drugą stronę, żeby się przekonać, czy droga jest wolna. Stwierdziwszy, że istotnie tak jest, poszła na koniec korytarza, z dala od wielkich schodów. Była to jedyna droga, którą można było dojść do ogrodu, omijając kuchnię. W głębi otwierało się wielkie okno wychodzące na zewnętrzny taras. Rano służące rozwieszały na nim bieliznę, gdyż o tej porze było tam najlepsze słońce. Nie wahając się ani przez chwilę, dziewczynka otworzyła okno i przecisnęła przez nie swoje szczupłe ciało, aż jej prawa stopa oparła się na balustradzie. Potem, już na zewnątrz, upewniwszy się, że nikt jej nie widzi, przemknęła do najodleglejszego kąta tarasu, przełożyła przez balustradę jedną nogę, potem drugą, i zaczęła przesuwając się pomału w stronę rogu, od którego schodziła rynna do ogrodu. Marta objęła ją rękami i nogami i z wysokości pierwszego piętra zaczęła się wolno opuszczać, aż znalazła się na dole. Po dokonaniu tego wyczynu i otrzeptaniu kurzu z obolałych dłoni ruszyła na spotkanie przyjaciół.

Już od wczesnych godzin porannych Ahmed, nie wątpiąc, że Marta się zjawi, robił procę na jej miarę. Ocenił wzrost dziewczynki, przygotował odpowiednio gruby sznur, w połowie jego długości umieścił skórzaną kieszeń w kształcie miseczki, na jednym z końców zrobił pętlę, a drugi przypalił nad pochodnią i posmarował pastą własnego pomysłu, żeby spoić włókna. Potem poświęcił jakiś czas na sprawdzanie skuteczności swojego wynalazku. Po południu poszedł z Aminą w głąb ogrodu i przygotował cele, na których można było ćwiczyć strzelanie. Przy murze wbił w ziemię paliki i umieścił na nich do góry dnem stare gliniane garnki, skazane na wyrzucenie z powodu szczelin czy odłamanych uszu; na końcu tego szeregu ustawił dziurawy miedziany kociołek.

Właśnie tym było zajęte rodzeństwo, kiedy w głębi dróżki prowadzącej od strony domu ukazał się jakiś urwis, którego niechlujny wygląd zupełnie nie pasował do otoczenia. Amina pierwsza się zorientowała, kim jest ta postać.

— Jak mi życie miłe! Przecież to Marta tu idzie!

Ahmed osłonił dłonią oczy od słońca i dopiero po chwili się upewnił, że siostra dobrze rozpoznała tego obszarpanego intruza.

Marta podeszła do przyjaciół i uśmiechnęła się na widok ich zdziwionych twarzy.

— A więc sjeśta miała mi przeszkodzić, czy nie tak mówiłeś?

— Wiem, że jesteście bardzo śmiała, ale nigdy nie przypuszczałem, że posuniecie się tak daleko — rzekł Ahmed, jednocześnie zaskoczony i rozbawiony.

— Oto jestem. Jak widzisz, dotzymałam swojej części umowy. Teraz czas, żebyś ty dotzymał swojej.

Nie odpowiadając bezpośrednio na to wyzwanie, Ahmed spytał:

— Skąd zdobyłyście to przebranie pasujące bardziej do jakiegoś zebra? —

Przecież mówiłeś, że w swoich strojach nie zdołam się niczego nauczyć. Więc zjawiam się w odpowiedniej odzieży.

— Co do tego nikt nie ma wątpliwości, panienko — powiedziała Amina — ale nigdy nie wyobrażałam sobie, że możecie tak wyglądać.

— Nie nazywaj mnie panienką, Amino... I przejdźmy do rzeczy!

Ta jednak, wciąż nie mogąc się nadziwić wyglądowi przyjaciółki, nie ruszyła się z miejsca.

— Ale skąd zdobyłyście ten przyodziewek?

— Potem ci opowiem. Teraz zajmijmy się tym co trzeba, bo czas ucieka.

Cała trójka skierowała się w głąb ogrodu i ustawiła w takiej odległości od garnków, jaką Ahmed uznał za właściwą. A on poważnym tonem rozpoczął wyjaśnienia.

— Najpierw, jako że przykład wart jest tysiąca słów, popatrzcie, w jaki sposób ja to robię.

Wziął swoją procę i założywszy pętlę na prawy nadgarstek, wyjął z kieszeni okrągły kamień. Umieścił go w skórzanym wzmocnieniu znajdującym się w połowie sznura, którego drugi koniec uchwycił dwoma palcami.

— Patrzcie, co teraz zrobię. Odsuńcie się trochę, mógłbym niechcący uczynić wam krzywdę.

Rozstawił nogi i podniósł lewą rękę tak, że czubki palców znalazły się na wysokości jego oczu, które skierował na miedziany garnek. Potem ostrożnie, kolistym ruchem zmusił sznur do gwałtownych obrotów. W powietrzu dało się słyszeć coś jak brzęczenie roz-wścieczonego trzmiela, aż obie dziewczynki uniosły dłonie do uszu.

Amina z lękiem odsunęła się na bok, podczas gdy Marta przyglądała się uważnie ruchom Ahmeda. Wtedy chłopak wypuścił koniec sznura, który trzymał czubkami palców. Uwolniony kamień wyleciał jak zły duch i trafił w miedziany garnek, który wydał żałosny jęk, skarżąc się na otrzymany cios.

— Przyjrzałyście się? — zapytał z udaną surowością.

— Doskonale, pozwól mi spróbować.

Ahmed się roześmiał.

— Jeszcze za wcześnie. Popatrzcie.

Wystrzelił kilka kamieni, za każdym razem, ku zaskoczeniu Marty, trafiając w cel. Potem przeszedł do wyjaśnień.

— Lewa ręka wskaże wam wysokość celu. Musicie dźrzeć procę w prawej dłoni. Trzymajcie pętlę między palcami: dzięki temu nie wypadnie wam z ręki przy pierwszym strzale. Musicie ją rozkręcić, aż osiągnie szybkość zapewniającą dobry strzał, a przede wszystkim puścić koniec sznura w odpowiedniej chwili, od tego zależy dokładność rzutu. To sprawa podstawowa — zakończył. — Istnieje wiele rodzajów proc i można strzelać na wiele sposobów, ale zaczniemy od tego co najistotniejsze: jeżeli wytrwacie, będzie czas, żeby nauczyć się całej reszty.

— Jestem gotowa — powiedziała Marta z niecierpliwością.

— Dobrze. Ustawcie się w pozycji do strzału, tak jak ja to robiłem.

Zajęła przewidziane miejsce. Ahmed wyjął ze swojej torby małą procę i umieścił ją w dłoni dziewczynki. Po załadowaniu odpowiedniej amunicji, stanął obok swojej pani, żeby pomagać jej przy pierwszych strzałach. Marta nie posiadała się z radości. Kręciła sznurkiem coraz energiczniej i na dany znak puszczała jego koniec. Kamień wystrzelał za każdym razem szybciej i choć nie trafiał w cel, entuzjazm dziewczynki nie słabł ani na chwilę.

— Pozwól, Ahmedzie, że sama spróbuję.

— Jeszcze nie jesteście gotowa — próbował ją przekonać.

— Będę cię we wszystkim słuchała — prosiła. — Będzie tak, jakbyś ty kierował moją dłonią.

— Jesteście pewna?

Marta nawet nie odpowiedziała. Wzięła jeden z pocisków i umieściwszy go w skórzanym gnieździe, przyjęła pozycję, czekając na polecenia. Ahmedowi nie pozostało nic innego, jak tylko ustąpić.

— A więc dalej, zaczynajcie — powiedział z westchnieniem niezadowolenia.

Proca zaczęła krążyć w ręku dziewczynki i po chwili nabrała odpowiedniej prędkości.

— Podnieście lewą dłoń na wysokość oczu. Na Boga! Nie patrzcie na mnie, patrzcie do przodu.

Marcie na moment zaćmił się wzrok.

Kamień krążył z wielką szybkością.

Głos Ahmeda zabrzmiał nagłaco.

— Puszczajcie już!

Dziewczynka straciła kontrolę i puściła koniec sznura, kiedy proca celowała w niebo.

Przez chwilę cała trójka stała jak wryta. Pocisk, który jak piorun strzelił pionowo w niebo, zakreślił łuk i zaczął spadać, aż uderzył w taras, gdzie ochmistrzyni Caterina z pomocą dwóch służących zbierała suchą już bieliznę.

Powietrze przeszył przeraźliwy krzyk. Ochmistrzyni wychyliła się przez balustradę, patrząc w stronę ogrodu. Kiedy dostrzegła w oddali trójkę przyjaciół, dał się słyszeć jej histeryczny, przepętniony wściekłością głos.

— Czy wiecie, co zrobiliście, nieszczęśni?! Zraniliście biedną Gueraldę! Dziewczyna krwawi... — Wtedy Caterina zdała sobie sprawę, że urwisem trzymającym procę jest Marta. — Natychmiast wracajcie do domu i czekajcie na mnie przy drzwiach gabinetu waszego ojca. — Krzyki dobywające się z tarasu rozdzierały ospałe popołudnie. — Teraz opatrzę tę nieszczęsną dziewczynę, której okaleczyliście twarz, a potem zajmę się wami. Przygotujcie się na najgorsze! Te swawole muszą się wreszcie skończyć!

10

Kupiec

Mężczyzna wyróżniał się niecodziennym wyglądem, zwracającym uwagę prawie wszystkich podróżnych, którzy go mijali na Via Francisca. Był dobrze po trzydziestce, dosiadał porządnego konia i ciągnął za sobą muła. Nogawice miał wpuszczone w sznurowane buty ze skóry piżmokota sięgające do kolan, tors zaś okrywała koszula, której rękawy wyłaniały się z bocznych otworów kamizeli z owczej skóry. Spod trój graniastego kapelusza z czarnego pluszu wystawała z tyłu kępa prostych włosów związanych sznurkiem w kosmyk. Szyję spowijał szalik zakrywający podbródek. Jednak najbardziej zwracała uwagę czarna przepaska na lewym oku, która zasłaniała niemal połowę twarzy; jedyna widoczna źrenica błyszczała i rozglądała się ciekawie, jakby pragnęła wszystko ogarnąć. Dziwny podróżny posuwał się równoległe do Rec Comptal, poważnej, nieukończonej jeszcze inwestycji dostarczającej wodę do Barcelony przez Sant Andreu del Palomar i Raval de Provençais, i ze zdziwieniem obserwował zmiany widoczne w najbliższym sąsiedztwie miasta.

Zmęczony krok jego zwierząt zaprowadził go na Pía del Mercat, a kiedy mężczyzna tam dotarł, wszedł do miasta przez bramę Castellvell. Zbrojni wyznaczeni do sprawdzania, czy podróżni przewożą towary, od których pobiera się myto, właśnie skończyli posiłek. Jedni zajęci byli grą w kości, a dwóch drzemało w cieniu winorośli na kamiennej ławie. Człowiek z przepaską na oku, nie

zatrzymując się i nikogo o nic nie pytając, spał wierzchowca ostrogami i pokłusował wąską uliczką. Kiedy dotarł do oberży Perota, zsiadł z konia. Przywiązał dokładnie jego i muła do drewnianej żerdzi umieszczonej w tym celu przy wejściu do zajazdu, pogrzebał w jednej z toreb i wyjął z niej sporych rozmiarów sakwę. Po sprawdzeniu jej zawartości i upewnieniu się, że wszystko jest na swoim miejscu, włożył ją do bandolierki i strzepnąwszy kapeluszem kurz z odzieży, wszedł do środka.

Przez chwilę musiał się przyzwyczaić do półmroku panującego we wnętrzu, gdyż światło z ulicy dostawało się tam przez trzy małe okienka wychodzące na boczne przejście. Kiedy mógł już rozróżnić zarysy przedmiotów, skierował się ku mężczyźnie, który przyglądał mu się ciekawie zza stojącego w głębi wysokiego stołu, wspartego na dwóch kozłach i pełniącego rolę szynkwasu. Ów człowiek, w zielonym fartuchu założonym na krótką tunikę, zajęty był szorowaniem kuchennych rondli i garnków w misce brudnej wody, podczas gdy młoda służąca, ubrana w pogniecioną białą koszulę, spódnicę z brązowego jedwabiu i przewiązany w taliu fartuch, z głową przykrytą czepkiem spinającym włosy, wymachiwała ścierką, udając, że wyciera stoły.

Nowo przybyły, jakby nie dostrzegając ciekawości, którą budził, zbliżył się do mężczyzny za prowizorycznym szynkwasem.

— Niech Bóg ma was w swojej opiece.

— I was niech strzeże. Czego sobie życzycie? Tawerna jeszcze zamknięta.

— Szukam Perota, czy to wy?

— Tak wysoko jeszcze nie zaszedłem! — zaśmiał się mężczyzna. — Perot jest moim panem. Czy chcecie z nim mówić?

— Taki mam zamiar i byłbym wam bardzo wdzięczny, gdybyście go tu sprowadzili.

Dziewczyna, która z głębi pomieszczenia usłyszała żądanie dziwnego gościa, wtrąciła się do rozmowy.

— Ja pójdę, ojczu. Jest mi po drodze, bo muszę iść do sklepu.

W mgnieniu oka rozwiązała fartuch i rzuciła go niedbale na ladę, zostawiła ścierkę na jednym ze stołów i pobiegła żwawo w stronę drzwi, a za nią podążyły słowa mężczyzny:

— Poszłabyś do samego piekła, byle wymigać się od pracy. — Po chwili dodał: — Młódziej nie jest już taka jak za moich czasów;

gdybym ja przerwał ojcu w obecności nieznanego, policzyłby mi żebra dębowym kijem. Z każdym dniem wszystko zmienia się na gorsze.

— W zupełności się zgadzam, nie ma już szacunku dla siwych włosów. Młodym się śpieszy i pragną zdobyć świat za wszelką cenę.

Po tej wymianie zdań obaj zamilkli, aż po chwili zasłona wisząca na drzwiach rozsunała się i stanął w nich mężczyzna w średnim wieku, ubrany na sposób właściwy dla zamożnego oberżysty — w brunatną ozdobną koszulę przykrytą fioletowym kubrakiem i przepasaną sznurem oraz ciemniejsze od niej pończochy wpuszczone w skórzane sznurowane buty.

— Joan, kto mnie szuka o tak wczesnej porze? — spytał od progu.

Ten drugi się usprawiedliwił:

— Moja córka się pośpieszyła, panie. Powiedziałem już temu panu, że jeszcze zamknięte.

Właściciel oberży skupił uwagę na gościu i zapytał:

— Czy mnie przypadkiem szukacie?

— Mam za sobą długą podróż. Wasza gospoda słynie daleko poza Barceloną i umówiłem się w niej na spotkanie z niejakim Simónem „Renegatem”, którego znam tylko ze słyszenia, chociaż wiem, gdzie mieszka. Powiedziano mi, że Perot, który wie wszystko o wszystkich mieszkańcach miasta, jest osobą mogącą mnie najlepiej poinformować o tym, czym on się zajmuje.

— Cała Barcelona zna Simóna: dzięki zajmowanemu stanowisku jest bardzo popularny.

Podróżny poszukał w głębi swojej torby, wyjął monetę i położył ją na topornym stole w zasięgu dłoni obu mężczyzn.

— Należcie mi, jeśli łaska, kubek dobrego wina.

Mężczyzna w fioletowym kubraku rzucił chciwe spojrzenie i wyciągnąwszy rękę, schwycił monetę.

— Joan, obsłuż gościa, choć o tak wczesnej godzinie nie będziemy mieli reszty.

— Zatrzymajcie ją na poczet trudu, jaki wam zadam.

Oberżysta zwrócił baczniejszą uwagę na dziwnego osobnika, który okazywał się tak szczodry i wielkoduszny.

— Siadajcie, gdzie zechcecie — powiedział, po czym kazał Joanowi wytrzeć jeden ze stołów.

Pomocnik, złapawszy zatkniętą za fartuch brudną ścierkę, skwapliwie wykonał polecenie.

— Natychmiast podadzą wam jedno z najlepszych win, jakie mamy w Barcelonie. Pochodzi z winnic w Magórii, które ich właściciel, Marti Barbany, uprawia z wielką starannością i troską. Opowiem wam o wszystkim, co chcecie wiedzieć o tym mieście i o którymkolwiek z jego mieszkańców, bo rzeczywiście, z uwagi na moje zajęcie, znam ich wielu.

Oberżysta nie dostrzegł, że na dźwięk imienia właściciela winnicy pojawiła się na czole podróżnego niewielka zmarszczka.

— Sprawa jest prosta. Jestem umówiony z jakimś Simónem tutaj, w waszej gospodzie, a nie wiem, jak on wygląda, ale tam, skąd przybywam, powiedziano mi, że od was mogę się dowiedzieć o każdym, o tym, czym sam się zajmuje i co robią jego przyjaciele.

Perot, zachęcony hojnym napiwkiem, zaczął mówić.

— Dobrze was poinformowano, a skoro tak, to powiem, że temu Simónowi żyje się całkiem dobrze. Ma stanowisko, jakiego wielu mu zazdrości, bo nie tylko przynosi *ono* dobre zyski, ale też, co ważniejsze, daje dostęp do najwyższej postawionych ludzi.

— Powiedziano mi, że nadal jest licytатorem niewolników na targu La Boquería za murami miasta.

Oberżysta postanowił zaskarżyć sobie przychylność kogoś, kto zjawił się z tak dobrymi listami uwierzytelniającymi.

— Właśnie to miałem na myśli. Znam go bardzo dobrze: przychodzi tu od czasu do czasu i rzeczywiście jest nadal głównym licytатorem niewolników, co stanowi klucz do jego wspaniałej egzystencji.

— Co macie na myśli?

— Wyjawię wam coś, co niewątpliwie wyda się zdumiewające. Może on przejąć na własność każdego niewolnika, zanim ten zostanie wystawiony na licytację, a nawet całą ich partię. Dlatego powiedziałem, że potrafił wykorzystać swoją funkcję i pozyskać sobie wpływowych przyjaciół.

Słyszając to, jednooki nadstawił ucha.

— Skąd o tym wiecie?

— Nie zapominajcie, że przychodzą tu najznakomitsi ludzie w mieście, nawet ci, co mają wolny wstęp do pałacu, i chcąc nie chcąc, słyszę tu niejedno.

— A co jeszcze słyszycie?

— Szepcze się, chociaż to tylko przypuszczenia, że cieszy się on poparciem jednej z najwyższych osobistości dworu.

Podróżny zamyślił się na chwilę, po czym odpowiedział:

— Nawet nie wiecie, jak bardzo jestem wam wdzięczny za tę ostatnią wiadomość. Możecie mnie uważać za swojego dłużnika i bądźcie pewni, że potrafię należycie się odwdziżyć za waszą pomoc.

— Do usług. Jeżeli odpowiada wam tamten stół pod oknem, natychmiast postawię na nim obiecane wino. — I podnosząc głos, rozkazał: — Joan, kubek wina z beczki w głębi dla naszego gościa! Na mój koszt. Jeżeli nie życzycie sobie nic więcej, zostawiam was, obowiązki wzywają mnie do innych spraw. W każdym razie jeżeli będziecie potrzebowali jeszcze jakiejś informacji, wystarczy zwrócić się do mnie.

— Idźcie do swoich spraw i wiedzcie, że jestem wam bardzo wdzięczny. Na pewno się odezwę.

Perot wyszedł z oberży, a przybysz udał się na wskazane miejsce, gdzie zajął jeden ze stołków, postawiwszy obok swoją torbę. Służący wrócił z glinianym dzbanem, z którego nalał do fajansowego kubka doskonałego, cieszącego gardło czerwonego wina. Jednooki przygotował się na dłuższe czekanie; popijał trunek małymi łykami, podczas gdy palce jego lewej dłoni bębniły w szorstką powierzchnię stołu.

Po pewnym czasie, kiedy dzwony kościoła Sants Just i Pastor wzywały na nonę, otworzy się drzwi i próg przestąpił otyły osobnik w strojnych szatach. Za nim podróżny zdołał dostrzec lektykę noszoną przez ośmiu silnych Saracenów, odpoczywających po wysiłku. Grubas spojrzął z ukosa na jedyne gościa, po czym skierował się w stronę posługacza i zbliżywszy usta do jego ucha, wyszeptał kilka słów. Ten, mając zajęte ręce, podbródkiem wskazał podróżnego.

Nowo przybyły podszedł do jego stołu i czyniąc wyszukany gest powitania, spytał:

— Czy ja was znam, panie?

Ten drugi, nie podnosząc się, odparł twierdząco.

— Chwilowo z moich czynów, a tylko to się liczy.

— Więc to wy wezwaliście mnie tu w tak zaskakujących okolicznościach?

— I, na honor, przekonujących! — odparł podróżny. — W przeciwnym wypadku podejrzewam, że nie przyszlibyście na to spotkanie.

— Kiedy jakiś nieznajomy okazuje tak wielką uprzejmość, że przysyła pergamin z prośbą o spotkanie, a wraz z nim sakiewkę z garścią dobrych monet, przezorność nakazuje poznać owego szczodrego człowieka, który z pewnością musi być osobą wartościową.

— Właśnie jego macie przed sobą.

— W każdym razie nie mam zwyczaju pić z nieznanymi... — powiedział grubas, którego ostrożność dorównywała chciwości.

— Moje nazwisko z pewnością nic wam nie powie. Nazywam się Bernabé Mainar i dopiero co przyjechałem do Barcelony. Jeżeli chcecie, żeby sakwa, którą wam przysłałem, nadal pęczniała, będzie lepiej, jeśli przemyślicie wasze podejście i okazecie się mniej nieufni wobec kogoś, kto dał dowody swojej hojności...

Tęgi osobnik wahał się przez chwilę. Odsunął zydeł, zebrał ręką poję płaszcza, odkrył łysą niemal głowę i zajął miejsce przy stole, czekając podejrzliwie na wyjaśnienia.

— Dobrze, skorzystam z waszej rady, ale czas mnie goni. Lepiej będzie, jeśli mi wytłumaczycie, na czym ma polegać nasza sprawa.

Podróżny odetchnął głęboko, co tylko powiększyło ciekawość jego rozmówcy. Potem, zamówiwszy więcej wina, zaczął w te słowa:

— Wszystko w swoim czasie. Chodzi o to, mój przyjacielu, że jestem zagubiony w wielkiej Barcelonie. Zarobiłem niezłe pieniądze na interesach wzdłuż i wszerz całego Morza Śródziemnego, ale wiek ogranicza ludzi i trzeba zacząć zwijać żagle i myśleć o przyszłości... jako że mój statek domaga się odpoczynku na piasku jakiejś plaży, a wszyscy czujemy tęsknotę do miejsca, w którym przyszliśmy na świat.

— A co ja mam z tym wszystkim wspólnego? — zapytał licytator.

— Jeśli dojdziemy do porozumienia, to się przekonacie, że wysoko sobie cenię waszą współpracę.

— Ale dlaczego akurat moją, a nie kogoś innego? — zdziwił się Simó.

— Dlatego, że wy jesteście Simó zwany „Renegatem”. Stanowisko, jakie piastujecie... nawiasem mówiąc, z wielkimi kompetencjami... i to, co ono sobą przedstawia, czyni z was dla mnie kogoś niezastąpionego. Gdybym nie doszedł z wami do porozumienia, byłbym zmuszony próbować innych dróg.

— A więc mówcie i wyjaśnijcie mi wszystko. Nie mogę podjąć

tak ważnej decyzji, nie znając gruntownie sprawy i osoby. — Simó postanowił wysłuchać swojego rozmówcy: coś mu mówiło, że będzie warto.

— Dobrze, a więc po kolei. Jeżeli jesteście zainteresowani, będzie dość czasu, żebyśmy się lepiej poznali.

— Zamieniam się w słuch.

Mainar upił łyk wina, mlasnął i mówił dalej.

— Jeżeli moje informacje są wiarygodne, jesteście głównym licytатorem na targu niewolników.

— Rzeczywiście tak jest i muszę powiedzieć, że skoro wystawcy i kupujący, chrześcijanie, Maurowie i Żydzi, od tylu lat powierzają tę funkcję mojej skromnej osobie, to chyba dlatego, że są zadowoleni z mych usług.

— Na niczym tak mi nie zależy jak na tym, byście nadal się tym zajmowali, i to przez długie lata — skomentował jednooki z lekkim uśmiechem.

— Czego zatem sobie ode mnie życzyacie, skoro wykazujecie takie zainteresowanie moją pracą?

— I do tego dojdziemy, lecz najpierw muszę się dowiedzieć jeszcze kilku rzeczy.

— Pytajcie — ustąpił niechętnie Simó. — Ale potem to ja zażądam wyjaśnień...

— Powiedziano mi też, że podczas prowadzenia licytacji korzystacie z pewnego przywileju: możecie wybrać jedną sztukę ze szkodą dla tego, kto wygrał aukcję.

Grubas poruszył się niespokojnie na stołku.

— A kto wam to powiedział?

— To chwilowo nieważne.

— Źle was poinformowano: kiedy wybieram jakąś sztukę, nie pojawia się ona na licytacji.

— A więc tym lepiej! — zawołał Mainar z uśmiechem, który nadał jego obliczu jeszcze bardziej złowieszczy wygląd.

— Powiedzmy, że po prostu mam prawo do szacowania.

— To mogłoby być uznane za nadużycie... — postraszył Mainar.

— Być może. Jednak dotąd nie ma żadnych skarg i nie odkrywacie niczego nowego. Sądzę, że skoro pałac przyznał mi ten przywilej, musiały być ku temu jakieś powody — stwierdził nie bez arogancji Simó.

— Może to dlatego, że jakiś potężny protektor jest tym zainteresowany.

— Możliwe. — Gruby Simó zaczynał się niecierpliwić. — A co wam do tego?

— Nie unście się. To nie jest przeszkodą, przeciwnie, może mieć dla mnie decydujące znaczenie.

— Porzućcie te wybiegi i przejdźcie wprost do rzeczy.

— Otóż — zaczął Mainar — jak już wam mówiłem, pragnę zakończyć swoje koczownicze życie i osiedlić się w tym mieście, toteż muszę podjąć stosowne kroki, aby fortuna, której zdobycie kosztowało mnie tyle wysiłku, nie zmniejszała się, lecz powiększała. Do tego trzeba zainwestować w jakiś pewny interes, który dobrze znam.

— A jaki jest ten pewny interes, o ile coś takiego w ogóle istnieje? — odparł szyderczo grubas.

— Taki, który w każdym kraju, czy mauretańskim, czy chrześcijańskim, czy barbarzyńskim, zawsze się udawał i zawsze będzie się udawał, choć muszę przyznać, że z większymi trudnościami w tych królestwach, gdzie sięga długa ręka Rzymu.

— A więc popatrzmy, co to za niezawodny interes.

Jednooki odpowiedział z naciskiem."

— Lubieżność mężczyzny.

Tęgi mężczyzna przez chwilę milczał niezdecydowany, wytarł chusteczką spoconą łysinę i z odrobiną nieufności odrzekł:

— Nie widzę, jaką miałbym odegrać rolę w tak niewybrednym interesie.

— Poznaliście już dogłębnie ludzkie słabości — odparł jednooki. — Mężczyzna lubi nakarmić kanarka poza domem: jedni w tym celu kupują niewolnicę, ale ci stanowią mniejszość, bo to rozwiązanie jest osiągalne tylko dla nielicznych, a poza tym bywa przyczyną skandalu, gdy ten ktoś jest kawalerem, albo kłótni, jeżeli ma połowicę. Moim pomysłem jest danie wielu ludziom dostępu do dobrego towaru w rozsądnej cenie i ponadto w miejscu, gdzie można się cieszyć przyjemnym oczekiwaniem. Czy zaczynacie mnie rozumieć?

— Coś niecoś do mnie dociera, ale to jest najstarszy interes świata, nie odkrywacie wcale eliksiru wiecznej młodości: tysiące stręczycieli się tym zajmują.

— I oferują stare pijaczki, które zarażają nieszczęśników wszelakimi wrzodami i szankrami. Podrzędne oberże, w których świadczy się takie usługi, jednego dnia są zamykane w wyniku jakiegoś donosu, by nazajutrz wznowić działalność w innym miejscu, ale bez zmiany czy poprawy warunków. Jeżeli przeprowadzę swój zamiar tak, jak zamierzam, a wy pomożecie mi go urzeczywistnić, natychmiast zrozumiecie, że proponuję wam coś zupełnie innego.

— Mówcie dalej — rzekł Simó.

— A więc miasto wyrwało się poza mury, rosną przedmieścia, wiecie, dokąd udają się ludzie opuszczający centralne dzielnice i jakie nowe miejscowości ich przyjmują. Moim zamiarem jest otwarcie kilku lupanarów, gdzie obywatele mogliby dyskretnie się zabawić. Jeżeli towar będzie w dobrym gatunku, najbardziej żarliwi adepti cielesnych uciech porzucą swoich dotychczasowych dostawców i przybiegną na nasze zawołanie.

— A gdyby ta oferta mnie zainteresowała, to gdzie i w jaki sposób miałbym się do tego przyłączyć?

— Po pierwsze, jesteście najbardziej powołaną osobą, żeby doradzić mi odpowiednie miejsca do ulokowania moich... nazwijmy je zajazdami miłości. Po drugie, przez wasze ręce musi przechodzić cały towar, który stanie się podstawą przyszłych transakcji. I po trzecie, pragnę, żeby sam wasz protektor czuwał nad moimi interesami, które będą też jego interesami, a tym samym waszymi.

— A jakie będą moje dochody? — spytał Simó.

— Widzę, że zaczynacie rozumieć. O tym porozmawiamy na samym końcu.

— Nie widzę przeszkód, żeby wam doradzić, gdzie znajdziecie największą obfitość popędliwych młodzieńców, ale co do tej drugiej sprawy, to jest ona znacznie bardziej skomplikowana — zawałał się Simó.

— Posłuchajcie. Moim zamiarem było zakupienie jakiegokolwiek niewolnika, czy to mężczyzny, czy kobiety, młodzieńca czy jeszcze niedojrzałej dziewczyny, kiedy pojawią się na licytacji, ale teraz, gdy już wiem to, co wiem, pragnę to zrobić zawczasu.

— To niemożliwe.

— Nic nie jest niemożliwe, jeśli kryje się za tym znaczna suma pieniędzy.

Opór grubasa stopniał wobec smakowitej propozycji niezna-

mego, jednak, jak przystało na dobrego kupca, Simó schował się za słabą wymówką.

— Jak dobrze przypuszczaliście, ktoś bardzo potężny przyznał mi prawo szacowania wszelkiego towaru podlegającego licytacji i oczywiście nie mogę go okradać.

— To właśnie mam na myśli. Powiem jasno: moim pragnieniem jest, aby cały wartościowy towar był przez was oddzielany, zanim wejdzie na podest aukcyjny.

— Wasze życzenie jest całkowicie sprzeczne z życzeniem mojego protektora, ale nawet zakładając, że byłoby to możliwe, jak miałbym zapłacić za towar jego właścicielowi?

— Moimi pieniędzmi i przy użyciu swojej niezrównanej sztuki prowadzenia interesów.

Mężczyzna się wahał.

— Cena byłaby bardzo wysoka. Mój protektor mógłby ponieść szkodę i poczuć się oszukany, utraciwszy najlepsze sztuki przeznaczone na licytację.

— Mylicie się. Jeśli tylko najdzie go ochota, będzie miał pierwszeństwo wyboru niewolnika czy niewolnicy bądź dla własnej rozrywki, bądź na podarek dla kogoś. Zjedna dodatkową korzyścią: nie będzie ponosił kosztów utrzymania zakupionego towaru ani nie spadnie na niego kłopotliwe zadanie znalezienia dlań miejsca, gdyż to wszystko biorę na siebie. W moich gospodach będzie miał najlepszy towar, który nie będzie go kosztował ani grosza. — Mainar zrobił pauzę, żeby handlarz niewolników dobrze zrozumiał to, co właśnie usłyszał. Kiedy spostrzegł, że tak się stało, ciągnął: — Pewnie zadajecie sobie pytanie, co ja z tego będę miał. To proste: będę potrzebował jego opieki. Wiecie, że Kościół Święty, Matka Nasza, zawsze miesza się do spraw cielesnych i że w pewnych okolicznościach staje się nieco drażliwy i skłonny do irytacji.

— Rozumiem waszą ideę, ale muszę poprosić o zezwolenie; w przeciwnym razie narażę na niebezpieczeństwo własne życie. Przede wszystkim — dodał gruby Simó, pocąc się obficie ze zdenerwowania — nikt nie może się dowiedzieć o tym porozumieniu, dopóki nie pomówię z kim trzeba.

— Wiemy o tym obaj: gdyby się to rozniosło, moglibyście wiele stracić, a ja musiałbym związać interes, zanim jeszcze by się rozpoznał — uspokoił go Mainar.

— Tak czy owak jest wielu takich, co dybią na moje stanowisko.

Zawistnicy nie czekali by ani chwili, by przekazać plotki tym, co mają dostęp do dworu.

Przybysz, ignorując to rozumowanie, mówił dalej:

— Wy jesteście dla mnie najważniejsi; w przeciwnym razie na

pewno bym się z wami nie spotykał. A co do ceny, moglibyśmy uzgodnić pięć od każdej setki.

Grubas, widząc już oczami wyobraźni kopalnię złota, usiłował wyciągnąć dla siebie jak najwięcej.

— Ja nie mam bezpośredniego dostępu do pałacu, toteż, jak się domyślacie, będę musiał pozyskać kogoś, kto je ma, a to sporo kosztuje.

— Wszystko weźmiemy pod uwagę.

Licytator pomyślał przez chwilę.

— No cóż, może dałoby się spróbować, choć niczego nie obiecuję, a poza tym będę potrzebował czasu. Nie znajdę takiej osoby w jeden dzień.

— Nie przejmujcie się, umiem czekać. Rozumiem, że takie sprawy wymagają czasu; nie zależy mi na jednym dniu czy jednym tygodniu, czy nawet jednym miesiącu. — Mainar w zamyśleniu odrzucił do tyłu głowę. — Zjechałem cały znany świat i zbyt długo się zastanawiałem nad przyjazdem do Barcelony, żeby teraz nie umieć cierpliwie zaczekać na przychylność losu. Tego, co wam proponuję, nauczyłem się w krainie potężnego kalifa Bagdadu, gdzie interesy miłosne kwitną jak maki w lecie, gdyż tamtejsza religia pozwala mieć po kilka konkubin. Tutaj, na ziemiach chrześcijan, gdzie Kościół jest znacznie bardziej rygorystyczny, zmusza się mężczyzn, żeby żyli w hipokryzji monogamii, ale potrzeby są takie same... Za sprawą naszego interesu — z naciskiem podkreślił „naszego” — ulżymy wielu sumieniom, które będą musiały się wypowiedzieć z przelotnego potknięcia przeciw szóstemu przykazaniu, a nie z ciągłego grzechu bez możliwości skruchy, a tym samym bez wybaczenia. Jak sami rozumiecie, gdyby moje przedsięwzięcie było tak proste jak otwarcie jakiegoś sklepu czy łaźni, nie zwracałbym się do was o radę ani nie szukał ochrony pod niczym płaszczem, nie wspominając już o współnikach

zabierających część zysków.

Na twarzy grubasa pojawił się uśmiech.

— Na honor, nie brak wam pomysłowości. Nie mówię „tak”
ani

„nie”: zobaczę, co mogę wskórać. Powiedzcie mi, gdzie się zatrzymaliście, a kiedy dostanę odpowiedź, pošlę do was wiadomość i spotkamy się u mnie w domu. To nie jest odpowiednie miejsce, aby omawiać tak poważne interesy. Mieszkam w...

— To niepotrzebne. Wiem, gdzie mieszkanie. Moja wiadomość dotarła do was bez przeszkód, prawda? — spytał Mainar z przewrotnym uśmieszkiem.

— Macie rację, głupiec ze mnie.

— Skoro mowa o kwaterze... Dopiero co przyjechałem i jeszcze nie zdążyłem jej poszukać. Gdybyście byli tak uprzejmi i wskazali mi jakieś stosowne miejsce, gdzie można liczyć na dyskrecję i dobrą obsługę, byłbym wam dozgonnie wdzięczny.

— W zajeździe Guillemy, obok starej świątyni rzymskiej, znajdziecie to, czego szukacie. Powiedzcie, że przysyła was Simó „Renegat”.

W owej chwili Bernabé Mainar zrozumiał, że znalazł swojego człowieka i że przynęta była właściwa. Jego ambitny plan zaczął nabierać kształtu. A to był dopiero początek; właśnie posiał nasiona, które miały obrodzić ziszczeniem jego snu. Ażeby uzyskać zezwolenie Najwyższego Przewodnika, musiał mu przysiąc, że stanie się w tym mieście kimś bardzo ważnym. Teraz zaczął utwierdzać się w przekonaniu, że zadanie, które powierzył mu umierający, zostanie wykonane. Strzała opuściła łuk; dwa ptaszki, które spowodowały śmierć jego ojca, zapłacą za swój szalony czyn, a on nie dość, że wypełni misję ku większej chwale Zakonu, to jeszcze dopełni zemsty.

11

Grobowiec Ruth

Było to niezwykle popołudnie; promienie letniego słońca padały pionowo na miasto, odbijając się od gładkich powierzchni. Marti Barbany, wierny swemu zwyczajowi, udał się z Omarem do Vic na doroczne targi i Marta, nie mając nic do roboty, wałęsała się po ogrodzie. W ciągu ostatnich dni ojciec bardzo się na nią gniewał. A wszystko przez ten niefortunny incydent z procą, w którym została ranna Gueralda. „Nie wolno zachowywać się w ten sposób” — powiedział wyjątkowo surowym tonem, nakazując przeprosić ofiarę wypadku. Marta zrobiła to, skruszona, ale napotkała tylko źle ukrywaną urazę. Poszkodowana nie przestawała mówić, że w domu, gdzie służyła wcześniej, u dostojnych państwa Cabrera, coś takiego nigdy by się nie wydarzyło. I chociaż Marti Barbany usiłował zadośćuczynić za szkodę okazałą sumą pieniędzy, Gueralda od tego czasu patrzyła na Martę niechętnie, zwłaszcza gdy mijała się z nią sam na sam w domu. Po raz kolejny dziewczynka zapragnęła mieć u swego boku matkę, której mogłaby się zwierzyć ze zmartwień. Wszyscy wokół niej, z ojcem włącznie, robili, co mogli, ale Marta czuła w swym wnętrzu pustkę, którą była w stanie wypełnić tylko matczyna obecność. Chodziła tak znudzona po ogrodzie, kiedy nagle pewne niezwykle zjawisko nasunęło jej myśl o czymś, co, jak dobrze wiedziała, było zabronione. Promień słońca padł na kolorowy witraż w rozecie kaplicy i w tym momencie dziewczynka zdała

sobie sprawę, że nigdy nie pozwolono jej tam wejść. Czas po obiedzie był najodpowiedniejszy do realizacji planu. Dom, podobnie jak wielu jego mieszkańców, drzemał, panowała całkowita cisza i popołudniowy chłód zapraszał do wypoczynku. Marta zebrała w dłoni spódnicę i szybkim krokiem wspięła się po okazałych schodach. Znalazła się przed wejściem do gabinetu ojca. Spojrzała w obie strony, aby się przekonać, czy nie jest narażona na niepożądaną obecność ochmistrzyni albo kogoś ze służących. Ponieważ nikogo nie dostrzegła, nacisnęła skobel i popchnęła grube drzwi, a te, otwierając się, zapiszczały ku jej trwodze jak kot, któremu nadepnęto na ogon. Ten hałas wydawał się przerażający i serce zaczęło jej walić jak młotem. Poczekała chwilę, żeby się uspokoiło... Zupełna cisza. Z największą ostrożnością Marta zamknęła za sobą drzwi i skierowała się w stronę ogromnego stołu, przy którym ojciec zarządzał wszystkimi swoimi sprawami. Wiedziała, czego szuka: zaczęła otwierać szuflady i w nich grzebać, lecz zanim cokolwiek poruszyła, przyglądała się uważnie, jak to leży, żeby zostawić wszystko tak, jak zastała. Kiedy traciła już nadzieję, na dnie trzeciej szuflady znalazła drewnianą szkatułkę inkrustowaną kością słoniową. Otworzyła ją. Był tam; wzięła w dłoń klucz i odłożywszy szkatułkę na miejsce, zamknęła szufladę, schowała swój skarb do niewielkiej sakiewki, którą nosiła przy pasku, i skierowała się w głąb ogrodu.

Promienie słońca nadal paliły ziemię i ledwie jakiś hałas w kuchniach zakłócał popołudniową ciszę. Minęła klomby i zwirowaną dróżką podeszła do kaplicy. Rozejrzawszy się uważnie, wyjęła z sakiewki klucz i wsunęła go w otwór zamka. Rdza utrudniała zadanie, ale w końcu sprężyny się poddały i Marta, skradając się jak polna mysz, wśliznęła się do niewielkiego oratorium. Początkowo mrok nie pozwalał jej widzieć wyraźnie, ale oczy stopniowo przywykły do półmroku. Światło przedostające się przez kolorową rozetę padało na grobowiec. Zbliżyła się na palcach i zaczęła wszystkiemu dokładnie się przyglądać. Jej spojrzenie zatrzymało się na pięknej kobiecie z białego marmuru, która leżała uśpiona na grobowcu, z rękami skrzyżowanymi na piersi. U wezglowia znajdował się siedmioramienny kandelabr z kutego żelaza, a u stóp — gwiazda Dawida z tego samego materiału, odcinająca się od białej

płyty. Marta podeszła bliżej, ale nie mogła odczytać łacińskiego epitafium wykutego w kamieniu.

Była wzruszona; położyła swoją dłoń na dłoniach marmurowej kobiety i wydało jej się, że są ciepłe. Odkąd sięgała pamięcią, nigdy nie była bliżej matki. Przebiegła wzrokiem wewnątrz kaplicy. W głębi absydy dostrzegła krucyfiks, a przed nim niewielki relikwiarz z porfiru, mieszczący w sobie drewnianą drzazgę. Wyszła odrodzona, coś w jej sercu uległo zmianie: poczuła się znacznie starsza i obiecała sobie, że kiedy nadarzy się sposobność, wróci tu tylko po to, żeby znowu doznać tego cudownego wrażenia spokoju. Przekręciwszy dwukrotnie wielki klucz, zamknęła za sobą drzwi i skierowała się ponownie do gabinetu ojca. Po drodze minęła się z Gueraldą i jak za każdym razem, kiedy widziała służącą, która została zraniona w twarz z powodu jej nieuwagi, poczuła, że ściska jej się serce. A jednak w zachowaniu tej kobiety było coś, co budziło raczej nieufność niż litość i kazało jej unikać. Tym razem też tak było: w pośpiechu, przedkładając szybkość nad ostrożność, Marta zostawiła otwarte drzwi do gabinetu, podeszła do stołu, otworzyła szufladę, wyjęła inkrustowaną szkatułkę i włożyła do niej klucz. Wszystko pozostało tak, jak wyglądało przedtem. W końcu wyszła i zamknęła drzwi. Oczy Gueraldę obserwowały całą tę operację. Może Marta dostrzegłaby niezwykle ciekawość służącej, ale jej uwagę odwróciły dochodzące z ogrodu gniewne głosy.

— Ahmedzie! — wołała Amina. — Czy ty chodzisz z głową w chmurach?! Znowu zostawiłeś konewkę na brzegu studni. Kiedy ojciec to zobaczy, porachuje ci kości!

— Zajmij się swoimi sprawami, wścibska dziewczyno — odparł zamyślony Ahmed.

— Ja martwię się o ciebie i chcę ci oszczędzić przykrości, a ty mnie obrażasz! Powiem doñi Caterinie, już ona się tobą zajmie!

— Odejdź i zostaw mnie w spokoju... Nie muszę się tłumaczyć przed dzieckiem.

Amina, urażona odpowiedzią brata, że łzami w oczach weszła do domu. Obie z Martą zbliżyły się do okna: zobaczyły stamtąd, jak Ahmed, rozejrzawszy się dokoła, wdrapuje się na mur i przeskakując go, opuszcza gospodarstwo.

— Chciałabym się dowiedzieć, dokąd tak biega — rzekła Marta. — Jestem pewna, że te eskapady mają coś wspólnego z jego stanem ducha...

Amina ze zdziwieniem spojrzała na swoją panią.

— A jak chcecie się tego dowiedzieć? — spytała nieco zaniepokojona, chociaż w głębi duszy przeczuwała odpowiedź.

— Jak to jak? Szpiegując go — odrzekła Marta z uśmiechem. I zdecydowanie pobiegła w stronę drzwi. — Można wiedzieć, na co czekasz? Jeżeli się nie pośpieszymy, ucieknie nam!

12

Ahmed i Zahira

W wieku dwudziestu dwóch lat Ahmed przeżywał sen pierwszej miłości. Choć wielu chłopcom zdarzało się to znacznie wcześniej, on usłyszał jej zew dopiero poprzedniej zimy, gdy pewnego dnia poszedł na targ i spotkał tę rajską hurysę, która odebrała mu rozum. Kiedy ją ujrzał, podjął decyzję: przed upływem doby musi się dowiedzieć, kim jest i gdzie mieszka pani jego myśli. Zaplanował więc wszystko dokładnie, oczywiście nie bez udziału Manela.

Manel był rówieśnikiem i przyjacielem Ahmeda. Jego ojciec zajmował się wynajmem katalońskich osłów i miał zagrodę w zaułku Ratas, między ulicą Regomir a drogą prowadzącą do stoczni. Chłopcy poznali się w wieku dziesięciu czy jedenastu lat na brzegu morza, skąd obaj wypływali nocami na łodziach rybackich. Wykonywali na nich pomniejsze prace: pomagali wyciągać sieci i ustawiali na pokładzie wężycerze wypełnione tymi nieostrożnymi stworzeniami, które w nie weszły. Z biegiem lat stali się wytrawnymi rybakami, ale wtedy Manel porzucił to zajęcie, gdyż musiał pomóc ojcu. Co dnia o świcie napełniał juki na grzbiecie jednego z osłów migdałami, orzechami laskowymi i włoskimi oraz innymi specjałami, po czym rozkładał swój stragan na placu Błat, obok głównego Mercadal, mając nadzieję, że ludzie wracający do miasta po dokonaniu zakupów zatrzymają się i także u niego coś nabędą. Przez całe rano zachwalał głośno swój towar, dopóki dzwony kościołów Sants Just i Pastor i Santa Maria de les Arenes nie zaczynały wzywać na Anioł Pański.

Wtedy zabierał resztę towaru, który się nie psuł, i wracał do domu, żeby po południu pomagać ojcu przy wynajmie osłów.

W przypadku chłopców wiek pokonał różnice religijne; Ahmed i Manel dzielili wyczyny i przygody, a czasem także ciężki, jak wtedy gdy wracali z plaży po kąpieli w morzu i aby umknąć przed wyrostkami, co z nich szydzili i nie kryli najgorszych zamiarów, tak poganiali astmatycznego osła, na którego grzbiecie jechali, że ten wkrótce po powrocie do stajni padł z wyczerpania. Ojciec Manela dopóty masował synowi pośladki jesionowym kijem, aż wydusił zeń imię kompana. Wiadomość ta dotarła do uszu Naimy, matki Ahmeda, która, żeby nie być gorsza, zastosowała mu tę samą kurację.

Tamtego zimowego dnia Ahmed znalazł się przy łuku strzegącym wejścia na plac, na którym ojciec przyjaciela prowadził swój interes. Osłe ryki poinformowały chłopaka, że dotarł do celu. Kiedy tylko wszedł na dziedziniec, dostrzegł Manela, który za pomocą drewnianych grabi napełniał słomą żłoby zwierząt.

— Witaj, Manelu.

— Witaj. Co cię sprowadza?

— Już od dawna jesteś tak zajęty, że wcale się nie widzujemy.

— Wiesz, jak żyję. Muszę tak układać sobie dzień, żeby zarobić coś na przyszłość, a jednocześnie pomóc ojcu.

— To prawda, ale przynajmniej robisz coś dla własnego dobra, podczas gdy ja rano jestem chłopcem na posyłki dla wszystkich w domu mojego pana, a po południu uszczelniam dna statków na brzegu.

— W zamian za to żyjesz w najlepszym ze światów, podczas gdy ja wychodzę ze stajni, żeby zjeść jakieś resztki i przespać się w swoim legowisku. I to tylko wtedy, kiedy nie przypadło mi czuwać i dzielić wypoczynku na górze w stajni z jednym z ojcowych parobków, którzy zwykle cuchną, chrapią jak istoty z piekła rodem i puszczają takie wiatry, że woń chlewu wydaje się przy tym niebiańskim eliksirem.

— Tak, ale rano jesteś wolny i wszystko, co zarabiasz, jest twoje.

— Coś za coś.

Przez chwilę przyjaciele milczeli.

— Ciągle ćwiczysz się w strzelaniu z procy? — zapytał Manel.

— Teraz potrafię trafić w locie jerzyka czy jaskółkę — odrzekł z dumą Ahmed. — Ćwiczę się, kiedy tylko mam okazję. Strzelam

procami o różnym zasięgu. Mój nauczyciel mówi, że nie ustępuję już prawdziwym procarzom z Balearów.

— Któregoś dnia musisz mi pokazać, co umiesz. Ale powiedz, co sprawiło, że mnie dziś odwiedziłeś.

— Zrobiłem to dla przyjemności rozmowy z tobą, żeby wspominać stare czasy.

Manel popatrzył na niego kpiąco.

— Mam uwierzyć, że sama przyjemność rozmowy wystarczyła, żebyś mnie odwiedził?

— No cóż... w rozmowie omawia się różne sprawy, a ta, z którą dziś do ciebie przychodzę, jest dla mnie bardzo ważna. Wiesz, że zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi i że razem przeżyliśmy wiele wspaniałych chwil i kilka gorszych.

— To już lepiej rozumiem. Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć. Poza tym winien ci jestem przysługę, bo pamiętam jeszcze dzień, kiedy wbrew swojej woli zostałem zmuszony cię wydać, i Bóg świadkiem, nie mogę tego wymazać z pamięci. Ale bądź pewien, że jestem twoim przyjacielem.

— Nigdy w to nie wątpiłem. A co do tamtej smutnej historii... wszystko poszło w niepamięć — zapewnił Ahmed.

— Więc pozwól, że to skończę i za chwilę do ciebie przyjdę.

Kiedy żłoby były już napełnione, podszedł do Ahmeda.

— Chodźmy pod daszek, gdzie przynajmniej smród nie będzie tak nieznośny. Tutaj nie pachnie różami!

Przecięli grząski dziedziniec i skierowali się w stronę zadaszania z trzcinowej plecionki wspartego na czterech palach. Pod nim stał toporny stół, stołek i krzesło, które w lepszych czasach miało cztery nogi, a teraz tylko trzy: czwartą zastępował wielki kamień. Przyjaciele siedli twarzą w twarz i Manel, powodowany ciekawością, zaczął rozmowę.

— Powiedz, Ahmedzie, w czym mogę ci pomóc.

— Czy nadal masz stragan na placu Błat?

— To właśnie stamtąd pochodzą moje zarobki. Jeżeli chcesz dobrej rady: nigdy nie pracuj dla własnego ojca. I dziękuję, że nazwałeś straganem te kilka desek, które wynajmuję od pewnej wieśniaczki. W zamian pomagam jej w rozkładaniu płodów rolnych przywiezionych z Les Fonts. Ale zostawmy to i powiedz, jakie zmartwienie cię dręczy, bym mógł ci ulżyć.

— To coś więcej niż zmartwienie, to prawdziwa tragedia.
— Nie strasz mnie i nie owijaj w bawełnę. Przejdź do rzeczy.
Ahmed przez chwilę milczał, co podsycało ciekawość przyjaciela.
— Na wszystkie świętości, zacznij wreszcie mówić! Przecież po to przyszedłeś...
— Rzecz w tym, że nie wiem, jak zacząć.
— Ze mną nie musisz się bawić w mówienie ogródkami, a więc wyduś to wreszcie z siebie.
— Manelu, czy byłeś kiedyś zakochany?
Ten spojrział na niego nieufnie.
— Ani nie byłem, ani nie zamierzam, z kobietami są tylko kłopoty. Mam kuzyna, który romansował z żoną swojego pana, przez co dostał tęgie lanie i stracił pracę. Wiesz, co powiadają o mieszanii pracy dla zarobku z miłośkami. Mnie nie trapią takie wątpliwości. Nie będę sobie kręcił powroza na szyję w tak młodym wieku... Przyjdzie czas, żeby sobie komplikować życie. — Przerwał paplaninę, widząc zagubione spojrzenie przyjaciela. — Ale może ty jesteś zakochany?
— Nie wiem, jak nazwać to uczucie, które mnie zalewa. Mogę ci tylko powiedzieć, że kładę się spać, myśląc o niej, i myśląc o niej, się budzę. Jeżeli to nie jest miłość, to niech Bóg zejdzie z nieba i sam na to spojrzy.
— Oj... źle z tobą, przyjacielu. Jeżeli ci to nie przejdzie, jesteś zgubiony.
— Ale ja nie chcę, żeby mi przeszło; wprost przeciwnie, chcę znaleźć jakiś sposób, żeby ją poznać.
— Powiadasz więc, że jeszcze jej nie znasz, a już tak wpadłeś w jej sidła? — zapytał Manel, nie mogąc ukryć zdziwienia.
— Nie możesz tego zrozumieć. Dopiero kiedy tobie się to przytrafi, pojmiesz, o czym mówię.
Manel westchnął głęboko, wielce przyjacielowi współczując.
— Żal mi cię, Ahmedzie, ale co ja mam z tym wspólnego?
— Ty jesteś jedynym kluczem, który może mi otworzyć bramy raju.
— Wyjaśnij mi to. Muszę poznać szczegóły, zanim stanę się sprawcą podobnej nedorzeczności.
Ahmed spojrział na przyjaciela oczami pełnymi nadziei.
— Widzisz, Manelu, widziałem ją dwukrotnie na Mercadal i za

każdym razem ktoś z nią był; najpierw jakieś napuszone babsko ubrane na sposób mauretański, które kołysało się jak statek i po odwiedzeniu wszystkich kramów sprzedawców przypraw, tkaczy, rzeźników, garbarzy, perfumiarzy i po licznych targach poprzedzających każdy zakup kazało jej nieść dwa olbrzymie kosze. Tak mnie oszołomiła jej uroda, że nie byłem nawet w stanie zareagować... A drugi raz zobaczyłem ją w zeszły wtorek: szła obok lekytki niesionej przez sześciu niewolników wyglądających na Maurów. Zacząłem iść za tą grupą, ale dostrzegł mnie strażnik i kazał odejść, grożąc, że zawoła nadzorcę targowego. A że wymachiwał przy tym laską, którą się podpierał, czym prędzej się usunąłem.

— I co miałbym dla ciebie zrobić?

— Przyszło mi na myśl, że skoro chodzisz codziennie na Mer-cadal, może mógłbyś się dowiedzieć, kim ona jest, gdzie mieszka i co robi.

— Wiesz, że mój kramik jest na placu Błat, ja nie chodzę na Mercadal.

— Ale spotykasz wielu ludzi — nalegał Ahmed — i być może kiedyś przypadkiem ją widziałeś.

— Ależ, człowieku, czy wiesz, jaka masa ludzi kręci się w pobliżu targu? — spytał Manel nie bez pewnej złośliwości.

— Jesteś moją jedyną nadzieją, Manelu. Nie wiem, do kogo jeszcze mógłbym się zwrócić. Miasto rozrosło się poza mury, wielu ludzi mieszka w nowych przysiółkach, a ja nie mogę spędzać całych dni na łażeniu po targu i wypytywaniu kramarzy.

— Powiedz mi, jak była przyodziana. Może też na modłę arabską, jak ci, co z nią byli...

W oczach Ahmeda zabłyśło światełko nadziei.

— Dlaczego o to pytasz?

— Chcesz, żebym ci pomógł, czy nie?

— Jasne, że tak, Manelu. Ona też miała na sobie strój na modłę mahometańską.

— Może to właśnie ta nić, która doprowadzi mnie do kłębka — szepnął w zamyśleniu Manel.

— Na Boga, Manelu, mów!

Przyjaciel rozkoszował się chwilą, czując się panem sytuacji. Przechylił swój stółek do tyłu i włożywszy kciuki za pas, który podtrzymał mu portki, ciągnął:

— Może mi się tylko wydaje... to tylko przypuszczenia.

— Na Boga! Mów dalej! — poprosił Ahmed.

— Jak opowiedziałeś mi ze szczegółami o tych dwóch przypadkach, kiedy miałeś okazję ją zobaczyć, i opisałeś towarzyszące jej osoby ubrane na sposób arabski, przyszło mi do głowy, że to muszą być służący z domu doña Marçala de Sant Jaume, który odkąd był zakładnikiem u mauretańskiego króla Sewilli, nabrał zamiłowania do takiego przyodziewku i do obyczajów niewiernych. To rzecz powszechnie znana. Kiedy wyteżam pamięć, wydaje mi się, że widziałem raz służącą, która musi być niewolnicą, bo nosi na szyi oznakę hańby, i która z pewnością jest bardzo urodziwa.

— Manelu, jeżeli powiesz mi, jak ma na imię, do końca życia będę twoim dłużnikiem.

— Zdaje się, że nazywa się Zahira, ale powtarzam ci, że ma swojego właściciela.

Ahmed wzniósł oczy i na chwilę najwyraźniej pogrążył się w marzeniach. Manel, klepnąwszy przyjaciela w kolano, sprowadził go na ziemię.

— Ahmedzie, wracaj do świata żywych i zrozum, że nie masz najmniejszej szansy.

— Nieważne! — odparł zakochany młodzieniec. — Będę tyrał jak wół, byle tylko zebrać pieniądze na jej wykupienie.

— Całkiem oszalałeś. — Manel spojrzął na przyjaciela ze szczerym współczuciem i kręcąc głową, dodał: — Jeżeli to jest miłość, to nie jestem zainteresowany.

Ale Ahmed był. I to bardzo. Tak więc nie tracił czasu. Przez kilka dni, mimo zimowego chłodu, czekał na pojawienie się ukochanej, ukryty za drzewem na poboczu Via Francisca. Wskazówki Manela okazały się cenne. Ahmed pomyślał, że skoro Marçal de Sant Jaume mieszka w Sant Cugat del Rec, jego służba, udając się na Mercadal albo do miasta, z pewnością przechodzi przez bramę Castellvell. I jeżeli będzie miał szczęście i spotka Zahirę samą, ośmieli się do niej odezwać, żeby móc z nią pomówić przez czas, jaki zajmie im droga. Pragnąc urzeczywistnić swój zamiar, był skłonny poświęcić tyle dni, ile będzie trzeba, pomimo łącań ojca i majstra, którzy mu wytykali źle wykonaną pracę. Tak czy owak mógł znieść wszystko, jeżeli tylko pozwoli mu to ujrzeć panią jego myśli. Snuł też inne plany, na wypadek gdyby towarzyszyła jej góra tafty i halek, która

już raz pokrzyżowała mu zamiary. Ponieważ wiedział, że ta kobieta lubi zatrzymywać się przy wszystkich straganach na Mercadal, umyślił sobie, że wykorzysta chwilę jej nieuwagi, by podać Zahirze kartkę, i że poczeka, aż jego czyn wywoła jakiś skutek. Począwszy od tego dnia, przez miesiąc będzie stać na warcie w tym samym miejscu i o tej samej godzinie, czekając na cud. Pochłonięty był tymi rozmyślaniami, kiedy na zakręcie drogi nagle się ukazało światło jego snów. Ujrzał ją jako rajską hurysę, idącą płynnym, gibkim krokiem gazeli, który sprawiał, że niesiony na głowie tobolek harmonijnie się kołysał. Upewniwszy się, że idzie sama, Ahmed wybiegł na drogę i zaczął iść obok niej, dostosowując swój krok do jej kroku. Zahira instynktownie uskokczyła na bok.

Usiłując opanować drżenie wstrząsające całym jego ciałem, powiedział:

— Zahiro, nie lękaj się, proszę.

Nieco się uspokoiła i kierując na chłopca swoje piękne oczy, przez chwilę trzepotała powiekami. Ahmed poczuł, że w jego duszy zapala się i gaśnie błyskawica.

— Nie wiem, kim jesteś. Czego chcesz? Skąd znasz moje imię?

— Twe imię zdobi moje sny i jestem twoim najpokorniejszym i najbardziej oddanym wielbicielem.

Dziewczyna spojrzała z obawą do tyłu.

— Jeżeli tak jest, proszę cię, żebyś zszedł z mojej drogi. Jeżeli pani zobaczy, że z tobą rozmawiam, czeka mnie kara... A poza tym nawet cię nie znam.

— Nazywam się Ahmed i nie zamierzam zrezygnować ze swojego pragnienia. Od dnia, w którym zobaczyłem cię na Mercadal, nie mogę zmrużyć oka. Jestem sługą w domu czcigodnego doña Martíego Barbany, obywatela Barcelony i jednego z jej najszacowniejszych mieszkańców.

— Masz na myśli armatora? — spytała dziewczyna z podziwem w głosie.

— O nim właśnie mówię — odparł z dumą Ahmed.

Zahira zdała się nieco bardziej ufna i choć podjęła dalszą drogę, rozkazała:

— Jeżeli chcesz ze mną porozmawiać, idź za mną tak, by wyglądało, że się nie znamy. W ten sposób możemy dalej gawędzić, aż dojdziemy na targ.

Pod Ahmedem ugięły się kolana.

— Będę szedł tam, gdzie zechcecie, moja pani, byle tylko odbyć tę drogę wraz z wami — rzekł i złożył przed nią lekki ukłon jak rycerz przed swoją damą.

Dziewczyna nie mogła ukryć uśmiechu.

— Ja służę w domu doña Marçala de Sant Jaume i kiedy posyłają mnie z jakimś poleceniem, nie wolno mi rozmawiać z obcymi — powiedziała, nie odwracając się do niego.

Ahmed, który szedł za nią, obserwując jej rozkołysane biodra, w roztertaniu potknął się o leżącą na drodze gałąź i upadł jak długi.

Zahira natychmiast się odwróciła i widząc go w tak żałosnej sytuacji, wybuchnęła śmiechem.

Chłopak poderwał się jednym susem, otrząsał kurz z portek i dwoma krokami odzyskał utracony dystans.

— Ten upadek wyszedł mi na dobre — skomentował — bo zobaczyłem, że się śmiejesz, i było to tak, jakby wzeszło słońce.

— Jesteś bardzo grzeczny i dowcipny, ale twoje towarzystwo może narazić mnie na nieprzyjemności... Proszę cię, żebyś zostawił mnie samą.

— Ja tak nie uważam i klnę się na swoje życie, że jeżeli nie zechcesz ze mną pomówić, będę co dzień czekał na ciebie w tym samym miejscu, aż zgodzisz się mnie wysłuchać.

Dziewczyna spoważniała, podniosła dłoń do szyi i wskazując na hańbiący łańcuch, rzekła nagle gorzkim tonem:

— Jesteś szalony! Czy nie widzisz, że jestem niewolnicą? Ahmed, który już wcześniej zdał sobie z tego sprawę, odpowiedział:

— To dla mnie nic nie znaczy. Jeżeli zgodzisz się na moje towarzystwo, przysięgam, że pewnego dnia uwolnię cię od tego łańcucha.

Zahira zatrzymała się na chwilę, spojrzała nań przenikliwie i na dnie jej ciemnych oczu zaigrał płomyk.

— Co ty mówisz?

— To, co słyszysz. Będę pracował bez odpoczynku, aż zaoszczędzę ile trzeba, żeby cię wykupić.

Znów ruszyła przed siebie.

— Jesteś szalony, choć muszę przyznać, że wiesz, jak przemawiać do dziewczyny.

— Możesz sobie myśleć, że to czcza gadanina, ale przysięgam, że już od dziś zacznę odkładać wszystkie zarobione pieniądze, aby uczynić cię wolną! — zawołał Ahmed. — Tymczasem proszę cię o jedno.

Dziewczyna przystanęła i popatrzyła mu z ciekawością w oczy.

— Słucham..

— Powiedz mi, w jakie dni chodzisz na targ, i ustalmy, jak możemy się spotykać. Dzięki temu podczas naszych rozmów będziesz mogła lepiej mnie poznać.

Zastanowiła się przez chwilę.

— No dobrze — ustąpiła. — Przychodź w poniedziałki do straganu z kwiatami stojącego przy pierwszej kolumnie portyku i pytaj o Margaridę. Kiedy będę chciała ci coś przekazać, zrobię to za jej pośrednictwem.

Powiedziawszy to, oblała się nagłym rumieńcem i przyspieszyła kroku, zostawiając w tyle Ahmeda, któremu się wydawało, że unosi się w chmurach.

I nadal się w nich unosił, bo choć od tamtego spotkania upłynęło wiele miesięcy, początkowe urzeczenie przekształciło się w czystą i bezwarunkową miłość — niewinną i czułą — a jej zaskoczonymi świadkami stały się dwie dziewczynki, które ukryte za zakrętem drogi ujrzały, jak Ahmed i Zahira siadają i patrząc sobie w oczy, szepczą sekrety zakochanych.

13

Simó „Renegat”

Przebiegły licytator z targu niewolników, właściciel domu w pobliżu drogi prowadzącej na La Boquería, przygotowywał pewien plan, który — gdyby wszystko poszło zgodnie z zamierzeniami — zapewniłby mu pieniądze od obu stron, i to niemałe. Pedro Ramón, pierworodny syn hrabiego, rozszerzył jego uprawnienia i chociaż imię protektora „Renegata” było w całym mieście powszechnie znane, nikt nie ośmielał się podnosić głosu, a tym bardziej wyrażać jakiegóż krytyki czy sprzeciwu, gdyż przypuszczano, że hrabia dobrze wie o całym interesie i pozwala na te kombinacje. Tak czy owak na pośrednie polecenie młodego dziedzica Simó miał oddzielać najsmaczniejsze kęski, które szły na targi ludzkiego mięsa, i kupować je w jego imieniu po niskiej cenie, zanim dotrą na licytację. Sprzedawcy się na to godzili, bojąc się utraty rozlicznych korzyści, jakie dawał im ten ważny rynek. Licytatorzy zaś milczeli, choć sprawa była tajemnicą poliszyneła i domyślali się, że towar, który nie szedł pod młotek, musiał być najwyższej jakości, ale ponieważ go nie widzieli, to i zbytnio nie opłakiwali, pocieszając się myślą, że trafiał on do pałacu, gdzie ogół śmiertelników nie ma dostępu. Szeptano... mówiono... ale niczego konkretnie nie wiedziano i wszystko to były tylko domniemania.

Osobą, z którą „Renegat” zawierał umowy i która umożliwiła mu prowadzenie tego intratnego interesu, jako że sam nie miał wolnego wstępu na dwór, był Marçal de Sant Jaume, który utrzymywał

bardzo bliskie stosunki z dziedzicem i którego słowo było przez wszystkich uważane za prawo, przypuszczano bowiem, że mówi on w imieniu przyszłego hrabiego Barcelony.

Tego popołudnia, po licytacji, Simó, który przebył konno całe miasto, od bramy Castellnou przez dawne rzymskie *cardo*, aż wyjechał przez Pía del Mercat, wspinał się, pocąc i dysząc, po schodach prowadzących do szlacheckiego domostwa wznoszącego się w Vila Nova de Sant Cugat del Rec, poza obrębem murów i powyżej Via Francisca. Zawsze kiedy miał się spotkać z Marçałem de Sant Jaume, starał się być sam, gdyż nie ufał nawet własnym sługom noszącym lektykę, którzy, jak wszyscy niewolnicy, mieli skłonność do komentowania każdego kroku swojego pana: im mniej ludzi wiedziało o jego matactwach i im dyskretniej sze były te wizyty, tym korzystniej dla jego interesu układały się sprawy; toteż tym razem udał się tam na białej klaczy, która z rezygnacją doniosła do celu jego korpułentną osobę. Z jeszcze jednego powodu Simó wołał udać się tam samotnie: Marçal de Sant Jaume nie ukrywał przykrości, jaką sprawia mu rozmowa z licytатorem niewolników, i nie tracił żadnej okazji, żeby go upokorzyć. A Simó nie chciał do publicznych szyderstw dodawać upokorzenia, na jakie szlachcic narażał go prywatnie.

Oddawszy masztalerzowi, który wyszedł mu na spotkanie, wodze swojej klaczy i odpocząwszy chwilę na głównym podeście, by odzyskać dech w piersi i zastanowić się nad najlepszym sposobem przedstawienia sprawy, Simó uniósł prawą dłoń brązową kołatkę w kształcie łapy bazyliuszka i uderzył nią w drzwi. Po krótkiej chwili dał się słyszeć trzask rygli. Drzwi się otworzyły i majordom, dawny niewolnik kupiony na jednej z licytacji, rozpoznał gościa i ze słodkim uśmiechem zaprosił do środka.

— Wejdźcie, Simó.

Sprytny licytator zauważył, że zamiast zdradzającego kondycję niewolnika łańcucha hańby majordom ma na szyi złoty sznur, co wskazywało, iż jego pan wypowiedział przed notariuszem magiczne słowa: *Ego hunc kominem liberum esse aio*. „Oświadczam, że ten człowiek jest wolny”.

— Bądź pozdrowiony, Samirze. Jak widzę, los ci sprzyja, i cieszę się, że uzyskałeś kategorię wyzwolenca. Kiedy ujrzałem cię wchodzącego na podest, byłem pewien, że wystawiam na licytację przyszłego wolnego człowieka.

— Nie mogę się skarżyć: gwiazdy były mi przychylnie i koło fortuny obróciło się na moją korzyść. Wielkoduszność pana zwróciła się w moją stronę i przed niespełną tygodniem wprowadziła mnie do stanu, w jakim teraz jestem.

— Nie wiesz nawet, jak bardzo się cieszę. Czy twój pan jest w domu?

— Natychmiast was zapowiem. Przejdźcie do salonu, jeśli łaska.

Simó wszedł do wskazanego pomieszczenia i nie mógł powstrzymać podziwu dla jego wystroju. Posadzki były wyłożone grubymi dywanami i ozdobione trzema ogromnymi poduszkami; na ścianach wisiały panoplie z krzywymi mauretańskimi mieczami i szablami, a w jednym z kątów stała dymiąca kadzielnica, z której wydobywała się woń kardamonu. Oświetlenie zapewniały dwa olbrzymie kandelabry na czternaście świec każdy, ustawione w taki sposób, że ich światło padało w miejsce, gdzie leżały poduszki.

Czujnym uchem licytator złowił szmer zbliżających się kroków. Odwrócił się natychmiast, wstrzymując oddech. Zawsze był zdenerwowany, kiedy musiał stanąć twarzą w twarz z tym szlachcicem. W drzwiach pojawił się Marçal de Sant Jaume, na nogach miał miękkie ciżmy.

— Jak śmiesz pokazywać się w moim domu? — spytał, nawet nie zaszczyciwszy gościa spojrzeniem.

Simónowi pociły się dłonie.

— Wielmożny panie... zapewniam was, że gdyby nie chodziło o sprawę najwyższej wagi i korzystną dla nas obu, a także dla pana dziedzica, nigdy bym się nie ośmielił niepokoić was o tej porze.

Marçal de Sant Jaume popatrzył z pogardą na przybysza i nie mówiąc słowa, opadł na miękkie poduszki, podczas gdy Simó nadal stał z pochyloną głową. Gdy pan domu dwukrotnie klasnął w dłonie, ukazała się młoda Czerkieska ubrana w obcisłą tunikę przepasaną sznurem na wysokości dekoltu, kaftan z żółtej wełny zaledwie okrywający jej młode piersi, bufiaste szarawary z cienkiej tkaniny, przez którą prześwitywały szczupłe łydki, i pantofle ze spiczastymi noskami. Na polecenie pana przyniosła na tacy cynowy puchar, w którym widać było jakiś bursztynowy napój.

Kiedy już wychodziła, licytator zlustrował wzrokiem jej postać i nie mógł się powstrzymać, by nie wykrzyknąć ścisłym głosem:

— Na Boga, prześliczne stworzenie!

Czuły słuch Marçala de Sant Jaume wychwycił ten komentarz.

— Przecież to ty, tłusta beko, sprzedajesz mi Zahirę! A teraz zaskakuje cię jej uroda?

Simó przełknął ślinę, zanim odpowiedział, i podczas gdy przeklinał siebie za nieostrożność, w głębi ducha zapragnął, by nie musiał dłużej znosić impertynencji aroganckiego szlachcica.

— Panie, przeszło ich tyle przez moje ręce, że ledwie je pa miętam. Ale wyryły mi się w pamięci jej zalety, które tak ożywiły licytację, i pamiętam, że ta istotka umiała czytać i pisać. Jednak przyznacie, że choć przed licytacją staram się je upiększać za pomocą pomadek i strojów, to ich wygląd zmienia się zupełnie, dopiero gdy dobrze odkarmione i lepiej odziane znajdują schronienie w takim domu jak wasz.

Marçal uczynił gest udawanego znużenia, choć w duchu był z pochwał gościa bardzo zadowolony.

— Jestem już człowiekiem w podeszłym wieku, gruby Simónie, i roztropność, cnota starców, nakazuje mi ukrywać swoje myśli, jeśli nie chcę skończyć na muzułmańskim dworze jako moneta przetar gowa jedynie dlatego, że okazałem zbytnią śmiałość wobec pani tego lupanaru, jakim jest dwór hrabiowski... Ale zostawmy te pogawędki i przejdźmy lepiej do sprawy, która cię tu sprowadza i ma według ciebie uczynić nas bogatymi.

Simó głęboko odetchnął i w możliwie zachęcający sposób zaczął przekazywać treść rozmowy, którą odbył z owym złowróbnym przybyszem z opaską na oku.

Po drobiazgowej relacji, podczas której podkreślał swoje słowa gestami tłustych dłoni, zaczęły się pytania szlachcica.

— I powiadasz, że nazywa się on Bernabé Mainar — rzekł Marçal de Sant Jaume obojętnym tonem.

— Właśnie tak, panie.

— I że nosi czarną opaskę zakrywającą oko.

— W rzeczy samej, panie.

— I idziesz spotkać się z jakimś nieznanym, nie znając ani jego, ani jego zamiarów? Stajesz się coraz bardziej nieostrożny, Simónie!

Skarcony opuścił głowę i wymamrotał wyjaśnienie:

— Panie, kiedy takie okoliczności ktoś popiera sakiewką zawierającą dość pieniędzy, aby kupić najwspanialszego spośród młodzień-

ców, choć nie otrzymał dotąd nic w zamian, to zrozumiałe, że zapragnąłem poznać tak szczerzego człowieka. Oczywiście połowa należy do was, jak zwykle, o ile zapragniecie uczestniczyć w tym interesie.

Marçal de Sant Jaume próbował ukryć uśmiech zadowolenia i zdawał się zastanawiać nad odpowiedzią.

— Zobaczmy, czy dobrze zrozumiałem twoją propozycję. Przede wszystkim musisz wyszukać dla tego człowieka najodpowiedniejsze miejsca, w których mógłby otworzyć swoje domy schadzek.

— Właśnie tak, panie. To nie taka sama klientela ani, co za tym idzie, taka sama cena, jaką zapłaci byle kupiec z wybrzeża za chwilową przyjemność z jakąś dziewczyną. Tu wchodzi w rachubę potężni panowie czy opaci.

— A powiedz mi, jak ja mam to sprzedać naszemu protektorowi?

Przebiegły Simó zauważył z zadowoleniem, że Marçal de Sant Jaume daje się wciągnąć w jego grę.

— Mając na względzie zażyłość, z jaką traktuje was dziedzic, nie powinno to być dla was trudne.

Marçal odpowiedział lodowatym tonem:

— Nie proszę cię, żebyś mi schlebiał, przypominając, że cieszę się zaufaniem mojego pana, lecz byś mi wyjaśnił, w jaki sposób mam podejść do tej sprawy i uzasadnić konieczność jego patronatu.

Tęgi licytator zrozumiał przesłanie.

— Chodzi, panie, o to, że dziedzic chce korzystać z prawa wybierania najlepszego towaru na licytacjach: już to, żeby zrobić podarek komuś spośród swoich przyjaciół, kto na to zasługuje, już to dla własnej satysfakcji, co niesie ze sobą wiele trosk i kosztów, gdyż liczba niewolników w pałacu już jest znaczna i nadejdzie dzień, w którym może dojść do jakiejś kłopotliwej komplikacji, niewykluczone nawet, że z hrabiną. Jednakże naszego przyszłego współnika bardzo interesuje opieka dziedzica: wiecie, na jakie trudności narażone są takie interesy... Zawsze znajdzie się jakiś bliźni, który powodowany nieokiełznaną zawiścią, jako że dla własnej przyjemności dysponuje wyłącznie krocem nieapetycznej żony, pobiegnie do najbliższego kościoła, by donieść, że w sąsiedztwie kupczy się cnotą takiej czy innej dziewczyny.

— I co dalej?

— Jeżeli dziedzic zgodzi się na to, co wam proponuję, będzie

korzystał z tych samych przywilejów, nie zawracając już sobie głowy gromadą osób, które trzeba karmić, odziewać i trzymać we własnym domu. A w zamian będzie tylko roztaczał swoją opiekę.

— Rozumiem... Czyli pierworodny syn hrabiego będzie miał pierwszeństwo do jakiegokolwiek sztuki bądź dla własnego kaprysu, bądź dla sprawienia przyjemności przyjacielowi czy stronnikowi, z zapewnieniem odpowiedniej dyskrecji.

— No właśnie. Niezależnie od tego, że jeśli sobie tego zażyczy, wskazana dziewczyna będzie zarezerwowana dla osób o najwyższej pozycji. A w zamian, gdyby pojawił się jakiś problem, rozciągnąłby nad tą sprawą płaszcz swojej opieki.

— Zaczynam rozumieć. I przypuszczam, że zarówno ty, jak i ja, w razie gdy dojdziemy do porozumienia, uzyskamy część dochodów z tego tak wygodnego interesu. — W tonie Marçala dawała się wyczuć uraza, że musi dzielić los z osobnikiem pokroju Simóna „Renegata”. Ale chciwość, jak zawsze u niego, brała górę nad honorem.

— Oczywiście, panie.

Pod zalęknionym spojrzeniem Simóna Marçal de Sant Jaume zapadł na chwilę w zadumę.

— Postawić wszak muszę jeden dobrze zrozumiały warunek: że wszystko będą omawiał tylko z tobą. Będziesz pośredniczył w kontaktach z tym dziwnym osobnikiem i z wyjątkiem tego razu, kiedy go poznam, nigdy nie będzie mógł do mnie przyjść bez twojego towarzystwa, o ile go sam nie wezwę... I to wyłącznie w nielicznych i poważnych przypadkach.

— To oczywiste, panie — zapewnił Simó. — Odtąd kontakty z tym osobnikiem biorę wyłącznie na siebie. Jego uwagi dotyczące jakiegokolwiek aspektu wspomnianego interesu będą czynione za moim pośrednictwem.

— Wobec tego nie ma co gadać po próżnicy. Załóżmy kądziel na kołowrotek i zobaczymy, dokąd nas zaprowadzi ta ekstrawagancka propozycja. — I nie pożegnawszy się z Simónem, Marçal de Sant Jaume podniósł się z poduszek i opuścił salę.

14

Bernabé Mainar

Podróżny zakwaterował się w zajezdzie Guillemy, który polecił mu Simó, i tam z niecierpliwością czekał na wiadomość od swojego przyszłego współnika. Nie mając nic innego do roboty, oddawał się spacerom po mieście, gdzie rozpoznawał pewne miejsca, odkrywał inne i dziwił się, jak bardzo się ono rozrosło.

Owego ranka wyszedł w określonym zamiarze. Zatrzymał się przed pałacem hrabiowskim, potem skierował kroki w stronę Palau Menor i posuwał się wzdłuż linii murów miejskich, obserwując uważnie ruch przy poszczególnych bramach i pracowitą krzątanie strażników i kupców. Następnie przez Call zszedł aż do nabrzeży, gdzie liczba statków, które kotwiczyły w porcie, uświadomiła mu, jak bardzo rozwinęła się Barcelona. W końcu skierował kroki ku miejscu budzącemu jego największą ciekawość. Jak powiedział mu pewien człowiek poproszony o informację, było ono źródłem podziwu dla miejscowych i obcych: chodziło o Ogród Lai. Kiedy do niego wszedł, udał się aż pod pomnik z szarego marmuru i bazaltu. Tam się zatrzymał i przeczytał napis utworzony przez litery z brązu umieszczone na płycie: „Stąd odfrunęła do nieba Laia, która na zawsze będzie żyła w pamięci tych, co ją znali. Aniołowie powinni przebywać z aniołami”.

Przebiegł wzrokiem po tym wszystkim, co rozpościerało się wokół. W końcu skierował się do wieży wychodzącej na zachód i schyliwszy się, u jej podstawy poszukał uważnie tego, co go interesowało.

Potem ruszył ku niewielkiej kapliczce stojącej przy jednym z jej boków: budynek ten, pochodzący z zamierzchłych czasów, miał jeszcze na ścianach ślady dymu i ognia, który zniszczył resztę luksusowego domu, jaki się tam dawniej wznosił. Rozejrzawszy się wokół, Bernabé Mainar poszedł załatwić ostatnią sprawę przed powrotem do swojego tymczasowego lokum. Zakasał wyłogi podróżnej opończy i włożywszy na głowę trójgraniasty kapelusz, wspiął się na Pía de la Seu i udał w stronę Pia Almoína. Tam łatwo było wmieszać się niepostrzeżenie w tłum, gdyż odkąd hrabia Suñer i jego małżonka ofiarowali kanonię na cele dobroczynne, grupka ponad stu nędzarzy — czekających z miską w ręku, aż wyjdzie braciszek zakonny z dwoma pomocnikami, aby napełnić ją zupą — czyniła potworny ścisk. Mainar stanął przy furcie i przyjrzał się górującej nad wejściem tarczy herbowej, na której widać było symbole męki Jezusa i krzyż szpitalników. Przepaska skrywająca część jego twarzy i mało wytworne odzienie pomogły mu urzeczywistnić zamiar. Poruszenie wśród żebraków dało mu znać, że lada moment rozpocznie się rytuał rozdzielania skromnego posiłku. Kiedy niewielki orszak zajął środkową arkadę, dwaj zakrystianie postawili na kamiennej posadzce olbrzymi kocioł i braciszek zaczął wypełniać swoją dobroczynną misję. Wtedy, korzystając z chwilowego zamieszania, Mainar wszedł na teren Pia Almoína i zbliżył się do drugiej furty. Obok niej wisiała na ścianie deska, do której były przytwierdzone tabliczki z imionami duchownych przebywających obecnie w tym świątobliwym domostwie; jeśli któraś tabliczka była odwrócona, to znaczyło, że jej właściciel jest w tej chwili nieobecny. Odwiedzający podchodzili tylko, żeby sprawdzić, czy zastali kapłana, którego szukają, a jeśli okazywało się, że go nie ma, po prostu się oddalali, nie fatygując brata pełniącego dyżur przy furcie.

Mainar przyjrzał się tabliczkom. Kiedy kątem oka dostrzegł, że furtian jest czymś zajęty, zaczął szybko i po cichu odwracać te, na których nie było widać napisów. Za trzecią próbą znalazł to, czego szukał: imię Eudalda Llobeta widniało wyrte ozdobnymi czcionkami przez wprawnego rzemieślnika.

Wyszedł tak, jak wcześniej wszedł, i zadowolony z tego, że znieawidzony kapłan nadal przebywa w mieście, skierował się do swojej gospody.

Człowieczek zajmujący się zakwaterowaniem podróżnych, który

rano w zamian za hojny datek pokazał gościowi drogę do miejsc, jakie ten pragnął odwiedzić, teraz, gdy tylko go zobaczył, nachylił się, wyjął spod lady opieczętowany pergamin i natychmiast mu wręczył, oczekując zapłaty. Mainar sięgnął do sakiewki i dał słudze monetę. Następnie podszedł do okna wychodzącego na wewnętrzny podwórzec i przeciąwszy wyjętym zza pasa nożem lakową pieczęć, zaczął czytać.

Do doña Bernabé Mainara

Mój Panie!

Pragnę Was powiadomić, że starania, jakie poczyniłem w związku z osobą mającą Wam ułatwić interes, który tak bardzo Was interesuje, przyniosły dobry skutek. Ponieważ pewnych spraw nie należy powierzać pismu, pragnę się z Wami spotkać w moim domu, który wiecie, gdzie się znajduje, po obiedzie w środę, gdyż tego dnia nie mam licytacji na targu i będziemy mogli omówić szczegółowo nasze sprawy.

Wasz oddany

Simó

Simón „Renegat” spotkał się z Bernabé Mainarem w najbliższą środę w swoim domu, który stał przy drodze do Cogoll. Żeby się do niego dostać, trzeba było wyjść przez bramę Castellnou przy Call i iść wzdłuż murów, po ich zewnętrznej stronie, aż do miejsca, gdzie droga skręcała w stronę Palau Menor. Ta lokalizacja była dla Simóna bardzo korzystna ze względu na niewielką odległość od targu La Boquería, gdzie odbywały się licytacje niewolników. „Renegat” przyjął chrzest i obnosił się ze swoim nowym statusem konwertyty: kazał nawet niewolnikom pracować w sobotę przy otwartych na oścież bramach, tak by przechodnie mogli widzieć, że nie przestrzega się u niego świętego dnia wspólnoty żydowskiej. Tak więc opuścił już Call, zamieszkaną przez siedemdziesiąt żydowskich rodzin dzielnicę w obrębie murów, gdzie funkcjonowały sklepy i warsztaty, jatki, łaźnia publiczna, udzielali się bankierzy, medycy... Można powiedzieć, że owa pracowita wspólnota przyszła już do siebie po spustoszeniu, jakie stało się jej udziałem pod koniec poprzedniego stulecia, kiedy Almanzor zniszczył miasto.

Dom licytatora był usytuowany dokładnie na wysokości trzeciej wieży obronnej pobliskiego fragmentu murów, między osiedlami Pi i Vilanova deis Arcs. Z zewnątrz sprawiał dyskretnie wrażenie, co odpowiadało komuś, kto nie chce zwracać na siebie uwagi, ale wewnątrz w niczym nie ustępował domowi jakiegokolwiek zamożnego kupca. Brama wychodziła na otoczony murem cienisty ogród, w którym mieściły się zadbane sad i warzywnik, a pośrodku wznosił piętrowy budynek zwieńczony dwuspadowym dachem krytym arabskimi falistymi dachówkami. Na dole była wielka sień przesadnie ozdobiona zgodnie z gustem gospodarza, salonik, obok pokój jadalny, a w głębi wychodząca na ogród kuchnia. W części górnej znajdowały się dwie sypialnie i luksus, jakim niewielu w owych czasach mogło się pochwalić: łazienka z bieżącą wodą, czyli obsługiwane przez niewolnika pomysłowe urządzenie, które prowadziło cenną ciecz od studni aż po kurek, z którego wypływała.

Bernabé Mainar porzucił już ubiór, w jakim początkowo poruszał się po mieście, i pojawił się w domu przyszłego współnika przyodziany jak zamożny człowiek interesu.

Służący, Etiopczyk z ćwiercią krwi arabskiej, zapowiedział przybysza.

— Panie, przy wejściu stoi gość, którego oczekiwaliście... ale muszę powiedzieć, że nie wygląda na zwykłego człowieka: jego lewe oko zasłania czarna opaska.

— To nie twoja sprawa, głupcze!

Sługa, niewzruszony, odparł:

— Zawsze mówiliście, że jeśli dostrzegę coś niezwykłego, mam wam o tym powiedzieć.

— Odejdź i nie odzywaj się niepytany!

Simó pobiegł na spotkanie gościa i powitał go w napuszony, przesadny sposób, typowy dla skąpca przeczuwającego dobrą okazję.

— Drogi przyjacielu, mam nadzieję, że odnaleźliście bez trudu mój skromny dom.

— Nie musiałem nawet nikogo pytać.

Simó, zamykając drzwi, wyjaśniał:

— Ponieważ jest to nowa osada, na ogół ludzie jej nie znają. To miasto tak się rozrasta, że wkrótce stanie się najbardziej kwitnącym portem Mare Nostrum. W nocy czasami ja sam mam trudności z odnalezieniem drogi. Nie dotarły tu jeszcze latarnie oświetlające

centrum Barcelony. Ale wejdźcie, bo pomyślicie, że nie jestem dobrym gospodarzem: pokażę wam swój skromny dom, a potem przejdziemy do ogrodu. W obecnej porze upałów będziemy się tam lepiej czuli i unikniemy niedyskretnych uszu. — I czyniąc porozumiewawczy gest, dodał: — W pewnych sprawach nigdy nie za dużo ostrożności.

Przeszli do wnętrza i Simó z dumą oprowadził gościa po domu, zwracając jego uwagę na nowoczesną łazienkę.

— Rzeczywiście osobliwa — skomentował Mainar. — Widziałem coś podobnego tylko na ziemiach Maurów.

— Mieszkaliście wśród niewiernych? — zapytał Simó, jak zawsze zachłanny na wszelkie informacje, które mogły się okazać użyteczne.

— Tak. I mam o nich wysokie mniemanie: dzieła ich filozofów i poetów znacznie przewyższają nieudolne osiągnięcia chrześcijan.

— Jeśli to nie jest niedyskrecja... Jaka okoliczność zawiodła was do tych ludzi o tak nieszczęsnej dla Barcelony pamięci?

— Tak, to niedyskrecja—odrzekł Mainar i zrobił krótką pauzę — ale nie przeszkoda. Potrzebny był mi kiedyś najlepszy spośród chirurgów, który mógłby przeprowadzić bardzo skomplikowaną operację, i musiałem skorzystać ze sposobności, jaką stanowiły odwiedziny w Toledo Ornara al-Kurtubiego, najlepszego kordobań-skiego medyka. Zawdzięczam mu uratowanie oka, które jeszcze mi pozostało... Ale dajmy temu spokój, bo to przywraca złe wspomnienia.

Simó nie chciał nalegać: wiedział, jak wyjść z godnością z tej sytuacji.

— Nie tylko Arabowie mają zamiłowanie do czystości — powrócił do przerwanej wątku. — Wyznawcy mojej dawnej religii również. Ale nie chrześcijanie, którzy cuchną trupem. Doprawdy nie są miłośnikami wody! Ja potrafiłem wybrać z tych trzech religii to co najlepsze, aby przetrwać w naszych burzliwych czasach.

— Z pewnością — przyznał Mainar — umiejętność żeglowania między morzami to zaleta i potwierdza, że znalazłem osobę, której potrzebuję.

— Jesteście bardzo uprzejmi i mam nadzieję, że was nie zawiodę... ale przejdźmy dalej.

Po pochwaleniu się swoją siedzibą i pokazaniu bujnego ogrodu licytator poprowadził gościa ku ławkom ustawionym pod wysokim drzewem.

— Rozsiądźcie się wygodnie. Czujcie się jak we własnym domu. Usiedli w cieniu gałęzi i po chwili owionął ich łagodny wietrzyk, który kołysząc listowiem wielkiego drzewa, orzeźwiał duszne powietrze.

Simó dwukrotnie klasnął w dłonie, żeby wezwać służącego.

Ten pojawił się natychmiast, niosąc na tacy dzbanek, w którym błyszczał jakiś czerwonobursztynowy napój, i napełnił kielichy. Postawił też obok misę z dwoma winnymi gronami.

— Mam nadzieję, że wam posmakuje, to najlepszy likier w hrabstwie. Robią go specjalnie dla mnie, a porzeczkę przywożone są prosto z Cerdañi.

Sługa się wycofał i obaj mężczyźni upili z przyjemnością wyśmienitego napoju. Mainar, mlaskając, jak to miał w zwyczaju, uznał za stosowne wygłosić jego pochwałę.

— Jest doprawdy niezrównany. Jeżeli wszystko, czego się tkniecie, robicie z taką starannością, z jaką wytworzony jest ten likier, prowadzenie z wami interesów sprawi mi bez wątpienia prawdziwą przyjemność.

— Mam taką nadzieję i sądzę, że nadeszła pora, byśmy porozmawiali o naszych sprawach.

Gość przemówił pierwszy:

— Wspominacie w waszym liście, że spotkaliście się z kimś, kto ma ułatwić urzeczywistnienie naszego ambitnego zamiaru.

— To prawda. Jak już wiecie, niełatwo jest wejść do pałacu, ale ja znam kogoś, kto ma tam wolny wstęp — pochwalił się Simó.

— A czy możecie zdradzić, jeśli nie ma jakichś przeszkód, o kogo chodzi?

— Nie ma takich przeszkód. To oczywiste, że ów człowiek będzie uczestniczył w interesie, ale pragnie kontaktować się tylko ze mną — rzekł Simó, ani słowem nie wspominając o upokorzeniu, na jakie te kontakty go narażały.

— Naturalnie, i bądźcie pewni, że znam swoje miejsce.

— Chodzi o doña Marçala de Sant Jaume, który w swoim czasie był ulubieńcem hrabiego Ramóna Berenguera, lecz pod wpływem okoliczności, jakie zdarzają się w życiu, popadł w niełaskę hrabiny, co sprawiło, że zmienił front.

— Ja, chociaż z oddali, śledziłem tę historię. Czy to przypadkiem nie z powodu niefortunnego incydentu z fałszywymi marawedi stanowiącymi okup za syna Al-Mutamida?

- Czyżbyście znali tę okoliczność? — zdziwił się licytator.
- Doszło to do moich uszu. W owym czasie mieszkałem w Urge-lu, a jak wiecie, hrabia Armengolu jest kuzynem hrabiego Barcelony.
- Otóż to jest nasz człowiek w pałacu.
- Co macie na myśli, mówiąc, że zmienił front? — zapytał Mainar.
- Simó ściszył nieco głos i zaczął dokładnie opowiadać swojemu uprzejmemu rozmówcy wszystko, co wiedział o dworskich sprawach.
- Na dworze są dwa stronnictwa: hrabiny Almodis, która manipuluje do woli hrabią, i pierworodnego syna Ramóna Berenguera, Pedra Ramóna, urodzonego z nieodżałowanej Elisabet z Barcelony. Ci, co żyją przeszłością, dołączają do tego pierwszego, a my, którzy wierzymy w przyszłość, popieramy to drugie. Chwilowo stanowimy nieliczne, lecz doborowe towarzystwo, skupione wokół mojego protektora, doña Marçala de Sant Jaume. Jak już mówiłem, ma on klucz do pokoi prawdziwego dziedzica, do którego zwrócimy się o pozwolenie i protekcję dla naszej delikatnej działalności.
- Rozumiem. A co jest przyczyną konfrontacji?
- Wszystko to tylko pogłoski, mój drogi Mainarze... ale dobrze wiecie, że czasem te okazują się heroldami przyszłości. — Zrobił pauzę, by nadać większy efekt dalszym słowom. — Doszło do moich uszu, że hrabina zamierza zmienić kolejność dynastyczną na rzecz swojego ulubieńca, jednego z bliźniaków, ze szkodą dla Pedra Ramóna, który jest synem pierworodnym.
- Bernabé Mainar przez chwilę milczał, porządkując myśli.
- Gdyby nawet to, co mówicie, było prawdą, myślę, że drugi bliźniak też ma coś do powiedzenia.
- Jest jeszcze za wcześnie... Nie zapominajcie, że obaj są bardzo młodzi, ale jest niezbitym faktem, że matka ma swojego ulubieńca i zawsze sprzyja Ramónowi z uszczerbkiem dla Berenguera.
- A czy takie nastawienie ma jakieś podstawy? — zainteresował się Mainar.
- Być może. Na dworze się powiada, że pierwszy z nich jest rozumny w swoich sądach, staranny w pracach i pilny w nauce, podczas gdy Berenguer, który przyszedł na świat jako drugi, jest kapryśny i okrutny, a do pałacowej służby odnosi się z pogardą.
- Wobec tego nie należy się dziwić preferencjom hrabiny. Co w tym złego, że myśląc o przyszłości, ma na względzie dobro swoich poddanych?

— Nie o to chodzi. Nie jest ważne, co robi z bliźniętami, jak również ze swoimi córkami, hrabiankami Inés i Sancha; natomiast sprawiedliwość nakazuje, żeby hrabstwo odziedziczył najstarszy syn hrabiego, a tym jest nie kto inny, tylko Pedro Ramón, który zaczyna już mieć dość knozań macochy zmierzających do odsunięcia go od tronu. Poza tym nie leży to w naszym interesie, gdyż właśnie jemu zawdzięczam prawo pierwokupu niewolników, a teraz, za pośrednictwem doña Marçala de Sant Jaume, będziemy też szukali jego opieki.

— Zaczynam rozumieć i gratuluję sobie, że was spotkałem. Wygląda na to, że poruszanie się po dworze w cieniu potężnych osób jest wielką sztuką.

— Z pewnością. Wszystko polega na tym, by wiedzieć, jaką strunę potrać w danych okolicznościach, ażeby lutnia wydawała dobrze nastrojony dźwięk, a tej umiejętności nabiera się z czasem — pochwalił się licytator.

— Dobrze, przejdźmy więc do drugiej sprawy. Jak sądzicie, gdzie należy usytuować nasze interesy? Oczywiście musi to być poza murami, jednak w dostępnym miejscu.

— Przede wszystkim muszę was spytać... i proszę mi wybaczyć tak oczywiste pytanie... Czy dysponujecie wystarczającą gotówką albo kredytem, aby sprostać podobnemu wydatkowi?

— Tym się nie kłopotcie: moja sakiewka cieszy się dobrym zdrowiem.

— W takim razie nie mam już żadnych zastrzeżeń.

Simó pociągnął łyk likieru ze swojego kielicha, po czym mówił dalej:

— Zastanawiałem się nad tym wszystkim i doszedłem do dwóch wniosków. Po pierwsze, do wybranych miejsc musi być łatwy dostęp, a więc prowadzące tam drogi powinny być przejezdne i pewne; a po drugie, nie jest wskazane sąsiedztwo kościoła.

— Jestem pełen podziwu dla waszej przenikliwości. Powiedzcie mi zatem, do czego zmierzacie.

— Dwa miejsca z czterech możliwych to przedmieścia albo nowe osady, które mogą dogodnie pomieścić wasze oberże z płataną miłością, i zaraz wyjaśnię dlaczego. Najodpowiedniejszy jest Sant Cugat del Rec, położony o kilka kroków od Via Francisca, którą poruszają się liczni podróżni udający się do Barcelony lub na okoliczne targowiska.

— Z pewnością dobry wybór. Mówcie dalej.

— Potem byłaby Vilanova deis Arcs, przy wjeździe do miasta przez bramę północną, kontrolującą wylot Via Augusta: ruch jest tu natężony, a podróżując tędy na ogół przybysze z hrabstw leżących na północy, bardziej skłonni do wydawania pieniędzy w wielkim mieście.

— Podziwiam, jak szybko i przenikliwie zrozumieliście moje życzenia — pochwalił go Mainar.

— Zawdzięczam to swemu stanowisku. Stojąc na trybunie, zawsze potrafię odkryć licytującego, który skłonny jest przebić cenę jakiegoś niewolnika, i niemal nigdy się nie mylę.

— Z ciekawości chciałbym wiedzieć, dlaczego odrzuciliście dwa pozostałe miejsca.

— Pierwsze z nich to Vilanova de la Mar, dzielnica rybaków: motłoch, nędza i rozpacz, do tego w pobliżu jest kaplica Santa Maria de les Arenes, a to bez wątpienia nie najlepsza sąsiadka dla waszego cielesnego interesu.

— A drugie?

— Osada Pi: kościół Santa Maria del Pi stoi tuż obok, a poza tym leży ona przy drodze prowadzącej na cmentarz Montjuïc i do kamieniołomów. Dlatego też do pierwszej niedogodności dochodzi tu jeszcze druga: ludzie, kiedy przypominają sobie, że ten świat ma swój kres i że przy końcu drogi czeka na nich kostucha, zazwyczaj oddają się myślom o wiecznym ogniu. W dodatku kamieniarze nie bardzo są skłonni do cielesnych figli, gdyż w godzinach nocnych ich obolałe ciało pragnie jedynie dobrego wypoczynku, i niechętnie otwierają swoje sakiewki, aby nie stracić tego, co zdobyli z takim wysiłkiem.

— Doprawdy, Simó, zdumiewa mnie wasza bystrość i doskonale rozeznanie — powiedział Mainar z uśmiechem. — Kiedy rozpoczniemy naszą wspólną przygodę?

— Nie tak szybko: niedobrze jest stawiać wóz przed wołami. Jeden z domów, które najlepiej by się dla nas nadawały, stoi poza murami miejskimi, a jego właściciel nawet nie zdążył w nim zamieszkać, gdyż zginął z rąk jakichś zbirów, kiedy jechał na targ do Vic. Wdowa, kobieta głęboko wierząca, nie mając środków na utrzymanie tak okazałego domu, sprzedała go Martiemu Barbany. Myślę, że to mało możliwe, żeby ten chciał się go teraz pozbyć, ale gdyby jednak... to miejsce byłoby doskonałe.

Kiedy Mainar usłyszał nazwisko najbogatszego barcelończyka, jego spojrzenie niemal niedostrzegalnie się zachmurzyło.

— A gdzie jest położone?

— W Vilanova del Arcs. Jest idealne: dostępne, ale na uboczu... Jednym słowem, łączy w sobie wszystkie warunki, jakich wymaga wasz interes. Ale powtarzam: zakup tego domu to skomplikowana sprawa.

— Jestem człowiekiem upartym, nigdy nie wycofuję się ze swoich zamiarów, choćby miało mnie to kosztować Bóg wie ile pieniędzy lub czasu.

— Myślę, że tym razem byłby to upór daremny.

— Lepiej jest ponieść porażkę, niż nie spróbować.

— Barbany zawsze kupuje, nigdy nie sprzedaje — zawyrokował Simó.

— Jako ekspert w tych sprawach wiecie, że zależy to przede wszystkim od sumy, o jaką toczy się gra, ale też od umiejętności przedstawienia sprawy we właściwy sposób.

— Wróżę wam porażkę — ostrzegł licytator, kręcąc głową.

— Złoto załatwia wszystko.

— Nie wszystko, jeżeli to, co chcecie kupić, należy do kogoś, kto niczego nie potrzebuje.

— Dajcie mi punkt podparcia, a poruszę ziemię. Powiedział to Archimedes.

— A co jest punktem podparcia, który miałbym wam dać?

— List polecający od doña Marçala de Sant Jaume, żeby Martí Barbany zgodził się ze mną spotkać. Resztę biorę na siebie — powiedział stanowczo Mainar.

— Nie wiem, jakim wybiegiem chcecie się posłużyć, ale jeżeli chodzi tylko o pieniądze, to możecie zacząć myśleć o innym miejscu.

— Każdy człowiek ma jakąś słabą stronę: trzeba ją tylko znaleźć u Martiego Barbany.

— Na moją brodę, jesteście uparci! — rzekł Simó, uśmiechając się porozumiewawczo. — Ale możecie liczyć na ten list.

15

Rozmowy w alkwie

Hrabiostwo Barcelony przebywali razem w swoich pokojach i Almodis z entuzjazmem komentowała mężowi szczegóły ostatniego posiedzenia rady, której zlecono spisanie *Usatges*. Hrabia zwykle tylko udawał, że słucha jej z zainteresowaniem. Z czasem opracował fortel przynoszący doskonałe rezultaty: co wieczór, zanim służba zgasiła lampki oliwne, świeczniki i kandelabry, prosił żonę, żeby opowiedziała mu, jak potoczyła się ostatnia sesja. I kiedy Almodis drobiazgowo i rozwlekle wyjaśniała mu wszystkie szczegóły, on starał się wryć sobie w pamięć kilka punktów, które zwróciły jego uwagę. Potem umysł hrabiego przechodził do własnych spraw, odcinając się od tego monotonnego głosu.

W pewnej chwili hrabina zaczynała narzekać, że jej nie słucha, a wtedy Ramón zasłaniał się tarczą swojego wybiegu.

— Mylicie się, pani. Właśnie zastanawiałem się nad tym, co tak rozsądnie postanowiliście w związku z...

I tu odwoływał się do zapamiętanego szczegółu, wykazując w ten sposób, że uważnie jej słucha. Hrabina była zadowolona i mogli zaczynać noc w spokoju i zgodzie.

Tak czy owak tym razem było inaczej, gdyż tematy, jakie poruszyła hrabina, natychmiast obudziły jego zainteresowanie.

— Drogi mężu, składacie na moje barki zbyt wielką odpowiedzialność, nie śmiem bowiem omawiać pewnych spraw o szczególnym znaczeniu, nie naradziwszy się wcześniej z wami.

Z tonu jej głosu Ramón wywnioskował, że żona przygotowuje grunt, aby poruszyć jakiś istotny temat, i że lepiej będzie, jeśli posłucha uważnie.

— Nie musicie się martwić. Bądź co bądź to ja muszę zatwierdzić wszelkie dyspozycje.

Almodis pokręciła głową.

— A jednak to niedobrze, żebym bez waszej zgody mieszała się do spraw, które mogą budzić przeciwne opinie. Niedobrze też, by wybitni sędziowie i notariusze przedstawiali swoje zdanie, jeśli takie sprawy nie powinny być omawiane.

— A jakież to sprawy? — spytał hrabia, tym razem szczerze zainteresowany.

— Niemające nic wspólnego z kodyfikacją zwyczajów, a jednak ściśle związane z przyszłością waszego ludu.

— Niepokoić mnie, pani. Wyjaśnijcie mi to.

Almodis zrobiła pauzę i stanąwszy przed wypolerowanym lustrem, zaczęła zdejmować nakrycie głowy.

— Jak się domyślacie, rozważyłam głęboko tę sprawę, zanim zwróciłam się do was ze swoimi troskami, i dowiedziałam się, że ludzie, którym całkowicie ufam, sądzą podobnie jak ja.

Hrabia popatrzył na nią wyczekująco. Almodis była już pewna, że całkowicie przykuła jego uwagę, i obojętnym głosem, jakby sprawa nie dotyczyła jej osobiście, zaczęła przedstawiać swoje obawy związane z pierworodnym, Pedrem Ramónem.

— Nie chcę wywierać na was wpływu przy wyborze dzica, ale po prostu muszę wam powiedzieć, że charakter waszego pierworodnego czyni go nieprzydatnym do tak ważnej czynności jak sprawowanie rządów; nie wiem, czy powinniście mianować kuratelę trzech wyższych urzędników dla oceny jego dojrzałości, czy też wyznaczyć Kościół do tak ważnego zadania, ale nalegam: w chwili obecnej nie jest on właściwą osobą.

Hrabia, który znał usposobienie żony i wiedział, że lepiej jest nie przeciągać struny, odparł:

— To, co proponujecie, wydaje się prawie niemożliwe i zasadniczo nie jestem zwolennikiem poruszania tej sprawy. Jednak chętnie poznam zdanie uczonych sędziów na ten temat. Jeżeli wszyscy oni będą zgodni, wezmę to pod rozwagę.

Almodis zrozumiała, że walka, która zapowiadała się na długą, nie zaczyna się dla niej źle.

— Jeszcze jedna sprawa mnie niepokoi, mój ukochany, i choć może uznacie, że to przedwczesne, sądzę, że należy zacząć o tym myśleć.

— A cóż to takiego, droga żono?

— Uważam, że dzieło męża stanu znacznie przekracza czas życia jednego człowieka.

— Czy sugerujecie, że muszę gotować się na śmierć?

— W żaden sposób! Nikt bardziej niż ja nie życzy wam długiego życia.

— A zatem?

— Historia da nam miejsce odpowiadające naszym czynom i moim pragnieniom jest, aby wasze imię było błogosławione przez pokolenia, które po nas nadejdą.

— Nie rozumiem, dokąd zmierzacie — rzekł nieco znużony hrabia, pragnąc już zamknąć ten niewygodny temat.

— Powiem wam. Musimy zacząć myśleć o przyszłości naszych dzieci. Rozumiem, że z waszym synem postąpicie, jak uznacie za właściwe, ale co do naszych dzieci — hrabina podkreśliła „naszych” — znaczna część decyzji należy do mnie.

— Mówcie jaśniej, jeśli łaska, i nie przeciągajcie tych wstępów.

— Będę wyrażać się jasno i przekonacie się, że jestem bezstronna w swych zamiarach i że matczyzna miłość nie zaślepia mojego rozsądku.

— Nadal nic nie rozumiem.

— Zaraz do tego dojdę. Mamy czworo dzieci, dwie córki i dwóch synów, i moje serce matki kocha ich wszystkich jednakowo.

— Almodis, nie mówicie mi niczego nowego. Zawsze wiedziałem, że się o nie troszczycie, ale nadal nie rozumiem, do czego zmierzacie.

— Już to mówię. Wszyscy czworo, jako dzieci hrabiowskiego domu, muszą posłusznie wypełniać swoje obowiązki, dlatego ich małżeństwa powinny być planowane z największą uwagą. Wicie, jakie znaczenie ma to, kto zajmuje miejsce w łóżu i jaki wpływ, dobry lub szkodliwy, może wywierać na współmałżonka.

— Rozumiem to doskonale i tylko Bogu wiadomo, ile razy dziękowałem Mu za waszą troskę. Muszę wam wyznać, że po

długich latach rządów swojej babki, Ermesendy z Carcassonne, niech Pan czuwa nad jej duszą, która tak dobrze dbała o interesy hrabstwa, nieraz wybierałbym niewłaściwą drogę, gdybym wcześniej nie spotkał was na swojej drodze życia.

— Zostawmy w spokoju waszą babkę — odparła Almodis — która najbardziej się troszczyła o swoich popleczników, i wróćmy do dnia dzisiejszego. Moim obowiązkiem jest oczyszczać przed wami drogę i dbać o te domowe sprawy, które, choć mało ważne i niewygodne, czasami mogą mieć w końcu wielkie znaczenie.

— Skupmy się na zagadnieniu, które nas zajmuje.

— Małżeństwa naszych dzieci mają kapitalne znaczenie dla hrabstwa i muszą być zaplanowane zawnocześnie i rozważnie.

Teraz hrabia słuchał żony z najwyższą uwagą.

— Proszę, mówcie dalej, pani.

— Zaczniemy od naszych córek. Ich jedyną misją, tak jak w każdym związku kobiety szlachetnie urodzonej, jest danie małżonkowi dzieci, które z kolei umożliwią przyszłe sojusze z ważnymi domami. Jeżeli wybraniec jest miły i przystojny, jak w jednym z przypadków, którymi za chwilę się zajmiemy, tym lepiej, ale jeśli tak nie jest, pierwszeństwo ma interes hrabstwa.

W tej chwili przemówiła ojcowska miłość.

— Doprawdy sądzicie, że nie za wcześnie na poruszanie tego tematu?

— Jak myślicie, w jakim byłem wieku, kiedy zaplanowano moje pierwsze małżeństwo z Hugonem z Lusignan? Tak jak wszyscy ojcowie nie chcecie widzieć, że wasze córki rosną... Inés i Sancha nie są już dziećmi.

— Nie chciałbym, żeby małżeństwo któreś z moich córek zostało anulowane z powodu jej niedojrzałości, jak stało się to w wypadku waszego — zaznaczył hrabia.

— Dobrze wiecie, że było to wynikiem późniejszych umów. Jeśli takie rozwiązanie jest obopólnie korzystne, strony powołują się na pokrewieństwo czy znajdują jakiś inny pretekst. Wiecie też — ciągnęła szydlerczo Almodis — że rzymski Kościół dopuszcza wszystko, co jest dobrze uzasadnione dużymi pieniędzmi, prebendami i zyskami. Ale zgadzam się z wami: lepiej, żeby nie wydarzyło się nic takiego i żeby ludzie żyli szczęśliwi, o ile taki stan rzeczy istnieje na tym świecie szaleńców i świętych, gdzie przyszło nam żyć.

— Widzę wyraźnie, że ten temat nie jest owocem improwizacji i że jest coś jeszcze, co was zajmuje od dłuższego czasu. O kim pomyśleliście dla naszych córek? — ustąpił w końcu hrabia.

— Znacie mnie dobrze i wiecie, że nie lubię się zdawać na łaskę opatrności. Uważam, że sami najlepiej potrafimy zadbać o własną przyszłość, i nie zamierzam pozostawiać spraw własnemu biegowi.

Twarz hrabiego wyrażała najwyższe zainteresowanie.

— Sądzę, że powinniśmy zawierać przymierza po obu stronach Pirenejów — ciągnęła porywczo Almodis. — Nie trzyma się wszystkich jajek w jednym koszu. W ten sposób zależnie od tego, skąd wieje wiatr, możemy się zdecydować na jedną lub drugą stronę Septimanii i wybrać to, co będzie nam bardziej odpowiadało.

— Pytam ponownie — powiedział hrabia, skrywając uśmiech — o kim myślicie?

— Po tej stronie, by się tak wyrazić, o Guillemie, hrabim Cerdañi, dojrzałym mężczyźnie, który właśnie owdowiał i który będzie zachwycony koligacją z hrabstwem Barcelony; a po tamtej stronie o młodym i przystojnym dziedzicu hrabstwa Albonu, imieniem Guigues.

— Który z nich będzie dla Inés, który dla Sanchy? Bardzo różnią się od siebie wyglądem i wiekiem...

— Jak rozumiecie, to najmniej mnie martwi. Żeby uniknąć niesprawiedliwości, możemy losować. Czy wy sami, zanim mnie poznaliście, mieliście możliwość wyboru?

Hrabia milczał przez chwilę, jak zawsze podziwiając zmysł praktyczny małżonki i szybkość, z jaką rozwiązywała to, co dla niego było przedmiotem wahań i wątpliwości. Głos Almodis wyrwał go z zadumy.

— Ale teraz przychodzi najważniejsza z decyzji, którym musimy stawić czoło.

— Słucham was z najwyższą uwagą.

— Jeszcze nie pomyślałam o nikim dla Berenguera... — Hrabina ruchem dłoni odsunęła wątpliwości, jakie żywiła wobec tego chłopca, który też był ciałem z jej ciała.

— Wobec tego domyślam się, że pragniecie skupić się na małżeństwie starszego z naszych bliźniąt, Ramóna.

— W istocie, i musimy poświęcić temu największą uwagę, bo w kolejności sukcesji jest on chwilowo drugi... A życie może przynieść różne niespodzianki.

Hrabia, powiązawszy to zdanie z tym, co poprzednio mówiła na temat pierworództwa, przyjął postawę nieufną i podejrzliwą. Al-modis, która tak dobrze go znała, nie zlekka się jego surowej miny.

— Choć może w to nie uwierzycie — pośpieszyła z wyjaśnieniem — nie życzę Pedrowi Ramónowi niczego złego, ale nigdy nie wiadomo, co przeznaczył nam los: może wybuchnąć wojna na granicy, jego żona może okazać się bezpłodna... Nie wiadomo, czy Bóg go pobłogosławi potomkiem. Hrabstwo, które musi być pniem o wielu konarach, ma obowiązek wziąć pod uwagę wszystkie możliwości sukcesji.

Widząc, że czoło małżonka się wygładza, hrabina zrozumiała, iż wyszła z tej delikatnej sytuacji obronną ręką.

— Mówcie dalej, jakie macie plany wobec Ramóna.

— Przyszło mi na myśl, drogi małżonku, że najbardziej odpowiedziałby Barcelonie sojusz z papieżem, jako że nigdy nie byliśmy przezeń lubiani. A Kościół jest potężnym sprzymierzeńcem.

— Zatem?

— Wiecie, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Znacie też względy, jakimi w Stolicy Apostolskiej cieszy się diuk Roberto Guiscardo.

Hrabia przytaknął skinieniem głowy.

— Jeżeli więc wynegocjujemy małżeństwo jego córki Mafaldy z Apulii z naszym Ramónem, zyskamy sojusznika na burzliwych wybrzeżach Morza Śródziemnego i drugiego na nie mniej nie spokojnych wodach papieskiej dyplomacji.

Hrabia szczerze się uśmiechnął.

— Podziwiam was, pani. Myślę, że gdyby mnie zabrakło, a was ustanowiono by regentką, hrabstwo zyskałoby na rozsądku, roztropności i dobrych rządach.

— Ja jestem tylko cieniem rzucanym przez wielkie drzewo; bez was byłabym zaledwie biedną, wylęknioną kobietą, nikim więcej.

I hrabia, który już od dłuższej chwili pragnął dotknąć ustami warg małżonki, położył kres tej rozmowie pocałunkiem stanowiącym preludium do uroczej nocy.

16

Przedsiębiorstwo okrętowe

Pomyślne wiatry sprzyjały niezmiennie działalności handlowej Martiego Barbany. Zawsze tak było: im trudniejsze stawały się okoliczności jego życia uczuciowego, tym lepiej wiodło mu się w interesach. W owych dniach można było powiedzieć, że żaden obywatel Barcelony nie gromadził takich bogactw, jakie przynosiły jego liczne i różnorakie interesy. Winnice Magorii dawały doskonałe wina. Woda z jego studni płynęła nieprzerwanie i sieć dostarczająca mieszkańcom ten cenny płyn stała się świetnym interesem. Młyny pracowały dzień i noc, mieląc przywożoną przez rolników z pobliskich gospodarstw pszenicę, której piątą część zachowywano dla niego. Towary bez przerwy wypełniały ładownie jego statków, praca w stoczniach trwała nieustannie, dźwięk młotów kowali i pił cieśli, któremu wtórowały rozkazy mistrzów, był dominującą muzyką w nadmorskiej dzielnicy. Ale niewątpliwie interesem, który uczynił Martiego Barbany legendą w oczach współmieszkańców i który przekroczył granice hrabstwa, był import czarnego oleju z odległego Wschodu. Produkt ten, z dnia na dzień używany do coraz liczniejszych celów, oświetlał już nie tylko ulice miasta, lecz także wielką liczbę domów katalońskich hrabstw. Interesy nie mogły iść lepiej i Marti uważał, że to owa nieustająca aktywność nie pozwoliła mu oszaleć z bólu. O świcie kierował się do wieży nad brzegiem morza, gdzie przy stoczni miał swoje biuro i gdzie już czekał cierpliwie tłum ludzi pragnących się do niego dostać. Począwszy od tej chwili,

różnorodne sprawy zajmowały mu cały dzień, tak więc niemal nigdy nie miał czasu na wypoczynek, nawet w porze obiadu.

Potok sprzecznych uczuć zalewał jego serce, kiedy po powrocie do domu przyglądał się ukradkiem zabawom i sprzeczkom małej Marty, swojego najcenniejszego skarbu, z Aminą, córką wyzwolenców. Z jednej strony przepełniała go ojcowska duma z tego cudownego dziecka, lecz z drugiej dręczył niejasny ból, gdy Marti przypominał sobie, że to ona zostanie dziedziczką imperium, nie zaś syn, który przyczynił się do śmierci jego najukochańszej żony.

Czasami, kiedy wyglądał rano przez okno gabinetu, zastanawiał się, co się stanie z tą dziewczynką, kiedy jego zabraknie na świecie, choć jednocześnie, wbrew napomnieniom ojca Llobeta, niedostatecznie się tym przejmował.

Rozległo się pukanie Ornara, wiernego pomocnika.

— Wejź, Omarze.

Drzwi otworzyły się i w progu stanął mężczyzna o smagłej twarzy, którego wraz z całą rodziną Marti kupił na targu niewolników w jakże odległych już czasach.

— Czy można?

— Wejź i siadaj.

Omar ze zwojem w ręku wszedł do wielkiego pokoju i zaczekał, aż jego pan usiądzie przy wielkim stole zastanym pergaminami i umowami, zrobił to samo.

— Znam cię dobrze, Omarze. Twoja twarz mi mówi, że coś się stało.

Wyzwoleniec poruszył się niespokojnie.

— Nic ważnego, panie, błahe sprawy domowe, ale sami wiecie: kiedy kobieta wbije sobie do głowy, że jej syn może zejść na złą drogę, to dniem i nocą nie przestaje ciosać człowiekowi kołków na głowie.

— Co to za sprawa, która spędza sen z oczu Naimie?

— Martwi się zachowaniem Ahmeda.

— Czyżby zrobił coś niewłaściwego?

— Nie, ale dopadła go choroba miłosna i matka nie może sobie z nim poradzić.

Marti się uśmiechnął.

— A co w tym nadzwyczajnego? Byłoby dziwne, gdyby w swoim wieku nie uganiał się za dziewczętami.

Omar przytaknął, gdyż w głębi ducha był tego samego zdania. I przeklinał Gualdę, od której żona się o tym dowiedziała. Zgorzkniała służąca naskarzyła Naimie, że jej córka Amina i panienska Marta pewnego letniego popołudnia poszły za Ahmedem. Usłyszawszy, że dwie dziewczynki spacerowały same po ulicach, Naima zaczęła lamentować i nie odpuściła, dopóki nie odkryła powodu tej eskapady. Od owej chwili nie przestawała narzekać, że jej Ahmed stracił głowę dla dziewczyny, która nie jest wolna.

— Wiem, panie — zgodził się Omar — ale jego matka nie aprobuje tej dziewczyny: to niewolnica i Ahmed będzie przez nią cierpieć.

— Pozwól mu dojrzeć: nic tak nie wzmacnia mężczyzny jak trudna miłość... — Zrobił pauzę, po czym mówił dalej: — Gdy nadejdzie taki moment, że sprawa zacznie się komplikować, powiadom mnie o wszystkim.

— Dzięki, panie. Zawsze podpieracie filary, zanim most się zawali.

— Przejdźmy więc do omówienia spraw bieżących.

Sekretarz rozłożył pergamin, który trzymał w rękach, i rzuciwszy na niego okiem, powiedział:

— Dzisiaj nie wszystkie wiadomości są dobre.

— Mów jaśniej. Chyba nie chcesz, żebym odgadywał wiadomości. Czas jest cenny i nie mam nastroju na zagadki.

— Dobrze, panie. „Sant Tomeu” i „Albatros” dotarły do swoich portów przeznaczenia i ich ładunki zostały zmagazynowane.

— No więc?

— Wygląda na to, że berberyjscy piraci powrócili na południowe wody Italii i że Nagib Tunezyjczyk znowu stwarza problemy.

— Czy zaatakował któryś z naszych statków? — zapytał Marti.

— Nie ośmielił się dotąd, ale ten przeklęty pirat niechybnie to zrobi, kiedy poczuje się dość silny. A jeżeli moje wiadomości są prawdziwe, wkrótce tak się stanie.

— Czemu tak mówisz?

— Nadchodzą wieści, że cieszy się on poparciem walego Tunisu, który przydzielił mu osłoniętą od wiatrów redę, gdzie ów łotr buduje statki nowego typu, korzystające zarówno z wiosł, jak i z żagli, o niewielkiej ładowności, ponoć bardzo szybkie. Kapitan Manipoulos wnosi z tego, że pomyślane są do atakowania jednostek handlowych kursujących po zwykłych szlakach.

— Zajmiemy się nim we właściwym czasie. Nie chcę być tym, który wypowiada wojnę, ale lepiej będzie uważać. — Zamyślił się na chwilę, po czym dodał: — Powiedz mi, jakie są dobre wieści, o ile takowe są.

— Kapitan Manipoulos zawiadamia mnie, że otrzymał wiadomość, jakoby wasz człowiek w Karbali, Rashid al-Malik, o którym tyle słyszeliśmy, przyjął zaproszenie do Barcelony.

Wyraz twarzy armatora nagle się zmienił. Minęło wiele lat, odkąd zaprosił Rashida do odwiedzenia Barcelony, lecz ten wciąż wymawiał się wiekiem. Marti ogromnie go cenił i nie zapominał, że to od niego wzięła początek jego fortuna, ani o zaufaniu, jakie ten mu okazał, dzieląc się z nim formułą greckiego ognia, owego dziedzicznego sekretu o niepomiernej wartości, którego rodzina Rashida przez wieki zazdrośnie strzegła — sekretu tak niebezpiecznego, że Marti wołał o nim zapomnieć.

— Czy w związku z tym mam coś przedsięwziąć? — zapytał Omar.

— Tak, powiedz kapitanowi Manipoulosowi, żeby przygotował dla niego jak najgorętsze powitanie i żeby informował mnie na bieżąco o jego podróży. To jedna z najprzyjemniejszych wiadomości od dłuższego czasu.

— Natychmiast się tym zajmę.

— Czy coś jeszcze?

— Panie, prosi o posłuchanie jakiś człowiek, niezwykle zainteresowany rozmową z wami.

— Niech zaczeka na swoją kolej — odrzekł Marti. — Codziennie wiele osób chce się ze mną widzieć. Chyba wiesz o tym.

— Wiem dobrze, panie — usprawiedliwił się Omar — ale on ma list polecający od doña Marçala de Sant Jaume.

— Jak się nazywa?

— Bernabé Mainar, panie.

Marti spojrzął w notatki leżące przed nim na stole.

— Przyjmę go w przyszłą środę po południowym posiłku.



Nadszedł wyznaczony dzień. Jedno z miejsc w wielkim salonie wypełnionym oczekującymi na spotkanie z Martim Barbany zajął wytworny kupiec. Wyróżniał się jednak nie tyle starannym odzie-

niem, ile czarną przepaską, która umocowana na taśmie zakrywała mu jedno oko. Ubrany był w opończę zarzuconą na krótki niebieski kaftan; w trójkątnym wykroju na piersi i rozcięciach po bokach widać było szare rękawy ciasnej, zapiętej po samą szyję koszuli. Na nogach miał lniane pończochy koloru indygo i sznurowane buty ze skóry piżmokota, na głowie zaś czapkę ozdobioną perłową broszą. Wraz z innymi czekał na rozmowę z jednym z najpotężniejszych ludzi w hrabstwie.

W bocznych drzwiach stanął odzwierny ze spisaną na papierusie listą i wypowiedział głośno nazwisko tego szczególnego gościa. Jednooki podniósł się ze stojącej w głębi ławy i ze skórzaną teką w rękę, słysząc szepty obecnych w salonie, podszedł do służki, który poprowadził go krótkim korytarzem do gabinetu gospodarza i poprosił o jeszcze chwilę cierpliwości, otworzył szeroko drzwi, by zaanonsować przybysza.

— Obywatel Bernabé Mainar stawia się na spotkanie, o które prosił.

Marti Barbany podniósł wzrok znad pergaminu, który właśnie czytał, i wstał, aby powitać gościa.

Ten podszedł do stołu zdecydowanym krokiem, zdjął czapkę i przystąpił do prezentacji.

— Wasz odzwierny zanadto mi pochlebił, muszę więc wyjaśnić, że jeszcze nie jestem obywatelem Barcelony, choć takie jest moje pragnienie.

Marti poprosił go uprzejmym gestem, żeby usiadł naprzeciw niego. Gość zdążył przyjrzeć się dokładnie pomieszczeniu, które świadczyło o bogactwie i dobrym guście i było dokładną, choć powiększoną kopią rufowego kasztelu wielkiej galery. Ściany i półki zdobił bezlik miniaturowych galeot, triem, fust i innych statków, a honorowe miejsce zajmował model „Lai”, pierwszej jednostki we flocie Martiego Barbany.

— Wasze pragnienie jest słuszne i przynosi wam zaszczyt. Wiercie mi, że uzyskanie tego obywatelstwa nie jest rzeczą łatwą i że nie leży w zasięgu każdego, kto rości sobie do niego prawo.

— Wiem to i rozumiem: taki tytuł daje wiele korzyści i dla nas, niezrodzonych ze szlachtetnej krwi, jest celem stanowiącym ogromny zaszczyt. Jednakże dla mnie wszelkie trudności oznaczają raczej bodziec niż przeszkodę.

W wymianie zdań nastąpiła krótka przerwa, po czym gość poruszył temat, jakiego Marti, człowiek taktowny i rozsądny, nigdy by nie dotknął.

— Wiem, że moja obecność zwykle niepokoi tych, co mnie nie znają, i dlatego pragnę wam wyjaśnić, czemu noszę tę opaskę. Wprawdzie do dobrych manier należy pokazywanie swojego oblicza osobom, które chcą nas u siebie przyjmować, jednakże mój wypadek nie miał w sobie niczego niecnego. Zakrywam połowę twarzy powodowany świadomością, że widok pustego lewego oczodołu sprawia czasami odpychające wrażenie.

Marti zdziwił się obrotem, który przyjmowała ta rozmowa, ale ciekawość wygrała z układowością.

— Nie musicie tego czynić. W czasach pełnych przemocy, w jakich przypadło nam żyć, rzadko można spotkać kogoś, kto nie ma jakiegoś znamienia. Brak rąk, nóg czy palców jest znakiem rozpoznawczym wielu ludzi morza, wśród których się obracam z racji swoich interesów. Tak więc możecie mi to wyjaśnić, jeśli macie ochotę... Ale wiedźcie, że w człowieku nie interesuje mnie nic oprócz jego serca i prawości zamiarów, choć zgodnie z prawdą muszę przyznać, że wasz wygląd jest dość szcególny.

— Jak już wiecie, nazywam się Bernabé Mainar. Moje życie nie było monotonne, w młodości wykonywałem wiele zawodów i na skutek różnych okoliczności oddawałem się też wojaczce. W pewnej bitwie z niewiernymi kamień wyrzucony z katapulty wpadł do kotła, w którym warzyła się strawa dla wojska, i wrzący płyn rozprysnął się tak nieszczęśliwie, że zalał mi twarz. Niemal straciłem wzrok, ale pewien arabski medyk o wielkich umiejętnościach uratował jedno moje oko i zdołał w jakiś sposób odtworzyć mi twarz. Właśnie dlatego noszę ten rodzaj półmaski, którą zdejmę, jeśli sobie tego życzyście.

Wobec szczerości swojego rozmówcy Marti powiedział bez wahania:

— Nie jest to konieczne, jeśli tak czujecie się wygodniej; już sam fakt, że opowiedzieliście o tym przeżyciu, świadczy o szczerości waszych intencji. Jednakże, za pozwoleniem, mój czas jest ograniczony i myślę, że pora przejść do sprawy, która was do mnie sprowadza.

Gość rozsiadł się wygodniej i zaczął mówić.

— Chodzi o to, że po długich latach prowadzenia interesów na tym boskim świecie postanowiłem się osiedlić w Barcelonie. Moje wędrówki były długie i zróżnicowane, handlowałem z niewiernymi i z chrześcijanami, w Hiszpanii, na ziemiach Saracenów, a także w Genui, Mediolanie, Pizie, w krajach Franków, dotarłem nawet do ziem rządzonych przez bagdadzkiego kalifa. Jak możecie sobie wyobrazić, podczas tych podróży poznałem rozmaitych ludzi i miałem okazję nauczyć się zawodów, jakie tutaj nie są znane. Moim zamiarem jest się tu osiedlić i spróbować działalności bardzo popularnej wśród poddanych książąt Wschodu. — Po tej długiej tyradzie zrobił pauzę, po czym, zniżając nieco głos, dodał: — Wiem,

że przed człowiekiem honoru jak wy mogę się zwierzyć, nie obawiając się, iż będziecie usiłovali wykorzystać mój pomysł.

Marti Barbany wydawał się zaskoczony tym dziwnym prologiem.

— Nie potrafię zrozumieć powodu — wtrącił, zanim przybysz podjął swój wywód — dla którego mielibyście mi wyjaśniać wasze interesy, ani też nie domyślałem się waszych oczekiwań, ale jeśli macie bodaj najmniejszą wątpliwość co do tego, czy jestem właściwą osobą i czy mógłbym skraść wasz pomysł, nie musicie mówić dalej.

— Poprosiłem was o posłuchanie, bo żeby urzeczywistnić swój zamiar, potrzebuję pomocy. Wcześniej poinformowałem się co do waszej uczciwości w prowadzeniu interesów. Dlatego najpierw zwróciłem się właśnie do was. Jeśli jednak nasze układy nie doprowadzą do korzystnego rozwiązania, będę próbował innych dróg.

— Zaintrygowaliście mnie, mówcie dalej.

— Otóż dotarło do moich uszu, że licytacje na targu niewolników cieszą się nadal wielkim zainteresowaniem.

— Oczywiście — odrzekł Marti — i to nie tylko tutaj, lecz także nad całym Morzem Śródziemnym. Dopóki będą przygraniczne potyczki i piraci, będą i niewolnicy. Jest też prawdą, że miasto nie mogłoby przeżyć bez tej taniej i ciągle dostępnej siły roboczej — przyznał z pewną niechęcią. — Choć muszę wam powiedzieć, że w moim domu, po pewnym czasie i

zależnie od zasług, wszyscy oni stają się w końcu wyzwoleńcami.

— Wasza wielkoduszność jest powszechnie znana i właśnie ona
kazała mi się do was zwrócić. Mój zamysł nie jest zbyt odległy
od
waszych idei. Pozwólcie mi mówić dalej.

Marti zachęcił go gestem.

— To jasne, że kiedy niewolnik wchodzi na podium i staje się przedmiotem licytacji, jest niemal zwierzęciem mającym określoną wartość i zależnie od tego, w jakie ręce się dostanie, poprawi swój byt albo też ulegnie całkowitemu zezwierżeniu.

— Na pewno: pod tym względem wiele będzie zależało od nowego właściciela — stwierdził Marti.

— Mój pomysł, choć to nie ja jestem jego autorem, polega na poprawie jakości życia tych nieszczęśników przez zastosowanie pewnego proceduru nieznanego dotąd w tym kraju, a mogącego na dłuższą metę z pewnością przynieść duże zyski. — Mainar zarzucił haczyk. Po chwili milczenia dodał: — Oczywiście nie jest moim zamiarem popaść w lichwę i wzbogacić się w ciągu dwóch dni, jako że nie pochwała tego Kościół Świąty, Matka Nasza.

— Wierzcie mi, że zdołaliście mnie zaintrygować, choć nie potrafię jeszcze dostrzec, gdzie tu jest miejsce dla mnie i na czym polega ten interes.

— Zaraz to zobaczycie. Moim zamiarem jest wejść w posiadanie tych niewolników, którzy według mojego instynktu i rozsądku rokują najlepiej. Nie muszę wam wyjaśniać, że zwiedziłem niemal wszystkie targi znanego świata i że pod każdym kolorem skóry potrafię dojrzeć potencjał człowieka. Jeżeli cena będzie mi odpowiadać i dobiję targu, nabędę tych, których mogę nauczyć zawodu zgodnego z ich naturalnymi dyspozycjami: będę ich utrzymywał, opłacę zakwaterowanie i wyżywienie i dostarczę im dobrych nauczycieli rzemiosła. Kiedy po upływie pewnego czasu udoskonalą swoje naturalne zdolności, odsprzedam ich zamożnym ludziom, doliczając oczywiście skromny zarobek za ich naukę i przygotowanie, pod warunkiem że po jakimś czasie, zależnym od sprawności każdego z nich, nowi właściciele dadzą im wolność.

Marti zastanowił się przez dłuższą chwilę. Ten projekt był niezwykły.

— Umykają mi dwie rzeczy w tej sprawie, która, przynaję, wydaje się pięknym gestem. Pierwsza to powód tego dziwnego mecenatu, a druga... co ja z tym wszystkim mam wspólnego.

Mainar odczekał kilka sekund, zanim odpowiedział. Była to przełomowa chwila w tej rozmowie i musiał się okazać całkowicie przekonujący.

— Odpowiem po kolei — rzekł w końcu. — Byłem niewolnikiem

w Tunisie i fortuna oraz łaska boska uczyniły ten cud, że dzisiaj mogę być tutaj jako wolny człowiek. Dlatego uważam się za dłużnika Stwórcy. Moim zamiarem nie jest uprawianie dobroczynności, lecz uzyskiwanie odpowiednich dochodów, a jednocześnie wyświadczanie dobra komuś, kto tego potrzebuje. Kościół weźmie to bez wątpienia pod uwagę w mojej ostatniej godzinie.

— A jaką rolę ja mam odegrać?

Oko Mainara niespokojnie błyszczało, gdyż ten długi i kręty dialog doszedł właśnie do newralgicznego punktu.

— Chodzi o to, panie, że wy posiadacie dom, który byłby odpowiedni na urzeczywistnienie mojego pomysłu i zapewnienie tym biedakom lepszego życia.

Marti zmarszczył brwi, dostrzegając w końcu ostateczną intencję tego spotkania.

— Jaki dom macie na myśli?

— Ten, w Vilanova deis Arcs, który, jak mnie poinformowano, nie jest w tej chwili zajęty.

— Dobrze to pamiętam: kupiłem go od pewnej wdowy w potrzebie i z pewnością nie próbowałem na tym zarobić, łamiąc tym samym podstawową zasadę w interesach, której mnie nauczył nieżyjący już teść, uczciwy Żyd: „Przy każdej operacji jest rzeczą rozsądną osiągnięcie jakiegoś zysku”.

— A więc zdajecie sobie sprawę, że czasami dobrze jest łączyć serce i głowę, tak jak ja zamierzam teraz uczynić — skomentował Mainar.

— A wy chyba zdajecie sobie sprawę, że aby doprowadzić swój zamiar do końca, będziecie potrzebowali wielkiej ilości pieniędzy.

— Jak sami rozumiecie, zanim do was przyszedłem, poczyniłem odpowiednie szacunki zarówno co do kupna domu, którego potrzebuję, jak i kosztów jego urządzenia i ceny pierwszej grupy niewolników oraz utrzymania ich do czasu, aż będę mógł przystąpić do sprzedaży.

— Wybaczcie, że nalegam. Jestem człowiekiem interesów i wiem z doświadczenia, że jeśli przy planowaniu operacji nie skalkuluje się ryzyka, wszystko może się z łatwością zawalić. Nieraz bowiem nie bierze się pod uwagę pewnych spraw, które wyglądają na błahe, a tymczasem mogą się okazać bardzo ważne.

— Gdybym nie był osobą godną zaufania, to czy sądzicie, że

szlachcic cieszący się tak znakomitą opinią jak Marçal de Sant Jaume udzieliby mi poparcia? Wiercie, że nie tylko jestem w stanie pokryć wszelkie wydatki i dotrzymać terminów, ale też, gdyby okazało się to konieczne, mogę liczyć na poręczenie pewnych żydowskich pożyczkodawców.

Marti nie odpowiedział od razu. Było jasne, że ocenia propozycję. Mainar starał się ukryć niepokój, z jakim czekał na odpowiedź.

— Coś wam powiem. — Marti spojrzał z szacunkiem, a nawet z pewnym podziwem, na mężczyznę o złowróbnym wyglądzie. — Od dawna nie spotkałem nikogo, kto planując jakiś interes, pomyślałby o innych; zarabianie pieniędzy jest słuszne, jeżeli nie wyzyskuje się przy tym bliźnich. Odkąd przed wielu już laty przybyłem do tego miasta, zawsze coś kupowałem: od młynów po statki, przez domy i sady... Dzierżawiłem drogi, pobierałem opłaty za przemiał pszenicy, budowałem kanały nawadniające i zarabiałem na dostarczaniu wody mieszkańcom, ale nigdy nie sprzedałem żadnej posiadłości ani nie poniżyłem się do lichwy. Dla was, i nie pytajcie czemu, zrobię wyjątek. — Westchnął. — Może dlatego, że w ten sposób uwolnię się od któregoś ze swoich prywatnych demonów i sprawię przyjemność komuś, kogo kochałem, a kto opuścił ten świat, dając najbardziej wzniosłą lekcję szlachetności, jaką może dać istota ludzka. Jeśli dojdziemy do porozumienia i ustalimy jakąś sprawiedliwą cenę, sprzedam wam ten dom, byście mogli doprowadzić do skutku wasze słuszne dzieło. W swoim czasie mój sekretarz powiadomi was o terminie stawienia się przed notariuszem hrabstwa. Kiedy transakcja zostanie dokonana, będziecie mogli chlępić się tym, że jesteście pierwszą osobą, której Marti Barbany sprzedał jakąś własność. Wzruszyły mnie wasze dobre intencje.

Po tych słowach Marti wstał, uznając spotkanie za skończone. Mainar również się podniósł, a w jego jedynym oku, choć wolałby tego uniknąć, pojawił się błysk zadowolenia.

17

Usatges

Przed Bożym Narodzeniem hrabina Almodis miała przewodniczyć ostatniemu posiedzeniu w roku, które zwołano, jak w każdy piątek, w hrabiowskim pałacu. W tym celu — za radą swojego niewielkiego dworu złożonego z pierwszej damy Lionor, pań Brigidy i Barbary, starej opiekunki bliźniąt, Hildy, oraz Delfina, błazna, wróżbity i doradcy — stroiła się w prywatnych apartamentach, żeby na tym uroczystym spotkaniu, które zapowiadało się na burzliwe i mogło mieć poważne konsekwencje dla przyszłych rządów katalońskich hrabstw, pokazać się w najstosowniejszym odzieniu. Od wielu lat przygotowywała się do poruszenia tematu, który zamierzała podjąć tego dnia. Było to spotkanie wstępne i nieformalne, jak wszystkie poprzedzające ostateczne głosowanie, w którym uchwalano lub odrzucano poszczególne artykuły przyszłego *corpus iudice* regulującego życie i obyczaje Katalończyków. Wśród obecnych mieli być: Gilbert d'Estruc, szlachcic cieszący się zaufaniem hrabiego Ramóna Berenguera I i jego wierny sługa; Gualbert Amat, seneszał i bezwarunkowy stronnik hrabiego; Olderich de Pellicer, *veguer* miasta, człowiek nieskończenie uczciwy i miłośnik norm prawnych; Odó de Montcada, biskup Barcelony i jako taki zważający na korzyści Kościoła, wierny wykonawca poleceń papieżstwa i strażnik jego ortodoksji; Guillem de Valderribes, naczelny notariusz, mąż zaufania publicznego w hrabstwie, który miał dbać o to, by redakcja praw była zgodna z legislacją; czcigodni sędziowie Ponç Bonfill, Eusebi

Vidiella i wreszcie Frederic Fortuny. Spośród nich tylko ten ostatni jej sprzyjał; pozostali dwaj skłaniali się raczej ku hrabiemu i byli rygorystycznymi strażnikami ustalonych norm.

Siedząc przed swoim wypolerowanym lustrem, hrabina Almodis poprawiała przybranie głowy. Wbrew opinii Delfina, który, jak zawsze cięty i bezczelny, ośmielał się mówić swojej pani to, na co nikt inny by sobie nie pozwolił w jej obecności, doña Lionor, mając na uwadze okoliczności i powagę chwili, aprobowała jej uroczysty czarny ubiór.

— Pani, nie dość, że dobrze wam w czerni, to jeszcze pasuje ona do charakteru tego spotkania, a nakrycie głowy z wstążką otaczającą podbródek nadaje wam wygląd zakonny, który bez wątpienia spodoba się biskupowi Odónowi de Monteadą.

— Wybaczcie mi, Lionor, że się z wami całkowicie nie zgadzam. — Piskliwy głos Delfina odbił się echem w wielkiej sali.

— A co masz tu do powiedzenia ze swojej krótkowzrocznej perspektywy?

— Chodzi o to, pani, że czerń jeszcze bardziej was postarza, a i tak nie jesteście już dziewczynką. A co do wstążki obejmującej wasz podbródek, to choć przyznaję, że ukrywa ona podgardle, które zaczyna się u was pojawiać, jednocześnie przydaje wam świętosz-kowatości sugerującej uległość wobec Kościoła, a tego nasz biskup nie powinien zobaczyć.

Hrabina pobladła pod barwicznymi ukrywającymi jej wiek. Siedem porodów przeżytych przy dwóch mężach, napięcie związane ze sprawowaniem władzy, wyprawy wojenne, w których towarzyszyła mężowi, i koleje burzliwej egzystencji wyryły ślad na tej niegdyś pięknej twarzy, która teraz, u progu pięćdziesiątki, zaczynała ukazywać spustoszenia dokonane przez czas.

— Jesteś niepoprawnym impertynentem i tylko dlatego nie każę cię wychłostać, że dziś na to nie pora, ale nie zapomnę ci tego afrontu i obciążę nim twoje konto.

Damy milczały i kiedy Lionor miała zamiar coś powiedzieć, niesforny, kapryśny karzeł odrzekł krnąbrnie:

— Widać, pani, że wolicie zdanie tego dworu starych pochlebnych kwok, jaki was otacza, od szczerej opinii człowieka, który od zawsze towarzyszy wam w burzliwej drodze życia i który zostawiając na boku galanterię, mówi wam prawdę, chociaż grozi mu za to popadnięcie w niełaszkę.

Po tej diatrybie zeskoczył ze stopnia, z którego przyglądał się zabiegom swojej pani, i wyszedł z saloniku, trzaskając drzwiami.

— Zostawcie go, pani — wtrąciła się pojednawczo piastunka Hilda. — Zawsze był drażliwy i zgorzkniały, a z wiekiem zrobił się nie do wytrzymania. I to, co w jego młodości było błyskotliwością i dowcipem, z upływem lat stało się tarczą obronną. Twierdzi, że jest szczerzy, ale ociera się o impertynencję i grubiaństwo.

— Doña Hilda ma rację — zgodziła się Lionor. — Ponieważ Delfin nie ma pojęcia o strojach i ogładzie, obnosi się ze swoją beczelnością i nadużywa waszej cierpliwości, by nam wszystkim pokazać, że jest jedynym, który ośmiela się mówić wam niemiłe prawdy. Tymczasem w rzeczywistości jest impertynencką i pełną uraz istotą, walczącą o zachowanie u waszego boku uprzywilejowanej pozycji uczciwego doradcy, jaką mu przyznaliście... nie w pełni zasłużenie — zakończyła z oczywistą złą intencją.

Almodis zastanowiła się przez chwilę. Zobaczyła zniekształcone odbicie swojej twarzy w polerowanej miedzianej blasze i rozpinając suknię, rzekła:

— Powiadają, że tylko szaleńcy i dzieci zazwyczaj mówią prawdę, a biedny Delfin być może należy do obu tych kategorii. Złóżcie w moim kufrze tę czarną suknię i przynieście mi różową z rękawami wiązanymi w nadgarstkach tasiemkami. Będzie na to czas, uchowaj Boże, by nosić wdowie szaty.

Nikt z obecnych nie ośmielił się jej sprzeciwić.

Spotkanie miało się odbyć wyjątkowo w podłużnej sali na pierwszym piętrze pałacu, używanej tradycyjnie do przyjmowania wysokich dygnitarzy lub ambasadorów mniej ważnych krajów. Jej kasetonowy drewniany sufit wyciszał echo rozmów i umożliwiał dialog przy stojącym pośrodku wielkim stole. Na fotelach z drogiego rzeźbionego drewna, z których każdy był inny — będących dziełem rozpoczętym przez mistrza Tubau de Argemí, a zakończonym przez jego wnuka — zaczęli siadać radcy i audytorzy, za ich plecami zaś sekretarze, którzy przygotowywali na kolanach przybory do pisania, strugali pióra, otwierali flaszeczki z inkaustem i słoiki z piaskiem do osuszania kart. Służący zapalali kandelabry i żagwie i odsuwali z okien kotary, by umożliwić dostęp światła dziennego, wpadającego przez oprawne w ołów szybki.

Zgromadzeni czekali już od dłuższej chwili, kiedy szambelan przy drzwiach uderzył laską w posadzkę i zapowiedział:

— Wielce czcigodna hrabina Barcelony, Gerony i Osony.

Wśród szmeru głosów i szurania foteli pojawiła się majestatyczna i uroczysta Almodis z Marchii, przyodziana w różową suknię podkreślającą jej ciągle jeszcze ponętne kształty. Zachowując specyficzną powagę, jaką daje autorytet, wolnym krokiem przeszła ku szczytowi wielkiego stołu i kiedy zasiadła już na swoim tronie, dała znak dworzanom, żeby też zajęli miejsca. Towarzyszącemu jej Delfinowi wskazała szorstkim gestem prawicy, jaki mogłaby skierować do psa, stołek znajdujący się u jej stóp.

Kiedy wszyscy się już usadowili, władczy i nieco ochryply głos hrabiny przerwał ciszę.

— Wielce czcigodny ekscelencjo, księżę biskupie Odonie de Monteada, panowie sędziowie Bonfill, Vidiella i Fortuny, seneszału Gualbercie Amat, notariuszu Barcelony Guillemie de Valderribes, wielmożny *veguerze* miasta Olderichu de Pellicer. Uznałam za stosowne zmienić nasze zwykłe miejsce spotkań, ażeby dzisiejszym obradom nadać odmienny charakter, gdyż odmienny i bardzo ważny jest temat, który będziemy omawiać. Obrana sala jest znacznie bardziej kameralna, albowiem w sprawie, która za chwilę nas zajmie, moim życzeniem było mieć wasze dostojności bliżej siebie, by móc trafniej wyważyć opinie i rady, jakie zechcecie mi przekazać, a także by się dowiedzieć, kto podziela moje zdanie, a kto widzi przeszkody wzbraniające mu przyjęcie moich propozycji.

Usłyszawszy z ust hrabiny tak niezwykle wprowadzenie, dostojni doradcy poruszyli się niespokojnie na swoich krzesłach.

— Ponieważ wasze dostojności dobrze mnie znają i wiedzą, że nie lubię wstępów ani omówień, przejdę szybko do sedna. Jednak zanim to uczynię, chciałabym poznać poglądy waszych dostojności na różne kwestie, w gruncie rzeczy ściśle związane ze sprawą, którą pragnę poruszyć.

Wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenie z resztą obecnych, głos zabrał biskup.

— Słuchamy uważnie, pani.

— Dziękuję, ekscelencjo. A zatem co według was jest najważniejsze dla dobrego władcy?

Doradcy spojrzeli po sobie zdziwieni.

Tym razem odezwał się notariusz Guillem de Valderribes.

— Uważam, pani, że pierwszą rzeczą jest dobro jego poddanych.

— To prawda — odrzekła hrabina z lekkim uśmiechem. — A teraz wy mi powiedzcie, seneszalu, jak sądzicie, czy dobre rządy ograniczają się do teraźniejszości, czy też obejmują również przyszłe pokolenia?

Gualbert Amat odpowiedział spokojnie:

— Pani, uważam, że odpowiedź jest oczywista: podobnie jak dobry ojciec rodziny, rządzący musi myśleć o przyszłości.

— A więc, *veguerze* — ciągnęła Almodis wobec nerwowego zdziwienia zebranych — uważacie, że powinniśmy się troszczyć o przyszłość poddanych hrabstwa, czy też przeciwnie, mamy się nie przejmować niepokojami, jakie mogłyby nastąpić, gdybyśmy nie ułożyli dobrze spraw?

Olderich de Pcllicer, usłyszawszy, że pytanie kierowane jest bezpośrednio do niego, odrzekł szybko:

— Pani, do dobrego władcy należy poczynienie odpowiednich kroków, by w sposób właściwy rządzić swoimi poddanymi zarówno teraz, jak i w przyszłości.

Almodis z Marchii przez chwilę milczała ze wzrokiem skierowanym przed siebie.

— Z radością słyszę tak rozsądne i słuszne opinie. — Mówiła, jakby prowadziła jakąś nieformalną rozmowę, lecz jej obojętny ton nie zmylił nikogo z obecnych. — Zastanówmy się nad przypadkiem dobrego ojca rodziny, który zna swoich synów i widzi, że starszy jest rozpustnikiem, pijakiem, rozrzutnikiem i despotą dla służby, podczas gdy młodszy jest pracowity, sprawiedliwy i sumiennie wypełnia swoje obowiązki. Czy w takich okolicznościach powinien, jak nakazują prawo i tradycja, zapisać swoje dobra starszemu? Nawet jeśli widzi, że pod jego rządami nie dotrwają one do następnego pokolenia?

Radcy popatrzyli po sobie zmieszani.

— Pani — ośmielił się rzec biskup — taką właśnie parabolę znajdujemy w Nowym Testamencie.

— Ponieważ o tym wspominać, czyż nie jest prawdą, że nasz Pan, Jezus Chrystus, przyszedł, żeby zmienić prawo, i że my zbieramy się tutaj z takim samym zamiarem?

Guillem de Valderribes spytał:

— Pani, ponieważ zwykliście mówić zawsze bez ogródek, wyjaśnijcie nam, proszę, do czego zmierzacie.

— Wykażcie trochę cierpliwości — odrzekła Almodis tonem łagodnego napomnienia. — Przedtem pragnę wam przypomnieć o czymś bardzo ważnym.

Ciężki oddech niektórych obecnych dodatkowo podkreślał ciszę, jaka teraz zapadła.

— Moi drodzy doradcy, zebraliśmy się jak co tydzień, by spisać szereg propozycji, które właściwie zebrane i usankcjonowane pod piem mojego małżonka hrabiego stworzą prawa mające kierować postępowaniem nadchodzących pokoleń. W niektórych wypadkach, żeby przygotować jak najlepszą przyszłość, będziemy bez wątpienia zmuszeni zerwać z dawnymi zwyczajami. Czy wasze miłości po dzielają tę opinię, czy nie?

Wszyscy przytaknęli.

— Jak wasze miłości dobrze wiedzą, dom Berenguerów jest jedynym domem panującym w hrabstwach katalońskich, który pochodzi bezpośrednio od gałęzi wizygockiej i ma korzenie znacznie bardziej starożytne niż jakikolwiek odłam rodu Karolingów.

— Nie rozumiemy waszych dygresji — zaznaczył sędzia Vidiella znużonym głosem.

— Już dochodzę do sedna, proszę o nieco cierpliwości. I powiedzcie mi wy sami, panie, kto przejmował tron po zmarłym królu za czasów Wizygotów.

— Wszyscy wiemy, jaki był zwyczaj — odrzekł sędzia.

— Powiedźcie to głośno, mój drogi Vidiella.

— Szlachta podnosiła na tarczy najbardziej znamienitego spośród siebie i ogłaszała go królem.

— Z czego można wywnioskować, że monarchia była obieralna, a nie dziedziczna, i że wybierano najzdolniejszego.

— Oczywiście, pani, ale w większości wypadków proponowano pierworodnego syna, jeżeli był pełnoletni — powiedział stanowczo sędzia Bonfill.

Almodis poczuła, że Delfin drapie ją dyskretnie w kolano.

— Jednak w końcu zajmował to najwyższe stanowisko ten, którego uznawano za najodpowiedniejszego i którego wybierała większość — skomentował Vidiella.

— Nie zapominajcie wszakże — ciągnął sędzia Bonfill — że

ów system pobudzał pragnienie władzy. Musimy pamiętać o licznych królobójstwach, do których doprowadził ten zwyczaj, aż w wyniku zdrady synów Wittizy doszło do śmierci doña Roderyka i wkroczenia Arabów na nasz półwysep.

— To prawda, drogi sędzio — przyznała Almodis — ale były to mroczne i dzikie czasy.

Znowu, nie kryjąc zniecierpliwienia, wtrącił się seneszał.

— Pani, nie rozumiemy, do czego zmierzacie.

— Już wam mówię. Mój mąż ma kilku synów, z których pierworodnym jest Pedro Ramón, zrodzony z nieboszczki Elisabet. Ale... i nie wchodzi tu w grę miłość macierzyńska, gdyż mam dwóch synów... najwłaściwszym do odziedziczenia hrabstw Barcelony i Gerony jest Ramón, starszy z bliźniąt. Jak widzicie, nie wspominam o Berenguerze, którego tak samo kocham i który też przyszedł na świat z mojego łona.

Słowom hrabiny towarzyszyło lodowate milczenie.

— Zapytajcie prostego ludu, co myśli o jednym i drugim — ciągnęła hrabina natchnionym tonem. — Pedro Ramón jest porywczy, ulega złym nawykom i słabościom, lubi kobiety i wino, nudzą go obowiązki związane z jego pozycją. Natomiast Ramón, pomimo młodego wieku, jest rozsądny, cierpliwy, odważny w nauce wojen nego rzemiosła; jest też sprawiedliwy, a swój lud i swój kraj kocha ponad wszystko. Chyba nie wątpicie, że gdyby chodziło o podniesienie na tarczy, dobry lud Barcelony wybrałby właśnie jego?

Doradcy wymienili między sobą ostrożne spojrzenia, lecz nikt nie wydawał się skłonny do przełamania lodów. W końcu przemówił biskup Odó de Montcada.

— Pani, to, co proponujecie, ma dla Barcelony zasadnicze znaczenie i nie dotyczy w szczególności zwyczajów, czyli tego, co do dzisiejszego dnia było przedmiotem naszych propozycji. Sądzę, że dobrze byłoby poznać opinię hrabiego, gdyż tak delikatna sprawa przewyższa nasz rozum.

— Pomówmy otwarcie, pani — powiedział sędzia Vidiella z kwaśną miną. — Chodzi o to, żeby zrabować hrabstwo jego prawowitemu dziedzicowi.

— Czcigodny sędzio, czyż nie stwierdziliście na samym początku, że dobro ludu i sprawiedliwe rządy przeważają nad jakimikolwiek innymi względami? — odparła pozornie łagodnym tonem Almodis.

Delfín znowu uderzył ją w kolano. Zrozumiała ten znak.

— No cóż, zostawię wasze miłości, żeby przemyślały sprawę, a jutro przystąpimy do głosowania. Chcę wiedzieć, kto jest ze mną, a kto uważa, że jakieś przestarzałe prawo jest dobre, chociaż szkodzi poddanym mojego małżonka.

Wtedy głos zabrał seneszał.

— Pani, jak wiecie, taka decyzja może zrodzić przemoc, a nawet doprowadzić do morderstwa... jak zdarzało się to w czasach Wizygotów. Żądza władzy jest złym doradcą.

— Nie martwcie się — odparła oschle hrabina. — Nikt nikogo nie zamorduje.

— Nalegam, pani. W tak delikatnej materii należałoby zasięgnąć opinii hrabiego; to by nam pomogło zdecydować, co jest najwłaściwsze, i w taki sposób...

— Hrabia wysłucha rad tych, którzy chcą jak najlepiej dla hrabstwa, seneszału. A teraz, jeśli nikt nie pragnie innych wyjaśnień, zamykam dzisiejsze posiedzenie. Życzę waszym miłościom miłego dnia i niech sen rozjaśni wasze myśli. Spotkamy się na początku nowego roku.

Almodis z Marchii z urażoną miną opuściła miejsce obrad, a za nią z trudem nadązał Delfín, którego krótkie nogi zaledwie mogły dorównać energicznym krokom hrabiny.

18

Sędzia Bonfill

Lluc, majordom pierworodnego, zaanonsował odwiedzinę sędziego Bonfilla. Pedro Ramón oczekiwał go w swoim gabinecie na drugim piętrze, stojąc przy stole, żeby okazać atencję dla wysokiego stanowiska gościa i — dlaczego tego nie powiedzieć? — zyskać sobie przychylność jednego z najpotężniejszych arystokratów hrabstwa.

Sędzia Ponę Bonfill, który ze względu na swoje dolegliwości podpierał się grubą laską, zdjął czarny biret, odstaniając łysinę, i skierował się w stronę dziedzińca; ten, słodki i afektowany, wyszedł mu na spotkanie i biorąc go pod ramię, poprowadził do jednego z foteli. Sam zajął inny, obok niego, zamiast usiąść po drugiej stronie stołu, jak to miał w zwyczaju.

— Drogi sędzio, czynicie mi zaszczyt waszymi odwiedzinami, a wiedząc, jaką trudność sprawia wam poruszanie się, podwójnie dziękuję za przybycie.

— To prawda, że z moim zdrowiem jest nie najlepiej — wymruczał sędzia zmęczonym głosem — ale czasami obowiązki zmuszają nas do poświęceń.

— Rozumiem i podziwiam waszą obecność w trybunale. A jeszcze bardziej to, że okazujecie mi tę uprzejmość i przybywacie do pałacu, żeby się ze mną spotkać. Za ten gest mam w stosunku do was dług wdzięczności.

Pedro Ramón nalał sędziemu kieliszek wina z miodem i cyna-

monem. Odczekał, aż Bonfill przyjdzie nieco do siebie, po czym zaczął rozmowę.

— Jestem niezmiernie ciekaw powodów waszej wizyty, panie.

Sędzia spojrzał dziedzicowi w oczy, odchrząknął i odpowiedział uroczystym tonem:

— Wielmożny panie, są one tak proste jak to, że sędzia ma podwójny obowiązek, kiedy styka się z bezprawiem. Przede wszystkim powinien zareagować, jak każdy przyzwoity człowiek, na groźbę popełnienia jakiejś niesprawiedliwości. A druga część obowiązku jest bardziej związana ze stanowiskiem, które zajmuje.

— Nie nadażam za wami, panie — powiedział Pedro Ramón.

— Więc posłuchajcie. Duchownemu przypisuje się dobroczynność i czystość, rycerzowi poświęcenie i odwagę... A sędziemu uczciwość w życiu osobistym oraz nieposzlakowaną prawość decyzji, które podejmuje, zanim opowie się za jednym czy drugim stronnictwem.

Twarz pierworodnego pociemniała.

— Wyobrażam sobie, do czego zmierzacie — wyszeptał zirytowany. — Powszechnie wiadomo, co myśli ta, która podstępnie zdobyła miłość mojego ojca, i jakich zmian pragnie po jego śmierci. Jednak — dodał z przewrotnym uśmiechem — niewiele może zdziałać.

— Gdybym był takiego zdania jak wy, nie byłoby mnie tu teraz.

Mina Pedra Ramóna wyraźnie się zmieniła.

— Wyjaśnijcie to, sędzio.

— Jeśli byłyby to tylko zwykłe życzenia albo bezsensowne elukubracje, tobym się tym nie przejmował. Ale kiedy życzenia zmieniają się w czyny i inicjatywa zastępuje spekulacje, sumienie dyktuje mi, że ja również muszę przejść do czynów i zrobić co w mojej mocy, by nie dopuścić do sukcesu takiego przedsięwzięcia i popełnienia nadużycia.

— Co zaniepokoiło was do tego stopnia?

— Początkowo były to mgliste podejrzania, ale podczas ostatniej sesji rady konsultatywnej, której, nawiasem mówiąc, nigdy nie przewodniczył wasz ojciec, hrabina dała jasno do zrozumienia, jakie są jej zamiary w odniesieniu do sukcesji tronu hrabstwa.

Woskowa bladeść, jaka zabarwiła twarz pierworodnego, przestraszyła Bonfilla.

— Czy dobrze się czujecie, panie?

— Nigdy nie byłem bardziej przytomny — odrzekł Pedro Ramón ochryplym głosem. — Mówcie dalej!

— Hrabina nie mogła się wyrazić bardziej otwarcie. Opierając się na uzasadnionych argumentach, mogę teraz powiedzieć, że jej najwyższą aspiracją jest ujrzeć na tronie hrabstwa swojego syna Ramóna.

W owej chwili gwałtowność charakteru Pedra Ramóna dała o sobie znać: na oczach zaskoczonego Bonfilla gąsiorek z winem i stolik, na którym stał, poszybowały w powietrzu.

— Zachłanna żmija! Podła ładacznic! — Młodzian raczej syczał, niż mówił. — Nigdy nie przypuszczałem, że jej życzenia wyjdą poza sączenie jadu do uszu mojego ojca... oprócz tych innych rzeczy, które, jak mniemam, też robi z nim w łóżnicy każdej nocy.

Sędzia, bardziej zawstydzony tymi słowami niż tym czynem, dodał:

— Jest faktem, że za pomocą zwodniczych argumentów usiłuje pozyskać sobie przychyłność różnych osób i zdobyć nowych sprzymierzeńców dla swojej sprawy.

Sędzia opowiedział teraz szczegółowo o tym, co wydarzyło się podczas ostatniej sesji rady. Pedro Ramón słuchał go z najwyższą uwagą, a gdy relacja dobiegła końca, zaczerpnął powietrza i powiedział:

— Bądźcie pewni, drogi sędzio, że kiedy ja zajmę tron hrabstwa, będę dobrze pamiętał, kto był moim przyjacielem, a kto wrogiem.

— Zrozumcie, panie, że nie chodzi mi o żadne prebendy. Jedyнным motywem, jaki kieruje moim postępowaniem, jest gorące pragnienie, żeby niesprawiedliwość nie deprawowała ustanowionego porządku. Powiem wam coś jeszcze: chwilowo nie musicie się martwić. Wiem, że jest wielu takich, co myślą podobnie jak ja... I wiem z całą pewnością, że wasz ojciec hrabia również jest przeciwny zakłócaniu tego porządku. Przyszedłem tylko, żeby was ostrzec... Postępujcie ostrożnie, nie pozwólcie, by powodował wami gniew...

Jednak to nie ostrożność, ale wściekłość malowała się na twarzy Pedra Ramóna.

19

Sants Just i Pastor

W ciągu ostatnich tygodni roku nastrój Ahmeda wahał się od wątpliwości do lęku, a to sprawiało, że jego stan ducha zmieniał się z najbardziej zuchwałej euforii w najczarniejszą melancholię, co zupełnie dezorientowało dziewczynki. Z jednej strony coś w jego wnętrzu mówiło, że miłosna historia z Zahirą nie jest tylko snem; z drugiej — zlewał go zimny pot na myśl, że mogło to być wyłącznie jego słodkie urojenie. Jednak fakty były okrutne i uparte: upłynęły cztery tygodnie od ostatniego spotkania i jak w każdy poniedziałek od niemal roku przyszedł na stragan Margaridy handlującej kwiatami i ziołami, ale nie czekała tam na niego żadna wiadomość. Jeśli dotychczas chodził, jakby płynął w powietrzu, i wszyscy domownicy, od pana po ostatniego sługę, wydawali mu się najmiłszymi istotami, w tych ostatnich tygodniach roku życie stało się dla niego studnią tak lodowatą jak zima, która bezlitośnie chłostała miasto. Chociaż był pewien miłości Zahiry, ostatnio dziewczyna przychodziła bardzo smutna na poniedziałkowe spotkania. Mówiła, że pan nigdy nie zgodzi się jej sprzedać, a gdyby nawet to uczynił, to wyznaczyłby nieosiągalną cenę. Stan ducha Ahmeda był widoczny dla wszystkich mieszkańców domu Martiego Barbany, lecz on sam, wobec skarg majordoma i ochmistrzyni, odpowiadał, że muszą uzbroidć się w cierpliwość, że to jedna z najcudowniejszych chwil młodości i, niestety, trwa krótko.

Owego mroźnego grudniowego poniedziałku Ahmed siedł na Mercadał pogrążony w rozpacz. Ale kiedy tylko tam się znalazł, ujrzał uśmiechniętą Margaridę, opartą o kolumnę arkady, przy której

stał jej kram, i serce zaczęło mu walić jak młotem. Pobiegł między ludźmi tłoczącymi się na targowisku i wtedy potrafił chłopca niosącego wielki gliniany dzban: obaj upadli w błoto, naczynie potłukło się na tysiąc części, a on, podnosząc z ziemi czapkę, podszedł do przeklinającego wyrostka i przeprasząc go za swoją niezręczność, dał mu marawedi, którego nosił w sakiewce. Margarida, oglądająca to widowisko z pierwszego rzędu, śmiała się do rozpuku. Ahmed podszedł do dziewczyny; na jego wymizerowanej twarzy malowało się gorące pragnienie.

— Serce mi mówi, że masz dla mnie wiadomość.

— To w taki sposób się ze mną witasz?

— Wybacz, ale jestem tak niespokojny, że zachowałem się nieuprzejmie. — Ahmed się uśmiechnął. — Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

— Rychło w czas — zganiła go żartem. — Wejdz ze mną do środka, bo tutaj wszyscy interesują się sprawami bliźnich. A poza tym jest strasznie zimno.

Kołysząc z wdziękiem biodrami, skierowała się ku drzwiom swojego sklepika, podczas gdy niespokojny Ahmed szedł za nią i otrząpywał niezdarne portki.

Za ich plecami rozległ się głos matki dziewczyny:

— Dokąd idziesz, zostawiając stragan bez opieki? Nie wiesz, że miłośnicy cudzej własności tylko czekają, by wykorzystać czyjąś najmniejszą nieuwagę?

— To potrwa chwilę. A zresztą od tego są strażnicy targowi. — I poważnym tonem dodała: — Ten młodzian jest sługą w domu Barbany i ma u nas coś kupić.

Kiedy kobieta usłyszała słynne nazwisko, na jej twarzy natychmiast zagościł uprzejmy uśmiech.

— Wybacz, młodzieńcze, ale ta panna traci zmysły, kiedy zbliża

się do niej ładny chłopak... a ty z pewnością się do takich zali czasz. — Postawiła wiadro na podłodze i zwracając się do córki, dodała: — Wychodzę, załatw, co musisz, i wracaj szybko na stragan.

A co do ciebie, młodzieńcze, wiedz, że ci, co przychodzą z domu Martiego Barbany, są tu zawsze mile widziani.

Skierowała się ku wyjściu z targu, Margarida zaś, z pełnym wdziękiem porozumiewawczym mrugnięciem, odsunęła zasłonę skrywającą klitkę na zapleczu, gdzie przechowywano różne rupiecie.

Oczekiwanie wydawało się nie mieć końca, ale po chwili dziewczyna wróciła, potrząsając wesoło niewielkim zwojem pergaminu.

— Trzymaj, ale przedtem jesteś mi winien buziaka... aja przekażę go Zahirze.

Ahmed, zanim wziął pergamin, złożył pocałunek na gładkim policzku, który nadstawiła dziewczyna, wdzięcząc się i zamykając oczy.

Wyszedł na targ i ruszył do karczmy Pod Podkową, gdzie ludzie tłoczyli się przy ladzie, za którą właściciel napełniał kubki winem i wydawał porcje suszonego mięsa. Tam Ahmed skierował się w głąb pomieszczenia i korzystając ze światła dziennego, które wpadało przez niewielkie okienko, rozwinął zwój i zaczął czytać.

Ahmedzie, nie mogłam Cię wcześniej zawiadomić. W pierwszy poniedziałek stycznia pójdę do miasta i będę się mogła z Tobą zobaczyć, kiedy będą dzwonił na Anioł Pański. Moja ochmistrzyni, którą pan posyła po zioła, a której, jak wiem, moja obecność przeszkadza, da mi jak zwykle wolny czas, który wykorzystam, żeby się z Tobą spotkać. Będę na Ciebie czekała o tej godzinie koło niszy Najświętszej Panienki, która jest przy wejściu do kościoła Sants Just i Pastor.

Pozdrawiam Cię serdecznie
Twoja Zahira

Ahmed westchnął głęboko; potem jeszcze raz przeczytał wiadomość, ponownie zwinął pergamin i wsunawszy go pod kaftan na wysokości serca, wyszedł na arkady Mercadal, gdzie zmieszał się z tłumem. Miał wrażenie, że unosi się nad ziemią. Nie czuł już zimna.



W niecierpliwie wyczekiwany poniedziałek miasto obudziło się pokryte białym całunem śniegu; wszystko wydawało się nowe i odmienne. Ahmed, który przez całą noc nie mógł zmrzyć oka i dopiero o świcie, znużony, zapadł w sen, obudził się nagle, zaalarmowany krzykami, jakie Marta i jego siostra Amina wydawały w głębi ogrodu na widok zadziwiającego widowiska. Podniósł się na pryczy, przeczuwając, że dzieje się coś

niezwykłego. Wyrzął przez niewielkie okno swojego pokoiku,
otworzył je i powolne

opadanie małych płatków wyjaśniło mu w czym rzecz. Uśmiechnął się w duchu, wiedząc, że śnieg jest zwiastunem czegoś dobrego.

Dziewczynki zobaczyły go z ogrodu i uradowane zaczęły wołać:

— Zejdź do nas, Ahmedzie, to jest cudowne! Zejdź, urządzimy bitwę na śnieżki.

— Poczekać tylko, a przekonacie się, jak będziecie uciekały przed moimi pociskami...

— To się jeszcze okaże, hultaju!

Kiedy ktoś rzucał wyzwanie, Marta nie zastanawiała się dwa razy, tylko z miejsca je przyjmowała, pomimo napomnień piastunki, że to nie przystoi dziewczynkom.

Ahmed zamknął okno, podszedł do stojącej na drewnianym trójnogu miski i napełniwszy ją wodą z cynkowego dzbana z wylewką w kształcie kaczego dziobu, dokonał porannych ablucji, po czym zaczął się stroić stosownie do wagi tego dnia. Ale przedtem po raz kolejny przeczytał wiadomość, którą tydzień wcześniej wręczyła mu Margarida pod łukami portyku na Mercadal, i jak za każdym razem, kiedy to robił, poczuł, jak w gardle zaciska mu się węzeł.

Włożył nowe portki, najlepsze pończochy, jakie miał, a na koszulę zarzucił pluszowy kaftan, który pan podarował mu na gwiazdkę; ubioru dopełniły wysokie buty z grubej skóry, odpowiednie na taki dzień. Przywdziawszy jeszcze kubrak z owczej skóry i włożywszy czapkę na bakier, zszedł do ogrodu.

W miarę jak zbliżał się do wejścia na galerię, śmiech dziewczynek stawał się coraz głośniejszy. Roztaczający się wokół widok zrobił na nim głębokie wrażenie. Panowała oślepiająca jasność, a lodowe sople, które utworzyły się na gargulcach małej kaplicy w głębi ogrodu, wyglądały jak srebrne sztylety błyszczące w porannym świetle.

— Gdzie są te chwalipięty, które mi się z daleka odgrażały?

Dziewczynki, schowane za murkiem otaczającym zamarznięty staw, podniosły się nagle. W ukrytych za plecami dłoniach trzymały kule z mocno ugniecionego śniegu. Ahmed udał, że tego nie widzi, i podszedł bliżej, aby mogły go zaskoczyć. Gdy tylko znalazł się w odpowiedniej odległości, obie, z radosnymi okrzykami, obrzuciły go swoją amunicją nakazując mu się poddać, bo inaczej zakopią go w śniegu. Ahmed, najpierw kucając, a potem kłękając i zasłaniając twarz dłońmi, odegrał atak panicznego strachu.

— Błagam o wybaczenie!

Dziewczynki podeszły, żeby dokończyć dzieła.

— Poddaj się albo zgинiesz! — powiedziała Marta, podnosząc prawą dłoń.

Poprzez szpary między palcami, które zakrywały mu twarz, Ahmed obliczył odległość. Kiedy zobaczył, że napastniczki są już w jego zasięgu, wyprostował się jak sprężyna i chwytając je w pasie, wśród śmiechów i krzyków padł wraz z nimi na biały całun.

W tym momencie w furcie do ogrodu ukazała się surowa postać ochmistrzyni Cateriny w wysokich drewnianych chodakach. Kobieta, podkasawszy długie spódnice, których nie chciała zamoczyć, podeszła do gromadki i chwyciwszy Martę za rękę, zmusiła ją do wstania z ziemi, jednocześnie besztając Ahmeda.

— Nie mogę uwierzyć, że wdajesz się w takie bójkę z dziećmi! A wy, panienko Marto, powinniście wiedzieć, że to nie są odpowiednie zabawy dla dam. Co do ciebie, Aminu, jesteś już za duża na takie swawole... Powiem o wszystkim twojej matce.

— To moja wina, doña Caterino; już więcej się to nie powtórzy — obiecał Ahmed, otrzepując portki ze śniegu.

— Na pewno się nie powtórzy, już ja o to zadbam.

I wzięwszy Martę za rękę, ochmistrzyni skierowała się w stronę domu, a za nimi poszła strapiona Amina.

Tego dnia Ahmed był skłonny wybaczyć każdą krzywdę, tak bardzo czuł się szczęśliwy. Włożył czapkę, podszedł do żelaznej furty od ogrodu i wyszedł na ulicę.

Droga do kościoła Sants Just i Pastor wydała mu się nowa i cudowna. Łód na pniach drzew tworzył koronkową dekorację, a śnieg skrzypiał pod stopami. Z powodu tego niezwykłego zjawiska ludzie byli jakby w lepszym humorze i można było pomyśleć, że wszystkie dzieci z miasta zgromadziły się na placu Sant Miquel, żeby urządzać na nim śnieżne bitwy. Ahmed przeszedł na jego drugą stronę i udał się w stronę kościoła Sant Jaume; minąwszy go, wspiał się na niewielką pochyłość i stanął przed kościołem Sants Just i Pastor. Kiedy otworzył drzwi, zawiasy zaskrzypiały żałośnie i chłopak, z czapką w dłoni, wszedł do świątyni. Początkowo mrok nie pozwalał mu rozróżnić szczegółów wnętrza, ale oczy szybko przywykły do półcienia. W środkowej nawie modliły się cztery staruchy, a w prezbiterium jakiś człowiek rozmawiał z kapłanem. W świetle

padającym na główny ołtarz Ahmed zdołał dostrzec profil ukochanej Zahiry, która już na niego czekała. Niemal na palcach podszedł pod niszę Najświętszej Panienki, gdzie siedziała dziewczyna, i przeżegnawszy się niezgrabnie, usiadł obok niej. Tak jak za każdym razem serce waliło mu jak młotem. Jego dłoń zaczęła szukać dłoni dziewczyny.

— Jak się czujesz, najdroższa? Zawsze bardzo się niecierpliwię, czekając na wiadomość od ciebie.

Dziewczyna, nie odwracając się do niego, na wpół zakryta pod peleryną zasłaniającą jej arabskie odzienie, odpowiedziała:

— Niech Bóg cię strzeże, Ahmedzie. Bez wątpienia moje serce cierpi bardziej niż twoje, ale jest mi trudno przesyłać ci wiadomości, a jeszcze trudniej spotykać się z tobą... Nie zapominaj, że ty jesteś wolny i kierujesz własnym życiem, podczas gdy ja zależę od kaprysów wielu osób.

— Wybacz moją niecierpliwość, ale to oczekiwanie jest dla mnie nie do zniesienia i każdy dzień wydaje mi się dłuższy od poprzedniego, nie potrafię niczego dobrze zrobić i jeżeli nie ponoszę konsekwencji swojej nieuwagi, to tylko dzięki życzliwości pana.

— Powiedz raczej „przełożonego”; nie rozumiesz znaczenia słowa „pan” — wyszeptła smutnym głosem Zahira.

— Dobrze je rozumiem; nie zapominaj, że zostałem kupiony jako dziecko i znam warunki, w jakich przyszło żyć licznym niewolnikom. Przyznaję, że miałem wielkie szczęście, trafiając na wspaniałego pana, który uwolnił mnie i moich bliskich... Ale nie chcę tracić ani jednej ze swych krótkich chwil szczęścia na próżne wyjaśnienia, które prowadzą donikąd.

Dziewczyna odwróciła się do niego tak, że zasłona skrywająca jej twarz nieco się odsunęła i Ahmed zdołał dostrzec błysk pięknych oczu.

— Tak chcę cię pamiętać dziś w nocy — szepnął, pieszcząc ją wzrokiem. — Mów do mnie, proszę cię. Każde twoje słowo jest skarbem, który przechowuję w sercu.

Zahira pokręciła głową i westchnęła smutno.

— Ahmedzie, sprawy stają się bardzo trudne. Prawie nigdy nie wychodzę sama i bardzo się narażam, nie tylko spotykając się z tobą, ale nawet zostawiając Margaridzie wiadomość. Obawiam się, że wyrządę ci krzywdę, dając próżne nadzieje, bo wszystko będzie nadal wyglądało tak jak teraz albo gorzej... Mój właściciel

jest zmienny i kapryśny, co czyni z niego człowieka
nieprzewidywal-

negó; ja zależę od jego humorów i od humorów ochmistrzyni. Jeżeli zostaną przyłapani na czymś niewłaściwym, uniknę chłosty, bo z obawy, że dostaną za mnie marne grosze, nie będą chcieli pobliźnić moich pleców, ale bez wątpienia kara będzie straszliwa.

— Zahiro, od pierwszego dnia, kiedy z tobą rozmawiałem, oszczędzam każdy zarobiony grosz, żeby kiedyś cię wykupić — zapewnił Ahmed. — Pracuję nie tylko w domu, lecz także w stoczni swojego pana, gdzie uszczelniam dna statków, i zebrałem już dokładnie trzydzieści mancuso, dwadzieścia trzy soldy i jedenaście dinarów. Jak myślisz, ile twój pan za ciebie zażąda?

Na twarzy Zahiry pojawił się melancholijny uśmiech.

— Jesteś marzycielem, Ahmcdzie, i może dlatego się w tobie zakochałam, ale twój wysiłek jest daremny. Mój pan, nawet gdyby się zgodził mnie sprzedać, zażądałby znacznie więcej. Pewnego dnia usłyszałam, jak mówi, że zaczeka, aż skończę dziewiętnaście lat, i wtedy wysłucha ofert.

— Zawsze trzeba próbować; za wszelką cenę muszę się dowiedzieć, ile twój właściciel za ciebie chce. A jeżeli będę musiał zadłużyć się na całe życie u swojego pana, zrobię to bez wahania. Jeżeli nie uwolnię cię z łańcuchów, będę się uważał za głupca albo, co gorsza, za człowieka bez serca, który zaszczeplił w tobie próżne nadzieje.

— Jestem ci wdzięczna za dobre intencje — odpowiedziała łagodnie. — Chcę, abyś wiedział, że twoja miłość pomogła mi żyć aż do dzisiaj, ale pora wracać na ziemię z tych chmur, w jakich przebywaliśmy od kilku miesięcy. Nie chcę stać się przeszkodą na twojej drodze. — Nie mogła spojrzeć mu w oczy i spuściła głowę, zanim wyszeptala: — Lepiej, żebyśmy zapomnieli o tym marzeniu.

Ahmed przemówił opanowanym, a jednak zdecydowanym tonem:

— Zahiro, jesteś i zostaniesz jedyną kobietą w moim życiu. Jeżeli nie pomożesz mi zebrać środków, będę działał sam, i przysięgam ci, że zdołam dotrzeć do twego pana.

— Nie nalegaj, Ahmcdzie. Nigdy cię nie zapomnę, ale nadeszła pora, żeby się pożegnać.

Rozejrzała się na boki i już pewna, że nikt jej nie obserwuje, ujęła w dłoń twarz Ahmeda i złożyła na jego ustach pocałunek. Potem podniosła kaptur swojej peleryny, żeby zasłonić twarz, i wybiegła, zostawiając chłopaka pogrążonego w morzu zgryzot i obaw.

20

Lupanar Mainara

Spotkanie odbyło się w domu na przedmieściu Vilanova deis Arcs, który był poprzednio własnością Martiego. Na ten uroczysty dzień zaczynającego się właśnie roku Mainar zaprosił doña Marçala de Sant Jaume, swojego nieznanego dotąd protektora, oraz współnika i pośrednika, Simóna „Renegata”. Sprzedaż została zalegalizowana kilka miesięcy wcześniej w domu naczelnego notariusza Guillemu de Valderribes, wznoszącym się w pobliżu starożytnej rzymskiej świątyni, w obecności czterech świadków, którymi byli: ze strony Mainara — sam Simó jako przechrzta, i ze strony sprzedającego Martiego Barbany — grecki kapitan Basilis Manipoulos, uznany już obywatel Barcelony; pozostali dwaj byli sekretarzami notariusza. Aby kontynuować farsę, zapłatę za nieruchomość uregulował Mainar, w połowie gotówką, w uncjach złota i w złotych mancuso, a w połowie rocznym wekslem wystawionym przez genueński bank i poręczonym przez Eleazara Bensahadona, drugiego prezesa bankierów w barcelońskiej Call.

Czekając na swoich gości, Mainar przebiegł w myślach kroki, które poczynił, żeby zdobyć upragnione domostwo. Najpierw musiał wyszczególnić w umowie warunki, na jakich była sprzedawana nieruchomość, i jej przeznaczenie. Spryt odpowiedział mu, w jaki sposób to sformułować. Na żądanie Martiego Barbany notariusz zapisał w dokumencie, że w domu będą umieszczeni niewolnicy zakupieni na licytacjach targu La Boquería, co poświadczył tamtejszy

licytator; że ci mężczyźni, kobiety i dzieci będą przyuczani do zawodu, by dzięki temu w przyszłości mogli liczyć na poprawę losu; że przy ich późniejszej sprzedaży zostanie włączona do akt klauzula, zgodnie z którą będą mogli uzyskać wolność, o ile w transakcji uwzględni się zysk przysługujący Mairtarowi z tytułu dokonanych inwestycji, związanych zarówno z zakupem tychże niewolników, jak też z ich nauką i utrzymaniem. Kiedy zobaczył, że Barbany godzi się na ten układ, odetchnął uspokojony, gdyż oprócz ceny i tej pokrętej klauzuli pozostałe warunki wydawały mu się dziecinną zabawą.

Dom stał na rogu ulic. Był doskonale utrzymany i należało tylko nieco odświeżyć jego zewnętrzną fasadę, a wewnątrz dokonać koniecznych zmian, żeby lepiej go dostosować do nowej funkcji. Wjazd na podwórzec dla koni i wozów został powiększony i przerobiony. Za bramą otwierała się sala ze ścianami zabudowanymi półkami, na których goście mieli zostawiać wszystkie przedmioty niepotrzebne w chwilach odprężenia i rozrywki, a już obowiązkowo noże, sztylety i wszelką broń białą, gdyż w razie jakiejś sprzeczki wywołanej przez przyćmione zazdrością lub oparami wina umysły mogłyby się ona okazać bardzo niebezpieczna. Przed półkami stała szeroka lada na toczonych nogach. Z tej sali przechodziło się do drugiej, gdzie wokół podium przypominającego to, na którym odbywały się licytacje niewolników, ale otoczonego kręgiem lamp z płomykami oliwnymi, rozmieszczono większe i mniejsze stoliki dla gości. Nie trzeba dodawać, że to podium było przeznaczone dla nieszczęsnych niewolnic, które miały dostarczać klientom przyjemności wieczorami, a gdyby zaszła taka potrzeba, później mogłyby zostać sprzedane. W głębi sali znajdowały się schody wiodące na piętro, gdzie otwierało się ośmioro drzwi, które prowadziły do tyluż pokoi, odpowiednio wyposażonych w sienniki i umywalnie z miskami i dzbanami wody. Przez niewielkie okienko zakryte dyskretną żaluzją można było stamtąd obserwować, co się dzieje w dolnym salonie. Na jego zapleczu było kilka pokoików bez wentylacji, gdzie miały czekać na swoją kolej dziewczyny prezentowane danej nocy publiczności. W piwnicy znajdowały się sypialnie, czyli w gruncie rzeczy cele nieszczęsnych mieszkańców tego szczególnego więzienia. Na każdym piętrze były wygodki przeznaczone dla klientów, a w tylnej części parteru, za wielkim podwórcem — kuchnie

i spiżarnie ze wszystkim, co będzie konieczne do nakarmienia mieszkańców, jadalnia dla niewolników oraz wielki ogród dostarczający jarzyn dla całego personelu. Otaczał go wysoki mur zwieńczony szklanymi skorupami, a jedyna brama miała po obu stronach wieżyczki, z których można było obserwować zarówno zewnętrzną, jak i wewnętrzną jego stronę, jako że co rano cała grupa niewolnic miała wychodzić na światło słoneczne dla zachowania zdrowia i urody. I wreszcie obok stajni było pomieszczenie dla strażników, którym zamierzano powierzyć zadanie utrzymania porządku w domu; w szafie zgromadzono do ich dyspozycji cały arsenał pałek, kijów i dzid z drewnianą rękojeścią i ostrym żelaznym kolcem, będących w stanie uspokoić nawet najbardziej krewkich klientów. Obok tego pomieszczenia znajdowała się sypialnia dla służby.

O umówionej godzinie służący zapukał do drzwi pokoju gospodarza, by zaanonsować, że przybyli oczekiwani goście. Mainar obciągnął kaftan, wygładził nogawice i poprawił przepaskę na oku, kazał ich wprowadzić, choć czuł ucisk w gardle. Wstał i oparł się wyprostowany o narożnik stołu, usiłując wywrzeć jak najlepsze wrażenie. Otworzyły się drzwi, ktoś spytał, czy można wejść, i oczom Mainara ukazali się Simó, sprawny licytator z targu niewolników, oraz mityczny Marçal de Sant Jaume, niegdyś wpływowy przyjaciel hrabiego Ramóna Beren-guera, a obecnie potężny stronnik pierworodnego Pedra Ramóna. Odzienie arystokraty zaskoczyło Mainara, i to wcale nie stylem, jako że doskonale znał jego zwyczaj noszenia się na modłę mużułmańską, lecz wspaniałością i przepychem. Obaj mężczyźni z ciekawością popatrzyli na siebie. Simó ze spuszczoną głową czekał przy drzwiach.

— Witajcie w tych skromnych progach, panie, czujcie się, jak byście byli we własnym domu — pozdrowił go Mainar.

Marçal de Sant Jaume, bawiąc się leniwie biczem, który trzymał w dłoni, ocenił spojrzeniem na wpół zamaskowanego gospodarza, po czym odpowiedział uroczyście i wyniośle:

— Ja też jestem zadowolony, że was poznałem. Simó dobrze mi o was mówił, ale od tej chwili, skoro już zaspokoilem ciekawość, dla naszej wspólnej korzyści nie będziemy się często widywali; dwór ma wszędzie oczy i uszy i nie byłoby wskazane narażać tego, co zapowiada się na dobry interes. Naszym pośrednikiem nadal pozostanie ten grubas Simó — dodał pogardliwym tonem, jaki przeznaczał zawsze dla licytatora niewolników.

— Niech będzie wedle waszej woli, panie.

Szlachcic ciekawym wzrokiem lustrował pomieszczenie.

— Słowo daję, nieźle się tu urządziliście; znam dobrze różne zwyczaje i podoba mi się, kiedy wewnątrz odpowiada interesom, jakie się w nim prowadzi.

— Staralem się, panie, żeby w całym domu dawała o sobie znać radość płynąca z przyjemności, która, jak dobrze wiecie, powszechna jest w odległych ziemiach, a pogardzana, przynajmniej publicznie, przez nasz Kościół.

— Z czego można wnioskować, że islam okazuje naturze człowieka znacznie większy szacunek niż nasza religia. Tam mówią o rajy pełnym dziewiczych hurys i o niekończących się obłapianiami na zielonych łąkach poprzecinanych strumykami, podczas gdy u nas malują go nie tylko jako dość monotony, ale też trudny do osiągnięcia.

— Panie, wszystko to, co jest sprzeczne z prawami instynktu prokreacji, wydaje się skazane na porażkę. Dlatego ten interes jest niezawodny.

Don de Sant Jaume przytaknął skinieniem głowy.

— Jestem tego samego zdania co wy, ale uważam, że będziecie musieli pomyśleć o innym miejscu dla drugiego z waszych przybytków, gdyż nie byłbym zachwycony, gdyby taki handel odbywał się w pobliżu mojego domu. — Potem zwrócił się do Simóna, który w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie. — Sądzę, że przy drodze do Montjuïc, na skraju przedmieścia Pi, znajdziecie lepszą lokalizację.

— Myślałem, panie — wtrącił licytator — że z tego samego powodu, o którym przed chwilą mówiliście, nie będzie dla tej sprawy korzystne sąsiedztwo kościoła Santa Maria del Pi.

— Nie bądź głupi. Nic się nie wydarzy, dopóki możemy liczyć na aprobatę i opiekę naszego protektora.

— A jeżeli jakiś natrętny duchowny wściubi tam swój nos?

— Chyba dlatego, że poczuje zapach kobiety, a wtedy będziemy umieli zaspokoić jego potrzebę — odpowiedział przebiegle Marçal.

Mainar, który nie chciał się sprzeciwiać swojemu opiekunowi, rzekł pojednawczo:

— Stanie się bez wątpienia tak, jak zechcecie. A teraz, jeśli łaska, pokażę wam urządzenie domu.

— Jeszcze nie. Najpierw chcę wiedzieć, czemu należy przypisać wasz dziwny wygląd.

Poprosiwszy szlachcica, żeby zajął miejsce, i samemu uczyniwszy to samo, jednooki opowiedział o swoich niezwykłych przygodach, bardzo przy tym uważając, żeby nie odbiec od tego, co zaprezentował Simónowi. A kiedy już zaspokoił ciekawość doña de Sant Jaume, oprowadził go po wszystkich pokojach, z Simónem podążającym kilka kroków za nimi. Z zachowania gościa Mainar wywnioskował, że dom spodobał mu się w najwyższym stopniu.

— Lokal wydaje się odpowiedni; ty, Simó, masz zadbać o jego zawartość — skomentował szlachcic.

— Zapewniam was, panie, że będzie na właściwym poziomie; nie znajdziecie powodu do skarg.

— To jest dobre, co się dobrze kończy; nie chcę wracać do tej sprawy.

Marçal de Sant Jaume, wskazując Simónowi gestem, żeby szedł za nim, skierował się do wyjścia, gdzie u stóp schodów czekała na niego służba. Drewniane nogi lektyki opierały się o ziemię.

Kiedy już się oddalili, jednooki w ciszy swojego gabinetu powiedział głośno:

— Nadejdzie dzień, kiedy będziesz jadł mi z ręki.

21

Wodowanie

— Caterino, przyprowadźcie Martę do biblioteki przydzieloną stosownie do wydarzenia, którego będziemy dziś świadkami. Dla mnie to wielki dzień, ale dla niej musi być niezapomniany.

Kobieta ruszyła pośpiesznie, by wypełnić polecenie, gdy głos Martiego Barbany zatrzymał ją w progu.

— Chcę, żebyście wszyscy udali się na wybrzeże, niech w domu zostaną tylko majordom i dowódca mojej straży z oddziałem ubezpieczającym bramy i mur.

— Jak rozkażecie, panie.

Kiedy Marti pozostał sam, postanowił skrócić sobie chwile oczekiwania na córkę, porządkując myśli. Marta, centrum jego egzystencji, skończyła już jedenaście lat i dostrzegał w niej zalety, które kiedyś zdobyły ukochaną Ruth. Od śmierci żony jego imperium wciąż się rozrastało, a proporzec był znany we wszystkich portach Morza Śródziemnego. Karawany załadowane cennymi wyrobami: kością słoniową, mieczami, zbrojami, pszenicą, jęczmieniem, tkaninami i garbowanymi skórami, podążały z Barcelony zarówno ku ziemiom Franków, jak i ku chrześcijańskim czy mauretańskim królestwom reszty Hiszpanii. Tylko jedna sprawa mąciła spokój jego ducha w nowym roku, a było to oszustwo, jakiego padł ofiarą, sprzedając dom w Vilanova deis Arcs owemu nikczemnikowi, który wykorzystując jego dobrą wiarę, założył interes napawający obrzydzeniem każde prawdziwie chrześcijańskie sumienie.

Przybycie Marty zapowiedziały szybkie kroki, którym towarzyszyły okrzyki Cateriny, niemogącej nadążyć za nią po schodach. Dziewczynka ukazała się w drzwiach i jej żywe oczy omiotły pokój. Gdy dostrzegła ojca siedzącego w fotelu pod trójdzielnym oknem, podbiegła do niego i padła mu w ramiona.

— Spokojnie, Marto, doña Caterina nie może cię dogonić!

Ochmistrzyni zatrzymała się bez tchu w drzwiach gabinetu.

— Powtarzam jej to tysiące razy, panie: damy powinny chodzić z większą powściągliwością, drobnymi i wolnymi krokami; Marta jest już małą kobietą.

Marti poparł spostrzeżenie Cateriny.

— To prawda, córeczko, zaczynasz już dorastać i twoje zachowanie powinno być godne twej pozycji.

— Ojczy, to z radości, jaką czuję, kiedy udaje mi się was zobaczyć. Tak wiele pracujecie i tak trudno się z wami spotkać, że kiedy mnie wzywacie, zapominam o zasadach i biegnę galopem.

— Właśnie dlatego muszę się poskarżyć — powiedziała stara ochmistrzyni. — Nie mogę za wami nadążyć i mam już dość mówienia wciąż tego samego.

— Już się to nie powtórzy, Caterino — obiecał Marti. — Od tej chwili będziemy bardzo uważali. — I zwracając się do córki, dodał: — Prawda, Marto?

— Tak, będę bardzo uważała, ojczy, nie będę już biegała po domu.

— O, tak mi się bardziej podoba, a wy, Caterino, możecie odejść. Ojciec i córka zostali sami.

— Podejdź bliżej, Marto, i usiądź przy mnie. Podkasawszy spódniczkę, dziewczynka zwinęła się w kłębek w fotelu obok ojca. Miała na sobie niebieski kaftanik otwarty po bokach, spod którego widać było związane w nadgarstkach rękawy białej koszuli przybranej naszyciami zdobitymi brzeg kwadratowego dekoltu; na nogach, obutych w pierwsze w jej życiu ciemno-błękitne pantofelki, miała pończoszki w kolorze indygo. Marti popatrzył na nią z dumą. Ta kobietka była jego córką.

— A więc, Marto, nadszedł ten dzień. Dzisiaj będziesz świadkiem wydarzeń, które odbiją się na twoim życiu.

— Wiem, ojczy, i to sprawiło, że ostatniej nocy opuścił mnie sen. Ani na chwilę nie zmrugałam oka, myśląc o tym pięknym dniu, który nadchodzi.

— Jeszcze nie wiesz wszystkiego, córeczko, i nic ci o tym nie mówiłem, bo dopiero dziś rano potwierdzono mi to, o czym zaraz usłyszysz.

— Co może być ważniejszego od uczestniczenia w wodowaniu statku, którego budowę oglądałam przez dwa lata?

— A to, że hrabina Almodis we własnej osobie będzie wraz z tobą jego matką chrzestną.

Oczy Marty zalśniły z radości.

— Ojcze, dlaczego spotyka mnie takie szczęście?

— Z pewnością dlatego, że na nie zasługujesz jako dobra córka Kościoła i dobra córka swego ojca.

— Czy mogę was o coś prosić?

— Oczywiście.

— Chciałabym, żeby towarzyszyła mi Amina.

Marti zastanowił się przez chwilę.

— Czy uważasz to za konieczne?

— Ojcze, kiedy tam się znajdę, nie będę znała nikogo.

— Zatem niech tak będzie, skoro tego chcesz, ale pamiętaj, że kiedy przedstawię cię hrabinie, Amina będzie musiała pozostać z boku.

— Uwielbiam was, ojcze — powiedziała, rzucając mu się w ramiona, zanim poszła przekazać tę wiadomość serdecznej przyjaciółce.

Po drodze minęła Ahmeda, który przeszedł, niemal jej nie widząc. Marta rzuciła na młodzieńca smutne spojrzenie. Kilka miesięcy wcześniej chodził szczęśliwy, z nieustannym uśmiechem na ustach, a teraz głębokie cienie pod oczami okrywały mrokiem jego spojrzenie. Dziewczynka pomyślała, że dałaby wszystko, by się dowiedzieć, co w tych dniach tak bardzo przyćmiewa duszę i miłość jej przyjaciela.

Wybrzeże położone po prawej stronie bramy Regomir, gdzie miał swoje stocznie Marti Barbany, było mrowiskiem ludzi pochodzących ze wszystkich zakątków hrabstwa. Wodowanie pierwszego statku o tak dużej ładowności również w oczach mieszkańców Barcelony uchodziło za niezwykle wydarzenie, toteż pomimo dokuczliwego zimowego chłodu stało się wielkim świętem. Ten statek był nie-

wątpliwie największy z całej floty armatora, składającej się już z sześćdziesięciu trzech jednostek o rozmaitych pokładach i zanurzeniach. Tym razem Marti zrealizował od dawna wymarzony projekt i jego cieśle, szkutnicy, kowale i wszyscy ci, dzięki którym wysiłkom powstawały statki, przeszli samych siebie. Marta obserwowała budowę od pierwszego dnia, mimo to kiedy dotarła na wybrzeże, była zaskoczona wielkością nowego flagowego statku we flocie ojca. Wydatny kil smukłego kadłuba, łączącego żagle z trzema rzędami wiosel, spoczywał w środkowym zagłębieniu łoża utworzonego z bukowych belek, które — ułożone o trzy sążnie jedna od drugiej i nasmarowane tłuszczem — schodziły po plaży do samej wody; potężne burty, od przedniego zwężenia po rufowe płetwy, opierały się na długich, grubych palach wbitych w piasek, które kierowane i utrzymywane przez wytrawnych ludzi morza, miały doprowadzić statek aż do wody. Był on triemą podobną do bizantyńskiej celandrii, o dwudziestu sześciu rzędach potrójnych ławek, po trzech ludzi na wiosło, a ponadto miał wykorzystywać siłę wiatru. Trzy żagle łańskie, których maszty, fokmaszt i bezanmaszt spoczywały teraz na pokładzie, zamierzano podnieść, gdy statek znajdzie się już na wodzie. Podwójny ster zapewniający dobre trzymanie kursu znajdował się na pokładzie rufowego kasztelu; pod nim, na sterburcie, była kajuta kapitana, a na bakburcie — kajuta armatora, na dziobie zaś nieco mniejszy kasztel z dwiema kajutami dla znakomitych lub zamożnych pasażerów, którzy mogli za nie zapłacić, i mała kabina dla medyka pokładowego, zatrudnionego z inicjatywy armatora. Pod pokładem mieściły się koje załogi, a niżej ładownie. Statek otaczał podniesiony wąski pomost, który pozwalał go okrążyć po zewnętrznej stronie i poruszać się tak, by nie zakłócać pracy wiosłarzy. Przez środek zaś, od dziobu do rufy, biegł pod pokładem drewniany mostek, po którym mógł chodzić nadzorca, aby w szczególnych przypadkach, na przykład ucieczki lub obrony przed piratami, pobudzać galerników biczem do większego wysiłku. Ażeby w dzień wodowania przetransportować zaproszonych gości na pokład, na piasku obok statku ustawiono dwie platformy zbite z drewnianych desek, zaopatrzone w poręcze i umocowane na wielokrążkach.

Rozradowany, niespokojny tłum kłębił się wokół lin ogranicza-

jących dok; kilku strażników *veguera* miało zapewnić hrabinie i jej orszakowi bezpieczny i łatwy dostęp do statku. W tym celu wzniesiono i przystrojono trybunę z krzesłami, skąd można było przyglądać się ceremoniałowi; od niej aż do skraju plaży ciągnął się długi dywan chroniący pantofelki dam i kraje ich spódnic przed poplamieniem resztkami smoły czy brudnym piaskiem.

Marti Barbany, w towarzystwie swoich kapitanów i serdecznego przyjaciela — archidiakona z katedry i spowiednika hrabiny Eudalda Llobeta, oczekiwał wraz z córką przybycia dworu. Marta, trzymając za rękę Aminę, podniecona całym tym zamętem, dostrzegła zaciekawiona, że zarówno nazwa statku, jak i dziobowy galion są zakryte grubymi zasłonami.

— Ojczy, dlaczego dziób jest zasłonięty?

— To niespodzianka, którą przygotowałem dla ciebie.

W tym momencie dźwięk fanfar i bicie w bębny zapowiedziały, że barceloński dwór zbliża się do plaży. Tłum się zakotłosał, a piki strażników gwałtownie się przed nim skrzyżowały. Poprzedzana eskortą i otoczona ulubionymi dworzanami, na krańcu czerwonego dywanu pojawiła się majestatyczna i uroczysta hrabina Almodis. Miała na sobie przepasany sznurem piękny kaftan podkreślający jej wciąż piękne piersi, rękawy przywiązane tasiemkami do palców serdecznych, gronostajową pelerynę dla zabezpieczenia przed wilgotnym morskim powietrzem, pończochy koloru bakłażanu pozwalające dostrzec jej smukłe łydki, kiedy szła po stopniach, i wytworne koturny dodające jej wzrostu i chroniące przed piaskiem. Głowę zdobiło osobliwe przybranie ze skorupy żółwia i pereł, współgrające z pięknym naszyjnikiem i stosowne na żeglarską ceremonię, jaka miała się za chwilę odbyć. U boku hrabiny kroczyły bliźnięta Ramón i Berenguer, a za nimi, w pewnej odległości, pierworodny Pedro Ramón. Delfín szedł z zachmurzoną twarzą, a nieco z tyłu damy z Lionor na czele. Orszaku dopełniali: Olderich de Pellicer — *veguer* Barcelony, Odó de Monteada — biskup miasta, Guillem de Valderribes — naczelny notariusz, i Gilbert d'Estruc — zaufany szlachcic i wierny sługa Almodis. Kiedy dotarli do trybuny, Marti podszedł do hrabiny i przyklękawszy na jedno kolano, jak ostatni z jej sług, ucałował dłoń, którą mu podała, a następnie pozdrowił trzech młodych panów. Kiedy już wszyscy pozostali, z wyjątkiem ojca Llobeta, złożyli jej głęboki ukłon, Almodis,

poprzedzając swój niewielki dwór, weszła na trybunę, skąd skierowała spojrzenie na okazały statek.

— Na Boga, piękny widok! Wygląda na to, mój drogi Marti, że nigdy nie ustajecie w waszych wysiłkach na rzecz honoru i reputacji katalońskich hrabstw.

— Pani, taka jest moja praca i jeśli dzięki niej przyczyniam się do wzrostu tego miasta, które tyle mi dało, to jestem bardzo szczęśliwy.

Wtedy hrabina dostrzegła Martę, z podziwem przyglądającą się wszystkiemu, co się wokół działo.

— Czy ta młoda panna to wasza córka?

— To Marta, pani, moja córka i jedyna ukochana osoba, jaka pozostała mi na tym świecie.

— Uważam, że to wielki honor dla tak młodego dziewczęcia. Co zrobicie, kiedy kogoś poślubi?

— Do tego wiele brakuje — westchnął Marti. — Jeszcze na to nie pora.

— Ależ jest już w odpowiednim wieku — rzekła z uśmiechem Almodis, po czym zwróciła się do Marty: — Chciałabym, żeby ojciec przyprowadził cię kiedyś do pałacu. Mam dwie córki, Inés i Sanchę, które teraz przebywają wraz z moim małżonkiem, hrabią Barcelony, z wizytą u stryja, hrabiego Urgelu, dlatego mi nie towarzyszą. Są nieco starsze, ale myślę, że mogłyby się z tobą zaprzyjaźnić.

Marti ścisnął lekko ramię córki, która właściwie zrozumiała ten znak.

— Będzie to dla mnie wielkim zaszczytem, pani. Z radością je poznam i zobaczę pałac.

— Niech więc tak się stanie — zakończyła hrabina. — Przejdźmy do uroczystości, Marti. Mieszkańcy Barcelony nie zasługują na tak długie czekanie.

— A więc, pani, jeśli taka wasza wola, nakażcie księdzu biskupowi, żeby zaczynał.

Odó de Monteadá, przystrojony w purpurową pelerynę, która zakrywała zdobną sutannę lamowaną złotymi nićmi, zbliżył się do kadłuba statku i pobłogosławiwszy go, ujął w dłoń kropidło leżące w naczyniu podtrzymywanym przez młodego kleryka, po czym skropił statek wodą święconą. Wtedy Marti pociągnął za linę

i rozsunął zasłony, odsłaniając zarówno tabliczkę, na której widniała nazwa statku „Santa Marta”, jak i dziobowy galion, który okazał się syrenką z rysami dziewczynki. Marta, usiłując opanować wzruszenie, zasłoniła usta dłońmi, żeby zdusić łkanie.

Podczas gdy powietrze zawibrowało od zgiełku bębnow i trąbek, tłum zaczął wiwatować na cześć hrabiny i armatora, a jednocześnie w bramach stoczni pojawiła się służba z koszami pełnymi jedzenia, które zaczęła rozrzucać wśród podnieconej cizby.

— Pani, jeśli pozwolicie, pragnąłbym zaprosić was na pokład, zanim statek osiądzie na falach.

Głos Martiego rozległ się ponad hałasem i wrzawą.

— Nic nie sprawi mi większej radości. Ostatnim razem, kiedy przybyłam morzem do Barcelony, odbyło się to w bardzo specjalnych okolicznościach — powiedziała hrabina, wspominając z uśmiechem pełną przygod ucieczkę z Tuluzy i późniejszy przyjazd do miasta.

— A zatem chodźmy, pani.

Niewielka grupa zeszła z trybuny i skierowała się ku stojącym na plaży platformom. Pochód otwierał Marti, trzymając córkę za rękę; potem szła hrabina, a za nią bliźniacy. Dziedzic, z obojętnym wyrazem twarzy, zrezygnował ze zwiedzania statku, głównie dlatego, żeby zrobić afront macosze. Zamykał procesję Eudald Llobet, którego organizm, choć wyniszczony, nie odmawiał sobie przyjemności zaznawania nowych wrażeń. Platformy, każda z czterema osobami, wzniosły się powoli, poruszane siłą ludzkich rąk. W ostatniej grupie znaleźli się kapitanowie Martiego, przebywający właśnie w Barcelonie — Grek Manipoulos i Felet, przyjaciel z dzieciństwa — do których należało udzielanie wszelkich wyjaśnień technicznych, jakich mogli zażądać zaciekawieni goście. Koła urządzeń skrzypiały z wysiłku pod naporem lin konopnych, aż wreszcie platformy osiągnęły odpowiednią wysokość i cała grupa zeszła z nich na pokład.

Zwiedzający rozproszyli się, chodząc z jednego miejsca w drugie, zadziwieni zarówno różnorodnością pomysłowych rozwiązań technicznych, jak i ogromną ilością wypolerowanych brązowych okuć, cennych gatunków drewna, lakierowanych wielokrążków. Wszystko, aż po systemem sterów, było najlepsze i najnowocześniejsze jak na swoje czasy.

— Mój drogi przyjacielu — powiedziała hrabina na stronie do armatora — to zdumiewające. Nigdy nie przypuszczałam, że czło-

wiek jest zdolny do stworzenia takiego cudu. Wysiłki, jakie czynicie dla uwznioslenia hrabstwa Barcelony, są godne uznania. Jeżeli pragniecie o cokolwiek mnie poprosić, to jest ku temu właściwa chwila.

Archidiakon wymienił z Martim porozumiewawcze spojrzenie.

— Pani, byłoby dogodniej pomówić o tym w którejś z kajut.

Po chwili hrabina, jej gospodarz i spowiednik znaleźli się w kajucie armatora urządzonej pod pokładem rufowym. Almodis obojętnie usiadła na koi stojącej na sterburcie i rzekła:

— Mój kobiecy instynkt mówi mi, że nie przyprowadziliście mnie tutaj z jakiegoś błahego powodu.

Llobet chrząknął znacząco.

— W istocie, pani. Po raz kolejny wasza intuicja was nie myli.

— Mówcie więc, cała zamieniam się w słuch.

Zabrał głos Marti.

— Chodzi o to, pani, że już od dłuższego czasu chciałem wam przedstawić pewną sprawę, która sprawia mi wielki ból.

— Słucham was, Marti — rzekła hrabina.

— Muszę dodać, hrabino, że ta sprawa dotyczy nie tylko naszego przyjaciela, ale też obraża Kościół Święty, Matkę Naszą — uzupełnił duchowny.

— Zaniepokoiło mnie to, Eudaldzie. Powiedzcie mi, o co chodzi, i jeżeli będzie to w mojej mocy, postaram się znaleźć właściwe lekarstwo. Mówcie, Marti.

— A więc, pani, jakiś czas temu przyszedł do mnie pewien człowiek, który posługując się podstępem i oszustwem, zaproponował mi pewien interes, prowadzący rzekomo do wyzwolenia niewolników, i w tym celu chciał kupić należący do mnie dom w Vilanova deis Arcs.

— I?

— Zgodziłem się na to — przyznał rozgoryczony Marti.

— A zatem?

— Jego zamiar, pani, był zupełnie inny: chodziło mu o założenie gniazda rozpusty i wyuzdania, gdzie nie dość, że nie wyzwala żadnych niewolników, to jeszcze zmusza ich do nierządu, czyniąc to bez najmniejszego miłosierdzia.

— W ten sposób narusza szóste przykazanie prawa bożego i kala miasto — dodał Llobet.

Almodis pomyślała przez chwilę.

— A nie sądzicie, że powinniście zawiadomić o tym nie mnie, lecz *veguera*, który mógłby użyć odpowiednich środków i do prowadzić do zamknięcia tego lupanaru?

Martí i duchowny znów wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Pozwólcie, hrabino.

— Słucham was, Eudaldzie.

— Chodzi o to, że ten człowiek cieszy się opieką osób wysoko postawionych, co czyni go nietykalnym.

Wyraz oczu Almodis całkowicie się zmienił.

— Wytfumaczcie mi to.

Martí zabrał głos.

— Czy pamiętacie, pani, Marçala de Sant Jaume, szlachcica, który był zakładnikiem u króla Sewilli, Al-Mutamida, w czasie owego smutnego wydarzenia z fałszywymi marawedi, tak fatalnego w skutkach dla mojego ukochanego teścia?

— Jak bym mogła zapomnieć o tej strasznej sprawie? — obruszyła się hrabina, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

Przed laty król Sewilli zapłacił okup za syna, zakładnika w hrabiowskim pałacu, monetami marawedi, które później okazały się podrabiane, i w zamian uwolnił zakładnika, którego trzymał na swoim dworze, Marçala de Sant Jaume. Hrabia, podążając za złą radą człowieka, któremu ufał, Bernata Montcusi, poszukał kozła ofiarnego, którym stał się nie kto inny, jak tylko naród żydowski w osobie nieszczęsnego teścia Martíego Barbany. Baruch Benvenist został niesprawiedliwie oskarżony o sfałszowanie marawedi, a następnie stracony, jego dobra zaś uległy konfiskacie.

— Otóż, pani, wygląda na to, że właśnie przez tego szlachcica ów łajdak ma kontakt z pałacem.

— A konkretnie z kim w pałacu, jeśli można wiedzieć? — dopytywała się hrabina.

Archidiakon znowu wtrącił się do rozmowy i chociaż byli w zamkniętym pomieszczeniu, zniżył głos.

— Jeśli moje informacje są prawdziwe, protektorem kawalera jest dziedzic.

Twarz hrabiny napięła się niedostrzegalnie.

— Chcecie mi zasugerować, że Pedro Ramón chroni tę spelunkę?

— Właśnie tak, pani.

Oblicze hrabiny przeszło kolejną metamorfozę.

— Mój drogi Marti, jakkolwiek nadużyto waszej dobrej wiary, to jednak sądzę, że nie należy do mnie pośredniczenie w takich sprawach.

— Nie rozumiem was, hrabino — zabrał głos strapiony ojciec Llobet.

— Mój drogi Eudaldzie, na tym etapie życia wiecie lepiej niż ktokolwiek inny, że na cudzołóstwo, tak jak na długą i mrozną zimę, nie ma lekarstwa, oprócz ognia w palenisku i ciepłego łóżka. Mam już zbyt wiele problemów z dziedzicem i nie chcę powiększać niechęci, jaką ten do mnie żywi, a tym bardziej omawiać podobnej sprawy z małżonkiem. Jeżeli Pedro Ramón poświęca swój czas na takie sprawy, zamiast uprzykrzać mi życie w pałacu, to powiem wam, Marti, że choć mi przykro ze względu na was, uważam, że właściwie korzysta z tego przybytku. Poza tym — dodała z uśmiechem kogoś, kto przeżył i widział wiele rzeczy — jakaś biedna hrabina nic nie może zrobić, żeby ulżyć żądzy swoich męskich poddanych, ani nie sądzę, by to do niej należało.

— Ależ, pani, kiedy chodzi o tak jawną obrazę Boga, sądziliśmy, że może...

— Pałacowe kazania, Eudaldzie. Wiecie, że nie podoba mi się i nie apróbuję tego, że nasz Kościół tak bardzo zajmuje się sprawami, które są naturalne i których nie sposób naprawić, a zostawia wolne pole tyłu niesprawiedliwościom i brakowi miłosierdzia. Ponadto wiecie, że przychodzą tam sobie ulżyć nie tylko żonaci i kawalerowie, bo i w waszym gremium są tacy, co utrzymują konkubiny. Przykro mi, Marti, ale w tych okolicznościach nie mogę zająć się tą sprawą.

Na twarzy armatora można było dostrzec rozczarowanie.

Po krótkiej przerwie Almodis, żeby załagodzić sytuację, dodała:

— Jednakże, byście zobaczyli, że cenię, i to bardzo wysoko, ogromny trud, jaki ponosicie dla dobra Barcelony, odpłacę wam za niego łaską, o którą mnie nie prosiliście.

— A jakaż to łaska, pani?

— Chodzi o to, drogi przyjacielu, że już dawno temu stało się jasne, iż ani wspólnota żydowska, ani tym bardziej wasz teść Baruch Benvenist, tak niesprawiedliwie potraktowany, nie mieli nic wspólnego

nego z owymi nieszczęsnymi fałszywymi marawedi. Nie mogę przywrócić go do życia, ale mogę przywrócić wam jego dobra. Dlatego też, w wyrazie specjalnego zadośćuczynienia, jakie wam ofiarowuję, otrzymacie wszystkie dokumenty potwierdzające zwrot domu w Call, który bez wątpienia należy do was jako do wdowca po waszej świętej pamięci żonie. Niech jedno zrekompensuje drugie. A teraz, jeśli nie macie już nic więcej do powiedzenia, sądzę, że rozmowa się zakończyła. Wracajmy do wodowania tego pięknego statku.

22

Ukaranie Zahiry

Zapadała noc. Niewyraźny wędrowny księżyc, przesłonięty stadem wystrzępionych i płochliwych chmur, z trudem oświetlał drogę, która otwierała się za bramą Castellvell. Na pozór niespójna karawana, złożona z powozu ciągniętego przez cztery muły i dwóch lektyk, posuwała się o tej późnej godzinie Via Francisca w stronę mostka nad Rec Comptal usytuowanego zaraz za skrzyżowaniem, od którego odchodziła droga prowadząca do Vilanova del Mar. Ludzie mijający tę dziwną grupę odsuwali się na bok i spoglądali na nią nieufnie, gdyż zarówno jakość zaprzęgu, jak i nocna pora odbiegały od tego, do czego przyzwyczajano się w tych okolicach. Pochód otwierał konny strażnik, bacznie obserwujący drogę i wypatrujący wybojów i innych przeszkód, jakie mogły zagrozić podążającej tuż za nim okazałej karocy. Na jej wysokim koźle, obok woźnicy, siedział chłopak trzymający latarnię, której drżący blask oświetlał z ukosa groźną pikę z ostrym metalowym zakończeniem, wyłaniającą się spomiędzy fałd jego peleryny; strażnik pilnujący tyłów jechał na niewielkiej platformie. W odległości kilku kroków za powozem posuwały się dwie lektyki niesione na dwóch drągach przez ośmiu tragarzy. Do tego dochodziła uzbrojona eskorta i człowiek z latarnią.

Karawana dotarła do przedmieścia Sant Cugat del Rec i zatrzymała się przed domem z kamienia. Natychmiast otworzyła się brama na podwórzec, gdzie stały już inne karoce i lektyki, a pilnujący ich stajenni, woźnice i parobcy swobodnie rozmawiali.

Światła niesione przez służących, którzy wychodzili z domu, biegały jak gorączkowe świetliki, wskazując drogę znakomitym z wyglądu gościom. Z karocy wysiedli uroczyście sędziowie Barcelony, Ponç Bonfill i Eusebi Vidiella, z pierwszej lektyki — dostojny naczelny notariusz Guillem de Valderribes, - a z drugiej, bardzo dyskretnie, wynurzył się tęgi licytator z targu niewolników, Simó „Renegat”. U stóp schodów czekał na nich ubrany na modłę mauretańską Marçal de Sant Jaume, uprzejmy i uśmiechnięty.

Po obowiązkowych powitaniach wszyscy z wyjątkiem Simóna, który na wyrażony rozkaz szlachcica pozostał na zewnątrz, skierowali się do wielkiej sali skromnie umeblowanej w stylu mauretańskim. Czekają tam już kilku członków pierwszych rodzin w hrabstwie: panowie Rubí, Cervelló, Castellví, Miró de Ostolés, Bonuc de Claramunt, Odó de Sesagudes i inni, którzy ściszyli rozmowy, kiedy weszli nowi goście. Marçal de Sant Jaume, usiadłszy w godnym opata fotelu za stołem przybranym adamaszkim, objął przewodnictwo spotkania, podczas gdy majordom, za którym szła Zahira i inna młoda niewolnica imieniem Baszira, częstował obecnych likierem porzeczkowym, który nalewał z flakonu do kielichów. Obecni rzucali na siebie ostrożne i nieufne spojrzenia. Kiedy już don de Sant Jaume miał zabrać głos, w głębi salonu rozległ się ochrypliwy, łatwo rozpoznawalny głos naczelnego notariusza Guillem de Valderribes.

— Wybaczcie, panie, nie powiedzieliście nam jeszcze, czy on zaszczyca nasze spotkanie.

Usłyszawszy słowo „on”, niemal wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi.

— Szanowny notariuszu, wszyscy wiemy, jak trudna i pełna pułapek jest ta sprawa: dziedzic nie przyjdzie, gdyż chwilowo nie jest to wskazane.

Don de Cabrera, który stał pośrodku kręgu, skomentował:

— O tym powinniśmy byli zostać uprzedzeni. Nie przystoi, by opowiadanie się po stronie prawa wyglądało na coś wstydliwego, co należy ukrywać. Nie jesteśmy konspiratorami, przeciwnie: jesteśmy obywatelami miłującymi porządek oraz strażnikami prawo-myślności i dobrych obyczajów.

— Dlaczego pojawił się tu licytator z targu niewolników, który ani swoją rangą, ani zajęciem nie pasuje do tego miejsca? — chciał się dowiedzieć don de Geribert.

— Trzymajmy się porządku — uspokoił zebranych Margal de Sant Jaume. — Nie mogę odpowiedzieć na tyle pytań jednocześnie. Jeśli chcemy, żeby machina działała, każda jej część musi być na swoim miejscu. Ja jestem pierwszy, któremu przeszkadza zadawanie się z takimi postaciami jak Simó, ale to, co będzie musiał zrobić, nie jest zadaniem dla szlachcica: z pewnością nikt z tutaj obecnych nie odwiedziłby miejsc, do których on będzie miał się udać. Po zakończeniu tego spotkania osobiście wydam mu konieczne polecenia. Don de Cabrera — dodał — często to, co oczywiste, wielu nie zadowala; gdyby to nie budziło żadnych wątpliwości, nie byłoby potrzebne dzisiejsze spotkanie. Chwilowo lepsze są dyskrecja i cisza nocy, chociaż dla nas wszystkich ta sprawa jest jasna jak słońce. — Zrobił pauzę w swej długiej przemowie i przekonawszy się, że zgromadzeni słuchają go z uwagą, mówił dalej: — A zatem, jeśli wasze wielmożności pozwolą, przejdę do rzeczy, jako że nie każdy zna powód tego spotkania.

Zebrani poruszyli się niespokojnie na krzesłach, czekając w napięciu.

— Od dawna wiadomo, że w pałacu zarysowały się otwarcie dwa stronnictwa: my nie mieszamy się, tak jak nie czyniliśmy tego wcześniej, do żadnej ze spraw związanych z hrabiną Almodis, której życzymy długiego życia, ani nie kwestionujemy jej wpływu na decyzje naszego hrabiego Ramóna Berenguera. Ma ona swój udział we władzy i choć czasami wydaje się on zbyt wielki, to jednak musimy sobie uświadamiać, że dotykane kwestii, które do nas nie należą, mogłoby przybrać zgubny dla wszystkich obrót. My, tu obecni — ciągnął — nie skłaniamy się więc ku żadnemu z obozów i kierujemy się wyłącznie szacunkiem dla prawa. Dlatego też uznajemy za słuszne zarówno jej zakupy dokonywane w innych ziemiach i to, co w przyszłości, w porozumieniu ze swoim małżonkiem, a naszym panem, postanowi z nimi zrobić, jak też jałmużny, które daje zakonowi, i zapisy dobroczynne, na przykład na rzecz fundacji benedyktyńskiej w Sant Pere de les Puelles. Skoro już o tym mowa, pragnę zwrócić uwagę na pewną okoliczność, którą musimy wziąć pod uwagę, jako że hrabina nie robi nic bez przyczyny. Dwadzieścia zakonnic tworzących to zgromadzenie cieszy się poparciem, jakiego nie zaznało od czasów swojej założycielki, hrabiny Riquildy z Tuluzy, wdowy po hrabim Suflerze. Wszystkie przeorysze,

które kierowały klasztorem, począwszy od pierwszej, Adelaidy, wdowy po Sunifredzie z Urgelu, aż do obecnej, matki Adeli de Monsargues, zawsze należały do szlachty hrabstwa. Jak wam wiadomo, rodziny zakonnice są głównymi beneficjentami klasztoru, do którego przyjmowane są jedynie dziewczęta ze szlacheckich rodów. Jak możecie z łatwością wywnioskować, wszystkie te rody przyłączają się bez wątpienia do stronnictwa hrabiny, która choć pojawiła się na tych ziemiach w sposób dość niezwykły, przez wszystkie te lata wykazała, że ma polityczną siłę całkowicie obcą swojej płci. Od pierwszego dnia nie zawahała się zjednywać sobie wszelkimi środkami przychylności różnych ludzi. Dlatego, panowie, musimy jasno wiedzieć, komu i czemu się przeciwstawiamy.

W wyczekującej milcząco grupie wyczuwało się napięcie.

Mówca kontynuował:

— Dostojni panowie, dotarli do nas wiarygodne informacje, że hrabina czyni przygotowania zmierzające do zburzenia naszych najsolidniejszych tradycji, a to dotyczy już nas wszystkich. Ale byście lepiej to zrozumieli, proszę, by głos teraz zabrał wielce czcigodny sędzia Eusebi Vidiella, który wielokrotnie miał okazję osobiście poznać jej intencje wobec wspólnego dziedzictwa, jakie stanowią hrabstwa Barcelony i Gerony, niegdyś rządzone przez nieodżałowaną hrabinę Ermesendę z Carcassonne.

Usłyszawszy swoje nazwisko, sędzia wstał i zamierzając rozpocząć przemowę, uniósł dół bogatej sukni.

Napięcie znacznie wzrosło i milczenie obecnych stało się niemal dotykalne.

Zanim jednak starzec zdążył otworzyć usta, za jego plecami pojawił się majordom z pustym kieliszkiem. Dał znak Zahirze, żeby go napełniła. Dziewczyna, trzymająca dzbanek z likierem porzeczkowym, podeszła, by wykonać polecenie, ale tak nieszczęśliwie się potknęła, że upadła na kolana, a naczynie roztrzaskało się o podłogę, plamiąc wyłóg tuniki sędziego Vidielli, którego porywczosć była legendarna.

— Przekłeta idiotka! Na Boga! Czyż nie macie służby, która potrafi podać napój? Zabierzcie stąd tę niezdarę!

Don de Sant Jaume podbiegł, żeby mu pomóc, po czym, rzucając zabójcze spojrzenie na służącą, której nieudolność groziła zepsuciem wieczoru, przerywanym z wściekłości głosem rozkazał:

— Majordomie, zabierz ją sprzed moich oczu, zajmę się nią potem, i każ tu posprzątać. — Zwracając się zaś do sędziego, dodał: — Wasza wielmożność zechce wybaczyć.

— Radzę wam pilnować, żeby wasi służący wykonywali takie prace, do jakich są najbardziej zdolni. Jeżeli hodujecie świnie, najwłaściwszym dla nich miejscem jest chlew.

— Jesteście bardzo wyrozumiali, panie, ja nie będę taki pobłażliwy. Temu tępemu plemieniu można wbić coś do głowy jedynie biczem, a miejsce, jakie dla niej przeznaczę, będzie jeszcze bardziej odpowiednie.

Majordom, poleciwszy, aby Baszira, inna niewolnica, zajęła się nalewaniem likieru, wyszedł, mocno ściskając Zahirę za ramię. Wtedy sędzia zaczął swoją przemowę.

— Wielmożni panowie, znakomite osobistości Barcelony, mój zawód dyktuje mi co dnia rozważę, a wiek nie pozwala działać lekkomyślnie i wygłaszać sądów na temat zajęć, w których prawdziwość mógłbym powątpiewać. Jednakże tym razem nikt mi niczego nie opowiedział, ale po prostu sam byłem świadkiem wypadków, które za chwilę waszym wielmożnościom zrelacjonuję: smutnych wypadków, wyraźnie ilustrujących pewną sytuację i pewien sposób myślenia, na które ani jako sędzia, ani jako obywatel Barcelony nie mogę się zgodzić.

Obecni popatrzyli po sobie niespokojnie.

— Przekażę, co się wydarzyło na ostatnim posiedzeniu rady. Pominę wszystkie zbędne błahostki, by skupić się na tym, co moim zdaniem nas dotyczy i jest zasadnicze dla sprawy. Prawa sukcesji są nieusuwalne i zostały oparte na rzymskiej *consuetudo*, kolebce naszych obyczajów i gwarancji zachowania tego kraju. Aby hrabiowski dominia się nie rozplynęły i aby przeważała jedność, istnieją różne filary podtrzymujące nasze prawa. Przede wszystkim mamy prawo dziedziczenia oparte na pierworództwie. Co to oznacza? — spytał, patrząc na swoich słuchaczy. — Otóż to, że pierworodny, a nie kto inny, jest dziedzicem. Druga kwestia związana jest z terminem sukcesji: przekazanie władzy musi nastąpić w chwili śmierci poprzedniego panującego, a więc jeśli pierworodny usiłowałby wstąpić na tron za życia swojego poprzednika i bez jego zgody, taka sukcesja byłaby uznana za nielegalną. I na koniec istnieje naturalna kolejność dziedziczenia, a tym samym chronologia: gdyby zatem

ktoś próbował wyprzedzić swoje dziedzictwo, starając się siłą zmienić przeznaczenie, na przykład eliminując właściwego sukcesora, utraciłby tym samym swoje prawa. Reasumując: po pierwsze, dziedzicem zawsze będzie najwcześniej urodzony spośród żyjących synów hrabiego; po drugie, żaden z nich nie obejmie władzy, dopóki śmierć nie zabierze jego poprzednika, i po trzecie, każdy, kto zechciałby pominąć przepisaną kolejność i będąc drugim synem, usiłowałby przejąć przywileje pierworodnego, dałby dowód nielojalności i tym samym unieważnił swoje przyszłe prerogatywy.

— Więc co insynuujecie? — spytał Miró de Ostolés.

— Nie insynuuję, lecz twierdzę — powiedział sędzia Vidiella uroczystym tonem. — Byłem obecny przy tym, a sędzia Bonfill jest tego świadkiem, jak na ostatnim posiedzeniu rady hrabina Almodis usiłowała wprowadzić projekt poprawki, zgodnie z którą w chwili zgonu naszego ukochanego hrabiego dziedzicem zostałby mianowany młody Ramón, z pogwałceniem praw pierworodnego, Pedra Ramóna, i jej drugiego syna, Berenguera, którego nawet nie bierze pod uwagę jako pretendenta do tronu i którego bez wątpienia zadowoliliby okruciami w postaci jakiegoś niezależnego hrabstwa lub innej darowizny odpowiedniej dla jego niefrasobliwego i... czemu tego nie powiedzieć?... lekkomyślnego charakteru.

Z głębi sali głos zabrał naczelnny notariusz Guillem de Valderribes.

— A co doradza wasza wielmożność?

Marçal de Sant Jaume wstał i nie podnosząc głosu, przemówił zdecydowanym tonem:

— Wybaczcie, czcigodni panowie, że przerywam, ale ja wam powiem, co musimy zrobić i czego musimy się strzec; wtedy wasze wielmożności zrozumieją powód tego spotkania. Wszyscy tu obecni reprezentujemy nasze prawa i nie chcemy dla kaprysu źle pojętej macierzyńskiej miłości wchodzić w jakieś konszachty zakłócające porządek. I nie do nas należy się zastanawiać, czy jeden potomek jest stosowniejszym kandydatem do tronu niż drugi.

— Co zatem proponujecie?

— Moją propozycją jest bez wątpienia legalność działania, ale, chociaż wyda się to dziwne, nie można jej zachować bez zwolenników i dlatego należy zorganizować zróżnicowane i potężne ugrupowanie gotowe posunąć się tak daleko, jak okaże się to konieczne, w obronie praw dziedzica, Pedra Ramóna. To ugrupowanie będzie

jak sól ziemi: z jego zdaniem obywatele będą się liczyć i jego prestiż będzie rósł wśród prostego ludu, jeśli tylko będziemy umieli do niego dotrzeć na rynkach, targowiskach i we wszystkich innych miejscach, gdzie spotyka się więcej niż trzech mieszkańców hrabstwa. Myślę, że wszyscy się z tym zgodzimy.

Pomruk i kiwanie głowami pokazały panu de Sant Jaume, że jego propozycja została przyjęta przez obecnych.

— Ale, moi panowie, wszystko to nie przychodzi darmo — ciągnął Marçal de Sant Jaume. — Będą potrzebne pieniądze. I od powiadając na pytanie, które zostało postawione na początku, wyjaśnię wam obecność licytatora z targu niewolników, Simóna „Renegata”. Ważne jest, żeby troki waszych sakiewek się rozwiązały, ale to nie wystarczy: musimy przekonać prosty lud i jeśli okaże się to konieczne, sypnąć obficie groszem prowodyrom, którzy będą podjudzać na targach i rynkach. Musimy zbierać fundusze wśród zwolenników zachowania naturalnego porządku. Nie możemy jednak być przy tym wybredni i wdawać się w niepotrzebne oceny: pieniądze nie noszą pieczęci swojego pochodzenia, tak więc każdy wkład będzie dobry, o ile dobrze posłuży naszemu szlachtetnemu celowi, którym jest nic innego, jak tylko dobro hrabstwa.

Spotkanie przedłużyło się do późnych godzin. W przyległym salonie podano odpowiednie do powagi chwili przekąski. Przed wyjściem obecni zadawali mnóstwo pytań i don de Sant Jaume odpowiadał na wszystkie, w czym wspierał go prestiż obecnych tam sędziów i naczelnego notariusza Barcelony.

Pożegnawszy ostatnich gości, szlachcic kazał wezwać Simóna, który cierpliwie czekał w saloniku na zakończenie spotkania.

— Czy można, panie?

— Wejdźcie.

— Słucham was, panie.

— Dziś wieczorem zrobiliśmy wielki krok naprzód — zaczął kawaler de Sant Jaume — i choć naszym zamiarem jest tylko utrzymanie w hrabstwie prawa i porządku, to gdyby zabrakło naszego ukochanego hrabiego, musielibyśmy pozyskać dla sprawy pierwородnego wiele osób, które ze względu na stanowisko lub pochodzenie mogłyby nas wspomóc bądź środkami finansowymi, bądź prestiżem swoich nazwisk. I chociaż walczymy o słuszną sprawę, bez zwolenników przegramy. Sytuacja pierwородnego jest delikatna, albowiem

w chwili obecnej hrabina dysponuje całkowitą władzą i wszyscy niezdecydowani, którzy otrzymali lub spodziewają się otrzymać prebendy i synekury, staną po jej stronie.

— Na czym polega moje zadanie, ekscelencjo?

Don de Sant Jaume upił łyk oranżady ze stojącego przy nim pucharka.

— Mam nadzieję, że nie będę musiał tego żałować — powiedział, wbijając twarde spojrzenie w zażywną postać licytatora. — Staniesz się ogniwem łączącym tę kolekcję dworskich pasożytów z prostym ludem. Zadbasz o to, żeby na jarmarkach i targowiskach mówiono dobrze o dziedzicu, i przy pomocy wynajętych ludzi będziesz podkopywał wpływy tej wszetecznicy. W tym celu otrzymasz do dyspozycji potrzebne środki, my zaś nie pogardzimy wszelkimi wkładami, jakie uzyskasz od przekupniów, handlarzy i ludzi z Call. Od tego wszystkiego dostaniesz procent i oczywiście dziedzic będzie znał pochodzenie tych pieniędzy i twoje imię.

Świńskie oczka licytatora załśniły chciwie.

— Czy wobec tego jestem upoważniony do przemawiania w waszym imieniu wobec osób i w miejscach, jakie uznam za stosowne?

— Z zachowaniem najwyższej dyskrecji.

— Panie, w dzisiejszych czasach można spotkać wszędzie każdego. Powiem więcej: najbardziej dla nas przydatny będzie bez wątpienia lupanar Mainara w Vilanova deis Arcs.

— Owszem, sądząc po zewnętrznych oznakach, jakimi są z pewnością jego zyski, to doskonałe miejsce — przyznał Marçal.

— Sądzę, że nie mogliście spożytkować waszych wpływów w bardziej zyskownym przybytku. Odkąd został on otwarty, odwiedzają go z każdym dniem coraz liczniejsi parafianie, a również ich jakość się poprawia. Nie chcę przypisywać sobie żadnych zasług, ale doskonałość towaru jest nadzwyczajna, toteż i klientela jest wyższej jakości.

Wzmianka o lupanarze sprawiła, że don de Sant Jaume przypomniał sobie, co kilka godzin wcześniej przydarzyło się niewolnicy.

— Przy okazji chcę, żebyś zabrał stąd niewolnicę, którą muszę ukarać. Nie chcę jej w swoim domu, ale zamierzam wyciągnąć z niej jakiś zysk za to, co w nią włożyłem.

Klasnął w dłonie i kiedy pojawił się majordom, kazał mu przywodzić przed swoje oblicze Zahirę, która zasłużyła sobie na

publiczną reprimendę za to, co on uważał za niewybaczalną nie-zdarność, mogącą narazić na szwank jego prestiż.

Przebiegły Simó ocenił doświadczonej spojrzeń zysk, jaki dziewczyna, którą tak dobrze znał, mogła przynieść w lupanarze.

— Jakie macie zamiary, panie?

— Zabierz ją do domu w Vilanova deis Arcs i oddaj Mainarowi, żeby, dokąd się nada, wykonywała ten zawód, a kiedy już będzie starą wywłoką, niech podzieli los pozostałych: to będzie jej kara za upokorzenie mnie wobec tak znamienitych ludzi.

Licytator zlustrował ją wzrokiem.

— Jest bardzo ładna, panie. Ktoś zapłaci niezłą sumkę za jej cnotę.

— Rób, co uznasz za stosowne, bylebym tylko odzyskał pieniądze, jakie w nią włożyłem.

— Pozwólcie mi działać, a nie będziecie żalowali — zapewnił Simó, który dostrzegł okazję zaskarżenia sobie względów swojego protektora.

23

Wątpliwości Berenguera

Była zima 1070 roku i bliźniacy hrabiny, Ramón Berenguer i Berenguer Ramón, ukończyli szesnaście lat. Berenguera i Pedra Ramóna łączyła pewna więź — głęboka nienawiść do „Lniano-głowego”, którym to przydomkiem prosty lud określał Ramóna. Jednakże do owej awersji doprowadziły ich różne drogi i jej ukryte oblicze miało u każdego z nich odmienne rysy. Pedro Ramón, obserwując zachowanie ojca, przeczuwał, że prawa wynikające z pierworództwa mogą mu się wymknąć z rąk, lecz miał świadomość, że odpowiedzialność za to ponosi bez wątpienia hrabina Almodis, która wywiera na męża niezwykły i zadziwiający wpływ. Nienawiść Berenguera do brata miała inne korzenie, również naznaczone zazdrością. Było widać jak na dłoni, że matka faworyzuje Ramóna.

Ktoś, kto nic by nie wiedział o ich narodzinach, nigdy by nie pomyślał, że są choćby dalekimi krewnymi. Fizycznie nie mieli ze sobą nic wspólnego: Ramón wdał się w przodków po kądzieli i mógłby uchodzić za księcia z rodu Karolingów. Wysokiego wzrostu, z niebieskimi oczami i włosami jasnymi jak dojrzała pszenica, o pogodnym, miłym usposobieniu, był uwielbiany przez ludzi. Przepadał za polowaniem i pomimo młodego wieku można go było uważać za mistrza w sztuce sokolnictwa. Uczył się pilnie łaciny, greki, historii i filozofii, świetnie grał na cytrze. Miał przede wszystkim dwie wielkie pasje: każdego ranka oddawał się grom jeździeckim, zwłaszcza z manekinem, wieczory zaś spędzał zakuty

w hełm i zbroją, ćwicząc się w walce na miecze i kopie z młodymi szlachcicami.

Natomiast Berenguer wdał się w ojca. Widoczne były jego śródziemnomorskie korzenie: niższy od brata, miał śniadą cerę, ciemne włosy, nieco pałakowate nogi, które pomogły mu zostać doskonałym jeźdźcem. Nie przepadał za to zbyt, jeśli w ogóle, za klasykami. Orężem interesował się o tyle, o ile mógł za jego pomocą okazać okrucieństwo, miał bowiem gwałtowne usposobienie i nie potrafił przegrywać. Żeby zdobyć przewagę w walce, mógł się posłużyć każdym podstępem, pomimo reprimend instruktora, a nawet seneszala, którzy mówili mu, że szlachcic powinien zawsze się stosować do obowiązujących reguł. Lud go nie lubił, ale jemu w tym momencie życia było to obojętne, najbardziej bowiem interesowała go płeć piękna, której tajemniczość starał się przeniknąć: kobiety stały się dlań obsesją. Jednak jego ulubioną rozrywką, pozwalającą zabijać czas i codzienną nudę, zwłaszcza w zimowe wieczory, było prześladowanie Delfina, który z wiekiem robił się coraz bardziej drażliwy i nieustępliwy, co skłaniało Berenguera do jeszcze większej dokuczliwości, aż nieszczęsny karzeł, nękanym drwinami i dowcipami, musiał szukać schronienia pod opiekuńczymi spódnicami hrabiny.

W lutym, po niespodziewanych opadach śniegu, mroźne przeciągi hulały wśród ścian hrabiowskiego pałacu i choć w kominkach wszystkich pomieszczeń rozpalono ogień, a okna i drzwi zakryto grubymi kobercami i zasłonami, ziąb był stałym gościem we wszystkich komnatach. Berenguer przypominał sobie śnieżycę w 1063 roku, kiedy dwór udał się do Urgelu, aby świętować trzeci związek małżeński kuzyna jego ojca, Armengola III, z Sanchą z Aragonii. Wszystko to sprawiało, że każda rozrywka mająca rozwiewać obecną nudę okazywała się niewystarczająca i że gdy musiał spędzać czas w pałacu, ani na chwilę z niego nie wychodząc, upływające godziny zdawały mu się tak gęste jak oliwa w kaganku.

Tego popołudnia w jego głowie krążyła pewna uporczywa myśl i aby jej się pozbyć, poszukał przyrodniego brata, Pedra Ramóna. Znalazł go w zachodniej wieży, w „pokoju mędrca”, nazwanym tak, gdyż hrabia zainstalował tam zestaw urządzeń nawigacyjnych, które mu podarował największy barceloński armator, Marti Barbany.

Na półkach stały busole magnetyczne, okrętowe sekstansy, ast-rolabia, tabele astronomiczne, klepsydry, almanachy, teodolity, przy-

rządy do pomiaru wysokości gwiazd, gwiazdowy zegar nocny, triquetrum, dwa różne typy pierścieni przedstawiających ruch gwiazd i inne mechanizmy do obserwacji nieba. Ciekawość hrabiego, dotycząca żeglarskich wynalazków, była zresztą powszechnie znana. W pomieszczeniu królowała naturalnej wielkości kukła ze szklanymi oczami i długą brodą, z prawą dłonią ułożoną na płaskiej powierzchni przedstawiającej znany świat — to stąd wzięła się nazwa tego pokoju.

Berenguer wspinał się po krętych schodach wieży i kiedy doszedł do ostatnich drzwi, zapukał. Z wnętrza odpowiedział mu głos przyrodniego brata.

— Kto tam?

— To ja, Berenguer.

— Wejdźcie, bracie.

Berenguer popchnął niewielkie drzwi i wszedł do pomieszczenia, które — tajemnicze i trudno dostępne — zawsze przykuwało jego uwagę. Pokój był kolisty, ponieważ zajmował cały obrys wieży. Za dnia światło wpadało tu przez trzy wydłużone okna, nieco szersze niż zwykły otwór strzelniczy, a między dwoma pozostałymi, wychodzącymi na bramę Bisbe, palił się ogień w kominku, na którego wilkach ozdobionych dwiema psimi głowami płonęły grube dębowe pniaki.

Ponieważ zapadł już zmierzch, dwa wielkie świeczniki i dziesięć-cioramienny kandelabr oświetlały wnętrze.

Pedro Ramón przerwał lekturę i zwijając pergamin, zapytał:

— Co was tu sprowadza, bracie?

Berenguer wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi.

— Potrzebuję waszej rady w pewnej delikatnej dla mnie sprawie. Naprawdę nie wiem, do kogo mogę się z tym zwrócić.

Pedro Ramón poruszył się na krześle.

— Wśród wszystkich osób przebywających w pałacu nie znajdujecie nikogo, kto mógłby wam doradzić?

— Nie w sprawie, która mnie zajmuje. Zrozumiecie, kiedy wam powiem, o co chodzi.

— Słucham zatem. Siadajcie i mówcie — zachęcił go Pedro Ramón.

Berenguer przysunął sobie taboret wyściełany adamaszkiem.

— Jak się z pewnością domyślacie — zaczął, gdy na nim usiadł —

nie jest to sprawa związana z moją nauką ani z orężem; od tych przedmiotów mam seneszala i ojca Llobeta.

— A więc?

— Długo się zastanawiałem, zanim do was przyszedłem.

Pedro Ramón się uśmiechnął.

— Ale skoro już tu jesteście, zaczynajcie mówić.

Berenguer zawahał się, ale w końcu postanowił powiedzieć, co go sprowadza.

— To ma związek z kobietami.

— A więc o to chodzi... Mój młody brat obudził się do życia — skomentował ubawiony Pedro Ramón, splatając dłonie na karku i przechylając się wraz z krzesłem do tyłu.

— To się stało już wiele miesięcy temu — odpowiedział Berenguer, nieco urażony.

— Nie mam zbyt wiele czasu. Zdecydujcie się mówić jasno albo zostawcie mnie z moimi sprawami.

— Chodzi o to, bracie, że jeszcze nie miałem żadnej dziewczyny.

Pedro Ramón znów usiadł prosto i rozweselony pogładził się po podbródku.

— Chyba mi nie powiecie, że jeszcze nie ujeżdżaliście samicy. Nawet żadnej z dam hrabiny?

— Tym bardziej nie. Gdybym to zrobił i matka by się o tym dowiedziała, mogłaby mi urządzić niezłe piekło.

— Każda z tych istot w kuchni byłaby zachwycona, mogąc wam zaofiarować swoje dziewictwo — zasugerował z uśmiechem Pedro Ramón.

— Z tych, które poznałem, żadna nie była dziewczyną — wyjaśnił Berenguer z wyrazem przygnębienia. — Poza tym nie chcę, żeby któraś myślała, że oddając mi swoje dziewictwo, nabyła jakieś prawa do mojej osoby, i dlatego wolałbym, żeby to pierwsze doświadczenie odbyło się poza pałacem.

Pedro Ramón przez chwilę udawał, że się zastanawia, jakby usiłował zrozumieć motywację przyrodniego brata.

— Dajcie mi trochę czasu, a dostarczę wam taką okazję. Będziecie mieli do dyspozycji najpiękniejszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek licytowano na La Boquería. Ten pierwszy raz, kiedy otwiera się i krwawi korona kwiatu, jest zawsze ważny i zapewniam was, że niezapomniany. Znajdę taką Salome, która przeniesie was do siód-

mego nieba. Trzeba będzie poszukać okazji... bo o miejscu już pomyślałem — oznajmił Pedro Ramón, pewny siebie. — Zaufajcie mi. Zanim obróci się księżyc, zaspokoicie wasze pragnienia.

— Jeżeli to sprawicie, będę waszym wiecznym dłużnikiem — obiecał Berenguer.

— Aż tyle od was nie wymagam: wieczność zachowajcie na tamten świat, a dług zdążycie mi spłacić w tym życiu.

— Uważajcie za spełnione wszystko to, co będzie ode mnie zależało.

— Czy jesteście tego pewni, bracie? — zapytał z naciskiem Pedro Ramón.

— Bez żadnej wątpliwości.

— A zatem ja też bez żadnej wątpliwości zgotuję wam wielką noc.

24

Przekazanie

Simó powolnymi krokami przemierzał gabinet Bernabé Mainara. Zostawił Zahirę w przedpokoju pod opieką kobiety pilnującej wejścia. Przerażona dziewczyna postawiła swój niewielki tobołek przy samych stopach i siedząc na ławie, oczekiwała zdenerwowana tego, co miał jej zesłać los. Myślała o Ahmedzie i cierpiała bardziej ze względu na niego niż na siebie samą. Z jednej strony była zadowolona, że zdołała przekazać mu wiadomość za pośrednictwem Basziry. Z drugiej jednak obawiała się, że chłopak może podjąć niewłaściwą decyzję.

W długim korytarzu rozległy się kroki Mainara i Simó odwrócił się w stronę drzwi.

— Może kazałem wam zbyt długo czekać? — zapytał gospodarz, stając w progu.

— To nie ma znaczenia, nie mam nic lepszego do roboty.

— Nie myślcie, że kierowanie tym domem jest rzeczą łatwą. Codziennie absorbuje mnie tysiące spraw. Jestem otoczony bandą kretynów.

— Nie chciałbym wam przeszkadzać ani przerywać waszych codziennych zajęć.

— Nie ma dla mnie nic ważniejszego niż rozmowa ze współnikiem, a także, jak sądzę, przyjacielem — pochlebił mu Mainar.

— Możecie być tego pewni: to, co zaczęło się jako stosunki handlowe, zamieniło się, gdy was lepiej poznałem, w szczerą podziw dla waszej pracy i odwagi.

— Usiądźmy, Simó, i przejdźmy do rzeczy.

Zajęli miejsca pod oknem i po krótkim wstępie licytator spytał:

— Czy zauważyliście dziewczynę, która czeka przy wejściu?

— Szedłem od strony kuchni, gdzie sprawdzałem, co jedzą te darmozjady, i kierowałem się wprost do gabinetu, ale powiedzcie mi, kim ona jest i po co przyszła.

— Wolałbym, jeśli nie macie nic przeciwko temu, byście kazali ją tu przyprowadzić i wypowiedzieli się na jej temat.

— Czy to nowa dostawa z waszej kopalni wspaniałości?

— Niezupełnie.

— A więc? — chciał wiedzieć Mainar.

— Przyjrzyjcie się jej, jeśli łaska, oceńcie, a potem wszystko wam wyjaśnię.

Bernabé Mainar wstał i niewielką pałą o gałce pokrytej kozłą skórą uderzył w stojący na stole gong. Dźwięk odbił się od ścian.

Natychmiast w pokoju pojawił się gruby eunuch o śniadej cerze, z głową okrytą turbanem i z grubym złotym łańcuchem na szyi, ozdobionym jodeitowym medalionem, który lśnił w wycięciu jego tuniki.

— Wzywaliście mnie, panie?

Mainar, nie racząc odpowiedzieć, rozkazał:

— Maimonie, przyprowadź dziewczynę, która czeka przy wejściu.

Eunuch wyszedł i niemal natychmiast, zanim Mainar zdążył znowu usiąść, wrócił, popychając przed sobą przestraszoną Zahirę.

— Powiedzcie, co myślicie o tym towarze — spytał Simó.

Bernabé spojrział na dziewczynę swoim jedynym okiem.

— Obróć się — polecił.

Zahira, przerażona obecnością nieznanego, stała nieruchomo z zawiniątkiem w rękę.

— Nie słyszałaś, niedorajdo? — wtrącił się Simó. — Zostaw swoje rzeczy na podłodze i wypełnij rozkaz!

Dziewczyna stała jak zahipnotyzowana.

Simó, wściekły, wstał z fotela i wyrwał jej z rąk zawiązaną chustę.

Mainar uśmiechał się fałszywie.

— Pokaż mi swoje wdzięki, dziecko.

— Nie rozumiem was, panie — wyjąkała, nie ośmielając się podnieść oczu.

Licytator znowu się wtrącił.

— Rozbierz się i pokaż nam piersi, niedojdo!

Zahira stała jak sparaliżowana. Licytator, chwytając wielką łapą brzeg dekoltu, wściekłym gestem rozdarł jej koszulę. Ukoronowane dwiema ciemnymi poziomkami piersi wyskoczyły na wierzch, drżąc jak młode gołąbki. Dziewczyna instynktownie zasłoniła nagość rękami.

— Słowo daję, ta próbka wydaje mi się interesująca — przyznał Bernabé Mainar. — Chciałbym zobaczyć resztę.

— Słusznie, trudno dokonać oceny, nie widząc całości. — I zwracając się do dziewczyny, Simó rozkazał: — Słyszałaś, śmieciaro!

Zahira trzęsła się jak liść na wietrze, a z jej oczu spływały dwie wielkie łzy.

— Sama to zrobisz czy mam ci pomóc? — huknął jak grzmot głos licytatora.

Przestraszona, zaczęła się rozbierać. Odzienie padało jej do stóp, aż została całkiem naga, wystawiona na pożądlive spojrzenia obu mężczyzn.

— Na honor, wygląda na niezłą sztukę. Obróć się powoli, zobacz my, czy twój zad jest nie gorszy niż reszta.

Zahira usłuchała ze łzami w oczach. Mężczyźni zaczęli ze sobą rozmawiać tak, jakby byli sami, podczas gdy ona usiłowała zakryć swoją nagość.

— Myślę, że to może być dobra inwestycja. Ten typ kładzie ma wielkie wzięcie — rzekł Mainar.

— Jeszcze nie wiecie najlepszego. — Simó, jak każdy dobry sprzedawca, zrobił pauzę, żeby zwiększyć zainteresowanie potencjalnego kupca. — Ma nienaruszoną cnotę.

— Doskonała wiadomość! Wielu jest takich, co zapłacą niezłą sumkę za taki szczegół, który dzięki umiejętnościom Ranii będziemy mogli powtarzać wielokrotnie.

— Należałoby ją przyuczyć. Instynkt może wiele zdziałać, ale nikt nie urodził się mędrce w tych sprawach.

— Nie martwcie się — zapewnił go Mainar. — Polecimy ją troszce Ranii, ale nie pokażemy jej klientom, dopóki nie będzie gotowa.

Mainar wstał z fotela i podszedłszy do stołu, podniósł pałkę i ponownie uderzył nią w miedzianą płytę. Natychmiast pojawił się eunuch.

— Powiedz Ranii, żeby tu przyszła. Mam dla niej zadanie.

Chwilę później Maimón znów ukazał się w drzwiach; towarzyszyła mu szczupła kobieta o wyraźnie arabskich rysach.

Rozkaz był krótki.

— Ranio, zajmij się nią, a na razie naucz ją dobrych manier — rzekł Mainar, wskazując dziewczynę.

Mauretanka spojrzała z uwagą na Zahirę.

— Zawsze ja muszę dbać o ich ogładę — poskarżyła się.

— Za to bierzesz pieniądze, Ranio; dlatego cię wyzwoliłem.

— Czy mogę już odejść, panie?

— Jeszcze jedno — dodał Mainar. — Mówią mi, że jest dziewicą, i chcę, żeby nią była jeszcze niejeden raz... Rozumiesz, co mam na myśli. Tak więc przygotuj te wszystkie swoje pomady. A teraz zabierz ją ze sobą. Póki nie polecę ci czegoś innego, będzie usługiwać do stołu, a tymczasem niech uczy się czernić sobie węgielkiem oczy, malować twarz i poruszać się z wdziękiem.

— Dobrze, panie. — Po czym, zwracając się do Zahiry, rozkazała: — Chodź ze mną.

Przygnębiona dziewczyna, włożywszy szybko tunikę, schwyła pośpiesznie swoje niewielkie zawiniątko i podążyła za Ranią. Eunuch też wyszedł, zamykając za sobą drzwi, i dwaj współnicy zostali sami.

Pierwszy odezwał się Mainar.

— A więc, mój przyjacielu, zdradźcie mi, gdzie znaleźliście tę perłę.

— Musiałbym wam opowiedzieć długą historię.

— Nie mam nic lepszego do roboty, niż jej wysłuchać.

— Można powiedzieć, że przysłała ją wam don Marçal de Sant Jaume.

— A czemuż to zawdzięczam taką uprzejmość?

— Była niewolnicą w jego domu i popełniła niewybaczalną niezręczność — wyjaśnił Simó.

— Nie lubię intryg, zaczynajcie od samego początku i opowiadajcie po kolei.

— To, co usłyszycie, musi całkowicie pozostać w sekrecie. Czy dajecie mi na to wasze słowo?

— Możecie na nie liczyć.

— Jak z pewnością pamiętacie, kiedy zawieraliśmy nasz układ, mówiłem wam o protektorze w pałacu, do którego można było dotrzeć przez doña Marçala?

— Doskonale pamiętam.

— Dobrze. — Simó ściszył głos, chociaż byli sami w gabinecie. — Otóż nasz protektor znalazł się w niebezpieczeństwie, a to znaczy, że my również.

Mainar poruszył lekko dłonią i na jego twarzy pojawił się gorzki grymas.

— Simó, przez całe życie lubiłem stawiać czoło problemom, zwłaszcza kiedy dotyczyły mnie bezpośrednio. Będę wam wdzięczny, jeśli wyjaśnicie mi, nie przerywając, co się dzieje.

— Chodzi o to, mój przyjacielu, a wiem to z wiarygodnego źródła, że hrabina Almodis knuje w celu odsunięcia od tronu naszego protektora.

Mainar przez chwilę trwał w zamyśleniu.

— A jak zamierza to osiągnąć?

— Intrygując, składając obietnice i zaskarbiając sobie ludzi. Swoimi sztuczkami pozyskuje sobie wszystkich dworzan, którzy się do niej zbliżają, pragnie bowiem stworzyć zwartą grupę popleczników i sprzymierzeńców. Jak się możecie domyślić, usiłuje wywrzeć wpływ na sędziów, ażeby ci odrzucili tradycyjne prawo pierworodnego do objęcia władzy.

— A kogo chce umieścić na tronie zamiast Pedra Ramóna?

— Nie wiecie? — zapytał ironicznym tonem licytator niewolników. — Wszystkie wróble na dachu ćwierkają, kto jest jej faworytem.

— To prawda, ja też umiem słuchać głosu ludu. Pierwszy z bliźniąt, Ramón Berenguer, którego nazywają „Lnianogłowym”. Zawsze był jej ulubieńcem.

— Rzeczywiście. Utrafiliście w sedno.

— A powiedzcie mi, kogo ona zamierza mieć po swojej stronie.

— Przedstawicielei możnych rodów hrabstwa i ważne osobistości: naczelnego notariusza Guillemo de Valderribes, sędziów Vidielle i Bonfilla i wielu, wielu innych.

— A co wy robicie w tak doborowym towarzystwie? — spytał z zainteresowaniem Mainar.

— Na każdej budowie musi być majster i muszą być nadzorcy, którzy jej doglądają; można powiedzieć, że jestem jednym z nich — odparł z dumą Simó.

— A na czym polega wasze zadanie?

— Jak sami rozumiecie, oprócz dobrych słów potrzebne są też dobre pieniądze, często pochodzące od ludzi niższej rangi. Ci ostatni, przy dobrej woli, mogą się okazać bardziej przydatni niż bogacze, którzy są zazwyczaj skąpi. Do mnie należy znajdowanie i rozdzielanie tych pieniędzy.

— A w jakim celu?

— Należy zagrzewać prosty lud, żeby zajmował ulice i place, żeby krzyczał, a gdyby to było konieczne, żeby nie wahał się posłużyć kamieniami i kijami.

— To niewiele pomoże ich wielmożnościom.

— Nie wiadomo. Gdyby podburzony tłum otoczył budynek, w którym zbiorą się sędziowie, i wszczął wielki harmider, wrzeszcząc i wymachując kijami, to wtedy ich ekscelencje dostrzegłyby nacisk, jaki wywiera niezadowolony naród.

Palce Mainara zabębniły na poręczy fotela.

— Być może sam mógłbym wnieść niezłą sumę, jeśli tylko dano by mi możliwość bezpośredniej rozmowy z dziedzicem.

— Czy sugerujecie, że chcielibyście zobaczyć się z pierworodnym?

— Nie sugeruję, Simónie, stwierdzam. A mając na względzie sumę, którą mogę wnieść, przypuszczam, że to Pedro Ramón może zechcieć ze mną porozmawiać.

Grubas poruszył się niespokojnie w fotelu.

— Być może, jeśli wyjaśnilibyście...

Mainar nie odpowiedział wprost, lecz zamiast tego zapytał:

— Żeby osiągnąć to, o czym wspomniałem, jaką byście obrali drogę?

— Droga jest zawsze ta sama, jest nią don Marçal de Sant Jaume, ale żebym ośmielił się do niego zwrócić, musiałbym znać sumę, jaką skłonni jesteście wnieść, jak też wiedzieć, skąd i jak pojawiają się te pieniądze.

— Wielkość tej kwoty mogę wam w przybliżeniu podać, ale jej pochodzenie to nie wasza sprawa.

Oczy licytatora rozbłysły skąpstwem.

— Jeżeli nie znając was, poczułem do was zaufanie, jak bym mógł nie czuć go teraz, kiedy was znam? — powiedział przymilnie.

— Przemówiły za mną fakty. Pamiętacie, jaka była moja prezentacja? Przypomnę wam: sakiewka pełna monet, a wiecie, że zawsze

odpłacam się tym, co mi służą. Jeżeli doprowadzicie do tego spotkania, nie będziecie żałowali. Simó nie musiał się zastanawiać.

— Jeżeli o mnie chodzi, nie trzeba mi więcej, ale muszę koniecznie wiedzieć, jaką sumę możecie zaoferować, abym ośmielił się niepokoić doña de Sant Jaume.

— Moglibyśmy mówić o dwóch tysiącach złotych mancuso. Simó wyraźnie pobladł.

— Tyle kosztuje zamek na granicy.

— Czy sądzicie, że zdołacie przekonać naszego protektora? — zapytał nie bez ironii Mainar.

— Przeczuwam, że nawet sam dziedzic będzie zainteresowany.

— Więc zacznijcie działać.

Manel przychodził codziennie na plac Błat i zachwalając swój towar, pilnował jednocześnie kramu wieśniaczki, która wynajmowała mu to miejsce w zamian za drobne usługi i nieco pieniędzy. Owego ranka, dwunastego lutego, w dzień świętej Eulalii, przybył tu pstrokaty tłum i to, co zwykle było targiem, przekształciło się w festyn, który miał trwać trzy dni. Ludzie z osad otaczających Barcelonę gromadzili się, zgodnie ze zwyczajem, na Baixada de Santa Eulalia, żeby zmówić modlitwę i złożyć ofiarę z kwiatów pod niszą, w której znajdował się obraz świętej. To właśnie tam, jak głosiła tradycja, w 305 roku trzynastoletnia Eulalia, która odmówiła oddania czci fałszywym bogom, jak to nakazywał edykt wydany przez cesarza Dioklecjana, została stoczona w dół ulicy w beczce wypełnionej szkłem; potem jej nagie ciało przybito do krzyża na znak szyderstwa i jako przykład dla współmieszkańców. Jednak w owej chwili urosły jej włosy, aby zakryć nagość, i na miasto spadła wielka śnieżycą, tak więc to, co miało ludzi zniechęcić, przerodziło się w ziarno prawdziwej religii. Aby uczcić męczennicę, ustanowiono ją patronką miasta.

Manel zachwalał głośno swój towar, ale zamilkł, widząc, że jakaś może dwudziestoletnia dziewczyna stara się zwrócić jego uwagę.

Zszedł z drewnianej platformy i zbliżył się do nieznajomej.

— Czego ode mnie chcesz? Czy nie widzisz, że pracuję?

Ta, rozejrzawszy się wokół, wspięła się na palce i starając się przekrzyknąć gwar, zaczęła mówić mu do ucha.

- Czy to ty jesteś Manel?
- Tak, to ja. A kim ty jesteś?
- Tu nie możemy rozmawiać. Nie zostawiłbyś kramu na krótki czas? Muszę cię o coś poprosić.

Manel przyjrzał się dokładnie dziewczynie i pomyślał, że poświęcenie kilku chwil owej żwawej osobce uwolni go od monotonii wywołanej zachwalaniem towaru. Jednak nie miał kogo poprosić, żeby go zastąpił i, co gorsza, nie mógł zostawić bez opieki straganu swojej gospodyni, która oddaliła się, kiedy dzwony kościoła Sant Pere de les Puelles wezwały na popołudniową modlitwę. Już miał odmówić, gdy los przyszedł mu z pomocą: gruba kobieta, niosąca prosiaka i kosz pełen woskowych świec, które zdobyła w drodze wymiany, przeciskała się przez tłum do swego straganu, niczym Mojżesz rozdzielający laską wody Morza Czerwonego.

Gdy tylko się zjawiała, Manel, pomagając jej uwiązać prosię, poprosił, by pozwoliła mu odejść na chwilę pod pretekstem, że musi pomówić z krewną, która przyniosła mu wiadomość od matki.

— Idź, ale wracaj szybko. Muszę jeszcze zrobić zakupy i nie mogę zostawić straganu.

— Bardzo dziękuję.

— Już dobrze, ale niech ci się nie zdaje, że jestem taka głupia: wy, młodzi, uważacie, że my, dorośli, zawsze byliśmy starzy. Ja też miałam twoje lata i chowałam się z chłopem w stogu siana. No, idź już! — ponagliła, wybuchając śmiechem.

Manel pomyślał, że to lepsze niż udzielanie wyjaśnień, i jednym skokiem znalazł się u boku dziewczyny.

— Chodźmy, nie traćmy czasu. Sama słyszałaś, że muszę zaraz wracać.

I wzięwszy dziewczynę za rękę, zaprowadził ją do stojącej nieco na uboczu szopy, gdzie rozładowywano wozy. Tam można było bez przeszkód porozmawiać.

Gdy już znaleźli się pod dachem, zapytał:

— Kim jesteś i jaką masz dla mnie wiadomość?

— Moje imię nic ci nie powie: nazywam się Margarida i mój ojciec ma sklep pod arkadami Mercadal.

— Mylisz się, właśnie mówi mi dużo. To ty przekazujesz wiadomości Ahmedowi.

— Owszem, ale myślę, że to już się skończyło.

— A to czemu?

— Właśnie o tym chcę ci powiedzieć.

Manel uniósł pytająco brwi.

— Wczoraj przysłała do mnie pewna dziewczyna, niewolnica z domu doña de Sant Jaume, która ma na imię Baszira — zaczęła Margarida.

Manel nadstawił ucha.

— Mów dalej.

— Przyniosła mi wiadomość od Zahiry dla Ahmeda i powiedziała, że mogę do niego dotrzeć za twoim pośrednictwem, chociaż znała ciebie tylko ze słyszenia. Powiedziała mi też, gdzie i o jakiej porze mogę cię znaleźć.

— A dlaczego nie przekazesz tego bezpośrednio jemu?

— Bo nie mogę się swobodnie poruszać ani też nie mam dostępu do domu Martiego Barbany.

— Mów dalej — ponaglił ją Manel.

— Chodzi o to, że, jak mi powiedziała Baszira, przed kilkoma tygodniami zebrała się w domu jej pana grupa złożona z najważniejszych osób w hrabstwie; jej i Zahirze kazano podawać napoje. Zahirę spotkało to nieszczęście, że potknęła się i wylała dzbanek napoju na płaszcz jednego z sędziów Barcelony. Jej pan dostał takiego ataku wściekłości, że za karę odesłał ją do domu niejakiego Mainara w Vilanova deis Arcs, z którego podobno nikt nigdy nie wychodzi. Kiedy poszła zabrać zawiniątko ze swoimi rzeczami, powiedziała Baszirze, żeby mnie odnalazła i przekazała dla ciebie wiadomość, byś ty z kolei zawiadomił Ahmeda, bo jesteś jedyną osobą, która może z nim mówić.

Manel stał przez chwilę w milczeniu.

— Ciekawe imię nosi ta posłanniczka.

— A czemuż to? — spytała Margarida.

— Baszira to arabskie imię, które znaczy „niosąca dobre wiadomości”, a słowo daję, ta wiadomość, którą mi przekazałaś, nie zapowiada niczego dobrego dla Ahmeda.

25

Obserwacja więzienia

Ahmed był zrozpaczony. Kiedy dostał wiadomość od przyjaciela, poczuł, że w jego życiu nastąpił przełom i że resztę swoich dni poświęci na wypełnienie obietnicy, jaką złożył ukochanej podczas ostatniego spotkania w kościele Sants Just i Pastor. Wiedział, że odtąd musi pracować w dwójnasób, byle tylko odmienić los Zahiry, choćby nawet mu się wydawało, że przekracza to jego siły.

Wiadomość całkowicie go przybiła. Przyjaciel odwiedził go pewnego popołudnia na plaży. Gdy tylko Ahmed podniósł wzrok znad kadłuba, który właśnie uszczelniał, i ujrzał wyraz twarzy Manela, wiedział, że wydarzyło się coś poważnego. Odstawił wiadro ze smołą, łopatkę i pędzel i zszedł z drabiny.

— Jakie złe wiatry cię tu przyniosły, Manelu?

Ten, otarłszy chustką pot z twarzy, odpowiedział:

— Skąd wiesz, że złe?

— Dobrze cię znam i dużo potrafię wyczytać z twojej twarzy.

— Masz rację, nie jest mi łatwo przynosić tę smutną wiadomość, ale tak się ułożyły sprawy.

— Wyduś to wreszcie z siebie, Manelu — poprosił zaniepokojony Ahmed.

— Chodzi o to, że kiedy wczoraj handlowałem na targu...

W krótkich słowach Manel opowiedział, co Margarida przekazała mu na temat Zahiry.

— A czy wiesz, co to za dom, w którym ją zamknięto?

— Z tego, co się domyślam i czego udało mi się dowiedzieć, można przypuszczać, że to jeden z tych domów o złej sławie. Chyba przedtem należał do twojego pana, mieści się w Vilanova deis Arcs.

Ahmed zmienił się na twarzy.

Widząc minę przyjaciela, Manel się zaofiarował:

— Jeżeli chcesz, żebym ci pomógł ją odnaleźć, możesz na mnie liczyć.

— Słyszałem o tym miejscu, Manelu, a również o drugim takim, przy drodze do kamieniołomów, na Montjuïc. Wygląda na to, że oba są świetnym interesem, który rozwija się bez najmniejszych przeszkód. Jeżeli możesz mi pomóc, będę ci bardzo wdzięczny.

I tak w ciągu najbliższych dni, po zapadnięciu zmroku, przyjaciele szli do Vilanova deis Arcs, gdzie z ukrycia przyglądali się murom otaczającym dom. Panowała tam zawsze gorączkowa krzątanina. Ahmed zauważył, że pewne czynności się powtarzają. Co wieczór o zmierzchu dwaj parobcy wyjeżdżali przez tylną bramę ogrodu czterokołowym wozem zaprzężonym w dwa muły i załadowanym sześcioma workami, z których dobywał się straszliwy odór. Nagromadzone śmiecie były wywożone i zrzucone do potoku Cagaell; potem wóz powracał tą samą bramą, przez którą wcześniej wyjeżdżał.

Pewnego dnia powoził tylko jeden parobek. Tym razem Ahmed też był sam. Zaczekał cierpliwie, aż wóz zawróci, i zanim ten dotarł do narożnika muru — wyskoczył ze swej kryjówki i stanął na środku drogi.

— Chcesz trochę zarobić?

Woźnica, usłyszawszy tę kuszącą propozycję, zatrzymał muły silnym szarpnięciem lejców.

— To zależy. Nikt niczego nie daje za darmo. Ile i co mam zrobić?

— Co powiesz na trzy dinary?

Służący zmrużył oczy.

— Powiedziałaś ile. Teraz powiedz co.

— Czy znasz Zahirę? — zapytał Ahmed, nie potrafiąc ukryć wzruszenia, które ścisnęło mu gardło.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

— Znam ją, czasami przychodzi do kuchni. To niewolnica, która niedawno przyjechała i która chwilowo pracuje jako służąca.

— Dam ci dla niej wiadomość; teraz otrzymasz połowę obiecaną sumy, a kiedy przyniesiesz odpowiedź, dostaniesz resztę.

— A jeżeli nie będę mógł jej oddać tej wiadomości? — zapytał woźnica.

— Wyglądasz na uczciwego człowieka. Nawet jeśli ci się to nie uda, dostaniesz swoje pieniądze, ale musisz mi udowodnić, że tego próbowałeś, i powtórzyć umówione hasło, które ona ci przekaże — obiecał Ahmed.

— Dobrze, syn mojej matki dotrzymuje słowa. Daj mi tę wiadomość.

26

„Czym jest miłość?”

Za pozwoleniem ojca i w towarzystwie ochmistrzyni Marta uczestniczyła w festynie na Mercadal, któremu tym razem patronowała kapituła katedralna. Udała się tam w lektyce pod strażą dwóch zaufanych ludzi z Sant Miquel. Lektyka pozostała przy wejściu na jarmark i Marta wraz z Caterina poszły dalej pieszo, oglądając kramy i zatrzymując się przy tych, które zwróciły ich uwagę. Dziewczynka kupiła wstążki i przybrania do nowej sukni, a na jednym ze straganów z paciorkami — także koralowe kolczyki, które spodobały jej się dlatego, że gdy przeglądała się w wypolerowanej miedzianej płytce, to ujrzała w niej odbicie jakby starszej dziewczyny. Potem, chcąc przedłużyć pobyt poza domem i wiedząc, że Caterina zawsze słucha poleceń jej ojca, postanowiła poprosić ją o coś, czego, jak wiedziała, ta nie będzie mogła odmówić. Już od wielu dni ciekawość popychała ją do zdobycia informacji o pewnych sprawach, o których nigdy nie ośmieliłaby się mówić z ojcem: jedne dotyczyły wydarzeń minionych, a inne spraw, o których chciała się czegoś dowiedzieć, lecz potrzebowała opinii kogoś stanowczego i rozważnego.

— Nianiu, chciałabym pójść do Pia Almoina, żeby zobaczyć się z ojcem chrzestnym i zostawić jałmużnę na zakup dla biednych. Mam wyrzuty sumienia, że wydaję pieniądze od ojca na różne błyskotki, zamiast oddać choć część na cele dobroczynne.

Caterina nie mogła odmówić tak pobożnej prośbie.

— Dobrze, Marto, ale pamiętajcie, że nie możemy się spóźnić; wiecie, że w tych sprawach wasz ojciec jest nieprzejednany.

— Ależ, nianiu — zaprotestowała dziewczynka — on wie, że towarzyszy nam eskorta. Jeżeli zastanę ojca chrzestnego, będę chciała się wypowiedzieć, a to może potrwać dłuższą -chwilę.

Ochmistrzyni jak zawsze w końcu ustąpiła, choć tylko w połowie przekonana.

— No dobrze, niech tak będzie: cel wydaje mi się słuszny, ale nie możemy się sprzeciwiać poleceniom waszego ojca.

Marta wiedziała już, że wygrała partię.

— Nie martwcie się. Skończę, zanim dzwony wezwą na kompletę.

— Co wy mówicie?! — Dobra kobieta niemal krzyknęła. — Musicie skończyć znacznie wcześniej!

— Czy zabronicie mi wypełnić obowiązki dobrej chrześcijanki? — zapytała Marta, śląc jej swoje najbardziej pobożne spojrzenie.

Piastunka mruknęła coś pod nosem na temat małej spryciary, ale zrozumiała, że nie ma argumentów, by się sprzeciwić.

— Nie ruszę się stąd, dopóki nie wrócić — oznajmiła, gdy Marta wysiadła z lekyki i ująwszy rąbek spódnicy, zaczęła się wspinać po trzech stopniach prowadzących do świętego miejsca.

— Dlaczego nie pójdziecie na spacer, doño Caterino? Nie musicie się niepokoić: jeżeli nie będzie was, kiedy skończę, usiądę sobie w sali odwiedzin.

I nie czekając, aż ochmistrzyni odpowie, zwróciła się do starego furtiana.

— Niech będzie pochwalony. Czy ojciec Llobet jest w domu?

— Na wieki wieków — odpowiedział zakonnik. — Zaraz spojrzę na tablicę. Chyba jest, bo nie widziałem, żeby wychodził.

Wyszedł ze swojej izdebki, by to sprawdzić. A że wiedział, iż dziewczynka jest chrześniaczką Eudalda Llobeta i córką jego wielkiego przyjaciela, armatora Martiego Barbany, wpuścił ją bez najmniejszego wahania.

— Idźcie najpierw do refektarza. Jeżeli go tam nie znajdziecie, będzie w swojej celi. Znacie drogę.

Podziękowawszy mu, Marta poszła do refektarza, gdzie dwaj bracia ustawiali talerze i gliniane kubki do wieczerzy. Gdy przekonana się, że ojca chrzestnego tam nie ma, skierowała się do jego celi; drogę pamiętała ze swoich wcześniejszych odwiedzin. Zapukała do

drzwi i zaczękała, aż z wnętrza odpowiedział jej głęboki, niepotwarzalny głos Eudalda Llobeta:

— Proszę wejść.

Uchyliła drzwi i wsunęła głowę.

— Czy mogę wejść, ojcie chrzestny?

Duchowny zdziwił się na jej widok i w jego spojrzeniu pojawiła się czułość, do jakiej zawsze skłaniał go widok tego dziecka.

— Co za nieoczekiwane odwiedziny! Jak miło cię widzieć. O tej porze spodziewam się bibliotekarza albo koadiutora, a oni zazwyczaj przyprawiają mnie o ból głowy. Wejdz i usiądź — powiedział z tkliwym uśmiechem. — Powiedz, co cię sprowadza do tego nudnego miejsca?

Zamknawszy drzwi i ucałowawszy dłoń, którą wyciągnął do niej, ojciec chrzestny, Marta usiadła naprzeciwko niego.

— Za pozwoleniem swojego ojca byłem na jarmarku, jak zawsze w towarzystwie piastunki, i przyszło mi do głowy, że dobrze byłoby was odwiedzić.

— Wspaniale! Spotkania z tobą sprawiają mi wielką przyjemność. I wiesz, że jeżeli czegoś będziesz ode mnie potrzebowała, zawsze z radością przybędę do domu twego ojca.

Marta zrobiła nadąsaną minę i ośmieliła się powiedzieć:

— Ojciec chrzestny, tam trudno jest z wami pomówić na osobności. Ojciec chce mieć was tylko dla siebie.

— On cię uwielbia i doskonale moglibyśmy rozmawiać we troje.

— Tym razem wolałam pomówić tylko z wami.

Duchowny, nie wiedząc dobrze czemu, postanowił mieć się na baczności. Już od dziecka Marta okazywała wyjątkową jak na swój wiek inteligencję, bez wątpienia stanowiącą połączenie uzdolnień Martiego z intuicją Ruth.

— Cóż to za specjalna sprawa, o której chcesz mówić tylko ze mną?

Marta zaczerpnęła powietrza i nie zastanawiając się długo, zapytała:

— Ojciec chrzestny, kim była Laia i jak umarła?

— Kto ci o niej mówił?

— Nikt w szczególności, ale ja słyszę różne rzeczy, a poza tym przeczytałam to, co jest napisane na tabliczce u stóp pomnika, który stoi w ogrodach noszących jej imię.

Eudald Llobet wyprostował się w fotelu i splótszy dłonie na wydatnym brzuchu, zaczął z uwagą dobierać słowa.

— Jesteś już chyba wystarczająco dorosła, żeby poznać prawdę.

— Dlatego zwracam się do was. Bo w domu wszyscy uważają mnie za dziecko.

— Jesteś jeszcze mała, Marto, ale od dawna uważałem, że twoja główka dojrzeje przedwcześnie. Ode mnie zawsze dowiesz się prawdy: jeżeli jest coś, o czym nie mogę ci powiedzieć, po prostu to pominię; a jeśli będzie trzeba, dobiorę odpowiednie słowa.

— Wobec tego, ojcie chrzestny, kim była Laia? — nalegała dziewczynka.

— Laia była pierwszą miłością twojego ojca.

Marta milczała przez dłuższą chwilę.

— Czyż matka nie była jego wielką miłością?

— W życiu mężczyzny, Marto, są dwie miłości, których nigdy się nie zapomina: pierwsza i wielka.

— A nie są one tą samą miłością?

— Nie muszą być. Szczęśliwy ten, kto przeżywa w pełni je obie.

— Jeżeli ojciec przeżył miłość, zanim poznał moją matkę, dlaczego nie ożenił się z Laią?

— Życie, córeczko, jest bardzo skomplikowane; konwenanse społeczne sprawiają, że prawie nikt nie pobiera się z osobą, którą kocha. Jednak nie mogę zaprzeczyć, że gdyby nie to wielkie nieszczęście, które się wydarzyło, być może twój ojciec ożeniłby się z Laią.

— A wtedy ja bym się nie urodziła? — zapytała Marta, którą zaskoczyła ta myśl.

— Urodziłaś się, bo Bóg tak zechciał.

— Wiem, że Laia umarła... ale nikt mi nigdy nie powiedział, jak doszło do tej tragedii... — powiedziała, otwierając szeroko oczy.

Eudald Llobet przymknął powieki, przypomniawszy sobie ową straszliwą chwilę.

— Pan powołał Laię do siebie.

Marta nadal patrzyła pytająco na kapłana i ten zrozumiał, że nie zaspokoi jej ciekawości takim wyjaśnieniem.

— Czy bardzo się rozchorowała? — spytała dziewczynka.

— Można by tak powiedzieć.

— Myślę, ojcie chrzestny, że wszyscy coś przede, mną ukrywa-

cie — odrzekła Marta, zdeterminowana dowiedzieć się czegoś, co od tak dawna budziło jej niepokój.

— Istnieją różne rodzaje chorób, Marto. Coś dotknęło jej umysłu i pewnego dnia, a raczej pewnej nocy, kiedy przechadzała się po blankach muru swojego domu, chyba... zakreśliło jej się w głowie i spadła na podwórzec straży. Nie można było nic zrobić.

Marta westchnęła i bujna wyobraźnia ukazała jej postać młodej niewiasty, pięknej i szalonej, skaczącej z wieży w przepaść. Nie mogła powstrzymać dreszczu zgrozy.

— A wy, ojczy chrzestny, dlaczego się nie ożeniliście?

— Bo zakochałem się w Najświętszej Paniencie i postanowiłem być z nią przez całe życie.

Martę w pełni zadowolili ta odpowiedź.

— To bardzo dobrze, ojczy chrzestny; ja też poślubię mężczyznę, którego będę kochała.

Eudald się uśmiechnął.

— Najpewniej będziesz mogła wybierać. Twój ojciec cię uwielbia i pragnie jedynie twojego szczęścia.

— Jednak myślę, że nigdy nie pokocham nikogo tak, jak kocham ojca — powiedziała Marta w zamyśleniu.

— Kiedy nadejdzie ta chwila, przekonasz się, że miłość, jaką darzysz ojca, jest zupełnie inna niż uczucie, które zawładnie twoim sercem.

— Ojczy chrzestny, czy miłość czasami sprawia, że ludziom zmienia się charakter i stają się smutni? — zapytała nagle, myśląc o Ahmedzie.

— Nie musi tak być. Czasem wspomnienie ukochanej istoty sprawia, że duszę ogarnia smutek i człowiek staje się jakby nieobecny, ale nie smutny.

— Amina i ja myślimy, że Ahmed się zakochał. Zmieniło się jego usposobienie, nie słucha nas i stał się bardzo tajemniczy — powiedziała Marta, nie zdradzając, że obie go śledziły i z całą pewnością wiedzą, że jakaś dziewczyna zajmuje jego myśli.

— To możliwe: jest w wieku, w którym przytrafiają się takie rzeczy.

Ciche pukanie do drzwi przerwało rozmowę.

— Za pozwoleniem waszej wielbności.

— Chwileczkę, Magi.

Ojciec Llobet, który wyraźnie usłyszał na korytarzu drobne, spieszne kroki swojego pomocnika, pożegnał Martę, dając jej do zrozumienia, że czas się skończył i że musi wracać do swoich obowiązków. Dziewczynka posłusznie się pożegnała i wychodząc, minęła się z młodym księdzem, którego pozdrowiła, podczas gdy on spuścił wzrok.

Oczy ogromnego kapłana spoczęły na Magim. Ostatnio martwił się stanem zdrowia swojego koadiutora, który stał się bardzo nerwowy i rozdrażniony; nie wykonywał jego poleceń i niejednokrotnie trzeba było mu je powtarzać. Z pewnością nie przychodziło to łatwo komuś o charakterze ojca Llobeta. Cierpliwość nie była jego główną cnotą, a on sam musiał bardzo uważać, bo nieraz, kiedy nawet nie posuwał się do gwałtowności, lecz jedynie podnosił głos, dochodziło do jakiegoś kataklizmu: bądź to wylewał się inkaust z kałamarza, bądź dzbanek wypadał z czyichś rąk.

— Co się stało, ojcze?

Llobet domyślał się, że pod szerokimi rękawami habitu koadiutor trze spocone dłonie.

— Muszę prosić waszą wielbność, aby pozwolił mi się oddalić.

— A to dlaczego?

— Chodzi o moją matkę starszkę. Znowu ma gorączkę i, jak wiecie, nie ma nikogo poza mną.

— Dostaliście od niej wiadomość?

— Przez sąsiadkę... przysłała mi wiadomość przez sąsiadkę. Dziś rano, kiedy byłem w ogrodzie, ta kobieta powiedziała mi, że słyszała, jak przez całą noc kaszle, i że dzięki jej naleganiom została w łóżku, bo upierała się, by wstać.

— Idźcie, ojcze Magi. Ważniejsze jest być dobrym synem niż dobrym kapłanem. Jeżeli będzie trzeba, zostańcie z nią na noc. Pomówię z ojcem przeorem i powiem mu, że dałem wam swoje pozwolenie.

— Dziękuję waszej wielbności. Matka tyle dla mnie zrobiła, że byłoby mi przykro, gdybym ja nie uczynił dla niej wszystkiego co w mojej mocy.

Młody ksiądz pochylił się, żeby ucałować dłoń przełożonego, po czym się wycofał.



Magi miał dziewiętnaście lat. Jego matka po śmierci męża uznała, że najlepszym sposobem zapewnienia synowi przyszłości będzie

Kościół. Pomimo że niezależnie od zawodu położnej przyjmowała każde zajęcie, uprawiała ogródek za swoim skromnym domem, sama piekła chleb i pomagała sąsiadkom, nie wystarczało jej pieniędzy i w końcu musiała podjąć jakąś decyzję. Pomyślała, że jeśli umieści syna w seminarium, to choćby nawet nie przyjął święceń, przez kilka lat będzie miał zapewniony wikt i otrzyma wykształcenie, które niewątpliwie przyda mu się w życiu. Później się przekona: albo będzie miał powołanie, albo się okaże, że nie jest zdolny poświęcić się religii, ale tymczasem wzrośnie w tych świętych murach, a ona będzie mogła zaoszczędzić na jego wyżywieniu. Pewnego pięknego dnia mały Magí de la Valí znalazł się w kościelnym chórze. Miał osiem lat. Do trzynastego roku życia wszystko toczyło się dobrze: podobało mu się to surowe, kontemplacyjne życie i choć jedzenie było skromne, nigdy go nie brakowało. Poza tym miał towarzystwo innych chłopców w swoim wieku. Całe dnie pochłaniały mu lekcje łaciny, chór i biblioteka, podczas gdy niemal wszyscy pozostali klerycy pracowali w ogrodzie, gdzie wykonywali znacznie cięższe prace niż te, które zlecano jemu.

Wszystko dobrze się układało, aż w jego życiu pojawiło się libido i przez sen zaczął plamić zgrzebną pościel.

Gdy skończył osiemnaście lat, przyjął święcenia, ale sen o poznaniu kobiety stał się jego obsesją. Magí mieszkał w Pia Almoína. Wałęsał się po korytarzach jak pokutująca dusza, a jego myśli błądziły daleko od krążganków. Bardzo schudł i jego ciało, które zawsze było szczupłe, teraz tłuło się w habicie jak serce dzwonu. Podczas popołudniowych modłów, pod cienistymi arkadami otaczającymi sadzawkę, ledwie można było dostrzec jego ostrą i bladą twarz. Cokolwiek robił, czy to porządkował zwoje w bibliotece, czy też rozdzielał zupę wśród ubogich albo wypełniał jakieś polecenie przełożonego, jego umysł niezmiennie przywoływał dziewczęce piersi; w każdym kapitule Magí widział kobiece kształty i nie wątpił, że choćby miał się skazać na piekło, nie byłby w stanie oprzeć się takiej pokusie.

Po wielu bezsennych nocach powziął decyzję. Poszuka jakiejś wymówki i znajdzie sposób, żeby udać się na wzgórze Montjuïc, gdzie — jak podsłuchał w rozmowie jednego ze stajennych z masztalerzem — otwarto lupanar. Usłyszał, że ten przybytek wznosi się przy gościńcu do kamieniołomu, dokładnie obok wiodącej na żydów-

ski cmentarz dróżki, przy której stał domek jego matki, i że opłata za spędzenie czasu z jedną z tamtejszych mieszkanek jest bardzo skromna w porównaniu z tą, jakiej żądano w podobnym miejscu, które wcześniej otwarto w Vilanova deis Arcs.

Owego popołudnia, po wyjściu od ojca Liobeta, kiedy dzwon w Pia Almoina wzywał wiernych na pierwszą popołudniową modlitwę, Magi, z sercem łomoczącym pod prostym brunatnym habitem, opuszczał klasztor, okazawszy przepustkę furtianowi, który spojrział na niego obojętnie.

Obszedł niekończący się plac budowy przy katedrze, ruszył dalej wzdłuż Call i znalazł się między tymi, co o zmroku opuszczali miasto, by skierować się ku wciąż rosnącym przedmieściom poza murami. Masa ludzka posuwała się wśród krzyków i złorzeczeń woźniców, którzy wymyślali takiemu czy innemu spryciarzowi, co to podstępnie usiłował przepchnąć się do przodu. Kiedy zgiełk stawał się nie do zniesienia, włócznie strażników przywracały w tłumie porządek.

Magi z trudem przeciskał się za jakąś grubą kobietą z ogromnym koszem na głowie i czepiającym się jej spódnic dzieciakiem, którego raz po raz bez powodu częstowała kuksańcem. W końcu, już po minięciu bramy Castellnou, tłum zaczął rzedać: jedni kierowali się ku Cogoll, inni ku osiedlu Santa Maria del Pi, a jeszcze inni w stronę La Boquería bądź Areny, bądź też ku Sant Pau del Camp. Magi skręcił na drogę do Montjuïc i pokonawszy drewniany mostek przerzucony przez Cagalell, zauważył powracających do miasta kamieniarzy z narzędziami na ramieniu i z ciałami pokrytymi marmurowym pyłem. Natomiast w tym samym co on kierunku podążali konno kupcy i zwykli mieszkańcy; wydawali się zadowoleni i głośno ze sobą rozmawiali. Magi przestał zwracać uwagę na otoczenie, pograżając się we własnych rozmyślaniach, i tak, niemal bezwiednie, znalazł się w okolicy, którą dobrze znał. Starodawny rów nawadniający, wodopój dla zwierząt i studnia, z której czerpał w dzieciństwie. Wokół nich wznosiło się pięć domów stanowiących osadę; ten w głębi należał do jego matki. Cztery ściany, dwuspadowy dach, a z tyłu pobielony wapnem mur otaczający ogród. Magi podszedł do drzwi, które zawsze były otwarte, a kiedy je minął, nozdrza wypełnił mu znany zapach kapusty i suszonego mięsa. Pomieszczenie się nie zmieniło. Na wprost okno wychodzące na ogród; po prawej, w kominku, który ogrzewał dom, dymiący sagan

świadczący o obecności matki; po lewej dwoje niewielkich drzwi, z których jedno prowadziły na dziedziniec, a drugie ku schodom na strych. Na ścianie obok wejścia znajdował się barłóg, gdzie spoczywała matka, i półki z różnymi garnkami, a pod najniższą z nich — skromna skrzynka, w której przechowywała swoje instrumenty położnej.

Magi wyrzwał przez okno. Na podwórzu dostrzegł matkę dojącą swoją jedyną kozę, a wokół kilka wychudzonych kur grzebiących w ziemi.

Jego głos przerwał popołudniową ciszę.

— Matko, tu jestem! To ja, Magí!

Dłonie kobiety wypuściły kozie wymiona. Oślaniając oczy prawą dłonią i obracając się na stołku, na którym siedziała, skierowała spojrzenie ku oknu. Wstała: kiedy ujrzała syna, na bezzębnych ustach pojawił się wykrzywiony uśmiech i sieć zmarszczek otoczyła jej oczy.

Pytania cisnęły jej się na wargi, kiedy wycierała dłonie w fartuch i szła w stronę domu.

— Czy coś się stało? Kiedy przyszedłeś? Jak długo zostaniesz? Czy wie o tym ojciec Llobet?

Magi zaczął odpowiadać, stojąc w oknie, a kiedy pojawiła się w drzwiach, pocałował ją, po czym dalej usiłował zaspokoić jej ciekawość.

— Nie stało się nic szczególnego, matko. Wyszedłem z klasztoru, żeby coś załatwić, i jutro muszę tam wrócić. Wysłał mnie mój opiekun; tej nocy będę spał tutaj.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Twoje odwiedziny sprawiają mi wielką przyjemność, ale co to za sprawa, która każe ci spać poza klasztorem?

— Chęć ujrzenia was sprawiła, że posłużyłem się drobnym kłamstwkiem.

Przyglądała mu się niespokojnie.

— Dziś wieczorem — ciągnął Magi — muszę coś załatwić u proboszcza kościoła Santa Maria del Pi, a korzystając z tego, że owo przedmieście jest znacznie bliżej waszego domu, powiedziałem, że nie czujecie się zbyt dobrze. Tak bardzo pragnąłem was zobaczyć, że uciekłem się do tego kłamstwa. Po powrocie więc przenocuję tutaj i jutro rano zjemy razem śniadanie.

— Bóg ci wybaczy, mój synu. Wiem, że niedobrze jest kłamać, ale jestem taka szczęśliwa, że cię widzę! Czy chcesz, żebym ci przygotowała coś do jedzenia?

— Nie, matko, teraz muszę już iść.

— Wobec tego zostawię ci miskę mięsa z jarzynami, żebyś mógł się posilić, jak wrócisz — powiedziała.

— Tego mi najbardziej brakuje w klasztorze, waszych potraw. Teraz się przebiorę.

Matka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Chcesz zdjąć habit?

— Tam, dokąd idę, nie powinni wiedzieć, że jestem duchownym. Mam za zadanie poinformować swojego przełożonego o życiu, jakie prowadzi pewien kapłan, który z pewnością nie jest wzorem cnót — skłamał Magi.

— Jestem biedną kobietą, która nie rozumie się na takich rzeczach. Rób, co masz robić, i nic mi nie tłumacz. Wystarczy, że tu jesteś.

— Czy moje rzeczy są tam gdzie zawsze?

— Wszystko jest w kufrze pod twoją pryczą.

— Więc idę się przebrać.

Magi wspiął się po stopniach prowadzących na strych i jednym spojrzeniem objął to wnętrze, które tak dobrze znał. Światło wpadało przez niewielkie okienko w dachu. W jednym rogu stała jego prycza i chwiejący się zydeł z trzema nogami. Na drugim krańcu stolik z miednicą i cynkowym dzbanem oraz prosta szafa, które, wraz z zagrodą dla kozy i kurnikiem, zrobił wiele lat wcześniej własnymi rękami, gdy bywał w odwiedzinach u matki. Teraz najpierw sprawdził, czyjego oszczędności są nadal tam, gdzie je zostawił. Podeszedł do szafy, w której trzymał stare ubrania ojca i kilka własnych rzeczy, i z wysiłkiem odsunął ją od ściany; potem wyjął jedną cegłę z wypalanej gliny, tam gdzie zaprawa murarska była pokruszona, i włożył dłoń do zagłębienia: chwilę później jego oczom ukazała się niewielka sakiewka z owczej skóry. Wesoły brzęk monet powiedział mu, że wszystko jest na swoim miejscu. Położywszy sakiewkę na pryczy, umieścił cegłę w zagłębieniu i dosunął szafę. Potem wyjął z niej stary przyodziewek i zdjawszy habit, ubrał się jak zwykły wieśniak.

Chwilę później wyszedł z domu młodzieniec w obcisłych portkach, krótkim brunatnym kaftanie i w czapce wciśniętej na uszy, za-

słaniającej zakonną tonsurę. Spojrzał w jedną stronę, w drugą i skierował kroki ku Montjuïc. Po upływie pół godziny, czując przyspieszony puls, zastukał kołatką do pewnych drzwi.

To, co było krótką chwilą, jemu wydało się wiecznością. Drzwi się otworzyły i w progu stanął olbrzymi eunuch w mauretańskim stroju. Przyjrzał się chłopakowi od stóp do głów i po tej szczegółowej inspekcji zapytał opryskliwie:

— Czego tu szukacie o tak wczesnej porze?

Magi usiłował zachowywać się naturalnie.

— Jeżeli mnie źle nie poinformowano, to tego, czego każdy szuka w takim miejscu jak to.

Maur otworzył drzwi na oścież: klient to klient i o każdej porze jest mile widziany.

— Wybaczcie, panie, moje zdziwienie pochodzi stąd, że godzina jest wczesna.

Magi, drżąc wewnątrz, ale grając rolę aroganckiego młodzika, odpowiedział:

— Każdy jest panem swojego czasu i znajduje na te sprawy taką chwilę, jaka mu odpowiada.

— Oczywiście, panie. Czujcie się jak u siebie. Natychmiast każę zapalić świece w salonie i pokażę wam towar.

— Nie chciałbym mieszać się z innymi. Odpowiadałoby mi bardziej ustronne miejsce.

— Jak sobie życycie, panie. Zechciejcie pójść za mną.

Podczas gdy Maur zamykał drzwi, Magi postąpił krok naprzód. Potem poszedł za eunuchem długim korytarzem prowadzącym do małego pomieszczenia. Trzy wielkie kandelabry dostarczały pokojowi światła, a rozpalony na kominku ogień — przyjemnego ciepła. Magi usiadł na jednym z foteli; pot zalewał mu pachy i kosztowało go wiele wysiłku powstrzymanie drżenia podbródka.

— Jeżeli zechcecie powiedzieć mi o waszych gustach, z ogromną przyjemnością postaram się je zaspokoić: wiek, kolor skóry...

— Chciałbym mieć młodą kobietę, która zna życie i lubi swoje zajęcie — odpowiedział Magi z udawaną pewnością siebie.

Eunuch doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że gość jest wieśniakiem.

— Myślę, że mam to, czego szukacie. Zechciejcie chwilkę zaczekać.

Maur zniknął, zostawiając Magiego na skraju omdlenia, z sercem walącym jak młotem.

Po krótkiej chwili rozsunęła się zasłona w głębi i przed jego zdziwionymi oczami ukazała się postać, która wydała mu się rajską hurysą. Mogła mieć około dwudziestu pięciu lat. Miała na sobie zielony ałtasowy kubraczek i bufiaste szarawary z przezroczystego jedwabiu; nogi zdobiły ciżmy z zawiniętymi czubkami, a kasztanowe włosy — diadem. Ponad zasłoną skrywającą wargi widać było głębokie czarne oczy z powiekami pomalowanymi węgielkiem i ligustrem dla podkreślenia ich urody. Przyglądała mu się z ciekawością.

Odpowiedź Zahiry

Kwiaty lip zaczynały się nieśmiało otwierać. Zahira nie rozumiała, jakim cudem ogród mógł rozkwitnąć w tym oceanie smutku, który ją otaczał. Przypatrywała się zdziwionymi oczami, jak zima mimo wszystko ustępuje miejsca wczesnej wiosnie, a bezlik woni i barw przepędza kwietniowe powietrze. Była tam dopiero od dwóch miesięcy i dotąd nie mogła uwierzyć, że sprawy tak się potoczyły. Ile nędzy, ile nienawiści, ile bólu wokół niej! Ile się napłakała! Jakże odległe wydawały jej się spotkania z Ah-medem, pogawędki z Baszirą i nieliczne szczęśliwe chwile, jakich zaznała w swoim życiu niewolnicy! Szloch w ciemności ponurych pomieszczeń, gdzie usiłowała wypoczywać ta grupa nieszczęśliwych istot, tworzyły nocą niekończący się chór lamentów. Zahira nigdy by się nie spodziewała, że opatrzność tak gorzko ją doświadczy. Intuicja nieomylnie jej podpowiedziała, w jakim miejscu się znajduje i dokąd nieubłagane zmierza. Po upokorzeniu doznanym w obecności tych dwóch mężczyzn, którzy przyglądali się jej nagiemu ciału, jakby oceniali krowę na targu, teraz mogła dostrzec przepaść, w jakiej miała się pogryźć. Z polecenia ochmistrzyni Ranii została przydzielona tymczasowo do kuchni, ale gdy tylko poznała całe zaplecze tego miejsca i ujrzała uległe ludzkie wraki, które tam wegetują, zrozumiała, co to za dom i czym się parają uwięzieni w nim nieszczęśliwcy. Pierwszego dnia ochmistrzyni pokazała jej, gdzie ma spać, a potem dała jej

zgrzebny przyodziewek i drewniane chodaki, żeby się przebrała, i kazała nadzorczyńni sprzątaczek zaprowadzić ją do salonu, gdzie nocami odbywały się sprośne widowiska.



Od tego wielkiego bólu, jaki owładnął jej duszą, oderwało ją niezwykle wydarzenie. Pewnego popołudnia, kiedy obierała w kuchni jarzyny, podszedł do niej Pacią, jeden z tych parobków, co to mogli wychodzić z domu i bywać w otaczającym go świetle.

— Nazywasz się Zahira, czyż nie tak?

Przytaknęła skinieniem głowy.

— Ktoś dał mi dla ciebie wiadomość.

Dziewczyna, ledwie się ośmielając, podniosła oczy. Zachęcony jej pytającym spojrzeniem, Pacią wyjaśnił:

— Człowiek, który przesyła ci tę wiadomość, ma na imię Ahmed.

Mówi, że Manel przekazał mu wieści od ciebie i czeka na twoją odpowiedź za moim pośrednictwem.

Zahira nie mogła wydusić z siebie słowa.

— Słyszysz, co mówię?

— Tak, oczywiście.

— Musisz mi podać jakieś hasło, aby on wiedział, że nie kłamię, a ja powtórzę mu, słowo po słowie, wszystko, co mi powiesz. Teraz powinienem już iść; potem tu wrócę, a ty tymczasem pomyśl, co mu chcesz przekazać. — Pacią zamilkł, zarzucił na ramię wielki worek orzechów laskowych i natychmiast wyszedł.

Zahira rozejrzała się wokół, by się upewnić, że nikt nie był świadkiem tej rozmowy, a potem zaczęła się zastanawiać nad wiadomością, jaką chciałaby przesłać Ahmedowi. Myśli kłębiły jej się w głowie; z pewnością nigdy więcej nie nadarzy się podobna okazja. Błyskawicznie powzięła pewien plan. Pacią już wracał korytarzem; wszedł do kuchni i udawał, że przenosi z miejsca na miejsce jakieś worki.

— Zastanowiłaś się już?

Zahira przemówiła drżącym i bardzo cichym głosem:

— Powiedz mu, żeby o mnie zapomniał, że nigdy nie opuścę tego miejsca, że życzę mu wiele szczęścia i że najpiękniejszą rzeczą, jaka przydarzyła mi się w życiu, było to, że go poznałam.

Służący zaczął się denerwować.

— Hasło, szybciej, hasło... Powiedz jakieś słowo, które go przekona, że to ty przekazałaś mi tę wiadomość.

Zahira szybko się zastanowiła, a potem, zwracając się doń twarzą, wyszeptwała:

— Margarida. Takie będzie hasło.

Odszedł bez słowa do swoich zajęć, powtarzając półgłosem: „Margarida, Margarida”. Kiedy był już przy drzwiach, usłyszał głos dziewczyny:

— Kiedy czegoś się dowiem?

— Przyjdę do ciebie, jeżeli będzie odpowiedź.



Już za pierwszym razem, kiedy Zahira rzuciła okiem na ten lokal i ujrzała rozmieszczenie stołów, skryte w cieniu zakamarki, wielką ławę w głębi i wreszcie półkolisty podest otoczony lampami, odgadła, co tam się odbywa każdej nocy. Było to, w mniejszych wymiarach, coś na kształt targu niewolników, ale urozmaiconego tańcami i śpiewami. Po upływie pierwszego tygodnia wręczono jej jedwabny kaftan, biały fartuch i czepek i powiedziano, że ma pomagać chłopakowi w obsłudze klientów. Porozmawiawszy w kuchni z jedną z dziewcząt, upewniła się, że nie myliło ją przecucie co do działalności, jaką prowadzi się w tym domu, ale jej wyobraźnia nie dorównywała rzeczywistości. Kiedy weszła za chłopakiem do sali, jej spojrzenie zamglił dym wydobywający się z czterech kadzielnic, w których palono aromatyczne zioła; potem, gdy oczy zaczęły się przyzwyczajać do owego półcienia, a umysł odizolował od panującej tam wrzawy, mogła przyjrzeć się temu, co oferowano gościom w salonie, i dowiedzieć się, dlaczego na tej scenie defilują ledwie dojrzałe dziewczęta, które wśród śmiechów i zakładów czynionych przez obecnych jakiś zbir pozbawia odzienia. Przy stołach było tłoczno; niektórzy mężczyźni, należący, jak się domyślała z ich ubioru, do zamożniejszej warstwy, rozproszyli się po wielkiej sali. Kupcy, obywatele Barcelony, szlachcice, bankierzy, właściciele kramów na targu pili wino, śmiali się i komentowali lepszą lub gorszą jakość niewolnic, które nieustannie pojawiały się na podium. Trzej muzycy, którzy grali na mauretańskiej cytrze, wioli i harfie i którym akompaniowało dwóch murzyńskich chłopców wybijają-

cych grubymi palcami rytm na niewielkich bębenkach z naciągniętą koźlą skórą, tworzyli odpowiedni nastrój i towarzyszyli występom dziewcząt, które — z oczami uczernionymi węgielkiem, z rozpuszczonymi włosami spiętymi wysokim grzebieniem i z kośćmi policzkowymi podkreślonymi magenta — nie tylko się pokazywały, lecz także tańczyły, wznosząc ramiona i poruszając się w synkopowanym rytmie, jakby ich korpus oddzielony był od reszty ciała. Zahira, ze spuszczonego wzrokiem, chodziła za usługującym chłopakiem, któremu ją przydzielono.

28

Ponowne spotkanie

W porze, kiedy zazwyczaj wyjeżdżał wóz ze śmieciami i odpadkami, Ahmed czekał w cieniu lipy, aż otworzy się brama i ukaże posłaniec. Oczekiwanie wydawało mu się wiecznością, ale gdy dzwony kościoła Sant Pere de les Puelles wezwały zakonnice na popołudniową modlitwę, jego cierpliwość została wreszcie wynagrodzona.

Ostrożność kazała mu postać jeszcze chwilę za pnem drzewa, ale gdy wóz wjechał na piaszczystą drogę, Ahmed, przekonawszy się, że strażnik pilnujący tej strony murów zaczyna obchód w przeciwnym kierunku, nie mógł już dłużej wytrzymać i wybiegł z cienia.

— Wsiadaj szybko — usłyszał. — Ukryj się między workami i zaczekaj, aż cię zawołam.

Bez namysłu wspiał się zwinnie na rozkołysaną platformę i wślizgnął między cuchnące worki. Kiedy wóz skręcił za róg, rozległ się głos woźnicy zagłuszany stukotem kopyt mułów.

— Już możesz wyjść. Nie zdejmuj kaptura i usiądź obok mnie. Fetor zapowiada moje przybycie i ludzie zwykle się usuwają, kiedy przejeżdżam. Poza tym są przyzwyczajeni widzieć na koźle dwie osoby.

Ahmed zastosował się do instrukcji i kiedy tylko znalazł się na nowym miejscu, zapytał o wieści.

— Powoli — rzekł Pacią. — Powtórzę hasło, a ty dasz mi, co obiecałeś. Kiedy już dotrzymasz umowy, przekażę ci wiadomość.

— Zgoda — rzekł niecierpliwie Ahmed. — Mów.

— Hasło brzmi „Margarida”.

Słyszac imię dziewczyny z Mercadal, Ahmed włożył dłoń do sakiewki i zapłacił bez słowa umówioną sumę. Trzęsły mu się dłonie.

— Mów, na litość boską.

Parobek dokładnie przytoczył wiadomość, którą przekazała mu Zahira. Ahmed kazał ją sobie dwukrotnie powtórzyć. Kiedy był pewien, że są to słowa jego ukochanej, powiedział woźnicy:

— Przekonałeś się, że dobrze płacę. — Usiłował zapanować nad głosem, aby jego drżenie nie zdradziło udręki, jaką odczuwał. — Więc słuchaj: jeżeli sprawisz, że spotkam się na chwilę z Zahirą, dostaniesz pięć razy tyle, ile zarabiasz w miesiąc.

Woźnica wypuścił na chwilę lejce i gdy obrócił się w stronę Ahmeda, w jego spojrzeniu odbijały się równocześnie sknerstwo i strach.

— To by było bardzo niebezpieczne.

Ahmed zobaczył, że zapala się przed nim światełko.

— Ale możliwe?

— Być może. Jak długo miałyby trwać to spotkanie?

— Czas, jaki zajmuje zmówienie różańca.

— To zbyt długo, muszą wystarczyć trzy tajemnice.

— Zgoda, niech będą trzy tajemnice — rzekł zrozpaczony Ahmed. — Jak i kiedy może do tego dojść?

— Nie tak szybko — zamruczał Paciá. — Muszę to przemyśleć.

Właśnie dojechali do strumienia Cagalell.

— To koniec mojej trasy. Pomóż mi, a ja się zastanowię, czy odpowiada mi ta umowa i w jaki sposób mogę ją wcielić w życie.

Ahmed zeskoczył z wozu i aby pomóc woźnicy rozładować platformę, schwycił za dwa rogi jeden z cuchnących worków. Tamten zrobił w milczeniu to samo. Potem powiedział:

— Jeżeli warunki zapłaty się nie zmieniają i możesz przyjść w przyszły poniedziałek mniej więcej o tej samej porze w to samo miejsce co dzisiaj, może dojdziemy do porozumienia.

— Jeżeli się to uda, będę ci dozgonnie wdzięczny.

— Nie tak szybko! A co z zapłatą?

— Jak sam rozumiesz, nie mam przy sobie takiej sumy.

Służący zawahał się przez chwilę.

— Musisz mi dać obiecane pieniądze, kiedy otworzę drzwi, żeby

cię zaprowadzić tam, gdzie będziecie mogli się spotkać. Inaczej nasza umowa straci ważność i zamknę ci drzwi przed nosem. Zgoda?

— Jeżeli nie stawię się tam, gdzie wskażesz, z pieniędzmi, to będzie znaczyło, że umarłem — odparł Ahmed.

W następny poniedziałek o umówionej godzinie Ahmed czekał niecierpliwie, aż otworzą się dwuskrzydłowe wrota. Tymczasem zamiast nich uchyliły się boczne drzwiczki po prawej stronie, przez które mógł przejść tylko jeden człowiek. W progu pojawił się Pacią i dostrzegłszy Ahmeda, dał mu dłonią znak, żeby pozostał w miejscu.

— Czy przyniosłeś należność? — zapytał, kiedy do niego podszedł.

Ahmed włożył dłoń do sakiewki i wyjął kilka denarów.

— Nie wiem, ile zarabiasz, ale przypuszczam, że ta suma pokrywa to z naddatkiem.

Parobek policzył pieniądze i z zachłannym błyskiem w oczach odrzekł:

— To dopiero znaczy być szczodrym.

Potem, rzuciwszy krótkie spojrzenie na najbliższego wartownika, polecił:

— Idź za mną.

Ahmed usłuchał bez chwili wahania. Minęli drzwiczki, przez które wyszedł parobek. Teraz zamknął je na dwa rygle i zaczął iść w stronę szopy stojącej w głębi ogrodu, prowadząc za sobą Ahmeda. Kiedy tam doszli, powiedział.

— Tutaj ją znajdziesz. Pamiętaj: tylko trzy tajemnice.

Ahmed znowu włożył dłoń do sakiewki, wyjął garść monet i wręczył je swemu dobroczyńcy.

— Niech to będzie cały różaniec, błagam cię.

Ton młodzieńca i jego wyraźna szczodrość wzruszyły posługacza.

— Gram o coś więcej niż miejsce pracy — powiedział z wahaniem — ale niech będzie: jeden różaniec.

Pchnął drzwi i wskazał Ahmedowi, by wszedł do szopy.

Początkowo mrok nie pozwolił mu dojrzeć wnętrza, ale kiedy jego oczy zaczęły się przyzwyczajać do ciemności, Ahmed zdał sobie sprawę, że jest w niewielkim spichlerzu: na dole leżały stosy worków, a na górze, na stryszku, do którego wchodziło się po

drabinie, słomiane snopy. Nie ośmielał się nawet oddychać. Po dłuższej chwili spostrzegł, że przez otwór w dachu i okienko w górnej części strychu wpada nieco światła. Nagle jego serce zaczęło bić jak młotem. Pomiędzy snopami ukazała się ukochana twarz Zahiry. Ahmed wspiął się jak dziki kot po drabinie i niemal nie zdając sobie z tego sprawy, oboje połączyli się w rozpaczliwym uścisku. Gdy ta magiczna chwila minęła, usiedli na słomie i zaczęli bezładnie mówić, podczas gdy on wyjmował jej z włosów źdźbła słomy.

— Muszę cię w jakiś sposób stąd zabrać, Zahiro.

— Nawet nie wiesz, co mówisz — szepnęła dziewczyna. — Nie można stąd uciec.

— Nic nie jest niemożliwe, jeżeli ma się odwagę.

— Nie można nic zrobić, Ahmedzie. Wielu już próbowało, ale wcześniej czy później wszyscy skończyli martwi. To jest gorsze niż więzienie.

— Wobec tego, Zahiro, wolę umrzeć niż nie spróbować.

— Ale ja nie chcę, żebyś umarł — powiedziała łagodnie. — Tylko nadzieja, że będziesz w życiu szczęśliwy, pozwala mi to znosić.

— Miej wiarę, znajdę odpowiednie środki — obiecał Ahmed, biorąc w swoje dłonie jej dłoń. — Jak zdołałem uzyskać pomoc pewnego człowieka, żeby się z tobą zobaczyć, tak uda mi się przekupić kogo trzeba, choćbym miał oddać oszczędności całego życia. — Głos mu się załamał. — Jeżeli w ten sposób zdołam cię stąd wyciągnąć, będzie to tego warte.

— Nie zdołasz — upierała się dziewczyna, usiłując powstrzymać łzy. — I jeżeli spróbujemy uciec, kara będzie straszliwa... Znam dziewczynę, której wylupili za to oczy.

— Mój pan ma statki pokonujące morza i dopływające do dalekich krajów. Gdzieś znajdę dla nas miejsce — odparł Ahmed, nie mogąc uznać się za pokonanego.

— Nie, Ahmedzie, schwytają nas... A kiedy to się stanie, nie będzie litości ani dla mnie, ani dla ciebie.

— Więc dlaczego, Zahiro, zgodziłaś się ze mną spotkać?

Dziewczyna wbiła wzrok w jego twarz.

— Ten dom, mój ukochany, to lupanar, obrzydliwy lupanar, gdzie co noc handluje się ciałem. Teraz pracuję jako służąca, ale wiem z całą pewnością, że w końcu będę musiała się oddać temu, kto najwięcej zapłaci za moje dziewictwo. Wszystko zniosę, tylko

nie to. Pragnę jedynie mieć wspomnienie, że to ty byłeś pierwszy. Dlatego chciałam się z tobą spotkać. Chcę być twoja. Teraz, Ah-medzie.

Młodzieniec nie mógł wydusić z siebie słowa.

— Zahiro, ja...

— Nic nie mów — wyszeptała łagodnie. — Mamy mało czasu...

Zaczęła rozwiązywać tasiemki przepasujące dekolt jej gorsetu.

W chwilę później promień światła wpadający przez okienko oświetlił nagie ciała kochanków w najwyższym momencie nieskończonego uścisku.

29

Odwiedziny w lupanarze

Pedro Ramón i Berenguer opuścili pałac tylnymi drzwiami. Szli bez straży jak dwaj zwykli mieszkańcy miasta, okryci pelerynami, z twarzami zasłoniętymi rondami kapeluszy.

Berenguer zwrócił się do przyrodniego brata:

— Droga nie jest krótka; czy zamierzacie ją pokonać pieszo?

— Przy bramie Call będzie na nas czekała lektyka. Jak sami rozumiecie, byłoby nieostrożnie wyjeżdżać z pałacu powozem. Musimy być szczególnie przezorni, biorąc pod uwagę, dokąd się udajemy i kim jesteśmy.

— Tak czy owak — odparł młody Berenguer — kiedy już tam wejdziemy, niewątpliwie nas rozpoznają.

— Oczywiście — zgodził się przyrodni brat — ale nikt się do nas nie odezwie, jeżeli nie będziemy tego chcieli.

Posuwali się, usiłując uniknąć słabego światła, jakie latarnie, ustawione w mieście w czasie odwiedzin Abenamara, rzucały na bruk. Rychło dotarli do bramy Castellnou, a tam, zgodnie z zapowiedzią, znaleźli oczekującą na nich osłoniętą lektykę. Otwierając drzwiczki, Pedro Ramón polecił Berenguerowi gestem, żeby wsiadł. Ten posłuchał i gdy był już wewnątrz, dobiegł go głos przyrodniego brata, który nakazywał dowódcy oddziału kierować się na przedmieście Vilanova deis Arcs. Po chwili, obaj już usadowieni za zasłonami z nasączonej smołą skóry, poczuli, jak nosiciele chwytają dyszle i ruszają w drogę. Dowódca oddziału usiłował okrzykami wyróżnić krok ośmiu mężczyzn dźwigających skrzynię lektyki.

— Mam nadzieję, że tej nocy spełni się moje marzenie — powiedział Berenguer głosem ochryplym ze wzruszenia.

— Uspokójcie się, Berenguerze; bardzo wam spieszo.

— Jeżeli narażam się, wychodząc z pałacu o takiej porze, i to ukradkiem, ryzykując przy tym gniew matki, to tylko dla tego, co mi obiecaliście.

— Wszystko przyjdzie w swoim czasie. Tej nocy będziecie mieli okazję wybierać spośród najlepszego towaru w hrabstwie — zapewnił Pedro Ramón. — A szczęśliwa wybranka zostanie sumiennie przygotowana do tego, byście się mogli nią nacieszyć.

— Czy nie po to są niewolnice, które tam wystawiają?

— Naturalnie, ale chcę, żeby ta, co da rozkosz mojemu bratu, była najprzedniejszej jakości. I żeby ponadto była nietknięta. A to, jak rozumiecie, trzeba będzie uzgodnić.

Lektyka, zatrzymawszy się raz, aby nosiciele mogli odetchnąć, posuwała się drogą obok murów miejskich, aż dotarła do Vilanova deis Arcs. Wejście do domostwa było pilnowane przez czterech czarnych służących. Kiedy tragarze postawili lektykę na drewnianych podporach, obaj pasażerowie wysiedli i poszli w stronę wejścia. Tuż za progiem dwie młodzietki niewolnice ubrane na mauretańską modłę zajęły się ich pelerynami i kapeluszami. Twarz Ranii, która siedziała za ladą, zmieniała się na widok nowych gości.

— Jeśli wasze wielmożności okażą mi tę łaskę i zechcą chwilkę zaczekać, zawołam zarządcę, który zajmie się ekscelencjami.

— Nie trzeba — przerwał Pedro Ramón. — Potrzebny jest mi tylko jeden z prywatnych saloników na piętrze.

— Tak czy owak muszę powiadomić zarządcę.

I chwyciwszy stojący na ladzie dzwonek, szybko nim potrząsnęła.

Każdego wieczoru Bernabé Mainar przebywał w swoim gabinecie i tylko od czasu do czasu wchodził do salonu, żeby sprawdzić, czy wszystko idzie jak należy. Niezwykły srebrzysty dźwięk dzwonka kazał mu stawić się natychmiast i krótkie spojrzenie jedyne go oka przekonało go o wadze owej chwili. Pierwszy raz dwaj członkowie hrabiowskiego rodu pojawiali się jednocześnie w jego zakładzie. Wcześniej Pedro Ramón był tu dwukrotnie w towarzystwie Marçala de Sant Jaume, ale Mainar nie miał wtedy okazji z nim porozmawiać.

Pochylając nisko głowę, pozdrowił znakomitych gości.

— Ekscelencje, uważajcie ten dom za własny, a mnie za swojego najbardziej oddanego sługę.

— Kim jesteś?

— Bernabé Mainar, panie, właściciel i zarządca tego zakładu, do waszej dyspozycji i gotów spełniać wasze rozkazy.

Pedro Ramón zastanowił się przez chwilę: znał tego człowieka z opowiadań i wiedział o wielkich zyskach, jakie przynosi mu ten interes. Jednakże, chociaż Marçal de Sant Jaume go uprzedził, nigdy by sobie nie wyobraził, że on tak wygląda. Zdecydował się potraktować go uprzejmie.

— Wiem, kim jesteś, i doceniam trudy, jakie dla mnie poniosłeś.

— Jesteście zbyt łaskawi, ekscelencjo. Powiedzcie, czemu za wdzięczam wielki zaszczyt goszczenia was w moich progach.

— Tym razem chciałbym pokazać swojemu bratu — wskazał gestem Berenguera — oczywiście z jakiegoś dyskretnego miejsca, szczegóły tego interesu. Innymi słowy, pragniemy widzieć, sami nie będąc widziani. Jest on jeszcze bardzo młody i chcę, żeby zaczął obserwować życie i przekonał się, czy może znaleźć to, czego szuka.

— Przybyliście do właściwego miejsca. Będziecie mogli cieszyć się tym wieczorem przez nikogo nieniekajeni.

Kazał wezwać Maimóna i polecił mu, by przygotowano prywatny salonik na piętrze.

Ranią, stosując się do zasad obowiązujących w tym domu, wyszła zza lady i podeszła do gości, żeby odebrać od nich kordelasy, które dostojni goście nosili u boku. Powstrzymał ją głos Mainara.

— Tym razem nie jest to konieczne, Ranio. Nasi goście będą sami w naszym najlepszym saloniku. — I zwracając się do obu braci, poprosił ich, by poszli za nim. — Jeśli wasze ekscelencje zechcą...

Wskazał schody prowadzące na piętro i sam poszedł pierwszy.

Już na górze poprowadził ich w głąb korytarza i otworzył rzeźbione drzwi oznaczone numerem sześć. Przed oczami zaskoczonego Berenguera ukazał się salon ogrzewany trzaskającymi głowniami w wielkim kominku, umebłowany dwiema szerokimi sofami, stolikiem z miską i dzbanem i — co zdziwiło go najbardziej — dwoma wygodnymi wyściełanymi taboretami, zwróconymi na pozór ku przeciwległej ścianie.

Po raz pierwszy młodzieniec otworzył usta.

— A to? — spytał, wskazując stołki.

Mainar zrobił parę kroków do przodu, odsunął półki i otworzył okienko z zasłonką, które wychodziło na podium w salonie.

— To służy temu, byście widzieli, nie będąc widziani.

Potem przeszedł do kąta w głębi i pokazał długi ozdobny sznur zakończony chwostem.

— Kiedy wybieriecie dziewczynę odpowiadającą waszym gustom, musicie tylko pociągnąć za sznur, a natychmiast zostanie do was przyprowadzona. A teraz, żeby czas upływał wam możliwie najmilej, sługa poda napoje, na jakie macie ochotę.

— Zostaw nas samych, Mainarze. Najpierw obejrzymy spektakl; potem, jeśli zechcemy, zamówimy napoje.

— Zawsze do waszych usług, panie.

Bernabé Mainar wycofał się, zamykając za sobą drzwi i czując, że ten wieczór może być dla niego niezmiernie ważny. Zaledwie bracia zostali sami, Pedro Ramón powiedział:

— Co o tym myślicie, Berenguerze? Podoba wam się to miejsce?

— Jeżeli zawartość okaże się godna opakowania, uznam je za nieprześcignione.

— Mogę was zapewnić, że zawartość prześcignie opakowanie — rzekł z uśmiechem Pedro Ramón.

Usiedli na taboretach i wyjrzeni przez okienka.

Zdziwionym oczom Berenguera ukazał się główny salon. Wieczór osiągnął właśnie apogeum. Gęsta zasłona nieco zagłuszała wrzawę, mimo to panował wielki hałas. Muzycy grali, raz po raz zmieniając melodię. Podniecona publiczność krzyczała, widząc białe lub śniade ciała, których najbardziej sekretne fragmenty odkrywał stopniowo młody efeb. W tej chwili wbiegła w rytm bębnow ciemnoskóra dziewczyna ubrana jedynie w bufiaste szarawary; złoty naszyjnik podskakiwał na jej piersiach. Po krótkim czasie przed zdumionymi oczami Berenguera zaczęły defilować młode niewolnice, które wchodziły na podium ubrane, a schodziły z niego — na żądanie wykrzykiwane przy którymś ze stolików w głębi — z odzieniem w rękę.

— I co powiesz, Berenguerze? Podoba się wam taka rozrywka?

— Nigdy bym nie pomyślał, że może istnieć coś podobnego — zapewnił chłopak ochryplym z podniecenia głosem.

— Czy chcesz tu wezwać którąś dziewczynę?

— Wolałbym przedtem czegoś się napić, bracie. Zaschło mi w ustach.

Pedro Ramón wstał i podszedłszy do kąta, pociągnął za sznur. Gdzieś w domu zadzwieczał dzwonek i Maimón wysłał do saloniku na piętrze chłopaka, którego pomocnicą była Zahira. Sługa zapukał do drzwi i zaczął, aż z wnętrza dobiegło wołanie.

— Wejść!

Wszedł do saloniku, a w odległości pół łokcia za nim, z tacą w ręku, posuwała się Zahira.

Dziewczyna znieruchomiała w półcieniu i zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, kiedy poczuła na sobie rozgorączkowane spojrzenie młodszego z mężczyzn.

Berenguer zbliżył usta do ucha Pedra Ramóna i zaczął coś do niego szeptać.

Ten, wysłuchawszy przyrodniego brata, przyjrzał się dokładnie dziewczynie, po czym rozkazał:

— Niech ona przyniesie dwa kieliszki dobrego wina, a ty powiedz zarządcy, żeby tu przyszedł.

Oboje wyszli. Zahira przeczuwała, że za chwilę wydarzy się coś, co być może zadecyduje o jej dalszym losie. Po krótkiej chwili zjawił się Bernabé Mainar.

— Czy wzywaliście mnie, panie?

— Mój brat już wybrał.

— Miło mi, że mogę spełnić wasze życzenie. A kto jest tą wybranką?

— Żadna z tych, które pokazano. Mój brat upiera się przy słudze, która za chwilę przyniesie nam napoje.

Mainar pogładził twarz prawą dłonią.

— Przybyła tutaj kilka tygodni temu, panie, i żeby dobrze usłużyć najlepszemu z kawalerów, będzie musiała być przyuczona. Zwróćcie uwagę, że jest jeszcze dziewicą.

Teraz zabrał głos Berenguer.

— Jeszcze bardziej mi się podoba. Świadomość, że będę pierwszy, dodaje mi bodźca.

— Ależ, panie... — zawahał się Mainar. — Nie będzie potrafiła spełnić waszych życzeń tak, byście byli zadowoleni.

W tym momencie, zapukawszy do drzwi, pojawiła się Zahira, niosąc na tacy dzbanek wina i dwa cynowe kubki. Kiedy wyszła, trzech mężczyzn wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— Myślę, panie, że mam inne dziewczyny, lepiej obdarzone,

które dadzą wam rozkosz; ta ma niewielkie piersi i jeszcze **nie** umie się poruszać — nalegał Mainar.

Głos Berenguera był wyraźnie rozdrażniony.

— Chcę tej, żadnej innej!

Pedro Ramón, który znał gwałtowne usposobienie przyrodniego brata, szybko się wtrącił.

— Więc niech tak będzie, jeżeli właśnie ta się wam podoba. — Potem, zwracając się do Mainara, zauważył: — Młodzi cenią bardziej urodę niż doświadczenie. A na honor, dziewczyna jest piękna.

— Ponadto, bracie, choć szczególnie mi na tym nie zależy, chcę być sam — powiedział Berenguer.

— Jak sobie życzycie. I nie zapominajcie, że musi to być wielka noc. — Popatrzył na Mainara i dodał: — Zwłaszcza że po rozmowie z donem Marçalem de Sant Jaume chciałbym zamienić z tobą kilka słów. Wydaje się, że nadeszła odpowiednia chwila.

Mainar ujrzał, jak otwierają się przed nim niebiosy. Ta niedostępna osobistość została mu podana na tacy: bez wątpienia zapowiedź dwóch tysięcy złotych mancuso przyniosła oczekiwany skutek. Nie zamierzał stracić takiej okazji.

— Natychmiast, panie, wydaj polecenie, żeby przygotowano dziewczynę, a ja będę miał wielki zaszczyt przyjąć was w swoim skromnym gabinecie.



Zahira była przerażona. Ze szczytu niebios, dokąd dotarła poprzedniego dnia, czekał ją — o ile Bóg nie zechce jej przed tym uchronić — upadek w samą otchłań piekieł. Światło, które Ahmed otworzył w jej sercu, miało zgasnąć. Od nadziei na ponowne spotkanie i kolejne chwile szczęścia gwałtownie przeszła do zgoła odmiennych uczuć: instynkt jej mówił, że zostanie oddana temu próżnemu młodzieńcowi z krzywymi nogami, który, wnosząc po sposobie, w jaki traktował go Mainar, musiał być kimś ważnym.

Kiedy tylko wyszła z saloniku, napotkała Ranie, która wypełniając osobiste rozkazy pana, kazała jej pójść za sobą. Głos ochmistrzyni przywrócił Zahirę do świata żywych.

— Będzie lepiej, jeśli posłuchasz mnie bez szemrania, w przeciwnym razie zmuszą cię do tego i wszyscy gorzej na tym wyjdziemy. Początkowo to trudne, ale potem się przyzwyczaisz i jeżeli wykażesz

się w pracy, zechce cię wielu klientów. Nie stwarzaj problemów, a może zdołasz uciec od codziennej rutyny i nawet będziesz mogła wykonywać inne zajęcia. Spójrz na mnie. A teraz postaw tacę na ziemi i niech ci nie przyjdzie do głowy zrobić jakieś głupstwo. Tak czy owak, żeby uwolnić cię od takiej pokusy, będzie z nami „Negr”.

Był to olbrzymi Berber, który pomagał Maimónowi zażegnawać wszystkie incydenty, do jakich dochodziło w lokalu. Na wezwanie Ranii natychmiast się pojawił. Miał u pasa pałkę, której używał w skrajnych przypadkach.

Zahira, pogrążona w niezmiernej rozpacz, rozważała sytuację i próbowała przewidzieć swoją przyszłość. Nie wiedziała, co się wydarzy, ale wchodząc za Ranią na piętro i mając za sobą Berbera, przeczuwała najgorsze. Ochmistrzyńi zatrzymała się przed trzecimi drzwiami, otworzyła je i weszła do środka. Zahira po raz pierwszy widziała ten pokój, chociaż inne niewolnice już jej opowiedziały, co się tam odbywa. Na ścianie w głębi wisiało wielkie lustro z polerowanej miedzi; u jego podstawy znajdowała się szeroka półka pełna słoiczków i flaszeczek, a przed nią stały trzy wysokie zydle. Poczesne miejsce w pokoju zajmowała wielka wanna z masywnego drewna, w kącie upchnięto dwa stojaki wypełnione różnym przyodziewkiem. Na ścianie po prawej był wielki kominek, który służył widać nie tylko do ogrzewania pokoju, bo nad płonącymi kłodami wisiały dwa ogromne kotły pełne wody. Czekały przed nim trzy dojrzałe niewolnice, które zajmowały się kąpaniem, malowaniem, perfumowaniem i ubieraniem dziewcząt wychodzących co wieczór do salonu.

Ranią zwróciła się do niewolnic władczym tonem.

— Zobaczmy, czy potraficie wywiązać się z zadania. Dziś wieczorem ta dziewczyna musi błyszczeć jak królowa Saby. Wykąpcie ją, namaśćcie, uczeszcie, a potem ubierzcie w przezroczyste stroje, jakby była rajską hurysą. Kiedy skończycie, każcie mnie powiadomić. — Potem poleciła: — Ty, „Negrze”, zostań tu i bacz, żeby wszystko poszło sprawnie. Pilnuj dziewczyny, by nie zrobiła jakiegoś głupstwa. Skorzystaj z okazji i napatrz się do woli. Nieczęsto będziesz miał możliwość oglądać takie jędrne ciało jak to — dodała i ze złośliwym uśmiechem na ustach odeszła do swoich zajęć.

Bez chwili wahania dwie z kobiet schwyły Zahirę i ściągnęły z niej odzienie; potem zmusiły ją, żeby weszła do wanny i usiadła. Najwyższa zaczęła lać wodę z kotłów, które grały się nad palenisk-

skiem kominka, aż ta zakryła skulone kolana dziewczyny. Potem wszystkie trzy zaczęły ją szorować, niemal zdzierając z niej skórę, i kiedy Zahira już stała w wannie wytarta grubymi ręcznikami, zajęły się namaszczeniem jej ciała wonnymi olejkami, które brały z dwóch szklanych flasz. Przykrywszy jej ramiona prześcieradłem, posadziły ją na stołku przed miedzianym lustrem i umalowały oczy czernią i błyszczącymi barwnikami. Uczesały jej włosy i ozdobiły je perłami i turkusami, a w końcu ubrały ją na mauretański sposób w rodzaj bufiastych szarawarów zakrywających nogi, wyszywany błyszczącymi kamieniami przezroczysty gorset, który pozwalał widzieć jej piersi, zakrywając sutki, i w kaftanik z niebieskiego i srebrnego aksamitu. Przez cały ten czas czuła na swoim ciele wzrok "Negra" i od tej chwili już wiedziała, że nie będzie w stanie znieść tego, co miała jej zgotować przyszłość.



W gabinecie Mainara dwaj mężczyźni znaleźli się naprzeciw siebie: dziedzic usiadł w jednym z foteli, a kupiec stał przy stole. Pedro Ramón rozpoczął rozmowę, od razu przechodząc do rzeczy.

— A więc, mój dobry przyjacielu, doszły mnie wieści o dwóch tysiącach złotych mancuso, a to dużo pieniędzy. Czy możesz mi to wyjaśnić?

— Otóż powiedziano mi, że szukacie, panie, dla swojej sprawy wybitnych nazwisk i wielkich pieniędzy. Nie mogę wam wnieść tego pierwszego, albowiem nie mam odpowiedniej pozycji, ale mogę wnieść to drugie. I właśnie taka suma wchodziłaby w grę.

— Dlaczego mówisz „wchodziłaby”?

— Dlatego że w tej chwili nią nie dysponuję, ale mógłbym dysponować — odparł Mainar.

— A pod jakim warunkiem?

Mainar zastanowił się przez chwilę. Wahał się między powiedzeniem dziedzicowi prawdy a zachowaniem tajemnicy. Wreszcie zdecydował się na to drugie, zostawiając wyjawienie prawdziwych okoliczności na lepszą okazję.

— Potrzebuję nieco czasu. Muszę wyjechać na kilka dni i zobać się z bratem, który mieszka daleko od Barcelony i ma połowę planu miejsca, gdzie zakopane są pieniądze; przysługująca mi część będzie należała do was, kiedy tylko wrócę do miasta.

- Dlaczego nie zażądałeś jej wcześniej?
— Na łożu śmierci ojciec zobowiązał nas, byśmy mu przysięgli, że sięgniemy po te pieniądze tylko wówczas, gdy jeden z nas dwóch będzie miał ku temu naprawdę ważny powód.
— I twój brat godził się na to?
— Mój brat jest pustelnikiem i należy do Boga.
— Osobliwa historia, na wszystkich świętych! — zdziwił się dziedzic, a na jego twarzy odmalowało się niedowierzanie. — Nigdy bym sobie tego nie wyobraził. Powiedz, co mam zrobić, żeby ci się odwdziżyć za twój gest?
— To łatwe, panie.
— Jak bardzo łatwe?

Poprosiwszy o pozwolenie, przebiegły Mainar usiadł i zaczął wyjaśniać swój plan:

— Jeżeli wszystko potoczy się zgodnie z moimi oczekiwaniami i zasłużę na wasze zaufanie, to mam nadzieję, że pomożecie mi wyrównać pewien dług honorowy, jaki mam w tym mieście wobec dwóch osób.

— Chociaż wydaje mi się to całkowicie niewiarygodne i nie wiem, o kogo chodzi, możesz liczyć na moją pomoc. Kiedy obejmę rządy hrabstwa, otrzymasz należną nagrodę.

W owej chwili pośpieszne pukanie do drzwi i histeryczny krzyk Maimóna zmusiły obu mężczyzn do przerwania rozmowy.



Kiedy Zahira była gotowa, na polecenie „Negra” jedna z kobiet poszła po Ranię.

Ochmistrzyni zjawiała się po krótkiej chwili i spojrzawszy na dziewczynę, orzekła:

— Aż trudno uwierzyć, co może zdziałać kąpiel i dobre stroje. Sama widzisz, jak z młodej służącej przekształciłaś się w perską księżniczkę. — Potem, zwracając się do „Negra”, poleciła: — Ty idź za nami i uważaj; nie chcę, żeby jakiś wypadek po drodze zepsuł mi dzień.

W trójkę opuścili pokój: na przodzie szła Ranią, za nią przerażona Zahira, a Berber zamykał pochód. Tak doszli do drzwi saloniku numer sześć, gdzie czekał Berenguer. Ochmistrzyni zapukała i głos dochodzący z wnętrza nakazał jej wejść.

— Panie, oto nadchodzi to, co zamówiliście.
Popchnięta przez Berbera, dziewczyna znalazła się na środku pokoju.
Rozległ się władczy głos znakomitego gościa.
— Zostawcie nas samych.
— Jeżeli nie życzyte sobie niczego więcej... — szepnęła Rania.
— Gdybym chciał coś więcej, powiedziałbym ci, idiotko!
Ponaglona krzykami popędliwego młodziana, dwójka służących
wycofała się pośpiesznie, zamykając za sobą drzwi.
Dla dziewczyny czas się zatrzymał. Drżała.
Berenguer przyglądał jej się z ciekawością.
— Jest ci zimno? Zaczął
krążyć wokół niej.
— Podejść do kominka. Zaraz miną ci dreszcze.
Niemał nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Zahira zbliżyła
się do ognia.
Berenguer pożerał wzrokiem to wspaniałe młode ciało na tle
blasku bijącego z rozżarzonych węgli.
— Wkrótce będzie ci gorąco — rzekł, śmiejąc się przez zęby. —
Jak cię zwą?
Odpowiedziała cicho:
— Mam na imię Zahira, panie.
— A więc, Zahiro, za chwilę poczujesz, że masz na sobie nadmiar
odzienia — odparł figlarnie Berenguer. Usiadł na wielkim fotelu i
klepnąwszy dłonią poduszkę, polecił: — Podejść tu, usiądź przy
mnie. — A widząc, że dziewczyna trwa w bezruchu, rozkazał: —
Powiedziałem, żebyś podeszła!
Zahira, przerażona, usłuchała.
— Jeżeli będziesz dla mnie dobra, nie musisz się niczego obawiać.
Mówiąc to, wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń.
— Jesteś bardzo ładna. Jeżeli mnie zadowolisz, będę cię częściej
odwiedzał, a może nawet zarezerwuję twe wdzięki tylko dla siebie.
Nie chciałabyś tego?
Dziewczyna ośmieliła się powiedzieć półgłosem:
— Panie, pozwólcie mi odejść.
Berenguer spojrział na nią zdziwiony.
— Czy wiesz, z kim rozmawiasz? Nie pochlebia ci, że spośród
tylu pięknych kobiet wybrałem ciebie? Na honor, jesteś dziwną
istotą! Każda dziewczyna czułaby się zaszczycona, a ty chcesz odejść.

Zahira milczała, podczas gdy on nie odrywał od niej wzroku.

— Podejdz tu, moja śliczna, zaraz zrobię z ciebie kobietę.

— Zostawcie mnie! — Odepchnęła gwałtownie jego rękę.

— Więc to tak! Chciałem traktować cię jak młodą damę, ale każdy jest tym, czym jest... a ty jesteś śmieciem!

Popędliwy kawaler poderwał się na nogi. Odpiąwszy dworski kordelas, który miał u pasa, i położywszy go na taborecie, zdjął z szyi złoty łańcuch, a potem kaftan i koszulę.

Rozkaz zabrzmiał ostro jak trzask bata.

— Rozbierz się! — Szarpnął ją gwałtownie za ramię. — Słyszałaś?!

Zahira, nie wiedząc, co robić, skrzyżowała ręce na piersiach.

Berenguer, rozwścieczony i szybki jak wąż, rozerwał jej delikatny gorset i brutalnie pchnął ją na kanapę, ściągając z niej przezroczyste szarawary. Potem zdjął nogawice i rzucił się na dziewczynę, która broniła się, jak mogła. Nie panując nad sobą, ścisnął ją mocno prawą dłonią za szyję, podczas gdy lewą usiłował rozsunać jej uda. Wreszcie mu się to udało i po kilku niezręcznych ruchach gwałtownie w nią wszedł. Akt dokonał się w ciągu kilku krótkich chwil. Ze zmienioną twarzą Berenguer powoli się od niej odsunął.

— Do wszystkich diabłów! Oszukano mnie! Nie byłaś dziewicą! Już ja cię nauczę, szmato. — I splunął z pogardą na nagie ciało Zahiry. — Nadstaw zad! Jak suka, którą jesteś.'

Zahirze było już teraz wszystko jedno. Wspomnienie Ahmeda dodało jej sił. Obok niej na jednym z taboretów leżał sztylet, który kilka chwil wcześniej odpaszał Berenguer. Szybkim gestem wyrwała broń z pochwy i zrywając się na nogi, zraniła go w przedramię. Chciała powtórzyć cios, ale Berenguer wykręcił jej dłoń i kordelas upadł na podłogę.

— Chciałaś mnie zabić, czarownico!

W przyływie wściekłości Berenguer podniósł sztylet i instynktownie, wyuczonym pchnięciem, wbił ostrze w serce dziewczyny. Okrutny uśmiech pojawił się na ustach młodzieńca; ta scena zdawała się go bawić. Potem, podczas gdy ona konała w drgawkach na podłodze, a między jej piersiami wykwiłała czerwona plama, przywdział nogawice i starając się ominąć kałużę krwi, podszedł do kąta i pociągnął za atlasowy sznur.



Gdy tylko Maimón objął wzrokiem scenę, wybiegł jak opętany, żeby zdać swojemu panu relację z dramatu, który rozegrał się w saloniku numer sześć.

Zapukawszy nerwowo do drzwi, wszedł, niemal nie czekając na pozwolenie.

— Panie, panie! Coś strasznego wydarzyło się na piętrze!

Mainar i jego dostojny gość jednocześnie poderwali się na nogi.

— Mów, głupcze! Powiedz, co się stało!

— Krew, panie, dużo krwi!

Odsunawszy gwałtownie eunucha, Mainar i Pedro Ramón rzucili się ku schodom i wspięli po nich, przeskakując po dwa stopnie. Drzwi saloniku były otwarte; gdy tylko tam weszli, obaj zdali sobie sprawę z tragedii, jaka się właśnie rozegrała.

— Co tu się wydarzyło, Berenguerze? — zapytał Pedro Ramón przyrodniego brata.

Młodzieniec, poprawiając nogawice i przypasując kordelas, odpowiedział tonem, który zdradzał hamowaną wściekłość:

— A wydarzyło się, mój bracie, wydarzyło. Nie dość, że zostałem oszukany, to jeszcze omal nie postradałem życia.

Wydawało się, że to żalosne zdarzenie jest dlań czymś najzwyklejszym w świecie.

Mainar, który wszedł za dziedzicem, ośmielił się przemówić:

— Dlaczego tak mówicie, panie?

Berenguer, wskazując na ciało, wyjaśnił:

— Nie była dziewicą, usiłowałaś mnie oszukać! Poza tym chciała mnie zabić. — Odsunął rękaw kaftana i pokazał skaleczenie na przedramieniu.

Mainar, zakłopotany tą sytuacją, usiłował się bronić.

— Uważałem ją za dziewicę. Jeżeli was oszukała, to oszukała również mnie. Jak rozumiecie, nie mogę postawić strażnika, żeby dzień i noc pilnował niewolników. W domu są różne zakątki i te szelmy zawsze znajdą chwilę, żeby się ze sobą ukradkiem parzyć jak zwierzęta. Chyba mi wierzycie, że gdybym o tym wiedział, nie zaferowałbym jej jako dziewicy.

— Ale ją zabiliście, co wydaje mi się przejawem niezmierniej głupoty — wtrącił Pedro Ramón.

— A co miałem robić? Samemu dać się zabić?

— Zepsuliście sobie wieczór, a przy okazji i nam. — I zwracając

się do Mainara, dziedzic nakazał: — Załatw tę sprawę, a jeżeli mogę coś zrobić, to powiedz.

— Nie martwcie się, mój panie, już ja się tym zajmę. Natychmiast dam znać nosicielom lektyki, którzy was zabiorą, a sam podejmę kroki, żeby pozbyć się tego — powiedział jednooki, wskazując ciało dziewczyny.

Widząc, że eunuch stoi osłupiały w progu, rozkazał:

— Niech Paciá włoży do worka ciało tej biedaczki, zawiezie je nad Cagalell i wyrzuci z codziennymi śmieciami. I święty spokój.

— Nie zapomnę, Mainarze, o tej przysłudze — obiecał Pedro Ramón.

— I nie zapomnijcie, panie, o tym, o czym rozmawialiśmy.

— Możesz być tego pewien.

Potem obaj przyrodni bracia opuścili salonik i skierowali się ku wyjściu, żeby odebrać swoje peleryny i kapelusze.

Kiedy już schodzili ze schodów, Berenguer, jakby nic się nie wydarzyło, zauważył:

— Jaka piękna noc!

30

Ogród Lai

Noc była czarna jak skrzydło kruka. Gęste, złowróżbne chmury zakrywały księżyc w nowiu przypominający plasterek melona. Jakiś mężczyzna z zasłoniętą twarzą szedł, kryjąc się w cieniu grubego muru, z Vilanova dels Arcs do bramy Bisbe, otwartej zawsze do późnych godzin nocnych. Strażnik, który jej pilnował, zatrzymał go, lecz osobnik wymienił z nim kilka słów, sięgnął do sakiewki i już po chwili mógł iść dalej. Poszedł wzdłuż wewnętrznej strony wielkiego muru, minął plac De Palau, aż ulicą Guitard dotarł do Ogrodu Lai.

Zbliżając się do łuku nad wejściem, rozejrzał się ostrożnie na boki, żeby sprawdzić, czy nie ma w pobliżu strażników robiących obchód: w zasięgu wzroku nie było nikogo i panował spokój. Mężczyzna wszedł między klomby, potem na ścieżkę biegnącą obok glicynii, minął staw z nenufarami i skierował się ku wieży.

Postawiwszy worek na ziemi, nachylił się i wyjął z niego latarnię, hubkę z krzesiwem i skałką, liny z węzłami rozmieszczonymi w jednakowych odległościach od siebie, kilka klinów, drewniany młot i trzy węgielnice oznakowane różnymi nacięciami. W końcu dobył z torby pergamin. Szósty zmysł, wyćwiczony w tysiącach niesprzyjających okoliczności, kazał mu się odwrócić: tak, z daleka zbliżało się ku niemu światło; ktoś, kogo mógł obserwować, sam nie będąc widziany, szedł drogą. Tajemniczy człowiek ukrył w krzakach wszystkie przyniesione przedmioty i schował się po niewidocz-

nej stronie wieży. Wyciągając z głębokiej kieszeni powróż upleciony ze zwierzęcych jelit i chwytając mocno jego oba końce, pomyślał, jak ulotne jest ludzkie życie. Wyczulony słuch dał mu znać, że nadchodzący mężczyzna, wnosząc ze sposobu, w jaki ciągnął stopy po piasku, i z powolności jego kroków, musi mieć już swoje najlepsze lata za sobą. Poprzedzało go światło latarni. Kiedy mijał wieżę, człowiek skryty w cieniu skoczył za nim i szybkim, mechanicznym ruchem, będącym owocem jego profesji i doświadczenia, zarzucił mu na gardło linkę i ciągnąc silnie za oba końce, zaczął go dusić, jednocześnie popychając do tyłu. Zaatakowany wierzgał, walcząc o życie, roztańczona latarnia upadła na ziemię i po krótkiej chwili wszystko znów wyglądało tak jak przedtem.

Bernabé Mainar wziął się do rzeczy metodycznie; rozejrzał się, czy nie ma kogoś w pobliżu, ustawił prosto latarnię i schowawszy krzesiwo i hubkę, które nie były mu już potrzebne, zaczął urzeczywistniać swój zamiar. W świetle latarni przyjrzał się pergaminowi: instrukcje były jasne, a niewielki plan, pomimo upływu czasu, pozostał wyraźny. Podszedł do wieży, wyjął hak i młotek, po czym wbił żelazne ostrze w dolny fragment ściany, dokładnie w miejscu, gdzie na kamieniu widoczny był wykuty przed wielu laty znak krzyża. Potem wziął węgielnice, położył ją na ziemi i przywiązawszy dłuższy sznurek do haka, przeprowadził go przez jej wycięcie, uważając, żeby dokładnie wytyczyć kąt. Wtedy wstał i zabrawszy ze sobą drugi sznurek, skierował się ku narożnikowi utworzonemu przez fasadę i prawy bok okopconej kapliczki; wbił następny hak i równolegle do niego ustawił podstawę drugiej węgielnicy. Potem poprowadził sznurek tak, by przechodził dokładnie przez jej wycięcie, i w końcu, biorąc za punkt odniesienia kąt utworzony przez obie węgielnice, wbił trzeci hak. Posługując się trzecim sznurkiem i trzecią węgielnicą, powtórzył czynności. I tak odnalazł miejsce, w którym schodziły się na murze wszystkie trzy sznurki.

— To tutaj — powiedział do siebie.

Postawił latarnię na ziemi i oświetlił nią wskazaną przez hak połąć muru. Policzył tworzące ją kamienie i przybliżył światło do trzeciego z nich. Przyglądając mu się uważnie, doszedł do wniosku, że tylko na pozór jest on wpleciony w mur. Wtedy, postawiwszy znowu latarnię na ziemi, za pomocą dłuta, w które uderzał drewnianym młotem, zaczął wydłubywać zaprawę wokół kamienia.

Chmury się rozstały i mleczne światło księżyca oświetliło jego spoconą twarz. Dzwony kościoła Santa Maria de les Arenes wzywały na tercję.

Po krótkiej chwili kamień był obluźowany, więc Mainar rozejrzał się ostrożnie wokół i postępując się miotełką, oczyścił z gruzu powstałe szczeliny.

Powoli, używając narzędzi jako dźwigni, zaczął stopniowo wyciągać kamień. Kiedy już dwie trzecie wystawały z muru, uchwycił go potężnymi dłońmi, szarpnął i opuścił na trawę. Wziął latarnię i zajrzał do otworu. Krew pulsowała mu w skroniach. W głębi rozpadliny dostrzegł szkatułkę, wydobył ją, postawił na ziemi i wyjąwszy z kieszeni klucz, bezskutecznie usiłował włożyć go do zamka. Do wnętrza dostała się ziemia i uszkodziła mechanizm.

Nie zastanawiał się długo: wziął dłuto i młotek, rozbił zamek i uniósł pociętą pokrywę. We wnętrzu były trzy woreczki: rozwiązał rzemień pętający gardziel pierwszego i widok, jaki roztoczył się przed jego jedynym okiem, miał mu towarzyszyć do ostatniej godziny.

Stos złotych monet rozbłysnął w mroku nocy.

Bernabé Mainar nie tracił ani chwili. Z wysiłkiem ponownie umieścił kamień w zagłębieniu i zaczął wypełniać szczeliny ziemią. Potem włożył szkatułkę do worka, który przeniósł bliżej wieży. Wzrok przyzwyczał się już do ciemności, a w górze nadal świecił księżyc. Jednooki zgasił latarnię i położył wszystko na ziemi, przygotowując się do wykonania ostatniej czynności. Nie zadał sobie trudu, żeby spojrzeć na zabitego... Jego śmierć stanie się jeszcze jedną tajemnicą miejskich nocy.

31

Pogrzeb

O zmierzchu Ahmed znowu czekał na wyjazd wozu ze śmieciami, stojąc za pnem drzewa, które zawsze służyło mu za kryjówkę. Oczekiwanie stawało się nie do zniesienia. Myśłami wędrował wśród wspomnień: od pierwszego razu, gdy ujrzał Zahirę, do owego wieczoru, kiedy mu się oddała. Wzrok miał utkwiony w wielkiej bramie, kiedy kątem oka dostrzegł, że otwiera się boczna furtka. Pojawiła się w niej znajoma postać: Paciá rozglądał się w obie strony. Robiąc krok do przodu, Ahmed wyszedł z ukrycia i włożywszy dwa palce w usta, krótko zagwizdał. Paciá natychmiast go zauważył i skierował się ku niemu, schowany w cieniu, jaki rzucał mur. Spotkali się w miejscu leżącym poza zasięgiem wzroku strażnika.

— Jakie masz dla mnie wiadomości?

W oczach parobka pojawił się cień współczucia.

— Obawiam się, że dzisiaj nie przynoszę dobrych nowin.

— Czy będę mógł się z nią jeszcze raz zobaczyć? — zaczął błagać Ahmed. — Zapłacę ci, ile tylko zechcesz.

Tamten z żalem pokręcił głową.

— Nie o to chodzi, zresztą i tak narażam się na ogromne niebezpieczeństwo.

Ahmed, pamiętając o potrzebie zachowania ostrożności, starał się nie podnosić głosu.

— Mówiłem ci już, że zapłacę każdą cenę!

Po krótkiej przerwie Pacią odrzekł:

— Ty będziesz mógł ją zobaczyć, ale ona ciebie nie.

— Nawet przez okno? — zapytywał Ahmed z nadzieją w głosie.

Pacią wydał głębokie westchnienie.

— Przykro mi. Zahira opuściła świat żywych.

Ahmed wbił w niego wzrok, nie rozumiejąc.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wydarzyło się nieszczęście... ubiegłej nocy... kiedy wszedłem, było już po wszystkim.

Chłopak pochwyił parobka za wyłogi wytartego kubraka i potrząsając nim, wydusił:

— Co się stało?

Silne dłonie ścisnęły mu nadgarstki i Pacią powiedział cicho, ale dobitnie:

— Nie wyładowuj na mnie gniewu. Wystarczająco się narażam, przekazując ci tę wiadomość. Powtarzam — zakończył poważnym tonem — kiedy wszedłem, było już po wszystkim.

Ahmed się opanował.

— Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło.

— Wczoraj wieczorem wezwano mnie do jednego z saloników na piętrze: był tam mój pan Bernabé Mainar, eunuch Maimón i Ranią, ochmistrzyni; na podłodze pośrodku pokoju leżała w kałuży krwi twoja Zahira.

Ahmed gwałtownie pobladł i musiał oprzeć się o mur. Pacią, widząc, co się z nim dzieje, chwycił go za ramię.

— Na litość boską, przestań! Wiele trudu mnie kosztowało przekazanie ci tej wiadomości, nie komplikuj spraw...

Chłopak usiłował się opanować.

Jego głos ścichł do szeptu.

— Proszę cię, powiedz, co dokładnie się wydarzyło.

— Po co masz jeszcze bardziej cierpieć? Ona nie żyje...

— Cokolwiek się stało, mów. Muszę to wiedzieć.

Pacią znów westchnął głęboko.

— Niewiele mogę powiedzieć. Jak mówiłem, wezwano mnie i natychmiast przyszedłem. Już ci powiedziałem, co ujrzały moje oczy... reszta to domysły krążące po domu. Zahira obsługiwała dwóm ważnym panom z pałacu i jeden z nich chciał, żeby z nim została. Jak zwykle przygotowano ją i wystrojono na tę okazję. Ani chybi

się broniła i może zdołała go zranić: to oznaczało dla niej wyrok śmierci. Zakończył jej życie pchnięciem kordelasa.

Ahmed milczał jak sparaliżowany.

Pacią poklepał go w policzek, przywracając do rzeczywistości.

— Kim byli ci dostojnicy? — wyjąkał chłopak urywanym głosem.

— Nie wiadomo na pewno... Ludzie szepczą, ale wszystko to tylko pogłoski i przypuszczenia, nikt dokładnie nie wie. Rozkazy są bardzo ściśle i temu, kto coś powie, grozi straszliwa kara. Sługę, który pierwszy wszedł do tego pokoju, przeniesiono w inne miejsce. Nakazano mi pozbyć się ciała, ale ponieważ cię znam, wydało mi się to świętokradztwem.

Ahmed włożył dłoń do sakiewki i wyjął z niej woreczek monet.

Pacią powstrzymał go ruchem dłoni.

— Nie, tym razem nie wezmę od ciebie pieniędzy. To, co się stało, jest takim bezprawiem, że chcę odkupić całe zło, jakie wyrządziłem w życiu.

Ahmed schował pieniądze.

— Dobrze. Co z nią zrobiłeś?

— Chodź ze mną.

Parobek zaczął iść, przyciskając się do muru. Ahmed, niemal bezwiednie, poszedł za nim. Furtka w murze pozostała otwarta. Pacią, upewniwszy się, że chłopak nadal mu towarzyszy, wszedł między wysokie łodygi roślin po wewnętrznej stronie muru; w ten sposób pod osłoną mroku dotarli do szopy w ogrodzie.

Głos parobka zabrzmiał cicho.

— Jesteś gotowy?

Ahmed lekko skinął głową.

Weszli obaj do szopy. Pacią poszedł w głąb i pochyliwszy się, zaczął usuwać snopy słomy. Po chwili ukazało się ciało Zahiry okryte białym całunem. We wpadającym przez okienko bladym świetle księżycy Ahmed przyjrzał się jeszcze bledszej twarzy swojej ukochanej.

Nie mógł się opanować i klękawszy, wziął ją na ręce. Z twarzą zbliżoną do jej twarzy zaczął gwałtownie szlochać.

Pacią odszedł w stronę drzwi; chciał uszanować jego ból.

Po dłuższej chwili, kiedy uznał, że Ahmed wydaje się już spokojniejszy, powiedział:

— Pozwól, że dokończę swój dobry uczynek. Jeżeli mi powiesz,

gdzie będziesz czekał, to kiedy dzwony wezwą do modlitwy za dusze czyścicowe, wywozę ją wozem razem z odpadkami. Robię to codziennie, więc nikt mi w tym nie przeszkodzi i będę mógł ci przekazać worek z jej ciałem. Potem sam zdecydujesz, co z nim zrobić.



Księżyc przebył już znaczny odcinek swojej drogi po niebie. Ahmed w towarzystwie Manela czekał w jednym z wozów jego ojca na szlaku prowadzącym do bramy Call, w pobliżu miejsca, skąd odchodziła od niego droga na La Boquería. Zwierzył się przyjacielowi z tragedii, którą przeżywał. Manel, wobec powagi wydarzeń, zaprzął najlepsze konie do czwórkołowego wozu z platformą i wysokim koźłem, zdecydowany zrobić wszystko co konieczne, żeby ulżyć Ahmedowi w cierpieniu. Po długim oczekiwaniu dostrzegli kołyszące się światelko, które zbliżało się drogą z Vilanova deis Arcs. Wkrótce oba wozy znalazły się na tej samej wysokości. Przyjaciele zeskoczyli na ziemię i Pacią zrobił to samo.

— Pośpieszmy się, bo chociaż jest mało prawdopodobne, żeby poza murami pojawił się jakiś oddział straży, to jednak gdybyśmy się ociągali, mogłoby do tego dojść i następstwa byłyby dla mnie fatalne.

Mówiąc to, w pośpiechu zdejmował worki umieszczone na końcu wozu.

Wskazując podłużne zawiniątko, powiedział:

— Jest tutaj.

Kiedy Manel zamierzał schwycić ciało za nogi, Ahmed go powstrzymał.

— Pozwól, że ja to zrobię.

I biorąc na ręce szttywne ciało Zahirya, przeniósł je z jednego wozu na drugi i ułożył ostrożnie na platformie. Potem, zwracając się do woźnicy, objął go ramionami. Ten, zaskoczony, odwzajemnił uścisk. Manel był niemym świadkiem tej sceny. Po chwili obaj się rozdzielili.

— Możesz zawsze na mnie liczyć. Nigdy nie zapomnę tego, co dziś dla mnie zrobiłeś — rzekł Ahmed.

Pacia poczuł, że w oku kręci mu się łaza. Wyraz jego twarzy złagodniał.

— Choć mam nadzieję, że nie będę ci już pomagał w tak trudnych okolicznościach, masz tam w środku przyjaciela.

I wdrapawszy się na kozioł swojego wozu, cmoknięciem zachęcił konie do drogi i odjechał.

Ahmed i Manel patrzyli, jak rozplywa się w mroku. Potem też odjechali drogą do Montjuïc ku winnicom Magòrii, gdzie Marti Barbany miał liczne ziemie i niemal opuszczony młyn. Dotarli tam, kiedy dzwony kościoła Santa Maria dei Pi zaczęły wzywać na kompletę.

Ahmed ułożył sobie w głowie plan, z którego zwierzył się przyjacielowi. Kiedy dojechali do młyna, zatrzymali konie i przywiązawszy je do słupka, skierowali się w stronę baraku, gdzie przechowywano narzędzia używane w gospodarstwie. Ahmed zapalił lampę oliwną, którą miał w torbie, wziął łopatę, kilof i graczę i podając je Manelowi, poprosił, żeby ten zaczekał na zewnątrz. Potem, gdy przyjaciel już go usłuchał, podszedł do wozu, wziął na ręce ciało Zahiry, wrócił z nim do młyna i złożył je na ladzie wykorzystywanej do przesiewania mąki. Od razu zaczął, według swojego najlepszego rozeznania, przygotowywać ciało ukochanej do ceremonii pogrzebowej. W dolnej części budynku znajdowała się umywalnia, do której doprowadzony był kanalik. Ahmed, ogarnięty wzruszeniem, usunął surowy worek spowijający Zahirę i pocałował ją w czoło, zaczął rozbierać, odsłaniając straszliwą ranę przesywającą pierś. Zdjął torbę, którą miał zawieszoną na ramieniu, i wyjął z niej lnianą przędzę, dzbanek z wonną oliwą i białe prześcieradło; wszystko to zabrał z domu, zanim poszedł po Manela. Bez kobiet, które mogłyby mu pomóc, ani nie mając możliwości wezwania imama, przeszyty bólem i zalany łzami przystąpił do wypełniania rytuałów. Najpierw nasączył kawałek płótna oliwą i namaścił nią ciało zmarłej, potem zatkał szarpkami jej uszy i nozdrza i wreszcie owinął zwłoki białym całunem. Potem nachylił się nad nimi i kierując się w stronę Mekki, wyrecytował cztery modlitwy pogrzebowe, jakie pamiętał.

Po wykonaniu tych czynności wyrżał na zewnątrz i zawołał Manela. Ten siedział na ławce, z narzędziami u stóp, czekając na polecenia. Usłyszawszy głos przyjaciela, podszedł do niego.

— Manelu, pomóż mi, proszę.

Obaj weszli do baraku.

— Pomóż mi ją tu położyć. — Wskazał grubą deskę służącą do wyrabiania ciasta.

Manel podniósł zawinięte w całun ciało za nogi, podczas gdy Ahmed podtrzymał ramiona. Kiedy Zahira leżała już na desce jak

na noszach, obaj skierowali się do łatwo rozpoznawalnego miejsca, gdzie zaczynał się załamany pod kątem murek, który kierując w bok wodę z kanaliku, zmuszał ją do poruszania łopat młyńca, te zaś z kolei wprawiały w ruch młyńskie kamienie. Kiedy tam dotarli, położyli zwłoki na ziemi i Manel wrócił po narzędzia.

— Musimy wykopać dół i pogrzebać ciało Zahiry ułożone w kierunku Mekki.

Przystąpili do tego skapani w świetle księżyca, który zaczynał już zachodzić.

Była to uciążliwa praca. Usypana z boku sterta świadczyła o głębokości dołu. Po złożeniu w nim ciała zaczęli go ponownie wypełniać ziemią. Kiedy skończyli, Manel spojrzął na przyjaciela: zaniepokoiła go spocona twarz, wymizerowana i ubrudzona ziemią.

— Czy dobrze się czujesz, Ahmedzie?

— Nie poczuje się dobrze, dopóki ten, kto to zrobił, nie zapłaci za to tą samą monetą.

Oczy Ahmeda były studniami nienawiści, rozpacz i zemsty.

Manel się przeraził.

Choroba miłosa

Mijały miesiące w domu rodziny Barbany i Marta nadal martwiła się o Ahmeda. Widać było, że zmienił mu się charakter, i zarówno ona, jak i Amina usiłowały dociec, co się z nim dzieje.

— Mówię ci, Amino — powtarzała stale Marta przez ostatnie kilka miesięcy — że od pewnego czasu stał się kimś zupełnie innym. Błąka się jak cień, wciąż milczy i nigdy się nie uśmiecha. Nie dość, że nie opowiada nam historyjek, to jeszcze nas unika. Nie zauważyłaś?

— Nie widzicie go przy domowych zajęciach... nawet nie chcę mówić, co się dzieje, kiedy zbieramy się przy obiedzie czy wieczery. Kiedy siedzimy przy stole z rodzicami, nie podnosi głowy nad talerza. Czasami nawet z nami nie siada, a jeżeli już, to po skończonym posiłku gdzieś się chowa.

— Jak myślisz, co mu jest? — spytała Marta.

— To nie jest miłosa dolegliwość. Gdyby tak było, snułby się po domu jak otumaniony, tak jak czynił to wcześniej, miałby na ustach głupkowaty uśmiech, a nie ten zgorzkniały jak teraz, no i byłby dla wszystkich miły.

— Musimy z nim pomówić... A może ty już próbowałaś?

— Do mnie nawet się nie odzywa. Musicie postarać się spotkać go na osobności i z nim porozmawiać.

— Zostaw to mnie, zrobię to najpóźniej jutro.

Dziewczęta pozostały przez chwilę w milczeniu, zamyślane.

— Może coś zagrasz, Amino? — poprosiła Marta, wskazując leżące na stole psalterium.

Dziewczyna skinęła głową, podeszła do instrumentu, wzięła go w ręce i usiadłszy na niewielkim taborecie, popieściła napięte struny opuszkami palców, wydobywając z nich piękną dawną melodię ze swojej dalekiej ziemi.



Marta usiłowała na wszystkie sposoby spotkać się na osobności z Ahmedem, ale ten zdawał się wyczuwać, że dziewczynka go szuka, i zawsze udawało mu się wymknąć.

— Nie mogę teraz rozmawiać, mam coś do zrobienia i nie powinienem tracić czasu na wasze dziecięce zabawy — brzmiała zwykle jego odpowiedź.

— Powiedz mi tylko jedno, Ahmedzie. Czy cię czymś uraziłam?

— Nie o to chodzi... To są moje sprawy, sprawy dorosłych; pewnego dnia to zrozumiecie.

— Uważasz mnie za dziecko, Ahmedzie — zaprotestowała Marta — a ja mam już jedenaście lat.

Ale Ahmed, nie dodając ani słowa, odwrócił się na pięcie i zostawił ją zawiedzioną na ogrodowej ławce.



— Wejść!

Marti Barbany dziwnie niechętnym tonem odpowiedział osobie, która pukała do drzwi jego gabinetu.

Popychając rzeźbione podwoje, Marta wsunęła głowę do środka.

— To ja, ojczu. Czy mogę?

Marti zwinął pergamin, nad którym pracował, i schował go do jednej z szuflad swojego stołu. Jednocześnie szybko zmienił oschły wyraz twarzy na uśmiech.

— Ty zawsze możesz, córeczko; toja nie zawsze mogę. Chociaż wbrew własnej woli rzadko cię widuję. Skoro już o tym mówimy... pora, bym odsunął się od interesów i spędzał z tobą więcej czasu.

— Znam już tę śpiewkę, ojczu, „w przyszłym roku”, i gdyby nie to, że podczas waszej nieobecności zastępuje was ojciec chrzestny, który, nawiasem mówiąc, pozwala mi na wiele więcej niż wy, jeszcze bardziej bym za wami tęskniła. Ale będę zadowolona, jeśli

każdego dnia będę mogła was widzieć przez chwilę, kiedy już wróćcie do domu, a wy zgodzicie się wysłuchać moich trosk.

— Na to zawsze znajdę czas — zapewnił ją Marti. — Zwłaszcza teraz, kiedy twoje sprawy nie są już sprawami dziecka. Co się stało? Czy jest coś, co cię niepokoi, a o czym powinienem wiedzieć?

— To nie mnie coś niepokoi, ojcze, ale kogoś, kogo bardzo kocham, kto wam wiernie służył i kto, jeżeli przecucie mnie nie myli, bardzo w tej chwili cierpi. — Marta spojrzała na ojca, który ledwie zdołał wytrzymać jej wzrok. Na Boga! Była taka podobna do Ruth...

— A kto to taki?

— Coś się dzieje z Ahmedem, ojcze. Nie wiem co.

Marti charakterystycznym dla siebie gestem lekko pogładził podbródek.

— A dlaczego cię to niepokoi?

Jako ojciec zawsze rozumiał i aprobował głębokie uczucie, jakim córka darzyła Ahmeda, ale teraz zdawał sobie doskonale sprawę, że Marta zaczyna się stawać małą kobietą.

— Niepokoi mnie, ojcze, bo on jest moim przyjacielem i bratem mojej najlepszej przyjaciółki, bo znam go dobrze i wiem, że to nie jest jakiś kaprys, ale coś, co zasmuca jego umysł i tłamsi jego duszę.

Marti po chwili milczenia, uspokoiwszy się nieco, pocieszył córkę.

— Nie martw się, Marto, poczekaj, aż nadejdzie sobota, wtedy zajmę się tą sprawą. Aha, twój ojciec chrzestny przysłał mi wiadomość, że właśnie w sobotę przyjdzie na obiad. Zjesz z nami w wielkiej jadalni i zajmiesz przy stole miejsce swojej matki.

— Jak rozkażesz, ojcze. Będzie mi bardzo miło.



Ahmed był załamany. Błąkał się po domu jak pokutująca dusza i godziny wlokły się dla niego niczym wieczność. Wiele go kosztowało dotrwanie do końca dnia, kiedy wreszcie mógł wyciągnąć się na pryczy i poświęcić myśli nieżyjącej ukochanej. Nie mogąc zasnąć, przewracał się nieustannie z boku na bok, poświęcając się tym rozmyśleniom bez reszty, miał bowiem świadomość, że prędzej czy później ta chwila musi nadejść. Było nieuniknione, że wszyscy, którzy mieszkają pod tym dachem, zainteresują się jego stanem. Z wesołego, wylewnego chłopaka stał się milczącym odludkiem. Ta zmiana była wyraźnie widoczna i wszyscy mogli się zorientować,

że nie chodzi tu o jakiś zły dzień, ale że ta zmiana usposobienia jest stała. Jego rodzice Ornar i Naima, siostra Amina, a nawet Marta, której już niebawem nie będzie mógł traktować jak dziecko, gdyż stanie się panią domu, majordom Andreu Codina, ochmistrzyni Caterina i kucharka Mariona — wszyscy przy takiej czy innej okazji pytali go, co się z nim dzieje. Aż do tego dnia unikał odpowiedzi, jednym tonem pełnym szacunku oznajmiając, że to Jego własne sprawy", innym bardziej opryskliwie mówiąc, żeby zostawili go w spokoju i zajęli się swoją pracą, której im nie brakuje. Chwilowo udawało mu się wybrnąć z tej sytuacji, ale nie wiedział, jak rozwiązać to, co nieubłaganie się zbliżało. Nie wątpił, że do pana doszły już wieści dotyczące jego dziwnego zachowania i że ten wcześniej czy później wezwie go przed swoje oblicze. I tego dotyczyły jego rozterki. Jeżeli powie mu prawdę o tamym strasliwym wydarzeniu, pojawią się dwie możliwości: pierwsza, bardziej prawdopodobna z uwagi na charakter jego pana — że uda się on do pałacu na rozmowę z hrabiną, aby się dowiedzieć, kto ponosi winę, i domagać się sprawiedliwości; druga sprowadzała się do tego, że uznawszy jej wymierzenie za niemożliwe, postanowi nic nie robić.

Ahmed się zastanawiał. Wiedział, że jeśli don Barbany wybierze pierwszą możliwość, nie tylko niczego nie uzyska, ale ściągnie na siebie niechęć hrabiny Almodis z Marchii, która zawsze osłaniała swoich. Jeżeli natomiast nie zrobi nic, gdyż uzna sprawę za z góry przegraną, to wtedy on, Ahmed, na zawsze utraci nadzieję, a jego noce będą upływać pod znakiem bezsenności i wyrzutów sumienia. Obie te możliwości wydały mu się nie do przyjęcia.



I nadeszła sobota. W kuchniach panował wielki ruch; Mariona była w swoim żywiole, wydając wszystkim polecenia, gdyż jak zawsze, kiedy przychodził na obiad Eudald Llobet, który cenił dobre jedzenie, chciała się popisać swoimi umiejętnościami: to, że duchowny schodzi do kuchni, żeby jej pogratulować, stanowiło dla niej powód do chwały. W czasie gdy majordom Andreu Codina wysyłał swoich dwóch pomocników do piwnicy, nakazując im przynieść wina z najlepszych roczników, Mariona w chmurach pierza fruwiącego w powietrzu, gdyż Gualda i trzy młode służące skubały drób, wydawała głośno tysiące poleceń.

Ahmed prznosił wielki miedziany kocioł, kiedy ojciec zawołał go od drzwi.

— Synu, ogarnij się trochę i idź do gabinetu; pan czeka na ciebie.

Chłopak pomyślał, że nadeszła chwila. Postawił na posadzce kocioł, otrzepał ręce i nie mówiąc słowa, skierował się do umywalni na tylnym dziedzińcu, żeby odświeżyć twarz i przygładzić włosy. Kiedy odbicie w wodzie wydało mu się schludne, przeszedł ponownie przez kuchnię i dotarł ku służbowym schodom prowadzącym na piętro, do gabinetu Martiego Barbany. Zapukał do drzwi i poczekał, aż głos, który znał tak dobrze, pozwoli mu wejść. Zawsze, odkąd był małym chłopcem, Ahmed miał wrażenie, że ten gabinet jest jak świątynia.

Głos pana zabrzmiał w jego uszach chyba uprzejmiej niż kiedykolwiek.

— Wejdz, Ahmedzie, nie stój pod drzwiami.

Chłopak usłuchał. Jego kroki odbijały się głębokim echem na wyłożonej płytami posadzce. Kiedy znalazł się dwa łokcie od stołu, przystanął.

To, co zrobił wtedy jego pan, zaskoczyło go jako coś niezwyklego. Nigdy wcześniej się to nie wydarzyło. Marti wstał z fotela przy stole i kierując się ku stojącym pod oknem ławom, kazał mu iść ze sobą.

— Podejdz, Ahmedzie... Już od dawna z tobą nie rozmawiałem. Przed laty zawsze miałem dość czasu, żeby poświęcić go domownikom, teraz ledwie mi go wystarcza na spotkanie z własną córką. Siadaj.

Chłopak usiadł ze ściśniętym gardłem i splótł palce tak mocno, że aż zbieleły mu kostki.

— Powiedz mi, Ahmedzie, co u ciebie słychać. Z wielu źródeł dochodzą mnie pogłoski, że bardzo się zmieniłeś. Może coś albo ktoś sprawia ci przykrość? Jeżeli tak jest, a ja mogę temu zaradzić, wystarczy, że mi o tym powiesz.

Ahmed, ze wzrokiem wbitym w podłogę, zachowywał pełne szacunku milczenie. Marti nalegał:

— Odpowiedz mi, Ahmedzie. Wszyscy przechodzimy w życiu trudne chwile, a wtedy dobrze jest się na kimś wesprzeć. Jesteś dla mnie jak syn, wiesz o tym, i nie możesz swoim milczeniem martwić

rodziców i tych, którzy cię kochają. Spójrz mi w oczy! Na wszystko w życiu jest lekarstwo.

Głos Ahmeda zabrzmiał cicho i ochryple.

— Na wszystko oprócz śmierci, panie, na nią nie ma lekarstwa i sami dobrze o tym wiecie.

— Choć wydaje się to niemożliwe, na nią też jest lekarstwo. Czas leczy rany, a życie toczy się dalej... — odrzekł Marti, zaskoczony wzmianką o śmierci w ustach młodzieńca. — My, którzy tu zostajemy, mamy obowiązek żyć dalej; początkowo sądzimy, że pęka nam dusza, ale potem się przyzwyczajamy... Nie możemy kazać płacić naszym najbliższym za nasze zmartwienia. Każdy musi stawić czoło swojemu losowi i to nie w porządku, jeśli jednych obciąża się troskami drugich. — Zamilkł na chwilę. — Ale powiedz mi, kto umarł.

Ahmed, który miał już przygotowaną odpowiedź, odezwał się napiętym i pełnym wahania głosem.

— Widzicie, panie, zakochałem się w pewnej dziewczynie i ze złej zimy... zabrała ją gorączka.

Nie ośmielał się podnieść wzroku. Czuł, że nie powinien dawać wielu wyjaśnień, bo pan w końcu wydobędzie z niego prawdę.

— A można wiedzieć, kim była ta dziewczyna?

— Była służącą w domu kupca na przedmieściu. Poznałem ją na Mercadal i postanowiliśmy się zaręczyć.

— I nie powiedziałeś o tym rodzicom?

— Chciałem im powiedzieć, kiedy sprawa stanie się bardziej formalna; ale do tego nie doszło. Kiedy sprzątała stajnię, skaleczyła się starym gwoździem, dostała gorączki i zabrała ją śmierć.

Ahmed pocił się, zmuszony kłamać, ale nie widział innego wyjścia i dobrze przygotował swoją historyjkę. Marti położył dłoń na dłoni chłopca.

— Wiem, co to znaczy. Bardzo mi przykro, Ahmedzie. Gdybym o tym wiedział, posłałbym jej najlepszego medyka.

— Dziękuję, panie. Wszystko stało się bardzo szybko i jej medyk już nie zdołał nic pomóc.

— Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Ahmed milczał.

— Cokolwiek zechcesz, Ahmedzie, coś, co może przynieść ci ulgę w cierpieniu. Ale, powtarzam, nie każ płacić za swój ból tym, którzy cię kochają.

Młodzieniec wahał się chwilę. Potem powiedział cicho:

— Panie, w zeszłym roku umarł młynarz. Młyn w Magorii pracuje tylko w dniach, kiedy przywożą zboże, a przez resztę czasu stoi bez dozoru. Kamienie są zniszczone, a rdza trawi okucia. Chciałbym tam zamieszkać i zająć się tą maszyną.

— Rozumiem twój ból, Ahmedzie. Kiedy opuściła nas pani, też chciałem zostać sam. Gdyby nie Marta... Powiem twojemu ojcu, żeby dwaj ludzie naprawili we młynie wszystkie uszkodzenia, a kiedy skończą, żeby dał ci klucz i wyznaczył wynagrodzenie.

— Panie, wołałbym sam to zrobić — rzekł Ahmed. — Naprawa zajmie sporo czasu, a ja im wcześniej będę mógł się tam udać, tym lepiej sam zajmę się swoim bólem.

— Niech więc tak będzie, jeśli tego chcesz. Od dziś pozwalam ci się tam przenieść. Ale nie karz rodziców swoją nieobecnością. Odwiedzaj nas od czasu do czasu.

— Stokrotne dzięki, panie, stokrotne dzięki!

Zanim Marti zdążył go powstrzymać, Ahmed klęknął u jego stóp i ucałował jego prawą dłoń. Martiego zaskoczył gest młodzieńca.

— Wstań, Ahmedzie, nie lubię być całowany po rękach. Powiedz ojcu, żeby do mnie przyszedł, a jutro rano możesz udać się do Magorii.

33

Zła nowina

Ahmed wyszedł z sercem przepelnionym wdzięcznością wobec tego człowieka, który stanowił dlań wzór szczodrości i rozważi. W głębi duszy dziękował mu za pozwolenie na zajęcie miejsca zmarłego młynarza w Magórii; w ten sposób będzie mógł nie tylko zawsze przebywać w pobliżu ukochanej, lecz także odsunąć się od świata, żeby uśmierzyć swój ból. Pochłonięty był bez reszty tymi myślami i kiedy zamierzał odszukać ojca, żeby mu przekazać polecenie pana, zauważył, że Omar właśnie wbiega po schodach.

— Ojcie, pan chce was widzieć.

Omar, mijając go w pędzie, odpowiedział:

— A ja chcę widzieć pana, Ahmedzie. Chłopak wyczuł, że wydarzyło się coś poważnego.

— Czy coś się stało, ojcie?

Omar, który bardzo się martwił długotrwałym milczeniem syna, chciał się zatrzymać, żeby z nim porozmawiać. Ale obowiązki były pilniejsze.

— Teraz nie mam czasu, ale tak, coś się wydarzyło.

Ahmed patrzył, jak ojciec idzie przez korytarz z kasetonowym sufitem, puka do drzwi pana, a jednocześnie, nie zważając na zasady, naciska skobel.

— Czy można, panie?

Marti, widząc, że drzwi otwierają się bez jego pozwolenia, domyślił się, że dzieje się coś niezwykłego.

— Skąd ten pośpiech, Omarze?

Wyzwoleniec zbliżył się do Martiego i zaczął szybko mówić.

— Panie, wybaczcie mi to najście, ale wynika ono z powagi sytuacji.

— Mów, Omarze, nie zwlekaj.

— „Laia” kapitana Jofre, która powinna już była dopłynąć do wyspy Rodos, dotąd się tam nie pojawiła i nikt nic o niej nie wie.

Marti zastanowił się przez chwilę.

— Kto ci o tym powiedział?

— Przysłała mnie kapitan Manipoulos. Jest teraz na nabrzeżu, zajęty rozładunkiem galery. Przyjdzie, gdy tylko skończy.

— Ile wynosi opóźnienie?

— Nie wiem tego, panie.

Nie był to pierwszy statek, jaki tracił, o ile tak się stało i w tym przypadku. Za sprawą morza coraz to nowe kobiety przywdziewały wdowie szaty i było to wliczone w koszty. W tym momencie martwiła go wiadomość, że kapitanem tego statku jest Jofre Armen-gol, obok Rafaela Munta i Basilisa Manipoulosa jeden z jego najbliższych przyjaciół.

— Kto powiadomił o tym Basilisa?

— Kapitan galery. A kapitan Manipoulos powiedział, że przyjdzie, gdy tylko będzie to możliwe, i że natychmiast podejmie działanie, by się dowiedzieć, co dokładnie się wydarzyło.

W tym momencie drzwi znowu się otworzyły i ukazała się w nich charakterystyczna postać. Grek był wzburzony. Marti, który znał go jak nikt inny, zorientował się, że sprawa rzeczywiście jest poważna. W przeciwnym razie Manipoulos tak by się nie zachowywał.

Stary marynarz, który nieraz dowiódł Martiemu swego oddania, usiadł bez słowa naprzeciw niego. Ten, przeczuwając, że zanosì się na długą rozmowę, odprawił Ornara.

— Omarze, zejdź do kuchni i wyślij posłańca do Pia Almoina...

Niech zawiadomi ojca Liobeta, że musimy odwołać nasz obiad i że odwiedzę go, kiedy tylko to będzie możliwe. Załatw to natychmiast, a teraz nas zostaw.

Kiedy Omar wyszedł, Marti zaczął wypytywać Basilisa.

— Co się stało? Opowiadajcie!

— Przybył z Marsylii kapitan Marimón, niemal zerwawszy grzbiety wioślarzom. Kiedy „Laia” opływała czubek italskiego buta,

zniknęła: miała zawinąć do Brindisi przed dziesięcioma dniami, żeby potem pożeglować na Rodos, i nic nie wiadomo o jej losie.

— Dowodził nią Jofre — stwierdził Marti, pragnąc, by mu zaprzeczono.

— Jak w jej wszystkich wcześniejszych rejsach.

— Czy przedsięwzięliście już jakieś działania?

— Wydałem rozkazy, żeby z Ostii wypłynął śladem „Lai” jakiś statek i odwiedził wszystkie porty, do których mogła zawinąć. Nie chcę myśleć o najgorszym; tak czy owak od Cieśniny Świętego Bonifacego do Mesyny panowała zła pogoda i nie da się wykluczyć opóźnienia.

— Jak myślicie, co się mogło przytrafić? — spytał Marti, a na jego twarzy malowała się prośba o całkowicie szczerą odpowiedź.

— „Laia” to dobry statek, a Jofre jest świetnym kapitanem. Nie sądzę, żeby winę ponosiło morze. — Kapitan zrobił pauzę, porządkując myśli. — Pamiętajmy jednak, że to łakomy kąsek, a na tamtych wybrzeżach grasują rozbójnicy. Pomimo twardej postawy normandzkiego księcia Roberta Guiscarda są oni we wszystkich zatokach i pieczarach Sycylii, Kalabrii i Neapolu.

Marti przytaknął w zamyśleniu.

— Jofre nie jest łatwym przeciwnikiem. W każdym razie wolę już to, niż żeby była to sprawka morza. Z piratami można się układać co do okupu, ale morze nie godzi się na układy. Informujcie mnie na bieżąco i jeżeli nadejdą jakieś wiadomości, dajcie mi znać natychmiast, bez względu na porę dnia czy nocy.

34

Eudald Llobet

Owego poniedziałku stary ksiądz był zaniepokojony; od soboty, kiedy to sługa z domu Martiego przybył z wiadomością, że obiad został odwołany, nie miał od przyjaciela żadnych wieści. Żeby zabić czymś czas, oddawał się pielęgnowaniu różanych flancy, które z czułością i oddaniem uprawiał w doniczkach stojących na parapecie okna jego alkowy. Tym się właśnie zajmował, kiedy braciszek zakonny powiadomił go, że ktoś czeka na niego przy wejściu. Llobet zostawił swoje narzędzia ogrodnicze i od razu się tam udał.

Kiedy szedł już korytarzem prowadzącym do sali dla gości, z daleka zauważył na twarzy Martiego szczególny grymas, który go ostrzegł, że dzieje się coś niezwykłego.

Duchowny zbliżył się do przyjaciela i jak zwykle serdecznie go pozdrowił.

— Witaj, Marti, jaka miła niespodzianka! Zamierzałem odwiedzić was po południu, mając nadzieję, że odwołanie sobotniego obiadu nie zostało spowodowane czymś ważnym.

— Więc przykro mi, że muszę was zawieść.

— O co chodzi?

— Pomyślałem, że być może zdołacie mi ulżyć w strapieniach.

— Powiedźcie, co was niepokoi, a jeśli będzie to leżało w moich możliwościach, być może uda mi się jakoś wam pomóc.

Wtedy Marti opowiedział przyjacielowi ze szczegółami o nieszczęśliwym zaginięciu „Lai”.

— Nie pozwólcie, by okoliczności was przytłoczyły — poradził duchowny. — Nasza Panienska opiekuje się wszystkimi ludźmi morza. Ale powiedzcie mi, w jaki sposób mogę wam jeszcze pomóc, nie tylko pamiętając o was w modlitwach.

— Eudaldzie, będę musiał się udać w długą podróż... Przewiduję, że za utratę statku odpowiedzialni są rozbójnicy, i jeżeli jest tak, jak podejrzewam, będę musiał negocjować z tym, kto go sobie przywłaszczył. A nie będą to rozmowy krótkie ani proste. — Zrobił pauzę. — Długo o tym myślałem. Chciałbym, żeby na czas mojej nieobecności Marta przeniosła się do pałacu i zamieszkała tam pod opieką hrabiny.

Ojciec Llobet zastanowił się przez chwilę.

— Czy jesteście pewni, że to dobra decyzja?

— Oczywiście. Moja nieobecność może się przeciągnąć. Służba uwielbia Martę, ale sądzę, że nadszedł moment, żeby zadbać o jej wykształcenie i tym samym o przyszłość. Domownicy muszą być jej sługami, a nie przyjaciółmi, jak teraz to jest na przykład z Aminą. W pałacu Marta zdobędzie wykształcenie, pozna dziewczęta ze szlacheckich rodów... Ku mojemu ubolewaniu czas mija i jest już niemal kobietą — przyznał Marti, bardziej żeby przekonać samego siebie niż przyjaciela. — Toteż nadeszła pora, żeby zaczęła troszczyć się o swoją przyszłość. Ja nie będę żył wiecznie.

— Widzę, że jesteście dziś pesymistycznie usposobieni, ale rozumiem waszą podwójną troskę, ojca i armatora. A jednak znam dobrze ów pałac i nie potrafię powiedzieć, co jest korzystniejsze: mieszkać w nim czy z dala od niego.

— Co macie na myśli?

— Nie wszystko złoto, co się świeci, i być może lepiej jest utrzymywać pewien dystans w stosunkach z hrabiowskim dworem.

— Przeraza mnie to, co słyszę — zaniepokoił się Marti.

Eudald Llobet pomyślał chwilę, zanim znowu przemówił. Było oczywiste, że Marti Barbany przechodzi trudne chwile: jego obowiązkiem jako przyjaciela było mu pomóc, a nie siać w jego duszy dalsze wątpliwości.

— Zapomnijcie o tym — rzekł w końcu. — Powiedzcie, czego ode mnie oczekujecie.

— Widzicie, Eudaldzie, jestem obywatelem Barcelony, ale nie szlachcicem... Hrabina Almodis musiałaby zrobić wyjątek. O ile mi

wiadomo, dotąd byli u niej na służbie wyłącznie dziewczęta szlachecko-urodzone.

— Ona bardzo was ceni i możecie liczyć na to, że z nią porozmawiam. Kiedy będę znał odpowiedź, natychmiast ją wam przekażę, żebyście zgodnie z nią zdecydowali o swoim dalszym postępowaniu.

— Jeżeli wyjadę, wiedząc, że Marta jest pod dobrą opieką i że widuje was niemal codziennie, będę mógł spać spokojnie.

— Uważajcie, że już wykonałem tę misję. Jutro porozmawiam z hrabiną... Ale muszę wam coś powiedzieć — dodał.

— Co takiego?

— Rozumiecie, jak sprawy stoją. Marta wchodzi w wiek dojrzałości, a w pałacu nie znajdzie nikogo, kto mógłby zostać jej przyszłym mężem. Dobrze wiecie, że szlachta nie ma zwyczaju mieszać swojej krwi z krwią osób z ludu, bez względu na to, jak wielkie byłyby ich zasługi.

Marti przerwał gwałtownie przyjacielowi.

— Na Boga, Eudaldzie! Jeszcze jest na to za wcześnie. Nie pragnę niczego więcej, jak tylko zapewnić jej wykształcenie i znajomości, które mogą jej się przydać w późniejszym życiu.

35

Bliźniacy

Bliźniacy mieli odbyć ćwiczebny pojedynek w obecności innych rycerzy. Podwyższenia były zajęte przez szlachtę, która pojawiała się co dnia w tej sali, żeby ćwiczyć przy użyciu najprzeróżniejszej broni. Drewniane miecze, maczugi z łbami bez ostrzy, skórzane tarcze i tępe włócznie były wybierane przez każdego zgodnie z jego upodobaniem, a potem toczono pozorowane walki. Seneszał Gualbert Amat był odpowiedzialny za studzenie gorących głów, ażeby w ferworze potyczek krew nie łała się zbyt obficie.

Każdy z bliźniąt obrał odmienną broń. Ramón założył kolcze nogawice, watowany kaftan chroniący tors i uda; do ataku wziął krótki miecz, a do obrony niewielką tarczę z dębowego drewna z obrzeżem ze wzmocnionej skóry oraz zarękawia i rękawice, by chronić ręce i dłonie. Berenguer włożył nabijany żelaznymi płytkami kaftan, a jako oręż zaczepny i obronny wybrał uchwyt z łańcuchem i drewnianą kulą oraz skórzaną tarczę sięgającą mu do kolan i chroniącą też górne kończyny. Obaj z pomocą giermków przygotowywali się w przyległej sali, która — wyposażona w wieszaki, panoplie, ławy, umywalnie i lustra z polerowanej miedzi — oferowała wszelkie udogodnienia przed walką i po niej.

Na twarzach obu braci malowała się niezwykła powaga. Berenguer, który w tym momencie zakładał lewe zarękawie, przemówił pierwszy.

— Dziwnie wyglądasz, bracie... Może źle spałeś? Albo rozboleł cię brzuch na myśl, że będziesz musiał się ze mną zmierzyć?

Ramón, który właśnie przywiązywał kolcze nogawice, odpowiedział ostrożnie:

— Nic mi nie dolega i spałem wybornie, ponieważ sumienie o nic mnie nie obwinia. Chyba inaczej niż w przypadku twoim albo naszego przyrodniego brata.

Berenguer poderwał się z miejsca.

— Jeżeli masz mi coś do powiedzenia, lepiej zrób to przed turniejem. W ten sposób, gdy poczuję się obrażony, będę walczył zacieklej.

— To nie ja rozpocząłem tę dyskusję — odrzekł Ramón. — Walcz, jak potrafisz, ale przypominam ci, że w takich wypadkach ten ma przewagę, kto lepiej nad sobą panuje.

Berenguer podniósł głos.

— Odkąd byliśmy mali, chowałeś się pod spódnice matki! Zawsze robisz to samo, zawsze mówisz ogródkami i półśłówkami... Jeżeli masz mi coś do zarzucenia i dość odwagi, powiedz to teraz!

— To nie jest odpowiednia chwila i nie będę mówił o sprawach, które dotyczą tylko nas.

Berenguer jeszcze bardziej podniósł głos.

— To ty coś zasugerowałaś na temat mojego sumienia!

Teraz Ramón wstał i zwrócił się do giermków.

— Wyjdźcie obaj i poczekajcie na zewnątrz.

Ci przerwali to, czym byli zajęci przy swoich ławach, i pośpiesznie opuścili pokój.

Bracia stali twarzą w twarz.

— Co cię boli, Ramónie? Dlaczego ma mnie gryźć sumienie?

— Raczej wcześniej niż później wszystko dochodzi do pałacu, a kiedy tak się dzieje, znaczy to, że targowiska i jarmarki już trzęsą się od nowin.

Berenguer prychnął, udając oburzenie.

— A co doszło do pałacu? Dalej, przecież masz ochotę mi to powiedzieć.

— Tydzień temu dwaj członkowie hrabiowskiej rodziny popełnili zbrodnię w pewnym domu o złej sławie, który uchodzi za źródło doskonałych zysków nie tylko dla swojego właściciela.

— Ach! — zawołał sarkastycznie Berenguer. — Czyżbyś nie wiedział, że istnieją pewne miejsca, do których udają się prawdziwi męczycyźni, by rozładować swoje humory?

— Prawdziwi mężczyźni powinni bronić słabszych i poskramiać złe namiętności, chociaż każdy ma wolność czynienia tego, co mu dyktuje własna świadomość. Natomiast w żadnym wypadku nie jest dopuszczalne, by uważali się za panów życia i śmierci nieszczęsnych, bezbronnych osób.

Twarz Berenguera stała się purpurowa z gniewu.

— To nie żadna osoba, tylko zwykły śmieć... I owszem, to ja okazałem miłosierdzie i pozbawiłem ją nędznego życia. Poza tym nie była bezbronna: zdradziecko mnie zaatakowała bez żadnego powodu.

— Nie to mówią plotki na Mercadal.

— Widzę, że znasz je lepiej niż ja!

— Podobno spodobała ci się pewna dziewczyna, która nie była jedną z miejscowych nierządnic, i chciałeś ją zniewolić, a ona tylko broniła swojego honoru.

— Po pierwsze, nie była dziewicą — zaśmiał się Berenguer. — Stąd moja wściekłość, bo zapłaciłem za jej cnotę. A po drugie, niewolnice to bydlę i pojęcie honoru jest im obce: mogą tak samo zrobić to z mężczyzną jak z osłem.

— Już samo to, że poczuła się obrażona, przeczy twoim słowom — odparł Ramón. — Jesteś głupcem i brzydzę się tobą! Czasami wstyd mi, że jestem twoim bratem.

— Tym, co mnie najbardziej irytuje, jest ta postawa wyższości moralnej, którą zawsze przybierasz... gdy w rzeczywistości jesteś tylko tchórzem. — Berenguer zrobił pauzę i dodał: — Nawet niekiedy wątpię, czy podobają ci się kobiety.

Teraz z kolei zaczerwienił się Ramón. Twarze braci niemal się stykały.

Berenguer przemówił głosem hamowanym przez wściekłość.

— Wejdźmy... do sali broni... Tam będziemy mogli... rozstrzygnąć nasze zatargi.

— Gdzie tylko i kiedy sobie życzysz, z użyciem ćwiczebnej czy bojowej broni.

— Nie zapominaj, Ramónie, że ty jesteś tym dobrym, a ja tym złym. A wiesz, jak skończyła się historia o Kainie i Ablu.

Obaj schwycili broń i wyszli na wybieg. Szlachcice osłupieli, widząc zaciekłość pojedynku, który seneszal musiał kilkakrotnie przerywać, by przypomnieć współuczestnikom, że to walka rycerzy, a nie bijatyka opryszków.

36

Wyjaśnienie

Z zapadnięciem zmroku czterej spiskowcy spotkali się w domu Simóna. Miejsce to zostało wybrane z racji jego odosobnienia. Ani Marçal de Sant Jaume, ani Bernabé Mainar, a tym bardziej dziedzic Pedro Ramón, nie pragnęli być widziani razem. Dostali się tam każdy w inny sposób. Marçal przyjechał na żwawym rumaku krwi arabskiej, Bernabé w małym dwukołowym wózku zaprzężonym w muła, a Pedro Ramón w dyskretnej lektyce niesionej przez zaufanych ludzi.

Simó nie posiadał się z radości. To, że oprócz człowieka, któremu zawdzięczał ten interes, przybywają do niego — wyzwolénca będącego obecnie pierwszym licytатorem niewolników — tak znakomite osobistości, napawało go niezmierną satysfakcją.

Starannie przygotował dom, gromadząc w jednym pomieszczeniu wszystkie najlepsze meble. Może salon na dole wydawał się przeładowany, ale ktoś, kto posiadał tyle kosztownych przedmiotów, z pewnością musiał być uważany za zamożnego obywatela.

Kiedy po zwyczajowych powitaniach goście się rozsiedli, zamknięto wszystkie drzwi i okna. Służba przyniosła napoje, a Simó uznał, że nadszedł właściwy moment, by wygłosić odpowiednie wyjaśnienie.

— Bardzo mi pochlebia, że tak dostojni panowie wybrali pokornego sługę jako pośrednika do prowadzenia tej ważnej sprawy. Mój dom nie zasługuje na podobny zaszczyt, ale mam nadzieję, że moje zaangażowanie i poświęcenie uzasadnią taką decyzję.

Marçal de Sant Jaume mu przerwał.

— Skończ te popisy i przejdźmy do rzeczy. Powiedziałeś mi w piątek, że zwołujesz to zebranie na wniosek Bernabé Mainara, że sprawa jest niezwyklej wagi i warto dla niej niepokoić dziedzica, sprowadzając go tutaj. Mam nadzieję, że tak jest, w przeciwnym bowiem razie stracisz coś więcej niż wiarygodność!

Teraz głos zabrał Mainar.

— Mam nadzieję, że nie narażę waszych dostojności na stratę czasu ani nie zawiodę waszej ciekawości, jako że ta historia ma szczęśliwe zakończenie.

Z kolei odezwał się Pedro Ramón.

— Dobrze wiesz, Mainarze, że twoja historia zaciekała mnie od pierwszego dnia, a jeszcze bardziej jej finał. Zamieniam się w słuch.

Bernabé Mainar zaczerpnął powietrza i zaczął mówić.

— Zdradzę wam już teraz, że zakończenie jest szczęśliwe, ale muszę przyznać, że was okłamałem... A raczej nie powiedziałem wam całej prawdy.

Dwaj dostojni goście wymienili między sobą spojrzenia, które Mainarowi nie wróżyły niczego dobrego.

— Proszę, aby wasze wielmożności nie osądzały mnie aż do końca mojego opowiadania.

— Nigdy nie lubiłem kłamców i myślę, że don Marçal de Sant Jaume też ich nie lubi — rzekł dziedzic.

Wtedy Bernabé Mainar, nachyliwszy się, podniósł z podłogi skórzaną torbę, która leżała tuż obok. Wyjął z niej dwa okazałej wielkości woreczki i położył je na stole.

— Okoliczności zmusiły mnie do kłamstwa, ale, jak mówiłem, zakończenie, a ono nas interesuje, jest szczęśliwe.

— Co nam tu przyniosłeś?

— To, co obiecałem, panie. Dwa tysiące złotych mancusó.

Mainar rozwiązał rzemienie i rozchyliwszy woreczki, wysypał na stół stos monet, które wydały śpiewny brzęk.

Tym razem spojrzenia dziedzica i Marçala de Sant Jaume, kiedy się spotkały, miały szczególny blask.

— Za taką cenę, Mainarze, jestem skłonny wysłuchać wszystkich kłamstw, jakimi zechcesz mnie uraczyć! — zawołał Pedro Ramón.

— Przysięgam na swoje życie, panie, że tym razem powiem prawdę — zarzekł się jednooki.

— Zgoda. Dwa tysiące złotych mancuso zasługują na przywilej braku wątpliwości.

Tajemniczy człowiek w opasce rozpoczął swoją opowieść.

— Moje prawdziwe nazwisko z pewnością nic wam nie powie: nazywam się Luciano Santángel, podobnie jak mój ojciec.

— W rzeczy samej to nazwisko nic mi nie mówi. Ale kontynuuj: bardzo mnie ciekawi dalszy ciąg tej historii — wtrącił dziedzic.

— Kiedy dojdę do jej końca, zrozumiecie wiele rzeczy, ale po kolei. Czy pamiętacie, wielmożni panowie, radcę Bernata Montcusi?

Słyszac to nazwisko, kawaler Marçala de Sant Jaume i dziedzic znów wymienili spojrzenia.

— Oczywiście. Piastował zbyt ważne stanowisko, byśmy mogli go zapomnieć.

— Zatem mój ojciec był jego najwierniejszym i najbardziej oddanym sługą.

— A można wiedzieć, w czym i jak mu służył? — spytał don de Sant Jaume.

— Pozwólcie, że opowiem wam historię mojego ojca tak, jak on mi ją przekazał w swoim czasie, a zrozumiecie dokładnie, na czym polegały jego usługi.

Pedro Ramón spojrział z ukosa na Marçala, ale finansowe wsparcie dla jego sprawy kazało mu uzbroić się w cierpliwość. Mainar zrobił pauzę, po czym mówił dalej.

— Mój ojciec, Luciano Santángel, mieszkał w wielu miejscach, zarówno w królestwach chrześcijańskich, jak i na Wschodzie. Kiedy był bardzo młody, jego grzechy zaprowadziły go do Egiptu, gdzie w końcu zyskał wielkie poważanie na dworze kalifa znad Nilu, który uważa się za spadkobiercę córki fałszywego proroka Saracenów. Zawiść, jaką to wywołało, zmusiła go do ucieczki w górę wielkiej rzeki. W pobliżu starego miasta pogańskich cesarzy, którzy żyli przed mahometanami, zwanego przez nich Tebami, nawiązał kontakt z pewnym dziwnym stowarzyszeniem. Jego członkowie wywarli na nim wielkie wrażenie swoją ślepą wiarą, uwielbieniem dla przywódcy, którego nazywali Wielkim Przewodnikiem, a zwłaszcza pogardą dla ludzkiego życia, własnego i innych. Z czasem mój ojciec się dowiedział, że jest to bardzo stara organizacja, wywodząca się z nauk pewnych pogańskich filozofów z Grecji, zwłaszcza jednego zwanego Pitagorasem i drugiego zwanego Platonem, którzy wierzyli,

że istnieje jeden Bóg wyższy od fałszywych bogów Greków i że za pośrednictwem cyfr zapewnia on harmonię wszechświata. Nazywali go Demiurgiem, co w języku Greków znaczy „ten, co tworzy”. Żywili też fałszywe przekonanie, że dusze przechodzą z jednego ciała do drugiego, kiedy to pierwsze umiera.

— Co za niezwykle pomysł! — zdziwił się Pedro Ramón, coraz bardziej zainteresowany tą opowieścią.

— To nie wszystko, moi panowie — ciągnął Mainar. — Zgodnie z tym, co opowiedział mi ojciec, członkowie tego stowarzyszenia byli prześladowani i uciekając przed niebezpieczeństwem, osiedlili się w egipskiej Aleksandrii, mieście znacznie bardziej przychylnym nowym prądom myślowym. Kiedy dotarli tam relacje uczniów Naszego Pana, uznali nauki Naszego Mistrza, jak go nazywają, gdyż dla nich Jezus Chrystus jest bogiem pośredniczącym między ludźmi a Demiurgiem, którego ci pierwsi nie mogą poznać bezpośrednio. Wtedy nadali sobie określenie „Ordo Divinae Essentiae”, albowiem uważają się za najbardziej pokorne sługi Demiurga i wierzą, że ich Najwyższy Przewodnik potrafi interpretować jego życzenia, co przybliży go do jestestwa bóstwa.

Mainar zrobił pauzę, żeby uporządkować myśli. Obecni uszanowali jego milczenie.

— Dlatego — podjął — byli prześladowani przez chrześcijan, co później zmusiło ich do ucieczki do Teb, gdzie się osiedlili. Tam z wielkim powodzeniem zaczęli prowadzić handel rzeczny. Ponieważ interesowali się nie poprawą własnej sytuacji, lecz wyłącznie rozkwitem Zakonu, wkrótce stali się obecni na wszystkich rynkach Wschodu. Mogli liczyć na ochronę emirów i kalifów Egiptu, gdyż płacili im wysokie podatki i służyli na inne sposoby, o których zaraz powiem.

— To pasjonujące. — Pedro Ramón był całkowicie pochłonięty opowiadaniem.

— Członkowie Zakonu nie uważają się za podległych jakimukolwiek prawu, twierdzą bowiem, że ich Demiurg jest ponad wszystkimi prawami i że ich stowarzyszeniu nie można nałożyć żadnych pęt. Tak więc zaczęli zabijać wszystkich tych, którzy się mu przeciwstawiali, a zatem rywali w handlu, wrogów namawiających władze, by podjęły działania przeciw Zakonowi, czy też duchownych twierdzących, że jego kawalerowie to heretycy i powinni zostać ukarani.

W krótkim czasie wielu członków Zakonu nabrało niezwyklej biegłości w sztuce zabijania na tysiące najrozmaitszych sposobów, tak więc wiele znacznych osobistości, zwłaszcza władców Wschodu, których zwą emirami, korzystało z ich usług, kiedy należało pozbyć się kogoś w dyskretny i skuteczny sposób, a oni z radością podejmowali się takich zadań, gdyż dzięki temu Zakon zdobywał pieniądze i wpływy.

— Aż trudno uwierzyć! — wyszeptał don de Sant Jaume. — Ale powiedzcie, jak pozyskują adeptów. Kim jest Najwyższy Przewodnik?

— Nikt nie zna jego nazwiska — odpowiedział Mainar. — Zawsze ukazuje się swoim stronnikom całkowicie zamaskowany, ci zaś uważają, że jest nieśmiertelny, choć ja osobiście w to wątpię. A członkowie Zakonu, panie de Sant Jaume, należą do niego, wierzą bowiem, że na jego łonie uzyskają prawdziwe zbawienie. Adeptci przestrzegają jedynie prawa swojego Najwyższego Przewodnika. Są mu całkowicie oddani i ślepo posłuszni.

— Ale co ma wspólnego twój ojciec z tym stowarzyszeniem? Czyżby...?

— Zakon wydał mu się godny pochwały ze względu na swoją pobożność i bogactwa, tak więc poprosił, żeby go wtajemniczano w jego sekrety. Nie znaczy to — pośpieszył wyjaśnić Mainar — że on albo ja podzielamy wszystkie te idee, gdyż zarówno on, aż do śmierci, jak i ja zawsze byliśmy dobrymi chrześcijanami.

— Czyżbyś należał do tego Zakonu? — spytał Pedro Ramón, nagle przerażony.

— Mój ojciec nigdy nie był członkiem tej wspólnoty, chociaż był związany z nią i z Najwyższym Przewodnikiem przysięgą wierności. Właśnie o tym opowiedział mi owego dnia, zanim dodał, że nadeszła chwila, abym ja też, jako jego syn, został wprowadzony w tajemnice Zakonu. I jak można się domyślić, posłuchałem go. — Mainar zrobił pauzę, po czym mówił dalej: — Teraz ja, podobnie jak przedtem on, jestem zewnętrznym członkiem Zakonu. Pozwala mi to zarabiać na usługach, które wyświadczam Zakonowi, i nie przebywać w „obozie”, jak nazywają oni swoje miejsce zamieszkania pomimo jego wspaniałości, uważają bowiem, że ich obecne życie jest tylko przejściowym etapem. Ja nie podzielam tych poglądów.

— Mam taką nadzieję, gdyż po tym, co opowiedzieliście, mógłbym kazać uwięzić was za herezję — powiedział złośliwie Pedro Ramón. I ani panu de Sant Jaume, ani samemu Mainarowi nie umknęło, że nagle zmieniło się jego nastawienie wobec tej złowieszczej, choć godnej podziwu postaci.

— To nie takie łatwe, mój panie, bo, jak wam mówiłem, nie jestem regularnym członkiem stowarzyszenia — odparł z fałszywą pokorą Mainar. — Poza tym Zakon ma bardzo długie ręce i jedną z jego zasad jest pomszczenie tych braci, którzy polegną w jego służbie. I wiercie mi, zawsze doprowadzają sprawę do końca. Dam wam przykład postępowania tej sekty. Wiecie, że śmierć króla Abena Sulejmana z Jabei przypisano jego wezyrowi Mulajowi Ben Abbasowi.

Don de Sant Jaume przytaknął.

— To wiadomo.

— Autorem tego dzieła był mój ojciec — ciągnął Mainar. — A jednak dzięki niemu ludzie uwierzyli w historię, którą wszyscy znają. Zabójstwo to sprowokował, na rozkaz swojej pani, główny eunuch haremu, który nienawidził króla i wezyra: pierwszego za to, że porzucił żonę starej królowej, której on służył od dziecka, a drugiego dlatego, że znał jego ambicje związane z dziedziczeniem tronu. Wezyr bowiem nie wahał się podsunąć królowi swojej córki, ażeby ta stała się jego faworytą, a jednocześnie podsycał pragnienie monarchy, pilnując, by nic spełnił on swojej zachcianki i nic odebrał jej dziewictwa, dopóki nie ogłosi jej oficjalnie swoją pierwszą konkubiną. Dla królowej i dla eunucha korzystne było pozbycie się ich obu. Zakon przyjął to zadanie i powierzył je mojemu ojcu. Ten wykradł sztylet wezyra, na którego ostrzu było wyryte jego imię, i nakazał zazdrosnemu eunuchowi wyznaczyć królowi spotkanie nocną porą w pobliżu komnaty córki wezyra, kobiety wielkiej urody. Kiedy król stawił się w umówionym miejscu, mój ojciec wyłonił się z ciemności i wbił weń sztylet. Wszyscy myśleli, że to wezyr przybiegł zaalarmowany, by bronić honoru córki. Zamach odniósł podwójny skutek. Zginął król i na tron wstąpił pierworodny syn starej królowej, a jego pierwszym krokiem było zdjęcie z urzędu wezyra i obarczenie go winą za królobójstwo, albowiem sztylet wskazał na niego jako na sprawcę tej zbrodni. Wielka rada skazała go na śmierć i po tygodniu został ścięty.

— Zaskoczyliście mnie, Mainarze! — zawołał Pedro Ramón.
— A może powinienem nazywać was Santángelem?

— Myślę, panie, że lepiej, byście używali nazwiska, pod jakim mnie znajiecie do tej pory.

— Powiedzcie mi teraz, gdzie mieści się w tej historii dawny zarządca mojego ojca i jego doradca finansowy, Bernat Montcusi.

— Właśnie do tego dochodzimy. Miałem jakieś dwadzieścia lat, kiedy poznałem go osobiście. Jako że ojciec parę razy wykonał dla niego jakieś zlecenie, don Montcusi od śmierci mojej matki darzył mnie zawsze wielkimi względami. Po tych strasznych dniach *litis honoris* ten, który dawniej był radcą hrabiego, pogrążył się w tak głębokiej melancholii, że snuł się po domu jak pokutująca dusza. Dobrze wiecie, że kiedy ktoś popada w niełaskę i bieda wchodzi drzwiami, przyjaciele wychodzą oknem. Jego bliscy robili, co mogli, by wyrwać go z tej smutnej krainy, w jakiej błąkał się jego duch, ale wszystko nadaremno: ani wywary medyków, ani słowa pocieszenia nie miały najmniejszego wpływu na jego stan. Pewnego wieczoru zszedł do piwnicy, gdzie przechowywał czarny olej zasilający miejskie latarnie, i chcąc skończyć z hańbą, a potem zniknąć, żeby w innym miejscu i pod innym nazwiskiem rozpocząć nowe życie, wszystko podpalił. Ale coś się nie powiodło w jego planie. Kiedy służba zdała sobie sprawę, było już za późno i dom płonął ze wszystkich stron. Obawiając się najgorszego, wszyscy uciekli, każdy w swoją stronę. Jego sekretarz, Conrad Brufau, i pewien chłopiec stajenny znaleźli go płonącego, zaczepionego ubraniem o gwóźdź w ścianie piwnicy. Jakoś zdołali go wydobyć z lochu i namiętniejszy jego poparzone ciało oliwą i owinąwszy go szarpianami jak mumię, umieścili na wozie zaprzęgniętym w dwa konie i pod osłoną nocy uciekli do jednego z domów, jakie miał na przedmieściach starożytnej Egary. W cudowny sposób Bernat Montcusi przeżył ten nieszczęśliwy wypadek, chociaż był po nim nie do poznania. Siedem lat temu Brufau przysłał do mnie posłańca z prośbą, bym przybył do łoża jego pana, któremu, jak mówił, pozostało najwyżej kilka dni życia. — Uwaga wszystkich trzech słuchaczy była napięta do ostateczności i Mainar zdawał sobie z tego sprawę. — Niezwłocznie wskoczyłem na konia i udałem się do łoża konającego. Kiedy tam dotarłem i ujrzałem, w jakim stanie jest nasz przyjaciel, ogarnęła mnie rozpacz. W pokoiku wypełnionym nieopisanym

fetorem leżało pod derką ciała człowieka, który kiedyś miał największą władzę na dworze waszego ojca. Przewyciężając wstręt, podszedłem do łoża Bernata i kiedy Brufau powiedział mu, że już jestem, umierający wydobył spod przykrycia niemal pozbawione ciała dłonie i wbił je jak szpony w moją prawą rękę. „Luciano — odezwał się ledwie dosłyszalnym szeptem — przyjechałeś, chwała niech będzie Bogu”. „Jestem tu, gotowy na wasze rozkazy” — odrzekłem. Wtedy zaczął mówić tak cicho, że mimo odpychającego smrodu musiałem niemal dotknąć uchem jego ust. „Luciano, straciłem prawie wszystko i nie mam na myśli dóbr doczesnych, które nie mają dla mnie żadnego znaczenia, tylko reputację i miejsce, jakie zajmowałem na dworze u boku swojego pana, hrabiego Barcelony. Zanim odejdę z tego świata, gdyż wiem, że moja godzina już wybiła, chcę ci zlecić pewną misję, którą będę mógł wynagrodzić”. Jego chrapliwy oddech rwał się raz po raz. „Upadłem przez trzema potężnymi wrogami: hrabiną Almodis, jej podopiecznym Martim Barbany i prywatnym spowiednikiem Eudaldem Llo-betem, którzy połączyli swe siły, żeby doprowadzić mnie do ruiny. Chcę, byś mnie pomógł, gdyż wiem, że jesteś najodpowiedniejszy do tego zadania. Będziesz potrzebował niemałych środków i zatroszczyłem się o to, byś je otrzymał. Mój wierny sekretarz Conrad Brufau, którego już sownie wynagrodziłem, odpowiednio cię zaopatrzy”. W owej chwili Conrad przysunął kielich do warg swojego pana, który zdawał się omdlewać, i zmusił go do przełknięcia gęstego wywaru. Po chwili lek zaczął działać i Bernat mógł mówić dalej. „Mam troje wrogów i każdemu z nich muszę odpłacić tą samą monetą. Chcę śmierci dla Martiego i dla księdza, i chcę, żeby była ona tak straszliwa jak moja. Co do hrabiny, jest coś, co przeraża ją bardziej niż śmierć. To utrata władzy. Zrobisz wszystko co możliwe, aby zemścić się na każdym z nich”.

Słyszając to, Pedro Ramón zrobił się błąd jak marmur, a na jego ustach pojawił się złowieszczy uśmiech.

Mainar mówił dalej.

— Głos umierającego słabł z każdą chwilą: „W przeddzień próby skończenia z dotychczasowym życiem wręczyłem swemu sekretarzowi dwie teczki, w których znajdują się moje polecenia. Wszystko jest na piśmie. W drugiej znajdziesz plan, pewne objaśnienia do niego i miary. Przed laty, z myślą o tym, co może się wydarzyć po

litis honoris, ukryłem w ogrodzie swojego dawnego domu mnóstwo złotych mancusó; kiedyś będziesz musiał je wydobyć i spożytkować dla sprawy dziedzica, którego zawsze byłem zwolennikiem i który dobrze o tym wie. W ten sposób zaszkożysz kłamliwej obłudnicy i pomożesz hrabstwu. Aby to osiągnąć, czyni, co uznasz za stosowne. Ufam ci tak, jak ufałem twojemu ojcu. Ale nie powołuj się na mnie, bo ludzie uciekają od tego, kto popada w niełaskę. Będziesz jednakże musiał przenieść się do Barcelony i zdobyć pozycję, która pozwoli ci się zbliżyć do dziedzica. I nie zapominaj, że moja zemsta jest twoją, gdyż bezpośrednią lub pośrednią odpowiedzialność za śmierć twego ojca ponoszą w gruncie rzeczy ci sami ludzie. Taka jest moja ostatnia wola".

Po tych słowach w salonie zapadła cisza.

Pierwszy odezwał się Pedro Ramón.

— Czemu Bernat Montcusi nie uwiarygodnił waszej obecności pergaminem ze swoją pieczęcią?

— Pieczęć była w domu, który spłonął. Poza tym umierający życzył sobie, żeby jego nazwisko nigdy się nie pojawiło.

Następna długa pauza. I znowu głos zabrał dziedzic.

— A co stoi na przeszkodzie, byście całe to bogactwo zatrzymali dla siebie?

Umysł Mainara wirował jak skrzydła wiatraka.

— Wystarcza mi to, co mam, panie. Jeśli wiernie i dobrze będę wam służył, jestem pewien, że wasza wielkoduszność potrafi wyznać mi tak, bym mógł zadowolić swój Zakon, lecz moje ambicje są inne. Jest coś, co powinien zrobić każdy dobry syn: pomścić śmierć ojca, zdradziecko zabitego. Dlatego też uzyskałem zezwolenie Zakonu, żeby skończyć z Martini Barbany, którego statki szkodzą naszym interesom na Wschodzie, i z jego doradcą Eudaldem Llobetem, jako że obaj ponoszą winę za moje sieroctwo.

Mainar nie podał tu żadnych szczegółów, chociaż dobrze je znał. Otóż jego ojciec tej nocy, kiedy umarł, miał zadać śmierć Martiemu Barbany, winnemu zwołania *litis honoris* przeciwko Bernatowi Montcusi. I zdołałby tego dokonać, gdyby nie ów przekłety klecha, który zrzucił na niego ciężką kamienną donicę z parapetu jednego ze swoich okien.

— To pragnienie przynosi wam zaszczyt — stwierdził Pedro Ramón i po krótkiej pauzie dodał: — Powiedzmy, że zleciłbym coś

przeciw osobie, która usiłuje pogwałcić nasze ordynacje i pozbawić mnie moich praw... Czy w takiej sytuacji moglibyście mi pomóc? W jedynym oku Mainara odbiła się radość.

— Gdyby takie działanie niosło ze sobą jakąś korzyść dla Zakonu, jestem pewien, że zdołałbym przekonać Najwyższego Przewodnika.

— Choćby była to osoba należąca do dworu? — dopytywał się Pedro Ramón.

— Dla nas nikt nie stoi wyżej od innych: śmierć równa nas wszystkim, nie zapominajcie, że wszyscy w końcu stajemy się takim samym popiołem i że wszystkich nas kryje ta sama ziemia.

Dziedzic wstał, a Marçal de Sant Jaume i Simó poszli za jego przykładem. Mainar zrozumiał sygnał i też się podniósł z miejsca.

— Mainarze, to był jeden z najprzyjemniejszych wieczorów, jakie ostatnio przeżyłem. Dostaniecie ode mnie wiadomość za pośrednictwem mojego przyjaciela, doña de Sant Jaume. Jeżeli zlecę wam w końcu misję, która chodzi mi po głowie, i wykonacie ją z powodzeniem, zapewniam was, że kiedy obejmę rządy, będziecie mogli mnie prosić, o co zechcecie, i będzie wam to przyznane — obiecał dziedzic.

— Polegam na waszej szczodrości i wiem, że moje wynagrodzenie będzie proporcjonalne do usługi, którą wam wyświadczę.

W owej chwili Pedro Ramón obiecałby gwiazdkę z nieba, gdyby go o nią poproszono. Potem, zwracając się do Marçala, dodał:

— A wy weźcie ten wspaniały podarunek, jakim obdarzyła nas wdzięczność naszego dawnego sługi i uczciwość nowego, i prze chowajcie go do czasu, aż postanowię, na którą z moich dobroczynnych akcji ma być przeznaczony.

37

Prośba Martíego

Martí Barbany czekał na posłuchanie w przedpokoju potężnej hrabiny Barcelony, Almodis z Marchii, skracając sobie czas kontemplacją własnego odbicia w jednym ze zwierciadeł. W wieku trzydziestu kilku lat był nadal silny, co zawdzięczał ciągłej aktywności i powściągliwym obyczajom. Jeśli nie liczyć drobnych zmarszczek w kąciakach oczu i siwych włosów przetykających czuprynę, jego fizjonomia na dobrą sprawę niewiele się zmieniła z upływem lat. Kiedy przemierzał salę tam i z powrotem dużymi krokami, powracało mu na myśl wspomnienie, już odległe, dnia, w którym jego stopy pierwszy raz dotknęły posadzki wielkiego salonu. Owego rozmarzonego chłopca, stawiającego się na wezwanie pani, i obecnego mężczyznę dzieliła przepaść: nie tylko lata postarzają człowieka, lecz także smutne doświadczenia. Mijające dni, trud i cierpienie wykuły jego profil i utwardziły charakter. Ale teraz tylko jedno zakłócało mu spokój ducha: obawa o córkę. Los Marty był w owej chwili największym ze zmartwień, jakich przysparzał mu jego wędrowny tryb życia, i główną przyczyną odwiedzin w pałacu.

Kiedy seneszał gotował się wprowadzić gościa, Almodis poczuła, że bardzo pragnie znowu zobaczyć tego człowieka, który tak znacząco się przyczynił do rozwoju miasta, a którego przeżycia wywoływały niegdyś tyle emocji. Nie widziała go od dnia spuszczenia na wodę statku „Santa Marta”.

Widząc spokój bijący z postaci, która pojawiła się w drzwiach,

hrabina też przypomiała sobie tę chwilę, gdy młody Barbany pierwszy raz stanął na progu jej salonu. Owego chłopca od idącego właśnie ku niej mężczyzny dzieliło znacznie więcej niż tylko lata, jakie upłynęły od tamtego spotkania.

Marti, przyodziany cały na czarno — w kaftan, portki i pończochy oraz trzewiki, na których wyróżniały się jedynie srebrne sprzączki — przyszedł odwiedzić hrabinę, głęboko przemyślawszy swój zamiar. Chciał zapewnić ukochanej córce wspaniałą przyszłość, a jednocześnie uchronić ją — podczas swojej, jak przewidywał, długiej nieobecności — przed zagrożeniami coraz bardziej niebezpiecznej Barcelony.

— Podejdźcie, Marti — rzekła hrabina z uśmiechem. — Kiedy

Eudald w waszym imieniu poprosił mnie o audiencję, ucieszyłam się na myśl, że będę miała okazję ponownie się z wami zobaczyć. Jaka szczęśliwa okoliczność was do mnie sprowadza?

Armator zbliżył się do podestu, na którym stał niewielki tron hrabiny, i skłonił się wdzięcznym gestem pewnego siebie dworzanina, czekając, aż dama pozwoli mu się wyprostować.

— Wstańcie. Bez względu na powód waszej wizyty cieszę się niezmiernie, że znowu spotykam przyjaciela.

— Pani, to dla mnie zbyt wielki zaszczyt; nie ma bardziej chwalebego tytułu w całym hrabstwie, niż być nazwanym waszym przyjacielem.

Barbany czekał, aż Almodis pokieruje dalszym przebiegiem spotkania.

— Siadajcie na tym taborecie i nie myślcie, że łatwo pozwolę wam odejść... Skoro już was widzę, zamierzam wykorzystać tę okoliczność. Nieczęsto dajecie się oglądać i zapominacie o swojej hrabinie, która ze swojej strony, jak już mówiłam Llobetowi, też pragnęła was ujrzeć.

Zajmując taboret stojący u stóp pani, Marti wytwornie się usprawiedliwiał.

— Zawdzięczam wam zbyt wiele, hrabino, by o was zapominać. Jeżeli nie przyszedłem wcześniej, to dlatego, żeby nie zakłócać waszych codziennych zajęć, które, jak wiem, są bardzo liczne.

— Domyślam się, że to przesadne spostrzeżenie przekazał wam nasz wspólny przyjaciel, ojciec Llobet.

— Nie mogę zaprzeczyć, jednakże powszechnie wiadomo, że doba jest dla was za krótka, tak jesteście zaprzężeni akcjami dobroczynnymi i najrozmaitszymi innymi zajęciami.

— To kolejny powód, bym pozwoliła sobie na pogawędkę z jednym z niewielu przyjaciół, którzy mi pozostali i którym mogę ufać — odrzekła Almodis.

— Dobrze wiecie, pani, że jestem waszym najwierniejszym i najbardziej oddanym sługą.

— No dobrze, Marti, nie chcę być egoistką. Potem zaspokoicie moją ciekawość co do waszych podróży, ale powtarzam: jaka szczęśliwa okoliczność was do mnie sprowadza?

Marti bawił się aksamitnym beretem spoczywającym na jego kolanach i szukał odpowiednich słów, żeby jak najlepiej przedstawić swoje życzenie.

— Niestety, pani, ta okoliczność nie jest szczęśliwa, ale w każdym razie doceniam zaszczyt, jaki mi czynicie.

Hrabina przygotowała się na wysłuchanie tego, co ów mężczyzna, w którego lojalność nie wątpiła w najmniejszym stopniu, przyszedł jej powiedzieć.

— Słucham was, Marti.

— Jak wiecie, pani, straciłem żonę, a jednocześnie swojego dziedzica, który umarł zaraz po urodzeniu.

Almodis zamrugnęła powiekami.

— Wiem o tym nieszczęściu, Marti. Przesłałam wam wtedy za pośrednictwem naszego dobrego przyjaciela i spowiednika, ojca Llobeta, swoje najserdeczniejsze kondolencje.

— Również ja za jego pośrednictwem przekazałam wam wyrazy swojej najszczerzej wdzięczności.

— To prawda, drogi przyjacielu, chociaż wobec takiego bólu słowa tracą znaczenie. Ale kontynuujcie. Po to przyszliście.

— Otóż, pani, życie toczy się dalej i jest obowiązkiem starszych, choć to bardzo trudne, uczynić wszystko, żeby młodzi mogli być szczęśliwi, szczególnie zaś oszczędzić im trosk i nieszczęść, jakie stały się naszym udziałem.

— A co ja mogę zrobić? — zainteresowała się hrabina.

— Otóż, pani, moja córka Marta, która jest dla mnie wszystkim, wkrótce skończy dwanaście lat. To piękna dziewczyna, godna swojej matki, wyróżniająca się licznymi zaletami... — Marti uśmiechnął

się. — I nie mówię tego jako oczarowany ojciec; spytajcie Llobeta, a on potwierdzi moje słowa.

— To nie jest konieczne. Wystarczy mi to, co słyszę z waszych ust. Mówcie dalej.

— Pomimo że otaczają ją wierni słudzy, piastunka, preceptor i panna do towarzystwa, byłbym najszczęśliwszym ze śmiertelników, gdybyście przyjęli ją do pałacu pod swoją opiekę. Wiem, że nie jest szlachetnie urodzona, ale wiem też, że hrabina Barcelony może decydować zgodnie ze swoją wolą. Często wyprawiam się do odległych miejsc i przebywam ponad pół roku na tych wodach Pana Boga; podróż, którą teraz przygotowuję, może się okazać bardzo niebezpieczna. Nie jest wskazane, żeby młoda dziewczyna była sama w tym mieście.

— Llobet powiedział mi, że tym razem udajecie się na południe Italii... Wydaje mi się, że skradziono wam statek, czyż nie tak?

— Właśnie tak, pani.

— Czy jesteście tego pewni? Czy nie może być tak, że porywaczem jest któryś z waszych ludzi? Słyszałam, że czasami jakiś kapitan pozoruje napad, żeby przejąć statek. Czy macie całkowite zaufanie do swoich podwładnych?

— Całkowite, pani. Jestem starym armatorem i znam swe rzemiosło. Ten statek był moją własnością, a jego załogę dobrałem osobiście; kapitan Jofre to jeden z moich najlepszych przyjaciół.

— Czy znacie jakieś szczegóły?

— Obawiam się, że jeśli nie zapłacę okupu, jakiego bez wątpienia ode mnie zażądają, „Laia” będzie stracona; ludzie, którzy pozostali przy życiu, zostaną sprzedani jako niewolnicy i skończą na jakiejś berberyjskiej galerze.

— Oprócz waszego przyjaciela, kapitana Jofre, kto jeszcze był na pokładzie?

— Załoga i oczywiście osada galerników.

— A wiecie, czy wśród napastników byli jacyś przedstawiciele innej rasy, czy też byli to ludzie z tamtych wybrzeży?

— Z tego, co do mnie dotarło, można sądzić, że sprawcą jest Nagib, pirat, którego chroni wali Tunisu.

Hrabina zastanowiła się przez chwilę.

— Życzę wam jak najwięcej szczęścia w tym przedsięwzięciu... Ale... co za szczególny przypadek! Być może nadużyję waszej

uprzejmości i w pewien sposób skorzystam z tego, że wybieracie się w podróż. Zaraz wyjaśnię, o co mi chodzi, najpierw jednak omówmy do końca sprawę waszej córki. Jej pochodzenie nie jest żadną przeszkodą, dobrze bowiem znacie moje poglądy w tej kwestii. Wykute w kamieniu herby, jakie widnieją na bramach niektórych domów w Barcelonie, są dla hrabiego znacznie mniej przydatne niż to, co wasza pracowitość i rozsądek wniosły i wnoszą do tego miasta. Przypomnijcie mi: ile lat ma wasza córka?

— Wkrótce skończy dwanaście, pani.

— Coś podobnego... Wydaje się, że to było wczoraj, a minęło dwanaście lat od *litis honoris*.

— Czas ucieka, pani.

— Do kogo jest bardziej podobna? — zapytała z uśmiechem Almodis.

— Jest żywym wizerunkiem swojej matki, choć powiadają, że ma moje usposobienie i sposób bycia.

— A więc będzie bardzo trudno utrzymać ją w pałacu — zaśmiała się Almodis. — Zostawcie to mnie, dajcie mi czas, bym omówiła sprawę z małżonkiem, ale już teraz wam powiem, że możecie być dobrej myśli. Moim zdaniem wywrze to korzystny wpływ na hrabianki, zwłaszcza na Sanchę, która, choć nieco starsza, jest jej bliska wiekiem.

— Pani, czynicie ze mnie najszczęśliwszego spośród śmiertelników. Zawsze jesteście moją pociechą i ostatnią deską ratunku... Nie wiem, jak się wam odpłacę.

— Zaraz się dowiedzie, Marti. Jak wam mówiłam, wasza podróż jest dla mnie bardzo pomyślnym zbiegiem okoliczności.

— Zamieniam się w słuch, pani.

Almodis rozejrzała się wokół, co zaskoczyło Martiego. Potem, zwracając się do senezala, który czekał przezornie o trzy kroki od tronu, rozkazała:

— Odejdźcie, Gualbercie, i zabierzcie ze sobą straż. Niech czekają na zewnątrz.

Wierny Gualbert Amat zaprotestował.

— Ależ, moja pani, mam wyraźne rozkazy hrabiego, żeby w żadnym wypadku nie zostawiać was samej... Dobrze wiecie, że po pałacu krążą złe wiatry.

— Wasza gorliwość mnie wzrusza, ale przeżyliśmy razem zbyt

wiele przygód, żebyście teraz wąpili, czy wasza hrabina potrafi sobie poradzić w każdej okoliczności. Zostawcie nas samych.

Seneszal niechętnie wyszedł z sali, zabierając ze sobą czterech strażników pilnujących drzwi.

Kiedy hrabina i Marti zostali sami, ta rozpoczęła swoje wyjaśnienia.

— Mój drogi Marti, mam w głowie pewien projekt wymagający ostrożności, taktu i dyskrecji. A ponieważ jest jeszcze w załączku, nie byłoby dobrze, gdyby czyjeś ucho usłyszało o czymś, co, jak powiadam, wymaga najwyższej rozwagi.

— Słucham was, pani.

— Chodzi o to, mój wierny przyjacielu, że jako władczyni muszę się troszczyć o poddanych; ale ponadto jako matka muszę dbać o dzieci. Głęboko rozważam sprawę, ale kiedy te dwie okoliczności się zbiegają, dokładam wszelkich starań, by urzeczywistnić swoje plany.

— Nie rozumiem was, pani — powiedział zaskoczony Marti.

— Zaraz mnie zrozumiecie i jednocześnie zdacie sobie sprawę, dlaczego chciałam zostać z wami sam na sam.

Marti instynktownie przysunął głowę do głowy hrabiny.

— Wiecie — ciągnęła — że mam dwóch męskich potomków. Muszę dbać o interesy ich obu; ale tym razem muszę się zająć starszym z bliźniąt, Ramónem.

— Oczywiście, pani, ale co ja mogę zrobić?

— Znacznie więcej, niż sobie wyobrażacie, Marti. — Hrabina milczała przez kilka chwil, dobierając starannie słowa, które miała wypowiedzieć. — Jak wam wiadomo, syn mojego małżonka, Pedro Ramón, jest pierworodnym i jego małżeństwem zajmie się we właściwym czasie hrabia. Moim zdaniem już na to czas, ale nie do mnie należy ta sprawa. Jednakże czas biegnie dla wszystkich i muszę zatroszczyć się o swoich synów, dla których również zbliża się pora ustalenia przyszłych związków.

Twarz Martiego wyrażała najwyższą uwagę.

— Poza tym jestem matką dwóch dziewczynek. O nie tak bardzo się nie martwię, jako że ich przeznaczeniem jest utrwalenie przy mierzy z możliwymi rodami hrabstw po jednej i drugiej stronie Pirenejów. Poczuję się wszelako do rozciągnięcia swoich ambicji na bardziej odległe ziemie i wzmocnienia sojuszy domów Barcelony

i Gerony z krajami zamorskimi, co zaniedbano za czasów chwalebnej hrabiny Ermesendy z Carcassonne, której charakter ściągnął na nią niechęć ze strony królestw i włości frankońskich i hiszpańskich. Jest wiele dworów, które pragną się z nami spowinowacić, ale moim zadaniem jest właściwy wybór. Mój syn Ramón, choć ma oczywiście tyle samo lat co jego brat bliźniak, to znacznie przewyższa go rozsądkiem i dojrzałością charakteru. — Cień przesłonił twarz hrabiny. — Przyznam się wam, Marti, że nie mogę powiedzieć tego samego o Berenguerze, który, choć przykro mi to stwierdzić, jest czasem gwałtowny i nieprzewidywalny, a w niektórych sprawach straszliwie niedojrzały. Czy mnie słuchacie?

— Z całą uwagą, pani. Nie odkrywacie przede mną niczego nowego, gdyż takie jest też zdanie ulicy — ośmielił się powiedzieć armator. — Wybaczcie, jeśli mówiąc to, nadużywam zaufania, jakim mnie darzycie.

Almodis z Marchii westchnęła głęboko.

— Mam spokojne sumienie: wychowałam ich jednakowo i poświęciłam obu tyle samo uwagi, mieli też tych samych preceptorów. A jednak podczas gdy Ramón wykorzystał swój czas, Berenguer był złym uczniem.

— A na czym polega moje zadanie, pani? — zapytał Marti, nieco zakłopotany zwierzeniami hrabiny.

W tym momencie uchyliły się drzwi i wsunął w nie głowę dowódca straży.

— Powiedziałam, żeby nikt mi nie przeszkadzał! — zareagowała gniewnie hrabina.

Dowódca odpowiedział z wahaniem:

— To dziedzic prosi o posłuchanie, pani.

— Tylko mojemu małżonkowi przysługuje prawo wejścia bez zezwolenia! — I ciszej, choć głosem równie słyszalnym, Almodis dodała: — I wyznaczenia na dziedzica tego, kogo zechce!

Drzwi, silnie pchnięte, otwały się na oścież i ukazała się w nich postać Pedra Ramóna.

— Nikt, nawet mój ojciec, nie może o tym decydować! Moje pierworództwo jest niezaprzeczalnym faktem pomimo waszych ciemnych machinacji! I ostrzegam was... nikt nie jest wieczny, hrabino, i nadejdzie dzień, kiedy to wy będziecie mnie prosić o posłuchanie, a ja go wam odmówię!

— Chwilowo to wy o nie prosicie, a ja mogę go udzielić, lecz nie w tym momencie! Albo się wycofacie, albo każę straży was wprowadzić.

Rzuciwszy hrabinie pełne nienawiści spojrzenie, Pedro Ramón się wycofał. Dowódca straży poprosił gestem o wybaczenie i zamknął drzwi, zostawiając zaskoczonego Martiego.

— Wróćmy do naszej rozmowy, Marti. Sami widzicie, jaka atmosfera panuje w tym pałacu, który bardziej przypomina gniazdo żmij... Pytaliście mnie, na czym ma polegać wasze zadanie, i zaraz wam to wyjaśnię. Mój syn Ramón jest jedną z najznamienitszych partii w krajach chrześcijańskich, zięciem upragnionym przez wszystkie koronowane głowy i... czemu tego nie powiedzieć?... mężem, o jakim marzą wszystkie panny z domów panujących. Jest, i nie mówię tego pod wpływem matczynych uczuć, zwierciadłem cnót. Jego żona będzie szczęśliwa, gdyż nie tylko przysłuży się tym małżeństwem swojemu ludowi, ale też nie będzie musiała znosić w łóżu chorego na podagrę starca, którego kazano jej poślubić w interesie państwa. — Almodis wzdrygnęła się na myśl o własnej przeszłości. — Możecie mi wierzyć, Marti, bo sporo o tym wiem — dodała, przypominając sobie swojego pierwszego męża, starego Hugona z Lusignan.

— Mimo wszystko, pani, nie potrafię pojąć, jakie chcecie mi zlecić zadanie.

— Na Boga, Marti, jesteście bardzo niecierpliwy. Jak wam wyjaśniłam, dla domu Barcelony stosowne jest zaciśnięcie więzów z innymi królestwami i zdobycie w ten sposób sprzymierzeńców. Nie zawsze można dotrzeć do Rzymu najprostsza drogą. Powszechnie wiadomo, że za sprawą babki mojego małżonka nie cieszyłam się wielkim uznaniem Ojca Świętego, który, jak dobrze wiecie, przed laty nawet obłożył mnie ekskomuniką. Zasiadający wówczas na tronie Piotrowym Mikołaj II, żeby zerwać więzy ze Świętym Cesarstwem, oparł się na Robercie Guiscardzie, Normanie, którego mianował, cytując dosłownie, „z łaski Boga i świętego Piotra księciem Apulii i Kalabrii i od tej chwili, z pomocą ich obu, księciem Sycylii”. Nie muszę wam mówić, że aby dostąpić takiego wyróżnienia, trzeba być wielkim przyjacielem Ojca Świętego. I tu zasada się *quid* waszego zadania. Księżę ma piękną córkę imieniem Mafalda. Dobrze by było, gdybyście zbadali teren i zorientowali się, czy jest możliwość doprowadzenia pewnego dnia do jej małżeństwa z moim

synem Ramónem. A przy tym i wy odniesiecie korzyść, bo wasze statki będą mogły swobodnie opływać czubek italskiego buta. Zależy mi, by papież, który ma wielką władzę nad wszystkimi książętami świata, patrzył na nasze hrabstwo łaskawym okiem.

— Ta misja mi pochlebia, hrabino — rzekł zaskoczony Marti — lecz nie jestem szlachcicem ani ambasadorem.

— Ale jesteście człowiekiem interesu, i to bardzo sprytnym, i wiem, że wypełnicie ją z taktem i umiarem. Ponadto, jeśli chcecie odwiedzić tamtejsze morza, znajomość i poparcie Normana bardzo wam się przydadzą.

Marti przytaknął z powagą.

— Bez wątpienia, pani. Wybrzeża Apulii wychodzące na Morze Jońskie i na Adriatyk pełne są pieczar, gdzie chronią się piraci. Jak wcześniej mówiłem, mój statek prawdopodobnie ośmielił się porwać Nagib, tunezyjski rabuś, i przypuszczam, że to właśnie z nim będę musiał negocjować okup za swoją załogę.

— Wobec tego znajomość z Robertem Guiscardem będzie dla was bardzo korzystna. Nie dość, że wyświadcycie mi wielką przysługę, to jeszcze pomożecie własnej sprawie. A nie jest rzeczą bez znaczenia, że wasza hrabina będzie wam winna wdzięczność.

— Pani, możecie liczyć na to, że uczynię w tej sprawie wszystko, co będzie w mojej mocy, i nawet jeśli trudy te uwieńczy sukces, nadal pozostanę wam dłużny za opiekę nad moją córką Martą.

— Nic martwcie się, Marti. Rozwiązywanie problemów wiernych poddanych należy do moich obowiązków. Nic mi nie jesteście winni... Tylko nie skąpcie mi swoich odwiedzin i któregoś dnia przyprowadźcie do mnie dziewczynkę; pamiętam ją dobrze z wodowania statku noszącego jej imię i lubię znać bliżej osoby, które mają zamieszkać w pałacu.

— Wierzcie mi, pani — odrzekł Marti głosem nabrzmiałym ojcowską dumą — że Marta jest uroczą osobką, która rozweseli wasz dom.

— A skoro mowa o domach, Marti, to pamiętam, że owego dnia rozmawialiśmy o wielu sprawach i że nie mogąc spełnić prośby, z jaką się do mnie zwróciliście, obiecałam wam w zamian zwrot domu, który należał do waszego teścia, Barucha Benvenista. W związku z tym wydałam seneszałowi odpowiednie rozkazy. Czy już objęliście ten dom w posiadanie?

— Otrzymałem wszystkie dokumenty, pani, i pewnego popołudnia wybrałem się go obejrzeć, jednak chwilowo jeszcze nic nie postanowiłem. Wiąże się z nim zbyt wiele smutnych wspomnień i nie chcę, żeby stały się one udziałem mojej córki.

Zapadła cisza, po czym hrabina znów zabrała głos.

— Myślę, że wszystko zostało już powiedziane, Marti. Wasza córka zostanie przyjęta do pałacu, a wy przyjdźcie tu w przyszłym tygodniu. Dam wam list uwierzytelniający do Roberta Guiscarda; będziecie, nieoficjalnie, moim ambasadorem pełnomocnym.

— Dziękuję, hrabino — rzekł Marti, schylając głowę. — Z całą pewnością jestem waszym najwierniejszym i najbardziej oddanym sługą.

I po uprzejmym pozdrowieniu Marti opuścił pałac. Jego dusza była przepełniona wdzięcznością.

Pomysł Manipoulosa

Martí Barbany urządził swój gabinet w kolistym pomieszczeniu zwieńczającym wieżę. Kazał zdolnym rzemieślnikom udekorować go tak, jakby to była kajuta armatora pod pokładem rufowym, do tego stopnia, że potrójne okno, przy którym stał fotel, zostało wyrzeźbione w drewnie i pochylało się na zewnątrz, a nad nim wisiała latarnia.

Do tego właśnie gabinetu armator wezwał kapitana Rafaela Munta, zwanego Feletem, swojego przyjaciela z dzieciństwa, i Greka Manipoulosa, który teraz przemawiał.

— Jeżeli moje informacje są prawdziwe, piratem, który napadł na „Laię”, jest Tunezyjczyk Nagib. Sprawy tak się potoczyły, jak teraz opowiem. Zapadła noc, morze było wzburzone i Jotre rozważnie schronił się w małej zatoce, oczekując, że następnego dnia pogoda się poprawi. Dwaj marynarze udali się na ląd na pokładzie szalupy wyładowanej bukłakami, żeby uzupełnić zapas wody pitnej; od nich wiemy, co się wydarzyło. Kiedy mieli już wracać, statek Tunezyjczyka zaatakował „Laię”. Wtedy ukryli bukłaki, weszli w gąszcz i zaczęli uciekać w głąb lądu, podejrzewali bowiem, że rozbójnicy zauważą brak szalupy i popłyną do brzegu, aby ich pochwyć. Gdy tylko zaświtało, poszli do najbliższej osady i poprosili o pomoc. Tamtejsi dobrzy ludzie udali się uzbrojeni nad morze, ale pirat już odpłynął, zabierając ze sobą „Laię”.

Zapadło milczenie. Po chwili Marti spytał;

— A gdzie są ci marynarze, którzy zeszli na ląd?
— Wracają teraz do Barcelony jednym z naszych statków — odpowiedział Grek.

— Kiedy tu dopłyną?

— Jeżeli wiatry będą dla nas pomyślne, przed upływem tygodnia.

— Wobec tego zaczekajmy, aż usłyszymy z pierwszej ręki o szczegółach całego wydarzenia.

— Wydaje mi się słuszne poznać gruntownie sprawę — wtrącił się kapitan Munt. — To da nam lepsze rozeznanie. Niemniej *zamiar* piratów jest jasny. Chodzi im o dwie rzeczy: okup albo galerników do swoich okrętów i pieniądze za wykupienie statku, dlatego go przetrzymają, jak również załogę, dopóki im nie zapłacisz. Zobaczmy, w jaki sposób się z nami skontaktują, ale czuję, Marti, że nic oprócz pertraktacji nie wchodzi w grę.

Dawna przyjaźń, jaka łączyła go z obecnym armatorem, pozwalała mu zwracać się do niego na ty.

Ogorzała i poorana zmarszczkami twarz Greka była jak maska; jednak w jego przebiegłych oczach pojawił się błysk, który Marti dobrze znał.

— Czy myślicie tak samo, Basilisie?

— Ja myślę, że owszem, jest inne wyjście. To nie pierwszy raz, kiedy ten drań szuka z nami zaczepki, i jeżeli zgadzimy się na jego warunki, nie będzie też ostatni.

— Co proponujecie?

— Zastanawiałem się nad tym, odkąd dotarła do mnie ta wiadomość.

— Jaki macie pomysł? — zapytał Felet.

Grek uporządkował swoje myśli, zanim odpowiedział.

— Oczywiście nie ulega wątpliwości, że w taki czy inny sposób piraci się z nami skontaktują. Wtedy, zależnie od okoliczności, będziemy musieli coś postanowić, ale jeśli choć jeden raz zapłacimy okup, staniemy się pożywką dla ich ambicji i ten scenariusz się powtórzy. Te psy gryzą tylko tam, gdzie czują mięso.

— A więc? — spytał Marti.

— Zamiast okupu trzeba dać im nauczkę.

— Nie zapominajcie, że mają Jofrego i załogę — zauważył Felet.

— Nie zapominam. Wprost przeciwnie, pamiętam o tym bardzo dobrze i jest to dla mnie najważniejsze.

— Basilisie, nie mówcie do mnie zagadkami — rzekł Marti. Grek, ciesząc się własnym pomysłem, przystąpił do wyjaśniania planu.

— Odkąd nadeszła ta wiadomość, nie zmrużyłem oka: poświęcę całą noc na rozmyślenia, zagłębiając się w najdrobniejsze szczegóły. Po pierwsze, musimy zyskać na czasie. Po drugie, znaleźć jakiś pretekst, żeby odwiedzić ten rejon, nie wzbudzając podejrzeń. Łatwiej przyjdzie im się z nami skontaktować, jeżeli będziemy w pobliżu ich bazy.

Marti natychmiast podchwycił tę sugestię.

— Mam dobry pretekst, by wyruszyć w tę podróż. Ale powiedzcie mi, dlaczego zamierzacie zyskać na czasie, gdy pierwszą rzeczą powinno być jak najszybsze wykupienie naszych ludzi.

— Mój plan wymaga pewnych przygotowań. Pirat musi myśleć, że chcemy z nim negocjować i ustalić okup, podczas gdy tak naprawdę będziemy szykować mu klęskę, która posłuży za nauczkę dla innych bezczelnych rozbójników.

— Wyrzucicie wreszcie z siebie, Basilisie, na czym polega ten plan. — Głos Martiego zdradzał rosnące zainteresowanie z domieszką niecierpliwości.

— Jak dobrze wiecie, zawsze wygrywa ten, kto jest lepiej poinformowany. Dlatego najpierw musimy dowiedzieć się wszystkiego, co nas interesuje, a zwłaszcza gdzie ukryła się ta banda opryszków. Z pewnością jest to miejsce, które ma zapewnioną naturalną ochronę, jaką daje morze, i którego łatwo jest bronić za pomocą dział i okrętów. Być może to jakaś nieznaną redą na jednej z wysp Adriatyku.

— A jak zaczerpnąć języka'?

— Tak jak to czyniono od początku świata: rozluźniając rzemień sakiewki we wszystkich portach i tawernach adriatyckiego wybrzeża. Wiecie, że nie ma na świecie bardziej gadatliwej istoty niż opity winem marynarz mający przed oczami wypchaną sakiewkę.

Marti przytaknął.

— A potem?

— Mówiliście mi, że nasz człowiek w Karbali, Rashid al-Malik, ma wkrótce przyплыć do Barcelony. Jeżeli go przekonacie, żeby pomógł nam wytworzyć pewną ilość tej broni, którą on nazywa greckim ogniem, myślę, że zdołamy dać tym bandytom taką nauczkę,

że jej echo odbija się po całym Morzu Śródziemnym, od Barcelony do Konstantynopola.

Martí i Felet wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— To zabierze nam wiele czasu — stwierdził Marti, ale Mani-poulos upierał się przy swoim pomysłe.

— Czy uważacie, że czas nie jest dla wszystkich taki sam? Każda sprawa wymaga swojego rytmu; tym bardziej dotyczy to tak poważnych negocjacji. Nagib wie o tym najlepiej i pamiętajcie, że gdybyśmy działali w pośpiechu i nie próbowali się z nim targować, wzbudzilibyśmy podejrzenia. Ale powiedzcie, co to za sprawa, która daje nam pretekst do podróży w tamte strony?

Marti nie wątpił, że jego kapitanowie będą milczeli jak grób, więc opowiedział im w skrócie o spotkaniu z hrabiną.

— To jasne, że o moim pobycie w Apulii będzie powszechnie wiadomo. Każdy, kto zostanie przyjęty przez księcia Roberta Guis-carda, nie może zostać niezauważony.

— Tym lepiej — dodał od siebie Felet. — Im więcej będzie się o tym mówiło w portowych tawernach, tym szybciej dojdzie do uszu pirata, że tam jesteśmy. Poza tym Tunezyjczyk zrozumie, że tak nadzwyczajna misja wymaga dłuższego czasu.

— Wobec tego musimy przede wszystkim poczekać na przybycie do Barcelony Rashida al-Malika, umieścić go w odpowiednim miejscu i dostarczyć mu środki, żeby mógł spożytkować formułę, którą wam pewnego dnia powierzył, a którą wy rozważnie postanowiliście zapomnieć i nigdy nie wprowadzić w życie.

Marti spojrział na Manipoulosa.

— Opowiedzcie dokładnie, Basilisie — poprosił — jaki jest wasz plan. Ja będę na dworze Normana, całkowicie pochłonięty misją, która została mi powierzona. Co w tym czasie zrobimy?

— Ja popłynę waszym statkiem jako bosman i kiedy wy będziecie poświęcać swój czas jako ambasador hrabiny, ja zajmę się obchodem portowych spelunek, w których spotykają się wyrzutki z całego basenu Morza Śródziemnego, i spróbuję się dowiedzieć, gdzie jest przetrzymywana „Laila” i jak to miejsce wygląda.

— A potem?

— Kiedy poznamy kryjówkę, dowiemy się, czy można rabusiów zaskoczyć i w jaki sposób tego dokonać: siłaczy podstępem. Dzięki wynalazkowi Rashida i odwadze naszych marynarzy, których sam

wybiorą i którzy będą wiedzieli, że walczą, by odbić swoich towarzyszy, damy temu sukinsynowi taką nauczkę, że przekona wszystkich, iż nie warto napadać na statki z banderą waszej floty na grotmaszcie.

— Ile czasu będzie to wymagało? — zapytał Felet.

— Tyle, ile będzie potrzebował Rashid al-Malik na wytworzenie swojej broni. Jeżeli mu się to uda i ją nam dostarczy, wprowadzimy w życie obmyślony plan.

— A w przeciwnym razie?

— Zawsze mamy czas na zapłacenie okupu. Felet poruszył się niespokojnie.

— A w tym czasie jakie będzie moje zadanie? Bo jeśli mam tu czekać, nie mając nic do roboty, to ani chybi diabli mnie wezmą. Dobrze wiesz, Marti, że Jofre jest moim przyjacielem.

— Twoje zadanie będzie najważniejsze. Zostaniesz i będziesz się opiekował Rashidem, dostarczając mu potrzebne środki i wszystko, o co poprosi, tak aby mógł pomyślnie przygotować dla nas broń. A kiedy wytworzy jej już tyle, ile nam potrzeba do urzeczywistnienia planu Manipoulosa, będziesz musiał przysłać mi naczynia z greckim ogniem najszybszym statkiem, jaki znajdziesz. Jakies pytania?

— Tak, Marti. Ponieważ wszystko to są delikatne substancje i użycie ich wymaga wielkiej ostrożności, gdzie twoim zdaniem powinniśmy umieścić pracownię Rashida, żeby zachować bezpieczeństwo i jednocześnie zadbać o to, by czyjaś niedyskrecja nie zdradziła naszego zamiaru i nie udaremniła całego planu?

— Myślałem o tym, kiedy rozmawialiśmy. W zбочu wzgórza Montjuïc są jaskinie, w których przechowujemy beczki z winem. Będziesz je musiał przenieść i zostawić wolną przestrzeń, żeby Rashid mógł bez przeszkód działać. To miejsce jest dyskretne, dobrze położone i bezpieczne. Czy wszystko już jasne?

— Jak słońce — odpowiedzieli obaj.

— A więc, przyjaciele... do dzieła!

Przybycie Rashida

„Stella Maris”, z proporcem łopoczącym na wietrze i zaświadcającym o jej przynależności do floty Martiego Barbany, rzucała w tej chwili kotwicę u nabrzeża Barcelonety. Opierając się łokciami o burłę, mężczyzna z długą siwą brodą, który dawno już przekroczył pięćdziesiątkę, przyglądał się ciekawie portowi. Miał na sobie strój w stylu orientalnym: brunatny kaftan, który sięgał mu do kolan, obcisłe portki z doskonale wyprawionej skóry, turban, a na nogach sandały z plecionej skóry wiązane na łydkach rzemieniami. Oślaniając oczy dłonią, obserwował pstrokaty tłum: byli w nim rybacy, marynarze, cieśle okrętowi, kobiety, które siedząc na piasku, naprawiały takielunek i sieci, półnagie dzieci... Typowy widok na śródziemnomorskim wybrzeżu, pomyślał przybysz, czekając, aż ponownie ujrzy człowieka, któremu jego brat zawdzięczał życie, a on sam pomysłność i szczęście.

Gdy tylko w miejscu, gdzie zniknęła kotwica, przestały się rozchodzić koncentryczne kręgi, szalupa z dwoma marynarzami przybiła do prawej burty statku. Kapitan, ogorzały Cypryjczyk o imponującym wyglądzie, zamieniwszy z jednym z nich kilka słów, poszukał wzrokiem siwobrodego, a gdy go spostrzegł, skierował się ku niemu.

— Don Al-Malik, jesteśmy na miejscu. Wszystko gotowe, abyście opuścili statek. Zaraz każę przynieść wasz bagaż, który zostanie złożony w szalupie.

Słyszac ponaglajacy głos kapitana, chłopiec okrętowy pobiegł na rufowy kasztel i po chwili kilka toreb podróżnych z żaglowego płótna i podręczne zawiniątko znalazło się na dziobie niewielkiej łodzi.

Rashid al-Malik złożył trzy rytualne pocałunki na pokrytych zarostem policzkach Cypryjczyka i życzył mu szczęśliwych wiatrów. Następnie zszedł po sznurowej drabince, którą z dołu napinał stopą jeden z wiosłarzy, i zajął miejsce na rufie kołyszącej się szalupy.

Ta, pchana wioślami marynarzy, zaczęła powoli oddalać się od statku. Tymczasem widok nabrzeża stawał się coraz wyraźniejszy, a wrzawa bardziej ogłuszająca. Nagle Rashid dostrzegł, jak tłum się rozstępuje, żeby przepuścić kogoś, kto musiał być bardzo ważny, gdyż ludzie bez protestów odsuwali swoje sieci i liny i kłaniając się z szacunkiem, ustępowali miejsca. Lektyka niesiona przez czterech bosych mężczyzn oparła się na piasku wybrzeża i wysiadł z niej Marti Barbany. Rashid nie mógł dłużej czekać i gdy tylko dziób szalupy wbił się w piasek, przeskoczył przez burtę, za którą były fale, i pobiegł na spotkanie opiekuna. Połączył ich silny uścisk, przywracający wiele dawnych wspomnień. Obaj ze wzruszenia nie mogli wydobyć z siebie głosu. Kiedy Marti, wzięwszy Rashida za ramiona, odsunął go od siebie, dostrzegł w jego oczach łzy odbijające nastrój tej chwili.

— Nigdy nie przypuszczałem, że opatrność ześle mi na starość taką nagrodę — przemówił w końcu Rashid.

— No więc widzicie, los sprawił, że nasze drogi znowu się przecięły. Ale powiedzcie mi, jak się czuje wasz brat. I jak przebiegła podróż.

— Co do brata, to dzięki wam żyje szczęśliwy. Widuję go raz na rok podczas ramadanu i za każdym razem rozmawiamy o was i o dawnych czasach. Rejs był ogólnie dobry, los okazał się dla nas przychylny, a wiatr nam sprzyjał.

— Nie jestem dobrym gospodarzem, wybaczcie mi, ale tak bardzo pragnąłem was uścisnąć i o wszystko wypytać, że zapomniałem o waszym zmęczeniu. Powinienem pozwolić wam wypocząć po tak długiej podróży.

— Nie jest mi to potrzebne — odparł Rashid. — Zbyt jestem ciekaw nowin o was, o waszych ludziach i o tym wymarzonej mieście.

— Będziemy mieli czas na wszystko, Rashidzie. Teraz udamy się do domu, a kiedy już wyśpicie się w miękkim łożu i wzmocnicie dobrym posiłkiem, kapitan Manipoulos i ja będziemy czynili należne wam honory. Potem zostanę waszym przewodnikiem po mieście.

Na rozkaz Martiego dwóch służących, którzy mu towarzyszyli, podniosło z piasku bagaże Rashida i umieściło je na niewielkich noszach. Pasażerowie zajęli miejsca w lektyce i kiedy dowódca straży klasnął w dłonie, pochód ruszył z miejsca.

Marti Barbany spotkał się ze swoimi kapitanami. Zamierzał przedstawić im Rashida, a potem wprowadzić go w problem, z jakim się borykali, i poprosić, żeby pomimo ślubowania, które niegdyś złożył, przygotował grecki ogień i obmyślił sposób, w jaki będzie można go przetransportować. Marti wiedział, że powaga sytuacji, więzy przyjaźni i słuszny cel całego przedsięwzięcia skłonią Rashida do współuczestnictwa we wszystkim tym, co będzie mogło się przyczynić do urzeczywistnienia planu Manipoulosa.

Drzwi gabinetu otworzyły się i przed trzema mężczyznami stanął całkowicie odmieniony Rashid al-Malik.

— Wyglądacie jak inny człowiek. Czy już wypoczęliście?

— Nie wyglądam, panie, jestem innym człowiekiem. Chociaż moja kajuta pod pokładem była najlepsza na statku, odległość, jaka dzieli pryczę, na której spałem przez ostatnie miesiące, od miękkiego łoża alkowy, którą dla mnie przeznaczycie, jest większa niż morska przestrzeń pomiędzy moim krajem a Barceloną. Nie wiem, czy spałem przez jeden dzień, czy przez cały tydzień, czego bardzo bym żałował, ale kiedy zbliżała się pora zejścia na wieczerzę, popełniłem błąd i położyłem się na krótki odpoczynek. No i spałem, dopóki wasz majordom mnie nie obudził, czyli do dzisiejszego ranka.

— Byłbym złym gospodarzem, gdybym nie zadbał w pierwszej kolejności o wypoczynek swego gościa — odparł Marti, po czym, zwracając się do kapitanów, dokonał prezentacji: — To są moi przyjaciele, Rafael Munt i Basilis Manipoulos, których znacie z listów. — A zwracając się do nich, powiedział: — Oto sławny Rashid al-Malik. Opowiadałem wam, jak w pierwszych latach mojego żeglowania skrzyżowały się nasze drogi i jak Rashid wspólnie podzielił się ze mną rodzinnym sekretem, który umożli-

liwił zarówno interes z czarnym olejem, jak i wytwarzanie potężnej broni pozwalającej podpalić morze.

Kiedy obaj kapitanowie uścisnęli dłoń przybysza, Marti kontynuował:

— Czekaliśmy na was z wieczszą, kiedy Andreu Codina powiadomił mnie, że zasnęliście w waszej alkwie; wtedy poleciłem, żeby was nie niepokojono i pozostawiono w spokoju, aż wasze ciało wypocznie i samo się obudzi.

— Więc możecie mi wierzyć, że to się wam udało.

— Przytłynęliście w poniedziałek, spaliście przez półtorej doby, domyślał się zatem, że macie wilczy apetyt.

— Mógłbym pożreć całą kozłącą nogę — potwierdził Rashid.

— Więc zasiądźmy do stołu — zaproponował Marti. — Nie wiem, czy Mariona przygotowała tak wyśmienite danie, ale cokolwiek uwarzyła, posiłek na pewno będzie znakomity.

Marti Barbany i jego goście opuścili gabinet i skierowali się do jadalni na pierwszym piętrze.

Była to podłużna sala usytuowana od strony placu Sant Miquel. Wychodziły na niego trzy podwójne okna, przez które wpadało światło rozjaśniające pokój za dnia. Przy stole mogło zasiąść dwunastu biesiadników. Jedne drzwi prowadziły na schody, które łączyły jadalnię z mieszczącą się na dole kuchnią, drugie — do przytulnej salki obok, gdzie zwykle gawędzono po posiłku.

Pod ścianą stała lada do stawiania tac i stolnica służąca major-domowi do krojenia mięsiwa.

Czterej mężczyźni usiedli przy końcu stołu. Marti u szczytu, Manipoulos i Felet po jego lewej stronie, a po prawicy gość, Rashid al-Malik. Majordom, wyzwoleniec Omar, który miał się zajmować polewkami, i Gueralda, służąca w średnim wieku o twarzy oszpeconej blizną po nieszczęsnych ćwiczeniach Marty z procą, stali przy ladzie gotowi do usługiwania biesiadnikom. Andreu Codina napełnił kielichy wodą i winem, po czym podał miseczki z wyśmienitą polewką z mięsa i warzyw, która, jak powiedział Rashid, mogła człowiekowi odebrać rozum.

— To dowodzi, jak bardzo jesteście głodni — skomentował Marti.

Manipoulos, który często jadał w tym domu, wtrącił:

— Jesteście przyzwyczajeni do tak dobrej kuchni, Marti, że nie odróżniacie już tego, co smaczne, od tego, co wyśmienite.

Felet między jedną łyżką zupy a drugą pochwalił się starą przyjaźnią.

— Już od małego miał wrażliwe podniebienie. Nie wiem, jak to robił, ale dzięki handlowi wymiennemu i zakładom zawsze zdobywał najlepsze kąski.

— Tak też mu poszło w życiu: on jest najbogatszym człowiekiem w Barcelonie, a my dwoma biednymi kapitanami — dodał Grek.

Marti się uśmiechnął.

— Nie macie nic do powiedzenia, Rashidzie?

Ten przerwał na chwilę głośne siorbanie, wytarł rękawem usta i rzekł:

— Wybaczcie, ale tak wielki głód nie pozwala mi na głupstwa.

Posiłkowi towarzyszyła pilna krzątanka służby. Wśród rozmaitych dań wyróżniała się podana z białym pieczywem potrawka z jelenia, którą cała czwórka zaatakowała małymi dwuzębnymi widelczykami i nożami. Na końcu wjechały na stół misy z pokrojonymi owocami w śmietanie. Kiedy skończyli, Marti zaproponował, żeby przeszli do sąsiedniej salki, gdzie wygodniej im będzie rozmawiać, i kazał Omarowi zawołać na chwilę Martę, żeby przywitała się z gościem.

Zaledwie usiedli na ławach, kiedy w drzwiach ukazała się Marta. Wyglądała ślicznie w zielonej sukni z kwadratowym wycięciem i włosami zebranymi w dwa koczki po bokach; na nogach miała trzewiczki tego samego koloru co sukienka, z nieco ciemniejszym obszyciem i lekko zadartymi czubkami.

Marti wskazał na nią z dumą.

— Jak wam się podoba moja córka, Rashidzie?

Gość odpowiedział głębokim głosem, ze wschodnią poetycką delikatnością:

— Jeżeli jej dusza jest tak piękna jak jej twarz, panie, to jesteście szczęśliwym człowiekiem.

Po zwyczajowych komentarzach w rodzaju: „doprawdy, wasz dom zasługiwał na taką panią” czy „jeżeli nie będziecie bardzo uważali, wkrótce wam ją porwą”, Marti nakazał majordomowi, żeby zostawił ich samych. Marta też wyszła, choć chwilę wcześniej przebiegła wzrokiem po zatroskanych twarzach mężczyzn. Coś jej mówiło, że ojciec wybiera się w długą podróż...

Rozmowa trwała aż do chwili, gdy dzwony kościołów wezwały na wieczorną modlitwę. Ponieważ już się zmierzchało, Andreu

Codina zjawił się z ogarkiem, żeby zapalić kandelabry. Kiedy wyszedł, Rashid al-Malik zabrał głos.

— Panie, wasze wyjaśnienia były obszerne i szczegółowe. Zrozumiałem problem, który was gnębi, i zapoznałem się z planem kapitana Manipoulosa. Wiadome są wam powody, dla których moja rodzina ślubowała nie zdradzać tajemnicy greckiego ognia. Jak mówiłem onegdaj, tak powtarzam i dziś: nie ma nic, czego mógłbym wam odmówić. Sygnet, który mi podarowaliście i który noszę na serdecznym palcu, przypomina, że zawdzięczam wam życie brata. Jestem człowiekiem religijnym i wiernym sługą Allaha, Miłosiernego i Litościwego. Mam nadzieję, że On mi wybaczy i zrozumie, iż muszę pogodzić nakazy swojej religii z obowiązkami, jakie nakłada przyjaźń, którą jestem wam winien i której też wymaga Święta Księga. Moja propozycja jest zatem następująca: udostępnijcie mi odpowiednie miejsce i konieczne środki, nie zapominając też o jakimś godnym zaufania człowieku, który by mi pomógł w pracy, a ja wyprodukuję dla was grecki ogień tak, że jego sekret pozostanie zachowany, i wyślę go tam, gdzie będzie wam potrzebny. Oczywiście musicie mi dostarczyć wszystkie składniki, ale nikt poza mną nie będzie znał proporcji; jedynie wam będę gotów je podać, abyście mogli użyć tego środka do osiągnięcia słusznych i sprawiedliwych celów.

Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia.

Marti zabrał głos.

— Nie tylko wydaje mi się to słuszne, ale jestem też dumny z waszej przyjaźni. Już dawno temu uczyniliście mi wielki zaszczyt, powierzając mi ten niebezpieczny sekret, jednakże jako człowiek pokoju puściłem tę formułę w niepamięć. Mam nadzieję, że zrozumiecie, iż postąpiłem tak nie dlatego, że nie ceniłem waszego prezentu; przeciwnie — ceniłem go do tego stopnia, że nie chciałem zapisać formuły na pergaminie, obawiając się, iż mogłaby wpaść w niepowołane ręce i spowodować niepowetowane straty dla ludzkości. — Zamilkł na chwilę. — Miejsce, które już wybrałem, licząc na waszą przyjaźń i przychyłość, spełnia wszystkie konieczne warunki; jest bezpieczne i całkowicie dyskretne. To grota wydrążona w górze i oddalona od wszystkich dróg. Będziecie mogli pracować spokojnie i nikt nie będzie tam węszył, kim jesteście i co robicie; pomyślałem też o kimś, kto może wam pomagać. Ma na imię

Ahmed i wychował się w moim domu. Mam do niego pełne zaufanie i wiem, że będzie bardzo zadowolony z tej pracy, gdyż pozwoli mu ona oderwać się od problemów, z jakimi biedak się teraz boryka. Jutro was z nim poznam: z pewnością się wam spodoba. A teraz, Rashidzie, myślę, że powinniście podać kapitanowi Muntowi listę koniecznych składników. Wyobrażam sobie, że zebranie ich wszystkich nie będzie sprawą łatwą i potrwa co najmniej kilka dni.

— W istocie, panie. Wprawdzie niektóre są na wyciągnięcie ręki, ale inne bez wątpienia będziecie musieli sprowadzić z odległych rynków.

Marti wstał, podszedł do stolika w kącie salki i potrząsnął małym dzwonkiem z brązu.

Po chwili na schodach rozległy się kroki majordoma.

— Czego sobie życzycie, panie?

Marti, wracając na swój fotel, polecił:

— Andreu, przynieś przybory do pisania: kałamarz, pióro i pergamin; i pośpiesz się, to pilne.

— Natychmiast, panie.

Majordom wyszedł, zamykając za sobą drzwi, i już po chwili był z powrotem, niosąc to, czego żądał Marti.

— Czy coś jeszcze, panie?

— Nie, Andreu, możesz odejść.

Gdy tylko zostali sami, Marti powiedział:

— Felet, zajmij się spisaniem listy.

Zdjąwszy z ramienia pelerynę, kapitan Munt podszedł do stolika i zaczął szykować przybory do pisania. Zaostrzył nożem trzcinki, otworzył kałamarz, wsypał do niego fioletowy proszek ze słoiczka i potrząsnął; potem przygotował pergaminy i skinieniem głowy powiadomił obecnych, że jest gotów.

— Możesz dyktować, Rashidzie — rzekł Marti, zwracając się do swojego starego przyjaciela.

Ten, głaszcząc dwoma palcami nasadę nosa, zaczął:

— Pozwólcie, że zachowam kolejność, w przeciwnym razie mogę o czymś zapomnieć. Mam tę formułę w głowie i powtarzałem ją sobie tysiące razy; ponieważ jest to sekret mojej rodziny, jak sami rozumiecie, nie jest zapisany na żadnym pergaminie: proporcje znajdują się tylko tutaj. — Poklepał się delikatnie w czoło.

Panowała całkowita cisza, do tego stopnia, że skwierczenie malutkiego owada, który spłonął w lampce oliwnej, zabrzmiało jak grzmot.

Rashid al-Malik powiedział zdecydowanym tonem:

— Przed wszystkim surowy olej skalny; to on powoduje, że preparat pływa na wodzie; potem siarka, która paląc się, wydziela trujące opary; niegaszone wapno, co w zetknięciu z płynnym składnikiem reaguje, uwalniając wystarczająco dużo ciepła, by zapalić materiały łatwopalne; żywica do ożywienia ognia, tłuszcz zwierzęcy w celu zespolenia wszystkich elementów i saletra, która paląc się, wydziela tlen, co sprawia, że ogień płonie nadal pod wodą. I wreszcie wosk pszczeli. Ilości... Myślę, że dwa funty każdego z tych produktów wystarczą do urzeczywistnienia waszego planu.

Kapitan Munt kazał powtórzyć sobie kilkakrotnie tę listę składników, żeby żadnego nie pominąć. Kiedy przeczytał na głos cały tekst, a Rashid ostatecznie go zaaprobował, kapitan Manipoulos powiedział:

— Na wszystkich bogów Olimpu, ileż to razy moje grzeszne uszy słyszały o tym greckim ogniu! Nigdy jednak nie przypuszczałem, że kiedyś poznam jego składniki. Myślałem, że istnieje on tylko w opowieściach starych marynarzy, podobnie jak syreny, które śpiewem zwabiają nieszczęśników do skalistych brzegów, albo węże o olbrzymich paszczach, połykające całe statki. Czy wy, Rashidzie, widzieliście kiedyś, jak to działa?

— Tylko raz. I nie dość, że widziałem, to jeszcze wytworzyłem wówczas ten środek własnymi rękami, jedynie z pomocą brata.

— Kiedy to było? — spytał Marti.

— Zanim Hasan udał się na wygnanie. — Starzec przymknął oczy, jakby przypominał sobie z wysiłkiem, i pogładził się po brodzie. — Byliśmy bardzo młodzi i ciekawiło nas, czy przekaz naszych przodków jest prawdziwy, czy też to zwykła fantazja. Tak więc w przydomowej szopie zabraliśmy się do pracy. Kiedy ukończyliśmy nasze dzieło, poszliśmy nad staw na pobliskim polu i wrzuciliśmy do wody stary pniak. Potem cisnęliśmy w niego małym glinianym garnkiem wypełnionym tym preparatem. Tego, co zobaczyliśmy, nigdy nie zdołaliśmy zapomnieć. Pień zapłonął

jak słoма i mimo że zanurzyliśmy go w wodzie, nadal płonął zanurzony, aż całkiem się wypalił.

Zaległa głęboka cisza. Potem znowu przemówił Marti.

— Jeżeli wasz sekret umożliwi nam odbicie mojego przyjaciela, kapitana Jofre, do końca życia nie zdołam spłacić wam długu wdzięczności.

— Jeżeli sekret mojej rodziny przyczyni się do urzeczywistnienia waszych zamiarów, zaledwie zacznę spłacać swój dług — rzekł uroczyście Rashid al-Malik.

40

Ojciec Magí

Magí nadal odwiedzał lupanar w pobliżu Montjuïc, wspominając namiętne chwile swojej inicjacji. Poznał tam torturę i ekstazę. Ta kobieta prowadziła go drogami rozkoszy od siódmego nieba po otchłań piekieł. Pod koniec każdej z wizyt zadawał jej to samo pytanie: „Czy zostało jeszcze coś, czego mógłbym się nauczyć, Nur?”. A ona, myjąc się w miednicy, odpowiadała niezmiennie: „To dopiero początek”. „Kiedy poznam wszystko?”. „Nie śpiesz się, to długa droga, która nie ma końca i którą trzeba się posuwać powoli”. I do tej chwili kobieta dotrzymywała obietnicy: za każdym razem szukała nowego, odmiennego sposobu zaspokojenia jego namiętności. Cierpienie, kiedy nie mógł się udać na spotkanie, było porównywalne tylko z rozkoszą, jaką osiągał w chwili najwyższego uniesienia. Sumienie oskarżało go każdej nocy i w dręczących snach zawsze widział swoją duszę zanurzoną w piekielnych kotłach. Sobotnia spowiedź była dlań torturą. Zmuszony do tego, niezmiennie kłamał, co powiększało jego poczucie winy. I ostatnio popełnił najpodlejszy z grzechów: nie mając skąd wziąć pieniędzy na zaspokojenie swojej lubieżności, nie miał innego wyjścia, jak tylko ukraść je z puszek na jałmużnę.

Już dziewięć razy odwiedził lupanar i za każdym razem domagał się tej samej kobiety, tak więc zarządca już go nie pytał, kogo sobie życzy, jedynie zażądawszy zapłaty z góry, wprowadzał go do pokoju i wołał głośno Nur. Ta, jeśli nie była zajęta, natychmiast się pojawiała.

Magi wiedział, że oczekiwanie jest nieomylną oznaką, iż jest z innym klientem, a ta okoliczność torturowała mu duszę i sprawiała, że na jego skroniach pojawiał się zimny pot.



Eunuch Maimón, sługa Bernabé Mainara, był bardzo zajęty. Z jednej strony pochlebiało mu zaufanie, jakim pan go darzył, jednakże z drugiej — wyczerpywał go ogrom pracy. Oprócz utrzymywania porządku w lupanarze mieszczącym się w domu, który dawniej należał do Martiego Barbany, był też odpowiedzialny za inny przybytek, usytuowany na wschodnim zboczu wzgórza Mont-juic. Chociaż pan mu ufał i dał rozległe uprawnienia, postawił jasno dwa warunki. Gdyby doszło do jego uszu cokolwiek związanego z Martim Barbany albo Eudaldem Llobetem, miał natychmiast mu to powtórzyć. Podobnie miał go zawiadomić, gdyby ktoś znaczący lub jakiś duchowny przyszedł tam, żeby ulżyć swoim żądzom. I właśnie tego ranka Maimón pojechał na grzbiecie osła, żeby zobaczyć się ze swoim panem. Kiedy dotarł do celu i otworzył furtkę, spotkał Paciá, który pracował w ogrodzie.

— Wiesz, czy pan jest w domu?

— Powinien być, bo przed chwilą była tu Ranią po warzywa na obiad.

Maimón zostawił osiołka pod opieką sługi, wszedł do domu tylnymi drzwiami i skierował się ku gabinetowi Mainara; kiedy doszedł do rzeźbionych drzwi, zapukał. Akurat wychodziła stamtąd Ranią, niosąc pustą tacę, więc Maimón, który znał zmienne nastroje swego pana, spytał ją, zniżywszy głos:

— Czy jest w dobrym humorze?

— Nie nauczono cię mówić „dzień dobry”? — odrzekła. — Tak, dzisiaj jest w dobrym humorze.

Z wnętrza dobiegł go głuchy głos.

— Wejść.

Eunuch wsunął głowę do pokoju.

Zobaczywszy go, Mainar odłożył na bok papiery, które właśnie przeglądał.

— Co cię tu sprowadza, Maimónie?

Eunuch wszedł do pokoju i pełen szacunku zatrzymał się na skraju grubego dywanu.

— Panie, zastosowałem się dokładnie do waszych poleceń i myślę, że w obecnych okolicznościach mam wam coś do powiedzenia.

Mainar przyjrzał mu się uważnie.

— Usiądź, Maimónie. Domyślam się, że to coś bardzo interesującego.

Sługa usłuchał, zdziwiony i zadowolony, i pomyślał, że może uda mu się coś na tym zyskać. Siedząc na brzegu fotela, zaczął mówić.

— Chodzi o to, panie, że jakieś pół roku temu w domu na Montjuic zaczął bywać pewien młodzieniec, który, jak od początku podejrzewałem, jest duchownym. To podejrzenie przemieniło się w pewność, kiedy zdjął czapkę i mogłem się przyjrzeć jego włosom: odkryłem wtedy, że ma tonsurę. Za pierwszym razem był bardzo nieufny i rozglądał się wokół, ale z biegiem czasu nabierał pewności siebie i poza tym niezwykłym faktem, że nie chciał wchodzić do ogólnej sali, zaczął zachowywać się swobodnie. Ponieważ znam się na bydle przychodzącym do wodopoju, co jest jedną z podstawowych cech, jakie musi mieć ktoś, kto zarządza takim miejscem, od pierwszego dnia przydzieliłem mu Nur, która nie jest żadną uległą niewolnicą, tylko heterą lubiącą swój zawód. Potwierdziła mi bez najmniejszej wątpliwości, że młodzieniec jest księdzem. Jego odwiedziny stawały się coraz częstsze, ale księżulek nie chciał poznać żadnej nowej kobiety, zawsze musiała to być Nur. Pewnego razu, kiedy nie mogła natychmiast się nim zająć, bo miała innego klienta, nie tylko nie chciał kobiety, którą mu zaproponowałem, ale też zmienił się na twarzy i zaczął przemierzać nerwowo pokój tam i z powrotem. A ostatnim razem dowiedziałem się czegoś, co, jak sądzę, może być ważne.

— Cóż to takiego?

Eunuch poznał po błysku w jedynym oku swego pana, że jest na dobrej drodze.

— Dałem instrukcje Nur, która następnym razem po zabawie z gościem skierowała rozmowę na temat, który, jak mi to mówiliście, najbardziej was interesuje.

— Słucham cię uważnie, Maimónie, i jeżeli twoje informacje okażą się cenne, poza swoim zwykłym wynagrodzeniem zasłużysz na dodatkową nagrodę.

Oczy eunucha zabłyszczały zachłannie.

— Panie, moje przypuszczenia się potwierdziły. Nasz człowiek

jest niskiego pochodzenia: jego matka, skromna wdowa, mieszka na Montjuïc w pobliżu kamieniołomów i zajmuje się położnictwem. Żeby zaoszczędzić najedzeniu i zapewnić synowi nieco wykształcenia, umieściła go w Pia Almoina, z nadzieją, że w takim otoczeniu poczuje on powołanie do stanu duchownego, a przynajmniej będzie żywiony i ubierany przez co najmniej osiem czy dziesięć lat. Podobno z czasem przydzielono go do biblioteki, a ponadto jest on koadiutorem archidiacona i spowiednika hrabiny, Eudalda Llobeta.

Mainar aż wychylił się do przodu w swoim fotelu.

— Maimónie, jeżeli się okaże, że rybka, która wpadła w sieć, może posłużyć do urzeczywistnienia mojego planu, zarobiłeś już na chleb na stare lata.

Gruby eunuch uśmiechnął się zadowolony.

— Nie ma tu żadnej mojej zasługi, panie. Wypełnianie waszych rozkazów jest moim obowiązkiem.

— Wynagrodzę twoją wierność i gorliwość; jestem surowym, ale sprawiedliwym panem. Żądam, aby mnie słuchano, lecz potrafisz docenić tych, co czynią to tak dokładnie i skutecznie jak ty. Powiem ci, co zrobimy: będziesz stopniowo robił temu nieszczęśnikowi drobne przysługi. Zaczнеш od oferowania niższych cen, pewnego ustalonego dnia nie przyjmiesz od niego pieniędzy, aż wreszcie, kiedy będzie się tego najmniej spodziewał, powiesz mu, że ceny zostały podniesione. Jeśli zaprotestuje, powiesz, że się narażasz i że choć bardzo ci przykro, nie możesz go wpuścić. Dobrze wywiązawszy się z tego zadania, zaskarbisz sobie jego zaufanie i wzmożesz pożądlivość do tego stopnia, że zacznie cię błagać. Wtedy musisz udać, że się nad nim litujesz, i obiecać, że spróbujesz ze mną porozmawiać, chociaż w ten sposób narazisz się na utratę stanowiska. A teraz najważniejsza sprawa.

Mainar, śledzony zaciekawionym spojrzeniem Maimóna, wstał z fotela i podszedł do stojącego w kącie kufra. Po chwili poszukiwań wyciągnął pudełko z drewna i skóry. Usiadłszy znowu, przemówił poważnym głosem:

— Oto wręczam ci, Maimónie, proszek szczęścia; tylko temu on nie służy, kto go używa bez umiarkowania: o ile początkowo daje człowiekowi przyjemność, o tyle z czasem czyni go swoim niewolnikiem, który już nie może się bez niego obejść.

Eunuch wziął pudełko w dłoń z lękiem i czcią.

— Otwórz — rozkazał Mainar.

Maimón usłuchał i dostrzegł na dnie suche ziele.

— Daj Nur szczyptę tego ziele. Ona spali je w kadzielnicy i każe młodzieńcowi wdychać dym, obiecując mu, że w ten sposób zagna najwyższej możliwej ekstazy. Od tej chwili książulek gotów będzie zabić własną matkę, byle tylko powtórzył się ten sen.

41

Pożegnania

Martí, stojąc przy oknie na wieży, patrzył na Barcelonę rozciągającą się u jego stóp. Miasto rozrosło się do niespodziewanych rozmiarów; dzwonnice kościołów Sant Jaume, Sant Miquel, Sants Just i Pastor, a zwłaszcza profil katedry, przecinały niebo; na północy widoczna była góra Tibidabo, od wschodu widok przesłaniała bryła pałacu hrabiowskiego i fragmenty murów miejskich, na zachodzie odcinało się wzgórze Montjuïc, a od południa rozlewał się błękit Morza Śródziemnego. To na jego brzegu leżało to miasto, które tak kochał, do którego rozwoju ogromnie się przyczynił i w którym pragnął być pochowany.

Podjął już decyzję, ale czuł, że ściska mu się serce. Zanim wyruszy w ryzykowny rejs, by wyrwać ze szponów Nagiba swojego przyjaciela, kapitana „Lai”, musi zadbać o zapewnienie bezpieczeństwa rodzinie i interesom, ażeby potem móc się skupić wyłącznie na celu swojej misji. Pierwszą przeszkodą była rozłąka z Martą; pomimo że zostawiał ją w pałacu pod opieką hrabiny, gdzie miała kontynuować naukę, i wiedział, że ta decyzja jest słuszna, jego serce krwawiło. Zdawał sobie sprawę, że aby wszystko przebiegło zgodnie z ustalonym planem, powinien działać poważnie, choć był też świadom, że wiele decyzji przyjdzie mu podejmować w ostatniej chwili, aż Manipoulos przeprowadzi niezbędne rozpoznanie.

Wydarzenia biegnęły szybko. Tego ranka postanowił odbyć długą rozmowę z Martą o jej przeprowadzce do pałacu, a potem spotkać

się z Ahmedem, którego wyznaczył jako pomocnika Rashida al-Malika i który razem z Feletem miał przewieźć gotowy grecki ogień do Apulii.

Marti Barbany nie dawał się łatwo zniechęcić. Zdenerwowany skierował się na taras, gdzie pod arkadami czekała nań córka. Kiedy pokonał już schody, dostrzegł ją przez zasłonę. Serce mocniej mu zabiło. Marta była już małą kobietą, a ponadto żywym odbiciem swojej matki w wieku, w którym ją poznał. Jego myśli pofrunęły ku dniom, kiedy mała Ruth, podawszy mu w ogrodzie swego ojca lemoniadę, ociągała się z odejściem, żeby móc z nim porozmawiać, aż Baruch, jego stary przyjaciel, zniecierpliwiony nakazał jej wracać do matki albo do sióstr, co zrobiła bardzo niechętnie, nadąsana.

Teraz Marti zaczerpnął głęboko powietrza i zdecydowanym krokiem wszedł na taras.

Dziewczynka, gdy tylko go dostrzegła, wybiegła mu na spotkanie i wzięwszy go za ręce, zaczęła nim wesoło obracać.

— Marto, na miłość boską, nie jesteś już dzieckiem.

— Ojcze, tak trudno mi się z wami zobaczyć, że kiedy doña Caterina powiedziała, iż na mnie czekacie na tarasie, musiałam się uszczypnąć, żeby się upewnić, że to nie sen.

Marti zmusił ją, żeby przestała wirować; po wyrazie jego twarzy dziewczynka się zorientowała, że ma jej coś ważnego do powiedzenia.

— Czy coś się stało, ojcze?

Marti starał się uniknąć natychmiastowej odpowiedzi.

— Chodź, Marto, usiądźmy w krużganku; jesteś już prawie kobietą, muszę z tobą poważnie porozmawiać.

Dziewczynka poszła za ojcem i oboje usiedli na zwróconej ku morzu wiklinowej ławce z poduszkami. Marti rzucił córce przenikliwe spojrzenie, które nie uszło jej uwagi. To ona zaczęła rozmowę.

— Niepokojcie mnie, ojcze. Co się stało?

— Wiele rzeczy, córeczko, co zmusza mnie do podjęcia decyzji, które w zwykłych warunkach mogłyby jeszcze poczekać.

— Mówcie.

Marti poruszył się nerwowo.

— W takich chwilach jak ta bardziej niż kiedykolwiek brakuje mi twojej matki. Są takie sytuacje, z którymi my, mężczyźni, bardzo źle sobie radzimy.

— Domyślał się, ojcze, że to, co chcecie mi powiedzieć, dotyczy bezpośrednio mnie. A przecież powiadacie, że jestem już prawie kobietą. Mówcie więc ze mną jak z kobietą.

— Okoliczności przyśpieszyły bieg wydarzeń i być może sprawiły, że to, co miało stać się później, stanie się wcześniej. W każdym razie nie mogłem dłużej zwlekać z podjęciem decyzji.

Marta patrzyła nań pytająco, toteż oznajmił:

— Muszę udać się w podróż, córeczko.

— Zawsze to robiliście, ojcze.

— Ale tym razem będzie to długa podróż. Dlatego muszę teraz przedsięwziąć środki, które w innych okolicznościach odłożyłbym o kilka miesięcy.

— A cóż to za środki?

— To decyzje, które dotyczą przyszłości i wnoszą do twojego życia ważne zmiany.

Tym razem dziewczynka poruszyła się niespokojnie; w ciszy poranka dał się słyszeć szelest jej adamszkowej tuniki ocierającej się o oparcie.

— O jakie zmiany chodzi, ojcze?

Marti usiłował znaleźć jakąś okrężną drogę, żeby w przekonujący sposób zapoznać córkę ze swoim planem.

— Jak już ci mówiłem, Marto, nie będzie mnie przez długi czas i już pora, żebym zajął się twoim wykształceniem, jak powinno się to czynić w przypadku dziewczynki o twojej pozycji.

— Już się tym zajęliście, ojcze. Mam wychowawcę i preceptora we wszystkich dyscyplinach i mogę wam za nimi powtórzyć, że w wielu przedmiotach wyprzedzam swoje rówieśnice — powiedziała Marta z nieskrywaną dumą.

— Nie mam na myśli wiedzy, Marto, ale zasady dobrego wychowania, a także znajomości, które bez wątpienia ci się przydadzą, kiedy prawa natury nie pozwolą mi już się tobą zajmować.

Cień przesłonił jej piękne oczy.

— Nie lubię, kiedy tak mówicie, ojcze.

— Ja też nie lubię mówić ci takich rzeczy — odparł Marti z łagodnym uśmiechem. — Oby Bóg zesłał mi długie życie, ale nikt nie może tego zagwarantować.

Dziewczynka zaoponowała.

— Mam przy sobie ojca chrzestnego i doñę Caterinę. Czego więcej mogę pragnąć?

— Eudald nadal będzie blisko ciebie... Co do doñi Cateriny, wypełniła z nadwyżką swoje zadanie, ale w twoim wieku potrzebne jest ci inne towarzystwo.

— Dobrze, ojcie — ustąpiła Marta. — Nie sprzeciwiam się temu; podobnie jak szanowałam nauczycieli i wychowawców, których sprowadziliście, gotowa jestem przyjmować nauki od takich osób, jakie uznacie za odpowiednie.

— Nie o to chodzi, Marto.

— Więc o co, ojcie?

Marti westchnął głęboko. Nadeszła ta chwila, kiedy musiał jej powiedzieć o swoich planach.

— Kiedy będę nieobecny, ten dom może się upodobnić do pustyni — zaczął.

— Zawsze w nim mieszkałam i nigdy nie czułam się samotna — odparła ze zdziwieniem Marta. — Wciąż jest ze mną Amina, doña Caterina... i wszyscy, ojcie.

— I właśnie dlatego uważam, że powinnaś mieć przy sobie inne osoby.

— Już mówiłam, że gotowa jestem przyjąć, kogo zechcecie.

— Towarzystwo, którego dla ciebie pragnę, tu nic przyjdzie; trzeba do niego iść.

Wyjął z kieszeni chustkę i starł krople potu z czoła.

— Marto, miałem to szczęście, że hrabina Almodis zgodziła się przyjąć cię na swój dwór. Pod moją nieobecność będziesz mieszkała w pałacu.

Dziewczynka naprężyła się jak cięciwa łuku i spojrzała ojcu prosto w oczy.

— Czy chcecie powiedzieć, że muszę opuścić nasz dom i spać w pałacu hrabiiego?

Marti ze wszystkich sił starał się zachować silną wolę.

— Będziesz codziennie widywała Eudalda i otrzymasz najlepszych nauczycieli w hrabstwie; tych samych preceptorów, którzy wychowują hrabianki.

Marta się zbuntowała.

— Nie widzę w tym żadnej korzyści, ojcie. Mam już najlepszych nauczycieli i to jest mój dom, i chcę być ze swoimi.

— Na tym właśnie polega problem — odparł Marti, podnosząc nieco głos. — W swoim wieku powinnaś spotykać się na co dzień z innymi ludźmi, dlatego chcę, żebyś zamieszkała w pałacu. Wy chowanie dziewczynki o twojej pozycji nie sprowadza się do nauki. Osoby, które będą cię już wkrótce otaczały, należą do najbardziej wpływowych rodzin w hrabstwie. Nadejdzie dzień, kiedy będę musiał wybrać dla ciebie męża spośród synów najwybitniejszych obywateli Barcelony, i wcześniej powinnaś poznać ludzi, od których będziesz mogła wiele się nauczyć.

Marta trwała przy swoim.

— Z całym szacunkiem, ojcze, nie chcę wychodzić za mąż ani nikogo poznawać.

Marti jeszcze wyraźniej przypomniał sobie charakter jej matki, swojej ukochanej Ruth, i jej wieczne sprzeczkę z ojcem.

— Marto — usiłował przekonać córkę — nie do dziewczyny należy wybór męża; to ja muszę zdecydować, kto będzie mógł cię poślubić. Pieniądze otworzyły przede mną wiele drzwi i moja godność obywatela, z takim trudem zdobyta, pozwoliła mi osiągnąć pozycję, jakiej nigdy bym nie osiągnął dzięki urodzeniu, ale niestety wiele drzwi nadal jest przede mną zamkniętych. Teraz pojawiła się okazja: dzięki względom hrabiny Almodis, która postanowiła przyjąć cię na dwór, chociaż nie jesteś szlachetnie urodzona, będziesz mogła dostąpić zaszczytów, jakie mnie były zakazane. W tym celu jest niezbędne, żebyś zamieszkała w pałacu, w otoczeniu znaczących osób, by twoja obecność wśród nich stała się równie zwyczajna jak którejkolwiek z dam. Jak ci mówiłem, przez długi czas będę poza domem. Wiem, że początkowo może być ci trudno, ale po moim powrocie będziesz błogosławiła tę decyzję, która tak czy owak jest nieodwołalna.

Marta dobrze знаła swojego ojca i zrozumiała, że od tego postanowienia nie ma odwrotu.

Ociągała się przez chwilę, zanim zapytała:

— Czy będę mogła zabrać ze sobą Aminę?

Marti nie czuł się na siłach odmówić córce spełnienia tej prośby.

— Jeśli ty tego pragniesz, a ona zechce, niech tak będzie.

— Czy mogę odejść, ojcze? — spytała. Do oczu napłynęły jej łzy, ale zdołała je powstrzymać.

— Możesz.

Wstała, zamierzając odejść.

— Teraz tego nie rozumiesz, córeczko, ale za kilka lat będziesz mi wdzięczna.



Omar czekał na przyjazd syna przy wejściu na wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec. Minął już dłuższy czas, odkąd chłopak przeniósł się do młyna, i ostatnim razem, kiedy był w domu i widział się z matką, on załatwiał coś w stoczni, tak więc nie zdołał się z nim zobaczyć.

Ahmed wzdrygnął się na widok ojca stojącego pod wielkim kamiennym łukiem bramy wjazdowej do domu Martiego Barbany. Omar, który zawsze był szczupły, teraz ukazywał się oczom syna błądy i wychudzony, z wodnistym, wyblakłym spojrzeniem; na jędrnych niegdyś policzkach rysowały się dwie głębokie zmarszczki, uszy wydały się niezwykle wielkie, a cera nabrała oliwkowego tonu. Jednak widać było, że stara się nadrabiać miną.

Kiedy Ahmed zsiadł już z wierzchowca, którego sługa zabrał zaraz do stajni, ojciec i syn uściskali się; potem obaj zrobili krok do tyłu i przez chwilę przyglądali się sobie nawzajem.

— Czy dobrze się czujecie, ojcze? Widzę, że nieco pobledliście, a przecież przebywacie stale na słońcu.

— To ten przeklęty narząd regulujący wydzielanie humorów zaczyna mi się psuć; nie mów nic matce, która zamęcza mnie gderaniem. — I po pauzie dodał: — Idź się z nią zobaczyć, a zanim wejdiesz do gabinetu pana, zgol tę brodę, która nawet nic jest brodą. Nie chcę cię besztać w dniu, kiedy wreszcie mogę się z tobą zobaczyć, ale twoje niechlujstwo pasuje bardziej do tajemnego niż do sługi Proroka.

Ahmed nie chciał urazić ojca i próbował się usprawiedliwić.

— To z powodu pośpiechu, ojcze; pracowałem w młynie, gdy po mnie przysłano. Zapewniam cię, że jak tylko przywitam się z matką, ogolę się, a dopiero potem pójde do pana.

Przebiegł dziedziniec i wszedłszy do domu, skierował się do kuchni. Matka stała odwrócona do niego plecami, pochylona nad kotłem bulgoczącym nad paleniskiem. Powtarzając figiel, który tyle razy robił jako mały chłopiec, podszedł do niej i z wielką ostrożnością rozwiązał jej fartuch. Naima wydała okrzyk zaskoczenia zmieszanego z radością. Domyśliła się, że przyjechał syn.

Odwróciła się szybko i pytania bezładnie zaczęły jej się cisnąć na usta.

— Co tu robisz? Kiedy przyjechałeś? Okropnie wyglądasz. Nie rozumiem, dlaczegoś się uparł, żeby zamieszkać w młynie... Tam matka nie może się tobą zająć. — Po chwili napłynęły następne pytania: — Czy pan cię wezwał? Widziałeś się już z siostrą? Czy zostaniesz z nami?

— Przyjechałem zobaczyć najpiękniejszą kobietę na świecie, to przede wszystkim; jeszcze nie widziałem Aminy, zobaczę ją przy wieczery. Tak, wezwał mnie pan. Dajcie mi, matko, miednicę gorącej wody i brzytwę ojca; muszę się trochę ogarnąć, nieprawdaż? — powiedział z uśmiechem.

Kobieta, słysząc, że pan czeka na jej syna, zaczęła gorliwie wszystko przygotowywać: wzięła z półki warząchew i zaczerpnąwszy nią ze stojącego na ogniu kotła gorącej wody, wlała ją do miednicy, potem dała mu kostkę mydła z sody i łoju, które sama wyrabiała. Ze swojego pokoju przyniosła brzytwę Ornara i pas do jej ostrzenia z garbowanej i natłuszczonej skóry oraz płytkę z polerowanego metalu, odbijającą wizerunek tego, kto przed nią stał, i położyła to wszystko przed synem.

— Jesteście najlepszą matką na świecie.

— Dość tych pochlebstw! Pośpiesz się, nie każ panu na siebie czekać.

Ahmed zdjął koszulę, namydlił twarz i naostrzywszy na skórzanym pasie brzytwę, zaczął się golić, rozmawiając jednocześnie z matką.

— Matko, co się stało ojcu?

Kobieta obróciła się, przerywając swoje zajęcie, a na jej twarzy odmalowała się ogromna troska.

— Dlaczego pytasz? Coś zauważyłeś?

— Spotkałem go na dziedzińcu przy wejściu. Jego cera nie jest taka jak dawniej. Może, widując go codziennie, nie dostrzegacie tego.

— Jak mogę tego nie dostrzec? To dlatego, że jest bardziej uparty niż żrebna oślica i pomimo zaleceń pana i ojca Llobeta nie zgadza się, żeby go zbadał medyk Harusz, chociaż zapisał mu lek do zażywania przed każdym posiłkiem. Sama go przygotowuję, gotując karczochy, szaflwię i jałowiec, co mu trochę pomaga. Którejś nocy przed świtem wstał i opróżnił w stajni żołądek; kiedy go usłyszałam, poszłam za nim, podejrzewając, że coś przede mną

ukrywa, ale on, rozzłoszczony, odesłał mnie z powrotem na górę. Mimo to zdążyłam zauważyć, że w jego wymiotach są smużki krwi.

Ahmed, z namydloną jeszcze połową twarzy, słuchał uważnie słów matki.

— Ależ tak dalej nie może być, matko. Trzeba coś zrobić.

— Teraz już idź, nie każ panu czekać. Porozmawiamy po wczerezy.

Chłopak skończył się golić, włożył znów koszulę w portki, przetań szmatą trzewiki, zwilżył włosy i przyglądził je dłonią, po czym udał się do gabinetu pana. Jak zawsze, odkąd był dzieckiem, kiedy siedł pod kasetonowym sufitem, serce zaczęło bić mu szybciej. Długi korytarz zaprowadził go do drzwi gabinetu, zza których dochodził szmer głosów.

Zapukał cicho do drzwi i usłyszał głos Martiego:

— Wejść.

Otworzył drzwi. Czy to z powodu podniosłości chwili, czy też dlatego, że od dawna tu nie wchodził, pomieszczenie wydało mu się znacznie większe i bardziej uroczyste. W tym momencie spostrzegł, że pan jest z jakąś damą. Już chciał przeprosić i szybko się wycofać, kiedy serce podskoczyło mu z radości, zdał sobie bowiem sprawę, że to Marta. Boże, jak ona wyrosła! Jego mała przyjaciółka, towarzyszka zabaw jego siostry była już niemal kobietą. Miał ją pozdrowić, gdy nagle Marta wstała i poprosiwszy o pozwolenie, przeszła obok niego i pozdrawiając go zwykłym „witaj, Ahmedzie”, jakby widziała się z nim poprzedniego dnia, wyszła z pokoju. Zauważył, że jej oczy błyszczą, jakby przed chwilą płakała.

Zawahał się, ale głos Martiego rozwiązał jego wątpliwości.

— Wejdz. Bardzo szybko przyjechałeś.

— Kiedy tylko dostałem waszą wiadomość, panie.

— Usiądź, Ahmedzie. Mamy wiele do omówienia.

Chłopak usłuchał i Marti zajął swoje zwykłe miejsce.

— Omówmy sprawy po kolei i każdą z osobna.

— Słucham was, panie.

— Przede wszystkim powinieneś wrócić do domu i zostać tu tak długo jak to możliwe. To nie rozkaz, ale rada. Pozwoliłem ci zamieszkać w młynie i nie mam w zwyczaju zmieniać zdania.

Ahmed domyślił się, co zamierza mu powiedzieć Marti.

— Chodzi o mojego ojca, prawda, panie?

Marti kiwnął głową.

— Twój ojciec już niedługo rozstanie się z tym światem.

Chłopak poczuł, że w jego wnętrzu coś pęka.

— Ależ, panie, przecież kiedy wyjeżdżałem, a nie było to tak dawno, czuł się mocny jak dąb.

— Tak to bywa, Ahmedzie, dziś jesteśmy, a jutro nas nie ma.

— A wy, panie, nie możecie nic uczynić?

— Dobrze wiesz, że to spotkanie ustala Ten na górze i kiedy nadchodzi czas, ludzie są bezsilni.

— Mój ojciec zawsze był bardzo uparty. Gdybyście wezwali medyka Harusza, być może...

— Już to zrobiłem. Czy myślisz, że bym ci to mówił, nie mając pewności? Rak zaatakował organ, który filtruje to, co jemy, i krew twojego ojca ulega zatruciu. Medyk przepisał mu medykament z laudanum na uśmierzenie bólów i wyciąg z karczochów, który jest bardzo dobrym środkiem na usunięcie obrzęku tego organu i wspomoczenie jego działania, ale nic już nie można zrobić.

Ahmed ukrył twarz w dłoniach i Marti uszanował tę chwilę, potem położył z zyczliwością dłoń na kolanie chłopca.

— Wierz mi, najlepsze, co możesz zrobić, to spędzać z nim możliwie najwięcej czasu, w przeciwnym razie będziesz tego żałował do końca życia.

Ahmed podniósł powoli wzrok.

— Panie, nigdy nie zdołam spłacić swojego długu wobec was.

— Mówiłem ci już tysiąc razy, że nic mi nie jesteś winien. Ty i twoja rodzina wywiązaliście się aż nadto z zobowiązań wobec mnie i tak samo ja muszę wywiązać się ze swoich względem was. A ponieważ nazywasz mnie panem, powiem ci, że według ojca Llobeta i Kościoła Świętego, Matki Naszej, obowiązki pana wobec sług są znacznie bardziej rozległe niż obowiązki sług wobec pana. Ewangelia mówi, że łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogaczowi wniknąć do królestwa bożego. Zatem ja jestem wam winien więcej niż wy mnie.

— Tak czy owak, panie, wdzięczność moja i mojej rodziny względem waszej osoby jest nieskończona i w tych okolicznościach wasza rada jest dla mnie rozkazem. Co mam robić?

Martí wstał z krzesła i z rękami splecionymi za plecami zaczął się przechadzać po gabinecie. Wreszcie po długiej chwili powiedział:

— Przez te miesiące, kiedy cię nie było, Ahmedzie, wydarzyło się wiele rzeczy. Życie mieszkańców tego domu bardzo się zmieniło, a ma się zmienić jeszcze bardziej. Jak dobrze-wiesz, w dniu, kiedy mnie poprosiłeś, żebym pozwolił ci zamieszkać w młynie, ktoś ukradł nam statek; dowodził nim kapitan Armengol, który jest nie tylko wspaniałym żeglarzem, lecz także jednym z moich najlepszych i najdawniejszych przyjaciół. Jak rozumiesz, nie opuszczę go w potrzebie. Muszę popłynąć na południowe wody Italii, i to bez zwłoki. Wszystko to oznacza zmiany; hrabina Almodis w swojej dobroci przyjęła Martę do orszaku dam dworu. Przed moim wyjazdem córka przeniesie się do pałacu i Amina, jeżeli wyrazi takie życzenie, będzie jej towarzyszyła. Dałby Bóg, żeby twój ojciec żył jeszcze długo, ale kiedy nastąpi to, co ma nastąpić, będziesz musiał być u boku matki. A wreszcie to, czy zdołamy uwolnić kapitana Ar-mengola, w dużej mierze zależy od ciebie.

— Ode mnie, panie?

— Od ciebie, Ahmedzie. Do Barcelony przybył człowiek, którego umiejętności są niezbędne do realizacji powziętego planu; by jednak mógł je spożytkować w praktyce, potrzebuję kogoś całkowicie zaufanego, kto będzie mu pomagał w najrozmaitszych sprawach, kto zna gruntownie miasto i pozostanie ślepy i niemym świadkiem wszystkiego, co zobaczy. Pomyślałem o tobie.

— Nie bardzo rozumiem.

— Zrozumiesz później. Przyjdą dziś na obiad kapitan Munt i mój przyjaciel z Karbali leżącej na ziemiach Mezopotamii, Rashid al-Malik; po posiłku spotkasz się z nimi i wtedy nadejdzie czas, żeby ci wszystko wytłumaczyć.



Od pierwszej chwili drobny człowieczek wywarł na Ahmedzie głębokie wrażenie. Miał czoło pokryte siateczką zmarszczek, wydatny nos, głęboko osadzone, bystre oczy. Ale najbardziej zwracał uwagę brak prawego ucha.

Po obowiązkowych pozdrowieniach, kiedy już siedzieli przy oknie, pan wyjaśnił chłopakowi powód, dla którego go wezwał:

— Ahmedzie, to jest człowiek, o którym ci mówiłem. Kapitan

Manipoulos i ja udajemy się w podróż; domem zajmą się kapitan Munt, Andreu Codina, dowódca mojej straży Gaufred i twój ojciec, oczywiście dopóki będzie miał na to siły. Od ciebie zależy, czy będziesz nocował tu, czy w młynie, natomiast z całą pewnością za dnia będziesz musiał gorliwie wykonywać wszystko, co ci rozkaże kapitan Munt, by służyć mojemu przyjacielowi Rashidowi al-Malikowi. To przesądzi o powodzeniu albo fiasku naszej misji za morzami.

Na znak Martiego głos zabrał Felet.

— Będziesz wykonywał swoje zadanie w pieczarze wzgórze Montjuïc, gdzie dawniej przechowywano wino. Tłocznia winogron została już zamknięta, połowa beczek wywieziona, złożono zaś tam to, czego zażądał don Al-Malik. Wszystko jest przygotowane do produkcji czegoś, co stanowi sekret, co jest niebezpieczne i o czym nikt nie może się dowiedzieć, gdyż od tego zależy uwolnienie kapitana Armengola i życie jego załogi.

Ahmed słuchał z uwagą.

— Rzeczy umieszczone są na półkach według pewnego porządku — ciągnął kapitan Munt. — Produkty znajdują się we właściwych pojemnikach, z których każdy oznaczony jest odrębnym kolorem; tutaj masz ich listę i odpowiadające im kolory, nie wolno ci jej zapomnieć czy zgubić. Będziesz miał baczenie, aby nigdy nie wygasł ogień w dwóch piecach. Znajdziesz tam też wszelkiego rodzaju naczynia, które zawsze będziesz utrzymywał w największej czystości. Do tego sprowadzają się twoje obowiązki.

Ahmed przeczuwał, że stoi przed nim zadanie o zasadniczym znaczeniu dla jego pana, i skierował na niego pytające, nieco zmieszane spojrzenie.

Teraz głos zabrał Rashid.

— Nie kłopotz się, synu. To zajęcie będzie przynosiło owoce stopniowo... Szybko zdasz sobie sprawę, że praca ze mną jest bardzo łatwa. Natomiast chcę, byś dobrze zrozumiał, że każdego wieczoru, kiedy będziesz zamykał kłódkę na drzwiach jaskini, wszystko to, co zobaczyłeś albo czego się dowiedziałeś, ma pozostać tam w środku. Nie wolno ci nikomu tego opowiadać ani z nikim o tym rozmawiać.

Marti dostrzegł niepokój Ahmeda i usiłował go uspokoić.

— Pokładam w tobie całkowite zaufanie. Będziesz świadkiem pewnego niebezpiecznego i bardzo ważnego wynalazku. Kto wie,

czy nie wyznaczy on nowego etapu w życiu hrabstwa, a nawet całego śródziemnomorskiego świata: jest to broń tak zabójcza, że w kilka chwil może zatopić statek pośrodku morza, a wystrzelona z katapulty zgładzić wszystkich obrońców zamku. Ahmed był przerażony.

— Panie, nie wiem, czy...

Marti pieszczotliwie poklepał chłopca po udzie.

— Ale ja wiem. Jesteś właściwą osobą: młody, silny, wierny i zdecydowany.

— Nie wiem, jakie mam cechy, ale możecie być pewni dożywotniej wdzięczności mojej i moich bliskich.

Felet znowu zabrał głos.

— Będziesz musiał być świadom niebezpieczeństwa, jakie grozi każdemu, kto pozna ten sekret. Gdyby ktoś sądził, że go znasz, mógłbyś zostać zatrzymany i poddany bezlitosnym torturom. I ten sam los spotkałby każdego, kto w wyniku twoich zeznań mógłby być podejrzewany o to, że też go zna.

Zapadła głęboka cisza, zakłócana tylko odległym biciem dzwonu.

Głos Rashida zabrzmiał ochryple i poważnie.

— Mój brat i ja już w dzieciństwie zostaliśmy depozytariuszami tej tajemnicy i obaj dożyliśmy starości. Zauważ, że człowiek ma dwoje uszu i jedno usta, z czego należy wnosić, że powinien słuchać dwa razy, a mówić raz. — Uśmiechnął się. — Jak powiadają w moich stronach, „człowiek jest panem swojego milczenia i niewolnikiem swoich słów”. Wszystko będzie zależało od twojej dyskrecji, nie zapominaj o tym.

Ahmed przytaknął, świadom wagi zadania, jakie mu przydzielano.

— Panie, dla was i dla waszej rodziny jestem gotów stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu. Powiedzcie, kiedy mam zacząć i co mam zrobić po zakończeniu.

— Zaczнеш jutro, zanim wszędzie słońce; co do tego drugiego, wszystko ktoś ci powie we właściwym czasie — odparł kapitan Munt.

— Czy mogę poznać nazwę tak potężnej broni? — spytał Ahmed.

Trzej mężczyźni popatrzyli po sobie.

— Dzisiaj jej nie ma, ale w swoim czasie nazywano ją greckim ogniem — rzekł Rashid.

Wyjazd Martíego

Pierwsze promienie słońca wbijały się w noc, która konała wśród mgieł. W oddali zaczynała się rysować linia horyzontu i od steru na rufowym kasztelu stary Basilis Manipoulos wydawał stosowne polecenia. Wkrótce kotwica „Santa Marty” miała zostać podniesiona z mulistego dna przy nabrzeżu Santa Maria de les Arenes. Dowódca wioślarzy, przechadzając się tam i z powrotem, rozkazywał dwudziestu sześciu rzędom każdej z trzech ław galerników szykować się do wiosłowania. Więźniowie na dwóch dolnych ławach, wybrani przez Basilisa, dzięki uprzejmości hrabiny, spośród motłochu skazanego za bardzo poważne przestępstwa i jeńców wojennych wziętych do niewoli podczas przygranicznych potyczek, byli świadomi, że jeśli przeżyją niebezpieczeństwa podróży, ich kara zostanie nie tylko zmniejszona, ale w pewnych okolicznościach całkowicie darowana; na ich surowych twarzach można było dostrzec cień nadziei. Okrywali głowy czerwonymi czapkami, a brunatne kaftany związane w pasie sznurem zasłaniały aż do kolan ich nogawice; na stopie, prawej lub lewej, w zależności o miejsca, jakie zajmowali, na bakburcie czy sterburcie, mieli obręcz, przez którą przechodził długi łańcuch przytwierdzający ich do ławy. Każde szesnastometrowe wiosło, którego trzecia część pogrążała się w wodzie, było obsługiwane przez trzech ludzi, w danej chwili pracujących lub wypoczywających, zależnie od rozkazu; kiedy spali, przed chłodem nocy chroniła ich opończa z kapturem utkana z włókna roślinnego.

Natomiast ci, co tworzyli pierwsze piętro w pobliżu środkowego przejścia, zaciągnęli się dobrowolnie w zamian za zapłatę i gdy dochodziło do walki, na rozkaz właściwego oficera opuszczali ławy, stając się żołnierzami. W skład ich uzbrojenia wchodziły sztylety, miecze i włócznie, jak również łuki i strzały, po trzysta na każdego łuczника. Tak więc wiosłowali nieprzykuci i nocą, jeżeli nie musieli pracować, opuszczali ławę i otuleni w opończe spali na pokładzie dziobowym, z głowami okrytymi zielonymi czapkami, które odróżniały ich od więźniów. Mieli też prawo nosić woreczki z drobnymi wyrobami z żelaza i dokonywać w portach wymiany w celu poprawienia swojej sytuacji materialnej.

W owej chwili wir sprzecznych uczuć targał duszą Martiego, który wsparty na sterburcie przyglądał się manewrom Manipoulosa. Jego spojrzenie przechodziło od szalupy torującej sobie drogę między łodziami przycumowanymi u nabrzeża Barcelonety, by wyprowadzić triremę na otwarte morze, do pięknego dziobowego galionu, którego złożony profil był żywym wizerunkiem twarzy jego córki, z włosami rozwiewanymi przez wiatr i ze wzrokiem wbitym w horyzont.

Jak za każdym razem, kiedy rozpoczynał jakąś przygodę, Marti był podekscytowany. Po pierwsze, liczył na to, że zdoła odzyskać „Laię”, a tym samym uwolnić przyjaciela, kapitana Jotre Armengola; po drugie, przeczuwał, że sekretne zlecenie hrabiny mające na celu doprowadzenie do związku młodego hrabiego Ramóna z córką Roberta Guiscarda, Mafaldą z Apulii, było misją, która w razie sukcesu zapewni mu definitywne poparcie na dworze. Natomiast gryzł się tym, że zmusił córkę do zamieszkania w hrabiowskim pałacu, bo choć uważał, iż jest to dla niej najbardziej pożądane, ta nowa sytuacja niosła też ze sobą pewne niebezpieczeństwo. Nie mógł zapomnieć zapłakanej twarzy Marty, proszącej, by pozwolił jej zostać w domu, i jego ojcowskie serce cierpiało na wspomnienie tych łez. Powtarzał sobie, że zrobił to, co uważał za najlepsze, a jednak... dlaczego było mu tak trudno odmówić czegokolwiek ukochanej córeczce? Zostawił ją zaledwie kilka godzin wcześniej, a jej nieobecność już doskwierała mu w głębi duszy: był to pierwszy raz, kiedy ich drogi miały się rozejść na tak długo. Zastanawiał się nad tym, kiedy kołysanie „Santa Marty” i potężny głos Greka przerwały jego myśli, powiadamiając go, że są już na otwartym morzu. Zgodnie z dawnym zwyczajem Manipoulos, oparty łokciami

o balustradę kasztelu rufowego, gotował się do wygłoszenia przemówienia do załogi.

Nadzorca zatrzymał wioślarzy i głos Basilisa zabrzmiał z wielką siłą, pokonując plusk fal o burty.

— Załogo „Santa Marty”, wolni żeglarze, wielkie szczęście spotyka dziś nas wszystkich, od kapitana po ostatniego chłopca okrętowego. Przerывamy smutną rutynę dnia codziennego, jego monotonię, fetor posępnych domów, w których żyjecie, jeżeli można

to nazwać życiem, nieopanowany charakter waszych kobiet i nie znośny wrzask dzieciarni. W zamian za to będzie co noc kołysał was do snu szum morskich fal i skrzypienie poszycia tego wspa niałego statku. Macie zaszczyt uczestniczyć w jego pierwszym rejsie.

Nie zawiedźcie zaufania, jakie w was pokładam, słuchajcie uważnie

moich rozkazów, dbajcie o statek tak, jak dbacie o samych siebie, utrzymujcie go w czystości i porządku i wypełniajcie z poświęceniem

swoje obowiązki. Bo tylko wtedy będziecie mnie mieli po swojej stronie; w przeciwnym razie poznacie kota o siedmiu ogonach, którego, jak dobrze o tym wiedzą ci, co już ze mną pływali, nie waham się używać.

Potem skierował spojrzenie ku ławom i przemówił do siedzących na pierwszym poziomie.

— Zwracam się też do was, wolni wioślarze, którzy zdecydowaliście się na ten rejs i na to zajęcie. Wiecie, że po powrocie będziecie bogatsi o wypłacone pieniądze i nowe doświadczenia. Kiedy nadzorca nakaze wiosłowanie taranujące, chcę, żebyście przypadli do wiosł jak świnię do koryta, chcę, żeby kil „Santa Marty” frunął, nie dotykając wody, ale kiedy dzwon bosmana wezwie

was na pokład, chcę was gotowych do walki, ze sztyletem w zębach

i z dzikim spojrzeniem. Wiedźcie, że na morzu nie przegrywa się bitwy, przegrywa się wojnę. Tutaj nikt nie przestaje walczyć ani nie

okazuje litości.

Następnie zwrócił się do tych na dole.

— A teraz mówię do was, więzienne wyrzutki, śmierdząca hołoto.

Zapłata, jaką wam obiecuję w imieniu hrabiego i hrabiny, jest znacznie wyższa niż zapłata reszty załogi. Oni odbiorą ją w pieniądzu albo w naturze, albo w doświadczeniu. Waszą zapłatą, jeśli dobrze wypełnicie swoje obowiązki, będzie życie. Ci, którzy wrócą, będą wolni; i macie moje słowo, że jeśli stoczymy bitwę i pojawi

się ryzyko odwiedzin u Neptuna, zostaną wam zdjęte łańcuchy. Wiosłujcie, a będziecie żyli. Ale jeśli nie przyłożycie się sumiennie do pracy, po powrocie na waszych plecach będzie więcej blizn niż wszy na waszych głowach.

Wreszcie rozkazał:

— Bosmanie! Dajcie wszystkim po kubku okowity.

I podczas gdy szcęk uderzających o siebie mosiężnych kubków wypełnił powietrze, Grek uroczystym krokiem zszedł po schodkach i skierował się ku rufie, gdzie oczekiwał go z nieprzeniknioną twarzą Marti Barbany. Grek nigdy nie ośmieliłby się tego powiedzieć, ale mógłby przysiąc, że oczy jego pana i dobrego przyjaciela zabarwione były tęsknotą.

CZEŚĆ TRZECIA

Przebudzenie serca

43

Zakładnik

Z wieżyczki zamku w Cardonie, wznoszącej się w północnym narożniku blanku, który wychodził na gościniec, wartownik zawołał:

— Zbliżają się jeźdźcy!

Oficer straży wspiął się na mury, żeby lepiej widzieć, i wychylając się między dwoma otworami strzelniczymi, zobaczył okazałą chmurę kurzu, która oznaczała, że ku zamkowi nadciąga szybko duża grupa konnych, jednak blask słońca i pył uniemożliwiały dostrzeżenie proporca. Zbliżywszy się do murów, jadący na czele wznosił prawicę, a silnym szarpnięciem lewej dłoni przytrzymał cugle swojego wierzchowca. Oddział zatrzymał się i kurzawa wzniesiona przez końskie kopyta zaczęła opadać. Oficer straży rozpoznał chorągiew hrabiego Barcelony.

— Kim jesteście i czego szukacie?

— Podnieście broń! Jestem Gombau de Besora, wysłannik Ramóna Berenguera, hrabiego Barcelony. Powiedzcie waszemu panu, że podróż była długa i ciężka. On dobrze wie, po co przybywam. Proszę o wolny wjazd, miejsce do wypoczynku i pożywienie dla swoich ludzi oraz słomę i paszę dla koni. I pośpieszcie się, do wszystkich diabłów! Bo mam niewiele cierpliwości, a jeszcze mniej czasu!

Oficer straży nie zamierzał zaniedbywać swoich obowiązków.

— Zaczekajcie, aż was zapowiem, i natychmiast potem postaram się spełnić wasze życzenie.

Najwyraźniej się nie ościągł, bo wkrótce brama zaczęła się otwierać, a zgrzyt łańcuchów i kół świadczył o tym, że wewnątrz podnoszono bronę.

Gombau de Besora wjechał na czele oddziału na wyłożony kamiennymi płytami dziedziniec i zeskoczył z wierzchowca.

— Zaczekajcie przy koniach, aż wrócę — rozkazał swojemu zastępcy. — Niech nikt nie zsiada. Pilnujcie, żeby brona pozostała podniesiona, a brama otwarta. Gdyby stało się inaczej, zamijcie w róg. A wy — powiedział do chorążego — chodźcie ze mną.

Podszedł do oficera straży, który dowodził oddziałem sześciu uzbrojonych ludzi, i tonem niedopuszczającym sprzeciwu polecił:

— Prowadźcie mnie do waszego pana.



Wicehrabia Folch z Cardony dobrze wiedział, z jakim zadaniem przybywa niepożądany gość. Zamek wznosił się tuż przy granicy posiadłości mauretańskiego króla Leridy, na wzniesieniu górującym nad korytem rzeki Cardoner. Pierwotnie była to rzymska twierdza złożona z ośmiu masywnych wież. Obecnie w jej wnętrzu mieścił się kościół Sant Vicenç z Cardony. Główna wieża nosiła dotąd ślady niedawnych waśni z Ramónem Berenguerem I, hrabią Barcelony, które zakończyły się haniebną klęską obrońców. Kiedy dowódca straży zapowiedział gościa, Folch rozkazał podsyć ogień w wielkich kominkach i wysławszy do pani zamku wiadomość, by pozostała w swoich pokojach, udał się do głównego salonu i rozsiadł butnie w fotelu, czekając, aż gość zostanie doprowadzony przed jego oblicze.

Gombau de Besora, idąc za kapitanem straży, któremu towarzyszyło czterech żołnierzy i porucznik, miał zamkowe komnaty. Zmysł obserwacji kazał mu zwrócić uwagę na rozkład pomieszczeń i na widoczną aktywność wszystkich mieszkańców twierdzy, którzy dokładali wysiłków, żeby naprawić wyrządzone szkody i przywrócić wszystkie wnętrza do stanu sprzed owego złowieszczonego incydentu. Jak zdołał zauważyć, ludzie pracowali z zapalem w magazynach, cysternach, w suszarni i na ścieżce wartowników. Gdy przechodził, strażnicy w kolejnych salach pochylali lance na znak pozdrowienia. I tak, mijając korytarze, doszedł do dwuskrzydłowych drzwi głównego salonu, przytwierdzonych do muru trzema grubymi zawiasami

z lanego żelaza i strzeżonych przez dwóch wartowników. Kapitan zamienił kilka słów z jednym z nich i ten, nie protestując, jakby był już uprzedzony, otworzył prawe skrzydło i zaprosił orszak, by wszedł do salonu.

Zwracając się do swoich żołnierzy, kapitan wydał tylko krótki rozkaz:

— Zaczekajcie tutaj. — I patrząc na znamienitego gościa, do dał: — Bądźcie tak uprzejmi...

Don de Besora, skinąwszy po prostu głową, oddał hełm swojemu porucznikowi i nakazał mu gestem, żeby zaczekał na zewnątrz. Przekraczając próg, zdał sobie sprawę, że został przyjęty w tym salonie zamiast w głównej wieży: sam jednak najlepiej rozumiał, co było tego przyczyną. Energicznym krokiem podszedł do fotela, na którym oczekiwał go pan z Cardony. Ten podniósł się i zebrawszy na lewym przedramieniu fałdy adamaszkowej tuniki lamowanej gronostajem, zszedł z podwyższenia i stanął naprzeciw gościa.

— Znamienity panie, witajcie w moim domu.

Choć w głębi ducha czuł gorycz poniesionej porażki, nie miał innego wyjścia, jak tylko okazać uprzejmość emisariuszowi zwycięzcy.

Rzuciwszy niedbałym gestem na stolik rękawice do jazdy konnej, Gombau de Besora położył dłonie na ramionach pana zamku, na pozór przyjaźnie, acz sztucznie i oficjalnie.

Wicehrabia zabrał głos.

— Już od wielu dni spodziewam się waszych odwiedzin. Jednak muszę wyznać, że mnie zaskoczyły, sądziłem bowiem, że zostaną o nich uprzedzone. Wówczas lepiej bym się przygotował na wasze przybycie. Jeśli jednak pragniecie wypocząć przed rozmową o sprawie, która was tu sprowadza, obowiązek gościnności i dotrzymania układów z waszym panem, hrabią Barcelony, zmusza mnie do zaproponowania wam niewygód mojego obecnego domu. Żałuję, że nie mogę wam zaofiarować czegoś lepszego.

Emisariusz wyczuł ironię.

— Moi ludzie zostali na dziedzińcu i będę wam wdzięczny, jeśli zaopatrzą ich w to wszystko, co wam nakazuje obowiązek wasa la. — Te ostatnie słowa wypowiedział z naciskiem. — Ja sam wolę szybko załatwić nieprzyjemną sprawę, która mnie tu sprowadza,

i uważam, że lepiej będzie natychmiast odjechać, niż przyjąć waszą gościnność.

— Mieście pewnośc, panie, że nigdy nie łamię danego słowa i ludzie z mojego rodu zawsze potrafili uszanować zawarte przez siebie pakt. — Folch z Cardony zwrócił się do kapitana swojej straży: — Niech ludzie ambasadora rozgoszczą się w moim domu i zaopatrzą ich we wszystko, czego będą potrzebowali.

— Wypełnijcie to drugie — powiedział do niego Gombau de Besora. — Nie będą mieli czasu się rozgościć.

Po pełnej napięcia pauzie Folch z Cardony zwrócił się do emisariusza.

— Jak sobie życzyce, ale myślę, że lepiej nam się będzie rozmawiało, kiedy usiądziemy.

Kapitan wyszedł, a wicehrabia wskazał gestem długi stół o toczonych nogach. Żeby nie urazić porywczego gościa, zajął miejsce naprzeciw niego.

— Żałuję, panie — zaczął Gombau — że takie okoliczności sprowadzają mnie do waszego domu, ale wiedzcie, że jestem zwykłym posłańcem wypełniającym rozkazy.

Wyjął z torby pergamin z zamiarem wręczenia go swojemu gospodarzowi.

Ten powstrzymał wysłannika ruchem dłoni.

— Wiem, co przywozicie, jak również co podpisałem. Nie muszę czytać ponownie żadnego pergaminu.

W salonie zaległo głębokie, nieprzyjazne milczenie.

— To kopia paktów z Manresy — powiedział z naciskiem Gombau.

— Powtarzam: nie jest konieczne, żebyście mi pokazywali dokument, który czytałem sto razy i tyleż razy żałowałem, że złożyłem pod nim podpis — rzekł Folch z Cardony głosem zabarwionym goryczą.

— Żałuję, ale tak wyglądają sprawy. To nie ja sprzymierzyłem się z królewiczką Leridy, Sulejmanem Ben Hudem, przeciwko mojemu panu. Myślę, że pomyliliście strony, panie, a teraz ponosicie konsekwencje.

— Dużo można by o tym mówić, ale racja zawsze przysługuje zwycięzcy. Temu, kto przegrywa, pozostaje moralne uzasadnienie, i jeżeli wasz pan atakuje kogoś, kto jest moim sprzymierzeńcem,

zanim ten podjął działania wojenne, nie pozostawia mi innego wyboru niż honorowanie danego słowa. Wasz pan wiedział, że zmusza mnie do wojny na granicy — uściślił wicehrabia Cardony.

— Doskonale wiecie, że to działanie nie było bezpodstawne. Powiedzcie, co ma zrobić hrabia Barcelony, kiedy jego wasal pomimo uporczywych napomnień odmawia dotrzymania układów i nie płaci rocznej daniny. Gdyby mój pan raz okazał słabość i na to pozwolił, wkrótce nikt nie wypełniałby swoich zobowiązań. Przykro mi, ale najwidoczniej wybraliście niewłaściwego sprzymierzeńca. Myślę też, że zanim opowiedzieliście się po którejś ze stron, powinniście byli domagać się od waszego sojusznika, żeby postępował, jak nakazuje honor... gdyż w przeciwnym razie takie przymierze może wam przynieść wielką szkodę i wplątać was w niepotrzebne spory, do czego zresztą ostatecznie doszło.

— Teraz są to już tylko próżne rozważania, które do niczego nie prowadzą, a ja muszę ponieść konsekwencje tego wszystkiego, ale zanim wrócimy do naszej rozmowy, chcę wam jeszcze coś powiedzieć.

— Słucham was — rzekł z szacunkiem don de Besora.

— Jak dobrze wiecie, podczas oblężenia zostałem upokorzony. Zniszczono moją reprezentacyjną wieżycę. I chociaż już ją odbudowujemy, pozostanie na niej na zawsze hańbiąca blizna jako złowroga pamiątka po owym nieszczęsnym dniu. Tak to odczuwam; to dlatego przyjmuję was tutaj i dlatego płacę skrupulatnie daninę, jaka została na mnie nałożona w wyniku tej wojny... i nadal będę to robił — stwierdził dobitnie pan z Cardony. — Jednakże nic nie boli mnie bardziej od tego, że zabieracie mojego syna Bertrana na dwór w Barcelonie jako zakładnika. Nie dość, że dowodzi to nieufności, to jeszcze będzie oznaczało śmierć mojej małżonki, wicehrabiny Gali. Pomyślcie, czy nie wchodziłaby w grę zmiana układu i wprowadzenie jakiegoś innego warunku. — W głosie Folcha z Cardony można było wyczuć, ile go kosztuje wyrażenie tej prośby.

Don de Besora pogładził się po gęstej brodzie.

— Wiecie, że to, o co prosicie, nie zależy ode mnie, ale miejcie na uwadze, że wasz syn będzie traktowany na hrabiowskim dworze z najwyższym szacunkiem. Mój pan nie pragnie robić sobie wrogów, tylko pozyskiwać sojuszników. — I upewnić się, że ci sojusznicy

naadal nimi pozostaną, pomyślał don de Besora, lecz tego nie powiedział.

— Skończył zaledwie piętnaście lat. Jest jeszcze dzieckiem!

Gombau de Besora milczał. Po pełnej napięcia ciszy postanowił zakończyć rozmowę, by nie dać gospodarzowi okazji do dalszych próśb.

— Przykro mi, nie mogę pójść wam na rękę. Przegraliście wojnę i musicie ponieść konsekwencje.

Wobec tej niezaprzeczalnej prawdy Folch z Cardony spuścił wzrok i westchnął głęboko.

— Niech więc tak będzie — rzekł w końcu. — Powiedzcie, czy zostanieie, czy też wolicie odjechać. Co ma się stać, niech się stanie szybko — zakończył ochryłym głosem.

— Jeżeli dajecie mi taki wybór, wolę odjechać.

Wciąż wyczuwalne było napięcie, jakie wytworzyło się między dwoma mężczyznami.

Wicehrabia wziął ze stołu srebrny dzwoneczek i potrząsnął nim lekkim ruchem nadgarstka. Dowódca straży natychmiast zajął do salonu.

— Rozkazujcie, panie.

— Powiedzcie Bertranowi, żeby się szykował do długiej podróży. Kiedy będzie gotów, przyślijcie go do mnie... Nic nie mówcie hrabinie i postarajcie się, żeby o niczym się nie dowiedziała, dopóki z nią nie porozmawiam.

Rycerz wyszedł, żeby wykonać polecenie, i obaj mężczyźni pozostali w milczeniu.

— Czy mogę wam zaofiarować kubek wina? — zapytał w końcu gospodarz, który nawet w tak bolesnych okolicznościach nie chciał lekceważyć zasad uprzejmości.

— Będę wam bardzo wdzięczny — odparł Gombau de Besora. Aby złagodzić nastrój chwili, dodał: — Bądźcie pewni, że nic nie stanie się waszemu synowi, kiedy będzie w Barcelonie. Zarówno hrabia, jak i hrabina Almodis o to zadbają.

Pan z Cardony kazał przynieść dzban wina i dwa kubki. Nalał bursztynowy napój, mówiąc jednocześnie niedbale, jakby nie przywiązywał wagi do swoich słów:

— Co innego słyszałem o hrabinie, zwłaszcza o tym, jak traktuje swojego pasierba Pedra Ramóna, syna nieboszczki Elisabet.

Gombau de Besora przyjął cios. Wrogość obecnej żony hrabiego w stosunku do jego najstarszego syna była powszechnie znana.

— To jarmarczne plotki, w które ani nie chcę, ani nie powinienem się wdawać — rzekł z obojętnym wyrazem twarzy. — Wierzcie mi, to czcza gadanina starych bab. Mogę zapewnić, że wasz syn będzie traktowany z szacunkiem należnym osobie jego stanu.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł w towarzystwie dowódcy chłopiec średniego wzrostu, o kasztanowych kręconych włosach, bystrym, szlachetnym spojrzeniu i rysach wskazujących na wysokie urodzenie. Bez najmniejszego skrępowania zbliżył się do ojca i spytał:

— Czy kazaliście mnie wezwać?

— Tak, mój synu. — I wskazując na gościa, dodał: — Chcę, żebyś poznał doña de Besora, seneszala hrabiego Barcelony. — I wyciągając rękę w stronę chłopca, wyjaśnił: — A to mój syn Bertran.

Chłopiec podszedł do emisariusza zdecydowanym, pewnym siebie krokiem i złożył lekki ukłon.

— Witajcie, panie, w zamku Cardona. Goście mojego ojca zawsze są mile widziani, jeśli przybywają w pokojowych zamiarach.

Barcelońskiego szlachcica zdziwiła formuła tego powitania i swoboda piętnastolatka.

— Emisariusze hrabiego Barcelony nie pragną niczego innego, jak tylko pokoju i pomyślności w hrabstwach swoich wasali.

Twarz chłopca nabrała purpurowego odcienia.

— Mój ojciec, wicehrabia Cardony, nie jest niczym wasalem. Losy wojny nie okazały się dla niego pomyślne, to wszystko, ale choć zgodnie z danym słowem musi płacić daninę, nie jest ani nigdy nie będzie niczym wasalem. Mylicie, panie, pojęcia: co innego znaczy być lennikiem, a co innego wasalem.

Wicehrabia Cardony patrzył z dumą na syna, podczas gdy w oczach doña de Besora pojawił się żywy błysk, w którym zaskoczenie mieszało się z ironią.

— Wchodzenie teraz na tak niepewny grunt zawiodłoby nas do niekończących się roztrząsań. Natomiast nie ulega żadnej wątpliwości, że wy zamieszkacie na kilka lat w pałacu hrabiego Barcelony.

Chłopiec skierował spojrzenie na ojca.

— Jak już ci wyjaśniłem, synu, pojedziesz na barceloński dwór.

Mam nadzieję, że nie przyniesiesz nigdy ujmy naszemu szlachetnemu nazwisku ani randze tego domu. Nie zapominaj, kim jesteś i do jakiego rodu należysz. — Nieco złagodziwszy ton, dodał: — Dziś stałeś się mężczyzną, powiedzmy, że przedwcześnie, ale chcę, byś wiedział, że pokładam w tobie wszystkie swoje nadzieje. Wyjedziesz natychmiast i zamieszkas w Barcelonie.

Zapadła głęboka cisza. Po dłuższej chwili przerwał ją Bertran.

— Dobrze, przygotowuję swoje rzeczy i pożegnawszy się z matką, wyjadę.

— Wszystkie twoje rzeczy są już na dziedzińcu — odrzekł ojciec. — Jeśli zaś chodzi o pożegnanie z matką, lepiej oszczędzić jej tak wielkiej goryczy. Potem sam ją poinformuję o twoim wyjeździe. — Widząc, że chłopiec się waha, wyjaśnił: — To będzie pierwsza próba twojej męskości.

Bertran postarał się, by jego głos nie zdradził cierpienia.

— Mam nadzieję, ojcze, że będę mógł zabrać ze sobą Blanca.

— Twój rumak pojedzie z tobą, synu.

Aby złagodzić napięcie, Gombau wtrącił:

— Bez wątpienia znajdziecie na dworze rumaki, jakich teraz nawet nie możecie sobie wyobrazić.

— Nie ma takiego drugiego jak mój. A ponadto nie chcę zaciągać żadnego długu wobec hrabiego Barcelony. Proszę was, byście o tym nie zapominali.

— Muszę was tylko uprzedzić, że będziecie musieli osobiście się zajmować swoim wierzchowcem — ostrzegł Gombau de Besora.

— Nic nie może mi sprawić większej przyjemności — odparł Bertran.

Po tej replice przykląkł, prosząc ojca o błogosławieństwo, a gdy je otrzymał, opuścił pokój, skłoniwszy lekko głowę przed emisariuszem z Barcelony, który nie wychodził z podziwu wobec zachowania młodzieńca.

Wkrótce podniosła się brona i oddział odjechał w stronę Barcelony. W oknie głównej łożnicy ukazał się profil jakiejś damy z długimi warkoczami, ukryty w połowie za grubą zasłoną.

Marta w pałacu

Rozpoczynający się właśnie rok Pański 1071 wniósł w życie Marty więcej nowości niż dwanaście poprzednich lat. Ojciec okazał się niewzruszony i zanim wyruszył na tę długą i — jak się wydawało — trudną wyprawę, zostawił ją w pałacu w towarzystwie Aminy. Kiedy przez jedno z okien pierwszego piętra zobaczyła, jak odjeżdża, poczuła, że jej świat się wali. Ojciec oddalił się w towarzystwie kapitana Munta i Eudalda Llobeta, siedząc na koniu i ani razu się nie odwracając. W tym momencie poczuła, że tylko ręka Aminy oparta na jej ramieniu łączy ją z przeszłością.

W pierwszych dniach pobytu w nowym miejscu echo wielkich sal, tłum nieznanymi twarzą i szczególny charakter pałacowych zwyczajów głęboko nią wstrząsnęły. Tęskniła za swobodą dotychczasowego życia. Damy obowiązywał ścisły rozkład zajęć: każdy ich dzień zaczynał się od modlitwy o świcie, a kończył wieczorną lekcją haftu. Marta natychmiast spostrzegła, że wbrew swoim nawykom nie jest tu panią, tylko jedną z wielu dziewcząt tworzących orszak hrabiny Almodis. Pani, którą widziała tylko przez chwilę w otoczeniu dworu, odniosła się do niej z wielką uprzejmością i życzliwością. Lionor, pierwsza dama, pokazała Marcie część pałacu i oczywiście jej sypialnię, a także niewielki przedpokój, w którym na pryczy miała spać Amina. Wyliczyła obowiązki nowicjuszek i poinstruowała ją, w jaki sposób ma się zwracać do hrabiego i jego synów. I wreszcie przedstawiła jej karła Delfina, błązna Almodis,

który zupełnie bezwiednie wywołał na twarzy dziewczynki pierwszy uśmiech. Otóż doña Brígida, jedna z dam, wyróżniająca się długą, końską twarzą, zapytała Martę, czy już pokazano jej olbrzymie stajnie. Delfín, który bawił się należącymi do hrabiny czółenkami do wyrobu koronek, pewny, że nie naraża na szwank swojej nietykalności cielesnej, wtrącił wtedy niedbale: „Pani, Marta jest bardzo dobrze wychowana i bez wątpienia nie ośmieliłaby się wejść na wasze pokoje pod waszą nieobecność”. Damy, chowając twarze za robótkami, nie mogły powstrzymać uśmiechu, podczas gdy Brígida, urażona złośliwą ironią karła, posłała mu mordercze spojrzenie. Ten na wszelki wypadek schował się za spódnicami hrabiny.

Już o zmierzchu, po wieczerzy, Marta miała okazję poznać synów hrabiny, Ramóna i Berenguera, oraz hrabiankę Sanchę, dwa lata od niej starszą, która obdarowała ją ciepłym uśmiechem.

Przez pierwsze noce ledwie mogła zapaść w sen. Zużywała mnóstwo świec, rozmawiając aż do wycieńczenia z Aminą, wielokrotnie się budziła i po omacku, kierując się tylko wpadającym przez okno światłem księżycy, szła sprawdzić, czy przyjaciółka śpi w pobliżu. Już o świcie padała zmęczona i w snach widywała surową twarz ojca, niezadowolonego z jej oporu i polecającego, żeby była posłuszna i wykorzystwała tę jedyną w życiu okazję zdobycia ogłady wśród tak ważnych osób. Budziła się, czując skruchę, ze ściśniętym sercem i ze łzami w oczach.



Jednak w miarę jak mijały tygodnie, ciekawość zastępowała tęsknotę i Marta, przyzwyczajona już do rutyny życia, jakie wiodły w pałacu damy, zaczęła się przyglądać bystrym wzrokiem wszystkiemu, co ją otaczało. Miała dwanaście lat, a mieszkańcy hrabiowskiego pałacu prezentowali całą gamę osobowości, które można było studiować. Co dzień widywała swoje towarzyszek w służbie hrabiny, wszystkie szlachetnego pochodzenia: Araceli de Besora, Anna de Quarsá, Eulalia Muntanyola, Estefanía Desvalls i Adelais de Cabrera. Imię tej ostatniej natychmiast wydało jej się znajome, choć dopiero po kilku dniach się zorientowała, że to właśnie tej młodej damie usługiwała Gueralda, zanim objęła służbę w domu rodziny Barbany, i zawsze ją stawiała za wzór dobrego wychowania. Jednakże jej uwagę, i uwagę wszystkich dam, skupiali głównie

synowie hrabiostwa, Ramón i Berenguer, oraz ich siostry, Inés i Sancha, z których pierwsza była już zaręczona z Guiguesem z Albonu. Marta wymieniła zaledwie kilka słów z Inés, ale zaczynała przeczuwać, że z uprzejmą Sanchą mogłaby się bliżej zaprzyjaźnić. W przypadku bliźniąt zaskoczyło ją przede wszystkim to, że komuś, kto nic by o nich nie wiedział, nawet przez myśl by nie przeszło, że mogą być choćby krewnymi. Wyglądali zupełnie odmiennie: Ramón był wysoki, proporcjonalnie zbudowany, miał jasną, przyciętą na pazia czuprynę, odziedziczoną niewątpliwie po pochodzącej zza Pirenejów rodzinie matki, niebieskie oczy o szczerym spojrzeniu i miły sposób bycia, który zaskarbiał mu sympatię nie tylko dam. Jak jej powiedziano, miał zamiłowanie do polowania, zwłaszcza z sokołami, które doskonale potrafił układać. Mówiono, że jego drugą namiętnością jest muzyka; grał wybornie na cytrze i popisywał się tą swoją biegłością w czasie trubadurskich wieczorów, które urządziła każdego roku jego matka Almodis. Nie można było powiedzieć — myślała Marta — żeby natura okazała się równie hojna wobec drugiego z bliźniąt, Berenguera. Ten był niskim brunetem o rzadkich włosach i śniadej cerze, a w jego spojrzeniu było coś okrutnego; jednak pomimo swej nikczemnej postury był niewątpliwie niezwykle silny. Nic nie wskazywało na to, że jest szlachetnie urodzony. Chociaż Marta od niedawna przebywała w pałacu, słyszała już o jego napadach furii, zamiłowaniu do wina i spelunek, w których bywał w przebraniu, gdyż nie chciał, żeby go rozpoznano, i o wielkiej namiętności do kobiet każdego stanu i pochodzenia. Bliźniacy nie mieli ze sobą na pozór nic wspólnego i wydawało jej się niemożliwe, że są dziećmi tej samej matki i tego samego ojca.

Marta była najmłodsza w orszaku hrabiny i przez pierwsze dni chodziła tak smutna, że Almodis, powiadomiona przez dońę Lionor o tęsknocie, jaką odczuwa dziewczynka, pozwoliła jej kilka razy odwiedzić rodzinny dom, który stał bardzo blisko pałacu. Kiedy wypełniła już swoje obowiązki, mogła tam pójść w towarzystwie którejś z dam i kogoś ze straży. W miarę jednak jak przyzwyczajała się do swojego nowego domu i nowych zadań, te wizyty stawały się coraz rzadsze. W odróżnieniu od pozostałych dam w służbie hrabiny trzy razy w tygodniu pobierała nauki u ojca Llobeta, on zaś, aby wypełnić jej czas, zadawał wiele lektur. Adelais de Cabrera,

zwracając się do kogoś w jej obecności, powiedziała głośno, że ten zapął do nauki na niewiele się zda „takiej plebejuszce jak Marta Barbany”. Właśnie wtedy Marta pierwszy raz usłyszała ten epitet wypowiedziany w odniesieniu do jej osoby zdecydowanie pogardliwym tonem. Choć ojciec podkreślał, jaki to dla niej zaszczyt, że pomimo braku szlacheckiego pochodzenia zostaje przyjęta do pałacu, do owej chwili nie uważała, żeby w jakiś sposób stała niżej od reszty dam dworu. Ta niegodziwa uwaga ją zraniła i przez wiele dni Marta myślała tylko o powrocie do domu, gdzie czuła się chroniona, rozpieszczana i kochana. Nocami rozmawiała o tym z Aminą, która pocieszała ją i powtarzała, że jest warta tysiąc razy więcej niż ta Adelais, choćby jej przodkowie byli nie wiedzieć jak szlachtetnie urodzeni... A jednak, by oddać prawdę, to nie uspokajające słowa Aminy pogodziły ją z nowym życiem w pałacu. W rzeczywistości powód był inny. Tego popołudnia, kiedy hrabiowski emisariusz wrócił z Cardony, przywiózł ze sobą nowego gościa. Marta była razem z Sancha i dwiema damami w prywatnym salonie hrabiny, gdzie od doña Lionor pobierała lekcję haftu, wyszywając kolorowymi włóczkami różne wzory na tkaninie z konopnego płótna napiętego na kwadratowej drewnianej ramie, gdy z dziedzińca dobiegły, niezwykle o tej porze, głosy i stukot kopyt. Wszystkie cztery damy rzuciły się równocześnie do okna, zaciekawione tak wyjątkowym wydarzeniem. Na czele grupy ujrzały imponującą postać doña de Besora, który w tym momencie zsiadał z potężnego wierzchowca i podawał wodze koniuszemu. Rycerze szli w jego ślady i tylko jedna postać pozostawała nieruchoma na pięknym rumaku, kiedy rozległ się stanowczy głos dowódcy.

— Zsiądźcie z konia i pójďte za mną!

Nie okazując najmniejszego lęku wobec władczego tonu seneszała i ku zaskoczeniu jego podwładnych młody jeździec odpowiedział czystym i donośnym głosem:

— Nazywam się Bertran z Cardony, panie, proszę, byście o tym nie zapominali, i dzięki Bogu nie jestem głuchy.

45

Raj utracony

Magí żył w piekle. Wprawdzie jego wizytom w lupanarze wciąż towarzyszyła ekstaza, nasilana teraz magicznymi ziołami, których dym Nur od czasu do czasu pozwalała mu wdychać, lecz kiedy był sam, nie mógł przezwyciężyć odrazy, jaką wywoływało w nim własne odbicie widziane w wodach stawu czy jakiegokolwiek wypolerowanej powierzchni. Uciekł się do najnikczemniejszych środków i wykorzystał osobę, która najbardziej go kochała: nie mogąc poskromić swoich instynktów, przekonał matkę, by przez sąsiadkę przesłała ojcu Llobetowi wiadomość, że jest chora i wymaga stałej opieki. Jego mentor, jak Magí się spodziewał, pozwolił mu opuszczać klasztor, gdy tylko będzie to konieczne, choć po raz pierwszy na twarzy starego księdza pojawił się cień wątpliwości, nie tyle co do choroby matki koadiutora, ile z powodu udręki, jaka zdawała się go trawić. Następnym krokiem na drodze do upadku była wizyta u Asera Ben Jehudy, szacownego żydowskiego lichwiarza pożyczającego pieniądze pod zastaw, ze skrzynką z instrumentami, których matka używała przy odbieraniu porodów. W zamian za nią dostał pieniądze potrzebne na opłacanie uciech z Nur. Kiedy matka spostrzegła, że została pozbawiona tak ważnego dla niej środka utrzymania, wybuchła płaczem i zaczęła obrzucać syna przekleństwami, które potem zmieniły się w błaganie. Magí poprzysiągł jej, że odzyska skrzynkę, choć doskonale wiedział, że to niemożliwe, ale nie dość, że nie dotrzymał obietnicy, to jeszcze po tygodniu znowu

zjawił się u lichwiarza, tym razem z aktem własności grobowca, w którym był pochowany jego ojciec i gdzie w przyszłości miał pogrzebać matkę.

— Jesteście pewni, że chcecie to zastawić? — zapytał Żyd.

Magi odparł wyzywająco:

— Czyżbyście sądzili, że przyszedłbym do was, gdybym nie był pewien?

— Chodzi o to, że jeśli nie zapłacicie w ustalonym terminie, trzeba będzie opróżnić grobowiec, a spoczywające w nim kości przenieść do wspólnej mogiły.

— Kiedy przechodzimy na drugą stronę, nie ma większego znaczenia, co się stanie z naszymi szczątkami.

Żyd westchnął, ponownie przeczytał z uwagą dokument i poleciwszy Magiemu go podpisać, wręczył mu pieniądze.

Magi obiecał Nur, że odwiedzi ją w czwartek, i jak zazwyczaj, punktualnie o umówionej porze, uderzył kołatką w grube drzwi. Po krótkiej chwili pojawił się w progu ogromny eunuch.

— Nie spodziewałem się was dzisiaj, zwykle nie przychodzicie tu w czwartki.

— Chyba klienci nie tłumaczą się wam z tego, kiedy przychodzą i wychodzą — odparł niecierpliwie Magi.

— Nie miejcie mi tego za złe, pragnę tylko jak najlepiej wam służyć; ale zechciejcie wejść, nie będziemy przecież rozmawiać o tych sprawach na ulicy.

I eunuch usunął się na bok.

Magi wszedł do poczekalni, gnębiony złymi przeczuciami.

— Gdybym o tym wiedział, Nur nie byłaby zajęta — usłyszał za plecami głos Maimóna zamykającego drzwi.

Jak zawsze, kiedy się tak działo, poczuł ucisk w gardle.

— Co przez to rozumiecie?

— Właśnie to chciałem wam powiedzieć... — wyjaśnił Maimón. — Gdybym wiedział, że przyjdziecie, postarałbym się, żeby była wolna. Ale myślę, że lepiej będzie skorzystać z tej okazji i przez chwilę porozmawiać. Pójdźcie za mną, jeśli łaska. — Maimón uśmiechnął się w duchu. Nur była ogromnie zajęta ze swoim ulubionym klientem, niejakim Tomeu, któremu poświęcała więcej czasu, niż powinna, a to dawało eunuchowi możliwość rozmawiania z księżulkiem.

Magí zdrżał, czując, że dzieje się coś niezwykłego, i poszedł za Maimónem; ten poprowadził go do saloniku.

— Usiądźcie, gdyż zanim zajmiecie się Nur, muszę was powiadomić o nowych zasadach.

— O co chodzi? — spytał Magí załamującym się głosem.

— Ceny wzrosły: czas, który zwykle tu spędzacie, kosztuje teraz dwa soldy.

Krew odpłynęła z twarzy młodzieńca.

— Ależ to prawie dwa razy drożej!

— Takie są reguły, ten interes nie należy do mnie.

Magí zastanowił się przez chwilę.

— Spóźniają mi się pieniądze. Czy możecie skredytować?

— Przykro mi, ale nie mogę; to też jest regułą.

— Ależ to rozbój na równej drodze! — zaprotestował Magí niemal na skraj rozpacz.

— Ja jestem tylko sługą. Mój pan powiada, że można dać komuś na kredyt jedzenie, ale rozpusta jest dla tych, co płacą.

— Ale chyba jest tu ktoś, kto może coś zrobić — nalegał Magí.

Eunuch udał, że się waha.

— Macie szczęście, jest tu dziś właściciel.

— Pozwólcie mi się z nim zobaczyć. Jeżeli to dla mnie zrobicie, będę wam na zawsze wdzięczny!

— Niczego nie obiecuję, pójdę zapytać.

Maimón zniknął za zasłoną w głębi, zostawiając duchownego z duszą na ramieniu.

Po pewnym czasie, który wydał mu się wiecznością, odgłos kroków zapowiedział, że nadchodzi ktoś nowy. Zasłona odsunęła się na bok i Magí ujrzał niezwykłego człowieka: wysokiego, kościstego, z włosami rozdzielonymi przedziałkiem i zebranymi w kosmyk, w kaftanie piaskowego koloru, brązowych pończochach i butach z dobrej skóry. Jednak tym, co najbardziej przyciągało wzrok, była czarna przepaska zasłaniająca lewe oko.

Mężczyzna podszedł powoli do Magiego i podał mu rękę.

— Jestem Bernabé Mainar, wasz uniżony sługa.

Magí, niemal bezwiednie, wstał i uścisnął wyciągniętą dłoń.

— Nazywam się Magí Valles — skłamał.

Jednooki usiadł w fotelu, zapraszając go gestem, by zrobił to samo.

— Mój człowiek mówi, że jesteście dobrym klientem i że macie problem. Przypadkiem tu dzisiaj zajrzałem i być może zdołam wam pomóc.

Magi poczuł, że otwiera się przed nim niebo.

— No właśnie, panie, wasz zarządca powiedział mi, że podniosły się ceny, a ja nie mam przy sobie wystarczającej kwoty. Chciałbym spędzić czas z jedną z waszych podopiecznych. W przyszłym tygodniu na pewno przyjdę znowu i spłacę swój dług...

Jednooki udawał, że się waha.

— Proście mnie, o co chcecie, tylko nie o to. Właśnie wprowa dziłem pewną zasadę i nie byłoby to z mojej strony poważne, gdybym teraz miał się z niej wycofać: jest zbyt wielu takich, co to przychodzą zabawić się w moim domu, a potem zapominają o wypełnieniu swojej części umowy. Rozumiem, że porządny czło wiek zastawia się, żeby nakarmić dzieci, ale za rozrywkę trzeba płacić. Ponadto takie sprawy mogą poczekać. Przyjdźcie jutro i będziecie mogli się zabawić z dziewczyną, którą wybieriecie.

Magi zaczął się pocić, co nie uszło uwagi Mainara.

— To niemożliwe — skłamał znowu. — Jestem kupcem i jutro wyjeżdżam.

— Nie szkodzi, ten dom nie przenosi się w inne miejsce i jeżeli się powstrzymacie, po powrocie doznacie głębszej przyjemności.

— Zechciejcie potraktować to jako wyjątek — rzekł Magi błagalnym tonem. — Mało czasu spędzam w Barcelonie, moja sytuacja rodzinna jest skomplikowana... Bądźcie pewni, że zwrócę wam dług; proszę, bądźcie tylko ten jedyny raz pozwolili mi pobyc w kredyt z dziewczyną, którą zawsze wybieram.

— Wybaczcie mi, ale już wiele razy słyzałem takie historie — przerwał Mainar. — Jeżeli nie macie pieniędzy, nie możecie sobie ulżyć. Chodzi o to, że ja nie jestem zwykłym kupcem, który gdy ktoś nie chce kupić sztuki płótna, odkłada ją z powrotem na półkę i po kłopotcie. Tak się składa, że ta wasza zabawka codziennie je, śpi i upiększa się olejkami, pomadami, kąpielami... tym wszystkim, czego potrzeba, żebyście wy mieli zawsze do dyspozycji towar w doskonałym stanie. A to kosztuje wiele pieniędzy i nie może czekać.

Po tych słowach Mainar wstał, dając do zrozumienia, że zakończył spotkanie.

Magí również się podniósł.

— Proszę was... Nie ma żadnego sposobu?

Mężczyzna zdawał się go przeszywać spojrzeniem jedyne go oka, po czym usiadł ponownie, jakby chciał jeszcze raz przemyśleć sprawę.

Magí, drżąc, poszedł za jego przykładem.

— Przychodzi mi na myśl, że chyba moglibyście zapłacić mi w naturze.

Młodzieniec ujrzał, jak otwiera się przed nim niebo.

— Cokolwiek to będzie, z góry się zgadzam.

Wyraz twarzy jednookiego nagle się zmienił.

— Porzućmy wykręty; czy przypadkiem nie jesteście duchownym i do tego koadiutorem ojca Llobeta?

Magí zastygł jak sparaliżowany.

— Skąd o tym wiecie?

— To nie ma znaczenia; wiem o wielu sprawach. Ale czy to prawda, że jesteście związani z ojcem Llobetem?

— Tak, jestem jego koadiutorem.

— A zatem przebywacie w jego pobliżu.

Przytaknął ruchem głowy.

— A więc myślę, że mogę wam zaproponować dobry układ.

Duchowny otworzył szeroko oczy, nabierając nadziei.

— Posłuchajcie uważnie tego, co wam proponuję. Będziecie mieli przez rok swobodny dostęp do Nur, oczywiście gdy nie będzie zajęta. Czas, jaki przeznaczący na te igraszki, określacie sami, a w zamian za to wypełnicie moje polecenie u boku swojego protektora.

— A na czym ma polegać to zadanie? — zapytał szeptem Magí.

— Najpierw powiedzcie mi, czy odpowiada wam taka umowa.

Magí nawet przez chwilę się nie wahał.

— Zrobię wszystko, co zechcecie.

Siateczka zmarszczek otoczyła jedyne oko właściciela lupanaru, a jednocześnie na jego ustach pojawił się uśmiech. Przez kilka chwil Mainar cieszył się swoim sukcesem.

— Powiedzcie mi, czy wasz protektor nadal uprawia róże.

— Skąd o tym wiecie?

— To oczywiście, z ulicy można dostrzec doniczki na parapecie jego okna. Pytam was jeszcze raz: uprawia róże czy nie?

— To jego jedyna słabość, panie, która może oderwać go od obowiązków.

— Tak przypuszczałem.

Magi nerwowo potarł dłonie. Nie rozumiał, do czego prowadzi to dziwne przesłuchanie. Ale Mainar jeszcze bardziej go zaskoczył, gdy powiedział:

— Wyobrażam sobie, że musicie znać Martiego Barbany; to najlepszy przyjaciel waszego przełożonego.

— To prawda, znam go, widziałem ich razem wiele razy i nosiłem wiadomości od archidiakona do domu annatora. Chyba teraz udał się w podróż — dodał, aby pokazać, że jest dobrze poinformowany.

Jednooki zapytał z zainteresowaniem:

— Czy znacie jego dom?

— Nie mogę powiedzieć, że go znam, bo nie przekroczyłem jego progu, ale znam wiele osób, które w nim mieszkają.

— Dobrze. Wasze zadanie polega na przekazywaniu mi wszystkich wiadomości dotyczących Martiego Barbany lub kogokolwiek z tych ludzi, których, jak twierdzicie, znacie.

— Nie rozumiem — rzekł zaskoczony Magi.

— I nie jest to konieczne — odparł szorstko Mainar. — Ograniczcie się do wypełniania moich poleceń. Jeżeli wykażecie się gorliwością, to za każdym razem, kiedy będziecie z Nur, skorzystacie też z możliwości wdychania dymu z tego zioła... wiecie, co mam na myśli.

Poczucie szczęścia zalało twarz Magiego.

— Panie, nie będziecie się na mnie uskarżać.

Z kolei uśmiechnął się Mainar i poklepując go lekko po kolanie, powiedział:

— Jesteście bystrym młodzieńcem i przepowiadam wam wspólną przyszłość.

Dwukrotnie klasnął w dłonie. Natychmiast pojawił się eunuch Maimón.

— Co rozkażecie, panie?

— Powiedz Nur, żeby zesza.

46

Bertran z Cardony

Pierwsze dni po przybyciu do hrabiowskiego pałacu były dla Bertrana pasmem sprzecznych doznań. Z jednej strony utajona nienawiść przepęniała całą jego istotę, kiedy stykał się z owymi ludźmi, których w taki czy inny sposób uważał za wrogów swojego domu. Jednak z drugiej strony młode lata i ciekawość skłaniały go do przyglądania się uważnie wszystkiemu, co, jak mu podpowiadał umysł, w przyszłości może się okazać pożyteczne dla jego ojca.

Pomimo że zamek w Cardonie był jedyną w swoim rodzaju twierdzą, pod względem luksusu i wielkości nie mógł współzawodniczyć z hrabiowskim pałacem. Ogromne salony z kasetonowymi sufitami, bogate komnaty, kobierce pokrywające ściany, oręż w pa-nopliach zdobiących salony, różnobarwne witraże, a zwłaszcza mnogość świateł, które w świecznikach, kandelabrach, wizygockich lampach o wielu ramionach rozjaśniały noc, nie mogły nie przytłaczać wyobraźni chłopca, który, choć szlachetnie urodzony, nigdy nie wyjeżdżał poza obręb swoich rodzinnych włości. Mundury straży, czapraki i przepych końskiej uprzęży, ogrom stajni, gdzie został umieszczony Blanc, i wystawność strojów dam wręcz go oślepiały.

A jednak pomimo tego skrywanego podziwu Bertran przebywał w odosobnieniu w jednym z pałacowych pokoi, wygodnym, choć surowym, z którego wychodził tylko po to, by zająć się swoim koniem w stajniach i ćwiczyć się w sztuce walki w sali broni. Przez cały czas zachowywał posępny wyraz twarzy, okazując każdemu,

kogo mijał, swoje niezadowolenie z sytuacji, w której się znalazł. W rzeczywistości nie mógł się skarżyć na sposób, w jaki był traktowany, chłodny, lecz poprawny, chociaż kilkakrotnie dostrzegł sarkastyczne spojrzenie Berenguera, ciemnowłosego bliźniaka.



Tego ranka, w tydzień po przybyciu do pałacu, zszedł do ogromnych stajni jak co dnia, żeby osobiście zająć się pielęgnacją Blanca. W wiadrze pełnym wody z mydłem moczył szczotkę z ostnicy, po czym mocno szorował nią zad zwierzęcia. Koń raz po raz rżał cicho, jakby z wdzięczności za troskę. Wykonując tę czynność, chłopiec przemawiał szeptem do siwka. Nagle tuż obok rozległ się śpiewny głos pytający ciekawie:

— Czy on was rozumie?

Początkowo ogarnęły go wątpliwości, czy to pytanie było skierowane do niego. Spojrzał w stronę, skąd dochodził ów melodyjny głos, i zobaczył dziewczynę, która przyglądała mu się z ciekawością. Delikatnie unosiła niebieską jedwabną suknię, żeby nie powalać jej lamowanego brzegu o brudną posadzkę stajni.

— Czy mówicie do mnie?

Marta rozejrzała się wokół, lekko speszona.

— Nie widzę tutaj nikogo innego... — I z nagłym błyskiem w oczach dodała: — Chyba że tak jak wy przemawiam do koni.

Młodzieniec nieco się zawstydził, słysząc ironię w głosie dziewczyny, a jednocześnie postanowił mieć się na baczności; w końcu był na terytorium wroga.

— Kim jesteście?

— Dlaczego nie odpowiecie, zanim zaczniecie pytać?

— No dobrze — ustąpił niechętnie. — Koń mnie rozumie, a ja rozumiem jęgo. Czy wasza ciekawość została zaspokojona?

Marta, zamiast odpowiedzieć, ciągnęła:

— Jesteście pewni?

Bertran, nic nie mówiąc, odwrócił się do szlachetnego stworzenia, by znów podjąć szczotkowanie.

Dziewczyna postanowiła zmienić taktykę.

— Nazywam się Marta Barbany i należę do świty hrabiny Almodis.

Chłopak wrzucił szczotkę do wiadra, lecz nadal milczał: nie

odczuwał najmniejszej ochoty na zażyłość z kimkolwiek na tym dworze.

— Czyżbyście mi nie wierzyli?

— Damy zwykle nie kręcą się po pałacowych stajniach — mruknął niezadowolony.

— Jeżeli jest w nich młody wicehrabia Cardony, nie widzę niczego niestosownego ani uwłaczającego w tym, żeby przebywała tam dama. Skoro jest to godne was, równie dobre jest dla mnie.

Bertran stał się nieufny.

— Skąd znacie moje imię?

Marta powiedziała gromkim głosem:

— „Nazywam się Bertran z Cardony, proszę, byście o tym nie zapominali, i dzięki Bogu nie jestem głuchy”.

Ta odpowiedź go zaskoczyła. Pamiętał dokładnie epizod, który wywołał tę wymianę zdań z donem de Besora. Bertran spojrzął na dziewczyną z ukosa, ale nie odpowiedział ani słowem, powrócił do szczotkowania konia.

Marta mu się przyglądała, ogarnięta nagłym gniewem. W ciągu tygodni, jakie spędziła w zamku, czuła się bardzo samotna i widząc, jak pojawia się ten chłopiec, powiedziała sobie, że to ktoś, kto tak samo jak ona znajduje się tu wbrew własnej woli. Skorzystała więc z jednej z nielicznych chwil wolnych od obowiązków damy dworu, żeby go odszukać. Ale Bertran okazał się równie zarozumiały co zuchwały. A ona nie mogła narażać się na to, że ktoś zobaczy ją z nim w stajni sam na sam... dobrze o tym wiedziała. Podkasawszy spódnicę, wyszła z wysoko podniesioną głową i twarzą purpurową z wściekłości. Nikt w ciągu jej dwunastoletniego życia nie potraktował jej z taką pogardą. Wyszła tak szybko, że nie spostrzegła, iż błękitna chusteczka, którą trzymała w dłoni, upadła na posadzkę stajni.

47

Incident

Rankiem na placu ćwiczeń młody Ramón Berenguer przyglądał się uważnie postępom chłopców pobierających nauki u mistrza. Spośród nich wszystkich wyróżniał się bez wątpienia syn wicehrabiego Cardony. Chłopiec obnosił się z rodową dumą nielicującą z kondycją zakładnika, nie przyjmował pomocy i okazywał się nieczuły na wszelkie przejawy dobrej woli, jakie usiłowano mu okazać. Na tej symbolicznej tarczy, którą się osłaniał, można było dostrzec tylko dwie rysy. Pierwszą było dążenie do mistrzostwa w posługiwaniu się bronią; czas, jaki poświęcał na doskonalenie rycerskich umiejętności, mógłby się dla niego nigdy nie kończyć. Drugą — zamiłowanie do zwierząt, zarówno do własnego konia Blanca, a co za tym idzie, także do innych wierzchowców przebywających w pałacowych stajniach, jak i do hrabiowskich sokołów, które powierzono jego opiece. Wypełniając te obowiązki, objawił zdolności, o jakich mogłoby marzyć wielu spośród sławnych sokolników hrabstwa. „Lnianogłowy” przeczuwał, że za tą ponurą twarzą kryją się szlachetność i odwaga, i zapragnął zaskarbić sobie przychylność młodego Bertrana.

Tego dnia ćwiczone było połączenie umiejętności jazdy konnej z kunsztem posługiwania się włócznią, toporem lub maczugą z łańcuchem. I znowu najbiedniejszy okazał się Bertran z Cardony. Ramón obserwował go z uwagą i nawet pochwalił, ale nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Uśmiechnął się w głębi duszy:

tak dumnemu młodzieńcowi trudno było znieść świadomość, że sprowadzono go do kategorii zwykłego zakładnika. Postanowił więc nie mówić nic więcej i pozwolić, by chłopiec wyładował wściekłość na obrotowej kukle. Ale kiedy ćwiczenia dobiegły końca, zawołał go i Bertran nie miał innego wyjścia, jak tylko do niego podejść. Uprzejmym tonem Ramón pogratulował mu zręczności i wskazał kilka szczegółów w jego technice, które można było poprawić. I pochwały, i lekką krytykę Bertran przyjął ze zwykłą dlań oschłością, choć w głębi duszy przyznał, że syn hrabiego ma rację, a jego rady są trafne i przydatne. Ponieważ wszakże był zdecydowany nie okazywać nikomu wdzięczności, jedynie przytaknął i z podszytym arogancją szacunkiem poprosił, by pozwolono mu się oddalić.



Stajnie stały w pobliżu oranżerii i kiedy Bertran poszedł do swoich zajęć, zobaczył z balustrady tarasu młodą damę hrabiny Almodis, zaprzątniętą podlewaniem różanych krzewów. Jako że Marta wysłuchiwała cennych porad ojca Llobeta na temat róż, została wyznaczona przez hrabinę Almodis do pielęgnacji jej kwiatów. Tego ranka miała na sobie obcisły kaftanik z zielonego atłasu z kwadratowym dekoltem uwydatniającym jej niewielkie piersi i spódnicę z takiej samej tkaniny w słomkowych odcieniach, która wydawała jej się znakomita. Trzewiki na potrójnej podeszwie zostawiła obok ławki, by wspiąć się na nią bez przeszkód. Zauważywszy kątem oka, że zbliża się ów zarozumiały młodzieniec, który tak źle ją potraktował, odwróciła się plecami, udając, że przywiązuje łądygi, których kolce jej przeszkadzają. Bertran zbiegł po kamiennych schodach, przeskakując po cztery stopnie, i wyjął z kieszeni chusteczkę, którą Marta upuściła w dniu, kiedy poszła do stajni, żeby z nim porozmawiać.

Dziewczyna nadal stała na drewnianej ławeczce, udając, że go nie dostrzegła, podobnie jak on nie zauważył jej poprzednim razem. Młodzieniec, nagle onieśmielony, odczekał chwilę, po czym chrząknął.

— Ach! — zawołała Marta, wykorzystując przewagę, jaką nad nim miała, kiedy tak stała na ławce. — Chcecie mi coś powiedzieć? Mogłabym przysiąc, że nie macie najmniejszej ochoty ze mną rozmawiać. Przecież nie jestem koniem.

— Ostatnim razem wypadło wam to — rzekł Bertran ze spuszczonej oczami i z wyciągniętą ręką, w której trzymał chustkę.

— Czy możecie chwilkę zaczekać? Teraz mam zajęte ręce — odparła Marta, postanowiwszy okazać chłód.

Przez kilka sekund nadal zajmowała się różami, świadoma tego, że chłopiec wbija w nią spojrzenie. W końcu, kiedy uznała, że już kazała mu dość czekać, zeszła z ławki. Powoli włożyła trzewiki, a potem niedbałym tonem zwróciła się do młodzieńca.

— Bardzo dziękuję — powiedziała, biorąc chusteczkę. — Czy życzyście sobie czegoś jeszcze?

Chłopiec zamierzał coś odpowiedzieć, ale nagle zmienił zdanie i odwróciwszy się, ruszył ku wyjściu z oranżerii. W jego powolnych krokach i opuszczonych ramionach było jednak coś, co sprawiło, że Marta pożałowała swojego zachowania.

— Zaczekajcie...

Słyszając ją, Bertran zatrzymał się w drzwiach.

— Byliście bardzo uprzejmi, zwracając mi chustkę — powiedziała, kiedy się do niej odwrócił, choć nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby dodać.

On wzruszył ramionami, a na jego ustach pojawił się uśmiech. Marta odwzajemniła go i oboje stali przez kilka chwil w milczeniu.

— Czasami jest ciężko być z dala od rodziny, prawda? — powiedziała Marta. — Bez przyjaciół, daleko od miejsca, w którym się dotąd mieszkało.

Przytaknął.

— Może moglibyśmy zostać przyjaciółmi... — wyszeptła.

Bertran znowu przytaknął, niemal wbrew własnej woli. Poprząsił sobie, że nie nawiąże bliższych kontaktów z nikim w pałacu, ale ta dziewczyna wydawała się równie osamotniona jak on... a doprawdy samotność stawała się dla niego nie do zniesienia. Pożegnali się bez słowa, szczerym uśmiechem.



Kiedy Bertran się oddalił, Marta podniosła koszyk, w którym trzymała swoje narzędzia ogrodnicze, i skierowała się do pałacu. Minęła arkadową galerię na piętrze i pozostawiwszy koszyk w stałym miejscu, zamierzała pójść do swojego pokoju, żeby się odświeżyć i przygotować do obiadu. Kiedy wchodziła już na główne schody,

z bocznych drzwi prowadzących do zbrojowni wyłoniła się nagle postać Berenguera Ramóna.

Dziewczyna zatrzymała się na chwilę, ze stopą na pierwszym schodku. Berenguer podszedł do niej i palcem wskazującym odsunął niesforny kosmyk włosów spadający jej na czoło.

— Dokąd tak biegniecie? I skąd przybywacie, tak bardzo wzburzona i z włosami w nieładzie?

Dziewczyna zauważyła, że syn hrabiostwa, zamiast patrzeć jej w oczy, kieruje spojrzenie na dekolt, i instynktownie zasłoniła się ręką.

— Wasza matka poleciła mi zajmować się różami i właśnie stamtąd wracam.

— Jestem pewien, że róże na wasz widok cieszą się tak samo jak ja...

Marta poczuła, że jej twarz płonie niczym mak.

— Panie, jeśli nie życycie sobie rozkazać mi nic więcej, pozwólcie, że się usunę — wybąkała.

— Przychodzi mi do głowy wiele rzeczy, jakie chciałbym wam rozkazać — rzekł Berenguer z przewrotnym uśmiechem — ale obawiam się, że nie spodobałyby się one mojej matce.

Dziewczyna nie czekała dłużej, zebrała dłonią spódnicę i jak błyskawica pobiegła na górę.

Cudowny wynalazek

Od wyjazdu pana sprawy Ahmeda się skomplikowały. Było ku temu wiele powodów. Przede wszystkim nienawiść i melancholia, które zalewały jego duszę i wiodły go co dzień do starego młyna w Magórii, gdzie spoczywały zwłoki Zahiry. Ahmed wiedział, że nie może nadal tam mieszkać, gdy jego ojciec jest tak ciężko chory, ale ponieważ nie chciał zostawić grobu ukochanej osamotnionego, poprosił Manela, żeby zamieszkał w młynie na czas jego nieobecności. Jednocześnie też pragnął zadowolić pana i pomagać Rashidowi al-Malikowi w realizacji tego pasjonującego zadania. I wreszcie musiał codziennie wracać na noc do domu na placu Sant Miquel, gdzie ogarek życia jego ojca powoli się dopalał.

Tego dnia praca w jaskini była wyczerpująca. Nosił kolby i retorty, utrzymywał błękitny płomień paleniska, aby kropla po kropli destylował się gęsty płyn, który wkrótce miał się przemienić w upragniony owoc ich trudów. Na razie jednak, jak utrzymywał Rashid, ów płyn powinien się odstać, a kiedy doda się do niego ostatni składnik, czyli saletrę, i żywicę, która to wszystko ze sobą połączy, będzie można przeprowadzić ostateczną próbę. Potem produkt zostanie umieszczony w dzbanach z wypalanej gliny z dodatkiem fosforu. To za jego sprawą naczynia, ledwie otarłszy się o jakąkolwiek twardą powierzchnię, wywołają iskry, które zapalą zawartość.

Manel smarował właśnie końskim łojem sworznie mechanizmu wprawiającego w ruch młyńskie kamienie, gdy zobaczył nadjeż-

dżającego Ahmeda. Przywitał go ruchem ręki, z zatroskaną twarzą, co nie uszło uwagi przybysza, kiedy przywiązywał swojego wierzchowca do przeznaczonej do tego belki.

— Co nowego słyszać, Manelu, jak idą sprawy? Kiedy wjeżdżałem, odgadłem z wyrazu twojej twarzy, że dzieje się coś niezwykłego.

— Masz rację. To, o czym się mówi na Mercadal, nie wróży nic dobrego dla hrabstwa; wiesz równie dobrze jak ja, że kiedy szlachta się sprzecza, lud za to płaci głodem i śmiercią.

— A o czym się mówi?

— Ktoś podburza ludzi, żeby wystąpili publicznie przeciw hrabinie Almodis, która, jak powiadają, zamierza pogwałcić zwyczaj i uczynić tego jasnowłosego spośród bliźniąt dziedzicem tronu hrabstwa.

— Jak to się odbywa?

— Wznoszone są podesty, z których pewni osobnicy o niezbyt dobrej reputacji zachęcają słuchaczy do buntu i demonstrowania przed pałacem. Już od dwóch dni z powodu zamieszek nikt nie handluje na Mercadal. Zniszczono wiele straganów, a wczoraj rozbito kram z wyrobami ceramicznymi pewnego Żyda, bo odmówił zapłacenia haraczu.

— A co ludzie o tym myślą?

— Tak naprawdę większość przyjęłaby taką zmianę z zadowoleniem. Wszyscy znają sławę pierworodnego, jego gwałtowny charakter i całkowity brak zainteresowania sprawami publicznymi, wiedzą też o jego wypadach z Berenguerem. Natomiast lubią „Lnianogłowego”. Dlatego ktoś zainteresowany zachowaniem tradycji usiłuje pozyskać zwolenników, po dobroci lub siłą. Domagają się danin od najbogatszych kupców, by mieć środki na realizację swoich celów.

Ahmed zastanawiał się przez chwilę.

Manel znał charakter przyjaciela i nie dziwiło go, że ten, nie mówiąc słowa, skręcił w stronę grobu Zahiry. Przez jakiś czas stał przy nim z czapką w dłoniach, potem poszedł odwiązać konia, dosiadł go i przed odjazdem zwrócił się do przyjaciela.

— Jadę do domu, mój ojciec jest ciężko chory.

Ściągnął wodze i ruszył ku bramie.

Usiłując opóźnić chwilę, w której będzie musiał stawić czoło

smutnemu widokowi chorego ojca, zatoczył szerokie koło i wjechał do miasta przez bramę Regomir. Jak co dzień ludzie, którzy pracowali poza murami, posuwali się pomału w długim szeregu, niosąc owoce ziemi i morza; wielu z nich oświetlało sobie drogę zapalonymi latarniami i pochodniami. Minąwszy straż przy bramie, skierował swojego wierzchowca ku uliczkom starego miasta, aż wjechał na plac Sant Miquel, obok jednej z wież domu rodziny Barbany. Posuwał się z trudem, gdyż zgodnie ze zwyczajem ubogie rodziny korzystały z ciepłej pory roku i zbierały się na ulicach, żeby siedząc na ziemi lub stojąc, komentować wydarzenia dnia.

Dojechawszy do bramy, Ahmed zdał sobie sprawę, że za ogrodzeniem dzieje się coś ważnego. Było to niezwykle, że oprócz Gaufreda, dowódcy straży, przed wejściem stał także Andreu Codina.

Gdy tylko rozpoznali jego konia, wybiegli mu na spotkanie, a Gaufred pochwyił za wodze.

Majordom zaczął mówić w pośpiechu.

— Na szczęście zdążyłeś. Szybko... bo inaczej nie zobaczysz już ojca przy życiu.

Ahmed zeskoczył z konia i pokonawszy pędem dziedziniec, skierował się ku pomieszczeniom przeznaczonym dla domowej służby, usytuowanym za kuchniami. Kiedy dotarł do mieszkania swojej rodziny, ciche szlochanie powiadomiło go, że to, czego się najbardziej obawiał, albo już się wydarzyło, albo wydarzy się lada chwila. Ostatnim susem znalazł się na progu sypialni rodziców. Naima siedziała na zydlu przy łóżku, trzymając w dłoniach kościstą rękę męża, która niczym wężłasty korzeń winnego grona wychylała się spod narzuty. W kącie, pilnując płomienia lampki oliwnej, siedziała kucharka Mariona, a z drugiej strony zapłakana Caterina, która zasłaniając sobie nos związaną na karku chustką, spryskiwała posadzkę wodą kwiatową z trzymanej w ręku miednicy, żeby zagłuszyć straszliwy odór rozchodzący się po pokoju.

Ahmed podszedł do łóżka i odsunawszy delikatnie ochmistrzynię, schwycił drugą dłoń ojca; nie mając żadnej nadziei, że ten go usłyszy, powiedział:

— Już jestem, ojcze, teraz możesz odpocząć.

Omar otworzył oczy, jakby wracał z innego świata; wydawało się, że go rozpoznaje. Potem z ogromnym wysiłkiem przemówił doń cicho, a gęsta flegma czyniła jego słowa niemal niezrozumiałymi.

— Ahmedzie, zbliża się koniec, przykro mi, że pozostawiam na twoich barkach brzemień naszego domu. — Zamilkł na chwilę, żeby nabrać sił. — Podziękuj naszemu panu za wszystko, co dla nas uczynił. Choćbyśmy zrobili nie wiem co, nigdy nie zdołamy się za to odplacić. Bądź mu wierny aż do śmierci, dbaj o swoją matkę i siostrę, znajdź dla niej dobrego męża... Teraz to ty jesteś głową rodziny.

Wykorzystując kolejną pauzę, Ahmed usiłował go pocieszyć.

— To tylko chwilowe niedomaganie, ojcze, jak tyle poprzednich. Wkrótce poczujecie się lepiej. Wyzdrowiejecie.

Ochryply głos umierającego znowu mu przerwał.

— Posłuchaj, już nie mogę wymknąć się śmierci. Od dłuższego czasu jestem przygotowany na to spotkanie. Miałem dobre życie, widziałem, jak dorastacie, a jest to coś nie do pomyślenia dla niewolnika. Teraz przenoszę się do raju, żeby przygotować dom, w którym... kiedy Allah, Miłosierny i Litościwy, tak postanowi... wszyscy się spotkamy. — Znow na moment przerwał. — Nie chcę, żebyście za mną płakali, dusza nigdy nie umiera... Zawsze będę z wami, zmienię tylko dom. Chciałbym zostać tu trochę dłużej, żeby zobaczyć, jak dorastają twoje dzieci i dzieci Aminy, i dostrzec w nich świeże pędy mojej gałęzi... ale Wszchemogący w swojej mądrości postanowił inaczej. Wybaczcie mi wszelkie zło, jakie mogłem wyrządzić, i pożegnajcie ode mnie tych wszystkich, którzy byli moimi przyjaciółmi.

Potem, po długim westchnieniu, zgasł, a jednocześnie z nim zgasł płomień lampki w rękach Mariony, jakby jakiś magiczny powiew nadleciał, by zabrać odchodzącą duszę.

49

Szlachta i plebejusze

W pałacu dni następowały po sobie w zwykłym rytmie i według codziennego zwyczaju, który jednak zmienił się dla dwóch osób — Marty i Bertrana. Sumienie tego ostatniego opanował prawdziwy zamęt. Z jednej strony poczucie obowiązku i duma z przynależności do rodziny Cardona pozostawały niewzruszone, podczas gdy z drugiej nie mógł zaprzeczyć przed samym sobą, że czas spędzany w pałacu nie okazał się tak nieprzyjemny, jak to przewidywał w chwili przyjazdu. Bertran nie chciał czynić żadnych ustępstw wobec tych, których uważał za swoich porywaczy, ale nie mógł zaprzeczyć, że trafne rady młodego hrabiego Ramóna Berenguera znacznie poprawiły jego naturalną zręczność w posługiwaniu się orężem: był pewny, że w innych warunkach zostaliby dobrymi przyjaciółmi, jako że łączyła ich miłość do zwierząt i odwaga podczas turniejów. Również codzienne spotkania z Martą rozweselały dni, które zanim ją poznał, miały nudne i pozbawione treści. Widywali się praktycznie codziennie — po posiłku, kiedy cały pałac zdawał się zapadać w popołudniowy sen, w oranżerii, gdzie Marta nadal opiekowała się różami hrabiny, lub w stajniach, w których Bertran spędzał wiele godzin.

Z pewnością te nieliczne dni, kiedy jakaś okoliczność nie pozwalała im się widzieć, wydawały mu się długie i nudne.

Również Marta czekała na te spotkania z utęsknieniem, jakiego sama nie rozumiała. Zawsze miała Bertranowi coś do powiedzenia.

Czasami były to rzeczy, których nauczyła się na lekcjach u ojca Llobeta; kiedy indziej — komentarze, jakie czyniły między sobą damy... choć, nie wiedząc czemu, wołała przemilczać pochwały, jakimi Adelais de Cabrera obdarzała młodego wicehrabiego Cardony. Natomiast opowiedziała mu o pełnych pogardy komentarzach, które ta wygłaszała od czasu do czasu na temat jej plebejskiego pochodzenia, zazdrosna o pochwały, jakimi hrabina Almodis często ją wynagradzała za opiekę nad różami.

— I to prawda, Bertranie — powiedziała w dniu, kiedy Adelais znowu ją złośliwie skrytykowała. — Mój ojciec nie pochodzi ze szlachty, choć ma opinię wybitnego obywatela Barcelony, i jakkolwiek nie lubię o tym mówić, jest być może najbogatszym i najhojniejszym człowiekiem w hrabstwie, gdyż z własnej kieszeni zapłacił na przykład za poprowadzenie wody do miasta kanałem Rec Comptal.

Bertran myślał przez chwilę.

— Jak odmiennie wyglądają sprawy widziane z zewnątrz. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że istnieje inna wpływowa władza oprócz hrabiego, kleru czy panów feudalnych, a ty mówisz o obywatelstwie Barcelony, jakby chodziło o jakiś tytuł szlachecki.

— Adelais de Cabrera bez przerwy stara się mi przypominać, że to nie to samo — odpowiedziała Marta. — Choć szczerze mówiąc, nie widzę, żeby była ona lepsza ode mnie tylko dlatego, że urodziła się w szlacheckiej rodzinie... O ile wiem, jej ojciec poświęca się tylko próżnowaniu, jak tylu innych z jego rodu...

To rozdrażniło Bertrana, którego poglądy były ukształtowane przez to, kim był i co reprezentował jego ojciec.

— Myślę, że nie wiesz, o czym mówisz. Co by się stało z bezbronnym hrabstwem? To prawda, że ziemię uprawiają wieśniacy, ale kim są ci, co strzegą granic i ryzykują życie, kiedy wróg zagraża jakiejś twierdzy albo napada na jakiś kraj?

— A więc powiedzmy — dowodziła Marta — że każdy wypełnia swoje zadanie. Ale to nie daje żadnego prawa jednym do wykorzystywania innych w imię przywilejów przysługujących z racji urodzenia.

Bertran słuchał ze zdumieniem wywodów dziewczyny, które stanowczo kłóciły się z tym wszystkim, czego uczył się od dziecka.

— Jak możesz porównywać honor rycerza z pracą zwykłego wieśniaka?

— Niewielki honor okazują ci, co pustoszą pola i napadają na domy, co podpalają zbiory tych, którzy nie mogą zapłacić podatków, i skazują na głód całe rodziny!

— Nie wiesz, co mówisz — ofuknął ją Bertran. — Myślę, że powinnaś słuchać z większą uwagą nauk ojca Llobeta. Wątpię, żeby on, którego tak podziwiasz, podzielał to, co powiedziałaś. Oczywiście to jasne, że myślisz w taki sposób... w końcu jesteś tylko dziewczyną...

Miał zamiar dodać „niewinną”, ale zanim zdołał skończyć zdanie, Marta przerwała mu z wściekłością.

— Z plebsu! Powiedźcie to, wicehrabio Cardony. — Przez chwilę walczyła ze łzami, które cisnęły jej się do oczu. — Nie martwcie się, wicehrabio, nie będę już was więcej niepokoiła — zapewniła, akcentując jego tytuł. — Dzięki temu będziecie mogli poświęcać wasz czas tak wytwornym damom jak Adelais!

Tego popołudnia rozstali się oboje pełni urazy; Bertran myślał, że takie pomysły są właściwe kobietom i że nie można z nimi dyskutować: kobiety to kobiety, a mężczyźni to mężczyźni. Te pierwsze są przygotowane do zadań mniej istotnych — dom, dzieci, rodzina — i muszą się podporządkować wyższemu umysłowi mężczyzny, co jest jasno powiedziane w naukach Kościoła Świętego, Matki Naszej.

50

Norman

Rejs przebiegł spokojnie. „Santa Marta”, popychana lekkim północno-wschodnim wiatrem nadymającym dwa ogromne żagle, przemierzyła bezmiar wód w niecałe trzy tygodnie. Biegły Mani-poulos, pozostawiwszy na sterburcie Minorę, obrał kurs zdecydowanie na południe, dzięki czemu uniknął przejścia przez Cieśninę Bonifacego między Korsyką a Sardynią i ominął niebezpieczne okolice; potem skręcił na bakburtę i wyciskając z wioślarzy siódme poty, kazał płynąć do Mesyny. Tam właśnie mieścił się dwór Roberta Guiscarda, zwanego Normanem, który za pontyfikatu Mikołaja II uznał papieża za swego feudalnego pana, przez co cieszył się wielkim poważaniem Kościoła. Ojcu Świętemu odpowiadał taki sprzymierzeniec, jako że południu Italii zagrażały siły saraceńskie.

Kiedy „Santa Marta” wpływała na redę portu w Mesynie, głos obserwatora z bocianiego gniazda ostrzegł Martiego i Manipoulosa, że od strony sterburty zbliża się szalupa z dwoma pasażerami i sześcioma wioślarzami. Feluka doплыnęła do statku i podczas gdy wioślarze podnosili wiosła, jeden z mężczyzn siedzących dotąd na ławce rufowej wstał i złożwszy dłonie w trąbkę, zawołał:

— Kim jesteście i skąd przybywacie?!

Manipoulos odpowiedział w ten sam sposób.

— To „Santa Marta”, statek flagowy armatora Martiego Barbany! Płyniemy z Barcelony i przywozimy posłannictwo od hrabiny

Almodis do wielce dostojnego księcia Apulii, Kalabrii i Sycylii, Roberta Guiscarda.

Tamten pochylił się do swego towarzysza — sądząc po stroju, wyraźnie odeń ważniejszego — i skonsultowawszy się z nim, przemówił znowu.

— Wchodzę na pokład, żeby dowodzić manewrami na redzie. Feluka popłynie przodem, żeby opuścić przed wami łańcuch zamykający wejście do portu. Przybijemy do zachodniego nabrzeża, gdzie opuścicie pomost, po którym wejdzie na pokład osoba uprawniająca do wyrażenia zgody na wasze zejście na ląd.

Z góry, na rozkaz Manipoulosa, zrzucono drabinkę sznurową i mężczyzna zaczął się po niej wspinać. Kiedy już stanął na pokładzie, przedstawił się Martiemu Barbany.

— Jestem Rogelio di Cremona, dowódca zbrojowni portu w Mesynie, i podlegam bezpośrednio wielce dostojnemu Tulliovi Fieramosce, admirałowi morza sycylijskiego, który płynie w feluce. W jego imieniu i w imieniu swojego pana, księcia Sycylii, witam was na naszej ziemi.

Feluka powiosłowała szybko i skierowała się ku jednemu z rogów portu w Mesynie. „Santa Marta” ze zwiniętymi żaglami popłynęła za łodzią.

Natychmiast przy jednym z krańców wąskiego wejścia do portu kilku ludzi podbiegło do mechanizmu wprawiającego w ruch olbrzymi bęben i ogniwa ogromnego łańcucha zaczęły się z wolna pogrążyć w wodzie, otwierając przed statkiem swobodne przejście. Na rozkaz „naprzód” wiosła znowu poszły w ruch i „Santa Marta”, z banderą Barcelony na rufie i proporcem armatora na szczycie grotmasztu, wpłynęła majestatycznie na kotwicowisko Mesyny. Na rozkaz Manipoulosa podniesiono wiosła po jednej ze stron sterburty i statek przybił do nabrzeża wzniesionego na potężnych drewnianych palach wbitych w dno. Z pokładu pofrunęły na ląd cumy, które robotnicy portowi schwytali i uwiązali do słupków. Po zakończeniu tej operacji Tullio Fieramosca, admirał floty Roberta Guiscarda, wszedł majestatycznie po pomoście, który opuszczono ze statku.

Uroczyste powitania ciągnęły się przez całe popołudnie. Sycylijczycy byli uprzejmi, ale zanim zapytali gości, po co i dlaczego przybyli na Sycylię, kluczyli i krążyli wokół tematu, jakby podejrzewali ich o jakieś nieczne zamiary. Wreszcie, po zdegustowaniu

znacznych ilości wina z cynamonem i przyprawami, nieco się rozluźnili i wysłuchali Martiego, który wspomniał o swoich listach uwierzytelniających. Obiecali wrócić niezawodnie następnego dnia z odpowiedzią Roberta Guiscarda.

Po zapadnięciu nocy Martí i Basilis podzielili się spostrzeżeniami dotyczącymi przedstawicieli księcia Sycylii i zaczęli się zastanawiać nad sposobami dalszego postępowania.

— Oczywiście bądźcie pewni, że wpłynąć tym statkiem do jakiegokolwiek portu to nie to samo co tą starą łajbą „Stella Maris”, którą przed laty woziłem was po całym Morzu Śródziemnym, kiedy wyjechaliście z Barcelony, żeby zdobyć fortunę.

— Co chcecie przez to powiedzieć, Basilisie? — spytał Martí, uśmiechając się na wspomnienie owej podróży, którą podjął w latach młodości i która zaprowadziła go do tak odległych miejsc jak Mezopotamia, gdzie odnalazł czarny olej, podstawę swojej wielkiej fortuny.

— To, że statek o takim wyglądzie na każdym czyni wielkie wrażenie. Czy nie zauważyliście, jakim wzrokiem przyglądał mu się Tullio Fieramosca? Gdyby nie list, jaki wam wręczyła hrabina, i pewność, że jesteście wysłannikiem Barcelony, wątpię, czy pozwoliliby nam stąd odpłynąć tak, jak przyплыliśmy. Taki statek budzi pożądliwość.

W tym momencie zjawił się służący i poprosił o pozwolenie podania wieczerzy.

— Jeżeli nie macie nic przeciwko temu — zaproponował Martí — uporządkujemy nasze plany, gdy będziemy się posilali. — Po czym, zwracając się do służącego, polecił: — Możesz nakrywać do stołu; powiedz kucharzowi, żeby przygotował skromny posiłek. Po tylu dniach rejsu nie chcę przejadać się potrawami, które potem nie pozwolą mi zasnąć.

W chwilę później obaj siedzieli przed zastawionym stołem w kajucie armatora.

Gołriwy majordom wchodził i wychodził, wnosząc i wynosząc półmiski oraz pilnując, żeby kieliszki z winem były zawsze pełne.

Po skończonym posiłku zaczęli rozważać punkt po punkcie najlepszy sposób wprowadzenia w życie swoich intencji. Co powinni powiedzieć, a co przemilczeć i jakie zachowanie najbardziej będzie odpowiadało ich zamiarom.

— Uważam, o ile nie myślicie inaczej — zaczął Grek — że powinniśmy się ograniczyć do pierwotnego planu. Wy poświęćcie się waszym zadaniom ambasadora, a mnie zostawcie rolę karczemnego opryszka, w której doskonale się sprawdzam... W końcu przez całe życie niczym innym się nie zajmowałem.

Marti zastanowił się chwilę.

— Jednakże, przyjacielu, myślę, że powinniśmy wziąć coś pod uwagę.

— Słucham was.

— Jesteśmy na wodach Sycylii; jeżeli będziemy działali bez wiedzy Normana, możemy wywołać jego wrogość — zauważył Marti.

— Macie rację — stwierdził Manipoulos. — Jednak musimy pomyśleć o wszystkich opcjach. Kto was może zapewnić, że Nagib nie grasuje na tych wodach za wiedzą Roberta Guiscarda? Musicie postępować przemyślnie i ostrożnie. Nie wolno dopuścić do tego, żeby wasze słowa dotarły do uszu pirata.

— Zasadniczo się z wami zgadzam. Uważam jednak, że powinniśmy odłożyć ostateczną decyzję i uzależnić ją od mojej rozmowy z Robertem Guiscardem. Ja pójdę się z nim spotkać, a wy zostaniecie na pokładzie. Kiedy wręcę swoje listy uwierzytelniające i zorientuję się, czy rozmowy zmiierają we właściwym kierunku, poruszę taktownie temat, który nas zajmuje, i dopiero wtedy będziemy mogli podjąć właściwą decyzję.

— Jestem pewien, że znajdziecie jakiś sposób. Będę niecierpliwie czekał na wiadomości od was, a tymczasem coś przygotowuję.

Po tych słowach obaj przyjaciele, pokonani przez zmęczenie i nieco senni po wypiciu trzeciej butelki wina z przyprawami, postanowili udać się na spoczynek i pozwolić, aby pokrzepiający sen do końca ukształtował ich myśli.



Po okrzyku czwartego wachtowego, powiadamiającym o nadejściu świtu, na statku znowu zaczęła się krzątanina. Wolni wioślarze pomagali marynarzom w pracach porządkowych i naprawczych: jedni szorowali pokład wodą mydlaną i ostrymi szczotkami, inni czyścili metalowe części, jeszcze inni naprawiali postrzępione liny i uszkodzenia ożaglowania; kucharze przygotowywali południowy

posiłek, a ich pomocnicy wlewali ocet w bukłaki, żeby je zakonserwować. Nagle róg wachtowego trzema krótkimi i jednym długim dźwiękiem powiadomił, że przybywa ktoś z ładu.

Marti i Manipoulos udali się w pośpiechu w stronę kasztelu rufowego.

Elegancka lekyka niesiona przez ośmiu potężnych tragarzy zatrzymywała się przy pomoście opuszczonym z „Santa Marty”. Kiedy ustawiono odpowiedni postument, wysiadł z niej admirał Normana, który pełnił rolę ambasadora — Tullio Fieramosca.

Na rozkaz bosmana marynarze utworzyli na pokładzie szpaler i znamienita osoba uroczystie weszła na pokład.

Po nieodzownych pozdrowieniach i powitaniach gościa zaprowadzono do kajuty Martiego, gdzie po zwyczajowej degustacji wina i po wysłuchaniu strumienia ogólników, jaki popłynął z ust Sycylijczyka, przeszli do właściwego tematu.

— Mój pan, wielce dostojny książę Roberto Guiscardo, udał się do Palermo, gdzie przyjmie was w sobotę w swoim zamku po modlitwie na Anioł Pański. Jak możecie się domyślić, winniście mieć ze sobą listy uwierzytelniające. Powiedzcie mi, czy przybędziecie sami, czy też w którymś towarzystwie. W tym ostatnim wypadku oczekuję od was imienia i stanowiska tej osoby.

— Będę sam i oczywiście wezmę ze sobą listy — powiedział Marti.

— A zatem wszystko jest jasne. Jutro o świcie wypłynie z Mesyny książęcy statek, który zawiezie was do Palermo. Życzę wam, żeby wasz pobyt na tej ziemi okazał się przyjemny, a nade wszystko korzystny dla naszych panów.



Dwa dni później statek, który Norman oddał do dyspozycji Martiego Barbany, przybił do portu w Palermo, gdzie czekał piękny powóz z herbem Sycylijczyka na drzwiczkach, zaprzężony w dwójkę przybranych z całym przepychem koni. Miał on przewieźć gościa do twierdzy, w której mieściła się kwatera główna Roberta Guiscarda.

Marti, ubrany w swój najlepszy strój galowy, przyjrzał się zamkowi Normana, który górował nad miastem. Budowla zrobiła na nim wielkie wrażenie. W niczym nie przypominała hrabiowskiego pałacu w Barcelonie. Pozbawiona piękna jego linii, była znacznie bardziej

surowa, jakby wzniesiono ją wyłącznie z myślą o jej funkcjach obronnych. Zamek otaczał podwójny mur i napełniona wodą fosa, a potężne bramy stanowiły doskonałe zabezpieczenie, w razie gdyby zewnętrzna część zamku została opanowana przez najeźdźców. Po przybyciu powozu oraz wymianie hasel zostały opuszczone mosty, podniesione brony i otwarte bramy. Martiego zaprowadzono na pierwsze piętro paradnej wieży, gdzie Roberto Guiscardo miał swój salon, w którym przyjmował obce poselstwa. Przemierzając korytarze i komnaty, barcelończyk mógł się przekonać o umiarze tego dworu, znacznie bardziej nastawionego na użyteczność niż przepych.

Niemal nie zdając sobie z tego sprawy, został doprowadzony przed oblicze Normana, który oczekiwał go, siedząc na tronie. Po jego bokach stały dwie osobistości. Pierwszą z nich był Tullio Fieramosca; drugiej Marti nie znał, chociaż z jej ubioru wnioskował, że to wysoki dygnitarz kościelny.

Najwyższy kamerling zgodnie ze zwyczajem uderzył okuciem laski w posadzkę, po czym szambelan zaanonsował gościa.

— Wielce szlachetny wysłannik hrabiego Barcelony, Ramóna Berenguera Pierwszego, dostojny don Marti Barbany de Gorb. Marti, starając się nie okazać pośpiechu, podszedł do stóp tronu. Z pochyloną głową czekał, aż Norman pozwoli mu się wyprostować. Głos Sycylijczyka zabrzmiał nisko i głęboko.

— Wstańcie, ambasadorze. Mój dom należy do moich przyjaciół i do wysłanników moich przyjaciół. Hrabia Ramón Berenguer jest jednym z nich i wy reprezentujecie go w tej chwili.

Marti stanął prosto i teraz już z bliska mógł się przyjrzeć legendarnej postaci Normana. Jasna grzywa, która rozsypywała mu się na ramiona, otaczając twarz jakby wyczelowaną ruchami dłuta, szare, przenikliwe oczy, wydatny nos, mięsiste usta i bujna broda. Jego skronie opasywała złota korona o pięciu pałkach, z których każda była ozdobiona wielkim rubinem, a plecy okrywał zbytkowny płaszcz z gronostajowym kołnierzem.

— Witajcie na moim dworze — powiedział uroczyście Norman. — Admirala już znacie. Po mojej prawicy widzicie legata papieskiego, jego ekscelencję biskupa Pietra Damianiego, który wraz z koadiutorem, bratem Hildebrandem, był prawą ręką jego świętobliwości Mikołaja Drugiego.

Martí poczuł, że duchowny przygląda mu się uważnie, lecz jego uśmiech wydawał się otwarty i szczery.

— Usiądźcie. Ambasador Barcelony może rozmawiać ze mną jak równy z równym.

Martí, nie okazując wrażenia, jakie wywarły na nim te słowa, zajął stare krzesło z kości słoniowej i skóry, które podsunął mu jeden z szambelanów. Równocześnie dwaj dostojni doradcy zasiedli po obu stronach księcia, tyle że o stopień niżej od niego.

Martí uniósł skórzaną teczkę, która leżała na jego kolanach, i wyjął z niej listy uwierzytelniające.

Ruchem dłoni Roberto Guiscardo polecił woźnemu, by je odebrał i wręczył Tulliowi Fieramosce. Ten przeciął lak sztyletem, który podał mu sługa, i po uważnej lekturze powiadomił swojego pana, że wszystko jest w porządku.

Głos księcia zabrzmiał głęboko i uroczyście.

— Witam was ponownie i chętnie wysłucham, z jakim to przybywacie poselstwem.

Martí zaczerpnął powietrza i zaczął powoli mówić. Po pochwalnej tyradzie poświęconej Robertowi, jego rodzinie i księstwu przeszedł do wyjaśnienia zasadniczego powodu swojej podróży.

— Oficjalnie nie piastuję stanowiska ambasadora. Jednakże moi hrabiostwo, motywowani rozlicznymi okolicznościami, nad którymi nie będę się tu rozwodził, postanowili obdarzyć mnie tą niezasłużoną łaską.

Norman przerwał mu.

— Fałszywa skromność jest zaletą tych, co nie mają żadnej innej, a nie jest tak w waszym przypadku. Jesteśmy niewielkim krajem, cieszącym się poważaniem tylko dzięki przychylności papieża, ale docierają do nas wiadomości z odległych stron. Kiedy ktoś nienależący do szlachty zostaje uhonorowany misją reprezentowania swoich panów, jego pochodzenie nie jest ujmą, lecz jeszcze większą zasługą. Słucham was, ambasadorze.

— Dziękuję, ekscelencjo, za wasze względy — rzekł Martí i po krótkiej pauzie zaczął mowę, którą sobie wcześniej przygotował. — Jak dobrze wiecie, obowiązkiem męża stanu jest troszczyć się o szczęście swoich poddanych, a w tym celu korzystne jest ustanawianie więzów i relacji z owymi państwami,

które w przyszłości mogą odegrać rolę naszych silnych
sprzymierzeńców. A bez wąt-

pienia Sycylia, z racji położenia geograficznego, decydującego dla wszystkich szlaków na Morzu Śródziemnym, z racji prawości waszych rządów, z racji szacunku, jaki okazujecie Ojcu Świętemu, i z racji łaskawości, jaką on względem was przejawia, zasługuje na taką opinię. Od niepamiętnych czasów wiadomo, że najlepszym sposobem zaskarżenia sobie przychylności i pozyskania sprzymierzeńców jest skoligacenie się rodzin panujących, a w jaki sposób najlepiej do tego doprowadzić? Wy o tym wiecie: mieszając krew poprzez małżeństwo swoich dzieci z ich dziećmi, dziedzicami, którzy pewnego dnia, daj Boże nieprędko, będą musieli przejąć rządy.

Norman uniósł brwi, okazując, z jak wielką uwagą przysłuchuje się propozycji Martiego.

— W jakim wieku jest dziedzic hrabstwa Barcelony, Pedro Ramón?

Martí poruszył się niespokojnie w fotelu.

— Nie o nim przybyłem z wami rozmawiać, ale o jego przyrodnim bracie, Ramónie Berenguerze.

— Ależ on nie jest dziedzicem tronu Barcelony.

— Panie, z całym szacunkiem, nie będzie również dziedziczyła tronu Sycylii księżniczka Mafalda z Apulii, a o niej przybyłem rozmawiać.

— Zatem?

— W dzisiejszych czasach, pełnych wojen i klęsk, nic nie jest pewne; jeszcze nie zostało postanowione, kto obejmie tron Barcelony, a hrabia Ramón jest drugi w kolejności dziedziczenia, .la też mam córkę — kiedy to mówił, przemknęła mu w pamięci utęskniona postać Marty i ton jego głosu niemal bezwiednie złagodniał — i muszę dbać o interesy swojego domu, a jednak gdyby dano mi do wyboru pomiędzy dwoma mężczyznami, odpowiadającymi charakterem i cnotami obecnemu dziedzicowi i wspomnianemu z bliźniąt moich hrabiostwa, wybrałbym bez wątpienia tego drugiego.

Norman poprawił się na tronie, gładząc delikatnie brodę. Martí skorzystał z tej pauzy, żeby wyjąć z teczki medalion, który wręczył Tulliowi Fieramosce, by ten przekazał go swemu panu. Norman przyjrzał mu się z ciekawością.

— Sprężyna jest pod kameą zdołbiącą wieko, panie — poinstruował go Martí.

Roberto Guiscardo nacisnął ukrytą dźwignię i kiedy otworzyło się niewielkie wieko, ukazał się piękny profil młodego hrabiego Ramóna Berenguera, delikatnie wyrzeźbiony w kości słoniowej przez najlepszego artystę na barcelońskim dworze.

Zamykając medalion, Norman powiedział:

— Jeśli pozwolicie, chciałbym pokazać go swojej małżonce, księżnej Sichelgaicie z Salerno.

Marti z wielką ulgą uznał, że propozycja nie została odrzucona i być może jego misja zostanie ukoronowana sukcesem.

— Także w tym celu go przywiozłem.

Roberto Guiscardo, tonem niepasującym do jego imponującego wyglądu, poprosił o wybaczenie, chowając jednocześnie kameę do kieszeni swoich nogawic.

— W moim domu, podobnie jak w jakimkolwiek innym, w sprawach dotyczących więzów małżeńskich opinia niewiasty bardzo się liczy. A jak rozumiecie, wygląd kandydata na zięcia ma zasadnicze znaczenie, chociaż ja znacznie większą wagę przywiązuję do zalet moralnych.

Martí i doradcy uśmiechnęli się na tę uwagę Normana i biskup Pietro Damiani, który do tej chwili nie otworzył ust, pokusił się o komentarz.

— Zadaniem matki jest się upewnić co do fizycznej urody kandydata i stwierdzić, czy jest ona ozdobą jego wartości moralnej. Kościół, jako najwyższa i powszechna matka, musi czuwać nad tym, czy pokrewieństwo albo inna przeszkoda nie uniemożliwia związku.

W tym momencie Marti już wiedział, że jego misja się powiodła.

— A zatem nieoficjalnie mnie prosicie o rękę mojej ukochanej córki, księżniczki Mafaldy.

— W rzeczy samej, panie, i jeżeli otrzymam wasze pozwolenie, a odpowiedź będzie pomyślna, syn hrabiego przybędzie osobiście, żeby poznać narzeczoną.

— Wobec tego, ambasadorze, w imieniu swoim i małżonki miło mi będzie zaprosić was na ucztę, którą wydamy jutro na waszą cześć.

— To dla mnie zbyt wielki zaszczyt, panie. — Marti uznał, że to właściwy moment, żeby przedstawić tę drugą sprawę, która go przywiodła na sycylijski dwór. — Panie, za pozwoleniem, jest jeszcze inny problem, osobisty, który ma związek z moim zawodem armatora i co do którego pragnąłbym zasięgnąć waszej rady.

— Słucham was — powiedział książę — i jeżeli będę mógł wam pomóc, już teraz możecie na to liczyć.

Marti podziękował niebu, że tak mu ułatwia sprawy, i zaczął swoją opowieść.

— Panie, jak wiecie, moja profesja jest związana z morzem, a na nim, podobnie jak na lądzie, nie wszyscy są dobrymi chrześcijanami. Szanuję i aprobuję konkurencję innych armatorów, ale nie mogę ścierpieć zła, jakie wszystkim krajom Morza Śródziemnego wyrządzają napady piratów. Ci niegodziwcy pod opieką niewiernego powodują spustoszenia i łyż zarówno na pełnym morzu, jak i w nadbrzeżnych wioskach, które najeżdżają, żeby zdobywać niewolników, a potem sprzedawać ich na targach Wschodu czy Berberii.

— Dobrze o tym wiem, ambasadorze — rzekł Roberto Guiscardo, a na jego twarzy odmalowała się troska, jaką przepełniała go ta sprawa. — I wiercie mi, że bardzo trudno temu zaradzić. Do niedawna tymi ziemiami władali kalifowie Egiptu, stąd wielu mych poddanych to, na moje nieszczęście, wyznawcy islamu, którzy nie dość, że aprobują te pirackie napady, to jeszcze nierzadko pomagają w ich dokonywaniu. Ale powiedzcie, co się wam w związku z tym przydarzyło.

— To bardzo proste, wielmożny panie — odparł Marti. — Skradziono mi statek; nie najlepszy ani nie najcenniejszy, ale najbardziej przeze mnie umiłowany, gdyż to on zapoczątkował moją flotę. I jeszcze coś: jego kapitan jest, bo mam nadzieję, że nadal żyje, jednym z moich najdawniejszych i najdroższych przyjaciół.

— A wiecie, kim jest rabuś?

— Jeżeli prawdziwe są wiadomości, jakie do mnie dotarły, to Nagib Tunezyjczyk, bicz Morza Śródziemnego, protegowany walego Tunisu i Ikbala, króla Denii i pana Balearów.

Norman w zamyśleniu pogładził brodę.

— Nie lękajcie się o życie waszego kapitana; martwy wart jest znacznie mniej niż żywy. Znam aż nadto sposób postępowania Nagiba. Teraz was zmiękcza i kiedy dojdzie do wniosku, że jesteście już wystarczająco przyciśnięci do muru, przekaże wam wiadomość, gdzie i kiedy odbędzie się spotkanie, podczas którego przedstawi wam swoje warunki. Jeżeli je przyjmiecie, wasz kapitan i przyjaciel będzie żył i odzyskacie statek; w przeciwnym razie możecie wszystko uznać za stracone. Rozbójnik oddaje trzecią część tego, co zrabuje,

w zamian za poparcie, jakie mu oferują mieszkańcy wybrzeży, przy których para się swoim perfidnym rzemiosłem. Dobrze im płaci, a oni w zamian pomagają mu z ładu, służą jako szpiedzy i dostawcy. Ci szubrawcy nawet nie muszą wychodzić w morze i narażać się na niebezpieczeństwo. Dlatego domyślam się, że Nagib schronił się w jednej z zatoczek. Ale powiedzcie mi, o co mnie prosicie. Marti zastanowił się przez chwilę.

— Rozumiem, co mi chcecie powiedzieć, panie, ale nie zamierzam czekać z założonymi rękami, aż Nagib mnie wezwie. Już od wielu lat pływam po tym morzu i znam sposób postępowania owych szakali. Zwracam się do was z prośbą, byście mi pozwolili swobodnie poruszać się po waszych wodach, schodzić na ląd i, o ile to możliwe, prosić o pomoc waszych poddanych.

Norman wymienił krótkie spojrzenie ze swoim admirałem. Ten zabrał głos.

— Mieliśmy i nadal mamy wielkie problemy z mieszkańcami naszych wybrzeży. Pamiętajcie, panie ambasadorze, że są oni wyznawcami islamu i że zostali pokonani przez mojego pana i jego brata Rogera. Po zakończeniu podboju Sycylii i wybrzeży Adriatyku należało zbudować taki system rządów jak ten, który Wilhelm wprowadził w Normandii. Chociaż w celu pozyskania ich zaufania uszanowano islamskie zwyczaje i tradycje, jednak starania te okazały się płonne i zakończyły niepowodzeniem. Maurowie są skłonni do buntów i zamieszek, które zmuszają nas do ustawicznego trzymania miecza i tarczy w dłoni. Czy nie zauważyliście, że ta budowla bardziej przypomina twierdzę niż pałac?

Marti przytaknął skinieniem głowy.

— Otóż nie jest to przypadek, ale konieczność wynikająca z potrzeby zapewnienia nam bezpieczeństwa.

— Nie pojmuję, panie, do czego zmierzacie.

Teraz odezwał się kardynał Pietro Damiani.

— W tle leży konfrontacja religii, która kto wie czy nie skończy się prawdziwą krucjatą.

Znowu dał się słyszeć głos Normana.

— Widzicie, ambasadorze, ja nie mam poddanych, tylko wrogów. Oczywiście upoważniam was do poruszania się po moim królestwie, do odwiedzania miast i szukania informacji wszędzie tam, gdzie uznacie to za stosowne, ale działajcie z wielką ostrożnością i rozważą:

wiadomość o każdym waszym ruchu po kilku dniach dotrze do uszu pirata. Bądźcie wszak pewni, że jeśli będziecie potrzebowali pomocy na morzu albo posiłków rycerskich, możecie liczyć na moje wsparcie. Marti dokonał pobieżnego szacunku rezultatów swoich zabiegów i poczuł zadowolenie: sprawy przybierały lepszy obrót, niż przewidywał.

— Pomówcie z moim admirałem o waszych potrzebach — dodał jeszcze Norman — a on dostarczy wam wszystko, co jest konieczne dla urzeczywistnienia waszego zadania. Jutro wieczorem oczekuję was na uczie... A teraz, jeśli pozwolicie, oddalę się do innych swoich spraw.

Marti zrozumiał i zamierzał się wycofać, jak nakazywała etykieta.

— Idźcie z ambasadorem, Tullio — polecił Roberto Guiscardo — i dajcie mu wszystko, czego będzie potrzebował: listy polecające, rozkazy i dokumenty, ażeby każdy urzędnik mojego królestwa spełnił wszystkie jego żądania.

Potem wyciągnął prawą dłoń, żeby Marti oddał mu hołd, co ten natychmiast uczynił, czując w duchu, że poselstwo zostało uwieńczone podwójnym sukcesem.

51

Smutna wiadomość

Damy siedziały w małym salonie hrabiny Almodis, słuchając melodii, którą na harfie, lutni i cytrze wykonywali trzej muzycy. Lionor, Brígida i Barbara dotrzymywały towarzystwa hrabinie, podczas gdy Delfin drzemał na zydłu u stóp pani. W pewnym momencie otworzyły się drzwi i dyżurny szambelan głośno zaanonsował:

— Pani, archidiakon Eudald Llobet czeka w przedpokoju, prosząc o audiencję.

Hrabina odłożyła na bok robótkę, uderzyła lekko stopą w zydel, żeby obudzić karła, i najwyraźniej zadowolona dała znak swoim damom i muzykom, by zostawili ją samą.

— Na co czekacie, szambelanie? Przecież wiecie, że mój spowiednik ma tu zawsze wolny wstęp.

Odźwierny wycofał się cicho, damy zebrały robótki i wyszły, muzycy zrobili to samo ze swoimi instrumentami.

Po chwili zwieńczona tonsura głowa ojca Llobeta wsunęła się do salonu.

— Pozwolicie, pani?

Wyraz jego twarzy wskazywał, że wydarzyło się coś niezwykłego.

— Na Boga, księżu archidiakonie, wasza miłość nie musi o to pytać.

Duchowny przeszedł przez środek salonu, mijając się z Delfinem, który właśnie wychodził. Eudald przywitał go jak zwykle serdecznie,

kładąc na głowie człowieczka swoją ogromną dłoń i targając jego rzadkie włosy.

— Witaj, Delfinie, jak się masz?

— Dziękuję, wasza dostojność, dobrze. Cieszę się, że was widzę, tak mi tęskno do waszych nauk. Przebywam ciągle między kwokami, które popisując się swoją łaciną, wciąż paplają o głupstwach, przez co muszę sprawiać sobie drzemkę, żeby nie słuchać ich bełkotu.

Hrabina doskonale знаła usposobienie swojego błazna, toteż lekko się uśmiechnęła.

— Czy mnie też zaliczasz do tych kwok?

Karzeł, patrząc spode łba i zmierzając w stronę drzwi, odpowiedział:

— Naprawdę nigdy taka nie byliście, ale czas robi swoje. Uważajcie, pani, ich towarzystwo ma na was zgubny wpływ.

Minął już Llobeta, kiedy zawadził stopą o trójnogi kandelabr. Nieszczęsne kości Delfina gruchnęły o ziemię. Hrabina się roześmiała.

— Lepiej patrz, gdzie idziesz... I nie mam na myśli tej chwili, ale twoje życie. Gdyby nie ja, co by się z tobą stało? — zapytała zamyślona.

Karzeł podniósł się oburzony i otrzepał czapkę portki.

— Na pewno siedziałbym sobie spokojnie w swoim lesie... Chociaż może wam ułożyłoby się inaczej bez mojej pomocy i rady — odparował dwuznacznie.

Po tych słowach, gniewny i zmieszany, skierował się ku drzwiom i gestem, który miał być gwałtowny, zamierzał silnie nimi trzasnąć, jednak ciężkie odrzwia mu się oparły i to, co miało być pełnym godności pożegnaniem, stało się śmiesznym widowiskiem.

Duchowny podszedł do krzesła hrabiny i kiedy zamierzał ją dwornie powitać, ona go ubiegła, biorąc jego dłoń i unosząc do warg.

— To moja powinność, wasza dostojność — rzekła. — Tak rzadko widuję was prywatnie; rozmawiam z wami tylko podczas spowiedzi, a to nie przydarza się co dzień.

Przyjrzała mu się uważnie.

— Spocznijcie, Eudaldzie, i powiedzcie mi, co się stało, bo przecież coś się stało.

Kapłan usiadł naprzeciwko hrabiny i otarł chustką pot z czoła.

— Sprawy znane nie są przez to mniej bolesne. Przynoszę złą nowinę dla Marty. A raczej dla Aminy, jej przyjaciółki i sługi.

— Jaką nowinę, Eudaldzie?

— Omar, ojciec Aminy, zmarł wczoraj wieczorem. Był wy-zwoleńcem w domu Martiego Barbany, wiernym sługą, i umarł właśnie teraz, kiedy jego pan jest w podróży. To będzie bolesna chwila dla jego córki, ale również dla Marty.

— Jakże mi przykro; czy to się stało nagle?

— Nie, pani, takie zakończenie było nieuniknione, ale choć oczekiwane, wcale przez to nie mniej smutne dla tych, którzy go kochali.

— Domyślam się, że chcecie prosić o moją zgodę na to, by Marta i jej sługa udały się do domu przy placu Sant Miquel — powiedziała hrabina.

— Właśnie o to chciałem prosić.

— Udzielam jej, ale będą musiały iść w towarzystwie dwóch służących. Nie chciałabym ponosić odpowiedzialności, gdyby pod nieobecność ojca spotkała ją jakaś niemiła przygoda. Czy mogę coś jeszcze dla was zrobić?

— Jedyne wysłuchać mojego protestu — odrzekł duchowny. — Jeżeli, jak twierdzicie, spotykacie mnie tylko w konfesjonale, to nie dzieje się tak z mojej winy. Jestem codziennie w pałacu, bądź po to, żeby przygotować do ślubu waszą córkę Sanchezę, bądź po to, żeby dawać lekcje Marcie.

— Rzeczywiście macie trochę racji — poskarżyła się Almodis z westchnieniem. — Mam wiele obowiązków i mało czasu. Zwłaszcza teraz, kiedy jestem zajęta przygotowaniem do ślubu Sanchy... Ale dawniej szukaliście mnie z większym zaangażowaniem.

— I nadal robiłbym to samo, gdyby to ode mnie zależało, ale mój czas, podobnie jak wasz, jest ograniczony: przewodniczę kapitule w Pia Almoina; wiecie, że zamierzamy przywrócić dawne życie we wspólnocie. Na szkole postulantów, kupię dla biednych, których jeszcze do niedawna było stu, a dzisiaj jest już więcej niż stu pięćdziesięciu, i korekcie kopii manuskryptów mija mi ranek. Po południu studiuje stare pergaminy, a trzy razy w tygodniu daję lekcje tu, w pałacu. Jak widzicie, nie mam nawet czasu zajmować się swoimi różami.

— Skoro mówimy o różach, wiem, że udzieliliście świetnych

rad tej uroczej młodej osobie. — Almodis uśmiechnęła się na myśl o Marcie. — Marti Barbany może być dumny z córki: muszę przyznać, że cenię ją bardzo wysoko.

Ojciec Llobet przytaknął: niewiele osób kochało Martę tak jak on. Miał już coś powiedzieć, ale hrabina zmieniła temat.

— Rzeczywiście oboje jesteśmy bardzo zajęci; pozwólcie więc, że tym bardziej wykorzystam ten czas, który mi dzisiaj ofiarowujecie.

Hrabina nigdy się nie wycofywała, kiedy coś leżało jej na sercu, toteż od razu spytała:

— Co myślicie o narzeczonych moich córek? Pytam was o to, ponieważ nie będąc zwyczajnym dworzaninem, możecie pozwolić sobie na szczerość.

Kapłan zrobił ostentacyjną pauzę, rozważając pytanie.

— Jeśli mam rzec prawdę, uważam, że hrabia Cerdañi będzie dobrym zięciem.

Almodis nie zwlekąca z komentarzem.

— Jakiego dobrego ambasadora skradł mi Kościół! Jak wspaniale potraficie zaprzeczać, potakując! Dobrej głowie dość dwie słowie, ale mimo to powiedzcie, co sądzicie o Guiguesie z Albonu.

— Nie lubię mężczyzn niestałych, sprośnych żartownisiów. Wasza córka Inés będzie miała w nim niewielkie oparcie w razie przeciwnieństw, jakie może zesłać jej los. Uczciwie mówiąc, uważam, że temu młodemu człowiekowi brak rozsądku.

Hrabina westchnęła głęboko.

— Interesy państwa nie są tożsame z interesami matki. A ja dobrze o tym wiem, przeżyłam to na własnej skórze. — Po krótkiej przerwie spytała: — A co myślicie o dziedzicu?

Tym razem to Eudald uczynił dygresję.

— Pani, zmuszacie biednego księdza do wyrażania opinii o sprawach państwa, którymi nie powinien się zajmować.

— Pozwólcie, że będę nalegała, tak trudno się z wami spotkać...

— No dobrze, wybaczcie mi szczerość: ma rozwiązać charakter i... czemu tego nie powiedzieć?... wywiera fatalny wpływ na waszego syna Berenguera. Może stać się przekleństwem dla hrabstwa, kiedy przejmie władzę po ojcu... o

ile do tego dojdzie.

— O ile do tego dojdzie, to jasne... Na Boga, nie można wam odmówić zuchwałości! Nikt przy zdrowych zmysłach nie odważyłby się wygłaszać takich opinii.

— To przywilej starości, pani — uśmiechnął się Llobet. — Kiedy ktoś zmierza już na tamten świat, może sobie pozwolić na to, na co ja sobie pozwalam. Droga, jaka mi pozostaje, jest krótka i nie myślę tracić ani chwili na wysłuchiwanie głosu sumienia, które nazywa mnie kłamcą.

— Rzeczywiście jesteście wspaniali. Wybaczcie mi tę uwagę i zajmijmy się sprawą, która was tu sprowadza.

Almodis wstała z krzesła i podeszła do sznura wprawiającego w ruch dzwonek w przedpokoju. Dwa krótkie pociągnięcia i już odźwierny stał w progu.

— Co rozkażecie, pani?

— Poślijcie kogoś, by zawiadomił Martę Barbany i jej służę Aminę, że chce je widzieć.



Ahmed czekał z niepokojem przy furtce na przybycie swojej siostry i Marty. Poprzedniego dnia, tuż przed zmierzchem, poszedł do Pia Almoina prosić ojca Llobeta, żeby korzystając z wolnego wstępu do pałacu, przekazał obu dziewczętom smutną wiadomość. Wieczorem w domu rodziny Barbany zjawił się Magi, koadiutor Eudalda, z wiadomością, że Marta i Amina przybędą nazajutrz w porze modlitwy na Anioł Pański.

Czekając teraz na dziewczęta, Ahmed rozmyślał nad wrażeniem, jakie wywarł na nim młody koadiutor. Przypominał sobie jego bladą cerę i wychudłą twarz z podkrążonymi, zalęknionymi oczami. Zauważył wtedy, że ukryty pod kapturem habitu duchowny spogląda na niego spode łba, usiłując unikać jego wzroku. Kiedy majordom Andreu Codina przyszedł do pomieszczeń dla służby, aby powiedzieć, że wysłannik ojca Llobeta czeka na dziedzińcu, Ahmed zapytał, dlaczego nie zaprosił go do środka, i w odpowiedzi usłyszał, że duchowny nie chciał wejść.

Takie myśli zajmowały głowę Ahmeda, gdy ujrzał w oddali obie dziewczyny idące przez plac ku domowi. Przed nimi szedł służący, a za nimi strażnik uzbrojony w krótki miecz i sztylet. W pierwszej chwili coś młodzieńca zaskoczyło; wygląd Marty się zmienił, a raczej zmieniła się jej postawa: ta dziewczynka, która kiedyś raczej biegała, niż chodziła, przemieniła się w czarującą młodą damę.

Kiedy grupa doszła do ogrodzenia, obaj mężczyźni odsunęli się

na bok i podczas gdy Marta starała się okazywać powściągliwość, niepokieszona Amina rzuciła się w ramiona brata.

Stopniowo się uspokajała i kiedy już szloch przestał nią wstrząsać, Ahmed odsunął ją od siebie i wyciągnąwszy z kieszeni chusteczkę, otarł jej łzy.

— Nie płacz, siostró... Przecież wiedziałaś, że ojciec jest chory...

— Nie sądziłam, że stanie się to tak szybko, Ahmedzie. Byliśmy razem przez tak długi czas, a odszedł właśnie wtedy, kiedy przebywałam gdzie indziej! Kiedy to się stało, bracie? Jak się czuje nasza matka?

— Przedwczoraj o zmierzchu, Amino; umarł tak, jak żył, dyskretnie i pogodzony z losem, żeby nie powiększać bólu swoich bliskich. Możesz sobie wyobrazić, jak się czuje nasza matka... Nie chce się z tym pogodzić.

Ahmed odsunął od siebie siostrę i skierował spojrzenie ku Marcie, która stała z boku.

Dziewczyna podeszła i czule uściskała przyjaciela.

— Nie muszę ci mówić, Ahmedzie, jak bardzo jest mi przykro i jak żałuję, że nie ma tu mojego ojca. Kiedy przekazą mu tę wiadomość, dozna wielkiej przykrości. Nigdy nie uważał Ornara za sługę, w jego osobie utracił przyjaciela, a życie już tyle mu zabrało.

— Gdzie odbędą się uroczystości pogrzebowe? — zapytała Amina słabym głosem. — Czy ciało ojca jest już przygotowane?

— Okazuje się, że nasz pan kupił dla nas miejsce na cmentarzu dla muzułmanów na zboczu góry Collserola. Nawet ja dowiedziałem się o tym dopiero wczoraj od matki. Ojciec chciał, żebyśmy pochowali go z twarzą zwróconą w stronę Mekki, w grobie wykopanym w ziemi, obłożonym kamiennymi, murowanymi lub drewnianymi płytami. I tak musi być. Andreu Codina i ja przygotowaliśmy ciało. Potem czuwali przy nim kapitan Munt, Gaufred i Manel, a pożegnali je, jeden po drugim, wszyscy domownicy.

Po chwili wahania Amina znowu przemówiła.

— Gdzie jest nasza matka, Ahmedzie? Chcę się z nią widzieć. Potem zobaczę ojca.

Marta usunęła się na stronę: czuła, że w takiej chwili rodzeństwo i ich matka chcą być sami.

Pakty i przymierza

Lubieżność skłaniała Berenguera do pożądania i zdobywania każdej kobiety, jaka znalazła się w zasięgu jego wzroku, a niewiele było takich, które ośmielały się opierać potomkowi hrabiego. Jednak od pewnego czasu nękała go niepohamowana chuć, a jej przedmiotem był nie kto inny, tylko Marta Barbany, która niedawno weszła do orszaku dam jego matki i której wizerunek odbierał mu sen. Osaczanie tej sztuki przysparzało wszakże wielu niedogodności, zwłaszcza że dziewczyna wyraźnie starała się go unikać i niemal nic sposób było napotkać ją samą. Do tego dochodziła przeszkoda w osobie tego impertynenckiego chłopaczka, syna wicehrabiego Cardony, który pojawił się w pałacu i bardziej niż zakładnikiem wydawał się gościem. Berenguer zauważył, że ta para spędza wspólnie wolne chwile. Ogarnięty żądzą bynajmniej nie zapominał o przyszłości, która, jak przypuszczał, malowała się nader złożona i niepewna, bo chociaż ważne było dla niego próżnowanie, polowanie i uganianie się za kobietami, to jednak dziedzictwo, jakie miało mu przypaść w udziale po śmierci ojca, przesądzało o tym, czy nadal będzie mógł wieść życie, które tak lubił.

Tego ranka czekało go spotkanie — ważne, jak się domyślał — z przyrodnim bratem Pedrem Ramónem.

Udali się do pawilonu myśliwskiego, gdzie usiedli przy jednym z okien — na dwóch składanych fotelikach o siedzeniach i oparciach sporządzonych z sarniej skóry — pod wypchanymi figurami pirenej-skiego niedźwiedzia, królewskiego orła i dwóch głuszców.

— Myślę, że powinniśmy byli spotkać się już dawno temu — zagał Pedro Ramón.

— Przecież nie stronie od waszego towarzystwa.

— Nie o to chodzi; jednak przyznacie, że niewiele czasu spędzacie w pałacu.

Berenguer nastroszył się na myśl, że brat chce osądzać jego swawolne życie.

— Od kiedy to jesteście moim strażnikiem? Czy muszę się wam tłumaczyć ze swoich wyjść i powrotów? Jeżeli było wam tak pilno, żeby się ze mną zobaczyć, mogliście powiedzieć o tym seneszalowi, a on na pewno by wiedział, gdzie mnie znaleźć.

Pedro Ramón, znając wybuchowe usposobienie przyrodniego brata i pamiętając, że zorganizował to spotkanie w celu uzgodnienia interesów, puścił tę zniewagę mimo uszu.

— W żaden sposób nie zamierzałem was urazić. Miałem na myśli tylko to, jak trudno jest was znaleźć wolnym od obowiązków, gdyż sprawa, która mnie tu sprowadza, interesuje tak samo mnie jak i was, w związku z czym chciałem osobiście ją z wami omówić.

— A więc jestem. Nie marnujcie waszego cennego czasu na czczą gadaninę i przejdźcie do rzeczy.

Pedro Ramón uniósł się nieco w fotelu i przysunął do rozmówcy, gestem dając do zrozumienia, że temat wymaga dyskrecji, a zwłaszcza wiele taktu.

— Słuchajcie uważnie, Berenguerze. To, co chcę wam zakomunikować, ma istotne znaczenie i wielkie implikacje dla naszego życia.

— Pomińcie ten wstęp, mój czas też biegnie.

— Jak sądzę, zdajecie sobie sprawę, że na mocy prawa pierworództwa dziedzictwo hrabstw Barcelony, Gerony i Osony, chronione przez wszystkie dotychczas opublikowane przepisy, należy się bez wątpienia najstarszemu z synów.

— Nigdy nie słyszeliście, żebym to kwestionował — zaprotestował Berenguer.

— A tym synem jestem ja.

— A więc?

— Sądzę i stwierdzam to bez ogródek, że wasza matka intryguje, by sprawy przybrały inny obrót.

— Mówcie dalej — rzekł Berenguer.

— Co byście powiedzieli, gdyby po śmierci naszego ojca naj-

wyższa władza nad wszystkimi hrabstwami przeszła w ręce waszego brata bliźniaka?

Berenguer zmarszczył brwi. Jakikolwiek stopień władzy, jaki osiągnąłby „Lnianogłowy”, byłby ze szkodą dla niego. I chociaż nie był zazdrosny o przyrodniego brata, to zżerała go zawiść, kiedy chodziło o bliźniaka.

Pedro Ramón nalegał.

— Potraficie sobie wyobrazić, co by się wtedy z wami stało? Do jakich ograniczeń w waszym życiu doszłoby pod rządami waszego nieprzejednanego brata? Stalibyście się zwyczajnym poddanym, i to bez względu na to, jak bardzo usiłowano by przyozdobić ten statut.

— Czy jesteście tego pewni?

— Mam oczy i uszy w pobliżu waszej matki, a wiadomo, że wasz brat jest jej ulubieńcem.

Berenguer zastanawiał się przez chwilę.

— To dlatego, że nie spełniam jej oczekiwań i wciąż się nie ożeniłem — rzekł w końcu. — Kiedy się zdecyduję, sprawy ulegną zmianie.

— Wiecie, że to nieprawda. Wasz brat też nie wziął sobie żony, a jednak preferencje waszej matki są jasne.

— Co proponujecie?

— Tymczasem połączyć nasze siły i zjednywać sprzymierzeńców, żeby ujarzmić przyszłość, którą wieszczę wam znacznie przyjemniejszą, jeżeli pomożecie mi w tym, by sprawiedliwości stało się zadość.

— Jak bardzo przyjemniejszą?

Pedro Ramón spostrzegł, że przyrodni brat zaczyna chwytać przynętę, i jego wargi wykrzywił wilczy uśmiech.

— Jak wiecie, nasz ojciec nabył hrabstwa Carcassonne i Razés, żeby...

— Pierwsze słyszę — przerwał mu Berenguer.

— To wam pokazuje, w jak niewielkim ma was poważaniu. Wiem z całą pewnością, że wasz brat został o tej decyzji dokładnie powiadomiony. A więc, jak mówię, oba terytoria zostały zakupione po to, by mnie odsunąć od dziedziczenia hrabstwa.

— Może to być czcze przypuszczenie, sprzeczne z tym, co sugerujecie.

— Wyjaśnijcie mi, co macie na myśli — odparł Pedro Ramón.

— To, że zakup wspomnianych hrabstw mógł zostać dokonany w celu zapewnienia spadku mnie i mojemu bratu, jako że wam bez wątpienia przypadnie Barcelona — powiedział Berenguer, zadowolony ze swojego wniosku.

— Jakże się mylicie! To okruszyny, które próbują dać dziedzicowi, ponieważ to wasz bliźniak dostanie spadek, który zgodnie z prawem mnie się należy.

— Przypuśćmy, że tak jest; co proponujecie? — spytał Berenguer.

— To bardzo proste. Chcę móc na was liczyć, żeby odsunąć Ramóna od tronu Barcelony i Gerony. W zamian za to oddam wam dwa ostatnio nabyte hrabstwa. Miejcie na uwadze, że dochody z nich są znaczne, nie brak tam zwierzyny, i mam na myśli nie tylko tę w lasach, jako że tamtejsze kobiety cieszą się po drugiej stronie Pirenejów legendarną sławą; są nie tylko piękne, ale też nadzwyczaj czule na przyjemności. Pałacowe festyny w Barcelonie wydają się ledwie bladymi wiejskimi zabawami przy uroczystościach, jakie organizuje się w zamkach na północy. Poza tym będziemy sprzymierzeńcami we wszystkich wyprawach, jakie podejmę dla większego honoru i chwały naszego rodu na granicach Marchii.

— A w zamian wy posiadlibyście hrabstwa Barcelony, Gerony i Osony — sprecyzował Berenguer.

— To jest w pełni zgodnie z prawem. Poza tym lepiej jest być głową myszy niż ogonem Iwa, zwłaszcza gdy się ma wasze słabości.

— A mój brat? — zapytał Berenguer z przewrotnym uśmiechem.

— Będzie musiał zadowolnić się tym, co ja w swojej łaskawości zechcę mu przyznać, choć nie wykluczam, że nasz ojciec coś mu zostawi, pewnie tyle co wam, a ja już zadbam o to, by powiększyć waszą część. Jeśli zgodzicie się być moim sprzymierzeńcem, zawsze będziecie nad nim górować.

Berenguerowi roziskrzyły się oczy. Jego ambicja została zaspokojona, kiedy się dowiedział, że w przyszłości przyćmi brata.

— Możecie na mnie liczyć we wszystkim — rzekł po chwili.

— Mądra decyzja. Kiedy kłosa pszenicy układają się w snop, tworzą silniejszą wiązkę.

Po tej wymianie ustaleń złowroga para opuściła pawilon.

Mafalda z Apulii

Mafalda z Apulii skończyła jedenaście lat i do tej chwili tylko nieliczne zmartwienia właściwe dzieciństwu zakłócały jej szczęśliwe i spokojne życie. Pomimo młodego wieku już wyróżniała się urodą, szlachetną postawą i innymi zaletami. Harmonijna postać, jasna cera i złociste włosy odziedziczone po ojcu Robercie Guiscardzie, księciu Apulii i Kalabrii, dowodziły jej nordyckich korzeni. Osobowość Mafaldy dodatkowo ukształtowała duma z przynależności do rasy normandzkich żeglarzy i zdobywców, którzy od zawsze wstrząsali światem.

Księżna Sichelgaita z Salerno, przy milczącej zgodzie męża, pozwoliła jej obserwować z łoży na piętrze przyjęcie na cześć barcelończyka.

— Zwróć, córeczko, uwagę na naszego gościa — powiedziała.

Mafalda była jeszcze zbyt młoda, by docenić wagę tego, co mówiła jej księżna. Usiadła w towarzystwie braci, Ruggiera i Guida, w łoży i z tego uprzywilejowanego miejsca, ukryta za zasłoną, zamierzała cieszyć się festynem, na co pozwalano jej po raz pierwszy.

Salon błyszczał jak słońce. Damy i kawalerowie mieli na sobie najlepsze stroje. Mafalda, pomimo przeszkody, jaką stanowił podwójny wieniec lampek zdobiących świecznik zawieszony na wysokości pierwszego piętra, przyglądała się temu przepychowi z ciekawością i podziwem: cały dwór był obecny w Palermo, płomienie świec, odbijane w tarczach, kieliszkach, zwierciadłach i zbrojach,

powielały się w nieskończoność. Pośrodku salonu stały trony jej rodziców, a po prawicy matki, na niższym stopniu, na krześle wyściełanym adamaszkim w wąskie czerwone i żółte pasy, siedział znamienity gość. Mafalda ujrzała mężczyznę o szlachetnych rysach, w wieku trzydziestu pięciu lub czterdziestu lat, o przenikliwym spojrzeniu, orlim nosie, szerokich ustach. Najbardziej jednak rzucał się w oczy dołek w podbródku, który niemal przecinał go na dwie połowy. Z postawy barcelończyka promieniowało poczucie siły, które musiało pokrzepiać na duchu tych, co zwali się jego przyjaciółmi lub sprzymierzeńcami. Księżniczka zaledwie zdołała usłyszeć uprzejmości, jakie wymienili z gościem rodzice, tak bardzo była oczarowana światłami i przepychem. Ruggiero przyglądał jej się kpiąco.

Po zakończeniu przyjęcia piastunka zaprowadziła Mafaldę do sypialni, lecz zanim zmorzył ją sen, matka, co niezwykle, zjawiła się przy jej łożu.

— Jakie wrażenie zrobił na tobie nasz gość? — spytała.

— Myślę, matko, że musi to być jakiś wybitny ambasador albo ktoś w tym rodzaju.

— Jutro pomówimy jak kobieta z kobietą, bo już prawie jesteś kobietą, Mafaldo.

Słowa matki nieco ją zdziwiły, ale w głowie unosiły jej się jeszcze obrazy z przyjęcia i zasnęła ukojona nimi jak kołysanką.



Następnego dnia piastunka przyszła ją obudzić. Wykąpawszy Mafaldę w cynkowej wannie i natarłszy pachnidłami, zebrała jej włosy w srebrzystą siatkę, na której błyszcząły małe perły. Potem pomogła jej przywdziać nową suknię, a jedwabne pończochy i atłasowe pantofelki dopełniły stroju.

— Dokąd mam iść tak wystrojona, nianiu? — spytała księżniczka, nieco zdziwiona tą wystawnością.

— Nie pytajcie, takie są polecenia waszej matki.

Kiedy obie wyszły z komnaty, Mafalda odgadła, że piastunka kieruje się do wielkiego salonu pod sypialnią rodziców w głównej wieży. Stojący przed drzwiami wartownik, widząc, kto nadchodzi, odsunął się na bok. Piastunka zapukała i z wnętrza odpowiedział jej głos księżnej. Mafalda знаła ten salon, choć rzadko bywała tam

wzywana. Kiedy weszła, przy jednym z okien ujrzała matkę przędącą na małym kołowrotku motek wełny. Usłyszała za plecami trzask zamykanych drzwi i pełne szacunku słowa piastunki:

— Pani, zgodnie z waszym rozkazem przyprowadziłam dziewczynkę.

— Możesz odejść... A ty, córeczko, zbliż się.

Kobieta wyszła i Mafalda, podchodząc do matki, domyśliła się, że tego dnia wydarzy się coś ważnego.

— Usiądź, Mafaldo. Myślę, że nadszedł moment, żebyśmy po mówiły o pewnych sprawach, które bezpośrednio cię dotyczą.

Dziewczynka usiadła na taborecie u stóp księżnej.

— Zamieniam się w słuch, matko.

Sichelgaita porzuciła swoją robótkę, by skupić się wyłącznie na rozmowie z córką.

— Każdej matce trudno jest pogodzić się z faktem, że dla jej dzieci czas nie stoi w miejscu... — Spojrzała na Mafaldę i uśmiechnęła się do niej. — Ale to oczywiste i nie można temu zaprzeczyć, tak więc pora już poruszyć pewne sprawy, córeczko...

— Nie rozumiem, do czego zmierzacie.

— Kochanie, mijają dni i nie wiedzieć kiedy nadchodzi dorosłość, a to nie dzieje się pomału. Po prostu pewnego wieczoru kładzie się spać dziewczynka, a nazajutrz budzi się kobieta, która płami prześcieradło; znak to, że jej ciało jest już dojrzałe i zdolne do rodzenia dzieci. Czy rozumiesz, o czym mówię?

Rumieniec zalał niewinną twarz Mafaldy, co nie uszło uwagi matki.

— Nie trwóż się, kochanie; gdyby tak nie było, ludzkość by wymarła. Łono kobiety jest cudownym, wyściełanym futerałem, świątynią bożej tajemnicy, której nikt nie potrafi zrozumieć i która jest wspólna dla chłopów, hrabiów, biskupów, a nawet dla samego papieża, podobnie jak śmierć, co wszystkich nas zrównuje.

— Matko, nadal nie rozumiem.

— Dlatego cię wezwałam. — Księżna westchnęła. — Pozwól, że ci wytłumaczę. Wczoraj pozwolono ci być świadkiem przyjęcia; jak pewnie rozumiesz, to dlatego, że chodziło o coś nadzwyczajnego, co jest z tobą związane.

Pytające spojrzenie córki zachęciło ją do dalszych wyjaśnień.

— Jak pamiętasz, prosiłam cię, żebyś przyjrzała się uważnie

naszemu gościowi, choć wczoraj wieczorem wyznałaś, że ledwie go zauważyłaś, olśniona przyjęciem. Otóż rozumiem cię, ale nie dlatego ojciec i ja chcieliśmy, byś obserwowała to wydarzenie.

W tej chwili Mafalda się speszyła: sądziła, że była to sprawa między matką a nią, i nigdy by nie przypuszczała, że ojciec, który napawał ją takim lękiem, o tym wiedział.

— A więc, matko, mam rozumieć, że pan ojciec zgodził się na to, bym mogła widzieć ucztę z łoży?

— Muszę ci zdradzić, że nie był zachwycony moim pomysłem, ale przyznał mi rację, acz niechętnie.

— A zechcecie mi powiedzieć, jaki był powód tak niezwyklej decyzji?

— Właśnie dlatego jesteś teraz tutaj. Ojciec, córeczko, który żywi do ciebie niezwykle uczucie, postanowił dać ci możliwość poznania wysłannika twojego przyszłego męża.

W tym momencie cała krew, która niewiele wcześniej oblała rumieńcem twarz dziewczynki, odpłynęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

— Ależ, matko, jak możecie mi mówić o mężu, którego nie znam, z którym nigdy nie rozmawiałam, którego nawet nie widziałam?

— To nie ma znaczenia, moja mała — uspokoiła ją matka, głaszcząc jej włosy. — Są sprawy, o których musisz wiedzieć. W dzisiejszych czasach księżniczka jest na usługach interesów królestwa. Masz szczęście, że ojciec, który cię uwielbia, wziął pod uwagę twoje szczęście i wybrał dla ciebie małżonka młodego i obdarzonego wielką urodą. On da ci szczęście i znając pochodzenie naszego rodu, zapłaci *arra sponsalicia* zgodne z zyskami, jakie przyniesie mu powinowactwo z naszym sycylijskim domem.

W głowie Mafaldy jakby wirował kołowrotek.

— Jak mu na imię, matko, i do jakiego rodu należy?

— Do rodu hrabiów Barcelony; ma na imię Ramón Berenguer.

— Ależ, matko... — rzekła niemal z płaczem Mafalda. — Dlaczego tak ma być? Tak szybko...?

— Ja miałam czternaście lat, kiedy poślubiłam twojego ojca, którego zresztą nie znałam do dnia zaręczyn, i zostałam szczęśliwą małżonką. Jesteś naszą jedyną córką, a ten związek jest korzystny dla naszego domu. Kiedy miałaś osiem lat, przeżyliśmy wielkie

zmartwienie: flota cesarza Konstantynopola zablokowała nasze wybrzeża, uniemożliwiając nam handel z pozostałymi królestwami Morza Śródziemnego. Flota katalońska jest bardzo potężna, a hrabia nie dopuści, by ktokolwiek zagroził ziemi jego małżonki. Czy zaczynasz rozumieć?

— Ależ, matko... co to wszystko ma wspólnego z miłością? — zaprotestowała Mafalda.

— To nieważne, moje dziecko. Jest coś, o czym nie wolno ci zapominać: syn musi bronić herbu potęgą swojego miecza, córka czyni to wigorem kobiecości i płodnością łona.

Mafalda wielokrotnie słyszała to zdanie, ale po raz pierwszy zrozumiała jego znaczenie.

— Jak on wygląda, matko? — spytała drżącym głosem. — Czy jest bardzo stary?

Sichelgaita z Salerno się uśmiechnęła. Pomyślała, że córka nadal jest dzieckiem, i poczuła, jak zalewa ją fala czułości. Ucisnęła mocno jej dłoń i wstała z krzesła.

— Zrobię coś, czego nie powinnam, gdyż twój ojciec chce wystawić na próbę twoje posłuszeństwo, ale jestem kobietą i matką, toteż cię rozumiem.

Podeszła do narożnej komódki, wyjęła coś z górnej szuflady, po czym wróciła do córki.

— Spójrz.

Naciskając sprężynę, otworzyła medalion, który dał jej małżonk. Dziewczynka wzięła go w dłoń i przypatrzyła mu się z uwagą. Ujrzała doskonały profil „Lnianogłowego”. Podniosła wzrok na matkę.

— Jest bardzo przystojny, pani — wyjąkała, mile zaskoczona.

— Masz to szczęście.

— Czy jest blondynem, czy brunetem? Bo wizerunek jest z kości słoniowej.

— Ma włosy jasne jak pszenica latem, a poza tym wygląda na Normana — powiedziała księżna z Salerno i nie mogąc się powstrzymać, objęła ukochaną córeczkę, która rozpoczynała swoją trudną drogę w świecie dorosłych.

Feluka

Po powrocie z Palermo, gdy już znalazł się ponownie na pokładzie, Marti opowiedział Manipoulosowi o wszystkim, co wydarzyło się na dworze Roberta Guiscarda — od przedstawienia listów uwierzytelniających do uczy wydanej przez Normana na jego cześć. Potem wyłuszczył mu powody, które mogły utrudnić spotkanie z Nagibem, i powtórzył wyczerpujące wyjaśnienie, jakiego mu udzielił admirał Tullio Fieramosca.

Sprytny Grek wysłuchał tej relacji niemal bez mrugnięcia okiem, a kiedy Marti skończył, skomentował:

— Uważam, że listów i innych dokumentów, w jakie was zaopatrzono, będziemy mogli użyć w ostateczności, a to, co zrobimy na własny rachunek, musi być znacznie bardziej dyskretne, gdyż w przeciwnym razie z łatwością dotrze do uszu pirata.

— Wobec tego co proponujecie?

— Podczas waszej nieobecności obmyśliłem plan, który choć może się nie powieść, w żadnym razie nie zagrozi naszej misji.

— Mówcie dalej.

— Nie tylko go obmyśliłem, ale też zacząłem już urzeczywistniać.

— Mówcie, Basilisie. Nie mam ochoty na zagadki.

— Chodźcie ze mną.

Greki wstał i poprowadził Martiego w stronę łopatk na sterburcie. Tam pochylił się nad drewnianym relingiem otaczającym statek i kazał przyjacielowi spojrzeć w dół.

Martí wychylił się i zobaczył przycumowaną do statku rybacką felukę zaopatrzoną w żagiel łaćński i dwie pary wiosł, całkowicie wyposażoną i gotową do drogi.

— A to co takiego?

— Kupiłem ją przed dwoma dniami od cypryjskiego rybaka — wyjaśnił Manipoulos. — To niewielka łódź, ale bardzo wytrzymała, typowa dla tych wybrzeży. Znam ją dobrze, bo sam na takiej zaczynałem, a najważniejsze: do jakiegokolwiek portu zawinie i jakiegokolwiek plaży przybije, nie zwróci niczyjej uwagi.

— Mówcie dalej, Basilisie, słucham was z najwyższą uwagą.

— Dokładnie to przemyślałem. Kiedy tylko nadejdzie z Barcelony grecki ogień, odpłynę feluką jak jeden z wielu rybaków zarabiających na życie i udam się na wybrzeża Kalabrii, bo trudno mi wyobrazić sobie Nagiba w pobliżu Sycylii.

— Na czym opieracie wasze przypuszczenia? — chciał wiedzieć Marti.

— Chodzi o to, że spędziłem całe życie na morzu i dobrze poznałem te lisy. Nigdy nie wchodzi do nory, która nie ma kilku wyjść. Wy zostaniecie tutaj i bądźcie pewni, że on się o tym dowie. Jeżeli chce wejść z wami w układy, znajdzie ku temu odpowiednie środki i zaproponuje wam datę i formę spotkania, żeby pomówić o wykupie. Dlatego chcę się dowiedzieć wszystkiego, co może nam pomóc w przygotowaniu tego, co wcześniej czy później nieuchronnie nastąpi. Nie chcę wpaść z „Santa Martą” w zasadzkę ani stracić, oprócz „Lai”, jeszcze i tego statku albo nawet życia.

— Słucham was uważnie, ale nie chwytam w całości waszego zamiaru.

— Wyruszę ku przyładkowi, do którego sięgają dominia Roberta Guiscarda. Oczywiście będę miał ze sobą listy uwierzytelniające, jednak z nich nie skorzystam, dopóki nie okaże się to niezbędne. Chcę odwiedzić wszystkie nadmorskie oboje i uciekając się do pomocy złota, które nigdy nie zawodzi, gdyż pokonuje opór i łamie wolę, zdobyć potrzebne nam informacje.

— A jak sądzicie, gdzie znajdziecie to, czego szukacie? — spytał Marti.

— Ten pirat, jeśli się nie mylę, będzie chciał mieć w swoim zasięgu dwa wybrzeża, żeby zapewnić sobie ucieczkę, i nie będą to z pewnością te, które rozciągają się między Kalabrią a Sycylią,

tylko raczej te wschodnie, na Adriatyku, bo choć te pierwsze należą do Roberta Guiscarda, to z pewnością wśród wysp i wysepek po drugiej stronie będzie czuł się bezpieczniej, osłaniany przez wrogów Normana.

— Zatem?

— Chcę odwiedzić tawerny w Otranto, Tricase i Santa Maria di Leuca. Jeżeli nie znajdę tam tego, czego szukam, klnę się na przodków, że przestanę się nazywać Basilis Manipoulos!

Marti po kilku chwilach namysłu odpowiedział:

— Podoba mi się wasz plan, ale moim zdaniem nie powinniście udawać się w tę podróż sami. Poza niebezpieczeństwami na lądzie będziecie wystawieni na rozmaite morskie zagrożenia, a felukę jak ta, którą kupiliście, lepiej steruje się we dwóch niż w pojedynkę. Zaczekacie więc na przybycie kapitana Feleta i Ahmeda i dopiero wtedy ustalimy plan. Jak rozumiecie, jeśli przywiozą nam grecki ogień, postąpimy w jeden sposób, w przeciwnym razie w inny. Tak czy owak nie chcę, żebyście płynęli samotnie.

— Wydaje mi się to przezorne, chociaż niekonieczne — wymruczał Grek.

Niewinna zabawa

Od sprzeczki sprzed kilku dni Marta unikała Bertrana, który chwilami, kiedy zmierzała do oranżerii, wodził za nią wzrokiem. Chłopak znowu pogrążył się w ponurym milczeniu, które towarzyszyło jego pierwszym dniom w pałacu. Jednak tego ranka, po ćwiczeniach z seneszalem, Ramón Berenguer powiadomił go, że w następny wtorek pojedą w okolice zamku Arampuña, towarzysząc na polowaniu znakomitemu narzeczonemu jego siostry, Guil-lermowi Ramónowi z Cerdañi, i że chce, by Bertran zajął się sokołami. Ten przyjął wiadomość z udawaną obojętnością, ale Ramón mógłby przysiąc, że w jego oczach dostrzegł błysk radości. Nie mylił się: Bertran od tygodni przebywał zamknięty w pałacu i jego młoda krew domagała się rozleglejszych przestrzeni.

Teraz wyszedł z pałacu zachwycony tą wiadomością, pragnąc się nią podzielić ze swoją jedyną przyjaciółką, jaką miał w pałacu. Po raz kolejny w ostatnich dniach pożałował tamtej sprzeczki skazującej go na smutną samotność. Tak więc, zamiast pójść do oranżerii, gdzie o tej porze z pewnością by ją spotkał, skierował się ku klatkom z sokołami.

Z oranżerii Marta zobaczyła, jak idzie z koszykiem w dłoni. Podobnie jak on, też pragnęła zawrzeć pokój. W końcu to nie

Bertran ją obraził, tylko Adelais. Dlatego poszła ku niemu wolnym, niechętnym krokiem, nie wiedząc dobrze, jak nawiązać rozmowę i zakończyć konflikt. Kiedy jednak znalazła się blisko niego, odrażający fetor kazał jej się zatrzymać.

— Cóż tam niesiecie w tym koszyku, co obraża mój nos? — zapytała Marta.

Młodzieniec odsunął szmatę zasłaniającą resztki królików i pokazał je dziewczynie.

— To pożywienie dla sokołów.

— Na miły Bóg, co za potworność! To śmierdzi zgnilizną...

— Uwielbiamy nieco zepsute mięso.

— Nieco zepsute, powiadacie? Przecież jest zupełnie zgniłe.

Bertran przykrył ponownie kosz płótnem.

— Widocznie nie wiecie — powiedział — że ptaki wiesza się w spiżarni na sznurku za szyję, a kiedy sznurek zgnije i spadną, dopiero wtedy nadają się do spożycia.

— Może ptaki, ale nie króliki — oparła Marta. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że choć przyszła do niego z zamiarem zawarcia pokoju, to jeszcze trochę, a uwikłają się oboje w nową sprzeczkę. Tak więc, zamiast odpowiedzieć, tylko się uśmiechnęła.

On odwzajemnił uśmiech i postawił koszyk na ziemi.

— Masz rację — powiedział, śmiejąc się. — Smród jest potworny. Wyjdźmy stąd.

— Bertranie... — odezwała się, kiedy wyszli z pomieszczenia z klatkami — ostatnim razem...

— ...zachowałem się jak głupiec — dokończył. — Czy zdołasz mi wybaczyć?

Marta postanowiła zażartować.

— O to nie będziemy się kłócić... To ładnie, że młody szlachcic potrafi prosić o wybaczenie.

— Nie uważasz się za pokonaną? — zapytał Bertran, udając zagniewanego.

— Nigdy!

— Jesteś niepoprawna! — odrzekł nadal tym samym tonem. — Ktoś powinien dać ci nauczkę...

Marta rozejrzała się na boki.

— Zrób to ty... jeżeli zdołasz. Daj mi trzy pacierze przewagi,

żebym się mogła schować, i jeżeli uda ci się mnie znaleźć, to poproszę o wybaczenie, zgoda?

I zanim zdążył zareagować, wybiegła, zostawiając go zdumionego.

Pomyślała przez chwilę: żeby schować się w spizarni, musiałaby przejść przez kuchnię, tak więc zmieniła zamiar i skierowała się szybko ku tylnym schodom wychodzącym na tak zwany ogródek zakonnicy, po czym udała się do stojącej w nim drewnitni — podłużnego budynku z wypalanej cegły, krytego arabską dachówką, gdzie przechowywano różne rodzaje pniaków przeznaczonych do pałacowych kominków. Kiedy już miała tam wejść, poczuła, że rozwiązuje jej się wstążka i włosy rozsypują się na plecy. Otworzyła drzwi i przez chwilę oślepiła ją ciemność. Potem oczy przyzwyczyły się do półmroku i zaczęła rozróżniać przedmioty. Drewno było ułożone według wielkości, najgrubsze w głębi, a za nim znajdowała się mała klitka, gdzie spał służący. Tam bez wahania skierowała swoje kroki i schowała się w środku.

Bertran, kiedy dokończył trzy pacierze, wybiegł za nią. Przeszukał pobieżnie pałacowe komnaty, które nie były zajęte, bo w tych, z których dochodziły jakieś głosy, dziewczyna z pewnością by się nie ukryła. Zajrzał do ogrodu i instynktownie skierował się do domku ogrodnika — leżał tam koszyk, w którym Marta trzymała swoje narzędzia — i kiedy już miał stamtąd wyjść, zauważył pewien przedmiot, który nasunął mu ciekawy pomysł. Obok nożyczek, rękawiczek i niewielkich grabi wystawał z koszyka koniec jednej ze wstążek używanych przez Martę do wiązania włosów. Bertran uśmiechnął się w duchu; wziął wstążkę i ruszył w stronę psiarni, gdzie były umieszczone psy myśliwskie hrabiego — ogary, wyżły, brytany do polowania na dziki — które natychmiast powitały go szczekaniem. Znały go, gdyż Bertran przez wiele dni towarzyszył służącemu odpowiedzialnemu za karmienie sfory. Od pierwszego dnia upodobał sobie jednego psa, a pies upodobał sobie jego. Był to piękny egzemplarz z miotu wspaniałej suki подарowanej hrabiemu Barcelony przez hrabiego Besalú, skrzyżowanie wyżła z ogarem. Nazywał się Bandoler. Bertran otworzył ostrożnie drzwi psiarni i wszedł do środka. Psy zakłębiły się wokół niego, ocierając się o jego nogi, przekonane, że przynosi im posiłek. Bandoler wspiął

się na tylnych łapach, liżąc go i poszczekując. Chłopak schwycił za obrozę i z wielkim trudem odsuwając resztę, wyprowadził ulubieńca na zewnątrz.

Pogłaskawszy go i poklepawszy, wyjął z kieszeni wstążkę Marty i podsunął mu pod pysk. Pies obwąchał ją i natychmiast zrozumiał, że kończy się zabawa, a zaczyna praca; przestał machać ogonem i zaczął zataczać koncentryczne koła, szukając tropu. Kiedy Bertran wyczuł, że go znalazł, przywiązał do obroży sznur i nieco go poluzował. Zwierzę podążało w różnych kierunkach i wracało, aż odnalazło ślad dziewczyny i wtedy zaczęło ciągnąć jak opętane. Minęli sad i weszli od tyłu do ogródka zakonnicy. Pies ciągnął coraz mocniej, a jego krok stał się pewniejszy. Gdy dotarli do drzwi drewniane, zaczął szczekać i Bertran nie mógł powstrzymać uśmiechu. Otworzył drzwi i wszedł. Zewnętrzne światło zaledwie rozjaśniało skład drewna. Pies, wciągnąwszy powietrze, skierował się prosto do kłitki w głębi i nagle potężnymi łapami zaczął odsuwać zgromadzone drewno, odsłaniając potarganą główkę Marty, która wstała rozgniewana.

— Jesteś głuptasem i oszukujesz... Nie mam zamiaru za nic cię przeproszać!

— Ani ja tego nie oczekuję...

Bertran podszedł i położył ręce na talii dziewczyny.

— Nie musisz za nic przeproszać... Z pewnością za chwilę ja będę musiał to zrobić.

I skończywszy mówić, przycisnął wargi do warg Marty. Był to słodki przelotny pocałunek. Marta poczuła, że drżą jej kolana i coś nieznanego, pięknego rodzi się w głębi serca.

56

Hrabianka Sancha

Każdego popołudnia, po modlitwie za dusze zmarłych, małe hrabianki Inés i Sancha spotykały się z innymi damami w sali robótek, gdzie pod kierunkiem Lionor albo Brigidy ćwiczyły się w rozlicznym rękodziele: tkwały dywany, wyrabiały koronki za pomocą czółenek, haftowały na tamborku, robiły na drutach i szydełkowały.

Marcie przydzielono ogromny walec wypełniony końskim włosiem i wyłożony brązowym aksamitem; przenikał przezeń z góry na dół pas z miękkiej owczej skóry, z którego zwisała wielka ilość drewnianych pałeczek umocowanych do białych nitki, które należało przepłatać. Kiedy szybko i zręcznie manewrowały nimi dłonie dońi Lionor, stawał się cud: przed zdumionymi oczami Marty rósł szeroki pas cudownej koronki. Zrazu palce dziewczyny poruszały się niezręcznie, ale z czasem potrafiła nie tylko posługiwać się czółenkami, nie patrząc na swoje ręce, ale mogła też bez przerywania robótki uczestniczyć w rozmowach pozostałych dam.

Przez pewien czas trzeba było zachowywać milczenie, ale wraz z upływem sesji opiekunka pozwalała zwykle na pogawędki, o ile były obyczajne i dotyczyły tematów odpowiednich dla wysoko urodzonych dziewcząt. Tego popołudnia doszło do szczególnej sytuacji. Doña Lionor została pilnie wezwana przez hrabinę Almodis i musiała opuścić salkę, poleciwszy uprzednio podopiecznym, żeby miarkowały się w swoich komentarzach, a zwłaszcza by zachowały atmosferę oddania się pracy i wzajemnego szacunku.

Jednak ten dzień nie był dniem zwyczajnym. Dla dziewcząt pomiędzy dwunastym a osiemnastym rokiem życia pałacowy ceremoniał charakteryzował się na ogół beznadziejną monotonią, toteż kiedy działo się coś wyjątkowego, zwłaszcza jeśli chodziło o tak pasjonujący temat jak przyszły ślub czy sprawy miłosne, wszystkie były poruszone. Tego popołudnia hrabianka Inés nie przyszła na lekcje, gdyż patronat nad nowym klasztorem wymagał jej obecności. Dlatego sesji przewodniczyła Sancha, która była bohaterką dnia, jako że do pałacu przybywał hrabia Cerdañi, Guillermo Ramón, aby prosić o jej rękę, i na jego cześć planowano nazajutrz polowanie, a następnego wieczoru ucztę.

Dziewczęta były zachwycone.

— Pani, nie jesteście zdenerwowana albo przynajmniej zaniepokojona?

To pytanie zadała Estefanía Desvalls, ciemnowłosa i nieco pulchna dziewczyna, bardzo miła, z którą Marta była zaprzyjaźniona, dziewczeczka jednej z najznakomitszych i najstarszych barcelońskich rodzin.

— Bardziej niż zdenerwowana jestem ciekawa, jak wygląda mój przyszły małżonek — odparła Sancha.

Tym razem odezwała się Araceli de Besora, której ojciec był jednym z seneszałi hrabiego. Rudowłosa, piegowata i bardzo zuchwała.

— Ja bym skakała z radości. Na myśl, że poznam mężczyznę, z którym będę dzieliła łóżę i któremu urodzę dzieci...

Wtrąciła się Anna de Quarsá.

— Myślę, że każdy mężczyzna jest dobry, byle tylko zostać kobietą zamężną i wyzwolić się spod władzy rodziców.

— A po co? Żeby dostać się pod tyranię męża? Zwłaszcza gdy się nie wie, jaki on jest, ani nie zna się jego zwyczajów? Myślę, że nie warto — stwierdziła Adelais de Cabrera.

Eulalia Muntanyola z rodziny biskupa Osony, zapytała:

— Więc co wolicie? Rozpocząć nowicjat?

— Jeżeli miałabym dojść do godności przeoryszy, podpisałabym zgodę nawet teraz. Przynajmniej kierowałabym swoim życiem zgodnie z własną wolą, a powszechnie wiadomo, że nowicjuszki, które jeszcze nie złożyły ślubów, mają swoich kawalerów — odpowiedziała oschle Adelais.

Przez chwilę w sali panowało milczenie.

— Głęboko wierzę w rozsądek ojca, który wprawdzie ma na uwadze dobro hrabstwa, to jednak zbyt mnie kocha, by żądać ode mnie poświęceń; a jeżeli swoim małżeństwem mogę się przyczynić do wielkości kraju, rozumiem, że jest to moim obowiązkiem i że nie może być na świecie bardziej zaszczytnej misji — stwierdziła hrabianka.

— Pani, niewątpliwie chodzi tu o małżonka bardzo szlachetnego pochodzenia... choć nieco starszego i wdowca. Czy nie wołałybyście może takiego, który byłby w wieku zbliżonym do waszego? — zapytała Araceli.

— Moja droga, wszystkie pragniemy tego samego, ale doskonałość nie istnieje.

— Wszystkie pragniemy młodego, szlachetnego i pociągającego małżonka, choć niektóre pragną go, będąc obywatelkami bez szlachectwa, co mocno im doskwiera — powiedziała głośno i wyraźnie Adelais, patrząc Marcie prosto w oczy.

Tym razem krótka cisza była naładowana napięciem. Marta, porzuciwszy swoją robótkę, stanęła twarzą w twarz z Adelais de Cabrera.

— Nie jestem tutaj z własnej woli i bądźcie pewna, że gdyby to ode mnie zależało, wyszłabym stąd, kiedy tylko bym mogła, żeby nie oglądać dłużej waszej twarzy czarownicy.

Zaatakowana odpowiedziała wyniośle.

— Może myślicie, że jesteśmy głupie i nie zdajemy sobie sprawy z bezwstydu, jaki okazujecie w stosunku do młodego wicehrabiego Cardony?

Pozostałe dziewczęta, z Sanchą włącznie, przerwały robótki i zdziwione śledziły ten słowny pojedynek. Marta wstała, czerwona aż po uszy.

— Może wasze pożądanie sprawia, że macie wizje. Bertran jest moim dobrym przyjacielem, z którym nic mnie nie łączy ani od którego nic nie pragnę.

— To dlatego biegacie z nim po całym ogrodzie? I nie zaprzeczajcie, wczoraj po południu widziałam was z okna swojego pokoju.

Marta nie mogła się powstrzymać: w chwili gdy w progu pojawiła się doña Lionor, schwyciła tamborek do haftowania należący do Araceli i rzuciła nim w głowę Adelais.

Dama weszła w pośpiechu do salonu i stanęła między dziewczętami.

— Co się tutaj dzieje? Czy postradałaś zmysły, Marto?

— Nie zwracajcie, pani, uwagi, to są reakcje plebejuszki, które nikogo nie zaskakują. Kiedy jakiś element zostaje umieszczony nie na swoim miejscu i nie pasuje do całości, dzieje się, co się dzieje — odparła Adelais głosem pełnym urazy.

Teraz z kolei wstała Sancha.

— Dono Lionor, to nie Marta sprowokowała tę sytuację. — Po czym zwróciła się do Adelais. — Moja matka zawsze umieszcza wszystko w odpowiednim miejscu i jeżeli Marta jest tutaj, to dlatego, że na to zasłużyła.

— Ona czy jej ojciec, pani? — rzekła z naciskiem Adelais.

— Wy czy wasz ojciec, Adelais? Bo jakie własne zasługi możecie wymienić, żeby usprawiedliwić swoją obecność w pałacu?

Wobec tych słów hrabianki opiekunka się zawahała, a rywalki spojrzały na siebie dziko. Wojna została wypowiedziana.

Łowy

Wtorkowy ranek był pochmurny, lecz atmosfera w pałacu zapowiadała niecodzienne wydarzenie. Hrabia zorganizował łowy na cześć przyszłego zięcia hrabiego Guillerma Ramóna z Cerdañi i grupa rycerzy i służących dokładała wysiłków, żeby wszystko było dopięte na ostatni guzik. Giermkowie, sokolnicy, psiarczycy, naganiacze... wszyscy starali się wykonać swoje zadania na czas, by zasłużyć na pochwałę pana i uniknąć reprimendy seneszala. Parskanie koni, szczenie psów i zgiełk dochodzący z dziedzińca, gdzie koniuszy i ich pomocnicy pracowali bez wytchnienia, zakładając uprzęż na rumaki, zwróciły uwagę Marty, która jednym susem zwinnych nóg poderwała się z łóżka i nie zdążywszy się nawet odpowiednio przyodziać, wyrzała przez okno. Z góry mogła widzieć wszystkich uczestników łowów i jej oczy bezwiednie odszukały Bertrana. Chłopak stał z boku dziedzińca i zakładał popręg i cugle Blancowi, radośnie grzebiącemu kopytem. Starał się go uspokoić głosem, jednocześnie przywiązując do siodła hrabiowski kołczan, z którego wystawały zakończenia strzał.

Niemal nie zdając sobie z tego sprawy, Marta poczuła, że coś ociera się o jej ramiona. To Amina usłyszała, jak wstaje, i pobiegła do szafy po ciepłą chustę, którą położyła jej na plecach.

— Przeziębicie się, Marto — szepnęła, ale ta, głucha na wszystko, nadal obserwowała młodziana.

Guillermo Ramón z Cerdañi rozmawiał z hrabią Barcelony, siedząc

na ogierze wielkiej statury, wybranym i podarowanym mu przez przyszłego teścia spośród stu zakupionych ostatnio normandzkich koni bojowych. Nagle, nie wiedząc czemu, Marta poczuła na sobie czyjś wzrok. Z boku placu, w odosobnionej grupce otaczającej pierworodnego, zauważyła Berenguera. Towarzyszyli mu dworzanie należący do rodzin blisko związanych z dziedzicem, którzy siedząc już na swoich wierzchowcach, rozmawiali z ożywieniem. Dreszcz przebiegł Marcie po plecach, kiedy spostrzegła, jak Berenguer podnosi się w strzemionach i odkrywszy głowę, składa ceremonialny ukłon, usiłując dotknąć ziemi piórem zdobiącym jego czapkę. Wywołało to zdumione spojrzenia dworzan i zaskoczonego Bertrana z Cardony, który natychmiast podniósł wzrok, żeby zobaczyć adresatkę tego hołdu.

W tym momencie chłopaka dobiegł głos „Lnianogłowego”, który siedział na robiącym wołty, wyraźnie podekscytowanym rumaku.

— Bertranie! Czy jesteście zdenerwowani przed swoim pierwszym polowaniem?

Ten, ze wzrokiem nadal wbitym w okno, dopiero po chwili odpowiedział dumnie:

— Nie jest ono pierwsze, panie. W Cardonie też polujemy na daniela i dziki i wielokrotnie miałem okazję towarzyszyć mojemu ojcu.

Młody hrabia spojrział na niego życzliwie. Podobała mu się rodzinna duma, jaką okazywał młody wicehrabia Cardony, i choć wiedział, że to zachowanie podyktowane jest ostrożnością, gdyż nie chce on ulec tym, których nazywa swoimi strażnikami więziennymi, w głębi duszy był przekonany, że tak naprawdę chłopak go ceni i walczy ze sobą, by się z nim nie zaprzyjaźnić.

— Umocujcie więc niżej strzemiona. Jazda do Olérdola będzie długa, a w ten sposób dotrzecie tam mniej zmęczeni.

Bertran wbrew własnej woli podziękował za radę i po raz kolejny przeklął się w duchu. Sympatia, jaką czuł do „Lnianogłowego”, sprawiała, że widział w samym sobie zdrajcę własnego ojca... Jednak dochodził do wniosku, że nie ucieknie przed tą przyjaźnią. Przed odjazdem znowu skierował spojrzenie ku Marcie i podskoczyło mu serce; pozdrowienie ze strony młodej damy napełniło go radością i odsunęło z jego myśli czarne chmury, które go przytłaczały, kiedy tylko zastanawiał się nad swoją sytuacją. Czasami jednak zadawał

sobie pytanie, czy gdyby mógł wybierać, chciałby porzucić to wszystko i wrócić do Cardony.

Rogi myśliwskie zaczęły wydobywać z siebie ochrypły dźwięk, sfory wzmożły swój koncert ujadania i świta ruszyła w drogę, mijając pałacowe bramy. Odprowadzał ją podziw barcelończyków, którzy, tak jak za każdym razem, gromadzili się na ulicach, by widzieć, jak przesuwa się znakomity orszak. Bertran, upewniwszy się, że dwaj służący wiozą klatki z sokołami, zwinnym susem wskoczył na grzbiet Blanca i zajął miejsce w grupie obok konia gospodarza. Tymczasem ptaki, których głowy osłonięto kapturami, były skrzydłami na swoich grzędach, niezadowolone ze wstrząsów towarzyszących jeździe po wyboistej drodze.



Orszak minął bramę Call i pojechał drogą na La Boquería, w stronę Montjuïc. Okrążył wzgórze i już na równinie skierował się ku Gavá, gdzie skręcił na północ. Droga pięła się łagodnie, a nad nią widać było zamek w Arampuña, którego właściciel, pan na Olérdola, bardzo się w minionych latach poróżnił z hrabią Barcelony. Po przybyciu do Begas, na znak seneszala Gualberta Amata, orszak się zatrzymał: róg wydał z siebie długą i ochryplą nutę, wzywając myśliwych, i hrabia Barcelony przystąpił do ogłaszania reguł, jakich należało przestrzegać podczas polowania.

Najważniejsze osobistości zbliżyły się do niego, a cała reszta czekała, aż zostaną jej przekazane rozkazy.

— Panowie, chciałbym, żeby te dzisiejsze łowy, zorganizowane na cześć hrabiego Guillerma Ramóna z Cerdañi, okazały się wielkim sukcesem. Podzielimy się na trzy grupy. Po mojej prawej pojedzie znakomity gość na czele swojej grupy, a będzie mu towarzyszył mój najstarszy syn, Pedro Ramón; po mojej lewej znajdzie się seneszal Gualbert Amat na czele swoich ludzi, a z nim pojedzie mój syn Berenguer; ja sam będę pośrodku z synem Ramónem. Niech każda grupa zajmie swoją strefę i nie wjeżdża na sąsiednią; łowczy już pojechali oznaczyć teren. Dzisiejszego ranka zapolujemy na daniela i dzika. W południe zbierzemy się w domu w Begas, dokąd zostaną zwiezione ubite sztuki, i po dobrym posiłku, już po południu, poświęcimy się łowom z sokołami.

Rycerze krzyknęli „wivat!” na cześć hrabiego i razem z psami przystąpili do współzawodnictwa.

Lekkim dotknięciem ostrogi Pedro Ramón przysunął swojego konia do wierzchowca Berenguera.

— Spójrzcie: wy i ja po bokach, nie dowodząc żadną grupą, a ukochany syn jedzie z nim pośrodku. Czy teraz widzicie, że mam rację? Jak myślicie, gdzie naganiacze wypłoszą najwięcej zwierzyny? Z kim pobiegną najlepsze ogary i wyżły? Zobaczymy przy obiedzie. Przepowiadam wam, że moja grupa, jako że należy do gościa, może coś złowi, ale wy, jadący z senezalem, zobaczycie najwyżej jakąś kuropatwę albo wiewiórkę.

I po tych złośliwych słowach, które podburzyły ducha przyrodniego brata, pierwotny powrócił na swoje miejsce.

Berenguer spojrział z ukosa na grupę formującą się wokół jego ojca i dostrzegł jasną czuprynę Ramóna, a obok niego, jako giermka, bezczelnego chłopaka z Cardony. Cmoknął i z pogardą splunął na ziemię. Szkoda by było, gdyby jeden z tych wypadków, jakie zwykle zdarzają się na polowaniach, tego dnia się nie zdarzył! Scisnął konia swoimi krzywymi nogami i skierował się ku grupie, którą miał dowodzić wspólnie z senezalem Gualbertem Amatem.

Hrabia już wydawał rozkazy swojej drużynie.

— Będziemy posuwali się po naszej strefie wachlarzem; naganiacze pójdą przodem, poruszając zarośla kijami i krzycząc, za nimi pójdą psiarczycy, trzymając psy na uwięzi; kiedy wyskoczy zwierzyna, wyznaczę, dmąc w róg, grupę, która za nią pogna. — Potem zwrócił się do syna: — Ramónie, ty i twoi ludzie pobiegniecie po mojej lewej ręce, od strony ludzi Gualberta. Wy, Gombau, będziecie po mojej prawej, przy samej granicy wyznaczonej dla hrabiego Cerdañi. Niech nikt nie przekracza wyznaczonych rewirów i niech każdy szanuje teren przyznany komuś innemu.

Szczęśliwi i podekscytowani, wśród zgiewku koni i psów, uczestnicy polowania poczekali, aż wymiana sygnałów rogiem powiadomiła ich, że wszyscy są gotowi. Wtedy hrabia dał znak do rozpoczęcia łowów.

Bertran jechał na grzbiecie Blanca za koniem „Lnianogłowego”, ciesząc się chwilą i gotowy na wypełnienie każdego polecenia hrabiowskiego potomka. Miał na plecach kołczan ze strzałami, a w skórzanej pochwie tuż przy prawym strzemieniu — drzewce

włóczy, na wypadek gdyby ta broń okazała się potrzebna. Wiatr dmuchał mu w twarz i mnóstwo drobnych gałązek siekło go po twarzy. Kopyta siwka tratowały wilgotne listowie, a zapachy lasu drażniły jego chrapy. Chwila była wzniosła. Nagle głos jednego z naganiaczy oznajmił:

— Dzik z lewej!

I rzeczywiście: wyżeł o ciemnej maści i silnych szczękach, podarowany hrabiemu Barcelony przez księcia Akwitanii, pochwycił trop. Z gęstwiny wyskoczył wielki odyniec z parą szabel znacznie przekraczających długość dłoni. Psiarczycy wypuścili sfory po tej samej stronie i ogary, charty i wyżeł pognały za tropem. Jeźdźcy dali ostrogi swoim wierzchowcom i każdy, wyprzedzając służbę, przygotował broń. Róg zapowiedział, że sztuka została naznaczona.

Psy dobiegły na wysokość wielkiego odyńca i dwa najśmielsze stanęły na wprost niego w zasięgu jego ostrych szabel. Głowa zwierzęcia zakreśliła krótki łuk w jedną i drugą stronę i oba psy, skowycząc z bólu, zostały wyrzucone w powietrze jak suche gałęzie. Nagle dał się słyszeć gwizd: z boku nadleciała strzała i wbiła się w grzbiet bestii, która zdawała się tego nie zauważać i kontynuowała swój szaleńczy bieg, osaczona przez psy. Ziemia zadrżała pod ciężarem ludzi, psów i koni.

Na wprost grupy wyrosło wzgórze i oddział poczuł silną stromiznę. W uchu Bertrana wyraźnie zabrzmiał głos „Lnianogłowego”:

— Dajcie mi łebczastą!

Bertran natychmiast zrozumiał polecenie. Wyjął z kołczana strzałę o długim promieniu i bardzo ciężkim grocie, odpowiednią do przebijania twardej skóry. Podjechawszy galopem, podał ją „Lniano-głowemu”, a ten, nie skracając kroku swojego kasztanka, umieścił ją w łuku, podniósł go do twarzy, napiął cięciwę i zaczął, aż dzik osiągnie szczyt wzniesienia. Potem, dając próbkę niezwykłej zręczności, wypuścił strzałę nad łbem swojego wierzchowca. Grot wystrzelił ze świstem w powietrze i z głuchym, głębokim dźwiękiem, podobnym do uderzenia pałki w skórę bębna, wbił się w łopatkę bestii. Ta, śmiertelnie ranna, w agonii uderzyła w ścianę stromizny, choć zanim padła, miała jeszcze siłę rozerwać brzuch trzem psom, które uciekły z żalosnym skowycem. Potem nadjechali konni i przybiegli piesi, a widząc celność strzału i stopień jego trudności, oddali się radosnym aplauzom i wiwatom. Gdy tak się radowali, na brzegu

lasu pojawił się Berenguer, szybko zeskoczył na ziemię i stawiając lewą stopę na ciele dzika, oświadczył, że to jego zdobycz i że to on ją powalił. Po tych słowach zapadła głęboka cisza: słychać było nawet skrzypienie skóry w uprzęży.

Ramón zsiadł z konia i podszedł do brata.

— Przykro mi, Berenguerze, ale ta sztuka jest moja.

— Mało mnie obchodzi, czy jest ci przykro, czy nie! Strzała, która go zabiła, była moja. Twoja ledwo dotknęła mu grzbietu!

— Nie, bracie, mylisz się: to twoja zaledwie przebiła mu skórę. Czy nie widzisz, że nadleciała z twojej strony?

W tej chwili nawet leśny wietrzyk zdał się zamilknąć.

— Nie pozwolę na to, żebyś przywłaszczył sobie chwałę, która mnie przysługuje! To na pewno będzie największa sztuka na tym polowaniu! — ogłosił Berenguer.

— Żałuję, bracie, ale tym razem nie zamierzam ustąpić — odparł Ramón. Jego twarz, zwykle pogodna, wyrażała wzburzenie. — Jesteś uparty i mam już powyżej uszu twoich impertynencji.

Berenguer pobladł i nie panując nad sobą, chwycił rękojęść swojego noża myśliwskiego.

W tym momencie nadjechał hrabia Ramón Berenguer w towarzystwie hrabiego Cerdañi i widząc jakże niestosowne w obecności gościa wzburzenie bliźniąt, postanowił interweniować.

— Co się tutaj dzieje?

Seneszał Gualbert Amat spróbował przywrócić spokój.

— Nic, panie, jak to na łowach. Młoda krew szybko się burzy. Sprzeczką o to, czyja strzała zabiła tę sztukę.

I wtedy z drugiego rzędu jeźdźców ozwał się młody, lecz silny głos.

— Strzała, która zabiła dzika, należy do mojego pana.

Krąg myśliwych się rozstał i naprzeciw hrabiego Barcelony ukazał się potomek wicehrabiego Cardony.

— Czy możesz, Bertranie, udowodnić to, co twierdzisz z taką pewnością?

— Tak, panie.

— Podejdź tutaj.

Krąg myśliwych otworzył się całkiem i Bertran postąpił naprzód, aż stanął przed hrabią.

— Wyjaśnij mi to, słucham cię. Ale pamiętaj, że jeżeli nie zdołasz uzasadnić swojego zdania, zostaniesz ukarany.

Bertran zsiadł z konia i podszedł do dzika. Potem, nachyliwszy się i chwyciwszy koniec promienia strzały, odłamał go dwiema rękami i śledzony zaciekawionym wzrokiem wszystkich obecnych zbliżył się do hrabiego.

— To ta strzała zabiła zwierza, ta druga zaledwie go musnęła.

— To moja strzała, ojcze! — zawołał Berenguer.

— Przykro mi, panie, ale się mylicie. To ja zakładałam lotki na końcach strzał waszego brata i zajmuję się ich wyrównywaniem; za każdym razem, kiedy którąś kończę, zostawiam na niej swoje inicjały. Widzicie tutaj, panie, litery B i C. Bertran z Cardony. Nauczył mnie tego mój mistrz, tam u nas, w Cardonic.

Mówiąc to, podał kawałek strzały hrabiemu, ten zaś z uwagą mu się przyjrzał.

— A więc spór zakończony — uciął stanowczym tonem. — Strzała należy do Ramóna. Przykro mi, Berenguerze, pomyliłeś się...

I na tym wolałbym poprzestać, bo mógłbym podejrzewać, że wy strzeliłeś swoją strzałę na terenie, który ci nic przysługiwał.

Napięcie było ogromne i Berenguer na własnym ciełe poczuł upokorzenie, jakie stanowiła publiczna nagana ze strony ojca. Rozejrzał się, a potem bez słowa odsunął gwałtownie jednego ze służących, który stał mu na drodze, dosiadł swojego konia, uderzył go silnie pejczem i wbijając ostrogi w jego boki, odjechał galopem.

Seneszał Gualbert Amat nie odmówił sobie komentarza.

— Pożałowania godna sytuacja, panie.

— Zostawmy to, jestem przyzwyczajony do wybuchów mojego syna i do jego braku opanowania. Ale kontynuujmy, panowie... Niech ten incydent nie zepsuje nam dnia.

Wszyscy ponownie dosiedli koni, tropiciele podjęli swoją pracę, uporządkowano sfory i las znów wypełnił się odgłosami towarzyszącymi zwykle łowom.

W porze posiłku wszystkie grupy zaczęły ściągać do domu w Begas, omawiając szczegóły polowania.

Służba przydzielona do przygotowania stawy umieściła na długich stołach jadło wybrane na ten dzień: kiełbasy, wędzone wędliny, szynkę, różne rodzaje dojrzewających i suchych serów i wreszcie ogromne sagany mięsa gotowanego w jarzynach. Nad stosami płonącego drewna obracało się z wolna kilka roznów z nabitymi na nie baranami. Dzbany wina, czystego lub przyprawionego miodem,

stały na oddzielnym stole. Rycerze obsługiwali się, używając do tego swoich myśliwskich noży; kiedy skończyli, posiliła się służba.

Po przerwie, podczas której komentowano wydarzenia dnia, nadeszła pora na łowy z sokołami. Faworyt Bertrana zdobył drugie miejsce i już o zmierzchu, po zakończeniu tego pracowitego dnia, uczestnicy polowania zaczęli wracać grupami do Barcelony.

Bertran jechał za koniem „Lnianogłowego”, zamyślony i ponury. Był wściekły na samego siebie i czuł się jak zdrajca własnego rodu. Publicznie nazwał Ramóna panem i jakiś wewnętrzny głos oskarżał go o odszczepieństwo i wiarołomstwo. Przerwał te rozmyślania, gdy usłyszał wołanie Ramóna.

Dotknął ostrogą Blanca i zrównał się z „Lnianogłowym”. Ten, uśmiechając się, przemówił do niego tak, jakby zwracał się do druha.

— Dzisiaj, oprócz tego, że daliście świadectwo prawdzie i wyświadczyliście mi godną pochwałę przysługę, wykazaliście publicznie prawość i hart ducha; a wiercie mi, że niełatwo jest stawić czoło temu orszakowi pochlebców, jaki otacza mojego ojca. Przez całe popołudnie zadawałem sobie to pytanie: czy ja, będąc na waszym miejscu, miałbym dość odwagi, żeby przeciwstawić się mojemu bratu, którego charakter jest wszystkim doskonale znany?

— Spełniłem tylko swój obowiązek.

— Co w wielu okolicznościach nie jest łatwe.

Przez jakiś czas słychać było tylko stukot końskich kopyt na drodze.

— Dzisiaj przyszło mi do głowy coś, co chciałbym wam zaproponować — powiedział Ramón.

— O co chodzi, pa... — Tym razem Bertran w porę ugryzł się w język.

— Kiedy ukończycie szkolenie bojowe, chciałbym, żebyście zostali moim chorążym. Zastanówcie się nad tym.

Niewiele brakowało, żeby chłopiec spadł z konia. Na końcu ostatniej grupy, z dala od wszystkich innych jechali pierwotny i Berenguer.

— Jak mogliście się przekonać, nie dość, że moje słowa z dzisiajszego ranka okazały się prorocze, to jeszcze bieg wydarzeń przeszedł najgorsze oczekiwania — mówił Pedro Ramón, skwapliwie wykończając okazję.

— Przysięgam wam, Pedro, że nigdy nie zapomnę dzisiejszego dnia. I że ten wścibski głupiec kiedyś zapłaci mi za obelgę.

— Zachowajcie wasze urazy dla ważniejszych ludzi. Ten, kto wam dzisiaj uwłoczył, to gołowąs. Nie traćcie czasu na drobiazgi...

— Ale dzieci rosą, Pedro — odrzekł Berenguer. — Zachowam w pamięci jego postępek i przysięgam, że wymierzę mu cios tam, gdzie go najbardziej zaboli.

Orszak dotarł do Barcelony o świcie. Miasto zalane było światłem. Na polecenie pałacu strażnicy miejscy zapalili wszystkie latarnie i ulice wrzały w oczekiwaniu na powrót hrabiego i jego gości. W chwili gdy świta wjeżdżała przez bramę Call, dzwony katedry rozpoczynały swój metaliczny dialog.

Spotkanie prowodyrów

Na polecenie dziedzica Marçal de Sant Jaume wezwał do swojego domu w Sant Cugat del Rec Bernabé Mainara i Simóna, licytatora na targu niewolników. Obaj, racząc się lemoniadą, czekali w mauretańskim salonie na przybycie Pedra Ramóna. Gospodarz, zgodnie ze swoim zwyczajem, ubrany był w stylu saraceńskim. Simó, siedząc z boku, zauważył z zawiścią, że bardziej eksponowane miejsce przeznaczono nie dla niego, tylko dla Mainara, który podobnie jak on też nie był szlachetnie urodzony.

Kiedy służba się wycofała, jednooki, który od dnia przekazania szczodrej darowizny nie okazywał najmniejszego niepokoju, rozpoczął rozmowę.

— Czy domyślacie się, panie, jaki jest powód tego wezwania?

— Ani trochę, wiem tylko, że kiedy dziedzic przysłała mi z pałacu polecenie, żebym was wezwał, muszę to zrobić bezzwłocznie.

Ze swojego kąta Simó ośmielił się powiedzieć:

— Oczywiście w grę może wchodzić jedynie ważna sprawa. Mam nadzieję, że nie obrazicie się, jeśli powiem, że dociekanie intencji dziedzica wydaje mi się niewłaściwe.

Mainar niewzruszony zareplikował:

— Nie wiem jak wy, ale ja pytam o wszystko, co mnie interesuje, jestem człowiekiem wolnym, a ponadto bezpieczeństwa, i uznaję jedynie tego pana, który mi płaci. A dotąd zrobiłem więcej dla pierworodnego niż on dla mnie.

— Nie przypominacie już tego człowieka, który zapukał do moich drzwi, kiedy was poznałem — skomentował Marçal.

— Don de Sant Jaume, ludzie mogą się zmieniać, gdy zmieniają się okoliczności. Sądzę, że moje czyny mówią za mnie. Ja sam wniosłem do kasy dziedzica znacznie więcej niż wszyscy jego zwolennicy razem, a moje wiadomości są wiarygodne.

Tak rozmawiali, kiedy na drewnianej posadzce korytarza rozbrzmiały kroki dwóch osób. Majordom stanął w progu i ledwie zaczął zapowiadać znamienitego gościa, kiedy ten odsunął go na bok i wszedł do salonu.

Trzej mężczyźni wstali jednocześnie.

Twarz Pedra Ramóna nie zapowiadała spokojnego spotkania.

Don de Sant Jaume próbował wypowiedzieć formułkę powitalną.

— Witajcie w tym domu, który należy do was...

Dziedzic, nie odpowiadając na tę uprzejmość, zajął najlepszy fotel i gestem dał pozostałym znać, żeby usiedli na swoich miejscach.

— Zostawcie hołdy, Marçalu, musimy omówić wiele spraw, a nie mamy za dużo czasu.

Wszyscy trzej ponownie usiedli i gospodarz otworzył spotkanie.

— Jak widzicie, usłuchałem natychmiast waszego polecenia, panie.

— To jasne, Marçal, nie jestem ślepy.

Gospodarz i Simó szybko wymienili spojrzenia; obaj zdawali sobie sprawę, że Pedro Ramón jest w złym nastroju. Natomiast Mainar był spokojny. Jak ktoś, kto wie, po co przyszedł i czego chce.

— A zatem po kolei. Powiedz, Simónie, jak przebiega podburzanie ludzi na targach i jarmarkach i zbieranie pieniędzy na moje cele. To przecież twoje zadanie.

Licytator zaczął się pocić, wyraźnie przestraszony.

— Panie, to niełatwa misja. Wiecie, że ludzie niechętnie rozwiązują sakiewkę...

— Głupcze! Nie żądam od ciebie lekcji na temat zachowań motłochu, tylko dokładnego wyjaśnienia, jak stoją sprawy.

Simó zaczął nerwowo się chłodzić niewielkim wachlarzem z piór, a jego podbródek drżał jak u indyka, którego goni rzeźnik z nożem.

— Panie — wtrącił się Marçal de Sant Jaume, litując się tym

razem nad biednym Simónem — kupcy na pewnym poziomie i wszyscy ci, którym dobrze jest, jak jest, nie chcą żadnych zmian w hrabstwie, zwłaszcza że pamiętają niespokojne czasy waszej prababki Ermesendy. Ci są po waszej stronie i donacje od nich wpływają. Ale prawdę mówiąc, chociaż nikt nie wypowiada tego głośno, można wyczuć w powietrzu, że prosty lud głęboko kocha „Lnianogłowego” i nie protestowałby przeciwko zmianie w sukcesji.

Pedro Ramón przez chwilę gładził podbródek.

— Dzięki, Marçalu, lubię otwarte postawienie sprawy. A powiedzcie mi, skąd pochodzi większość wpływów.

— Niewątpliwie z interesów, którymi zarządza nasz człowiek. — Mówiąc to, wskazał wyraźnie na Mainara.

— Wygląda na to, że jesteście moim dobroczyńcą.

— Robię, co mogę, jak zawsze — odpowiedział spokojnie Mainar, na którym zły humor dziedzica jakby nie robił wrażenia.

— Na honor, jesteście wiernym sługą, który w odpowiednim czasie zostanie sownie wynagrodzony.

— Tego właśnie się spodziewam po waszej szczodrości — zakonkludował bez pośpiechu Mainar z lekkim pochyleniem głowy, nie bacząc na zdziwienie Simóna ani na strapioną twarz doña de Sant Jaume.

— Jak zorganizowaliście zbiórkę wśród wiernych?

— Tak samo, jak to czyni Kościół Święty, Matka Nasza. Na sposób kleru.

— To znaczy?

— Bezwstydnie zebrząc — odparł Mainar, ledwo powstrzymując wybuch śmiechu.

— Nie rozumiem was... wyjaśnijcie to lepiej.

— Wprowadziłem podatek, powiedzmy, że dobrowolny, na potrzeby dworu hrabiowskiego, a ponieważ przychodzą do mnie po to, po co przychodzą, nikomu nie wpadnie do głowy domagać się wyjaśnień. Oczywiście żądam dopłaty przedtem: kiedy są jak jurne knury, wybaczcie to porównanie, i bez zastrzeżeń otwierają sakiewki.

Marçal i licytator byli zaskoczeni zuchwałością Mainara.

— Chcę, żebyście zaspokoili moją ciekawość: gdzie ludzie są bardziej skłonni do wpłacania daniny?

— Wbrew temu, co wydawałoby się oczywiste, na Montjuïc, dokąd przychodzą klienci o skromniejszych możliwościach, zbieramy więcej niż w Vilanova deis Arcs.

Wtracił się don de Sant Jaume.

— Zawsze tak było: łatwiej daje ten, co nic nie ma, niż ten, co chowa i gromadzi.

— A więc, Simónie, powiedz, ile zebrano do dziś.

Grubas, biały jak prześcieradło, odpowiedział:

— Nie prowadzę rachunków, panie. Wszystko, co zostało zebrane, oddaję, jak mi nakazano, panu de Sant Jaume.

Ten wyjaśnił:

— Panie, nie licząc targów w Vic i w Perelada, uskładało się tego mniej więcej dwa tysiące mancusó.

— Dobrze, Simónie. Może powinieneś wziąć przykład z naszego przyjaciela Mainara i coś wymyślić. Dajmy na to jakiś procent przy zakupie niewolników.

Grubas ośmielił się argumentować:

— Panie, taka inicjatywa wykracza poza moje kompetencje, obciążanie jakiegoś towaru podatkiem musi być usankcjonowane podpisem burmistrza albo lepiej inspektora targowisk, którym w swoim czasie był wasz najlepszy przyjaciel, nieszczęsny Bernat Montcusi.

— Dobrze, postaram się załatwić to z pałacu. A teraz, jeżeli nie masz mi nic więcej do powiedzenia, opuść to spotkanie. To, o czym będzie tu mowa, nie ma nic wspólnego z twoimi obowiązkami.

Licytator nie kazał powtarzać sobie tego dwa razy; wstał tak szybko, jak tylko pozwoliła mu na to tusza, i wykonawszy niezdarny ukłon, wycofał się tyłem, dobrze uważając, żeby nie potknąć się o gruby dywan pokrywający całą podłogę.

Trzej mężczyźni zostali sami. Zarówno don de Sant Jaume, jak i Mainar spojrzeli na pierworodnego, zaintrygowani sekretnym tematem.

— Najpierw chcę was wprowadzić w okoliczności dotyczące motywów tego spotkania i wyjaśnić powód, dla którego nie jestem dziś w tak dobrym humorze jak zwykle — zaczął Pedro Ramón. — Teraz, kiedy już sobie poszedł ten śmieć, od którego zwierzęcych dreszczy i spływającego ciurkiem potu robi mi się niedobrze, mogę mówić otwarciej.

Pedro Ramón poświęcił chwilę na szczegółowy opis tego, co się wydarzyło podczas polowania.

— Teraz nie mam już wątpliwości — zakończył. — Intrygi tej nierządnicy wywarły wpływ na mojego ojca, który nie unika publicznego okazywania swoich preferencji, i to w obecności przyszłego zięcia hrabiego Cerdañi.

Przez pewien czas w pokoju panowała cisza; trwała tyle, ile panu de Sant Jaume zajęło ponowne napełnienie kieliszków. Kiedy to zrobił, ośmielił się wyrazić swoje zdanie.

— Panie, tym razem wasz ojciec rzeczywiście ujawnił swoje sympatie... Jednak uważam, że w gorszej sytuacji postawił drugiego syna, waszego przyrodniego brata Berenguera.

— Mnie przysługiwało prawo polowania w głównej grupie! — krzyknął pierworodny. — Dla niego nie było to hańbą. Tym, kto powinien zostać uhonorowany towarzyszeniem ojcu, byłem ja. Berenguer wpakował się w trudną sytuację za sprawą strzały, ale świadectwo tego chłopca z Cardony było nie do obalenia.

Rozległ się głos Mainara.

— A ten młodzieniec z Cardony, kim on jest?

— Przybył do pałacu jako zakładnik z zamku swojego ojca, wicehrabiego Cardony, ale opieka, jaką nad nim roztoczył Ramón, i jego pochlebny charakter sprawiły, że mój ojciec traktuje go jak znamienitego gościa.

— Więc dlaczego nie wraca do swojego domu?

— Istnieją dwa powody uzasadniające jego pobyt na dworze. Po pierwsze, Ramón wybrał go na swojego giermka i coś mi mówi, że z czasem zrobi zeń chorążego; i po drugie, jeśli pogłoski krążące wśród dam są prawdziwe, ma miłośćkę z młodszą damą dworu mojej matki, Martą Barbany, która wodzi go za nos.

Mainar uniósł powieki i zapytał:

— Czy to może córka Martego Barbany, który spowodował śmierć mojego ojca i od którego kupiłem dom w Vilanova deis Arcs?

— Tego samego — wyjaśnił Marçal.

Mainar zwrócił się do pierworodnego syna hrabiego.

— No dobrze, panie, mówcie dalej. Na razie zrelacjonowaliście nam przebieg pewnych wydarzeń, ale nic nie powiedzieliście o powodach tego spotkania ani o tym, czego po mnie oczekujecie.

I mówię tylko we własnym imieniu.

— Przedstawię wam swoje zamiary, a wy mi powiecie, czy są wykonalne.

— Słucham was — rzekł Mainar.

— Podczas naszego pierwszego spotkania, kiedy opowiedzieliście nam o swojej prawdziwej tożsamości i zadziwiających kolejach życia, zapytałem, czy potrafilibyście posłużyć się swoimi zdolnościami wobec pewnej osoby wysoko postawionej, a zatem ściśle chronionej.

— Wiedziecie, panie, że wszystko jest wykonalne, o ile dysponuje się wystarczającą ilością czasu oraz odpowiednimi środkami i uprawnieniami.

— Marçalu, zamknijcie drzwi — rozkazał Pedro Ramón.

Don de Sant Jaume wstał i podszedłszy do drzwi, zaryglował oba skrzydła.

— Słuchajcie mnie uważnie. Teraz już jestem tego pewien. Ta wiedźma pozyskuje życzliwość mojego ojca i zdoła mnie pozbawić należnych praw, w razie potrzeby zmieniając przepisy, aby uzasadnić swoje oszustwo.

Obaj mężczyźni słuchali w napięciu słów Pedra Ramóna.

— A teraz pytam was bez ogródek, Mainarze: czy bylibyście zdolni do uwolnienia mnie od tej przeklętej harpii?

Bernabé Mainar zastanawiał się przez kilka chwil.

— Śmierć waszej macochy nic da wam tronu — odrzekł zdecydowanym tonem. — Więcej, jeżeli ta kobieta tak wodzi za nos waszego ojca, kto może was zapewnić, że on w hołdzie dla zmarłej małżonki nie wyznaczy na dziedzica „Lnianogłowego”?

Zrobił pauzę, żeby ta refleksja dotarła do dziedzica. Przewrotny umysł Mainara widział jasno, jaki powinien być cel pierwotnego: tylko śmierć Ramóna zagwarantowałaby mu tron; oczywiście musiałaby wyglądać na wypadek i nie mogłaby wzbudzić nawet najmniejszego podejrzenia. Przez chwilę zamierzał zaproponować ten pomysł Pedrowi Ramónowi, ale mu w tym przeszkodziła obecność Marçala de Sant Jaume. Choć jego wierność wobec dziedzica była powszechnie znana, doświadczenie nauczyło Mainara skrajnej ostrożności.

Pedro Ramón przytaknął, zaskoczony niepodważalnym rozumowaniem swojego rozmówcy.

— Jesteście bardzo inteligentnym człowiekiem, Mainarze — powiedział. — Muszę wam się przyznać, że czasami nienawiść mnie zaślepia...

— Nienawiść jest złym doradcą, panie — rzekł Mainar łagodnym głosem. — Z taką kobietą jak wasza macocha należy postępować z zimnym wyrachowaniem.

Ale choć pierworodny znowu przytaknął, w jego oczach nie zgasł płomień urazy.

59

Pieczara

Po pogrzebie ojca Ahmed zdał sobie sprawę z tego, że praca jest jedynym lekarstwem, które może usunąć z jego umysłu czarne chmury. Stan matki nie pozwalał mu na powrót do młyna. Naima snuła się jak pokutująca dusza po obejściu i czasami, kiedy Ahmed do niej mówił, zdawała się go nie słyszeć. On sam, mimo obecności służących, strażników i innych mieszkańców domu, tęsknił za rozmowami z siostrą i sporami z Martą, którą teraz, nie wiedząc czemu, nazywał swoją panią.

Jego codzienna droga wiodła z domu do jaskini na Montjuïc i z powrotem. Tylko wtedy, kiedy przerwa w pracy mu na to pozwalała, szedł zobaczyć się z Manelem.

Rashid al-Malik okazał się niewyczerpanym źródłem mądrości. Początkowo Ahmed obawiał się, że nie podoła zadaniom, jakie mu zlecono, ale potem zrozumiał, że ten człowiek jest równie mądry jak życzliwy i że wobec jego rozterek wykazuje się nieskończoną cierpliwością. Były dni, kiedy wchodzili do pieczary z nastaniem świtu, a wychodzili o zmierzchu.

Starzec był systematyczny i dokładny aż do przesady. Każdego ranka po przybyciu do groty wkładali długie fartuchy i zapalali palniki. Rashid wydawał polecenia: to prosił go o słoje, kolby, alembiki i inne naczynia zawierające rozmaite substancje, które należało wymieszać, to znów o przyrządy, jakich potrzebował.

Posługując się miarką, pobierał wymagane ilości składników

i umieściwszy je w mózdzierzu, zaczynał rozgniatać albo rozcierać, zależnie od potrzeb; potem w kolbie nad palnikiem destylował z tej mieszanki rozmaite płyny. W południe przerywali pracę i usiadłszy na kamiennej ławie, spożywali posiłek, który przynieśli ze sobą z kuchni Mariony.

To, co wydawało się niemożliwe, nadeszło w trzy miesiące po rozpoczęciu prób. Rashid odwrócił się i wzruszonym, uroczystym głosem oznajmił:

— Ahmedzie, jeżeli nie pomyliłem się w proporcjach, już to mamy.

Produkt był brunatną galaretowatą mieszanką, która drżała jak budyń, który Mariona sporządzała nad paleniskiem w domu przy placu Sant Miquel.

— A teraz, mistrzu, co musimy zrobić?

— Przede wszystkim umieścić pewną porcję w jednym z tych małych glinianych garnków i zamknąć go dokładnie pszczelim woskiem i lakiem. A potem wypróbować, mój synu — odpowiedział Al-Malik.

— Kiedy i gdzie?

— Pierwszej nocy, gdy nie będzie ani promyka księżycy. Co do miejsca... będziemy potrzebowali spokojnych wód — rzekł Rashid.

— Księżyc się zmniejsza i za trzy doby osiągnie swoją najdrobniejszą postać.

— A więc to będzie ta noc. Spotkamy się tutaj, weźmiemy dzbanek i kawał drewna i udamy się tam, gdzie powiesz, żeby sprawdzić, czy wszystko dobrze poszło. Czy przychodzi ci na myśl jakieś miejsce?

— Zastanawiałem się nad tym, odkąd mi wytłumaczyliście, do czego służy ten wynalazek.

— A zatem?

— Jest mała rzeczka w pobliżu Gavá: na niewielkim rozlewisku prąd słabnie i powstał tam rodzaj sadzawki, którą nazywają Murtra. Myślę, że to doskonałe miejsce.

— Więc mamy problem z głowy. Wyznaczonej nocy odbędzie się główna próba.

Od tej chwili Ahmed nie mógł spać. Wiercił się w łóżku przez całą noc, aż pierwszy promień słońca zaskakiwał go zlanego potem i zapłatanego w pościel.

Nadeszła wielka chwila. Dwaj jeźdźcy, prowadząc za sobą na sznurze muła obciążonego jukami, wyjechali z domu przy placu Sant Miquel i minąwszy bramę Call, skierowali się ku pieczarze na Montjuïc. Dotarli na miejsce, kiedy już zapadła noc. Przywiązali konie do słupa stojącego przy wejściu i Ahmed otworzył wielkim kluczem zamek przy dębowej belce, która umieszczona w dwóch żelaznych szynach ryglowała drzwi. Po wejściu do groty i zapaleniu pochodni krzesiwem i hubką, które chłopak zawsze nosił przy sobie, obaj z wielką ostrożnością przystąpili do załadowania małego garnka i kawałka drewna odpowiedniego do przeprowadzenia próby. Swoje skarby umieścili w jukach muła, który zaniepokojony niespodziewanym ciężarem zaczął bić kopytami, i odjechali.

— Pozwólcie mi iść przodem, Rashidzie, ja znam drogę.

Ten ruchem głowy przytaknął i włożywszy stopę w strzemię, dosiadł swojego wierzchowca. Ahmed wskoczył na grzbiet swojego, przywiązał sznur, na którym szedł muł, do kółka przy siodle i wjechał w ciemność.

Dziwna procesja wyjeżdżała z Barcelony. Światła ognisk oddalały się i stawały coraz rzadsze. Objechali Montjuïc; po drodze spotkali grupki ludzi i pojedynczych jeźdźców wracających do miasta. Nie zauważyli, że jeden z nich, jadący na osiołku, przystanął i przyglądał się im przez dłuższą chwilę. Potem porzucili główną drogę i zjechali na ścieżkę wchodzącą niebezpiecznie w zdradliwe grzęzawisko nadmorskiego mokradła. Po pewnym czasie dotarli do gęstego sosnowego lasu. Zapadła już noc i żeby się nie zgubić, Rashid prowadził swojego konia przy samym ogonie muła. Z oddali doszedł do nich szum wody, który w miarę jak się zbliżali, stawał się coraz głośniejszy. Wkrótce dojechali do rzeczki, Ahmed trzymał się jej brzegu, aż dotarli do rozlewiska w zakolu przypominającego zamkniętą sadzawkę. Kiedy już się tam znaleźli, na znak chłopca zsiadli z koni i zaczęli uwalniać muła od ciężkiego ładunku. Kumkanie żab i ćwierkanie świerszczy stanowiło dla nich chóralny akompaniament. Rashid al-Malik spojrzął w obie strony; zagajnik był gęsty i chronił ich przed ciekawymi spojrzzeniami.

Magi, siedząc na osiołku należącym do matki, wracał ze swojej nocnej przygody. Po raz kolejny za zgodą ojca Llobeta nocował poza klasztorem. Jechał w stanie euforii, jeszcze nieco odurzony:

wesoła i pienista mgła, owoc wdychania dymu z owej rozkosznej kadzielnicy, zamraczała jego umysł i urzekała duszę. Myślał, że życie jest cudowne i że jeśli zdoła wypełnić polecenia, które dał mu jego uprzejmy protektor, będzie mógł jeszcze wielokrotnie cieszyć się rozkoszami, jakich dostarczała mu Nur. Nagle, kiedy mijiał źródło przy kamieniołomach, gdzie kamieniarze zmywali z twarzy kurz, prawie ich oślepiający po całym dniu pracy, dostrzegł dwóch jeźdźców, którzy ciągnąc za sobą muła, jechali w przeciwnym niż on kierunku. Ponieważ ścieżka była wąska, cmoknął na osiołka, ściągnął jego cugle i odsunął się na bok, gdyż rozmiary nadjeżdżającego z przeciwka muła, powiększone o juki, były znaczne. Jeźdźcy posuwali się w milczeniu i Magi, mijając pierwszego i spoglądając z ukosa na jego twarz, rozpoznał młodzieńca, do którego była skierowana wiadomość od ojca Llobeta i który mieszkał w domu Martiego Barbany. Szybko otrzeźwiawszy, pomyślał, że jest mało możliwe, by tamten go dostrzegł, zwłaszcza że brak brunatnego habitu i głowa przykryta czapką wykluczały jakiegokolwiek skojarzenia.

Odczekał ostrożnie pewien czas, po czym pociągnąwszy osła za wodze i uderzając go piętami w brzuch, zaczął posuwać się w bezpiecznej odległości za nocnymi podróżnymi. W głowie dzwięczały mu słowa jego dobroczyńcy: „Jeżeli dowiesz się czegoś o kimkolwiek, kto mieszka w domu Martiego Barbany, zawiadom mnie o tym”. Pomimo panującego w mózgu półmroku te słowa pulsowały w jego skroniach.

Podróż zaczynała mu się dłużyć. W oddali rysowały się cienie śledzonych. Położył wodze na szyi osła, przekonany, że zwierzę samo pójdzie przez to trzęsawisko pewniej, niż gdyby to on je prowadził. Postacie weszły do lasu; przez całą drogę ani razu się nie obejrzały, by sprawdzić, czy przypadkiem nie są obserwowane. Szum wody jeszcze bardziej rozjaśnił mu umysł. Jego zmysły się wyczuliły, a instynkt podpowiadał, że może się wydarzyć coś ciekawego.

Noc była czarna jak jego udręczone sumienie. Kiedy jeźdźcy zsiadali z koni, on w bezpiecznej odległości zrobił to samo. Przywiązał osiołka do jakiejś nisko rosnącej gałęzi i podszedł do brzegu strumienia, ukrywając za pniami drzew widmo swojej chudej sylwetki .

Mężczyźni wyjmowali coś z juków muła. Widział, jak przenoszą to na brzeg sadzawki, a potem tajemniczo przy tym manipulują. Jego czujność pobudził plusk czegoś dużego wrzucanego do wody. Potem płomyk zapalonej krzesiwem lampki oświetlił na chwilę ciemność i w jego świetle Magi zdołał zobaczyć, że młody mężczyzna, którego rozpoznał, ciska jakimś okrągłym przedmiotem prosto w kawał drewna pływający w sadzawce: rozległ się dźwięk podobny do tego, jaki wydawały garnki w kuchni matki. Początkowo ukazały się pojedyncze iskry, potem zaiskrzyło się silniej i wreszcie to, co najpierw wrzucono do wody, zaczęło płonąć. Cienie mężczyzn krzątających się na brzegu, odcinające się od tego niespodziewanego blasku, sprawiły, że Magi całkiem się rozbudził. Co oni tam palili? Patrzył, jak obaj biorą z brzegu gałęzie i używając ich jak tyczek, usiłują coś zatopić. Wreszcie zobaczył, że im się to udało, lecz po chwili ze zdumieniem ujrzał, iż ten przedmiot znów wypływa na powierzchnię, a piekielny ogień nadal płonie na wodzie. Po dokonaniu tego cudu oba cienie uściskały się radośnie.

Magi całkiem otrzeźwiał; efekt narkotyku, który Nur wsypywała do kadzielnicy, zniknął i ów cudowny dym zalewający umysł całkowicie się rozproszył. Obserwator, nieruchomy w swojej kryjówce i niewidoczny na tle lasu za sprawą ciemnego odzienia, uszedł zupełnie uwagi jeźdźców, którzy podjęli powrotną drogę, rozmawiając z ożywieniem, choć cicho, i komentując ów wielki cud.

Kiedy uznał, że upłynęło już dość czasu, wyszedł z ukrycia i uważając, gdzie stąpa, poszedł pieszo do brzegu sadzawki. Tajemniczy przedmiot wciąż utrzymywał się na wodzie, częściowo zasłonięty trzciniami. Magi podwinął nogawice i uzbrojony w kij usiłował go dosięgnąć. Z wielkim trudem zaczął przyciągać go do brzegu, aż wreszcie wypuścił kij i starał się ukończyć dzieło rękami. Jakież było jego zaskoczenie, kiedy poczuł, że nadpalony pień, chociaż mokry, jeszcze parzy! To dzieło Szatana! — pomyślał przerażony. Rozejrzał się lękliwie i żegnając się z przyzwyczajenia, uciekł stamtąd jak dusza, którą chce porwać diabeł.

Próba

Dwie osoby, które miały się spotkać w jednej z pałacowych sal, miały pewien wspólny interes, chociaż inspirowały je uczucia o całkiem odmiennym charakterze. Berenguer postanowił zaspokoić namiętność, jaką budziła w nim najmłodsza dama dworu jego matki, i dlatego zaczął przysłuchiwać się plotkom i poszukiwać wśród pozostałych dam sojuszniczki. Adelais de Cabrera natomiast nie mogła znieść przychylności, którą darzyli Martę ludzie w pałacu, z pewnym gładkolicym młodzianem z Cardony włącznie. W głowie zawistnej dziewczyny nie mieściło się to, że hrabina dopuściła do świty pałacowych dam plebejuskę, która ponadto zachowywała się bezczelnie. Wiadomość o ciągłych scysjach obu dziewcząt doszła do uszu Berenguera i ten, sądząc, że może wykorzystać tę sytuację, nie tylko nie zignorował złorzeczeń Adelais, ale też przy każdej nadarzającej się sposobności starał się je podsycać, usiłując sprytnie puszczać w obieg komentarze, które gdyby doszły do jej uszu, utwierdziłyby ją w przekonaniu, że winna go uważać za swojego poplecznika.

Adelais weszła do sali muzycznej głęboko wzruszona. Berenguer, jeden z bliźniaków hrabiny, przekazał jej wiadomość, w której wyznaczał spotkanie po południowym posiłku. Próbowwała sobie na rozliczne sposoby tłumaczyć to nagłe zainteresowanie syna hrabios-twa jej osobą i wszystkie te możliwości wydawały się pociągające. Znała niezaspokojony apetyt dziedzica na kobiety i była skłonna

odegrać każdą rolę, jaką zechciałby jej wyznaczyć, stałej kochanki czy okazjonalnej konkubiny, a nawet stręczycielki, byle tylko zaskarbić sobie jego względy.

Na to spotkanie przywdziała swój najlepszy strój. Atlasowe żółte spódnice z rękawami aż po nadgarstki idealnie harmonizowały z o ton ciemniejszym kaftanikiem, którego lamowany dekolci podkreślał jej obfite piersi i współgrał ze sznurem w talii i z diademem spinającym czarne włosy.

Kiedy zapukała cicho do drzwi salonu, jej serce biło jak młotem. Niepowtarzalny głos Berenguera kazał jej wejść. Syn hrabiego już czekał, siedząc na taborecie przy kominku i bawiąc się miechem ożywiającym płomień; gdy tylko zobaczył, jak wchodzi młoda dama, wstał i podszedłszy do niej, szarmancko pocałował ją w rękę. Adelais myślała, że zemdleje.

— Witajcie. Jako szlachcic i jako mężczyzna dziękuję, żeście odpowiedzieli na moje zaproszenie.

Chwilowo nawet nie ośmielała się odezwać. Berenguer zamknął drzwi i poprosił ją, by spoczęła obok niego na fotelu przy kominku. Poczuli, że drętwieje z zachwytu.

Kiedy już usiedli, odważyła się odpowiedzieć.

— Panie, wasze życzenia, jakiegokolwiek byłyby rodzaju, są dla mnie rozkazami.

Berenguer był tak zadurzony w Marcie, że podobnie jak od wielu dni nie spotykał się z kobietami, tak też nie zwrócił uwagi na sugestię dziewczyny i nawet nie spojrzął, jak miał to w zwyczaju, na bruzdę między jej piersiami uwydatnioną przez dekolci.

— Jestem wam wdzięczny za takie nastawienie i myślę, że potraficie zrozumieć moją udrękę, ale nie chciałbym, żebyście się poczuli urażeni.

Adelais usłyszała samą siebie wypowiadającą cicho słowa:

— Słucham was, panie, i przynosi mi zaszczyt, że pomyśleliście o mnie.

W owej chwili pomyślała, że Berenguer jej zaproponuje, by została jego kochanką, co wywołało u niej sprzeczne uczucia: z jednej strony jej to pochlebiało, z drugiej nie mogła przestać myśleć o młodym Bertranie z Cardony.

Berenguer natomiast powiedział sobie, że dobrze trafił przy wyborze sojuszniczki.

— Nie wątpię, że dama tak piękna jak wy wie, iż w miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone.

Przytaknęła skinieniem głowy. Wreszcie miała nadejść ta chwila.

— Jestem waszą posłuszną niewolnicą we wszystkim, na co macie ochotę.

Berenguer zrobił pauzę i Adelais przelęknęła się, że zdradzi ją bicie serca.

— Chodzi o to, że umieram z namiętności do jednej z dworek matki.

Adelais wyobraziła sobie, że Berenguer mówi ogródkami, unikając poruszenia tego tematu wprost.

— Panie, proszę was, porzućcie te zbędne omówienia; powtarzam wam, że jestem całkowicie do waszej dyspozycji.

Berenguer kontynuował.

— Drzwi prowadzące na korytarz, na który wychodzą drzwi dam, są zawsze zamknięte. Klucz do nich musi mieć guwernantka. Wiecie, czy jest drugi klucz i gdzie go przechowują?

Adelais się zawahała.

— Nie chcę się wydać zuchwałą, panie. Wielkiego zamka nigdy się nie używa, drzwi zamyka się od środka na skobel, ale jeśli waszym życzeniem jest wejść po zakończeniu modlitwy, zrobię, co tylko będę mogła, by były otwarte, chociaż narażę się na wielkie ryzyko.

Berenguer się ożywił.

— Jeżeli to dla mnie zrobicie, przysięgam, że nigdy tego nie będziecie żałować.

Adelais już miała dodać, który pokój jest jej, gdy zmroziły ją słowa Berenguera.

— Wskażecie mi drzwi sypialni Marty Barbany?

Po pauzie, której potrzebowała, żeby przyjść do siebie po tym oczarowaniu, odpowiedziała ledwie dosłyszalnym głosem:

— Ostatnie po lewej, panie.

— A zasuwki są otwarte czy zamknięte?

— Otwarte, panie. Ochmistrzyni, jeżeli sobie tego życzy, musi zawsze mieć dostęp do każdej sypialni.

— A więc jeśli chcecie uczynić mnie najszcześniejszym ze śmiertelników i sprawić, bym został na zawsze waszym dłużnikiem, postarajcie się, żeby w środek po komplecie były otwarte.

Myśli Adelais galopowały jak oszalałe. Strącona ze szczytów nadziei w przepaść nieskończonej urazy, gotowała się zebrać resztki swojej klęski, żeby przekształcić je w nienawiść i wyrzucić swojej nieprzyjaciółce możliwie największą krzywdę.

W Pia Almoina wybił już dzwon wzywający na kompletę. Po pracowitym dniu Marta szykowała się do snu. Amina wyjęła właśnie z jej łóżka miedzianą grzałkę wypełnioną żarem, postawiła dzbanek z wodą na stoliku i nocne naczynie pod łóżkiem. Życząc swojej pani dobrej nocy, udała się na spoczynek do niewielkiego pomieszczeniu oddzielonego grubą zasłoną od sypialni Marty. Stojąca w nim pryzca, choć wąska, była znacznie obszerniejsza od tej, na której spała w domu rodziców. Stała przy ścianie z wąskim oknem wychodzącym na podwórze; szafa, stół z szufladami, dwa stołki i stolik z miednicą dopełniały umeblowania służbówki.

Dziewczyna zdjęła suknię, dokonała wieczornych ablucji i włożyła nocną koszulę. Potem, też zmęczona, położyła się spać.

Była głęboka noc i światła w pałacu migotały stłumione. Jedna z dwóch lampek oliwnych, które w swoich żelaznych mocowaniach oświetlały korytarze, była zgaszona. Zaspani wartownicy chronili się przed nocnym chłodem owinięci w podbite futrem opończe, a niejeden, zamiast czuwać, drzemał podparty włócznią.

Berenguer dobrze przygotował plan. Opuścił swoje komnaty i kręconymi schodami w zachodniej wieży dostał się piętro wyżej. Poprzedniego popołudnia dopilnował, żeby służący nasmarował łożem wszystkie zawiasy, tak więc drzwi otworzyły się lekko. Wyjrzał przez nie i dostrzegł, że strażnik w głębi zaczyna swój obchód w przeciwną stronę. Poczekał, aż skręci za rogiem i zniknie z jego pola widzenia. Kiedy przejście było już wolne, przeszedł szybko do drzwi kaplicy; tam zaczekał, aż kroki się oddalą, i szybko, bezszelestnie, owinał bowiem swoje trzewiki zamszem, podbiegł do drzwi korytarza prowadzącego do pokoi dam. Drżącą dłonią nacisnął skobel, ufając, że Adelais dotrzymała obietnicy. Rzeczywiście ustąpiły bez trudu i Berenguer, zamknąwszy je za sobą, znalazł się na korytarzu, przy którym mieściły się sypialnie dam. We wnęce,

gdzie stała figurka Najświętszej Dziewicy z Dzieciątkiem, paliła się niewielka lampka.

Jego serce nie biło, tylko dziko pędziło. Zatrzymał się na chwilę, żeby wyrównać jego rytm. Kiedy się uspokoił, włożył dłoń do kieszeni kaftana i wyjął z niej kaptur z otworami na oczy. Szybko go założył i na swoich krzywych nogach podszedł do ostatnich drzwi. Przystanął na chwilę i zaczerpnął powietrza; potem nacisnął skobel i niepostrzeżenie, cicho jak wąż wślizgnął się do pokoju. Jego oczy musiały przyzwyczać się do półmroku. Nikła poświata wchodząca przez okno i odblask ognia na kominku pozwoliły mu dostrzec w głębi łożo z baldachimem, a na nim, leżące na boku, wspaniałe dziewicze ciało, które sprowadzało nań szaleństwo w nocy i zaćmiewało mu myśli. Podszedł na palcach, nie czyniąc najmniejszego hałasu. Kiedy był już o niecały łokieć od niej, dziewczyna obróciła się przez sen i kiedy ułożyła się na plecach, odsunęła narzutę aż do pasa. Piękna pierś, niewielka jak kielich i biała jak szron, wymknęła się spod dekoltu. Berenguer poczuł pulsowanie w kroczu, rozwiązał pośpiesznie rzemień portek i bezgłośnie ukląkł na łóżku, z kolanami po obu stronach bioder śpiącej, jednocześnie zasłaniając jej usta prawą dłonią.

Marta poczuła, że się dusi, otworzyła oczy i zobaczyła z przerażeniem zakapturzoną postać, która się nad nią prężyła. Jej zmysły zostały natychmiast zaalarmowane.

Skoncentrowała wszystkie swoje siły na biodrach i gwałtownym potrząśnięciem usiłowała zrzucić z siebie jeźdźca. Nie udało się, ale dłoń zasłaniająca jej usta osłabiła nacisk. Głuchy i głęboki krzyk wydarł się z jej gardła; dłoń znowu ją pochwyciła, ale tym razem niedokładnie. Wijąc się pod mężczyzną, Marta usiłowała bezskutecznie zatopić zęby w rękę, która ją dusiła, a jednocześnie z całą siłą, jaką dawała jej desperacja, próbowała mu się wyrwać. Berenguer był zmuszony osłabić nacisk ud na ramiona dziewczyny i znowu z głębi jej gardła wyrwał się zduszony krzyk, rozdzierając noc.

Amina spała głęboko. Wprawdzie dotarł do niej tamten pierwszy krzyk, ale półprzymotnie pomyślała, że tylko jej się przyśnił. Jednak drugi zupełnie ją rozbudził i czym prędzej odsunęła zasłonę oddzielającą jej służbówkę od pokoju Marty. Bez chwili zastanowienia rzuciła się jak furia na mężczyznę, który usiłował zbeczczyć jej panią. Ten, zaskoczony, odwrócił się w stronę nieoczekiwanego

przeciwnika. Rozdzierający ból w szyi, gdzie Amina wbiła paznokcie, kazał mu zerwać się na nogi, żeby stawić czoło nowej sytuacji. Klęcząc na łóżku, Marta usiłowała zerwać mu z twarzy maskę. Berenguer zrozumiał, że musi szybko zareagować. Za wszelką cenę należało nie dopuścić do tego, by ktokolwiek zobaczył jego twarz. Podczas gdy gwałtownie odpychał Martę, wymierzył kopniaka w brzuch Aminy, która upadła w kącie na podłogę. Pewien, że cały ten zgiełk musi przyciągnąć niepożądane osoby, skoczył ku drzwiom i wybiegłszy na korytarz, zniknął w ciemności jak dusza porwana przez diabła. Ledwo zdążył, bo już w następnej chwili doña Brigida w nocnej koszuli, z lampką oliwną w dłoni, wybiegła na korytarz i wykrzyknęła:

— Co się tutaj dzieje?!

61

Oddaj mnie do klasztoru!

Marta i Amina były przerażone. Po krzykach dońi Brigidy wszystkie dwórki wychyliły głowy zza drzwi swoich pokoi. Stara dama trzykrotnie klasnęła mocno w dłonie, każąc im natychmiast wracać do łóżek, po czym zaczęła wypytywać przerażone dziewczyny, co takiego się stało. Amina i Marta nerwowo udzielały wyjaśnień, odpowiadając na pytania opiekunki, która słuchała ich uważnie, ze zmarszczonym czołem.

Początkowo przyjmowała ich relację ze sceptycyzmem, lecz rozejrzawszy się po pokoju, ujrawszy na podłodze skotłowaną pościel i przewrócony dzban z wodą do mycia rąk, nie mogła nie dać wiary ich słowom.

— I mówicie, że nie widziałyście twarzy.

— Nie widziałam, pani. Spałam, kiedy mnie zaatakował. Był zamaskowany.

Marta spłonęła rumieńcem, nie mając odwagi wyznać, co było prawdziwym motywem tej agresji. Amina, wciąż jeszcze w szoku, wykazała większą śmiałość.

— Z całym szacunkiem, doño Brigido, ale muszę powiedzieć, że ten napastnik próbował zniewolić moją panią. I pewnie by to zrobił, gdybym się nie zjawiła.

Kobieta spojrzała na nią z powątpiewaniem.

— Co ty wygadujesz!

Amina odparła niespeszona:

— To, co pani słyszy. On chciał zhańbić moją panią.

Stara dama wpadła w złość.

— Niemożliwe, żeby coś podobnego wydarzyło się w pałacu. Nigdy dotąd nikt nie próbował wdzierać się do komnat dwórek hrabiny.

Po głębszym namyśle Marta powiedziała:

— To ktoś ogarnięty szaleństwem albo przekonany, że na wszystkim może sobie w pałacu pozwolić.

Doña Brígida zrozumiała ukrytą aluzję i powstrzymała się od dalszych pytań.

— Nie pojmuję, jak do tego doszło. Przecież sama wczoraj wieczorem zamknęłam drzwi na zasuwę.

— Widocznie ktoś ją odsunął, doño Brígido — zauważyła Amina.

— Natychmiast powiem dowódcy straży, żeby postawił w drzwiach wartownika. A teraz spróbujcie odpocząć. Podnoście alarm na każdy szmer. Jutro powiadomię kogo trzeba o tym dziwnym zdarzeniu.

Amina odważyła się ponownie zabrać głos.

— Napastnik ma na szyi ślady moich paznokci.

Stara dama zastanowiła się przez chwilę.

— Jutro rano zamelduję o tym hrabinie. Ona będzie wiedziała, co z tym zrobić. — Następnie, zwracając się do Marty, dodała: — Bądźcie pewna, że to przedziwne, nieprzyjemne zdarzenie zostanie wyjaśnione. Jednakże proszę zachować dyskrecję, nie wypada rozgłaszać takich rzeczy. A teraz postarajcie się zasnąć.



W poniedziałek po południu ojciec Llobet jak zwykle przyszedł udzielić Marcie lekcji z łaciny klasycznej. Wiedziony czułym i niezawodnym instynktem duchownego, zauważył dziwną zmianę w zachowaniu swojej podopiecznej.

— Mam wrażenie, że coś przede mną ukrywasz, Marto. Co się stało?

Marta próbowała wymigać się od odpowiedzi.

— Nic takiego, ojcze. Zadaliście mi bardzo trudny tekst, *Wojnę galijską*, miałam sporo kłopotu z tłumaczeniem, zwłaszcza że kilkakrotnie występował tam *ablativus absolutus*.

Archidiakon rzucił jej chytre spojrzenie.

— Jestem już stary, Marto, i znam cię od urodzenia. Jeśli nie chcesz powiedzieć, co ci dolega, to nie mów, ale nie próbuj mi wmówić, że nic się nie stało. Przecież widzę.

Marta spojrzała na niego, z trudem powstrzymując łzy.

— Aż tak źle? — zapytał ksiądz, nagle podenerwowany.

Nie mogąc się pohamować, dziewczyna opowiedziała z detalami o nocnej napaści. Archidiakon, w miarę jak poznawał kolejne szczegóły tej straszliwej historii, posępniał na twarzy. Na koniec przytulił Martę do siebie, a wtedy ona się rozplakała. Trzymał ją w ramionach, pomagając rozładować całe nagromadzone w niej napięcie. Wkrótce opanowała się i usiadła na swoim miejscu.

— Bardzo brak mi taty w takich chwilach... Co myślicie o tym wszystkim, ojczy chrzestny?

— Nasuwa mi się szereg wniosków. Po pierwsze, ktoś musiał odsunąć zasuwę u drzwi prowadzących do korytarza z waszymi sypialniami. Z tego, co mówisz, pani Brigida zawsze zamyka je na noc. Po drugie, ten, kto poważył się na tak haniebny czyn, musi czuć się w pałacu bezkarny... a takich osób jest niewiele. I wreszcie, jak mówisz, pozostały mu na szyi ślady paznokci Aminy. Zatem łatwo będzie go zidentyfikować.

Marta spojrzała chrzestnemu prosto w oczy. Wiedziała, kto targnął się na jej honor, ale nie mogła wyznać tego głośno.

— A jeśli to on? Wiesz, kogo mam na myśli. To co wtedy? Bardzo się boję.

Archidiakon spojrzał na nią z czułością.

— Musimy zachować ostrożność. Osoba, której imienia lepiej nie wymawiać, czuje się całkowicie bezpieczna. I jest to jedna ze spraw, o jakich nie mogę rozmawiać z hrabiną. Ważne, że doña Brigida domyśla się, o kogo chodzi; damy musiały to komentować między sobą, jest więc nie do pomyślenia, żeby hrabina o niczym nie wiedziała. Jeśli sama cię o to zapyta, wyznaj wszystko jak na spowiedzi. Jeśli nie, zachowaj milczenie, ale wtedy będzie jasne, że kogoś osłania. W razie potrzeby jestem gotów porozmawiać o tym z hrabią. Miej oczy szeroko otwarte. Zrobię wszystko, aby dać hrabinie do zrozumienia, że bezpieczeństwo jej dam jest zagrożone. Z góry mogę ci zagwarantować, że odąd każdej nocy będzie wystawiana warta.

— Nie zostawiaj mnie nigdy więcej samej, ojczy chrestny — błagała Marta. — Nie chciałabym przebywać w pałacu, gdy hrabios-two wyjadą w podróż, a mój ojciec będzie gdzieś daleko, zajęty swoimi sprawami. Już prędzej wolałabym zostać postulantką w Sant Pere de les Puelles... Bez was i bez mojego taty czuję się taka zagubiona.

Ojciec Llobet uśmiechnął się, żeby pocieszyć dziewczynę.

— Coś mi się zdaje, że jednak masz w pałacu dobrego przyjaciela, któremu możesz zaufać...

Marta spojrzała na niego zaskoczona.

— Przed człowiekiem w moim wieku, droga Marto, niewiele da się ukryć...

— Ale ja mu nie powiem o tym, co się stało. Umarłabym ze wstydu, gdyby się dowiedział, zresztą... co on miałby zrobić, żeby mi pomóc?

Archidiakon spojrzał na dziewczynę i powiedział z wielką powagą:

— Masz rację, Marto... Lepiej nikomu nic nie mówić. Ale dobrze mieć przyjaciela takiego jak ten młodzieniec.

Podniósł się i ruszył w stronę drzwi.

— Hrabina bardzo cię lubi, a gdy o wszystkim się dowie... cóż, myślę, że już wie... z pewnością podejmie odpowiednie środki, by taka sytuacja nigdy więcej się nie powtórzyła. — Po czym z głębokim westchnieniem dodał: — Choć oczywiście winny nie poniesie kary.

Marta przytaknęła ruchem głowy.

— Muszę już iść, moja córko, ale nie wahaj się mnie wezwać, kiedy tylko poczujesz się zagrożona. Przybędę na każde twoje wezwanie, nawet gdyby nie był to dzień wyznaczony na nasze lekcje i choćbym musiał opuścić jakieś ważne spotkanie.

Podniósłszy się z krzesła, Marta pożegnała chrestnego, starając się go przekonać, że bardzo jej pomógł tą rozmową i że już przestała się bać.

— Idźcie z Bogiem, ojczy. Czuję się pokrzepiona waszymi słowami.

— Zostań z Bogiem, Marto. Daj mi trochę czasu, żebym przekonał hrabinę, iż nie powinna być tak pobłażliwa. W zależności od jej reakcji podejmę kolejne działania, ale bądź pewna, że nie zostawię cię samej w kłopotach.

Po tych słowach archidiakon wyszedł.

Dziewczyna została w pokoju sama i niechęć wróciła myślami do ostatniego spotkania z Bertranem nazajutrz po tym okropnym zdarzeniu. W związku z oskarżeniami ze strony Adelais starali się być bardziej ostrożni, ale Bertran dobrze znał Martę i od razu zauważył, że jest jakaś nieswoja, toteż zgodnie ze swoim zwyczajem, kiedy po mszy wszyscy rozchodzili się do własnych zajęć, czekał na nią na kamiennych schodach, które prowadziły do ogrodu różanego nieopodal przejścia do klatki z sokołami. Wyprostował się jak struna, kiedy ją zobaczył. Dziewczyna z podziwem patrzyła, jaki on przystojny i dystyngowany.

— Myślałam, że dziś nie przyjdiesz.

Zebrała spódnice i przysiadła jak zwykle na kamiennym schodku, a Bertran obok niej.

— Co się z tobą dzieje? Tylko nie mów, że nic, bo nie uwierzę.

Marta ze wszystkich sił starała się nie zdradzić swojego sekretu, intuicja bowiem jej podpowiadała, że gdyby Bertran dowiedział się o nocnej napaści, mogłyby z tego wyniknąć jeszcze większe kłopoty.

— Czyżby znowu Adelais zraniła cię jakąś złośliwą uwagą?

Marta pokręciła głową.

— Bertranie, proszę... nie nalegaj... Zrozum, że są rzeczy, o których damie nie wypada mówić.

Młodzieniec spojrzał na nią z niepokojem, lecz nie zamierzała dodać nic więcej. Postanowił więc zakończyć rozmowę i odejść.

— No cóż, skoro mi nie ufasz...

Przytrzymała go, ciągnąc za połę kaftana.

— Zaczekaj.

Bertran posłuchał, zwłaszcza gdy zobaczył, że Marta z trudem walczy ze łzami.

— Bertranie, proszę... Pewnego dnia o wszystkim ci opowiem, ale teraz pragnę tylko, żebyś przy mnie był.

Chłopak wpatrywał się badawczo w niespokojne oczy dziewczyny i przestał nalegać, chociaż chciał poznać odpowiedź na swoje pytanie.

— Opowiedz mi coś — szepnęła Marta. Potrzebowała oderwać się od przykrych wspomnień i obawiała się, że jeśli oboje będą milczeć, to w którymś momencie wyzna mu całą prawdę. — Chętnie posłucham o twoim dzieciństwie w Cardonie.

Zaczął opowiadać, a że był dobrym mówcą, udało mu się ją rozbawić opowieściami o swoich dziecięcych wybrykach. Trwało to dłuższą chwilę, lecz w końcu znowu zapadła między nimi cisza.

— Bardzo dziękuję, Bertranie — powiedziała Marta. — Dziś zachowałeś się wobec mnie jak prawdziwy przyjaciel.

Rozejrzawszy się na wszystkie strony, przysunęła się do niego bliżej i szybko złożyła na jego wargach pocałunek delikatny jak muśnięcie skrzydeł motyla.

Policzek

Almodis wezwała do siebie Berenguera, który pojawił się przed nią w krótkiej kurcie z podniesionym kołnierzem. Zauważyła to od razu, gdyż wcześniej tak się nie nosił.

Przed rozpoczęciem rozmowy z synem odprawiła swoje damy do towarzystwa, Lionor i Brigidę, oraz błazna Delfina. Kiedy zostali sami, zwróciła się do Berenguera oschłym, dobrze mu znanym tonem, który nie zapowiadał niczego pomyślnego.

— Zbliź się i usiądź tutaj.

Mówiąc to, wskazała na taboret u swoich nóg. Uciekając wzrokiem gdzieś w bok, Berenguer posłusznie wykonał polecenie matki.

Atmosfera zrobiła się napięta, oboje milczeli.

W końcu on spróbował przerwać ciszę.

— Pani, powinienem być o tej porze w zbrojowni, ale dowiedziawszy się, że chcecie mnie widzieć, stawiłem się tu natychmiast.

— Dobrze cię znam, Berenguerze. Nie dam się omamić tanimi pochlebstwami, więc lepiej od razu przystąpmy do rzeczy. Doskonale wiesz, dlaczego cię wezwałam.

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odparł z miną niewiniątka — ale nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że znowu ktoś na mnie naskarżył bez powodu. Zdaję sobie sprawę, że nie jestem ulubieńcem waszych dam i waszego błazna.

Hrabina uniosła się gniewem.

— Twój cynizm mnie obraża! Tylko tego brakowało, żeby własny syn traktował mnie jak idiotkę!

Berenguer jednak dalej upierał się przy swoim.

— Nie wiem, co wam naopowiadano na mój temat. Jednakże proszę was, pani, byście najpierw zbadali prawdziwość owych zarzutów... Mam już tego dość. Ciągle muszę się bronić przed oszczerstwami.

Hrabina wyciągnęła dłoń i szarpnęła za kołnierz jego krótkiej kurtki.

Trzy głębokie zadrapania znaczyły fioletem szyję.

Berenguer, usiłując przykryć prawą ręką widomy dowód, odezwał się gniewnie:

— Pani, co czynicie?

— Sprawdzam prawdziwość zarzutów, tak jak mnie prosiłeś... Skąd to się wzięło?

Tym razem Berenguer zawahał się na chwilę.

— Bawiłem się ze swoim brytanem. Podrapał mnie niechcący.

Dłoń hrabiny przecięła powietrze i opadła na policzek Berenguera.

— Nie dość, że kłamiesz, to jeszcze robisz to głupio! Co ty sobie wyobrażasz? Nawet najdurniejszy z moich poddanych nie da wiary takim argumentom. Zaczynj wreszcie mówić prawdę. Chcę wiedzieć, w jaki sposób dostałeś się w nocy na korytarz z sypialniami dam, gdzie próbowałeś haniebnie zniewolić jedną z moich dwerek.

Berenguer próbował jeszcze się bronić.

— Matko, dlaczego na mnie spada wina za całe zło, jakie dzieje się w pałacu?

Almodis wybuchła.

— Wolisz, żebym kazała cię pojmać i wybatożyć jak ostatniego łajdaka? Jeśli takie jest twoje pragnienie, nie będę się sprzeciwiać.

Berenguer doszedł do wniosku, że stosując uniki, niczego nie zwojuje. Był sprytnym graczem, więc szybko zdecydował, że najlepszą obroną będzie atak.

— Dobrze, matko, wszystko wam powiem, gdyż sędzę, że nikt lepiej od was nie zrozumie, do czego może doprowadzić szalona miłość.

Ta uwaga obudziła czujność Almodis.

— Co insynuujesz?

— Nic nie insynuuję, matko. Wszyscy znają historię waszej

miłości do hrabiego, mojego ojca, i dla mnie jest to tylko powód do bezmiernej radości, jako że jestem owocem tego związku.

Hrabina zmieszała się na chwilę i tonem już nie tak stanowczym zapytała:

— Co to ma znaczyć?

Berenguer uśmiechnął się, spoglądając na matkę znacząco, jakby chciał powiedzieć, że liczy na jej wyrozumiałość.

— Jest rzeczą powszechnie wiadomą, iż porzuciliście w Tuluzie męża, by uciec z mężczyzną, który dziś jest moim ojcem. Obłożono was za to klątwą kościelną, z czego wynika, że ja i mój brat poczuliśmy się z grzechu.

Almodis poczuła się tak, jakby zadano jej cios sztyltem.

Berenguer zorientował się, że jego nowa strategia daje dobre rezultaty.

— Ufam, matko, że potraficie pojąć obsesję, która mnie trawi. Jestem ledwie żywy, nic nie mogę robić, gdyż całymi dniami, od rana do wieczora, wciąż myślę tylko o jednej osobie. To sprawiło, że dopuściłem się tak lekkomyślnego czynu.

— A twoja obsesja ma na imię Marta. Marta Barbany — odparła Almodis.

— Zgadza się, matko. Opierając się moim zalotom, ta dziewczyna przywiodła mnie do szaleństwa, którego dowód dałem owej nocy.

Almodis pomyślała przez chwilę o swoim pierwszym spotkaniu z mężczyzną, który teraz jest jej mężem, o tym, jak doszło między nimi do ukradkowego zbliżenia, mimo iż była wówczas żoną Ponçe'a z Tuluzy.

— Berenguerze, Berenguerze! Co ma zrobić matka z takim synem jak ty? Przemykałam oczy na twoje przygody i wybryki, póki chodziło o kobiety najgorszego autoramentu... Udawałam, że nic o tym nie wiem. Ale teraz mój syn w moim domu potraktował damę dworu jak jedną z tych ladacznic, które odwiedza. Nie wzięłaś pod uwagę, że ona jest jeszcze prawie dzieckiem i została powierzona przez ojca mojej opiece...

— Nigdy dotąd nie czułem w sobie takiego ognia namiętności jak teraz! Dlatego muszę prosić was o pomoc, matko... Nie da się walczyć z własną naturą, to chyba dla was jasne... Co ja na to poradzę, że jestem do was podobny? Przecież to nie moja wina!

Teatralnym gestem Berenguer rzucił się do stóp matki, chwycił jej prawą dłoń i zaczął obsypywać pocałunkami.

— Wstań, na Boga! — rozkazała hrabina. — W ten sposób nie rozwiążemy problemu!

Berenguer ponownie zajął miejsce na taborecie.

— Czego ode mnie oczekujesz w tej sytuacji? — zapytała matka oskarżycielskim tonem. — Sądzisz, że zawiodę zaufanie znakomitego

obywatela i oddam jego córkę w twoje ręce wbrew jej woli, abyś mógł się nią zabawić?

Dla zaspokojenia swojego kaprysu Berenguer był gotów kłamać w żywe oczy.

— Nic podobnego, matko. Jeśli muszę poprowadzić ją do ołtarza, aby osiągnąć swój cel, zrobię to.

Almodis westchnęła głęboko.

— Mówisz od rzeczy, mój synu. Kobieta, którą kiedyś poślubisz, musi się wywodzić z najwyższej szlachty. Tymczasem ojciec Marty, znakomity poddany, jest tylko obywatelem Barcelony, a to za mało.

— Jednakże przyjęliście ją jako damę dworu...

— To wyłącznie moja sprawa i nie ma nic wspólnego z nadrzędnym interesem hrabstwa. Ale skoro już mowa o damach dworu, zechciej powiedzieć mi szczerze, która z nich otworzyła ci drzwi wejściowe? Pani Brigida zapewniła mnie, że były zamknięte na zasuwę jak każdej nocy; gotowa jest to przysiąc, gdyż sama je zamykała.

Berenguer uznał, że dla zdobycia laufra warto poświęcić konia, lecz zamierzał do końca odegrać swoją komedię.

— Nie zmuszajcie mnie do tego, pani.

— Kto ci w tym pomógł, Berenguerze?

— Pani, jestem rycerzem i nie mogę...

— Nie zawracaj mi głowy głupimi skrupułami. Jestem twoją matką i żądam, żebyś powiedział prawdę.

Berenguer udawał wahanie.

— Czekam na odpowiedź! Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu! — nalegała Almodis.

— Zrobiła to Adelais de Cabrera, matko. Ona nienawidzi Marty i sama podsunęła mi ten głupi pomysł. Bardzo żałuję, że się dałem namówić.

Almodis zastanawiała się przez chwilę. Potem westchnęła głęboko i powiedziała:

— Tym razem nie wyciągnę wobec ciebie żadnych konsekwencji

i postaram się wyciszyć całą sprawę. Ale ostrzegam, Berenguerze, niech to się więcej nie powtórzy. Obiecałam Martiemu Barbany, że zaopiekuję się jego córką, dopóki on nie wróci do Barcelony, i zrobię to, choćbym musiała walczyć z własnym synem.

Berenguer siedział ze spuszczoną głową.

— Nie chcę również konfliktu z donem de Cabrera, dlatego odesłamy Adelais do domu pod pretekstem choroby. Tylko ona, ty i ja będziemy znać prawdę o tej nieszczęsnej nocy. I jeszcze jedno, Berenguerze — dodała oziębłe Almodis. — Żeby uwodzić kobiety, które ci się podobają, naucz się używać swoich wdzięków, a nie siły. Tylko złoczyńcy, ludzie źle urodzeni, biorą damy przemocą... Chcę mieć nadzieję, że mój syn, którego urodziłam w tym pałacu, nie jest jednym z nich.

Główny atut Magiego

Przykrywszy płaszczem wymówek swoje uśpione sumienie, Magi ostatecznie pogodził się z faktem, że jest zakochany w Nur i gotów zrobić wszystko, by urzeczywistnić marzenia.

Postanowił, że opuści klasztor, chwyci się jakiegokolwiek pracy i wykupi ukochaną, żeby nie musiała dłużej uprawiać tego zawodu. Matce niewiele już pozostało życia, a oni zamieszkają razem szczęśliwie w pobliżu Montjuïc. Był przeświadczony, że to, co zamierzał powiedzieć dzisiaj Bernabé Mainarowi, zapewni mu pieniądze potrzebne do realizacji tych planów.

Tego dnia wybrał inną trasę i wyszedł przez bramę Bisbe, po czym skręcił za murami w kierunku Vilanova deis Arcs. Dobrze znał tę drogę, bo już dawniej tędy chodził z ciekawości. Wiedział bowiem, że Mainar ma jeszcze jeden dom publiczny, znacznie ważniejszy od tego, w którym on bywał, i chciał przynajmniej obejrzeć go z zewnątrz, wtedy nie odważając się jeszcze przekroczyć jego progu.

Tym razem się spodziewał, że wpuszczą go bez problemu.

Dotarłszy do drzwi wejściowych, przez chwilę oglądał z zainteresowaniem ozdobną kołatkę, po czym zastukał nią w masywne drewno.

Drzwi uchyliły się natychmiast i usłyszał głos kobiety, której dobrze nie widział w półmroku.

— Czego tu szukacie o tak wczesnej porze? Jeszcze zamknięte.

— Nie jestem klientem, przychodzę z ważną wiadomością dla pana Bernabé Mainara — rzekł Magi władczym tonem.

Kobieta przyglądała mu się nieufnie.

— Mnie powiedzcie, o co chodzi, a ja mu przekażę.

— Przykro mi, ale kazał, żeby kontaktować się z nim osobiście.

Ranią zastanawiała się przez chwilę: ten młodzieniec nie wyglądał jej na nikogo ważnego, lecz znając porywczosć swojego pana, postanowiła go wpuścić. Otworzyła mu drzwi, nie chcąc napytać sobie biedy, bo może chlebodawca faktycznie interesował się tą miernotą.

— Wejdźcie. Podajcie mi swoje imię i powiedzcie, jaki jest wasz stan.

— Nazywam się Magi. Rzeknij swojemu panu, że przybył Magi, koadiutor księdza Llobeta, i że wykonałem to, co mi zlecił.

— Zaraz wracam. Zaczekajcie tutaj.

Kobieta oddaliła się, zostawiając go w sali recepcyjnej. Magi podziwiał przepych tego pomieszczenia. Wkrótce dał się słyszeć odgłos szybkich kroków zapowiadających jej powrót. Teraz odnosiła się do niego z większą uprzejmością.

— Zechciejcie pójść za mną.

Magi uśmiechnął się z zadowoleniem, gdyż poczuł się nagle ważny. Intuicja mówiła mu, że jego los odmieni się na lepsze.

Szedł przez dziedziniec za kobietą, która nie odwracając się, powiedziała:

— Mam na imię Rania, panie. Przy następnej wizycie pytajcie o mnie.

Zastukała do drzwi.

— Panie, czy pozwolicie...

Zza grubych drzwi dobiegł znajomy głos Mainara.

— Proszę wejść.

Przekraczając próg ogromnego gabinetu, Magi poczuł się oniesmielony, ale dodało mu otuchy serdeczne powitanie ze strony jednookiego.

— Klnę się na dusze w czyścicu, że nie spodziewałem się tak szybko waszej wizyty!

— Sami powiedzieliście, panie, że jeśli zdobędę jakieś informacje na interesujący was temat, mam je wam przekazać jak najszybciej.

— Tak się domyślałem. Wejdźcie do środka, Magi... Usiądźmy, bo zdaje mi się, że wasza opowieść zajmie nam dłuższą chwilę.

Młody ksiądz stanął przy wskazanym przez Mainara fotelu, czekając, aż gospodarz usiądzie pierwszy.

— Czym mogę was poczęstować? Czego się napijecie?

— Tego samego co wy.

Mainar wziął karafkę i szczerze napełnił dwa kielichy likierem czereśniowym o pąsowej barwie.

— Powiedźcie mi, przyjacielu, jakim szczęśliwym okolicznościom zawdzięczam zaszczyt tej niespodziewanej wizyty?

Wyczuwając ciekawość rozmówcy, Magi powoli się uspokajał.

— Powiedzieliście, jeśli mnie pamięć nie myli, że gdy tylko dowiem się czegoś nowego o Martim Barbany albo o ludziach z jego najbliższego otoczenia, powinienem natychmiast was o tym powia domić.

Błysk zainteresowania pojawił się w jedynym oku Mainara.

— Istotnie tak powiedziałem, ale czuję, że musi to być coś niezwykle ważnego i pilnego, skoro sami z tym przychodzicie, zamiast wysłać mi wiadomość przez Maimóna.

— Nie wiem, czy ocnicie to tak samo jak ja, lecz moim skromnym zdaniem wszystko, co wykracza poza normę i odbywa się pod osłoną nocy, musi być bardzo ważne.

— Umieram z ciekawości. Wyrzucie to wreszcie z siebie, Magi.

Wyczuwając niewątpliwe zainteresowanie rozmówcy, młody ksiądz postanowił postawić wszystko na jedną kartę.

— Pamiętajcie, co mi obiecaliście?

— Nie trzeba mi przypominać, jestem poważnym człowiekiem i od dawna już nie zakładam portek przez głowę. Zapewniam, że wynagrodzę was należycie, jeśli wasza wiadomość okaże się tego warta.

Magi nie dał się dłużej prosić.

— Gdy ostatnio wychodziłem od Nur, przydarzyła mi się dziwna przygoda. Wracając na osiołku do domu, natknąłem się w ciemno ścieżkach na dwóch jeźdźców podążających w przeciwnym kierunku niż ja. Przyglądając się im z bliska, miałem wrażenie, że w jednym z nich rozpoznaję człowieka, który przyjął mnie w domu Martiego Barbany, gdy przyszedłem tam z wiadomością od ojca Llobeta...

Opowieść była dość rozwlekła, lecz nie nużyła jednoosobnego,

wręcz przeciwnie. W miarę upływu czasu jego twarz przybierała wyraz, którego Magi miał nie zapomnieć przez resztę życia. Zadowolony księżulek z emfazą zakończył relację:

— Kiedy odjechali, wyszedłem ze swojej kryjówki i z największą ostrożnością zbliżyłem się do brzegu. W zaroślach znalazłem ten przedmiot, który wcześniej mnie zaintrygował. Jakież było moje zdziwienie, gdy naocznie stwierdziłem, że z pieńka wrzuconego do wody wydobywał się płomień i, co najdziwniejsze, wcale nie gasł, choć minęła już dłuższa chwila, odkąd znalazł się w wodzie.

Po monologu Magiego nastąpiła cisza. Mainar wstał z miejsca i z rękami skrzyżowanymi na plecach zaczął chodzić po gabinecie, stawiając duże kroki. Potem zatrzymał się przed księdzem i wyjątkowo serdecznie zapytał:

— Chcecie mi wmówić, ojcze Magi, że drewno zanurzone w wodzie płonęło? A może dym unoszący się z trawy przyprawił was o halucynacje?

— Przysięgam, że mówię prawdę. Tymi rękami, które kiedyś zjedzą robaki, dotknąłem pieńka i wiem, że kora parzyła, chociaż drewno było wilgotne.

Mainar ponowił pytanie:

— Mówicie, że spotkaliście tych dwóch na drodze, z czego wnioskuję, że nie wiecie, skąd przybyli ani dokąd potem się udali, ponieważ straciliście ich z oczu. Trzeba było pojechać za nimi.

Magi zawahał się, ale odparł stanowczo:

— Jak mogłem ich śledzić? Przecież najpierw musiałem sprawdzić, co to za rzecz, która płonie w wodzie.

— Nie doszukujcie się wyrzutów w moim pytaniu. Ślepo wierzę we wszystko, co mówicie, i pojmuję wagę zdarzenia, którego byliście świadkiem. Dołożę wszelkich starań, by odkryć, gdzie i jak wyprodukowano takie чудо, a gdy się tego dowiem, możecie być pewni, że wynagrodzę was sownie. Proście, o co chcecie.

Magi poczuł, że otwiera się przed nim niebo, i nieśmiało wyjąkał:

— Zatem, panie, kiedy przyjdzie ta chwila, będę błagać o list wyzwolenia dla Nur.

— Nie rozumiem waszego zaangażowania. Zamierzacie wziąć ją ze sobą do klasztoru?

— Wyznam wam, jakie mam plany: zrzucę sutannę i poślubię Nur.

— Nie odpowiada wam taka sytuacja jak teraz? Widujecie tę

dziewczynę co tydzień, macie za darmo obłapianie i jeszcze parę innych rzeczy.

— Pragnę mieć ją tylko dla siebie, panie. Nie mogę ścierpieć myśli, że dotykają jej inni mężczyźni, zresztą wiem, że ona od wzajemnia moje uczucie.

Mainar spojrział drwiąco na rozemocjonowanego młodzieńca.

— Małżeństwo jest ciekawą instytucją: ludzie z zewnątrz rwą się, żeby wejść do środka, a ci z wewnątrz wiele daliby za to, żeby wyjść raz na zawsze. Radzę wam poprzestać na tym, co już osiągnęliście, ale jeśli nie zmienicie zdania, dziewczyna będzie wasza, gdy tylko potwierdzą prawdziwość informacji, którą mi przekazaliście. Macie moje słowo.

Zacieśniając sojusze

Od tygodni Mainar nie odwiedzał Marçala de Sant Jaume. Wreszcie postanowił się doń wybrać i dosiadł jednego z najlepszych koni ze swojej stajni: białonogiego wałacha, mieszańca krwi arabskiej i hiszpańskiej, wysokiego w kłębie, z cienkimi kończynami. Jadąc Via Francisca, obserwował z satysfakcją niezliczone rzesze przekupniów, którzy zmierzali na comiesięczny targ na Mercadal. Był pewien, że wielu z nich ujrzy ponownie wieczorem w jednym ze swoich lupanarów.

Dojechawszy do bramy, zatrzymał się, by podziwiać ozdobne kute ogrodzenie, wyglądające niczym koronka z żelaza.

Sztywny jakby kij połknął majordom wyszedł mu na spotkanie i świadom, iż jego pan darzy tego człowieka uznaniem, od razu wprowadził go do salonu, po czym poszedł zaanonsować gościa. Wrócił w jednej chwili, aby pokazać mu drogę do niewielkiego pawilonu myśliwskiego, gdzie Marçal de Sant Jaume w narzuconym na strój fartuchu z miękkiej skóry, uzbrojony w odpowiednie narzędzia, własnoręcznie przygotowywał i ostrzył groty strzał. Powitał przybysza serdecznie. Ich wspólny interes rozwijał się kwitnąco, poza tym jednooki hojnie sypnął złotymi mancusu na większą chwałę dziedzica Pedra Ramóna, co wywarło na szlachcicu duże wrażenie.

— Witajcie w moim domu, Mainarze. Zawsze jesteście tu mile widziani.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Szlachcic przerwał pracę, zdjął fartuch i wieszając go na kołku, powiedział do Mainara:

— Nie macie w zwyczaju odwiedzać mnie bez uprzedzenia. Mam nadzieję, że ta niespodziewana wizyta nie wynika z jakichś przykrych okoliczności.

— Wręcz przeciwnie, panie. Okoliczności są nader pomyślne.

Marçal de Sant Jaume ożywił się na myśl o tym, że spotka go kolejna miła niespodzianka ze strony jednookiego.

— Gdybym wiedział, że chcecie mnie widzieć, sam bym się do was wybrał.

Faktem jest, iż odkąd poznał historię życia Mainara, odczuwał dziwny niepokój, kiedy ten go odwiedzał. Choć spotykali się często, don de Sant Jaume wciąż nie mógł się przyzwyczaić do jego widoku. Mainar w sposób oczywisty zwracał na siebie uwagę wysokim wzrostem, ciemnym odzieniem i wielkimi dłońmi, ale szlachcica przyprawiała o dreszcze przepaska skrywająca jego lewe oko i przesywające spojrzenie drugiej źrenicy, a także wyraźny biały przedziałek we włosach splecionych w długi warkocz.

— To dobre miejsce na rozmowę — powiedział Marçal de Sant Jaume, walcząc z niepokojem odczuwanym w obecności tego człowieka. — Tutaj nie grożą mi niefortunne wizyty, a moja służba wie, że z wyjątkiem specjalnych gości, takich jak wy, nikogo nie wolno tu przyprowadzać. To moje refugium, gdzie spędzam szczęśliwe chwile przy pracy rzemieślniczej. Prawdopodobnie naraziłbym się na krytykę, gdyby to wyszło na jaw. Jak wiecie, szlachcic nie może poświęcać wolnego czasu na zajęcia manualne, jednakże wypalanie i ostrzenie grotów strzał sprawia mi ogromną radość, poprawia nastrój i pozwala oderwać się od nieszczęść tego świata.

— Panie, sądziłem, iż wieści, jakie dla was uzyskałem, są tak wielkiej wagi, że nie powinienem zwlekać z wizytą. Niemniej jeśli chcecie, przyjdę innym razem — powiedział Mainar.

— Mój majordom dobrze mnie zna i skoro uznał za stosowne natychmiast powiadomić mnie o waszym przybyciu, to dlatego, że należycie do tych wyjątkowych osób, o których wspomniałem przed chwilą, a on wie o tym doskonale. Ale chodźmy do mojego gabinetu, tam porozmawiamy sobie swobodnie, bez obaw, że ktoś może nas podsłuchać.

Nie opuszczając pawilonu myśliwskiego, przeszli do ustronnej, niewielkiej sali, gdzie na ścianach wisiały wszelkiego rodzaju łuki, strzały, panoplia skomponowane z najrozmaitszych grotów przymocowanych do czerwonego aksamitu, a na stole stał miniaturowy model katapulty.

— Piękne zbiory — zauważył jednooki.

— Nieprawdaż? Te małe skarby sprawiają mi ogromną radość. Ale zdaje się, że chcecie mi o czymś opowiedzieć, mój drogi Bernabé... Usiądźmy tutaj — wskazał na dwa fotele w rogu sali — a ja z przyjemnością wysłucham waszej opowieści.

Obaj usadowili się wygodnie i Marçal de Sant Jaume spojrział pytająco na jednookiego.

Ten poczuł swoją ważność, wygładził zatem fałdy nogawic, przeciągnął dłonią po włosach i poprawiwszy przepaskę na oku, zaczął mówić.

— Dziwne są, panie, wertepy życia, po których los wodzi ludzi po to, by nagle ukazać oczom przygodnego człowieka coś, czego inni uporczywie szukają przez całe życie, wkładając w to wiele wysiłku i samozaparcia i nie otrzymując w zamian nic oprócz rozczarowania.

— Tak bywa — potwierdził Marçal, zaskoczony tym przydługim wstępem. — Wielu ludzi natrafiło na skarb najzupełniej przypadkowo, wcale go nie szukając, podczas gdy poszukiwacze, dla których jest to jedynym sensem życia, dobiegają kresu swoich dni z poczuciem porażki.

— Mnie proszę zaliczyć do tych pierwszych — oznajmił jednooki z całą stanowczością.

— Chcecie powiedzieć, że znaleźliście skarb? Wcale bym się nie dziwił, bo jeśli o was chodzi...

— Nie znalazłem skarbu w zwykłym znaczeniu tego słowa, ale wpadłem na trop czegoś, co może zmienić losy ludzkości, i wiem, jak to zdobyć.

Don de Sant Jaume zsunął się na brzeg fotela.

— To brzmi intrygująco. Zawsze potraficie mnie zaciekawić. Mówcie dalej.

Mainar wbił w twarz rozmówcy przenikliwe spojrzenie swojego jedyne go oka.

— Słyszeliście o greckim ogniu?

— Któż nie słyszał o tej bajce? Ale co to ma do rzeczy?
— A może to nie jest bajka.
— Więc wyjaśnijcie mi to od początku i powiedzcie, jaki z tego dla nas pożytek.

— To bardzo proste. O greckim ogniu napisano tysiące tomów, a jego sekret zaginął w mrokach dziejów. Grecy, Rzymianie, Egipcjanie, Bizantyjczycy... i wiele innych ludów toczyło walki, by go osiąść. A teraz, gdy bierze się go za starożytny mit, dowiaduję się przypadkiem, w sposób niespodziewany, iż ten wynalazek rzeczywiście przetrwał do naszych czasów, a pożytek z niego taki, drogi panie, że dysponujący nim władca stanie się najpotężniejszy na ziemi i wszystkie inne narody będą jego lennikami. Czy to wam wystarczy?

Don de Sant Jaume nie mógł wyjść ze zdumienia.

— Wyjaśnijcie mi to jeszcze dokładniej, Mainarze... Jakie jest jego działanie? Skąd się o nim dowiedzieliście?

— Najpierw odpowiem na pierwsze pytanie, a co do drugiego, pozwólcie, że zachowam w tajemnicy imię i stan posłańca, który przekazał mi tę wiadomość. Chyba rozumiecie, że muszę chronić swoich informatorów.

Marçalowi de Sant Jaume nie spodobał się ten brak zaufania, ale ustąpił.

— Niech i tak będzie. Rozumiem. Mówcie wreszcie!

— Jeśli użyjecie tego ognia do ataku na jakiś zamek lub obozowisko, to wybuchnie pożar i nic nie zdoła go ugasić, będzie się palić bez przerwy, choćby sypano piasek i lano wodę strumieniami. Ale to jeszcze nie wszystko. Ten ogień płonie nawet w wodzie.

W oczach i na twarzy Marçala de Sant Jaume zarysowało się niedowierzanie.

— Dwie kwestie cisną mi się do głowy. Po pierwsze, nie pytam od kogo, bo już wiem, że nie zdradzicie mi imienia tej osoby, ale chciałbym wiedzieć, w jaki sposób uzyskaliście tę informację. A po wtóre, czy sprawdziliście jej wiarygodność?

— Powiedział mi o tym pewien dobry klient naszego gniazdka miłości, który dobrze wie, że interesują mnie takie sprawy. Tak się złożyło, że kiedyś śledził nocą dwóch jeźdźców i przypadkowo stał się naocznym świadkiem czegoś, co uznał za cud. On zna moją szczodrość, a że na dodatek zadurzył się w jednej z naszych pupilek, więc aby jeszcze bardziej zaskarbić sobie moją przychylność,

postanowił opowiedzieć mi o tym dziwnym zdarzeniu. Ja zaś nazajutrz udałem się na miejsce, gdzie, jak twierdził, zdarzył się cud, i przekonałem się, że mówił prawdę. W tym miejscu, a konkretnie na sadzawce Murtra, znalazłem kawałek drewna, o którym usłyszałem od swojego informatora. Był całkowicie zwęglony i tak nasiąknięty wodą, że ledwie unosił się na powierzchni. Marçal de Sant Jaume nie ukrywał rozczarowania.

— Trochę się dziwię, że daliście się na to nabrać. Przecież ten człowiek wcisnął wam blagę, którą zmyślił na poczekaniu, aby znaleźć dojscie do upragnionej kobiety. Każdy może podpalić kawałek drewna i wrzucić go do wody, nieprawdaż?

— Nie docenicie mojej inteligencji. Czyżbyście sądzili, że człowieka z dużym doświadczeniem, znającego się na ludziach tak jak ja, łatwo jest oszukać? Bardzo się mylicie! Posłaniec tej wiadomości był święcie przekonany, że widział cud, co więcej, on nie ma najmniejszego pojęcia o greckim ogniu ani o jego wielkim znaczeniu w starożytności.

Marçal de Sant Jaume zaciekał się ponownie.

— Więc dlaczego śledził tych ludzi?

— Pewnego razu powiedziałem mu, że interesuje mnie wszystko, co dotyczy Martiego Barbany i ludzi z jego domu. W jednym z jeźdźców rozpoznał służącego, z którym kiedyś miał do czynienia. Dlatego za nimi podążył.

— Skąd jechali i dokąd udali się potem?

— Tego on nie wie. Natknął się na nich w środku nocy, jadąc drogą, a zorientowawszy się, kto zacz, udał się za nimi do sadzawki. Kiedy odjechali, zatrzymał się na chwilę, żeby sprawdzić, czy wzrok nie spletał mu figla, i potem już ich nie zobaczył.

Don de Sant Jaume rozważał coś w myślach.

— Ta historia wydaje mi się całkowicie niewiarygodna, ale widziałem inne cuda, które czyniliście. Gdybyście mi powiedzieli, że potraficie chodzić po wodzie, też bym wam uwierzył, zatem zgadzam się wziąć udział w tym przedsięwzięciu. Jeśli zdobędziemy ten cudowny ogień dla Pedra Ramóna, pozyskamy jego dozwoloną wdzięczność i staniemy się najpotężniejszymi ludźmi w hrabstwie. A teraz... co zamierzacie dalej z tym zrobić? — dopytywał się Marçal.

— Mam konkretne plany, ale potrzebuję pomocy.

— Jakiej?

— Będziemy śledzić człowieka Martiego, dopóki nie doprowadzi nas do miejsca wytwarzania tego artefaktu lub, jeszcze lepiej, dopóki nie uzyskamy owej sekretnej formuły. Kiedy tylko osiągniemy pożądane cele, osobiście zajmę się usunięciem go z naszej drogi.

— Konkretniej, Mainarze. Czego wam trzeba?

— Ludzi gotowych do działania na każde wezwanie w dzień i w nocy. Dyskretnych, dobrze jeżdżących konno, a zarazem niczym nieodróżniających się od zwykłych mieszkańców tego miasta. Muszą umieć iść za tropem i nie wolno im się zdradzić, kiedy znajdą się na otwartej przestrzeni. Trzeba ich tego nauczyć, aby w odpowiedniej chwili mogli zaatakować i porwać człowieka Martiego. Mając go w swoich rękach, będę potrzebował ustronnego miejsca, gdzie przetrzymamy go tak długo, aż zdradzi nam sekretną formułę.

— Możecie na to liczyć — oświadczył bez wahania Marçal de Sant Jaume. — Powiedzcie tylko, ilu chcecie ludzi, a natychmiast ich wam podeślę i wskażę miejsce na ukrycie jeńca.

Felet, Rashid i Ahmed

Pod portykiem tarasu na trzecim piętrze domu Martiego Barbany trzech mężczyzn prowadziło ożywioną rozmowę, racząc się napitkiem, dyskretnie podsuwanym przez majordoma. Przewodził im w tym momencie kapitan Rafael Munt.

— A zatem jesteście pewni, że to działa?

Rashid odpowiedział:

— Sam miałem wątpliwości do czasu tej próby. Mogłem oprzeć się tylko na swoich wspomnieniach z Kerbali, kiedy po raz pierwszy sporządziłem mieszankę razem z bratem. Wtedy udało nam się dopiero przy trzecim podejściu, bo wcześniej nie mogliśmy znaleźć odpowiednich proporcji. Nie ukrywam, że kiedy Ahmed zaprowadził mnie w nocy nad sadzawkę Murtra, obawiałem się porażki. Jednakże Allah pobłogosławił naszą pracę i ku mojemu zdziwieniu już pierwszy roztwór okazał się właściwy.

— Ku waszemu i mojemu zdziwieniu, kapitanie — wtrącił Ahmed. — Pieniek płonął jak suche siano, nawet woda nie ugasiła ognia, o czym wiecie już od doña Rashida.

Kapitan Munt zamyślił się na chwilę, po czym zapytał:

— Ile tego wytworzyliście? Ahmed i Rashid wymienili spojrzenia.

— Dostatecznie dużo, by zatopić trzy statki — odparł Rashid.

— Czy transport jest niebezpieczny? — dopytywał się Felet.

— Nie, ale pod warunkiem, że podejmie się odpowiednie środki ostrożności.

— Jakie środki?

— Gliniane garnki zapieczętowane woskiem pszczelim i roztopionym lakiem trzeba włożyć do skrzyń z grubego drewna, cynku lub cyny. Skrzynie umieścić w ładowni tak, żeby się nie chygotały i nie ocierały jedna o drugą. Najlepiej ustawić je pośrodku, w miejscu najmniej narażonym na działanie fal, i dodatkowo obłożyć każdą z nich zielonymi gałęziami.

— W porządku, Rashidzie, przystępujemy do realizacji ustalonego planu. Wy zostajecie w domu z Gaufredem i z Andreu Codiną, a ja wyruszam z Ahmedem na „Sant Tomeu” do Mesyny. To szybka galera z niskim pokładem, dwoma rzędami wiosł i trzema masztami, niezbyt ładowna, w sumie nic szczególnego, ale dla nas w sam raz. Najważniejsze, że pędzi jak szalona i przy sprzyjających wiatrach dotrzemy na miejsce przeznaczenia w ciągu piętnastu dni. Na kiedy przygotujecie ładunek?

— Dołożymy starań, żeby był gotowy na czwartek.

— Czy produkt jest dobrze strzeżony?

Tym razem odpowiedział Ahmed.

— Trzymamy go w jaskini za drzwiami zamykanymi na dwie zasuw. Nawet gdyby ktoś sforsował wejście i znalazł się w środku, zobaczy jedynie trzydzieści dużych beczek wina na stojakach.

— Ten pomysł to zasługa Ahmeda — pochwalił go Rashid. — Długo się zastanawialiśmy, gdzie ukryć tę żółtą pastę, rozważaliśmy różne możliwości, ale on wymyślił najlepsze rozwiązanie. Szesnąstą beczkę otworzyliśmy z tyłu, w połowie jej długości dopasowaliśmy okrągłą przegrodę pochodzącą z dna innej beczki i ukryliśmy nasz preparat w tylnej części. Z przodu beczka wygląda jak poprzednio.

— Sprytnie pomyślane! — przyznał Felet. — Co jeszcze zostało do zrobienia przed wyprawą?

Tym razem głos zabrał Ahmed.

— Potrzebujemy skrzyń, w których zmieści się jak najwięcej garnków. To zadanie dla kowali i cieśli z naszych stoczni.

— Ja tego dopilnuję — oznajmił kapitan Munt. — Zawiadomię was, jak skrzynie będą gotowe, żebyście mogli załadować nasz cenny towar. Ahmedzie, w sobotę wypływamy do Mesyny.

Na tym trzej mężczyźni zakończyli spotkanie. Ahmed wrócił wieczorem do jaskini, gdzie spędził dłuższą chwilę, a potem udał się do młyna w Magorii, dźwigając wypchany worek podróży.



W wyznaczonym dniu, zachowując wszelkie środki ostrożności, ekspedycja ruszyła w kierunku położonej u stóp Montjuïc plaży, na której statki rozładowywały towary. Duży, ciężko wypakowany kryty wóz jechał drogą przylegającą do wzgórza od strony przeciwnej niż Barcelona.

Kiedy minęli żydowski cmentarz, Felet jadący na czele grupy wyrzucił ze stąpania mułów, że zaczynają się kłopoty.

— Ahmedzie, pogoń muły, bo wóz ze skrzyniami utknie nam w piasku.

Rashid szybko uchwycił się poręczy, żeby nie stracić równowagi, Ahmed zaś zerwał się na nogi i zręcznie poruszając nadgarstkiem, trzasnął z bicia, który niczym skórzany wąż zasyczał przy zwierzęcych uszach. Muły naprężyły się, chrzęst chomąt połączonych rzemiennymi paskami ze skórzanym podogoniem zmieszał się z jękiem kół, ale wóz potoczył się dalej bez przeszkód. Wreszcie dotarli na plażę. Tu panowała nieustanna krzątanina. Każdy robił swoje. Łodzie rybackie wyładowywały swoje połowy, kupcy napełniali rybami kosze, które potem mieli zanieść na targ. Jedni rybacy wyruszali z powrotem na połów, inni holowali swoje łodzie, żeby zacumować je przy plaży.

Szalupa wysłana z „Sant Tomeu” już na nich czekała. Wóz zatrzymał się nieopodal, muły dyszały z wysiłku.

— Kapitanie, przeładować wszystko, co jest na wozie? — zapytał Feleta szyper.

— Tak. Pamiętajcie, żeby obchodzić się z tym jak najostrożniej. Podejrzewam, że nigdy dotąd nie mieliście do czynienia z tak delikatnym towarem. Skrzynie najlepiej ustawić pod środkową ławą. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby wpadły do morza; byłaby to strata nie do odrobienia.

— Od tej chwili będę strzegł waszego wynalazku jak oka w głowie, dopóki nie przyplniemy na miejsce — obiecał Rashidowi Felet. — Ahmedzie, ruszaj do domu po swoje rzeczy i wracaj tu jak najszybciej. Powinniśmy wyruszyć przed zmianą księżycą.

— Tak zrobię, kapitanie.

— A wy, Rashidzie, zostańcie z Bogiem i módlcie się o pomyślność naszej wyprawy. Zasłużyliście na odpoczynek w Barcelonie, nacieszcie się jej cudami. Będziecie pod dobrą opieką. Gaufred, zaufany dowódca straży, zapewni wam bezpieczeństwo, natomiast Andreu Codina sprawi, że poczujecie się jak król.

Obaj mężczyźni uściskali się i kapitan wsiadł do szalupy, która z szumem wiosel powoli oddalała się w kierunku „Sant Tomeu” po torze wyznaczonym przez światło księżyca. Rashid został na plaży, machając im dłonią na pożegnanie.

Złe przeczucia

Delfín chodził jak struty. Przemierzał komnaty pałacu w tę i z powrotem, nie wiedząc, dokąd idzie i w jakim celu. Poprzedniego dnia miał przykrą rozmowę z hrabiną.

Zdesperowana Almodis, widząc, że mąż ciągle nie może się zdecydować na wydziedziczenie pierworodnego, postanowiła wykorzystać wszystkie swoje atuty i rozegrać to po swojemu. Jej plan był ryzykowny jak spacer podczas burzy. Nie miała już siły przekonywać męża o konieczności zmiany testamentu, potrzebowała dowodu, który dzięki najbardziej wiarygodnym świadkom unaoczni porywczosć spadkobiercy w sposób niepodważalny.

Zamierzała sprowokować Pedra Ramóna publicznie, w obecności dam, dworzan i różnych innych osób cieszących się zaufaniem hrabiego, rozdrażnić go do tego stopnia, żeby nie zawahał się podnieść na nią ręki. Widząc pierworodnego w takiej sytuacji, jej chwiejny małżonek będzie wstrząśnięty i przestanie zwlekać ze zmianą decyzji o dziedziczeniu tronu.

Delfin miał jednak przeczucie, że ta burza może wywołać tragiczne skutki.

Poprzedniego dnia pokłócił się z dołą Lionor w obecności hrabiny. Teraz wciąż wracał do tego myślą, rozpamiętywał wypowiedziane wówczas słowa i okoliczności zdarzenia.

Atmosfera była ciężka tamtego popołudnia. Pałac pogrążał się w gęstym letargu. Straże i ludzie, którzy nie mieli nic do roboty,

poukrywali się w swoich pokojach. Delfin był w prywatnym gabinecie hrabiny.

— Nie rozumiesz mojego planu — mówiła Almodis.

— Nie jestem taki głupi, pani — odparł niechętnie. — Po prostu staram się rozważyć wszystkie możliwości i w-idzę, czym to grozi. Uważam, że wasz plan jest niebezpieczny.

— Nie ma niebezpieczeństwa, Delfinie — wtrąciła Lionor. — Przecież wiesz, że wszystko odbędzie się w obecności poważnych świadków i uzbrojonej straży, na oczach wszystkich dam hrabiny i ojca Llobeta, którego też poproszono o przybycie.

Delfin odwrócił się do niej rozgniewany.

— Lepiej milczcie i zajmijcie się robieniem koronek, bo tylko na tym się znacie! To ja jestem myślącą głową naszej pani, odkąd los zetknął nas w Tuluzie. Schowajcie swoje bezsensowne rady dla siebie!

— Spokój! — wtrąciła hrabina. — Potrzebna mi wasza jedność, a nie waśnie. Powiedz, Delfinie, w czym widzisz niebezpieczeństwo. Będą przy mnie zaufani ludzie i moja straż przyboczna.

— Nieszczęścia przychodzą w okamgnieniu; skąd macie pewność, pani, że was ominą? A jeśli on zrobi wam jakąś krzywdę?

— Wzięłam to pod uwagę — odparła Almodis — i postanowiłam, że od pierwszego dnia najbliższego miesiąca nikt nie wejdzie z bronią do moich komnat. Wydam w tej sprawie odpowiednio sformułowane zarządzenie, ażeby on nie pomyślał, że ten zakaz dotyczy tylko jego.

— Mimo wszystko przeczuwam, że grozi wam nieszczęście. Dawno nie miałem takich złych myśli. Od kilku nocy nie mogę zmrzyć oka. Coś mi mówi, że idą straszne czasy.

Doña Lionor wtrąciła:

— Może i masz rację, że nadają się tylko do plecenia koronek, ale powiem ci, że stetryczałeś na starość i wszędzie widzisz zło.

Obie damy spodziewały się, że Delfin zareaguje jakąś nową złośliwą uwagą, on jednak milczał i patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Wreszcie zeskoczył z taboretu, kierując się do wyjścia, ale zanim opuścił gabinet, powiedział do obserwującej go z niechęcią hrabiny:

— Ostrzegłem was, pani.

W poniedziałkowe, czwartkowe i piątkowe ranki seneszał Gualbert Amat z asystą giermków organizował dla młodzieży ze szlacheckich rodów, która otrzymała zaszczyt pobierania nauk w pałacu, ćwiczenia wprowadzające w arkana trudnej, acz chwalebnej sztuki rycerskiej. Lekcje zaczynały się na wielkiej esplanadzie Borne rozciągającej się poza murami; tam młodzieńcy na koniach próbowali swoich sił w różnych dyscyplinach, takich jak ćwiczenia z manekinem, potyczki na włócznie i tarcze... jednym słowem, zdobywali umiejętności niezbędne do zmierzenia się z prawdziwym wrogiem na polu bitwy. Blżej południa lekcje przenosiły się do pałacowej sali broni. Było to długie pomieszczenie z panopliami starodawnej broni na ścianach i trzema rzędami dużych ław ustawionych ciasno na trójstopniowym podwyższeniu wzdłuż dłuższych boków; tu siadywali ojcowie, aby oglądać popisy swoich latorośli. W węższych końcach sali, gdzie wisiała broń i różne części zbroi, stali słudzy i giermkowie gotowi na każde skinienie młodocianych wojowników.

Bertran przepadał za tymi zajęciami. Ćwiczenia z bronią, forsowny trening, możliwość sprawdzenia się w potyczkach — to wszystko rozpałało mu krew w żyłach i pobudzało do marzeń o bohaterskich wyczynach w przyszłości, zwłaszcza w walce z moryskami, którzy zagrażali południowym rubieżom hrabstwa Barcelony.

Seneszał widział w tym chłopcu dobry materiał na wielkiego wojownika i nieraz o tym mówił. Bertran był najlepszy w grupie, niewielu rówieśników potrafiło mu dorównać, toteż często sam Gualbert stawał z nim do boju. Brzezi długiego, rozpostartego na posadzce chodnika wyznaczały granice pola walki; po ich przekroczeniu należało natychmiast przerwać potyczkę. Tego poranka sam hrabia we własnej osobie zjawił się w sali w otoczeniu szlachciców, których synowie przygotowywali się w pałacu do rycerskiego fachu. Pięć par chłopców stawało po kolei w szranki z mniejszym lub większym powodzeniem. Gdy dzwony kościelne zabrzmiały w południe na Anioł Pański, walki ustały, a hrabia Ramón Berenguer wstał z miejsca, zdjął nakrycie głowy i przeżegnawszy się, odmówił modlitwę.

Następnie wezwał seneszala. Gualbert Amat natychmiast zjawił się przed pierwszym rzędem siedzeń.

— Czego życzy sobie mój pan?

— Przyszedłem zobaczyć, jak walczy chłopiec, o którym tyle razy mi mówiliście... Cały dwór wychwala jego zręczność i nie chciałem wyjść bez obejrzenia próbki jego talentu.

— Ależ oczywiście, panie — odrzekł z szacunkiem seneszał. — Zaraz uczynię zadość waszemu życzeniu, tylko założę zbroję. Sam stanę z nim do walki, żeby pojedynek był wyrównany.

— To on już tyle potrafi, że żaden inny chłopiec nie ma szans zmierzyć się z nim jak równy z równym? — zdziwił się hrabia.

— Pragnę jedynie pokazać wam, panie, prawdziwy pojedynek, który będzie uciechą dla waszych oczu. Nie ukrywam, że byłby kłopot ze znalezieniem mu godnego przeciwnika wśród rówieśników. Chłopak ma dopiero szesnaście lat, ale jest naprawdę bardzo dobry.

Z tyłu odezwał się „Lnianogłowy”.

— Już wam mówiłem, ojczce, że kiedy przyjdzie pora, chciałem go mieć za chorążego, jeśli pozwolicie.

Seneszał zamierzał odejść, żeby przygotować się do walki, kiedy z ostatniej ławy rozległ się rozdrażniony, zawistny głos Brenguera, który od dawna miał powyżej uszu tego, jak go nazywał, „młokosa z Cardony”.

— Seneszał jest już w podeszłym wieku. Jeśli mój ojciec się zgodzi, jestem gotów sam stanąć do walki z tym cudem natury. Nie znajdzie godniejszego przeciwnika ode mnie.

Stary hrabia odwrócił się do syna i rzekł ironicznie:

— Z najwyższą przyjemnością wyrażam zgodę, zwłaszcza że od dawna nie miałem okazji oglądać cię na placu boju, a z tego, co mi mówiono, sala broni nie należy do miejsc chętnie przez ciebie odwiedzanych, Berenguerze.

Podnosząc się z siedzenia, młodzian odparł hardo:

— Którą ręką mam go pokonać, ojczce? Uczynię wedle waszego życzenia. Ten młokos nie zasługuje na to, by walczyć z nim oburącz. Rozprawię się z nim w jednej chwili bez najmniejszego wysiłku.

— Wolne żarty, panie — przestrzegł go seneszał. — Nie lekceważcie swojego przeciwnika. On może zapędzić was w kozi róg.

— Idę przygotować się na czerwonym — oznajmił Berenguer, wskazując na jedno z dwóch pomocniczych pomieszczeń. Uwagę

seneszala skwitował aroganckim milczeniem, *raczył* jedynie poinformować: — Dla niego zostawiam niebieskie.

— Jak sobie życzyacie, panie. Proponuję jako oręż małą tarczę i miecz bojowy z wyszczerbionym ostrzem i tępym sztychem.

Zdejmując kurtkę, Berenguer rzucił zza pleców:

— Jeśli o mnie chodzi, poradzę sobie z nim choćby za pomocą pokrywy do garnka i chochli.

Niejeden szlachcic uśmiechnął się pod nosem na te dosadne słowa, obraźliwe dla młodzieńca z Cardony.

— Pozwólcie panie, że się oddalę. Pójdę powiadomić chłopca, żeby się przygotował do walki.

Bertran zbierał się już do wyjścia, kiedy usłyszał od seneszala, że hrabia pragnie go zobaczyć na polu walki i że jego przeciwnikiem będzie Berenguer.

Zrazu oczy chłopca zabłyśły zdumieniem, lecz po chwili uświadomił sobie, co znaczy ta wiadomość, i jego wzrok się zachmurzył. Głos seneszala dochodził doń jak z oddali, w głowie kłębiły się ponure myśli, jednak wiedział, że wyrównanie rachunków z Berenguerem w obecności jego ojca sprawi mu najwyższą przyjemność. Pragnął przynieść zaszczyt swojemu domowi i rodzinie, lecz myślał także o osobie, która stała się dla niego już kimś więcej niż zwykłą przyjaciółką, a którą znieawidzony Berenguer obraził swoim aroganckim zachowaniem. I za to właśnie chciał mu utrzyć nosa.

— Zajmiesz pole niebieskie — pouczał go seneszal. — Jako oręż zaproponowałem małą tarczę i tępy miecz z wyszczerbionym ostrzem. Włóż gambeson i skórzaną kolczugę z metalowymi kółkami, obaj dostaniecie szyszaki, rękawice rycerskie i ochraniacze na nogi.

— Wyprawiacie mnie na wojnę, panie?

— Nie idziesz na wojnę, ale mam wrażenie, że syn hrabiego zechce się popisać.

Następnie, zwracając się do innego chłopca, który był już ubrany, seneszal rozkazał:

— Sigericu, ty pomożesz Bertranowi w tej rozgrywce; będziesz jego giermkim.

— Jestem gotów, panie seneszalu. To dla mnie wielki zaszczyt.

Gualbert Amat udał się z powrotem do sali broni, gdzie zajął miejsce na sędziowskim podium, a tymczasem Sigeric pomagał

Bertranowi w skomplikowanym rytuale zakładania wszystkich części zbroi. Najpierw pomógł mu wsunąć przez głowę pikowany gambe-son, na który nałożył kolczugę, na nogach umieścił nogawice kolcze połączone z tyłu rzemieniami i sprzączkami. Potem pomógł mu włożyć rękawice i wręczył skórzany szyszak wzmocniony metalowymi płytkami. Na koniec przyniósł ze zbrojowni małą tarczę i tępy miecz, tak jak przykazał seneszał, i podając Bertranowi broń, powiedział:

— Powodzenia!

Młodzieniec z Cardony był już myślami gdzie indziej, więc skinął tylko machinalnie głową i odsuwając kotarę, skierował się na koniec niebieskiego pola. Berenguer oczekiwał go na czerwonym.

Na sygnał dany przez seneszala obaj zawodnicy stanęli naprzeciwko siebie pośrodku placu boju, Gualbert Amat przedstawił reguły pojedynku, zakazując uderzania pełnym mieczem w ataku i obronie, i przypomniał, że na dźwięk małego gongu, który stał przed nim na stole, należy przerwać natarcie. Obaj zawodnicy zmierzli się wzrokiem, zanim wycofali się na swoje miejsca na końcach chodnika. Bertran zauważył, że jego rywal ma na szyi jedwabną chusteczkę w kolorze błękitnokobaltowym, która przytrzymywała wyłogi gambesona. W oczach Berenguera była zawiść i zazdrość, w oczach Bertrana niezłomna decyzja, że nie da sobą więcej pomiatać i musi wyjść z tej walki z honorem. Powoli cichły komentarze i hałas. Sędzia dał sygnał do rozpoczęcia pojedynku.

Berenguer był bardzo silny. Lubiał najpierw wybadać przeciwnika, nie śpieszył się z zadaniem ciosu; Bertran widywał go w tej sytuacji wiele razy, toteż kiedy syn hrabiego przypuścił atak, on był już na to przygotowany. Bez trudu odparował tarczą gwałtowny cios miecza Berenguera i cofał się powoli, dając tym samym do zrozumienia, że pozostawia inicjatywę rywalowi. Pchnięcia i cięcia następowały jedno po drugim. Bertran zgrabnie odpierał wszystkie młyńce Berenguera, który zaczął się denerwować. Nagle chłopak zrobił zwód na lewo od tarczy przeciwnika; ten podniósł ją, by przyjąć jego miecz, i odsłonił na moment swój prawy bok. Bertran natychmiast to wykorzystał: poprowadził miecz dołem, poniżej tarczy Berenguera, i trafił tępym końcem w górną część jego kolczugi. Po

widowni rozszedł się szmer podziwu. Rozwścieczony Berenguer odpowiedział bezładnym atakiem, który przeciwnik udaremnił, nie tracąc spokoju. Syn hrabiego nigdy dotąd nie był w takiej sytuacji. Gdy usiłował znaleźć korzystniejszą dla siebie pozycję, jego lewa noga wysunęła się poza chodnik, w związku z czym seneszał udzielił mu upomnienia. Tego było już za wiele! Berenguer rzucił się na młodzieńca z Cardony jak szaleniec, jakby chciał zetrzeć go w proch; łamiąc reguły rycerskości, zepchnął go aż do linii oznakowanej na niebiesko strefy neutralnej. Jak należało się spodziewać, głos sędziego wezwał do przerwania walki. Bertran, stosując się do nakazu, już miał opuścić tarczę i miecz, kiedy dostrzegł, a raczej wyczuł, że Berenguer zamierza go zaatakować pomimo ogłoszenia przerwy. Sędzia krzyknął dwa razy.

— Co z tobą, chłopczyku? — szepnął ironicznie Berenguer. — Stchórzyłeś tak jak twoi rodacy z Cardony, co podobno mają lepszą rękę do róż niż do broni...

Nikt tego nie usłyszał oprócz Bertrana, który cofnął się rozgniewany, z rumieńcem na twarzy; serce rozsadzało mu pierś, a drżenia nóg nie był w stanie opanować. Kiedy seneszał dał sygnał do wznowienia walki, Bertran zainicjował natarcie, w które włożył całą furię, wściekłość i przekonanie, że musi pomścić zniewagę wyrządzoną jego rodzinie. Berenguer mógł się tylko zaślaniać i nie miał innego wyjścia, jak cofać się przed tą nawałnicą ciosów; niemal ślaniając się na nogach, dotarł do końca chodnika i upadł na wznak w strefie czerwonej. W tym momencie Bertran przerwał atak, z oddali dobiegał go głos sędziego i stłumiony chichot zebranych.

Bertran chciał przejść na środek placu boju, odwrócony plecami do rywala, kiedy z oczu i gestów seneszala wyczytał, że dzieje się coś dziwnego. Berenguer z trudem stanął na nogi i próbował zaatakować go od tyłu. Seneszał wpadł między nich, żeby temu przeszkodzić; wszyscy jak jeden mąż podnieśli się z siedzeń, zaczęli głośno posykiwać i tupać w drewniane stopnie widowni. Spojrzenie hrabiego wystarczyło za wszystkie słowa; wyszedł z sali pośpiesznie, czerwony z oburzenia, a za nim podążyli jego rycerze. Orszak zamykał „Lnianogłowy”, który podszedł najpierw do Bertrana i kładąc mu rękę na ramieniu, zapytał:

— Mocno zranił cię ten szaleniec?

— Nic strasznego, panie. Z pewnością na polu bitwy też się zdarza, że atakują człowieka od tyłu.

— Co innego na polu bitwy, a co innego w pałacowej sali broni podczas pojedynku, w którym obowiązują zasady rycerskości. Powiedział to podniesionym głosem, patrząc znacząco na brata. Berenguer zdejmował właśnie szyszak, ale domyślił się, że o nim mowa, i odparł zgryźliwie:

— Znowu niańczysz tego pomyleńca.

— Nie nazywaj pomyleńcem kogoś, kto ma więcej honoru w jednym małym palcu niż ty w całym ciele. Jak ci nie wstydl! Szczerze żałuję, że jesteś moim bratem.

67

W porcie

„Sant Tomeu” był jednym z najszybszych statków we flocie Martiego Barbany. Miał trzydzieści metrów długości, dwadzieścia dwie ławy ustawione w dwóch rzędach, z potrójnym siedzeniem dla wioślarzy, duży żagiel łaciński na grotmaszcie i fok z przodu, nic więc dziwnego, że przy niewielkim obciążeniu ładowni osiągał całkiem zadowalającą prędkość. Morze było łaskawe dla żeglarzy i po dwóch tygodniach dotarli do wybrzeży Sycylii, a jedynym nieszczęściem, jakie im się przytrafiło podczas rejsu, było uszkodzenie rumpla, które udało się naprawić bez przerywania podróży. Kapitan Munt zadbał o dobre wyżywienie dla galerników, wyznaczając im zmiany przy wiosłach w taki sposób, żeby jeden z każdej dwójki miał możliwość odpocząć. Podróż okazała się dla Ahmeda źródłem niezapomnianych wrażeń, przywodzących mu na myśl czasy, gdy miał w sercu nadzieję, a nie smutek tak jak teraz. Obaj doznali nieopisanego radości, gdy wachtowy wypatrzył na horyzoncie, wśród innych statków cumujących na redzie w Mesynie, charakterystyczną sylwetkę „Santa Marty”, najpiękniejszą na Morze Nostrum.

W południe „Sant Tomeu” przybił do flagowej jednostki floty Martiego Barbany. Obie załogi wyległy na pokład; marynarze witali się hałaśliwie, dzieląc się wrażeniami z podróży.

Gdy tylko przeszli na pokład „Santa Marty”, Ahmed zajął się dopilnowaniem przeładunku delikatnego towaru, natomiast Felet

zamknął się z Martím i Manipoulosem w kajucie rufowej, gdzie urządzili sobie we trzech poufną naradę. Najpierw Felet musiał zdać Martiemu szczegółową relację o cudzie z greckim ogniem oraz przekazać smutną wiadomość o śmierci Omara, ojca Ahmeda.

Trwało to dość długo, a potem nie było końca pytaniom. Dowiedziawszy się o niebezpiecznej zawartości zamkniętych skrzyń przywiezionych pod pokładem „Sant Tomeu”, Marti do spółki z Grekiem podjęli kilka istotnych decyzji, a najważniejsza z nich dotyczyła tego, że Ahmed będzie towarzyszyć Manipoulosowi w zaplanowanej przez Greka podróży rekonesansowej. Marti poszedł poinformować o tym młodzieńca i jednocześnie złożył mu szczere kondolencje z powodu śmierci jego ojca, a swojego najwierniejszego sługi, którego dusza — był tego pewien — spoczywa w pokoju.

O świcie, zaledwie na horyzoncie zabłysła różowawa zorza, Ahmed i Grek Manipoulos, przebrani za cypryjskich rybaków, schodzili po chwiejnej drabince sznurowej do feluki z łacińskim żaglem zrolowanym na bomie, która czekała przycumowana do burty „Santa Marty”. Zwinny jak kot majtek wybiegł za nimi, żeby pomóc w taklowaniu, a Marti, wsparty na balustradzie kasztelu rufowego, czekał razem z Feletem, aż tamci skończą przygotowania, pragnął bowiem pożegnać przyjaciela oraz młodego wyzwolénca wyruszających w daleką podróż. Kiedy wszystko było na swoim miejscu — prowiant zasztauowany, sieci rybackie wraz z korkowymi bojami umieszczone w skrzyniach, liny służące do stawiania żagla przełożone przez krążki przy relingach — chłopak wrócił na pokład i za pomocą wiosła zaczął odpychać felukę od burty „Santa Marty”, a jednocześnie Grek wciągał żagiel na maszt. Ahmed umieścił na powrót wiosła w dulkach, usadowił się na ławie i zaczął mocno wiosłować, żeby wypłynąć z redy i ustawić się do wiatru od rufy. Zapowiadał się piękny dzień, Morze Tyrreńskie było niezwykle spokojne jak na tę porę roku, lekkie powiewy wiatru popychały felukę ku półwyspowi.

Manipoulos kręcił sterem, Ahmed zaś pilnował, pociągając za fał, żeby żagiel był napięty.

Z rozmyślań wyrwał go głos Greka.

— Mamy szczęście. Jeśli wiatr się nie zmieni, w krótkim czasie pokonamy pół mili i zanim słońce stanie w zenicie, ujrzymy wybrzeża Kalabrii.

Podczas długich dni żeglugi Ahmed zdążył się przekonać, że morską przygodę i widok nieznanych horyzontów przynoszą mu ulgę w cierpieniach, pomagają wyrwać z pamięci bolesne wspomnienie Zahiry.

— Kapitanie Manipoulos, jakie mamy plany?

— Zobaczysz, synu. — Grek zawsze odczuwał szczególną sympatię do tego chłopca, znał go od urodzenia i traktował niemalże jak syna, zwłaszcza odkąd się dowiedział, ile nieszczęść nań spadło w jego młodym życiu. — Gdy dotrzemy do italskiego wybrzeża, zaczniemy uprawiać kabotaż i łowić za dnia ryby, nocować będziemy na plaży, żywić się tym, co złowimy, a resztę sprzedawać na targu w wioskach, które znajdują się na naszej drodze. Jesteśmy rybakami, więc musimy zachowywać się jak rybacy, gdyż wieści o nowych przybyszach rozchodzą się w tym rejonie z szybkością wiatru.

— Kapitanie, mam nadzieję, że nie po to opuściłem Barcelonę na statku wiozącym niebezpieczny towar, żeby teraz nie robić niczego innego, tylko łowić ryby, co skądinąd jest całkiem przyjemnym zajęciem, wiem, bo sam zajmowałem się tym w dzieciństwie u wybrzeży naszego hrabstwa.

— Trzeba zachować pozory, Ahmedzie. Każdy, kto się nami zainteresuje, musi uwierzyć, że jesteśmy zwykłymi rybakami w drodze powrotnej do domu. Jednakże nasz cel jest oczywiście inny.

— A jaki?

— Będziemy zaglądać do wszystkich tawern uczęszczanych przez marynarzy, rybaków i ludzi morza, jakie tylko znajdziemy na lądzie między morzami Tyrreńskim, Jońskim i Adriatyckim, szukając kogoś, kto potrafi nam coś powiedzieć na temat bandyty, który porwał „Laię” z całą załogą.

— Nie nadajam za waszym rozumowaniem, kapitanie — rzekł Ahmed. — Przecież wiadomo, że porywa się statki dla okupu, więc prędzej czy później ten bandyta skontaktuje się z moim panem, chyba że nie zależy mu na pieniądzech.

Manipoulos przeniósł wzrok na czubek masztu i powiedział:

— Zobacz, żagiel ci trzepocze, zajmij się lepiej falem, zamiast zadawać tyle pytań.

Ahmed dobrze znał charakter starego marynarza, więc natychmiast wykonał polecenie, lecz długo nie wytrzymał w milczeniu.

— Gotowe... Wybaczcie, dawno nie miałem do czynienia z zag-

lami, lecz obiecuję, że więcej takie niedbalstwo się nie powtórzy. A wracając do naszej rozmowy... jak to sobie wyobrażacie?

— Tak czy inaczej Marti otrzyma w Mesynie wiadomość z żądaniem tego szakala i znajdzie sposób, aby udzielić mu odpowiedzi, tyle że postara się to odłożyć do naszego powrotu, który musi nastąpić w ciągu czterdziestu dni, przed kolejną zmianą księżyca. Celem naszej misji jest zebranie wszelkich informacji przydatnych do akcji uwolnienia kapitana Jofre bez większych strat z naszej strony. W tym przedsięwzięciu dużą rolę odegra element zaskoczenia, liczymy również na pomoc władz tych prowincji, gdzie sięga ramię księcia Roberta Guiscarda.

Gueralda

Gueralda żyła z goryczą w sercu. Miała dwadzieścia dziewięć lat i coraz słabszą nadzieję na znalezienie męża, a nie odpowiadała jej perspektywa spędzenia reszty życia w roli służącej, bez własnego domu, z twarzą zeszeconą przez brzydki szew idący od kącika prawego oka przez cały policzek. Wszystkiemu winna niefrasobliwość młodej pani... Zresztą Gueralda nigdy nie czuła się dobrze w tym domu. Nużyła ją monotonna praca w kuchni pod rządami doñi Cateriny i mistrzyni od garnków Mariony; osierocona przez matkę, przysłała tu na służbę, gdy miała dwadzieścia lat, albowiem ojciec zrezygnował wtedy z posady ogrodnika u państwa Cabrera i został stróżem składów towarowych w stoczni Martiego Barbany, co dawało mu lepszy zarobek i większe poważanie.

Chlebodawca ofiarował jej sporą sumę pieniędzy jako odszkodowanie za ową szramę na twarzy, którą niechcący spowodowała jego córka, ale Gueralda nie zobaczyła z tego ani grosza; wszystko zatrzymał jej ojciec, argumentując, że to na czarną godzinę.

Ostatnimi czasy wciąż myślała o tych pieniądzach. Poznała bowiem mężczyznę, wdowca, który codziennie przywoził furmanką na targ w Barcelonie płody rolne zakupione wcześniej w Sant Martí deis Provençals i w Sarriá.

Zwróciła na niego uwagę już za pierwszym razem, gdy ujrzała

go na Mercadal: miał miedzianą czuprynę i brodę w kolorze kolby kukurydzy. Okazał się uprzejmym człowiekiem, bez trudu nawiązali rozmowę, a następnego dnia ona zrobiła wszystko co w jej mocy, by doprowadzić do niby przypadkowego spotkania. Tomeu, bo tak nazywał się ów mężczyzna, zostawił wtedy furmankę pod opieką znajomego i zaprosił Gualdę na szklankę wina z miodem i cynamonem w targowej karczmie otwartej od świtu do ostatniego klienta.

Odtąd spotykali się coraz częściej i z dnia na dzień Gualda uświadamiała sobie wyraźnie, iż niecierpliwie wyczekuje chwili, kiedy mężczyzna sprzeda swój towar i do niej podejdzie. Poczwała nowy przypływ nadziei, gdy usłyszała od niego, że ma syna i brakuje mu kobiecej ręki w domu.

Raptem spotkania urwały się tak niespodziewanie, że Gualda obawiała się, czy aby nie przydarzyło mu się coś złego. Na szczęście pewnego dnia zobaczyła, iż jest cały i zdrow, tylko przeniósł się ze swoją furmanką na drugi koniec targowiska, daleko od miejsca, które zwykle zajmował. Gualda miała co prawda oszpeconą twarz, lecz niebrzydłą figurę. Mimo szramy na policzku, która rzeczywiście wyglądała odrażająco, mężczyźni nieustannie wodzili za nią wzrokiem, łąpczywie spoglądając na jej bujne piersi. Kobięcy instynkt podpowiadał jej, że Tomeu również nie jest obojętny na powaby ciała, toteż zważywszy na zaistniałe okoliczności, postanowiła przystąpić do działania.

Po kilku nieprzespanych nocach, spędzonych na rozmyślaniu, miała gotowy plan i następnego dnia, zaraz po otwarciu targowiska, skierowała się na miejsce, gdzie Tomeu rozkładał swój towar. Tu po raz pierwszy zobaczyła chłopczyka, który mu pomagał.

— Tomeu, chciałabym z tobą porozmawiać — rzuciła, nie bawiąc się w ceregiele.

— Czemu nie. A na jaki temat?

— Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi. Nasza zażyłość upoważnia mnie do tego, by domagać się wyjaśnień, dlaczego zmieniłeś miejsce na targowisku. Uważam, że zrobiłeś to nie z powodów handlowych, tylko żeby odsunąć się ode mnie. Zaprzecz, jeżeli się mylę.

Zaskoczony mężczyzna początkowo milczał niechętnie, ale w końcu powiedział:

— Masz rację, jestem ci winny wyjaśnienie. Chodźmy porozmawiać tam gdzie zawsze.

Zostawił swój stragan pod opieką chłopca i zaczął przepychać się przez tłum handlujących w stronę karczmy, która była świadkiem ich pierwszego spotkania.

Gueralda naciągnęła na głowę chustę z ramion i poszła za nim. Karczma była wypełniona po brzegi. Mężczyźni tłoczyli się przy kontuarze, zamawiając napitki, w powietrzu unosił się dym ze świeczek niczym gęsta chmura, strzępy rozmów, pertraktacji kupieckich i targowania się o każdy grosz tworzyły ogłuszający hałas. Tomeu zdołał jakoś zamówić dwie szklanki cierpkiego wina i czym prędzej zajął pod jedną z arkad zwolniony właśnie stolik. Dał Gueraldzie znak, by przypilnowała miejsca, a sam poszedł szukać czegoś do siedzenia, gdyż przy stole był tylko jeden taboret. Szybko zjawił się z powrotem, unosząc triumfalnie zdobyczny stołek i odpychając łokciami innych klientów, którzy chcieli mu go odebrać. Usiadł naprzeciwko niej.

— Miło cię znowu widzieć, Gueraldo.

Kobieta chwilę zwlekąła z odpowiedzią.

— Puste słowa, Tomeu. Dobrze wiesz, gdzie mnie szukać na targowisku, ale wolałeś tego nie robić. Przeniosłeś się w inne miejsce, nie zostawiwszy mi żadnej wiadomości. Rozpytywałam o ciebie przez kilka dni; nikt nie umiał powiedzieć, co się stało. A teraz mówisz, że miło ci mnie widzieć. I co ja mam o tym myśleć?

Mężczyzna poczuł się nieswojo.

— Wysłuchaj mnie, kobieto. Człowiek ma swoje obowiązki i nie zawsze może tracić czas na pogawędkę, która oprócz chwilowej przyjemności nie daje niczego konkretnego. Nie wiem, czy wiesz, ale ja muszę zarobić na życie. Całymi dniami jeżdżę z targu na targ i nie mam nikogo, kto zająłby się moim domem i synem. Właśnie widziałeś go dzisiaj, zresztą nigdy nie ukrywałem przez tobą, że mam dziecko.

— Tomeu, jestem poważną kobietą, więc nie traktuj mnie jak małej dziewczuszki. Pomyliłam się co do ciebie, biorąc cię za prawego człowieka. Twój postępek wygląda mi na zwykłą ucieczkę. Zachowałeś się jak tchórz, choć nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek żądała od ciebie czegoś więcej niż sympatycznej rozmowy, która od czasu do czasu umila monotonię szarych dni.

Mężczyzna coś rozważał w myślach.

— Będę z tobą szczerzy, Gualdo, i nie bierz mi tego za złe. Szukam kobiety na żonę, ale chciałbym, żeby moje małżeństwo było jak dwukonna furmanka i żeby mąż i żona ciągnęli po równo.

Umysł Gualdy zaczął obracać się jak kierat.

— Też mi nowina! Ja tak samo widzę życie w małżeństwie.

Mężczyzna kontynuował:

— Chodzi o to, że jestem wdowcem i samotnie wychowuję syna. Kiedy cię poznałem, pomyślałem sobie: oto kobieta odpowiednia dla mnie, ma zgrabne ciało, obfity biust i szerokie biodra, mogłaby dać mi więcej dzieci, które są skarbem biedaka. Widząc, jak krążysz między straganami na Mercadal, wziąłem cię za osobę zamożną, taką, która może wnieść w małżeństwo posag, na czym mi bardzo zależy. Tak myślałem, dopóki pewien znajomy mi nie powiedział, że jesteś służącą w domu Martiego Barbany. Wtedy, przyznam szczerze, postanowiłem się usunąć, bo nasza dalsza znajomość mogłaby tylko zaszkodzić tobie i mnie. Lepiej zapomnieć o wszystkim niż proponować ci coś, co nie ma dobrych widoków na przyszłość.

Zsuwając chustę, Gualda zapytała:

— Zraziłeś się blizną na mojej twarzy?

— Życie zostawia blizny na ciele i na duszy. Kiedy poznaje się kogoś w połowie drogi, trudno oczekiwać, że nie będzie miał żadnych zadrapań.

Drżącym głosem Gualda wypytywała dalej:

— Czy to znaczy, że zaproponowałbyś mi małżeństwo, gdybym wniosła w nie posag?

Tomeu znowu się zamyślił.

— Jeśli ten posag wystarczy na zakup kawałka niezłej ziemi w Sant Viçenç deis Horts i wozu z parą mułów, byłoby to możliwe.

— Ile na to trzeba?

Tomeu spojrział na nią z zaciekawieniem.

— Około dwóch uncji złota.

Gualda zastanawiała się przez chwilę.

— W porządku. Ile czasu dajesz mi na zgromadzenie tych pieniędzy?

— Mam rozumieć, że zgodzisz się za mnie wyjść i jesteś w stanie zbierać taką kwotę? — zapytał szczerze zdumiony.

— Dobrze rozumiesz. Tyle że nasz kontrakt przybierze inną formę: to ja kupuję męża, a nie ty żonę. Do zobaczenia za tydzień w tym samym miejscu.

Nie dodała nic więcej, tylko wstała i od razu wyszła, skrywając twarz pod chustą, z sercem rozdygotanym, jakby tysiące ptaszków trzepotało w nim skrzydełkami.

Ostatnia próba

Po niedawnej kompromitacji w sali broni Berenguer, stosując się do rad udzielonych przez matkę, postanowił rozegrać na swoją korzyść inną batalię. Przy różnych okazjach zaczął okazywać Marcie, że pragnie zostać jej przyjacielem, a przerażona dziewczyna, zważywszy na okoliczności, nie miała innego wyjścia, jak tylko udawać, że wierzy w jego dobre intencje, mimo absolutnego przekonania, że to on był tym zamaskowanym napastnikiem, który owej fatalnej nocy wdarł się do jej alkowy.

Berenguer wykorzystywał każdą sytuację, aby pochlebić Marcie. Zaglądał do sali muzyki, gdy grała na jakimś instrumencie, zachwycał się krzewami różnymi swojej matki, wiedząc, że to Marta je pielęgnowała, przystawał za tkanym przez nią gobelinem i chwalił wzór oraz kolory. Nie przepuścił żadnej okazji, aby głośno okazać jej swój podziw.

Tego dnia zagadnął ją w przejściu obok kaplicy, kiedy wychodziła po spowiedzi, albowiem wszystkie damy miały obowiązek przystępować do sakramentu pokuty w sobotnie popołudnia.

Dziewczyna zobaczyła go ze zwojami pergaminów w rękach i postanowiła szybko odpowiadać na wszelkie pytania, byle jak najkrócej przebywać w jego towarzystwie.

— Dokąd wam tak spieszo, Marto?

— Wasza matka mnie oczekuje — odparła wystraszona. — Jestem jej potrzebna na górze... dziś sobota i większość dam jest w kaplicy.

— Jeśli tylko o to chodzi, nie ma powodu do zmartwień. Moja matka na pewno się nie pogniewa, zwłaszcza że w razie potrzeby usprawiedliwię waszą nieobecność. — I nie czekając na jej od powiedź, dodał: — Podoba wam się nauka o gwiazdach?

Marta zdwoiła czujność.

— Gwiazdy budzą we mnie podziw.

— Nie ciekawi was, w jaki sposób są przymocowane tam na górze?

— To już wykracza poza moje możliwości poznawcze i nie stawiam sobie takich pytań, po prostu podziwiam niezmierny ład ustanowiony przez Boga.

— A znacie „pokój mędrca”?

— Słyszałam o nim i wiem, gdzie się znajduje, lecz nigdy tam nie byłam.

— Niewiele osób tam zagłąda — powiedział tonem sugerującym poufałość. — Wizyta w tym pokoju to prawdziwy przywilej. Z nastaniem zmierzchu można obserwować firmament w całej okazałości. Chodźcie, to wam pokażę. Moja matka może za czekać.

Marta wahała się przez chwilę, ale doszła do wniosku, że lepiej nie prowokować gniewu syna hrabiostwa.

— Pokażcie mi ten pokój, jeśli taka jest wasza wola.

— Idziemy — powiedział z uśmiechem.

Poszedł przodem, aż zatrzymał się na rogu przy małych drzwiczkach, za którymi znajdowały się kręcone schody prowadzące do baszty.

— Pozwólcie, że pokażę wam drogę.

Przełożywszy papirusy pod lewe ramię, zaczął wspinać się po stromych stopniach, przytrzymując się prawą ręką poręczy. Dziewczyna ruszyła za nim. Kiedy oboje znaleźli się na górze, Berenguer skierował się wąskim przejściem w stronę kraty, za którą były inne, jeszcze bardziej strome schodki do „pokoju mędrca”.

— Przytrzymajcie mi to.

Wręczywszy Marcie pergaminy, wyciągnął z kieszeni jakiś klucz, włożył go do zamka i przekręcił, otwierając drzwi do małego gabinetu. Wszedł pierwszy, by za pomocą hubki z krzesiwem zapalić grubą woskową świecę w lichtarzu.

Marta weszła za nim, a gdy zobaczyła w ciemnym pokoju

kandelabr z siedmioma świecami i stojącą na stole lampkę oliwną, zaniepokojona spytała:

— Nie zamierzacie zapalić więcej świec?

— Nie trzeba. Zbyt jasne oświetlenie przeszkadzałoby w obserwowaniu gwiazd. Do tego niezbędny jest półmrok — wyjaśnił, po czym dodał: — Połóżcie to tam. — Wskazał Marcie na stolik w głębi pomieszczenia.

Dziewczyna wykonała polecenie, rozglądając się ciekawie po pokoju.

Berenguer, który uznał jej ciekawość za pozytywny znak, zapytał:

— Podoba wam się to miejsce?

Marta powoli przebiegała wzrokiem po ścianach z półkami zastawionymi różnego rodzaju przyrządami i siłą się na uprzejmość, odpowiedziała:

— Jestem pełna podziwu, panie, dla uczonych badających przestworza. Spotkało nas prawdziwe szczęście, że żyjemy w stuleciu, w którym ludzki geniusz osiągnął swoją pełnię.

— Słuszna uwaga, zwłaszcza gdy się pomyśli, że kiedyś zwykli ludzie, a także niektórzy słudzy Kościoła, sądzili, iż koniec świata nastąpi z końcem dziesiątego wieku. Ale, jak widać, nic się nie stało... Podejdźcie bliżej i popatrzcie.

Berenguer wskazał ręką na okno pod pułapem okrągłego pomieszczenia. Potem podsunął jej stołek i poinformował:

— Z tej wysokości łatwiej obserwować gwiazdy.

Marta zawahała się, ale Berenguer okazywał jej uprzejmość i ofiarował ramię, żeby mogła się na nim wesprzeć, wchodząc na stołek. Nie chcąc go urazić, przyjęła pomoc, gotowa natychmiast uciec, gdyby tylko spróbował jej dotknąć. Jednak Berenguer zachowywał się tak poprawnie, że Marta zaczęła się zastanawiać, czy nie pomyliły się obie z Aminą, biorąc go za sprawcę napaści owej nieszczęsnej nocy. Rozgwieżdżone niebo nad morzem przedstawiało oszałamiający widok. Biała dama nocy górowała nad wszystkim i Marta pomyślała nagle o ojcu, który w jakimś innym miejscu świata patrzy na ten sam księżyc..

Na kilka chwil zapomniała o Berenguerze, lecz jego głos szybko wyrwał ją z marzeń.

— I co? Warto było tu przyjść?

Zszedłszy ze stołka, odpowiedziała:

— Niby to samo niebo, a jednak zupełnie inne w porównaniu z tym, które normalnie oglądamy. Nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego.

Spojrzał na nią usatysfakcjonowany. Poczł nagły przyptływ namiętności i o mało się na nią nie rzucił; musiał się kontrolować, by od razu nie zaspokoić swojego požądania.

— Usiądźcie — rzekł. — Chcę wam coś powiedzieć.

Marta posłusznie przysiadła na stołku przy stole i zrozumiała, że nadchodzi moment odkrycia prawdziwych intencji Berenguera. Ten usiadł naprzeciw niej na taborecie.

— Mówicie, Marto, że to był piękny widok, ale ja mam teraz przed oczami jeszcze piękniejszy. Nie ma większego cudu piękności w pałacu niż wy.

Zaczerwieniona po uszy dziewczyna spojrzwała na drzwi wyjściowe. Za plecami miała ścianę, a Berenguer przysunął swój taboret tak blisko, że musiałaby go odepchnąć, żeby stąd wyjść. Przeszył ją dreszcz strachu, zimny pot zaperlił się na jej czole.

— Proszę tak nie mówić — szepnęła. — Przyprawiacie mnie o rumieniec...

Oparł jedną dłoń na jej biodrze, podnosząc drugą, by pogładzić ją po twarzy. Marta cofnęła się ze wstrętem, którego nie umiała ukryć.

— Marto, Marto... moje serce od dawna bije dla was. Pragnę jedynie pozyskania waszej wzajemności. Gdyby tak się stało, uczynił bym was najszczęśliwszą kobietą w pałacu.

Marta się przeraziła. Berenguer usiłował wziąć ją za rękę. Dotyk jego dłoni napawał ją obrzydzeniem, które bezwiednie odmalowało się na jej twarzy.

Urażony Berenguer zerwał się z taboretu, jakby go wąż ukąsił.

— Ostrzegam, Marto... — odezwał się chrapliwym, urywanym głosem. — Muszę cię mieć, zanim oddasz się innemu. Tak po stanowiłem i nie cofnę się przed niczym. Żaden mężczyzna z mego rodu nigdy nie potrzebował zabiegać o względy damy... A ja mam nadskakiwać plebejusze?!

Wyszedł z głośnym trzaśnięciem drzwi, zostawiając roztrzęsioną Martę w pustym pokoju.

70

Santa Maria di Leuca

Po dwudziestu dniach żeglugi i zaglądaniu do wszystkich tawern w Krotonie, Tricase i Otranto wylądowali o zmierzchu w Santa Maria di Leuca. Płynąc za innymi łodziami, dotarli do małej, zamykającej plażę zatoki, w której panował niezwykły o tej porze ruch. Obaj odczuwali zmęczenie, dzień był ciężki, a połów kiepski; mieli za sobą wiele takich dni i bezowocnych starań o uzyskanie jakiegokolwiek informacji.

— Wydaje się, że nasza misja jest skazana na niepowodzenie — ubolewał chłopak.

— Za szybko się zniechęcasz, Ahmedzie. W takich okolicznościach nie wolno tracić nadziei. Coś, czego nie udało się osiągnąć przez tydzień, może przyjść w ciągu jednego dnia. Jesteśmy jak poławiacze perł, którzy schodzą na dno, gdzie panuje prawie całkowita ciemność, wynurzają się na powierzchnię z wiklinowym koszyczkiem u pasa pełnym ostryg, potem zaczynają je otwierać na plaży i oto niespodziewanie ich oczom ukazuje się perła. Będziemy realizować nasz plan aż do końca.

Manipoulos tak manewrował, żeby znaleźć się po zawietrznej stronie barki pilotowanej przez starego mężczyznę i chłopca, wyglądających z racji wieku i podobieństwa na dziadka i wnuka. Potem zagwizdał na palcach tak mocno, że pomimo sporej odległości dzielącej ich od barki starzec podniósł oczy i zwrócił na nich uwagę, a następnie puścił swój żagiel w łopot, aby mogli łatwiej ustawić się po jego sterburcie.

Kiedy podплыnęli bliżej, Basilis złożył dłonie w trąbkę i zawołał do mężczyzny.

— Obfitych połowów i szczęśliwego powrotu do portu, przyja cielu!

Usłyszeli zachrypnięty, basowy głos starca.

— Tego samego wam życzę! Nie znam waszej barki. Skąd jesteście?

— Z Krotony. Tam już skończyły się ryby, więc postanowiłem poszukać nowych łowisk.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

— Jeżeli nie zapłacicie naszemu bractwu wybrzeża, nikt nie kupi waszych ryb. Nie lubimy, kiedy obcy kręcą się po naszych wodach.

— To całkiem zrozumiałe — odparł Basilis. — Jestem gotów wnieść skromny datek na rzecz waszej organizacji dobroczynnej, aby uzyskać licencję na połów. Do kogo mam się z tym zwrócić?

— Wyobraźcie sobie, że do mnie, albowiem tego roku mieszkańcy obdarzyli tą zaszczytną funkcją moją skromną osobę.

— Nazywam się Antioco Vetalis, a ten chłopak jest moim służącym i ma na imię Ahmed — skłamał Manipoulos.

— Jestem Dimitrios, a to mój wnuk Teofanes.

Po dokonaniu prezentacji obie łodzie opuściły żagle i posuwały się dalej siłą wiosel.

Basilis kontynuował rozmowę.

— Domyślam się, że przybijamy do Santa Maria di Leuca.

— Dobrze się domyślacie, właśnie macie przed sobą naszą główną plażę. Tu trzymamy łodzie, które z powodu swoich rozmiarów nie mogą kotwiczyć na redzie. Radzę zostawić połów na plaży i niech wasz chłopak popłynie razem z moim, żeby znaleźć miejsce do postoju. Będziecie mogli stanąć obok mojej łodzi, ale najpierw musicie mieć zgodę na kotwiczenie. Otrzymacie ją po uiszczeniu opłaty za licencję na sprzedaż waszego połowu.

— Świetnie, jestem wam bardzo wdzięczny za te informacje. Macie tu gdzieś targ rybny?

— W pogodne dni sprzedajemy na plaży. Kobiety przychodzą tutaj z koszami na głowie, płacą za towar i odnoszą ryby na targ.

Tak sobie miło rozmawiali, a w tym czasie obaj chłopcy zdążyli wyładować na brzeg dzienny połów, który składał się głównie

z ostroboków, popłynąć na redę, żeby zakotwiczyć feluki, i wrócić wpływ.

Kiedy już Grek wypełnił potrzebne dokumenty i opłacił gotówką tymczasowe pozwolenie na połowy w strefie tego wybrzeża oraz sprzedaż ryb któremuś z miejscowych hurtowników, zapytał starca, czy nie poleciłby mu jakiejś kwatery do spania. Uzyskawszy adres, zabrali swoje rzeczy i wyruszyli do Oberży Żeglarza, jedynej w tej okolicy. Podobno można tam było spotkać największe tuzy z całego regionu.

Miasteczko Santa Maria di Leuca znajdowało się w odległości pół mili od plaży. Drogą ciągnęły wozy i jeźdźcy na koniach, toteż Basilis i Ahmed bez trudu znaleźli woźnicę, który zgodził się ich podwieźć.

Oczy Ahmeda wiele już widziały, ale wciąż chłonęły z ciekawością nowe pejzaże.

Wóz trzeszczał i skrzypiał, wznosząc tumany kurzu. Po obu stronach drogi rozciągały się w nieskończoność gaje oliwne.

Wkrótce zobaczyli z daleka iglicę dzwonnicy w Santa Maria di Leuca, która dawniej była minaretem. Ahmed, z nogami zwieszonymi z wozu, przysłuchiwał się rozmowie Greka z woźnicą. Manipoulos sprytnie wypytywał o rzeczy mogące wnieść coś nowego do sprawy, która w tej podróży interesowała ich najbardziej.

— Mówicie zatem, że rybacy i marynarze co wieczór zbierają się w tej oberży, aby coś przekąsić.

— Przekąsić i wypić albo pograć w kości. Jeśli szczęście im sprzyja, niektórzy w jeden wieczór wygrywają tyle, ile mogą zarobić przez cały tydzień, ciężko pracując na morzu.

— Niedobrze, gdy człowiek powierza swoją przyszłość ślepej fortunie.

— Znam takich, co wolą zrobić od razu trzeci krok, jeszcze zanim postawią pierwszy.

— Założę się, że potem wynikają z tego sprzeczki, kłótnie i bójkę na noże.

— Dla wielu ludzi jest to chleb powszedni. Rzadko zdarza się dzień, by nie musiały wkraczać miejska straż.

— Ciekawi mnie, jaka ludność przeważa na tym terenie.

Mężczyzna przyjrzał mu się nieufnie, po czym zapytał:

— Kim wy jesteście?

— Jestem rybakiem, zwykłym włóczęgą morskim, jeśli można tak powiedzieć. Zamierzam pozostać tutaj jedynie tyle, żeby wreszcie wyspać się w prawdziwym łóżku po wielu dniach spędzonych na morzu.

Odpowiedź Manipoulosa zabrzmiała dla woźnicy przekonująco.

— Większość nas jest Grekami i dopóki nie pojawił się Roberto Guiscardo, byliśmy poddanyami cesarza Bizancjum. Ale jest tu też dużo przybyszów z różnych najdziwniejszych stron, bo morze jest zbiorowiskiem wszelkich ludzkich ras.

Ahmed doszedł do wniosku, że Grek dowiedział się już wszystkiego, co go interesowało.

Gdy dojechali do miasta, woźnica zatrzymał konia na rozstajnych drogach.

— Jesteście na miejscu. Wchodząc w ten zaułek, dojdziecie do skweru, a po lewej stronie będzie oberża, której szukacie.

Podczas gdy Basilis żegnał się ze swoim rozmówcą, Ahmed chwycił oba tobołki, zeskoczył z wozu od tyłu i machnąwszy woźnicy ręką na pożegnanie, podążył za Grekiem, który był już w zaułku.

Oberża okazała się dwukondygnacyjnym budynkiem z cegły wypalanej i suszonej oraz kamienia. Na parterze znajdowało się pomieszczenie, gdzie właściciel przyjmował nowych gości, w głębi schody prowadzące na piętro, po prawej drzwi do stajni, a po lewej — do tawerny, która miała również wejście od ulicy.

Wyszedł im na spotkanie zwalisty mężczyzna ze sterczącą siwą brodą, przyodziany w brudną wypłowiałą tunikę i zielony fartuch. Wziął od nich bagaże i przymilnym głosem zwrócił się do Basilisa.

— Witajcie w Leuca. — Skrócił nazwę miejscowości, pomijając „Santa Maria”. — Możecie być pewni, że trafiliście do najlepszej oberży na wybrzeżu. Tutaj czeka na was wygodne łóże i wysmienita strawa.

— Właśnie na to liczę. Mój służący i ja jesteśmy wykończeni, pragniemy odpocząć i nieco się rozerwać przed dalszą podróżą, w którą wyruszymy za parę dni.

— Wybraliście najwłaściwsze miejsce do tego celu. To jedyna przyzwoita oberża w zasięgu co najmniej pięciu mil. Mogę wam zaproponować pokój z dużym łóżkiem, na którym obaj wypoczniecie bez obaw o pluskwy czy innych niepożądanych gości, a kiedy za pragniecie coś przekąsić, nie musicie nawet wychodzić na ulicę. —

Pokazał na boczne drzwi, mrugając porozumiewawczo okiem. — Tutaj zbiera się doborowe towarzystwo. Mogę również przyprowadzić wam godne zaufania dziewczyny, jeśli sobie tego życzyacie, bo wiadomo, że w tych sprawach lepiej wiedzieć, z kim się przestaje. W przeciwnym razie może się zdarzyć, że noc rozkoszy zamieni się w otchłań rozpaczy.

— Dziękuję za wasze dobre intencje, ale mój towarzysz i ja sami sobie ze wszystkim poradzimy.

— Wedle życzenia. Pokój kosztuje pół dinara za noc, płatne z góry.

Sięgnąwszy do mieszka, Manipoulos wyjął srebrną monetę i wręczył ją oberżyscie, a ten, gnąc się w ukłonach, chwycił za ich tobołki, kierując się w stronę schodów w głębi sali.

Otworzył im duży pokój z porządnym łóżkiem, na którym starczyło miejsca dla dwóch; przy oknie na trójnogu stała miednica, obok niej cynkowy dzban pełen wody, a z drugiej strony ława, gdzie można było położyć swoje rzeczy.

Po wyjściu gospodarza Basilis sprawdził dokładnie zamek w drzwiach i przekręcił w nim parę razy kluczem.

Ahmed, który mimo wielu dni spędzonych z Grekiem na morzu nadal odnosił się do niego z taką samą atencją jak w Barcelonie, stał przy łóżku, czekając na dalsze wskazówki.

— Dotarliśmy do ostatniego portu. Jeżeli dziś nie znajdziemy perły, jutro wracamy do Mesyny... W każdym razie po tylu chłodnych nocach na barce lub na plaży dobrze zrobi nam sen w porządnym łóżku. Zostaw na ławce swoje rzeczy, zmyj sól z twarzy i zejdziemy na dół, żeby zjeść na wieczór wreszcie coś innego niż ryby.

— Podoba mi się ten pomysł, kapitanie.

Ahmed posłuchał rady Greka, rozebrał się do pasa i po długich ablucjach w misce wody wytarł się do sucha szorstkim ręcznikiem zwisającym z wieszaka. Manipoulos uczynił to samo, po czym obaj byli gotowi do zejścia na dół.

Greki umieścił w sakwie wszystko, co miało jakąś wartość, i po zamknięciu drzwi, w których dwukrotnie przekręcił klucz, przeprowadził dziwny manewr. Ostrożnie wyrwał sobie z brody dwa włosy, poprosił Ahmeda, żeby rozsmarował mu na palcu dwie krople żółtawego wosku kapiącego ze świecy, po czym szybko wyciągnął ramię i sięgnąwszy najwyżej, jak mógł, musnął krawędź drzwi

i ramę kleistą substancją, a kiedy ta zaczęła tężeć, wsunął tam włosy ze swojej brody.

Ahmed zapytał szeptem:

— Po co to robicie, Basilisie?

— Żeby wiedzieć, czy ktoś interesuje się naszymi rzeczami. Oberżysta wygląda mi podejrzanie, zresztą tu, na wybrzeżu, wszyscy mogą szpiegować dla Nagiba. Chcę wiedzieć, czy ktoś nie będzie szperał w naszych bagażach.

— A zatem?

— Ludzie widzą na ogół tylko to, co mają przed oczami, nikt nie patrzy do góry, żeby sprawdzić, co tam jest, więc jeżeli po powrocie znajdziemy włos zerwany, będzie to znak, że ktoś wszedł do pokoju pod naszą nieobecność, a tym kimś może być tylko oberżysta.

— Gdzie się tego nauczyliście?

— Włócząc się po świecie, synu. Nauczyłem się tego i wielu innych sztuczek, które ty też sobie przyswoisz, bo taka wiedza bardzo przydaje się w życiu.

Zeszli po schodach do pomieszczenia recepcyjnego i pchnąwszy wewnętrzne drzwi, znaleźli się w tawernie. Sklepienie wielkiej sali wspierało się na kolumnach, była oświetlona żagwiami, które mocno cuchnęły, a wzdłuż jej ścian stały drewniane rzędy ław przedzielone długimi stołami. Ogłuszający harmider uderzał już przy wejściu: ludzie tysiąca ras przekrzykiwali się nawzajem. Ahmed z Grekiem przystanęli na chwilę w drzwiach, żeby się rozejrzeć, po czym Basilis wskazał na ławę przy kolumnie i zaproponował, żeby tam usiedli.

Obaj zdjęli opończe i wezwali posługacza, który natychmiast zjawił się przy ich stole, gdyż klienci wchodzący od strony noclegowej mieli szczególne prawa.

Racząc się napitkiem, obaj bacznie obserwowali otoczenie.

Dym unoszący się z żagwi przesłaniał nieco widoczność, lecz Ahmed z ciekawością przypatrywał się kobietom, które przechadzały się między stołami i od czasu do czasu przysiadały do gości, pozwalając, by ci wkładali im ręce pod spódnice. Wydawało się, że wcale im to nie przeszkadza, gdyż głośno się śmiały. Basilis postawił kolejkę sąsiadowi przy stole i вдаł się w pogawędkę o rozmaitych wypadkach zachodzących na morzach i wybrzeżach. Tymczasem

Ahmed stał się świadkiem wyjątkowo nieprzyjemnej sceny. Potężny mężczyzna o złowieszczym wyglądzie — rzadka broda, orli nos, turban na głowie i zakrzywiony sztylet u pasa — obmacywał piersi drobnej, odzianej w tunikę kobiety o bardzo jasnej karnacji, niebieskich oczach i blond włosach zaczesanych w kok, z rezygnacją przyjmującej tę brutalną pieśczętę. Raptem mężczyzna zmienił się na twarzy. Jego dłonie natrafiły na delikatny łańcuszek z krzyżykiem. Rozgniewany, zerwał kobiecie z szyi ten chrześcijański symbol i rzuciwszy go na ziemię, jedną ręką złapał ją za gardło, podnosząc drugą, aby wymierzyć siarczasty policzek. W powszechnym rozgardiaszu prawie nikt z obecnych nie zwrócił uwagi na jego zachowanie, Ahmed pomyślał, że widocznie takie sceny rozgrywają się w oberży co wieczór. Manipoulos był odwrócony do niego plecami i pochłonięty rozmową z sąsiadem. Ahmed nie mógł dłużej czekać, tym bardziej że wyobraźnia podsuwała mu obrazy, które nękały go w związku ze śmiercią Zahiry. Od tamtego czasu nie był w stanie znieść użycia siły wobec bezbronnej kobiety. Nie zastanawiając się nad konsekwencjami swojego czynu, zerwał się z ławy, podniósł z podłogi krzyżyk i gwałtownie wtargnął między mężczyznę i kobietę. Wbijając wzrok w twarz olbrzyma, powiedział bardzo głośno do kobiety:

— Zdaje się, że coś pani upadło. — I wręczył jej krzyżyk.

W pierwszej chwili mężczyzna oniemiał ze zdziwienia, ale zaraz uśmiechnął się krzywo, położył dłoń na rękojeści zwisającego u pasa sztyletu i wyjmując go z pochwy, rzucił groźne wyzwanie:

— Widzę, że lubicie się wtrącać w nie swoje sprawy, chociaż nikt was o to nie prosi.

— A ja nie lubię, kiedy taki kolos jak wy dręczy słabą istotę.

Napięcie sięgało zenitu.

Olbrzym już miał wyciągnąć sztylet z pochwy, gdy nagle znieruchomiał z dziwnym wyrazem twarzy.

Ahmed spostrzegł w tym momencie, że za plecami jego przeciwnika stoi Basilis, i pomimo hałasu usłyszał jego chrapliwy szept.

— Nie zrobicie tego głupstwa, prawda, panie? Jeśli teraz wyciągniecie sztylet, będę musiał wbić wam nóż między żebra.

Brutal się zawahał. Wreszcie odwrócił się do Greka i zdjawszy dłoń z rękojeści sztyletu, odpowiedział uprzejmie:

— Ależ oczywiście, panie. Przecież nie będę się z wami bił

o taką wywłokę. Po co prowokować głupią awanturę, skoro jest tu tyle kobiet znacznie bardziej obdarzonych wdziękami niż ona. Weźcie ją sobie, jeśli chcecie.

Po tych słowach osobnik w turbanie pomaszerał na drugi koniec sali.

Basilis, Ahmed i kobieta spoglądali na siebie w milczeniu.

Greki doszedł do wniosku, że wyposzczony Ahmed poczuł nareszcie zew natury i być może to przypadkowe spotkanie oderwie go od smutnych myśli.

— Ahmedzie — zaproponował — czy nie zechciałbyś odprowadzić tej damy do jej domu? Z tobą będzie bezpieczna i ten bandyta nie odważy się jej zaczepić. Ja tymczasem pogawędzę jeszcze chwilę z naszym sąsiadem przy stole, a potem pójdę spać.

Kobieta nie mogła wyjść ze zdumienia takim obrotem sprawy.

— Chętnie to uczynię, jeśli ona sobie tego życzy — powiedział Ahmed, po czym, zwracając się do niej, zapytał: — Pozwolicie, że was odprowadzę?

Wciąż była przerażona i trzymała się ręką za szyję, ale skinęła głową.

— Oddacie mi wielką przysługę, gdyż boję się wracać sama.

Greki spojrział porozumiewawczo na młodzieńca.

— Nie śpiesz się z powrotem. Wiem, co mówię, chociaż jestem już za stary na takie rzeczy. Bądź ostrożny i pamiętaj, że szczury wychodzą nocą.

Ahmed nie chciał komentować aluzji Basilisa w obecności kobiety.

— Zechciejcie pokazać mi drogę — powiedział.

Odwróciła się, zdjęła z wieszaka na ścianie stary wełniany szal, którym przykryła sobie włosy i ramiona, i lekko skinąwszy głową Grekowi, ruszyła do wyjścia. Ahmed poszedł za nią.

71

Stary kaleka

Oboje wyszli w ciemną noc. W oddali niespokojnie szczeptały psy, po niebie płynęły strzępiaste chmury, zasłaniając co chwila księżyc w zenicie. Mimo sporej odległości od morza nozdrza młodzieńca zaatakowała słona wilgoć. Kobieta szybko drobiła u jego boku, ze wzrokiem wbitym w ziemię, trzymając się blisko ściany. Aby przerwać ciszę, Ahmed zapytał:

- Jak wam na imię?
- Maria. Mam na imię Maria.
- Zatem jesteście chrześcijanką?

Kobieta rzuciła mu spłoszone spojrzenie. Ahmed zrozumiał jej lęk.

— Nie bójcie się, uważam, że każdy ma prawo myśleć i wierzyć po swojemu. Ja mam korzenie islamskie, ale urodziłem się w kraju, gdzie ludzie wolni mają władzę tylko nad swoimi niewolnikami. Nikogo nie mogą sobie podporządkować oprócz nich. Ani mężczyzny, ani kobiety. Chyba nie jesteście niewolnicą?

Kobieta uniosła rąbek chusty, którą przykryła głowę, i popatrzyła na Ahmeda.

- Jestem niewolnicą swojego położenia.
- Położenie może zmienić się z dnia na dzień.
- To nie takie proste. — Po dłuższej przerwie powiedziała: —

Nie podziękowałam wam jeszcze za waszą dzielną postawę. W tawernie co wieczór dochodzi do awantur, ale ja staram się tak postępować, żeby nie mieć kłopotów.

Znowu zamilkła.

— Nie jesteście taka jak inne kobiety, które widziałem w tej tawernie — powiedział Ahmed. — Wybaczcie moją śmiałość, ale muszę zapytać, co wam kazało uprawiać ten upokarzający zawód.

Kobieta popatrzyła mu w oczy i odrzekła bezbarwnym głosem:

— Człowiek nie wybiera swojego losu.

Ahmed zrozumiał, że coś się za tym kryje, i nie zadawał więcej pytań. Szli obok siebie w milczeniu.

Minęli dwa małe place, kilka ulic i po przejściu nie więcej niż ćwierć mili znaleźli się na peryferiach miasteczka. Nagle kobieta zatrzymała się przed rudera, która do niedawna była chyba stajnią, o czym mógł świadczyć zapas słomy sterczącej ze strychu. Budynek miał małe drzwi i boczne schody prowadzące do części mieszkalnej.

— To tutaj — powiedziała kobieta.

Ahmed rozejrzał się i nie zobaczył nic oprócz nędzy.

Ponownie zabrzmiał głos Marii.

— Wejdźcie ze mną.

Nie dając mu czasu do namysłu, zaczęła wspinać się po schodach.

Chłopak zawahał się, lecz wyczuł instynktownie, że coś się wydarzy, i pośpieszył za nią.

Otworzyła małe drzwiczki i weszła do pogrążonej w ciemnościach nory. Ahmed zatrzymał się w progu, czekając na jakiś znak. Wewnątrz zabłyśła iskra z krzesiwa, która zapaliła kaganek oliwny i zrobiło się jaśniej. Wszedł do środka. Maria zdążyła zdjąć chustkę z głowy, toteż teraz mógł jej się przyjrzeć dokładnie. Była niedużego wzrostu, drobna, lecz proporcjonalnie zbudowana, o pięknych rysach. Chłopak omiół wzrokiem skośne poddasze, przecięte grubą rurą, która wydzieliała przyjemne ciepło. Z jednej strony znajdowała się prycza z materacem i starannie złożonymi kocami, z drugiej — stojak z miednicą i wiadro wody.

Po zamknięciu drzwi kobieta szybko rozpuściła upięte w kok włosy, które opadły jej na ramiona w jasnych falach. Potem zaczęła rozpinąć gorset. Jej gesty były mechaniczne.

Ahmed chwycił ją za nadgarstek.

— Co robicie, Mario?

— Chcę zapłacić za waszą przysługę.

— Nie trzeba. Ja nie kupuję względów kobiety.

Popatrzyła na niego z wdzięcznością i na chwilę nad czymś się zadumała.

— Wobec tego odpowiem wam na zadane wcześniej pytanie.

— Nie trzeba, Mario...

— Właśnie że trzeba. Nie chcę, żebyście myśleli o mnie źle; nie zasługuję na to. Życie zmusiło mnie do kupczenia ciałem, ale duszę oddałam tylko mężowi.

Mówiąc to, wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę siennika.

— Winna wam jestem przynajmniej to wyjaśnienie. Usiądźcie, zaraz opowiem, dlaczego co wieczór chodzę do tej okropnej tawerny.

Ahmed dał się dziewczynie poprowadzić i usiadł obok niej na zniszczonym sienniku.

— Jak powiedziałam, jestem chrześcijanką. Pochodzę z innych

stron, ale znalazłam się na tych ziemiach należących do księcia Roberta Guiscarda, gdzie większość mieszkańców stanowią Grecy,

bo tylko tutaj jesteśmy w miarę bezpieczni, przynajmniej nas nie zabijają. Mieszkałam na wyspie Otoni, dwadzieścia mil od wybrzeży

Albanii, jestem wdową, mam syna, mój teść był rybakiem. Pewnego

feralnego dnia zaatakowali nas piraci... Teść kazał mi zabrać dziecko

i uciekać w góry. Byliśmy za biedni, by zapłacić żądany okup, więc

napastnicy zabrali nam wszystko, co znaleźli, naszych chłopców wzięli na galerników, kobiety wywieźli na sprzedaż do Konstantynopola, Tunisu i Berberii. Nie zabili starców, ale zgodnie ze swym

zwyczajem poobcinali im ręce, aby stali się jeszcze większym ciężarem dla ocalałej rodziny. Tak postąpili z moim teściem. Jest tam na dole, opiekuje się dzieckiem do mojego powrotu, myśli, że

znalazłam uczciwą pracę w oberży. Zabiłby mnie, gdyby wiedział,

czym się zajmuję, lecz co począć, życie jest ciężkie i muszę to zrobić,

póki sił starczy. Nie mam innego wyjścia.

Ahmeda poruszyło jej wyznanie.

— Pozostało mi tylko jedno marzenie: wychować syna na prawdziwego człowieka... Chodźcie — zaproponowała. — Pokażę wam powód moich strapień i mojej dumy.

Energicznie wstała i skierowała się do drzwi, Ahmed poszedł za nią, nie bardzo wiedząc, gdzie go prowadzi.

Gdy zeszli po drabinie, Maria podeszła do drzwi nędznej szopy.

Wzięła do ręki kołatkę i zastukała pięć razy w umówiony sposób: trzy razy szybko, dwa powoli.

— To ty, Mario?

— Tak, ojcze.

Zazgrzytała odsuwana zasuwa, drzwi się otworzyły i pojawił się w nich pomarszczony starzec z kępkami rzadkich białych włosów na głowie. Na widok obcego mężczyzny u boku synowej zrobił krok do tyłu.

Ahmed rzucał ukradkowe spojrzenia na jego okaleczone ręce, ucięte pod łokciami na nierównej wysokości. Na prawym kikutcie miał rodzaj skórzanej pochwy z hakiem, natomiast lewy był zakończony szpikulcem.

— Nie obawiajcie się, ojcze. Ten człowiek uratował mi życie.

Starzec spojrział na niego życzliwie i usunął się na bok, aby wypuścić gościa.

— Co się stało, moja córko?

— Jakiś pijak próbował mnie udusić, a on — pokazała na Ahmeda — mu w tym przeszkodził.

Mężczyzna przyjrzał się uważnie wybawcy synowej.

— Nazywam się Kostas Paflagos. Witajcie w moim domu i posłuchajcie, co wam powiem: dziś wieczorem uratowaliście życie trzem osobom.

— Ja mam na imię Ahmed, zrobiłem tylko to, co jest powinnością każdego mężczyzny.

Starzec popatrzył na niego z rezerwą.

— Jesteście muzułmaninem?

— Liczy się sumienie człowieka, a nie jego wiara.

— Macie rację... W waszym przypadku fakty mówią same za siebie. Zapraszam do środka.

Ahmed wszedł do pomieszczenia, a kobieta za nim. Zobaczył w głębi kominek, na którym płonęły trzy grube polana i który jednocześnie służył za palenisko do gotowania; teraz było już jasne, skąd pochodziło ciepło na górze. Po prawej stronie stało zbite z desek łóżko, na którym spał otulony kocem chłopczyk wyglądający na trzy lata. Reszta umeblowania składała się z ławy, skrzyni na skromny dobytek i kilku naczyń kuchennych.

Starzec nakazał dziewczynie podsycić ogień, co uczyniła za pomocą wachlarza, po czym gestem zachęcił Ahmeda, żeby podszedł bliżej i usiadł przy nim na ławie. Maria tymczasem ustawiła na ogniu garnek.

— Najpierw podzielimy się z naszym gościem tym, co mamy, a potem będzie czas na rozmowę.

Ahmed był zakłopotany tą gościnnością.

— Nie trzeba, panie. Zjem coś po powrocie do oberży.

— Nie tak nas uczy nasza wiara — odparł starzec. — My dzielimy się nawet resztkami strawy.

Zaledwie obaj zdążyli się wygodnie rozsiąść, stanęły przed nimi na stole dwie duże drewniane miski pełne gęstej zupy, w której pływały kulki mięsa. Przy nakryciu Ahmeda kobieta położyła łyżkę.

Chłopak był ciekaw, jak starzec poradzi sobie z jedzeniem. Przyglądał mu się wyczekująco.

Maria wzięła znad kominka inną łyżkę, na pozór taką samą jak jego, ale niezupełnie. Ta łyżka miała wydrążony trzonek. Kobieta podeszła do teścia i nałożyła ją na szpikulec lewego kikutu. Wykazując nadzwyczajną zręczność świadczącą o dużej wprawie, mężczyzna zaczął siorbać zupę z miski, samodzielnie posługując się swoją łyżką.

Następnie podała im na dużych talerzach obrane, pokrojone jabłka. Tym razem mężczyzna używał tylko szpikulca, który wbijał w kawałki jabłka i podnosił do ust.

Po tej skromnej wieczerzy rozsiedli się wygodnie nad fajansowymi miseczkami z zawiesistym likierem bursztynowej barwy, tłoczonym z dzikich owoców, i przyszła pora na opowieść o tym, co zdarzyło się w oberży. Starzec wypytywał o najdrobniejsze szczegóły, Ahmed odpowiadał, przeinaczając nieco fakty i przypisując Marii rolę służącej, tak jak go o to prosiła.

— Stokrotne dzięki za to, co zrobiliście. Sami widzicie, jak żyjemy. Moja synowa jest jedynym żywicielem rodziny i gdyby przytrafiło jej się coś złego, nie wiem, co stałoby się z nami. Jestem

już stary, ale mój wnuczuś ma prawo do szczęścia, którego ja sam nie potrafiłbym mu zapewnić. — Powiedziawszy to, starzec uniósł

ramiona z amputowanymi kończynami. — Tysiące razy mówiłem synowej, żeby poszukała sobie innej pracy, ale ona tłumaczy, że tylko w ten sposób może mieć dla nas czas w ciągu dnia i że wystarczy jej kilka godzin snu. Poza tym dobrze tam płacą.

Ahmed dostrzegł w spojrzeniu kobiety nieme błaganie i choć brzydził się kłamstwem, nie zamierzał podważać ustalonej wersji.

Mówienie prawdy pogrzyłoby tę rodzinę w jeszcze większym nieszczęściu, dlatego ograniczył się do stwierdzenia:

— Czasy są trudne dla wszystkich. Każdy chciałby mieć lepszą pracę, ale trzeba brać to, co jest.

— Pamiętajcie, że w tym zakątku ziemi mieszka rodzina, na którą zawsze możecie liczyć. Zaskarbiliście sobie dozgonną wdzięczność uczciwej kobiety, małego dziecka i beзуżytecznego starca.

Potem rozmowa zesłała na inny temat, co Ahmeda bardzo ucieszyło i sprawiło, że poczuł się znacznie pewniej.

— Skąd jesteście i czego szukacie w tej krainie?

Chłopak ochoczo mu odpowiedział:

— Mój towarzysz i ja łowiliśmy ryby koło Krotony. Postanowiliśmy poszukać lepszych łowisk i tak znaleźliśmy się na tym wybrzeżu.

— Ja też byłem kiedyś rybakiem, to dobry zawód. Morze nie skąpi swych owoców i zapewnia uczciwy zarobek. Ale, niestety, podczas gdy jedni harują od świtu do nocy, inni wolą żyć z kradzieży, ograbiając tych pierwszych z dorobku całego życia. Gdyby jeszcze porzestali na rabowaniu, błogosławiłbym opatrność, ale im to nie wystarcza, więc porywają młodzież i okaleczają starców, pozbawiając ich w ten sposób możliwości pomagania ocalałym, gdyż kaleka sam potrzebuje pomocy i staje się dla najbliższych ciężarem. Tak było ze mną.

Opowiedział Ahmedowi o tragedii, jaka spotkała jego rodzinę, a na koniec dodał:

— Straciłem syna, Maria została wdową, a mój biedny wnuczek sierotą. Niech będzie przeklęty Nagib i jego parantela!

Ahmed nadstawił uszu na dźwięk tego imienia.

— To on jest sprawcą waszego nieszczęścia?

— Nie tylko mojego. Ten potwór odpowiada za wiele nieszczęść nad Adriatykiem.

Starzec i jego synowa zauważyli, że ta wiadomość bardzo poruszyła Ahmeda.

Maria przerwała swoje czynności, a teść zapytał:

— Słyszeliście o nim?

— Niestety, tak. Dał się poznać jako największy zbrodniarz na Morzu Śródziemnym i Jońskim, a z tego, co mówicie, również na Adriatyku. Gdybym wiedział, gdzie go znaleźć, może pomógłbym wam uwolnić się od tego potwora.

W przymglonych oczach starca zabłysło podejrzenie.

— Nie jesteście rybakiem.

Ahmed wyczuł, że musi postawić wszystko na jedną kartę.

— Ja tego nie powiedziałem.

— To, że wystąpiliście w obronie mojej synowej, otworzyło wam drzwi do tego domu. Nie chciałbym stracić do was zaufania, dlatego proszę o szczerą.

— W porządku. Słyszeliście o Martim Barbany?

— Kto by o nim nie słyszał!

— To mój pan, a tamten rozbójnik ukradł mu statek i porwał całą załogę. Nie powinienem zdradzać tego sekretu, lecz po tym, co od was usłyszałem, serce mi mówi, że jesteśmy po tej samej stronie. Nagib musi zapłacić za swoje czyny.

— Zgadza się z wami. Możecie liczyć na moje poparcie we wszystkim, co pomoże go usunąć z powierzchni ziemi.

— Macie jakiś pomysł, gdzie go szukać?

Starzec odwrócił się do synowej.

— Ja nie, ale może... Mario, przyprowadź Tono.

Kobieta zdjęła fartuch przykrywający spódnice, narzuciła na ramiona stary szal i poszła wykonać polecenie teścia. Ten zwrócił się do Ahmeda.

— Zaraz poznacie człowieka, który był galernikiem na jednym ze statków Nagiba. Na szczęście udało mu się zbiec.

Ahmed nie dowierzał swojemu szczęściu.

Po długich poszukiwaniach we wszystkich portowych tawernach jakichkolwiek wskazówek czy śladów obecności pirata wiadomość niespodziewanie przyszła sama, za sprawą czystego przypadku.

— Mówicie zatem, że jest ktoś, kto udzieli mi informacji o miejscu pobytu tej hieny?

— Ktoś, kto dobrze go zna i nienawidzi tak samo albo jeszcze mocniej niż ja. Waszemu panu Nagib ukradł statek wraz z załogą, mnie ukradł życie, a Tono Crosetti stracił przez niego najlepsze lata młodości i żonę. — Po krótkiej pauzie kaleka zapytał: — Działacie w pojedynkę?

Ahmed nie miał już żadnych oporów, by mówić jak na spowiedzi.

— Towarzyszę jednemu z kapitanów, który pracuje dla mojego pana. Mogę go przyprowadzić, jeśli chcecie.

— Chętnie go poznam, jeśli zostanieie tutaj jeszcze parę dni. Rozmowa z wami dwoma sprawiłaby mi wielką przyjemność. Wiedziecie, że nie cofnę się przed niczym, byle złoczyńca poniósł zasłużoną karę. Tylko to ulży mojemu cierpieniu.

Dźwięk drobnych kroków, któremu wtórował inny — cięższy i dłuższy — zapowiedział powrót Marii w towarzystwie Tono.

Ahmed z napięciem wpatrywał się w drzwi, czując przyspieszone bicie serca. Kiedy się otworzyły, weszła najpierw dziewczyna, a za nią brodaty, śniady mężczyzna. Wysoki, żylasty, na oko czterdziestoletni. Przywitał się ze starcem, obrzucając nieznanego nieufnym spojrzeniem.

— Dobry wieczór, Kostas. Co takiego się stało, że kazałeś mi przyjść?

— Siadaj, Tono, posłałem po ciebie, żebyś usłyszał coś, co na pewno bardzo cię zainteresuje.

Nowo przybyły podszedł do ławy i sadowiąc się w środku między mężczyznami, zdjął pelerynę.

Maria przyniosła mu kieliszek i napełniła wszystkie trzy.

Starzec opowiedział najpierw o zdarzeniu w oberży, a potem całą resztę.

Wysłuchawszy do końca, Tono zwrócił się do Ahmeda.

— Na Boga, piękny gest z waszej strony! Jeżeli moja wiedza może się wam na coś przydać, jeżeli wasz don Marti Barbany, którego potęgę znają wszyscy marynarze, zechce mnie pomścić, a moja pomoc sprawi, że ta bestia wreszcie przestanie nas dręczyć, klnę się na duszę matki, że możecie na mnie liczyć!

— Mario, dołóż do ognia — rozkazał starzec. — Zapowiada się długa noc.

Dziewczyna wykonała polecenie, a potem wzięła synka w ramiona i poszła położyć się w sąsiednim pokoju, podczas gdy starzec mówił dalej:

— Opowiedz swoją historię, Crosetti, niech nasz przyjaciel się dowie, w czym możemy mu dopomóc.

Mężczyzna wypił spory łyk likieru i przemówił.

— Jak już wiecie, nazywam się Tono Crosetti. Wcześniej osie rocony przez ojca i matkę, wychowywałem się u ciotki, a szkołą były dla mnie doki Neapolu. Ciężko nam się żyło, więc aby ulżyć ciotce, poświęciłem się zajęciu, które wymaga silnych płuc i dużej

zręczności. Dobrze pływałem i potrafiłem długo pozostawać pod wodą bez oddychania, toteż często pomagałem rybakom i marynarzom odczepić kotwice uwięzione między podwodnymi skałami. Chętnie korzystali z moich usług, gdyż woleli dać mi napiwek niż

stracić drogie urządzenie, zwłaszcza że w Zatoce Neapolitańskiej, gdzie się tym zajmowałem, wszędzie było pełno żelastwa z zatopionych statków.

Ahmed słuchał uważnie opowieści mężczyzny.

— Nauczyłem się coraz dłużej pozostawać pod wodą, przy trzymając powietrze w płucach, więc aby poprawić swoją sytuację finansową, postanowiłem zastosować tę umiejętność do innych, lepiej płatnych zajęć. Zacząłem nurkować na samo dno, gdzie spoczywają wraki rzymskich statków z dawnych czasów, i wyciągałem stamtąd różne rzeczy, które potem z zyskiem sprzedawałem na targu. Ciotka umarła i zostałem sam. Miałem wtedy siedemnaście lat. Czas płynął, mój interes kwitł w najlepsze, wreszcie mogłem pomyśleć o założeniu rodziny. W wieku dwudziestu dwóch lat ożeniłem się z dziewczyną, którą od dawna kochałem. Była córką rybaków, najpiękniejszą panną na wybrzeżu. Lepszej żony nigdzie bym nie znalazł. Wszystko układało się dobrze, dopóki pewnej nocy nie zważyło się na nas piekło. Podpłynęli do wybrzeża na wiosłach owiniętych szmatami, żeby nie zdradził ich plusk wody, zabili wartowników, porwali młode kobiety, które potem sprzedali w niewolę, mężczyzn, takich jak ja, skazali na galery i zgodnie ze swoim zwyczajem pozostawili po sobie rzeszę kalek. Ahmed chłonał każde jego słowo jak gąbka i powoli rozjaśniało mu się w głowie. Tono kontynuował:

— Przez pięć lat byłem galernikiem. Przemierzyłem z nimi wszystkie znane morza, siejąc strach i zniszczenie. Poznałem ich zwyczaje, miejsca kotwiczenia i sposób działania, wiem, jakie mają szlaki i jakich sprzymierzeńców, gdzie sprzedają towar i gdzie naprawiają statek.

Ahmedowi zabłyśły oczy.

Mężczyzna zrobił przerwę na łyk likieru, odchrząknął i mówił dalej:

— Praca wiosłarza jest potwornie ciężka, wytrzymują tylko najsilniejsi. Kiedy kończyła się woda pitna, uwalniali z kajdan dwóch galerników, na ogół tych najsprawniejszych, którzy schodzili do szalupy pod eskortą dwóch uzbrojonych po zęby piratów, żeby podpłynąć do jakiejś dzikiej przystani, położonej w odludnym, dobrze znanym im miejscu, i napełnić bukłaki. Pewnego razu, gdy przy-

dzielono mi to zadanie, rozpoznałem z daleka skalistą wysepkę przy albańskim wybrzeżu, gdzie nieliczni mieszkańcy pobliskich wiosek zaopatrywali się w krystalicznie czystą wodę źródlaną. W mojej głowie zawrzało, taka okazja mogła się już nie powtórzyć, a ponieważ nic nie trzymało mnie przy życiu, postanowiłem zaryzykować. W najgorszym razie bym utonął, ale nawet to byłoby lepsze niż żywot galernika. Kiedy szalupa oderwała się od statku, czekałem już tylko na sprzyjający moment. Od wybrzeża dzieliło mnie jakieś tysiąc sążni i archipelag skał tworzących skomplikowany labirynt. Wykorzystując chwilę nieuwagi strażników —jeden stał na dziobie wpatrzony w horyzont, drugi myślał o niebieskich migdałach — wypuściłem z rąk wiosło, nabrałem powietrza w płuca, ile się dało, skoczyłem do wody i zanurkowałem jak nigdy dotąd. Jeden ze strażników wypadł z rozkołysanej po moim skoku szalupy i chociaż wymachiwał rękami jak szaleniec, poszedł na dno obciążony żelastwem swojej broni. Przed moimi oczami zarysował się mglisty profil skalnego archipelagu. Desperacko popłynąłem pod wodą, okrążyłem skały i kiedy płuca pękały mi z wysiłku, wysunąłem głowę na powierzchnię, żeby nabrać powietrza. Ukryty za jedną ze skał, odważyłem się spojrzeć w stronę szalupy. Fortuna nareszcie zaczęła się do mnie uśmiechać. Podczas gdy drugi pirat uporczywie wpatrywał się w fale, szukając mojej głowy, która prędzej czy później musiała się wynurzyć, mój towarzysz walnął go wiosłem z siłą zdolną powalić wołu. Oczekałem kilka chwil, póki nie zobaczyłem, że burta zabarwia się na czerwono. Wtedy wspiąłem się na skałę, zacząłem wrzeszczeć jak opętany i machać rękami. Dostrzegł mnie Geraldo, tak nazywał się mój towarzysz niedoli, i zaczął wiosłować w moją stronę. Był zdziwiony, że przepłynąłem pod wodą tak daleko. Cała reszta to już inna historia. Po dwóch dniach żeglugi dotarliśmy na wybrzeże i jakoś udało się nam przeżyć. Potem okoliczności przywiodły mnie tutaj, ale wciąż żyję nadzieją, że doczekam śmierci porywacza mojej żony.

Głęboka cisza uwieńczyła opowieść mężczyzny. Potem Ahmed powiedział:

— Spróbujcie przypomnieć sobie coś, co naprowadzi nas na trop bandyty.

— Nie muszę próbować, wszystko pamiętam: o której godzinie się wypróżnia i w jaki sposób łapie wszy na głowie. Miałem lata

na utrwalanie w pamięci każdego szczegółu, znam jego zwyczaje, wiem, gdzie się ukrywa i co robi z jeńcami. Każdy detal wrył się w moją pamięć.

Ahmed myślał szybko.

— Czy możemy spotkać się jutro? Poznacie mojego towarzysza. Chciałbym wam coś zaproponować.

— Jeśli to ma doprowadzić do starcia tego psiego syna z powierzchni ziemi, pójdę z wami choćby na koniec świata.



Koguty zaczynały piąć, kiedy Ahmed szybkim krokiem, rozglądając się na boki, wracał do oberży. Noc obfitowała w wydarzenia i jego umysł szalał jak nieokiełznany żrebak; chłopak miał kłopot z uporządkowaniem myśli. Spełniając dobry uczynek, nawet nie przypuszczał, że w zamian otrzyma dokładną informację, której z takim uporem szukali z kapitanem Manipoulosem od czasu wypłynięcia z Mesyny. Chciał jak najszybciej opowiedzieć o tym Grekowi i zaplanować dalsze działania.

Drzwi do oberży były otwarte, wewnątrz drzemał na ławce nieznanemu mu człowiek, który podniósł głowę na dźwięk jego kroków, spojrzał nań kaprawymi oczami i zapytał o tożsamość.

— Wasz towarzysz od dawna jest już na gorze.

Nie czekając na dalsze komentarze, Ahmed szybko wbiegł po schodach i stanął pod drzwiami do pokoju. Jeszcze nie zdążył zapukać, gdy usłyszał kroki Basi lisa.

Drzwi się otworzyły, w progu pojawił się Grek z prawą ręką ukrytą za plecami.

— Witaj, Ahmedzie, niepokoiłem się o ciebie, a zarazem cieszyło mnie, że tak długo nie wracasz, bo to znak, że noc była udana.

— Nawet sobie nie wyobrażacie jak bardzo.

Zamykając za sobą drzwi, Ahmed dostrzegł w prawicy Greka nagi sztylet.

— Myślałem, że już śpicie. Co takiego się stało, że witacie mnie w ten sposób?

— Nic. Jedynie tyle, że ktoś szperał w naszych rzeczach. Przekonałem się o tym po powrocie, ponieważ włos w drzwiach był zerwany. W takich przypadkach przezorność nigdy nie zawodzi. Lepiej zapobiegać, niż leczyć. Czekając na ciebie, rozmyślałem o różnych sprawach.

- Będzie o czym rozmyślać, kiedy wam powiem, co usłyszałem.
- Wyobrażam to sobie. Młody mężczyzna i piękna kobieta mają sobie dużo do powiedzenia w nocy.
- Mylicie się. Nie należę do tych, co za wyświadczoną kobiecie przysługę biorą zapłatę w naturze. Ale to, czego dowiedziałem się tej nocy, ma dla nas kapitalne znaczenie.

Basilis wsunął sztylet do pochwy, spojrzął uważnie na Ahmeda i kładąc się do łóżka, powiedział:

- Opowiadaj, zamieniam się w słuch.
- Ahmed zdjął wierzchnie okrycie, stanął przed Grekiem i delektując się tą chwilą, powoli oznajmił:

— W jedną noc dowiedziałem się więcej o bandycie, którego szukamy, niż przez te wszystkie dni od wypłynięcia z Mesyny.

Manipoulos ze zdumienia otworzył szeroko oczy.

— Jak to?

Chłopak zrelacjonował mu swoją nocną przygodę punkt po punkcie.

Grek nie mógł dać wiary jego słowom. Wciąż zadawał pytania. „Jak”, „gdzie”, „kto” i „w jaki sposób” eksplodowały niczym fajerwerki.

— I Crosetti oświadczył, że jest gotów na wszystko, byle uniceswcić bestię z Morza Śródziemnego — zakończył Ahmed.

— Sądzisz, że popłynie z nami do Mesyny?

— Bez wątpienia. On zrobi to nie dla zysku, tylko dla zaspokojenia swojej żądzy zemsty.

Grek milczał, a jego zmarszczone czoło świadczyło o tym, że gorączkowo myśli. Po dłuższej chwili przemówił.

— Jeśli Tono Crosetti włączy się do naszej akcji, pójdziemy do siedziby bractwa rybaków, żeby się dowiedzieć, kto może nam sprzedać większą barkę. Oddamy w zamian naszą i dopłacimy, ile trzeba. Mając nową łódź, łatwiej zmylimy ewentualny pościg, zresztą morze jest teraz niespokojne i przyda nam się większa łódź niż nasza, taka na pięć albo sześć osób, z większym ożaglowaniem. Dzięki temu drogę powrotną pokonamy szybciej. Teraz już wiemy wszystko, a czas jest złotem. Świetnie się spisałeś, Ahmedzie. Jeśli nasza akcja zakończy się pomyślnie, będzie w tym sporo twojej zasługi.

72

Zebrząc o pomoc

Przy najbliższej okazji Gueralda poszła odwiedzić ojca. Zobaczyła go przy jednym z baraków przeładunkowych zainstalowanych na plaży Montjuïc, jak obwiązywał sznurami drewniane bale i przeciągał je z miejsca na miejsce.

Obserwując go z daleka, doszła do wniosku, że prawie nic ich nie łączy, ten człowiek jest dla niej kimś obcym. Po chwili wahania ruszyła w jego stronę. Mężczyzna nie przerwał roboty i dopiero gdy się nad nim pochyliła, podniósł oczy, zorientował się, że przyszła jego córka, wypuścił z rąk drewniany kloc, otrzepał fartuch i zapytał:

— Co cię tu sprowadza, moja córko? Masz dziś wolne?

— Doña Caterina zgodziła się dać mi wolne, bo pragnęłam ojca zobaczyć.

Spojrzał na nią nieufnie.

— Nie mogłaś poczekać, aż sam przyjdę?

— To sprawa niecierpiąca zwłoki, a ojciec rzadko zagląda do domu. Nie chciałam czekać, gdyż mogłabym dużo stracić.

— Chodźmy porozmawiać na moim stryszku. Tam będzie nam wygodniej.

Wszedł do baraku, a dziewczyna za nim. Wpuścił ją do nędznej kłitki i zamknąwszy drzwi, zajął jedyne krzesło, a córce kazał usiąść na łóżku.

— No dobrze, słucham cię. Jaka to pilna sprawa nie pozwoliła ci czekać, aż ojciec, który ciężko pracuje całymi dniami, sam odwiedzi córkę?

Nie wahała się dłużej.

— Wychodzę za mąż, ojczu, mam dwadzieścia dziewięć lat, najwyższa pora pomyśleć o założeniu rodziny.

Nie ukrywał zdziwienia.

— Co ty mówisz? Znalazłaś narzeczonego? Kto to taki? Znam go?

— Nie znasz, ojczu, ale to nie ma nic do rzeczy. Nie przychodzę prosić o błogosławieństwo. Harowałam jak wół, odkąd umarła matka, najpierw u państwa Cabrera, teraz w domu Martiego Barbany. Ojciec nigdy się mną nie zajmował, a ja dorobiłam się jedynie tej szramy na twarzy.

— Żal mi ciebie, ale co zrobić? Nieszczęścia chodzą po ludziach — odparł zdawkowo.

— Nie proszę o współczucie, tylko o naprawienie wyrządzonej mi krzywdy.

— Przychodzisz oznajmić, że zamierzasz wziąć ślub, nie potrzebujesz mojego błogosławieństwa, więc po co mówić o naprawieniu tego, co jest nie do naprawienia? Co ja mam z tym wspólnego? Chlebodawca zatroszczył się o ciebie i nic więcej nie da się zrobić.

— Nieprawda, ojciec ma lekarstwo na moją krzywdę, tyle że nie daje mi do niego prawa.

Mężczyzna zrozumiał intencje swojej córki.

— Czyżbyś domagała się pieniędzy, które dał nam don Marti?

— Dał je dla mnie, ojczu, gdyż to ja oberwałam w głowę kamieniem.

— Ale ja muszę zadbać o twoją przyszłość. W obawie, że z powodu tej nieszczęsnej szramy zostaniesz starą panną, ulokowałam pieniądze w dobrym miejscu.

— Ojciec nie musi już się o mnie bać. Spotkałam dobrego człowieka, którego pragnę poślubić. Te pieniądze mnie się należą.

W jego małych oczkach zabłysnął płomyk chciwości.

— Skąd ja wiem, kto ci się trafił na męża? — zaczął narzekać. — Żaden porządny mężczyzna nie weźmie cię z taką twarzą. Muszę myśleć o twojej przyszłości. Pieniądze dostaniesz dopiero wtedy, gdy przyjdzie na to pora.

— Właśnie teraz przyszła na to pora — oświadczyła Gualda. — Mam już prawie trzydzieści lat, jestem stara.

— Nikt nie wie, ile czasu przyjdzie mu pożyć na tym świecie... Skoro teraz potrzebujesz pieniędzy, to pomyśl, co będzie, kiedy mnie zabraknie.

— Aż tak ojciec się o mnie troszczy? To moje pieniądze i muszę je mieć teraz, są mi bardzo potrzebne! — nalegała.

Mężczyzna gładził prawą dłonią brodę, jakby się zastanawiał.

— Nieładnie... Nie masz szacunku dla ojca.

— Na szacunek trzeba sobie najpierw zasłużyć. Nie sądzę, aby ojciec się mną przejmował, kiedy używał sobie z moją matką i przypadkowo mnie spółdził.

Pogrążył się w zadumie.

— Nawet gdybym zaakceptował twojego przyszłego męża, to nie mogę dać ci tych pieniędzy.

— Jak to? — zdziwiła się Gualda.

— Postąpiłem jak dobry ojciec, choć ty odmawiasz mi tego miana, i zadbałem o pomnożenie tych pieniędzy. Jak wiesz, chrześcijanie nie mogą trudnić się lichwą, dlatego postanowiłem skorzystać z pomocy Żyda, Asera Ben Jehudy, który ma swój stolik w dzielnicy kantorów.

— Doceniam te starania, choć muszę przyznać, że ojciec mnie tym zaskoczył. Jutro pójdziemy razem po pieniądze — wtrąciła Gualda.

— To niemożliwe, córko. Zrobiłem dobry interes, lokując je na pięć lat. Wycofanie pieniędzy przed terminem grozi karą w wysokości dwudziestu procent.

— Mam czekać tyle czasu, aby móc dysponować swoimi pieniędzmi? A kto mnie wtedy zechce?

— Takie jest życie, moja córko... Nie sądziłem, że te pieniądze będą ci potrzebne do zamążpójścia. Jeśli on cię kocha, to weźmie cię bez posagu, a jeśli zależy mu na pieniądzach, nie warto o nim myśleć. Taki mężczyzna mnie nie interesuje.

Gualda zerwała się oburzona.

— Ale mnie on interesuje!

— Przykro mi, moja córko, musisz jeszcze trochę poczekać, nie na to nie poradzę, takie jest życie. — I patrząc na nią chłodno, dodał: — Aha, i pamiętaj, że dostaniesz pieniądze tylko wtedy, gdy

sam nie będę ich potrzebował. Chyba rozumiesz, że nie po to ci je dam, aby korzystał z nich jakiś łobuz, a mnie przyjdzie klepać biedę na starość.

Gueralda była zaszokowana. Przygładziła włosy, skrywające zniekształconą połowę twarzy, i z nienawiścią w głosie rzuciła:

— To podłość! Niech te pieniądze posłużą do kupna gwoździ, które przybiją wieko na twojej trumnie!

Po czym, unosząc rąbki spódnic, odwróciła się na pięcie i odeszła.

Łopatka do kominka

Przez otwarte okno salonu Almodis wpadało dziwnie groźne, wilgotne powietrze. Był szesnasty października 1071 roku. Ziemia nasycona ulewą, która spadła niespodziewanie poprzedniej nocy, wydzieliała opary pełne szumu insektów; ten głuchy, jednostajny dźwięk zapowiadał brzemienny w złe wróżby dzień.

Otoczona wiernymi ludźmi Almodis radowała się myślą o bliskiej już chwili, gdy udowodni wszystkim gwałtowny charakter pasierba.

Na wysokim podium grupa muzyków grała starą melodię, która przypominała jej wieczornice z lat młodości w rodzinnym zamku w Marchii. Pierwsze damy Brígida i Lionor oraz sędziwa Hilda, dawna piastunka bliźniaków, pomagały przy wykańczaniu olbrzymiego kobierca, który hrabina zamierzała подарować mężowi na urodziny. Młode damy, Araceli de Besora, Anna de Quarsá i Eulalia Muntanyola, bawiły się gigantyczną układanką z elementów wyrzeźbionych przez nadwornego artystę, przedstawiającą Pia Almoina. Estefanía Desvalls i Marta Barbany rozgrywały obok partię szachów.

Dwie delikatne zmarszczki świadczące o głębokim smartwieniu przecięły czoło Almodis, gdy spojrzała na tę ostatnią. Wiele zawdzięczała ojcu tej dziewczyny i szczerze ją polubiła, wszelako jej pobyt w pałacu spowodował dręczący problem. Hrabina miała nadzieję, że po tamtej pamiętnej nieprzyjemnej rozmowie syn zrozumiał jej intencje. Chciałaby wierzyć, że jego postępek nie wynikał z nikczemności, że ogarnęła go namiętność nie do opano-

wania, lecz w głębi serca wiedziała, że w Berenguerze tkwi zło, na które chyba już nie ma lekarstwa.

W kącie salonu siedział na zydłu Delfín, naburmuszony jak zwykle, wpatrując się z roztargnieniem w okno. Przy drzwiach rozmawiał z majordomem dowódcą jej przybocznej straży Gilbert d'Estruc, któremu w pewnej mierze zawdzięczała hrabstwo. To on zorganizował jej ucieczkę z Tuluzy, on obronił ją owego fatalnego dnia przed napaścią rozbójników z wybrzeża, którym patronował hrabia Hugo de Ampurias. Patrząc na siwe włosy okalające jego głowę, uzmysłowiła sobie okrucieństwo przemijania czasu i zastanowiła się, czy przypadkiem ona też nie wygląda staro pomimo stosowania tylu środków upiększających. Bała się starości, więc czym prędzej odsunęła od siebie te przykre myśli, wygładziła gorset, lekkim ruchem wachlarza poprawiła rękawy i usadowiła się wygodnie na tronie. Postanowiła więcej o tym nie myśleć, a gdy dojdzie do tego, że przestanie się sobie podobać, natychmiast każe usunąć te wszystkie wypolerowane lustra, które zdobią pałac i które dawniej sprawiały jej taką przyjemność.

W tym momencie zobaczyła przed sobą Delfina z dziwnie niepokojną twarzą. Dobrze znała tego karzełka, ale rzadko widywała go tak poruszonym.

Nie pytając o pozwolenie, błazen usiadł na najniższym z trzech schodków prowadzących do tronu i odezwał się do niej tonem zaskakująco surowym.

— Nadal zamierzacie zrealizować swój plan?

Almodis już chciała ostro zareagować, ale znając charakter Delfina, odezwała się pojednawczo:

— Starzejesz się, przyjacielu. Zawsze byłeś przezorny i bojaźliwy, jednak teraz twoja rozważa graniczy z tchórzostwem. Wiele razy dyskutowaliśmy o moim planie; kazałam podwoić strażę, jest tutaj dowódca mojej eskorty. Czego chcesz więcej?

— Almodis, od dawna nie miałem tak złych przeczuć jak ostatnio. Mówiłem wam o tym w dniu, kiedy wyjawiliście nam swój zamiar, i powtarzam to dzisiaj.

Mimo zdziwienia, że karzeł zwraca się do niej po imieniu, hrabina odparła:

— Słyszałeś opinię moich dam na ten temat.

Delfin uniósł się honorem.

— Odkąd to przywiązujecie większą wagę do zdania tych kwok, które znają się tylko na fatałaszkiach i barwiczkiach, niż do moich wróżb, wielokrotnie sprawdzonych i potwierdzonych?

— Nie martw się, pasierb nie zrobi mi nic złego ani dziś, ani nigdy. Przejrzałam go na wylot: jest przebiegły i wiarołomny, mocny w gębie, nie w czynach, lubi popisywać się wśród ludzi małego ducha, ale przy mnie traci rezon. Dziś zamierzam doprowadzić go do takiego stanu, żeby nie zawahał się wygrażać mi publicznie.

Delfín nie ustępował.

— Co na tym zyskacie, pani?

— Powtórzę ci jeszcze raz. Udowodnię przed całym moim dworem jego podłość, głupotę i wybuchowy charakter. Wszyscy tu obecni będą świadkami, jak mnie traktuje. Chcę, żeby mój małżonek wreszcie pojął, iż ten syn nie nadaje się na dziedzica hrabstwa Barcelony, albowiem kto nic panuje nad sobą i nie potrafi pohamować swego gniewu, nie powinien panować nad innymi.

— Sądzę, że popełniacie wielki błąd, pani. Prawo jest prawem, a on jest pierworodnym.

— Jesteś ze mną czy przeciwko mnie, Delfinie?

— Nie możecie podawać w wątpliwość mojej wierności, ale powtarzam: prawo jest prawem.

— Zatem należy je zmienić — oświadczyła Almodis. — Mówiłam już tysiąc razy, że prawo należy dostosowywać do ludzi, a nie ludzi do prawa. A teraz zostaw mnie w spokoju, wracaj na swoje miejsce i bądź świadkiem tego, co zaraz nastąpi. Zawezwałam go na Anioł Pański, mam nadzieję, że to go rozwścieczyło i publicznie okaże swoją niegodziwość.

— Ubolewam, że muszę być świadkiem tego, co nastąpi. Powinście liczyć się z tym, pani, iż to widowisko może mieć nieszczęśliwy finał właśnie dlatego, że macie do czynienia z niegodziwym człowiekiem. Pamiętajcie, że was uprzedziłem.

Almodis się rozgniewała.

— Wracaj na swoje miejsce, głupi karle! Nic, tylko jęczysz jak stara baba. Mam dość twoich wiecznych narzekania. Nie przychodź do mnie więcej ze swoimi radami, dopóki cię nie wezwę.

— Pozwólcie, że wycofam się z salonu. Nie chcę być świadkiem nieszczęścia.

Podczas gdy urażony Delfín zbierał się do wyjścia, drzwi otwo-

rzyły się gwałtownie, a z korytarza doszły takie wrzaski, że wszyscy przerwali swoje zajęcia. Delfin usunął się na bok, muzyka ucichła, zdumione spojrzenia zebranych pobiegły w stronę wejścia. Tam, ujawszy się pod boki, tocząc gniewnie oczami, stał dziedzic Pedro Ramón w rozchełstanym kabacie, z pustym pendentem bez miecza. Zrobił dwa kroki naprzód i zatrzymał się na środku salonu.

— Jak długo jeszcze muszę znosić wasze impertynenckie wybryki, pani?

Almodis, siląc się na spokój i okazując zebrany, że jej cierpliwość jest niewyczerpana, odparła:

— Nie wiem, o co wam chodzi, mój synu. Wyjaśnijcie mi to, jeśli łaska.

Zaskoczony niezwykłą uprzejmością macochy, pierworodny stracił rezon, lecz po krótkiej chwili podszedł do stóp tronu.

— Dobrze wiecie, o co mi chodzi! Otrzymałem wasze wezwanie dziś rano. Kazaliście mi stawić się w salonie, nie mówiąc w jakim celu. Czekam pod drzwiami jak jeden z tych gamoni, którzy odwiedzają was po niesporach, i jeszcze na dodatek wasza straż odbiera mi miecz, jakby nie dość było zniewag!

— To nie jest zniewaga, tylko zwykła przezorność. Zmusiliście mnie to tego swoim zachowaniem, a wasz ojciec zaakceptował tę decyzję.

Zapadła kompletna cisza. Atmosfera stała się tak gęsta, że można było ciąć ją nożem.

— Nie mam pojęcia, co was tak razi w moim zachowaniu, ale nakaz rozbrojenia dziedzica jest zniewagą dla hrabstwa.

— Nie macie pojęcia? Zatem dowiedzcie się, iż osobnicy niskiego stanu, by nie powiedzieć: zwykli nikczemnicy, kręcą się po rynkach, rozsiewając jakieś dziwne plotki na mój temat. Judzą przeciwko mnie ludzi dobrej woli, a jednocześnie zbierają pieniądze na jakieś dziwne cele. To podburzanie może doprowadzić do buntu. Ludzie już zaczynają wznosić wrogie okrzyki. W tej sytuacji musiałam zastosować nadzwyczajne środki ostrożności. Nie mogłam pozwolić, byście weszli tu z mieczem, ponieważ znam wasz gwałtowny charakter i wiem, że czasem tracicie nad sobą kontrolę.

— Zatem jeśli dobrze rozumiem, spodziewaliście się mojego gniewu. I słusznie, ale nie dam wam pełnej satysfakcji. Mówicie, że lud zaczyna się buntować. Doszły mnie takie słuchy, lecz Bóg

mi świadkiem, ja nie mam z tym nic wspólnego. Możecie oszukiwać wielu ludzi, a zwłaszcza mojego ojca, jednakże prosty lud nie da się tak łatwo omamić — odparł Pedro Ramón.

— Będę wdzięczna, jeśli raczycie mi powiedzieć, w czym chcę szukać lud albo waszego ojca.

— Skoro jesteście, pani, tak dobrze poinformowana, jak to możliwe, że nie wiecie, dlaczego ludzie się buntują?

— Chcę to usłyszeć z waszych ust.

— To oczywiste. Lud Barcelony pragnie żyć wedle praw przodków i nie pozwoli ich zmieniać. Wszystko przemija, przeminie czas mojego ojca, a wtedy skończą się wasze wpływy i nadejdzie mój czas, który też kiedyś przeminie. Każda rzecz ma swoje miejsce w historii, ale wy tego nie szanujecie. Próba osadzenia na tronie bastarda nie podoba się barcelońskiemu ludowi. Dlatego zapanował niepokój, ludzie martwią się o swoją przyszłość.

Almodis nie znosiła, gdy jej synów nazywano bastardami, więc przystąpiła do ataku.

— Uważacie za bastardów dzieci urodzone przed pobłogosławieniem przez Rzym związku ich rodziców, więc wam powiem, że połowa tutejszej szlachty zasługuje na takie miano. A poza tym ludzie źle urodzeni dzielą się na dwa rodzaje: tych, co przychodzą na świat w niewłaściwym czasie, i tych ze złym charakterem. Nie przeczę, że moi bliźniacy należą do pierwszej grupy, za to wy należycie do drugiej, znacznie gorszej.

— Mnie nazywacie źle urodzonym?! — wykrzyknął pierworodny.

— Mylicie dwie rzeczy, mój drogi. Można być z nieprawego łoża, a mimo to zająć wysoko, aż na Tron Piotrowy, jeśli jest się człowiekiem szlachetnego stanu, i można urodzić się w rodzinie połączonej świętym węzłem małżeńskim, lecz postępować niczym syn ladczyzny. Jak widać, to pierwsze nie stanowi przeszkody w osiągnięciu najwyższych ziemskich zaszczytów, natomiast to drugie ma ogromne znaczenie, albowiem gdy taki człowiek dojdzie do władzy, potrafi wyrządzić wielką krzywdę swoim poddanym.

W tym momencie pierworodny przestał się kontrolować i krzycząc jak opętany, zrobił krok do przodu, by przywołać macochę do porządku.

— Jak śmiecie nazywać mnie synem ladczyzny?! Żaden mąż czysty nie zniesie takiej obelgi.

Almodis wbiła w niego wzrok. Wyczuwała, że nadchodzi moment, na który tak długo czekała.

— Jak zwykle zostałam przez was źle zrozumiana — odparła spokojnie. — Hrabina Elisabet była świętą osobą. Ja mówiłam tylko o waszym charakterze. Wasz rodowód jest najwyższej próby i nie ma nic wspólnego z tym, że postępujecie w sposób naganny. To wynika wyłącznie z waszego charakteru. Przykro mi, Pedro, ale sądzę, że nie nadajecie się na władcę.

— Chcecie odsunąć mnie od tronu!

Wrzasnął tak głośno, że senezal sięgnął do miecza i zrobił dwa kroki do przodu, ale przypomniał sobie, że dziedzic jest rozbrojony, więc wsunął miecz do pochwy i powrócił na swoje miejsce.

— Wcale nie muszę! Sami się odsunęliście. Jednakże gdyby to ode mnie zależało, nigdy nie powierzyłabym wam tronu hrabstwa.

Rozejrzawszy się na boki, Pedro Ramón szybko jak wąż doskoczył do małego żelaznego trójnogu z przyborami do rozniecania ognia w kominku, chwycił za łopatkę i z wściekłością runął na Almodis. Przenikliwy krzyk Delfina rozdarł powietrze. Hrabina instynktownie zasłoniła głowę ramionami. Daremny trud.

Zanim Gilbert d'Estruc i strażnicy zdążyli się poruszyć, nikczemnik zadał jej łopatą dwa ciosy w głowę. Kiedy go dopadli, Almodis leżała bez ruchu na podłodze niczym zepsuta lalka, z szyją zalaną krwią, która tryskała strumieniami.

Damy rzuciły się na pomoc swojej pani, próbując zatrzymać krwotok tym, co miały pod ręką.

Senezal wołał:

— Niech ktoś zawiadomi hrabiego! Przyprowadzić nadwornego medyka!

Powstał straszliwy zamęt. Krzyki przerażenia mieszały się ze złorzeczeniami.

Hrabina oddychała z trudem, z ust rzuciła się fala krwi, plamiąc nieskalaną biel jej piersi. Z korytarza dobiegły pośpieszne kroki, gwałtowne pchnięcie otworzyło podwoje. Wszedł Ramón Berenguer z pobladłą twarzą i odepchnawszy ludzi otaczających jego żonę, przyklęknął na pierwszym schodku. Wziął jej głowę w swoje dłonie.

— Almodis, moja żono! Na rany Chrystusa, co tu się stało? Gdzie nadworny medyk?! Almodis, odezwij się!

Na próżno błagał. Hrabina dyszała chrapliwie, łapiąc powietrze

jak ryba wyciągnięta z wody. Jej niewidzące oczy co chwila otwierały się i zamykały, usta po raz ostatni wypełniły się krwią.

Hrabia z jękiem przycisnął wargi do jej czoła. Wszyscy ucichli.

Nagle odwrócił się do kapitana straży swojej żony i głosem nabrzmiałym od powstrzymywanej furii zapytał:

— Gilbercie, co się stało? Powiedzcie mi.

Ten bez słowa wskazał ruchem głowy na Pedra Ramóna, który wciąż trzymał w prawicy zakrwawioną łopatkę.

Hrabia delikatnie położył głowę Almodis na podłodze, podniósł się z kolan i chwyciwszy syna za poły kabata, potrząsnął nim z niepohamowaną wściekłością.

— Po tysiakkroć bądź przeklęty! Niech spadnie na ciebie gniew niebios! Obyś nie zaznał spokoju do końca swoich dni! Nie chcę cię więcej widzieć!

Odepchnąwszy pierwородnego gwałtownie, rozkazał:

— Usunąć go z moich oczu i uwięzić! Gilbercie, przyprowadźcie nadwornego medyka oraz ojca Llobeta.

W salonie znowu zawrzało. Podczas gdy trzej strażnicy wyprowadzali dziedzica, pojawili się ludzie wszelkiej rangi i stanu. Nikt nie przestrzegał dworskiej etykiety w tym zamieszaniu. Przez otwarte drzwi zagląдали członkowie *Curia Comitum*, którzy jeszcze przed chwilą obradowali z hrabią, dyżurny majordom, straż pałacowa i nawet część służby kuchennej. Władczy głos seneszała Gualberta Amata wzbijał się ponad ogłuszającą wrzawę.

— Przejdźcie dla medyka!

Jeden z wartowników odsunął drzewcem włócznie ludzi stłoczonych w drzwiach. Błady, spocony medyk wbiegł do salonu, podtrzymując w prawej dłoni swoją torbę, a w lewej medalion z topazem zwisający z łańcucha, który tańczył na jego piersi, zaświadczać o statusie nadwornego lekarza. Krąg wokół hrabiny rozsunał się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i medyk mógł się pochylić nad nieruchomą postacią leżącą na dwóch schodkach prowadzących do tronu. Rana na szyi była przykryta lnianą szmatką. Medyk szybko zbadał hrabinę, wyjął z torby jakiś flakonik z płynem i skropił nim chusteczkę, którą podsunął jej pod nos. Po salonie rozszedł się ostry zapach, nie wywołując jednak żadnej reakcji u leżącej Almodis. Wówczas medyk dotknął grubej żyły na jej szyi wskazującym i środkowym palcem lewej dłoni. Nie wyczuwszy tętna, odwrócił głowę do hrabiego.

— Nic już się nie da zrobić, panie. Hrabina nie żyje.

Ramón Berenguer krzyknął jak ranny zwierz, wpatrując się z przerażeniem w bezwładne ciało kobiety, która była jedyną miłością jego życia.

Zalękniona Marta stała w rogu salonu z Estefanią Desvalls, gdy usłyszała rozpaczliwe szlochanie. Spojrzawszy na bok, zobaczyła zapłakanego Delfina i wydało jej się, że jeszcze bardziej zmalął od przytłaczającego bólu. Wzruszona, położyła prawą dłoń na jego lewym ramieniu, a wtedy karzeł podniósł oczy i odwzajemniając gest współczucia, dotknął z wdzięcznością ręki Marty.

Dziewczyna nie mogła do końca uwierzyć w tragedię, jaka rozegrała się na oczach bezsilnych dam dworu i reszty zgromadzonych. Hrabina, ta apodyktyczna kobieta, którą Marta nauczyła się cenić i szanować jako swoją protektorkę na dworze, zginęła z ręki pasierba.

Nagle doznała wrażenia, że wszystko wokół niej znieruchomiło, sylwetki ludzi rozplywały się i nikły jak we śnie, a na pierwszy plan wysuwały się w ciszy postaci najbardziej dotknięte tą tragedią: najpierw Ramón i Berenguer. „Lnianogłowy” podtrzymał za ramię roztrzęsionego ojca, podczas gdy Berenguer rzucał się na ciało matki z ostentacyjnym szlochem. Po bliźniakach przyszła kolej na córki. Najpierw podeszła Sancha, a następnie Inés ze swoim mężem Guiguesem z Albonu. Myśli Marty oderwały się od rzeczywistości i pobiegły własnym torem. Co ją czeka w pałacu? Z dala od ojca, bez opieki hrabiny nie miała żadnego wsparcia oprócz Bertrana. Wszystko było takie niepewne i zatrważające. Czuła, że wisi nad nią groźba, o której nie mogła powiedzieć nikomu z wyjątkiem Aminy i ojca chrzestnego. Eudald Llobet właśnie stanął w drzwiach salonu. Widziała, jak podchodzi do hrabiego, zamienia z nim kilka słów, po czym zbliża się do miejsca, gdzie leżała Almodis, modli się nad jej ciałem i udziela zmarłej błogosławieństwa. Patrzyła, jak ludzie ze straży wnoszą rodzaj noszy, na których z największą ostrożnością kładą przykryte płótnem zwłoki hrabiny i zabierają je z salonu wśród powszechnego płaczu i lamentów. Kiedy pomieszczenie zaczęło się wyludniać, Marta poczuła się bezbronna i osamotniona bardziej niż kiedykolwiek dotąd.



Wieść o śmierci Almodis obiegła cały pałac i jak wezbrana rzeka wylała na ulice i place.

Miasto ogarnęła trwoga. Konsternacja i ból zagościły w ludzkich sercach. Wszyscy byli przerażeni i skonfundowani. Nie tylko ludzie biedni, którzy za życia hrabiny cieszyli się jej łaskami, pokrzywdzeni przez los żebracy, którym wielkodusznie fundowała codziennie sto misek zupy w Pia Almoina, i pielgrzymi, hojnie przez nią wspierani jałmużną, lecz również bogacze, beneficjenci prebend i innych zaszczytów otrzymywanych za dochowywanie jej wierności — wszyscy ją oplakiwali. Rzecz niezwykła, nawet zdeklarowani wrogowie, spiskowcy i ci, co zostali odsunięci od dworu, aczkolwiek nieraz życzyli jej śmierci i poczuli pewną ulgę, kiedy ta nastąpiła, wychwalali zmarłą hrabinę pod niebiosą za odwagę, wizję rządów i za to, że pozostając w cieniu alkowy, nieustannie kierowała wolą hrabiego Ramóna Berenguera. Po śmierci małżonki zbołały władca pozostawił zarządzanie hrabstwem w rękach swoich najwierniejszych doradców, do których zaliczali się biskup Odó de Montcada, *veguer* Barcelony Olderich de Pellicer i seneszal Gualbert Amat.

Egzekwie odprawiono w nieukończonyj jeszcze katedrze pięćdziesiąt dni później, aby dać czas na przybycie przedstawicielom hrabstw spoza Pirenejów.

Przed zabalsamowanymi zwłokami przedelfował cały prosty lud barceloński. Kiedy dzwony we wszystkich kościołach biły na tercję, tłumy pragnących pożegnać hrabinę sięgały aż do bramy Castellnou.

Nabożeństwo żałobne pod przewodnictwem Guillema de Bal-sareny, biskupa Vic, w koncelebrze z biskupami Gerony i Tarragony, zgromadziło wszystkie stany. Każdy zajmował odpowiednie dla siebie miejsce: przy ołtarzu hrabia Ramón Berenguer, nieobecny duchem i nagle postarzały, za nim reprezentanci wszystkich hrabstw katalońskich z hrabiami Urgelu i Cerdañi na czele, jako że ten pierwszy był kuzynem hrabiego Barcelony, a drugi jego przyszłym zięciem. Z tyłu za nimi po prawej stronie członkowie najznakomitszych rodów barcelońskich, takich jak Besora, Gurb, Cabrera, Quarsá, Alemany, Muntanyola, Oló i Desvalls, w otoczeniu służby i ludzi zaufanych, a po lewej członkowie kapituły oraz wysłannicy wszystkich klasztorów męskich i żeńskich ufundowanych i utrzymywanych głównie przez hrabinę (zakonnicy i zakonnice siedzieli osobno). Pośrodku wszyscy mieszkańcy pałacu, a więc synowie Ramón

i Berenguer oraz córki — Inés ze świeżo poślubionym mężem Guiguesem z Albonu i tonąca we łzach Sancha — wszystkie damy hrabiny ubrane na czarno od stóp do głów, z doña Lionor i doña Brígida na czele, w kącie błazen Delfin z twarzą jak powleczoną woskiem, z tyłu dawna piastunka bliźniaków Hilda. W jednej z bocznych naw stał za kolumną w licznej grupie paziów Bertran z Cardony, nie odrywając oczu od Marty Barbany. Dziewczyna patrzyła na to wszystko zdumionymi oczami, pełna smutku i niepokoju, gdyż śmierć jej pani i przedłużająca się nieobecność ojca uczyniły ją jeszcze bardziej bezbronną.

Uroczystości pogrzebowe trwały ponad piętnaście dni, we wszystkich klasztorach ufundowanych przez zmarłą odprawiono łącznie pięćset nabożeństw za spokój jej duszy. Lud Barcelony dotkliwie odczuwał swoje sieroctwo.

CZEŚĆ CZWARTA

Grecki ogień

Gołąb pocztowy

Martiemu dłużyło się oczekiwanie. Na jego twarzy wciąż gościł niepokój spowodowany brakiem wiadomości od Manipoulosa i Ah-meda. Czas płynął i należało podjąć jakąś decyzję. Po raz kolejny odczytał wiadomość otrzymaną kilka dni temu od przekłętego Nagiba. List przyczepiony do łapy pięknego gołębia, którego przyniósł mu na statek mały chłopiec, zawierał następujące słowa:

Wielmożny Panie!

Zapewne się domyślicie, iż statek z Waszej floty znajduje się w moich rękach. Nazywał się „Laia”. Piszę „nazywał się”, bo jeśli nie dojdziemy do porozumienia, w przyszłości będzie nosił inne imię.

Jeśli Wasza Miłość zechce pokierować się dokładnie moimi wskazówkami, być może odzyska statek z całym tałatajstwem na pokładzie. Poczynając od drugiego tygodnia stycznia, czekajcie na mnie w zachodniej zatoczce wyspy Matraki na Adriatyku u wybrzeży Albanii. Zważcie, iż daję Wam na to ponad czterdzieści dni, uwzględniając fakt, że o tej porze roku morza nie są zbyt łaskawe. Niech Wam nie przyjdzie do głowy jakiś fortel, nie próbujcie niczego wymyślać, jeżeli chcecie, żeby Waszym ludziom nie przytrafiło się coś złego. Czekajcie na mnie na statku, nie schodząc na ląd. Ja sam wybiorę dzień

i znajdę odpowiednią okazję, żeby przedstawić Wam swoje warunki.

Gołąb będzie wiedział, gdzie mnie szukać. Przymocujcie do jego łapy Waszą odpowiedź, na którą cierpliwie poczekam, i módlcie się do swojego Boga, aby mój ptak doleciał szczęśliwie. Jeśli coś mu się stanie, Wy stracie wszystko.

Pozostaję z poważaniem
Nagib Tunezyjczyk

Marti powiedział sobie, że nie może dłużej zwlekać z odpowiedzią. W przeciwnym razie jego ludzie, a wśród nich kochany Jofre, poniosą okrutną śmierć z rąk pirata bez sumienia. Wciąż wypatrywał na horyzoncie feluki, nie tracąc nadziei, że w którymś momencie Manipoulos i Ahmed podpłyną do „Santa Marty”, przekażą mu dobre wieści, a może nawet gotowy plan działania, i wspólnie, we trzech, dadzą nauczkę złodziejowi statków.

Marti westchnął. Do niepokoju o porwaną załogę dołączyło w ostatnim tygodniu kolejne, jeszcze większe zmartwienie, albowiem statek płynący z Barcelony przywiózł straszliwą wiadomość o tragicznej śmierci hrabiny. Marti nie mógł w to uwierzyć. Almodis z Marchii, hrabina Barcelony, okrutnie zamordowana przez pasierba na oczach wszystkich dam dworu! Od razu przyszła mu na myśl Marta... Jego córka była świadkiem tak straszliwego zdarzenia? Po stokroć przeklinał bandytę Nagiba, ponieważ to z jego winy musiał wyruszyć w długą podróż i oddalić się od córki, najcenniejszego dobra, jakie miał. Jednakże teraz nie widział innego wyjścia, jak tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać, chociaż diabli go brali.

Nie mogąc znieść beczynności, Marti zaczął przeglądać umowy handlowe rozłożone na stole w jego kajucie, lecz złe myśli nie dawały mu spokoju: przyjaciel Jofre we władzy bezdusznych bandytów, córka sama w pałacu, gdzie popełniono ohydny zbrodnie, a on daleko od nich w jakimś porcie...

Podniósł oczy, kiedy Barral, jeden z jego zaufanych ludzi, wszedł do kajuty bez pozwolenia.

— Panie, wachtowy dojrzał felukę... Wydaje się inna niż ta, którą

pożegnaliśmy jakiś czas temu, ale płynie pod banderą z waszymi inicjałami... Wachtowy przysięga, że widział na pokładzie Mani-poulosa, Ahmeda i kogoś nieznanego. Z całą pewnością trzy osoby.

Marti zerwał się od stołu i długimi susami pobiegł na pomost z sercem galopującym jak rozpasany źrebak. .

— Odszukaj Feleta — rozkazał przed wyjściem z kajuty. — Niech natychmiast przyjdzie na pokład.

75

Damy dworu

Stary hrabia Barcelony nie przestawał rozpaczać. Załamał się po śmierci Almodis i chociaż ostatnimi czasy dochodziło między nimi do sprzeczek w sprawie sukcesji, chociaż żona nie miała łatwego charakteru, a ponadto zawsze i we wszystkim brała stronę bliźniaków, bardzo brakowało mu jej siły ducha, niezłomnej lojalności i ciepła zmysłowego ciała, zwłaszcza teraz, w te zimowe noce, kiedy łóżko wydawało mu się zbyt duże i puste jak plac broni. Na dodatek spadło mu na głowę tysiące spraw, którymi przedtem zajmowała się Almodis. Stary hrabia snuł się po pałacu, czasem sam, zastanawiając się, co robić, czasem w towarzystwie członków *Curia Comitis*, którzy nie szczydzili mu rozsądnych rad, ale on ich nie słyszał i nie bardzo wiedział, o czym mowa.

Jedna sprawa zaniepokoiła go szczególnie w tym czasie. Przygotowania do ślubu córki Sanchy z hrabią Guillermem Ramónem z Cerdañi y Conflent przerastały jego możliwości. Uważał, że to zajęcie dla kobiet: wysłanie zaproszeń do krewnych i do hrabiowskich rodów, zamówienie mszy w katedrze, dopilnowanie, aby każdy miał odpowiednie dla siebie miejsce w kościele i przy stole, zgodnie z wymogami dworskiej etykiety, zakwaterowanie w Barcelonie tylu ważnych osób ze świtą, ustalenie programu zabaw, występów komedianków, a jeszcze do tego fajerwerki, uczta weselna... Szczerze mówiąc, nawet gdyby chciał, sam nie podołałby temu wszystkiemu.

Tego ranka, podczas gdy pokój owiec pomagał mu się przyodziać, podjął ważną decyzję: w pałacu są jeszcze na szczęście kobiety, którym można powierzyć tego rodzaju sprawy. Dobrze zrobił, że nie rozwiązał małego dworu dam, który utworzyła Almodis, żeby mieć towarzystwo i rozrywkę, chociaż parę razy mu to sugerowano. Po wysłuchaniu prywatnej mszy w pałacowej kapliczce i spożyciu skromnego posiłku Ramón Berenguer I Stary udał się do niewielkiej komnaty udekorowanej wedle gustu i kaprysu jego zmarłej żony, gdzie codziennie rano zbierały się Sancha, panie Lionor, Brígida i Barbara oraz pięć młodych panien należących do dworu Almodis: Araceli de Besora, Anna de Quarsá, Eulalia Muntanyola, Estefanía Desvalls i najmłodsza z nich Marta Barbany.

Hrabia dotknął klamki i wszedł bez zapowiedzi. Damy natychmiast się podniosły, wstali również muzycy, przerywając smutną melodię i odkładając na bok swoje instrumenty. Powitał go radosny, melodyjny głos Sanchy. Hrabianka w zwykłej tunice i kaftaniku bez żadnych ozdób, cała na czarno, nieumalowana, z włosami ściągniętymi pod siatką w takim samym czarnym kolorze, przewodniczyła małemu gronu dworek. Jedynie Delfin zdawał się nie zauważać, że ktoś wszedł do tego sanktuarium, i zatopiony w myślach patrzył przez okno na ogród różany swojej pani.

— Choć nie opuszcza nas wielka żałość, cieszymy się, ojcze, że zechcieliście nas odwiedzić.

— Dobrze powiedziałaś, moja córko... — mruknął hrabia zachrypniętym głosem. — Wszelako życie trwa i nie możemy zaniedbywać naszych obowiązków.

Patrząc na przygnębione oblicze ojca, Sancha próbowała go pokrzepić.

— Ojcze, wybierzcie się na polowanie, zajmijcie się czymś, co was ożywi. Żałobę nosi się w sercu, wiele osób opłakuje niepowetowaną stratę mojej matki, ale nasze łzy nie przywrócą jej życia.

Stary hrabia się wyprostował.

— Usiądźcie, moje panie, i wybaczcie, że zakłóciłem spokój tego szczególnego miejsca, tak miłego mojej żonie. Czuję się, jakbym wtargnął do sanktuarium.

Lionor rozkazała muzykom opuścić komnatę, dała znak damom, aby usiadły, po czym zwróciła się do hrabiego.

— Panie, szanując wasz ból, muszę wam powiedzieć, że w tym miejscu najbardziej odczuwa się brak hrabiny. Ta komnata jest przesycona jej obecnością, czasem zdaje nam się, że słyszymy jej głos, wykańczamy zlecone przez nią prace, słuchamy jej ulubionych melodii.

Hrabia opuścił głowę, aby ukryć zdradziecką łzę w oku.

— Panie — mówiła dalej Lionor — jeżeli to miejsce nasuwa wam smutne wspomnienia, a obecność dam zmarłej małżonki pogłębia waszą melancholię, pozwolę sobie zauważyć, że możecie nas odprawić. Przybyliśmy na dwór tylko po to, by służyć naszej ukochanej hrabinie. Teraz nasza obecność nie ma racji bytu.

Przymknąwszy oczy, hrabia delikatnie pomasaował palcami nos, po czym wyjął z kieszeni chusteczkę i żeby zyskać na czasie, przetarł nią czoło.

W sali zapanowała przytłaczająca cisza. Wtem ku zdumieniu dam rozległ się śpiewny głos najmłodszej z nich, Marty.

— Dostojny panie, wybaczcie moją śmiałość, jestem najmłodsza i najmniej godna, aby zabierać głos w waszej obecności. Nie pochodzę ze szlachetnego rodu, znalazłam się w pałacu tylko dzięki dobroci waszej świętej pamięci żony. Wiem, że ponieśliście wielką i niepowetowaną stratę, jednakże lud Barcelony, który was miłuje, czeka z lękiem i niepewnością, abyście wskazali mu dalszą drogę.

— Ojczy, Marta ma rację — wtrąciła Sancha — a ja potrzebuję towarzystwa tych dam, pragnę mieć je przy sobie, kiedy po ślubie założę własny dwór. Bardzo tęsknię za matką... i nie chciałabym niczego zmieniać. Niech wszystko zostanie tak, jakby ona wciąż tu była.

— Masz rację — przytaknął sędziwy hrabia. — Ja też nie chcę niczego zmieniać. — I zwracając się do Marty, zapytał: — Skąd się wywodzisz, moje dziecko?

— Nazywam się Marta Barbany. Mój ojciec jest...

— Dobrze wiem, kim jest twój ojciec — odrzekł hrabia, uśmiechając się smutno.

Następnie zwrócił się do Lionor.

— Pani, zechciejcie po obiedzie przyjść do mojego gabinetu, a ty, Sancho, córko moja, przybądź razem z nią. Mój szambelan przekaze wam listę spraw, którymi trzeba się zająć w związku

z twoim ślubem. Jeśli coś będzie niejasne, proszę mnie zawiadomić.

W tym momencie Sancha wstała i podszedłszy do ojca, szepnęła mu coś na ucho. Hrabia kiwnął głową i pogładził córkę po czole. Następnie zwrócił się do Marty.

— Marto, zechciejcie towarzyszyć mojej córce. Tak rozsądna, dobrze ułożona i odważna panna jak wy będzie jej przydatna w tych trudnych okolicznościach.

76

Złe nowiny

Tego samego dnia, kiedy rozemocjonowany Marti uściskał swojego greckiego przyjaciela i Ahmeda oraz przywitał się z nieznajomym, odbyła się na „Santa Marcie” niezwykle ważna narada. Wieczorem w zaciszu kajuty armatora Marti, Felet, Basilis i Ahmed dzielili się wrażeniami i informacjami z ostatnich tygodni.

Marti zapytał najpierw o człowieka, który z nimi przyплыnął, i o powód zmiany łodzi.

Głos zabrał Grek.

— To nasz człowiek, Marti. Sama opatrność pomogła nam go znaleźć. Jeśli pozwolisz, opowiem wszystko po kolei do momentu pojawienia się w naszym życiu Tono Crosettiego, za co nie przestanę dziękować Bogu.

— Zaczynaj, Basilisie, i niczego nie ukrywaj. Chcę o wszystkim wiedzieć.

Opowieść była długa i szczegółowa. Manipoulos opisał dokładnie przebieg wyprawy do czasu poznania Crosettiego. W tym momencie przerwał i zaproponował, żeby majordom wezwał ich nowego przyjaciela. Chociaż Tono wystroił się w nowe ubranie, które mu подарowano, i był przygotowany do rozmowy, wszedł do kajuty onieśmielony, mnąc w rękach swoją wełnianą czapkę. Po dokonaniu prezentacji Grek zachęcił go, żeby z nimi usiadł.

— Nie obawiaj się niczego, Tono. Nadszedł moment, o którym ci wspominałem, kiedy prosiłem, żebyś popłynął z nami. Jeśli jakiś

człowiek jest zdolny zaspokoić twoją żądzę zemsty i dopomóc ci w wypełnieniu przysięgi, to na pewno jest nim mój szef i przyjaciel, armator Marti Barbany, którego zna całe Morze Śródziemne, a także i ty ze słyszenia.

Zadowolony z tego, co powiedział o nim Basilis podczas prezentacji, żeglarz zaczął się uspokajać, zwłaszcza gdy Marti zwrócił się do niego uprzejmie, w pełnych wdzięczności słowach.

— Od was zależy uratowanie mojej załogi i nikt lepiej niż wy nie wie, jak okrutny los czeka ją w rękach pirata. Powiecie, że na moim statku również są galernicy, ale pragnę wyjaśnić, że żaden z nich nie jest niewolnikiem. To ludzie skazani przez sprawiedliwość, którzy sami zgłosili się na galery, aby uzyskać zmniejszenie wyroku. Po upływie określonego czasu wszyscy odzyskają wolność. A ja robię to, co dyktuje mi sumienie.

Crosetti, już całkiem uspokojony, odpowiedział na słowa Martiego.

— Znam świat, panie, i mam świadomość, że sprawiedliwość jest inna dla bogaczy niż dla biedaków, ale nie mnie to oceniać. Dobrze wiem, po co tu przybyłem, nikt nie próbował mnie oszukać. Don Manipoulos od razu wszystko mi wyjaśnił. Jestem gotów współpracować z wami do końca, byle ujrzeć tego suczego syna powieszzonego na maszcie statku.

— Tego nie mogę wam obiecać, gdyż nie jestem zwolennikiem takiej kary, ale przysięgam, że zrobię wszystko co w mojej mocy, aby ten łajdak skończył w lochach, skuty łańcuchami.

— To mi nie wystarczy — powiedział Crosetti z przewrotnym uśmiechem.

Rozmowa nabierała rumieńców, pytania skakały nad stołem jak piłeczki odbijane z obu stron. Crosetti opowiedział Martiemu o swojej żalostnej doli, kiedy pływał po morzach jako niewolnik Nagiba. Marti słuchał uważnie.

— On działa zawsze w taki sam sposób — zakończył Crosetti. — Trzeba przy tym pamiętać, że zawsze może liczyć na pomoc ludzi z wybrzeża, których kupuje sobie hojnymi datkami. Weźcie też pod uwagę, że nigdy nie przyływa własnym statkiem na umówione spotkanie, tylko bierze inny.

Crosetti stopniowo zyskiwał respekt całego audytorium.

— Wybrał na miejsce spotkania wyspę Matraki. Co to znaczy? — dopytywał się Grek.

— To znaczy, że zostawi swój okręt „Jaszmin” w osłoniętej zatoce przy wyspie Erikusa — odparł Crosetti bez wahania. — Tam też będzie stał wasz statek z załogą. To taka mała zatoczka z łatwym do kontrolowania wejściem. Wszyscy go tam znają i on zna wszystkich. Czuje się tak bezpiecznie, że pozwala wpływać łodziom rybackim, aby nie pozbawiać rybaków środków utrzymania, ale żaden większy statek nie ma szans podejść bliżej, tego możecie być pewni. Straże na wybrzeżu uprzedzą go natychmiast i jeśli zechce, ucieknie na swoim szybkim okręcie. Natomiast gdy wywęszy zdradę, pozabija wszystkich zakładników.

— Trzeba będzie zająć się tymi wartownikami — szepnął w zamyśleniu Marti.

— Czy załoga „Lai” będzie na pokładzie? — zapytał Ahmed.

— Tego nie mogę zapewnić. Jeśli wasz statek zakotwiczy osobno, prawdopodobnie załoga znajdzie się w baraku na wybrzeżu pod eskortą jego ludzi.

Następne pytanie zadał Grek:

— I mówisz, że łodzie rybackie mogą swobodnie pływać po zatoce?

— Tak jest. Czasem niektóre z nich podchodzą całkiem blisko, żeby zaferować piratowi swój połów.

— Co o tym sądzicie, Marti? — zainteresował się Felet.

Marti się uśmiechnął.

— Zdaje się, że już wiem, co zrobimy. Przede wszystkim napiszemy do przekłętą pirata w odpowiedzi na jego list.

I sięgnąwszy po pióro i pergamin, zaczął pisać:

Do Nagiba Tunezyjczyka

Otrzymałem Waszą wiadomość. Przybędę na spotkanie w podanym przez Was terminie. Będę czekać w zachodniej zatoce wyspy Matraki. Dopilnujcie, aby nic złego nie przydarzyło się mojej załodze. W przeciwnym razie zrywam układy.

Marti Barbany

Po czym podszedł do odpoczywającego w wiklinowej klatce gołębia, przywiązał wiadomość do jego łapy i wypuścił go przez okienko swojej kajuty.

W trosce o przyszłość

Marçal de Sant Jaume wezwał Bernabé Mainara do swojej siedziby w Sant Cugat del Rec.

Ten, przeczuwając, że ostatnie zajścia mogą odbić się negatywnie na jego ambitnych planach, przyszedł punktualnie na spotkanie. Niemniej jednak był spokojny i pewny siebie, a to z dwóch powodów: po pierwsze, przynosił nowiny, które bez wątpienia powinny ucieszyć jego protektora, a po drugie, zaświtał mu w głowie pewien pomysł, na wypadek gdyby miało się okazać, że w nowych okolicznościach ich sprawy przybiorą zły obrót i trzeba będzie zmieniać plany.

Mainar wjechał na teren rezydencji doña de Sant Jaume na grzbiecie jednego ze swoich ulubionych koni — pięknego kasztanka z gwiazdą na czole, zakupionego na targu w Vic przed inauguracją pierwszego lupanaru. Wręczył cugle stajennemu, który wyszedł mu na spotkanie, i poprowadzony przez majordoma udał się do domku myśliwskiego, gdzie zazwyczaj przyjmował go Marçal de Sant Jaume.

Przywitali się chłodno i usiedli. Zdenerwowany gospodarz, gestykulując z afektacją, zaczął nieskładnie wyjaśniać powód wezwania.

— To straszne! Zaszły tak poważne zmiany, że nie wiem, co robić. Chyba trzeba zmodyfikować wasz projekt, sytuacja jest delikatna, musimy zachować maksymalną ostrożność przy podejmowaniu dalszych decyzji, powinniśmy rozważyć wszelkie możliwe konsekwencje.

Mainar nie tracił dobrego nastroju. Wiedział, że jeśli dobrze to wszystko rozegra, jemu nic nie grozi, niezależnie od tego, co stanie się z dziedzicem. Nawet gdyby Marçal wycofał się ze wspólnego przedsięwzięcia, on był gotów działać dalej w pojedynkę, zwłaszcza że teraz miał bardziej dalekosiężne plany i pewność, że znajdzie innego protektora.

Don de Sant Jaume kontynuował:

— Dziedzic, nasz dobrodziej, gwarant naszego bezpieczeństwa, jedyny człowiek, który mógł mi pomóc odzyskać należne miejsce na dworze, został zamknięty w Castellnou i chwilowo nie ma z nim kontaktu. Nasz hrabia nie czuje się na siłach osądzić jego czynu, wszak kocha syna, to krew z jego krwi. Z kolei zwykli sędziowie nie mają władzy nad pierworodnym, zwłaszcza że karą za tak poważne przestępstwo może być odsunięcie od tronu. Mówi się, że hrabia, nasz pan, poprosi Ojca Świętego o wydanie wyroku.

Zrobił krótką przerwę, po czym podjął swój dyskurs równie nerwowym tonem.

— Jedno jest pewne: to, co się stało, już się nie odstanie. Hrabia, świadom swojego podeszłego wieku, ma obowiązek rozstrzygnąć kwestię dziedzictwa i nie będzie z tym zwlekał. W takich przypadkach jak ten orzeczenie wyroku może przeciągnąć się w czasie, a gdyby coś przytrafiło się naszemu władcy, podczas gdy jego syn jest uwięziony, hrabstwo byłoby narażone na to, że jakiś zbuntowany szlachcic z wielkimi ambicjami spróbuje przejąć ster rządów. Tak już było przed laty, kiedy hufce Olerdoli zaatakowały kamieniami hrabiowski pałac. Gdyby lud Barcelony nie przyszedł wtedy z odsieczą, dziś sytuacja hrabstwa wyglądałaby zupełnie inaczej. Hrabina nie żyje i nikt jej nie zdoła wskrzesić. Niektórzy świadkowie twierdzą, że sprowokowała dziedzica do takiego czynu i że już wcześniej na różne sposoby próbowała doprowadzić go do furii.

Mainar zapytał:

— Zatem jak waszym zdaniem ułoży się sytuacja?

— Trudno powiedzieć. Hrabia jest załamany, ale nadal stoi na czele hrabstwa i nie sądzę, by się pośpieszył z wydziedziczeniem pierworodnego... Czas płynie, burze cichną. Jedna rzecz mnie martwi.

— Co takiego, panie?

— Jeżeli Ojciec Święty wyda wyrok nieprzychylny dla Pedra Ramóna, hrabia będzie musiał włożyć koronę na inne skronie,

albowiem pierworodny utraci *auctoritas*, atrybut niezbędnny do rządzenia.

Mainar długo się zastanawiał, zanim wyraził swoją opinię.

— Nie sędzę, by do tego doszło. Z reguły Kościół nie miesza się do takich spraw, dopóki ma zapewnione swoje wpływy w hrabstwie i dopóki koszycki na jałmużnę nie przestają być pełne. Tak czy inaczej jeśli będziemy działać mądrze, dla nas nic się nie zmieni.

Don de Sant Jaume zmarszczył czoło.

— Nie rozumiem, proszę mi to wyjaśnić.

— Hrabina umarła, a wraz z nią wpływ, jaki wywierała na męża. Jeżeli hrabia Ramón Berenguer nie podejmie żadnej decyzji, wszystko pozostanie po staremu i nasz protektor zasiądzie na tronie. Gdyby jednak został skazany wyrokiem Ojca Świętego na utratę tronu, pozostają nam jeszcze dwie inne opcje.

— Jakie?

— Dziedzictwo przypadnie w udziale jednemu z bliźniaków i w tym kierunku powinny iść nasze działania.

Zaskoczony Marçal de Sant Jaume wstał z fotela i poszedł zamknąć drzwi. Następnie, znacznie spokojniejszym głosem, zadał nowe pytanie:

— Co insynuujecie?

— Po prostu stwierdzam, że lepiej nie wkładać wszystkich jajek do tego samego koszyka i że jedna ręka nie musi wiedzieć, co robi druga.

— Nie do wiary! Nie posądzałem was o taką subtelność i dar przewidywania, Mainarze.

— Wyznaję zasadę, że w pewnych okolicznościach trzeba zapalić Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek. I chociaż nie chcę przypisywać sobie nadmiernych zasług, myślę, że to ja wniosłem lwią część do naszego układu, i nie zamierzam stracić takiej szansy. Nie lubię przegrywać.

Marçal de Sant Jaume patrzył na niego z zaciekawieniem, a Mainar mówił dalej:

— Dotrzymuję słowa i będę wierny sprawie dziedzica aż do końca. Niemniej jednak uważam... i sędzę, że się ze mną zgodzicie... iż nikt nie mógł przypuszczać, że w gniewie posunie się on do czynu, który narazi na niebezpieczeństwo nasze przedsięwzięcie. Jeśli chce zepchnąć swój powóz w przepaść, jego sprawa, nie mnie

to oceniać, ale nie może żądać, abyśmy skoczyli w przepaść razem z nim.

Szlachcic w zamyśleniu pogładził się po skroniach.

— Zawsze mnie zaskakujecie, Mainarze. Odkąd powierzyliście mi swój sekret, każdy dzień przynosi nową niespodziankę.

Po krótkiej przerwie Marçal kontynuował:

— Drugą niespodziankę sprawiliście mi wtedy, gdy wyciągając z rękawa olbrzymią sumę pieniędzy, przekazaliście ją do dyspozycji księcia Pedra Ramóna, a trzecią teraz, gdy pokazujecie mi swoje nowe oblicze.

— Ciesz się moją opinią, ale nie traćmy czasu na czcze słowa. Wybaczcie moją bezpośredniość. Skoro wspomnieliście o pieniądzach, które przeznaczyłem na wsparcie kandydatury dziedzica, chciałbym wiedzieć, czy trzymacie je w bezpiecznym miejscu.

— W najbezpieczniejszej z kryjówek. Chyba w to nie wątpicie?

— Nie wątpię, bo przecież są w waszych rękach, ale sprawy dziwnie się skomplikowały i sądzę, że przyszła pora, kiedy obaj powinniśmy stanąć na straży przyszłości. Jeśli jednemu z nas przydarzy się jakieś nieszczęście, ten drugi będzie mógł zrobić użytek z pieniędzy. Niech nadal pozostaną w waszych rękach, lecz powiedzcie, gdzie są ukryte, i dajcie mi upoważnienie do wyjęcia ich z kryjówki w razie potrzeby.

— Jeszcze nie zamierzam umierać — odparł Marçal.

— Życzę wam długiego życia i pragnę, aby te pieniądze posłużyły do celu, na jaki zostały przeznaczone. Zagrajmy w otwarte karty. Chcę pomścić swojego protektora Bernata Montcusí i wesprzeć dziedzica w staraniach o tron, ponieważ zależy mi na stanowisku głównego zarządcy rynków, które piastował niegdyś mój protektor. Coś mi mówi, że z czasem taka funkcja przyniesie mi znacznie większe zyski w porównaniu z tym, co bym miał, gdybym nie oddał wam tych pieniędzy, tylko zatrzymał je dla siebie.

— Dobrze, zaraz przygotowuję list upoważniający, który umożliwi wam wejście do domku myśliwskiego, w razie gdyby coś się ze mną stało. Nikt wam nie będzie przeszkadzał i spędzicie tu tyle czasu, ile trzeba.

— Nie rozumiem.

— No to popatrz, drogi przyjacielu — powiedział Marçal z przewrotnym uśmiechem.

Podszedł do ściany, gdzie między dwoma orłami wznosiła się dumnie głowa jelenia, stanął na czubkach swoich ozdobnych cizm i chwycił za lewy róg, pociągając go w dół. Rozległ się krótki trzask i głowa zwierzęcia przesunęła się na bok, odsłaniając oczom zdumionego Mainara wewnętrzny schowek z równo poukładanymi woreczkami monet.

— Wspaniała kryjówka! Dziękuję, że mi to pokazaliście.

Don de Sant Jaume umieścił wszystko na swoim miejscu i skomentował:

— Jak widzicie, jestem lojalnym współnikiem, godnym zaufania, i tego samego oczekuję od was, Mainarze. A przy okazji, co nowego w sprawie greckiego ognia?

— Udało mi się dowiedzieć, gdzie i przez kogo został wyprodukowany.

Marçal uśmiechnął się z podziwem.

— Mówcie, Mainarze, mówcie!

Ten krótko streścił informacje zebrane przez jego ludzi i powiedział o mahometaninie, który mieszka u Martiego Barbany, a nazywa się Rashid al-Malik.

— Co zamierzacie? — zapytał Marçal, kiedy jednooki skończył swoją relację.

— Porwiemy starego, umieścimy w odpowiednim miejscu i dostarczając mu wszystkich potrzebnych składników, zmusimy go do wytworzenia dla nas tej cudownej mikstury. Kiedy przestanie nam być potrzebny, jakoś się go pozbędziemy, a owoc naszego wysiłku przekażemy następcy tronu, wszystko jedno kto nim zostanie. Jeśli uda nam się to osiągnąć, każda nagroda będzie za mała w stosunku do naszych zasług. Ale przynajmniej wy odzyskacie swoje miejsce na dworze, a ja obejmę stanowisko, które za życia piastował mój dobrodziej Bernat Montcusi.

Oświadczyzny

Życie Marty w pałacu bardzo się skomplikowało po śmierci hrabiny. Rzadko widywała Bertrana, ponieważ nie miała już stałych zajęć jak dawniej. Za życia Almodis, wstając rano, dokładnie wiedziała, jaki ma rozkład dnia, i mogła zaplanować miejsce oraz moment spotkania z przyjacielem. Teraz wszystko się zmieniło. Doña Lionor układała plan zajęć, jak jej się podobało i wedle bieżących potrzeb hrabiego. Poza tym Sancha, pogrążona w rozpacz po śmierci matki, wciąż chciała mieć Martę przy sobie. W tej sytuacji dziewczyna ciągle musiała szukać pretekstu do opuszczenia sali i wysłać Aminę z wiadomością dla Bertrana, że z powodu licznych obowiązków znowu nie przyjdzie na umówione spotkanie. Nic dziwnego, że młodzieniec był niepokieszony.

Tego ranka wieść o przełożeniu spotkania na późniejszą porę wydała mu się ciosem nie do zniesienia, jakby dostał maczugą w głowę. Pragnął bowiem przeprowadzić z Martą arcyważną rozmowę i w związku z tym, mimo iż miał waleczne serce i nigdy nie zaznał lęku na placu broni, odczuwał pewien niepokój. Po długim namyśle i wahaniach podjął ostatnio decyzję w dwóch ważnych dla niego sprawach, które musiał rozstrzygnąć jako dziedzic wicehrabstwa Cardony. Bertran przewidywał, że w pałacu dojdzie do skrytej walki o władzę, o czym zresztą wszyscy mówili. Wiadomo było, że Pedro Ramón może utracić prawo do tronu, a zważywszy na

charakter Berenguera, należało się spodziewać, że jeśli stary hrabia wybierze na dziedzica „Lnianogłowego”, konflikt między bliźniakami będzie nieunikniony. Lojalność nakazywała Bertranowi stanąć po stronie tego ostatniego. Ramón nigdy nie traktował go w pałacu jak zakładnika, tylko jak miłego gościa, i zamierzał mianować go swoim chorążym, a na dodatek zobowiązał się odwiedzić jego ojca, aby położyć kres wzajemnym sporom, puścić w niepamięć to, co było, odwołać status zakładnika i potraktować go tak samo jak innych hrabiów uznających *auctoritas* Barcelony. Po rozstrzygnięciu dylematu lojalności Bertran mógł zastanowić się nad drugą, znacznie ważniejszą sprawą. Po raz pierwszy w życiu był zakochany. Znajomość, która zaczęła się od zwykłej przyjaźni ubarwionej sprzeczkami, przekształciła się najpierw w wielki podziw dla sposobu bycia dziewczyny, a potem w piękne uczucie, które wybuchło jak wulkan w sercu Bertrana: nie miał żadnych wątpliwości, że jest to miłość na całe życie. Tego ranka zamierzał poprosić ją o chusteczkę, którą pragnął przewiązać swoje lewe przedramię, aby na każdym turnieju ogłaszać przeciwnikom, że Marta jest jego panią. Jeżeli rozmowa potoczy się tak, jak to sobie wyobrażał, ona odpowie mu, że nie zasługuje na taki zaszczyt, a wtedy on skorzysta z okazji, by oświadczyć, że jest damą jego myśli, i poprosi ją o rękę. Jeśli zgodzi się zostać jego żoną, on pokona wszelkie przeszkody, jakie staną na drodze do ich szczęścia za sprawą obowiązujących zwyczajów i społecznych konwenansów. Przesunięcie spotkania na późniejszą porę oznaczało dla Bertrana dalszy ciąg rozterek i rozważań, co zrobić, jeśli dziewczyna odpowie „nie”, dodając, że jest za młoda, a ponadto dzieli ich różnica stanów. Brał również pod uwagę, że jego ojciec może sprzeciwić się tym planom. Gdyby do tego doszło, Bertran zrezygnuje z tytułu dziedzica wicehrabstwa Cardony i zadowoli się tym, co osiągnął dzięki własnym zasługom: będzie chorążym hrabiego Ramóna Berenguera II.



Wysławszy Aminę z zawiadomieniem o przełożeniu spotkania, Marta pogrążyła się w zadumie. Podczas gdy maestro próbował wpoić młodym damom podstawy muzyki, ona myślała tylko o Bertranie. Gdyby ktoś jej powiedział, iż wkrótce po przybyciu do pałacu

pozna kogoś, kto zajmie pierwsze miejsce w jej sercu i zdetronizuje ojca, wzięłaby go za szaleńca. Jednakże teraz, jeśli chce być uczciwa wobec siebie samej, musi przyznać, że od dawna pierwsza myśl, jaka przychodzi jej do głowy z rana, wiąże się z Bertranem i że niejednym razem bicie barcelońskich dzwonów na laudę przerywa jej marzenia, które snuła przez całą noc.

Wielokrotnie rozmawiała o tym z Aminą, lecz ta radziła odsunąć od siebie takie myśli. Pragnąc usłyszeć inne zdanie, Marta zwierzyła się również Estefanii Desvalls, jednej z dam, z którą łączyła ją serdeczna zażyłość. Przedstawiła swoją historię jako coś, co zdarzyło się zaprzyjaźnionej z nią dziewczynie, która prosi ją o radę, a ona nie wie, co odpowiedzieć.

Opinia Estefanii była jednoznaczna.

— W Barcelonie małżeństwo między plebejuszką i szlachcicem jest nic do pomyślenia i jeśli wasza przyjaciółka popełni taki nietakt, będzie tego żałować do końca życia — oznajmiła dama.

Marta miała praktyczny zmysł, który nie pozwalał jej się przejmować kłopotami nie do rozwiązania, więc postanowiła nie myśleć o czymś, co nie ma żadnych widoków na przyszłość. Skorzystawszy z pomocy Aminy, przesunęła spotkanie z Bertranem na popołudnie i podczas gdy głos maestra brzmiał w jej uszach jak kantylena, rozmyślała o swoim pobycie w pałacu, mieszając rzeczywistość z pragnieniami i szukając argumentów przemawiających na korzyść tej okoliczności. Żadna inna dziewczyna nienależąca do szlachty nie zaszła tak wysoko jak ona. Wiele zawdzięczała nieżyjącej hrabinie. Lecz okazuje się, że jako córka znamienitego obywatela Barcelony, Martiego Barbany, nie może korzystać z przywilejów przysługujących szlachciankom, więc dlaczego potraktowano ją na równi z damami wywodzącymi się ze sławnych rodów i pozwolono jej czuć się jak w siódmym niebie? Skoro nie ma prawa do korzystania z przywilejów zarezerwowanych dla szlachty, to po co ojciec umieścił ją w pałacu? Czyż nie powiedział jej przed wyjazdem, że tu zdobędzie wykształcenie, pozna ludzi wysokiego rodu i że dwór jest dla niej odpowiednim miejscem? Pamięta tę rozmowę tak wyraźnie, jakby odbyła się dopiero wczoraj, pamięta nawet, co wtedy odpowiedziała ojcu: że nie lubi dworskich galantów, bo są zarozumiali, i woli zostać we własnym domu ze swoimi ludźmi. Nie może

jednak zaprzeczyć, że czas tu spędzony, straszliwe wydarzenia i towarzystwo starszych od niej dam sprawiły, iż szybciej wydorosłała. Wspomina swój pierwszy dzień w pałacu jako coś bardzo odległego i ze zdziwieniem myśli o tym niewinnym dziecku, które nic nie wiedziało o świecie. Ale to już nie ma znaczenia: było, minęło. Lecz zarazem przydarzyło jej się tutaj coś bardzo niezwykłego, nigdy nie sądziła, że miłość tak mocno zastuka do jej dziewczęcego serca; niestety, wszyscy dokoła uważali, że żadna plebejuszka nie może zostać żoną szlachcica. Czyżby pozostawała jej tylko śnić na jawie? Marta wiedziała, że między nią i Bertranem zrodziło się coś pięknego tego dnia, kiedy pocałował ją po raz pierwszy, ale wiedziała również, że planowanie wspólnej przyszłości byłoby czystą fantazją.

Ranek dłużył się niepomiarownie, Marta raz po raz zaglądała do kartki, którą poprzedniego dnia dostała od Bertrana i nosiła przy sercu pod gorsetem. Podczas obiadu prawie nic nie tknęła, co było dziwne jak na nią. Na pytanie dońi Lionor, dlaczego nie je, odpowiedziała, że brzuch ją boli, i zaraz po modlitwie dziękczynnej pośpieszyła do swojej alkowy, gdzie była już Amina z odpowiedzią od Bertrana.

— Oczekuje was przy studni za oranżerią.

Marta szybko usiadła przy toalecie z lustrem z wypolerowanego metalu i poprosiła przyjaciółkę, żeby splotła jej włosy w dwa małe koki po bokach, spięte dużymi grzebieniami z żółtwej skorupy, które przywiózł jej kiedyś z podróży kapitan Manipoulos.

Zręczne palce Aminy niezwłocznie wykonały to zadanie.

Marta uważnie przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze.

— Dobrze leży na mnie ten gorset?

— Odkąd to szykujecie się tak starannie na zwykłe spotkanie z przyjacielem? Coś mi się wydaje, że popełniacie błąd, zresztą już wam to mówiłam, kiedy zadaliście mi tamto pytanie. Gdyby tu był wasz ojciec — dodała Amina z nutą przygany w głosie — powiedzialby wam to samo: weszliście na drogę, która prowadzi donikąd.

— Daj mi spokój, Amino — odparła niezadowolona Marta. — O nic cię nie pytałam.

Po czym, zarzuciwszy szal na ramiona, wyruszyła na spotkanie z Bertranem. Doszła do zachodniej baszty i schodząc po krętych

schodach, obserwowwała przez biforium sylwetkę chłopca: z rękami założonymi za plecy przechadzał się wokół studni, skąd wydobywano wodę do podlewania rzadkich gatunków roślin w oranżerii. Serce w piersi Marty zabiło jak oszalałe. Boże! Jaki on przystojny, jaki wytworny! Mimo młodego wieku wiedziała, iż nieświadomie pokochała tego chłopca od pierwszego wejrzenia, stało się to w momencie, gdy zobaczyła go na koniu, mówiącego do seneszała, kim jest i skąd pochodzi. Instynktownie przyglądała włosy i poprawiała szal. Doszedłszy do końca schodów, zatrzymała się w furtce wiodącej do ogródka.

Bertran od razu ją zauważył. Ile się zmieniło od tego odległego dnia, kiedy po raz pierwszy ujrzał ją na barcelońskim dworze! Pyskata dziewczynka, która czyhała na niego przy klatce z sokołami, przekształciła się w zachwycającą istotę. Idąc w jej stronę, poczuł, że wzruszenie ścisła mu gardło. Ostatnio coraz częściej mu się to zdarzało.

— Świetnie, że udało ci się wyrwać! Twoja służąca powiedziała mi rano, że nie możesz wyjść, więc bałem się, że po południu też będą jakieś kłopoty.

Marta machnęła ręką z irytacją.

— Wszystko przez donię Lionor... Dopóki nie odmówiliśmy modlitwy po deserach i nie znalazłam się w swoim pokoju, nie miałam pewności, czy w ogóle uda mi się wyjść do ciebie.

Bertran szybko wziął ją za ramię.

— Chodź, usiądźmy przy studni. W cieniu drzewa figowego będzie nam wygodniej.

Martę zdziwiło, że Bertran zwraca się do niej tak uroczyście, lecz postanowiła odpowiedzieć takim samym tonem.

— Jesteś bardzo tajemniczy. Co takiego ważnego chcesz mi powiedzieć, że to nie może poczekać do jutra?

Chłopiec poczuł suchość w ustach; wiedział, że ta jedna chwila może wpłynąć na całe jego życie bardziej niż dzień, w którym jako zakładnik opuścił mury zamku w Cardonie.

Doszli do studni i Marta, podwinąwszy spódnicę, usiadła na kamiennej cembrowinie. Bertran stanął naprzeciwko niej.

Ona również wiedziała, że zbliża się najważniejszy moment ze wszystkich, jakie przeżyli do tej pory, i próbując opanować drżenie głosu, odezwała się z pozorną swobodą.

— No dobrze... zamieniam się w słuch. Zdradź mi wreszcie tę tajemnicę, z którą nie mogłeś dłużej czekać.

Bertran przez całą noc przygotowywał swoją przemowę, jednakże teraz miał kompletną pustkę w głowie.

— Marto, kocham cię.

Dziewczyna oniemiała z wrażenia, lecz po krótkiej przerwie szepnęła cichutko:

— Ja też cię bardzo cenię, Bertranie.

— Nie o tym mówię. Kocham cię z całego serca.

Marta, która tysiące razy marzyła o tych słowach, chciała się upewnić, czy dobrze usłyszała.

— Co powiedziałaś? — zapytała ledwie słyszalnym głosem.

— Kocham cię, zawsze będę cię kochać... i pragnę, żebyś została moją żoną.

Wzruszona i rozemocjonowana Marta chwyciła Bertrana za rękę, lecz jednocześnie przypomniała sobie przestrogi Aminy i swojej przyjaciółki Estefanii Desvalls i wróciła do rzeczywistości.

— Ja też cię kocham, Bertranie. Ale proszę, nie rób mi krzywdy i nie krzywdź samego siebie.

Nie posiadając się z radości, młodzieniec podniósł do ust dłoń Marty i ucałował.

— Jestem najszcześniejszym człowiekiem na ziemi... Ale powiedz, kto miałby nam zrobić krzywdę?

— Inni ludzie, Bertranie — odparła ze smutkiem Marta. — Bardzo chciałabym zostać twoją żoną, byłoby to spełnieniem najpiękniejszego z moich snów, ale doskonale wiesz, że nigdy ci nie pozwolą poślubić plebejuszki, więc lepiej pozostaniemy przyjaciółmi, tak jak teraz.

Chłopiec się oburzył.

— Jedyne, co mogłoby mi przeszkodzić w poślubieniu ciebie, to twoja niechęć i przecząca odpowiedź. Na szczęście powiedziałeś, że mnie kochasz. Nie będę przed tobą ukrywał, że ważna jest dla mnie opinia ojca, ale jednocześnie oświadczam: nikt ani nic nie zdoła odsunąć mnie od ciebie. Jeśli moi rodzice cię zaakceptują, będę bardzo szczęśliwy, w przeciwnym razie znajdę sposób, abyśmy mogli żyć w takim miejscu, gdzie te sprawy nie mają znaczenia.

Dziewczyna zsunęła się z cembrowiny i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Dziś jestem najszczęśliwszą z kobiet, a jutro... jak Bóg da.

Przysuwając swoje usta do ust chłopca i drżąc jak galaretka, którą niegdyś przyrządzała dla niej kucharka Marionna, złożyła na nich pocałunek.

Chwilę później Bertran wracał do swojego pokoju, trzymając w ręku chusteczkę, którą na dowód miłości podarowała mu dama jego serca.

Operacja „Laia”

Zgodnie z ustalonym planem „Santa Marta” oraz mała barka z Manipoulosem, Ahmedem i Crosettim wyruszyły razem na morze. Podróż była burzliwa i niewolna od komplikacji, stycziowe morze mocno kołysało, toteż barka musiała się trzymać blisko statku. Po dwudziestu siedmiu dniach przeprawy dotarli na Adriatyk i rozdzielili się przed Brindisi. Na barce, pod pokładem, stały drewniane skrzynie z owiniętymi słomą glinianymi garnkami, w których znajdował się bezcenny ładunek.

Manipoulos nie ukrywał przed Crosettim swoich wątpliwości.

— Jesteś pewny, że bez przeszkód dostaniemy się na Erikusę?

— Nie ma obawy. Nagib zabrania większym statkom zbliżać się do zatoki, ale nie robi trudności okolicznym rybakom. Pozwala im zarzucać sieci i łowić ryby w tych wodach. Już wam mówiłem, że nieraz podpływają całkiem blisko „Jasmin”, żeby sprzedać mu swój połów.

— A jeśli coś nam nie wyjdzie? — spytał Ahmed.

— Wtedy roztrzaskam tę łódź o jego burtę i wszyscy pójdziemy do piekła.

— To byłby tragiczny finał — podsumował Crosetti.

Manipoulos w zamyśleniu przytaknął głową. Plan ataku został opracowany w najdrobniejszych szczegółach. Ludzie Guiscarda mieli zaatakować piratów od strony skalnego urwiska. Marti poprosił księcia dodatkowo o dwudziestu doborowych żołnierzy, którzy

popłynęli razem z nim na pokładzie „Santa Marty”. Co prawda Tullio Fieramosca nie bardzo wierzył w skuteczność jego cudownej broni, ale na wszystko przystał. W zamian za swoją pomoc zażądał jedynie, aby Nagiba, kiedy zostanie pojmany, oddano w jego ręce. Admirał miał dotrzeć na wyspę Erikusa swoim statkiem „San Niccolò” i stamtąd zapewniać feluce wsparcie, samemu nie będąc widzianym. Natomiast Marti wyruszył na umówione spotkanie z Nagibem: poprowadzi negocjacje w taki sposób, jakby godził się na warunki pirata i był gotów zapłacić żądany okup, ale postara się przeciągnąć rozmowy do czasu, gdy otrzyma wiadomość o uratowaniu „Lai”. Wówczas pirat dostanie to, na co zasłużył.

Po dwóch dniach żeglowania zamajaczyła na horyzoncie sylwetka Erikusy.

Morze było niespokojne, prąd znosił felukę do małej zatoki. Kiedy znaleźli się u wejścia, zobaczyli dziesięć albo dwanaście łodzi z rybakami zarzucającymi sieci. W głębi zatoki stał czarny statek piratów, ale Manipoulosa i Ahmeda najbardziej poruszył widok „Lai”, której piękna sylwetka wyraźnie odcinała się na tle pirackiego statku. Dalej za plażą wznosiła się stroma, lesista góra. Na piasku u jej podnóża stał wielki barak z drewna i kamieni, strzeżony przez czterech uzbrojonych mężczyzn: dwóch trzymało wartę przy drzwiach, dwaj pozostali robili obchód.

— Z tego wynika nieomylnie, że nasi znajdują się na lądzie, a nie na statku — stwierdził Ahmed.

Greki rzucił okiem na rozciągającą się przed nimi panoramę i pokazując ręką na osłonięte miejsce, szybko zdecydował:

— Przybijemy koło tych skał, ale nie rzucimy dużej kotwicy, tylko małego drapaka na piasku i drugiego w wodzie za rufą. W ten sposób spokojnie przeczekamy do świtu, a w razie potrzeby szybko odkotwiczymy i wypłyniemy. Damy czas ludziom admirała, którzy wejdą na wyspę od strony urwiska, przedostaną się na plażę przez skały i ukryją w lesie. Zanim o świcie rozpęta się piekło, nasza załoga będzie już uwolniona, a wtedy my podejmiemy działania, jakie uznamy za stosowne.



Było jeszcze ciemno, kiedy Ahmed poczuł dotyk czyjejś dłoni na policzku. Grek szeptął mu do ucha:

— Pora wstawać.

Zaspany młodzian zobaczył, że Crosetti już kręci się przy małych katapultach, które zainstalowali na dziobie i na rufie.

— Ruszaj się, przyniesiesz nam cztery garnki, tylko się nie przewróć — rozkazał mu Basilis.

Ahmed natychmiast rozbudził się do końca.

Na rozkaz Greka Crosetti na dziobie zaczął obracać korbą, która napinała sznury skręcone z jelit zwierzęcych, tak żeby ramię z łyżką katapulty znalazło się w pozycji poziomej. Basilis robił to samo co on, tyle że przy maszynie na rufie.

Ahmed od razu zrozumiał, o co chodzi.

Podsunał dwa słomiane gniazda Grekowi, a drugie dwa położył obok Crosettiego. Obaj natychmiast wyjęli po jednym garnku i włożyli do głębokich łyżek obydwu katapult.

Obserwując nieustanny ruch na barkach rybackich, Ahmed doszedł do wniosku, że nikt nie zwróci uwagi na to, że u nich też coś się dzieje.

— Ahmedzie, zeskocz z dziobu i odczep drapak. Uważaj, gdzie stąpasz, bo tutaj pełno jeźowców — powiedział cicho Grek, po czym zwracając się do Crosettiego, rozkazał: — Jak przedostaniemy się poza skały, wybieraj kotwicę rufową.

Chłopak odbił się od łodzi, machnął parę razy ramionami i kiedy poczuł, że stopami dotyka dna, zaczął brnąć w wodzie do miejsca na skalistym brzegu, gdzie umocowany był żelazny drapak. Ledwie zdążył go odczepić, barka zaczęła powoli pokonywać fale przyboju. Szybko popłynął za nią i chwyciwszy się rękami burty, wdrapał się na pokład zwinnie jak kot. W tym czasie Crosetti wybierał linę zza rufy i kiedy pojawiła się druga kotwiczka, Basilis zaraz ją przejął.

Nic nie mówiąc, Ahmed i Tono natychmiast wzięli się do wiosłowania, nadając łodzi kierunek wskazywany przez Greka. W porannej mgle niewiele było widać. Oczy Manipoulosa, przyzwyczajone do mierzenia odległości na morzu, wyglądały jak dwie szparki. Na czarnym statku zaczął się jakiś ruch. „Laia” wciąż nie wykazywała najmniejszych oznak niepokoju. Na głębokim morzu fale mocno spychały barkę w stronę lądu. Grek, który nieustannie robił jakieś wyliczenia, nagle zdał sobie sprawę, że „Laia” nie stoi tak daleko od „Jasmin”, jak wydawało mu się wczoraj.

Padła cicha, lecz wyraźna komenda:

— Ustawić się na wprost tych dwóch statków, obrócić obie katapulty na „Jaszmin”. Ahmed przyniesie po dwa garnki dla każdej maszyny i na mój rozkaz obaj pociągniecie za spust. Tylko, na miłość boską, celujcie uważnie, bo w przeciwnym razie „Laia” spłonie nam jak pochodnia!

Mężczyźni odłożyli wiosła, pozwalając feluce ustawić się siłą inercji w miejscu uznanym przez Greka za najlepsze.

Ciszę poranka mącił jedynie szum fal uderzających o brzeg.

— Zaczynamy! Zająć pozycje!

Głos Manipoulosa przypominał cichy świst bicia.

— Najważniejszy jest element zaskoczenia. Dwa pierwsze garnki muszą upaść na pokład. Jeśli pierwszy rzut będzie dobry, tamci się nie zorientują, skąd wzięły się te błyskawice. Potem załadujecie od nowa, tylko bez pośpiechu. Co nagle, to po diable. Skuteczność przede wszystkim. Niech Bóg ma nas w swej opiece!

Ahmed i Crosetti stanęli przy katapultach. Grek wykonywał powolny zwrot przez rufę za pomocą jednego wiosła, dopóki nie ustawił łodzi tak, jak chciał, a następnie ją unieruchomił.

— Już!

Rozkaz był krótki i stanowczy.

Mężczyźni pociągnęli za spust swoich maszyn; napięte sznury próbowały wrócić do naturalnego stanu, gwałtownie wypychając łyżkę do przodu.

Ahmed miał wrażenie, że to się nigdy nie skończy, lecz nagle garnki wystrzeliły w górę po paraboli i osiągnąwszy swój najwyższy punkt, zaczęły opadać na pokład czarnego statku, jeden na kasztel dziobowy, drugi obok steru. Rozległ się głuchy huk. Ludzie na „Jaszmin” rozglądali się wokół ze zdziwieniem, szukając miejsca, z którego mógł pochodzić ten hałas. Nikt nie zwrócił uwagi na felukę Manipoulosa. Był taki moment, że Grek sądził, iż wszystko przepadło. Nagle się zaczęło. Nisko po pokładzie pobiegły równe płomienie. Ludzie porzucili swoje zajęcia i skoczyli po wiadra z wodą, żeby ugasić ogień. Na plaży usłyszano ich krzyki i podniósł się rwetes, a tymczasem spadały już dwa nowe garnki, jeden na kasztel rufowy, drugi na ławę galerników. Jęki strachu i zdumienia mieszały się z wołaniem na alarm. Powstał piekielny hałas. Przebiegając wzrokiem wzdłuż i wszerz zatoki, Manipoulos nie mógł nie zauważyć, co się dzieje na lądzie. Normanowie zdobyli plażę,

nie napotykać większego oporu. Wrzawa i nieoczekiwane wypadki zdezorientowały wartowników, którzy gapiąc się na pożar, stracili czujność. Zdesperowani marynarze biegali po statku z jednego końca w drugi, ktoś wydawał bezładne rozkazy, wiadra wody lały się na płonący pokład... Daremny wysiłek. Ogień rósł i rósł, osiągał już zrolowanego żagla. Ahmed przypomniał sobie zwęgloną belkę z Murtry.

Crosetti zawiadomił Greka, że prawdopodobnie już ich dostrzeżono na „Jaszmin”: jakiś człowiek z bocianiego gniazda na maszcie wskazywał ręką w ich stronę i coś krzyczał do marynarzy na dole. Feluka była zbyt daleko, żeby mogli usłyszeć jego słowa.

Głos Greka zabrzmiał wyraźnie.

— Załadować!

Ahmed szybko położył glinianą kulę na łożcu swojej katapulty i nie czekając na nową komendę, pociągnął za spust. Garnek wpadł do wody, zanim zdołał nabrać szybkości.

— Tono, napraw ten nieudany strzał, sznur musi być mocniej napięty!

Crosetti wykonał rozkaz. Feluka kotłowała się z dziobu na rufę, robiąc gwałtowne przechyły.

— Zwolnić spust!

Tym razem gliniana kula niebezpiecznie musnęła burtę „Lai”.

Z pirackiego statku dobiegł głuchy dźwięk bębna, który zwykle wyznaczał galernikom rytm wiosłowania. Na plaży Normanowie walczyli z pilnującymi jeńców strażnikami; przy tak nierównych siłach walka była krótka.

Czarny statek płonął. Ogień groził rozszerzeniem się na „Laię”. Ludzie skakali z pokładu do wody, wpadając w sam środek ognistego kręgu.

Okiem znawcy Grek w jednej chwili ocenił sytuację. Walki na plaży ustały. Z baraku pod lasem wypadali zarośnięci mężczyźni w łachmanach, którzy nie rozumieli, co się dzieje, ale ściskali swoich wyzwolicieli i biegli na brzeg.

Trzy barki rybackie płynęły na ratunek piratom, którym udało się wyrwać z płomieni.

— Musimy jak najszybciej się stąd wydostać. Stawiaj żagiel, Ahmedzie! Nie mamy czasu czekać na „San Niccolò” Normanów.

Crosetti, bierz się do wiosel i pracuj ile sił w piersi. Jeśli przetną nam drogę, zanim wyjdziemy z zatoki, jesteście zgubieni.

Wciągając żagiel na maszt, Ahmed zawołał:

— Co będzie z „Laią”, kapitanie?! Przecież sponie, kiedy ją zostawimy!

— Nic na to nie poradzę! Ruszaj się, bo jeszcze trochę, a te barki nas nie wypuszczą! — odkrzyknął Manipoulos, wskazując na rybackie łódzie.

Wtedy nastąpiło coś, co sprawiło, że czas się dla nich zatrzymał. Zamiast wypełnić rozkaz Basilisa, Crosetti zaczął ściągać koszulę i łapcie.

— Kazałem ci siadać do wiosel!

— Nie teraz, kapitanie. Mam coś ważniejszego do roboty!

Nie bawiąc się w dalsze wyjaśnienia, skoczył do wody bez żadnej innej broni oprócz noża u pasa.

Klnąc na czym świat stoi, Grek kręcił sterem i napinał fał, żeby złapać wiatr. Ahmed stał jak sparaliżowany.

— Wiosłuj, synu! Jeśli ich nie wyprzedzimy, to zginiemy na miejscu!

Greki obserwowali powierzchnię wody. Felukę dzieliło od „Lai” ponad czterdzieści sążni.

Ale Tono Crosetti też miał swój plan: postanowił zrobić to samo, co tyle razy robił w Zatoce Neapolitańskiej.

Płynął pod wodą, dopóki nie pojawił się przed nim obły kadłub „Lai”. Wiedział, że po odcięciu wielkiej kotwicy, przytrzymującej statek na dnie pełnym wodorostów, silne fale zepchną „Laię” w kierunku plaży, z dala od płomieni.

Znalazszy się pod kilem, podpłynął w stronę dziobu, szukając grubego powroza od kotwicy. Chwycił go mocno rękami i nabrawszy rozmachu, zanurkował jeszcze głębiej. Następnie obrócił się wokół własnej osi, stanął mocno nogami na dnie obok kotwicy, z dwoma z czterech pazurów utkwionymi w mule, i przystąpił do wykonywania manewru, który opracował sobie w czasach, gdy zajmował się wyciąganiem rzymskich amfor leżących na dnie portu w Neapolu. Wyjął nóż z pochwy i zaczął kroić nim po przekątnej grubo koniec powroza. Była to żmudna czynność, przy której szybko kurczył się zapas powietrza w płucach. Pozostał mu do przecięcia jeszcze jeden splot. Płuca bolały od wysiłku, wszystkie mięśnie były napięte do

granic wytrzymałości. Stosując starą metodę, powoli zaczął wypuszczać powietrze z ust, mimo obaw, że pęcherzyki na powierzchni wody mogą go zdradzić. Już myślał, że nie da rady wykonać tego zadania, kiedy poczuł, że nóż przecina ostatnie pasmo. Wielka kotwica, uwolniona z powroza, opadła na muł, a statek od razu zaczął dryfować, popychany silnymi falami.

Manipoulos zrozumiał intencję Crosettiego, kiedy to zobaczył. „Laia” płynęła prosto do plaży, była uratowana. Na pokładzie „Jaszmin” powstało jeszcze większe zamieszanie: marynarze sprawdzali stan zagli, nadzorca bezlitośnie popędzał batem galerników, żeby wsunęli wiosła w dulki i wzięli się do wiosłowania. Ahmed zdążył już wciągnąć grot na maszt i patrzył na Greka pytająco.

— Crosettiemu udało się odciąć kotwicę! Wypatruj, czy nie wysunie gdzieś głowy na powierzchnię. Musimy go zabrać!

Sceneria była dantejska. Z lewej burty barki widać było „Jaszmin” w płomieniach, z ludźmi skaczącymi do wody na pełne morze, które też płonęło. Z prawej burty statek „Laia”, spychany falami, lada moment miał gwałtownie osiąść na plaży, gdzie już czekali na niego Normanowie, rozgrzani walką i żądni łupów, uderzając włóczniami i mieczami w swoje tarcze.

— Tam kapitanie! Tam! — Ahmed dostrzegł w białych grzywach fal głowę Crosettiego.

— Nie strać go z oczu ani na chwilę! — odkrzyknął Manipoulos. — Mów, czy dobrze płynę, bo muszę tak manewrować sterem, żeby mieć wiatr od rufy.

Crosetti jak podrzucony sprężyną wychylił się na powierzchnię, bojąc się, że zaraz pękną mu płuca.

Poruszając ustami jak ryba wyciągnięta z wody i kaszląc jak suchotnik, zaczerpnął parę razy powietrza, żeby odzyskać oddech. Następnie rozejrzał się wokół: „Laia” oddalała się coraz bardziej, czarny statek piracki wciąż płonął, a feluka z Grekiem przy sterze śpieszyła na ratunek. Crosetti zebrał resztkę sił i zaczął płynąć na jej spotkanie. Wkrótce będzie bezpieczny.

Jeden z piratów na dziobie „Jaszmin” obserwował tę scenę. Kiedy zobaczył, że Crosetti płynie w stronę wrogiej barki, szybko wyjął z kołczana strzałę, umieścił ją w łuku, który napiął tak mocno, że pióra na drzewcu musnęły jego wykrzywione wargi, przymknął jedno oko, wymierzył odległość i rozluźnił zaciśnięte palce. Czarny

ptak śmierci z pierzastym ogonem poszybował z wiatrem w kierunku Crosettiego i ugodził go między łopatki.

Ahmed dostrzegł, że głowa pływaka znika nagle pod wodą, więc zerwał się, porzucając wiosło i szykując się skoczyć do wody. Grek nie przeoczył reakcji młodzieńca, chociaż przez cały czas wpatrywał się w żagiel.

Przekrzykując łoskot wiatru, zawołał:

— Co ty wyprawiasz?!

— Tono się topi! Trafili go!

— Widziałem. Nic na to nie poradzimy! Za duża odległość, prąd zbyt silny! Może i dopłyniesz do niego, ale nie zdołasz powrócić! Ścigają nas barki rybackie! Jeśli nie złapię dobrego podmuchu, cała wyprawa pójdzie na marne. Wiosłuj, wiosłuj i pomagaj mi w manewrowaniu! Odlóż sentymenty na potem, kiedy będą bardziej przydatne, a teraz kieruj się umysłem!

Mimo dojmującego bólu Ahmed zrozumiał, że Manipoulos ma rację. Przepłynąć trzydzieści sążni do miejsca, gdzie zniknął Crosetti, spróbować znaleźć go pod wodą, która zabarwiła się na czerwono, i umknąć przed deszczem strzał wypuszczanych na morze przez trzech pirackich łuczników — było rzeczą niemożliwą do wykonania.

Ahmed, z oczami pełnymi łez, posłuchał Basilisa i razem usiłowali wyrwać się z tego kotła, pracując żaglem i wiosłami. W stronę feluki zmierzały trzy łodzie rybackie, na szczęście ich brzuchate kadłuby nie pozwalały im osiągnąć tempa barki Manipoulosa. Odległość między nią a pościgiem stopniowo się zwiększała. Grek chciał czym prędzej wyjść z zatoki i poszukać ratunku na wyspie. Kiedy już byli koło ujścia, po sterburcie pojawiła się sylwetka „San Niccoló”, który zostawiwszy Normanów po drugiej stronie wyspy, płynął przez całą noc, aby przybyć punktualnie na umówione spotkanie. Manipoulos bez wahania zrefował żagiel i jednym ruchem steru zmienił kurs, kierując dziób feluki w stronę normańskiego okrętu. Ścigające go barki rybackie, widząc, co się święci, wykonały lekki zwrot, żeby wrócić do swojej przystani.

Tullio Fieramosca, stojąc przy kasztelu rufowym, błyskawicznie ocenił sytuację i zarządził stosowny manewr. Połowa wiosła uniosła się do góry i powoli, opuściwszy wszystkie żagle, „San Niccoló” zbliżał się do feluki.

— Co za radość was widzieć!

To Basilis witał w ten sposób normańskiego admirała, usiłując przekrzyczeć wiatr.

Tullio Fieramosca niecierpliwie zapytał, nie racząc odwzajemnić pozdrowienia:

— Jak poszło?

— „Jaszmin” został zatopiony. Teraz musimy dobić do brzegu. „Laia” chyba już osiadła na mieliźnie. Zakładnicy są uwolnieni. Płyńcie przodem, ja podążę za wami.

Normański admirał szybko coś obliczył w myślach i podjął decyzję. Od ujścia zatoki do plaży był spory kawałek drogi. Rozkazał wciągnąć żagle na maszt, posadził do wiosł wszystkich galerników i wzywając na pokład swoich rycerzy, wysłał bosmana z poleceniem dla nadzorca, żeby nakazał wiosłowanie taranujące. Okręt szybko oddalił się od feluki. Grek i Ahmed dokładali starań, żeby znowu znaleźć się na wodach zatoki, co nie zajęło im wiele czasu, zwłaszcza że teraz mieli wiatr od rufy. Wszystkie barki rybackie zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Na wzburzonej powierzchni unosiły się szczątki „Jaszmin”. Ludzie Nagiba, którym udało się wyrwać z pożaru i nie zginąć w morskiej toni, utrzymywali się na falach uczepieni belek, jednakże widząc, jaki obrót przybrały sprawy, zrezygnowali z dopłynięcia do plaży i czekali, aż zabierze ich jakaś barka rybacka.

„San Niccoló” stanął na kotwicy. Admirał Fieramosca zamierzał rozdzielić swoich ludzi na dwie grupy, ale ujrawszy na „Lai” uradowanych Normanów, którzy dostali się tam bezpośrednio z lądu i wymachując włóczniami i tarczami, już świętowali zwycięstwo, przesiadł się na szalupę, żeby podpłynąć do zarytego w piasku statku. Słońce mocno grzało od samego rana. Akcja ratunkowa zakończyła się pełnym powodzeniem. Gdy feluka z Grekiem przy sterze zatrzymała się obok normańskiego okrętu, zza jego burty wytonił się wychudły mężczyzna w łachmanach, z włosami sięgającymi ramion i długą brodą.

— Witaj na Erikusie, zuchwały Greku! Nie poznajesz przyjaciół?

— Kogo ja widzę?! Na dusze moich zmarłych, toż to Jofre!

— We własnej osobie. A widzisz mnie w takim stanie, bo dopiero co wyszedłem z piekła.

Adelais i Gualda

Gualda wciąż przeżuwała swoją krzywdę. Opuszczały ją resztki nadziei na zamążpójście i czuła się skazana na rolę służącej do końca życia. Wiedziała, że Tomeu nie jest człowiekiem wielkich możliwości, ale był on dla niej ostatnią szansą na założenie rodziny, posiadanie własnego domu i urodzenie dzieci. Za wszelką cenę musiała zdobyć pieniądze na posag, wszystko jedno jak, lecz okrutna rzeczywistość stawała na przekór jej planom. Nie mogąc liczyć na niczyją pomoc, Gualda czuła większą gorycz. Żyła w ciągłej udręce, rozmyślając o swoim smutnym losie, naznaczonym fatalną blizną na twarzy wskutek lekkomyślnej zabawy rozkapryszonej dziewczynki. Nie miała przyjaciół w domu chlebowawcy, albowiem jako chrześcijanka traktowała nieufnie takich ludzi jak Naima czy jej dzieci. Własna buta i szpetna blizna skazywały ją na całkowitą samotność i samotne zaspokajanie zmysłów, co półżywa ze wstydu wyznawała na spowiedzi.

Tej niedzieli wychodziła po mszy pełna skruchy za popełnione grzechy, ze smutkiem rozmyślając nad swoim nieudanym życiem, kiedy przypadkowo wpadło jej w ucho znajome imię. Tak, nie ulegało wątpliwości, że ta pulchna panna o władczych gestach jest córką państwa Cabrera, którą Gualda pamiętała z czasów, kiedy służyła w tym domu... To Adelais de Cabrera. Bez namysłu, w nagłym porywie śmiałości zrodzonej z rozpaczyny podeszła do niej i skłoniła się z szacunkiem.

Adelais patrzyła na tę obcą kobietę, zastanawiając się, czego ona od niej chce, dopóki pokojówka nie szepnęła jej do ucha, że to Gualda, dawna służąca jej rodziców, która obecnie pracuje u Martiego Barbany. Nazwisko Barbany wystarczyło, aby Adelais zechciała zamienić kilka słów ze służącą z oszpeconą twarzą i o niemiłym wyglądzie. Uznała, że taki gest nie przyniesie jej ujmy, a poza tym intuicyjnie wyczuła, że kobieta nie jest szczęśliwa w domu Martiego Barbany. Adelais de Cabrera postanowiła się dowiedzieć, co jest tego przyczyną. Wbrew swoim zwyczajom okazała dawnej służącej uprzejmość, proponując, by odwiedziła ją kiedyś w wolnej chwili.



Dwa dni później Gualda pukała do drzwi w posiadłości Cabrerów. Po jakimś czasie otworzył jej lokaj w liberii, którego nie знаła.

— Czego chcesz? Jeśli masz coś do sprzedania, zgłoś się przy wejściu dla służby.

Gualda poprawiła wolną ręką nakrycie głowy i powiedziała:

— Przychodzę do panny Adelais.

Odźwierny spojrział na nią zdumiony.

— Czyżby na ciebie czekała?

— Powiedziała, żebym zajrzała do niej w wolnej chwili. Nazywam się Gualda, mój ojciec był tu kiedyś ogrodnikiem.

Nieufny, lecz przezorny lokaj poszedł zawiadomić młodą panią, a po powrocie powiedział:

— Wejdz. Panią Adelais przyjmie cię w pokoju robótek.



Pokój ten wyglądał tak samo jak w czasach Gualdy. Przez duże okno wychodzące na ogródek wpadały promienie słońca, oświetlając kasetonowy strop i posadzkę z kwadratowych kamiennych płyt, na przemian jasnych i ciemnych. Po prawej stronie stał stolik o krągłych liniach intarsjowany drewnem różanym, na nim przybory do szycia, obok dwa fotele na biegunach i wielki bęben do haftowania tkanin, po lewej zaś kołowrotek i duży kufer służący do przechowywania kłębków wełny.

— Co za niespodzianka, Gualdo! Cieszę się, że tak szybko mnie odwiedziłaś. Podejdz bliżej i usiądź tu obok, wyobrażam sobie, że masz dużo do opowiadania.

Kobieta wykonała polecenie, a jej umysł pracował pełną parą. Teraz mogła dokładniej przyjrzeć się panience: zobaczyła dorosłą kobietę, średniego wzrostu, o nieco przykrótkiej talii i bujnym biuście, który z trudem mieścił się w szczerze wykrojonym gorsecie adamszkowej sukni. Czarne włosy Adelais przykrywała siatka, przenikliwy wzrok i gorzki uśmiech na ustach nadawały twarzy nieprzyjemny wyraz.

Gualda przysiadła skromnie na brzegu bujanego fotela.

Zapadło między nimi milczenie.

— Muszę przyznać, że nie pamiętam ciebie z czasów, kiedy służyłaś w naszym domu. Byłam wtedy dzieckiem, ale podobno pracowałaś w kuchni, zanim odeszłaś.

— Jeden Bóg wie, że nie zrobiłam tego z własnej woli. Musiałam podporządkować się ojcu, który był u was ogrodnikiem. To on postanowił zmienić pracę.

Adelais westchnęła ostentacyjnie i nic nie rzekła. Nadal nie wiedziała, czego chce ta kobieta, ale wyczuwała w niej napięcie i pragnęła wreszcie poznać ukryty powód tej wizyty.

— No dobrze, Gualdo, powiedz, co u ciebie słychać i co cię do mnie sprowadza — zachęciła ją, aby zyskać na czasie.

Kobieta zaczęła szczegółowo opowiadać o swoim życiu w domu Martiego Barbany. Jeszcze nie skończyła, kiedy zapadł zmrok i w progu zjawił się majordom z kagankiem, żeby zapalić świece w dwóch kandelabrach oświetlających pomieszczenie oraz zapytać panią, czy czegoś nie potrzebuje.

— Nie, dziękuję — odparła Adelais. — Niech nikt nam nie przeszkadza, dopóki sama nie wezwę.

Majordom wyszedł, więc Gualda kontynuowała opowieść, szczegółowo opisując wypadek, który oszpecił ją na całe życie.

Adelais zareagowała, jakby dopiero teraz zauważyła szramę na jej twarzy, a słysząc, że spowodowała to Marta Barbany, rzuciła gwałtownie:

— Co za okrucieństwo! Rozumiem twój żal. Ta dziewczyna skrzywdziła cię na całe życie.

— Niestety, proszę pani. Ale co ja biedna mam robić? To córka jednego z najpotężniejszych ludzi w Barcelonie, a ja jestem tylko służącą.

— Coś ci powiem — rzekła Adelais, ścisząc głos. — Ja też

miałam do czynienia z tą bogatą, zrozumiąłą plebejuską. Wiem, że jest bezczelna i źle wychowana. Ktoś powinien wreszcie pokazać tej smarkuli, gdzie jest jej miejsce.

Gueralda poczuła się jak w niebie. W najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że ktoś może mieć jakieś, rachunki do wyrównania z córką jej chlebowodawcy, i bardzo się ucieszyła, że tak jest.

— Pani, nikt ani nic już nie sprawi, by moja twarz odzyskała dawny wygląd, ale gdyby zechciała mi pani pomóc, odmieniłabym swoje życie na lepsze.

Adelais poruszyła się na fotelu, niezadowolona, że rozmowa przybiera inny obrót. Nie o to jej chodziło, lecz rzekła:

— Mów, czego chcesz.

Kobieta wyjaśniła, że poznała mężczyznę, który zaproponował jej małżeństwo, pod warunkiem że wniesie mu w posagu dwie uncje złota.

— Masz bogatego, potężnego pana, niech da ci te pieniądze — doradziła Adelais.

— Ponad rok temu wyjechał z Barcelony i nie wiadomo, kiedy wróci. Zresztą od niego już dostałam pieniądze po wypadku.

— A zatem?

— Ojciec trzyma je w swojej sakiewce i nie pozwala nic uszczknąć. Twierdzi, że jeszcze nie pora i że będę dla niego ciężarem przez całe życie.

Adelais nie lubiła rozstawać się ze swoimi pieniędzmi, więc powiedziała:

— Przykro mi, ale nie mogę przeznaczyć tak dużej kwoty na ten cel.

— Proszę wybaczyć moją śmiałość, zdawało mi się, że pani była gotowa mi pomóc.

— Owszem, powiedziałam coś takiego, kiedy wspomniłaś o okolicznościach powstania szramy, która tak szczególnie znaczy twoją twarz, ale najwyraźniej nie zrozumiałaś moich intencji. Dlatego powiem wprost: byłabym gotowa ci pomóc, gdybyś zechciała odplacić tej bezczelnej smarkuli pięknym za nadobne i gdybym w zamian otrzymała coś od ciebie. Ja też mam z nią niewyrównane rachunki, ponieważ wyrządziła mi krzywdę i nie zapomnę jej tego do końca życia.

Umysł kobiety wrzał jak garnek postawiony na ogniu.

- Niewykluczone, że mogę wam dostarczyć narzędzi do zemsty.
- Jak mam to rozumieć?

Wyczuwając, że utrafiła w samo sedno, Gueralda nabrała śmiałości. W jej głosie nie było już unizonych tonów, tylko szczerłość i stanowczość.

- Mogę przekazać wam pewną interesującą wiadomość.
- Zobaczymy, najpierw muszę się dowiedzieć, o co chodzi.
- Rozumiem, ale ja chcę mieć pewność, że zapłacicie mi za to tyle, ile potrzebuję. To, co mam do powiedzenia, warte jest tych pieniędzy.

— Dostaniesz je, kiedy przekażesz mi tę wiadomość.

— Biedacy też mają swój honor — powiedział Gueralda, unosząc się dumą. Po krótkiej przerwie zaproponowała kompromis: — Połowę tej sumy dacie mi od razu, a drugą połowę na koniec naszej rozmowy. W ten sposób obie okażemy sobie zaufanie.

Adelais przeszła wzrokiem dawną służącą. Intuicja jej podpowiedziała, że warto podjąć ryzyko i że jest o krok od tego, na czym od dawna jej zależy. Wstała z fotela i bez słowa wyszła z pokoju.

Gueralda pomyślała z radością, że problem posagu został już prawie rozwiązany.

W otwartych drzwiach znów pojawiła się Adelais, z małą skórzaną sakiewką w dłoniach. Zamknęła za sobą drzwi i podeszła do fotela, na którym siedziała nieruchomo Gueralda.

— Umowa stoi.

Poluzowała troki sakiewki, wyjmując z niej dziesięć monet stanowiących jedną uncję złota. Gueraldzie zaświeciły się oczy.

— Masz — powiedziała Adelais. — Reszta potem, zakładając, że twoja opowieść będzie tego warta. Myślę, że łączy nas coś więcej niż zapał do interesów i umiejętności prowadzenia targów. Widzę w twoich oczach taką samą nienawiść, jaką ja odczuwam wobec tej osoby.

Po tych słowach usiadła w swoim fotelu, przysuwając się na sam brzeg, podobnie jak Gueralda na początku ich spotkania.

— Zamieniam się w słuch — powiedziała.

Gueralda spokojnym głosem rozpoczęła swoją opowieść. Punkt po punkcie relacjonowała wszystko, co zdarzyło się owego dnia,

gdy idąc za Martą, znalazła klucz do małej kapliczki w ogrodzie, otworzyła zamek i ujrzała marmurowy grobowiec z wyobrażeniem leżącej Ruth, a na nim znaki żydowskiej religii: gwiazdę Dawida i siedmioramienny kandelabr.

Kiedy skończyła mówić, oczy jej rozmówcy byli jak dwa rozżarzone węgle.

— Możesz przysiąc, że to, co mi powiedziałaś, jest prawdą?

— Przysięgam na duszę swojej zmarłej matki. Widziałam na własne oczy to, o czym wam opowiedziałam.

Obfite piersi Adelais uniosły się w długim, głębokim westchnieniu, a ręka sięgnęła do sakiewki po drugą część ustalonej zapłaty, którą wręczyła służącej.

— Jeśli to prawda, twoja informacja zasługuje na te pieniądze, a nawet na więcej. Kiedy wszystko się potwierdzi, dostaniesz drugie tyle. Ale pamiętaj, że jeśli mnie okłamałaś, znajdę cię choćby w mysiej dziurze i tak urządzę, że będziesz tęsknić za tą swoją szramą na twarzy.

— Pani, przysięgam na duszę swojej zmarłej matki, a jestem dobrą chrześcijanką.

— Wkrótce się dowiem, czy nie zawiodłaś mojego zaufania. Myślę, że się jeszcze zobaczymy.

— Ja też mam taką nadzieję, pani.

Adelais de Cabrera wstała z fotela na znak, że ich rozmowa dobiegła końca.



Dwa dni później w kościele Sant Miquel Gueralda czekała z niepokojem na przybycie Tomeu. Dwie uncje złota zostawiła ukryte w domu, gdyż nie była do końca pewna, czy dobrze robi, decydując się na tak wielką zmianę w swoim życiu.

Ogarniał ją coraz większy niepokój, dzwony już wybiły godzinę ustaloną na spotkanie, lecz Tomeu wciąż się nie zjawiał. Wreszcie w świetle wpadającym przez otwarte drzwi kościoła zarysowała się jego sylwetka. Mężczyzna niepewnie rozglądał się na boki, gniotąc czapkę w rękach. Dostrzegł Gueraldę, kiedy skinęła mu lekko prawą dłonią, i ruszył w jej stronę.

— Na Boga, Gueraldo, nie mogłaś wybrać innego miejsca? Dlaczego kazałaś mi przyjść do kościoła?

Gualda się uśmiechnęła.

— Nie ma lepszego miejsca na to, co chcę ci powiedzieć.

— Co się stało?

Kobieta poczuła nagły przyptyw radości.

— Uzbierałam na posag.

Tomeu wyciągnął z torby wielką jaskrawą chustkę i obtarł nią zroszone potem czoło.

— Co to znaczy?

— Już mam te dwie uncje złota.

Wyraz zakłopotania na twarzy Tomeu nie był tym, czego się spodziewała, więc znowu ogarnął ją lęk i serce zabiło jej niespokojnie.

— Jeśli jeszcze się wahasz i chcesz to przemyśleć, nie ma sprawy. A jeśli już teraz chcesz się wycofać ze złożonej mi oferty, niech każde z nas pójdzie w swoją stronę.

— Zaczekaj, kobieto — zareagował szybko, lecz bez przekonania. — Zaskoczyłaś mnie tą wiadomością i trochę się zdenerwowałam.

Jednocześnie wyciągnął rękę i wierzchem sękaty dłoni niezgrabnie pogładził szramę na policzku Gualdy.

Ten gest rozbroił kobietę, która z rozczuleniem ujęła jego dłoń.

— Kiedy mnie poślubisz? — zapytała.

— Nie śpiesz się tak, muszę najpierw pozatwierać różne sprawy.

— Jakie?

— Muszę przygotować swój dom na przyjęcie żony.

— Nie martw się, ja się tym zajmę.

— Na to nie pozwolę. Pierwsze wrażenie jest najważniejsze, a mieszkanie wygląda teraz jak chlew, bo ja ciągle jestem w rozjazdach.

— Niech będzie, jak chcesz. Wyznacz jakąś datę, żebym mogła zamówić ślub w kościele. Zgadzam się poczekać, aż skończysz urządzenie domu.

— Nie w tym rzecz, że brakuje mi czasu.

— A czego ci brakuje?

— Pieniądzy.

Gualda spojrzała na niego nieufnie.

— Trzeba zakupić materiały: cegłę, drewno, okucia żelazne, wapno... i parę innych rzeczy.

— Znaczy chcesz, żebym już teraz dała ci pieniądze.

Mężczyzna zerwał się oburzony.

— Kobieto, jeśli mi nie ufasz, lepiej zerwijmy od razu.

— Ufam ci, Tomeu — odparła natychmiast. — Ale pragnę jak najszybciej zostać twoją żoną. Zaczekaj tu na mnie. Pójdę do domu i zaraz będziesz miał te dwie uncje złota.

Wstała i wspinając się na palce, pocałowała go w zarośnięty policzek.

Tomeu patrzył za oddalającą się kobietą, gładząc się po brodzie, a na jego twarzy pojawił się chytry uśmieszek.

81

Matraki

Upłynęło pięć dni, odkąd Marti, rozłączywszy się z przyjaciółmi, którzy popłynęli w kierunku Erikusy, przybył na pokładzie „Santa Marty” na wyspę Matraki, tak jak nakazał mu Nagib w liście wyznaczającym miejsce spotkania. Przez te pięć dni usiłował zyskać na czasie, przeciągając negocjacje z piratem, który przekazywał mu swoje warunki z pokładu „Al-Ifrikii”. Emisariusze przynosili się ze statku na statek, targując się o wysokość okupu żądanego przez Nagiba. Ten, razem z synem Selimem, przyjął na swoim statku Martiego i kapitana Munta, okazując im wielką uprzejmość, jednakże nie ustąpił ani na krok w swoich żądaniach. Z kolei Marti, wytrawny negocjator wielu umów handlowych, obstawał przy sumie nieco niższej niż zaproponowana przez pirata, lecz nie zaniżał jej na tyle, by wzbudzić podejrzenia, ani nie podnosił, obawiając się, iż zachłanność skłoni Nagiba do natychmiastowego jej zaakceptowania.

Jednakże Nagib, równie sprytny jak jego przeciwnik, postanowił wreszcie zakończyć przedłużające się dyskusje. Tego dnia pod wieczór miał zjawić się na pokładzie „Santa Marty” w celu zawarcia definitywnego układu. Marti zdawał sobie sprawę, że musi ustąpić i zapłacić żądany okup, jeżeli pragnie odzyskać swój statek wraz z załogą.



Marti i Felet ze ściśniętym sercem czekali na przybycie piratów. Na ich twarzach malowała się powaga i niepokój o los przyjaciół.

Nie wiedzieli, czy udało im się zrealizować plany i czy wszyscy żyją. Dręczyło ich pytanie, czy któryś z nich nie poległ podczas ataku.

Posiedzenie miało się rozpocząć wraz z wybicciem *hora octava*. Pirat, punktualny jak zwykle, przybył z synem Selimem w otoczeniu dziesięciu wojowników wybranych spośród jego najlepszych ludzi — sama śmietanka pirackiej załogi. Z pokładu „Santa Marty” rzucono im sznurową drabinkę, po której wspinali się jeden za drugim. Gdy już wszyscy znaleźli się na statku, kapitan Munt nakazał Barralowi umieścić naprzeciwko przybyłych liczącą tyle samo osób grupę Normanów. Wieczór był ciemny i posępny jak szubieniczneminy piratów. Felet zaprowadził Nagiba do kajuty armatora, który oczekiwał go przy suto zastawionym stole, zapraszając na ucztę, aby wszyscy mogli nabrać sił przed długimi negocjacjami. Nagib podziwiał wykwintność zastawy i bogactwo małych złotych widełek z dwoma ostrymi końcami, którymi chrześcijanie nakłuwali kawałki potraw, żeby włożyć je sobie do ust.

Kiedy służący podał napoje, nastąpiła kurtuazyjna wymiana toastów, w czym pirat miał wielką wprawę, a potem podjęli negocjacje w punkcie, na którym zatrzymali się poprzedniego dnia.

Pierwszy przemówił Marti.

— Doszliśmy do sedna sprawy, uzgodniliśmy wysokość okupu. Postaram się uzbierać taką kwotę, ale dlaczego żądacie ode mnie, by przekazać wam te pieniądze w porcie Tunisu? Przecież to stanowi dodatkową trudność.

— To kwestia niepodlegająca dyskusji — uciął Nagib. — Kto mnie zapewni, że jeżeli wyznaczę wam jakieś inne miejsce na Morzu Śródziemnym, nie pojawią się, zamiast waszego emisariusza, dwa albo trzy statki z uzbrojonymi po zęby wojakami?

— Macie tyle samo powodów do nieufności co ja. Nadal nie wiem, w jakim stanie znajduje się moja załoga i w jaki sposób odzyskam swój statek. Jeśli zaczniemy od stawiania sobie zarzutów, wrócimy do punktu wyjścia i niczego nie osiągniemy.

Dyskusja wydawała się nie mieć końca, ale w pewnym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Przed rozpoczęciem spotkania Marti wydał rozkaz, żeby nikt im nie przeszkadzał w obradach, a więc musiało się zdarzyć coś naprawdę ważnego.

W otwartych drzwiach pojawili się bosman Jaume Barral i syn Nagiba, Selim.

Obaj zaczęli mówić jednocześnie, każdy we własnym języku, zwracając się bezpośrednio do swoich szefów.

Treść wypowiedzianego zdania była taka sama.

— Jakiś statek pojawił się u wejścia do zatoki.

Nagib wbił w rozmówców swoje czarne oczy.

— Nie mam pojęcia, co to może znaczyć, ale negocjacje należy uznać za zerwane.

Wstał od stołu i natychmiast wraz ze swoją eskortą opuścił admiralską kajutę. Z małpią zręcznością zsunęli się po sznurowej drabinie i wsiadli do feluki, która błyskawicznie powiosłowała do „Al-Ifriki”.

Marti z Feletem, a za nimi Barral podążyli do kasztelu rufowego, skąd dostrzegli we mgle obły kształt dużego statku, którego z daleka nie potrafili zidentyfikować.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał Felet. — Pora się wypowiedzieć.

— Nie mamy czasu do stracenia. Musimy trzymać się planów. Jeśli statek jest nasz, to znaczy, że odnieśliśmy zwycięstwo pod Erikusą. W najgorszym wypadku przyjdzie nam walczyć z dwoma okrętami naraz...

Felet zrozumiał rozkaz.

— Do katapult! Zdjąć osłony, przynieść skrzynki z ładowni!

Natychmiast wykonano polecenie.

Ludzie przydzieleni do potężnych katapult ciągnęli już za sznury ze splecionych jelit zwierzęcych, podczas gdy inni umieszczali gliniane garnki w wielkich łyżkach. Felet i Barral wyliczali kierunek i odległość, żeby jak najpewniej trafić do celu.

— Po każdym strzale ładujcie ponownie i strzelajcie bez czekania na komendę. Gdy „Al-Ifrikija” stanie w płomieniach, przygotować się do ataku na ten drugi statek. Zaczekać, aż podpłynie bliżej, i jeżeli się okaże, że to nie nasz, wystrzelać wszystkie garnki, jakie mamy na pokładzie. Barral, przekaz to marynarzom, wiosła do wody i niech nadzorca pilnuje galerników, żeby nie przyszło im do głowy rzucić się na nas!

W tym momencie powietrze przeszła strzała z zapalonym lontem i spadła do morza.

Martí i Felet rzucili się sobie w ramiona.

— Jest sygnał! Nasz sygnał z „San Niccoló”! Nie dajmy uciec Nagibowi!

Feluka pirata była już w połowie drogi między dwoma statkami.

Głos Martiego zabrzmiał jak strzał z bata. •

— Ognia!

Świszcząc jak garnki postawione na gorącym ogniu, dwie kule z fosforyzującej gliny wystrzeliły do góry, nakreśliły doskonałą parabolę i upadły na dziób i rufę pirackiego okrętu. Na pokładzie „Al-Ifriki” buchnął płomień, języki ognia powstałego z lepkiej, kleistej substancji pochłaniały wszystko, co znalazły na swojej drodze.



Noc była długa. O świcie okręt piracki poszedł na dno razem z galernikami, którzy przywiązani łańcuchami do ław wioślarskich nie mieli szans na ratunek. Ocaleli z katastrofy rozbitkowie desperacko trzymali się zwęglonych resztek drewna, beczek, wiosł i różnych innych sprzętów pływających dokoła.

Kiedy słońce wychyliło się nad horyzont, Nagib z synem Selimem i garstką pozostałych przy życiu piratów leżeli związani w ładowni normańskiego statku, przeklinając swój nieszczęsny los.

Dwa dni później o świcie, mimo prośb Martiego, na które Fieramosca pozostawał głuchy, ciało Nagiba — ku przestrodze innych buntowników, poddanych księcia Roberta Guiscarda — zawisło na rei grotmasztu normańskiego statku. Syna Nagiba, Selima, i resztkę piratów, którzy nie zginęli w walce ani nie utopili się w morskiej toni, zakuto w kajdany i umieszczono w ładowni, skąd niewątpliwie mieli trafić na rynek niewolników w Syrakuzach.

Nocna przechadzka

Rashid al-Malik mieszkał w rezydencji przy placu Sant Miquel i gdyby nie obawa o los przyjaciół, można by rzec, że był to najlepszy okres jego życia. Majordom Andreu Codina troszczył się o niego aż do przesady: codziennie rano pytał, czego życzy sobie na obiad, a gdy Rashid zasiadał do stołu, przynoszono mu najlepsze potrawy z kuchni Mariony, potem pił swoje zioła na tarasie pod portykiem na ostatnim piętrze, a o zmierzchu wychodził na długie spacery po mieście, które już zawojowało jego serce. Początkowo towarzyszył mu w tych przechadzkach dowódca straży z dwoma uzbrojonymi mężczyznami, potem tylko sami strażnicy, którzy starali się trzymać z tyłu, a ostatnio, po burzliwych dyskusjach z Gaufredem, Rashid wychodził w pojedynkę. Wszystkie miejskie ulice i place znał już jak własną kieszeń, lecz najchętniej spacerował po plaży, gdyż morze zawsze go pociągało, a przy okazji wypatrywał na horyzoncie statku Martiego Barbany. W każdym razie prawie co wieczór wędrował z placu Sant Miquel ku bramie Regomir i dalej w kierunku plaży. Czasami dochodził aż do stoczni, innym razem okrążał staw przy porcie, kierując się ku Vilanova deis Arcs, a stamtąd przez Pía del Mercat do bramy Castellvell. Potem wkraczał w dawne rzymskie *cardo* i wracał do domu, przechodząc obok pałacu hrabiów Barcelony. Sam nie wiedział, dlaczego polubił tę trasę, lecz przychodził tu każdego wieczoru, wbijając wzrok w ciemności z nadzieją, że wreszcie dojrzy na horyzoncie powracających przyjaciół.

Mimo zaleceń dowódcy straży Rashid nie dbał zbyt wiele o swoje bezpieczeństwo. Jakich mógł mieć wrogów w mieście, gdzie nie znał prawie nikogo? W końcu postanowił całkowicie zrezygnować z ochrony, żeby nie wlec za sobą strażników, i przechadzał się bez troski, nie zwracając szczególnej uwagi na mijanych przechodniów.

Z czasem pozbył się resztek obaw i w miarę jak coraz lepiej poznawał miasto i ustalał sobie stałą trasę spacerów, nie interesowało go już nic innego oprócz morskiego krajobrazu, który sprzyjał rozmyślaniom o dziwnych kolejach życia. Niemniej jednak pewna rzecz nie uszła jego uwagi: na placu Błat stała od kilku wieców zasłonięta lektyka, jakby na kogoś czekała. Zważywszy na późną godzinę i nietypowe miejsce, Rashid pomyślał, że czeka na jakiegoś zalotnika, który udał się na miłosną schadzke. Obok lektyki widział czterech krzepkich nosicieli pod wodzą ospałego grubasa niedbale wspartego na drążku, pochłoniętego obserwowaniem nielicznych o tej porze przechodniów.

Chociaż Andreu Codina zaferował do dyspozycji starca całą garderobę, ten dalej nosił swój tradycyjny strój. Tego wieczoru miał na sobie brązowe nogawice, zieloną kamizelę z lamówkami i nieodłączny wełniany płaszcz, który chronił go przed wilgocią zimowego wieczoru. Głowę przykrył jak zwykle chustą zawiązaną na kształt turbanu, z którym też nigdy się nie rozstawał.

Tego feralnego dnia, piątego marca, noc była ciemna i Andreu Codina nalegał, aby przynajmniej wziął ze sobą lampę, ale Rashid odmówił, tłumacząc, że doskonale zna drogę, co wieczór bowiem przemierza tę samą trasę. Jednak już za bramą Regomir pożałował, że nie skorzystał z dobrej rady. Księżyc wyglądał jak plasterek melona i przez większość czasu zasłaniały go ciężkie, wrzące burzę chmury. Strażnicy z rozbawionymi minami stali w bramie, nie zwracając szczególnej uwagi na wychodzących z miasta. Starcowi przychodziły do głowy tak ponure myśli, że zastanawiał się, czy aby nie zawrócić. Rybackie barki grzęznące w piasku zapowiadały złą pogodę, na plaży, gdzie zazwyczaj o tej porze było dużo ludzi, tylko mała grupka grzała się przy ognisku.

Po chwili wahania Rashid doszedł jednak do wniosku, że takie złe przeczucia stają się jego manią, widocznie za szybko się starzeje. Zdecydowanym ruchem zarzucił na ramiona poły wełnianego płasz-

cza, poprawił turban i ruszył dalej szlakiem, który przemierzał co wieczór. Droga wiodąca do Pes de la Palla była czarniejsza niż sumienie odszczepieńca. Rashid zapragnął jak najszybciej znaleźć się przy bramie Castellvell, aby poczuć się bezpiecznie w murach miasta ze strażami na ulicach. Szybkim krokiem przemierzał ostatni odcinek swojej codziennej trasy. Lektyka stała tam gdzie zwykle, grubas siedział na ławie, a obok czterech tragarzy podpierało ścianę. Rashid uzmysłowił sobie nagle, że dziwnie musi wyglądać w turbanie, i o mało nie zaczął odmawiać Zdrowaś Maryja, aby wzięto go za dobrego chrześcijanina. Obok lektyki przeszedł ze wzrokiem wbitym w ziemię, gdyż doświadczenie go nauczyło, że lepiej nie patrzeć ludziom w oczy, zwłaszcza nocą. Parę kroków dalej przypomniał sobie przestrogi dowódcy straży Martiego, żeby nie spacerować po mieście bez ochrony i nigdy nie wychodzić samemu poza mury. Popełnił duży błąd, lekceważąc jego rady.

Nagle poczuł, że ktoś chwyta go za ramię, czyjeś ręce zasłaniają mu szmatą oczy i twarz, i chociaż turban osłabił nieco cios, coś bardzo ciężkiego spadło mu na głowę. Mgła zasnuła jego umysł, jednak zorientował się, że jakiś człowiek albo kilka osób łapie go za nogi, i usłyszał piskliwy głos wydający rozkazy:

— Szybko, związać go i wsadzić do lektyki! Nie mamy czasu do stracenia! Wywieś na zewnątrz herb rodowy i zasuń zasłonki, żeby straż nie ośmieliła się nas zatrzymać.

To były ostatnie słowa, jakie dotarły do Rashida, zanim stracił przytomność.



Koła zamkniętego powozu zaterkotały na wyboistej drodze. Rashid al-Malik próbował otworzyć oczy, ale zdołał rozewrzeć tylko lewe, gdyż prawe pokrywała sucha skorupa uniemożliwiająca ruch powieki. Tysiące wściekłych trzmieli huczało mu w głowie, skronie pękały z bólu, jakby walono w nie młotem. Rashid usiłował sobie przypomnieć, co się stało. Obrazy wirowały mu w głowie jak piasek podczas burzy w pustyni w jego rodzinnym kraju.

Chciał podnieść do skroni prawą dłoń, ale zdał sobie sprawę, że obie jego ręce są przywiązane do kółka w bocznej ścianie powozu, a nogi unieruchomione pod ławą. Z zewnątrz dobiegały go krzyki woźnicy i świst bicza popędzającego konie. Przez szpary w budzie

zaglądała czarna noc bez jednego światła. Rashid al-Malik starał się uporządkować myśli. Na koźle obok woźnicy musiał jeszcze ktoś siedzieć, ponieważ słyszał wyraźnie rozmowę dwóch osób.

- Jak daleko od Barcelony znajduje się to przeklęte miejsce?
- Osiem albo dziewięć mil. Tak powiedział Maimón.
- Dużo już przejechaliśmy?
- Jedną albo dwie.

Potem zapadła cisza zmacona jedynie stukotem końskich kopyt. Z chrzęstu kół i krótkich pogwizdywań woźnicy Rashid wywnioskował, że wóz jest zaprzężony w nie mniej niż cztery konie.

- A gdzie ten zamek'?
- Nie zamek, tylko ufortyfikowana posiadłość *masía*. Bernadot dobrze wie, gdzie to jest.
- No to go zapytaj.
- Po co mam pytać? Kazano nam dowieźć na miejsce pewną przesyłkę i nic więcej nie powinno nas obchodzić.
- Zapytaj! Lubię wiedzieć, dokąd jadę i co mnie czeka, zwłaszcza gdy mam zlecenie odbiegające od normy.
- Myśl tylko o pieniądzach, które za to dostaniesz. Nic więcej nie powinno cię obchodzić.

— Myślę, ale nie chciałbym mieć kłopotów, gdyby coś okazało się nie tak. Czasem więcej można stracić, niż zarobić. Zawołaj Bernadota!

Nastąpiła przerwa w rozmowie, ktoś zagwizdał dwa razy długo i raz krótko, po czym z tyłu dał się słyszeć tętent konia i nowy głos, który zapytał:

- Co się dzieje?
- Nic ważnego, Bernadot. On chce wiedzieć, jak nazywa się to miejsce, gdzie marny zostawić przesyłkę.
- Nazywa się Arbucias, leży na stoku Montseny.
- Dużo nam jeszcze zostało drogi?
- Niecała mila. Zdążymy rozładować towar przed świtaniem.

Wóz potoczył się dalej. Rashid, którego wciąż mocno bolała rozbita głowa, znowu zapadł się w otchłań nieświadomości.

Frustracja Gualdy

Czas dłużył się Gualdzie. Snuła się po domu na placu Sant Miquel niczym dusza pokutująca, nie mogąc doczekać się dnia, kiedy spotka Tomeu. Nie interesowało jej zamieszanie spowodowane zniknięciem starego Rashida. Niewiele obchodził ją jego los, lecz te okoliczności sprawiły, że nikt nie zwracał na nią uwagi i nie musiała się ukrywać ze swoimi przygotowaniem. Gualda postanowiła nie mówić nikomu o swoich planach. Tak będzie lepiej. Po prostu odejdzie ze służby, nie pytając nikogo o pozwolenie. Pójdzie w świat, gdzie ją oczy poniosą, i zbuduje swoje szczęście z dala od tego miejsca, w którym nikt ani nic jej nie zatrzymywało. Sama pokieruje swoim losem, nie prosząc Boga ani diabła o pomoc. Ósmy marca będzie dla niej początkiem nowego życia...



Tego dnia o świcie, za ledwie rozległy się dzwony na laudę, Gualda zerwała się z łóżka. Przed pójściem spać wszystko przygotowała, żeby rano nie tracić czasu. Cały dobytek włożyła do wielkiej chusty w czarno-brązową kratę, więc wystarczyło przewiązać ją sznurkiem i zarzucić tobolek na plecy, zabrać jedzenie, które wieczorem wyniosła z kuchni i postawiła na parapecie za oknem, żeby lepiej przechowało się w chłodzie, i opuścić ten dom bez zbędnej zwłoki. O pierwszym brzasku porannej zorzy przemyśla twarz wodą z miski, wdziała bieliznę, ciepłą koszulę, która ochroni

ją przed zimmem, grube pończochy i spódnice z sukna odpowiednie do podróży, nogi obuła w wygodne sznurowane trzewiki z grubej skóry, na wypadek gdyby część podróży trzeba było odbyć na piechotę, i starając się robić jak najmniej hałasu, ruszyła do wyjścia. Wszystko dobrze przemyślała: jeżeli ktoś zobaczy ją w drzwiach i zapyta, dokąd idzie, odpowie, że ojciec kazał jej zanieść ten pakunek do jednego z osiedli, które wyrosły poza murami na peryferiach miasta. Wszyscy wiedzieli, że on pilnuje stoczni i nie może opuścić swojego miejsca pracy. Przy bramie nie będzie kłopotów, ponieważ wartownicy dobrze ją znają i wiedzą, że zwykła wychodzić skoro świt na Mercadal.

Jak przewidywała, nikt jej nie zatrzymywał; szła szybkim krokiem przez ulice i place, ruchliwe mimo wczesnej pory. Ludzie śpieszyli do swoich zajęć, lecz ona miała jeszcze sporo czasu do wyznaczonej godziny spotkania i chciała nacieszyć się tą chwilą — pierwszy raz w życiu czuła się prawdziwie wolna. Dotarła na miejsce wcześniej, więc żeby nie wystawać na ulicy jak ladacznica, postanowiła przejść się na pobliski plac, obserwując po drodze przechodniów. Doszła do końca ulicy i wróciła do punktu wyjścia, przemierzając tę trasę kilka razy.

Kiedy dzwony Sants Just i Pastor wybiły na tercję, Gualdę naszło złe przeczucie. Na drogach było niebezpiecznie i niemal co dzień słyszało się o napaściach bandytów na wyładowane towarami wozy jadące na jarmark w okolicznych wsiach i miasteczkach. Zimny pot zaczął zraszać jej czoło. Chwyciła za tobołek, który stał na ziemi, i przyspieszając kroku, udała się na Mercadal.

Tu jak zwykle panował wielki zamęt, chociaż już nie taki jak w niedawnej przeszłości; wokół wystawionych towarów krążyli kupujący i sprzedający. Gualda przeszła przez dwa rzędy straganów, kierując się do narożnika, gdzie zazwyczaj zatrzymywał się Tomeu, ale nigdzie nie było charakterystycznych dla niego koszy pod zieloną plandeką. Teraz stał tu jakiś mężczyzna z lampionami i kagankami, głośno zachwalając swój towar.

Gualda podeszła do niego.

— Szczęść Boże, dobry człowieku! — I pokazując palcem na numer stanowiska zaznaczony na ziemi, zapytała: — Nie wiecie, co się dzieje z Tomeu? Chory albo miał jakiś wypadek?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Mogę tylko powiedzieć, że

odprzedał mi to miejsce. Chętnie je kupiłem, żeby mieć więcej przestrzeni.

Gueraldzie odpłynęła krew z twarzy.

— Co wy mówicie?

— Lampiony i kaganki! Najlepsze na Mercadal! Widziałem go dziś rano. Razem z synem ładował na furmankę cały swój dobytek. Powiedział, że ma dość Barcelony, że po śmierci hrabiny Almodis targowisko już nie jest takie samo i że woli się przenieść do Seo de Urgel. Dodał, że tutaj może wybuchnąć jakaś nowa awantura na granicy, bo Maur jest w Leridzie.

Gueraldzie o mało nie stanęło serce.

— Chcecie powiedzieć, że on już nie wróci?

— Lichtarze, żagwie i świece woskowe! Najlepsze w Barcelonie! Jeśli wróci, to nie po to, żeby handlować na targowisku, tylko dla innych powodów.

Kobieta poczuła ukłucie nadziei.

— Nie rozumiem was. Dla jakich powodów? Może będzie się żenił?

Mężczyzna wybuchnął gromkim śmiechem i przestał zachwalać swój towar.

— Co to, to nie!

— A więc?

— Powiem ci, bo fajna z ciebie kobita i nie taka już młoda, aby oburzać się na te sprawy. Tomeu często zachodzi do lupanaru na Montjuïc, zaraz za osiedlem Pi. Zawróciła mu tam w głowie taka jedna czarnulka... Nur, jeśli się nie mylę.

Gueralda postawiła swój tobołek na ziemi i usiadła na nim.

Wszystkie stragany Mercadal wirowały jej przed oczami. Dzwony Pia Almoina zaczęły bić na Anioł Pański.

Intuicja Delfina

— Marto, hrabia oczekuje was w gabinecie na drugim piętrze. Idźcie się przebrać, byle szybko. Nie wypada, żeby na was czekał. Bądźcie taktowna i nie odzywajcie się bez potrzeby.

Głos dońi Lionor oderwał dziewczynę od pracy. Dama przekazała swojej podopiecznej wiadomość przyniesioną przez pazia hrabiego.

Marta odłożyła swoją robótkę i pośpieszyła spełnić polecenie dońi Lionor. Delfin bez słowa wyszedł za nią na korytarz. Dziewczyna szła szybko, ale nie biegła, albowiem dworska etykieta zabraniała tego damie. Mimo to karzeł z trudem ją dogonił na swoich krótkich nóżkach.

— Marto, na litość boską! Nie zmuszajcie mnie do takich wyścigów.

Dziewczyna darzyła szczególną sympatią tego garbuska z krótkimi nogami i byстрыm umysłem, toteż od razu się zatrzymała. Delfin z trudem wdrapał się na jedną z dużych ław z ciemnego toczzonego drewna stojących w korytarzu na pierwszym piętrze i gestem ręki nakazał Marcie usiąść obok.

Uniósłszy rąbek tuniki, uczyniła, jak prosił.

— Jaką to pilną sprawę macie do mnie właśnie teraz? Słyszeliście rozkaz dońi Lionor. Hrabia oczekuje mnie w swoim gabinecie i muszę się pośpieszyć.

— Dlatego za wami pobiegłem — odparł Delfin. — Jesteście jedną z nielicznych osób w pałacu, które coś dla mnie znaczą po

śmierci mojej pani. Wysłuchajcie mnie, proszę, zanim będzie za późno.

Marta przyglądała się karzełkowi z ciekawością.

— Nie lekceważcie mojej rady — kontynuował. — Jak wiecie, próbowałem przestrzec naszą hrabinę, zrobiłem to nawet w obecności innych ludzi, ale nie chciała mnie posłuchać. Wielka szkoda.

— Może porozmawiamy później, Delfinie.

— Zaczekajcie chwilę! — rozkazał. — Od początku waszego pobytu w pałacu uważałem, że jesteście, Marto, inna niż te głupie kwoki z otoczenia mojej hrabiny, które ponad wszystko uwielbiają plotki, i że nie macie nic wspólnego z grupką dam szczebioczących wokół koberca. Nie chciałem się teraz rozczarować.

Dziewczyna ustąpiła.

— Dobrze, wysłucham was, byle nie za długo.

Karzeł patrzył na nią uważnie swoim głębokim, inteligentnym spojrzeniem.

— Przez wiele lat przepowiadałem swojej pani przyszłość i prawie nigdy się nie pomyliłem. Dobrze na tym wychodziła, że mnie słuchała. Jeden raz postawiła na swoim i wiadomo, co się stało.

Marta musiała przyznać, że błazen ma rację.

— Delfinie, mówcie szybko, co macie mi do powiedzenia, bez owijania w bawełnę.

— W porządku. Jeszcze do niedawna myślałem, że moja rola dobiegła końca i nie mam już po co żyć bez swojej pani. Ale coś mi mówi, że jeszcze mogę być przydatny jej mężowi... I wam, Marto — dokończył po krótkiej przerwie.

— Mnie?

Delfin westchnął głęboko.

— Zaraz wam udowodnię, że wiem, o czym mówię. Berenguer napastuje was nieustannie i nie zrezygnuje, dopóki nie zaspokozi swojej żądzы.

Marta się zdziwiła.

— Skąd o tym wiecie?

— Wiem o wielu innych rzeczach, które jeszcze nie zdążyły się wydarzyć, ale się wydarzą. Na przykład o tym, że wasz ukochany zostanie chorązym „Lnianogłowego”. I że „Lnianogłowy” nie pożyje długo...

— Co wy mówicie? — Marta była przerażona. — To niemożliwe!

— Na razie mam tylko mgliste przecucie, ale wiem, że to się ziści. Nad Barceloną rozpięta się piekło w postaci wojny domowej. Jeszcze nie teraz, znacznie później.

Wystraszona Marta postanowiła traktować poważnie przepowiednie karła.

— A co będzie ze mną?

— Nie potrafię przewidzieć wszystkiego. Od czasu do czasu intuicja mówi mi, że coś się wydarzy, dostrzegam jakieś znaki i zwykle się nie mylę. Ale powiem wam coś, co tylko was dotyczy. Wasz ojciec wróci do Barcelony.

Marta obrzuciła go nieufnym wzrokiem.

— Jesteście tego pewni?

— Tak samo jak tego, że was widzę.

Dziewczyna podskoczyła z radości.

— Kiedy przybędzie?

— To trudno sprecyzować.

— Powiodło mu się w tej wyprawie?

— Odniósł wielki sukces, o czym już wkrótce będzie głośno na całym Morzu Śródziemnym.

— Uczyniliście mnie najszczęśliwszą z dziewczyn. Wraz z przybyciem ojca skończą się wszystkie moje zmartwienia.

— Nie byłbym tego taki pewien...

— Dlaczego?

— W waszym życiu nastąpią wielkie zmiany — oświadczył karzeł.

— Naprawdę muszę już iść, Delfinie... — powiedziała Marta, podnosząc się z ławy. — Jeśli wasza przepowiednia się spełni, uwierzę we wszystko, co mi powiecie.

— Proszę nie odchodzić. Siadajcie z powrotem.

Głos Delfina zabrzmiał kategorycznie.

Marta spojrzała na niego z niepokojem, lecz wykonała polecenie i podwinąwszy suknię, usiadła.

— O jakich zmianach mówicie?

— Czekają was trudne lata, pełne trosk i zgryzoty, Marto. Zaciśnie się wokół was pętla zdrady i... — Delfin pokręcił głową, jakby chciał odpędzić od siebie straszliwą wizję, albowiem ujrzał młodą, piękną Martę złożoną ciężką chorobą... leżącą nieruchomo na łóżku... Ten obraz go przeraził. — Zaufajcie ludziom, którzy naprawdę was

cenia i zróbcie to, co wam poradzą, żeby wyrwać się z zasadzki — powiedział.

— Nie rozumiem. Mam wrażenie, że coś innego chcieliście mi powiedzieć.

Twarz Delfina była nieprzenikniona jak maska.

— Początkowo chciałem wam jeszcze poradzić, że lepiej byłoby zapomnieć o młodym wicehrabim Cardony, ale widzę, że na to już za późno. Wasz los jest przesądzony, co ma być, to będzie. Idźcie z Bogiem, Marto, i uważajcie na siebie.

Nic więcej nie dodał, więc zakłopotana dziewczyna poszła się przebrać, jak jej przykazała doña Lionor. Z pomocą Aminy włożyła adamszkową suknię barwy miodu z okrągłym wycięciem i wąskimi rękawami, narzuciła na ramiona wzorzysty szal z jedwabiu, włosy zebrała pod siatką dobraną kolorem do sukni i wpięła w nie małe fioletowe kwiatki, które współgrały z barwą jej pantofelków. Stanąwszy przed polerowanym lustrem, zobaczyła w nim piękną, elegancką damę.

— Jak wyglądam, Amino?

Przywiązywała dużą wagę do zdania przyjaciółki.

— Olsniewajaco. Mówię szczerze.

— Wiesz, co usłyszałam od Delfina?

— Skąd mam to wiedzieć, pani?

— Że mój ojciec wraca do Barcelony!

Amina się zamyśliła.

— Nie brałabym zbyt poważnie tego, co mówi karzeł... Od śmierci hrabiny snuje się po pałacu jak pokutująca dusza, zagubiony, strapiony, i przyczepia się do każdego, kto zechce go wysłuchać.

Marta przyznała jej rację skinieniem głowy.

— Jednak udało mu się wzbudzić mój niepokój... Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zamilkł i patrzył na mnie, jakbym... — Szybko otrząsnęła się z przykrego wrażenia i zerwała się na nogi. — Muszę iść, hrabia na mnie czeka.

Marta i hrabia

Oficer straży zatrzymał ją przed wejściem do gabinetu. Znał wszystkie damy zmarłej hrabiny i oczywiście wiedział, kim jest Marta Barbany.

— Proszę zaczekać. Zawiadomię hrabiego o waszym przybyciu.

Zdenerwowana dziewczyna została pod drzwiami, ale oficer zaraz wrócił.

— Możecie wejść, hrabia was przyjmie.

Drzwi się otworzyły i dyżurny seneszał zaprosił ją do środka. Nigdy dotąd nie wchodziła do tej komnaty sama, zawsze robiła to w towarzystwie innych dam albo z Sanchą. Poczuli się onieśmielona, gdyż to miejsce wywierało duże wrażenie. Długi salon o grubych murach częściowo pokrytych gobelinami, w głębi na małym podwyższeniu tron hrabiowski bez żadnych ozdób, a przy nim kilka taboretów. Przez dwudzielne okna arkadowe z kolorowymi szybami połączonymi paskami ołowiu wpadało przyćmione światło. Było tu tak uroczyście, że Martę ogarnęło wzruszenie. Hrabia siedział na tronie, opierając prawą nogę na ławeczce ustawionej na najniższym stopniu. Z odległości, która wydawała się Marcie ogromna, Ramón Berenguer I, z łaski bożej hrabia Barcelony, uczynił ręką przyjazny gest, zachęcając, aby podeszła do niego bliżej.

— Wejdz, moja córko, nie stój w drzwiach.

Następnie zwrócił się do seneszała.

— Niech przysuną fotel dla tego dziecka.

Podczas gdy oficer ustawiał wygodny fotel, Marta zbliżyła się do tronu i uniósłszy rąbek sukni, nisko skłoniła się z wdziękiem, czekając, aż hrabia wyciągnie rękę, aby mogła oddać mu należyty hołd.

Podczas gdy składała pocałunek, muskając lekko wargami grzbiet wyschniętej dłoni, usłyszała serdeczny głos starca.

— Podnieś się. Wyprostowała się jak struna.

— Przyprawiasz mnie o zazdrość! Ojcowski ton hrabiego ukoił jej nerwy.

— Dlaczego, dostojny panie?

Seneszał uśmiechnął się mimo woli.

— Podniosłaś się z takim wdziękiem i lekkością, podczas gdy ja, staruch cierpiący na podagrę, z trudem mogę zrobić parę kroków bez laski. Ten ból w nodze mnie wykończy. W dniach, kiedy dopada mnie atak podagry, nie mogę się nawet poruszyć, a co dopiero mówić o dosiadanu konia! Nie wyobrażam sobie, jak to będzie podczas ślubu Sanchy. Czy zdołam się podnieść w katedrze?

— Dostojny panie, jeśli chcecie, chętnie zastąpię wam laskę i posłużę swoim ramieniem.

Tym razem Gualbert Amat nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

Rozbawiony hrabia obserwował Martę z ciekawością.

— Zrobiłabyś to dla mnie?

— I to, i wszystko, czego zażądacie.

— Teraz rozumiem, dlaczego hrabina miała do ciebie taką słabość i dlaczego moja córka Sancha darzy cię sympatią. — Zwracając się do seneszała, dodał: — Sądzę, Gualbercie, że naszej szlachcie przydałaby się nowa krew. Macie przed sobą barcelońską dziewczynę, która nie szczydzi się szlacheckimi herbami, ale jest pełna gorliwości i wykazuje wielką śmiałość. Myślę, że ona niczego się nie boi.

Westchnął ze smutkiem.

— Tak mówiono o mojej żonie, jak wiecie. Wciąż nie umiem pogodzić się z jej śmiercią, brak mi jej podczas oficjalnych ceremonii, lecz najbardziej tęsknię w zaciszu naszej alkowy, wspominając chwile, kiedy wspólnie omawialiśmy wydarzenia dnia. Nigdy nie wahała się wyrazić swojego zdania. Taki już miała charakter. Podtrzymywała mnie na duchu swoimi radami, uporem i wolą walki

z przeciwnościami losu. Czasem wieczorem przyłapuję się na tym, że mówię sam do siebie w przebieralni, czekając, co ona mi odpowie. Nie bacząc na przestrogę dońi Lionor, poruszona Marta zawołała pod wpływem impulsu:

— Dobrze was rozumiem, dostojny panie!-Hrabina pozostawiła po sobie ogromną pustkę w sercach wszystkich ludzi, którzy ją kochali.

Hrabia i senezal wymienili się spojrzeniami. Zazwyczaj osoby przyjmowane przez hrabiego nie śmiały otworzyć ust bez pytania, tymczasem ta dziewczyna zachowywała się tak naturalnie, jakby znajdowała się w pokoju krawieckim i rozmawiała z innymi damami.

— Podoba ci się życie w pałacu? — zapytał hrabia.

— Jeśli mam być szczerą, na początku trudno było mi się przyzwyczać.

— Nie o to pytałem. Czy teraz jesteś szczęśliwa?

— Szczęście nie jest czymś, co trwa wiecznie — odparła Marta z powagą nielicującą z jej wiekiem. — Przychodzi i odchodzi, dobre dni przeplatają się z gorszymi... — Wzdrygnęła się na myśl o tragedii sprzed kilku miesięcy i wspomnienie ukrytych gróźb Berenguera.

— Nie odpowiedziałas mi, Marto. Wobec tego zapytam wprost: gdybyś mogła wybierać, wołałabyś wrócić do domu czy pozostać w pałacu?

Marta się zastanowiła.

— Nie ukrywam, że tęsknię do ojca... — Pomyślała jednak o Bertranie, miłych chwilach spędzonych z nim w oranżerii i dodała: — Chyba chciałabym mieszkać w obu miejscach naraz!

Hrabia się uśmiechnął.

— Obawiam się, że wkrótce będziesz musiała podjąć bardziej konkretną decyzję. Jeśli moje wieści są prawdziwe, statek pod dowództwem twojego ojca przepłynął wczoraj obok przylądka Creus, a dziś rano znajdował się na wysokości wysp Medes. Wezwałem cię do siebie, żeby ci to przekazać.

Marta natychmiast przypomniała sobie słowa Delfina. Potem bez zastanowienia podskoczyła jak na sprężynie i obejmując starego hrabiego za szyję, ucałowała go w brodate policzki. Na twarzy senezala Gualberta Amata po raz kolejny odmalowało się bezgraniczne zdumienie.

Arbucias

Rashid al-Malik obudził się z głębokiego snu. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się znajduje i co się z nim stało. W jego myślach zaczęły się pojawiać strzępy obrazów: dwóch mężczyzn niosło go za ręce i nogi ciasnym korytarzem, wypełniając rozkazy wydawane przez trzeciego, który prowadził ich po szerokich krętych schodach... Nic więcej nie pamiętał. Dotknął głowy, która wciąż go bolała, i zdziwił się, wyczuwając bandaż. A więc ktoś zajął się jego raną.

Z trudem podźwignął się z nieznanego legowiska i podszedł do drzwi, lecz nie mógł ich otworzyć. Rozejrzał się po pokoju, umeblowanym skromnie, ale w miarę wygodnie. Na stoliku obok łóżka stał talerz z jedzeniem i nagle Rashid poczuł, że jest bardzo głodny. Tysiące pytań krążyło mu po głowie, zrozumiał jednak, że jest zamknięty i że ktokolwiek jest sprawcą jego porwania, zadał sobie dość trudu, żeby opatrzyć mu ranę, umieścić go w prywatnym pokoju i przynieść jedzenie. Ostrożnie wziął do ust pierwszy kęs, bojąc się, że może zawierać truciznę. Nie wyczuł nic podejrzanego, więc zjadł wszystko z talerza i chociaż był zmęczony i obolały, poczuł się znacznie lepiej.

Tak minęły trzy dni, kiedy widywał jedynie potężnej postury służącego, który przynosił mu pożywienie i zabierał puste talerze. Człowiek ten traktował go z szacunkiem, lecz oprócz podania swojego imienia — Sisebuto — nie odpowiedział na żadne inne pytanie. Rashid wciąż się zastanawiał, dlaczego go tu trzymają.

Czego od niego chcą? Jedyne, co mógł zrobić, to wpatrywać się w okno, za którym niewiele było widać.

Czwartego dnia nastąpiła zmiana. Zobaczył z okna wspaniałą karetę zaprzęzoną w dwa kasztanki i dwa siwosze. Na grzbiecie pierwszego konia siedział pocztylion, na koźle dwóch woźniców, na stopniach z przodu i z tyłu powozu stało dwóch giermków. Karetka zatrzymała się przed żelaznym ogrodzeniem, brama otworzyła się, żeby ją wpuścić, i zaraz potem znowu zamknęła. Rashid zrozumiał, że wkrótce rozstrzygnie się jego los.

Patrzył, jak woźnica zeskakuje z kozła, biegnie otworzyć drzwiczki, a jeden z giermków stawia przed nimi na ziemi drewniany schodek.

Z karety wysiedli dwaj wytwornie odziani mężczyźni, jeden z nich w stroju mauretańskim, co zdziwiło Rashida. W wyglądzie drugiego uderzyło go to, że miał opaskę na lewym oku. Podczas gdy kroczyli kamienną dróżką w stronę domu, wyszedł im na spotkanie człowiek, który mu posługiwał. Potem Rashid stracił ich z pola widzenia, ponieważ znaleźli się przed wejściem do domu.

Zorientował się, że ta wizyta musi mieć coś wspólnego z jego porwaniem, co potwierdziły szybkie kroki zmierzające do jego więzienia. Służący otworzył drzwi i wysuwając głowę, powiedział uprzejmym jak zwykle tonem:

— Don Al-Malik, zarządca ma życzenie was widzieć. Jeśli pozwolicie, zaprowadzę was do niego.

— Zdaje się, że nie mam wyboru. Już idę.



W pokoju zarządcy rozmawiali trzej mężczyźni: Marçal de Jaume, Bernabé Mainar i gospodarz, Pere Fornells. Ten ostatni udzielał przybyłym informacji na temat Rashida.

— Został tu przywieziony w opłakanym stanie. Wasi ludzie za mocno go poturbowali. Musiałem wezwać medyka, żeby opatrzył mu rany.

Don de Sant Jaume zwrócił się do Mainara.

— Mówiłem wam, że moim zdaniem nie trzeba używać dużo siły, aby wsadzić takiego starca do powozu i przywieźć go na miejsce.

— Przyznaję się do winy — odrzekł Mainar. — Wpoilem swoim ludziom wielkie poczucie odpowiedzialności i widocznie trochę

przesadzili w trosce o należyte wykonanie zadania. Gorliwość i pośpiech musiały im się pomylić z grubiaństwem, dlatego tak się stało. — Po czym zwracając się do zarządcy, dodał: — Mam nadzieję, że już wydobrzała.

— Medyk wykonał dobrą robotę. Starzec długo był nieprzytomny, ale teraz czuje się lepiej. Przynajmniej tak mi powiedziano.

— Nie sądzicie, że podczas przesłuchania powinniśmy siedzieć za kotarą, tak aby nie widział naszych twarzy? — zapytał don de Sant Jaume.

— Nie sędzę, panie — odparł Mainar. — W ten sposób nie pozyskamy jego zaufania. Trzymajmy się ustalonego planu. Musimy go przekonać, że działamy w imieniu hrabiego, który dowiedział się o jego wynalazku i nie chce, aby coś tak niezwykłego wpadło w niepoważane ręce. Powiemy, że hrabia sownie wynagrodzi jego usługi. Jeśli nam uwierzy i zgodzi się współpracować, wszystko pójdzie łatwiej. W przeciwnym razie sam sobie będzie winien, bo sprawa się skomplikuje.

— Ale zobaczy nasze twarze.

— I co z tego? Tak czy inaczej czeka go śmierć. Jego postawa może mieć wpływ tylko na formę zgonu. Albo umrze łagodnie w łóżku po podaniu trucizny, albo w lochach, błagając o skrócenie męki. Nie ma znaczenia, że pozna nasze twarze... Będzie miał co wspominać na tamtym świecie.

— Zatem pora zaczynać. Jeśli nie sprawi to wam kłopotu, drogi zarządcu, każcie wprowadzić waszego gościa do salonu, a potem zostawcie nas samych.

Fornells poszedł wykonać polecenie swojego pana. Po chwili rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

— Wejdźcie! — Głos doña de Sant Jaume zabrzmiał władczo. Potężny sługa wprowadził Rashida al-Malika przed oblicze po rywaczy i zatrzymał się przy drzwiach w postawie wyczekującej.

— Zostaw nas samych, Sisebuto, ale bądź gdzieś w pobliżu, bo możemy cię potrzebować — rozkazał don de Sant Jaume.

Olbrzym skinął nieśmiało głową i wycofał się z salonu. Rashid od razu się zorientował, że to właśnie ci mężczyźni, których widział wysiadających z karety.

Obaj wstali z miejsc, co bardzo go zdziwiło.

— Podejdźcie bliżej, drogi panie, i zajmijcie miejsce. Nie wypada, żeby człowiek w waszym wieku stał podczas rozmowy.

Rashid zrobił parę kroków, zaskoczony uprzejmym powitaniem, zupełnie bowiem inaczej to sobie wyobrażał.

Szlachcic w stroju mauretańskim wskazał mu jeden z klasztornych foteli ozdabiających salon.

Rashid usiadł, a oni uczynili to samo.

— Głęboko ubolewamy nad skandalicznym zachowaniem naszych ludzi, którzy potraktowali was tak obcesowo — mówił dalej szlachcic. — Zapewniam was, że spotkała ich za to kara. Nie wolno mylić skuteczności z brutalnością. Mieli przykazane grzecznie was poprosić, byście zechcieli pójść z nimi, zmusić was do tego w razie potrzeby, nie przeczę, ale nie w taki sposób, jak to zrobili. Uważamy was za człowieka inteligentnego, który potrafi ocenić sytuację, w jakiej się znalazł, i nie wątpimy, że mogło się obejść bez użycia siły.

Słuchając uważnie tych wyjaśnień, Rashid doszedł do dwóch wniosków: po pierwsze, jego uwięzienie nie było fatalną pomyłką, a po drugie, ci mężczyźni coś od niego chcieli.

Jego bystry umysł uchwycił jeszcze jedną rzecz. Człowiek z przepaską na oku dotąd nic nie powiedział, ale Rashid był pewny, że gdy się odezwie, bez wątpienia uczyni to innym tonem.

— Wydaje mi się, że każdą sprawę można omówić bez uciekania się do przemocy — odparł ostrożnie. — W Barcelonie codziennie zawiera się jakieś układy, ale nie sądzę, by z tego powodu ktoś został porwany lub, co gorsza, pobity tak jak ja.

Don de Sant Jaume kontynuował.

— Macie rację, wszelako gdy dojdziemy do sedna sprawy, zrozumiecie, na czym polega wyjątkowość naszych zamiarów.

Rashid czuł na sobie nieruchome jak u węża spojrzenie jednookiego, które zdawało się przeszywać go na wylot, i opanowując rodzący się strach, próbował okazać hart.

— Więc zaczynajcie od tego, co powinno być na początku, i za kończmy jak najszybciej tę maskaradę.

Jednooki po raz pierwszy otworzył usta.

— Radzę pamiętać, że maskarada czasem przekształca się w tragedię.

Szlachcic pośpieszył załagodzić napięcie.

— Ale nie musi tak być, jeśli zechcecie z nami współpracować, jak przystało na rozsądnego człowieka.

— W porządku. Powiedzcie, czego ode mnie chcecie, a zoba-

czycie, że jeśli jest w mojej mocy wam to zapewnić, cała ta historia powinna mieć inny przebieg. Nie mówię o krzywdzie, jaka mnie spotkała, tylko o tym, że przyczyniliście się do wywołania wielkiego niepokoju w domu Martiego Barbany.

— Zdajemy sobie z tego sprawę, ale gdy się dowiecie, jaką mamy misję do spełnienia, zrozumiecie, że nie mogliśmy postąpić inaczej i musieliśmy zastosować wszelkie środki ostrożności.

— Wobec tego cały zamieniam się w słuch.

— Zanim przystąpimy do rzeczy, pragnę was uprzedzić, że możecie sobie oszczędzić zaprzeczania czemukolwiek. Doskonale wiemy, o czym mówimy, mamy na to niezbitę dowody i kierujemy się sprawdzonymi faktami.

Rashid potwierdził gestem ręki, że rozumiał przestroagę.

— Wiemy, że wasz amfitrion dorobił się takiego majątku dzięki wam. Jesteście jego prawą ręką w interesach związanych z czarnym olejem. Nie zamierzamy się w to wtrącać, powiem więcej: bardzo nas to cieszy. Jednakowoż przybyliście do Barcelony z odległego kraju, aby zaproponować przyjacielowi coś, co zaginęło w mrokach dziejów, a w starożytności było znane jako grecki ogień.

Na dźwięk ostatnich słów Rashidowi rozjaśniło się w głowie.

— Podążacie za naszym tokiem rozumowania, prawda? Idźmy zatem dalej: my dwaj i inne osoby bardzo wysokiej rangi jesteśmy zdania, że tak istotna i ważna tajemnica powinna znaleźć się w posiadaniu królestwa, a nie w rękach prywatnej osoby, która mogłaby wykorzystać ją w sposób bezprawny i nieuczciwy, dążąc do przejęcia władzy. Mamy absolutną, niepodlegającą dyskusji pewność, że znacie sekretną formułę i że udostępniście ją waszemu protektorowi. Wiemy również o próbie, jaką przeprowadziliście pewnej nocy na sadzawce Murtra przy pomocy sługi waszego anfitriona, i znamy jej rezultat.

Rashid nie zadał sobie trudu, by temu zaprzeczyć.

— Czego ode mnie chcecie?

— Chyba się domyślacie. Wolelibyśmy, aby tajemnica tego wynalazku należała jedynie do hrabiego, ale skoro to już nie jest możliwe, chcemy, aby miał on co najmniej taką samą wiedzę, jaką ma na ten temat jeden z jego poddanych. Nie można pozwolić, aby taka potęga pozostawała do dyspozycji zwykłego poddanego, zamiast znaleźć się w rękach naszego władcy.

— Dlaczego nie zostałem wezwany do pałacu, gdzie odpowiednia osoba powiedziała by mi to samo co wy, nie czyniąc takiego zamieszania i nie wyrządzając tylu krzywd?

Po raz drugi przemówił jednooki.

— Po pierwsze, nie widziano takiej potrzeby. Po drugie, hrabia ma znacznie ważniejsze sprawy i nie może poświęcać swojego cennego czasu na rozmowę z cudzoziemcem. Po trzecie, nie nad używajcie naszej cierpliwości, bo miarka się przebierze.

Don de Sant Jaume ponownie musiał interweniować.

— Zrozumcie, że jesteście na przegranej pozycji i uporem niczego nie zwojujecie. Każdy z nas ma własny sposób przedstawiania sprawy: ja jestem zwolennikiem dyskusji i nie chcę sprawiać nikomu przykrości, ale ktoś inny woli działania praktyczne i bezpośrednie — dokończył, patrząc na Mainara.

Myśli Rashida pędziły jak wichur po stepie. Jeśli zgodzi się na współpracę i zdradzi im sekret zazdrośnie strzeżony przez jego przodków, ci złoczyńcy staną się tak wszechmocni, że będą mogli zawładnąć hrabstwem pod jakimkolwiek pretekstem. Jeśli tego nie zrobi, zginie w okrutnych męczarniach, miał tego świadomość. Pozostawało mu jedynie prowadzić taką grę, aby zyskać na czasie, dlatego spróbuje przekonać porywaczy, że zasady nie pozwalają mu na ustępstwa.

— Mężczyzna może zdradzić wszystko oprócz swoich przekonań. Przysiągłem przy łożu umierającego ojca, że nikomu obcemu nie zdradzę formuły wytwarzania greckiego ognia.

— Mam rozumieć, że przyznajecie sobie prawo wyboru, kiedy wypada wam to uczynić, a kiedy nie? Przecież już to zrobiliście, o czym dobrze wiemy.

— Zrobiłem to, aby dopomóc przyjacielowi i protektorowi w odzyskaniu statku porwanego z całą załogą przez piratów. Cel był szlachetny. Dlatego sporządziłem pewną ilość produktu, ale nikt nie zna jego składu. Formuły nie zdradziłem.

— Nie próbujcie nas oszukiwać! — rzucił z gniewem jednooki. — Mamy uwierzyć, że Marti Barbany sam nie potrafi wyprodukować tej przeklętej substancji?

— Uwierzycie czy nie, to nie mój problem. Ja powiedziałem prawdę.

Don de Sant Jaume wtrącił pojednawczo:

— Zgodnie z prawem poddany powinien stawiać na pierwszym miejscu interesy swojego władcy. Nie ma nic ważniejszego, co pozwoliłoby człowiekowi stawiać się ponad prawem.

— Owszem, jest coś ważniejszego: sumienie. Nie mogę złamać przysięgi złożonej umierającemu ojcu. Poza tym nie jestem poddanym hrabiego Barcelony i jego prawa mnie nie dotyczą. Zatem jeśli nie macie lepszych argumentów...

— Drogi przyjacielu, niepotrzebnie tracimy cenne chwile — powiedział jednooki, zwracając się do doña de Sant Jaume. — Czas pokazać mu nasze argumenty.

Szlachcic wydał głębokie westchnienie.

— Nienawidzę takich rzeczy, ale obawiam się, że nie mamy innego wyjścia.

Wstając z fotela, zaklaskał dwukrotnie w dłonie. Natychmiast otworzyły się drzwi, w których pojawił się olbrzymi sługa.

— Przygotowałeś do zwiedzania swoją salę? — zapytał go Marçal.

— Zawsze jest gotowa, panie, na wypadek gdybyście jej pilnie potrzebowali.

— No to chodźmy tam, żeby don Al-Malik naocznie się przekonał o twoich możliwościach.

Trzej mężczyźni ruszyli za Sisebutem. Rashid znalazł się w środku orszaku. Zeszli na dół po szerokich schodach i podążyli w szeregu do końca korytarza na parterze. Kiedy znaleźli się pod arkadą łączącą korytarz z sienią, sługa wymacał uchwyt ukryty w ścianie, która nagle się rozsunęła. Oczom zdumionego Rashida ukazał się otwór z wąskimi schodami, prowadzącymi, jak przypuszczał, do piwnicy.

Sługa wziął zapaloną żagiew ze stojaka po lewej stronie i poszedł przodem, oświetlając kamienne schodki.

Rashid miał wrażenie, że jest to wejście do piekieł. Drżąc na całym ciele, modlił się w duchu o siłę, aby godnie stawić czoło temu, co go czekało. Zeszli na sam dół. Przejście między zatechłymi od wilgoci murami zwężało się do tego stopnia, że człowiek normalnego wzrostu, wyciągając ramiona, mógł swobodnie dotknąć ścian po obu stronach. Idąc, mijali wiele zamkniętych drzwi. Cisza na tych głębokościach była przytłaczająca. W milczeniu doszli do

końca korytarza. Sługa sięgnął do zawieszzonego u pasa kółka z kluczami i wyjął jeden z nich. Zamek nawet nie zazgrzytał, co znaczyło, że był dobrze naoliwiony i często używany. Żelazne drzwi wzmocnione grubymi nitami otworzyły się pod naporem silnych ramion olbrzyma, który natychmiast usunął się na bok i podnosząc wysoko pochodnię, wpuścił do środka swoich gości, sam zaś zaczął zapalać od płomienia żagwi grube świece w lichtarzach umieszczonych w okrągłych klatkach na ścianie. Powoli robiło się jaśniej. Rashid patrzył z przerażeniem na wyłaniające się z ciemności narzędzia tortur.

Głos doña de Sant Jaume rozbrzmiewał w jego głowie. Rashid był wstrząśnięty, że ten człowiek zachowuje się tak swobodnie, jakby oprowadzał go po swoim domu, pokazując myśliwskie trofea.

— Zacznijmy od początku, kochany przyjacielu. To, co tu widzicie — powiedział, podchodząc do urządzenia z wałkami, sznurami i krążkami, które znajdowało się w centralnym miejscu — to ława tortur, trochę podniszczona, ale wciąż przydatna. Kładzie się na niej takiego jak wy uparciucha, pociąga za sznury i po paru obrotach korby, kiedy kości wyskakują mu ze stawów, zaczyna on mówić. W ten sposób oszczędza obsługującemu narzędzie dalszego wysiłku, a sobie większych cierpień. Przejdźmy dalej. Oto pręgierz. Wiecie, jak działa, więc nie będę wyjaśniał, ale pozwolę sobie na małe uzupełnienie. Spójrzcie na ten siedmioogoniasty bat z metalowymi końcówkami. Wywołuje zadziwiający efekt: od zadanych ciosów rozmięka skóra na rękach więźnia, a metalowe blaszki wrywają po kawałku żywe mięso. Nie muszę opisywać wyglądu takiego nieszczęśnika. Co jakiś czas trzeba go orzeźwić — wskazał na beczkę z brudną wodą — a jeśli to nie wystarcza, kładzie się go na drewnianym łożu z kolcami ostrymi jak u jeżowierza.

Tu wszedł mu w słowo jednooki.

— Przez cały czas jest on pod moją kontrolą. Ja zdecyduję, kiedy przerwać, bo wiem, ile może wytrzymać taki człowiek. Mam w tym duże doświadczenie. Nie chcemy dopuścić do przedwczesnej śmierci. Wzywamy medyka, żeby go ocucił, i odkładamy pracę do następnego dnia albo jeszcze później. To delikatne zadanie. Nie możemy pozwolić, aby wyzionął ducha, zanim osiągniemy swój cel.

W tym momencie Rashid podjął decyzję.

Udał, że się zastanawia, potem pokiwał głową, jakby te argumenty

go przekonaly, i postawil kilka warunkow, ktore mialy uwiarygodnic jego kapitulacje.

— Chcialem byc wierny swoim zasadom, ale nie mam duszy męczennika. Jeśli zapewnicie mi odpowiednie miejsce i niezbędne składniki, wyprodukuję dla was trochę greckiego ognia, ustalimy dokładnie ile. A po zakończeniu pracy pozwolicie mi odejść.

Don de Sant Jaume wymienił z jednookim triumfujące spojrzenie.

— Widzicie, że lepiej posłuchać głosu rozsądku? Daję wam słowo, że odzyskacie wolność, gdy zdobędziemy odpowiednią ilość waszego cudownego produktu i sprawdzimy jego skuteczność. Powiedzcie, czego wam trzeba do pracy, a zaraz to dostarczymy.

— I przygotujcie odpowiednie miejsce. Zamknięte, szczelne i bez żadnych otworów, przez które wpadałoby światło słoneczne.

— Możecie na to liczyć. W drugim końcu ogrodu jest głęboka grotta, która idealnie spełnia wasze wymogi. Tam urządzimy dla was miejsce pracy.

Ci dwaj dobrze wiedzieli, że to dopiero początek i że prędzej czy później będzie musiał im zdradzić sekretną formułę. Ale nie wiedzieli, że Rashid też coś knuje.

Powrót Martíego

Podróż powrotna do Barcelony przebiegała pracowicie. Spotkanie w Syrakuzach z Robertem Guiscardem potrwało dłużej, niż Martí planował, i zajęło kilka dni. Musiał bowiem zdać księciu sprawę z zakończenia akcji odbicia „Lai” i podziękować za bezcenne wsparcie ze strony admirała Tullia Fieramoski na „San Niccoló” oraz doborowej grupy normańskich rycerzy, gdyż koniec końców dzięki nim zdołał uwolnić kapitana Jofre wraz z załogą. Opowiedział, jak skończył pirat, i udzielił skąpych informacji o greckim ogniu, który wzbudził ogromny podziw admirała. Kiedy Guiscardo zapytał, czy może liczyć na ten cudowny wynalazek, Martí zgrabnie wykręcił się od złożenia obietnicy, nawiązując w odpowiedzi do ewentualnej współpracy między księciem Sycylii a hrabią Barcelony w przyszłości, kiedy oba te domy połączą się poprzez małżeństwo swoich dzieci.

Wreszcie „Santa Marta” i „Sant Tomeu” mogły opuścić Syrakuzy. Na pierwszym statku pod dowództwem Martíego płynął Jofre, który miał wiele do opowiadania, Ahmed oraz część uwolnionej załogi. Drugim dowodził Felet. Manipoulos wyruszył na „San Niccoló”, żeby zabrać „Laię” i sprowadzić ją do Barcelony.

Płynęli wzdłuż linii brzegowej, gdyż morze było wzburzone i nie chcieli się narażać na niebezpieczeństwo; wody Zatoki Lwiej w okolicach Marsylii pochłonęły już wiele ofiar. Podczas przeprawy Martí dowiedział się od kapitana Jofre o szczegółach porwania, bestialstwie

piratów i trudach życia w niewoli. Relacja była tak wstrząsająca, że przestał mieć wyrzuty sumienia, iż nie zapobiegł powieszeniu Nagiba na maszcie „San Niccoló”.

Płynęli powoli, fale rzucały dużym statkiem jak łupinką. Z trudem dawało się utrzymać równomierny rytm. Przed rejsem Marti wygłosił przemowę do załogi i część uwolnionych siadała do wioseł na zmianę z galernikami, którzy wyruszyli razem z nim z Barcelony. Wszyscy pragnęli dotrzeć bezpiecznie, jednych motywowała obietnica wolności, drugich — nadzieja na sowite wynagrodzenie.

Marti zabijał nudę długich dni rozmyślaniami o córce, wyobrażał sobie ich powitanie, snuł plany na przyszłość. Tego ranka zostawił Jofrego przy sterze i kazał wezwać Ahmeda do swojej kajuty. Wkrótce usłyszał dyskretne pukanie do drzwi.

— Otwarte!

— Wzywaliście mnie, panie?

Ostatnio za każdym razem, gdy widział Ahmeda, Marti nie mógł się nadziwić zmianom, jakie w nim zaszły. Wesołego chłopca, który wyrósł na jego oczach, dzieliła przepaść od mężczyzny stojącego teraz w drzwiach kajuty; różnice przejawiały się nie tyle w wyglądzie fizycznym, ile w goryczy widniejącej na jego młodej twarzy. Oczy Ahmeda wyrażały bezbrzeżny smutek i dziwną determinację, Marti nie potrafił tego nazwać, ale widział ten błysk już u innych mężczyzn, którzy mają pewien cel w życiu i świadomość własnego przeznaczenia.

— Wejdz, Ahmedzie, i usiądź.

Młodzieniec zbliżył się powoli.

— Siadaj, na co czekasz?

Marti wskazał mu miejsce przy stole. Jednocześnie poczuł zakłopotanie, jakby to nie była rozmowa z domownikiem, lecz trudne pertraktacje w interesach z obcym człowiekiem.

Aby zyskać na czasie, podszedł do szafki w narożniku, wyjął dwie ciężkie szklanice odporne na kołysanie statku i mały bukłak z likierem. Postawił to wszystko na stole, proponując Ahmedowi, żeby się napili.

— Długo myślałem nad tym, co chcę ci powiedzieć. Mam dla ciebie pewną propozycję. Właściwie powinienem był ją złożyć twojemu ojcu, póki żył, ale nie zdążyłem, więc teraz składam ją tobie przez pamięć o nim, ale nie w zastępstwie, gdyż sam zasłużyłeś na to, co chcę ci ofiarować.

— Słucham was, mój panie.

— Tyle razy ci mówiłem, żebyś nie zwracał się do mnie jak niewolnik do pana. Ciągłe muszę o to walczyć i widzę, że nie wygram tej bitwy, ale zostawmy to. Porozmawiajmy o twoich zasługach. Wiem, że przyczyniłeś się w dużej mierze do uratowania kapitana Jofre i jego załogi. To wielka rzecz. A poza tym pomogłeś mi odzyskać mój ukochany statek.

— Panie, ja byłem tylko jednym z ogniw tego wielkiego łańcucha.

— Według mnie najważniejszym ogniwem. Pomogłeś wyprodukować grecki ogień, przetransportowałeś go z Barcelony. Twojej bystrości zawdzięczamy odnalezienie kryjówki pirata i poznanie jego zwyczajów. Z tego, co wiem i co mi powiedziano, ty najwięcej wniosłeś do naszej akcji. Nie tylko wysiłek i odwagę, jak inni, lecz również serce, i zapłaciłeś za to najwyższą cenę, tracąc wspaniałego druha, jakim był Tono Crosetti. Wiem, że pieniądź nie wyrównuje straty bliskich osób, ale pomaga żyć, z czasem sam się o tym przekonasz, choć teraz zapewne w to nie wierzysz. Wydałem kapitanowi Manipoulosowi rozkazy, żeby wrócił do Santa Maria di Leuca i odszukał tam Marię, kobietę, którą tak szlachetnie obroniłeś w tawernie, oraz jej teścia. Nasz przyjaciel dopilnuje, aby nigdy więcej nie zabrakło im tego, co można nabyć za pieniądze. Sądzę, że zasłużyli na taką pomoc.

Tym razem Marti dostrzegł w oczach Ahmeda takie samo ciepłe światło, jakie płonęło w nich dawniej.

— Dziękuję, panie, z całego serca dziękuję.

— Jeszcze nie skończyłem. Twój rodzice byli dla mnie najlepszym wsparciem w trudnych początkach kariery, dzielili ze mną niepokoje, entuzjazm i przykrości. Tysiące razy wyplakiwałem się na ich piersiach. Dlatego podjąłem nieodwołalną decyzję.

Ahmed obserwował mówiącego, zastanawiając się, do czego on zmierza.

— Kiedyś usłyszałem od ciebie coś bardzo ważnego. Powiedziałeś, że każdy człowiek musi mieć pewien punkt oparcia, miejsce, do którego zawsze pragnie wracać. Ludzie nie są stamtąd, gdzie się urodzili, bo tego się nie wybiera, jesteśmy stąd, gdzie chcemy być pochowani. Doświadczenie mówi mi, że takim miejscem dla ciebie jest młyn w Magórii.

Ahmed zamrugnął powiekami.

— Miną lata. Moja córka wyjdzie za mąż. Twoją siostrę Aminę niewątpliwie też to czeka. Niech Bóg da twojej matce Naimie jak najdłuższe życie, ale sądzę, że przyszedł czas, abyście wszyscy mieli własny dom, chociaż w moim zawsze jest dla was miejsce.

— Nie rozumiem was, panie.

— Pozwól mi skończyć, nie bądź taki niecierpliwy. Od dziś ziemia i młyn w Magórii należą do ciebie i do twojej rodziny. Kiedy wrócimy do Barcelony, potwierdzę to urzędowo.

Ahmed zbladł z wrażenia.

— To jeszcze nie wszystko. Pomogę ci wybudować dom, w którym będziesz żył ze swoją rodziną i który zostawisz swoim dzieciom i wnukom. Będziesz wolnym człowiekiem, aczkolwiek już teraz nim jesteś, ale ogłoszę to oficjalnie wobec całej Barcelony. Będziesz pracował ze mną i dla mnie, pomagając mi w interesach, a w moim sercu jest dla ciebie miejsce, które zajmował twój ojciec.



Po trzech dniach od tej rozmowy ujrzeni katalońskie wybrzeże. Najpierw zarysowały się na horyzoncie Montjuïc, Tibidabo i Carmel, potem wystrzeliły w niebo kampanile katedry i kościołów Sants Just i Pastor, Santa Maria del Pi, Sant Jaume oraz Sant Miquel. Serca dzwonów z brązu zabiły radośnie na powitanie sławnego syna Barcelony.

Nareszcie w domu

Przybycie „Santa Marty” do Barcelony stało się wielką sensacją. Wiadomość, iż statek rzuca kotwicę w mulistym dniu przy plaży Barceloneta, rozeszła się wśród ludzi jak ogień w stogu słomy. Pośpiech ojca Llobeta, którego wszyscy znali, majordoma i dowódcy straży, zdążających w kierunku plaży na czele licznych sług domu Barbany, był oficjalnym potwierdzeniem tego faktu. Wszystkich ogarnęło gorączkowe podniecenie. Cumujące przy nabrzeżu barki, które zajmowały się transportem ludzi i towarów, podjęły przygotowania do wypłynięcia. Te, które były na morzu, podpływały czym prędzej jak najbliżej statku, gdyż marynarze oparci o fałszyburtę wypytywali niecierpliwie o swoje rodziny i znajomych. Niebawem zrobił się jeszcze większy hałas, ponieważ „Sant Tomeu” zakotwiczył w odległości trzydziestu—czterdziestu łokci od „Santa Marty”. Wtedy nowina obiegła całe miasto i na plażę zaczęły nadciągać ważne osobistości. Milicja hrabstwa otoczyła kordonem przejście dla *veguera* Oldericha de Pellicer i seneżala Gualberta Amata. Prywatna feluka Martiego wyruszyła ze stoczniowego tartaku po swojego pana. Kiedy dzwony kościelne zabiły na nieszpór, łódź wioząca armatora i kapitanów dobiła do brzegu. Grupa tragarzy szykowała się przenieść sławnych podróżników na własnych plecach. Archidiakon nie mógł się już doczekać i ryzykując zamoczenie sutanny, dotarł do miejsca, gdzie morze liże brzeg, aby jak najszybciej uściskać przyjaciela. Kapitan Munt chwycił w ramiona Gaufreda

i Andreu Codinę, a kapitan Jofre ze łzami w oczach ukląkł na plaży i całował piasek: tak niewiele brakowało, aby nigdy więcej nie zobaczył ojczyzny. Po pierwszych powitaniach i zachwytach wysunęli się do przodu *veguer* i seneszał, aby w imieniu hrabiego i miasta przywitać znamienitego obywatela i zaprosić go do pałacu, kiedy trochę wypocznie.

Łódź obróciła parokrotnie i za trzecim razem przywiozła Ahmeda. Różne myśli i pragnienia gotowały się w jego głowie: chciał uściskać matkę Naimę i siostrę Aminę, ujrzeć Martę i znaleźć się jak najszybciej w młynie Magória, gdzie stanie jego dom, zobaczyć się z Manelem, a potem iść na grób Zahiry nieopodal bezkresnego morza, w którym spoczął na wieki Tono Crosetti, oddawszy życie za to, aby on mógł cieszyć się swoim.



Obiecawszy seneszałowi, że nazajutrz rano stawi się w pałacu, aby złożyć hołd hrabiemu i uściskać córkę, Marti z nastaniem nocy skierował się do swojego domu, który po tak długiej nieobecności i tylu ciężkich przejściach wydawał mu się szczytem marzeń. Został strażę wzmocnione, domownicy oczekiwali go w obszernej sali recepcyjnej. Andreu Codina przekazał mu najpierw smutną wiadomość, że po śmierci Omara wdowa po nim, Naima, pogrążyła się w apatii i zachowuje się tak, jakby nie poznawała nikogo. Potem Marti musiał osuszyć łzy ochmistrzyni Cateriny i kucharki Mariony, które wyplakiwały się na jego ramieniu. Po serdecznym powitaniu służba wróciła do swoich zajęć, a Marti udał się na pierwsze piętro w towarzystwie Eudalda Llobeta, kapitana Munta, Gaufreda i Andreu Codiny. Kapitan Jofre już wcześniej poszedł do domu, odprowadzony przez rodzinę, która czekała na niego na plaży. Jego żonę trzeba było powstrzymywać, albowiem po uściskaniu męża koniecznie chciała ucałować stopy Martiego, który się przed tym bronił.

Kiedy mężczyźni rozsiedli się w pokoju na górze, rozmowa o wyprawie i doznanych cierpieniach musiała zejść na dalszy plan, ponieważ Marti dowiedział się od archidiakona o niepokojącym i niezrozumiałym zniknięciu Rashida al-Malika.

Marti chciał wszystko wiedzieć: kiedy to się stało, jak, dlaczego i co dotychczas zrobiono w tej sprawie? Zgnębiony Gaufred, który

prawie nie spał od tamtego dnia, poinformował Martíego o bezowocnych dotąd poszukiwaniach.

— Dlatego dziś wysłałem zawiadomienie do ojca Llobeta, żeby dopomógł nam swoją radą — zakończy Gaufred. — Don Al-Malika nie ma od tygodnia. Zupełnie jakby zapadł się pod ziemię. Przeprowadziłem śledztwo: nikt go nie widział, nikt nie umie powiedzieć, gdzie przebywa... Przysięgam, panie, że przemierzyłem całe miasto, aby go znaleźć...

— Zawiodłeś mnie, Gaufredzie, swoją lekkomyślnością—twardo powiedział Marti. — Wydałem wyraźny rozkaz, abyś dbał o bezpieczeństwo mojego gościa. Nie wykonałeś go i nie przyjmuję żadnych tłumaczeń ani przeprosin. Źle się stało. Spędziłem na morzu półtora roku, żeby odnaleźć i uwolnić mojego człowieka, wracam do Barcelony i oto zastaję podobną sytuację, tyle że na lądzie, a spowodowało ją nieposłuszeństwo jednego z moich najwierniejszych sług.

Gaufred nie wiedział, gdzie podziać oczy, najchętniej zapadłby się pod ziemię.

— Panie, składam rezygnację ze stanowiska dowódcy waszej straży.

— A ja odmawiam przyjęcia. Nic pora na rezygnację, kiedy trzeba znaleźć jakieś rozwiązanie.

Archidiakon postanowił załagodzić napięcie i zasugerował jedyny możliwy, jego zdaniem, sposób działania.

— Marti, podczas jutrzejszej wizyty w pałacu dobrze byłoby poprosić o pomoc hrabiego. Pewnie się zgodzi, żeby jego milicja przetrząsnęła miasto. Jeśli ktoś więzi Rashida i zobaczy, że szuka go ponad dwustu ludzi, może dojdzie do wniosku, że lepiej go wypuścić niż narażać się na gniew władcy.

— Rozumiem waszą radę, ale wiem z doświadczenia, że ludzi nie porywa się bez powodu i nie wypuszcza, dopóki prześladowca nie osiągnie zamierzonego celu.

Odezwał się Felet.

— Przecież nikt tu nie zna Rashida. Porwano go dlatego, że jest twoim przyjacielem. Zobaczysz, że zażądają od ciebie okupu, moim zdaniem tylko to ich interesuje.

— Nie bądź taki pewien. Chciałbym, żeby tak było. Ale obawiam się, że ten, kto dopuścił się takiego bezprawia, ma o wiele subtelniej sze zamiary.

— Co chcesz powiedzieć?

Wszyscy zawiśli wzrokiem na jego ustach.

— Z tego, co mówicie, nikt jeszcze nie wysuwał takich żądań.

— Bo wiedzieli, że was nie ma, i czekali na wasz powrót do Barcelony.

— Z czego wynika, kochany Eudaldzie, że ten motyw jest już nieaktualny. Całe miasto wie o moim przybyciu. Jeśli w ciągu najbliższych dni nikt się nie zgłosi, to znaczy, że porywaczom nie zależy na moich pieniądzech.

— A zatem? — spytał Felet.

— Mają już to, czego chcieli.

— Co mają, panie? — odważył się zapytać Gaufred.

— Rashida we własnej osobie.

— Nie rozumiem. Jaką wartość przedstawia on w Barcelonie oprócz tego, że jest twoim przyjacielem?

— Rashid posiada wiedzę, która jest warta wszystkich pieniędzy tego świata. A ty, Felecie, wiesz o tym lepiej od innych.

Felet zastanowił się przez chwilę, zanim odpowiedział.

— Kto oprócz nas może o tym wiedzieć?

— Ten, kto go porwał.

Odpowiedź Martiego zrobiła wyłom w ich rozumowaniu. Nikt się nie odezwał. Marti mówił dalej:

— Odczekamy dwa albo trzy dni. Porywacz na pewno już wie, że wróciłem. Jeśli chodzi mu tylko o pieniądze, nie zawaha się nas o tym powiadomić. Natomiast jego milczenie będzie bezspornym znakiem, że ma już to, czego chciał. Jutro porozmawiam o tym z hrabią i ubłagam go, żeby za trzy dni wysłał swoją milicję na poszukiwanie Rashida.

Po tych słowach Marti pożegnał swoich gości i poprosił, żeby zostawili go samego z archidiakonem. Felet ociągał się z wyjściem.

— Potrzebuję odpocząć, zgoda, ale nie wiem, czy zdołam zasnąć w domowych pieleszach. Jutro przyjdę tutaj w porze obiadowej, żebyś mi powiedział, w czym mogę pomóc. Teraz pójdę zobaczyć, czy dom stoi tam, gdzie go zostawiłem.

Kapitan Munt był niezonaty i chociaż Marti wielokrotnie proponował, żeby zamieszkał w jego domu, żeglarz wołał swoją siedzibę:

małą, lecz wygodną mansardę w dwukondygnacyjnym budynku nieopodal rzymskich ruin Paradis. W gospodarstwie pomagała mu młoda wdowa, a w zimowe noce, kiedy nie był na morzu, ogrzewała jego łóżko.

Trzej mężczyźni pożegnali się i wyszli.

Drzwi zamknęły się za nimi i dwaj przyjaciele zostali sami.

Archidiakon pragnął usłyszeć całą historię długiego rejsu, a Marti wypytywał przede wszystkim o swoją córkę i o szczegóły dramatycznych wydarzeń, jakie pod jego nieobecność rozegrały się w Barcelonie.

Racząc się winem z dzbanów, udzielali sobie nawzajem wyjaśnień.

— Przede wszystkim powiedzcie mi, Eudaldzie, jak czuje się moja córka — powiedział Marti drżącym ze wzruszenia głosem.

— Czeką was wielkie zdziwienie. Nie ujrzyjecie dziewczynki, tylko młodą kobietę, która zachwyca urodą i dystynkcją, przy czym nadal nie brak jej tupetu. Zrobiła się bardzo podobna do matki, sami zobaczycie.

— Przywykła do życia w pałacu?

— Wasza córka jest godna podziwu. Zaskarbiła sobie uczucie hrabiny, a po jej tragicznej śmierci zyskała nawet sympatię hrabiego, który docenił wsparcie, jakie okazała w tych trudnych momentach hrabiance Sanchy. — Ojciec Llobet zrobił pauzę i uśmiechnął się. — Ale nie tylko rodzina hrabiego darzy Martę uznaniem...

— O czym mówicie? — zapytał Marti nieco speszony.

— Oprócz hrabiego macie jeszcze jednego rywala w uczuciach Marty.

— Przestańcie bawić się w zagadki i mówcie wprost, o co chodzi.

— Jest w pałacu pewien młodzieniec, który zapalał do niej wielką miłością...

— Chcecie mi wmówić, że Marta zainteresowała się jakimś dworskim paniczkiem?

— Dziwiłbym się, gdyby było inaczej. Zapewniam was, że syn wicehrabiego Cardony, bo o nim mowa, nie jest zadufanym młokosem jak większość potomków szlacheckich rodów. Według moich informacji, które pochodzą od senezala i od samego Ramóna Berenguera, syna hrabiego, to wspinały chłopak, który bardziej niż tytułem budzi uznanie swym niezwykle szlachetnym charakterem. Znalazł się na dworze jako zakładnik w zastępstwie ojca i z pew-

nością już niedługo będzie pasowany na rycerza. Jeśli się nie mylę, młody hrabia Ramón zamierza go mianować swoim chorążym.

— Co wy mówicie, Eudaldzie? Nie wierzę własnym uszom, na rany Chrystusa!

— Zdaje się, że zaszkodziły wam morskie wiatry i nie chcecie pogodzić się z faktem, że czas płynie dla wszystkich.

Marti milczał przez dłuższą chwilę.

— Zabiorę ją z pałacu do domu. Tak będzie lepiej. Pragnę nacieszyć się jej obecnością i nie chcę, żeby zakochała się w kimś, kto przewyższa ją urodzeniem, bo taka miłość przyniesie jej tylko cierpienia. Kiedy przyjdzie odpowiednia pora, ale jeszcze nie teraz, Marta powinna znaleźć męża wśród synów rodzin, które, tak jak ja, są zwykłymi obywatelami Barcelony...

— Nie rozumiem was, Marti. To po co było umieszczać ją w pałacu? Przecież bardzo wam na tym zależało.

— Chciałem, żeby zdobyła wykształcenie na dworze hrabiny i nabrała ogłady. Sądziłem, że w ten sposób zapewnię jej również bezpieczeństwo. Nie ukrywam, że obawiałem się, aby pod moją nieobecność nie przytrafiło się jej coś złego, coś takiego, jak to, co przytrafiło się Rashidowi.

Stary ksiądz już miał na końcu języka, że w pałacu może być bardziej niebezpiecznie niż na zewnątrz, ale powstrzymał się od tej uwagi. Znając charakter przyjaciela, był przeświadczony, że gdyby opowiedział mu o tej historii z Berenguerem, Marti nie zważałby na to, że prześladowcą jest syn hrabiego, i nawet gdyby to był syn samego władcy Świętego Cesarstwa, nie liczyłby się z żadnymi konsekwencjami i stanąłby przed jego ojcem rozsierzony jak bazyliszek, żądając ukarania winnego... co z pewnością nie skończyłoby się dlań dobrze. Duchowny uzgodnił z Martą, że dla dobra Martiego lepiej nie mówić mu o tym przykrym incydencie.

— Dobrze wiecie, że dziewczęta w tym wieku się zakochują i nie słuchają głosu rozsądku.

— Mój Eudaldzie... przecież ona jest jeszcze dzieckiem!

— Kiepską macie pamięć, przyjacielu. Wiem od was o kłopotach Barucha z córką Ruth, Panie świeć nad jej duszą! W jakim wieku była wasza ukochana, kiedy wyjechaliście z Barcelony? Ile mieliście wtedy lat? Zapomnieliście, że sami udzieliliście schronienia czternastoletniej zaledwie dziewczynie, ponieważ niechcący spędziła

noc poza domem i nie mogła już do niego wrócić, jako że przyniosła ujmę dla honoru żydowskiej rodziny?

— To nie to samo — rzekł Marti, marszcząc czoło.

— Nie to samo, bo wtedy byliście zakochanym młodzieńcem, a teraz przypadła wam rola urażonego ojca, który nie może się pogodzić z tym, że jego córka nagle wydorosłała.

— Już dobrze, Eudaldzie, zostawmy to.

— Lepiej zmienić temat — ustąpił ojciec Llobet. — Powinniście odpocząć, jesteście zbyt zmęczeni i oszołomieni tymi wszystkimi wiadomościami. Wspomnieliście, że wasze poselstwo na dworze Normana zakończyło się sukcesem. Ciekaw jestem szczegółów. Sądzę również, że macie w ręku ważny atut do rozmowy z hrabią.

— Gdyby nie spotkanie z Robertem Guiscardem, to kto wie, czy akcja odbicia statku nie zakończyłaby się klęską.

Marti opowiedział archidiakonowi wszystko po kolei.

Duchowny zauważył na koniec:

— Widzicie, jak boska opatrność prowadzi dobrych ludzi po ścieżkach wiodących ku zwycięstwu...

— Nie zawsze, Eudaldzie, nie zawsze. Czasami zwyciężają źli ludzie, nie można żądać zbyt wiele od boskiej opatrności... A teraz wyjaśnijcie mi jedną rzecz w kwestii śmierci hrabiny. Chciałbym wiedzieć przed spotkaniem z hrabią, czy wina dziedzica jest bezsporna.

— Faktem jest, że ją zabił w obecności wszystkich jej dam, błazna i straży przybocznej. Ale niektórzy twierdzą, że sama go do tego sprowokowała, co może być poczytane za okoliczność łagodzącą.

— Co teraz będzie?

— To skomplikowana sytuacja. Jako zabójca hrabiny powinien być osądzony przez trybunał złożony z trzech sędziów pod przewodnictwem hrabiego. Ramón Berenguer I jako poszkodowany, a zarazem ojciec obwinionego, nie podjął się tej trudnej funkcji, cedując ją na Ojca Świętego. Jak wiecie, dobrze znałem Almodis i mam świadomość, że tak manewrowała, aby tron przypadł w udziale Ramónowi, który był jej najukochańszym synem. Dlatego wysłała was z zadaniem znalezienia mu odpowiedniej żony. Niewątpliwie miała również na celu dobro hrabstwa Barcelony. Zawsze się tym kierowała. Hrabia wiedział o jej zamiarach i nie oponował.

— Co teraz będzie?

— Pedro Ramón jest zamknięty w Castellnou, tam przyjmuje wizyty, wysłuchuje doradców... Nadal jest głównym dziedzicem hrabstwa. Jego ojciec nie zamierza tego zmieniać, gdyż czeka na decyzję z Rzymu.

— Nie nadążam za waszym rozumowaniem.

— Hrabia zrezygnował ze swoich kompetencji osądzenia tej sprawy, przekazując problem do rozstrzygnięcia Ojcu Świętemu. Nakaże wykonać wyrok, który wyda Rzym, ale sam nie będzie sądził syna, ponieważ w głębi ducha siebie obwinia o to nieszczęście.



Nazajutrz rano po nieprzespanej nocy, gdyż emocje przed spotkaniem z córką połączone z niepokojem o los Rashida nie dały mu zmrużyć oka, Marti zaczął spობić się do wyjścia. Najpierw wziął kąpiel w wielkiej cynkowej wannie napełnionej przez Andreu Codinę mydlaną wodą, potem dwóch pokojowców podało mu duży nagrzaný ręcznik, żeby wytarł się nim do sucha i mógł przyjąć cyrulika, który obetnie mu włosy i zgoli brodę, a następnie ubrał się przy kominku w swoim pokoju. Uznał, że w hołdzie dla hrabiny powinien włożyć coś czarnego, ponieważ na dworze wciąż obowiązywała żałoba. Wybrał czarne nogawice do kolan, wełniane pończochy, pantofle ze sprzączkami, białą koszulę z kołnierzykiem w szpic, kamizelkę z dwiema kieszonkami ozdobioną złotym łańcuchem i czarny aksamitny kaftan z takimi samymi guzikami, szyty według włoskiej mody. Kiedy przejrzał się w lustrze z polerowanego brązu pierwszy raz po wielu dniach żeglugi, z trudem rozpoznał siebie w tym wytwornym mężczyźnie. Po małym śniadaniu w jadalni udał się do kuchni, żeby przywitać się z Naimą. Był wstrząśnięty tym, co zobaczył. Gruba, żwawa kobieta przemieniła się w bełkoczącą staruszkę z niewidzącymi oczami, która go nie poznawała. Zapytał Marionę, czy zawsze jest w takim stanie.

— Dziś jest z nią całkiem dobrze. Przynajmniej nie próbuje uciekać, jak to się często zdarza. Twierdzi wtedy, że musi iść do Omara. Niejeden raz musieliśmy ją zamykać.

— Wielki Boże! Niech Caterina wyznaczý służącą, która zawsze przy niej będzie. Dopilnujcie, aby niczego jej nie zabrakło do końca dni. Gdzie Gueralda?

— Odeszła bez pożegnania, panie... Zawsze była dzika.

— Zrobiłem co w mojej mocy, żeby oszczędzić jej cierpień po tym nieszczęsnym wypadku. Ubolewam nad tym, co ją spotkało, i rozumiem jej gorycz. Jeśli zechce wrócić, zawsze drzwi mojego domu będą dla niej otwarte.

Po tych słowach pogładził delikatnie policzek Naimy i wyruszył do pałacu z listami i prezentami od Roberta Guiscarda dla hrabiego.

Na dziedzińcu przed domem czekał Gaufred z lektyką gotową do drogi, przy drągach stali tragarze. Marti uśmiechnął się z wdzięcznością, pragnąc w ten sposób pokazać, że już się na niego nie gniewa.



Czterej dworzanie towarzyszyli mu w drodze po korytarzach pałacu. Drzwi się otworzyły i szambelan zaanonsował wizytę.

— Znamienity obywatel Barcelony, pan Marti Barbany!

Wartownicy usunęli się przed nim z opuszczonymi włóczniami, a stary hrabia, z trudem podniósłszy się z tronu, wsparty na lasce zszedł z podwyższenia, żeby przyjąć go na stojąco. Marti zdjął nakrycie głowy i starając się nie przyśpieszać kroku, ruszył w jego stronę. Ramón Berenguer I, hrabia Barcelony, Gerony i Osony, położył mu dłonie na ramionach i przysuwając zarośnięty policzek do jego twarzy, serdecznie go ucałował. Wszystkich to zaskoczyło, jako że hrabia zwykł był witać w ten sposób tylko osoby równe mu rangą i urodzeniem.

Podczas gdy hrabia wracał na swoje miejsce, gestem zapraszając gościa, żeby usiadł na krześle naprzeciwko tronu, Marti zdążył zauważyć głębokie zmiany, jakie zaszły w wyglądzie władcy Barcelony. Ten silny do niedawna mężczyzna, który na polowaniach wyprzedzał najlepszego ze swych rycerzy, przemienił się w starca z długimi białymi włosami i o niepewnym spojrzeniu.

— Kochany przyjacielu, nawet w normalnych warunkach wasza nieobecność wielce by się nam dłużyła, tym bardziej to odczuliśmy w chwilach, gdy los dotknął nas tak okrutnie. Brakowało nam waszych rad, niezłomnej lojalności i rzetelnego osądu, któremu obce są puste pochlebstwa.

— Wielmożny panie, wasze słowa pogłębiają mój smutek. Wdzieliście o moim oddaniu dla hrabiny, którą Pan przyjął do swej chwały. Bolesna wiadomość o jej odejściu zastała mnie z dala od

Barcelony i bardzo żałowałem, że nie mogę was wesprzeć w tych tragicznych okolicznościach.

Oczy hrabiego zaszklify się ze wzruszenia, chciał coś rzec, ale nie mógł dokończyć zdania.

— Spadły na mnie nieszczęścia bez precedensu...

Marti zareagował z taktem.

— Wielmożny panie, istnieją takie uczucia, na które nie ma wpływu nawet panujący.

— Powiniennem być jednak to przewidzieć... Mam żal do siebie, że próbując pogodzić obowiązki ojcowskie z małżeńskimi, nie okazałem większej stanowczości. Może wtedy nie doszłoby do tragedii.

— Żal niczego nie zmieni, wielmożny panie, a to, co się stało, już się nie odstanie.

Ramón Berenguer westchnął głęboko.

— Macie rację, Marti — przyznał. — Przejdźmy zatem do spraw, które nas interesują. Opowiedzcie o rezultatach waszego poselstwa. Wysłannik księcia Roberta Guiscarda, obecny na pogrzebie mojej małżonki, powiedział, że było bardzo udane.

— Fortuna często bywa kapryśna, ale tym razem mi sprzyjała.

— Fortuna lubi ludzi zdolnych i przedsiębiorczych.

— Przeceniacie mnie, wielmożny panie. — Marti wyciągnął z torby listy od Normana i wręczył je hrabiemu, zostawiając na koniec kameę z wizerunkiem Mafaldy z Apulii, wyrzeźbioną w złocie i emalii przez nadwornego złotnika.

Ramón przyjrzał się jej z uwagą.

— Mój syn Ramón jest szczęśliwcem, gdyż jego przyszła żona łączy nadzwyczajną urodę z blaskiem swojego nazwiska.

Oddał seneszałowi zwój welinów, aby przestudiować je uważnie w odpowiedniej chwili.

— Ciekaw jestem, jak odzyskaliście swój statek. Wiem, że wszystko zakończyło się pomyślnie.

— Istotnie, lecz muszę przyznać, że bez pomocy księcia Roberta Guiscarda nie byłoby to możliwe — podkreślił Marti.

— Bez jego pomocy i bez tego cudownego wynalazku, o którym dużo słyszałem. Mam nadzieję, że podzielicie się nim z hrabstwem, tak jak podzieliliście się czarnym olejem, który odmienił życie obywateli mojego królestwa.

— Miałem zamiar w swoim czasie to uczynić, wielmożny panie, ale teraz, choćbym chciał, jest to niemożliwe.

— Dlaczego?

— To długa historia.

— Na wysłuchanie takiej opowieści mam dużo czasu i na pewno mnie nie znuży.

Hrabia strzelił palcami i zaprosił swojego ulubionego pieska, żeby wdrapał mu się na kolana. Mały gryfon posłuchał natychmiast. Marti odchrząknął z przejęcia.

— Dowiedział się zatem, wielmożny panie, że strażnik tego cudownego wynalazku, którego zaprosiłem do swojego domu, został porwany, kiedy nie było mnie w Barcelonie. Tylko on zna tajemniczą formułę przekazywaną z pokolenia na pokolenie w jego rodzinie. Bez niego wszelkie próby wyprodukowania tej substancji są skazane na niepowodzenie. Licząc na waszą wielkoduszność, zamierzałem poprosić, abyście zarządzili poszukiwanie zaginionego. Wiem już, że sam nie zdołam go odnaleźć, a bez niego grecki ogień, bo tak nazywa się ów wynalazek, przepadnie na wieki.

— Zatem człowiek, który posiada tajemnicę zdolną zniszczyć całe królestwo, został porwany pod waszą nieobecność. A wy nie znacie tej formuły?

— Właśnie to starałem się wyjaśnić.

— Seneszalu!

Gualbert Amat zjawił się natychmiast na głos swojego pana.

— Słyszeliście, co się stało? — zapytał hrabia.

— Nie mogłem nie słyszeć.

— Postawcie w stan pogotowia całą milicję. Rozkazuję odnaleźć tego człowieka w ciągu trzech dni... W przeciwnym razie polecę czyjeś głowy.

— Wedle rozkazu, mój panie.

Seneszal wycofał się, a Marti i hrabia znowu zostali sami.

— To nieszczęsne miasto jest coraz bardziej niespokojne, gdyż ku mojemu utrapieniu setki osób kołaczą do jego bram miesiąc w miesiąc. Jak mówi *veguer*, długie kolejki ustawiają się pod naszymi murami już przed świtem. Przeważnie są to chłopcy bez grosza przy duszy i bez innych umiejętności niż uprawa roli. Przybywają w poszukiwaniu pracy i lepszego życia, a że nie znają tu nikogo i nie mają gdzie mieszkać, dołączają do rzeszy biedaków błagających

o miskę zupy. Jedni żyją z żebractwa, drudzy, ci gorsi, okradają przechodniów, przecinają rzemienie w ich torbach i przywłaszczają sobie cudze dobro, nie bacząc na gniew ludzi, którzy sami zaczynają wymierzać sprawiedliwość. Jak widzicie, sytuacja nie jest łatwa.

Znużony pieszcotami szczeniak zeskoczył z kolan pana na swoją poduszkę, toteż hrabia mógł wyciągnąć lewą nogę, żeby oprzeć ją na wyściełanym stołeczku.

— Zawsze tak było, wielmożny panie. Rodowici mieszkańcy marzą o wyjeździe i szukaniu szczęścia gdzie indziej, a ludzie z zewnątrz robią wszystko, aby zamieszkać tutaj.

Zapadło milczenie i hrabia zmienił wątek.

— Nawet gdyby podagra nie dawała mi się tak mocno we znaki i duży palec u chorej nogi przestał boleć, to i tak nie miałbym czasu na polowania. Śmierć mojej małżonki jest wielką stratą dla hrabios-twa, a jeszcze większą dla mnie, jeśli mam być szczerzy. Teraz widzę, że uwalniała mnie od wielu kłopotów, nie tylko tych związanych z dworską etykietą. Zajmowała się również poważniejszymi sprawami, przyjmując członków rady, odpowiadając na petycje czeredy mnichów, którzy codziennie domagają się wsparcia i jałmużny dla swoich zakonów, słowem, oddzielała ziarno od plew, zostawiając dla mnie same najistotniejsze sprawy.

— Hrabina osierociła nas wszystkich. Nie skarżcie się na swój los, raczej dziękujcie niebiosom, że przez tyle lat była u waszego boku.

— Dobra rada, lecz trudna do wykonania — odparł rozgoryczony hrabia. — Na dodatek teraz mam jeszcze na głowie ślub Sanchy. Muszę zasięgać wielu opinii, żeby zachować delikatną równowagę. Lud nie przepada za długą żałobą i spodziewa się licznych rozrywek z okazji ślubu. Zastanawiam się również, jak powinno wyglądać przyjęcie w pałacu. Chciałbym, żeby nie było zbyt huczne ani zbyt smutne. To pierwsze oznaczałoby brak szacunku dla pamięci mojej żony, to drugie obraziłoby mojego kuzyna i przyszłego zięcia, Guillerma Ramóna z Cerdañi. Doprawdy nie wiem, jak z tego wybrnąć.

— Wielmożny panie, jeśli mogę być wam w czymś pomocny, dysponujcie moją osobą.

— Dziękuję, ale przy całym uznaniu dla waszej roztropności nie widzę was w roli doradcy do spraw ślubu. Kobiety mają w tym

lepsze rozeznanie, a zresztą już mi pomagacie, chociaż nie bezpośrednio.

— Nie rozumiem.

— Lionor de la Boésie, Brígida de Amalfi i Barbara de Ortigosa, są dla mnie nieocenionym wsparciem, ale zdziwicie się, jeśli wam powiem, że również wasza córka Marta podsunęła nam wiele ciekawych pomysłów. Razem z dwiema damami mojej zmarłej żony przygotowuje listę miejsc gości przy stołach weselnych. To ważne i trudne zadanie tak wszystkich rozmieścić, żeby żadna rodzina nie poczuła się urażona; sami wiecie, jak przewrażliwiona jest szlachta, jeśli chodzi o poszanowanie hierarchii. Muszę przyznać, że wasza Marta radzi sobie z tym doskonale.

— Nie mogę się doczekać, kiedy ją uściskam.

— Wybaczcie staremu egoizm. Zaraz to naprawię.

Hrabia klasnął dwa razy w dłonie i rozkazał kamerdynerowi:

— Wyślij pazia do panny Marty Barbany, żeby przybyła tu niezwłocznie.

Paź natychmiast poszedł wykonać polecenie.

Marti zamienił się w kłębek nerwów. Hrabia patrzył na niego z uśmiechem. Zapadła cisza. Marti nadstawiał ucha, chociaż sala tronowa była takich rozmiarów, że nie zdołałby usłyszeć kroków córki. Za wielkimi drzwiami rozległ się cichy szum. Jedno skrzydło się uchyliło i Marti, nie mogąc się powstrzymać, lekko odwrócił głowę. W progu stała wysoka, zgrabna kobieta z włosami splecionymi w dwa spięte po bokach głowy koki, odziana w czarną, elegancką tunikę, zapinaną pod szyją i ozdobioną złotymi lamówkami, na nogach miała aksamitne czółenka. Marti pomyślał, że to pewnie jedna z dam dworu, która przychodzi usprawiedliwić chwilową nieobecność Marty. Postać zaczęła sunąć powoli i Marti bardziej wyczuł, niż dostrzegł, że zatrzymuje się pośrodku wielkiego salonu. Serce w nim zadrżało, gdy usłyszał głos, który tyle razy śnił mu się w kajucie rufowej na statku.

— Ojczy!

Sytuacja przerosła jego siły: nie zważając na wymogi etykiety, zerwał się z krzesła, odwrócił plecami do hrabiego i wyciągnął ramiona, w które wpadła jak w wir jego córka.

Trwali tak w objęciach dłuższą chwilę, bez słowa, pod pobłażliwym spojrzaniem Ramóna Berenguera I. Potem oboje uzmysłowili

sobie, gdzie się znajdują, i wszystko wróciło do normy. Lokaj postawił nowy taboret obok krzesła Martiego.

— Z przyjemnością na was patrzyłem. Ostatnio rzadko miewam okazję widzieć tyle miłości wyrażonej w jednym geście.

Oczy Marty były zalane łzami. Nic nie mówiąc, ścisnęła prawicę ojca w swoich dłoniach. Hrabia kontynuował:

— Jesteście szczęśliwym człowiekiem. Moje dzieci nigdy nie witały mnie tak czule. Może dlatego, że nie umiałem okazać im miłości, tak jak wy okazujecie ją Marcie. Dworskie wychowanie ma swoje wady, albowiem moja babka Ermesenda wpajała mi od dziecka, że publiczne okazywanie uczuć jest oznaką słabości, która nie przystoi panującemu.

Marti zaczął się usprawiedliwiać.

— Długo się nie widzieliśmy. Zostawiłem w pałacu pod opieką naszej hrabiny małą dziewczynkę, a przywitała mnie kobieta, w której nie od razu rozpoznałem swoją córkę.

— Nie mówcie, wielmożny panie, że nikt was nie kocha — powiedziała Marta, zwracając się do hrabiego. — Wszyscy w pałacu was uwielbiamy, nawet wtedy gdy macie zły humor i traktujecie ludzi srogo.

Kolejna niespodzianka spotkała Martiego. Jego córka rozmawiała z hrabią tak swobodnie jak wnuczka z ukochanym dziadkiem.

— No proszę! Hrabia Barcelony, pan Gerony i Osony, któremu składają lenno Tortosa i Lérida, zostaje we własnym domu skarcony przez młodą damę niczym zwykły paż. Ach, cóż to za cudowne uczucie!

Martiego ogarniało coraz większe zdumienie. Po chwili rozległ się znowu głos hrabiego.

— Nie chcę być zawadą między ojcem a córką. Daję wam na rozmowę tyle czasu, ile wam trzeba... A potem, drogi przyjacielu, stawcie się u mnie. Mamy jeszcze parę spraw do omówienia.

Zaledwie hrabia wstał z tronu, zbliżył się do niego seneszał Gualbert Amat, ofiarując mu swoje ramię. Starzec oparł się na nim, z trudem zszedł z podwyższenia i opuścił salę tronową.

Ojciec i córka zostali sami. Na początku nic nie mówili, tylko patrzyli na siebie, jakby chcieli się upewnić, że to nie ułudą, lecz rzeczywistość. Potem przerwała się tama milczenia, słowa poleciały jak potok. Marta chciała usłyszeć o wszystkich przeżyciach ojca,

a Martí wypytywał o każdy dzień w pałacu, pragnąc poznać wrażenia i niepokoje córki.

Powoli dowiadawali się nawzajem, co wydarzyło się w ich życiu od momentu rozłąki, aczkolwiek Marta ukryła przed ojcem wszystko, co dotyczyło Berenguera, i słowem nie wspomniała o Bertranie. Martí ze swej strony pochwalił Ahmeda, podkreślając jego kapitalne zasługi w odzyskaniu „Lai”, i nie omieszkał zapytać o Aminę.

— Była przy mnie przez cały czas i bardzo mnie wspierała, chociaż teraz to ja muszę podtrzymywać ją na duchu, gdyż mocno przeżyła śmierć ojca i to, co stało się z jej matką.

— Pozdrów ją ode mnie i powiedz, że chciałbym ją zobaczyć, kiedy przyjdzie odwiedzić Naimę.

Po krótkiej przerwie poruszył temat, który leżał mu na sercu.

— Sądzę, Marto, że przyszedł czas, abyś wróciła do domu. Minęło półtora roku, wydorostałaś i powinnaś przejąć obowiązki swojej matki wobec służby. Nadal będziesz się kształcić, tyle że w domu, jak dawniej.

Dziewczyna spojrzała na ojca wzrokiem, który go zaniepokoił.

— Wybaczcie, ojcze, ale sądzę, że się mylicie. Nie mogę teraz stąd odejść. Hrabianka Sancha mnie potrzebuje.

— Wspomniał mi o tym hrabia i bardzo się cieszę, że przypadłyście sobie do gustu, ale nie zapominaj o mnie, ja też cię potrzebuję... Chyba że — dodał, patrząc córce w oczy — są jakieś inne powody i nie jesteś ze mną zupełnie szczerą.

W tym momencie Martí poczuł, że jego córka naprawdę wydorostała.

Odezwała się bowiem drżącym, lecz stanowczym głosem.

— Ojcze, kocham młodzieńca, który na pewno wam się spodoba, gdyż pod wieloma względami was przypomina.

— Powiniennem był się tego domyślać... Przypuszczam, że pochodzi ze szlacheckiego rodu, skoro przebywa w pałacu.

— To syn wicehrabiego Cardony. On i ojciec Llobet byli dla mnie oparciem i schronieniem w trudnych chwilach. Nie myślcie, że wszystko poszło mi łatwo. Zdarzały się delikatne sytuacje, ale na niego zawsze mogłam liczyć.

Martí rozważnie dobierał słowa. Nie chciał urazić córki, a jednocześnie pragnął oszczędzić jej rozczarowań.

— Marto, ten młodzieniec posiada sławne nazwisko, wywodzi

się z królewskiego domu Francji, ma wśród swoich przodków Raimunda Folcha, który przybył do Katalonii, aby pod wodzą Karola Wielkiego walczyć z Maurami. Tenże cesarz nadał mu w roku siedemset dziewięćdziesiątym pierwszym tytuł wicehrabiego Car-doñy. W ich herbie rodowym widnieją trzy złote osty na czerwonym polu, to kolczasta roślina i nie chcę, żebyś się pokłuka. — Ściszył głos, próbując nadać w ten sposób łagodniejszy wydźwięk swoim słowom. — Ty natomiast jesteś tylko córką obywatela Barcelony, co prawda znamienitego, ale nie szlachcica. Jesteś jeszcze bardzo młoda i niewiele wiesz o przykrych stronach życia. Mam obowiązek chronić cię przed nieprzyjemnościami. Dlatego uważam, że powinnaś z nim porozmawiać, ofiarować mu swoją przyjaźń i zrezygnować z tej miłości, póki to możliwe.

Marta czuła, że się rumieni i głos jej drży, mimo to zdołała spojrzeć ojcu prosto w oczy.

— Z całym szacunkiem, ojcze, kiedy wyjeżdżaliście, byliście światłem mojego życia. Teraz oprócz was jest jeszcze ktoś inny. Porozmawiam z nim; jeśli powie, że nie potrafi sprzeciwić się woli swojego ojca, wrócę do domu z rozdartym sercem. Ale jeśli dotrzyma danego mi słowa, a mam nadzieję, że tak będzie, po raz pierwszy w życiu nie okażę wam posłuszeństwa.

Marti zdał sobie sprawę, że rozmawia z kobietą, i zrozumiał, że musi ustąpić, bo takie jest prawo życia. W tym momencie ujrzał siebie jako osiemnastoletniego chłopaka, unoszącego się w strzemionach na grzbiecie konia, żeby pomachać matce chusteczką na pożegnanie, zanim opuści na zawsze swój dom w Ampurdán.

— W porządku, Marto, rozumiem. Zostawmy wszystko tak, jak jest, do czasu ślubu hrabianki Sanchy, a potem powrócimy do tej rozmowy.

Oboje wstali, Marta rzuciła się mu w ramiona.

— Kocham was, ojcze, kocham z całego serca, ale w mojej duszy zrodziła się też inna miłość i coś mi mówi, że nie powinnam z niej zrezygnować.

Trujący tojad

Dzwony katedry właśnie wybiły tercję. Bernabé Mainar przeglądał w swoim gabinecie w Vilanova deis Arcs rachunki dotyczące eksploatacji lupanaru na Montjuïc w sąsiedztwie osiedla Pi, przyniesione przez Maimóna. Eunuch stał wyprostowany, czekając na aprobatę pana.

— Bardzo dobrze, Maimónie. Wszystko wskazuje na to, że ludzie o skromniejszych możliwościach są bardziej skorzy do wydawania pieniędzy niż ci zamożniejsi.

— Pewnie dlatego, mój panie, że mają więcej trosk, a obłapanie się jest najlepszym lekarstwem na kłopoty.

— Być może, ale sądzę, że tu na dole zbyt elegancko ich traktujemy. Wielu mężczyzn zadowala się samym spektaklem i nie pchają się już po towar wystawiony na estradzie. Trzeba się nad tym zastanowić.

Mainar dalej komentował sytuację w lupanarze pod zarządem Maimóna.

— Widzę, że miesiąc temu odnotowałeś pewne straty w związku z tą awanturą, która zakończyła się rozwaleniem stołów i ławek.

— To się zdarza, panie. Wasi klienci nie mają w zwyczaju załatwiać sporów tak ostro jak moi. Reprezentują inny poziom. Do mnie przychodzą woźnice, robotnicy z kamieniołomów, czasem jakiś człowiek ze straży przy murach, który akurat ma wolne, albo nic nieznaczący księżulek, wiecie, o kim mówię. Tacy ludzie są

prymitywni i rwą się do bójek. Z niczym się nie liczą, przy najmniejszej prowokacji od razu sięgają po noże.

— Przyjmij moje gratulacje, bo widzę, że dobrze sobie z tym radzisz i, tak jak zalecałem, sam rozwiązujesz kłopotliwe sprawy, bez uciekania się do pomocy służb porządkowych hrabiego. Bardzo to pochwalam. Interwencje urzędników sądowych wymagają składania wielu wyjaśnień, zawsze są jakieś komplikacje, które narażają mnie na stratę czasu. Masz jeszcze coś ważnego?

— Może to nie jest ważne, ale ciekawe — rzekł Maimón. — Tyle lat już pracuję w tym fachu, a nigdy dotąd nie spotkałem się z czymś podobnym.

Mainar rozsiadł się wygodniej w fotelu, nalał sobie z gąsiora pół kubka znakomitego moszczu i był gotów wysłuchać opowieści swojego człowieka.

— Siadaj, Maimónie, coś mi mówi, że ta historia mnie zainte resuje.

Eunuch zajął miejsce naprzeciw Mainara i zaczął opowiadać:

— Było południe. Słudzy skończyli sprzątanie salonu i przyległości, stałem w bramie, wyglądając na wóz dostawczy i pilnując kobiet, które wylewały na drogę wiadra wody, żeby nie wznosiły się chmury kurzu, i wtedy zobaczyłem kobietę z zawiniątkiem w ręku i pełnym odzieży tobołem na głowie. Podeszła do mnie bez wahania, jak ktoś, kto doskonale wie, gdzie jest i czego szuka. Mogła mieć jakieś trzydzieści lat albo trochę mniej. Miała na sobie tunikę rozszerzaną od pasa, ze szczodrym wycięciem uwydatniającym duży biust, na ramionach mantylę, a na głowie chustę, która skrywała jej twarz na modłę mauretańską. Postawiła na ziemi swoje tobołki i raczej stwierdzając, niż pytając, rzuciła: „Nazywacie się Maimón”. Oczywiście spytałem, skąd mnie zna, na co odpowiedziała, że słyszała o mnie i że widząc mnie w bramie tego domu (z prze kąsem zaznaczyła „tego”) i sądząc po moim wyglądzie, nie może się mylić. Ma się rozumieć, że zapytałem, czego sobie życzy. Odparła, że przychodzi z pewną sprawą, która powinna mnie zainteresować, ale nie chce rozmawiać o tym na ulicy, ponieważ jako porządna kobieta musi dbać o swój honor, po czym bez skrupułów dodała, że ani to miejsce, ani moja osoba nie pasują do jej reputacji i że nie będzie się narażać na wścibstwo kobiet z wiadrami, nie mówiąc o przypadkowych przechodniach, którzy

mogliby ją zobaczyć. Nie ukrywam — dodał — że podrażniła tym moją ciekawość. Każdą inną babę wygoniłbym od razu na cztery wiatry, ale ta miała w oczach i sposobie bycia coś takiego, że kazałem „Negrowi” przypilnować służących, a sam zaprosiłem ją do domu.

— No, no, rzecz zapowiada się ciekawie.

— Najciekawsze będzie teraz.

— Kontynuuj.

— W domu odstłoniła twarz i prawie zaniemówiłem. Jej prawy policzek przecinał brzydki szew. Podsunąłem jej krzesło, usiadła i wycedziła ze złością: „Co, nie podoba wam się moja twarz?”. Odparłem, że nie powiedziałem nic takiego, a wtedy ona... trzymajcie się, panie, bo zaraz spadniecie z wrażenia! Otóż ona oświadczyła, iż dobrze wie, że tu się kupczy ciałem, i zapytała, czy znam takiego rudzielca, furmana Tomeu. Odpowiedziałem, że pamiętam go doskonale, jest naszym klientem i odwiedza nas prawie za każdym pobytym w Barcelonie. Zmieniła się na twarzy i powiedziała, że chętnie podejmie u nas pracę służącej w zamian za utrzymanie i powiadomienie o pojawieniu się Tomeu w lokalu. Wiedziała, że on przychodzi tu dla takiej jednej Mauretanki... słuchajcie uważnie... która ma na imię Nur. To ta, co zawróciła w głowie młodemu księdzu. Poinformowałem kobietę, że najpierw muszę zapytać o zgodę swojego chlebobawcę, na co odparła, że rozumie, ale czy mógłbym ją przenocować, bo właśnie zrezygnowała z pracy u Martie-go Barbany i nie ma gdzie się podziać. Uznałem, że ta historia może was zaciekawić, dlatego ośmieliłem się podjąć decyzję bez waszej wiedzy. Pozwoliłem jej zostać, ale jeśli chcecie, jeszcze dziś wyrzucę ją na ulicę.

Mainar odstawił na stół szklankę z winem i gwałtownie pochylił się do przodu.

— Powiedziała, dlaczego szuka tego Tomeu i czego chce od Nur?

— Więcej nie rozmawialiśmy. Dałem jej jeść i wyznaczyłem miejsce do spania. To wszystko. Reszta należy do was.

Mainar bębnił palcami po stole i coś w myślach rozważał.

— Ten Tomeu jest naszym stałym klientem?

— Kiedy przyjeżdża do Barcelony na targ, odwiedza nas prawie codziennie. Przezywają go „Rudy” z powodu koloru włosów. Zawsze

wybiera Nur, jeżeli akurat jest wolna. Narobił mi trochę kłopotów, bo, jak wiecie, Mauretanka ma jeszcze jednego wielbiciela, u którego, kiedy jej nie widzi, miłość w połączeniu z wachaniem ziół powoduje istne ataki szału.

— Pilnij jej dobrze, oddziel od pozostałych i spróbuj się dowiedzieć jak najwięcej. Niech do mojego przybycia z nikim oprócz ciebie nie rozmawia.

— Jak każecie, panie.

— Masz jeszcze coś do roboty tu, na dole?

— Już nie.

— No to wracaj na Montjuïc. Wkrótce złożę wam wizytę, żeby poznać tę dziwną kobietę.

Eunuch Maimón wstał z fotela i zginając się w pełnym szacunku uklonnie, opuścił gabinet.

W głowie Mainara wrzało: przyswajał sobie uzyskane informacje i analizował je pod kątem przydatności do swoich celów.

Ta kobieta przyznała się do samowolnego opuszczenia domu przy placu Sant Miquel. Niewykluczone, że znajdzie w niej sojusznikę w sprawie, która przywiodła go do Barcelony. Musi zgładzić Martie-go Barbany i księdza Llobeta, aby pomścić śmierć ojca. Będzie to również spełnieniem ostatniej woli protektora, Bernata Montcusi, i przyczynkiem do większej chwały Zakonu, któremu przekaze krociowy interes. Wszystko w swoim czasie. Pozostaje mu tylko czekać i cierpliwie gromadzić informacje, a osiągnie zamierzone cele i dokona zemsty.

Za drzwiami rozległ się głos Ranii.

— Mogę wejść, panie? Macie gościa.

Nie udzielając pozwolenia, Mainar zapytał:

— Kto przyszedł?

— Niejaki Magi.

Co za dziwny zbieg okoliczności! — pomyślał Mainar. I jak tu nie wierzyć, że przypadek rządzi losem człowieka? Od kilku dni pragnął widzieć tego młodego księdza, Maimón mówił o nim zaledwie przed chwilą i oto Magi zjawia się osobiście w Vilanova deis Arcs bez uprzedzenia.

— Niech wejdzie.

Usłyszał oddalające się kroki Ranii, a zaraz potem stąpienie dwóch osób.

Wyjął klucz z szuflady w stole, wstał z fotela i skierował się w stronę kufra stojącego w rogu pokoju z dala od okna. Przekręciwszy klucz w zamku, podniósł wieko i wyciągnął szkatułkę z palisandru. Po sprawdzeniu jej zawartości wrócił na swoje miejsce, gdy Rania zapukała delikatnie do drzwi.

— Pozwolicie, panie?

— Wejść, Ranio.

Grube drzwi uchyliły się i wyprzedzając kobietę, wkroczył młody koadiutor ubrany jak zwykły wieśniak: krótka tunika z prostego sukna, brunatne portki do kolan i pończochy w tym samym kolorze, a na nogach skórzane podeszwy przywiązane paskami do tydek. Ten cywilny strój wisiał na nim zbyt luźno, jakby należał do bardziej korpułentnego właściciela.

Mainar oczekiwał go na stojąco przy stole, więc Magi ruszył w jego stronę.

Kiedy dzieliło ich tylko parę kroków, Mainar zauważył duże zmiany w wyglądzie młodzieńca: wychudłą twarz z zaostrzonym nosem, podkrążone oczy, zgaszone spojrzenie i drżenie rąk, które tamten starał się ukryć.

Bernabé Mainar nie dał po sobie poznać, że to go zaskoczyło.

— Witajcie, Magi. Zjawiacie się w samą porę, choć bez uprzedzenia, ale zawsze jesteście mile widziani w moim domu. Tak się akurat złożyło, że mam do was sprawę. Kazałem Maimónowi przekazać wam ode mnie wiadomość, kiedy zobaczy was na Montjuïc.

— Ja też mam do was sprawę.

— No to chyba ściągnęliśmy się myślami! Zechciejcie usiąść.

Mainar zajął miejsce za stołem, a księżulek naprzeciwko niego.

— Zaczynajcie, jeśli wola. Zamieniam się w słuch.

Magi wytarł chusteczką czoło.

— Don Bernabé, dobrze wiecie, że nie przestaję śledzić spraw, które mogą was zainteresować. Pewnego razu powiedzieliście, żebym informował was o wszystkim, co dotyczy domu Martiego Barbany, czy nie tak?

Mainar wyjął jedno pióro z przybornika do pisania i zaczął się nim bawić.

— Tak, i jak dotąd jestem z was bardzo zadowolony. Nie zapominam, że dzięki waszej intuicji odkryłem tajemnicę niezwykle ważną dla moich celów. Sądzę, że wypełniłem z nawiązką swoją

część umowy. Kiedy chcecie, przychodźcie do lokalu na Montjuïc, gdzie traktują was jak króla, dają wybraną przez was kobietę i ziola do wachania. Wszystko za darmo, zgadza się?

— Owszem, ale czas płynie, a wy obiecaliście sprzedać mi Nur. Chcę mieć pewność, że dotrzymacie danego słowa. Prawie mam już potrzebną kwotę; nie wyobrażacie sobie, do czego musiałem się posunąć, aby zdobyć tyle pieniędzy.

— Porozmawiamy o tym, jak będziecie w stanie zapłacić mi całą sumę — odparł Mainar. — A teraz zdradźcie, z czym przychodźcie.

— No dobrze. Zakładam, że dotarła do waszych uszu wiadomość o powrocie Martiego Barbany.

— Oczywiście. W tym mieście każda nowina rozchodzi się lotem ptaka.

— Zapewne słyszeliście również o porwaniu cudzoziemca, przyjaciela Martiego Barbany. Mówił mi o tym archidiakon Llobet.

— Co nieco słyszałem.

— To musi być ktoś bardzo ważny, albowiem ojciec Llobet wspomniał, że chociaż po śmierci hrabiny nie ma już takich wpływów w pałacu jak dawniej, zrobi co w jego mocy, żeby hrabia wysłał swoją milicję na poszukiwanie zaginionego. Myślę, że interwencja oddziałów liczących ponad dwieście osób świadczy o wielkiej wadze problemu.

Mainar nawet nie mrugnął, lecz jego oko rozbłysło na moment dziwnym światłem.

— To nie moja sprawa, niemniej dziękuję wam za tę informację. Pewnego dnia was wynagrodzę.

— Nie pragnę innego wynagrodzenia oprócz tego, co mi obiecaliście.

— Zdaje się, że jeszcze nie macie wszystkich pieniędzy.

— Proszę zaliczyć na poczet brakującej sumy tę ostatnią wiadomość. Mam nadzieję, że jest tego warta.

— Wezmę to pod uwagę, jeśli oddacie mi jeszcze jedną przysługę.

Książd wysunął się na brzeg krzesła i nie spuszczał oczu z Mainara.

— Zrobię wszystko, czego zażądacie.

— Najpierw musicie mi coś wyjaśnić.

— Co takiego?

— Czy wasz przełożony nadal lubi uprawiać róże?

— Jeszcze bardziej niż kiedyś, zwłaszcza że po śmierci hrabiny nie wzywają go już tak często do pałacu, więc może poświęcić więcej czasu na swoje zamiłowanie.

— Opowiedzcie mi o tym.

— Oprócz róż uprawia dodatkowo opuncjena działce w tylnej części klasztornej ogrodu. Dostał ją od przeora, który wie o jego maniach i chciał staremu sprawić przyjemność, a przy okazji zapewnić sobie jego przychylność, bo chyba trochę się boi archidiakona.

Wyjaśnienia Magiego sprawiły Mainarowi miłą niespodziankę.

— Świetnie się składa! Dostaniecie misję, która przysporzy wam samych korzyści, ponieważ zaskarbicie sobie tym wdzięczność archidiakona i częściej będziecie mogli odwiedzać swoją matkę. Wiecie, co mam na myśli.

— Ale wciąż nie wiem, czego ode mnie żądacie. Słucham uważnie i nic nie rozumiem. Co to za misja?

— Bardzo prosta. Zaniesiecie mu prezent rzekomo od waszej matki jako dowód jej wdzięczności za to, że może spędzać tak dużo czasu w towarzystwie syna.

Mainar nie czekał na dalsze pytania Magiego. Podniósł się i wręczył młodemu księdzu drewnianą szkatułkę, która stała na stole i którą najpierw otworzył.

Magi również wstał z fotela.

— Co to?

— Nie widzicie? Rękawice do pracy w ogrodzie. Przygotowałem je specjalnie dla archidiakona, żeby nie pokłuł sobie dłoni, pielęgnując róże. Przy opuncjach będą mu jeszcze bardziej przydatne. Powiecie, że wasza matka zrobiła je w wolne wieczory, wkładając w to wiele wysiłku i serca.

— Dziękuję, że o mnie pomyśleliście. Ten prezent na pewno mu się spodoba, a mnie ułatwi wyjścia z klasztoru.

— Cieszę się, że mogę wam pomóc, ale posłuchajcie mojej rady.

— Jakiej?

— Nigdy nie wkładajcie tych rękawic.

Wesele Sanchy

Po długich deliberacjach z najważniejszymi doradcami hrabia zdecydował, że ślub księżniczki Sanchy odbędzie się w przewidzianym terminie, a przygotowania do tego wydarzenia powinny uwzględniać trzy kryteria. Po pierwsze, uroczystości i zabawy publiczne muszą spełniać oczekiwania ludu; po drugie, trzeba uszanować to, że dwór jest w żałobie po śmierci hrabiny Almodis, ale w taki sposób, by nie urazić rodziny pana młodego ani hrabstw Cerdańi, Bergi i Conflentu, co oznacza to samo.

Tą pierwszą sprawą zajął się *veguer* Barcelony Olderich de Pellicer do spółki z głównym notariuszem Guillemem de Valderribes.

Odświętnie przystrojono ulice, którymi orszak ślubny przejdzie od pałacu hrabiowskiego do katedry: białe girlandy biegną od balkonu do balkonu, a ziemię na całej trasie, strzeżonej przez żołnierzy, pokryły płatki róż. Na ważniejszych placach ustawiono dla publiczności drewniane platformy na kobyłkach, tak aby każdy mógł obejrzeć przygotowane widowiska: linoskoczków, śpiewaków, gadające kukielki i kuglarzy, którzy z tej okazji tłumnie ściągnęli do miasta.

Biskupi Barcelony i Vic, Odó de Montcada i Guillem de Balsareny, zajęli się tym wszystkim, co dotyczyło uroczystości religijnych w katedrze. Główny ołtarz w apsydzie został otoczony z dwóch stron wysokimi lichtarzami, na których stały grube świece z czystego wosku, oświetlające wsparty na czterech kolumnach baldachim

utworzony z białych lilii, z rozłożonymi pod nim dwoma kobiercami dla nowożeńców. Po prawej stronie ołtarza, na podwyższeniu, ustawiono tron, na którym zasiądzie hrabia Barcelony w otoczeniu swoich dworzan; centralną nawę udekorowano kwiatami i aromatycznymi świecami.

Organista sprowadzony z Tuluzy wypróbował organy z podwójnym miechem — dar od Carcassonne — które po raz pierwszy zabrzmią nazajutrz, a mały zespół mnichów ćwiczył na chórze antyfony.

Druhnami będą Araceli de Besora, Anna de Quarsá, Eulalia Muntanyola i Estefanía Desvalls; Marta Barbany, oszołomiona zaszczytną funkcją przydzieloną jej przez hrabiego, poniesie na białej atlasowej poduszeczce ze złotymi frędzlami ślubną rękojmię: trzynaście złotych monet na przypiecztowanie małżeństwa.

Z tyłu za młodą parą ustawią się bliźniaki Ramón i Berenguer oraz ich siostra Inés z mężem Guiguesem z Albonu; ci trzej mężczyźni będą druźbami panny młodej. Obok przedstawiciele domu Cerdañi: starszy syn pana młodego i hrabiowie Urgelu i Cerdañi jako druźbowie pana młodego.

Dalej rodziny *veguera* i głównego notariusza hrabstwa, rodziny sędziów Ponça Bonfilla, Eusebiego Vidielli i Frederica Fortuny, następnie Gilbert d'Estruc, zaufany dworzanin Almodis, Gualbert Amat, seneszał Ramóna Berenguera, i wiele innych możnych rodzin przybyłych z hrabstw uznających *auctoritas* hrabiego Barcelony.

Trasa orszaku ślubnego z pałacu do katedry wiodła przez Miracle i okrążając dawną świątynię rzymską, skręcała do Pia Almoina, gdzie w bramie zgromadzi się cała wspólnota. Hrabia Ramón Berenguer zatrzyma się tam, żeby w imieniu swojej zmarłej żony, hrabiny Almodis z Marchii, wręczyć przełożonemu szczerą jałmużnę.

Orszak pójdzie dalej przy akompaniamencie wszystkich dzwonów Barcelony; drogę torować będą żołnierze, za nimi pojadą konno szlachcice Katalonii towarzyszący panu młodemu, następnie hrabiowska karoca z panną młodą i jej ojcem, hrabią Ramónem Berenguerem, następnie powóz z druhnami i, zgodnie ze zwyczajem, prowadzona przez koniuszego biała klacz w bogatej uprzęży z pięknie zdobionym bocznym siodłem fotelowym, w którym usiądzie świeżo poślubiona małżonka, aby pokazać się publicznie z odsłoniętą twarzą.

W dalszej kolejności — wszystkie rodziny szlacheckie w lektykach albo karocach, które zostawią przed katedrą swój cenny ładunek i skierują się na przyległe ulice, aby tam oczekiwać na zakończenie mszy. Defiladę zamknie hrabiowska gwardia z włócznikami, którą poprowadzi jadący konno dyżurny seneszał Gombau de Besora.

Ceremonia odbyła się z całym przepychem i rytuałem przynależnym tak ważnemu wydarzeniu. Biskup Barcelony odczytał specjalne błogosławieństwo przesłane przez Ojca Świętego, a po sakramentalnym „tak” nowożeńców i wymianie rękojmi, kiedy panna młoda wychodziła ze świątyni z odsłoniętą twarzą, wsparta na ramieniu świeżo poślubionego męża, wybuchły gromkie okrzyki tłumu, nowe organy zagrzmiały dźwięcznymi akordami i zahuczała Tomasa: wielki dzwon kościoła Santa Eulalia prowadził dialog z dzwonami wszystkich kościołów w mieście.

Marti Barbany zajmował honorowe miejsce w bocznej nawie katedry, żywiąc gorące pragnienie, by obchody weselne zakończyły się jak najszybciej, albowiem hrabia obiecał mu, że zaraz potem wyśle swoją milicję na poszukiwanie Rashida al-Malika. Wzruszony, odprowadzał wzrokiem ukochaną córkę, przepiękną kobietę, która odłączyła się od druhen zajmujących miejsce w apsydzie koło ambony i szła w stronę ołtarza, niosąc białą poduszeczkę z małżeńską rękojmią. Kiedy wracała, miał nadzieję, że napotka jej wzrok, toteż zdziwił się niepomiernie, widząc, jak podnosi głowę i dedykuje nieśmiały uśmiech komuś w oddali. Idąc za jej spojrzeniem, zobaczył grupę młodzieńców w galowych strojach. W tym momencie zdał sobie sprawę, że się starzeje i że nie jest już najważniejszym mężczyzną w życiu swojej córki.

Tak jak postanowił Ramón Berenguer, uczta weselna odbyła się w Castellvell. Marta była dumna i zadowolona, albowiem wraz z doña Lionor i doña Barbarą de Ortigosa czuła się odpowiedzialna za przypisanie miejsc gościom zgodnie z etykietą rodów hrabstwa. Główny stół był wyjątkowo długi, co pozwoliło uniknąć większych problemów: nowożeńcy zajęli miejsce pośrodku, a po ich obu stronach siadali na przemian przedstawiciele dwóch dworów; miejsce przeznaczone pierwotnie dla hrabiny Almodis, obok Guillerma Ramóna, zajęła jej córka Inés, której małżonek, Guigues z Albonu, został umieszczony po prawej stronie najstarszej córki swojego nowego szwagra, hrabiego Cerdañi, Bergi i Conflentu. Reszta gości

miała do dyspozycji inne stoły, ustawione prostopadłe do głównego. Martiemu przypadło miejsce obok Eudalda Llobeta przy stole z genewskimi bankierami, donem de Gavaldá, głównym notariuszem i ich małżonkami. Marta była szczęśliwa przy stole dla dam, skąd mogła widzieć ojca rozmawiającego z jej chrzestnym, a po przeciwnej stronie, za jedną z grubych kolumn, stół młodych dworzan, wśród których znajdował się skonfundowany Bertran; młodzieniec wyczuwał, że jego miejsce powinno być gdzie indziej i że ponownie zdradza swój ród.

Marta nie zauważyła, że siedzący przy głównym stole Berenguer wpatruje się w nią nieustannie. Natomiast Adelais de Cabrera, uczestnicząca w uczcie weselnej wraz z rodzicami, nie mogła znieść widoku Marty za stołem, przy którym ona powinna siedzieć.

Czterech służących przyniosło wielkie tace z potrawami, które najpierw podawano biesiadnikom przy głównym stole. Przed obsłużeniem pozostałych gości służby przeszli między stołami, tak aby wszyscy mogli podziwiać przepych dekoracji i smakowitość przygotowanych potraw. Polewki, wędzonki, ryby, mięsiwa, dziczyzna, pieczywo i inne smakołyki rywalizowały między sobą, aby na koniec ustąpić miejsca wieżom z pokrojonych owoców, crème brûlée, ciastkom z bitą śmietaną i wielu innym przysmakom. Po skończonej uczcie i tyradach biskupa nawołujących nowożeńców do wierności i dobrego pożycia małżeńskiego, po wystąpieniach hrabiego, który zachwalał korzyści z sojuszu między rodzinami, i pana młodego, który obiecywał żonie piękne życie u swego boku, a hrabstwu Barcelony przyrzekał absolutną wierność, goście zaczęli wstawać od stołów i przemieszczać się w poszukiwaniu krewnych oraz przyjaciół, podczas gdy czterestu ustawionych na wysokim podium muzyków zaczęło przygrywać piękne melodie na swoich piszczałkach, cytrach, harfach, fletach i bębenkach tudzież innych instrumentach strunowych i dętych.

Mimo załości w sercu hrabia Barcelony był usatysfakcjonowany: dobrze wydał za mąż obie córki, niezadługo ożeni pierwszego bliźniaka, a co do Berenguera, to lepiej zaczekać, aż się usatkuje i poskromi ataki gniewu, które tak drogo kosztowały jego przyrodniego brata Pedra Ramóna. Na wspomnienie tego ostatniego ogarnął hrabiego wielki smutek. Przykro mu się zrobiło, że nie ma tu jego pierworodnego syna, którego musiał uwięzić w Castellnou. Jedno-

częście odczuwał ulgę na myśl o tym, że nie on będzie jego sędzią: zastosuje się tylko do wydanego przez Rzym wyroku, jakkolwiek on będzie. Okoliczności śmierci Almodis były tragiczne i chociaż Pedro Ramón popełnił czyn niewybaczalny, w głębi serca hrabia wiedział, że ona lekkomyślnie go do tego sprowokowała.

Starsi biesiadnicy zaczęli odczuwać skutki działania likierów, młodszy, zachęceni przez muzykę, ruszali w tany w rytm dworskich ballad pochodzących z Pirenejów. Nowożeńcy zdążyli już wycofać się dyskretnie, a rodziny mające przed sobą długą drogę powrotną do domu też zbierały się do wyjścia, najpierw żegnając się z hrabią.

Marta dwukrotnie podchodziła do stołu, przy którym siedział jej ojciec z chrzestnym, a teraz tańczyła dworski taniec korowodowy, gdzie panny z jednej strony, a kawalerowie z drugiej wykonywali szereg ukłonów i ewolucji połączonych ze zmianą partnerów, tak aby każdy mógł zatańczyć z każdym. W jednej z tych kombinacji wypadło jej przejść pod łukiem utworzonym ze złączonych dłoni pozostałych tancerzy, z Bertranem u lewego boku.

— Mój ojciec nie spuszcza nas z oczu — powiedziała do niego, z gracją posuwając się w tańcu.

— Nikt nie potrafi oderwać oczu od najpiękniejszej panny na tej uczcie.

Adelais de Cabrera sprytnie manewrowała między gośćmi, tak aby znaleźć się obok Berenguera. On jej wyraźnie unikał, lecz wreszcie dopadła go za jedną z bocznych kolumn.

— Panie, dowiedziałam się o czymś, co powinno was zainteresować.

Młody hrabia, czując się niezręcznie w jej obecności, zaczął od defensywy.

— To nie moja wina, że matka usunęła was z pałacu. Próbowałem ją przekonać, że nie macie nic wspólnego z tą sprawą, wiecie, o czym mówię, ale ona postąpiła po swoimemu... Koniecznie musiała znaleźć winnego, no i mimo moich starań trafiło na was.

Adelais ignorowała jego słowa. Myślała tylko o swojej zemście i wiedziała, że Berenguer połknie przynętę.

— Nadal interesuje was Marta Barbany?

Spojrzał na nią z ukosa.

— Możliwe.

— A gdybym wam oznajmiła, że wiem, jak możecie ją zdobyć...

— Ciekawe, czego zażądacie w zamian — rzekł podejrzliwie, trochę zaskoczony jej szczerością.

— Chcę wrócić do pałacu i zająć pierwsze miejsce wśród dam.

— Jeżeli wasza wiadomość jest tego warta, możecie na to liczyć.

— Czuję, że pozostała wam już tylko jedna przeszkoda do pokonania...

— Więcej niż jedna. Mój ojciec żyje, przyrodni brat czeka w zamknięciu na wyrok papieski, a poza tym jest jeszcze mój brat bliźniak Ramón.

— Jestem młoda i mogę poczekać. Wasz ojciec pewnego dnia zejdzie z tego świata, takie jest życie. Wasz przyrodni brat udowodnił swoim postępkami, że nie nadaje się na następcę tronu, nawet gdyby został ułaskawiony, a co do brata bliźniaka... wszystko od was zależy.

— Widzę, że pokładacie dużą wiarę w przyszłość. Jeżeli sprawdzą się wasze przewidywania i obejmę władzę, pałac będzie waszym domem. Oczywiście pod warunkiem, że informacja okaże się tego warta.

— O to się nie martwię. Najważniejsze, że ta plebejuszka z manią wielkości będzie musiała spuścić z tonu, by uratować ojca od hańby — mruknęła Adelais przepelnionym zawiścią głosem.

Zamroczony trunkami Berenguer zaczynał odzyskiwać jasność umysłu. Adelais wyczytała z jego oczu, że zdołała wzbudzić zainteresowanie.

Po dłuższym zastanowieniu doszedł do wniosku, że to niebezpieczna kobieta i lepiej mieć ją blisko siebie pod kontrolą niż trzymać się od niej z dala, gdzie mogłaby medytować nad swoimi urazami i zranioną dumą.

— Chętnie was wysłucham — ustąpił. — Mówcie, co takiego złamie wolę damy, której opór zakłóca moje sny.

— Naganny postępek jej ojca, rzecz nie do opisania, zasługująca na podwójne napiętnowanie. Łatwo to udowodnić, a wtedy trybunały hrabstwa i, co więcej, sądy kościelne mogą wytoczyć mu proces.

— Nie bawcie się w subtelności i przejdźcie do sedna sprawy.

— Przysięgacie, że spełnicie to wszystko, co mi obiecaliście? — nalegała Adelais.

— Przysięgam na pamięć swojej matki. Jeśli nie dotrzymam słowa, niech moja dusza smaży się w ogniu piekielnym.

— Co sądzicie o kimś, kto zmarł w wierze chrześcijańskiej,

oszukując wszystkich, gdyż został pochowany za specjalną zgodą Kościoła w prywatnej kaplicy z zewnątrz zwieńczonej krzyżem, a wewnątrz ozdobionej żydowską menorą i gwiazdą Dawida na grobowcu? Czy nie popełniono tu strasliwego grzechu?

— Sądzę, że mamy do czynienia z fałszywym nawróceniem — odparł bez wahania Berenguer — i że sprawca tego czynu zasługuje na podwójną karę: ze strony hrabstwa i ze strony Kościoła. Kara obejmowałaby również utratę całego majątku.

— No właśnie — rzekła z uśmiechem Adelais. — To jest broń, którą wam daję do ręki. Ruth, żona Barbany i matka Marty, została pochowana w ich posiadłości w ogrodowej kaplicy, nad którą góruje kamienny krzyż. Jednakże jej grobowiec jest ozdobiony judaistycznymi symbolami. Zechciejcie wziąć pod uwagę, że umożliwiam wam spełnienie waszego zamiaru, a także przejęcia całego majątku rodziny Barbany na rzecz hrabstwa.

Umysł Berenguera był już całkowicie jasny.

— Jeżeli mi w tym pomożecie, to kiedy obejmę rządy w pałacu, a prędzej czy później to się stanie, będziecie mieć wszystko, czego zapragniecie.

— Wystarczy, że zajmę należne mi miejsce, odpowiednie do mojej rangi i zasług.

— Kiedy obejmę tron, będziesz ze mną w raju. Czy nie tak powiedział Jezus do dobrego łotra? — zapytał Berenguer przymilnym tonem.



Berenguer nie posiadał się z radości. Jeśli to, co powiedziała mu przed chwilą Adelais de Cabrera, jest prawdą, posiadał potężną broń do osiągnięcia swoich celów raz na zawsze. Szybko wrócił do głównego salonu i poszukał spojrzeniem obiektu swego pożądanego. Była tam, tańcząc z Bertranem z Cardony. Berenguer popieścił wzrokiem jej ciało. W tym momencie umilkła muzyka i pary się rozdzieliły. Marta, z uśmiechem na zarumienionej po pierwszym tańcu twarzy, przyłączyła się do Estefanii Desvalls i innych młodych panien w rogu sali. Berenguer nie zastanawiał się długo, alkohol i zabawowy nastrój wzięły górę nad rozsądkiem: poszedł prosto do niej. Damy usuwały się przed nim z ukłonem. Nie zwracał na nie uwagi, miał jeden jedyny cel.

— Możemy porozmawiać na osobności? — zapytał Martę. — Jest pewna sprawa, o której chciałbym powiedzieć wam już teraz. Zechciejcie mi towarzyszyć.

Marta zbladła. Poszukała wzrokiem Bertrana i zobaczyła go wśród innych paziów. Nie zdążyła wymyślić żadnej wymówki, gdyż Berenguer skierował się od razu ku kolumnom, w to samo miejsce, gdzie przed chwilą rozmawiał z Adelais; poszła za nim ze spuszczoną głową. Upewniwszy się, że nikt inny ich nie usłyszy, Berenguer wbił w młodą dziewczynę lubieżne spojrzenie.

— Sądzę, że w waszym interesie jest uważne wysłuchanie tego, co chcę wam powiedzieć — zaczął chrapliwym głosem — i właściwe ocenienie moich intencji. Otóż dotarła do mych uszu wiadomość, która może niebezpiecznie zachwiać pozycją waszego ojca i podważyć bezmierne zaufanie, jakie pokłada w nim pałac. Wolałbym nie powiadamiać hrabiego o pogłoskach dotyczących tak znamienitej osoby, cieszącej się jego szacunkiem.

— Nie wiem, o czym mówicie — odparła z oburzeniem Marta. — Całkowicie ufam swojemu ojcu i wierzę w jego uczciwość. Nikt do tej pory nie odważył się insynuować czegoś podobnego!

— Możliwe, że nikt do tej pory nie wiedział o tajemnicy, jaką on ukrywa. Czasem człowiek jest na zewnątrz bez skazy, a wewnątrz fałszywy. Powtarzam — rzekł uśmiechnięty, robiąc krok w jej stronę z wyciągniętą ręką — nie mam zamiaru wam szkodzić, wprost przeciwnie: bądźcie dla mnie miła, a zachowam ten sekret na zawsze.

— A ja wam powtarzam, że nie istnieje żaden sekret! Mój ojciec jest w tej sali. Mam go przywołać, żebyście mogli od razu porozmawiać z nim o tej sprawie? W gruncie rzeczy to dotyczy tylko jego, a nie mnie.

Berenguer skamieniał na widok rozgniewanej twarzy Marty.

— Widzę, że nie chcecie posłuchać głosu rozsądku — odparował i uśmiech zniknął z jego ust. — Tylko nie mówcie potem, że was nie uprzedzałem. Kiedy wasz ojciec popadnie w niełaskę, będziecie żałować, że nie okazaliście więcej sympatii komuś, kto pragnął jedynie oszczędzić wam tej gorzkiej pigułki.

Z oczu Marty wyzierała pogarda.

— Życzycie sobie jeszcze czegoś? — zapytała z chłodnym szacunkiem. I nie czekając na odpowiedź, odwróciła się, gotowa przejść jak najszybciej do drugiej części salonu, chociaż trzęsły się jej kolana i czuła dziwną słabość w nogach.

Berenguer stał spokojnie, obserwując ją.

— Jesteś zbyt dumna, Marto Barbany. I przysięgam: drogo mi za ten grzech zapłacisz — mruknął pod nosem.

91

Oskarżenie

Stary hrabia oparł chorą stopę na wyściełanym stołku i czekał z niepokojem na Berenguera, który zapowiedział się przez seneszała. Znając kapryśny i chwiejny charakter swojego syna, przeczuwał, że ta nagła wizyta nie wróży nic dobrego; zazwyczaj Berenguer prosił o audiencję, kiedy chciał mu dokuczyć.

Hrabia wyznaczył mu spotkanie w małym pokoju obok sali tronowej, który łatwiej i szybciej można było ogrzać. Duży, załadowany drewnem do granic możliwości kominiek buchał przyjemnym ciepłem, przynosząc ulgę cierpiącemu na podagrę starcowi; ów dziwny marcowy dzień był wyjątkowo chłodny jak na tę porę roku.

Drzwi się otworzyły i dyżurny szambelan zapowiedział porywczego bliźniaka.

- Młody hrabia Berenguer prosi o audiencję!
- Wprowadźcie go i wezwijcie Gualberta Amata.
- Wedle rozkazu, panie.

Szambelan odszedł i zaledwie przebrzmiało pierwsze uderzenie głównego dzwonu katedry, w drzwiach stanął Berenguer Ramón. Przyj ąwszy pełną szacunku postawę, podszedł do wielkiego krzesła, na którym siedział ojciec, i zgodnie z wymogami dworskiej etykiety ucałował wyciągniętą dłoń.

- Witaj mój synu. Usiądź.
- Berenguer zajął wyściełany taboret naprzeciwko ojca.
- Nie zajmę wam dużo czasu, panie. Wiem, jak bardzo jesteście

zajęci, i rozumiem, że potrzebujecie odpocząć po wysiłku włożonym w przygotowania do ślubu i wesela Sanchy. Postaram się nie naprzykrzać.

— Martwisz mnie, Berenguerze — rzekł rozgoryczony hrabia.

— Nie widzę powodu. Sądzę, że obowiązkiem tych wszystkich, którzy mają zaszczyt mieszkać pod waszym dachem, ze mną włącznie, jest oszczędzać wam zmartwień i dodatkowej pracy, dlatego staramy się was powiadamiać tylko o takich sprawach, które świadczą o naruszeniu prawa i wymagają waszej sankcji. Pomijam tu, rzecz jasna, prośby wymagające waszej zgody.

Stary hrabia poruszył się niespokojnie. Znał przebiegłość syna, który — jeśli mu na czymś zależało — każdą sprawę potrafił przedstawić w zręcznych słowach i z obłudną miną.

— Mam rozumieć, że stało się coś, o czym powinienem wiedzieć?

— Tak jest, ojcze.

— O co chodzi?

— Obawiam się, że obdarzyliście zaufaniem człowieka, który na to nie zasługuje.

Hrabia zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Być może... Zapamiętaj, Berenguerze, że nie myli się tylko ten, kto nie podejmuje żadnych decyzji. Przyda ci się ta maksyma, kiedy dojdiesz do władzy. Jeżeli wiesz, że ktoś zawiódł moje zaufanie, powinieneś mi o tym powiedzieć.

— Po to do was przyszedłem, ojcze — oświadczył z szacunkiem Berenguer.

— Zatem słucham, zaczynaj.

Młodzieniec uznał, że po tym wstępie może pozwolić sobie na dalsze dywagacje, aby — zanim przystąpi do sedna sprawy — jeszcze bardziej zaintrygować starego hrabiego.

— Co powiedzielibyście, panie, o poddanym, który uważa się za najlepszego i najwierniejszego sługę, mimo iż zawiódł wasze zaufanie, świadomie naruszając obowiązujące prawo i wiedząc, że was oszukuje?

Hrabia nie zdążył odpowiedzieć, gdyż w tej samej chwili seneszał wsunął głowę przez uchylone drzwi i zapytał, czy może wejść.

— Pozwolicie, panie?

— Proszę, Gualbercie, czekałem na was.

— Ojczy, tym razem wolałbym porozmawiać z wami bez świadków — odparł niezadowolony Berenguer.

— Seneszal, synu, nie jest żadnym świadkiem, tylko jednym z moich najdawniejszych i najmiłszych doradców. — Zwracając się do nowo przybyłego, hrabia dodał: — Podejdźcie bliżej, Gualbercie.

Seneszal uczynił, o co go proszono, i przezornie przystanął obok dużego kominka, rozumiejąc, że jego rola polega na wysłuchaniu tego, co tu zostanie powiedziane.

— Mów, Berenguerze. Jaka to wiadomość skłania was do zachowania tak daleko posuniętej dyskrecji?

— Dobrze, ojczy. Pragnąłem oszczędzić wam przykrości, abyście nie musieli wypowiadać się w tej wyjątkowo skomplikowanej sprawie w obecności świadka, nawet jeśli jest nim człowiek tak wysokiej rangi, cieszący się waszym poważaniem. Ale skoro taka jest wasza wola, nie będę nalegał.

— Nie baw się w subtelności, Berenguerze. Mów wprost, co masz do powiedzenia.

Zapadła między nimi cisza. Atmosfera zrobiła się duszna, jakby w pomieszczeniu zabrakło powietrza. Trzask polan ułożonych na kominkowych wilkach był jedynym dźwiękiem łagodzącym napięcie.

Raptem Berenguer zdecydował się mówić.

— Dotarła do mnie z pewnego źródła wiadomość, którą należało by sprawdzić, albowiem jeśli się potwierdzi, może pociągnąć za sobą poważne konsekwencje dla wielu osób.

— Dość już tych podchodów, Berenguerze! Mów otwarcie!

Młodzieniec nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc, że ojciec jest w pełni zaintrygowany.

— Już mówię — kontynuował. — Jest pewien obywatel, którego obdarzyliście najwyższym poważaniem, który reprezentował was poza granicami hrabstwa i ma wolny wstęp do pałacu.

— Przestań mleć językiem na próżno. O kim mówisz? — zapytał surowo hrabia.

— O tym ambasadorze, którego wysłaliście na dwór Roberta Guiscarda, o Martim Barbany.

Stary hrabia wymienił krótkie spojrzenie ze swoim seneszalem.

— Co takiego zrobił Marti Barbany?

— Ojczy, ciężko mi o tym mówić... — skłamał Berenguer — ale sądzę, że kto poważnie obraża Boga, nawet mając na to ciche przyzwolenie członka Kościoła, ten, jeżeli robi to w złej wierze, oszukuje swojego pana na ziemi, czyli was, a zatem popełnia w pewnym sensie zdradę.

— Powiedz mi, Berenguerze, na czym polega to oszustwo.

— Panie, Marti Barbany pochował swoją żonę w ogrodzie na terenie własnej posiadłości, wybudował w tym celu chrześcijańską kaplicę ze świętym krzyżem nad drzwiami i otrzymał na to błogosławieństwo księdza Eudalda Llobeta, który był spowiednikiem mojej matki.

— Jeżeli chodzi ci o to, że pochował ją poza murami cmentarza, dowiedz się, że miał na to moją zgodę. Ten przywilej jest w zasadzie zarezerwowany tylko dla szlachty, lecz zasługi położone przez wybitnego obywatela na rzecz hrabstwa i naszego domu są na tyle wielkie, że w jego przypadku zrobiłem wyjątek. Gdzie tu oszustwo i do czego zmierzasz? — zapytał hrabia, tracąc cierpliwość.

— To jeszcze nie wszystko, ojczy. Uważam, że ta historia wygląda inaczej, niż wam się wydaje.

— Nie rozumiem cię i, na litość boską, przestań męczyć mnie swoją podejrzliwością! Mów, co masz do powiedzenia, i skończmy z tym wreszcie!

— W porządku, ojczy. Powiedziałem na wstępie, że byłoby lepiej porozmawiać bez świadków, uprzedziłem was, ale niech będzie tak, jak wy chcieliście. — Berenguer mówił dalej bez chwili przerwy: — Otóż ten znamienity obywatel, nadużywając waszej dobrej woli, wybudował chrześcijańską kaplicę, pochował w niej swoją żonę, a grobowiec przyozdobił judaistycznymi symbolami, umieszczając w górnej części siedmioramienną menorę, a na dole gwiazdę Dawida. Chyba nie muszę dodawać, że to świętokradztwo.

Seneszal oparty o gzyms kominka wyprostował się nagle, a stary hrabia zamyślił się, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Jest to podwójna zbrodnia zasługująca na karę — kontynuował Berenguer. — Zbrodnia przeciwko władcy, albowiem nadużył waszej dobrej woli, i zbrodnia przeciwko Kościołowi Świętemu, Matce Naszej. Za mniejsze przewinienia wysyłano na stos, a kiedy zaczęły działać ramię sprawiedliwości, z pewnością winny utraci nie tylko swój majątek.

Ramón Berenguer pogładził brodę i odezwał się stłumionym głosem.

— Kto rozsiewa takie kłamstwa?

— Pozwólcie, że tę informację zachowam dla siebie, lecz skoro nie dowierzacie moim słowom, istnieje prosty-sposób na to, by się przekonać, czy mówię prawdę: rozkażcie dokonać oględzin tej kaplicy.

— Marti Barbany jest pod moją osobistą ochroną i ramię sprawiedliwości, jak mówisz, nie zacznie działać bez mego rozkazu!

— Ojczy, tylko szlachta ma prawo do takich przywilejów — odparł Berenguer, marszcząc czoło.

— Pałac powierzył mu ważną misję jako ambasadorowi, dlatego żaden sędzia nie może wszcząć przeciwko niemu postępowania i żaden *veguer* nie zarządzi rewizji jego dóbr bez mojego wyraźnego nakazu.

Gwałtowny charakter Berenguera objawił się jak wybuch wulkanu.

— Bronicie krzywoprzysięzcy nadużywającego waszej dobrej woli i uchylającego papieżowi, który gorliwie zaleca nam ostrożność wobec tych żydowskich świń, aczkolwiek pozwalamy im żyć w naszym hrabstwie!

— Kim ty jesteś, aby wytykać błędy swojemu ojcu?! — odparł surowo hrabia. — Chrześcijański władca jest najwyższym sędzią wśród sędziów, to jedna z wielu moich prerogatyw. Przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji trzeba rozważyć wszystkie za i przeciw: co jest korzystne dla hrabstwa, a co może mu przynieść wielkie straty. Jeżeli pewnego dnia zostaniesz władcą, rzecz mało prawdopodobna, będziesz korzystać z tych prerogatyw. Póki ja żyję, nikt nie będzie sądził człowieka za to, że w swoim domu zrobił coś, co nie wyrządza żadnej szkody jego współobywatelom.

— Niewykluczone, że Kościół będzie innego zdania. Czyż nie czytamy w Ewangelii: „Oddawajcie cesarzowi, co do cesarza należy, a Bogu, co jest Bożego”?

— Zatem przyjmij do wiadomości, że ta sprawa należy tylko do cesarza i że nie życzę sobie, abyś rozgłaszał tu i ówdzie to, co nie powinno wyjść poza te cztery ściany. — Hrabia zrobił pauzę, aby podkreślić wagę tej przestrogi. — Pilnuj swojego języka i nie doprowadzaj mnie do gniewu.

Berenguer zerwał się z miejsca tak gwałtownie, że taboret, na którym siedział, przewrócił się do tyłu.

— Sądziłem, że obowiązkiem dobrego syna jest powiadomić ojca o rzeczach przynoszących ujmę jego władzy! Ale widzę, że znowu się pomyliłem... Jestem waszym poddanym, ale zechciejcie nie uważać mnie odtąd za swojego syna...! Nigdy nie byliście dla mnie jak ojciec!

Wyszedł z pokoju, trzasnąwszy drzwiami.

Mainar i Gueralda

Mainar wybrał się do swojego lupanaru na Montjuïc z zamiarem poznania owej dziwnej kobiety, o której opowiedział mu Maimón. Kiedy ją ujrzał, jeszcze mniej rozumiał powody, dla jakich służąca z dobrego domu zdecydowała się przyjąć pracę w takim miejscu jak to. Gueralda weszła do jego gabinetu z Mai-mónem, odziana w kaftanik i spódnicę w kasztanowym kolorze, wełniana niebieska chusta przykrywała jej ramiona, włosy miała splecione w gruby warkocz owinięty wokół głowy i ozdobiony grzebykami, na nogach pantofelki. Nie ukrywała blizny na policzku, a w jej oczach płonął ów szczególny, dobrze znany Mainarowi blask: żar nienawiści.

Zatrzymała się trzy kroki od stołu. Mainar obejrzał ją dokładnie. Nie było lęku w jej spojrzeniu.

Maimón czekał na rozkaz swojego pana.

— Odejdź, Maimónie, i zostaw nas samych. Ta urodziwa panna i ja mamy sobie dużo do opowiedzenia... Łączy nas to samo nieszczęście. Oboje mamy okaleczoną twarz.

Eunuch wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Mainar i Gueralda stali naprzeciw siebie.

— Usiądź i opowiedz mi o swoim życiu. Mów szczerze, gdyż natychmiast wyczuję kłamstwo. Masz przed sobą człowieka, który potrafi cię zrozumieć. Ja też wiem, co to cierpienie, przeszedłem przez to samo co ty.

Gualda usiadła naprzeciwko Mainara, poprawiła spódnicę i zaczęła swą opowieść.

Czas płynął niepostrzeżenie. Jednooki słuchał uważnie, archiwizując w pamięci najważniejsze dla siebie dane. Jak przypuszczał, serce Gualdy przepełniała nienawiść, skierowana do wielu osób. Jeśli uda mu się to wykorzystać, zrobi dobry interes.

— Zacznijmy od nowa. Mówiłaś, że byłaś służącą w domu Martiego Barbany i tam spotkało cię to nieszczęście.

— Wszystko przez jego córkę — potwierdziła gniewnie. — Ta rozkapryszona dziewczyna okręciła sobie ojca wokół palca.

— Mówisz, że twój ojciec nadal dla niego pracuje.

— Pilnuje magazynu z narzędziami do pracy w stoczni, ale odkąd ukradł moje pieniądze, nie chcę go więcej znać.

— Kobieto, idziesz przez życie, grzesząc naiwnością. Zdaje się, że ów Tomeu również zostawił cię bez pieniędzy. Podejrzewam, że dlatego go szukasz.

— Chcę odebrać co moje.

— Maimón mi powiedział, że masz jeszcze inne ambicje.

Mainar wyczuł w tym momencie zażenowanie dziewczyny.

— Nie mam dokąd iść, odeszłam ze służby i nie zamierzam wrócić do tego domu...

— To nie jest gospoda — odparł Mainar. — Utrzymanie moich podopiecznych sporo kosztuje, ale muszę na to łożyć, bo są niewolnicami i moją własnością. Mówmy jasno: czego chcesz?

— Chcę sprawić niespodziankę Tomeu. Dlatego pragnę być powiadomiona o jego wizycie. W zamian za to będę dla was pracować za wikt i miejsce do spania.

— To mnie nie interesuje. Chyba że oddasz mi jakąś inną przysługę... Jak długo służyłaś u Martiego Barbany?

— Około dziesięciu lat. Byłam tam już wtedy, gdy jego żona zmarła przy porodzie.

— Zatem dobrze znasz tę posiadłość, zwyczaję pana i ludzi, którzy tam mieszkają.

— Jak własną kieszeń — potwierdziła Gualda. — Nie ma tam nic, czego bym nie знаła.

— Chyba możemy zawrzeć układ.

— Jeśli wy mi pomożecie w mojej sprawie, zrobię wszystko, czego zażądacie.

W głowie jednookiego wrzało od myśli i planów.

— Jeśli będziesz ze mną współpracować, upolujesz dwa ptaki jedną strzałą. Pomścisz zniewagę, jaką wyrządził ci ten mężczyzna, zabierając twoje pieniądze, i zyskasz dodatkową satysfakcję.

— Nie nadażam za wami, panie.

— Moje strzały są wymierzone w dom Martiego Barbany. O ile się nie mylę, ty też masz tam rachunki do wyrównania.

— Odpowiada mi ten pomysł, ale jak to wykonać?

— Zostaw to mnie i rób, co powiem. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, będzie o tym głośno w całym kraju. Nie musisz znać szczegółów, wystarczy, że odpowiesz mi teraz na kilka pytań.

— Jestem gotowa, panie.

— Jak wygląda nadzór nad posiadłością Martiego Barbany w nocy, ile jest wejść, kto robi obchód murów?

— W nocy nikt tam się nie dostanie. To istna forteca. Przy głównej bramie, zamykanej na noc, stoi odwach, w murach są cztery stanowiska wartownicze, regularnie patrolowane przez rond, który zmienia wartowników.

— Jakie są inne wejścia oprócz głównej bramy?

— Dwa w sadzie i jedno w ogrodzie, wszystkie trzy dobrze strzeżone i otwierane dopiero wtedy, gdy wozy wyjeżdżają na targ.

— Jaka jest odległość od murów do najbliższej ściany domu?

— Około trzystu łokci od frontu.

— Jak jest oświetlony ten teren?

— Na każdą pięćdziesiątą ziemi przypada jedna latarnia naftowa, która świeci się przez całą noc.

— Z tego, co wiem, tylną ścianę domu stanowi mur miejski.

— Tak, od strony kuchni, ale tam nie ma drzwi, tylko nieduży otwór, przez który wsuwa się drewno opałowe.

— Czy jest jakiś stały dzień w miesiącu, kiedy się to odbywa?

— Zawsze ostatniego dnia, jeżeli nie wypada święto — odpowiedziała bez wahania.

Mainar podniósł się z fotela.

— Dobra z ciebie dziewczyna i chętnie ci pomogę. Muszę przetrwać to wszystko, co mi powiedziałaś. Zostań w tym domu i pracuj, tak jak chciałaś. Każę cię powiadomić, kiedy przybędzie twój mężczyzna. Mój zarządca załatwi z tobą wszystko, co dotyczy pieniędzy. Ty i ja już więcej się nie zobaczymy.

Rękawice

— Co mi tu przynosicie, ojczcie Magí?

Na stole archidiakona stało otwarte pudełko. Eudald Llobet odsunął kałamarz z grubego kryształu, żeby mieć więcej miejsca, i wyjął dużą wełnianą rękawicę, po czym spróbował nasunąć ją sobie na prawą dłoń.

Magí, podenerwowany jak zwykle, odpowiedział na pytanie przełożonego.

— Drobnym upominek od mojej matki. Zrobiła je dla was własnoręcznie, aby wyrazić swoją wdzięczność.

— Nie trzeba było...

— Chciała w ten sposób wam podziękować, że pozwalacie mi ją odwiedzać. Nie ma nikogo oprócz mnie i poczciwej sąsiadki, kto mógłby się nią opiekować. Gdy zapytała o wasze upodobania, odpowiedziałem, że macie dwie pasje: książki i róże, a ostatnio również kaktusy. Wtedy pomyślała, że przydałaby się wam porządna para rękawic, aby ochronić ręce przed ukłuciem i zadrapaniem. Rośliny potrafią być niewdzięczne jak ludzie, którzy za opiekę odpłacają się zranieniem. Główna wartość tego prezentu polega na tym, że matka sama go dla was zrobiła, leżąc w łóżku, bo ostatnio prawie nie wstaje.

— Przekażcie jej ode mnie najserdeczniejsze podziękowania. Chętnie przyjdę do niej z Przenajświętszym Sakramentem.

Magí się zaniepokoił.

— Nie róbcie sobie kłopotu, ojcze. Nowy proboszcz kościoła w Pi często do niej zagląda i pociesza w cierpieniu.

— Wasza matka jest pobożną chrześcijanką—rzekł ojciec Llobet z czułością — i pójdzie prosto do nieba, bo wiele wycierpiała.

— Czy mogę dziś wieczorem do niej zajrzeć? Sąsiadka będzie zajęta. Ona jest akuszerką i musi zostać przy kobiecie, która pierwszy raz rodzi; zdaje się, że dziecko jest źle ułożone i podczas porodu mogą wystąpić komplikacje. Uprzedziła mnie, że nie będzie mogła przyjść, dopóki wszystko nie zakończy się szczęśliwie.

— Macie moją zgodę, ojcze Magi. Opiekujcie się matką, której, jak mówicie, niewiele już pozostało życia. Szlachetny cel usprawiedliwia waszą nieobecność w klasztorze. Pozwalam wam chodzić do rodzinnego domu nawet codziennie, jeśli zajdzie potrzeba.

— Stokrotne dzięki, wasza wielebność, ale jak poradzicie sobie beze mnie?

— Nie martwcie się o to. Dam sobie radę. Powiedzcie matce, że jeszcze dziś wypróbuję jej rękawice. No, idźcie już — zachęcił go z uśmiechem. — Nie chcę was zatrzymywać.

Młody ksiądz ucałował krucyfiks zawieszony na grubym powrozie u pasa przełożonego i wyszedł natychmiast. Ojciec Llobet został sam i nie zwlekając, wziął kosz z narzędziami ogrodniczymi, aby udać się do ogrodu na tyłach klasztoru.

Cieszył się, że przeor uwzględnił jego prośbę podyktowaną słabnącym wzrokiem i zwolnił go z obowiązków w skryptorium, przydzielając mu w zamian nową pracę na świeżym powietrzu, dzięki czemu mógł rozwijać swoje zamiłowania. Już dawno przesadził róże z donic na parapecie okiennym na mały skrawek ziemi w dole ogrodu obok powozowni. Nie mógł jednak uprawiać wielu gatunków kwiatów ze względu na zasolenie wody, więc zaczął od studiowania mądrych ksiąg na temat odporności roślin. W bibliotece znalazł *Epistoły* Teofrasta z Sycylii i Teokryta z Syrakuz oraz *Naturalis historia* Pliniusza Starszego, z których dowiedział się o roślinach rosnących w pustynnych rejonach Afryki mimo braku wody. Poprosił swojego przyjaciela Martiego Barbany, aby przywiózł mu parę odmian, jeśli któryś z jego statków zawita w te okolice. Rok później otrzymał pierwsze opuncje i pierwsze pędy kaktusów. Tak zaczęła się dla starego księdza nowa przygoda życia.

Eudald Llobet, zadowolony z prezentu od matki Magi ego jak

dziecko z nowej zabawki, włożył rękawice i zaczął się krzątać przy kłujących roślinach. Jego myśli poszybowały tymczasem ku staremu przyjacielowi.

Dręczyły go dwie sprawy: jedna to tajemnicze zniknięcie Rashida al-Malika, które napełniło niepokojem serce Martiego, druga — jak znaleźć wyjście z delikatnej sytuacji, do jakiej doszło w pałacu w związku z napastowaniem jego ukochanej chrześniaczki przez Berenguera, przybierającym coraz groźniejsze formy. Na dodatek musiał zachować to w absolutnej tajemnicy, aby nie wywoływać wilka z lasu. Wolał nie wyobrażać sobie burzy, jaka by się rozpętała, gdyby Marti dowiedział się o kłopotach córki. Należy działać w aksamitnych rękawiczkach, pomyślał i uśmiechnął się, patrząc na swoje ręce.

Rozpaczliwa decyzja

Rashid al-Malik zdawał sobie sprawę z tego, co go czeka, i ogarniało go coraz większe przerażenie. Nie był człowiekiem odważnym, ale wyznawał niezłomne zasady, więc przysięga złożona w imię przodków oraz pewność, że cała ta historia z jego porwaniem jest wymierzona przeciwko Martiemu Barbany, pobudzały jego inwencję i skłaniały do poszukiwania takich rozwiązań, które wyrządziłyby jak największą szkodę wrogom jego ukochanego przyjaciela i protektora. Pogodził się już z myślą o nieuchronnej śmierci, lecz nie chciał, aby jego cierpienia były nadaremne.

Nie mógł się dłużej wykręcać. Niemal każdego dnia zamawiał nowe rzeczy, które bezzwłocznie mu dostarczano. Komponenty do wytworzenia greckiego ognia: alembiki, probówki, móżdżerze, maceratory, pipety, destylatory — jednym słowem wszystko, co potrzebne do osiągnięcia wyznaczonego celu — stały na półkach groty, do której codziennie zaglądał. Nie widywał nikogo oprócz służby, gdyż ani jednooki, ani szlachcic ubrany na modłę mauretańską nie pojawili się ponownie. Nie mógł się uskarżać na złe traktowanie, co więcej, zauważył większą dbałość o dobór serwowanych potraw.

Trzy dni wcześniej został wezwany na rozmowę przez zarządcę posiadłości, który w atmosferze pełnej napięcia, nie przyjmując żadnych usprawiedliwień, wyznaczył mu ostateczny termin na najbliższy wtorek w południe i zagroził, że jeśli tego dnia i o tej godzinie nie będzie w stanie zademonstrować potęgi greckiego

ognia, musi liczyć się z konsekwencjami, jakie poniesie w dobrze mu znanej celi w lochach. Ostatniej nocy nie mógł zasnąć, przewracał się w łóżku z boku na bok, próbując coś wymyślić, żeby przedłużyć przymusowy pobyt w tym więzieniu, dopóki nie przyjdzie oczekiwany ratunek. Wciąż miał w sercu nadzieję, chociaż rozum mówił mu, żeby się nie łudził. Wreszcie podjął decyzję: nie ma sensu przedłużać agonii, musi wykonać to, co wcześniej postanowił. Rano ubrał się i wezwawszy przydzielonego mu sługę, poprosił o rozmowę z zarządcą domu; ten przybył natychmiast, a wtedy Rashid poprosił o długą wełnianą koszulę, wyjaśniając, że w grocie, miejscu jego pracy, jest zimno. Nałożył ją na nogawice jak pancerz, przykrył z wierzchu tuniką sięgającą stóp i obuł trzewiki, po czym znowu wezwał swojego strażnika, aby oznajmić, że to ostatni dzień pracy, więc niech nikt mu nie przerywa ani nie przeszkadza. Zażądał też zwykłego pędzla z włosia borsuczego, który jest mu potrzebny do wykończenia całego procesu, i dodał, że do południa wszystko będzie gotowe, w związku z czym zaprasza zarządcę do groty zaraz po obiedzie.

Szybko otrzymał zamówiony pędzel i jak każdego ranka wyruszył do groty w asyście strażnika.

Rozejrzał się wokół. Kilka dni temu zakończył proces wytwarzania galaretowatego płynu o cudownym działaniu i umieścił go w fajansowym dzbanku na najwyższej półce, wciąż jeszcze łudząc się nadzieją, że może uda mu się uniknąć tego, co właśnie zamierzał zrobić. Uznał jednak, że nie ma co dłużej zwlekać ani szukać pretekstów — kości zostały rzucone. Wspiął się na trzy-szczebłową drabinkę i z największą ostrożnością sięgnął po kruche naczynie. Zniósł je powoli na dół i postawił na kontuarze obok kolby, alembiku i destylatora. Następnie zaczął się rozbierać. Kiedy był prawie nagi, odkrył dzbanek i delikatnie zanurzył gruby pędzel w kleistej mazi. Potem rozpostarł na kontuarze długą wełnianą koszulę i z wielką wprawą, jak farbiarz barwiący sukno, zaczął przesuwać po niej pędzlem, pilnie bacząc, aby każdy fragment został pokryty mazią.

Kiedy zakończył tę czynność, ubrał się ponownie, wkładając na zaimpregnowaną koszulę tunikę, którą ścisnął w pasie sznurem. Potem odstawił drabinkę na miejsce, poszedł w głąb groty i roz-

łóżywszy dywanik uklęknął na nim z twarzą zwróconą w kierunku Mekki. Po ucałowaniu ziemi zaczął recytować modlitwy, których matka nauczyła go w dzieciństwie.

W Barcelonie powiały wiatry niezbyt łaskawe dla doña de Sant Jaume i jego współnika Barnabę Mainara. W powietrzu unosiło się coś złego, krążyły pogłoski, że hrabiowska milicja szykuje się do wyjścia na miasto. Szlachcic nie posiadał się z oburzenia: jak to możliwe, że zwykły plebejusz, któremu poszczęściło się w interesach i udało zgromadzić ogromny majątek, zdołał uzyskać u hrabiego taki wielki fawor?

O świcie obaj z Mainarem wyruszyli konno do Arbucias, galopując co sił, gotowi zajeździć konie na odcinkach między stacjami pocztowymi. Pierwszą mieli w lluro, gdzie zmienili wierzchowce, drugą w Arenys de Munt.

Około południa znaleźli się u celu. W bramie *masía* przyjął ich sługa, który wziął od nich cugle i zaopiekował się rumakami.

— Gdzie twój zarządca?

— Zajmuje się gościem, panie.

— Zaraz sam się zajmę tym człowiekiem. Zaprowadź doña Mainara do piwnicy, żeby sprawdził, czy wszystkie urządzenia są w dobrym stanie, bo niewykluczone, że nasz gość będzie wymagał specjalnych względów.

Wszyscy trzej weszli do domu i kiedy służący udał się z jednookim na inspekcję celi tortur, don de Sant Jaume ruszył na pierwsze piętro, pragnąc jak najszybciej się przekonać, czy ten przekłety starzec dotrzymał wreszcie swoich zobowiązań.

— Tak mi się wydaje — poinformował go zarządca. — Dziś rano poprosił mnie o ciepłe ubranie, skarżąc się, że w grocie dokuczają mu zimno, a potem kazał sobie przynieść pędzel z włosiem bor-suczym, nie mówiąc w jakim celu.

— Dużo ma jeszcze pracy?

— Powiedział, żeby mu nie przeszkadzać i że dzisiaj zamierza skończyć.

— Oby tak się stało... Wie, co mu grozi, jeśli się nie pośpieszy.

— Zaznaczył, że wszystko będzie gotowe w południe.

— W porządku — ustąpił Marçal. — Zróbmy mu tę ostatnią łaskę.

Po lekkim posiłku don de Sant Jaume i Bernabé Mainar skierowali się do grotty w głębi ogrodu. Drzwi zamykane na dwa spusty były ukryte za krzakami i z zewnątrz nie rzucało się w oczy nic szczególnego.

Wręczywszy swojemu panu klucze na kółku, zarządca się wycofał. Zgrzyt zamka zaalannował Rashida, który błyskawicznie podniósł się z klęczek i zrolował dywanik. W grocie rozjaśnionej kagankami zabłyśło na moment światło dnia. Dwaj mężczyźni weszli, zamykając za sobą drzwi.

Rashid nie spodziewał się dwóch osób, ale to go nie zniechęciło.

— No dobrze, panie Al-Malik, czas się przekonać, czy jesteście człowiekiem słowa, czy jarmarcznym szarlatanem.

— Wypełniłem swoją część umowy, mam nadzieję, że wy wypełnicie swoją.

— Niewątpliwie, panie Al-Malik — oświadczył Marçal de Sant Jaume. — Pokażcie, jak ten wasz artefakt działa, a przekonacie się, że zawsze dotrzymuję obietnicy.

Mainar stał nieco z tyłu, co okazało się dla niego zbawienne.

Rashid powiedział:

— Zaraz wam udowodnię niezwykłą moc swojego wynalazku. Zobaczycie, co potrafi zrobić ogień, który nie gaśnie.

— Zatem czekamy.

Wtedy Rashid al-Malik wziął stojący na kontuarze kaganek i zrobił krok do przodu. Kiedy zbliżył się do porywacza na wyciągnięcie ręki, z zadziwiającą w jego wieku zwinnością przysunął płomień lampki do swojej tuniki, która błyskawicznie zajęła się ogniem. Grotę wypełnił intensywny blask. Zamieniony w żywą pochodnię Rashid rzucił się na doña de Sant Jaume, przywierając do niego ramionami i nogami niczym modliszka do samca, który ją zapłodnił. Mainar bez namysłu wyskoczył na zewnątrz, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Krótki powiew powietrza rozniecił płomień. Połączone ciała obu mężczyzn runęły na ziemię, wrzask doña de Sant Jaume zmieszany z jękami Rashida odbijał się od kamiennych ścian grotty, tworząc tragiczny koncert. Myśli Mainara pędziły jak wiatr. Powrócił do grotty i próbował się zbliżyć do płonącej zagwi, aby rozdzielić ciała. Potem rozejrzał się za czymś, co pomogłoby zdusić ogień, ale niczego takiego nie znalazł. Wybiegłszy znów na zewnątrz, zaczął przyzywać pomocy. Zaraz nadciągnęła grupa mężczyzn.

Nic nie udało się zrobić; przez drzwi i przez wyciąg kominowy, wychodzący na zewnątrz sklepienia groty, wydostawał się gęsty dym, który uniemożliwiał wszelką próbę ratunku. Pozostawało tylko czekać.

Kiedy pożar osłabł i mogli wejść do środka, silny odór spalenizny wypędził ich z powrotem na powietrze. Przykrywając chusteczką usta i nos, Mainar przewyciężył odruch wymiotny i z kagankiem w ręku podszedł do leżącej na ziemi kupki kości i spalonego mięsa. Dziwny błysk przykuł jego uwagę: muzułmanin miał na palcu, który jakimś cudem nie spłonął do końca, osmalony pierścień z wygrawerowanymi w twardej kamieniu inicjałami M i B.

Wizyta w pałacu

Marti, z umysłem zaprzątniętym troskami, przemierzał korytarze. Dzięki Bogu Manipoulos dotarł do Barcelony cały i zdrowy na pokładzie „Lai”. To była jedyna dobra wiadomość w tych ostatnich dniach naznaczonych niepokojem o los Rashida i nowymi problemami z Martą. Marti kroczył za szambelanem, który prowadził go do sali, gdzie czekał nań seneszał Gualbert Amat. Sala ta miała również wyjście na zadaszony dziedziniec, na którym młodzi paziowie i rycerze uprawiali się w rzemiośle wojennym. Gualbert Amat w stroju mistrza walki pozdrowił serdecznie gościa, odkładając na bok swoje akcesoria.

— Witam w pałacu, panie Marti. Wybaczcie, że przyjmuję was w tym miejscu i w takim kostiumie, ale zmuszają mnie do tego obowiązki. — Patrząc w stronę drugich drzwi, wyjaśnił: — Ci młodzi mają gorącą krew i od czasu do czasu potrzebują mojego arbitrażu. Nikt nie lubi przegrywać, a tym bardziej dać się rozbroić.

— Panie seneszalu, uważam za zaszczyt to, że poświęćcie mi swój cenny czas, nieważne w jakim miejscu.

— Usiądźmy zatem i jeśli Bóg da, porozmawiamy spokojnie. Uprzedzam jednak, że w każdej chwili może się zdarzyć, iż będę musiał przerwać rozmowę, aby interweniować w jakimś sporze między młodymi.

— Nie chciałbym przeszkadzać wam w pracy. Dostosuję się do okoliczności.

Obaj mężczyźni zajęli miejsca na ławie pod gołą ścianą. Seneszał pociągnął za złocony chwast wiszącego na niej sznura i natychmiast pojawił się lokaj z tacą, na której stał dzban wina i kamionkowe kubki.

Mężczyźni rozpoczęli dialog, racząc się winem.

— Wezwałem was, panie Barbany, aby poinformować, co zostało zrobione w sprawie tajemniczego zniknięcia waszego współpracownika Rashida al-Malika. Stwierdzam z przykrością, że dotychczasowe poszukiwania nie przyniosły rezultatów.

Marti, z niepokojem w oczach, słuchał uważnie wyjaśnień seneszała.

— Wyzaczyłem do akcji sporą część milicji hrabstwa, zalecając strategię działania na zasadzie wiru wodnego. Poszukiwania trwały piętnaście dni. Zaczęto od centrum miasta, rozszerzając pole działania na sąsiednie dzielnice aż do murów obronnych. Potem moi ludzie wyszli poza mury, pytali na wszystkich targowiskach i dokładnie przeszukali przedmieścia. Sant Cugat del Rec, Vilanova deis Arcs, Santa Maria del Pi, dzielnicę La Ribera... Kazałem również zbadać i przetrząsnąć Rec Comptal, ścieki Cagalell i dok portowy. — Seneszał westchnął ciężko. — Ale nic to nie dało. W lochach jest pełno złoczyńców, złodziejasków, fałszywych kalek... słowem, cała zgraja przestępców, którzy próbują żyć w wielkich miastach na cudzy koszt. Ani śladu waszego człowieka. Gdyby to ode mnie zależało, kazałbym kontynuować akcję, ale *veguer* dał mi znać, że wśród ludzi rośnie niezadowolenie. Nie zapominajcie, że członkowie milicji wszędzie mają sąsiadów i znajomych, niechętnie rewidują ich domy. Urowadzony, jeśli jeszcze żyje, może się znajdować w którymkolwiek miejscu naszego wielkiego hrabstwa. Nie uda się przeszukać wszystkich domów. No i z tego, co wiem, wasz przyjaciel jest więcej wart żywy niż martwy. Moim zdaniem prędzej czy później porywacze nawiążą z wami kontakt.

Marti wydał głębokie westchnienie.

— Jestem wdzięczny, panie seneszału, za wszystko, co zostało zrobione, i chętnie wynagrodzę poniesione trudy. Powiedzcie mi tylko, w jakiej formie mam to uczynić.

— Nie o to chodzi, drogi Marti — odparł seneszał. — Dobrze wiecie, że milicja hrabstwa jest powoływana pod broń w konkretnych sprawach i nie dostaje za to zapłaty. Przysięgam, że gdybym widział

najmniejszą szansę powodzenia, nie kazałbym zaprzestać działań, ale to przedsięwzięcie przypomina, niestety, szukanie igły w stogu siana.

— Pozwólcie zatem, że przedstawię wam pewien plan, który przyszedł mi do głowy dziś rano. Potrzebuję waszej zgody, żeby go zrealizować.

— Jeśli to mi pozwoli rozwiązać milicję, z góry możecie na nią liczyć.

— Potrzebuję jedynie dwóch heroldów hrabiego.

Seneszal przyjrzał mu się z ciekawością.

— Zawsze cenilem waszą pomysłowość i nie wątpię, że ten plan będzie godny poparcia.

— Sam pomysł nie jest nowatorski, ale wiem z doświadczenia, że nigdy nie zawodzi.

— Mówcie, Marti.

— W sercu każdego człowieka kryje się chciwość. Trzeba ją tylko umiejętnie podsycić.

— Mówcie dalej — poprosił zaintrygowany seneszal.

— Chciałbym, żeby hrabiowscy heroldowie wyruszyli na miasto. Na targowiska, place, jarmarki... Wszędzie tam, gdzie gromadzą się ludzie. Najpierw niech zadmą w rogi, żeby zwrócić na siebie uwagę, a potem głośno i wyraźnie odczytają przygotowane przeze mnie obwieszczenie. Będzie w nim mowa, że ktokolwiek coś wie o miejscu pobytu Rashida al-Malika i dostarczy tych informacji, otrzyma w nagrodę sto mancuso. Opiszemy wygląd zaginionego, jak był ubrany i kiedy przepadł bez wieści. Mam nadzieję, że to poskutkuje.

— Wciąż mnie zadziwiacie, Marti. To musi być ważny człowiek, skoro wydajecie na niego tyle pieniędzy. Chętnie bym go poznał.

— Mój przyjaciel wart jest znacznie więcej — powiedział Marti ze smutnym uśmiechem.

— Trzeba będzie przygotować jakąś izbę ze skrybą i strażami u wejścia, gdyż z pewnością zjawi się więcej cwaniaków niż osób, które naprawdę coś wiedzą na ten temat.

— Podsunęliście mi dobrą myśl. W tym samym obwieszczeniu, jeśli pozwolicie, zagrozę potencjalnym oszustom karą więzienia i pięćdziesięciu batów, co powinno osłabić pazerność na pieniądze.

Gualbert Amat zastanawiał się przez chwilę.

— Wydaje mi się, że to rozwiązanie przyniesie lepsze skutki,

niz gdyby milicja przeszukiwała całe hrabstwo jeszcze przez pół roku. Jestem pewien, że ktoś się zgłosi z prawdziwą informacją. Nie dziwiłbym się, gdyby to była osoba zamieszana w porwanie.

— Nie mam nic przeciwko skruszonym złoczyńcom — odparł stanowczo Marti.

— Dopilnuję, aby *veguer* jak najszybciej wysłał w miasto swoich heroldów. Co jeszcze mogę dla was zrobić?

— Chciałbym porozmawiać na osobności z Bertranem z Cardony, jeśli to możliwe.

— Właśnie kończy ćwiczenia. To wspaniały chłopak, będzie z niego wielki wojownik. Przebywając w pałacu jako zakładnik w zastępstwie swojego ojca, wykazał się tyłoma zaletami, że można powiedzieć, iż w dużej mierze dzięki niemu nasz hrabia pogodził się z wicehrabią Cardony. Jeden z bliźniaków, ten, w którego imieniu poprosiliście o rękę córki Roberta Guiscarda, zamierza mianować go swoim chorążym.

— Miło mi to słyszeć i nie omieszkam złożyć mu gratulacji, jednakże ta okoliczność jeszcze bardziej mnie utwierdza w podjętym postanowieniu.

— Nie rozumiem.

— Mówię o powinnościach ojca wobec dorastającej córki. Marta spotykała się z tym młodzieńcem, kiedy nie było mnie w Barcelonie. Nie przewidziałem, że sprawy tak się potoczą, chociaż powinienem. — Marti rozżalony pokręcił głową. — Zakochała się w nim, a przynajmniej tak jej się wydaje. Rozumiecie, panie seneszalu, że mam obowiązek jak najszybciej położyć kres tej miłości. Pragnę bowiem oszczędzić córce cierpień. Ten związek nie ma żadnych szans na przyszłość. Wiemy, jaka jest Barcelona i co oznacza przynależność do tej czy innej klasy. Chłopak jest przyszłym wicehrabią Cardony, a na dodatek będzie chorążym naszego hrabiego. Dziewczynę z plebsu, nawet jeśli jej ojciec jest znamienitym obywatel, dzieli od niego przepaść. Póki nie jest za późno, chcę go poprosić, żeby nie robił jej nadziei. Zamierzam również poprosić naszego hrabiego, by pozwolił mi ją zabrać do domu.

Seneszał przyjął ze zrozumieniem argumenty Martiego.

— Macie rację, kasta szlachecka nie zrezygnuje ze swoich przywilejów. Małżeństwo wciąż służy unii rodzin, powiększeniu majątku i dóbr ziemskich, lecz przede wszystkim oznacza więzy

krwi, które winny umocnić i uszlachetnić drzewo genealogiczne każdego rodu. Tych zaszczytów, drogi przyjacielu, nie nabywa się jeszcze za pieniądze.

Ucichł hałas na placu broni. Po chwili milczenia seneszał podniósł się z ławy.

— Zaczekajcie, zaraz go przyprowadzę.

Gualbert Amat wyszedł i Marti pozostał sam. Pomyślał, że przywiodły go do pałacu trzy sprawy. Pierwszą już załatwił pomyslnie, przynajmniej taką miał nadzieję. Z drugą też powinien sobie poradzić, powołując się na młodość swojej córki i apelując do szlacheckiego honoru przyszłego wicehrabiego Cardony, żeby nie krzywdził niewinnej dziewczyny. Wszelako trzecia będzie najtrudniejsza, jak sądził. Musi uzmysłwić Marcie, że ta miłość jest niemożliwa, i namówić ją, żeby wróciła do domu.

Słowo honoru

Upłynęło trochę czasu — chociaż Marti nawet tego nie zauważył — zanim rozsunęła się kotara i pod arkadą oddzielającą salę od placu broni pojawił się senezal z synem wicehrabiego Cardony. Marti podniósł się ze swojego miejsca.

Senezal chciał dokonać prezentacji, lecz Bertran go uprzedził.

— Zostaliśmy już sobie przedstawieni w dniu ślubu hrabianki Sanchy.

— Zatem pozwólcie, miłośnicy panowie, że zostawię was samych. — Po czym zwrócił się do Martiego. — Dajcie mi znać, kiedy skończycie. Chciałbym jeszcze powrócić do naszej wcześniejszej rozmowy.

Nie dodając nic więcej, Gualbert Amat opuścił salę.

Dwaj mężczyźni, jeden już dojrzały, drugi jeszcze bardzo młody, stali naprzeciwko siebie. Bertran z Cardony był pogodny i nie wydawał się skřępowany w obecności Martiego Barbany, który był legendą Barcelony.

— Lepiej rozmawia się na siedząco, nie sądzicie? — rzekł Marti.

— Oczywiście. Domyślam się, że to, co macie mi do powiedzenia, zajmie nam dłuższą chwilę.

Marti zaczął od opowieści o swojej podróży, nadmieniając, że uznał za stosowne poprosić świętej pamięci hrabinę Almodis, żeby przyjęła Martę do pałacu, albowiem pragnął zapewnić córce dobrą opiekę i należyte wykształcenie. Wykazując dyplomatyczny talent,

rozmawiał z młodzieńcem jak z dorosłym człowiekiem, potrafiącym zrozumieć problem „małej dziewczynki”, która zakochała się po raz pierwszy w życiu. Następnie przedstawił swoje poglądy na temat szlachectwa w przekonaniu, iż Bertran podziela jego opinię o niemożności zawarcia małżeństwa między osobami należącymi do tak różnych stanów.

Bertran słuchał go uważnie i z atencją. Marti musiał przyznać, że czuje się dziwnie zakłopotany w obecności tego pogodnego chłopca — on, który wynegocjował setki umów, przeżył wiele niebezpiecznych przygód i zwycięsko wyszedł z naprawdę trudnych sytuacji, takich jak niedawna walka z piratami.

— Obowiązkiem ojca jest chronić córkę przed cierpieniem i rozczarowaniami, które w jej wieku przeżywa się bardzo boleśnie. — Po czym dodał: — Ja też byłem młody, stąd wiem, że trzynastolatka zakochuje się w samej miłości...

Zaskoczyło go pełne zadumy milczenie Bertrana.

— Czy moje wyjaśnienia są dla was jasne? — zapytał.

— Jasne jak słońce, panie — potwierdził chłopiec i głos mu nawet nie zadrżał. — Niemniej sędzę, iż wskutek długiej nieobecności przeoczyliście pewną oczywistość, a mianowicie to, że trzynastolatka jest już kobietą. Rozumiem, że ojcu trudno pogodzić się z myślą, iż jego córka wydorzała.

— Co chcecie powiedzieć?

— Że w tym wieku większość dzieci ze szlacheckich rodzin zawiera małżeństwo.

— Wiem, ale te małżeństwa mają na celu sojusz krwi i powiększenie stanu posiadania. Nigdy nie bierze się pod uwagę zdania kobiety. Tak się szczęśliwie składa, że ja nie jestem szlachcicem.

— Zdaje się, że wy, panie, też nie bierzecie pod uwagę zdania waszej córki.

— Co mi insynuujecie? — odparł Marti, rozdrażniony i zakłopotany zarazem. — Nie zależy mi na żadnych sojuszach. Nie patrzę na małżeństwo córki w taki sposób. Pragnę jedynie jej szczęścia.

— Wasza postawa przeczy waszym słowom — rzekł Bertran, patrząc rozmówcy prosto w oczy. — Kiedy pozwolicie jej się zakochać? Może lepiej, aby nigdy nie zaznała miłości i opiekowała się wami na starość?

Martí z trudem opanował gniew.

— Mylicie się, panie. Pragnę jedynie, aby moja córka zakochała się w odpowiednim dla siebie człowieku.

— Chcecie powiedzieć: w kimś, kto również ją kocha? Ja jestem tym człowiekiem.

Zaskoczyło to Martiego, ale odparł natychmiast:

— Miałem na myśli kogoś równego jej urodzeniem.

Zapadła pełna napięcia cisza.

Martí próbował innych argumentów, żeby przemówić młodzieńcowi do rozumu.

— Jest dla mnie zaszczytem, że kochacie moją córkę, ale to niczego nie zmienia. Sądzicie, że wasz ojciec pozwoli wam ją poślubić?

— Jeśli ojciec zaakceptuje moje małżeństwo z waszą córką, będę szczęśliwy. W przeciwnym razie sam zapewnię utrzymanie swojej rodzinie; mam głowę i dwie ręce.

Prawość i stanowczość tego chłopca zrobiły na Martini duże wrażenie.

— Wspaniały z was młodzieniec, odważny marzyciel, jak przystoi młodości. Gdyby nie to, że wywodzicie się ze szlacheckiego rodu, byłbym rad oddać wam córkę za żonę, ale istnieją pewne zasady i nic ani nikt tego nie zmieni. Życie mi pokazało, jak hermetyczne są rodziny w tym mieście. Poślubiając moją córkę, popełnicie zdradę wobec waszego rodu, a wtedy zobaczycie, ile drzwi zamknie się przed wami i jak niewielu przyjaciół wam zostanie.

— Jestem gotów się z tym zmierzyć i oficjalnie proszę was o rękę Marty.

Martiego rozczuliła postawa chłopca.

— Coś wam proponuję.

— Słucham.

— Porozmawiacie z nią i dacie sobie trzy lata na sprawdzenie waszego uczucia. Przez ten czas nie wolno wam się widywać pod żadnym pozorem. Jeżeli po tych trzech latach oboje będziecie myśleć tak samo, macie moją zgodę. Jeżeli nie, rozłąka pomoże wam zakończyć tę znajomość. Wierzcie mi, robię to dla dobra was obojga.

— Proście mnie o rzecz trudną i bardzo bolesną — szepnął Bertran, a wyraz jego twarzy świadczył, że nie są to ciche słowa.

— Coś wam powiem. Miłość i rozłąka są jak płomień i wiatr.

Wiatr gasi słaby płomień, a wzmacnia silny. Bertranie, pozwólcie, że zwrócę się do was po imieniu, jeśli naprawdę kochasz moją córkę, zrób, o co cię proszę.

Młodzieniec zamyślił się na chwilę.

Potem wstał i z powstrzymywanym wzruszeniem powiedział:

— Niech tak będzie, panie. Przystaję na waszą prośbę i przyjdę po Martę w wyznaczonym przez was terminie. Daję wam swoje słowo honoru.

Trzy rozmowy

Bertran spotkał się z Martą w ogrodzie różanym hrabiny Almodis. Dziewczyna słuchała jego słów z zasmuconą twarzą, powstrzymując cisnące się do oczu łzy.

— To są argumenty twojego ojca i ponieważ sądzę, że zostały podyktowane rozumem, dałem mu słowo honoru, iż uszanuję jego życzenie.

W spojrzeniu Marty zabłysła iskra gniewu.

— Porozmawialiście sobie we dwóch i razem podjęliście decyzję, nie licząc się z moim zdaniem. Czy ja już nie mam nic do powie dzenia?

Bertran poruszył się niespokojnie i spuścił głowę.

— Marto... Nie mogłem postąpić inaczej... Te trzy lata dla mnie też będą torturą. — Próbował wziąć ją za rękę, ale Marta się odsunęła. — Nie gniewaj się na mnie, proszę...

— Gniewam się, Bertranie — odparła, wstrzymując łzy. — Powiedziałeś, że mnie kochasz, poprosiłeś, żebym została twoją żoną... A teraz ulegasz mojemu ojcu, który narzuca nam absurdalną rozłąkę.

Bertran był skonfundowany. Kiedy rozmawiał z Martim, jego prośba wydawała mu się trudna do przyjęcia, lecz mimo wszystko rozsądna. Tymczasem widząc łzy i gniew Marty, zaczynał w to wątpić.

— Należało przynajmniej naradzić się ze mną... Obydwaj myś-

licie, że kim ja jestem? Lalką bez głosu i własnego zdania? Pozbawioną uczuć i rozumu?

Marta wstała. Nie chciała się rozpląkać w obecności Bertrana i dlatego postanowiła zakończyć to spotkanie.

— Przykro mi... — szepnął chłopiec, próbując ją zatrzymać.

— Zostaw mnie! — Obrzuciła go twardym spojrzeniem. — Miałam was za odważniejszego, panie z Cardony, ale widzę, że jak wszyscy z waszej kasty boicie się sprzeciwiać rodzicom. Być może mój ojciec ma rację i bardziej przystoi mi ktoś, kto będzie mnie szanował i liczył się z moim zdaniem.

— Czas szybko płynie, Marto... — powiedział Bertran, wstając. — Wrócę do was z błogosławieństwem swojego ojca lub bez jego zgody.

— Pozwólcie, że zachowam co do tego wątpliwości — odparła zimno. — Tak łatwo ustąpicie żądaniom mego ojca, że nie sądzę, aby stać was było na coś więcej, jeśli wasz ojciec sprzeciwi się naszemu małżeństwu.

Odróciwszy się od niego, pobiegła do pałacu.



Marti był bardzo niespokojny przed rozmową z córką. Poprzedniego dnia otrzymał przez Eudalda wiadomość, że Marta oczekuje go po modlitwie na Anioł Pański. Duchowny nie omieszkął zaznaczyć, że dziewczyna, buntownicza jak jej matka, bardzo źle przyjęła zapowiedź narzuconej trzyletniej rozłąki.

Kiedy Marti zjawił się w pałacu, najpierw przyjął go seneszał, powiadomiony o jego wizycie, i oświadczył, że sprawa z obwieszczeniem jest w toku; osobiście rozmawiał na ten temat z *veguerem* i nie później niż w przyszłym tygodniu cały lud Barcelony i okolic dowie się o obiecanej nagrodzie.

— Jeśli nie macie do mnie nic więcej, pozwólcie, że was pożegnám.

Kiedy Gualbert Amat wychodził, do komnaty, nie czekając na zaproszenie, weszła Marta.

Ojciec i córka stanęli naprzeciw siebie.

— Usiądź, Marto, musimy porozmawiać o wielu sprawach.

Marti zajął miejsce na ławie pod oknem, a córka na taborecie po jego lewej stronie. Dostrzegł ślady łez na młodej twarzy, którą tak bardzo kochał.

— Marto... Wszystko, co robię, jest dla twojego dobra, cokolwiek byś o tym myślała.

— Dla mojego dobra? — Marta spojrzała na ojca. Jej oczy wyrażały bezdenne smutek. — Nie było was przy mnie przez półtora roku... A teraz tak od razu wiecie, co jest dla mnie dobre?

— Wciąż jestem twoim ojcem, chociaż zdajesz się w to wątpić — odparł Marti podniesionym głosem. — Pragnę cię chronić i dlatego muszę zrobić to, co dyktuje mi sumienie.

— Zatem wedle waszych reguł mam być jedyną dziewczyną w Barcelonie, której nie wolno z nikim rozmawiać o małżeństwie, chociaż ma już prawie czternaście lat.

Marti postanowił rozładować napięcie.

— Przecież wiesz, dlaczego nie było mnie przy tobie, kochana córko, i wiesz, jak bardzo cierpiałem z tego powodu. Uratowanie statku wraz z całą załogą to nie jest taka błaha sprawa. Przed wyjazdem zapewniłem ci pobyt i opiekę w najbezpieczniejszym miejscu w hrabstwie. Przyznaję, że moja nieobecność trwała zbyt długo, ale nie jestem panem swojego losu i nie miałem na to wpływu, nie mogłem również przewidzieć tragedii, jaka wydarzyła się w pałacu.

— Naprawdę sądzicie, że to jest bezpieczne miejsce?

Marta pokręciła głową. Gorzkie słowa cisnęły jej się na usta i walczyła z pokusą opowiedzenia ojcu o udreće, jaką zgotował jej syn hrabiego. Powstrzymała się w ostatniej chwili.

— Marto, nie po to przyszedłem, żeby znowu rozmawiać o śmierci naszej hrabiny. Jesteś bardzo młoda i nie znasz życia, chociaż wydaje ci się, że pozjadałaś wszystkie rozumy. Brakuje ci jeszcze trochę lat, żeby samej decydować o sobie i angażować się w związek bez mojej zgody.

— Ile lat miała moja matka, kiedy zaczęła was kochać? — zapytała Marta drżącym ze wzruszenia głosem.

— Wtedy były inne czasy i inne okoliczności — odpowiedział Marti. Ściszył głos i spojrzał córce w oczy. — Marto, sprzeciwiam się nie dlatego, że mam coś do zarzucenia temu chłopcu, wręcz przeciwnie, bardzo mi się spodobał, lecz jego ojciec jest szlachcicem i nie wyrazi zgody na małżeństwo swojego pierworodnego z plebejuską.

— Więc po co wysłaliście mnie do pałacu? Ja nie chciałam tu

się znaleźć i nie zaznałam w tych murach wiele szczęścia oprócz tego, które, jak się okazuje, nie jest mi dozwolone...

— Nie wiesz, co mówisz, córko. Twierdzisz, że kochasz Bertrana? No to posłuchaj. Istnieją wśród szlachty niepisane prawa, których nikt nie ośmieli się naruszyć, albowiem nie dotyczą jednej rodziny, tylko całej społeczności. Dlatego ten, który odważy się je złamać, będzie publicznie potępiony. Jeśli tego chcesz dla swojego ukochanego, bierzesz na siebie wielką odpowiedzialność, ale przepowiadam ci, że wasze wspólne życie będzie pasmem udręki i skończy się tym, że małżonek cię znienawidzi, ponieważ skłóciłaś go z jego rodziną. Tego dla niego pragniesz?



Dwa dni po rozmowie z ojcem Marta spotkała się ze swoim mentorem i ojcem chrzestnym, Eudaldem Llobetem. Opowiedziała mu o wszystkich zgryzotach, mogąc nareszcie dać upust łzom powstrzymywanym w obecności ojca i ukochanego. Płakała, bo ciężko jej było na duszy z powodu konfliktu z umiłowanym ojcem, bo zawiodła się na Bertranie, którego kochała ze wszystkich sił, a poza tym bała się nikczemnych zakusów syna hrabiego.

— Znowu coś się stało? — spytał ojciec Llobet, zastanawiając się po raz kolejny, czy powinien powiadomić Martíego o niegodziwości Berenguera.

— Ojciec chrzestny... Czuję, że wbija we mnie wzrok za każdym razem, gdy znajdujemy się w jednym pomieszczeniu. Jeśli przypadkiem mijamy się w pałacowych korytarzach i nie ma w pobliżu innych osób, trzęsą mi się nogi ze strachu i jestem jak sparaliżowana...

— Ale powiedz mi, córko... próbował coś ci zrobić?

Marta pokręciła głową.

— Nie. Tamta dziwna groźba nie miała dalszego ciągu. Ale wiem, że on tylko czeka na odpowiedni moment. Widzę to po jego oczach, w jego gestach, w obscenicznych słowach, które szepce do mnie, kiedy nikt nie słyszy... Co ja mam zrobić?

Eudald Llobet spojrział na Martę. Niegdyś złożył jej obietnicę, że odpowie na wszystkie pytania, ale teraz nie znajdował odpowiedzi.

— Wiem, że nie mogę powiedzieć o tym ojcu — kontynuowała Marta — gdyż naraziłabym go na wielkie niebezpieczeństwo, a tego nie chcę. To samo z Bertranem... Obaj mnie kochają i nie zawahaliby się przed niczym, aby mnie obronić i pomścić. Ja też ich bardzo kocham i dlatego nie mogę na to pozwolić.

Archidiakon przytaknął. Był tego samego zdania: znając swojego przyjaciela, wiedział, że najmniejsza wzmianka na ten temat doprowadziłaby do tragedii.

— Najlepiej, żebyś wróciła do domu, Marto — poradził.

— Nie! — Na twarzy Marty malowały się duma i stanowczość dorosłej osoby. — Ojciec kazał mi kształcić się w pałacu, kiedy mu to odpowiadało. Teraz oddała ode mnie ukochanego mężczyznę i wzywa do siebie, nie racząc zapytać mnie o zdanie ani wysłuchać, co ja o tym sądzę. Nie wrócę do domu, ojciec chrzestny.

Llobet pokręcił głową. Młodość, upór... Co począć z tym wszystkim?

— Ojciec zrobił to, co uważa za najlepsze dla ciebie. W głębi serca wiesz, że on się nie myli. Jeżeli Bertran kocha ciebie tak, jak ty go kochasz, te trzy lata jeszcze bardziej wzmocnią waszą miłość.

Marta spuściła głowę zasmucona.

— Jeżeli on kocha tak jak ja... Ale to już inny temat. Nie chcę wrócić do domu, który ojciec znowu może opuścić, wyjeżdżając gdzieś daleko i zostawiając mnie całkiem samą. I nie chcę spędzić tych trzech lat w pałacu, gdzie syn hrabiego wciąż nastaje na mój honor.

Duchowny zastanowił się głęboko nad odpowiedzią.

— Długo myślałem o tym, co wydarzyło się owej fatalnej nocy, i kierując się swoją wiedzą i znajomością obyczajów szlachty, doszedłem do wniosku, że jak świat światem każdy potomek hrabiowskiego rodu robi to, na co ma ochotę, i jeśli zapragnie jakiejś kobiety, będzie ją miał, choćby nie wiem jak się opierała. Z niczym nie będzie się liczył, aby zaspokoić swój kaprys.

Marta przytaknęła.

— Tylko w jednym miejscu i pod jednym warunkiem będziesz bezpieczna: jeśli zostaniesz postulantką w Sant Pere de les Puelles. Sama kiedyś mi o tym wspomniałaś. To jedyne rozwiązanie. Przejściowe, ale czas działa na naszą korzyść. Przeczekaś w klasztorze

te trzy lata. Będziesz obcować z dziewczętami ze szlacheckich domów, pobierającymi tam nauki. Część z nich decyduje się potem na życie zakonne. Ale nie wszystkie zostają zakonnice. Nawet najbardziej zaślepiony namiętnością szlachcic nie ośmieli się wtargnąć do klasztoru. Tylko w tych okolicznościach twój ojciec pogodzi się z faktem, że nie chcesz wrócić do domu. Porozmawiam z przeoryszą; matka Adela jest moją przyjaciółką i zrobi dla mnie wyjątek, przyjmując do klasztoru dziewczynę nieszlacheckiego stanu.

Obwieszczenie

Na rozkaz *veguera* wszyscy heroldowie z eskortą uzbrojonych strażników wyruszyli na wyznaczone trasy w mieście. Dokładnie ustalono miejsca, gdzie mieli zadać w róg, żeby ściągnąć ku sobie ludzi i przeczytać obwieszczenie. Przemierzali wiele ulic i placów, tak że pod koniec dnia żaden obywatel Barcelony nie mógł powiedzieć, że nie wie, o co chodzi. Rozporządzenie było krótkie i oczywiste.

Zawiadamia się z rozkazu *veguera*, że wieczorem piątego marca zaginął bez wieści gość znamienitego obywatela Martiego Barbany. Zaginiony ma pięćdziesiąt siedem lat, około siedmiu piędzi wzrostu, przystrzyżoną brodę i czarne włosy przyprószone siwizną. Ubrany był w brązowe szarawary, białą koszulę i zielony kaftan z lamówkami, głowę osłaniał chustą zawiązaną jak turban i owijał się wełnianą peleryną. Ostatni raz widziano go w bramie Regomir.

Jeżeli ktoś zna jego miejsce pobytu lub może udzielić wiarygodnych wskazówek, które do niego doprowadzą, albo słyszał od kogoś o takim przypadku, niech zgłosi się bezzwłocznie do siedziby *veguera* tego miasta. Uczciwy informator otrzyma nagrodę w wysokości stu złotych mancuso. Osoby składające fałszywe zeznania w celu

wyludzenia nagrody zostaną uwięzione w lochach i ukarane chłostą w wymiarze pięćdziesięciu batów.

Sporządzono w Barcelonie dwudziestego szóstego kwietnia roku Pańskiego tysiąc siedemdziesiątego drugiego. Podpis i pieczęć: Olderich de Pellicer, *veguer* Barcelony.

Wieść szybko obiegła całe miasto i już po południu zaczęły zbierać się grupki ludzi gotowych zeznawać. Sto mancusó było kwotą przekraczającą najśmielsze wyobrażenia zwykłych mieszkańców. Jedni mówili, że wcześniej widzieli kilkakrotnie tego mężczyznę, inni twierdzili, że znają kogoś, kto mówił, że go widział, wszystkich kusila olbrzymia nagroda, lecz strach przed uwięzieniem w lochach i karą pięćdziesięciu batów tak skutecznie hamował wybujałą fantazję, że na wszelki wypadek dodawano „zdaje mi się” zamiast „Jestem pewien”. Był jednak między nimi człowiek, który rzeczywiście miał pewność i nie zamierzał zaprzepaścić takiej szansy.



— Czego chcesz?

Stojąc przed olbrzymim strażnikiem pilnującym wejścia do siedziby *veguera*, nieduży Bernadot wydawał się jeszcze mniejszy i nieznaczący.

— Usłyszałem obwieszczenie i przychodzę powiedzieć, że wiem coś na ten temat.

Zbrojny nieufnie spojrział na niego z góry.

— Było tu już wielu takich jak ty. Jeśli okaże się, że niepotrzebnie zawracasz mi głowę, dostaniesz ode mnie karę oprócz chłosty urzędowej. Osobiście porachuję ci gnaty, jak będziesz wychodził.

Myśl o spodziewanej nagrodzie dodała Bernadotowi takiej odwagi, że nie zawahał się powołać na swój status mieszkańca i uroczyście oświadczyć:

— Jeśli będziecie mi grozić, powiem komu trzeba, że zgłosiłem się w poczuciu obowiązku zgodnie z nakazem obwieszczenia, które heroldowie rozgłosili po całym mieście, ale wartownik nie chciał mnie wpuścić, chociaż miał za zadanie ułatwić mi sprawę.

Strażnik opamiętał się i ustąpił, zaskoczony nieustraszoną postawą małego mężczyzny.

— Wejdz. Drzwi na końcu korytarza.

— Chcę zobaczyć *veguera*.

— Najpierw zobaczysz mojego zwierzchnika i jemu przedstawiś swoją opowieść. On zdecyduje, co dalej z tobą zrobić.

Wartownik wpuścił go do środka, po czym odwrócił się bez słowa. Bernadot ruszył przed siebie długim korytarzem. Zza pierwszych drzwi po lewej stronie dochodziły głośne śmiechy i stukot kości do gry. Mijając je, Bernadot dostrzegł kilku mężczyzn przy stole, którzy rzucali małymi kostkami, strojąc sobie niewybredne żarty z przegrywającego kolegi. Doszedłszy do końca korytarza, zapukał delikatnie do zamkniętych drzwi i po chwili usłyszał:

— Wejść.

Uchylił jedno skrzydło i wsunął głowę.

— Czy można?

— Wejdz, usiądź i opowiadaj swoją historię, byle szybko. Nasłuchałem się już wielu bredni. Zjawiasz się w złym momencie, gdyż jestem zmęczony i mam ochotę iść do domu. Uprzedzam, że w lochach na dole siedzi już trochę spryciarzy, którzy jutro otrzymają zasłużoną karę. Nie przesadzaj z wymysłami !

Bernadot wszedł do niewielkiej sali i usiadł naprzeciwko oficera.

— To, co mam do powiedzenia, jest czystą prawdą. Niedawno pomagałem w przewiezieniu pewnego człowieka, który prawdopodobnie jest tym, którego szukacie.

Mężczyzna oderwał wzrok od leżącego na stole pergaminu i uważnie przyjrzał się mówiącemu.

— Zaczynaj, nie pomijaj niczego. Sam ocenię, czy twoja opowieść zasługuje na to, by dojść do uszu *veguera*, czy też na coś innego.

Bernadot był dobrze przygotowany. Oświadczył, że jest przewoźnikiem ludzi i towarów i jako taki został zatrudniony do przetransportowania niebezpiecznej, jak mu powiedziano, osoby, której ubiór pasował do opisu z obwieszczenia i która znajdowała się w bardzo złym stanie, o czym się przekonał, dojechawszy na miejsce.

— Wszedłeś do tego domu?

— Zrobiłem tylko to, co do mnie należało. Pomogłem wynieść rannego z wozu i zostawiłem go pod drzwiami. Zajął się nim od razu taki osobnik, którego nie chciałbym spotkać na ścieżce w lesie ciemną nocą.

Oficer rozważał coś w myślach.

— No proszę, to najbardziej wiarygodna ze wszystkich opowieści, jakie dziś usłyszałem. Zaczekaj tu na mnie, pójde poinformować *veguera* i jeśli masz szczęście, wyjdiesz stąd bogaty, a jeśli nie... do końca życia pozostaną ci blizny na plecach.

Milicja

Dwa dni później ludzie z milicji hrabstwa zjawili się w Arbucias. Przewodził im seneszał Gualbert Amat we własnej osobie. Plan był konkretny: uwolnienie jeńca. Seneszał uznał to za swoją misję w momencie, gdy otrzymał od *veguera* wiarygodną wiadomość, że Rashid al-Malik jest przetrzymywany w warowni należącej do byłego dworzanina Marçala de Sant Jaume, którego przeszłość i dziwne przygody były dobrze znane w Barcelonie.

Kiedy oddział zbrojnych dotarł na miejsce przeznaczenia, seneszał rozkazał najpierw okrążyć cały teren.

Jeden z jego zastępców zsiadł z konia i mocno załomotał do bramy; dźwięk odbił się głośnie echem w całej *masía*. Na widok dużej grupy uzbrojonych ludzi potężny mężczyzna natychmiast przystąpił do otwierania zaryglowanej bramy.

Seneszał zawołał do niego z grzbietu swojego wielkiego ogiera:

— Czy ta posiadłość należy do doña Marçala de Sant Jaume?

Olbrzymi sługa, którym był nie kto inny jak Sisebuto, otworzył szeroko bramę i odpowiednio pouczony przez Bernabé Mainara wyrecytował zgodnie z instrukcjami:

— Należała, szlachetny panie, dopóki nie wydarzyło się wielkie nieszczęście.

— Co to znaczy?

— Dwa dni temu właściciel *masía* poniósł śmierć razem ze swoim gościem.

Seneszał zaczynał tracić cierpliwość.

— Kto pilnuje domu?

— Pere Fornells, który jest moim panem.

— Przyrowadź go tutaj. — Odwracając się do towarzyszącej mu grupy, rozkazał: — Sierzancie, niech wasi ludzie otoczą ogród.

Podczas gdy część oddziału rozwijała szyki, sługa pobiegł jak błyskawica w stronę domu i zaraz pojawił się z powrotem w towarzystwie innego mężczyzny, niewątpliwie wyższego rangą.

— Kłóście wy?

— Do niedawna byłem zarządcą *masía* w służbie świętej pamięci doña Marçala de Sant Jaume.

— Dlaczego mówicie, że do niedawna?

— Ponieważ mój chlebobdawca umarł i nie wiem, co mnie czeka w najbliższej przyszłości.

Jeden ze zbrojnych przytrzymał konia za uzdę, podczas gdy Gualbert Amat zeskakiwał na ziemię.

— Sierzancie, weźcie trzydziestu ludzi do przeszukania domu. Czterech z mojej świty pójdzie ze mną. Ruszamy.

Wszystko zostało wykonane zgodnie z rozkazem i wkrótce seneszał znalazł się w dużym salonie na pierwszym piętrze, gdzie pod eskortą dwóch swoich ludzi usiadł w fotelu. Dwóm pozostałym kazał pełnić wartę przy drzwiach. Pere Fornells stał przed nim wyprostowany.

— Zobaczmy, jak mi wyjaśnicie tę zagadkę. O ile mi wiadomo, właścicielem *masía* jest don de Sant Jaume.

— Już wyjaśniłem, panie, że był nim do niedawna, ściśle mówiąc, do przedwczoraj, gdyż wydarzyło się wielkie nieszczęście.

— Potem opowiecie mi o tym nieszczęściu, najpierw chcę wiedzieć, czy jest tu przetrzymywany cudzoziemiec, a dokładniej mówiąc: muzułmanin Rashid al-Malik.

— Don Al-Malik gościł w tym domu; niestety, jego również dotknęło nieszczęście, o którym wspominałem.

Gualbert Amat podniósł głos.

— Mówcie jaśniej albo każę was wysłać w kajdanach do Barcelony wraz z całą służbą tego domu!

Wszyscy słudzy *masía* razem wzięci i każdy z osobna zostali przez Mainara odpowiednio poinstruowani i przekupieni. Jednooki okazał się bardzo szczodry. Zresztą tylko nieliczni z nich widzieli

więźnia, który do ostatniego dnia miał swój pokój w *masía*. Nie wiedzieli nic o jego pracy w grocie, gdyż było to otoczone wielką tajemnicą. Z tej strony Fornells nie musiał się niczego obawiać.

— Mistrz Rashid przybył do tego domu kilka tygodni temu na zaproszenie doña de Sant Jaume, zamieszkał w północnej baszcie w iście królewskich warunkach i pracował dla mojego pana, który zawarł z nim kontrakt, ofiarując wysokie wynagrodzenie w zamian za wyprodukowanie czegoś, na czym znał się tylko ten człowiek.

— Wspomnieliście o jakimś nieszczęściu. Co to było?

— Dwa dni temu don Al-Malik oświadczył, że jego praca dobiega końca, i wezwał mojego pana, żeby zaprezentować mu rezultat swoich wysiłków. Ów produkt był wysoce niebezpieczny, dlatego nie pracował nad nim w domu, tylko w grocie położonej w głębi ogrodu. W południe wybuchł tam wielki pożar. Natychmiast pobiegliśmy zobaczyć, co się stało. To było straszne. Prawdopodobnie zapaliło się na nim ubranie, a mój pan, próbując go ratować, zginął razem z nim w płomieniach. Oba ciała leżały tak mocno splecione, że trzeba było pochować je razem.

Seneszal nieufnie obserwował zarządcę.

— Uważajcie na to, co mówicie, gdyż niebawem wszystko sprawdzimy. Jeśli przyłapię was na jakimkolwiek kłamstwie, to przez resztę życia słońce będziecie oglądać tylko przez kraty w lochach. Odpowiedzcie mi na jeszcze jedno pytanie: kiedy, gdzie i przy jakiej okazji wasz pan poznał gościa doña Barbany?

— Tego nie wiem, panie.

— Okłamujecie mnie! — krzyknął seneszal. — Chcecie przede mną ukryć, że człowiek, którego nazwaliście gościem doña de Sant Jaume, znalazł się w tym domu wbrew własnej woli? Myślicie, że nie wiem o jego ranie na głowie?

Fornells zaczął się bronić.

— Owszem, był ranny, tego nie przeczę. Wyjaśniono mi, że został napadnięty w drodze na spotkanie z ludźmi mojego chlebobodawcy, którzy mieli go zawieźć do Arbucias. Ale na pewno przybył tu z własnej woli. Jeśli chcecie, mogę wam pokazać pokój, w którym są jeszcze jego rzeczy, i zapewniam, że tutaj był traktowany jako gość honorowy.

Seneszal wstał z fotela.

— Pokażcie mi ten pokój oraz grobę, gdzie, jak mówicie, pracowali. Chcę również zobaczyć jego zwłoki.

— To wam odradzam, panie. Dwa zlepione ze sobą ciała stanowiły przerażający widok, którego nigdy nie zapomnę.

— Zostawcie swoje rady na potem, jeżeli was o nie poproszę, a teraz chodźcie ze mną.

Gualbert Amat opuścił salon w asyście zbrojnej eskorty. Prowadzony przez zarządcę, udał się na inspekcję groty w głębi ogrodu i świeżo wykopanego grobu.

Pere Fornells odsunął krzaki zasłaniające wejście do groty. Otwarte drzwi były mocno osmalone od wewnątrz.

Gualbert zwrócił się do swojego oddziału.

— Przynieść kaganek! — rozkazał.

Jeden z jego ludzi podał mu grubą świecę z żółtego wosku, gdyż nic innego nie znaleziono.

Seneszal wziął ją do prawej dłoni i wsunął głowę przez drzwi. Z wewnątrz bił przeraźliwy odór, który potem długo miał go prześladować. Dozorca zasłonił sobie chustką nos oraz usta i podchodząc bliżej, wskazał miejsce na ziemi, gdzie pozostało trochę ludzkiego tłuszczu i spalonego ubrania.

— To było tutaj — wyjaśnił krótko.

Gualbert się zastanawiał. Albo zarządca mówi prawdę, albo jest wytrawnym aktorem i doskonałym oszustem, trzeba to wyjaśnić. Rzeczywiście mogło tak się zdarzyć, że pod nieobecność swojego protektora starzec, znudzony becznością i monotonią dnia codziennego, poznał przy jakiejś okazji Marçala de Sant Jaume i z chciwości dał się namówić na pokazanie mu swojego wynalazku w tajemnicy przed Martim Barbany. Niejaki Bernadot wyznał co prawda, że przywiózł go związanego i z dziurą w głowie, ale nie twierdził, że widział, jak go bito. Niewykluczone, że biedaczysko trochę podkoloryzował fakty dla uwiarygodnienia swojej opowieści, ponieważ bardzo zależało mu na nagrodzie.

— Teraz obejrzymy grób, który przygotowaliście.

— Pochowaliśmy ich obok dawnego cmentarza, tam na górze.

— Dlaczego nie na cmentarzu?

Fornells szybko wymyślił odpowiedź.

— Nie można było ich rozdzielić, a nie wypadało pochować doña Al-Malika w poświęconym miejscu... Był muzułmaninem.

- Dobrze, zaprowadźcie mnie do tego grobu.
- Będą potrzebne kilofy i łopaty.
- Idźcie po te narzędzia pod eskortą dwóch moich ludzi, żeby po drodze nie wpadł wam do głowy jakiś głupi pomysł.
- Nie zrobiłem nic złego, panie. Wykonywałem jedynie rozkazy, nie złamałem żadnego prawa.

Fornells odszedł z eskortą i wkrótce wrócił, przynosząc niezbędne przyrzędy.

- To tam, panie, ja poprowadzę.

Wskazał na małe wzgórze w sąsiedztwie starego cmentarza. Kiedy znaleźli się na miejscu, Gualbert Amat bez trudu dostrzegł świeży kopczyk zwieńczony ociosanym naprędcę krzyżem.

Zwracając się władczy tonem jednocześnie do swoich ludzi i do Fornellsa, wydał krótki rozkaz:

- Kopać!

Trzej mężczyźni chwycili kilofy i motyki i zaczęli je wbijać w ziemię wedle wskazówek dozorczy cmentarza. Po pewnym czasie dokopali się do strzępów spalonych ubrań i zwęglonych kości z resztkami mięsa przy żebrach. Kiedy pojawiły się dwie czaszki związane w makabrycznym tańcu śmierci, senezal rozkazał przerwać kopanie i stanął na krawędzi dołu, żeby obejrzeć to wszystko dokładnie. Następnie odwrócił się do Fornellsa.

- Dlaczego u tej lewej dłoni brakuje serdecznego palca?

Zapytany zdziwił się, jakby dopiero teraz dostrzegł tę anomalię.

- Nie wiem, panie. Nie było mnie przy tym zdarzeniu.

— Wszystko ma zostać zabezpieczone do odwołania. Nie wolno niczego ruszać. Grupa ludzi pod dowództwem mojego zaufanego dopilnuje porządku. Wy, zarządco, pojedziecie ze mną do Barcelony. Niech sędzia zadecyduje, co z wami zrobić i czy należy dać wiarę waszej wersji zdarzeń. Być może skonfrontowanie was z woźnicą, którego zeznania nie pokrywają się w pełni z waszymi, przyczyni się do lepszego wyświeślenia tej sprawy.

Kilka dni wcześniej

Tragiczna śmierć Marçala de Sant Jaume przyspieszyła bieg wydarzeń. Bernabé Mainar zamknął się w sali na pierwszym piętrze warownej *masia* z Pere Fornellsem i opracował plan działania. Milicja hrabstwa prędzej czy później pojawi się w Ar-bucias; jednooki rozumiał, że takie pogłoski nie na darmo krążą po targach i jarmarkach Barcelony, przekazywane z ust do ust przez wścibskich przekupniów. Jeśli, jak podejrzewał, hrabiowska milicja szuka Rashida al-Malika, cała służba doña de Sant Jaume musi poświadczyć, że Saracen przybył tu z własnej woli i został po królewsku ugoszczony przez gospodarza, gdyż zawarł z nim umowę na wykonanie jakiejś pracy. Chwilowo Mainar nie orientował się, czy ktoś jeszcze oprócz niego — nie licząc oczywiście samego Barbany — zna tajemnicę greckiego ognia, ale uznał, że to niemożliwe, ponieważ cała sprawa została przeprowadzona po kryjomu.

W obawie przed oblężeniem wziął dwa konie i na złamanie karku popędził do Barcelony, mając w głowie tylko jedną myśl: żeby nie było za późno. Pojechał na przełaj przez Molinos del Solar, przemierzając galopem mało uczęszczane szlaki, które doprowadziły go na Vía Francisca. W niespełna dzień przybył do celu podróży. Stał przed domem w Sant Cugat del Rec i zanim jeszcze uderzył do bramy, wyszedł mu na spotkanie majordom Samir. Z wyrazu twarzy

i wyglądu jeźdźca wyzwoleniec wywnioskował, że za chwilę usłyszy złe wiadomości.

— Co się stało? Gdzie mój pan?

Mainar nie bawił się w sentymenty.

— Nie masz już pana, Samirze.

Wyzwoleniec pobałdł na twarzy.

— Litości, panie, mówcie, co się stało!

Wchodząc do środka i zdejmując rękawice, Mainar opowiedział majordomowi o smutnym końcu jego chlebobdawcy.

— Jeśli o coś was zapytają, odpowiecie, że w waszej obecności don de Sant Jaume przyjął tego osobnika w swoim domu w celu zawarcia umowy.

Wyzwoleniec się przestraszył.

— Ja go nie widziałem. Nie umiałbym nawet opisać, jak wygląda, gdyby o to zapytali.

— Nie przejmuj się, Samirze, podam ci wszystkie szczegóły, z datą owego spotkania włącznie. Teraz nie traćmy czasu, otwórz mi pawilon myśliwski i zaczekaj na zewnątrz. Muszę wypełnić ostatnią wolę swojego współlnika, a twojego pana.

Służący spojrzął na niego z pewną nieufnością.

Jednooki pośpieszył go uspokoić.

— Pamiętasz ów nieszczęsny incydent z niewolnicą? Tego samego dnia odbyłem ważną naradę z twoim chlebobdawcą.

— Oczywiście, panie.

— No więc muszę przejrzeć jeden z dokumentów dotyczących dziedzica Pedra Ramóna. Chyba rozumiesz, że to niezmiernie ważne w jego obecnej sytuacji.

Wyzwoleniec przestał się wahać. Zniknął na moment z oczu Mainara i pojawił się ponownie z pękiem kluczy.

— Zgodnie z waszą wolą, panie.

Obaj udali się do pawilonu myśliwskiego. Służący wyjął jeden z kluczy i walczył przez chwilę z zamkiem, po czym Bernabé Mainar wszedł sam do środka i zamknął za sobą drzwi. Bez wahania skierował się prosto do głowy jelenia, pociągnął za jeden z rogów i otworzył skrytkę. Wyjął z niej dwa woreczki, schował je pod kubrakiem, a następnie przesunął róg na dawne miejsce i wyszedł z pawilonu.

Majordom czekał na niego wystraszony.

— Co mam robić, panie?

— Nic, postaraj się zachowywać normalnie. Jeśli ktokolwiek przekaże ci wiadomość o śmierci twojego pana, udawaj, że pierwszy raz o tym słyszysz, i okazuj rozpacz jak należy. Jeśli pojawią się jakieś kłopoty, wiesz, gdzie mnie szukać. Zawsze znajdzie się dla ciebie miejsce w moim domu.

Po tych słowach jednooki opuścił rezydencję, dosiadł konia i kłując go ostrogami, zniknął w tumanie kurzu na drodze. Udęczony Samir pozostał sam.

101

Ogier

Marta była zrozpaczona. Nigdy nie przypuszczała, że długo oczekiwany i wytęskniony ojciec zada jej po powrocie tak bolesny cios. Oprócz tego serce miała przepelnione żalem po śmierci hrabiny. Wszystkie damy należące do jej dworu na długo pograżyły się w żałobie. Życie w pałacu było dla nich jak pusta powłoka. Na pozór takie samo, ale jednak zupełnie inne. Poranki przebiegały zgodnie z ustalonym przez Almodis programem. Najpierw msza, potem śniadanie w pokoju stołowym dla dam, a następnie zajęcia w grupach, takie jak malarstwo, wyrób koronek czy tkanie owego niedokończonego przez nią gobelinu, przy którym teraz pracowały Araceli, Anna i Marta. Milczący i smutny Delfin przysiadł w deszczowe dni na parapecie okna i nie odrywał melancholijnego wzroku od oranżerii z krzewami różanymi, nadal pieczołowicie pielęgnowanymi przez Martę. Przestrzegając prawideł żałoby, Lionor zakazała dworkom słuchania muzyki uprzyjemniającej niegdyś poranne zajęcia; podium dla muzyków od wielu dni było puste, nic nie przerywało grobowej ciszy.

Marta z samozaparciem wykonywała swoje obowiązki i starała się unikać spotkań z Bertranem. Młodzieniec nieustannie szukał okazji do rozmowy, lecz ona nie reagowała na żadne jego prośby i próby wyjaśnienia, wciąż nie mogąc pogodzić się z myślą, że tak łatwo ustąpił wobec żądań jej ojca. Wszyscy dookoła mówili o jakichś głupich konwenansach, których nie chciała i nie potrafiła

zrozumieć... Czyż nie po to ojciec oddał ją na dwór, żeby poznała innych ludzi? Czy nie sprzeciwiała mu się wtedy, tłumacząc, że nie interesują jej pałacowi panicze? Może, aby go zadowolić, powinna była zakochać się w koniuszym? Ale nie tylko to spędzało jej sen z powiek. Amina, wierna przyjaciółka od lat dziecięcych, powier-niczka trosk i marzeń, z którą dotąd prawie się nie rozstawały, musiała wrócić do domu na placu Sant Miquel, żeby się zaopiekować tracącą wzrok matką. Ale najgorsze było to, że otrząsnąwszy się po śmierci matki, Berenguer znowu zaczął napastować Martę. Dlatego z lękiem przesuwiała się ciemnymi korytarzami, rozglądając na wszystkie strony, czy nie pojawi się gdzieś syn hrabiego. Powzięła ostateczną decyzję: jeśli musi czekać jeszcze trzy lata, aby dwaj najważniejsi dla niej mężczyźni doszli do porozumienia co do jej przyszłości, nie spędzi tego czasu w pałacu. Pobył w klasztorze Sant Pere de les Puelles pozwoli na kontynuowanie nauki, a przede wszystkim uchroni ją przed niegodziwymi zakusami Berenguera.

Tego ranka doña Lionor, zamierzając pokazać dworkom nowe wzory, wysłała ją do szwalni po kanwę na tamborek do haftowania. Po drodze doszło, niestety, do niepożądanego spotkania: Berenguer nadchodził z naprzeciwka wraz z młodzieńcem, z którym odbywał ćwiczenia w sali broni.

Widząc ją, szepnął coś do ucha swojemu towarzyszkowi, ten spojrzał na nią ciekawie, z uznaniem klepnął księcia w ramię i czym prędzej skręcił na schody wiodące na parter. Berenguer nie ruszał się z miejsca, a kiedy Marta go mijała, odwrócił się na pięcie, gotów jej towarzyszyć.

— Dzień dobry, Marto. Dobrze wam się spało?

— Źle, panie. Wolę czuwanie, bo we śnie dręczą mnie koszmary.

— To znaczy, że gryzie was sumienie — skomentował złośliwie.

— Mam czyste sumienie, panie. Wyspowiadałam się i przyjąłam komunię dziś rano.

— Rano można przystępować do komunii, a w nocy grzeszyć. Zdaje się, że wszyscy tak robią. — Berenguer wybuchnął śmiechem. — Ciekaw jestem, jakie są wasze grzechy.

— To sprawa między mną a Panem Bogiem.

— Oraz ojcem Llobetem, jak sądzę. Pewnego dnia znajdę się w konfesjonale, żeby wysłuchać, co was trapi, a następnie pocieszyć i udzielić porady.

— Nie sądzę, byście mieli powołanie kapłańskie, to po pierwsze, a po drugie, dziwię się, że interesują was cudze sekrety.

Berenguer zbladł na wspomnienie nieudanej próby poskromienia Marty, lecz pohamował atak wściekłości.

— Zaiste, miałbym kłopot z posłuszeństwem, a tym bardziej z przestrzeganiem czystości. Uważam te zasady za największą obłudę Kościoła. Kapłaństwo przyniosłoby mi tylko jedną korzyść: mógłbym sam siebie wypowiadać i uniknąć tego całego strofowania i wyznaczania pokuty przez księdza. Jak wam się to podoba?

— Lekceważycie świętości, panie.

Berenguer spojrział na nią drwiąco.

— Słyszałem, że zamierzacie wstąpić do Sant Pere de les Puelles. Ile w tym prawdy?

Marta starała się unikać jego wzroku.

— Dobrze słyszeliście. Noszę się z taką myślą od wielu miesięcy, ale ksiądz Llobet doradzał mi poczekać z podjęciem decyzji na powrót ojca.

Młody hrabia spoważniał i powiedział ostro:

— Nie sądzicie, że ochronią was przede mną mury klasztoru. Prędzej czy później musicie mi ulec.

— Błagam panie, śpieszę wykonać polecenie doñi Lionor, nie zatrzymujcie mnie! — zawołała Marta, podnosząc głos.

— Nie bójcie się, pani — próbował ją uspokoić. — Mówiłem żartem. Ale muszę przyznać, że nie wyobrażam was sobie jako postulantki okazującej ślepe posłuszeństwo przeorowsy, która na pewno nie odznacza się mądrością, bo tak to zazwyczaj bywa.

— Umieć być posłuszną.

— A wiecie, że postulantom zleca się zazwyczaj głupie czynności, jak na przykład zamiatanie schodów z dołu do góry, aby wypróbować ich charakter?

— To mnie nie przeraża. Jestem gotowa wykonać każdą pracę w klasztorze.

— Dam wam inny przykład. Wyobraźcie sobie, że każą wam zająć się końmi w stajni, gdzie mogą być różne sytuacje. Dacie sobie z tym radę?

— Postaram się wypełnić jak najlepiej każde zadanie.

— A ja myślę, że przestraszycie się zwierząt... Chodźcie ze mną i udowodnijcie, że się nie mylę.

Marta zawahała się, ale poszła za nim, żeby nie prowokować go do gniewu.

Zeszli na parter i tylnymi drzwiami udali się na plac koło kuźni. Marta kroczyła wystraszona obok Berenguera, zastanawiając się, co chce jej pokazać. Weszli do stajni.

— Zaczekajcie tu przez chwilę.

Po tych słowach Berenguer udał się do pomieszczenia, gdzie chłopcy stajenni spędzali wolny od służby czas. Nie było go przez chwilę, po czym znowu stanął przy niej.

— Zaraz zobaczycie, na czym polega jedno ze zwykłych zadań, które należą do obowiązków chłopca stajennego. Chociaż, jeśli dobrze się zastanowić, bardziej nadawałby się do tego ktoś niższy, najlepiej wzrostu Delfina.

Marta nie rozumiała, o co mu chodzi.

Niebawem jeden z pomocników przyprowadził za uździenicę klacz ze stadniny hrabiego i ustawivszy ją przodem do żłobu, przywiązał do dwóch słupków tak, żeby nie mogła się ruszyć. Jednocześnie rozległo się rzenie i stukot kopyt zapowiadające pojawienie się normandzkiego ogiera, który parł do klaczy, niemal ciągnąc za sobą chłopca stajennego.

W tym momencie Marta zdała sobie sprawę, do czego to wszystko zmierza.

Olbrzymi koń wspiął się na klacz, a chłopak szybko wsunął się pod niego, pilnując, żeby doszło do krycia.

Dziewczyna była jak sparaliżowana. Berenguer śmiał się hałaśliwie.

Raptem Marta odzyskała odwagę i uniósłszy krawędź sukni, wybiegła pędem ze stajni, goniona sarkastycznym śmiechem Berenguera, rozbrzmiewającym w jej uszach jak walenie młotem w kowadło.

— Co was tak obruszyło, siostró Marto?! Wszystkie stworzenia muszą wypełniać wolę bożą! Czyż nie napisano w Biblii: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się”?

Intryga i domysły

Tego ranka Eudald Llobet zjawił się niespodziewanie w rezydencji na placu Sant Miquel. Archidiakon wiedział, że drzwi domu jego przyjaciela zawsze stoją dlań otworem i że nie musi prosić o audiencję.

Przywitali się jak zwykle serdecznie i uściskawszy się, popatrzyli na siebie z nieskrywaną troską i życzliwością.

— Cieszy mnie wasza wizyta, Eudaldzie. Właśnie chciałem wysłać wiadomość, że pragnę was zobaczyć, ale uprzedziliście mój zamiar.

— Czasem okoliczności wymuszają podjęcie pewnych kroków.

— Wejdźcie i usiądźcie wygodnie, mamy wiele spraw do omówienia.

Gdy już obaj zajęli miejsca w fotelach, Marti powiedział:

— Nie podoba mi się wasz wygląd, Eudaldzie. Od czasu mojego powrotu sporo schudliście, martwi mnie wasza błądź i smutny wyraz oczu. Z czego to się bierze, skoro, jak mówicie, przeor zwolnił was z części obowiązków i z kierowania biblioteką i możecie spędzać więcej czasu na świeżym powietrzu?

— Istotnie, mogę poświęcić znacznie więcej czasu na pracę w ogrodzie, ale muszę ci wyznać, że z każdym dniem czuję się coraz bardziej zmęczony i moje biedne kości domagają się odpoczynku.

— Widział was lekarz?

— Odmówiłem. Nie zamierzam przyjmować żadnych mikstur ani przystawiać sobie pijawek, które utuczają się moją krwią, bo to mnie jeszcze bardziej osłabi.

— Źle robicie — skarcił go Marti. — Pozwólcie mi wezwać Harusza... Dobrze go znacie. Mam nadzieję, że jako osobie inteligentnej nie przeszkadza wam fakt, iż zbada was lekarz, który jest Żydem.

— Wcale mi nie przeszkadza i chyba nieraz udowodniłem, że obce są mi takie przesady, ale zaczekajmy do wiosny. Kiedy zrobi się cieplej i słońce wypędzi wilgoć z miasta, od razu poczuję się lepiej i kości przestaną mnie boleć.

— Oby tak było, jednak jeśli nic się nie zmieni, to z waszą zgodą lub bez niej poślę po Harusza.

Archidiakon nie pozostał mu dłużny.

— Wy też kiepsko wyglądacie, Marti.

— Macie rację. Dobiła mnie wiadomość o okolicznościach śmierci Rashida.

— To wszystko wydaje się absurdalne i niezrozumiałe — podsumował archidiakon. — Seneszał powiedział, że nigdy nie widział czegoś tak przerażającego jak te spalone ciała połączone w śmiertelnym uścisku. A, na Boga, Gualbert widział w życiu wiele strasznych rzeczy.

— Im dłużej o tym myślę, tym mniej rozumiem — rzekł Marti ze spojrzeniem pełnym pytań. — Jednego jestem pewien: Rashida zaprowadzono tam siłą. Nie wierzę, by zgodził się zdradzić formułę greckiego ognia w zamian za pieniądze. Pieniądze nigdy go interesowały! Niemożliwe, by dobrowolnie przystał na współpracę z kimś takim jak ten człowiek...

— Pamiętam go doskonale — stwierdził ojciec Llobet. — To bardzo pokrętny osobnik. Don Marçal de Sant Jaume stracił łaski hrabiego, ponieważ będąc zakładnikiem na dworze Al-Mutamida w Sewilli, zaczął się ubierać na sposób mauretański. Ale cały czas szczylił się przyjaźnią dziedzica.

— Właśnie dlatego zaufałem jego rekomendacjom i sprzedałem posiadłość człowiekowi, który uczynił tam... sami wiecie co. Do dziś się tego wstydzę.

— To wszystko jest bardzo niejasne. Trudno nie dawać wiary słowom tego Bernadota, zwłaszcza gdy zna się finał całej sprawy.

Rashid na pewno przebywał w tej warowni, ale rodzi się pytanie: znalazł się tam dobrowolnie czy pod przymusem? Słyszałem, że dojdzie do konfrontacji między woźnicą i Pere Fornellsem. Sędziowie rozstrzygną, który z nich mówi prawdę.

— Kiedy to się stanie i gdzie?

— Konfrontacja odbędzie się w Castellvell, jeszcze nie ustalono kiedy, ale z pewnością jak najszybciej. Tak czy inaczej majątek doña de Sant Jaume przejmie hrabstwo. Jeśli uznają go za winnego, jego dobra będą skonfiskowane post mortem, jeśli nie, to ze względu na brak spadkobiercy nastąpi to samo.

— Do końca życia będę miał na sumieniu śmierć Rashida. Przybył do Barcelony, żeby mi pomóc, i sami widzicie, jak to się skończyło.

— Nie trzeba się obwiniać, Marti. Zostawiliście konkretne rozkazy mające zapewnić mu bezpieczeństwo. Zawiodł, niestety, wasz dowódca straży.

Obaj milczeli przez dłuższą chwilę.

— Porozmawiajmy o czymś innym, Eudaldzie, o tej kropli, która przepelniła mój kielich goryczy.

— Przypuszczam, że mówicie o tym samym, z czym ja przychodzę. Rzecz dotyczy Marty, prawda?

Marti kiwnął głową.

— Odkąd powróciłem, powoduję same nieszczęścia. Mówiłem wam już, że moja córka jest zakochana, i przyznaliście mi rację: wicehrabia Cardony nigdy się nie zgodzi na małżeństwo swojego pierworodnego z dziewczyną niższego stanu. Usiłowałem oszczędzić jej tych przykrości, lecz ona bardzo źle to odebrała.

— No cóż, drogi przyjacielu, zostawiliście dziewczynkę, a teraz musicie się przyzwyczaić, że wasza córka jest już kobietą. Kobieta, która uważa, że najważniejsze są jej uczucia.

— Co mam zrobić, Eudaldzie? Pozwolić, by zaznała rozczarowania? — spytał bezradnie Marti.

— Może tak.

— Nie rozumiem.

— Czas powie, które z was ma rację: wy czy ona. W każdym razie czas działa na waszą korzyść. Przynoszę wam od niej wiadomość i z góry powiem, że całkowicie zgadzam się z jej decyzją.

— Słucham, Eudaldzie.

— Obecnie nie ma powodu ani konieczności, by Marta pozostała

w pałacu. Hrabina Almodis nie żyje, a jej następczyni, Mafalda z Apulii, o której rękę prosiliście na Sycylii w imieniu młodego hrabiego, jeszcze nie przybyła. W tej sytuacji byłoby wskazane, aby wasza córka wstąpiła do klasztoru Sant Pere de les Puelles jako postulanka. Tam będzie mogła kontynuować naukę, a przy okazji się przekonać, czy jej miłość jest dostatecznie silna. Powinniście wyrazić na to zgodę. Rozmawiałem z siostrą Adelą de Monsargues, która gotowa jest przyjąć Martę natychmiast, tym bardziej że głównym dobroczyńcą klasztoru jest stary hrabia. Marti nie wiedział, co na to odrzec.

— Mam jej nie widywać...? W zasadzie nie wyrażam sprzeciwu, ale muszę to przemyśleć.

Archidiakon wydał głębokie westchnienie, podnosząc się z fotela.

— Wierzcie mi, to naprawdę dobre rozwiązanie... Stary hrabia darzy Martę sympatią, a jeżeli miłość tych młodych przetrwa próbę rozłąki, może uda się obalić jeden ze zwyczajów, który najbardziej dzieli szlachtę i znamienitych obywateli Barcelony.

— Żłudne marzenia, Eudaldzie! Dużo wody upłynie, zanim tak się stanie... Jednak chyba to najlepsze wyjście. Ubolewam, że nie wróci do domu, lecz przynajmniej znajdzie się z dala od pałacu i młodego Bertrana. Być może życie w klasztorze zahartuje ją i nauczy umiaru, a poza tym gdybym musiał znowu gdzieś wyjechać, będę spokojniejszy, wiedząc, że jest bezpieczna.

Obaj skierowali się do drzwi.

Przesłuchanie

Całe miasto wyczekiwało w napięciu na przesłuchanie w Castell-vell zarządzane przez sędziego Barcelony Eusebiego Vidielle, który postanowił zbadać okoliczności dziwnej śmierci Rashida al-Malika i Marçala de Sant Jaume w warownej *masía* w Arbucias. Sam fakt, że milicja hrabstwa została zwołana w prywatnej sprawie, wywołał duże zainteresowanie, które dodatkowo podsyciała wiadomość o przesłuchaniu, traktowanym przez lud jako swoisty przejaw starcia między warstwą szlachecką a zwykłymi mieszkańcami. Tak wiele osób pragnęło dostać się do sali kolumnowej, by obserwować przebieg rozprawy i usłyszeć wyrok sędziowski, że dla wszystkich nie starczyło miejsca. W sumie chodziło nie tyle o to, by zobaczyć, kto w tej sprawie ma rację, ile o sprawdzenie, na jakim etapie znajduje się skryta walka między dwiema warstwami społecznymi w Barcelonie: każda możliwość wystąpienia na forum publicznym przeciwko szlachcie, rokująca choćby nikłe nadzieję na sukces zwykłego obywatela, a tym bardziej biednego człowieka, budziła ciekawość kupców, rzemieślników, kauzyperdów i tych wszystkich, którzy chcieli upomnieć się u możnowładców o swoje prawa.

Na podium postawiono długi stół z małym pulpitem na jednym z jego końców, gdzie umieszczono wspaniałą Biblię w skórzanej oprawie ze złożonymi brzegami i okuciami na narożnikach. Za stołem stały trzy krzesła z wysokim oparciem, na środkowym miał zasiąść sędzia Eusebi Vidiella, a na pozostałych *veguer* miasta

Olderich de Pellicer oraz główny notariusz Guillem de Valderribes. Naprzeciw podium znajdowała się ława bez oparcia przeznaczona dla pozwanych i dwa duże taborety dla eskorty po obu stronach ławy. Centralny sektor sali zarezerwowano dla cywilnych i kościelnych władz hrabstwa oraz przedstawicieli rodów szlacheckich, w bocznych tłoczyli się obywatele, zadowoleni, że udało im się dostać na rozprawę. Mały balkonik, na który się wchodziło po kręconych schodach, wyposażony w drewniane żaluzje zasłaniające siedzących na nim ludzi, był zwykle przeznaczony dla stronników osoby wszczynającej proces. Tym razem hrabia zezwolił na zajęcie tego uprzywilejowanego miejsca obywatelowi Martiemu Barbany, zważywszy na to, iż był on głównym zainteresowanym w wyjaśnieniu całej sprawy. W towarzystwie Manipoulosa i Feleta Marti czekał cierpliwie na rozpoczęcie rozprawy.

W sektorach dla zwykłych obywateli panował niestychany hałas. Wszyscy prowadzili głośne rozmowy z najbliższym sąsiadem z przodu albo z tyłu, gestykulując i usiłując przekrzyczeć innych. W sektorze centralnym było ciszej, szlachta zachowywała się powściągliwie, rozmawiając dyskretnie między sobą i spoglądając z nieskrywaną pogardą na sfłoczony po obu stronach lud.

Woźny sądowy mocno stuknął w podium laską z metalowym okuciem.

Natychmiast ucichł hałas.

Głos woźnego rozbrzmiewał w całej sali.

— Jego wielmożność sędziego hrabstwa Eusebi Vidiella i Montclús, i ich ekscelencje *veguer* Barcelony don Olderich de Pellicer oraz główny notariusz hrabstwa Guillem de Valderribes!

Trzy krzesła za stołem zajęły wybitne osobistości, które miały przewodniczyć rozprawie.

W sali zapadła głęboka cisza. Zabrał głos sędzia Vidiella.

— Otwieram postępowanie sądowe mające na celu wyjaśnienie faktów dotyczących domniemanego porwania Rashida al-Malika, gościa znamienitego obywatela Barcelony, Martiego Barbany, ar matora i zasłużonego ambasadora naszego pana, hrabiego Barcelony Ramóna Berenguera, przez ludzi zbliżonych do zmarłego doña Marçala de Sant Jaume lub poddanych jego władzy.

Następnie, zwracając się do woźnego, rozkazał:

— Niech świadkowie i strony przygotowują się do składania zeznań

w kolejności, w jakiej będą wzywani, a szczególnie Bernardot de Colera, woźnica zamieszkały w tym mieście, oraz Pere Fornells, zarządca warownej *masía* stanowiącej własność doña Marçala de Sant Jaume i położonej w Arbucias.

Na rozkaz sędziego dwóch uzbrojonych strażników wprowadziło przez boczne drzwi wystraszonego woźnicę; był wyraźnie oniesmielony sytuacją, lecz mimo to gotów bronić swojego prawa do obiecanej nagrody. Skinął głową i został doprowadzony w eskorcie do centralnej ławy na podium, gdzie usiadł, a strażnicy stanęli po jego obu stronach.

Wśród grobowej ciszy rozległ się głos sędziego Vidielli.

— Niech pozwany wstanie.

Bernadot nerwowo wykonał polecenie.

— Podejdz do stołu i przygotuj się do złożenia przysięgi przed jego ekscelencją najprzewielebniejszym biskupem Barcelony.

Woźnica postąpił trzy kroki do przodu. Biskup Odó de Monteadá, podniósłszy się ze swojego krzesła, dostojnie wkroczył na podium, by przyjąć od pozwanego przysięgę.

— Przysięgasz na Przenajświętszą Trójcę, z ręką na Biblii, że wszystko, co powiesz, będzie prawdą i tylko prawdą?

Bernadot położył prawą dłoń na świętej księdze i powtórzył słowa przysięgi.

Na ławach dla szlachty dał się słyszeć szmer aprobaty, że zarówno sędzia, jak i biskup zwracają się do tego osobnika per ty.

Ponownie rozległ się głos sędziego Vidielli.

— Wracaj na swoje miejsce i usiądź.

Bernadot przysiadł na ławie dużo spokojniejszy, gotów odpowiedzieć na każde z pytań zadawanych przez sędziego, który czekał, aż biskup usadowi się na swoim krześle.

— Czy prawdą jest, że dnia piątego w minionym miesiącu maju zgłosiłeś się do urzędników *veguera* w odpowiedzi na edykt naszego pana hrabiego dotyczący zaginięcia Rashida al-Malika?

Bernadot poczuł się wreszcie na swoim terenie: przemyślał całą historię i wiedział, jak ją ma przedstawić.

— Tak jest, panie.

Przerwał mu sędzia.

— Kiedy zwracasz się do mnie, masz mówić: wasza wielmożność.

— Tak jest, wasza wielmożność — poprawił się Bernadot.

— Skąd ci przyszło do głowy, że poszukiwana osoba jest tą samą, którą przewoziłeś do Arbucias?

— Zgadzały się daty i opis tego człowieka, wasza wielmożność.

— Przedstaw fakty.

Publiczność poruszyła się niespokojnie, nadstawiając uszu, aby dokładnie usłyszeć, co powie przesłuchiwany.

— Wasza wielmożność, już wcześniej pracowałem dla doña de Sant Jaume, który wysyłał mnie do Arbucias z różnymi rzeczami i wiadomościami, toteż dobrze poznałem wszelkie możliwe szlaki. Tego dnia kazał mi towarzyszyć innemu woźnicy, który jechał krytym wozem. Miałem poprowadzić go po najmniej uczęszczanych drogach, a potem wrócić konno do Barcelony, bo ten wóz już nie wracał; dlatego powiedziano mi, żebym zabrał swojego konia.

— Kto przekazał ci to polecenie?

— Samir, majordom doña de Sant Jaume.

— Wiedziałeś, kto lub co znajduje się pod budą na wozie?

— Dopóki nie dotarliśmy na miejsce, nie wiedziałem, co przewożymy.

— Kontynuuj.

— Kiedy byliśmy jakieś pół mil od celu, ten woźnica zapytał, czy dużo jeszcze zostało do przejechania. Pamiętam, że nie chciałem, aby zwracał się do mnie po imieniu, bo coś mi mówiło, że ta cała tajemnicza wyprawa po bezdrożach wygląda trochę dziwnie. Zastanawiałem się nawet, czy wszystko jest zgodne z prawem, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem nic konkretnego.

— Nie widziałeś tego pasażera na początku?

— Nie, wasza wielmożność. Kazano mi być w Sant Cugat del Rec o określonej godzinie. Kiedy przybyłem, buda była już zakryta, dwóch woźniców siedziało na koźle i eskorta szykowała się do drogi.

— Kiedy dowiedziałeś się, że przewożicie pasażera i w jakim jest on stanie?

— Dowiedziałem się po przybyciu do Arbucias, wasza wielmożność. Znieśli go z wozu i wtedy zobaczyłem, że jest ciężko ranny. Spod kaptura, którzy nałożyli mu na twarz i głowę, wypływała struga krwi. We dwóch zaciągnęli go do domu.

— Nie zdziwiło cię, że był zasłonięty kapturem? Nie pomyślałeś, że należy to zgłosić następnego dnia w urzędzie *veguera*? Dlaczego?

Bernadot okazał skruchę.

— Rzeczywiście nie pomyślałem, ale, jak mówiłem, don de Sant Jaume wynajmował mnie już wcześniej do pracy, więc uznałem, że zastronienie komuś głowy kapturem nie jest w sumie niczym dziwnym, zwłaszcza jeśli się chce, aby ten ktoś nie rozpoznał drogi ani miejsca. Czasem trzeba tak zrobić dla zachowania sekretu... Jeśli chodzi o jego stan, to musiał być ranny już przed wyjazdem. Powtarzam, że pasażer znajdował się wewnątrz wozu, kiedy dołączyłem do grupy, a nie zatrzymywaliśmy się po drodze ani razu.

Już podczas pierwszej rozmowy w urzędzie *veguera* Bernadot starał się podkreślić, że w jego obecności nikt nie pastwił się nad pasażerem, więc prawdopodobnie nabawił się tych ran, zanim wsiadł na wóz. Woźnicy zależało na nagrodzie, lecz nie chciał zyskać nowych wrogów.

— Co jeszcze się zdarzyło po przybyciu na miejsce?

— Poprosiłem tego, który do nas wyszedł, żeby dał nam coś do zjedzenia, bo po drodze nie było możliwości ani czasu na posiłek. Musieliśmy się śpieszyć i unikać innych podróźnych.

— A co zrobiono z porwanym Rashidem al-Malikiem? Widziałeś go jeszcze?

— Nie, wasza wielmożność. Zaprowadzono nas do kuchni, gdzie coś przekąsiliśmy. Późną nocą wróciłem sam do Barcelony.

— Znałeś swoich towarzyszy wyprawy?

— Nie, wasza wielmożność, ale jeden z woźniców musiał mnie znać, bo zwrócił się do mnie po imieniu, żeby zapytać o drogę.

Sędzia Vidiella pochylił się najpierw w stronę głównego notariusza, a potem naradzał się przez chwilę z *veguerem*.

— Na razie możesz odejść — rzekł, po czym rozkazał woźnemu: — Każcie wprowadzić Samira.

Wyzwoleniec Samir wszedł przerażony i nieufny. Po złożeniu przysięgi zajął miejsce zwolnione dopiero co przez Bernadota de Colera.

— Jak się nazywasz i kim jesteś?

— Mam na imię Samir, wasza wielmożność, Samir Jaume. Nazwisko przejąłem od swojego pana, który uczynił mnie wolnym człowiekiem.

— Od jak dawna jesteś wolny?

— Wyzwolił mnie przed dwoma laty.

— Dlaczego, będąc wolnym człowiekiem, pozostawałeś w jego domu?

— Z czystej wdzięczności, wasza wielmożność. Pełniłem funkcję majordoma, a jako wyzwoleniec otrzymywałem dobrą zapłatę.

— Ty wynająłeś Bernadota de Colera? Dlaczego to zrobiłeś?

— Trzeba było zawieźć do Arbucias bardzo ważną osobę. Sprawa wymagała dyskrecji, ponieważ istniało podejrzenie, że ktoś chce porwać tego człowieka. Drogę do Arbucias znają nawet dzieci, ale nie każdy wie, jak tam dojechać po kryjomu. Dlatego mój chlebodawca kazał mi odszukać Bernadota de Colera, który dobrze zna wszystkie ścieżki w hrabstwie i już kilka razy pracował dla mojego pana.

— Poinformowałeś Bernadota, kim jest ten pasażer?

— Nie miałem takiego rozkazu, wasza wielmożność. Zalecono mi pełną dyskrecję i uprzedzono, że nikt nie może się dowiedzieć, kim jest pasażer, ponieważ źle by się stało, gdyby taka wiadomość doszła do niepożądanych uszu.

— Widziałeś go przed wyjazdem?

— Tak, i to, co zobaczyłem, potwierdzało konieczność zachowania tajemnicy. Kiedy przybył do domu w Sant Cugat del Rec, był już ranny i mocno poturbowany. Zdaje się, że gdyby nie nasz człowiek, który wybrał się po niego, doszłoby do prawdziwego nieszczęścia. Ów pasażer został wcześniej zaatakowany przez niegodziwców, nie wiadomo, czy chcieli go okraść, czy porwać.

— Słyszałeś o obwieszczeniu rozgłaszanym przez heroldów w Barcelonie?

— Coś niecoś słyszałem, wasza wielmożność, ale nie skojarzyłem nazwiska poszukiwanego z nazwiskiem owego pana, który przybył do Sant Cugat z własnej woli, bez żadnego przymusu.

Sędzia Vidiella uciszył pomruk publiczności i uderzając w stół, nakazał wyprowadzić Samira i wprowadzić na jego miejsce Sisebuta, potężnego strażnika warowni w Arbucias.

Kiedy ten pojawił się w sali, znowu rozległy się głośne szepty i sędzia ponownie musiał przywołać prosty lud do porządku.

Powtórzył się ten sam ceremoniał. Usiadłszy, olbrzym sięgał stojącym żołnierzom do ramienia.

Po zapytaniu o nazwisko i stan sędzia rozpoczął kolejną turę przesłuchania.

- Jakie masz stanowisko w *masía* w Arbucias?
- Jestem majordomem, dowódcą straży i zaufanym człowiekiem zarządcy.
- Znałeś wcześniej Bernadota de Colera, który przywiózł do Arbucias doña Al-Malika?
- Przyjeżdżał do nas przedtem kilka razy.
- Czy to prawda, że przed wyniesieniem Al-Malika z powozu nałożono mu kaptur na twarz i głowę? Jeśli tak, to z jakiego powodu?
- Prawda. Zarządca poinformował mnie, że będziemy mieć ważnego gościa, który dla własnego bezpieczeństwa woli nie wiedzieć, gdzie się znajduje. Dlatego zastoniliśmy mu twarz kapturem.
- W jakim stanie przybył wyżej wymieniony?
- Był ciężko ranny, wasza wielmożność. Musieliśmy wezwać do niego medyka. Przez kilka dni był nieprzytomny. Padł ofiarą bandytów w Barcelonie, którzy zaatakowali go o zmierzchu na krótko przed wyjazdem do Arbucias.

Przesłuchanie toczyło się dalej według tego samego schematu, a pozwani odpowiadali zgodnie z instrukcjami otrzymanymi od Mainara.

Następnie wezwano Pere Fornellsa.

W stosunku do niego sędzia przybrał inny ton i używał formy „wy”.

- Jakie stanowisko zajmowaliście w Arbucias?
- Zarządcy *masía* i administratora dóbr należących do mojego zmarłego chlebobdawcy.
- Waszym zdaniem i wedle waszego rozeznania w jakim charakterze przebywał w tym domu don Rashid al-Malik?
- Nie ulega wątpliwości, że w charakterze ważnego gościa, wasza wielmożność. Umieściliśmy go w najlepszej baszcie, ugościliśmy po królewsku i spełnialiśmy wszystkie jego życzenia.
- Czym sobie zasłużył na takie traktowanie?
- Został zaangażowany przez mojego zmarłego pana do wykonania ważnej, tajemnej pracy o doniosłych skutkach dla hrabstwa. Kazał sobie za to zapłacić ogromne pieniądze. Połowę tej sumy znaleźliśmy w szafie w jego sypialni, kiedy zajrzeliśmy tam po owym tragicznym wypadku. Mój pan zamierzał przekazać owoc tej pracy hrabiemu, aby odzyskać jego zaufanie i poważanie.

Tym razem przeszedł szmer wśród szlachty w centralnym sektorze.

Sędzia Vidiella poprosił o ciszę.

— Dlaczego don Al-Malik przyrządzał swoje mikstury w ukrytej grocie za zamkniętymi drzwiami?

— Takie było jego życzenie, wasza wielmożność. Mistrz Rashid zażądał bezpiecznego, odosobnionego miejsca, utrzymując, iż jego eksperyment jest bardzo niebezpieczny, co okazało się, niestety, prawdą.

— Gdzie byliście, kiedy to się zdarzyło?

— W składzie win, wasza wielmożność.

— Ile pieniędzy znaleźliście w jego szafie?

— Ponad sto liwrów barcelońskich, wasza wielmożność.

— Gdzie jest teraz ta kwota?

— Seneszał skonfiskował znalezione pieniądze tego samego dnia.

Na koniec został wezwany Gualbert Amat, dla którego zamiast ławy ustawiono wygodne krzesło z wysokim oparciem, podobne do krzesła sędziego, *veguera* i biskupa.

— Wielmożny panie, przykro mi, że zabieram wasz cenny czas na tak niewdzięczne sprawy, ale mam obowiązek wyjaśnić pewne okoliczności.

— Jestem do waszych rozkazów, dostojny sędzio.

— Powiedźcie mi, panie seneszalu, co spowodowało, iż wyruszyliście na czele barcelońskiej milicji do Arbucias?

— Znamienity obywatel Marti Barbany zaoferował przez heroldów wysoką nagrodę dla osoby, która udzieli informacji o miejscu pobytu jego przyjaciela i gościa Rashida al-Malika. Do urzędu *veguera* dotarła wiadomość, iż ktoś coś wie na ten temat. Uzyskane wskazówki były wystarczająco jasne i dokładne, by uwierzyć w ich prawdziwość. I niestety tak było, z tą różnicą jedynie, że według mojego zdania don Al-Malik znalazł się tam z własnej woli. Nikt go nie porwał ani nie przymusił.

— Jaka jest wasza opinia na temat tego, że podobno przybył ranny i w ciężkim stanie?

— Nie mam zdania, lecz muszę wam powiedzieć, że został potraktowany jako ważny gość, spełniano wszystkie jego żądania i wynagrodzono go sowicie, albowiem, jak mi powiedziano, pieniądze znalezione w jego szafie stanowiły zaledwie połowę ustalonej zapłaty, drugą połowę miał dostać po zakończeniu pracy.

— Co sądzicie o jego śmierci?

— Z pewnością produkt, nad którym pracował, był wyjątkowo niebezpieczny. Owego dnia zaprosił swojego amfitriona na pokaz wyników. Wybuchł pożar i don de Sant Jaume, próbując stłumić ogień, najwyraźniej nie do ugaznienia, bo na tym poległa jego niezwykłość, sam spłonął jak pochodnia.

— Sądźcie, że można pochować doña de Sant Jaume na chrześcijańskim cmentarzu?

— Próba rozdzielenia ciał jest z góry skazana na niepowodzenie. Al-Malik był wyznania islamskiego. Pogrzebać heretyka w ochrzczonej ziemi ze świętymi symbolami byłoby odrażającą zbrodnią.

— Zechciejcie mi towarzyszyć w podróży do Arbucias. Wybieram się tam w krótkim czasie, żeby sprawdzić na własne oczy to, o czym mówicie, co nie znaczy, bym podawał w wątpliwość wasze słowa, spełniam jedynie swoją powinność.

Po tej serii pytań sędzieja Vidiella uznał przesłuchanie za zakończone. Tydzień później po wizycie w Arbucias, gdzie obejrzał grootę i zwłoki złączone na zawsze w tak dziwnych okolicznościach, orzekł — wbrew przekonaniu Martiego Barbany, który nieustannie twierdził, iż jego przyjaciel nigdy nie handlowałby swoim wynalazkiem — że zmarły przybył do Arbucias dobrowolnie, aby za ogromną sumę pieniędzy wyprodukować dla doña de Sant Jaume tak zwany grecki ogień, i wskutek niezbadanych wyroków losu zginął w płomieniach podczas demonstrowania rezultatów swojej pracy, a wraz z nim spłonął jego protektor.

Ponieważ don de Sant Jaume nie pozostawił po sobie żadnych spadkobierców, o których byłoby cokolwiek wiadomo, postanowiono, iż cały jego majątek przechodzi na własność korony hrabiowskiej.

Srebrne ostrogi

Akt nałożenia srebrnych ostróg trzem z paziów, którzy uczyli się rzemiosła rycerskiego w pałacu, stanowił doniosłe wydarzenie. Ten prastary zwyczaj pasowania na rycerza dawniej odbywał się tylko w obecności mężczyzn, ale został nieco zmodyfikowany w czasach hrabiny Almodis. Przychylając się do prośb dworek, świętej pamięci hrabina doprowadziła do tego, że otworzono galerię dla dam, które w ten sposób uzyskały przywilej oglądania ceremonii przez żaluzje w arkadach na pierwszym piętrze pałacu, gdzie swobodnie mogły komentować rytuał i prezencję dzielnych kawalerów.

Dla Marty był to bardzo ważny dzień, chociaż przed Bertranem udawała całkowitą obojętność. Różne uczucia targały dziewczyną: posłuszeństwo wobec ojca, porywy własnego serca i strach, jaki odczuwała na widok złowieszczej postaci Berenguera. Nie mówiąc o rozterkach wynikających z tego, iż obyczaj zabraniał jej poślubić mężczyznę, którego kochała.

Wiedziała, że ma sojusznika w ojcu Llobecie. Archidiakon uwielbiał swoją chrześniaczkę, a poza tym był jedną z dwóch osób — drugą była Amina — które znały wszystkie okoliczności podjęcia przez nią decyzji o wstąpieniu do Sant Pere de les Puelles. Odbył już wstępną rozmowę z przeoryszą, matką Adelą de Monsargues, która bez zastrzeżeń zgodziła się przyjąć Martę pod koniec tego roku. Myśl o ukochanym ojcu chrzestnym wywołała niepokój w oczach dziewczyny. Od kilku tygodni był bardzo blady, miał

podkrążone oczy i chociaż twierdził, że czuje się jak zwykle dobrze, słaby głos i powolny chód, tak odmienny od dziarskiego zazwyczaj kroku, kazały podejrzewać jakąś chorobę. Jego stan zaniepokoił również medyka, który zabronił mu chodzić do ogrodu, żeby nie musiał się schylać nad kwiatami.

Mężczyźni na parterze podnieśli się z ław, metaliczny szczęk oręża wyrwał Martę z zadumy, głos przyjaciółki, Estefanii Desvalls, pomógł jej wrócić do rzeczywistości:

— Marto, już się zaczyna!

Dziewczęta stłoczyły się przy półotwartych żaluzjach.

Parter przedstawiał imponujący widok. Dwa rzędy ław zajmowali młodzieńcy z najlepszych domów katalońskiej szlachty. Przednią część wielkiego salonu wyścielał ogromny dywan, na którym stały w równej odległości trzy klęczniki. Naprzeciwko nich wznosił się duży, przykryty adamaszkiem stół z obrazem świętego Jerzego pośrodku i starą Biblią w złotych okuciach na pulpicie. Z prawej strony znajdował się na podwyższeniu tron hrabiego Barcelony, a z lewej, krzesła dla biskupa Odóna de Montcada, głównego seneszala Gualberta Amata i dwóch młodych hrabiów Ramóna i Berenguera.

Dźwięk trąb i bębenków zapowiedział wejście starego hrabiego. Widać było, że Ramón Berenguer I mocno podupał na zdrowiu; wsparty na ramieniu drugiego seneszala, doña Gombau de Besora, wyraźnie utykał. Za nim kroczyli biskupi i księżęta. Wszyscy stanęli obok przygotowanych dla nich krzeseł i czekali, aż stary hrabia zajmie swoje miejsce.

Serce Marty zadrżało: na czele bohaterów ceremonii szedł spokojny i dumny młodzieniec, który zawładnął jej myślami. Bertran z Cardony zatrzymał się przy środkowym klęczniku, a dwaj pozostali paziowie, wystrojeni stosownie do okoliczności, stanęli przy klęcznikach z boku.

Uroczystość potoczyła się zgodnie z ustalonym wieki temu ceremoniałem. Do Marty nie docierały wyraźnie słowa, jakie padały na dole, jednak wystarczyło obserwować ruchy postaci, aby wiedzieć, co dzieje się w danej chwili. Biskup, prowadzony przez ministranta, podchodził z Biblią do klęczących aspirantów i przyjmował od nich przysięgę, przedtem nakazawszy im położyć prawą dłoń na świętej księdze. Następnie paziowie po kolei zginali kolano przed starym

hrabią, który wypowiadał jakieś niezrozumiałe słowa — Marta nie mogła ich usłyszeć z tej odległości — i lekko uderzał ich w policzek. Zaraz potem wzywał ich do siebie seneszał i z czerwonej aksamitnej poduszki trzymanej przez pazia brał wielkie srebrne ostrogi. Młodzi kandydaci na rycerzy zbliżali się kolejno, po czym stawiali prawą stopę na stołeczku przed Gualbertem Amatem. Wtedy on uroczyście nakładał im ostrogę, pytał każdego z nich, jaką wybiera dla siebie dewizę, i kazał stanąć przed swoim ojcem chrzestnym.

Nagle serce Marty zabiło szybciej: Bertran stanął przed „Lniano-głowym” i spoglądając w jej stronę, wyjął błękitną chusteczkę, którą mu niegdyś ofiarowała, poprosił Ramóna, by ją przewiązał na jego prawym przedramieniu, i jasnym, wysokim głosem powiedział:

— Panie, niech moją dewizą będzie: „Zawsze, mimo wszystko i wbrew wszystkiemu”.

Marta patrzyła na niego oczami pełnymi łez. W tym momencie opuścił ją gniew i rozwiały się wszystkie wątpliwości. Tak, jej serce nie mogło się mylić. Zaczeka na Bertrana, ile będzie trzeba. Spędzi w klasztorze te trzy lata wyznaczone przez ojca, nic nie zdoła zakłócić jej pogodnego nastroju. Bo wiedziała — tak, miała absolutną pewność — że kocha Bertrana i nikogo innego nigdy nie pokocha z taką siłą.

Papieski wyrok

Rzym, 5 września roku Pańskiego 1073

Ja, Grzegorz VII, wspomagany radami swojej kurii, będąc sędzią wydarzeń zaistniałych w Barcelonie owego nieszczęsnego dnia 16 października 1071, kiedy zadano gwałtowną śmierć hrabinie Almodis z Marchii

OGŁASZAMY:

Iż po zapoznaniu się ze smutnymi faktami, po wysłuchaniu zeznań i rozważeniu okoliczności obciążających tudzież łagodzących i zważywszy na rangę oskarżonego

WYWNIOSKOWALIŚMY:

Iż istnieją niezbite dowody, że księżę spadkobierca Pedro Ramón, syn hrabiego Barcelony Ramóna Beren-guera I i nieżyjącej hrabiny Elisabet z Nimes, pełnoletni i w pełni władz umysłowych, owego dnia zaatakował małżonkę swojego ojca, hrabinę Almodis z Marchii, zadając jej rany w głowę i szyję, które spowodowały jej zgon. Wiele osób było świadkami tego zdarzenia.

Zatem z sercem przepełnionym ogromnym bólem

SKAZUJEMY:

Wyżej wymienionego Pedra Ramóna, spadkobiercę hrabstw Barcelony, Gerony i Osony, na dwadzieścia jeden lat odosobnienia w wyznaczonym klasztorze, noszenie stroju pustelnika i prowadzenie takiego samego trybu życia jak cała wspólnota zakonna, na podporządkowanie się władzy przeora, przestrzeganie postów nakazanych przez Święty Kościół i zachowanie milczenia zgodnie z wymogami reguły.

Zarazem pozbawia się go wszystkich praw spadkowych.

Nie może nosić żadnej broni, z wyłączeniem przypadków napaści przez wrogów wiary.

Nie spełniając warunków niniejszego wyroku, popełni świętokradztwo i będzie wyłączony z Kościoła.

Podpisane i parafowane w Rzymie
przez Jego Świętobliwość

JA, PAPIEŻ GRZEGORZ VII

CZEŚĆ PIĄTA

Rozkosz zemsty

Nowe sojusze

Barcelona, koniec 1075 roku

Bernabé Mainar z satysfakcją obserwował Berenguera Ramóna, który używszy sobie z jedną z niewolnic lupanaru, był w znakomitym humorze, jak zwykle w takich momentach. Wiele rzeczy wydarzyło się w ostatnich latach — pomyślał jednooki — ale jego uprzywi-lejowana pozycja w środowisku możnych ani trochę się nie zmieniła. Zapomniano już o Pedrze Ramónie, który po ogłoszeniu wyroku papieskiego przekupił strażę i pewnej bezksiężycowej nocy uciekł z pałacu w nieznanym kierunku razem z ludźmi strzegącymi bramy. Krążyły pogłoski, że poszedł walczyć z niewiernymi i być może poniósł śmierć z ich ręki. Mainar nie tracił czasu. Poinformował Zakon o niepowodzeniu swoich planów, zapewniając, że jeszcze nie wszystko stracone... I rzeczywiście, niedługo po zniknięciu pierworo-dnego, który został wydziedziczony za popełnienie gwałtownego czynu przed całym dworem, pojawił się w lupanarze Berenguer. I poczynając od tego momentu, Mainar starał się zbliżyć do podatnego na wpływy bliźniaka, który nie cieszył się zaufaniem matki, ale przynajmniej zachował prawo do dziedziczenia części hrabstwa po śmierci starego ojca. Kiedy Mainar ujawnił przed nim swoją prawdziwą tożsamość i żądzę zemsty, którą uznawał za misję, dostrzegł w oczach Berenguera taki sam podziw, jaki widział dawniej w oczach pierworodnego.

— Dałeś mi dziś niewolnicę, która jest bardzo biegła w tych sprawach — mruknął Berenguer na wpeł senny od alkoholu. — Nie do wiary, jak te wasze kobiety umieją dogodzić mężczyźnie!

— Zawsze otrzymujecie to co najlepsze, mój panie.

— Wiem i jestem wam za to wdzięczny.

— Mam nadzieję, panie, że w pałacu wszystko układa się dla was pomyślnie.

— Nudy jak zawsze — odparł Berenguer. — Na szczęście mój brat wyruszył na Sycylię, żeby wreszcie poznać narzeczoną. Oby utonął w morzu razem ze swoim statkiem! — zakończył w nagłym porywie gniewu, którego nie umiał pohamować.

Mainar się uśmiechnął.

— Nie mówcie takich rzeczy... Ktoś mógłby was usłyszeć.

— Dobrze wiem, komu i gdzie to mówię... W pałacu zachowuję się bez zarzutu, staram się naśladować brata, albowiem ojcu bardzo podoba się jego sposób bycia.

— Wierzcie mi, mój panie, że tak jest najlepiej. Wasz ojciec jest bardzo stary i nie należy go skłaniać do podejmowania pochopnych decyzji.

— To prawda, przyjacielu Mainarze — rzekł Berenguer. — Dlatego staram się postępować nienagannie. Nawet nie uganiam się za damami. Zresztą muszę przyznać, że najpiękniejszej dworki, zaiste wartej grzechu, nie ma już w pałacu.

— Kogo macie na myśli?

— Już wam o niej mówiłem. Marta Barbany jest teraz postu-lantką w Sant Pere de les Puelles. A tak mało brakowało, żeby mi uległa!

— W klasztorze nie straci dziewictwa, mój panie. Nacieszycie się nią, kiedy przyjdzie pora.

Berenguer przytaknął.

— Wiem, że wy również macie rachunki do wyrównania z jej ojcem, tym armatorem. Wierzę, że dosięgnie go wasza zemsta, a ja dorwę tę nieuchwytną gazelę... Jeszcze trochę poczekam — dodał, ścisząc głos. — Mówiąc między nami, ojciec jest chory, bardzo chory. Cud, jeżeli dożyje do nowego roku, jak twierdzą medycy.

Jednooki się uśmiechnął. Upragnione stanowisko znowu było w zasięgu jego ręki.

— Sądzę zatem — powiedział — że pora przekazać panu Martiemu Barbany prezent, jakiego nie zapomni. Przestrozę, która nie pozwoli mu spać spokojnie.



Głos eunucha Maimóna zabrzmiał opryskliwie.

— Paciá, zostaw swoją robotę i przyjdź do magazynu!

Mężczyzna oparł motykę o mur, popatrzył filozoficznie na wykopywaną brudę i otarłszy chusteczką pot z czoła, poczłapał na wezwanie Maimóna. Drzwi do szopy były uchylone; w głębi, przy półkach z drewnianymi skrzyniami, gdzie przechowywano wszystkie produkty z sadu i ogrodu, dostrzegł Maimóna, który sprawdzał, czy niczego nie brakuje. Chlebobdawca nie pozwalał robić zakupów na targu, dom musiał się wyżywić z owoców, warzyw, jajek i mleka, króliczego mięsa i drobiu dostarczanych przez *masía*.

— Chodź tu, Paciá. Otrzymałeś specjalne zadanie od chlebobdawcy.

Paciá podszedł do eunucha.

— Skąd ja mam wziąć na to czas! Za dnia pilnuję ludzi, żeby dobrze pracowali. Kiedy zapada zmierzch i wszyscy odpoczywają, ja zbieram odpady, ładuję na wóz i jadę aż do Cagalell, żeby wyrzucić tam śmieci, których jest coraz więcej. Ledwie zdążam na wieczerzę, więc zjadam resztki i wracam do swojej rudery w głębi winnicy, a kiedy zadzwonią na laudę, muszę znowu być na nogach, żeby pilnować zgrai powierzonych mi nierobów, bo inaczej nie wezmą się do pracy. Nie mam kiedy zobaczyć żony i córek, a nasz pan dokłada mi roboty.

Eunuch uspokoił go.

— To zadanie jest najważniejsze. W pozostałych sprawach do staniemiesz pomoc, jeśli trzeba.

— Ja nająłem się do pracy jako woźnica, a jestem do wszystkiego.

Eunuch po cichu przyznawał mu rację: ten majster był wart swojej pensji, a nawet więcej. Postanowił wyprosić dla niego podwyższenie dniówki. Zrobi to z pobudek egoistycznych, bo jeśli Paciá, zniechęcony małymi zarobkami, odejdzie, to na niego spadnie cała masa pracy.

— Masz rację, Paciá, porozmawiam z chlebobdawcą. Ułatwisz mi sprawę, jeśli dobrze wykonasz to nowe zadanie.

— Przyda się każdy grosz, żeby zanieść rodzinie trochę chleba. Powiedźcie, co mam zrobić, a postaram się spełnić polecenie. Wiecie, że nigdy nie odmawiam, ale chcę jasno powiedzieć, że już dwa razy obiecywano mi podwyżkę i nigdy jej nie zobaczyłem.

— Sam wiesz, jaki jest nasz pan. O pewnych rzeczach trzeba mu przypominać, bo jak nie, to zaraz zapomni — odparł eunuch.

— Zobaczmy, czy tym razem będzie pamiętał. Ale przejdźcie do sedna. Na czym polega to zadanie?

— Posłuchaj, sprawa jest poważna, bo chlebowca był wyjątkowo poruszony, kiedy o tym mówił. Gdybyś musiał wyjść poza teren, żeby tego poszukać, daj mi tylko znać i weź sobie tyle czasu, ile ci potrzeba.

— Przestańcie krążyć wokół tematu, powiedzcie mi wreszcie, o co konkretnie chodzi.

— Pójdiesz na suche pole w porze, gdy słońce najmocniej przygrzewa, i upolujesz dużą jaszczurkę, jak największą. Potem wsadzisz ją do skrzynki i będziesz ją karmić, dopóki chlebowca się po nią nie zgłosi.

Pacią był zaskoczony tym dziwnym zleceniem.

— Po co mu jaszczurka?

— Nie mam pojęcia. Zdaje się, że na prezent albo coś w tym rodzaju, jeśli dobrze zrozumiałem. Taki prezent ma swoją wymowę, a obdarowany będzie wiedział, co to znaczy.

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

— Ludzie mają swoje dziwactwa, a niech tam! Grunt, że się nie narobię.

— Jak to?

— W okolicy widziałem dużo jaszczurek: wylegają się w słońcu na murach, na kamieniach... i czekają, aż jedzenie samo wpadnie im do gęby. Muszę tylko wybrać największą albo najgłupszą.

— Jak się je łapie?

— Zarzuca się im na grzbiet kawałek płótna, kiedy są najbardziej ufne. Najlepiej to robić w pełnym słońcu.

— Świetnie, Paciá. Postaraj się, żebyś dobrze wypadł przed panem, a ja zajmę się twoją sprawą — obiecał eunuch.

Jaszczurka

Martí Barbany i kapitan Manipoulos pracowali na balkonie na drugim piętrze pod daszkiem z maty trzciniowej. Z tego miejsca rozpościerał się wspaniały widok na niebieskie morze na redzie i małe łódki kursujące w tę i z powrotem między plażą a zakotwiczonymi statkami; prawdziwa uczta dla oczu, jak mawiał Grek. Słuchając monotonnego głosu Basilisa, który wymieniał kolejne liczby oraz warunki frachtu i załadunku, Marti odpłynął myślami daleko. Ubolewał po raz Bóg wie który w ostatnich latach, że oddał swoją jedynaczkę do pałacu. Wtedy pragnął jedynie trzymać ją z dala od niebezpieczeństw i zadbać o jej wykształcenie, nie przewidział, że córka może zakochać się bez pamięci. Zresztą nie można powiedzieć, że Marta źle wybrała... Czego więcej mógłby pragnąć, niż oddać córkę za żonę młodzieńcowi, którego zalety tak bardzo wychwalał ojciec Llobet? Przecież sam się przekonał, że z oczu i ze słów tego młodego kawalera bije uczciwość bez skazy. Niemniej jednak małżeństwo z przyszłym wicehrabią Cardony było czymś nieosiągalnym...

Minęły prawie trzy lata, odkąd Marta wstąpiła do Sant Pere de les Puelles, podejmując decyzję, którą Marti, jako ojciec, odebrał niemal jak zniewagę. Ale dziewczyna okazała stanowczość: nie wróci do domu na placu Sant Miquel i nie zostanie w pałacu. Te trzy lata rozłąki, które Marti narzucił jej i Bertranowi jako sprawdzian uczucia, przeczeka w klasztorze, gdzie będzie kontynuować naukę. Marti często ją odwiedzał z nadzieją, że odkryje w córce coś, co

pozwole mu pomyśleć, iż zapomniała o tej niemożliwej miłości. Nigdy o tym nie rozmawiali, lecz Marti wyczuwał, że Marcie przydarzyło się dokładnie to samo co jego żonie Ruth przed laty: oddała swoje serce temu jednemu mężczyźnie... I nawet przez myśl jej nie przejdzie, żeby z niego zrezygnować albo o nim zapomnieć. Być może Bertran nie dotrzyma obietnicy, zwłaszcza że życie młodego chorążego jest pełne pokus i rozrywek. Marti westchnął: trzy lata wkrótce dobiegną końca i wszystko się wyjaśni.

Manipoulos przerwał lekturę rachunków i spojrzał na niego pytająco, ale Marti pokręcił głową i z lekkim uśmiechem zachęcił go, by kontynuował. Kiedy zdołał wreszcie skoncentrować się na rachunkach, na schodach rozległy się kroki Andreu Codiny. Major-dom zbliżył się do nich z jakimś zawiniątkiem w rękę.

— Co się stało, Andreu? Co mi tu przynosisz?

— Panie, strażnik przy głównej bramie odebrał ten pakunek od posłańca i przekazał swojemu dowódcy, a Gaufred wysłał mnie z tym do was.

— Wiesz, że nie lubię, gdy ktoś przerywa mi w czasie pracy.

— Wiem i mówiłem o tym Gaufredowi, ale podobno posłaniec zaznaczył, że to pilna sprawa.

Manipoulos, który do tej pory nie odrywał oczu od swoich liczb, podniósł głowę.

— Zobaczmy, co tu jest i czy zasługuje na taki pośpiech.

Mówiąc to, Marti wyciągnął rękę, żeby odebrać paczkę od majordoma.

— Możesz odejść, Andreu.

Wykonawszy swoje zadanie, sługa opuścił taras. Paczka była obwiązana sznurkiem i Marti zaczął walczyć z supłem.

— Zostawcie to mnie — powiedział Basilis. — Lepiej przeciąć.

Wyjął z torby swój stary nóż marynarski z trzonkiem z baraniego rogu i odebrawszy pakunek z rąk przyjaciela, przystąpił do przecinania sznurka.

Po odwinięciu brezentu zobaczyli szkatułkę z drewna orzechowego. Manipoulos oddał ją Martiemu, który otworzył wieczko.

Grek odgadł z twarzy przyjaciela, że było tam coś dziwnego; podniósł się natychmiast i podszedł bliżej, żeby zajrzeć do szkatułki.

W środku sterczał zielony łepiek jaszczurki, odcięty od ciała

zwykłych rozmiarów, z otwartym pyskiem, w którym znajdował się jakiś przedmiot.

— Co to za świństwo? — zapytał Marti.

— Dajcie mi to.

Greki wziął z jego rąk szkatułkę i wrócił na swoje miejsce. Znowu posługując się nożem, ostrożnie wyjął z gadziego pyska coś w rodzaju pieczęci z wygrawerowanymi M i B. Manipoulos wytarł to końcem brezentu, żeby oczyścić z brudu, i podał przyjacielowi; Marti długo i uważnie oglądał ten przedmiot w świetle słonecznym.

— Nie do wiary! To pierścień, który podarowałem niegdyś Rashidowi al-Malikowi! — wykrzyknął zaskoczony. Jego twarz zasnuła się cieniem żalu na wspomnienie nieszczęsnego losu człowieka, który był jego gościem i jednym z najwierniejszych przyjaciół. Niewiele udało się wyjaśnić w sprawie jego śmierci. Marti za pośrednictwem Manipoulosa wypłacił nagrodę woźnicy, który dostarczył informacji. Jego samego nawet nie chciał widzieć.

— Na pewno? — zapytał Basilis.

— Bez dwóch zdań! Weźcie pod uwagę, że na całym świecie jest was tylko pięciu, którym dałem takie pierścienie. Różnią się trochę między sobą. Spójrzcie, ten jest z agatem, a wy macie pierścień z lazurytem. Powtarzam: to pierścień Rashida... Ktoś zerwał mu go z palca i teraz wysłał do mnie.

— Z czego wynika, że człowiek, który musiał mieć coś wspólnego z jego śmiercią, chce wam przekazać jakąś wiadomość... Z całą pewnością nie jest to don Marçal de Sant Jaume, ponieważ on zginął razem z Rashidem.

Marti podniósł się i zaczął nerwowo chodzić po tarasie.

— Nic z tego nie rozumiem, Basilisie.

— Jedno jest pewne — odrzekł natychmiast Grek. — Ten, kto wam to przysłał, chce udowodnić, że Rashid został zamordowany albo popchnięty do śmierci. I pokazać, że się was nie boi, że jest waszym wrogiem i przebywa w pobliżu.

— Ale dlaczego jaszczurka?

Manipoulos pogrążył się w zadumie.

— Coś wam to przypomina, Basilisie?

— Dużo podróżowałem po świecie, moje stare sandały wydeptały wiele dróg, poznałem więcej ludzi i zwyczajów, niż jestem w stanie spamiętać, lecz coś mi przychodzi na myśl.

— Co takiego, Basilisie?

— W krainie położonej nad górnym Nilem znajduje się stare miasto zwane Tebami. Niedaleko od tego miasta żyje starodawna sekta wyznawców fałszywych idei pitagorejczyków i innych filozofów greckich. Kiedy zwyciężyła prawdziwa religia, przystosowali swoje zasady do niektórych nauk naszego Pana, Jezusa Chrystusa, i przekształcili się w heretyków. Utrzymują, że ich prawo jest starsze i wyższe niż prawo Jezusowe, nie przestrzegają bożych przykazań i nie wahają się zabić człowieka w imię swoich interesów, gdyż nie ma dla nich niczego istotniejszego niż potęga sekty. Wykonują nawet zabójstwa na zlecenie w przekonaniu, że w ten sposób służą Bogu. Zanim to zrobią, wysyłają do osoby upatrzonej na ofiarę głowę jaszczurki. Ze względu na upodobanie do słońca jaszczurka jest dla nich symbolem uległości wobec bóstwa.

Marti spojrzał mu prosto w oczy.

— Mam to potraktować jako groźbę?

— Moim zdaniem dają wam do zrozumienia, że jesteście zagrożeni, chcą, żebyście o tym wiedzieli, i uprzedzają, że tak samo, jak zamordowali Rashida, mogą was zamordować.

Marti się zaperzył.

— Ktoś chce wojny? Będzie ją miał, kimkolwiek by był! Pamiętajcie, jak skończył pirat, za którym stał sam wali tunezyjskich Zirydów.

— Zalecałbym ostrożność — powiedział Grek. — Macie do czynienia z przebiegłym, ukrytym wrogiem, który nie zawahał się zabić lub spowodować śmierć Rashida tylko za to, że był waszym dobrym przyjacielem...

Marti skinął w zamyśleniu głową i po raz pierwszy poczuł ulgę, że jego córkę chronią grube mury Sant Pere de les Puelles i nie zagraża jej to nowe, nieznane niebezpieczeństwo.

Sant Pere de les Puelles

Klasztor Sant Pere de les Puelles, erygowany pięć dekad wcześniej, wznosił się pomiędzy dzielnicami Sant Pere i Rec Comtal. Była to solidna trzyczęściowa budowla z dwiema kondygnacjami i klauzurą z ogrodem, w którym krył się staw pełen grubych, skrzeczących natarczywie żab. Na parterze mieściła się kuchnia, refektarz, kapitułarz i infirmeria, a na piętrze — cele sióstr po ślubach wieczystych, nowicjuszek i postulantek. Z klauzury było wyjście po jednej stronie do ogrodu, a po drugiej do kościoła. Od wschodu prowadził do budynku portyk z wielkim łukiem, pod którym swobodnie przejeżdżały wozy zaprzężone w konie. Wewnątrz po prawej stronie znajdowały się stajnie, magazyny i spiżarnie, gdzie przechowywano wiktuały. Było też inne wejście — duża brama zwieńczona ozdobnym łukiem z kamienia, na którym stało dwunastu apostołów; ta była przeznaczona dla okolicznych mieszkańców przybywających do kościoła w niedziele oraz nakazane święta i tylko w te dni ją otwierano. Kościół miał od północy apsydę z malutkim oknem wychodzącym na klauzurę; z tyłu za ołtarzem znajdowała się zakrystia, a obok niej niewielka cela kapelana, który troszczył się o zdrowie duchowe wspólnoty.

Marta szła w przedostatniej parze zakonnice, które pod sklepieniem krążanka podążały na nieszporny do kościoła. Na czele kroczyła przeorysza, matka Adela de Monsargues. W odróżnieniu od zakonnice

postulantki (wszystkie wywodzące się ze szlacheckich rodów) nosiły skromne spódnice z szarej tkaniny.

Marta usiłowała skupić się na modlitwie, lecz nic nie mogła poradzić na to, że jej myśli nieuchronnie krążyły wokół ostatniego listu, jaki otrzymała od swojego ukochanego Bertrana. Tak jak obiecał jej ojcu, nie widzieli się od prawie trzech lat, ale utrzymywali w tym czasie kontakt za pośrednictwem listów przekazywanych przy pomocy Aminy i Delfina, którzy stali się posłańcami zakochanych. W samotności surowej celi Marta odczytywała te listy raz po raz, aż nauczyła się ich na pamięć jak modlitwy. We wszystkich Bertran wyznawał jej bezwarunkową miłość, niezachwianą lojalność i coraz silniejsze pragnienie, by znowu ujrzeć ukochaną. Niemniej jednak, mimo tych obietnic i miłosnych przysięg obecnych w każdym liście, Marta nie potrafiła odsunąć dręczących ją wątpliwości... Chociażby teraz, kiedy jej ukochany Bertran towarzyszył jako chorąży Ramónowi Berenguerowi, który wybrał się w podróż na ziemię sycylijskie, żeby poznać Mafaldę, obiecaną mu za żonę przed laty. Marta wyobrażała sobie wystawne przyjęcia, bale pełne pięknych dam i wśród nich Bertrana; serce zamierało w niej z trwogi na samą myśl o tym.

Skoncentrowała się na modlitwie, usiłując wypłoszyć te obrazy ze swojej głowy. Już niedługo, pomyślała. W ostatnim liście Bertran obiecywał, że po powrocie z Sycylii uda się do Cardony, aby poprosić ojca o zgodę i błogosławieństwo na ich ślub. Martę znowu ogarnął niepokój... Jak zareaguje wicehrabia Cardony na wiadomość, że jego syn, jego dziedzic, pragnie poślubić plebejuskę? A jeśli jej własny ojciec ma rację i Bertran, mimo wielkiego uczucia, jakim ją darzy, nie zdoła oprzeć się żądaniom wicehrabiego Cardony, aby poniechał swoich planów? Marta wiedziała, jak trudno sprzeciwić się życzeniom ojca: kochała swojego ze wszystkich sił. Marti odwiedzał ją co miesiąc, jeżeli nie był akurat w podróży, i za każdym razem prosił, żeby wróciła do domu. Marta cierpiała, nie mogąc mu wyznać prawdy: klasztorne mury chroniły ją przed awansami Berenguera o wiele lepiej, niż zdołałyby to uczynić wszystkie stráže rezydencji na placu Sant Miquel. Nareszcie była spokojna i prawie zapomniała o przykrych chwilach, jakie z jego winy przeżyła w pałacu. Była pewna — a ojciec Llobet utwierdzał ją w tym przekonaniu — że nawet Berenguer nie ośmielił się

pogwałcić świętej przestrzeni domu Pana dla zaspokojenia swej nikczemnej żądz. Poza tym, aby dać jej poczucie jeszcze większego bezpieczeństwa, ojciec chrzestny wytłumaczył, że po śmierci hrabiny nie jest już potrzebny w pałacu, opuścił Pia Almoina i został spowiednikiem w klasztorze.

Po zakończonym nabożeństwie zakonnice wróciły do swoich cel. Przemierzając w ciszy zimne korytarze, Marta zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że jest gdzie indziej: spaceruje po pałacowych ogrodach za rękę z Bertranem.

Zaręczyny

Na ziemiach Sycylii, daleko od Barcelony, oszołomiony Bertran podziwiał wykwint salonu, gdzie miał się odbyć bankiet na cześć delegacji, która przybyła z hrabiowskiego miasta, aby poprosić o rękę księżniczki Mafaldy i sfinalizować proces zainicjowany przed laty przez Martiego Barbany w roli ambasadora. W życiu nie widział czegoś równie wspaniałego; nie ulegało wątpliwości, iż książę i księżna Sycylii chcieli pokazać w ten sposób, jak wielkim szacunkiem darzą przyszłego zięcia i osoby, które towarzyszą mu w tej podróży. Bertran zajął wyznaczone mu miejsce przy stole w otoczeniu sycylijskiej szlachty i kilku towarzyszy „Lniano-głowego”, który siedział przy głównym stole, zajęty rozmową z Robertem Guiscardem i jego żoną, w obecności nieśmiałej i lekko wystraszonej Mafaldy.

Kosztując przysmaki podawane nieustannie wśród zgiełku rozmów i śmiechów, Bertran wodził dokoła nieobecny spojrzeniem. Wiele dałby, żeby mieć obok siebie Martę zamiast tej sycylijskiej panny, która, jak sama go poinformowała, będzie towarzyszyć Mafaldzie z Apulii na barcelońskim dworze. Bertran nie starał się okazywać jej uwagi i prawie nie uczestniczył w rozmowie: myślami był gdzie indziej, daleko stąd. Zdarzało mu się nieraz, że nagle i niespodziewanie pojawiał się w jego głowie obraz Marty i nachodziły go piękne wspomnienia, od których nie mógł się oderwać. Przypominały mu się spotkania w oranżerii, rozmowy, a nawet drobne sprzeczki.

Wskutek długiej rozłąki pamięć się wyostrzyła i każdy szczegół nabierał niezwyklej wagi. Upłynęły prawie trzy lata od jego nominacji na chorążego i wstąpienia Marty do klasztoru Sant Pere de les Puelles; przez ten czas nie było ani jednego dnia, żeby o niej nie myślał. I nigdy nawet na moment nie osłabła jego miłość. Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć, ale był pewny, że ją kocha, i to przekonanie towarzyszyło mu we wszystkich misjach wypełnianych u boku Ramóna Berenguera, podczas długich dni żeglugi na ziemi Sycylii, a także teraz, w trakcie tej pięknej uczty. Kochał Martę i wiedział, że ona na niego czeka, pragnął kroczyć przez życie razem z nią i nie wyobrażał sobie innej możliwości.

Z zamyślenia wyrwał go toast za zdrowie przyszłych nowożeńców. Spojrzał na swojego hrabiego i przyjaciela Ramóna Berenguera i zrozumiał z wyrazu jego twarzy, że w pełni usatysfakcjonowały go rozmowy o ślubie. Chciałbym, żeby moje zaręczyny z Martą wyglądały podobnie — rozmarzył się Bertran. Obserwując Mafaldę z Apulii, pomyślał, że niewątpliwie jest piękna, ale nikt, nawet ona, nie dorównuje urodą kobiecie, którą przeznaczyło dla niego życie i los. Noc była długa, biesiada nie miała końca, fajerwerki oświetlały ogrody, a po wyjściu papieskiego legata rozpoczęły się tańce aż do świtu.

Potem w samotności swojej komnaty przeczytał jeszcze raz bilecik, który dama księżniczki Mafaldy wsunęła mu do ręki podczas jednej z ewolucji tanecznych i w którym zapraszała go do swojej sypialni po dzwonach na laudę. Bertran ostrożnie wziął stojącą obok łóżka lampkę oliwną i przysunął do płomienia liścik zwinięty w rulon. Potem zebrał ulotny popiół, położył go sobie na dłoni i podszedłszy do okna, dmuchnął, rozsiewając go w powietrzu. Czekąca go bezsenna noc: odkąd wyruszyli z Barcelony, sen go odbiegł, a umysł nie dawał spokoju. Wiedział, że nie może dłużej odkładać wizyty w Cardonie. Był pewien swoich uczuć, niemniej pragnął otrzymać błogosławieństwo rodziców. Jedno przychylnie słowo ojca wyleczy go z bezsenności i pozwoli mu stanąć przed Martą z zapewnieniem, że żadne chmury nie zasnują ich promiennego szczęścia.

Położył się, rozmyślając o podróży do Cardony, a dla poprawy nastroju przeczytał ponownie w blasku świeczki ostatni list od

Marty. Spokój emanujący z jej słów pełnych miłości podziałał na niego jak balsam i z obrazem Marty w myślach i w sercu, z jej imieniem na ustach, Bertran zasnął.



Nazajutrz po przyjęciu zaręczynowym Roberto Guiscardo rozkazał Mafaldzie, aby porozmawiała ze znamienitym gościem. Spotkanie odbyło się w małej bibliotece, gdzie księżna trzymała swoje książki i pergaminy. Matka odprowadziła ją na miejsce i, rzecz u niej niezwykła, pożegnała pocałunkiem w czoło, a na jej rzęsach zalśniła tkliwa łza. Drzwi zamknęły się za nią i dziewczyna została sama, usiadłszy na podwójnym krześle, z duszą na ramieniu i dziwnym niepokojem, który zagościł w jej czystym sercu. Chwile oczekiwania wydawały się wiecznością. Po pewnym czasie zadzwoniły na posadźce przyległego salonu mocne, rytmiczne kroki, drzwi się otworzyły i w progu pojawiła się sylwetka mężczyzny, który minionego wieczoru siedział przy głównym stole. Mafalda spuściła wzrok, kiedy zbliżał się do niej spokojnym, statecznym krokiem. Bardziej wyczuła, niż ujrzała, że on przyklęka przed nią na jedno kolano i delikatnie bierze ją za prawą rękę. Oblała się rumieńcem i dopiero wtedy ośmieliła się podnieść oczy. Oblicze, na które patrzyła teraz z bliska i które mogła obejrzeć lepiej niż poprzedniego wieczoru, było piękne: smągła cera, szlachetne spojrzenie, jasne włosy okalające twarz o przyjemnych rysach i serdeczny blask w głębi uśmiechniętych oczu. Dzielny rycerz wstał z kolan, nie wypuszczając dłoni narzeczonej, i zajął miejsce u jej boku.

— Mafaldo — powiedział — nie myślcie, że skoro wasz ojciec oddał mi waszą rękę i nasze małżeństwo jest korzystne dla obu rodzin, nie będzie w nim miłości. Powinowactwo z potężnym domem Kalabrii ma dla nas wielkie znaczenie, jestem tego świadom, wszelako nie jest to korzyść jednostronna. Okręty moich hrabstw, Barcelony i Gerony, będą bronić wybrzeży waszej ojczyzny przed muzułmanami, którzy z każdym dniem rosną w potęgę i nabierają śmiałości. Ich piraci są plagą Morza Śródziemnego. Moi poddani już wiedzą, czym było panowanie mahometan i niebezpieczne sąsiedztwo królów Leridy i Tortosy, albowiem znosili to cierpienie przez wiele lat. Al-Mansur, którego Kastylijczycy nazywają Alman-zorem, zniszczył Barcelonę. Ja sam niejednokrotnie stawałem do

boju z jego wojskiem w obronie naszych ziem. Poprzysiągłem, że póki żyję, nie pozwolę niewiernym na upokarzanie krajów chrześcijańskich. Wiem, że wasz ojciec wydał im wiele wojen, jest walecznym paladynem i sam potrafi obronić swoje ziemie. Jednakże przyda mu się pomoc moich okrętów i głównie dlatego przyjmuje mnie jako zięcia. Do spółki z bratem Berenguerem jestem naturalnym spadkobiercą hrabstw Barcelony, Gerony i Osony. Przyszedł czas, bym pojął żonę, i dlatego zapłaciłem waszemu panu ojcu rękojmie małżeńskie, które wydawały mi się wielce szczodre, dopóki was nie ujrzałem. Jesteście najpiękniejszą istotą, jaką ludzkie oczy widziały, odkąd Bóg Wszechmogący stworzył kobietę. Wiem, że przez posłuszeństwo zostaniecie moją żoną, ale ja pragnę czegoś więcej. Pragnę usłyszeć z waszych ust, że zgadzacie się mnie poślubić z własnej woli i ochoty. Nie szukam sojuszków, tylko towarzyski życia, która doda mi otuchy w działaniu, urodzi mi synów na chwałę mojego rodu i zamknie mi oczy, kiedy przyjdzie mój czas.

Słuchając słów Ramóna Berenguera, Mafalda poczuła, że coś w niej się budzi. Podniosła na niego swoje piękne oczy i odpowiedziała drżącym, lecz stanowczym głosem:

— Do wczoraj znałam was tylko ze słyszenia. Dziś rano pani matka przypomniała mi o moich powinnościach rodzinnych, ale chcę wam powiedzieć, że wasze szczere słowa otwały sobie drogę do mojego serca niczym powój pnący się po pniu drzewa. Wezmę was za męża i będę szanować przez całe życie. Pragnę być wobec was i swoich nowych poddanych kimś więcej niż matką waszych dzieci. Stanę u waszego boku i będę wam towarzyszyć we wszystkich przedsięwzięciach, jakie podejmiecie. Ten, kto obrazi was, obrazi i mnie; kto wam okaże szacunek i posłuszeństwo, będzie moim przyjacielem. W chwilach spokoju będę waszym wsparciem i radością, na polowaniach waszym najlepszym sokolnikiem, w łóżu najgorętszą kochanką, tak abyście nigdy nie pożądali innej kobiety. Pragnę, by każdy tytuł, jaki mi nadacie, tłumaczył się nie tyle racjami prawa, ile moimi zasługami.

Wysłuchawszy tych słów, Ramón Berenguer wstał, Mafalda też się podniosła, a wtedy on chwycił ją za łokcie i przysunął do siebie. Długo patrzył jej w oczy, pochylając swoją urodziwą twarz, żeby być bliżej jej twarzy, po czym złożył na dziewczęcych ustach pieczęć pocałunku.

110

Cardona

Kilka tygodni później dwaj młodzi rycerze jechali jeden za drugim wąską ścieżką biegnącą równolegle do rzeki Cardoner. Wyruszyli z Barcelony poprzedniego dnia i jadąc przez całą noc, o świcie dotarli do zakrętu, skąd widać było w oddali wzgórze, gdzie wznosił się zamek Cardona. Bertran odwrócił się w siodle do młodego Sigerica — wybrał go sobie na giermka, kiedy został chorążym Ramóna Berenguera — i przywołał go gestem. Młodzian spał ostrogami niedużego konia, żeby zrównać się z Bertranem. Ten, pokazując palcem na okazały gmach, który wyłaniał się z porannej mgły, powiedział z dumą:

— To jest mój dom. Tam się urodziłem.

Giermek wytężył wzrok.

— Piękny zamek, panie, powiedziałbym nawet, że majestatem dorównuje pałacowi naszych hrabiów. — A potem zapytał: — Ta kampanila za wieżą... co to jest?

— Kościół Sant Vicenc. Od ponad wieku należy do jurysdykcji mojej rodziny — odpowiedział Bertran.

— Nie rozumiem, panie, dlaczego żyjąc w takim miejscu, wyjechaliście do Barcelony.

Bertran zamyślił się, wspominając powody, dla których cztery lata wcześniej musiał opuścić dom rodzinny.

— To nie był mój wybór, Sigericu — odpowiedział wreszcie. — Czasem los narzuca nam obowiązki, które musimy wypełnić, nawet

jeśli w pierwszej chwili wydają się niezrozumiałe. Ale to, co na początku było udręką, przeobraziło się w największe szczęście, jakie mnie w życiu spotkało.

— Zazdroszczę wam, że w waszym młodym życiu zaznaliście już tylu przygód i zdobyliście tak wiele doświadczeń.

— Rzeczywiście, muszę przyznać, że los mi sprzyjał... przynajmniej dotąd.

— Żaden paż, który przybył do pałacu w tym samym czasie co wy, nie dostąpił takich zaszczytów, jakie są waszym udziałem. Być chorążym młodego hrabiego to wyróżnienie osiągalne dla niewielu. Przepłynęliście morze, podczas gdy inni zaledwie mieli okazję zamoczyć w nim nogi.

— Nie sądz, że wszystko układa się tak wspaniale, Sigericu. Nie ma róży bez kolców. A teraz podnieś wysoko mój proporzec chorążego hrabiego Barcelony i jedź za mną.

Bertran ścisnął Blanca kolanami i ruszył galopem.

Kiedy obaj kawalerowie zbliżali się do otaczającej zamek fosy, rozległ się niski, ochrypli dźwięk rogu powiadamiający o przybyciu jeźdźców. Przywołany przez wartownika kasztelan wyjrzał zza blanek zwieńczających wejście.

Bertran rozpoznał sylwetkę swojego starego piastuna i stanąwszy w strzemionach, głośno zawołał:

— Lluc, to ja! Nie poznajecie mnie?

Stary sługa wychylił się jeszcze bardziej, żeby lepiej widzieć, po czym natychmiast zniknął. Bertran wiedział, że Lluc go rozpoznał. Olbrzymi most zwodzony opuszczał się powoli z chrzęstem łańcuchów i zgrzytem wielokrążków. Bertran klepnął Blanca w zad i ruszył stępa. Sigeric podążył za nim. Kopyta zastukały na drewnianym moście, podczas gdy brona chroniąca bramy podnosiła się powoli niczym szczeka ogromnego smoka.

Kiedy obaj młodzieńcy zeskakiwali z koni na placu broni, dały się słyszeć kroki starego sługi, który schodził po krętych schodach wiodących do wartowni. Starzec rzucił się ku Bertranowi, usiłując ucałować jego dłoń, ale młody rycerz mocno chwycił go za ramiona.

— Na Boga, Lluc, tylko nie to! Dla was jestem tym samym nieznosnym chłopcem, którego próbowaliście nauczyć ogłady.

Sługa z trudem podniósł się na nogi, zrobił krok do tyłu i zamrugnął powiekami.

— Bogu niech będzie chwała! Wyjechał chłopiec, a wraca mężczyzna... Moje modlitwy zostały wysłuchane, mogę spokojnie umierać.

— Nie zanosi się na to, Lluc — odrzekł Bertran. — Jeszcze powojujecie. Rozpoznaliście mnie z daleka, a więc wzrok macie wciąż doskonały.

— Za to teraz, gdy patrzę na was z bliska, widzę was jak we mgle. Nie mówmy o mnie, wasz ojciec rozkazał, żeby natychmiast zaprowadzić was do niego.

Bertran się nie poruszył.

— Wolałbym najpierw zobaczyć panią matkę.

— Hrabia był bardzo stanowczy pod tym względem — uprzedził sługa. — Najpierw musicie iść do niego.

— Tylko uściskam matkę, piastunie — nalegał młodzieniec.

— Bertranie, sądzę, że nie powinniście sprzeciwiać się ojcu. Pani Gala już wie o waszym przybyciu, zobaczycie ją przy obiedzie.

— Niech będzie, jak każe ojciec — ustąpił z westchnieniem Bertran. — Zajmijcie się moim giermkim i odprowadźcie konie. Po południu chciałbym się z wami spotkać, żeby posłuchać, jak wam się żyło.

— Niewiele mam do opowiadania. Życie płynie nam tutaj spokojnie i monotennie, a dzień nie różni się od dnia. Od czasu do czasu zdarzają się jakieś potyczki przygraniczne i to wszystko. Odkąd wasz ojciec zawarł pokój ze starym hrabią Barcelony, nic się nie dzieje.

— No to chodźmy. Nie traćmy czasu... Pragnę go zobaczyć.

Bertran ze ściśniętym gardłem wszedł do fortecy. Zbliżała się chwila, której tak bardzo obawiał się przez te lata — chwila, która zadecyduje o przyszłości jego i Marty. Idąc, rozglądał się wokół i zauważył, że dużo się zmieniło od jego wyjazdu: zamek odzyskał dawny splendor. Chociaż przejście do głównej wieży było takie samo, to jednak meble, dywany, lampy... wszystko wyglądało jak w czasach przed fatalnym konfliktem między Folchem z Cardony a starym hrabią Barcelony. Stanął przed drzwiami komnaty ojca i po krótkim wahaniu delikatnie zapukał. Czekał zaledwie kilka sekund, ale jemu wydawały się one wiecznością. Usłyszał czyjeś kroki i zobaczył, że jedno skrzydło drzwi się uchyliło. Na drżących nogach zrobił krok do przodu.

Wicehrabia Cardony zmierzył syna od stóp do głów badawczym wzrokiem, po czym usunął się na bok, otwierając całe podwoje.

— Wejdz, mój synu, witaj w rodzinnym domu.

Bertran postąpił krok do przodu, czekając, że ojciec wysunie prawą dłoń, aby mógł oddać mu należyty hołd, tymczasem wicehrabia podszedł go uściskać i ucałował w oba policzki.

— Długo cię nie widziałem, mój synu! Błogosławię Pana, że w swej łaskawości pozwolił mi dożyć tego dnia.

— A ja Go błogosławię, że pozwolił mi tu wrócić. Pamięć o was i o matce podtrzymywała mnie na duchu przez cały ten czas.

— Chodź ze mną, mamy wiele do omówienia.

Wicehrabia zaprowadził syna do krzeseł stojących pod dużym oknem i obaj usiedli jak wtedy, gdy mały Bertran coś spsocił, a ojciec zzywał go uroczyście do siebie i kazał się tłumaczyć.

Rozmowa zaczęła się od ogólników. Wicehrabia zadawał pytania, a Bertran odpowiadał. Pytania dotyczyły jego pobytu na dworze w Barcelonie, nauki rycerskiego rzemiosła... Powoli, okrężną drogą ojciec doszedł do tematu dręczącego jego duszę.

— Barcelona leży daleko, ale wieści niesione wiatrem rozchodzą się szybko, chociaż nigdy nie wiadomo, czy są do końca prawdziwe... Podobno jesteś chorązym młodego hrabiego — bardziej stwierdził, niż zapytał. — Nie sądzisz, że przed przyjęciem tak ważnej funkcji należało zasięgnąć mojej opinii?

Bertran zastanowił się nad odpowiedzią.

— Chyba tak, ojcze, ale życie często stawia przed nami wymagania, na które trzeba odpowiedzieć od razu. Pokazano mi dokument ratyfikujący pokój między naszym wicehrabstwem i Barceloną, a poza tym muszę wam powiedzieć, że młody hrabia Ramón Berenguer w niczym nie przypomina Berenguerów, z którymi mieliście do czynienia. Zapewnił mnie, że traktuje nas jak równy równego, że Cardona zachowuje wszystkie swoje przywileje i że nasz zamek stanowi wysuniętą placówkę broniącą katalońskich hrabstw przed Saracenami. Szczerze mówiąc, ojcze, odebrałem tę nominację jako zaszczyt i pomyślałem, że moja nowa pozycja przyniesie dużo korzyści Cardonie. Dlatego się zgodziłem.

— A nie pomyślałeś, że istnieje duża różnica między podpisaniem traktatu pokoju z innym hrabstwem a pełnieniem służby przy kimś, kto do niedawna był naszym wrogiem?

Bertran milczał, zastanawiając się, jak wytłumaczyć ojcu, że z „Lnianogłowym” połączyła go przyjaźń i braterskie uczucie.

— Ojciec — odezwał się wreszcie — wiem, że postąpiłem wbrew waszej woli, ale przecież to wy oddaliście mnie hrabiemu Barcelony na zakładnika. I muszę wam wyznać, że nic w życiu nie zabolało mnie tak bardzo jak konieczność opuszczenia tego zamku, rozstanie z wami i z matką... Przez pierwsze miesiące pałałem nienawiścią do wszystkich Berenguerów, uważałem ich za swoich wrogów, ale będę z wami szczerzy: syn starego hrabiego, Ramón Berenguer, od początku traktował mnie jak młodszego brata. I poczułem się zaszczycony, że mianował mnie swoim chorążym.

Wicehrabia Cardony podniósł się z krzesła, podszedł do okna i utworzył je, przywołując gestem syna, aby stanął obok niego.

— Patrz, Bertranie: główna wieża została odbudowana, lecz ten znak na przyporze pokazuje, gdzie kończy się stara część.

— Widzę to doskonale, ojciec. Nowa część wygląda nawet ładniej i solidniej niż dawna.

— Być może — odparł Folch z Cardony ochrypłym głosem. — Jednak na zawsze pozostanie w ludzkiej pamięci znak hańby wyryty nie tylko na tej wieży, lecz również w mojej duszy.

Bertran nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Rany się zablźniają, ojciec.

— To jest rana, którą dom Berenguerów zadał domowi Cardony. Pokój został podpisany, lecz pamięć trwa i wspomnienie tej infamii nie opuści mnie aż do grobu.

Wicehrabia zamknął okno i wrócili na swoje miejsca. W komnacie zaległa ciężka cisza.

— Ojciec — odezwał się Bertran, próbując rozładować napięcie — przysięgam wam, że od pierwszego dnia byłem traktowany jako gość i pobierałem nauki władania bronią razem z wybranymi synami najszlachetniejszych domów Barcelony. Jeżeli nie spróbujemy unikać sporów i zachowamy w sercu urazę, nigdy nie będzie pokoju.

— Mówisz, jakbyś był jednym z Berenguerów, a nie dziedzicem Cardony — odparł z goryczą hrabia.

— Nigdy! — zaoponował Bertran. — Dobrze wiem, kim jestem, i wyznaczyłem sobie granice lojalności, ale sytuacja się zmieniła. Jeśli nie pójdziemy z duchem czasu, pozostaniemy w tyle.

W rozmowie ojca z synem nastąpiła kolejna długa pauza.

— Zostawmy to — rzekł wreszcie wicehrabia. — Najważniejsze, że jesteś tutaj i pozostaniesz jakiś czas z nami...

— Nic nie sprawi mi większej radości, ojcze. Nie mogę się już doczekać, kiedy ujrzę matkę.

Bertran zawahał się: powiedzieć mu o Marcie? Niczego bardziej nie pragnął, ale spotkanie z ojcem okazało się trudniejsze, niż się spodziewał. Jednakże w tym samym momencie Folch z Cardony uśmiechnął się do niego i Bertran dostrzegł w tym uśmiechu tego samego ojca, którego kochał i szanował w dzieciństwie.

— To jeszcze nie wszystko, ojcze. Przyjechałem was prosić o błogosławieństwo. Pragnę się ożenić.

Z piersi wicehrabiego wyrwało się głębokie westchnienie.

— Właściwie nie powinienem się dziwić... Jesteś już mężczyzną. Kim jest wybranka twojego serca? Z jakiej szlachetnej rodziny pochodzi? Czy to będzie dobry alians dla wicehrabstwa Cardony?

Bertran pobladł, ale jego twarz wyrażała stanowczą decyzję.

— To będzie najlepszy alians dla mnie, ojcze. Wybranka mojego serca jest ozdobiona wszelkimi cnotami i nasze dzieci, jeśli Bóg nam je da, będą radością waszej starości i chwałą tego domu. To córka znakomitego obywatela Barcelony, Martiego Barbany, który jest znanym armatorem.

Twarc wicehrabiego wykrzywiła się w grymasie niedowierzania.

— Mówisz, że ta panna nie należy do szlachty?

Bertran zacisnął pięści, aż pobladły mu kostki.

— Nie jest szlachcianką, ojcze. To mi nie przeszkadza. Ta młoda dziewczyna otrzymała wykształcenie w pałacu, a obecnie przebywa w klasztorze, gdzie kontynuuje naukę. Jej ojciec jest jednym z najbogatszych i najbardziej szanowanych obywateli Barcelony. A ja... ja ją kocham ze wszystkich sił, ojcze.

Folch z Cardony skinął głową.

— Rozumiem cię, Bertranie... Podoba mi się twoja młodzieńcza żarliwość... Ale małżeństwo to co innego, synu. Jako spadkobierca wicehrabstwa Cardony masz pewne obowiązki, z których nie możesz zrezygnować.

— Nie chcę zrezygnować ze swoich obowiązków, ojcze — odparł Bertran — ani z uczucia, jakie dyktuje mi serce.

— Wicehrabstwem nie rządzi się sercem, tylko głową! — powiedział wicehrabia, podnosząc głos. Widząc, że nie przekona syna,

postanowił zakończyć tę rozmowę polubownie. — Bertranie, nie kłóćmy się teraz... Będzie czas pomyśleć o ślubnych planach, czy z tą dziewczyną, czy z inną, która bardziej odpowiadałaby interesom wicehrabstwa. Mam nadzieję, że zostaniesz z nami parę miesięcy... Ostatnie słowa ojca zaskoczyły młodzieńca. Gorąco pragnął powrócić do Barcelony, lecz zależało mu również na ojcowskim błogosławieństwie, gdyż pragnął stanąć przed Martą w całkowitym spokoju ducha. Wicehrabia zauważył wahanie syna i zaczął jeszcze bardziej nalegać.

— Tyle lat cię nie było. Matka nie widziała cię od czasu, gdy byłeś jeszcze chłopcem. — Jego twardy głos nie dopuszczał sprze ciwu. — Wicehrabstwo cię potrzebuje... ja cię potrzebuję u swego boku. Chyba nie proszę o zbyt wiele, tylko o kilka miesięcy, które pozwolą nam podjąć decyzję co do twojej przyszłości i przyszłości tych ziem.

Bertran zgodził się, aczkolwiek wyczuwał, że wicehrabia używa ojcowskiej władzy, żeby zatrzymać go przy sobie. W każdym razie Ramón Berenguer nie narzucił mu konkretnej daty powrotu, a nawet zachęcał, aby spędził z rodzicami tyle czasu, ile uzna za wskazane.

— Masz rację, ojcze. Zostanę z wami jakiś czas... Dopóki was nie przekonam, jak cudowna jest Marta i jak głęboka jest moja miłość.

Wicehrabia ukrył uśmiech.

— Oczywiście, synu. Jestem pewien, że to zachwycająca dziewczyna... A teraz chodźmy do twojej matki. Na pewno już się niecierpliwi i pragnie cię uściskać!

Nie dodając nic więcej, wicehrabia skierował się ku drzwiom. Po chwili wahania Bertran ruszył za nim.

111

Śmierć Starego

Barcelona 1076

Wielka sypialnia tonęła w półmroku. Hrabia Barcelony Ramón Berenguer I Stary umierał w swoim łożu. Ogień buchał w dwóch kominkach, słodkawy dym z dwóch zapalonych kadzielnic unosił się w powietrzu: wszystko przenikał zapach piżma zmieszany z potem śmierci.

Stary hrabia leżał nieruchomo w ogromnym łożu pod baldachimem, przykryty kocami po samą brodę, wsparty na dwóch wielkich poduszkach, z ramionami wyciągniętymi wzdłuż ciała. Biskup Odó de Montcada namaścił go świętymi olejami. W sypialni znajdowali się medyk Harusz, dwaj seneszalowie — Gualbert Amat i Gombau de Besora, główny notariusz Guillem de Val-derribes, *veguer* Barcelony Olderich de Pellicer i sześciu przedstawicieli domów szlacheckich.

Hrabia oddychał z trudem, ale jeszcze nie rzeził.

Gualbert Amat podszedł do medyka.

— Jak wam się to widzi?

— Mówcie szeptem, panie, nigdy nie wiadomo, co może usłyszeć umierający.

Seneszal przysunął wargi do jego ucha.

— Sądzicie, że stoi już u wrót śmierci?

— Jest z nim bardzo źle, panie. Nie mam na to lekarstwa, teraz moja rola polegajedyńie na łagodzeniu cierpienia. Podałem hrabiemu laudanum i wywar z maku. To wszystko, co mogę zrobić.

Dołączył do nich notariusz Guillem de Valderribes.

— Chyba powinienem wezwać spadkobierców.

Umierający niespodziewanie otworzył oczy i nieznacznym ruchem prawej dłoni nakazał, aby wszyscy troje zbliżyli się do niego.

Posłuchali natychmiast. Valderribes był najszybszy.

— Panie, chcecie, bym posłał po księżęta?

Stary hrabia rozkazał słabnącym głosem:

— Chcę zobaczyć ojca Llobeta.

Trzej mężczyźni wymienili zdziwione spojrzenia.

Medyk szepnął notariuszowi do ucha:

— To, co macie zrobić, zróbcie szybko... Bo wkrótce może być za późno.

Seneszał natychmiast wyszedł i wydał krótki rozkaz lokajowi, który zaraz wybiegł z pałacu.

Atmosfera była pełna napięcia. Nie pozostawało im nic innego, jak czekać i zobaczyć, kto przyjdzie prędzej: ojciec Llobet czy nieuchronna śmierć.

Dzwony katedry wezwały na kompletę. Czas płynął powoli, w każdej chwili mogła się zacząć agonía.

Noc brała miasto w posiadanie; dusza hrabiego Barcelony była o krok od tajemnicy wieczności. Gwiazdy na niekończącym się sklepieniu niebieskim mrugały porozumiewawczo, oczekując przybycia nowego przyjaciela, ducha Ramóna Berenguera I; w oddali ujadała sfora psów wyczuwających zbliżanie się śmierci.

Grupa osób asystujących hrabiemu w jego ostatnich godzinach zachowywała uroczyste milczenie, toteż skrzyp zawiasów w otwieranych drzwiach zabrzmiał w tej ciszy jak grzmot. Twarze wszystkich obecnych zwróciły się jednocześnie w tamtą stronę. Zadyszany i spocony archidiakon Eudald Llobet wchodził do sypialni w towarzystwie seneszała.

Stary kapłan rozejrzał się po zgromadzonych i bez chwili wahania, jako że nigdy nie hołdował marnościami tego świata, podszedł do wielkiego łóża, na którym leżał hrabia. Odó de Monteada stanął obok niego.

Głos hrabiego zabrzmiał cicho, lecz wyraźnie.

— Nie, biskupie, chcę się wypowiedzieć przed ojcem Llobetem.

Prałat wrócił na swoje miejsce, a ksiądz z wysiłkiem przyklęknął

obok łoża. Ku zdziwieniu obecnych ojciec Llobet ujął w dłonie prawicę hrabiego.

— Jestem, panie — szepnął, przysuwając usta do ucha umierającego.

— Dziękuję, Eudaldzie. Moja żona zawsze mówiła o was jak o wiernym przyjacielu, który nie zabiega o względy w pałacu... Po jej śmierci mogłem się przekonać, że tak jest naprawdę. — Głos Ramóna Berenguera był jak tchnienie. — Chcę się wypowiedzieć, chociaż obawiam się, że nie ma dla mnie przebaczenia. Dużo nagrzeszyłem, wasza wielbność.

— Nasz Pan okazuje wielkoduszność i miłosierdzie każdemu grzesznikowi, który się do Niego ucieka.

— Popełniłem wszystkie możliwe grzechy, przekroczyłem wszystkie bariery moralne. Nie ma takiego przykazania, którego bym nie złamał. Jak wiecie, pożałowałem żony bliźniego swego, żyłem w cudzołóstwie i zostałem wyklęty przez Kościół, zabijałem, krzywo-przysięgałem, pożałowałem cudzych dóbr. W sumie, ojczu, żyłem występnie...

Głos hrabiego był coraz słabszy.

— Udzielę wam rozgrzeszenia.

Czując lekki uścisk dłoni, archidiakon zrozumiał, że hrabia chce coś dodać.

— Jeszcze nie, Llobecie. Muszę was o coś poprosić. Notariusz odczyta mój testament. Nie chcę, aby wśród moich synów zapano wała niezgoda. Obdzieliłem ich równo, będą rządzić hrabstwem na zmianę, każdy po sześć miesięcy. Obaj będą mieć takie same prawa, żeby jeden nie wywyższał się nad drugiego... — Hrabia westchnął ciężko. — Próbuję być sprawiedliwy, nie chcę więcej tragedii w swoim domu.

Ksiądz pobrał.

— Jeśli taka jest wasza wola, niech tak się stanie.

Starzec mówił tak cicho, że Llobet z ledwością go słyszał.

— Nie mam złudzeń, ojczu... Wiem, jacy są moi synowie, wiem, że to nie będzie łatwe... Słuchajcie uważnie, chcę, żebyście pośredniczyli w ich sporach. Postanowiłem, że najpierw będzie rządził Ramón.

— Uczynię, o co prosicie, panie.

Umierający lekko poruszył dłonią, dając do zrozumienia, że już

wszystko powiedział. Wtedy ojciec Llobet uroczyście udzielił mu rozgrzeszenia.

Hrabia skinął na notariusza Guillem de Valderribesa, żeby podszedł bliżej.

— Niech przyjdą moi synowie — szepnął hrabia. — Chcę, żeby zobaczyli, jak umiera ich ojciec. Niech wiedzą, że wszystko przemija.

Notariusz gestem przekazał seneszałowi, żeby poszedł poszukać spadkobierców.

Wkrótce zjawili się bliźniacy i stanęli po obu stronach łóżka. Na znak dany przez umierającego notariusz zaczął odczytywać testament spisany na pergaminie.

Ramón nie słuchał, tylko głaskał ojca po głowie, natomiast Berenguer łapczywie chłonał każde słowo notariusza.

Wizyta Aminy

Sylwetka kobiety jadącej na grzbiecie osiołka zarysowała się na końcu krętej drogi pnącej się do starego młyna Magória, który dzięki szlachetności Martiego Barbany oraz wysiłkom Ahmeda i jego przyjaciela Manela, a także murarzy najętych do tej pracy, został przekształcony w dworek.

Majster budowlany umiejętnie wykorzystał istniejące zabudowania, łącząc po jednej stronie dom mieszkalny z niedużą wieżą młyna, a po drugiej — szopę ze stajniami.

Praca od wschodu do zachodu słońca przynosiła ulgę Ahmedowi, który całymi godzinami wznosił mury swojego domu, a potem jeszcze uprawiał ogród i oporządzał zwierzęta.

Mimo iż był tak zajęty, nigdy nie zapominał o przybraniu kwiatami grobu Zahiry, a wieczorami ustawiał na murze otaczającym folwark gliniane skorupy garnków i w towarzystwie wiernego Manela zabawiał się w strzelanie do celu ze swojej starej procy, aby nie wyjść z wprawy. Przyjaciel zostawił stragan na placu Błat i interes z wynajmem osłów należący do ojca i przeniósł się do Ahmeda, żeby razem z nim pracować; chociaż na początku protestował, zgodził się pobierać zapłatę, którą wyznaczył mu Ahmed, a która wystarczała na jego potrzeby i pozwalała odłożyć trochę grosza.

— Zdaje się, że Amina do nas jedzie! — zawołał Manel.

Ahmed wypatrzył w oddali niewyraźną postać kobiety na grzbiecie osiołka, która powoli rosła w jego oczach.

Rzeczywiście to była Amina i chociaż okoliczności życia sprawiły, że brat i siostra mieszkali w różnych miejscach, łączyła ich taka sama miłość jak dawniej. Od czasu jego powrotu z wyprawy zakończonej odbiciem „Lai” widywali się regularnie w domu chlebobodawcy. Plany Ahmeda, żeby zgromadzić pod jednym dachem całą rodzinę, spełzły na niczym. Jego matka Naima, aczkolwiek postradała zmysły i we wszystkim łagodnie pozwalała sobą kierować, miała dwie manie: wierzyła, że pierwszy, który wejdzie do kuchni, to Ornar, i w żaden sposób nie dawała się namówić do wyjścia z domu. Marti rozkazał, żeby stale ktoś przy niej był i żeby pozwalano jej robić to, na co miała ochotę. Amina odwiedzała ją co tydzień, ale nie zamierzała zostawić Marty samej w klasztorze i wrócić do domu. Ahmed zrozumiał, że jego siostra musi mieć ku temu ważne powody, i uszanował jej decyzję. W każdym razie odkąd Marta wstąpiła do klasztoru, gdzie Amina towarzyszyła jej jako pokojówka, Ahmed widywał siostrę coraz częściej i prawie nie było tygodnia, żeby się nie spotkali, czy to rano w domu na placu Sant Miquel, czy pod wieczór w młynie.

Podczas gdy Manel poszedł przygotować dzban wody z anyżem, ulubiony napój Aminy w upalne dni, Ahmed skierował się w stronę bramy wejściowej. Kiedy Amina zobaczyła brata, lekko smagnęła trzcina osiołka, żeby przyspieszył kroku.

Wjechała na podwórze, zgrabnie zeskoczyła na ziemię i poprowadziwszy kłapoucha za uzdę, przywiązała go do żłobu w stajni. Odwróciła się, dostrzegła brata, który zbliżał się do drzwi stajennych, i uważnie przyjrzała mu się pod światło. Jak on się zmienił! Wesołego chłopca bawiącego się z Martą i z nią w ogrodzie na tyłach domu przy placu Sant Miquel, nieopodal kaplicy z grobowcem pani, dzieliła przepaść od spokojnego, pewnego siebie mężczyzny, który teraz podążał ku niej statecznym krokiem. Długa wyprawa w poszukiwaniu „Lai”, niekończące się dni żeglugi, niebezpieczne przygody na obcych morzach i zetknięcie się ze śmiercią uczyniły go wyjątkowo dojrzałym. Jedyne, co się w nim nie zmieniło, to smutne, marzycielskie spojrzenie.

— Niech Allah będzie z tobą, siostrzo.

— Niech Allah ci błogosławi.

Ahmed przytrzymał ją za ramiona, zanim ją ucałował, i długo na nią patrzył, podczas gdy jego mastif Nagib, który otrzymał to

imię po pokonanym piracie, ocierał się o jej nogi. Ta dwudziesto-dwuletnia kobieta, która najlepsze lata młodości poświęciła swojej pani, była jedyną osobą, jaka mu zostanie, kiedy matka, której dni dobiegały końca, odejdzie do domu zmarłych.

Nie mówiąc nic więcej, brat i siostra objęli się i podążyli do domu ścieżką prowadzącą do szopy z drewnem, które pochodziło z przycinania krzewów winorośli.

Manel przywitał ją z radością.

— *Salam alejkum*, Manel — skłoniła się Amina, składając złączone dłonie na piersi.

Odpowiedział na sposób muzułmański.

— *Alejkum salam*, Amino. Witaj i czuj się jak u siebie.

Kiedy usiedli we troje na małym ganku w cieniu winorośli, Manel pokazał dziewczynie, że przyniósł specjalnie dla niej dzban wody z anyżem, którą tak lubiła.

Aby podziękować Manelowi za uwagę, jaką jej okazał, Amina wzięła dzban i pociągnęła spory łyk, zaspokajając pragnienie.

— Nawet nie wiesz, siostrze, jak bardzo lubimy twoje wizyty.

— Przynosisz nam wieści ze świata — dodał Manel. — Mamy jakie takie pojęcie o wydarzeniach w Barcelonie, o sytuacji na targach i o tym, co się dzieje w domu przy placu Sant Miquel, ale dzięki tobie jesteśmy na bieżąco z nowinami z pałacu i z życia szlachty.

— Teraz już nie, Manelu — roześmiała się Amina. — Teraz mogę wam tylko opowiedzieć o zwyczajach zakonnic, o ich pracach, nocnych modlitwach, o kompotach, które przyrządzają, i paru innych rzeczach.

— Jak się czuje panienka Marta? — zapytał Ahmed.

Amina spuściła oczy... Nie można było powiedzieć, że jej ukochana Marta jest spokojna. Ostatni list od Bertrana pogrzyżył ją w rozterce: co prawda młodzieniec nadal zapewniał ją o swojej miłości i pragnieniu, by została jego żoną, ale jednocześnie donosił, że wicehrabia Cardony chce zatrzymać go przy sobie przez pewien czas. Jak można odmówić ojcu po tak długim niewidzeniu? — pytał siebie Bertran. I wyrażał pewność, iż dłuższy pobyt w Cardonie pozwoli mu go przekonać do pobłogosławienia jego małżeństwa z Martą. Nasza rozłąka trwa już trzy lata, pisał, co znaczy te kilka miesięcy więcej, skoro w zamian uzyskamy możliwość cieszenia

się wspólnym życiem bez niczyjzego sprzeciwu? Marta się rozgniewała, popłakała, ale w końcu, myślała Amina, musiała się z tym pogodzić. Jej własny ojciec, którego uwielbiała i który poznał Bertrana, narzucił im tę trzyletnią rozłąkę... Wicehrabia Cardony z pewnością też kochał swojego syna, natomiast Martę znał tylko z imienia i z tego, co Bertran mu o niej opowiedział, a więc miał prawo poprosić go o przedłużenie pobytu o kilka miesięcy... Niemniej sprawiło jej to wielką udrękę. Amina, która wspierała swoją panią we wszystkim, też się tym dręczyła. Przeczuywała, że młody dziedzic Cardony w końcu będzie musiał wybrać między lojalnością wobec rodziców a miłością do Marty... lecz nie wiedziała, jaka będzie jego decyzja.

— Martwię się o nią, Ahmedzie, chociaż próbuję dodawać jej otuchy. Wiesz, dlaczego postanowiła przenieść się do klasztoru... — Brat kiwnął głową, ale Amina знаła też inny, ważniejszy powód: haniebne zachowanie Berenguera, o czym nikt nie wiedział. — Minęły już te trzy lata, a miłość Marty jest równie wielka albo jeszcze większa, jeśli to możliwe, niż dawniej... Nie ma jednego dnia, żeby nie mówiła mi o Bertranie, aczkolwiek doskonale zdaje sobie sprawę z tego, o czym wszyscy wiemy.

Manel wtrącił pytanie:

— O co chodzi?

— O to, co nasz chlebodawca podkreśla od dawna — odpowiedziała z żalem Amina. — Że pierworodny syn wicehrabiego nie może poślubić plebejuszki, nawet jeśli jej ojciec jest jednym z najważniejszych i najbogatszych obywateli hrabstwa.

Tym razem odezwał się Ahrned.

— Nie podzielam twojego zdania, siostrze. Jeśli miłość jest prawdziwa, niełatwo o niej zapomnieć... Wiem coś o tym.

— Twoja miłość była czymś wyjątkowym, bracie.

— Nie była, jest we mnie nadal.

Na chwilę zapadła cisza. Potem Manel stwierdził z goryczą:

— W każdym razie miłość jest sprawą dwojga ludzi.

— Gotowa jestem przysiąc, że on odwzajemnia jej uczucie. Z tego, co wiem, a dobrze się orientuję w wydarzeniach w pałacu, młody Bertran duszą i ciałem oddał się służbie młodemu hrabiemu, chociaż teraz przebywa w Cardonie... Pojechał tam między innymi po to, żeby prosić ojca o błogosławieństwo dla ślubu z Martą.

— Skąd ty o tym wszystkim wiesz, siostrze, skoro nie bywasz w pałacu?

— Delfín, ten karzełek, co towarzyszył hrabinie Almodis od czasu jej wyjazdu z Tuluzy, odwiedza nas często w klasztorze. — Amina nic nie wspomniała o listach, które młodzi wymieniają między sobą dzięki uprzejmości błazna. — Zapewniam cię, że nikt nie ma lepszego rozeznania w kulisach dworskiego życia niż on. A poza tym zawsze możemy liczyć na rady i przyjaźń ojca Llobeta, który obecnie, jak ci wiadomo, jest spowiednikiem w klasztorze.

— Wyzdrowiał całkowicie? Na pewno nic mu nie dolega? — zapytał Ahmed.

Wszyscy bardzo się martwili o poczciwego archidiakona, który kilka lat temu podpadł na zdrowiu, na szczęście klasztorne powietrze zdawało się mu służyć.

— Znowu stał się silny jak dąb — odparła z uśmiechem Amina. — To dziwne... Kiedy przeniósł się do klasztoru, był chory, całymi dniami miał takie kłopoty z oddychaniem, że prawie nie mógł odprawiać mszy, a tym bardziej schodzić do ogrodu. Zresztą medyk zakazał mu pracy w ogrodzie, gdyż od ciągłego schylania się nad grządkami nabawił się bólu pleców.

Amina się podniosła. Uwielbiała wizyty u brata, ale nie chciała wracać za późno.

— Zanim odejdziesz, powiedz nam jeszcze jedno — poprosił Ahmed. — Ten Delfin, który jest tak dobrze poinformowany w sprawach dworu, mówił ci coś o rozporządzeniach testamentowych zmarłego hrabiego? Jak to będzie wyglądało? Ludzie się niepokoją, nikt nic nie rozumie, nie wiadomo, czym to się skończy.

Twarz Aminy się zachmurzyła. W skrytości ducha dziewczyna obawiała się chwili, kiedy Berenguer przejmie rządy, co miało nastąpić już za kilka miesięcy.

— Powiedział mi tylko tyle, że hrabstwo czekają trudne czasy, Ahmedzie. Niech Bóg ma nas w swojej opiece!

Podzielone dziedzictwo

Chociaż od śmierci hrabiego upłynęło niedużo czasu, wiele zaszło w stosunkach między braćmi. Tuż po uroczystościach pogrzebowych członkowie *Curia Comitum* zwrócili się do przedstawicieli władz barcelońskich — *veguera*, biskupa, seneszała, głównego notariusza i sędziów — z propozycją wspólnego spotkania, na którym zostaną podjęte decyzje w sprawie zastosowania się do osobliwego testamentu. Zgodnie z ostatnią wolą hrabiego pierwszy zaczął rządzić Ramón Berenguer.

Tego przedpołudnia odbyło się posiedzenie ścisłego grona rady. Przewodniczył biskup Barcelony jako najwyższy autorytet religijny, odpowiedzialność w sprawach cywilnych uosabiali *veguer* Pellicer i główny notariusz Valderribes, władzę wojskową reprezentował seneszał Gualbert Amat.

Najpierw wygłosił przemówienie główny notariusz i wszyscy obecni przyjęli ze zrozumieniem jego argumenty, zdając sobie sprawę, iż taka postawa jest najodpowiedniejsza dla hrabstwa. Berenguer, który po raz pierwszy w życiu znalazł się w kręgu prawdziwej władzy, trzymał się nieco na uboczu, pograżony we własnych myślach.

— I sądzę — mówił Guillem de Valderribes — że rządzenie tak rozległym terytorium jest samo w sobie dość skomplikowane, zatem wykonanie decyzji waszego ojca, aczkolwiek zrozumiałej, jest zadaniem dość subtelnym i wymaga zgodnych działań. Dlatego

proszę wasze ekscelencje o wykazanie dobrej woli i uznanie, iż w sprawach najistotniejszych dla hrabstwa powinna istnieć jedna linia polityczna, szanowana w każdym półroczu pomimo zmiany panującego. Proponuję ustalić główne zasady obowiązujące dla każdego z waszych miłości w okresie pełnienia rządów. Zabrał głos „Lnianogłowy”.

— Wielmożni panowie, jest oczywiste, że należy wypełnić wolę mojego ojca bez zastrzeżeń. Rozumiem, że wcielenie zapisów testamentu w życie stanowi dużą trudność i Bóg jeden wie, że nie kieruje mną żądza władzy. To, co mówicie, Guillemie, wydaje mi się nie tylko rozsądne, ale też nadzwyczaj trafne. Źle działałoby się w hrabstwach Barcelony, Gerony i Osony, gdyby co semestr zmieniano główne normy lub wydawano sprzeczne rozkazy. Całkowicie zgadzam się z waszą opinią — dodał stanowczo.

Berenguer, który do tej pory był nieobecny duchem, powrócił do świata żywych.

— Z całym szacunkiem, panowie, ale ja nie uważam tego za właściwe.

— Zechciejcie wytłumaczyć dlaczego, bracie.

— To bardzo proste. Nigdy nie brano mnie pod uwagę i klnę się na Boga, że ostatnia wola ojca bardzo mnie zaskoczyła. Nigdy wcześniej nie pomyślano o mnie przy podejmowaniu ważnych decyzji. Wiedzieliśmy od zawsze, że dziedzicem będzie nasz brat przyrodni Pedro Ramón, a gdyby jego zabrakło, niewątpliwie wy, bracie. Mnie przypadłoby w udziale co najwyżej jakieś odległe terytorium za Pirenejami, jeżeli bogini Fortuna okazałaby mi życzliwość, ale oto w ostatniej chwili życia, zapewne pod wpływem straszliwych zdarzeń, jakie miały miejsce na naszym dworze, mój ojciec postanawia, że będziemy siebie nawzajem kontrolować. Uznaje w swojej mądrości i opierając się na doświadczeniu, że taka władza naprzemienna pozwoli mi łagodzić, a także... czemu tego nie powiedzieć?... naprawiać wasze błędy, bracie. Chyba nie spodziewacie się, że zrezygnuję z przydzielonej mi władzy?

Gęsta cisza zapadła wśród zgromadzonych. Po chwili zabrał głos *veguer*.

— W pełni respektując wolę waszego ojca, sądzę, panie, że jest możliwy kompromis, który w niczym nie uchybiając władzy, jaką otrzymaliście, przyczyni się do jednolitego kierowania hrabstwami

bez względu na to, który z was będzie w danym momencie stał na czele rządów.

— Słuchamy was, Olderichu — wtrącił Ramón. — Jestem pewien, że zarówno Berenguer, jak i ja pragniemy jedynie dobra naszych poddanych.

— A zatem, wasze ekscelencje, moglibyśmy uzgodnić nienaruszalną politykę w odniesieniu do pewnych konkretnych i bezdyskusyjnych spraw w takim sensie, że wszystko, co ich dotyczy, wymagałoby rozstrzygnięcia na forum rady. W ten sposób, mając zawsze na uwadze autorytet i wolę aktualnie panującego, sprawowalibyśmy kontrolę nad ewentualnym anulowaniem lub poprawieniem rozporządzeń jego poprzednika do czasu najbliższego posiedzenia *Curia Comitum*.

Obecni wymienili spojrzenia i parę głów poruszyło się w geście aprobaty.

Ostry głos Berenguera przerwał milczenie.

— Nie takie były intencje spadkodawcy. Ojciec pragnął uczynić mnie tym, który będzie mitygował żądze władzy mojego brata. Trzeba przyznać, że Ramón przejawiał ją przez całe życie. — Od wracając się do niego, rzucił niechętnie: — Zawsze byliście ulubieńcem ojca, zatem jeśli w ostatniej godzinie dał mi władzę, to z pewnością nie bez kozery. Zakładam, że pod koniec życia uzmysłowił sobie waszą obłudę, albowiem jedną ręką dajecie, a drugą odbieracie. Oświadczam, że odtąd nie pozwolę wam się wywyższać. Będę patrzeć na każdą decyzję, jaką podejmiecie podczas sprawowania waszego mandatu, i jeśli uznam za stosowne, odwołam ją, kiedy przejmę rządy.

Seneszał próbował interweniować.

— Jak rozumiem, panie, istnieją tematy o takiej wadze i doniosłości, że nawet jeśli hrabia je usankcjonuje, ostatnie słowo należy do *Curia Comitum*. Mówię o tym, na czym się znam, o sprawach wojny. Jeśli nas zaatakują, to oczywiście, że musimy natychmiast stanąć do walki, żeby się bronić, ale wypowiedzenie wojny, która pociągnie za sobą zniszczenie dóbr i ofiary w ludziach, powinno być wspólną decyzją.

— Nie wątpcie, że w obliczu tak poważnej sytuacji zostanie zwołana *Curia Comitum* i przeprowadzimy konsultacje — zapewnił „Lnianogłowy”.

— Na Boga! Tylko tego brakowało! Czy mój ojciec konsultował się z kimkolwiek przed zaatakowaniem Tortosy?! — wykrzyknął Berenguer.

— To nie to samo, panie. Sądzę, że teraz powinniśmy wprowadzić tę zasadę ze względu na naprzemiennosc władzy — powtórzył seneszał.

— Jeśli o mnie chodzi, wypowiem wojnę, komu zechcę i kiedy zechcę. Nie zrobicie ze mnie pieska, który ma zdawać relację ze swoich poczynań każdemu, kto o to poprosi.

Po tych ostrych słowach Berenguer Ramón opuścił posiedzenie rady.

Tomeu „Rudy”

Załadowany po brzegi wóz zaprzężony w dwa muły jechał, wzbijając tumany kurzu, drogą, która prowadziła przez Manresę do Pirenejów. Na koźle siedział chudy mężczyzna, a przy nim gruba kobieta z zaokrąglonym brzuchem świadczącym o zaawansowanej ciąży. Pod płócienną płachtą wieźli stos sprzętów, czyli cały swój domowy ekwipunek, a na górze, z trudem utrzymując równowagę, siedziało dwóch chłopców w wieku ośmiu i dziesięciu lat, dla których wyjazd z Barcelony był prawdziwą przygodą. Głośny szum rwącej wody uzmysłowił mężczyźnie, że znajdują się niedaleko ujścia Cardoner do Llobregat.

— Zatrzymamy się nad rzeką. Ja rozniecę ognisko, a ty pod grzejesz nam coś do zjedzenia. Zaraz potem ruszamy dalej. Nie chcę, żeby noc zastała nas na tym odludziu, a poza tym przy drodze grasują bandyci i mogłoby przytrafić się nam coś złego.

Kobieta była wciąż pod wrażeniem wysokiej nagrody, jaką — zgodnie z obietnicą daną w obwieszczeniu — wypłacił jej mężowi Marti Barbany, toteż odpowiedziała z szacunkiem:

— Możemy się zatrzymać, Bernadocie. Ty decydujesz.

Świst wiatru między czarnymi topolami, coraz silniejszy szum wody i zmieniający się krajobraz świadczyły, że dojeżdżają do miejsca wybranego na postój.

Bernadot gwizdnął i ściągnął lejce, żeby zatrzymać zaprzęg świeżo kupionych mułów. Zeskoczył z kozła, umocował sznurek do chomąta

i przywiązał uparte mulice do jednej z topól, a potem zszedł nad rzekę z dużymi wiadrami, napełnił je i zaniósł wodę zwierzętom, żeby się napiły.

— Nie wyprzegniesz ich? — zapytała kobieta.

— Nie zostaniemy tu długo. Zejdź szybko i zrób coś do jedzenia, aja tymczasem rozpalę ognisko.

— W moim stanie sama nie dam rady zejść, więc jeśli mi nie pomożesz, będę musiała przygotować posiłek tu na górze.

Bernadot podszedł do wozu i przytrzymał brzuchatą kobietę, żeby mogła bezpiecznie stanąć na ziemi.

Podczas gdy dzieciaki zeskakiwały z tyłu, do uszu mężczyzny dotarł świst bata, gwizdy i pokrzykiwanie innego woźnicy.

Bernadot podniósł wzrok i zobaczył, że z głównej drogi na ścieżkę prowadzącą do rzeki zjeżdża ciemnozielony wóz z czerwonymi kołami. Ten wóz wydał mu się znajomy. Chociaż od dawna już go nie widywał w Barcelonie, pamiętał, że przyjeżdżał nim przekupień, który sprzedawał produkty rolne na Mercadal, a wołano na niego, o ile dobrze sobie przypominał, „Rudy”.

Jadący nagle się zatrzymał, prawdopodobnie był równie nieufny jak wszyscy podróżujący po mało uczęszczanych drogach i też się obawiał niemiłego spotkania.

Po krótkiej chwili Bernadot dostrzegł, że tamten macha do niego jedną ręką w geście powitania, a drugą pogania konie. Z pewnością on też go rozpoznał. Podczas gdy właściciel wozu z czerwonymi kołami zbliżał się w ich stronę, Bernadot kazał żonie przypilnować dzieci — chłopcy już byli nad rzeką i sikali, współzawodnicząc między sobą, który siknie najdalej — a sam ruszył mu na spotkanie. Kiedy nowo przybyły zdjął czapkę z głowy, Bernadot zobaczył jego włosy i miał już absolutną pewność, że się nie pomylił. Przypomniał sobie jeszcze, że rudzielec ma na imię Tomeu, pamiętał go doskonale z Mercadal.

Dwaj mężczyźni spotkali się w połowie drogi i po wymianie zwyczajowych pozdrowień zaczęli się nawzajem wypytywać, skąd przybywają i dokąd jadą.

— Od razu was poznałem. Jeśli dobrze pamiętam, mieliście stragan na Mercadal jakiś czas temu. Nazywacie się Tomeu, prawda?

— A wy jesteście Bernadot, który za opłatą prowadził po tajnych drogach karawany wozów z jarmarku na jarmark, kiedy właściciele

chcieli przejechać z hrabstwa do hrabstwa, nie płacąc myta. Słowem, jesteście wielkim znawcą dróg.

— Macie dobrą pamięć.

— Wy także.

Przywiązawszy konie, Tomeu poszedł nad rzekę umyć ręce i odświeżyć twarz. Bernadot ruszył za nim, a jego żona obserwowała ich spod oka.

— Co was tu sprowadza, jeśli można wiedzieć? — zapytał Bernadot.

— Umówiłem się w tym miejscu z dwoma kompanami. Ostatni odcinek drogi jest wyjątkowo niebezpieczny i lepiej jechać w towarzystwie niż samemu. Trzy wozy dużo trudniej zaatakować niż jeden. — Pokazując ręką na wóz Bernadota, zauważył: — Zdaje się, że wy wyjeżdżacie z Barcelony, bo widzę, że jesteście mocno obładowani.

— Jedni jadą do miasta, drudzy wyjeżdżają—odrzekł filozoficznie Bernadot. — Życie w mieście jest bardzo drogie... Jakiś czas temu zarobiłem sporo pieniędzy, ale szybko się rozchodziły, więc zabrałem wszystko, co się dało, i przeprowadzam się do Ventajoli, gdzie mieszkają rodzice żony. Mają *masía* z kawałkiem ziemi koło domu, dwie młeczne krowy, raz do roku zabijają prosiaka. Moim dzieciom nie zabraknie mleka, wędlin, warzyw i owoców. A wy jedziecie na targ?

Tomeu puścił do niego oko.

— Raczej po specjalny towar, którego na wsi brakuje, chyba rozumiecie, co mam na myśli... Człowiek żonaty tak ja wy — dodał, wskazując na kobietę — ma to, co trzeba, pod ręką, ale łóżka wdowców są bardzo zimne... W mieście znacznie łatwiej spotkać kogoś, kto nam zagrzeje pościel. Co innego na wsi, gdzie wszyscy się znają i każdy strzeże swojego honoru, zamykając drzwi na cztery spusty. Będę z wami szczerzy. Jest taka czarnulka w lokalu na Montjufc, która odkąd wyjechałem z Barcelony, spędza mi sen z powiek. Znacie ten lokal?

Bernadot upewnił się, że żona go nie usłyszy, i odparł:

— Nie będę przed wami ukrywać, że raz tam zajrzałem.

— A ja, dopóki mieszkałem w Barcelonie, miałem tam stałą kobietę.

— To po co było wyjeżdżać, jeśli mieliście co trzeba?

— Tak się zdarzyło, że musiałem uciekać przed inną — od powiedział Tomeu. — Koniecznie chciała, żebym się z nią żenił, a ja, prawdę mówiąc, nie miałem na to ochoty. Udało mi się zaoszczędzić trochę grosza — skłamał — i wyjechałem, tak ja wy teraz, żeby się od niej uwolnić. Mam nadzieję, że przez ten czas zdążyła o mnie zapomnieć!

Bernadot zawtórował mu śmiechem.

— Nigdy nie wiadomo! — odrzekł. — Życie płata różne figle. Ale co powiecie na to, żeby spożyć wspólny posiłek? Moja żona świetnie gotuje. Przynieście, co tam macie, dołożymy do naszego i dobrze sobie podjemy.

— Bardzo chętnie — zgodził się Tomeu. — Już przynoszę. Zanim przyjadą moi kompani, zdążymy zjeść i porozmawiać. Opowiedzcie mi o najnowszych wydarzeniach w Barcelonie. Na wsi człowiek dowiaduje się wszystkiego długo po czasie... i nie zawsze dokładnie.

Gueralda i Tomeu

Dźwięk dzwonów kościoła Santa Maria del Pi wzywających na jutrznię zbiegł się z natarczywym brzękiem dzwonka u wejścia do pobliskiego lupanaru na Montjuïc. „Negr”, który pełnił tej nocy dyżur, żwawo podszedł do drzwi. W jarmarczny dzień, jak zwykle, był tu duży ruch, wszystkie pracownice miały bez przerwy zajęcie, panował nerwowy pośpiech i co rusz dochodziło do sprzeczek, a nawet bójek — wystarczyło, że ktoś przyszedł podpity albo jakiś gość się rozgniewał, że inni próbują dostać się bez kolejki. Natarczywość dzwonka sprawiła, że „Negr” najpierw sprawdził przez zakratowane okienko w drzwiach, komu tak się śpieszy. W wątym świetle padającym z zewnątrz dostrzegł piegowatą, mgliście znajomą twarz okoloną gęstymi, kręconymi włosami. Otworzył drzwi przed roslym mężczyzną, który uprzejmie skinął głową na powitanie, po czym swobodnie wszedł do środka, jak ktoś, kto dobrze wie, dokąd idzie i po co.

— Jest Maimón?

„Negr” zamknął drzwi i odwrócił się do korpulentnego przybysza.

— Jest, ale ja też mogę was obsłużyć.

— To miło z waszej strony, wolałbym jednak porozmawiać z Maimónem, jak dawniej.

— Postaram się spełnić waszą prośbę. Jak mam was przedstawić?

— Powiedcie, że przyszedł Tomeu... — Mężczyzna zahałał się i po krótkim zastanowieniu dodał: — Albo nie, powiedcie, że przyszedł „Rudy”, na pewno lepiej pamięta mnie pod tym imieniem.

„Negr” poszedł w głąb domu, a Tomeu został przy drzwiach, czekając na Maimóna.

Niebawem pojawił się eunuch z przymilnym i usługowym wyrazem twarzy, pomny na instrukcje chlebodawcy dotyczące tego osobnika: jego obecność pozwoli Mainarowi odwdziżyć się Gueraldzie za cenne informacje, jakie mu przekazała.

— Kochany przyjacielu, tak dawno was nie widziałem! Myślałem, że przytrafiło wam się coś złego!

Tomeu uznał za wskazane udzielić mu wyjaśnień.

— Wiecie, jak to w życiu bywa... Sprzedałem swój stragan na Mercadal, bo nie wiodło mi się najlepiej. Inspektor miar i wag ciągle się mnie czepiał i dręczył grzywnami, więc pomyślałem, że trzeba poszukać szczęścia gdzie indziej. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży licencji kupiłem sobie domek z ogrodem i zamieszkałem z dala od tego miasta, bo niby za jakie grzechy miałem się tak męczyć.

— Dobrze powiedziane — uśmiechnął się Maimón. — Jednak wróciliście, żeby pogrzezyć, jak podejrzewam.

— Macie rację, stęskniłem się za jedną kobietą i dlatego tu jestem. Muszę wam wyznać, że chociaż przemierzyłem wiele dróg na tym bożym albo diabelskim świecie, sam nie wiem, jak go nazwać, nigdzie nie spotkałem baby, z którą da się lepiej i dłużej pogłować niż z waszą Nur. Mam nadzieję, że nadal tu przebywa. Jest wolna?

— Wolna i spragniona waszej wizyty.

— Słowo daję, umiecie sprzedać swój towar!

— Zaczekajcie tutaj, zaraz wracam.

Maimón odszedł, przygotowując w myślach plan działania. Postępując zgodnie z rozkazami Mainara, dostarczy Gueraldzie okazję do sprawdzenia, czy to na pewno ten mężczyzna, którego szuka. Co do tego nie miał raczej wątpliwości, ale chciał uzyskać potwierdzenie. Jeśli ona powie, że tak, Maimón postara się zatrzymać Tomeu, kiedy ten wyjdzie od Nur, dopóki nie zjawi się chlebodawca, żeby pomóc kobiecie odzyskać pieniądze.

Najpierw postanowił udać się do Nur.

Mauretanka była w swoim pokoiku, gotowa na przyjęcie kolejnego klienta. Eunuch wszedł bez pukania.

— Nur, czeka na ciebie jeden z twoich dobrych znajomych.

Kobieta odparła:

— Byle nie ten nudny i głupi księżulek, który umie tylko się ślinić.

— Nie, to nie on.

— Woziwoda?

— Też nie.

— Rymarz z Cogoll?

— Ha, ha... Widzę, że nigdy nie zgadniesz.

Z kpin i tajemniczej miny eunucha Mauretanka wywnioskowała, że sprawa jest poważna.

— Przestań się ze mną droczyć, Maimónie, i powiedz, kto przyszedł.

Eunuch odpowiedział powoli, delektując się każdym słowem.

— Pewien rudowłosy klient, do którego masz szczególne upodobanie.

Mauretanka podskoczyła z radości, o mało nie przewracając stolika.

— Tomeu wrócił?

— Jest na dole i pyta o ciebie!

Nur zaczęła kręcić się w kółko, zaplatając dłonie.

— Allah miłosierny wysłuchał moich prośb.

— Nie mieszaj do tego Allaha — skarcił ją Maimón. — Powrót Tomeu zawdzięczasz swoim umiejętnościom.

— Zatrzymaj go na chwilę i przyslij tu szybko służącą z wodą, żebym mogła się umyć i wyperfumować.

Maimón pomyślał, że trzeba wykorzystać okazję.

— Wiem, że to ci się nie spodoba, jednak dziś mam mało kobiet do pomocy i wyjątkowo będziesz skazana na Gualdę. Zaraz przyniesie ci wodę, a kiedy będzie już po wszystkim, zadzwoń na nią, żeby wróciła z ręcznikami.

Mauretanka nie zwracała większej uwagi na jego słowa, lecz przechodząc do przyległej klitki, żeby przejrzeć się w lustrze, odpowiedziała:

— Ta kobieta mnie denerwuje, ale dziś jest mi wszystko jedno, przysyłaj mi do pomocy, kogo chcesz.

— „Negr” przyprowadzi do ciebie Tomeu za jakąś chwilę — obiecał Maimón.



Gualda była w kuchni z dwiema innymi służącymi, kiedy od drzwi rozległo się wołanie:

— Gueraldo, zostaw swoją robotę i chodź ze mną.

Kobieta wytarła dłonie w ścierkę i podążyła za eunuchem. Po wyjściu z kuchni Maimón przystąpił do sedna.

— Gueraldo, sądzę, że nadeszła długo oczekiwana przez ciebie chwila. Teraz zaniesiesz garnek z wodą do alkowy Nur, a potem, kiedy ona zadzwoni na znak, że skończyła, zaniesiesz jej ręczniki. Upewnij się, że mężczyzna, którego u niej zastaniesz, jest tym, którego szukasz. Jeśli tak, zawiadomisz mnie, a ja w tym czasie, zgodnie z ustaleniami, pošlę po naszego chlebodawcę. Zobaczysz, że zaraz tu przyjdzie i pomoże ci odzyskać co twoje. Zapewniam cię, że on ma swoje sposoby na przekonanie najbardziej opornego mężczyzny. Przed przyjściem doña Mainara nie chcę mieć żadnych problemów. Zrozumiałas?

Kobieta zadygotała i starając się pohamować wzburzenie, odpowiedziała cicho:

— Oczywiście.

Nie mogła uwierzyć, że zemsta jest w zasięgu jej ręki.



Gueralda miała wcześniej dużo czasu na opracowanie swojego planu i rozważyła wszelkie możliwe sytuacje. Teraz weszła na pierwsze piętro z kotłem ciepłej wody.

Zapukała do drzwi. Usłyszała radosny głos Nur:

— Wejdz.

— Przynoszę ciepłą wodę.

Mauretanka, która czerniła sobie rzęsy, leniwym gestem wskazała na małą cynkową wannę, mówiąc:

— Wlej tam.

Gueralda, z sercem podchodzącym do gardła, zapytała:

— Przynieść dwie szklanki korzennego wina?

— Jesteś bardzo miła!

Gueralda wyszła z pokoju i ledwie zdążyła stanąć z boku przy schodach, gdy na podeście zastukały kroki „Negra” prowadzącego klienta do Nur.

Kiedy Tomeu przechodził obok, spuściła głowę, zasłaniając rękami twarz.

Serce waliło jej w piersi. Zobaczyła mężczyznę, który ją odtrącił, ukraść jej pieniądze i odarł ze złudzeń.

Potem wróciła do kuchni, szybko przygotowała tacę z dwoma kubkami i dzbanem korzennego wina i poszła do swojej alkowy. Postawiła tacę na łóżku i podeszła do małego kufra, gdzie przechowywała swoje rzeczy. Najpierw wyjęła chustę, którą zarzuciła na głowę tak, żeby nie widać było jej twarzy, a następnie wydobyla z kufierka flaszeczkę i wsypawszy jej zawartość do obu kubków, napełniła je bursztynowej barwy trunkiem.

Stojąc przed drzwiami Nur, nadstawiła ucha: kochankowie zabawiali się w łóżku, rozgrzewając się przed aktem miłosnym. Gualda leciutko zapukała.

— Wejść.

Weszła ze spuszczoną głową. Oboje byli nadzy, jak ich Pan Bóg stworzył. Nie mogła oderwać wzroku od gęstwiny rudych włosów na szerokiej piersi straganiarza.

Mauretanka nawet na nią nie spojrzała.

— Postaw tam — powiedziała, wskazując mały stół.

Gualda wykonała polecenie i wyszła z pokoju.



Oczekiwanie dłużyło się jak wędrówka ślepcy. Gualda z całej duszy pragnęła, by jej napój przyniósł pożądany skutek. Kiedy uznała, że minęło już dostatecznie dużo czasu, z powrotem poszła do pokoju Nur, niosąc coś w kieszeni fartucha. Skrycie i ostrożnie poruszyła klamkę i zajrzała przez uchylone drzwi. Na łóżku leżał tylko nagi Tomeu, więc pomyślała, że Mauretanka jest obok w klitce z cynkową wanną i śpi równie mocno jak on, w przeciwnym razie już zabrzączałby dzwonek. Nerwy Gualdy uspokoiły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zamknęła za sobą drzwi i wsuwając prawą dłoń do kieszeni fartucha, wyjęła nożyce ukradzione z taczki ogrodnika. Członek mężczyzny był jeszcze nabrzmiały. Gualda zbliżyła się do łóżka i bez chwili wahania obcięła go jednym ruchem nożyc.

Wtedy rozpętało się piekło. Straszliwy ból obudził mężczyznę, który wyjąc przeraźliwie, próbował zatamować krwotok z krocza prześcieradłem zerwanym z łóżka, a jednocześnie patrzył na Gualdę takim wzrokiem, jakby jej nie rozpoznawał. Kobieta z oszalałym spojrzeniem trzymała w jednej ręce jego członek, a w drugiej zakrwawione nożyce. W tej samej chwili otworzyły się drzwiczki

oddzielające alkowę od kliki i stanęła w nich naga, jeszcze mokra Nur, która wypijała tylko pół kubka korzennego wina, a zatem mak nie podzielał na nią zbyt mocno. Rzuciła się na Gueraldę jak rozwścieczona pantera. Nożyce wystrzeliły w górę razem z makabrycznym trofeum, a one obie potoczyły się po podłodze związane w drapieżnym uścisku, wyrrywając sobie garściami włosy. Wrzaski mężczyzny zagłuszały odgłosy ich walki. Wreszcie Gueralda usiadła okrakiem na Mauretance. Ta złapała rywalkę obiema rękami za szyję, żeby ją odepchnąć. Gueralda starała się uwolnić od duszącego uścisku. Kiedy udało jej się oderwać ramiona Mauretanki i przygiąć je do podłogi, ta naprężyła swoje potężne biodra i zwałała z siebie Gueraldę, która upadła na wznak koło łóżka. Nur podniosła się na nogi, gotowa ponowić atak. Gueralda też próbowała wstać, ale nie mogła; uniosła się tylko do połowy i zaraz poleciała twarzą do przodu. Z pleców między łopatkami wystawał uchwyt nożyc, jedno ostrze było głęboko wbite. Wtedy Nur rzuciła się z łkaniem na jęczącego z bólu Tomeu, przykrywając go swoim nagim ciałem. W drzwiach stanęli Maimón i „Negr”, których przyciągnęły dobiegające z góry hałasy.

Eunuch szybko zdał sobie sprawę z sytuacji i odwracając się do „Negra”, rozkazał:

— Idź po strażnika miejskiego, przyprowadź go tu natychmiast i niech ktoś wezwie medyka z Pi... Ten człowiek się wykrwawi.

Podczas gdy „Negr” wychodził spełnić polecenie, Maimón zbliżył się do łóżka i wymierzwszy Mauretance siarczysty policzek, oderwał ją od rannego z taką siłą, że upadła obok stojaka na dzban z wodą.



Długa była ta noc. Kiedy dzwony wybiły na laudę, sędzia Vidiella wiedział już, co się wydarzyło w lupanarze na Montjuïc. Bardzo mu w tym pomogły zeznania Maimóna. Medyk, sprowadzony przez strażnika, zdołał powstrzymać krwotok i wypełniając polecenie sędziego, wezwał wóz, który przetransportował półżywego Tomeu do szpitala D'en Guitard przy drodze na La Boquería. Zwłoki Gueraldy sędzia kazał przewieźć do kostnicy cmentarza na Montjuïc, aby rodzina, jeśli takowa istnieje, mogła zająć się pogrzebem. Na koniec rozkazał strażnikowi zaprowadzić Mauretankę do więzienia.

Vidiella doszedł do wniosku, że kobiety, które pały do siebie śmiertelną nienawiścią, wdały się w bójkę z powodu rannego mężczyzny. Że ta, co nie żyje, obcięła nieszczęśnikowi członek, a druga, o imieniu Nur, wyrwała jej z rąk nożyce i wbiła ostrze w jej plecy.

Tak zawyrokował sędzia, mimo iż Mauretanka przysięgała na wszystkie świętości, że tamta wbiła sobie nożyce sama, nie chcący.

Domagając się spłaty długu

Magi był załamany. Podczas ostatniej wizyty w lupanarze, kiedy chciał się zobaczyć z Nur, dowiedział się o tragicznym zajściu i uwięzieniu Mauretanki w lochach, gdzie czekał ją straszliwy los. Oszałały z niepokoju, jeszcze tego samego dnia zjawił się w Vilanova deis Arcs, natarczywie domagając się widzenia z Mainarem. Ranią zrobiła surową minę, ale poszła poinformować chlebodawcę o niespodziewanym gościu, zaniepokojona złym humorem księżulka, którego znała dotąd tylko z widzenia i który zawsze wydawał jej się niezwykle łagodny. Niebawem wróciła i poprowadziła Magiego bocznym przejściem przez kuchnię, gdzie wśród zapachu gotowanej kapusty i brukwi uwijało się przy dwóch wielkich garach kilkoro niewolników i sług, przygotowując południowy posiłek. Oboje wyszli tylnymi drzwiami na taras pod portykiem, skąd biegły schody do ogrodu.

— Jest tam. Zaraz was przyjmie.

Ranią wróciła do swoich zajęć i Magi został sam. Wysoki taras dawał mu dogodną pozycję do obserwowania gospodarza; widział jego warkoczyk przewiązany sznurkiem i biały przedziałek we włosach. Mainar wrzeszczał na jakiegoś mężczyznę, który upokorzony spuścił oczy i cierpliwie znosił ostrą reprimendę chlebodawcy. Jego głos docierał wyraźnie do uszu młodego księdza.

— Znowu narzekasz jak stara baba, Paciá! — mówił jednooki tonem budzącym prawdziwą grozę. — Jak śmiesz prosić o podwyż-

szenie dniówki?! Przyjąłem cię z litości, chociaż mam sporo niewolników, którzy mogliby wykonać twoją pracę. Spodziłeś już sześcioro dzieci i mówisz, że żona znowu jest w ciąży? Sam jesteś sobie winien! Widać nie jesteś zbyt zmęczony, kiedy wieczorem przychodzisz do domu. Wracaj do pracy i daj mi spokój!

— Panie, ja proszę tylko o dziesięć dinarów. Dla was to nic, a dla mnie wszystko. Staram się, jak mogę, pracuję dla was w ogrodzie i dodatkowo jako woźnica. Każdego wieczoru zbieram odpadki z całego domu, a jest tego sporo, i wywożę do dołu na śmieci w Cagalell... Często dzwony na komplety zastają mnie jeszcze przy pracy. Wiecie, że mieszkam w Vilanova de la Mar i zanim wrócę do domu, robi się noc, a o wschodzie słońca muszę być tu z powrotem. Czy to mało, żeby was zadowolić? Co jeszcze mam zrobić?

— Idź do diabła! — wykrzyknął Mainar. — Zejdź mi z oczu i nie pokazuj się nigdy więcej!

Z błyskiem nienawiści w oczach sługa rzucił na ziemię trzymaną w ręce motykę, słomianym kapeluszem otrzepał z kurzu portki, po czym, mijając Magiego, który przestraszony usunął się na bok, skierował się do magazynu. Zakończywszy swoją diatrybę, Mainar zwrócił uwagę na stojącego na tarasie księżulka.

— A, to wy, Magi. Jaka to pilna sprawa sprowadza was do mnie o tak wczesnej porze? — rzucił niechętnie.

Magi zszedł po trzech schodkach z tarasu i znalazł się na ubitej, wysadzonej platanami dróżce, która zaprowadziła go do jednokiego.

— Panie, stała się straszna rzecz! Jak to możliwe? — Magi miał wzrok szaleńca i zdławiony głos.

— Jak to możliwe? Już wam wyjaśniam: ta głupia Mauretanka, dla której straciliście głowę, zasztyletowała z nienawiści jedną z moich służących, która w napadzie szaleństwa zaatakowała jakiegoś klienta. Z babami zawsze jest kłopot. A najgorsze, że teraz mam na głowie sędziów. To wszystko nie służy moim interesom.

— I co z nią będzie? — wyjąkał Magi. — Słyszałem, że jest zamknięta w lochach...

— A gdzie ma być waszym zdaniem? Tam jest jej miejsce. Wśród bandytów i morderców.

Magi stracił panowanie nad sobą.

— Musicie ją stamtąd wyciągnąć, wszystko jedno jak! Nie

doszłoby do tego nieszczęścia, gdybyście mi ją sprzedali, jak prosiłem! Obiecaliście to uczynić, jeśli spełnię wasze prośby!

— Przestańcie wygadywać bzdury! Mnie ona nic nie obchodzi i może zgnić w więzieniu. Mówicie, że spełniliście moje prośby? Przecież powszechnie wiadomo, że wasz przekłety archidiakon ma się dobrze i żyje w klasztorze Sant Pere de les Puelles niczym kogut w kurniku!

— Czy to moja wina, że rękawice, jakie mi daliście, nie wywołały w miarę szybko pożądanego skutku albo że medyk zabronił mi pracować w ogrodzie ze względu na bóle kości i kręgosłupa? Poza tym sami mówiliście, że wyświadczyłem wam dobrą przysługę, opowiadając o tym ogniu, który płonie pod wodą. Musicie mi teraz pomóc, nie mogę bez niej żyć!

Mainar przyjrzał mu się bacznie i pomyślał, że księżulek może jeszcze się przydać.

— Racja... Wyświadczyliście mi przysługę i chociaż sprawy nie potoczyły się tak, jak chciałem, jestem gotów odwdziaczyć się wam za tę pomoc.

Magi słuchał jednookiego jak Mojżesz głosu Boga na górze Synaj.

— Znam sędziego Bonfilla, zrobię co w mojej mocy, ale nie wiem, czy coś z tego wyjdzie. Nie obiecujcie sobie zbyt wiele.

Magi z entuzjazmem rzucił się do ręki swojego zbawcy, pokrywając ją pocałunkami.

— Co znowu wyprawiacie? Przestańcie się wygłupiać. Przyjdźcie za trzy dni do domu na Montjuïc. Maimón was poinformuje o rezultatach moich starań. A teraz już idźcie, bo mam pilne sprawy do załatwienia.



Poczynając od tego momentu, dziwny niepokój ogarnął Magiego; nie dość, że biedak cierpiał z powodu braku kobiety i nie mógł zaspokoić swoich namiętności, to jeszcze na dodatek został pozabawiony niewysłowionej rozkoszy, jaką dawało mu wdychanie cudownego proszku, po którym jego umysł bujał w bezkresnych przestworzach, chociaż potem zapadał się w czeluście piekielne. Magi miotał się po korytarzach Pia Almoina jak dusza pokutująca w czyśćcu. Przypisywał swoje nieszczęście karze boskiej za popełnione grzechy, naruszające prawie wszystkie przykazania Prawa

Bożego. Zhańbił pamięć swojego ojca, oddając w zastaw jego grób; okradał Kościół, podbierając z koszyczków złożone przez wiernych datki, i ukradł matce narzędzia niezbędne do wykonywania pracy akuszerki; popadł w nałóg wążania ziół i cudzożyty, a co najgorsze — zgodził się dopomóc w próbie zgładzenia swojego zwierzchnika, który zawsze odnosił się do niego troskliwie i serdecznie. Ojciec Llobet cudem uratował się od niechybnej śmierci. Po przeniesieniu do klasztoru Sant Pere de les Puelles, gdzie został oficjalnym spowiednikiem zakonnicy, aby w ten sposób towarzyszyć chrześniaczce w jej dobrowolnym odsunięciu się od świata, jego zdrowie uległo znacznej poprawie, mimo iż wcześniej zaczynały się uwidaczniać oznaki działania trucizny: znacznie schudł, miał woskowy kolor twarzy, nieobecne spojrzenie i ciemne koła pod oczami. Jego fatalny wygląd i silny ból w plecach spowodowały, że zakonnik z infirmerii wezwał medyka, a ten natychmiast zaordynował choremu wywar do picia na czczo co dzień rano oraz zabronił pielęgnowania róż i opuncji w ogrodzie, albowiem praca w pozycji pochylonej narażała kręgosłup na przeciążenie. Przeor poparł medyka i powołując się na ślub posłuszeństwa, nakazał archidiakonowi, żeby dla uniknięcia pokus zostawił w Pia Almoina swój koszyk z przyborami ogrodniczymi, w tym również rękawice, które Magi czym prędzej zniszczył.

Jednakże w tych dniach myśli młodego księdza krążyły nieustannie wokół kobiety, która nauczyła go sztuki miłości. Pożądał jej do szaleństwa i ubolewał, że została zamknięta w lochach więziennych. Już wcześniej rozważał możliwość zrzucenia sutanny, teraz był gotów zrobić to natychmiast i uciec z Mauretanką, gdzie oczy poniosą... jeśli uda mu się wyciągnąć ją z więzienia. Wiedział jednak, że do tego potrzebuje pieniędzy. Długo zastanawiał się, jak je zdobyć, aż wreszcie powziął desperacką decyzję.



Dwa dni później roztrzęsiony udał się do domu matki, aby zamienić sutannę na strój świecki. Włosy zdradzające jego stan kapłański przykrył starym kapeluszem, który nosił już przy innych okazjach. Tak przebrany, zarzucił worek na plecy i poszedł do żydowskiego lichwiarza Asera Ben Jehudy, z którego usług korzystał już nieraz wcześniej. Ustawił się w długiej kolejce sięgającej

z budynku aż na ulicę; byli w niej ludzie wszelkiego pokroju, od rzemieślników po kupców, nie wyłączając zwykłych handlarzy, a nawet kobiet. Te ostatnie przyszły błagać o odroczenie płatności zastawu, zabrawszy ze sobą małe dzieci, żeby zmiękczyć serce lichwiarza. Kolejka posuwała się do przodu, większość osób wychodziła z budynku z zasmuconą miną, co było dobitną oznaką niepowodzenia przy załatwianiu ważnej dla nich sprawy.

Zniecierpliwiony Magi dotarł wreszcie przed oblicze Asera Ben Jehudy.

— Miło was znowu widzieć w moim domu, panie Valles — powiedział Żyd, albowiem Magi podczas pierwszej wizyty przed stawił się fałszywym nazwiskiem. — Proszę usiąść. Co was do mnie sprowadza?

Magi usiadł na małym zydlu naprzeciwko Żyda, który lubił wyznaczać klientom takie miejsce, żeby móc nad nimi górować z wyżyn swojego biurka.

— Przyniosłem coś, co przedstawia dużą wartość, panie Ben Jehuda — powiedział młody ksiądz, ścisząc głos. — Sądzę, że to was zainteresuje.

Oczka Żyda zwięzły się, tworząc jedną kreskę. Pompatycznym gestem zachęcił go do pokazania tego przedmiotu.

— Zobaczmy, co tam macie.

Magi postawił worek na stole, rozwiązał i z największą ostrożnością wyjął z niego pięknie grawerowany złoty kielich kościelny, który wykradł ze skarbcza Pia Almoina. Żyd starał się nie okazać zainteresowania, jakie wzbudziła w nim tak cenna rzecz.

— Nie pytam, skąd to macie — powiedział. — Ile chcecie za ten kielich?

Magi poczuł suchość w ustach, ledwie śmiał spojrzeć na to święte naczynie. W pierwszej chwili chciał je z powrotem schować do worka, odnieść do skarbcza i zapomnieć o tym świętokradztwie, jednakże pamięć o Nur zamkniętej w lochach przeważała nad skrupułami sumienia.

— Dziesięć złotych mancusu.

Żyd przystał na tę cenę bez targów. Kilka minut później Magi wychodził z jego domu z pustym workiem, pełnymi kieszeniami i ogromnym ciężarem w sercu. Zgnębiony i zdenerwowany udał się do Maimóna, który nie miał dla niego najlepszych wiadomości:

jedyne, co udało się chlebowdawcy osiągnąć w rozmowie z sędzią Bonfillem, to możliwość odwiedzenia Mauretanki w więzieniu. Maimón wręczył mu oficjalne upoważnienie, z którym powinien nazajutrz zgłosić się do nadzorcy więzienia, występując w imieniu Mainara. Tej nocy Magi nie mógł zasnąć: leżał w klasztornej celi z woreczkiem monet w jednej ręce i papierusem uprawniającym do wejścia do więzienia w drugiej, rozmyślając o swojej niepewnej przyszłości.

117

Lochy

Następnego dnia o świcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, Magi stanął przed wejściem do więzienia. Uzbrojony we włócznię strażnik z zaspaną twarzą, zmarznięty do szpiku kości, robił powoli obchód, w ponurym nastroju czekając na zmianę warty. W pewnym momencie zobaczył wychudłego mężczyznę zawiniętego w burą pelerynę, w kapeluszu z dużym rondem zasłaniającym twarz, który stał nieruchomo na rogu jak posąg z marmuru. Wartownik przerwał swój monotony obchód i z groźną miną skierował się w jego stronę.

— Ej, ty tam! Jeśli nie masz nic lepszego do roboty, ruszaj w drogę. Tutaj nie wolno stać.

Zamiast się oddalić, intruz zaczął się do niego zbliżać, wkładając rękę pod pelerynę. Wartownik pomyślał, że tamten zaraz wyjmie sztylet, więc cofnął się dwa kroki i wycelował ostrze włóczni w pierś niepożądanego gościa.

— Nie próbuj żadnych sztuczek, bo tego nie lubię! Wyjmij powoli ręce na wierzch albo nadzieję cię na szpikulec jak gada.

Obcy wysunął prawą dłoń, w której był zwitek papirusu. Jednocześnie odezwał się cienkim, nieco nerwowym głosem:

— Oddaj to swojemu zwierzchnikowi. Możesz przeczytać, jeśli chcesz.

Wartownik opuścił pikę i biorąc zwitek, skomentował:

— To nie moja sprawa, nie jestem od czytania. Zaczekaj tutaj, porozumiem się z dowódcą warty.

Zniknął na kilka chwil, po czym zjawił się znowu, tym razem w towarzystwie mężczyzny, który z niezadowoloną miną zapinał guziki kaftana, trzymając w dłoni pergamin.

— Życzę wam dobrego dnia, panie. Nadzorca zaraz was przyjmie mimo tak wczesnej pory

Magi, nieprzyzwyczajony do takich względów, rzucił wartownikowi triumfalne spojrzenie i podążył za oficerem.

Po przejściu krętymi korytarzami zatrzymali się pod jakimiś drzwiami. Dowódca delikatnie zapukał.

Natychmiast rozległo się „wejść” i obaj mężczyźni znaleźli się w skromnym gabinecie. Po krótkim przywitaniu i równie krótkiej lustracji nadzorca więzienny powiedział:

— Zechciejcie zająć miejsce, panie. Jak widzę, mamy wspólnego znajomego. Przychodzicie z rekomendacji dona Mainara, który jest moim dobrym przyjacielem. Od dawna się znacie?

Magi, już siedząc, odparł niezobowiązująco:

— Prowadzę z nim interesy.

— Tego samego rodzaju?

— Nie, nie, ja dostarczam mu pewnych rzeczy trudno dostępnych na rynku, a on wyświadcza mi przysługi — wymyślił na poczekaniu Magi.

— Aha... pojmuję... płaci wam w naturze. Teraz rozumiem wasze zainteresowanie tą małą Mauretanką. Niezła sztuka, szkoda, żeby zmarnowała jędrne ciało i swoje najlepsze lata w takim miejscu jak to.

Magi nawet nie poczuł wstydu.

— Byłem z nią parę razy i uważam za swój obowiązek wyciągnąć ją z tego miejsca.

Nadzorca otworzył szufladę swojego biurka i wyjął z niej jakiś dokument.

— Ten kaprys będzie was drogo kosztować. Mam tu wyrok i widzę, że kaucja za uwolnienie tej kobiety nie jest błahostką... Chociaż zabicie bliźniego swego nożycami do przycinania pędów w ogrodzie też nie jest błahostką.

— Ile wynosi kaucja? — zapytał Magi słabnącym głosem.

— Dziesięć złotych mancuso. Tak zostało ustalone.

Magi z trudem powstrzymał cisnący się na usta uśmiech. Nareszcie los mu sprzyja! Miał przy sobie w sam raz pieniędzy, aby uiścić zapłatę. W jego oczach zabłyśło światełko nadziei.

— Najpierw chciałbym z nią porozmawiać, a potem zadecyduję, czy opłaca mi się taki wydatek.

Nadzorca poruszył dzwonkiem i w jednej chwili zjawił się strażnik więzienny.

— Zaprowadź doña de la Valí do celi Mauretanki. Robię dla niego wyjątek, pozwalając mu wejść, ale trzymaj się w pobliżu na wszelki wypadek.

— Wedle rozkazu, panie.

Zszedłszy po krętych schodach — strażnik pierwszy, a Magi za nim — dotarli do wilgotnego, ciemnego korytarza, gdzie po obu stronach były kraty, za którymi tłoczyli się przymusowi lokatorzy cel, osobno kobiety i mężczyźni.

— Tu mamy więźniarki z zarzutem zabójstwa. Wasza podopieczna znajduje się trochę dalej.

W głębi korytarza siedział na zydlu uginającym się pod jego ciężarem tłusty, niechlujnie odziany mężczyzna w śmierdzącym fartuchu, z wielkim pękiem kluczy przywiązanych do paska. Podniósł się na widok gości.

— Otwórz kratę.

Rozkazujący ton strażnika nie dopuszczał sprzeciwu, więc odrażający typ przekreślił w zamku jeden z olbrzymich kluczy.

Magi zobaczył Nur w otoczeniu brudnych kobiet w łachmanach i dusza w nim zamarła. Dziewczyna, z rękami podłożonymi pod głowę, leżała na kamiennej ławce ustawionej wzdłuż ściany naprzeciwko wejścia. Przez zakratowane okno wpadało słabe światło, jedyne źródło blasku w tej jaskini bólu i rozpacz.

Zaskoczona Nur patrzyła na Magiego w milczeniu i dopiero gdy strażnik wyszedł z celi, uniosła głowę i obojętnym głosem, starając się nie okazać zdziwienia, zapytała:

— Co wy tu robicie?

Nawet w takim miejscu jak to czarne, głębokie oczy Nur wyrażały niezachwianą pewność właściwą kobiecie, która ma świadomość tajemniczej potęgi swego ciała.

— Przyszedłem, żeby ci pomóc.

Mauretanka z powrotem położyła głowę.

— To niemożliwe... Jestem oskarżona o zabicie kobiety, więc żeby stąd wyjść, musiałabym zapłacić wysoką kaucję. Nigdy jej

nie
uzbieram, choćbym harowała przez całe życie.

Magi przykucnął obok ławki.

— Wszystko jest możliwe, jak się ma pełny worek. Jestem półżywy ze zmartwienia, odkąd dowiedziałem się o tym incydencie.

— Ale co wy możecie dla mnie zrobić? — zapytała Nur ze smutnym uśmiechem.

— Postarałem się o pieniądze. Mam je ze sobą.

Usłyszawszy to, całkiem się podniosła.

— Zrobiliście to dla mnie?

— Zrobiłbym znacznie więcej, gdyby zaszła taka potrzeba.

Nur, jesteś osobą, która dała mi w życiu najwięcej, nie licząc mojej matki. Chcę, żebyś wiedziała, że byłem gotów na wszystko, aby spędzić z tobą resztę życia... Jeśli teraz cię stracę, nic nie będzie miało dla mnie sensu, a moje starania okażą się naderma.

Mauretanka obserwowała go ze skrywaną ciekawością.

— Czyniecie mi wielki zaszczyt, Magi. Nie zasługuję na takie względy!

— Zasługujesz na wszystko, Nur — powiedział Magi, biorąc ją za rękę. — Bez ciebie moje życie nie miałoby sensu.

— Zapłaćcie kaucję i pójďte z nami.

— Wszystko przemyślałem — szepnął Magi. — Uciekniemy z tego miasta, zaczniemy nowe życie daleko stąd...

— Najpierw wyciągnijcie mnie z więzienia.

Nie posiadając się ze szczęścia, Magi odwrócił głowę w stronę strażnika.

— Proszę zaprowadzić mnie natychmiast do waszego głównego nadzorcy. Uwolnię tę kobietę.

Podniósł się i próbował pocałować Mauretankę w usta. Pozwoliła mu na to. Poczł ciepło jej warg i pomyślał, że takie szczęście warte jest całego złota tego świata.

Zamykając za nim kratę, strażnik nie mógł się powstrzymać od pytania:

— Jesteście pewni, że dobrze robicie?

— Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Godzinę później Magi i Nur, nareszcie wolni i uśmiechnięci, opuszczali ponury budynek mieszczący lochy więzienne. Mauretanka miała tylko jedną prośbę: podczas gdy on pójdzie poszukać pocz-

tyliona, który wywiezie ich z miasta, ona zajrzy do lupanaru, żeby zabrać swoje rzeczy. Tam się spotkają za trzy godziny. Magi zgodził się na tę zwłokę, która była dla niego jak czyściec przed wejściem do rajju.



O umówionej godzinie uszczęśliwiony stanął przed lupanarem na Montjuïc. Drzwi otworzył mu „Negr”. Nie witając się, Magi rzucił krótko:

— Przychodzę po Nur.

— Witam was, Magi, chociaż nie usłyszałem od was tego słowa.

Księżulek przyjął to obojętnie i dalej nalegał:

— Mam mało czasu. Gdzie Nur?

— Poszła sobie.

— Jak to? Dokąd poszła?

— Zjawiła się tu przed południem, jak zapewne wiecie. Niezłą niespodziankę nam sprawiła! Szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się zobaczyć jej tak szybko... Zaczęła pakować swoje rzeczy, ale kiedy dowiedziała się ode mnie, że Tomeu jest w szpitalu D'en Guitard, wybiegła, tak jak stała, zabierając ze sobą tylko parę ubrań.

— Kto to jest Tomeu? Czy to on został zraniony owej nieszczęsnej nocy, którą Nur przypłaciła więzieniem? — zapytał pobladły Magi.

— No właśnie.

Magi dłużej nie czekał i pełen wątpliwości pośpieszył do szpitala. Może Nur chciała tylko sprawdzić, jak czuje się ten osobnik... Znalazłszy się poza murami, wyskoczył z wozu bez pożegnania i przecinając dawne rzymskie *cardo*, udał się do szpitala D'en Guitard, położonego między Pla de la Seu i bramą Castellnou. Strażnik szpitalny zagroził mu przejście, domagając się wyjaśnień.

Magi oświadczył, iż przysłała go nadzorca więzienny — tu podał jego imię — który chce się dowiedzieć o stan zdrowia niejakiego Tomeu, zwanego również „Rudym”. Strażnik miał pewne wątpliwości, ale wpuścił go do środka i pokazał, gdzie leży ranny.

Magi wbiegał po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz.

Mimo dymu unoszącego się z kadzielnic, w których paliły się wonne zioła, wszędzie panował trupi zapach. Zasłaniając nozdrza połą peleryny, Magi wyrzwał zza kolumny, by popatrzeć na wielką salę. Dwóch mężczyzn wynosiło akurat na noszach jakieś ciało przykryte starą peleryną, a zakonnica przygotowywała pryczę dla kolejnego pacjenta, który miał śmierć wypisaną na twarzy.

W głębi sali dojrzał Nur, a ona zobaczyła jego. Podniosła się i ruszyła mu na spotkanie.

Z mieszaniną lęku i zazdrości w głosie zapytał:

— Czego tutaj szukasz? Byłem po ciebie w umówionym miejscu o umówionej godzinie, lecz cię nie zastałem.

Rzuciła mu twarde, stanowcze spojrzenie.

— To bardzo proste, Magi. Mężczyzna, dla którego znalazłam się w więzieniu, jest ranny, ale żyje.

— Mówisz o tym osobniku z obciętą męskością? O tych nędznych resztkach? O tym półmężczyźnie?! — krzyczał Magi.

Cała żółć nagromadzona w Mauretance wylała się na niego.

— Ten, którego nazywasz półmężczyzną, jest bardziej męski niż ty z całą swoją męskością! Wolę zostać z nim niż z tobą, bo w łóżku zachowujesz się jak żaba! Wynoś się stąd natychmiast i znajdź sobie inną, niech siada okrakiem na twoim śmiesznym króliczym przyrodzeniu i słucha cierpliwie twoich pojękiwań!

Po tych słowach nabrzmiałych gniewem i pogardą pokazała mu plecy i wróciła do łóżka cierpiącego Tomeu.

Magi, wstrząśnięty i zmieszany, przeżuwał powoli słowa, jakie wyszły z ust tej kobiety i stopniowo, acz bezlitośnie wwiercały się w jego zamglony umysł. Nie wiedział, dokąd iść ani co zrobić. Nagle zorientował się, że wiedziony silnym nawykiem znalazł się przed wejściem do Pia Almoina, więc poszedł do swojej celi.



Księża intonowali kompletę, kiedy uchyliły się boczne drzwi do świątyni i pojawił się w nich ojciec Ventura z dziwnym wyrazem twarzy. Przykleknął na krótko, po czym podszedł do zwierzchnika siedzącego na brzegu ostatniej ławki. Przeor pochylił głowę, żeby lepiej słyszeć, co zakonnik ma mu do powiedzenia, i natychmiast wyszedł razem z nim ze świątyni.

Obaj duchowni w milczeniu wspinali się po schodach prowadzących do cel młodszych księży. Dotarłszy do ostatnich drzwi, ojciec Ventura, który szedł na przodzie, odsunął się, przepuszczając swojego zwierzchnika. Ich oczom ukazał się widok, którego nigdy nie zapomną. Na podłodze leżała przewrócona ławka i poniewierał się jeden sandał, a z przyczepionego do belki w suficie sznura zwisało drobne ciało ojca Magiego, który z wysuniętym fioletowym językiem i jedną stopą bosą kołysał się powoli jak makabryczne wahadło.

Oskarżenie

W Berenguerze zaszła ważna zmiana. Po raz pierwszy w życiu czuł się potężny: w tym semestrze to on sprawował rządy. Na mocy osobliwego testamentu ojca otrzymał władzę, co prawda tylko na sześć miesięcy w roku, ale nie przeszkadzało mu to doznawać nieopisanej radości na widok straży opuszczających przed nim włócznie, kiedy się pojawiał. Szlachetnie urodzeni, którzy za życia starego hrabiego traktowali go z pewnym lekceważeniem, obecnie zabiegali o jego łaski, usłużnie zgłaszając gotowość wyświadczenia każdej przysługi, jakiej od nich zażąda. Był zadowolony, że nie zgodził się na consensus z bratem w czasie trwania swojego mandatu, ponieważ dzięki temu mógł teraz odsunąć członków *Curia Comitum* kontrolujących jego decyzje i zastąpić ich pochlebami. Władza jawiła mu się doprawdy jak wyborny likier, taki, co nie upija od razu, tylko daje nadzwyczaj przyjemne ciepłko. Prawie wszystkie sprawy, które dawniej były w jego życiu najważniejsze, teraz znalazły się na drugim planie z wyjątkiem tej jednej... Jak cierń wbity w serce dręczyła go myśl, że nie zaspokoił w pełni swoich kaprysów. Był przyzwyczajony, że ulegają mu wszystkie młode panny, jakich zapragnął — nie tylko damy dworu — tymczasem został odepchnięty i upokorzony przez plebejuskę ogarniętą manią wielkości. Wiedział, że pod wpływem tego zniechęconego księdza, który był spowiednikiem jego matki, i prawdopodobnie również za namową paru innych osób Marta Barbany wstąpiła jako postulantka do Sant Pere

de les Puellas. W ostatnich latach Berenguer, idąc za radą Mainara, starał się głównie zdobyć zaufanie swojego ojca, toteż nie podejmował działań, które naraziłyby go na utratę dziedzictwa. Ale nareszcie był w swoim żywiole: skończył się czas siania, nastał czas zbierania. A najbardziej pożądany przez niego owoc nazywał się Marta Barbany.

Uknuł doskonały jego zdaniem plan, uwzględniający trzy aspekty. Po pierwsze, nie stał mu na drodze ten impertynencki młokos, który zdecydował się wreszcie odwiedzić ojca w Cardonie. Po drugie, Sant Pere de les Puellas nie był warowną twierdzą, gdzie nie można dostać się do środka bez taranów i brawurowych forteli. Berenguer znał inne, znacznie prostsze sposoby. Los klasztoru zależał od pałacu i chociaż wiele szlacheckich rodów łożyło na jego utrzymanie, to jeśli urwie się strumień hrabiowskich pieniędzy, Sant Pere de les Puellas długo nie przetrwa. Dlatego on zastosuje wobec matki przełożonej, Adeli de Monsargues, metodę kija i marchewki, musi tylko poczekać na odpowiednią chwilę. Analizując swoje odczucia, Berenguer doszedł do wniosku, że żadne trudy ani przeciwności go nie zrażają, wręcz przeciwnie jeszcze bardziej podniecają. Trzeci aspekt planu dotyczył głównej przeszkody, jaką stanowił ojciec dziewczyny, człowiek niezwykle majątny i wielce poważany. Marti Barbany to potężny przeciwnik, Berenguer zdawał sobie z tego sprawę, ale na niego też miał sposób: zniesławić i doprowadzić do ruiny.

Stary hrabia nie skorzystał z wyjątkowej okazji i nie ukarał tego ohydneho wiarołomcy, więc on w okresie swoich rządów naprawi błąd ojca, a ponadto zyska powód i sposobność do przejęcia na rzecz hrabstwa olbrzymiego majątku i statków armatora. Wiadomo, że każdy chrześcijanin, który popełnił apostazję, traci całe mienie. Wystarczy udowodnić, że Barbany jest apostatą, aby ten znamienity obywatel popadł w niełaskę... Wtedy nie znajdzie się nikt, kto przeszkodzi Berenguerowi bezkarnie położyć rękę na dziewiczym ciele Marty.

Tego ranka wezwał do pałacu notabli, których potrzebował do realizacji tego planu. Pragnąc nadać spotkaniu jak najbardziej uroczysty charakter, rozkazał szambelanowi nie wpuszczać nikogo do salonu, dopóki wszyscy nie zbiorą się w antykamerze. Będą tym zaintrygowani i czas oczekiwania na przyjęcie przez hrabiego spędzą

na rozważaniu, komentowaniu i zgadywaniu jego intencji i powodu zwołania nadzwyczajnej narady.

W końcu delikatne pukanie do drzwi dowiodło, że ten rozkaz został wykonany. Szambelan zaanonsował:

— Jego przewielebność Odó de Monteada, biskup Barcelony, najczcigodniejszy panowie Olderich de Pellicer, *veguer* miasta, Guil-lem de Valderribes, naczelny notariusz, i sędzia Ponç Bonfill pytają, czy wasza wysokość ich przyjmie.

— Niech wejdą.

Po chwili weszli wszyscy czterej. Berenguer zorientował się po ich minach, że chociaż snuli różne przypuszczenia, wciąż nie wiedzą, dlaczego ich zaprosił.

Młody hrabia bezwiednie naśladował sposób bycia swojego poprzednika, uciekając się do prostych, spontanicznych gestów, witając gości uprzejmie i traktując ich jak równy równych.

— Moi drodzy panowie, jestem wam nieskończenie wdzięczny, iż zechcieliście przybyć na moje wezwanie mimo swoich rozlicznych i nader ważnych zajęć.

Eminentni doradcy jeden po drugim odpowiedzieli na to powitanie i poproszeni o zajęcie miejsca zasiedli naprzeciwko hrabiego w przygotowanych dla nich fotelach.

Delektując się tą chwilą, Berenguer pochrząkiwał i przeciągał część wstępną spotkania, aby jeszcze bardziej rozpalic ich ciekawość.

Wreszcie zaczął przemawiać, ważąc słowa i nie szczędząc em-fatycznych gestów dla podkreślenia doniosłości tego aktu.

— Drodzy doradcy, z pewnością zdziwiło was to nagle wezwanie, lecz zważywszy na okoliczności, nie mogłem postąpić inaczej. Sprawa, którą chcę wam przedstawić, jest wyjątkowo poważna i niecierpiąca zwłoki, toteż odłożenie jej na później źle świadczyłoby o władcy. Niektóre problemy trzeba rozstrzygnąć w trybie pilnym, a ten do nich należy.

Berenguer zrobił długą pauzę. Notable poruszyli się niespokojnie w swoich fotelach.

— Pierwsze pytanie skieruję do was, drogi biskupie.

— Słucham was, hrabio.

— Jaka jest różnica między apostazją werbalną i apostazją de facto?

— Odpowiedź jest prosta, panie: w pierwszym przypadku mamy

do czynienia z chrześcijaninem, który wyrzeka się swojego Kościoła, publicznie deklarując odstępstwo od wiary, natomiast w drugim chodzi o czyn świadczący o takim odstępstwie. Inaczej mówiąc, apostata de facto robi coś, co wyklucza go ze świętej wspólnoty, i robi to celowo. Czy jasno się wyraziłem?

— Wasze słowa są jasne jak słońce, najprzewielebniejszy. Teraz pytanie do was, drogi sędzio Bonfill. Co stanie się z majątkiem chrześcijanina, który jawnie dokona apostazji i de facto przyjmie judaizm, dopuszczając się świętokradztwa?

Sędzia Bonfill odpowiedział natychmiast:

— Cały majątek ruchomy i wszystkie nieruchomości należące do oskarżonego o apostazję przechodzą na naturalnych spadkobierców, pod warunkiem że złożą oni publiczne wyznanie wiary i wyrzekną się swego ojca, przysięgając, iż pochowają go po śmierci na niepoświęconym miejscu.

Berenguer przyjął jego słowa z ponurym uśmiechem.

— A jeśli tego nie zrobią?

— W takim przypadku całe jego mienie przypadnie waszej wysokości.

Nowa pauza. Notable spoglądali po sobie zdezorientowani, żaden z nich nie wiedział, dokąd zmierza hrabia.

— Teraz wy, *veguerze*. Wiadomo, że oskarżenie musi być oparte na dowodach, które należy przedstawić ogółowi obywateli. Kto i jak udowadnia popełnienie takiego przestępstwa?

— To oczywiste, panie. Po zapoznaniu się z oskarżeniem kilku zbrojnych udaje się na miejsce z notariuszem — tu wskazał na Guillema de Valderribes — w celu sprawdzenia faktów.

— A co w przypadku potwierdzenia zarzutów?

— Po uzyskaniu dowodów przestępstwa winny trafia do lochów więziennych waszej wysokości i wy, panie, orzekacie, jaką karę ma ponieść.

W tym momencie Berenguer się podniósł.

— Zatem, dostojny notariuszu, zechciejcie zająć miejsce przy moim biurku, aby sporządzić protokół. Sądzę, że żaden akt oskarżenia nie miał tak znakomych świadków jak ten.

Notariusz usiadł przy biurku hrabiego, wziął pióro i pergamin i przygotował się do pisania. Wszyscy czekali w napięciu, co teraz nastąpi.

Hrabia dyktował wyraźnie i powoli:

— Ja, Berengarius Raimundus, z bożej łaski hrabia Barcelony, Gerony i Osony, sprawujący władzę w mieście zgodnie z mandatem, który przysługuje mi w tym okresie, oskarżam publicznie obywatela Martíego Barbany o apostazję de facto, albowiem swoją żonę Ruth, która w godzinie śmierci na nowo popadła w herezję, pochował w chrześcijańskiej kaplicy z krzyżem Chrystusowym u wejścia, na katafalku ozdobionym żydowskimi symbolami: od strony wezłowania jest siedmioramienny świecznik zwany menorą, a od strony stóp gwiazda Dawida, co oznacza odstępstwo od wiary chrześcijańskiej.

Zapadła całkowita cisza. Po chwili hrabia zwrócił się do swych dostojnych gości.

— Panowie, zechcecie poświadczyć niniejszy dokument swoim podpisem?

119

Rewizja

Gaufred, dowódca straży Martiego Barbany, był na dziedzińcu rezydencji, kiedy jeden z wartowników pilnujących bramy przybiegł do niego zaniepokojony i powiedział, że na rogu ulicy graniczącej z Call zobaczył zdążającą w ich stronę lektykę w otoczeniu dużej grupy zbrojnych.

Kiedy dowódca straży podszedł do bramy, lektyka właśnie się zatrzymała i tragarze stawiali ją na podporach. Zbliżył się do niego oficer, którego Gaufred znał od lat.

— Czy twój pan jest w domu?

— Jest. A o co chodzi?

— Mam pismo urzędowe, które muszę doręczyć mu osobiście.

— Najpierw powiedz, o co chodzi. Chyba rozumiesz, że nie mogę go przywołać, nie mówiąc w jakiej sprawie.

— Przysięgam, że ja sam tego nie wiem, nas o tym nie informują. Mogę ci tylko powiedzieć, że tym razem przybywam w towarzystwie jednego z najważniejszych sędziów — wskazał na stojącą lektykę — co nie jest dobrym znakiem.

Gaufred, targany wątpliwościami, odpowiedział niechętnie:

— Pójdę po niego.

Ruszył w stronę domu, oglądając się za siebie: grupa zbrojnych rozdzieliła się na rozkaz woźnego sądowego, obstawiając wszystkie wyjścia z rezydencji.

Wkrótce pojawił się na dziedzińcu Marti Barbany ze swoimi kapitanami — Grekiem Manipoulosem i Rafaelem Muntelem.

We trzech podeszli do bramy, gdzie czekał woźny.

Marti odezwał się ostro:

— Zdaje się, że coś dla mnie macie.

Zanim woźny zdążył wręczyć armatorowi dokument urzędowy, z lektyki wyszedł sekretarz sędziego Bonfillsa i zwracając się do tego pierwszego, powiedział:

— Ja się tym zajmę. Znamienity obywatel zasługuje na to, aby ktoś wyższy rangą przekazał mu dokument podpisany przez jednego

z sędziów i zatwierdzony przez samego hrabiego.

Wyrwawszy pismo z rąk woźnego, sekretarz wręczył je Martiemu Barbany.

Armator wziął zrolowany pergamin, zeszkobał lak sztyletem podanym przez Manipoulosa i rozwiniąwszy rulon, zaczął czytać.

Ja, Ponç Bonfills, mianowany sędzią Barcelony przez hrabiego Ramona Berenguera I

W związku z otrzymaniem uzasadnionej skargi o popełnieniu apostazji przez obywatela Martiego Barbany i nie naruszając prawa Świętego Kościoła do wszczęcia w swoim czasie odrębnego postępowania

ZARZĄDZAM:

Aby przeprowadzić rewizję w jego domu na placu Sant Miquel w celu sprawdzenia, czy nie ukrywa symboli, książek i przedmiotów kultu związanych z prawem mojąszowym.

Aby w trakcie rewizji wszyscy słudzy i domownicy nie ruszali się z miejsc zajmowanych przed rozpoczęciem postępowania. Aby każdy odpowiadał bez ociągania na pytania zadawane przez władzę. Aby nikt nie próbował schować albo przestawić w inne miejsce jakiegokolwiek przedmiotu. Aby przeprowadzający rewizję mieli zapewniony swobodny dostęp do każdego pomieszczenia. I aby wszystkie klucze do szaf, komód czy innych zamkniętych mebli zostały oddane władzy.

Na potwierdzenie powyższego dokument nosi podpis i pieczęć hrabstwa.

Barbany odczytał to ponownie, obserwując kątem oka, jak z lektki wysiada jeden z trzech głównych sędziów Barcelony, dostojny Ponç Bonfill.

Sędzia kroczył ku nim z godnością, prowadzony przez oficera, który wyszedł mu na spotkanie.

— Moje uszanowanie, don Marti i panowie.

— Witajcie, panie sędzio — odpowiedział oschle Marti.

— Misja, z jaką tu dziś przychodzę, jest dla mnie nader przykra.

— Natomiast dla mnie, nie uchybiając wam, panie, wasza misja jest całkowicie niezrozumiała — odparł Marti.

Żeby pokazać obecnym, kto tu rządzi, sędzia wystąpił z repliką:

— To nie podlega waszej kompetencji i nie musicie nic rozumieć, ale wiedźcie, że nie jesteśmy tu dla kaprysu. Sprawiedliwość nie czyni różnicy między możnymi i ubogimi. Otrzymaliśmy uzasadnioną skargę i jest naszym obowiązkiem, niekoniecznie miłym, zbadać, ile w niej prawdy.

— To rozumiem i szanuję. Szukajcie, gdzie chcecie, przetrząśnijcie cały dom i zostańcie tu choćby do nocy. Ja nie mam nic do ukrycia.

— Wierźcie mi, że bardzo bym się cieszył, gdyby tak było, lecz muszę spełnić swoją powinność jako poddany i jako sędzia.

Manipoulos, który nie grzeszył cierpliwością, zawołał:

— Starczy tych jałowych słów, nie traćmy więcej czasu! Im wcześniej się zacznie, tym szybciej się skończy.

Sędzia poczuł się obrażony.

— Kim wy jesteście, jeśli można wiedzieć, i jakim prawem wtrącać się do naszej rozmowy?

Greki poprawił kaftan i wyprostował się.

— Można wiedzieć. Nazywam się Basilis Manipoulos, jestem kapitanem i dowódcą floty doña Martiego Barbany. Mam prawo ingerować, jako że łączy nas wieloletnia przyjaźń, wiem, że jest to człowiek uczciwy i że oddał wiele przysług Barcelonie.

Znając charakter Greka, Marti postarał się załagodzić napięcie.

— To moi zacni kapitanowie. — I wskazując na Feleta, dokonał prezentacji. — To jest Rafael Munt. Byli u mnie, kiedy zostałem powiadomiony o tej dziwnej wizycie, i dlatego wyszliśmy razem.

Bonfill pogłodził się po brodzie.

— No dobrze, panowie. Nie zamierzam niczego przeciągać, więc

zaczynamy. — I odwracając się do oficera, wydał rozkaz: — Ci panowie sami wybiorą miejsce, gdzie raczą zaczekać do zakończenia moich czynności. Chcę mieć po dwóch ludzi w każdym pokoju. Niech zrewidują meble i wszystkie kąty w poszukiwaniu dokumentów, pergaminów, rzeźb, metalowych okuć... wszelkich rzeczy związanych z żydowskim rytuałem. Niech wezmą klucze do zamkniętych pomieszczeń i przeszukają cały dom od strychu po piwnice. Wy pójdziecie z kimś, kto w razie jakichkolwiek wątpliwości udzieli wam wyjaśnień. Wezwijcie wszystkich waszych ludzi i niech nikt nie opuszcza tego domu, dopóki ja na to nie pozwolę. — Następnie zwrócił się ponownie do Martiego. — Ja przeprowadzę rewizję w waszej bibliotece, będę rad, jeśli niczego nie znajdę.

— Wykonujcie waszą powinność. Jeśli wam to nie przeszkadza, ja ze swoimi kapitanami przejdę do gabinetu, aby dokończyć omawianie spraw, którymi się zajmowaliśmy przed waszym przyjściem.

— Jak wam się podoba.

Rewizja zajęła dużo czasu. Dzięki informacjom Berenguera Bonfill wiedział, gdzie i czego szukać, ale dla większego efektu zostawił to na sam koniec.

Kiedy zapadł zmierzch, sędzia wszedł do gabinetu, gdzie trzech mężczyźni spędzili cały dzień i nawet spożyli posiłek.

— Chciałbym jeszcze zajrzeć do kaplicy w ogrodzie. Jeśli dobrze mnie poinformowano, tam spoczywa wasza zmarła żona.

Marti wymienił porozumiewawcze spojrzenie ze swoimi kapitanami.

— Pochowałem w niej moją najdroższą Ruth za specjalnym pozwoleniem biskupstwa.

— Nie twierdzą, że zrobiliście to bez pozwolenia, niemniej kaplica stanowi część waszej posiadłości i mam obowiązek sprawdzić, czy wszystko jest jak należy.

— Z tego, co mówicie, sędzio Bonfill, wnoszę, że dotąd wszystko jest w porządku — zasugerował Marti.

— Na razie tak, ale muszę zakończyć inspekcję i upewnić się, że nie zaszło żadne nieporozumienie, co sprawi mi niekłamaną radość.

Manipoulos nie mógł się powstrzymać.

— A może to zwykłe pomówienie. Chciwość jest złym doradcą, panie.

Sędzia zbladł.

— Po zakończeniu inspekcji powiem wam, czy skarga była fałszywa, czy jednak zawierała elementy prawdy. Dowiedziałem się od oficera, że drzwi do kaplicy są zamknięte i nie można ich otworzyć żadnym z tych kluczy, które mi daliście.

— Istotnie. Ta kaplica nie służy do nabożeństw, jest sprzątana raz na dwa tygodnie, zawsze w mojej obecności, i tylko ja mam do niej klucz.

— Wybaczcie, panie, ale to wydaje mi się dość niezwykle.

— Tak jak niezwykle była miłość, jaką darzyłem swoją żonę. Dlatego chciałem mieć ją blisko siebie nawet po śmierci. Chodzę do tej kaplicy, żeby się za nią modlić.

— Jest to rzecz niebywała, którą można interpretować na wiele sposobów — oświadczył sędzia.

— Na przykład jak, wasza wielmożność?

— Czy przypadkiem wasza żona nie była przechrzta?

— Faktycznie. Zrezygnowała z wiary swoich ojców i poślubiła mnie jako chrześcijanka.

— Z czego można wnosić, że niekoniecznie zrobiła to z przekonania, może raczej dla wygody, albowiem, jak mi wiadomo, trafiła pod waszą opiekę po śmierci ojca, na którym wykonano wyrok przez powieszenie.

— Wyrok był niesłuszny, jej ojca pośmiertnie oczyszczono z wszelkich zarzutów — odparł ostro Marti.

— Nie zamierzam wdawać się w dyskusje, które mnie nie dotyczą. My, sędziowie, nie jesteśmy nieomylni i czasem zdarzają się rzeczy godne ubolewania. Pragnę jednak zwrócić waszą uwagę na pewien aspekt. Czy niejest możliwe, że ktoś, kto nawrócił się na prawdziwą religię dla formy, nie zapragnie w ostatniej godzinie życia, kiedy czuje zbliżającą się śmierć, powrócić do wiary przodków?

Marti lekko skinął głową.

— I czy nie jest możliwe, że ta osoba ubłaga kochającego męża, by pochował ją zgodnie z tradycją tej religii?

— Jest to możliwe.

— A czy ten mąż, nie mogąc pochować jej na chrześcijańskim cmentarzu, nie każe wstawić katafalku z trumną do kaplicy, do której nikt oprócz niego nie ma wstępu, albowiem chce mieć ją blisko siebie, a zarazem spełnić jej ostatnią wolę bez obaw, że ktoś się o tym dowie?

— Wasza dedukcja jest bardzo subtelna — szepnął Marti — ale mnie ten przypadek nie dotyczy.

Tym razem wtrącił się Felet.

— Sądzę, wasza wielmożność, że powinniście zaufać słowom tak znakomitego i uczciwego obywatela.

— Panie, przykro mi, ale doświadczenie mnie nauczyło, że mogę zaufać tylko temu, co widzą moje oczy. Zatem nie utrudniajcie mi zadania i zechciejcie otworzyć kaplicę.

Ze strapioną miną, jak ktoś, kogo przyłapano na kłamstwie, Marti podszedł do stołu i z pierwszej szuflady wyjął klucz.

Błysk oczu sędziego zdradził, że ta sytuacja napawa go wielką satysfakcją. Był o krok od pomyślnego zakończenia powierzonej mu sprawy i już cieszył się na myśl o nagrodzie, jaką otrzyma od hrabiego.

— Panowie, to będzie moja ostatnia czynność, zatem proszę, byście zechcieli mi towarzyszyć.

Wszyscy czterej zeszli po schodach i skierowali się do kaplicy w głębi ogrodu.

— Don Barbany, proszę otworzyć.

W głosie sędziego zabrzmiała nuta triumfu.

Marti włożył wielki klucz do zamka w drzwiach i powoli zaczął go przekręcać, wprawiając w ruch mechanizm.

Bonfill odsunął całą trójkę, po czym sam otworzył ciężkie drewniane drzwi. Przez wielobarwne szkiełka rozety zaglądały do środka promienie zachodzącego słońca. Sędzia podszedł do sarkofagu i rozpoczął dokładne oględziny. U wezłowią zobaczył krzyż z marmuru, a od przodu płytę nagrobną, na której można było przeczytać słowa świętego Augustyna: „Nie pozwól, Panie, aby ci, których na ziemi złączyła miłość, byli rozdzieleni w niebie”. Twarze Martiego i jego wiernych przyjaciół rozjaśnił triumfalny uśmiech.



Tego wieczoru w dwóch różnych salonach barcelońskich rozegrały się dwie odmienne sceny. W domu na placu Sant Miquel Martí Barbany wraz z przyjaciółmi Feletem i Manipoulosem zasiadł do wystawnej wieczerzy.

— Nie zapomnę miny sędziego, kiedy przeczytał ten napis na płycie nagrobnej! — powtarzał Grek.

— A ja chciałbym zobaczyć, jaką minę zrobi osoba, która złożyła doniesienie o rzekomym przestępstwie, na wieść o rezultatach rewizji — dodał Felet.

Marti uśmiechnął się, aczkolwiek w jego oczach wciąż tlił się niepokój.

— Powinniśmy podziękować zmarłemu hrabiemu, że na krótko przed śmiercią powiadomił mnie przez wiernego Eudalda o krążących w pałacu pogłoskach... Gdyby tego nie zrobił, nie byłoby mi teraz do śmiechu.

Tymczasem w hrabiowskim pałacu rozgniewany Berenguer brutalnie wyrzucał za drzwi sędziego Bonfilla. Młody hrabia, nękany napadami wściekłości i pragnieniem zemsty, nie mógł zasnąć tej nocy.

Decydująca rozmowa

Następnego dnia rano Berenguer miotał się po salonie jak dzikie zwierzę w klatce, z rękami skrzyżowanymi na plecach i posępnym spojrzeniem. Spodziewał się gościa i czekając na niego, nerwowo rozmyślał o różnych sprawach. Wiedział, że nie może podjąć żadnych działań przeciwko Adelais de Cabrera — osobie, która dostarczyła mu tę fałszywą, jak się okazało, informację — ponieważ jego zemsta wzbudziłaby podejrzenia... ale na pewno się postara, aby ta oszustka nie przestąpiła więcej progów pałacu, dopóki on żyje. Jak mogła ośmieszyć go przed sędzią i pozostałymi notablami! Wzbierała w nim nienawiść nie tylko do tej zawistnej damy, ale i do armatora, tego wiecznego protegowanego nieżyjącej pary hrabiowskiej. Był przekonany, że Barbany wywiódł w pole jego ludzi, i zastanawiał się, jak to było możliwe. Doprowadzało go do wściekłości, że olbrzymi majątek armatora nie przejdzie na własność hrabstwa, tak jak planował; chciwość Berenguera była równie wielka jak złość, którą budziła w nim myśl, że Marta Barbany znowu mu się wymyka, choć już niemal była w zasięgu jego ręki. Rzecz jasna, nie zamierzał zrezygnować z kaprysu posiadania tej dziewczyny... W tym momencie ktoś delikatnie zapukał i uchylił drzwi.

— Dostojny panie, Bernabé Mainar czeka w antykamerze. Mówi, że został wezwany — zaanonsował dyżurny szambelan.

— Przecież mówiłem, żebyś go wprowadził, gdy tylko przyjdzie! — wrzasnął Berenguer. — Na co jeszcze czekasz?

Szambelan, który dobrze znał ataki gniewu swojego pana, wycofał się tyłem z salonu, jak nakazywała dworska etykieta.

Po chwili drzwi otworzyły się ponownie i pojawiła się w nich charakterystyczna sylwetka jednookiego z zielonym aksamitnym beretem w ręce i z taką samą przepaską na oku.

Przybysz stał nieruchomo, dopóki hrabia nie zaprosił go do wejścia.

Głos Berenguera wyostrzył wszystkie jego zmysły; Mainar miał przeczucie, że długa droga, jaką przebył do tej chwili, zmierzając do swoich celów, nareszcie dobiega końca.

— Zbliżcie się, Mainarze, i zajmijcie miejsce.

Podszedłszy do stołu, jednooki usiadł na krześle z lewej strony, czując na sobie krytyczne spojrzenie hrabiego, i zgodnie z etykietą zachował milczenie, dopóki hrabia nie odezwał się pierwszy.

— Powiedziałem wam jakiś czas temu, że mam pomysł na zrujnowanie Martiego Barbany. Pamiętacie?

Jednooki przytaknął bez słowa. Wyczuwał, że zbliża się ten najważniejszy moment.

— No tak — kontynuował Berenguer — ale nic z tego nie wyszło. Moje plany spaliły na panewce...

— I co zamierzacie teraz zrobić? — zapytał cicho Mainar.

— Jestem tak wściekły, że najchętniej rozszarpałbym go własnymi rękoma...

— Gniew jest złym doradcą, hrabio — odparł jednooki. — Przypomnijcie sobie, jak skończył wasz przyrodni brat wskutek braku kontroli nad swoją impulsywnością.

Berenguer wbił w niego świdrujący wzrok.

— Chcecie powiedzieć, że mam siedzieć z założonymi rękami i zapomnieć o tym wszystkim?

— Nic podobnego, panie. Mówię tylko, że powinniście trzymać się na uboczu wszelkich działań wymierzonych w szanownego doña Martiego Barbany.

Berenguer w zakłopotaniu uniósł brwi.

— Jeśli mi pozwolicie — ciągnął Mainar, ścisząc głos — sam się tym zajmę i uwolnię was od tego kłopotliwego obywatela raz na zawsze. Nie pytajcie o nic — dodał z ponurym uśmiechem. — Im mniej będziecie wiedzieć, tym lepiej dla was. Powiem wam tylko tyle, że mając waszą zgodę, zrobię tak, aby w ciągu tygodnia Marti

Barbany spoczął na wieki obok swojej ukochanej żony. A wtedy jego córka będzie zdana na waszą łaskę i niełaskę.

Zapała cisza. Trzask polan w kominku był jedynym dźwiękiem w salonie.

— A zatem? — zapytał Mainar.

Berenguer powoli skinął głową.

— Róbcie, co uważacie za wskazane. Gdy się to wszystko skończy, wynagrodzę was sownie.

Zbrodnia z premedytacją pod osłoną nocy

Nadszedł długo oczekiwany dzień. Bernabé Mainar od dawna już nie czuł tego osobliwego łaskotania w lędźwiach, które teraz bieгло wzdłuż kręgosłupa, przedostawało się do krwioobiegu i rozchodziło po całym ciele. Tej nocy dokona swojej zemsty. A potem zadowolony Najwyższego Przewodnika, zasilając skarbiec zakonny, i zdobędzie upragnione stanowisko na dworze. Plan, tyle razy obmyślany i poprawiany, był perfekcyjny w każdym szczególe. Godzina, sposób działania, narzędzia zbrodni... wszystko pasowało do siebie jak w doskonałym mechanizmie. Jednooki zaczął przygotowywać się w alkowie niczym kapłan nieznanego kultu, który zamierza złożyć krwawą ofiarę błagalną wedle rytuału swojej dziwnej wiary. Powoli rozebrał się do naga, podszedł do szafy i wyjął czarne nogawice opinające jego długie nogi jak druga skóra, następnie wdział cienką koszulę z tkaniny ściśle przylegającej do ciała i wsunawszy stopy w delikatne trzewiki również koloru czarnego, zebrał włosy nisko nad karkiem i nałożył dziwną czapkę, która jak maska zakrywała mu całą twarz oprócz nosa. Tak ubrany podszedł do wiszącego wysoko lustro z wypolerowanej miedzi. Obraz, jaki w nim zobaczył, przypominał wielkiego czarnego pająka i pamięć podsunęła mu w tym momencie mgliste wspomnienie twarzy ojca. Zadowolony ze swojego wyglądu podszedł do dębowego kufra i po otwarciu nabijanego gwoździami wieka wyciągnął kilka rzeczy: czarne rękaw-

wiczki, cienki sztylet z pochwą, którą przypiął do pasa, zwój sznura zakończony żelaznym hakiem i najbardziej ulubione ze wszystkich narzędzi śmierci, jakimi się posługiwał — dmuchawkę o długości przedramienia, zrobioną z trzciny rosnącej nad brzegami Nilu, z czymś w rodzaju ustnika na jednym z końców. Następnie wygrzebał skórzany woreczek i sprawdził, czy zawiera jego skarb: cztery małe strzały z ostrymi grotami i lotkami z trzech delikatnych piórek. Na koniec wyjął ostrożnie szklaną ampułkę z zalakowanym otworem, potrząsnął i długo obserwował falujący wewnątrz płyn. Włożywszy to wszystko do niedużej torby, którą zawiesił na ramieniu, Bernabé Mainar owinął się czarną peleryną sięgającą do kostek i przez ukryte drzwi wyszedł prosto do ogrodu. Po chwili był na ulicy, gdzie czekał na niego wyładowany workami wóz i trzech jego ludzi.

Ta noc wyjątkowo mu sprzyjała: gęste chmury na niebie przesłaniały światło księżyca i ani jedna gwiazda nie świeciła na firmamencie nad Barceloną. Nie musiał nic mówić: jego towarzysze doskonale wiedzieli, dokąd jada i co mają robić. Mainar w milczeniu wskoczył na wóz i zanim woźnica zdążył popędzić konie, jeden z siedzących z tyłu podał mu duży worek, żeby się w nim ukrył. Kiedy był już w środku, mężczyzna szybko zawiązał na worku supeł.



Dzwony Pia Almoina wezwały na jutrznię. Wartownik, który strzegł południowego krańca murów otaczających posiadłość Martie-go Barbany, usłyszał turkot kół na drodze. Natychmiast przypomniał sobie surowe rozkazy swojego dowódcy Gaufreda. Odkąd chlebobawca otrzymał makabryczny prezent od nieznanego ofiarodawcy, cały wewnętrzny system ochrony został wzmocniony. Podwojono strażę i po każdym biciu kościelnych dzwonów ront wychodził na mury, żeby podając hasło i pytając o odzew, sprawdzić czujność wart. Czterokołowy wóz zatrzymał się przy kłapie w murze od strony kuchni. Był to koniec miesiąca, więc wartownik pomyślał, że przywożą drewno, ale na wszelki wypadek postanowił to skontrolować i ruszył w kierunku wozu z włócznią gotową do ataku.

Kiedy podszedł bliżej, dostrzegł trzech mężczyzn: dwóch na koźle i jednego z tyłu. Ten ostatni robił coś przy workach.

— Zapewne przywozicie drewno na opał.

Jeden z nich, opierając nogę na przednim kole, zsunął się z kozła i odburknął opryskliwie:

— O tej porze można nas uznać za wyrzutek Barcelony. Komu innemu chciałoby się pracować do późnej nocy, zamiast spokojnie spać w swoim łóżku, jak przystało na dobrego chrześcijanina?

— Każdy człowiek ma jakieś obowiązki. Pośpieszcie się, a potem odjeżdżajcie od razu, żeby nie zastawiać ulicy.

— Spokojna głowa — powiedział drugi — nie mamy zamiaru zostać tu ani chwili dłużej niż trzeba. Tylko wyładujemy i znikamy. — I zwracając się do swojego kompana, dodał: — Chodź, zabieramy się do roboty.

Odszedłszy kilka kroków dalej, wartownik zatrzymał się w połowie drogi między wozem a swoim stanowiskiem przy murach, żeby mieć tych ludzi na oku.

— Pomóż mi, sam nie dam rady.

Wóznicza zszedł z kozła i przytrzymał zaprzęg, podczas gdy tamci dwaj zdejmowali worki. Układali je koło otworu w murze, po czym jeden podnosił nogą klapę, a drugi wsuwał worki do środka, mocno je popychając, żeby zjechały po drewnianej pochylni, która kończyła się w piwnicy przy kuchni.

Trzeci worek potoczył się nierówno i zatrzymał przy przepierzeniu oddzielającym drewnię od spiżarni. Dłoń w czarnej rękawiczce wysunęła się przez szczelinę w płótnie, przecinając je sztyletem od góry do dołu. Bernabé Mainar wygramolił się z kryjówki, schował sztylet, poprawił maskę na twarzy i podszedł do drewnianej ścianki, żeby zajrzeć przez szparę. Wodząc jedynym okiem po kuchni, odnotowywał każdy szczegół: na stole stał zapalony kaganek, jakby ktoś specjalnie go tu zostawił. Nie widząc nikogo w pobliżu, Mainar wdrapał się na dwa worki ustawione jeden na drugim, przełożył nogę nad przepierzeniem i zwinnie przeskoczył na drugą stronę, nie czyniąc najmniejszego hałasu.



Marti Barbany przewracał się w swoim łożu z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Ostatnio zdarzało mu się to coraz częściej. Gdy tak leżał, nachodziły go złe myśli, z którymi nie umiał sobie poradzić. Od czasu rewizji w domu i w kaplicy miał niejasne przeczucie zagrożenia wiszącego nad nim i jego najbliższymi. Co by było,

gdyby zacny hrabia nie przestrzegł ojca Llobeta? Z pewnością on, Marti, miałby teraz przeciwko sobie władze Kościoła i hrabstwa... Westchnął ciężko i mimo że leżał pod kocami, poczuł, że przeszywa go zimny dreszcz. Kto mu tak źle życzył? Kto chciał wykorzystać tajemnicę ukrytą w prywatnej kaplicy, by zniesławić jednego z najważniejszych obywateli Barcelony, i czemu to miało służyć? A przede wszystkim co by się stało z Martą, gdyby jego oskarżono o apostazję i wyzuto z majątku?



W kuchni panowała cisza niemal absolutna: nic nie zakłócało nocnego spokoju. Dawał się tylko słyszeć trzask drew i pośpieszne szuranie małych gryzoni. Wtem Mainar poczuł, że jest obserwowany, i instynktownie położył prawą dłoń na rękojeści sztyletu. Ujrzał oczy kota, który przycupnął na kredensie i z zaciekawieniem rozglądał się na wszystkie strony. Nagle w kręgu padającego z kaganka światła zamajaczył jakiś cień, co zmusiło Mainara do ukrycia się za wielkim kominem. Zobaczył staruszkę o śnieżnych, zmierzwionych włosach, odzianą w długą białą koszulę; poruszała się, jakby tańczyła bez akompaniamentu muzyki. Kobieta podeszła do kota i chwyciwszy go za kark, wróciła tam, skąd przyszła, zabierając ze sobą zapalony kaganek; jej wargi poruszały się nieustannie, wypowiadając niezborne słowa, w których Mainar nie mógł się doszukać żadnego sensu.

— Dlaczego jeszcze nie śpisz? Jest już bardzo późno, chodź do łóżka... — szepnęła Naima do kota.

Kuchnia znów się pogłężyła w absolutnej ciemności, co wcale nie przeszkadzało intruzowi. Zaczął się sposobić do planowanej i obmyślanej od dawna zemsty.

Dzięki informacjom nieszczęsnej Gueraldy znał ten dom jak własny. Wyszedł więc z kuchni i schodami dla służby dotarł na parter. Płonąca żagiew oświetlała fragment poręczy i słupki dębowej balustrady, która szeroką ślimacznicą prowadziła na pierwsze piętro. Mainar pokonywał po dwa stopnie naraz. Sypialnia jego wroga mieściła się na końcu korytarza. Ruszył w tamtą stronę i kiedy znalazł się na miejscu, najostrożniej jak umiał nacisnął uchwyt u drzwi, ale, tak jak się spodziewał, były zamknięte od wewnątrz na zasuwę. Nie zastanawiając się ani chwili, Mainar w dwóch

susach znalazł się na tarasie w głębi korytarza. Wiatr poruszał zasłonami. Tym lepiej, pomyślał, przynajmniej nikt z zewnątrz się nie zdziwi, kiedy odsunę zasłony. Wychylił się ukradkiem i stwierdził, że taras dzieli zaledwie krok od balkonu sypialni. Sprawdziwszy, czy z murów nikt na niego nie patrzy, przeskoczył przez poręcz. Następnie oparł jedną nogę na występie muru i skoczył ukosem, jak na konia, na parapet sypialni nienawistnego wroga. Ostrożnie odsunął zasłaniającą okno kotarę i jego jedynemu oku ukazała się scena, o której marzył latami. Pośrodku mrocznego pokoju stało wielkie łóżo z baldachimem, a na nim rysowała się jakaś wypukłość, z pewnością ciało człowieka, którego obwiniał o śmierć swojego ojca.

Myśl o córce sprawiła, że niepokój Martiego przybrał inną formę, niemającą nic wspólnego ze sprawą bezpieczeństwa czy z majątkiem. Chociaż upłynęło już wiele miesięcy, młody Bertran wciąż nie wracał z Cardony... Marti zacisnął pięści na wspomnienie smutnej twarzy Marty, kiedy ostatnio poszedł ją odwiedzić w klasztorze. Nie chciała się przyznać, lecz Marti czuł, że jej serce cierpi w milczeniu, tak jak przewidywał kilka lat temu... Przeklęta szlachta! — pomyślał i po raz nie wiedzieć który w ostatnich latach zaczął obwiniać samego siebie. Gdyby nie oddał Marty do pałacu, nie doszłoby do tego. Nigdy nie spotkałaby syna wicehrabiego Cardony i teraz byłaby w domu razem z ojcem, ze swoimi, tu, gdzie jej miejsce. Jak zwykle gdy rozmyślał o córce, prędzej czy później pojawiało się wspomnienie Ruth. Oczami duszy widział jej piękną twarz, która nigdy się nie zestarzała, twarz gładką, o łagodnych rysach, stanowczą i uśmiechniętą. Marti przymknął oczy, poddając się wspomnieniom, które były dla niego jak pieszczota. Miał nadzieję, że Ruth w niebie zrozumie, dlaczego musiał usunąć z jej grobu symbole wiary, o które prosiła w ostatniej chwili życia... Zazwyczaj chętnie dawał się łudzić cieniom w półmroku alkowy i zasypiał z wrażeniem, że Ruth leży obok niego; dopiero świt przywracał go do smutnej rzeczywistości. Ale tej nocy piękne marzenia przerwał mu jakiś hałas dobiegający od okna. Na wpół senny Marti Barbany uniósł się na łóżku, żeby sprawdzić, co to takiego.

Mainar skradał się ostrożnie. Pogrzebał w swojej torbie, wyciągnął małe, lotne strzałki i położył je jedną obok drugiej na parapecie okiennym; potem wyszperał po omacku szklaną ampułkę, zeszkrobał lak sztyletem i zamoczył grot strzały w ciemnym, gęstym płynie, a na koniec wyjął dmuchawkę i załadował do niej zatrutą strzałę. Wszystko było gotowe. Podniósł rurkę do ust, zastanawiając się jedynie, w jaki punkt wymierzyć. W tym momencie leżący na łóżku człowiek zaczął się podnosić. Oko Mainara rozbłysło morderczym instynktem. Pamięć o ojcu i ostatnie życzenie ich dobroczyńcy, Bernata Montcusi, kierowały jego gestami. Podniósł dmuchawkę do ust, wykonując czynności, jakie wielokrotnie przećwiczył na zwierzętach w ruchu. Wycelował, krótko dmuchnął w rurkę i wysłał małego posłańca śmierci ku jego przeznaczeniu. Strzała przeszła powietrze jak rozszoszony trzmiel.

Marti poczuł ukłucie w szyję i instynktownie dotknął tego miejsca. Jego palce napotkały coś, czego nie umiał zidentyfikować. Zdumiony, próbował to wyrwać, ale trucizna zaczęła działać... Ciałem wstrząsały przedśmiertne spazmy i nie mógł się już podnieść, chociaż bardzo się starał.

— Giń, Barbany — powiedział Mainar, zbliżając się do łóżka i mówiąc na tyle głośno, by umierający go słyszał. — Za mojego ojca Luciana Santangela, za mojego dobrego przyjaciela Bernata Montcusi... Wybiła godzina zemsty.

Umysł Martiego zapadał się w ślepią studnię, serce biło coraz słabiej, opuszczały go siły... Niemniej w ostatnim błysku świadomości, zanim upadł bezwładnie na pościel, rozpoznał ten głos. Umarł z wyrazem zdziwienia na twarzy i Mainar uśmiechnął się zadowolony, gdyż wszystko poszło tak, jak zaplanował. Wytrząsnął resztki płynu z ampułki, schował do torby swoje rzeczy i wycofał się tą samą drogą, którą przyszedł. Znalazłszy się w kuchni, przeskoczył przez przepierzenie do drewnutni. Żelazny hak na końcu sznura kołysał się nad workami. Mainar, pociągając za sznur, dał wspólnikom umówiony znak i natychmiast otrzymał odpowiedź z drugiej strony. Wdrapał się po sznurze na rampę i zaczął czekać, aż jego ludzie wykorzystają moment, kiedy nikogo nie będzie w pobliżu, i otworzą kłapę. Po chwili krótkiej niczym westchnienie siedział ukryty w wozie, słuchając, jak woźnica żegna się z wartownikiem. Wtedy, z poczuciem spełnionego obowiązku, wreszcie się odprężył.

122

Po burzy

Wiadomość o śmierci Martiego Barbany rozeszła się po Barcelonie lotem błyskawicy. Pierwsze pogłoski mówiły, że umarł w swoim łóżku we śnie, ale w miarę upływu czasu dowiadywano się coraz więcej o okolicznościach jego śmierci i domysłem nie było końca. Tylko jedno miejsce pozostało obojętne na zgiełk i konsternację, jakie wywołała ta tragedia.



Grube mury klasztoru Sant Pere de les Puelles izolowały zakonnice od wszelkich wieści z zewnątrz. Co prawda dwie siostry — furtianka i ogrodniczka — miały kontakt z ludźmi spoza klasztoru, ale wypełniając ślub posłuszeństwa i wyraźny rozkaz przeorzy, nikomu oprócz niej nie przekazywały uzyskanych informacji.

Nazajutrz po tragedii Eudald Llobet, blady, ze zmienioną twarzą, wpadł jak wicher do gabinetu siostry przełożonej.

— Słyszałaś, matko?

Adela de Monsargues patrzyła na klasztornego spowiednika, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Mój przyjaciel Marti Barbany został zamordowany.

— Co wy mówicie?!

— Ktoś wtargnął do jego domu, nie wiadomo w jaki sposób, i z balkonu przed sypialnią wypuścił zatrutą strzałkę, która go

zabiła. Święty Boże! Nie tak dawno mój koadiutor stracił życie i zaprzedał duszę...! A teraz takie nieszczęście! Przeorysza się przeżegnała.

— Niech będzie pochwalony! Jak wasza wielbność się o tym dowiedział?

— Dziś rano poszedłem wcześniej do biblioteki Pia Almoina, a tam czekało na mnie pilne wezwanie. Od razu udałem się więc do domu na placu Sant Miquel... Trafiłem w sam środek chaosu, wszędzie było pełno ludzi: *veguer*, medyk, sędziowie, naczelnny notariusz i wysocy urzędnicy pałacu. Porozmawiałem z domownikami. Nikt nie pojmuje, jak można było przedostać się przez mur mimo wzmocnionych straży i częstej zmiany wartowników... Jakiś czas temu mój przyjaciel otrzymał groźbę w postaci głowy jaszczurki, co wedle kapitana Manipoulosa jest zwyczajem dziwnej sekty heretyków znad Nilu.

— Czy coś już wykryto? — zapytała przełożona.

— Sędziowie hrabiego prowadzą dochodzenie, ale wątpię, czy trafią na ślad mordercy... Wiecie, jak działa wymiar sprawiedliwości po śmierci starego hrabiego. Wiadomo jedynie, że tej nocy pojawili się przed posiadłością Martiego rzekomi roznosiciele drewna, którzy okazali się podstawieni... Nic więcej nie udało się ustalić.

Zapadła cisza. Oboje myśleli o tym samym.

— Biedna Marta... — westchnęła zakłopotana przeorysza. — Jak powiedzieć tej dziewczynie, że jej ojciec został zamordowany?

— Wezwijcie ją, wielbna matko, a ja się tym zajmę.



Marta weszła do biblioteki razem z Aminą. Z wyrazu twarzy ojca chrzestnego i z gestu, jakim przeorysza nakazała pokojówce zostawić ich samych, domyśliła się, że musiało zajść coś bardzo złego.

Pokłoniła się lekko i splótłszy dłonie na podołku, odczekała, aż matka przełożona rozpocznie rozmowę, a kiedy usłyszała ton jej głosu, nabrała pewności, że przeczucie ją nie myli.

— Usiądźcie, córko. Ojciec Llobet ma wam coś do powiedzenia.

Marta przysiadła na krześle naprzeciw archidiakona i umierając z niepokoju, zapytała:

— Co się stało?

Chrzestny wziął ją za rękę, która drżała jak pisklę, co wypadło z gniazda.

— Marto, musisz być silna... Życie nie szczędzi nam bolesnych ciosów...

Dziewczyna miała nerwy napięte jak struny wioli.

— Coś złego przydarzyło się Bertranowi? Odpowiedz, ojcie chrzestny!

— To nie to, Marto.

— Zatem — powiedziała, patrząc na zakonnicę — coś przydarzyło się Ahmedowi i dlatego kazaliście Aminie wyjść.

— Nie, córko. Ahmed ma się dobrze.

— Na Boga, ojcie chrzestny! Nie każcie mi zgadywać!

— Twój ojciec...

— Co z moim ojcem?! — krzyknęła Marta, zrywając się na nogi.

— Nic żyje, Marto.

W pomieszczeniu zaległa cisza.

— To niemożliwe... — szepnęła Marta. — Co mu się stało?

Pocciwy archidiacon na chwilę oniemiał. Jak przekazać chrześniacze okrutną prawdę? Jak powiedzieć, że jej ojciec został podstępnie zamordowany? Westchnął ciężko i rzekł:

— Nie ma go już na tym świecie, moja córko. Dołączył do twojej matki przed obliczem Stwórcy.

Marta poczuła przerażenie. Instynktownie podniosła prawą dłoń do ust, żeby zdusić rodzący się krzyk. Wszystko zawirowało jej przed oczami.

— Twój ojciec był najlepszym z ludzi, jakich znałem. Powinnaś dziękować Bogu, że przez tyle czasu mogłaś go mieć u swego boku.

Dziewczyna patrzyła na niego niewidzącymi oczyma.

Odezwała się przeorysza.

— Jestem pewna, że witał go chór aniołów. Wieczorem cała nasza wspólnota poleci jego duszę Najwyższemu. Ty też módl się za niego.

Marta już nic nie słyszała, cios był zbyt okrutny, by jej umysł mógł go przyjąć. Powstrzymując rozpaczliwy jęk, upadła zemdlna.

W uroczystościach pogrzebowych uczestniczyły niezliczone rzesze. Rano ustawiono na dziedzińcu domu przy placu Sant Miquel katafalk pod trumnę. Z pałacu przybył oddział zbrojnych, żeby pilnować porządku, kiedy pospólstwo przyjdzie tłumnie pożegnać

człowieka, który za życia zrobił dla prostych ludzi tyle dobrego. Po prawej stronie umieszczono niewielkie podwyższenie, żeby jedyna córka w otoczeniu najbliższych mogła spokojnie przyjmować kondolencje i wyrazy bólu, a po lewej stało drugie, przeznaczone dla prominentnych rodzin Barcelony.

Wszystkie dzwony miasta były żałobnie na cześć wybitnego obywatela. Marta, odziana w habit postulantki, przyjechała zamkniętym powozem wraz z siostrą przełożoną Adelą de Monsargues, ojcem Llobetem i Aminą. Żołnierze torowali im drogę, odpychając drzewcem włócznie cisnące się tłumy. Zaledwie powóz przez mały wjazd w głównej bramie wtoczył się na dziedziniec, domownicy i przyjaciele zmarłego rzucili się z płaczem ku Marcie, przytłoczeni bólem. Zjawili się wszyscy. Ulubieni kapitanowie jej ojca Jofre i Felet, majordom Andreu Codina, kucharka Marion, dawna mamka Amancia, dowódca straży Gaufred i Ahmed, który wraz z Manelem oczekiwał z tyłu, żeby podejść do swojej pani, kiedy już pozostali złożą jej kondolencje.

Przyjawszy szczere wyrazy współczucia, Marta poszła ze swoim chrzestnym spojrzeć jeszcze na ojca, zanim trumna z jego zwłokami spocznie na katafalku, aby lud barceloński mógł go pożegnać. Jako że Marti pragnął być pochowany obok żony, egzekwiom żałobnym nadano charakter całkowicie prywatny. Obolała Marta weszła do dużej sieni razem z ojcem chrzestnym i przeoryszą Adelą de Monsargues i skierowała się na schody, po których tyle razy biegała; nie potrafiła sobie wyobrazić, że kiedy znajdzie się na górze i wejdzie do salonu, nie zobaczy ojca czekającego na nią z otwartymi ramionami. Nastąpił kulminacyjny moment: przed zamkniętymi drzwiami, zza których dochodziły głosy modlitwy, pełnili wartę dwaj podwładni Gaufreda. Jeden z nich otworzył przed nią drzwi i w tym momencie Marta uzmysłowiła sobie, że została sama na świecie, i chociaż czuła na ramieniu pokrzepiający dotyk dłoni ojca Llobeta, taka żałość ścisnęła jej serce, że nie mogła oddychać i bardziej niż kiedykolwiek dotąd odczuła potrzebę obecności Bertrana.

Posuwając się niemal na palcach, podeszła do okazałej dębowej trumny ze zwłokami ojca; skrzynia była otwarta, a wieko z okuciami z brązu i wielkim krucyfiksem pośrodku stało obok. Trumnę otaczały cztery grube gromnice, Marti leżał przykryty po szyję całunem

z nieskazitelnie białego płótna, w złożonych dużych dłoniach trzymał srebrny krzyż, spod całunu wystawały stopy w mnisich sandałach. Wtem w Marcie zaszła przemiana: wydało jej się, że ojca tutaj nie ma, że obserwuje ją gdzieś z oddali i stamtąd będzie zawsze nad nią czuwał. Modlitwy nagle ustały, po jej prawej ręce stanął kapitan Manipoulos z poszarzałą twarzą, po której spływała łza znikająca w kąciку ust. Z lewej strony klękała Caterina, próbując ucałować jej dłoń i szepcząc: „Moje dziecko, moje biedne dziecko”. Wtedy Marta, przeszyta nieznośnym bólem, osunęła się w ramiona tych dwojga. Ale natychmiast obudził się w niej bojowy instynkt przodków i odsunawszy kapitana i ochmistrzynię, pochyliła się nad ciałem ojca, aby złożyć pocałunek na jego czole, po czym, wyprostowana, zwróciła się do czuwających przy trumnie jak ktoś, kto zamierza złożyć publiczną deklarację.

— Przysięgam na Boga żywego, ojcze drogi, że was nie zawiodę i nigdy nie przyniosę ujmy waszemu nazwisku. Przez całe moje życie będziecie dla mnie wzorem godnym naśladowania. — I zwracając się do archidiakona, powiedziała: — Ojcze chrestny, kaźcie znieść trumnę na dziedziniec. Mieszkańcy Barcelony mają prawo pożegnać człowieka, który robił dla nich wiele dobra i tak bardzo dbał o polepszenie warunków życia.

W tym momencie otworzyły się drzwi i w progu stanął zaskoczony Gaufred.

— Kapitanie Manipoulos, nadciąga orszak hrabiego Berenguera!

Te słowa wywołały ogólne poruszenie. Na rozkaz Greka kilku mężczyzn wzięło na ramiona ciężką trumnę, żeby znieść ją na dziedziniec paradny i ustawić na katafalku. Płaczk i domownicy w pośpiechu ustawiali się na wyznaczonych dla nich miejscach.

Marta zeszała po wielkich schodach za trumną, mając u swego boku archidiakona i przeoryszę, i zatrzymała się w sieni, żeby poczekać, aż wszystko będzie gotowe. Potem weszła na przygotowane dla niej podwyższenie, a w tym samym czasie otworzyły się podwoje przed hrabią Barcelony. Berenguer Ramón z orszakiem wysokich dygnitarzy, doradców, sędziów, senesza i dam dworu zdążył w kierunku drugiego podwyższenia, żeby zająć honorowe miejsce.

Zaraz potem pojawił się na dziedzińcu wraz z towarzyszącymi kanonikami biskup Odó de Monteadą w ceremonialnych szatach,

aby przewodniczyć obrzędowi żałobnym i pochówkowi wielkiego syna miasta. Zgromadzeni wysłuchali nabożeństwa w przejmującym milczeniu, a następnie ustawili się w szeregu, z hrabią na czele, aby przejść przed Martą, pokłonić się jej i złożyć wyrazy współczucia.

Kiedy hrabia znalazł się przed córką zmarłego, oddzielony od niej tylko małą barierką, ostentacyjnie wziął ją za rękę i schylił z szacunkiem głowę, aby ucałować jej dłoń, której nie wypuścił, dopóki nie złożył kondolencji.

— Droga Marto Barbany, w imieniu własnym i rodziny hrabiowskiej, do której jeszcze nie tak dawno należeliście jako dama mojej matki, składam wam najszczersze wyrazy żalu z powodu nieoczekiwanej i okrutnej śmierci waszego ojca, jednego z moich najdroższych i najlojalniejszych poddanych. Pragnę wam powiedzieć, że nie ustane, dopóki nie odzyskam sprawcy tej zbrodni, a jednocześnie zapewnić, że zawsze znajdziecie we mnie najpokorniejszego sługę — dodał, patrząc jej głęboko w oczy — o czym dobrze wiecie od dawna.

Marta zadrżała pod jego natarczywym spojrzeniem. Usiłowała wyrwać mu dłoń, ale trzymał ją mocno. Zorientowawszy się w sytuacji, ojciec Llobet wbił oczy w twarz Berenguera. Ten dostrzegł wyraz dezaprobaty na pochmurnym obliczu archidiakona i nie miał innego wyjścia, jak tylko odsunąć się i zrobić miejsce innym. Jednakże już do końca ceremonii Marta miała świadomość, że hrabia ani na chwilę nie przestaje jej obserwować, i do bólu z powodu śmierci ojca dołączył się jeszcze paniczny strach.

Wieczorem, kiedy wszyscy już odeszli, wyczerpana i obolała Marta, walcząc ze zmęczeniem i starając się pomimo gorzkich przeżyć, jakich zaznała w ciągu tego dnia, nie tracić ducha, opadła na krzesło w salonie swojego domu. Jakże to dziwne, pomyślała. Miejsce, gdzie spędziła większą część życia i z którym wiązały się jej najmiłsze wspomnienia, nie było już jej domem. Tak to czuła, a zarazem uzmysławiając sobie to wrażenie, pogrążyła się w jeszcze większym żalu: bez gospodarza, bez tego ojca czasem posepnego, często nieobecnego, ale zawsze czulego i opiekuńczego, to miejsce nie było takie samo. Odtąd, uznała, może mieć dom tylko tam, gdzie będzie razem z Bertranem, wszystko jedno w jakim miejscu. Smutek ścisnął jej serce. Gdzie on teraz przebywa? Czy nie zapomniał

o niej? Przez cały dzień, spoglądając na twarze ludzi, którzy podchodzili złożyć jej wyrazy uszanowania, spodziewała się ujrzeć Bertrana z Cardony, lecz te nadzieje spełzły na niczym. Było jej przykro, że nie pojawił się przy niej w najcięższym momencie życia, chwilami go za to nienawidziła, aczkolwiek w głębi serca coś jej mówiło, że jeśli nie przybył, to znaczy, że nie mógł. Rozejrzała się wokół, wodząc wzrokiem po znajomych meblach, które teraz wydawały jej się obce. Z zadumy wyrwał ją głos kochanego ojca chrzestnego.

— Musisz coś zjeść, Marto. Mariona dała mi dla ciebie trochę bulionu — powiedział archidiakon, stawiając filiżankę na pobliskim stoliku.

— Nic nie przełknę, ojcie chrzestny.

— Marto... Jest coś, o czym musimy porozmawiać jeszcze dziś.

— Widzieliście to samo co ja, prawda? — zapytała dziewczyna z goryczą.

Kapłan przytaknął, usiłując pohamować gniew.

— Patrzył na mnie, jak myśliwy patrzy na zwierzynę, zanim wypuści strzałę, która bezpowrotnie pozbawi ją życia.

— Marto... sytuacja jest znacznie poważniejsza niż przedtem, ponieważ twój ojciec nie żyje, a Berenguer doszedł do władzy. Nie chcę nawet myśleć o tym, do czego jest zdolny ten człowiek bez serca.

Marta spuściła wzrok.

— Posłuchaj, córko — kontynuował ksiądz, usiadłszy obok niej. — Dobrze wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć i uczynię wszystko co w mojej mocy, aby chronić cię przed wszelkim złem. Twój ojciec zobowiązał mnie do tego przed laty, zaraz po twoich narodzinach, a także... — dodał ciszej — w swoim testamencie. Jeszcze nie przystąpiono do oficjalnego odczytania jego ostatniej woli, aleja znam treść, ponieważ mówił mi o tym wiele razy. Jesteś jego jedyną spadkobierczynią, aja opiekunem twojego majątku do czasu, aż skończysz osiemnaście lat albo za moją zgodą zawrzesz małżeństwo. Manipoulos i kapitan Munt zajmą się prowadzeniem interesów twojego ojca, chociaż bez niego będzie im bardzo trudno...

— Ojcie chrzestny, teraz nie chcę mówić o tych sprawach...

— Wiem — przerwał jej archidiakon — ale to konieczne. Pragnę, żebyś wiedziała, że zawsze będę służyć ci radą i nie zawiodę

twojego zaufania. Uważam, że powinnaś jak najszybciej wrócić do klasztoru. Mam wrażenie, że tylko jego święte mury ochronią cię przed tym nikczemnikiem.

Marta przytaknęła.

— Chcę tam wrócić, ojczyzno chrestny. Chwilowo on jest moim domem. — I ze smutkiem, lecz stanowczo, jakby rzuciła wyzwanie całemu światu, dodała: — Obiecałam poczekać w klasztorze na Bertrana i dotrzymam słowa... choćbym musiała czekać nie wiem jak długo.

Kłopotliwa wizyta

Usłyszawszy stukot końskich kopyt i turkot kół ciężkiego powozu na brukowanej alejce wiodącej do klasztoru Sant Pere de les Puelles, matka Adela de Monsargues odłożyła na bok listę wydatków, które omawiała z siostrą ekonomką, wstała od stołu i wyjrzała przez okno na dziedziniec. Kiedy zobaczyła hrabiowski herb na drzwiczkach karocy, wiedziała, kto przybywa. Berenguer, który w tym półroczu rządził hrabstwem, zawitał do klasztoru o nietypowej dlań godzinie i nie tego dnia co zazwyczaj. Było to o tyle dziwne, że w tym miesiącu nie zbierała się kapituła zakonna, której przewodniczył jako opiekun tego miejsca. Znając jego charakter, nie spodziewała się po tej wizycie niczego dobrego, jednakże kierując się interesem wspólnoty, postanowiła go przyjąć, ponieważ od czasów hrabiny Ermesendy, prababki obecnych hrabiów, każdy panujący był głównym dobroczyńcą klasztoru.

— Sostro, zostawcie mnie teraz samą. Jeśli taka jest wola boska, muszę się przygotować na przyjęcie tego niespodziewanego i raczej niepożądanego gościa.

Kołatanie do drzwi potwierdziło obawy przeoryszy. Po chwili usłyszała cienki głosik siostry furtianki.

— Matko, hrabia prosi o audiencję, a nawet nalega. Mówi, że ma pilną sprawę i mało czasu.

Przeorysza, która znała się na zawilóściach polityki i wiedziała, jak postępować z moźnymi, odparła:

— Powiedzcie mu, siostrze, że nie spodziewałam się tej wizyty, ale przyjmę hrabiego, kiedy skończę coś, co również nie cierpi zwłoki. Wprowadźcie go do sali wizyt i zaproponujcie mu coś do picia.

Po wyjściu zakonnicy przeorysza uklękła przed Chrystusem Ukrzyżowanym i przez chwilę modliła się w milczeniu, prosząc o wspomnienie w trudnej sytuacji oraz o jasność umysłu i umiar w zachowaniu, aby mogła odpowiedzieć hrabiemu stosownie i właściwie.

Po upływie odpowiedniego czasu wstała z klęczek i przeżegnawszy się, wyszła na spotkanie niechcianego gościa.

Zobaczyła go z daleka. Berenguer stał z rękami założonymi na plecach i usłyszawszy kroki przeoryszy, odwrócił się gwałtownie.

— Witam waszą wysokość.

— I ja was witam, wielbna matko przełożona.

— Gdybym wiedziała wcześniej, że przyjdziecie, nie kazałabym wam tak długo czekać.

— Pomyślałem, że skoro zawsze mówicie, bym czuł się tu jak u siebie w domu, nie potrzebuję się zapowiadać. Poza tym nie sądzę, aby mogły być pilniejsze sprawy niż przyjęcie waszego hrabiego. Czy jest w hrabstwie ktoś ważniejszy ode mnie, kto swoją obecnością zajął wam czas, który powinien być dla mnie przeznaczony?

— Przyszliście w porze, kiedy się modłę — chłodno odparła matka Adela de Monsargues, nie dając się zastraszyć. — O tej godzinie mam codziennie spotkanie z Bogiem. Chyba zgodzicie się ze mną, że On jest najważniejszy.

Berenguer uśmiechnął się i spuścił z tonu.

— Oczywiście poddamę się i w takim przypadku uznaję swoją małość.

— Zatem usiądźmy, panie. Wiecie, że jestem waszą najpokorniejszą służką i zrobię dla was wszystko co w mojej mocy.

Zapraszającym gestem wskazała fotele w drugim końcu sali, ale Berenguer zamknął najpierw drzwi oddzielające salon od przedśionka.

Usiadłszy, przystąpił do rzeczy, starannie dobierając słowa.

— Sprawa, która mnie tutaj sprowadza, wielbna matko, jest wyjątkowo delikatnej natury i trudna do wyjaśnienia.

— Jeżeli to boża sprawa, nie ma potrzeby dbać o formy — odparła przeorysza. — Wystarczą proste słowa.

— To nie takie łatwe, jak wam się wydaje. Obawiam się, że możecie mnie źle zrozumieć. Nie chciałbym, żebyście potraktowali to, co wam powiem, jako zwykły kaprys władcy.

Wyraz twarzy matki Adeli zmienił się w mgnieniu oka.

— O to się nie martwcie, mówcie, z czym przychodzicie.

— No dobrze. Wiecie, że hrabia Barcelony ma obowiązek się ożenić i że powinien pojąć za żonę kobietę szlachetnie urodzoną.

— Tak.

— Jednakże serce nie zawsze poddaje się regułom oraz nakazom zwyczaju... Czasami wybiera niewłaściwą osobę.

Przeorysza odpowiedziała z zakłopotaniem:

— Rozumiem wasz niepokój, hrabio, jednak nie wiem, w czym mogłabym wam pomóc...

— Będę szczery — rzekł Berenguer, patrząc jej prosto w oczy.

— Ta dziewczyna, pani mojego serca, przebywa w waszym klasztorze i...

— Nie mam pojęcia, o kogo wam chodzi — przerwała mu przeorysza — jednak powinniście wiedzieć, że moje zakonnice są poświęcone Chrystusowi, a to znaczy, że już wybrały małżonka.

— Dziewczyna, o której mówię, jest postulantką. Jeszcze nie złożyła ślubów zakonnych. Nazywa się Marta Barbany.

Matkę Adelę przeszył dreszcz, mimo to usiłowała zachować spokój.

— Nadal nie rozumiem, czego ode mnie chcecie. To prawda, że Marta jest postulantką, więc jeśli nie zamierza złożyć ślubów zakonnych, zapytajcie, czy zechce zostać waszą żoną. Wszystko zależy od niej.

Berenguer się uśmiechnął.

— Niestety, wielbna matko, to nie jest tak, jak myślicie. Moje obecne obowiązki nie pozwalają na takie małżeństwo.

— Czego więc chcecie?

— Chcę ją zobaczyć i dlatego was proszę, żebyście ułatwili mi do niej dostęp i żeby nikt nam nie przeszkadzał, kiedy będziemy razem. Ze względu na swoją pozycję nie mogę pozwolić, aby ktoś mnie rozpoznał, dlatego spotkanie odbędzie się nocą w terminie, jaki wam podam. Przybędę w przebraniu, z zamaskowaną twarzą. Wszystkie drzwi mają być tej nocy otwarte, a droga do jej pokoju oznaczona i wolna.

Przeorysza zastanowiła się nad odpowiedzią. Wiedziała, że hrabia ma olbrzymią władzę, i zdawała sobie sprawę z konsekwencji, jakie może za sobą pociągnąć jej decyzja.

— A jeżeli sprzeciwię się takiej nieobyyczajności?

— Wtedy spotka was zaszczyt zamknięcia klasztoru Sant Pere de les Puelles po stu trzydziestu latach jego istnienia.

Przeorysza próbowała zyskać na czasie.

— Pozwólcie mi to przemyśleć.

— Daję wam czas do przyszłego piątku. Ani dnia dłużej.

Intuicja Aminy

Młode pokojówki, które poszły do klasztoru, aby służyć swoim szlachetnie urodzonym paniom, wykonywały — podczas gdy ich panie się modliły — wiele prac zleconych przez zakonnice. Jedne zmywały naczynia w kuchni, inne zbierały owoce w sadzie, a jeszcze inne — tych było najwięcej — sprzątały pomieszczenia klasztoru, poczynając od cel zakonnych i kościoła, a kończąc na spiżarniach i kuchni. Aminie przypadło sprzątanie gabinetu przeoryszy, przed-sionka i sali wizyt.

Kiedy Marta z sześcioma innymi postulankami ćwiczyła rano śpiewy mszalne na dany dzień, Amina dbała o to, by posadzki lśniły jak wypolerowana miedź i ani odrobina kurzu nie pozostała na półkach, w niszach czy na obrazach.

Tego ranka po umyciu podłóg wróciła do gabinetu przeoryszy, żeby dokończyć porządku, i przypadkiem usłyszała fragment rozmowy prowadzonej w sąsiednim pokoju.

— Mówię wam, wasza wielbność, że Marta jest w poważnym niebezpieczeństwie. Tylko cud może ją uratować.

Na dźwięk imienia swojej pani Amina podniosła głowę i bez skrupułów przyłożyła ucho do drzwi.

— Naprawdę nie wiem, od czego zacząć, żeby wam to wyjaśnić — ubolewała Adela de Monsargues.

— Bardzo proszę, matko, zacznijcie od sedna sprawy. Marta i tak już dużo wycierpiała.

— Chodzi o to, ojcze, że mam poważny dylemat i obawiam się, że bez waszej rady go nie rozstrzygnę.

— Nie mogę wam pomóc, jeśli nie wyjaśnicie, co się stało.

Matka przełożona zaczerpnęła głęboko powietrza i dokładnie zrelacjonowała przebieg spotkania z Berenguerem, z obmierzłym żądaniem hrabiego włącznie.

— Jeśli nie spełnię jego życzenia, klasztorowi grozi całkowity upadek, wielebny ojcze.

— Natomiast jeśli je spełnicie, Marcie grozi upadek cielesny i duchowy — odparł archidiakon. — To, co mówicie, matko, nie jest dla mnie niczym nowym. Hrabia od dawna czyha na niewinność tej dziewczyny...

— Jestem zaskoczona!

— Nie domyślcie się, z jakiego powodu Marta wstąpiła do klasztoru?

— Wiem, że nie czuła i nie czuje powołania. Powiedziano mi, że powodem była niefortunna miłość, a pobyt w klasztorze miał ją z niej wyleczyć. Podobno zakochała się w młodym szlachcicu.

— To prawda, ale nie cała. Jak wiecie, jestem jej ojcem chrzestnym i opiekunem. Pamiętacie, że zgłosiłem się na spowiednika zakonnicy mniej więcej w tym samym czasie, gdy ona wstąpiła do klasztoru. A zrobiła to dlatego, że jest jeszcze inny powód.

— Jaki?

— Po śmierci hrabiny, jeszcze zanim wrócił z podróży ojciec Marty, ona sama wspomniała o klasztorze, pragnąc schronić się w waszych murach przed Berenguerem, obecnym hrabią, który już wówczas ją napastował. Po powrocie świętej pamięci Martiego, który nigdy nie dowiedział się o nikczemności Berenguera, postanowiliśmy, że najlepszym sprawdzianem siły uczucia, jakie połączyło ją z synem wicehrabiego Cardony, będzie kilkuletnia przerwa w ich spotkaniach i że czas ten Marta spędzi w świętych murach klasztoru, które na dodatek ochraniają przed nikczemnymi zakusami hrabiego.

— Możecie mi powiedzieć, ojcze, na czym polegały owe zakusy?

Eudald Llobet zawahał się, ale odpowiedział:

— Hrabia wszedł pewnej nocy do tej części pałacu, gdzie znajdują się sypialnie dam, i wtargnął do pokoju Marty. Gdyby nie interwencja Aminy, zbeczczyłby moją chrześniaczkę.

— Chwała niech będzie Panu! — zawołała przeorysza. — I jeśli On nam nie pomoże, hrabia osiągnie swój haniebnny cel w świętym domu poślubionych Chrystusowi!

— Trzeba temu przeszkodzić za wszelką cenę.

— Cenę już znamy. Jego wysokość zagroził cofnięciem dotacji, które są głównym źródłem utrzymania klasztoru.

— Musimy coś wymyślić, matko.

— Czas na to kończy się w piątek.

Amina bezszelestnie opuściła swoją kryjówkę i wkrótce potem poprosiła o pozwolenie na wyjście z klasztoru. Dobrze wiedziała, do kogo udać się po pomoc.

125

Florinda

Amina niezwłocznie wyruszyła do hrabiowskiego pałacu. Choć ufała w rozsądek przeoryszy i ojca Llobeta, intuicja jej mówiła, że aby przeciwstawić się Berenguerowi, trzeba większej przebiegłości i pomysłowości, niż zdołałyby wykazać te dwie dobre osoby. Znała kogoś, kto niewątpliwie wyróżniał się tymi cechami: był to Delfin, karzeł, który okazywał Marcie wiele przywiązania.

Jak zwykle gdy przychodziła do błazna, udała się do wejścia od strony stajni. Od dawna korzystała z tej drogi, zwłaszcza gdy Delfin ją zawiadamiał, że ma dla Marty list od jej ukochanego. Amina dobrze znała zwyczaje przyjaciela i doradcy zmarłej hrabiny i wiedziała, że o tej porze z pewnością zastanie go w gabinecie, który był niegdyś ulubionym schronieniem Almodis. Korytarzami dotarła do schodów, weszła na pierwsze piętro i nie rzucając się nikomu w oczy, stanęła pod drzwiami zacisznej komnaty. Przez chwilę nasłuchiwała uważnie, po czym cicho zapukała. Z wewnątrz dobiegł ją charakterystyczny, skrzekliwy głos Delfina, niechętnie zapraszający do wejścia.

Amina uchyliła jedno skrzydło drzwi i wsunęła głowę. W pierwszej chwili karzeł jej nie poznał. Spod czepca opadającego na czoło gniewnie wpatrywał się w nowo przybyłą, wyteżając wzrok, aby lepiej widzieć w półmroku, lecz w pewnym momencie jego małe oczka i cała twarz rozbłysły uśmiechem: już wiedział, kto przychodzi w odwiedzin.

Zwinnie zeskoczył z taboretu przed obitym skórą sekretarzykiem, przy którym gryzmolił coś na pergaminie, odłożył pióro i odsunął kałamarz, po czym radośnie podbiegł do drzwi.

— Co za miła niespodzianka! Nie wiem, co cię do mnie sprowadza, ale błogosławię tę przyczynę. W pałacu jest coraz nudniej i zapewniam cię, że gdyby hrabia Ramón nie ubłagał mnie o pozostanie, albowiem pragnie, bym dotrzymywał towarzystwa jego przyszej żonie, już dawno opuściłbym te ponure mury.

— Kiedy dowiecie się, co mnie do was sprowadza, moja wizyta nie wyda wam się taka miła.

Delfin spojrzał na nią podejrzliwie.

— Chyba twoja pani nie jest chora? — zapytał, myśląc o swojej straszliwej wizji sprzed lat.

— Nie jest chora, ale obawiam się, że grozi jej wielkie niebezpieczeństwo.

Oboje usiedli przy ciepłym kominku.

— Mów, o co chodzi, aczkolwiek podejrzewam, że hrabia Beren-guer ma z tym coś wspólnego.

— Zgadliście i jeśli nie znajdziecie jakiejś rady, zdarzy się nieszczęście — zaszlochła Amina.

— Mów wszystko po kolei, nie pomijaj niczego. Każdy najdrobniejszy szczegół może być bardzo ważny.

Uspokoiwszy się, Amina zaczęła opowiadać Delfinowi o tym, co zdołała podsłuchać tego samego ranka. Karzełek chłonał jej słowa, a kiedy skończyła, zapytał:

— Jak ja mam temu zaradzić twoim zdaniem?

— Pamiętacie, że kiedyś, dawno temu, opowiedzieliście mi, jak wasza znajoma wybawiła z kłopotów naszą hrabinę?

Delfin zaczął chodzić po pokoju drobnymi, szybkimi kroczkami, jakby nagle coś zaświtało mu w głowie. Tak, niewykluczone, że czarownica Florinda znajdzie wyjście z tej skomplikowanej sytuacji.

Amina, która dobrze go znała, uszanowała jego milczenie, czekając cierpliwie, aż sam się odezwie.

Delfin zatrzymał się nagle.

— Mówisz, że termin upływa w piątek?

— Tak usłyszałam.

— A więc nie ma czasu do stracenia.

— Co wymyśliście?

— Ja nic — uśmiechnął się Delfin. — To ty podsunęłaś mi ten pomysł. O której musisz wrócić do klasztoru?

— Wszystkie powinnyśmy być na jutrzni.

— Twój brat Ahmed nadal mieszka w młynie w Magorii?

— Oczywiście.

— Zawiadam go, że jutro wieczorem przed zamknięciem bram ma na mnie czekać przy murach koło bramy Castellnou, tam gdzie kończy się ulica Call. Niech weźmie dwa konie i jakąś broń. Posłuży mi za giermka w tej wyprawie... Będziemy przejeżdżać przez okolice kiepsko oświetlone, a na przedmieściu nigdy nie jest bezpiecznie.

— Nie wiem, jaki macie plan, ale czy nie byłoby lepiej, gdyby pojechał z wami któryś ze znajomych strażników pałacowych? — zasugerowała Amina.

— Nikt w pałacu nie powinien o tym wiedzieć. Berenguer ma swoich donosicieli w każdym kącie i jeśli plan, jaki powziąłem z twojej inspiracji, dojdzie do jego uszu, wszyscy możemy pożegnać się z życiem.

Amina nalegała.

— Delfinie, co zamierzacie zrobić? Uchylcie choć rąbka tajemnicy, na miłość boską!

— Wybierzemy się do Florindy. Ona da nam taką rzecz, która uprzytomni hrabiemu jego podłość i ukarze go raz na zawsze.



Jeszcze nie skończyły bić dzwony katedralne, kiedy Ahmed, siedząc na koniu i przytrzymując za uzdę kasztanową mulicę, dostrzegł wśród ludzi tłoczących się przy Castellnou drobną sylwetkę Delfina z zakrytą twarzą. Ten również go zauważył i ruszył w jego stronę.

Ahmed zeskoczył z konia, żeby pomóc Delfinowi wsiąść na mulicę.

— Amina wam wyjaśniła, dokąd i po co jedziemy? — zapytał karzeł, ściągając kaptur z głowy.

— Jedyne tyle, że mam być uzbrojony i że musimy ratować moją panią.

— W porządku. Im mniej będziecie wiedzieć, tym lepiej... Gdzie wasza broń?

Ahmed rozchylił pelerynę. Małe oczka Delfina zbadały go od

stóp do głów. Młodzieniec miał za pasem sztylet, obok zwieszały się rzemienie procy, a za pazuchą schował torbę pełną kamieni.

— Czy to jest przydatne? — zapytał nieufnie karzeł, pokazując na procę.

— Przy dużych odległościach proca jest bardziej niezawodna niż najlepsza strzała.

— Zatem jedźmy i nie traćmy czasu. Jeśli wam to się wystarczy, to i mnie też.

Po czym, patrząc na mulicę, skomentował:

— Nie było u was w stajni większego zwierzęcia?

Nic nie mówiąc, Ahmed chwycił go pod pachy i posadził w siodle.

— Całe szczęście, że jest ciemno i niewiele widać! — wykrzyknął Delfin. — Obawiam się, że za dnia mógłbym dostać zawrotu głowy, patrząc z tej wysokości.

Po chwili obaj na swoich wierzchowcach znaleźli się na drewnianym moście nad wydłami. Ludzie zdążyli w obu kierunkach, przeważnie w stronę miasta.

Dojeżdżając do osiedla Pi, z daleka zobaczyli w świetle latarni drewniany sztyl: Oberża Kuternogi.

— To tam — wskazał Delfin.

Ahmed spiął konia i wkrótce znaleźli się na miejscu. Zostawili zwierzęta przy konowiązie i ruszyli ku oświetlonym drzwiom. Silny wiatr od morza targał obu włosy.

Karzeł otworzył drzwi i zdecydowanym krokiem wszedł do środka. Za nim podążył Ahmed, trzymając prawą dłoń na rękojeści sztyletu.

Zaledwie obaj zdążyli usiąść, przykuśtykał oberżysta, stukając drewnianą nogą w posadzkę.

— Miło znowu was widzieć, panie Delfinie, zwłaszcza że przybywacie w towarzystwie. Od dawna nie zaszczyliciliście nas swoją obecnością. Czemu zawdzięczam ten honor?

— Jest wasza szwagierka? — zapytał karzeł.

— Zajęta jak zwykle... Powinniście uprzedzać o waszych wizytach.

— Zaprowadźcie mnie do niej, jeśli łaska, a wynagrodzę was należycie. — Delfin sięgnął do mieszka, wyjął monetę i położył ją na dłoni oberżysty.

— Zobaczę, co da się zrobić. Podać wam coś tymczasem?

— Dwie szklanki wina korzennego zarezerwowanego dla specjalnych klientów, tego z beczki w kącie, a nie tej trucizny, jaką serwujecie obcym, którzy potem rzygają jak koty, wypluwając z siebie flaki przy drodze.

Oberżysta uśmiechnął się i przywołał jedną z posługujących.

— Ugość tych panów winem z mojej rezerwy! — I zwracając się do nich, powiedział: — Sprawdzę, czy szwagierka może was przyjąć.

Swoim charakterystycznym, rozkołysanym krokiem skierował się ku drzwiczkom w głębi sali i zniknął za brudną, wypłowiałą kotarą, która kiedyś była zielona.

Podczas gdy rozbawiona służąca stawiała przed nimi dwa kubki i dzban wina korzennego, Delfin szepnął Ahmedowi:

— Zaraz zobaczycie, co to za ptaszek. Nic tak do niego nie przemawia jak dźwięcząca moneta.

Kuternoga był już z powrotem.

— Szwagierka was przyjmie, ale powiedziała, że robi to tylko na moją prośbę. Zawsze woli wiedzieć zawczasu, z kim ma do czynienia.

Delfin wstał, prostując swoje małe plecy, by dodać sobie powagi, i odwracając się do Ahmeda, nakazał:

— Pilnujcie, żeby nikt za mną nie wszedł na zaplecze. — Po czym oświadczył kulawemu oberżyście: — Prowadźcie.

Obaj zniknęli za zniszczoną kotarą. Karzeł dobrze znał drogę, albowiem był tu już z hrabiną w poszukiwaniu eliksiru na płodność, który — Bóg świadkiem! — okazał się nadzwyczaj skuteczny.

Zszedłszy po trzech schodkach, znalazł się w pomieszczeniu, gdzie szwagierka oberżysty przyjmowała swoich gości i w zamian za sutą opłatę próbowała rozwiązać ich problemy.

Delfin usłyszał głos towarzyszącego mu kuternogi.

— Przyprowadziłem ci klienta. Zostawiam was samych.

Kobieta skierowała swoje ślepe oczy na karła, jakby go widziała.

— Zbliżcie się, Delfinie. Co za niespodzianka!

Człowieczek podszedł do niej.

— Siądźcie i wyjaśnijcie powód tej miłej wizyty.

Delfin usiadł na wysokim zydlu naprzeciwko niewidomej i położywszy przy niej swój mieczek, powiedział:

— Ja też się cieszę, że widzę was w znakomitym zdrowiu,

Florindo. Nic się nie zmieniliście. Wydaje się, że czas się dla was zatrzymał i wciąż macie tyle samo lat.

— Bo tak jest, mój przyjacielu. Jaka byłaby ze mnie czarownica, gdybym nie umiała zatrzymać czasu?

Jej bezzębne usta uchyliły się w szyderczym uśmiechu, niepo-zbawionym jednak subtelnej ironii, a nieruchome źrenice zabłyśły drwiąco.

— Wystarczy tych komplementów. Mówcie, co was do mnie sprowadza.

Karzel uznał za stosowne przypomnieć pewne rzeczy.

— Przede wszystkim pragnę nadmienić, że przez długi czas byłem dla was źródłem dobrych interesów, które przyniosły wam ogromne zyski, ponieważ dostarczałem wam, że tak powiem, królewskich klientów, co potraktujcie jako przenośnię.

Starucha zmarszczyła brwi.

— Wiem i jestem wam za to wdzięczna.

— Weźcie to pod uwagę, gdy przyjdzie do ustalenia ceny za waszą usługę, i nie próbujcie mnie wyzyskać jak innych. Jestem biedny, moja dobrodziejka umarła i obecnie mam niewielkie dochody. Tym razem płacę z własnej kieszeni, aczkolwiek przychodzę po pomoc dla innej osoby.

— Rozumiem, mój przyjacielu. To fakt, że miałam dzięki wam znakomitych klientów i nigdy nie domagaliście się udziału w zyskach. Zważywszy na zaistniałe okoliczności, policzę wam za swoje usługi najmniejszą stawkę, która jednak zależy od rodzaju pomocy, jakiej ode mnie oczekujecie. Wyjaśnijcie mi to dokładnie i postarajcie się mówić zwięźle.

Florinda wysłuchiwała z najwyższą uwagą rozwlekłej opowieści karła.

— Proście o coś bardzo trudnego. Sprawę komplikuje dodatkowo brak czasu. Ale powiem wam, że to jest możliwe, trzeba tylko uważać, żeby nie przekroczyć dawki. W razie najmniejszej pomyłki efekt może być piorunujący.

— Co insynuujecie?

— Nie insynuuję, tylko stwierdzam. Ta osoba może umrzeć, a w najlepszym wypadku postradać zmysły do tego stopnia, że potem już nikogo nie rozpozna.

— Jaka jest prawidłowa dawka?

— Zaraz wam powiem. Muszą tylko się dowiedzieć dwóch ważnych rzeczy: ile waży osoba, która ma spożyć ten napój, i czy to mężczyzna, kobieta czy dziecko.

— Waży niewiele... To młoda dziewczyna.

— To wszystko, co chciałam wiedzieć. Jeszcze raz powtarzam: nie wolno pomylić dawki.

— Będę uważał. Dostosuję się do waszych wskazówek.

Starucha z trudem podniosła się z krzesła i podeszła do kredensu, w którym obok półek pełnych różnych misek stał mały podgrzewacz, wężownica do destylacji, kolby, marmurowy mózdzierz i drewniana deseczka. Zaczęła krzątać się tak sprawnie, jakby widziała to, co robi, a jednocześnie głośno informowała o swoich czynnościach.

— Weźmiemy szczyptę startego muchomora, wywar ze zmielonego czarnego pająka, liście dzikiego zawilca zerwane przy księżycu w nowiu, olej z pustynnej żmii nubijskiej, popiół z zielonej kantarydy i korzeń maku. Najpierw rozetrzemy to wszystko w mózdzierzu, a potem przedestylujemy i przepuścimy przez wężownicę.

Po wymieszaniu i utarciu wymienionych składników włożyła uzyskaną miazgę do miseczki, którą postawiła na podgrzewaczu z podłączoną wężownicą, i wróciła na swoje miejsce.

— Musimy trochę poczekać. Proces destylacji jest powolny.

Delfin nie ukrywał niepokoju.

— Jesteście pewna, że to przyniesie skutek?

— Moje eliksiry nigdy nie zawodzą... Wszak dobrze o tym wiecie.

— I że ten skutek nie będzie nieodwracalny?

— Dziewczyna musi to wypić na dzień przed tym fatalnym spotkaniem. Rozchoruje się, będzie nieprzytomna, ale nie dłużej niż trzy dni. Potem przez jakiś czas będzie jeszcze bardzo słaba, lecz stopniowo zacznie odzyskiwać siły. Zapewniam was.

Księżyc był już w zenicie, kiedy sprzed tawerny wyjechała na mule mała zakapturzona postać, przyciskając pod peleryną do piersi flakonik z matowego szkła, a obok niej podążał na koniu młodzieniec o czujnym wzroku, kierując swojego wierzchowca kolanami, albowiem w prawej dłoni trzymał procę z okrągłym twardym kamieniem, a lewą opierał na rękojęści sztyletu.



W zakrystii kościoła Sant Pere de les Puelles zebrała się najbardziej dziwna grupa, jaką można sobie wyobrazić. Eudald Llobet, matka przełożona Adela de Monsargues, Delfín, Amina i oczywiście Marta Barbany, która z nieprzeniknionym wyrazem twarzy uczestniczyła w tym osobliwym spotkaniu.

Delfín zakończył swoją relację i czekał na opinię archidiakona. Ojciec Llobet wymienił spojrzenie z zakonnicą, po czym powiedział:

— Znaleźliśmy się na krawędzi przepaści i nie mamy wielkiego wyboru. — Spojrzał na Aminę. — Wiem, jak bardzo kochasz swoją panią, i to usprawiedliwia twoją niedyskrecję, zwłaszcza że w zaistniałych okolicznościach okazała się zbawienna. Sądzę, że mówiąc te słowa, jestem również wyrazicielem uczuć przeoryszy. Mam do was, Delfinie, jedno pytanie.

— Wasza wielebność, jeśli zdołam, odpowiem na wszystkie, jakie zadacie.

— No dobrze, zaczynajmy. Jakie mamy gwarancje, że ten napój nie spowoduje zła większego niż to, któremu chcemy zapobiec?

Tu odezwała się matka przełożona.

— Nie ma większego zła niż utrata czci.

— Matko, nie wdawajmy się w dyskusje o moralności, szkoda naszego czasu — odparł kapłan. — Powiem wam tylko, że nie ma grzechu w sytuacji, gdy ktoś jest zniewolony. Delfinie, odpowiedzcie na moje pytanie.

— Ta znachorka pomaga ludziom w kłopotach i uciążliwych sytuacjach. Znam ją od dawna, poleciłem ją wielu osobom i nigdy nie zawiodła mego zaufania. Moja hrabina dwukrotnie skorzystała z jej rady i w obu przypadkach, przyjąwszy otrzymane wywary zgodnie z jej wskazówkami, uzyskała pożądane rezultaty. Ta kobieta cieszy się zasłużonym prestiżem i z tego, co wiem, nigdy nikomu nie wyrządziła krzywdy. Jeśli nie jest w stanie komuś pomóc, mówi to od razu.

— Jest medykiem? Studiowała nauki Hipokratesa? — zapytała zakonnica.

— Posiada dar wrodzony i duże doświadczenie. Istnieją osoby o takich umiejętnościach, chociaż jest to niezrozumiałe i najczęściej przypisywane działaniu sił nadprzyrodzonych. Jak wiecie, ojcze, ja sam mam dar przewidywania, aczkolwiek nigdy nie studiowałem magicznych pergaminów.

Zakonnica obserwowała ich nieufnie.

— To mi pachnie czarami.

— Nie cofnę się przed niczym, choćby to były czary, byle tylko uratować swoją chrześniaczkę! — W duchownym obudziła się natura wojownika. — Chcecie, pani, ocalić klasztor czy nie? — Spiorunował przeoryszę wzrokiem, ale natychmiast się uspokoił. — Powiedzcie mi, Delfinie, kiedy należy spożyć tę miksturę, aby poskutkowała?

— Na dzień przed spotkaniem.

— I co potem?

Ponownie wtrąciła się zakonnica:

— Potem zostaje nam tylko modlitwa, wasza wielbność.

— No to będziemy się modlić, matko Adelo. Spędzimy na modlitwie całą noc, jeśli trzeba, gdyż nie mamy innego wyjścia. Marto — szepnął archidiakon — decyzja należy do ciebie. Wiesz, że kocham cię jak córkę, jako wykonawca testamentu twojego ojca jestem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo. Jednakże w takiej sytuacji jak ta sama musisz zdecydować.

Wśród zgromadzonych zapadła cisza ciężka jak ołów. Wszystkie spojrzenia skierowały się na Martę. Ta dotychczas ani razu nie zabrała głosu w dyskusji, lecz teraz wstała z miejsca i zwracając się do ojca chrzestnego, powiedziała:

— Módlcie się za mnie. — Jej głos brzmiał stanowczo. — Wolę wypić sto eliksirów tej czarownicy niż ulec rozpustnej żądzy Berenguera. Co do tego nie mam najmniejszej wątpliwości.

Jakkolwiek Delfin całkowicie ufał Florindzie, na nowo nasza go wizja nieprzytomnej Marty i zadrzał z przerażenia.

Mystyfikacja

W końcu nadeszła noc Berenguera. Po tylu przeciwnościach i tak długim czekaniu upragniona chwila była wreszcie w jego zasięgu. Hrabia postanowił zrezygnować tym razem z pomocy pokojowca i sam zaczął ubierać się przed wyprawą. Wołał wszystko zrobić bez świadków. Tymczasem jego myśli błądziły wokół jednej osoby. Wspominał, jak to się zaczęło. Od pierwszego momentu wiedział, iż ta dziewczyna musi być jego, zawsze pożądał Marty Barbany jak żadnej innej kobiety na świecie. Wszystko w niej budziło jego podniecenie: lekki krok, harmonijne falowanie bioder, pełne usta, rowek między młodymi piersiami... Wspominał również noc, kiedy już tak mało brakowało, aby jąposiadł, a potem policzek wymierzony przez matkę, dzień w „pokoju mędrca”, wspólną wizytę w stajni, gdzie zobaczyła, jak ogier kryje klacz. Jego myśli kłębiły się bez ładu i składu i zdał sobie sprawę, że odpowiedź matki przełożonej przyszła w samą porę, gdyż niebawem skończy się semestr jego rządów i władzę w hrabstwie na całe następne półrocze przejmie jego brat.

Na wielkim łożu pod baldachimem spoczywał list od przeorowsy Adeli de Monsargues, w którym zakonnica po raz ostatni upominała, aby zrezygnował ze swojego zamiaru.

Dostojny Panie!

Każda przełożona klasztoru Sant Pere de les Puelles ma wielką odpowiedzialność, która jest związana z jej

główną powinnością. Otwierają się zatem przede mną dwie możliwości i aczkolwiek troska o dusze moich zakonnic leży mi głęboko na sercu, na pierwszy plan wysuwa się dbałość o przetrwanie klasztoru, który istniał, istnieje i będzie istnieć przez wieki. Wasz upór nie daje mi wyboru. Jak dobrze wiecie, mimo pobożnych zapisów testamentowych i darów składanych przez szlacheckie rody nie przetrwamy bez hrabiowskiej dotacji. Dlatego nie pozostaje mi nic innego, jak tylko ulec Waszemu życzeniu.

Myślę, że Pan Bóg zrozumie dylemat, przed jakim stanęłam, i wybaczy mi tę smutną decyzję wymuszoną przez Wasz kaprys. Niemniej pragnę Was uprzedzić, że postulanka Marta Barbany nie czuje się dobrze. Obecnie leży w łóżku, złożona poważną chorobą, i wszystkie martwimy się o jej życie. Mówię Wam o tym w dobrej wierze i jeszcze raz błagam, abyście wycofali się ze swojego zamiaru.

Pozostawiam tę decyzję w Waszych rękach. W najbliższy poniedziałek nocą, kiedy cała nasza wspólnota zbierze się na jutrzni, możecie wejść przez małe drzwi w bocznym murze na lewo od głównej bramy. W liście znajdziecie do nich klucz. Korytarz doprowadzi Was do klauzury, w krużganku będą zapalone świeczki, wytyczające szlak na schody i do pokoju postulanki. To, co tam się stanie, obciąży Wasze sumienie, a nie moje.

Wyjdziecie tą samą drogą i nie mówmy o tym nigdy więcej.

Wasza sługa w Chrystusie
siostra Adela de Monsargues

Hrabia uśmiechnął się do siebie. Co za patetyczna wymówka! Czyżby przeorysza sądziła, że wzmianka o złym stanie zdrowia Marty zrobi na nim jakiegokolwiek wrażenie?

Miał gotowy plan i nie dopuszczał myśli o zwłóce. Tej nocy Marta Barbany musi należeć do niego.

Długo wybierał odpowiedni przydziejewek. Noc była czarna jak dusza skazańca i taki sam powinien być jego strój oraz koń, zwłaszcza

że chce opuścić pałac niepostrzeżenie: nikt nie może go zobaczyć wychodzącego. Swój sekret wyjawiał jedynie zaufanemu koniuszemu, który otworzył mu drzwi do stajni i zaczeka na jego powrót.

Ubierając się, Berenguer pozwolił sobie tylko na jedną ozdobę, którą ukrył pod peleryną: gruby złoty łańcuch z herbem hrabstwa. Przejrzawszy się w lustrze z polerowanego brązu, uznał, że wygląda znakomicie.

Wyszedł z pałacu tylnymi schodami i w dwóch susach dotarł do stajni. Koniuszy już czekał i pomógł mu dosiąść czarnego wierzchowca, który nerwowo przebiegał przednimi nogami. Władczym gestem hrabia nakazał otworzyć szerokie wrota i przynagliwszy konia, pogalopował przez bramę Castellvell. Podróż mu się dłużyła, mimo że koń, poganiany, pędził ile sił. Wreszcie z ciemności wyłoniła się bryła klasztoru.

Berenguer postanowił zastosować się do instrukcji przeoryszy. Zsiadł z konia, podprowadził go do drążka, ustawionego specjalnie dla jeźdźców przybywających z wizytą do klasztoru, i tam go przywiązał za wodze. Następnie skierował się do małych drzwi w murze. Zbliżała się decydująca chwila: jeśli klucz jest właściwy, to znaczy, że przeorysza dotrzymała obietnicy. Wolał, żeby tak było, dla jej własnego dobra... Cała ta sytuacja napawała go nieprzyjemnym niepokojem, choć jednocześnie odczuwał dreszcz przygody. Z nieufnością wyciągnął z sakwy duży klucz, włożył do zamka i zaczął przekręcać. Pod naporem jego ręki drzwi powoli ustąpiły, naoliwione zawiasy nie wydały żadnego dźwięku.

Berenguer znajdował się na początku długiego korytarza. Po obu stronach widział zamknięte pomieszczenia. W głębi, pod sklepieniem krużganka, zamigotało słabe światło. Raźnym krokiem skierował się w tamtą stronę, trzymając prawą dłoń na gałce rękojeści sztyletu, a lewą przy zawieszonym na piersi medalionie. Poczuvszy pierwszy podmuch świeżego powietrza, był pewien, że zbliża się do końca korytarza, i rzeczywiście tak było, wkrótce znalazł się na terenie klauzury, gdzie szpaler małych świec pokazywał mu drogę na schody i dalej na piętro. Serce skoczyło w jego piersi jak narowisty koń, gdyż przypomniał sobie swoje nocne wtargnięcie na korytarz z sypialniami dworek matki. Miał obsesję na punkcie Marty, odkąd ją poznał. Przed wejściem do klasztoru jeszcze raz rzucił okiem na wirydarz. Po swojej prawej stronie miał tunel korytarza, którym

podążał przed chwilą, w głębi — kościół opactwa z wysokimi oknami rozjaśnionymi od wewnątrz drżącym blaskiem świec, po swojej lewej stronie dojrzał dużą niszę z wizerunkiem patrona klasztoru, a w tej samej połaci muru, nieco dalej, furtkę prowadzącą prawdopodobnie do ogrodu z warzywnikiem uprawianym przez zakonnice. Wszystko się zgadzało, nadchodził kulminacyjny moment. Berenguer, starając się stąpać na czubkach palców, bezszelstnie wspinał się po schodach. Na pierwszym piętrze, oświetlonym tylko nikłym blaskiem świec z dołu, wszystko z wyjątkiem ostatniej celi spowijała ciemność. Trzymając się ściany, powoli, krok za krokiem, posuwał się w tym kierunku. Stał przed uchylonymi drzwiami i z wrażenia zaparło mu dech. Pośrodku pokoju między dwiema zapalonymi żagwiami stało łóże, na którym leżała nieruchomo Marta Barbany w błękitnym habicie nowicjuszek, z rękami złożonymi na piersi, z twarzą przykrytą białą koronkową mantylą z jedwabiu. Berenguer na słabnących nogach zbliżał się do łóża. Światło żagwi wypełniało celę widmowymi cieniami.

Podniósłszy drżącą dłoń do twarzy dziewczyny, dotknął palcami koronkowej chustki i lekko pociągnął ją w dół. W tym samym momencie wstrząsnął nim dreszcz grozy. Twarz o doskonałym owalu, która przez tyle nocy nawiedzała go w najbardziej rozpustnych snach, była teraz sina i pokryta wrzodami jak w początkach zarazy. Berenguer z trudem powstrzymał krzyk cisnący mu się na usta. Natychmiast wypuścił z palców skrawek chustki i odruchowo wycierając rękę w nogawice, wybiegł jak zły duch. Potykał się co chwila, tak że o mało nie upadł na schodach. Droga powrotna wydawała mu się dłuższa niż przejście Żydów przez pustynię. Mocno pchnął furtkę, która puszczona długo jeszcze się kołysała, uderzając o framugę, dopadł swojego wierzchowca i odwiązawszy wodze, jednym susem wskoczył na siodło, po czym ścisnął piętami boki zwierzęcia i pognął w nocną czerń jak oszalały centaur.

Naczelnny inspektor miar i wag Barcelony

Kilka dni potem Mainar wybrał się do pałacu na wezwanie Berenguera. Był pewien, że hrabia jest zadowolony z jego pracy i pragnie wynagrodzić mu tę przysługę. Wymarzone stanowisko naczelnego inspektora rynków miejskich znajdowało się w zasięgu jego ręki i Zakon zacznie otrzymywać co miesiąc część jego wpływów. Najwyższy Przewodnik nie będzie miał mu nic do zarzucenia. Do pełnego szczęścia brakowało mu tylko wywiązać się z obietnicy, jaką złożył swojemu dobroczyńcy Bernatowi Montcusi, i wyrównać rachunki z Eudaldem Llobetem, tym przeklętym kapłanem, który chwilowo uniknął swojego losu, skrywając się za murami Sant Pere de les Puellas. Pogrążony w rozmyślaniach, nawet nie zauważył, kiedy tragarze zatrzymali się na rozkaz prowadzącego i zaczęli ustawiać podkładki.

Jednooki przybył do pałacu w lektyce z zasuniętymi firankami, tak jak nakazał hrabia, i wszedł przez sekretne drzwi od tyłu, gdzie już czekał na niego odźwierny, wysłany ze specjalnym poleceniem.

— Mam rozkaz zaprowadzić was do ogrodu różanego. Jego wysokość tam was oczekuje.

— Więc róbcie, co do was należy.

Kroczył za odźwiernym, mijając nieznanne sobie komnaty i korytarnie, aż znaleźli się w galerii wychodzącej na ogródek, który w swoim czasie był ulubionym miejscem odpoczynku świętej pamięci hrabiny.

Na ich widok strażnik podniósł do góry włócznię, żeby zrobić im przejście.

Berenguer przechadzał się wśród krzewów różanych i na dźwięk zbliżających się kroków odwrócił się, gestem ręki zapraszając gościa, aby podszedł bliżej.

Kiedy Mainar usłuchał, hrabia wziął go poufale pod ramię i nie przerywając spaceru, oświadczył bez wstępów:

— Dziękuję, że tak szybko odpowiedzieliście na moje wezwanie. Kazałem was przyprowadzić do ogrodu, bo jest to miejsce, gdzie najlepiej mi się myśli, kiedy mam jakieś problemy, a nie ukrywam, że tych mi teraz nie brakuje.

— Wiecie, że zawsze jestem do waszych usług, hrabio.

— Mam tego dowody, jednakże śmierć owego złoczyńcy nie uwolniła mnie od kłopotów.

— Czy władca, który jest panem życia i majątku swoich poddanych, może mieć jakieś kłopoty? — przymilił się jednooki.

— Słuchajcie, świetnie się sprawiliście, usuwając mi z drogi Martiego Barbany, żebym miał wolny dostęp do jego córki, ale okazuje się, że ta śmierć niczego nie zmieniła...

— Nie rozumiem was, panie. Wybaczcie moją tępotę.

— Barbany nie żyje, tymczasem jego córka złapała jakąś straszliwą chorobę, o czym wiem z wiarygodnego źródła, i jeśli już nie umarła, to z pewnością nastąpi to w najbliższych dniach... W związku z tym zastanawiam się nad kolejnym aspektem interesującej mnie sprawy. Co się stanie z majątkiem Barbany po śmierci jego córki? Gdyby wykonawcą testamentu był ktoś inny, postarałbym się go przekonać do podjęcia decyzji korzystnej dla domu hrabiowskiego, ale w tej sytuacji...

— Jeśli wolno mi coś doradzić, to powiem, że należałoby wezwać tego osobnika i rozkazać, by raczył postąpić na waszą korzyść. Nikt nie oprze się życzeniu swojego hrabiego.

— Ten wykonawca testamentu jest jedyną osobą w hrabstwie, która nie zawaha mi się sprzeciwić.

— Kto to taki? — zapytał Mainar, choć z góry znał odpowiedź.

— Zdziwicie się, ale według moich informacji Barbany uczynił wykonawcą testamentu tego przeklętego archidiacona, który był jego najbliższym przyjacielem i spowiednikiem mojej matki.

Grymas na twarzy jednookiego miał świadczyć o szoku, jaki wywołały w nim słowa hrabiego.

— Coś jeszcze wam powiem. Za niecały miesiąc kończy się mój semestr rządów i do władzy powróci mój brat. Gdyby ta sprawa miała się rozstrzygnąć w czasie trwania jego mandatu, to nie dostałby mi się nawet okrucz tej fortuny.

— Co mogę zrobić, żeby wam pomóc?

Hrabia stanął przed jednookim.

— Nie zgadujecie?

— Coś mi świta, ale nie do końca — skłamał Mainar.

— Pomyślałem, że w razie śmierci wykonawcy testamentu sprawa skomplikowałaby się do tego stopnia, iż hrabstwo byłoby zmuszone podjąć działania w interesie miasta. Los wielu osób w Barcelonie zależy od majątku Martiego Barbany, toteż zarządzanie tą fortuną dla dobra obywateli powinno należeć do domu hrabiowskiego...

— Mam rozumieć, że potrzebujecie moich usług w celu zlikwidowania kolejnej osoby?

— Przynieście mi głowę tego księdza, a mianuję was naczelnym inspektorem rynków Barcelony — odparł Berenguer bez chwili wahania.

— Zatem już jutro ojciec Llobet otrzyma piękny prezent — uśmiechnął się jednooki.

Paciá i Ahmed

Ahmed przyszedł do domu na placu Sant Miquel, aby odwiedzić matkę. Nie było tygodnia, żeby nie wymieniał się przy niej z Aminą, i to właśnie ona poinformowała go o skutkach działania mikstury Florindy. Tego ranka zastał siostrę w kuchni, gdzie rozmawiała z Marioną i Andreu Codiną o smutnych okolicznościach śmierci chlebodawcy. Ahmed dołączył do rozmowy i kiedy razem zastanawiali się, jak to możliwe, że morderca wtargnął na teren posiadłości pomimo wzmocnionych wart, wszedł Gaufred z ponurą twarzą. Dowódca straży obciążał siebie winą za ostatnie nieszczęścia. Najpierw Rashid, a teraz Marti Barbany. Nigdy sobie tego nie wybaczy.

— Ahmedzie, ktoś do ciebie.

— Ciekawe! Nie umawiałem się tu z nikim i nikt oprócz mojego przyjaciela Maneya nie wie, że zamierzałem odwiedzić matkę. Kto przyszedł?

— Niejaki Paciá. Mówi, że ciebie zna. Może wydaje mu się, że nadal tutaj mieszkasz. Czeka w bramie. Zaprowadzę cię do niego.

Gaufred i Ahmed weszli do przedsionka w głównej kondygnacji i stamtąd przeszli na dziedziniec wjazdowy. Na ulicy za bramą stał woźnica, który przed laty pomógł Ahmedowi owej nieszczęsnej nocy przewieźć ciało Zahiry.

Na jego widok serce młodzieńca zakolało mocniej, gdyż zaczęły mu się cisnąć do głowy bolesne wspomnienia.

Ruszył w jego stronę. Dostrzegłszy go, Paciá podniósł się z ka-

mierniej ławki, na której siedział. Po uśmiechu Ahmeda zorientował się, że nie musi się przedstawiać.

— Jakże mógłbym o was zapomnieć? Jesteście jedną z nielicznych osób, wobec których wciąż mam dług wdzięczności — po wiedział Ahmed, wyciągając do niego rękę. -

Pacią uściśnął ją serdecznie.

— Nie macie żadnego długu, hojnie zapłaciliście za moje usługi. Chętnie pomógłbym wam wtedy za darmo, ale nie mogłem sobie na to pozwolić. Wciąż jest mi przykro z tego powodu.

— Oddaliście mi wtedy ogromną przysługę. Nie ma ceny, której nie warto byłoby za to zapłacić. Ale wejdźcie do środka, przepraszam, że jestem taki niegościnnie... Szczerze mówiąc, wasza wizyta mnie zaskoczyła.

Pacią był wyraźnie zdenerwowany.

— Nie wiem, jak zacząć, Ahmedzie...

— To ja wam powiem: zacznijcie tak, jak rozmawiają przyjaciele, którzy widują się codziennie i mają do siebie zaufanie.

— To nie takie łatwe.

— Spróbujcie! Po pierwsze, wiele wam zawdzięczam, a po drugie, chyba nie przyszlście tu przypadkowo.

— Dobrze! Jak już powiedziałem, nie wziąłbym wtedy od was pieniędzy, gdybym nie był w potrzebie, ale okoliczności życia i konieczność wykarmienia dzieci zmusiły mnie do tego.

— No i...

— Kilka tygodni temu wyrzucono mnie z pracy. Niedawno zgłosiłem się ponownie do lupanaru po swoją należność, lecz dotąd nie otrzymałem zapłaty za wykonaną wcześniej pracę. Żona wkrótce rodzi i pilnie potrzebuję dziesięciu dinarów.

— Jeśli to jest waszym jedynym problemem, to już go nie macie — zapewnił Ahmed.

Mężczyzna zamilkł na chwilę, wpatrując się w młodzieńca tak intensywnie, jakby chciał jeszcze coś dodać.

— Dam wam te pieniądze i nawet nie myślcie o oddawaniu. Potraktujcie to jako prezent, który już dawno powinienem był wam zrobić. Powiem więcej: spróbujcie przełknąć tę gorzką pigułkę, jaką zgotował wam los i źli ludzie, a kiedy wasza żona urodzi, przyjdźcie do mnie do domu. Mieszkam w młynie w Magorii, znajdzie się dla was jakaś praca.

Paciá zaczerpnął głęboko powietrza i dziwnie zmienionym głosem powiedział:

— Stokrotne dzięki, ale mam jeszcze jedną sprawę. — Zrobił pauzę, odetchnął i mówił dalej: — Podobno wasz chlebodawca otrzymał przed śmiercią głowę martwej jaszczurki. Czy tak było naprawdę?

— Tak. Skąd o tym wiecie?

— To ja złapałem tę jaszczurkę.

— Co to ma znaczyć?

— Oczywiście nie wiedziałem, do czego ma posłużyć ani że stanowi groźne ostrzeżenie dla tego, kto ją otrzyma — pośpiesznie wyjaśnił Paciá.

Ahmed znieruchomiał.

— Wyjaśnijcie mi dokładnie ten cały galimatias.

— Jak wiecie, moim chlebodawcą był Bernabé Mainar i to właśnie on bez powodu i niesprawiedliwie wyrzucił mnie na bruk.

— O tym już mówiliście — przerwał z niecierpliwością Ahmed.

— No właśnie. Kiedy ostatnio poszedłem po pieniądze, które jest mi winien, niechcący usłyszałem jego rozmowę z zarządcą Maimónem.

— Przejdźcie do sedna sprawy, bardzo proszę.

— No więc, pomyślałem sobie, że to może was zainteresować. Moja biedna głowa nie jest w stanie pojąć sensu tej rozmowy, ale wiem, co przytrafiło się waszemu chlebodawcy, i dlatego postanowiłem wam o tym powiedzieć. Głównie po to przyszedłem, a nie po prośbie.

— Mówcie, co usłyszeliście.

— Słowa Mainara brzmiały mniej więcej tak: „Pójdiesz do kamieniołomów na Montjuïc i złapiesz dużą jaszczurkę, one lubią wylegiwać się tam na słońcu wśród kamieni. Zamierzam wysłać prezent spowiednikowi Sant Pere de les Puelles". A potem tajemniczo dodał: „Musi to otrzymać, zanim będzie celebrował pianie koguta w środku nocy, bo właśnie tę chwilę ześle mi los na odebranie długu".

Nisza w murze

Dwie osoby przygotowywały się jednocześnie do spotkania, które miało być decydujące dla ich życia.

Luciano Santángel alias Bernabé Mainar wdziewał swój czarny strój, jakiego używał podczas szczególnych misji, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie jest w najlepszej formie, aby sprostać temu zadaniu. Pamiętał słowa ojca, który uczył go sztuki zabijania. „Nigdy nie pozwól, by nienawiść zmała twój umysł, zawsze zachowaj spokój przed akcją. Kiedy zaślepi cię złość i obsesyjna nienawiść, będziesz skazany na klęskę. Twoje ofiary nie powinny budzić w tobie żadnych uczuć oprócz obojętności”. Jednak Mainar tak długo czekał na ten dzień, tak bliski był już moment dokonania zemsty, a jego serce przepełniało tyle nienawiści, że nie potrafił zdobyć się na obojętność. Wszystko miało się spełnić za jednym zamachem: zemsta na człowieku, który spowodował śmierć jego ojca, przyniesie mu upragnione stanowisko, obiecane przez Berenguera, i pozwoli dochować wierności Zakonowi, zapewniając Najwyższemu Przewodnikowi krociowe zyski. Dwudziesty czwarty grudnia będzie dla Mainara przełomowym dniem, który zapewni mu wysoką pozycję w hrabiowskim domu. Odziany już w strój do wypełnienia rytuału, jednooki z satysfakcją patrzył na swoje odbicie w polerowanej miedzi, myśląc o trzech rzeczach, jakie pozostały mu jeszcze do zrobienia: sprawdzić działanie dmuchawki, zabrać zatrute strzałki, wymoczone na tę okazję w mieszance rącznika i tojadu, aby zapewnić

im jak największą skuteczność, oraz włożyć do kieszeni klucz do klasztoru Sant Pere de les Puelles, dostarczony przez protektora, któremu pozostało już tylko kilka dni do końca jego okresu rządów. Upewniwszy się, że niczego nie brakuje, wziął czarną pelerynę, zarzucił ją sobie na ramiona, zdmuchnął płomień w kaganku i po ciemku skierował się do stajni w posiadłości Vilanova deis Arcs.



Wiele okoliczności złożyło się na to, że Ahmed postanowił podjąć tej nocy ryzykowną wyprawę, do której szykował się w tym momencie.

Wiadomość, jaką przekazał mu Pacią, uderzyła go z siłą młota spadającego na kowadło. Amina potwierdziła wiadomość o przesyłce z głową jaszczurki — a zatem ojciec Llobet ma być kolejną ofiarą niewidzialnego skrytobójcy, tego samego, który podstępnie zgładził chlebobawcę Ahmeda! Młodzieniec nie wiedział, czyja ręka popępnia te zbrodnie, lecz był pewien, że kieruje nią z ukrycia właściciel zakazanego domu, miejsca śmierci jego ukochanej Zahiry. Wszystkie poszlaki wskazywały na tego człowieka o diabelskim umyśle. Do pełnego rozwikłania zagadki walnie przyczynił się Delfin. Karzeł jasnowidz z właściwą sobie bystrością odczytał informację zaszyfrowaną w słowach, które niechcący podsłuchał Pacią, kiedy przyszedł do Mainara upomnieć się o swoje pieniądze: „Musi to otrzymać, zanim będzie celebrował pianie koguta w środku nocy, bo właśnie tę chwilę ześle mi los na odebranie długu”. Jedyne kogut piejący w środku nocy to ten z *misa de gallo*, „mszy koguciej”, czyli pasterki, którą odprawi spowiednik zakonnic, ojciec Llobet; miejsce akcji: klasztor Sant Pere de les Puelles, czas: dwanaście uderzeń dzwonu w wigilię Bożego Narodzenia.



Ahmed, kierowany przecuciem i wspierany w swoim zamierzeniu przez Manela, zdecydował, że skoro morderca ma zjawić się w noc bożonarodzeniową w klasztorze, trzeba zrobić wszystko, aby mu przeszkodzić w działaniu. Będzie tam na niego czekał, a jeśli go nie zastanie, opuści święty przybytek tą samą drogą, którą wejdzie — powiedziała mu o niej Amina. Miał już plan ułożony w głowie, a do

jego realizacji potrzebował paru ważnych rzeczy, lecz wiedział, gdzie je znaleźć. Wyszedł z młyna razem z przyjacielem, obaj ubrani na ciemno, zabrawszy ze sobą torbę pokrytą warstwą smoły i wosku dla ochrony przed zamoczeniem, i udał się w głąb ogrodu do miejsca, gdzie znajdował się prosty grobowiec Zahiry, skierowany w stronę Mekki. Przy pomocy Manela uniósł ciężką płytę i wyciągnął ze środka szczelnie zamknięty pojemnik z cenną mazią, którą obejrzał dokładnie. Schował go tu przed laty, zanim wyruszył w podróż mającą na celu uwolnienie „Lai”. Włożył pojemnik do torby, gdzie było już parę innych przedmiotów, a jej wylot obwiązał dokładnie trokami, tak żeby nie zostawić żadnej szczeliny.

Płytę przesunął z powrotem na grobowiec i prostując się, uroczyście skierował do swojej ukochanej te słowa: „Jeśli Allah pozwoli, tej nocy wymierzę sprawiedliwość. Wciąż cię kocham, Zahiro, czas nie zablźnił rany po twoim odejściu, wspieraj mnie z raju w tym, co zamierzam uczynić”.

Obaj młodzieńcy dosiedli rączych koni i popędzili do klasztoru Sant Pere de les Puelles.



Brakowało pół godziny do północy, kiedy jeździec na czarnym koniu zatrzymał się u klasztornej furty. Przywiązał do belki swojego wierzchowca i skierował się do bocznego wejścia. Noc była czarna i bezgwiezdna, błądy księżyc słabo oświetlał scenę. Mężczyzna wyjął z sakiewki u pasa klucz, który otrzymał od swojego protektora. Zanim otworzył drzwi, upewnił się, czy ktoś go nie śledzi, po czym bez wahania zagłębił się w korytarz wiodący do klasztornego krużganka. Kiedy znalazł się na zewnątrz, dotarły do jego uszu dwa harmonijne dźwięki. Z jednej strony szmer wodotrysku wpadającego do zbiornika na wodę, z drugiej — śpiewy zakonnic na klasztornym chórze. Zauważył, że jedno z trzech okien kościoła jest otwarte mimo panującego chłodu, i pomyślał, że to musi być okno najbliższej apsydy, przez które ulatnia się dym świec z ołtarza i z kadzielnicy mszalnej. Uśmiechnął się złośliwie. Bezszelestnie, jak myśliwy tropiący zwierzynę, podszedł do tego okna i wspiał się na czubki palców, żeby lepiej widzieć. Zobaczył człowieka, który zabił jego ojca: stał przy ołtarzu, bokiem do okna. Mainar przystąpił do realizacji tego, co uważał za najczystsza i najwspanialsza akcję

swojego życia. Wyciągnął z torby dmuchawkę i jedną z zatrutych strzałek i z najwyższą ostrożnością zdjął z niej zabezpieczającą ostrze korkową zatyczkę. Załadował dmuchawkę i czekał, aż celebrians się odwróci. Chciał zabić go na oczach zgromadzonych zakonnic w najważniejszym momencie chrześcijańskiego rytuału — podczas przeistoczenia chleba i wina w ciało mistyczne.



Ahmed i Manel zatrzymali się przy parkaniu ogrodu klasztornego. Zostawili tu swoje konie i z łatwością przedostali się do środka. Idąc za wskazówkami Aminy, odnaleźli wejście do strumienia, który wypływał z terenu klauzury pod zakratowanym prześwitem w murze.

— Zostań tutaj, Manelu. Podasz mi torbę, kiedy wyjdę z wody, tylko uważaj, żeby się nie zamoczyła. Potem wracaj do koni.

Manel skinął głową.

— Powodzenia, przyjacielu!

Uściskali się mocno, Ahmed zniknął pod wodą, lecz wkrótce wychylił głowę po drugiej stronie murów.

Manel wsunął rękę przez kratę, podając mu nawoskowaną torbę, Ahmed przewiesił ją sobie przez ramię i rozejrzał się po klauzurze.

Amina dokładnie opisała mu to miejsce, więc nie miał problemów z orientacją.

Zwinnie wskoczył do wielkiej niszy, z której święty Piotr królował nad otoczeniem, i wyciągnawszy z torby swoją procę oraz amunicję, długo przechowywaną w grobowcu Zahiry, czekał na nadejście zabójcy.

W bladym świetle królowej nocy dostrzegł niebawem zamaskowaną postać. Mainar, owinięty peleryną, wyłonił się z ciemnego tunelu, wszedł do klauzury i skierował się prosto do jednego z okien kościoła. Intuicja nie omyliła Ahmeda: teraz wiedział na pewno, czyja ręka dokonuje zbrodni.

Wstrzymał oddech. Obserwując w napięciu jednookiego, wyobraził sobie scenę śmierci swojego pana. Morderca musiał działać podobnie jak teraz i używając tej samej broni, tyle że wtedy był na balkonie sypialni domu przy Sant Miquel. Ahmed usiłował pohamować ogarniającą go wściekłość, aby zachować jasność umysłu

i sprawność ruchów. Wyciągnął z torby jeden z garnuszków, umieścił go w skórzaney miseczce i lekko poruszając nadgarstkiem, zaczął wprawiać swój oręż w coraz szybsze obroty.



Mainar unosił dmuchawkę do ust, gdy dobiegł go cichy świst. Obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, skąd pochodzi ten dźwięk.

Zdawało mu się, że w niszy dostrzega jakiś cień, który szybko porusza ręką. Nagle uderzyło go w pierś coś twardego, na posadzkę wirydarza posypały się gliniane skorupy i zanim zdołał się zorientować, co to jest, zapaliło się na nim ubranie. Jednooki odrzucił dmuchawkę, zaczął potrzasać peleryną, próbując zgasić rękami płomienie, które sunęły coraz wyżej, podniósł dłonie do szyi, żeby rozwiązać wstążki przytrzymujące pelerynę, ale zrobił się supeł i nie mógł się od niej uwolnić. Wtedy poczuł drugie uderzenie: zawartość glinianej kulki wysypała się na jego nogi i płomienie zaczęły ogarniać całe ciało. Przyzwyczajony do wielu niebezpiecznych sytuacji, pomyślał, że jedyny ratunek znajdzie w stawie zakonnic. Bez namysłu wziął rozbieg i skoczył głową w dół, nie mogąc powstrzymać okrzyków bólu, które cisnęły mu się do gardła. Zaalarmowane zakonnice wysuwały głowy przez boczne drzwi kościoła wychodzące na wirydarz. Na ich oczach działo się coś niezwykłego. Przepętnione głęboką wiarą i zważywszy na wyjątkowe znaczenie tej nocy, nie wątpiły, że są świadkami cudu. Jakieś stworzenie płonęło w stawie pod wodą i chociaż gwałtownie machało rękami, nie mogło się stamtąd wydostać. Po kilku daremnych próbach znieruchomiło. Zakonnice nie potrafiły powiedzieć, co to jest. Z daleka wyglądało jak roziskrzony karbunkuł rozświetlający cichą, świętą noc.

Podczas gdy ojciec Llobet w szatach liturgicznych szedł od ołtarza do dymiących resztek, jakiś cień wyślizgnął się z niszy na ziemię i bezszelestnie zniknął w ciemnościach.

Powrót Bertrana

Dwie noce później jakiś jeździec pędził galopem z Cardony do miasta Barcelona. Młody Bertran miał tylko jeden cel: jak najszybciej zostawić za sobą rodzinną ziemię i odnaleźć swoją ukochaną. Przez kilka miesięcy ustępował prośbom ojca, mając nadzieję, że wreszcie zdoła go przekonać, iż zarówno on, jak i Marta zasługują na jego błogosławieństwo. Teraz ubolewał, że dni przeciągnęły się w tygodnie, a potem w miesiące. Na swoje usprawiedliwienie miał jedynie to, że ani jednej nocy nie przestał myśleć o kobiecie, która czekała na niego za murami klasztoru. Musiał przyznać, że ojciec wybrał bardzo zręczną taktykę: odkładał ważne rozmowy na potem i przedstawiał go różnym damom, opóźniając jego wyjazd, jak tylko się dało, pod pretekstem, że jest radością dla oczu matki, która nie może się na niego napatrzeć... Kroplą przepelniającą czarę cierpliwości Bertrana była wiadomość, iż list od Delfina, który donosił mu o śmierci Martiego Barbany, został przechwycony i zatrzymany przez wicehrabiego Cardony. Bertran wpadł w wielki gniew. Kłótnia z ojcem wciąż jeszcze pobrzmiwała mu w uszach, kiedy pędził w stronę Barcelony. Wyjechał bez ojcowskiego błogosławieństwa i bez spadku, ale na tym już mu nie zależało... Jedyne, czego pragnął, to przytulić Martę, pocieszyć ją w trudnych chwilach, zapewnić ją, że wreszcie podjął nieodwołalną decyzję.

Zmęczył konia i nie dając mu wytchnienia, skierował się prosto do Sant Pere de les Puelles, gdzie panowało ogromne zamieszanie

w związku z tragicznym, tajemniczym wydarzeniem sprzed paru nocy. Nie wiedząc, jak się zachować, Bertran spoglądał nerwowo na zaaferowane mieszkanki klasztoru i ludzi szeryfa, dopóki nie dostrzegł w tym tłumie znajomej twarzy ojca Llobeta.

— Bertranie! — wykrzyknął archidiakon. — Skąd się tu wzięłeś?

— Muszę porozmawiać z Martą, wasza wielbność... Pozwólcie mi ją zobaczyć.

Ksiądz popatrzył na niego surowo.

— Już myślałem, że postanowiliście pozostać na zawsze w Car-dome albo że przestało wam na Marcie zależeć — powiedział twardo, lecz zaraz złagodniał, widząc smutek na twarzy młodzieńca. — Dużo się wydarzyło ostatnimi czasy.

— Pozwólcie, że wytłumaczę się przed wami i przed Martą... — poprosił Bertran.

Archidiakon kiwnął głową.

— Niech ona sama zadecyduje, Bertranie... Ale najpierw muszę wam o czymś powiedzieć. Powinienem był zrobić to już dawniej i żałuję, że się nie zdecydowałem — powiedział ze skrucą. — Chodźcie ze mną. Jest tu tyle obcych osób, że przeorysza już niczemu się nie zdziwi.

Eudald Llobet zaprowadził Bertrana do swojego gabinetu, gdzie poinformował go o tragedii sprzed kilku nocy i o tym, co przytrafiło się Marcie w ostatnich dniach. Opowiedział mu o napastliwym zachowaniu Berenguera w czasach, gdy mieszkała w pałacu, i o podłej próbie zawładnięcia jej ciałem w świętych murach klasztoru. Młodzieniec zmienił się na twarzy, zaniepokojony chorobą dziewczyny, lecz jednocześnie w jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk niosący zapowiedź burzy o nieprzewidywalnych skutkach.

— Jak Marta teraz się czuje? Wasza wielbność, proszę mi powiedzieć, czy odzyskała zdrowie.

— Sami to zobaczycie, Bertranie.

— Pragnę z nią porozmawiać i przekonać się, że żyje. Jestem tak poruszony wiadomością o tych wszystkich nieszczęściach, że wasze zapewnienia nie zdołają mnie uspokoić. Muszę ujrzeć ją na własne oczy i dotknąć własnymi rękoma. Poza tym zakiełkowała mi w głowie pewna myśl: jeszcze nie wiem, jak tego dokonam, ale wyzwę na pojedynek nikczemnego hrabiego, choćbym miał to przepłacić życiem. Chcę, aby prawda zatriumfowała wobec wszyst-

kich i żeby zdrajca poniósł zasłużoną karę, którą będzie hańba, kompromitacja i wstyd.

Popatrzyli na siebie w milczeniu, po czym archidiakon odezwał się serdecznie do dzielnego młodzieńca:

— Wszystko jest bardzo skomplikowane, Bertranie... Ale najpierw idźcie porozmawiać z Martą sam na sam. Dobrze wiem, że w pewnych sytuacjach obecność takiego starucha jak ja może tylko zawadzać. Jestem przekonany, że wasza wizyta okaże się najlepszym balsamem na jej cierpienia.

131

Spotkanie

Zadzwoniono właśnie na Anioł Pański, więc Bertran musiał zaczekać w klasztornej sali recepcyjnej, aż zakonnice skończą odmawianie modlitwy. Wiadomości uzyskane od ojca Llobeta wzburzyły go do tego stopnia, że jego wrogie nastawienie do Berenguera zamieniło się w coś w rodzaju niekontrolowanej nienawiści. Wiedział, że jeżeli nad tym nie zapanuje, nie zdoła przeprowadzić do końca swojego planu, który miał na celu obronę honoru ukochanej kobiety i ukaranie winnego, co nie będzie łatwą sprawą, zważywszy na tytuł i wysoką pozycję nikczemnika.

Z korytarza dobiegły go lekkie kroki przeoryszy, która niebawem pojawiła się w progu sali.

Bertran podniósł się i obserwował idącą.

Kobieta zbliżała się w jego stronę z rękami wsuniętymi w rękawy habitu. Z owalu twarzy, która była jedynym nieosłoniętym fragmentem jej sylwetki, wywnioskował, że mogła mieć jakieś pięćdziesiąt lat: szare oczy otoczone miriadami drobnych zmarszczek błyszcząły w twarzy rozjaśnionej szczerym uśmiechem. Odezwała się do niego śpiewnym głosem, który brzmiał niespodziewanie młodo jak na jej wiek:

— Miło was poznać, panie z Cardony. Dużo o was słyszałam. Nawet gdybyście mieli tylko połowę cnót, jakie przypisuje wam archidiakon, nasz spowiednik, to i tak jesteście prawdziwym wzorem rycerza.

Bertran skłonił się z szacunkiem przed zakonnica, która podsunęła mu do ucałowania krzyż zawieszony na cingulum przepasującym habit.

— Czynicie mi zbyt wielki zaszczyt, matko. Jestem tylko chorażym i uniżonym wasalem swojego pana, Ramóna Berenguera.

Przeorysza usiadła na krześle, a młodzieniec zajął miejsce na drewnianej, pięknie rzeźbionej ławie pochodzącej ze stali kolegiaty klasztoru Sant Pere de Rodes.

Bertran siedział jak na szpilkach.

— Wybaczcie mi, pani, ale nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie ujrzę Martę. Jak ona się czuje?

— Nasza postulantka czuje się już dobrze, lecz ma za sobą bardzo ciężkie przejścia.

— Pozwolicie mi ją zobaczyć? Muszę sprawdzić na własne oczy, w jakim jest stanie. Ojciec Llobet nie chciał mnie do niej zaprowadzić bez waszej zgody.

— W tym klasztorze nie ma zwyczaju przyjmowania męskich wizyt... jednakże ojciec Llobet bardzo na to nalegał, ja też sądzę, że wasz widok może się przyczynić do polepszenia zdrowia Marty. Chodźcie ze mną.

Po drodze matka przełożona powiedziała:

— Specjalnie rozpuściliśmy takie pogłoski, że ona cierpi na wyjątkowo zaraźliwą chorobę i jest z nią bardzo źle... W ten sposób chcieliśmy nie dopuścić do powtórnego najścia... wiecie, o czym mówię... i mieć czas na rozważenie, czy nie należałoby przenieść Marty do innego klasztoru. Ale skoro wy wróciliście...

Przeszli przez wirydarz, udając się do ogrodu, gdzie w cieniu konarów wielkiego drzewa było małe patio ze studnią pośrodku. Zatrzymali się przed ogrodzeniem.

— Tam ją znajdziecie. — Matka przełożona pokazała ręką na patio i nie zwlekając dłużej, odeszła.

Dostrzegł Martę pośród błyszczących liści magnolii. Siedziała na ławeczce, zwrócona bokiem do niego, widział jej piękny profil bizantyjskiej madonny o cerze tak przezroczystej jak skrzydła ważki. Spod białego czepka na głowie wymykały się niesforne kosmyki.

— Marto! — szepnął Bertran.

Dziewczyna podniosła oczy i zerwała się z ławki tak gwałtownie, że robótka, którą miała na kolanach, spadła na trawę.

— Bertranie... wróciłeś.

Kiedy młodzieniec zbliżył się do niej, schroniła się w jego objęciach, z twarzą zalaną łzami, i wtedy czas się zatrzymał, wszelkie słowa wydały się zbędne. Setki razy Marta wyobrażała sobie to spotkanie, zastanawiając się, co mu powie po tak długiej rozłące, ale gdy go zobaczyła i poczuła jego ramiona, wszystkie inne sprawy przestały być nieważne.

— Wiedziałam, że wrócisz, Bertranie — szepnęła.

— Wybacz mi... Przysięgam, że od teraz nic ani nikt nas nie rozdzieli.

— A co na to twój ojciec? — zapytała ledwie słyszalnym głosem, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy.

— Nieważne, co myśli mój ojciec... Chciałem mieć jego błogosławieństwo, poświęciłem dużo czasu i starań, aby je otrzymać... Ale nie udało się. Teraz zależy mi jedynie na twoim błogosławieństwie.

Marta westchnęła.

— Dlaczego wszystko jest takie trudne, Bertranie?

Przytulił ją mocniej, jakby się obawiał, że wyrwie się z jego ramion i odleci jak ptak.

— Dlatego, że się kochamy, Marto. Tak niezwykła miłość jak nasza ma swoją cenę, lecz sądzę, że spłaciliśmy ją z nawiązką przez te lata rozłąki. Kiedyś zadałem ci już to pytanie, ale chcę je powtórzyć w tych świętych murach: czy zostaniesz moją żoną?

— Nic nie uczyni mnie bardziej szczęśliwą, Bertranie. Pragnę być z tobą przez wszystkie dni swojego życia.

Spojrzał jej w oczy, wciąż jeszcze podkrążone ciemnymi obwódkami.

— Dużo wycierpiałas, Marto... Ale zapewniam, że skończyła się twoja udręka. Teraz jestem z tobą i nigdy cię nie opuszczę.

Marta uśmiechnęła się przez łzy.

— I jeszcze jedno: przysięgam, że sprawca twoich cierpień zapłaci mi za to.

— Co chcesz powiedzieć?

— Wyzwę Berenguera do walki przed całym dworem, tak żeby nie mógł odmówić, jeśli nie chce wyjść na tchórze. — Dziewczyna próbowała zaprotestować, lecz Bertran uciszył jej sprzeciw jednym spojrzeniem. — Nie mieszaj się do tego, Marto. Moja decyzja jest nieodwołalna. Żaden rycerz nie darowałby takiej zniewagi wyrządzonej jego damie. A gdyby tak uczynił, toby znaczyło, że na nią nie zasługuje.

Prowokacja

Tego wieczoru pałac hrabiowski jaśniał pełnym blaskiem. Hrabia Ramón Berenguer postanowił uczcić z najbliższymi początek swojego semestru rządów w hrabstwie, który miał nastąpić tej nocy wraz z nadejściem nowego roku.

W salonie mogącym pomieścić czterdzieścioro biesiadników ustawiono stoły w podkowę, tak by lokaje mogli wygodnie podawać potrawy i wina i żeby potem wszyscy mogli oglądać przygotowane rozrywki. Jego siostry Sancha i Inés przybyły ze swoimi mężami, hrabią Guillermem Ramónem z Cerdańi i Guiguesem z Albonu, kler był reprezentowany przez biskupa Odóna de Monteada, a sądownictwo przez trzech głównych sędziów. *Curia Comitis* stawiała się w komplecie z głównym notariuszem hrabstwa na czele, władze miasta uosabiał *veguer* Olderich de Pellicer. Jedno skrzydło stołu było przeznaczone dla dam dworu.

Wszyscy zaproszeni pozajmowali miejsca zgodnie z dworską etykietą. Na prośbę hrabiego biskup pobłogosławił stół i już miała się rozpocząć uczta, kiedy mistrz ceremonii podszedł do głównego stołu i coś szepnął hrabiemu do ucha. Ten rzucił okiem na miejsce po swojej prawej stronie, które wciąż było puste, lecz mimo to kazał rozpocząć bankiet. Ruszyła parada lokajów: najpierw przynieśli wielkie wazy z zupą i chochlami zaczęli nalewać gęsty, gorący rosół do miseczek z ceramiki, ustawionych po prawej stronie każdego biesiadnika, potem weszli paziowie z szeregiem tac, na których

pyszniły się półciętowane piersi ptactwa, wątróbki z przyprawami korzennymi, gotowane jaja i rozmaite dodatki do rosółu, podczas gdy podczaszy napełniał kielichy winem sprowadzonym z Pirenejów.

Bertran siedział na przedostatnim miejscu po prawej stronie ustawionego w podkowę stołu, kiedy otwarły się gwałtownie podwoje i w progu pojawił się hrabia Berenguer Ramón w rozchełstanej tunice, z nieobecnyim spojrzeniem i resztkami czerwonego wina w kącikach ust. Jego twarz wyrażała frustrację na skutek wiadomości, że ostatnia akcja Mainara zakończyła się klęską, niweczając wszelkie nadzieje na przejęcie fortuny rodu Barbany.

Wśród biesiadujących zaległa cisza zwiastująca burzę. Berenguer spojrzał ponuro na gości swojego brata, stanął w środku podkowy i wzniosłszy swój kielich, wygłosił bełkotliwy toast:

— Piję za zdrowie tych wszystkich wiernych poddanych, którzy tak szybko potrafią zmienić pana.

Ramón, który już niejedną raz w imię dobra i spokoju w hrabstwie próbował załagodzić kompromitujące sytuacje wywoływane przez bliźniaka, powiedział.

— Czekamy na was, bracie. Wasze miejsce jest przy stole honorowym. Wszyscy tu obecni służą hrabstwu, piastując ważne urzędy i traktując swoją rolę w sposób odpowiedzialny niezależnie od tego, który z nas jest na tronie, wy czy ja. Gdyby postępowali inaczej, w hrabstwie zapanowałby chaos. Zechciejcie zasiąść do wieczerzy i postarajcie się nie zakłócać miłej atmosfery naszego spotkania.

Berenguer wyniośle i arogancko spoglądał na każdego z biesiadników po kolei, przesuując wzrokiem aż do końca podkowy, gdzie jego oczy napotkały Bertrana. Rzuciwszy młodzieńcowi z Cardony pogardliwe spojrzenie, skierował się w stronę stołu dla dam.

— Nie macie skrupułów, bracie — oznajmił. — Ja nie siadam do jednego stołu z zakładnikami naszego ojca, których miejsce jest w stajni albo jeszcze lepiej w lochach pałacowych.

Kończąc zdanie, potknął się i wylał resztkę wina z kielicha na dekolt Araceli de Besora.

Bertran zerwał się na nogi, zanim hrabia zdążył interweniować, a drugi seneszał, ojciec damy, wyciągnął sztylet.

— Jeśli usiądziecie, ja wstanę od stołu, żeby nie siedzieć razem z wami, hrabio Berenguerze. Żaden członek rodu Cardonow nie zwykł biesiadować z człowiekiem, który znieważa damę przy wszystkich i który nie zawahał się pogwałcić nienaruszalnych praw klasztoru, wdzierając się w jego mury z premedytacją i po tchórzowsku.

Pomimo swojego stanu Berenguer pojął przesłanie i rzuciwszy się na Bertrana, usiłował spoliczkować go rękawiczką, którą miał u pasa. Młodzieniec przytrzymał go za ramię.

— To nie jest odpowiednie miejsce ani pora, panie. Rycerz załatwia takie sprawy w inny sposób. Jeśli nim jesteście, przyjmijcie moje wyzwanie i stańcie do pojedynku na ubitej ziemi.

Berenguerowi nagle wróciła jasność umysłu.

— Jesteście bardzo dzielni w gębie, panie chorąży, ponieważ wiecie, że nikt pod słońcem nie może rzucić wyzwania hrabiemu Barcelony, jeżeli nie jest mu równy rangą i urodzeniem.

— Zdaje się, że wino zmąciło wam pamięć, skoro zapomnieliście, że jestem pierwotnym synem wicehrabiego Cardony — odparł Bertran. — Ranga mojego rodu pozwala mi wyzwąć was na pojedynek. — I dodał z sarkazmem: — Zresztą jest jeszcze jedno rozwiązanie. Jeśli nie pod słońcem, to niech będzie w świetle księżycy! Chyba że stać was na odwagę tylko wobec bezbronnych młodych panien.

Berenguer zbladł. Zegar wybił północ, ogłaszając nadejście nowego roku. Bertran odwrócił się do Ramóna Berenguera, który w tej samej chwili rozpoczynał swój semestr rządów, i skłaniając przed nim głowę, powiedział:

— Wyzygam waszego brata na pojedynek nocą w świetle księżycy, kiedy słońce się schowa. Niech na koniec zabłyśnie jedynie prawda, która czyni ludzi wolnymi.

Ramón spojrzął na obu szlachciców, zastanowił się przez chwilę, po czym rzekł:

— Berenguerze, dlaczego nie wyznaczycie kogoś, kto walczyłby w waszym imieniu? W ten sposób spór zostanie rozstrzygnięty bez ujmy dla honoru wicehrabiego.

Berenguer odezwał się głębokim, pełnym nienawiści głosem, który rozwiał wszelkie wątpliwości.

— Przyjmuję wyzwanie i stanę do walki osobiście, bracie. Uczynię to z wielką przyjemnością, gdyż od dawna miewam zatargi z tym bezrozumnym młokosem. Żądam jedynie, byście zezwolili na włócznie bojowe i na walkę do upadłego.

— Na to nie mogę pozwolić, bracie. Walka na śmierć i życie mogłaby się dla was źle skończyć. Zgadzam się tylko na drewniane włócznie, sam wybiorę datę i godzinę.

133

Turniej

Księżyc w nowiu rozświetlał słabo noc nad esplanadą Borne, gdzie zazwyczaj odbywały się igrzyska i turnieje. Płonęły pochodnie wyznaczające pole walki, a osoby, które miały być obecne przy tym niezwykłym wydarzeniu, zajmowały już swoje miejsca. Hrabia przybył w towarzystwie swojego senezala, doña de Besora, który dowodził strażą stojącą pod trybuną i który nie wybaczył Beren-guerowi zniewagi uczynionej jego córce podczas pamiętnej wieczerzy. Naprzeciw siedzieli na głównych miejscach pierwszy senezal Gualbert Amat, odpowiedzialny za przestrzeganie reguł walki, i trzech sędziowie mający czuwać, by nie odstępowano od zasad uzgodnionych przed tym niezwykłym spotkaniem. Medyk, przystrojony w szkarłatny płaszcz, z łańcuchem na szyi, na którym wisiał ametyst wskazujący na jego funkcję, z torbą z instrumentami i lekami na ramieniu, stanął w pobliżu pola walki, aby w razie potrzeby szybko przyjść z pomocą.

W stożkowych namiotach stojących po obu krańcach pola wrzała krzątanina. Namiot Berenguera był pełen ludzi: dwóch koniuszych zajmowało się końmi, zbrojmistrz przygotowywał włócznie i puklerze, trzech paziów polerowało jego hełm i sprawdzało, czy przyłbica jest dobrze dopasowana, czy sprawnie działają sprzączki koleczugi i czy rzemienie mocujące napierśnik i naplecznik, fartuch i naramienniki są odpowiednio natłuszczone, a więc czy cała zbroja jest sprawna i doprowadzona do połysku.

W namiocie Bertrana, nie licząc Delfina, było tylko dwóch służących, którymi kierował jego młody giermek Sigeric; karzeł uparł się towarzyszyć, a przy tym zachowywał się tajemniczo i myszkował w jego rzeczach.

Odsunąwszy nasmołowaną tkaninę wiszącą u wejścia, zajął do namiotu odzwierny.

— Panie, hrabia zajął już swoje miejsce, lada chwila ozwą się trąby i fanfary. Koń, którego wybraliście na pierwsze starcie, jest już oporzędzony. Zaraz zacznie się turniej. Czy jesteście gotowi?

— Poczekajcie chwilę. — Bertran podszedł do stołu i otworzywszy stojącą na nim szkatułkę z różanego drzewa, wyjął z niej niebieską chustkę.

— Sigericu, zawiążcie mi wokół ramienia mój emblemat — rozkazał.

Giermek szybko wykonał polecenie i Bertran, upewniwszy się, że opaska trzyma się mocno, wzięł swój hełm z pióropuszem i wyszedł na zewnątrz.

W pierwszej chwili zaskoczył go niezwykle wygląd pola walki. Dotąd zawsze przyjeżdżał na pole turniejowe za dnia, a teraz, nocą, poczuł, że jego zmysły wyostrajają się i dostrzegają kolory chorągwi, sztandarów i proporców znacznie wyraźniej. Nawet wiejąca od zachodu bryza zdawała się mieć inne brzmienie, przedostając się przez listowie rosnących wokół drzew.

Bertran objął szybkim spojrzeniem całe pole walki. Poczuł respekt na widok wspaniałej zbroi rywala, złotej korony wieńczącej jego hełm i otaczającej pióropusz koloru krwi, który powiewał na wietrze z północy, i siły ogromnego rumaka, co bijąc kopytami, ledwo dawał się utrzymać koniuszemu.

Dziedzic Cardony dosiadł swojego wierzchowca i osłoniwszy głowę hełmem, chwycił włócznię podaną przez Sigerica. Umieścił ją pionowo w tulei po prawej stronie siodła, na dźwięk surm podjechał pozdrowić księcia, dostrzegając, że jego przeciwnik robi to samo, ale dla podkreślenia swojego hrabiowskiego stanu pozostawia opuszczoną przyłbicę, zasłania twarz i unika wykonania ukłonu.

Po pozdrowieniu i na dźwięk pierwszych fanfar rywale udali się na swoje miejsca na krańcu pola walki; konie rżały, zdenerwowane

i podniecone, czując zbliżający się turniej. Sędzia opuścił dwa proporce — czerwony i błękitny — które trzymał w dłoniach. Pojedynek się rozpoczął.



Tymczasem w klasztorze Sant Pere de les Puelles zaniepokojona Amina po raz pierwszy w życiu stawiała czoła swojej pani.

— Dokąd się wybieracie o tej porze?

Marta, z zapaloną świecą w dłoni, owinęła się wełnianym szalem.

— Wiesz doskonale, dokąd się wybieram, Amino.

— Pani, błagam was...

Marta spojrzała na nią z uporem.

— Nie pozwolę, żeby Bertran był sam w takiej chwili... Walczy o moją cześć! Muszę być przy jego boku.

— Jesteście jeszcze taka słaba! Nocny chłód może wam zaszkodzić.

— Umrę, jeżeli tutaj będę musiała czekać na wiadomości. Musisz się zdecydować, Amino, możesz pójść ze mną albo tu zostać, ale przysięgam, że mnie nie powstrzymasz.

I nie zwracając uwagi na protesty przyjaciółki, skierowała się do jednej z bocznych furt klasztoru. Panował ziąb, ale jej serce płonęło.



Uczestnicy pojedynku, pochylając włócznię w prawej dłoni na tyle, na ile pozwolił uchwyt na napierśniku, i umieszczając koniec drzewca pod przedramieniem, z podniesionym puklerzem w lewej pogalopowali ku sobie.

Bertran nie widział już nic oprócz napierającej na niego groźnej postaci i przez szczeliny przyłbicy odgadł błysk nienawiści w oczach przeciwnika. Zderzenie było straszliwe i chociaż poczuł, że traci równowagę w strzemionach, miał jednocześnie pewność, iż dębowy grot jego włóczni strzaskał okrągły puklerz rywala wykonany ze wzmocnionej skóry. Powstrzymując konia i zmuszając go do powrotu na miejsce, kątem oka dostrzegł, że sędzia opuszcza oba proporce na znak, że obaj rycerze trafili w cel, a więc wynik ataku jest wyrównany.

Berenguer dojechał wściekły do swojej strefy i zeskakując z konia, gdy tylko giermek mu w tym pomógł, wrzasnął:

— Zmień mi konia, to zwierzę nie słucha ostrogi! I podaj mi spiczasty puklerz, który mnie lepiej osłania. Ten zuchwalec jest twardszy, niż myślałem!

Stajenni natychmiast usłuchali pana i w mgnieniu oka Berenguer siedział na dziewięcioletnim bułanku, którym nie trzeba było powodować, bo sam wiedział, co ma robić podczas walki.

Umysł Bertrana uchwycił wszystkie szczegóły dotyczące sposobu, w jaki Berenguer prowadził walkę. Hrabia, podnosząc włócznię do ciosu, zaniedbywał nieco osłonę i opuszczał puklerz, zatem jeżeli Bertran będzie celował w jego głowę i nie ruszy się ze swojego miejsca, w chwili starcia jego rywal opuści puklerz, a wtedy on, ustawiając ukośnie tarczę, poprowadzi grot włóczni przez powstałą w osłonie szczelinę, a broń przeciwnika ześlizgnie się niegroźnie po powierzchni jego tarczy.

Sędzia uniósł oba proporce, dając znak do podjęcia walki.

Obaj rycerze puścili swoje rumaki galopem. Miało nastąpić drugie starcie. Szczęk zbroi i żelaza okrywającego konie był ogłuszający.

Bertran utrzymywał swoją pozycję, choć wszystkie sprężyny jego umysłu skłaniały go do czegoś przeciwnego. Kiedy już miał zmienić kierunek jazdy, Berenguer zrobił to, czego Bertran się spodziewał, i opuścił nieco puklerz: grot jego włóczni ześlizgnął się niegroźnie po tarczy Bertrana, podczas gdy dębowe zakończenie włóczni tego ostatniego przeszło nad puklerzem i złamało się na napierśniku Berenguera, niemal zrzucając go z konia. Wiwaty obecnych nagrodziły ryzykowną akcją młodzieńca z Cardony; czerwony proporzec sędziego opadł, a błękitny nadal powiewał w powietrzu, zaznaczając punkt na korzyść Bertrana.

Obaj wycofali się do swoich namiotów. Bertran, który zostawił swojego ulubionego wierzchowca Blanca na trzecie starcie, z pomocą Sigerica zsiadł z jednego konia i dosiadł drugiego.

W tym momencie Delfin przydreptał do samych nóg Blanca, zmuszając jeźdźca, by zniżył głowę. Słowa karla sprawiły, że Bertran podniósł przyłbicę i spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Nie może być...

— Marta pojawi się tutaj. Uwierzcie moim przeczuciom — powiedział Delfin.

W czerwonym namiocie dosadne słowa wychodziły z ust hrabiego jak zatrute żmije. Nikt nie ośmielał się odezwać.

— Przyprawdźcie tu Nubia.

Był to straszliwy ogier o potężnym zadzie i nabiegłych krwią ślepiach. Kiedy hrabia go dosiadł, głosem, który przepętnił lękiem służących, rozkazał:

— Przynieście włócznię bojową!

Jego giermek, który od dawna był u niego na służbie, ośmielił się odezwać.

— Panie, zostaniecie zdyskwalifikowany!

— Włócznia z żelaznym grotem, powiedziałem!

— Panie, możecie go zabić...

— Właśnie o to mi chodzi, głupcze!

Kiedy potężny rumak niespokojnie bił kopytami i zanim sędzia uniósł proporce, dając znak do walki, Berenguer dostrzegł słaby blask, który zaczął przesuwając się w górę po stopniach prowadzących do pustych miejsc przeznaczonych dla rodziny i przyjaciół dziedzica Cardony.

Berenguer rozpoczął już galop, ale jego spojrzenie nadal spoczywało na tym świetle, które zapowiadało coś nieznanego i groźnego. Gdy znalazł się przed trybunami, ujrzał dziewczynę zdejmującą z głowy szal. Wyglądała przepięknie; pochodnia, którą trzymał ktoś w jej pobliżu, nadawała jej jakiś widmowy blask: była to Marta Barbany, odziana w białą tunikę podkreślającą jej wspaniałą figurę. Ten widok zbił z tropu hrabiego, który miał jeszcze w oczach obraz Marty na łożu boleści. Jego myśli bezwiednie zmaciły się na chwilę i wtedy poczuł uderzenie grota włóczni rywala, który jak wściekły chrabąszcz trafił go w środek piersi, pozbawiając równowagi. Berenguer w swojej wspaniałej zbroi spadł na twardą ziemię pola walki.

Podczas gdy medyk i sędzia biegli do powalonego rycerza, seneszał, widząc w trawie bojową włócznię, rzekł do niego twardym tonem:

— Popełniliście czyn haniebnny, hrabio. Nigdy dom Berenguerów nie upadł tak nisko. Wasz brat zostanie o tym poinformowany.

— Idźcie do diabła! — powiedział hrabia, podnosząc się z ziemi. — Jestem mu równy rangą i szlachectwem krwi, a w przyszłym półroczu inaczej będziecie ze mną rozmawiać.

Podczas gdy pokonany kierował się do swojego namiotu, Bertran, zdjawszy rękawicę i zawiesiwszy na zakończeniu włóczni niebieską chusteczkę, którą wcześniej miał przywiązaną do przedramienia, podszedł do krzesła, na którym siedziała dziewczyna, opuścił broń i podał jej ten emblemat.

— Już wam mówiłem, Marto Barbany, że nikt ani nic mnie z wami nie rozdzieli i żaden rycerz nie ośmieli się wam ubliżyć.

134

Narada

Hrabia Barcelony Ramón Berenguer w tym semestrze sprawował władzę w mieście na mocy testamentu swojego ojca i w związku z tym odbywał wiele narad z udziałem głównego notariusza Guillem de Valderribes, *veguera* Oldericha de Pellicer i jednego z sędziów, Eusebiego Vidielli, którzy wspierali go w rządzeniu. Po prawej stronie tronu miał dwóch skrybów wyposażonych we wszystkie przyrządy do pisania, z dużymi pulpitami na kolanach, którzy wiernie notowali każde słowo wypowiedziane w tym gronie, po lewej zaś siedzieli trzej członkowie *Curia Comitum* pełniący tego dnia dyżur.

Przed tronem, z zachowaniem należytego dystansu, stanął chorąży hrabiego Bertran z Cardony, aby przez wzgląd na szacunek dla panującego oficjalnie przedłożyć swoją sprawę w obecności rady.

— Szanowni panowie — zaczął Bertran. — Wiem, że sprawa, która mnie tu sprowadza, wzbudziła już pewne kontrowersje, ponieważ nie mieści się w ramach obowiązującego zwyczaju. Mógłbym zaoszczędzić sobie tego kroku, lecz przez szacunek dla hrabiego Barcelony, który wielokrotnie okazywał mi swoją przyjaźń, postanowiłem stanąć przed obliczem waszych miłości, aby przedstawić swój przypadek.

Czcigodne gremium dostojników obserwowało Bertrana z Cardony, słuchając go z uwagą.

— Ja nie przybyłem do tego miasta jako gość honorowy, lecz w charakterze zakładnika, kiedy zażądano od mojego ojca rękojmi

gwarantującej pakt zawarty z hrabią Barcelony. Przybyłem tu pełen uprzedzeń, które szybko okazały się bezzasadne, gdyż od początku byłem traktowany uprzejmie i z życzliwością przez tego, który przewodniczy waszej naradzie. W tym pałacu, a nie na targu czy na jarmarku, poznałem dziewczynę z orszaku dam hrabiny Almodis, znakomicie wykształconą i przyozdobioną zaletami, których mogłyby jej pozazdrościć... proszę o wybaczenie, jeżeli ktoś poczuje się urażony tymi słowami... córki najlepszych i najszlachetniejszych domów hrabstwa. Widywałem ją codziennie i w miarę upływu czasu uświadomiłem sobie, że ją pokochałem. Ojcu tej damy, wybitnemu człowiekowi i znamienitemu obywatelowi Barcelony, który czynami zasłużył na chwałę i prestiż swojego imienia, świętej pamięci hrabia powierzył zaszczytną misję poselstwa na sycylijskim dworze wielce dostojnego Roberta Guiscarda w sprawie uzgodnienia małżeństwa jego pięknej córki Mafaldy z Apulii z naszym hrabią Ramónem Berenguerem. Ile jest rodzin, którym za mniejsze zasługi nadano tytuły szlacheckie? Powiem wam, że niemało. Staję przed wami — mówił dalej Bertran — z sercem przepelnionym najgorętszą miłością, jaką można sobie wyobrazić. Wiem, że małżeństwo między szlachcicem i plebejuszka jest niezgodne ze zwyczajem i źle postrzegane na tych ziemiach. A zatem dobrze, jako chorąży będę wykonywał rozkazy mojego pana i członków rady, lecz jako mężczyzna muszę wam powiedzieć, że nic ani nikt nie zabroni mi poślubić ukochanej kobiety. I nie sądzę, aby w imię obyczaju można było zażądać ode mnie takiego poświęcenia.

Wśród obecnych zapadła nieprzenikniona cisza. Członkowie *Curia Comitum* wpatrywali się w niewzruszone oblicze hrabiego, który nie dał po sobie poznać, co mu chodzi po głowie.

Po drugiej stronie morza

Miesiąc potem, jednego z ostatnich dni lutowych, przy nabrzeżu Montjuïc zapanował o zmierzchu ożywiony ruch, rzecz niezwykła o tak późnej porze: podjeżdżały karety, wysiadali z nich ludzie w wytwornych strojach i przesiadali się do feluki, którą podpływali do jednego z cumujących tam statków. Po wejściu na pokład goście udawali się do mesy przekształconej w tymczasową kaplicę, gdzie archidiakon Eudald Llobet szykował się do odprawienia nabożeństwa. Po jednej stronie zajęli miejsca seneszał Gombau de Besora, główny notariusz, Lionor de la Boésie, Brígida de Amalii, Barbara de Ortigosa, przeorysza klasztoru Sant Pere de les Puelles, Estefanía Desvalls i Delfín. Po drugiej stronie: dwaj kapitanowie Martiego Barbany, Felet i Jofre, Andreu Codina, Gaufred, ochmistrzyni Caterina oraz rodzeństwo Ahmed i Amina. Zgromadzeni spoglądali na siebie z uśmiechem, lecz zachowywali milczenie, lekko onieśmieleni obecnością księdza.

Po chwili wszedł na pokład Bertran razem ze swoim wiernym Sigerikiem i śmiało podążył w kierunku księdza. Jednakże nerwy odmówiły mu posłuszeństwa, kiedy, odwracając się w stronę drzwi kabiny, dostrzegł Martę Barbany i Basilisa Manipoulosa. Stary marynarz, uczestnik tysięcy bitew morskich, z wilgotnymi ze wzruszenia oczami prowadził do ołtarza córkę swojego najlepszego i najwierniejszego przyjaciela, wielkiego nieobecnego tej uroczystej

chwili. Marta z uśmiechem uwolniła się od jego ramienia i stanęła przed ojcem Llobetem. Ceremonia miała już się rozpocząć, gdy niespodziewanie, ku powszechnemu zdumieniu, pojawił się jeszcze jeden gość, zmierzający prosto do zaimprovizowanego ołtarza. Wszyscy skłonili głowę przed hrabią Barcelony, Ramónem Berenguerem II, który stanąwszy obok archidiakona, przemówił:

— Zacni panowie i przyjaciele, wszyscy, którzy kochacie tępiękną damę i darzycie poważaniem mojego drogiego chorążego. Jak wam wiadomo, władca musi rozstrzygać o złożonych, delikatnych sprawach, godząc szacunek dla dawnych zwyczajów z porządkiem własnego serca. Nie dalej niż kilka tygodni temu stanąłem przed takim dylematem, zastanawiając się, jak zapewnić szczęście dwojgu młodym zakochanym i nie uchybić odwiecznej tradycji naszego hrabstwa w kwestii małżeństwa między osobami różnych stanów. I dlatego pragnę oświadczyć, drodzy poddani, że dzisiejsza ceremonia ślubna w niczym nie narusza obowiązujących zwyczajów... z tego prostego powodu, że nie odbywa się na ziemiach Barcelony. Jak widać, na maszcie tego statku powiewa flaga z godłem lwa na czerwonym polu. Jesteśmy zatem na terytorium księcia Sycylii. I właśnie tutaj jeden z moich najdroższych przyjaciół, wierny chorąży Bertran z Cardony, poślubi swoją ukochaną, córkę znamienitego obywatela Martiego Barbany. Jako hrabiemu Barcelony pozostaje mi tylko życzyć młodej parze największego szczęścia i pomyślnych wiatrów do Apulii, gdzie mój przysły teść, Roberto Guiscardo, który był uprzejmy udostępnić nam na tę okazję jeden ze statków swojej floty, oczekuje ich z otwartymi ramionami i gdzie znajdują przygotowane dla nich lenno oraz godne miejsce na książęcym dworze. A teraz niech zacznie się ceremonia ślubna.

Ojciec Llobet zabrał głos, usiłując zapanować nad jego drżeniem i głęboko wzruszony celebrował proste nabożeństwo, oznaczające początek nowego życia dla dwojga młodych. Po złożeniu przysięgi małżeńskiej nastąpiła wymiana rękojmi, a na koniec archidiakon ogłosił ich wobec Boga i wobec ludzi mężem i żoną.

Podczas gdy zaproszeni goście wiwatowali na cześć młodej pary, Bertran szepnął żonie do ucha:

— Kocham cię. Od zawsze i na zawsze.

— Od zawsze i na zawsze — cicho powtórzyła Marta i nie bacząc na nic, przysunęła swoje usta do ust męża, aby pocałunkiem przypieczętować piękną obietnicę wspólnej, szczęśliwej przyszłości.



Następnego dnia rano Bertran i Marta, oparci o burtę statku, patrzyli na znikającą w oddali Barcelonę. Pierwsze promienie słońca padały na spienione fale. Marta w objęciach męża rozmyślała o tym wszystkim, co pozostawiała za sobą. Wczorajszego wieczoru po posiłku spożytym w gronie najbliższych pożegnała Ahmeda, przyjaciela z lat dzieciństwa, który nauczył ją strzelać z procy, co przyniosło katastrofalne skutki. Ahmed... Jego oczy wciąż były smutne, lecz teraz Marta dobrze go rozumiała, gdyż wiedziała, czym jest prawdziwa miłość. Pożegnała się również z kapitanami ojca, z którymi łączyło ją wiele pięknych wspomnień, i z matką przełożoną Adelą de Monsargues, co tak troskliwie czuwała nad nią w klasztorze. Potem uściskała wierną przyjaciółkę Aminę, nieocenioną podporę w zmiennych kolejach jej życia. Nigdy dotąd się nie rozstawały i Marta chętnie wzięłaby ją ze sobą na Sycylię do swojego nowego domu, ale zdawała sobie sprawę, że Amina nie może jej towarzyszyć, musi bowiem pozostać w domu na placu Sant Miquel, który zawsze był jej domem, aby opiekować się matką. Jest bardziej potrzebna Naimie i Ahmedowi niż mnie, pomyślała, zresztą już czas, aby znalazła własne szczęście. Byłoby egoizmem ciągnąć ją za sobą w nieznaną tylko dlatego, że ona i Bertran postanowili zamieszkać na obcej ziemi z dala od podejrzliwych spojrzeń ludzkich, bez mściwych afrontów i gróźb ze strony Berenguera Ramóna.

— Wszystko będzie na ciebie czekać, kiedy zdecydujesz się tu wrócić — powiedział ze łzami w oczach jej ojciec chrzestny, zanim statek odpłynął. — Twój dom, twoja flota morska, interesy twojego ojca... Dopilnuję, żeby niczego ci nie brakowało na Sycylii, ale wiem, że pewnego dnia powrócisz do Barcelony. Jesteś jeszcze młoda, lecz przyjdzie taki moment, że zapragniesz nasycić oczy krajobrazem z dzieciństwa, chociaż zawsze będziesz go nosić w swoim sercu.

Marta nie wątpiła w mądrość płynącą ze słów starego księdza, aczkolwiek przeczuwała, że miasto, które teraz opuszcza — podzielone między dwóch nieznoszących się władców — pogryzą się

w chaosie i będzie musiało odnaleźć, tak jak ona, własną drogę do ocalenia. Poszukała ręki Bertrana i ścisnęła ją mocno.

— Myślisz, że tu jeszcze wrócimy? — zapytała.

Bertran nie odpowiedział od razu. Oczami duszy widział inny pejzaż: lasy Cardony, do których chyba nigdy nie będzie mógł wrócić.

— Dużo musiałyby się zmienić — odrzekł wreszcie. — Ale dla mnie to już nie ma znaczenia. Mój dom jest tam, gdzie ty jesteś.

Marta zadrżała, słysząc jego słowa, i nadal uporczywie wpatrywała się w sylwetkę rodzinnego miasta. Może kiedyś wrócimy, pomyślała, kładąc kres smutnym refleksjom. Wołała cieszyć się porankiem nabrzmiewającym nadzieją. Oby ten statek zawiózł ich do miejsca, gdzie miłość nie jest zakuta w prawo zwyczajowe, gdzie szlachectwo będzie atrybutem nie krwi, lecz serca, gdzie nikczemnik ponosi karę za swoje czyny, miast kryć się za odziedziczonymi przywilejami. Marta westchnęła: wiedziała, że takie miejsce istnieje tylko w jej marzeniach, ale w tym momencie ze wszystkich sił pragnęła wierzyć, że znajdzie je po drugiej stronie morza razem ze swoim ukochanym.

Od autora

Jak było do przewidzenia, nadeszły trudne i straszliwe czasy dla hrabstwa Barcelony. Osobliwa decyzja Ramóna Berenguera I o semestralnym podziale władzy między synów zakończyła się tragedią. Piątego grudnia 1082 roku Ramón Berenguer II, „Lnianogłowy”, został zamordowany na polowaniu w lasach Hostalric, a jego zwłoki porzucono w miejscu znanym jako Gorch del Comte. Choć nigdy nie wyjaśniono okoliczności tej śmierci, opinia publiczna uznała, iż morderca działał za namowującego brata Berenguera, który odtąd zyskał przydomek „Bratobójcy”.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się w Geronie. „Lnianogłowy” został pochowany obok swojej prababki, Ermesendy z Carcassonne; poduszka żałobna, na której spoczęła jego głowa, znajduje się obecnie w Muzeum Gerony. Wdowa po nim, Mafalda z Apulii, którą poślubił w 1078 roku, musiała wraz z synem szukać schronienia na dworze Guillerma Ramóna z Cerdañi, męża swojej szwagierki Sanchy. Później szlacheckie rodziny Barcelony, które zawsze uważały Berenguera za winnego śmierci brata, wymogły na nim, aby roztoczył opiekę nad synem zmarłego, przyszłym Ramónem Berenguerem III, i zażądały, aby pozostał bezżenny i bez potomstwa, ponieważ hrabstwo winno mieć tylko jednego władcę, jak dawniej. Jako datę jego śmierci podaje się rok 1097 lub 1099, podczas pierwszej wyprawy krzyżowej; ponoć wyruszył na nią z powodu nieustannych podejrzeń, jakie go otaczały. Jego następcą został Ramón Berenguer III, zwany Wielkim, ożeniony z Krystyną, jedną z córek Rodriga Diaza de Vivar, „Cyda Walecznego”.

Tyle na temat faktów historycznych. Niech mi będzie wolno dorzucić jeszcze jeden szczegół, wywodzący się raczej z legendy. Wieść głosi, że kiedy biskup wypytywał Berenguera o współudział w tragicznej śmierci brata, przez jedno z okien świątyni wpadł sokół „Lnianogłowego” i przysiadł na oparciu tronu, który zajmował Berenguer, aby zaświadczyć o jego winie.

Legendy tego rodzaju, tak powszechne w naszym dziedzictwie kulturowym, służą jedynie atrakcyjnemu zobrazowaniu wydarzeń z przeszłości. Podobny cel przyświeca w pewnej mierze powieści historycznej: połączyć ścisłość historyczną z fikcją literacką. Jako powieść ma przede wszystkim bawić, a jako relacja historyczna nie może pomijać takich kryteriów jak ścisłość i prawdziwość. Oba te aspekty zostały z pokorą przedstawione na kartach tej książki, która teraz odwołuje się do wielkoduszności czytelników.

Barcelona, listopad 2010

Podziękowania

Núrii Cabutí, która dowodzi świetną ekipą Random House Mondadori i której tyle zawdzięczam.

Mojej redaktorce Anie Liarás. Niejednokrotnie drzewa przesłaniają pisarzowi las. Bez jej mądrych i czasem bolesnych uwag byłaby to inna powieść.

Pepie Bagarii, której pomoc była jak zwykle bezcenna.

Moc uścisków i wyrazy wdzięczności wszystkim za wszystko.

Bibliografia

- Abadai i de Vinyals Ramón d', *Els primers comtes catalans*, Vicens Vives, Barcelona 1983.
- Adro Xavier, *Pre-Cataluña: siglos IX—X-XI*, Edicions Marte, Barcelona 1974.
- Aureli Martín, *Les noces del comte: matrimoni i poder a Catalunya (785-1212)*, Omega, Barcelona 1997.
- Aventín Merce, Salrach Josep M., *Historia medieval de Catalunya*, Edicions de la Universitat Oberta de Catalunya, Barcelona 1988.
- Bagué Enric, *Llegendes de la historia de Catalunya*, Barcino, Barcelona 1937.
- Balañá i Abadia Pere, *L'islam a Catalunya, segles VIII—XII*, Rafael Dalmau, Barcelona 2002.
- Batet Carolina, *Castells termenats i estratègies d'expansió cornial: la marca de Barcelona als segles X-XI*, Institut d'Estudis Penedesencs, Vilafranca del Penedès 1996.
- Batlle i Gallart Carme, Vinyoles i Vidal Teresa, *Mirada a la Barcelona medieval des de les finestres gòtiques*, Rafael Dalmau, Barcelona 2002.
- Bolos i Masclans Jordi, *Catalunya medieval: una aproximado al territori i a la sociedad de l'Edat Mitjana*, Pòrtic, Barcelona 2000.
- , *Cartografia i historia medieval*, Institut d'Estudis Ilerdenc, Fundado Pública de la Diputació de Lleida, 2001.

—, *Diccionari de la Catalunya medieval, segles VI-XV*, Edicions 62, Barcelona 2000. —, *La vida quotidiana a la Catalunya en l'època medieval*, Edicions 62, Barcelona 2000. Campas Joan, *La creació d'un estat feudal: l'Alta Edat Mitjana: segles XI-XIII*, Barcanova, Barcelona 1992. Cantalozella Assumpció, *El falcó del comte*, Proa, Barcelona 2003. Capmany de Montpalau i Suris Antoni de, *L'antiga marina de Barcelona*, Barcino, Barcelona 1937. Cátala i Roca Pere, *Llegendes cavalleresques de Catalunya*, Rafael Dalmau, Barcelona 1986. Cuadrada Coral, *L'aixada i l'espasa: l'espai feudal a Catalunya*, Aróla, Tarragona 1999. Díaz Borrás Andrés, *El miedo al Mediterráneo: la caridad popular valenciana y la redención de cautivos bajo poder musulmán: 1323-1539*, Institució Milà i Fontanals, CSÍC, Barcelona 2001. Fernández y González Manuel, *Doña María Coronel (episodio del reinado de don Pedro el Cruel)*, Librería de Salvador Sánchez Rubio, Madrid 1874. Ferrer i Mallol María Teresa, Mutgé i Vives Josefina (red.), *De l'esclavitud a la llibertat: esclaus i lliberts a l'Edat Mitjana*, „Anuari d'Estudis Medievals”, anexo 38, Departament d'Estudis Medievals, Institució Milà i Fontanals, CSIC, Barcelona 2000. Fluvià Armand de, *Els primitius comitais i vescomtats de Catalunya*, Enciclopedia Catalana, Barcelona 1989. Heers Jacques, *Esclavos y sirvientes en las sociedades mediterráneas durante la Edad Media*, Edicions Alfons el Magnànim, Valencia 1989. Hernando Josep, *Els esclaus islàmics a Barcelona: blancs, negres, llocs i tures: de l'esclavitud a la llibertat (s. XIV)*, Departament d'Estudis Medievals, Institució Milà i Fontanals, CSIC, Barcelona 2003. Oriol Granados J. i in., *Guia de la Barcelona romana i alt medieval*, Institut Municipal d'Historia, Ajuntament de Barcelona 1995. Pladevall i Font Antoni, *Ermessenda de Carcassona, comtessa de Barcelona Girona i Osona: esbós biografic en el mil·lenari del seu naixement*, Barcelona 1975. Reparaz i Ruiz Gonçal de, *Catalunya a les mars: navegants, mercaders*

icartògrafs catalans de l'Edat Mitjana i del Renaixement, Mentora, Barcelona 1930. Reynal Roser, *La Catalunya sarraïna: Abú-Béquer, el tortosi*, Graó, Barcelona 1990. Riera Melis Antoni, *Senyors, monjos i pagesos: alimentado i identitat social ais segles XII i XIII*, Institut d'Estudis Catalans, Barcelona 1997. Riu i Riu Manuel, *La Alta Edad Media: del siglo V al siglo XII*, Montesinos, Barcelona 1989. Ruiz-Domènec José Enrique, *L'estructura feudal: sistema de parentiu i teoria de l'aliança en la societat catalana: c.980~c. 1220*, Edicions del Malí, Barcelona 1985. —, *Ricard Guillem o el somni de Barcelona*, Edicions 62, Barcelona 2001. Sadurní i Puigbó Nuria, *Diccionari de l'any 1000 a Catalunya: l'abans i el després d'un tombant de mil·leni*, Edicions 62, Barcelona 1999. Salicrú i Lluch Roser, *Esclaus ipropietaris d'esclaus a la Catalunya del segle XV: l'assegurança contra fugues*, Institució Milà i Fontanals, CSIC, Barcelona 1998. Shideler John C, *Els Montcada, una familia de nobles catalans a l'Edat Mitjana en 1000-1230*, Edicions 62, Barcelona 1987. Sobrequés i Callicó Jaume (red.), *Historia de Barcelona*, vol. 2; Ainaud Joan i in., *La formado de la Barcelona medieval*, vol. 9; Alberch i Figueras Ramón i in., *La ciutat a través del temps: cartografia històrica*, Enciclopedia Catalana y Ajuntament de Barcelona 1991-2001. Sobrequés i Vidal Santiago, *Els grans comtes de Barcelona*, El Observador de la Actualidad, Barcelona 1991. Tatché Eulalia, *Artesans i mercaders: el món urbà a l'Edat Mitjana*, Barcanova, Barcelona 1991. Vinyolas i Vidal Teresa i in., *Historia medieval de Catalunya*, EUB, Barcelona 1997. VV.AA., *Alimentado i societat a la Catalunya medieval*, „Anuari d'Estudis Medievais”, anexo 20, Unitat d'Investigació d'Estudis Medievais, Institució Milà i Fontanals. CSIC, Barcelona 1988.

Spis treści

Dramatis personae	7
CZEŚĆ PIERWSZA — Boskie wyroki	(3
1. Zmartwienia i zgryzoty	15
2. Pałac hrabiowski	25
3. Marti	29
4. Rozmowy dworskie	34
5. Ramón Berenguer I	39
6. Pedro Ramón	42
7. Posłaniec	48
8. Przyszłość	51
CZEŚĆ DRUGA — Ludzkie pragnienia	55
9. Marta	57
10. Kupiec	65
11. Grobowiec Ruth	77
12. Ahmed i Zahira	81
13. Simó „Renegat”	90
14. Bernabé Mainar	96
15. Rozmowy w alkwie	106
16. Przedsiębiorstwo okrętowe	112
17. <i>Usatges</i>	122
18. Sędzia Bonfill	130
19. Sants Just i Pastor	133
20. Lupanar Mainara	140
21. Wodowanie	145

22. Ukaranie Zahiry.....	156
23. Wątpliwości Berenguera.....	165
24. Przekazanie	170
25. Obserwacja więzienia	179
26. „Czym jest miłość?”	182
27. Odpowiedź Zahiry.....	194
28. Ponowne spotkanie.....	198
29. Odwiedziny w lupanarze	203
30. Ogród Lai	216
31. Pogrzeb	219
32. Choroba miłosna.....	225
33. Zła nowina	232
34. Eudald Llobet.....	235
35. Bliźniacy.....	238
36. Wyjaśnienie.....	241
37. Prośba Martiego.....	251
38. Pomysł Manipoulosa	261
39. Przybycie Rashida.....	266
40. Ojciec Magi.....	275
41. Pożegnania.....	280
42. Wyjazd Martiego.....	292
CZEŚĆ TRZECIA — Przebudzenie serca	297
43. Zakładnik	299
44. Marta w pałacu	307
45. Raj utracony	311
46. Bertran z Cardony.....	317
47. Incydent.....	320
48. Cudowny wynalazek	324
49. Szlachta i plebejusze	328
50. Norman	331
51. Smutna wiadomość.....	343
52. Pakty i przymierza.....	349
53. Mafalda z Apulii	353
54. Feluka.....	358
55. Niewinna zabawa	361
56. Hrabianka Sancha	365
57. Łowy	369
58. Spotkanie prowodyrów	378
59. Pieczara.....	385
60. Próba.....	390
61. Oddaj mnie do klasztoru!	396
62. Policzek.....	402
63. Główny atut Magiego	407

64. Zacieśniając sojusze	412
65. Felet, Rashid i Ahmed	418
66. Złe przeczucia	422
67. W porcie	430
68. Gualda	434
69. Ostatnia próba	439
70. Santa Maria di Leuca.....	443
71. Stary kaleka	451
72. Żebrząc o pomoc	463
73. Łopatka do kominka.....	467
CZEŚĆ CZWARTA — Grecki ogień	477
74. Gołąb pocztowy.....	479
75. Damy dworu	482
76. Złe nowiny.....	486
77. W trosce o przyszłość.....	489
78. Oświadczyzny	494
79. Operacja „Laia”	501
80. Adelais i Gualda	510
81. Matraki	518
82. Nocna przechadzka.....	522
83. Frustracja Gualdy	526
84. Intuicja Delfina	529
85. Marta i hrabia	533
86. Arbucias	536
87. Powrót Martiego.....	545
88. Nareszcie w domu	549
89. Trujący tojad	565
90. Wesele Sanchy	572
91. Oskarżenie.....	581
92. Mainar i Gualda.....	587
93. Rękawice	590
94. Rozpaczliwa decyzja	593
95. Wizyta w pałacu	598
96. Słowo honoru	603
97. Trzy rozmowy	607
98. Obwieszczenie.....	613
99. Milicja	617
100. Kilka dni wcześniej	622
101. Ogier	625
102. Intryga i domysły.....	629
103. Przesłuchanie.....	633
104. Srebrne ostrogi.....	642
105. Papieski wyrok	645

CZEŚĆ PIĄTA — Rozkosz zemsty	647
106. Nowe sojusze	649
107. Jaszczurka	653
108. Sant Pere de les Puelles.....	657
109. Zaręczyny	660
110. Cardona	664
111. Śmierć Starego	671
112. Wizyta Aminy	675
113. Podzielone dziedzictwo.....	680
114. Tomeu „Rudy”	684
115. Gueralda i Tomeu.....	688
116. Domagając się spłaty długu	695
117. Lochy	701
118. Oskarżenie.....	708
119. Rewizja	713
120. Decydująca rozmowa	720
121. Zbrodnia z premedytacją pod osłoną nocy.....	723
122. Po burzy	729
123. Kłopotliwa wizyta	737
124. Intuicja Aminy	741
125. Florinda	744
126. Mistyfikacja	753
127. Naczelny inspektor miar i wag Barcelony	757
128. Paciá i Ahmed	760
129. Nisza w murze.....	763
130. Powrót Bertrana	768
131. Spotkanie.....	771
132. Prowokacja.....	774
133. Turniej	778
134. Narada	784
135. Po drugiej stronie morza	786
Od autora.....	790
Podziękowania	792
Bibliografia	793

powieści historyczne Chufu Llorénsa

WŁADCA BARCELONY

Wciągająca bez reszty powieść historyczno-przygodowa, której akcja toczy się w magicznej scenerii Katalonii drugiej połowy XI wieku. Utrzymana w duchu słynnych *Filarów Ziemi Kena Folleta* i *Katedry w Barcelonie* Ildefonsa Falcone-sa - książek, które święciły triumfy na całym świecie. Obfitująca w dramatyczne wydarzenia, kipiąca emocjami - od miłości i namiętności, po zawiść, zdradę i zemstę.

Barcelona, rok 1052. Wychowany w skrajnej nędzy Martt Barbany ma 19 lat, gdy trafia do pysznego i dumnego miasta. Oszołomiony możliwościami, jakie niesie ze sobą życie w metropolii, zrobi wszystko, aby stać się pełnoprawnym obywatelem, zasłużyć na miłość pięknej dziewczyny z bogatego rodu i odmienić swój los. Dzięki inteligencji i odwadze, a także smykalce do handlu stopniowo buduje fortunę i zyskuje powszechny szacunek. Są tacy, których bolą sukcesy odnoszone przez wiejskiego przybłędę, którzy nie cofną się przed niczym, by upokorzyć i zniszczyć Marttego. Jego historia spleta się z dziejami hrabiego Ramóna Berenguera, darzącego występłą miłością Almodis z Marchii, hrabinę Tuluzy, który swoim postępowaniem wciąga miasto w niebezpieczny konflikt.

UCIEKINIERKA Z SAN BENITO

Hiszpania, początek XVII wieku. W rodzinie zubożałego szlachcica rodzi się czwarta dziewczynka - Catalina. Załamany don Martin de Rojo postanawia, za namową siostry, przeorzyzy z klasztoru Świętego Benedykta, zamienić ją na chłopca, syna jednej z podopiecznych klasztoru. Catalina dorasta wśród sióstr zakonnych nie znając własnej tożsamości i nie zdając sobie sprawy ze swojej niezwyklej urody. Prawdziwe pochodzenie dziewczynki zdradza jedynie odziedziczone po ojcu znamię w kształcie oka, z którego spływają trzy łzy. Wielka chęć poznania świata, nagła śmierć przeorzyzy, fałszywe oskarżenia, knowania siostry Gabrieli, odrażające zachowanie ojca Rivadeneiry - te wszystkie powody skłaniają czternastoletnią Catalinę do opuszczenia klasztoru w męskim przebraniu. Od tej pory będzie musiała uciekać przed nieprzyjaciółmi, z depczącej jej po piętach Świętą Inkwizycją na czele, walczyć o życie i radzić sobie w świecie, którego dotąd nie знаła. Catalina wędruje przez hiszpańskie prowincje, zmieniając ubrania i tożsamości; poznaje życie i tajemnice wielu różnych ludzi, od przedstawicieli nizin społecznych po osoby na świeczniku. Dowiadyuje się o trwającym na nią polowaniu, które może mieć związek ze szkarłatnym znamięm, jakie oprócz niej nosił też pewien Żyd spalony na stosie dwa wieki wcześniej. Na swojej drodze spotyka miłość... i w końcu trafia na szafot. Czy tam dopełni się jej los?

Chufó Lloréns - pisarz hiszpański, z zawodu prawnik, urodzony w Barcelonie. Przez wiele lat pracował w przemyśle rozrywkowym jako impresario. Autor sześciu książek. Zadebiutował w 1986 powieścią *Nada sucede la víspera*, finalistką Planeta Prize. W 1993 wydał *La otra lepra*, w 2001 *Uciekinierkę z San Benito*, w 2003 - *Sagę przeklętych*. Wielki sukces komercyjny odniosła powieść historyczna *Władca Barcelony*, opublikowaną w 2008 - w samej Hiszpanii sprzedano blisko milion egzemplarzy. W 2011 ukazała się jej kontynuacja zatytułowana *Morze ognia*.